

ROBERT JORDAN

DECH  
ZIMY



© 1995

**Jordan Robert**

**DECH ZIMY**

**Winter's Heart**

**Przełożyli Katarzyna i Jan Karłowscy**

**Wydanie oryginalne: 2000**

**Wydanie polskie: 2003**

# Spis treści

STRONA TYTUŁOWA  
PROLOG ŚNIEG  
POŻEGNANIE Z PROROKIEM  
PORWANA  
OBYCZAJE  
PROPOZYCJE  
SZTANDARY  
ZAPACH SZALEŃSTWA  
ULICE CAEMLYN  
LUD MORZA I RODZINA  
FILIŻANKA HERBATY  
PLAN UWIEŃCZONY SUKCESEM  
PRIORYTETY  
ZIMOWA LILIA  
WSPANIAŁE WIEŚCI  
CO SKRYWA WOAL  
POTRZEBNY LUDWISARZ  
NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE  
RÓŻOWE WSTAŻKI  
OFERTA  
TRZY KOBIETY  
KWESTIA ZDRADY  
SPRAWY MAJĄTKOWE  
JAKBY ZNIKĄD  
STRACIĆ SŁOŃCE  
WŚRÓD RADCZYŃ  
WIEZI  
OCZEKIWANIA  
ZASKOCZYĆ KRÓLOWE I KRÓLÓW  
NIESPODZIANKA W WORKU Z UBRANIAMI  
INNY PLAN  
ZIMNE, GRUBE KROPLE DESZCZU  
CO POWIEDZIELI AELFIN  
CZEŚĆ MĄDROŚCI  
ULICA BŁĘKITNEGO KARPIA  
TAJEMNICA KOLIBRA  
CHOEDAN KAL  
GLOSARIUSZ

Oslabną pieczęcie dozorujące noc, a w najgłębszym tchnieniu zimy zrodzi się Dech Zimy, wśród zawodzeń, płaczu i zgrzytania zębami, bowiem przemierzać będzie świat na rumaku czarnym, którego imię brzmi – Śmierć.

z Cyklu Karaethońskiego: Proroctwa Smoka

Jak zawsze dla Harriet

# PROLOG

## ŚNIEG

Płomienie trzech lamp migotały, światła dawały jednak aż nadto, by mrok nie znalazł dostępu do maleńkiego pomieszczenia o surowych białych ścianach i takimż suficie – w środku siedziała Seaine, uparcie wbijając wzrok w ciężkie drewniane drzwi. Odruch całkowicie nielogiczny, z czego doskonale zdawała sobie sprawę, wręcz głupi, jeśli mierzyć go wymogami stosowanymi wobec Zasiadającej w imieniu Białych. Splot *saidara*, sięgający poza załom futryny, przynosił jej przypadkowe szmery odległych kroków w labiryncie korytarzy, szmery, które cichły nieomal natychmiast po tym, jak zwróciły jej uwagę. Prosta sztuczka, podchwycona od przyjaciółki w dawno minionych czasach nowicjatu, teraz jakże przydatna – otrzyma ostrzeżenie znacznie wcześniej, niż zobaczy nadchodzącego. W każdym razie i tak nieliczni tylko schodzili poniżej drugiego poziomu piwnic.

Splot podchwycił odległe popiskiwanie szczurów. Światłości! Ciekawe, kiedy właściwie załęgły się w Tar Valon, w samej Wieży? Czy któreś szpiegowały dla Czarnego? Zdenerwowana zwilżyła językiem wargi. W tej kwestii logika na nic nie mogła się przydać. Taka jest prawda. Nawet jeśli jest ona nielogiczna. Poczwała, jak w gardle nabrzmiewa jej szaleńczy śmiech. Z wysiłkiem udało jej się uniknąć wybuchu hysterii. Trzeba myśleć o czymś innym, nie o szczurach. O czymś innym... Za jej plecami zduszony pisk wypełnił przestrzeń pomieszczenia, po chwili ścichł, przechodząc w ciche pojękiwanie. Za wszelką cenę próbowała nie słuchać. Trzeba się skoncentrować!

Ona i jej towarzyszki dotarły do tego pomieszczenia poniekąd powodowane podejrzeniami, że przewodzące Ajah spotykają się tu w sekrecie. Na własne oczy widziała przelotnie, jak Ferane Neheran szeptała w odosobnionym kącie biblioteki z Jesse Bilal, która zajmowała wśród Brązowych bardzo poczesną pozycję, nawet jeśli nie całkiem na szczycie. W przypadku zaś Suany Dragand z Żółtych, wydawało jej się, że stoi na jeszcze pewniejszym gruncie. Przynajmniej tak myślała. Dlaczego jednak Ferane prowadziła się z Suaną po zamkniętych częściach Wieży, obie odziane w proste płaszcze? Zasiadające w imieniu wszystkich Ajah wciąż ze sobą otwarcie rozmawiały, nawet rozmowy toczyły się w zimnej atmosferze. Pozostałe miały podobne doświadczenia; rzecz jasna, żadna nie miała zamiaru wymieniać żadnych imion z własnych Ajah, oprócz dwóch, które wspominały o Ferane. Naprawdę niełatwa zagadka. W obecnych czasach Wieża stanowiła istne bagno, Ajah czekały tylko, by wzajem rzucić się sobie do gardeł, a mimo to najważniejsze spośród nich spotykały się potajemnie po kątach. Żadna kobieta spoza danych Ajah nie miała pojęcia, kim są przywódczyni, najwyraźniej jednak one same doskonale się znały. O cóż też może im chodzić? Co to jest? Niestety składało się, że żadną miarą nie mogła wprost zapytać Ferane; nawet gdyby tamta znana była z tolerancji dla takiego zachowania, Seaine przenigdy by się nie ośmieliła. Przynajmniej nie teraz.

Niezależnie jak bardzo próbowała się skoncentrować, myśli nie chciały krążyć wokół pytania. Zdawała sobie sprawę, że siedzi tępo wpatrzona w drzwi, zamartwiając się zagadkami, których rozwiązać nie potrafi, właściwie chyba tylko po to, by uniknąć nieustannego oglądania się przez ramię. W stronę źródła tych zdławionych jęków i pociągłych posapywań.

Jakby sama myśl o tych nieprzyjemnych odgłosach stanowiła wewnętrzny nakaz, obejrzała się za siebie na swe towarzyszki, z każdym całem obrotem głowy jej oddech stawał się coraz bardziej

nierówny. Gdzieś tam, wysoko, gęsty śnieg sypał się na Tar Valon, jednak pomieszczenie wydawało się jakby cokolwiek przegrzane. Wreszcie zmusiła się, by spojrzeć!

Saerin w obrzeżonym brązowymi frędzlami szalu, stała na szeroko rozstawionych nogach, muskając palcami rękę zakrzywionego altarańskiego sztyletu, wepchniętego za pasek. Od lodowatego gniewu jej oliwkowa cera jeszcze pociemniała, na jej tle jasną linią odznaczała się biegnąca wzdłuż szczęki blizna. Na pierwszy rzut oka Pevara wydawała się znacznie spokojniejsza, wszakże jedną dłonią ścisnęła kurczowo fałdy haftowanych czerwienią spódnic, drugą zaś gładki biały pręt Róźdzki Przysiąg, niczym długą na stopę maczugę, w każdej chwili gotową do użycia. Rzeczywiście mogła być do tego zdolna – Pevara była znacznie twardsza, niżli mogłoby to sugerować jej pulchne oblicze, a w swym postępowaniu kierowała się wolą tak żelazną, że w porównaniu z nią Saerin można by nieomal wziąć za trzpiotkę.

Po drugiej stronie Krzesła Pokuty małeńka Yukiri stała z dłońmi wtulonymi pod pachy, długie srebrzystoszare frędzle jej szala trzęsły się miarowo, poruszane niepowstrzymanymi drzeniami ciała. Nie przestając oblizywać warg, Yukiri wciąż rzucała lękliwe spojrzenia na stojącą obok niej kobietę. Doesine, z wyglądu bardziej przypominająca urodziwego chłopca niżli Żółtą siostrę o ustalonej reputacji, niczym nie zdradzała, co myśli o ich poczynaniach. Choć w istocie to ona manipulowała splotami, ciągnącymi się ku Krzesłu, ona też wbijała spojrzenie w *ter'angreal*, skoncentrowana tak głęboko, że kropelki potu lśniły na jej bladym czole. Wszystkie obecne w pomieszczeniu były Zasiadającymi Komnaty, włączywszy w to wysoką kobietę wijącą się na Krześle.

Talene wręcz spływała potem, jej złote włosy zwisały w strąkach, lniana koszula przylgnęła do ciała. Resztę jej zwiniętych w kłęb rzeczy cisnęły w kąt pomieszczenia. Przymknięte powieki niepowstrzymanie drgały, z ust dobywał się nie milknący nawet na moment potok zdławionych pojękiwań i płaczliwych, na poły artykułowanych błagań. Seaine mdliło na widok tamtej, jednak nie potrafiła oderwać od niej oczu. Talene była jej przyjaciółką. Kiedyś.

Mimo miana jakie nosił, *ter'angreal* w niczym nie przypominał krzesła, był to po prostu wielki, prostopadłościenny blok marmurowej szarości. Nikt nie wiedział, z czego tak naprawdę został wykonany, jednak tworzywo było twarde niczym stal, wyjątek stanowił lekko pochylony wierzch. Posągowa figura Zielonej siostry zapadła się nieco w jego powierzchnię, która zawsze, niezależnie jak tamta się wierciła, jakimś sposobem przybierała kształt dopasowany do jej sylwetki. Sploty Doesine zagłębiały się w jedyną szczelinę, jaką można było znaleźć w całym Krześle – umieszczony na jednej ze ścian kwadratowy otwór wielkości dłoni, otoczony małeńkimi, nierówno rozmieszczonymi wgłębieniami. Schwytanych w Tar Valon przestępców przyprowadzano właśnie tutaj, fundując im doświadczenie Krzesła Pokuty, dzięki któremu przeżywali pieczołowicie dobre konsekwencje własnych zbrodni. Uwolnieni, nieodmiennie opuszczali wyspę. Dzięki temu w samym Tar Valon akty naruszenia prawa zdarzały się niezmiernie rzadko. Czując lekkość w głowie, zastanawiała się, czy czyniony zeń użytek miał cokolwiek wspólnego z celem, dla którego stworzono Krzesło w Wieku Legend.

– Co ona widzi? – wyszeptała wbrew sobie. Talene z pewnością nie tylko widzi, dla niej jest to przeżycie nieodróżnialne od rzeczywistości. Dzięki Światłości, że nie miała żadnego Strażnika; w przypadku Zielonej była to rzecz nieomal niesłychana. Twierdziła, że Zasiadającej Komnaty do niczego nie będzie potrzebny. Wszelako teraz, jak się nad tym zastanowić, fakt ten można było tłumaczyć zupełnie inaczej.

– Dręczy ją cała banda cholernych trolloków – ochryplym głosem stwierdziła Doesine. W jej głosie pobrzmiwały ślady rodzimego cairhieniańskiego akcentu, co rzadko jej się przydarzało,

chybaże w stanie silnego zdenerwowania. – Kiedy skończą... Będzie się mogła zapoznać z widokiem kociołka trollaków i obserwującego ją Myrddraala. Musi wiedzieć, że tym razem czeka ją jeden lub drugi los. Niech szczenę, jeśli się nie załamie... – Doesine zirytowanym ruchem otarła krople potu z czoła i wciągnęła nierówny oddech. – Przestańcie zaglądać mi przez ramię. Minęło już wiele czasu, odkąd ostatni raz to robiłam.

– Trzy razy już przez to przechodziła – mruknęła Yukiri. – Najtwardszych osiłków, nawet jeśli wszystko inne zniosą, własne poczucie winy łamie za drugim razem. A jeśli jednak jest niewinna? Światłości, to jest jak podkradanie owiec na oczach pasterza! – Mimo iż wyraźnie się trzęsła, jakimś sposobem wciąż sprawiała iście królewskie wrażenie, dopiero gdy otwierała usta, jej słowa jednoznacznie zdradzały tę, którą naprawdę była, czyli prostą wiejską kobietę. Popatrzyła wściekle po pozostałych, ale w jej oczach można było wyczytać wątpliwości. – Prawo zabrania sadzania inicjowanych na Krześle. Wszystkie zostaniemy pozbawione pozycji! I prawdopodobnie nie skończy się na tym, że nie będziemy miały prawa zasiadać w Komnacie, ale jeszcze relegują nas z Wieży! A żebyśmy się zbyt łatwo nie wykręciły, wcześniej pewnie nas wychłosczą! Niech szczenę, jeśli się pomyliłyśmy, wszystkie nas mogą ujarzmić!

Seaine zadrżała. Tego ostatniego z pewnością unikną, jeśli potwierdzą się ich podejrzenia. Nie, żadne podejrzenia – pewność przecież. Niemożliwe, by miały się mylić! Ale nawet jeśli miały rację względem wszystkich pozostałych kwestii, obawy Yukiri i tak mogły się spełnić. Prawo Wieży rzadko ustępowało przed jakąkolwiek koniecznością czy odwołaniem do rzekomego nadrzędnego dobra. Jeśli jednak miały rację, to, co osiągną, z pewnością warte będzie każdej ceny. Błagam, Światłości, spraw, abyśmy miały rację!

– Jesteście ślepe i głuche? – Warknęła Pevara, wymachując przed nosem Yukiri Laską Przysięg. – Nie zgodziła się, by powtórzyć rotę Przysięgi wzbraniającej kłamstw, a po tym, co jej już zrobiłyśmy, w grę musi wchodzić coś więcej niż tylko głupia duma Zielonych Ajah. Kiedy odgradzałam ją tarczą, próbowała pchnąć mnie nożem! Na tym polega niewinność? Na tym? Przecież nie miała żadnych podstaw oczekiwać od nas nic innego, jak tylko dalszego strzępienia języków. Skąd miałyby wiedzieć, o co nam naprawdę chodzi?

– Wielkie dzięki – wtrąciła oschle Saerin – za stwierdzenie oczywistości. A skoro jest już i tak za późno, żeby się wycofać, Yukiri, równie dobrze możemy ciągnąć to dalej. A na twoim miejscu, Pevara, nie darłabym się tak na jedną z czterech tylko kobiet w całej Wieży, którym możesz z pewnością zaufać.

Yukiri zarumieniła się i poprawiła szal, Pevara wyglądała zaś na odrobinę zaambarasowaną. Odrobinę. Wszystkie były Zasiadającymi, jednak Saerin najwyraźniej zaczęła przewodzić wśród nich. Seaine nie do końca wiedziała, jak powinna na to zareagować. Jeszcze kilka godzin temu ona oraz Pevara były dwoma przyjaciółkami, pochłoniętymi niebezpieczną misją i wszystkie decyzje podejmowały razem – teraz dorobiły się współpracowniczek. Z wdzięcznością powitałaby ich więcej. Jednak nie znajdowały się w Komnacie i nie bardzo mogły w tej sprawie odwoływać się do prerogatyw Zasiadających. Mimo to utrwalone w Wieży hierarchie dawały już o sobie znać, wszystkie te subtelne, ale wszak nie zawsze, niuanse piastowanej pozycji, dyktujące, która której ma okazywać szacunek. Po prawdzie to Saerin zarówno nowicjuską jak Przyjętą była dwukrotnie dłużej niż większość z zebranych, jednak czterdzieści lat, przez które Zasiadała w Komnacie, dłużej z kolei niżli którakolwiek z obecnych Zasiadających, miało ogromne znaczenia. Seaine powinna uważać się za szczęśliwą, gdyby Saerin zechciała zapytać ją o zdanie, cóż dopiero o radę, zanim poweźmie decyzję. Głupie, jednak świadomość tego faktu uwierała niczym cierń w stopie.

– Trolloki wloką ją do kotła – powiedziała zniecka Doesine nieswoim głosem. Zdławiony jęk wydarł się z zaciśniętych ust Talene, drżała niczym struna. – Nie... nie mam pojęcia, czy sama byłabym w stanie... czy potrafiłabym się, do cholery, zmusić...

– Obudź ją – rozkazała Saerin, ledwie tylko zerknąwszy wcześniej na nie, by sprawdzić, co myślą. – Przestań się przejmować, Yukiri, bądź gotowa.

Szara siostra obrzuciła ją dumnym, wściekłym spojrzeniem, ale kiedy Doesine rozpuściła swój splot, a trzepoczące powieki Talene odsłoniły błękit oczu, poświata *saidara* natychmiast otoczyła Yukiri i ta bez jednego słowa splotła tarczę wokół spoczywającej na Krzesle kobiety. Saerin była wśród nich najważniejsza, wszystkie to rozumiały i koniec na tym. Bardzo ostry cierń.

Tarcza prawie nie była konieczna. Z twarzą wykrzywioną w maskę ostatecznej grozy, Talene trzęsa się i dyszała, jakby właśnie przebiegła z najwyższą prędkością dziesięć mil. Wciąż leżała wtulona w miękką powierzchnię, jednak teraz, gdy Doesine przestała przenosić, ona już nie dostosowywała się do jej kształtu. Przez chwilę Talene wpatrywała się w sufit, potem zacisnęła wytrzeszczone oczy, jednak te zaraz otworzyły się na powrót. Jakiegokolwiek wspomnienia kryły się za zamkniętymi powiekami, najwyraźniej nie chciała znowu mieć z nimi do czynienia.

Pevara dała dwa kroki w stronę Krzesła, a potem szturchnęła oszalałą kobietę końcem Różdżki Przysiąg.

– Wyrzeknij się wszelkich przysiąg, które cię wiążą, a potem powtórz Trzy Przysięgi, Talene – oznajmiła ochryple. Talene szarpnęła się na widok Różdżki, niczym w obliczu jadowego węża, a widząc, że Saerin pochyliła się nad nią, próbowała jej uniknąć.

– Następnym razem, Talene, czeka cię kocioł. Albo czułe zabiegi Myrddraala. – Twarz Saerin pozostawała nieprzenikniona, jednak wrażenie rozwiewał ton jej głosu. – I nie obudzisz się w porę. A jeśli i to się na nic nie zda, będzie kolejny raz i następny, ile będzie trzeba, choćbyśmy miały zostać w tych podziemiach do lata. – Doesine już otworzyła usta, by zaprotestować, zanim się zorientowała, co robi i wykrzywiła je w grymas. Ona jedna spośród nich wiedziała, jak operować Krzesłem, jednak jej pozycja w grupie była równie nieznacząca co Seaine.

Talene wciąż wbijała spojrzenie w Saerin. Jej wielkie oczy zasłzy łzami, zaczęła szlochać, targnęły nią przemożne, gwałtowne i rozpaczliwe łkania. Na oślep wyciągnęła rękę, macając, póki Pevara nie wcisnęła jej Różdżki Przysiąg w dłoń. Pevara objęła następnie Źródło i przeniosła w Różdżkę cienki strumień Ducha. Talene tak mocno ścisnęła gruby na nadgarstek pręt, że aż jej pobielały kłykcie, poza tym jednak leżała zupełnie nieruchomo, wciąż łkając.

Saerin wyprostowała się.

– Obawiam się, że nadszedł czas, by znowu położyć ją spać, Doesine.

Strumienie łez ze zdwojoną siłą trysnęły z oczu Talene, zdołała jakoś jednak wymamrotać:

– Wyrzekam się... wszystkich... wiążących mnie... przysiąg. – Ostatnie słowo przeszło w skowyt.

Seaine aż podskoczyła, potem z wysiłkiem przełknęła ślinę. Z własnego doświadczenia знаła ból towarzyszący wyrzeczeniu się choćby pojedynczej przysięgi, czasami wyobrażała sobie nawet mękę sytuacji, w której byłoby ich więcej niż jedna, ale teraz miała prawdę przed oczami. Talene wyła, póki starczyło jej tchu w piersiach, potem nabrała powietrza, ale tylko po to, by zacząć od nowa. I tak to trwało, póki Seaine nie zaczęła na poły poważnie obawiać się, że zaraz zbiegną tu z całej Wieży. Smukłym ciałem Zielonej siostry targały konwulsje, bezładnie wymachiwała rękoma i nogami, na koniec zaś wyprężyła się niemożliwie – aż tylko głową i stopami dotykała powierzchni kamienia – i trwała tak całkowicie zeszywniała, wciąż trzęsąc się niepowstrzymanie.

Spazm minął równie gwałtownie, jak przedtem ją porwał, Talene zaś osunęła się niczym



szmaciana lalka i leżała bezwładnie, łkając niczym zagubione dziecko. Różdżka Przysięg wysunęła się z jej omdlałej dłoni i potoczyła po pochyłej szarej powierzchni. Yukiri wymamrotała pod nosem coś, co brzmiało niczym żarliwa modlitwa. Doesine nie przestawała szeptać:

– Światłości! Światłości! – i wciąż od nowa: – Światłości! Światłości!

Pevara podniosła Różdżkę, a potem znów zacisnęła wokół niej palce Talene. Przyjaciółka Seaine nie okazywała nawet odrobiny litości, nie w takiej sprawie przecież.

– Teraz złóż Trzy Przysięgi – syknęła.

Przez moment wyglądało, że Talene może się zbuntować, powoli jednak powtórzyła słowa, które czyniły z nich wszystkich Aes Sedai i stanowiły gwarancję ich jedności. Nie mówić ani słowa, które nie jest prawdą. Nie tworzyć broni, której jeden człowiek mógłby użyć do zadania śmierci drugiemu. Nigdy nie używać Jedynej Mocy w charakterze broni, chyba że w obronie własnego życia, życia Strażnika albo innej siostry. Skończyła i dalej tylko płakała w milczeniu, wciąż drząc. Być może chodziło o efekt, jaki wywierały Przysięgi, wiążące duszę. Zaraz po złożeniu potrafiły wstrząsnąć kobietą. Może.

Potem Pevara poinformowała tamtą, jakiej jeszcze przysięgi od niej wymagają. Talene drgnęła, jednak posłusznie powtórzyła za nią, całkowicie wyzutym z nadziei głosem.

– Przysięgam absolutne posłuszeństwo waszej zgromadzonej tu piątce. – Równocześnie tępo patrzyła przed siebie, a łzy spływały powoli po jej policzkach.

– Powiedz mi więc prawdę – rozkazała Saerin. – Jesteś Czarną Ajah?

– Jestem. – Słowo to zazgrzytało, jakby dobywało się z zardzewiałego gardła.

Prostota wyznania poraziła Seaine w sposób, którego nigdy by nie oczekiwała. Mimo wszystko wybrała się na polowania na Czarne Ajah i w przeciwieństwie do większości sióstr była przekonana o ich istnieniu. Podniosła rękę przeciwko innej siostrze – Zasiadającej Komnaty – a potem pomogła pędzić skrepowaną strumieniami Powietrza Talene przez opustoszałe katakumby, złamała co najmniej kilkanaście praw Wieży, popełniła poważne zbrodnie, wszystko po to, by usłyszeć wyznanie, którego treść nie budziła wątpliwości, jeszcze zanim padło pytanie. No i dobrze, usłyszała. Czarne Ajah istniały naprawdę. Patrzyła na Czarną siostrę, na Sprzymierzeńca Ciemności noszącego szal. I poprzednia wiara okazała się tylko bladym cieniem rzeczywistości. Skamieniała, czuła, jak zaciska szczęki, powstrzymując szczykanie zębów. Próbowwała zapanować nad sobą, myśleć racjonalnie. Ale oto senne koszmary ożyły, by nawiedzać korytarze Wieży.

Któraś westchnęła ciężko i Seaine zrozumiała, że oto nie tylko jej świat wywrócił się do góry nogami. Yukiri otrząsnęła się, potem skupiła spojrzenie na Talene, jakby zdecydowana samą siłą woli utrzymać tarczę, gdyby zaszła taka potrzeba. Doesine oblizywała usta, niepewnie wygładzając fałdy ciemnozłotej sukni. Tylko z zachowania Saerin i Pevary nic nie można było odczytać.

– A więc tak. – cicho oznajmiła Saerin. Być może „słabo” byłoby lepszym słowem. – A więc to tak. Czarna Ajah. – Wzięła głęboki oddech i nieco już bardziej zdecydowanie ciągnęła dalej: – To już nie będzie potrzebne, Yukiri. Talene, nie wolno ci próbować ucieczki ani w żaden inny sposób się opierać. Nie masz prawa nawet dotknąć Źródła bez pozwolenia którejś z nas. Chociaż przypuszczam, że kiedy już cię przekazemy dalej, inna siostra przejmie nasze brzemie. Yukiri? – Oddzielająca Talene tarcza zniknęła, jednak Yukiri wciąż otaczała poświata, jakby nie potrafiła uwierzyć w efekt Różdżki.

Pevara zmarszczyła brwi.

– Zanim przekazemy ją Elaidzie, Saerin, chcę się dowiedzieć tyle, ile tylko się da. Imiona, miejsca, wszystko. Wszystko co na wie! – Sprzymierzeńcy Ciemności wymordowali całą rodzinę

Pevary. Seaine była pewna, że tamta chętnie zgodziłaby się nawet na relegację z Wieży, byle tylko móc osobiście ścigać Czarne siostry.

Z gardła spoczywającej wciąż na Krześle Talene wydobył się odgłos pośredni między gorzkim śmiechem a szlochem.

– Jeżeli to zrobicie, to wszystkie jesteście martwe. Martwe! Elaida jest Czarną Ajah!

– To niemożliwe! – wybuchła Seaine. – Od niej osobiście otrzymałam rozkazy.

– Nie może być inaczej – na poły wyszeptała Doesine. – Talene złożyła powtórnie przysięgi, a przecież wymieniła ją z imienia! – Yukiri zapalczywie pokiwała głową.

– Zaczniście ruszać głową – warknęła Pevara, kręcąc własną z niesmakiem. – Równie dobrze jak ja wiecie, że jeśli wierzycie w jakieś kłamstwo, możecie je spokojnie wypowiedzieć, Przysięga potraktuje je jako prawdę.

– I taka właśnie jest prawda – zdecydowanie upierała się Saerin. – Jakie masz dowody, Talene? Czy spotkałaś Elaidę na jednym z waszych... spotkań? – Tak mocno ścisnęła rękę noża, że aż jej kłykcie pobielwały. Saerin bardziej od innych musiała się natrudzić nad zdobyciem szala, nad prawem do pozostania w Wieży. Dla niej Wieża była czymś więcej niż domem, ważniejsza była od samego życia. Jeśli Talene udzieli niewłaściwej odpowiedzi, Elaida może nie dożyć procesu.

– One nie urządzają żadnych spotkań – ponuro wymamrotała Talene. – Wyjąwszy tylko Najwyższą Radę, jak sądzę. Ale nie może być inaczej. Znają treść każdego raportu, jaki otrzymuje Elaida, każde słowo wypowiedziane w jej obecności. Wiedzą o każdej decyzji, jaką podejmuje, zanim zostanie ona podana do publicznej wiadomości. Na całe dni z góry, niekiedy tygodnie. Jakim sposobem wiedzą, jeśli nie od niej? – Usiadła z wysiłkiem i spróbowała przyjrzeć się każdej z najwyższą uwagą. Ale ostateczny efekt wyglądał, jakby jej oczy rozbiegły się ze strachu. – Musimy uciekać, musimy gdzieś się schować. Pomogę wam... powiem wam wszystko, co wiem!... ale jeśli tu zostaniemy, zabiją nas!

Dziwne – pomyślała Seaine – jak szybko w ustach Talene wcześniejsze współpracownicy zmieniły się w „one” i jak zdecydowanie od razu próbowała się utożsamiać z tu obecnymi. Nie. W ten sposób unikała tylko prawdziwego problemu, a uniki tego rodzaju były bezrozumne. Czy Elaida naprawdę powierzyła jej misję wyśledzenia Czarnych Ajah? Ani razu nie wspomniała tej nazwy. Czy mogło jej chodzić o coś innego? Elaida natychmiast wpadała we wściekłość, gdy tylko któraś wspomniała przy niej o Czarnych Ajah. Ale z drugiej strony, większość sióstr zachowywała się w ten sposób, jednak mimo to...

– Elaida już zdołała dowieść swej głupoty – powiedziała Saerin – i nieraz żałowałam, że udzieliłam jej poparcia, jednak nie uwierzę, że jest Czarną, przynajmniej na podstawie wyłącznie takich dowodów. – Pevara skinęła krótko głową, zaciskając usta. Jako Czerwona z pewnością będzie oczekiwać znacznie poważniejszych świadectw.

– Może i masz rację, Saerin – zauważyła Yukiri – ale nie możemy przetrzymywać tu Talene w nieskończoność. Zielone wkrótce zaczną się o nią dopytywać. Nie wspominając już o... o Czarnych. Lepiej zaraz postanówmy co zrobić, w przeciwnym razie może się okazać, że znalazłyśmy się na dnie głębokiej studni, a z nieba tymczasem spadł deszcz. – Talene obdarzyła Saerin słabym uśmiechem, który zapewne miał być przymilny. Zniknął jednak natychmiast w obliczu zmarszczonych brwi Brązowej Siostry.

– Nie ośmielimy się powiadomić Elaidy, póki nie będziemy w stanie zmiażdżyć Czarnych jednym ciosem – oznajmiła na koniec Saerin. – Nie kłóć się, Pevara, to ma sens. – Pevara uniosła dłonie, na jej obliczu zagościł wyraz uporu, ale nic nie powiedziała. – Jeżeli Talene ma rację – ciągnęła dalej Saerin – Czarne wiedzą o misji Seaine albo dowiedzą się wkrótce, dlatego musimy

przede wszystkim zadbać o jej bezpieczeństwo. Nie będzie to łatwe, ponieważ jest nas tylko pięć. Nie możemy żadnej zaufać, póki nie zdobędziemy absolutnej pewności! Przynajmniej mamy Talene, a któż wie, co ona nam powie, nim ostatecznie wszystko z niej wyciśniemy? – Talene spróbowała przybrać taki wyraz twarzy, jakby nade wszystko pragnęła aby z niej wszystko wyciśnięto, jednak żadna nie zwracała na nią uwagi. Seaine zaschło w gardle.

– Być może nie jesteśmy tak zupełnie same – niechętnie powiedziała Pevara. – Seaine, powiedz im o twoich malutkich knowaniach z Zerah i jej przyjaciółkami.

– Knowaniach? – zapytała Saerin. – Kim jest Zerah? Seaine? Seaine!

Seaine wzdrygnęła się.

– Co? Ach. Pevara i ja odkryłyśmy małe gniazdo buntowniczek, tu, w Wieży – zaczęła, nabierając oddechu. – Dziesięć sióstr wysłanych, by siać niezgodę. – Saerin już zadba o jej bezpieczeństwo, nieprawdaż? I nawet nie trzeba jej będzie szczególnie prosić. Sama była Zasiadającą Komnaty, była Aes Sedai od niemalże stu i pięćdziesięciu lat. Jakie prawo miała Saerin albo którakolwiek inna, żeby...? – Pevara i ja zaczęłyśmy się już zajmować tą sprawą. Udało nam się już wyłowić jedną z nich, Zerah Dacan, która złożyła tę samą dodatkową przysięgę co Talene, kazałyśmy jej też niepostrzeżenie po południu sprowadzić Bernaile Gelbarn do moich apartamentów. – Światłości, każda siostra poza tym pomieszczeniem może być Czarną. Każda. – Potem wykorzystamy te dwie, każąc im sprowadzić następną, póki wszystkie nie złożą przysięgi posłuszeństwa. Oczywiście, zadamy im to same pytanie, które zadałyśmy Zerah, to samo, które usłyszała Talene. – Czarne Ajah mogły już znać jej imię, mogły już wiedzieć, że została wysłana na ich poszukiwanie. W jaki sposób Saerin miała zadbać o jej bezpieczeństwo? – Te, które udziela nieprawidłowej odpowiedzi, zostaną poddane przesłuchaniu, a te, które udziela odpowiedzi właściwej, mogą częściowo spłacić swój dług, pokutując za zdradę i ścigając Czarne pod naszym kierownictwem. – Światłości, jak?

Kiedy już skończyła, pozostałe wdały się w długą dyskusję na ten temat, z czego wynikało zapewne tylko tyle, że Saerin nie bardzo wiedziała, jaką ma podjąć decyzję. Yukiri upierała się, by Zerah i jej towarzyszkę natychmiast postawić przed obliczem prawa – jakby można było to zrobić, nie ujawniając równocześnie tego, co osiągnęły z Talene. Pevara była za wykorzystaniem buntowniczek, chociaż bez wielkiego przekonania – w końcu niezgodą, jaką tamte siały, sprowadzała się do obrzydliwych plotek na temat Czerwonych Ajah i fałszywych Smoków. Doesine posuwała się prawie do tego, by zaproponować porwanie każdej siostry w Wieży, zmuszenie jej do złożenia dodatkowej przysięgi, jednak pozostałe litościwie nie zwracały na nią uwagi.

Seaine nie brała udziału w dyskusji. Jednak sposób, w jaki zareagowała na przerażającą sytuację, był jej zdaniem jedynie właściwy. Potruchtała do najbliższego kąta pomieszczenia, gdzie głośno zwymiotowała.

Elayne ze wszystkich sił starała się nie zgrzytać zębami. Na zewnątrz kolejna zamieć waliła się na Caemlyn, zasnuwając mrokiem południowe niebo, aż trzeba było zapalić wszystkie lampy pod wykładanymi boazerią ścianami salonu. W podmuchach wiatru grzechotały szyby wysokich, sklepionych łukami okien. Ognie błyskawic lśniły w czystym szkłe, a głuchy łomot grzmotu przetaczał się nad głowami. Burza śnieżna, najgorsza pogoda, jaką może przynieść zima, najbardziej gwałtowna. Ściśle rzecz biorąc, w pomieszczeniu nie było zimno, ale... choć przysunęła rozpostarte dłonie do bierwion trzaskających na szerokim marmurowym kominku, wciąż jednak czuła mroźne tchnienie przenikające przez dywany pokrywające płyty posadzki – nie pomagały nawet najgrubsze jedwabne pantofle. Szeroki kołnierz z czarnego lisa i także mankiety przy jej czerwono-białym stroju

były śliczne, jednak podejrzewała, że nie dają więcej ciepła niż perły zdobiące rękawy. Nawet w sytuacji gdy zimno nie przenikało w głąb ciała, trudno było o nim zapomnieć.

Gdzie też podziewała się Nynaeve? Albo Vandene? Jej myśli kłębiły się jak burza za oknami.

„Powinny już tu być! Światłości! Ja tu za wszelką cenę próbuję obejść się bez snu, a one dobrze się bawią!”.

Nie, to było naprawdę nie w porządku. Ledwie kilka dni temu ogłosiła oficjalnie swe roszczenia wobec Tronu Lwa, toteż uważała, że wszystko inne powinno chwilowo zejść na dalszy plan. Nynaeve i Vandene miały jednak najwyraźniej inne zdanie na ten temat, inne zobowiązania, jak same by to zapewne ujęły. Nynaeve aż po szyję siedziała w knowaniach z Reanne i Kółkiem Dziewiarskim, dotyczących tego, jak wydostać kobiety Rodziny z terenów zajętych przez Seanchan, zanim tamci odkryją je i założą im obroże. Rodzina świetnie dawała sobie radę z unikaniem cudzego wzroku, jednak Seanchanie przecież nie zlekceważą ich jako zwykłych dzikusek, co zazwyczaj czyniły Aes Sedai. Vandene z pewnością wciąż była wstrząśnięta śmiercią siostry, ledwie ją i prawie nie sposób było oczekiwać po niej skutecznej rady. Z tym niejedzeniem była to prawda, nadto jednak całkowicie pochłaniały ją poszukiwania zabójcy. Rzekomo błakając się po korytarzach w nieutulonej żałobie, w istocie potajemnie poszukiwała Sprzymierzeńca Ciemności. Trzy dni wcześniej na samą myśl o tym Elayne by zadrżała, teraz było to tylko jedno z niebezpieczeństw pośród wielu. Grożące w bardziej bezpośredni sposób niż wiele innych, prawda, ale nie odnosiło się to do wszystkich.

Tamte realizowały ważną misję, na którą zgodę wyraziła i której sprzyjała Egwene, ona jednak wciąż pragnęła, by się pospieszyły, jakkolwiek to egoistycznie nie wyglądało. Vandene miała za sobą bogactwo dobrej rady, przewagę długoletniego doświadczenia i nauk, Nynaeve zaś okres potyczek rady z Kołem Kobiet pozostawił bystre oko dla praktycznych spraw codziennej polityki, niezależnie jak bardzo sama temu przeczyła.

„Niech szczenę, stoją przede setki problemów, niektóre tutaj od razu w Pałacu, i naprawdę ich potrzebuję!”.

Gdyby wszystko mogło się dziać po jej myśli, Nynaeve al’Meara byłaby doradczynią z ramienia Aes Sedai przy boku następnej królowej Andora. Potrzebowała wszelkiej pomocy, jaką tylko mogła zdobyć– od każdego, komu tylko mogła zaufać.

Potarła twarz dłońmi, a potem odwróciła się od buzującego kominka. Przed nim łukiem stało trzynaście wysokich foteli, rzeźbionych prosto, ale zręczną dłonią. Paradoksalnie, zaszczytne miejsce przeznaczone dla królowej na czas audiencji znajdowało się najdalej od ciepła buchającego z kominka. Tak to już było. Natychmiast poczuła na plecach żar ognia, z przodu natomiast liznął ją chłodny powiew. Na zewnątrz sypał śnieg, łomotały grzmoty i jarzyły się błyskawice. Miała wrażenie, jakby w jej głowie toczyły się podobne zmagania. Spokój. Władczyni tyleż potrzebuje spokoju, co każda Aes Sedai.

– To muszą być najemnicy – powiedziała, nie do końca umiając stłumić nutę żalu w głosie. Zbrojni z posiadłości zaczną przybywać nie później jak za miesiąc... kiedy już dowiedzą się, że ocalała... ale może zejść do wiosny, zanim pojawią się w znaczącej liczbie, natomiast ludzie, których werbowala Birgitte, będą wymagać przynajmniej jeszcze dodatkowego pół roku, zanim nauczą się równocześnie dosiadać konia i robić mieczem. – Oraz Myśliwi Polujący na Róg, jeśli któryś zechce zaciągnąć się i złożyć przysięgę. – Wielu spośród jednych i drugich pogoda uwięziła w Caemlyn. Zbyt wielu, powiadali niektórzy, mając na myśli hulanki, bójki, zaczepiane kobiety, które nie chciały mieć z tamtymi nic do czynienia. Przynajmniej w ten sposób będzie z nich jakiś pożytek, a kłopoty rozwiążą się jak dym. Żałowała, że jeszcze nie do końca pewna była słuszności tego

rozwiązania. – Wyjdzie to drogo, jednak skarb jakoś będzie musiał pokryć dodatkowe wydatki. – Minie jeszcze trochę czasu, zanim w szkatule pokaże się dno. Wkrótce zresztą powinny zacząć napływać dochody z jej posiadłości.

Dziw nad dziwy, stojące przed nią kobiety miały na ten temat podobne zdanie.

Dyelin jednak zareagowała zirytowanym mruknięciem. Wielka, okrągła, srebrna brosza ozdobiona Sową i Dębem rodu Taravin spinała wysoki karczek jej ciemnozielonej sukni, stanowiąc jedyny detal biżuterii. Świadectwo dumy z własnego Domu, być może zbyt daleko posuniętej; niemniej faktem pozostawało, że Głowa Domu Taravin miała prawo w równym stopniu być dumna z samej siebie. Siwizna przetykała jej złote włosy, a delikatne linie otaczały kąciki oczu, twarz jednak zdradzała tylko siłę, spojrzenie było nieugięte i ostre. Umysł miała niczym brzytwa. Albo może raczej miecz. Oto kobieta, która wyrażała się całkowicie bezpośrednio, która nigdy nie skrywała swego zdania.

– Najemnicy znają się na swej robocie – oznajmiła, jakby tym samym ucinając całą dyskusję – ale trudno nad nimi zapanować, Elayne. Kiedy potrzebne jest muśnięcie piórka, oni wolą uderzyć młotem, a kiedy chcesz młota, zapewne znajdą się akurat w zupełnie innym miejscu, gdzie będzie można bez przeszkód plądrować. Lojalni pozostają wyłącznie wobec złota i tylko tak długo, póki złota wystarcza. Jeśli wcześniej nie zdradzą w imię większej zapłaty. Pewna jestem, że tym razem lady Birgitte zgodzi się ze mną.

Birgitte słuchała tego, stojąc z rękoma splecionymi na piersiach i z szeroko rozstawionymi obcasami butów. Jak zawsze skrzywiła się, słysząc swój nowy tytuł. Elayne nadała jej prawa ziemskie, gdy tylko dotarły do Caemlyn, gdzie mogły zostać uwierzytelnione. Prywatnie jednak nie przestała na to sarkać, na to, jak również na inne zmiany w życiu. Jej spodnie w barwach błękitu nieba skrojone były identycznie jak te, które zazwyczaj nosiła – w kostkach luźne i zebrane – jednak krótki czerwony kaftan zdobił obecnie biały kołnierz, jak też białe mankiety obrzeżone złotem. Była obecnie lady Birgitte Trahelion i równocześnie dowódcą Gwardii Królewskiej w randze Generała-Kapitana, a sarkać i narzekać mogła sobie do woli, póki czyniła to prywatnie.

– Zaiste – warknęła mimowolnie, obrzucając Dyelin spojrzeniem pełnym nie do końca skrywanej wściekłości. W więzi zobowiązań ze swoim Strażnikiem Elayne wyczuwała to samo, co nękało ją od rana. Frustrację, rozdrażnienie, zdecydowanie. Niektóre z tych uczuć mogły zresztą pochodzić od niej samej. Od czasu połączenia więzi w zaskakujący niekiedy sposób zmieniały się w swe zwierciadlane odbicia, emocjonalnie, ale nie tylko. Jej okres przesunął się o ponad tydzień, dopasowując do cyklu tamtej!

Jednak najwyraźniej niechęć, jaką Birgitte przepelniała myśl o możliwej alternatywie, dorównywała jej niechęci zgody na cudzą propozycję.

– Przekłęci Myśliwi nie są wcale lepsi, Elayne – mruknęła. – Złożyli Przysięgę Myśliwego, bowiem spodziewali się znaleźć przygodę i miejsce w historii. Nie marzy im się osiąść na stałe, co dodatkowo wymagałoby przestrzegania prawa. Połowa z nich to butni hipokryci, zadzierający swe przekłete nosy; reszta zaś bynajmniej nie kontentuje się koniecznym ryzykiem, przeciwnie, sami szukają niebezpiecznych sytuacji. A wystarczy jedna plotka o Rogu Valere, a możesz uważać się za szczęśliwą, jeśli na trzech bodaj jeden ci zostanie.

Dyelin uśmiechnęła się nieznacznie, jakby uznała, że odniosła drobne zwycięstwo. Ogień i woda nie były bardziej od siebie różne niż te dwie kobiety – każda potrafiła znakomicie układać sobie stosunki nieomal ze wszystkimi innymi, niemniej z jakiegoś względu między sobą gotowe były kłócić się nawet o barwę węgla. I tak też się działo.

– Poza tym i Myśliwi, i najemnicy są nieomal co do jednego obcy. Nie bardzo będzie to w smak

zarówno szlachcie, jak ludowi. Naprawdę nie bardzo. A przecież ostatnią rzeczą, jakiej ci potrzeba, jest bunt.– Błyskawica na krótko rozjarzyła szybki okna, szczególnie głośny zaś łoskot grzmotu podkreślił jej słowa. Na przestrzeni tysiąca lat siedem królowych Andoru utraciło tron w wyniku otwartej rebelii, a te dwie spośród nich, którym udało się ująć z życiem, prawdopodobnie żałowały, że nie stało się inaczej.

Elayne stłumiła westchnienie. Na jednym z małych inkrustowanych stolików pod ścianą stała ciężka taca ze srebrnej plecionki, na niej zaś pucharki i wysoki dzban grzanego, zaprawianego korzeniami wina. W chwili obecnej letniego korzennego wina. Przeniosła odrobinę Ognia i natychmiast z otworu dzbana uniosła się smużka pary. Podgrzane korzenie nabierały nieznacznie gorzkiego smaku, jednak ciepło kutego w srebrze pucharka warte było przymknięcia na to oczu. Z wysiłkiem oparła się pokusie ogrzania powietrza w pomieszczeniu i uwolniła Źródło, tak czy siak ciepło trwałoby tylko dotąd, póki utrzymywałyby sploty. Za każdym razem, gdy obejmowała *saidara*, musiała zwalczać w sobie niechęć do jego uwolnienia – do pewnego stopnia przynajmniej – jednak ostatnimi czasy stawała się ona coraz bardziej namiętna. Każda siostra musiała zmagać się z tym niebezpiecznym pragnieniem. Gestem zachęciła tamte, aby również sobie nalały.

– Obie znacie sytuację – zwróciła się do nich. – Jedyne głupiec widziałby w niej coś innego, niżli śmiertelną groźbę, a żadna z was głupia nie jest. – Z gwardii został tylko szkielet, garstka możliwych do zaakceptowania ludzi i co najmniej dwakroć tyle osiłków oraz zbirów bardziej na miejscu w roli wykidajłów wyrzucających z tawern pijanych klientów, czy wręcz nawet samych wyrzucanych. A ponieważ Saldaeanie wycofali już swe oddziały, Aielowie zaś byli w trakcie, zbrodnia pienią się jak zielsko na wiosnę. Można by pomyśleć, że śnieżycy nieco stłumi jej zasięg, a jednak każdy dzień przynosił rabunki, podpalenia i jeszcze gorsze rzeczy. Sytuacja robiła się coraz bardziej napięta. – Jak tak dalej pójdzie, za kilka tygodni możemy spodziewać się zamieszek. Może nawet wcześniej. Jeśli zobaczą, że nie potrafię utrzymać porządku w samym Caemlyn, ludzie zwrócą się przeciwko mnie. – Skoro nie potrafi zadbać o porządek w stolicy, równie dobrze mogła oficjalnie oznajmić światu, że nie nadaje się na władczynię. – Nie podoba mi się to, ale ponieważ nie można, wobec tego niech się stanie. – Obie otworzyły usta, gotowe dalej się kłócić, nie dała im jednak szansy. Jej głos stwardniał. – Stanie się.

Długi do talii warkocz Birgitte zakołysał się, kiedy ta pokręciła głową, jednak poprzez więź czuła sączące się już uczucie niechętej zgody. Tamta miała zdecydowanie osobliwe poglądy na temat natury więzi między Aes Sedai i jej Strażnikiem, nauczyła się jednak pojmować, kiedy lepiej nie wywierać na Elayne dalszych nacisków. Przynajmniej nauczyła się do pewnego stopnia. Wciąż pozostawała kwestia posiadłości ziemskich i tytułu. Dowodzenia Gwardią. I inne drobne sprawy.

Dyelin nieznacznie skłoniła głowę, być może nawet ugięła kolana, niby był to ukłon, jej oblicze jednak pozostało niczym kamień. Nie należało zapominać, że wielu spośród tych, którym nie w smak była Elayne Trakand na Tronie Lwa, w jej miejsce chętnie by na nim powitali Dyelin Taravin. I choć od tamtej nie zaznała nic prócz pomocy, wciąż przecież ich sojusz był młody, w głębi umysłu Elayne nie milkł zaś szept natarczywego głosu. Może Dyelin zwyczajnie czekała, aż jej się paskudnie podwinie noga, by wkroczyć i „uratować” Andor? Ktoś w odpowiednim stopniu dumny i odpowiednio diaboliczny mógłby spróbować takiej strategii i mógł nawet odnieść sukces.

Elayne uniosła dłoń, by rozmasować skronie, zamiast tego jednak tylko poprawiła włosy. Tyle podejrzeń, tak mało zaufania. Gra Domów szerzyła się w Andorze już wówczas, gdy wyjeżdżała do Tar Valon. Miesiące spędzone wśród Aes Sedai zaowocowały nie tylko umiejętnością władania Mocą. Dla większości siostr *Daes Dae'mar* była chlebem powszednim. Wdzięczność należała się również Thomowi za jego nauki. Bez zdobytej u tamtych wiedzy z pewnością nie przetrwałaby

gorących chwil, jakie dzieliły ją od powrotu do miasta. Niech Światłość sprawi, by Thom był bezpieczny, aby on i Mat, i pozostali uciekli przed Seanchanami i teraz zdążali bezpiecznie do Caemlyn. Każdego dnia od opuszczenia Ebou Dar modliła się o ich bezpieczeństwo, obecnie jednak czasu starczało tylko na naprawdę krótką modlitwę.

Zajęła miejsce na fotelu pośrodku łuku siedzisk, na fotelu przeznaczonemu królowej, i próbowała też jak królowa wyglądać – wyprostowana, wolna dłoń spoczywa swobodnie na rzeźbionej poręczy. ”Sam wygląd królowej nie wystarczy – często mawiała jej matka – jednak bystry umysł, orientacja w sytuacji, a nawet dzielne serce nie przydadzą się na nic, jeśli ludzie nie będą w tobie widzieli królowej”. Birgitte przyglądała jej się uważnie, nieomal podejrzliwie. Czasami więź była naprawdę tylko źródłem uciążliwości! Dyelin uniosła pucharek z winem do ust.

Elayne wciągnęła głęboki oddech. Próbowwała naświetlić problem pod każdym możliwym kątem, jaki przyszedł jej do głowy i nie wymyśliła nic innego.

– Birgitte, na wiosnę chcę, by moja Gwardia potrafiła sprostać wszystkiemu, co dziesięć Domów może wyprowadzić w pole. – Najprawdopodobniej zadanie niemożliwe do wykonania, nawet jednak wysiłki na drodze do jego realizacji równały się zatrzymaniu tych najemników, którzy już się zaciągnęli, jak i znalezieniu następnych, a ostatecznie pobór objąć miał wszystkich, którzy wykazywali choćby ślad ochoty. Światłości, co za paskudna gmatwanina!

Dyelin zakrzuszyła się, oczy wyszły jej z orbit, struga ciemnego wina wytrysnęła z ust. Wciąż zapluwając się, wydobyła z rękawa obrzeżoną koronką chusteczkę i otarła podbródek.

Fala paniki napłynęła przez więź od Birgitte.

– Och, Elayne, niech szczenę, nie możesz oczekiwać...! Jestem łuczniczką, nie generałem! I nikim więcej nigdy nie byłam, nie rozumiesz tego jeszcze? Po prostu robiłam to, co trzeba było zrobić, do czego zmuszały mnie okoliczności! W każdym razie i tak już nie jestem nią, jestem po prostu sobą i...! – Urwała w porę, zdając sobie sprawę, że mówi zbyt dużo. Nie pierwszy raz. Pod zaciekawionym spojrzeniem Dyelin jej twarz oblekł szkarłat.

Ustały wszystko tak, że Birgitte rzekomo jest z Kandoru, gdzie kobiety nosiły stroje podobne jej ubraniu, jednak Dyelin najwyraźniej nie dała wiary wyjaśnieniom. A za każdym razem, gdy Birgitte się przejęczyła, coraz bliżej była ujawnienia swojego sekretu. Elayne rzuciła jej spojrzenie, obiecujące późniejszą rozmowę.

Nie wyobrażała sobie, by policzki Birgitte mogły poczerwienieć jeszcze bardziej. Wszystkie wrażenia obecne w więzi stłumiło poczucie wstydu, tak przemożne, że zalało również Elayne; teraz z kolei ona pokraśniała. Pospiesznie przybrała surowy wyraz twarzy, mając nadzieję, że szkarłatne policzki mogą świadczyć o czymś innym niżli o dramatycznym pragnieniu skulenia się w fotelu w obliczu upokorzenia Birgitte. Ten zwierciadlany efekt potrafił być czymś znacznie więcej niż prostą uciążliwością!

Dyelin jednak szybko zapomniała o Birgitte. Wsunęła chusteczkę z powrotem na miejsce, ostrożnie odstawiła pucharek na tacę, a potem położyła dłonie na biodrach. Jej twarz pociemniała niby oblicze burzy.

– Gwardia zawsze była trzonem armii Andoru, Elayne, ale to... Na litość Światłości, to jest czyste szaleństwo! Wszystkich obrócisz przeciwko sobie, od rzeki Erinin do Gór Mgły!

Elayne za wszelką cenę starała się zachować spokój. Jeśli popełniła błąd, Andor może stać się drugim Cairhien, kolejną nabrzmiałą od krwi ziemią, gdzie rządzi chaos. Ona sama oczywiście zginie, co i tak nie będzie ceną dostatecznie wysoką, by nawet we własnych oczach zrekompensować koszty, jakie poniesie kraj. Jednak nie do pomyślenia było, że nie spróbuje, w każdym razie rezultat ostateczny okaże się dla Andoru identyczny jak całkowita jej porażka. Chłodna, opanowana, spokojna

jak grób. Królowa nie ma prawa okazywać lęku, jeśli nawet przeraźliwie się boi. Zwłaszcza w takiej sytuacji. Matka zawsze mówiła, by tłumaczyć się najmniej, jak to tylko możliwe; im więcej próbuje się wyjaśnić tym większej ilości kolejnych wyjaśnień potrzeba, póki wreszcie na nic innego nie starcza już czasu. Natomiast Gareth Bryne twierdził, że kiedy to tylko możliwe, należy wszystko wyjaśnić, ludzie sprawiali się lepiej, jeżeli wiedzieli nie tylko co, ale również dlaczego. Dzisiaj postąpi wedle rady Bryne'a. Do wielu zwycięstw już poprowadził.

– Mam przeciwko sobie troje jawnych pretendentów. – I być może jednego, który nie zadeklarował swych roszczeń. Zmusiła się by wytrzymać spojrzenie Dyelin. Nie było w tym złości, po prostu dwie kobiety patrzące sobie w oczy. Niewykluczone jednak, że Dyelin zobaczyła w jej wzroku coś innego, bowiem zacisnęła szczęki, a jej twarz pokraśniała. Skoro tak, proszę bardzo. – Arymillą jako taką można się nie przejmować, ale Nasin opowiedział się za nią w imieniu Domu Caeren, a niezależnie czy traktować to jako wyraz jego umysłowego zdrowia, oznacza, że przez to samo jej roszczenia nabierają mocy. Naean i Elenia znajdują się w więzieniu, jednak ich zbrojni nie. Ludzie Naean mogą wahać się i kłócić, dopóki nie znajdą przywódcy, jednak Jarid jest Głową Sarand i nie zrezygnuje z okazji zaspokojenia ambicji swej żony. Domy Baryn i Anshar flirtują z jednym i drugim stronnictwem, najlepsze na co mogą mieć nadzieje, to tyle, że jeden pójdzie z Sarand, a drugi z Arawn. Dziewiętnaście Domów w Andorze jest na tyle silnych, by narzucić pomniejszym Domom sposób postępowania. Sześć opowiedziało się przeciwko mnie, dwa mam za sobą. – Sześć jak dotąd, i niech Światłość sprawi, aby rzeczywiście miała te dwa! Nie wspomniała o trzech wielkich Domach, które praktycznie rzecz biorąc, opowiedziały się za Dyelin, przynajmniej Egwene udało się na jakiś czas zatrzymać ich wojska w Murandy.

Skinieniem dłoni wskazała krzesło obok, a Dyelin zajęła miejsce, pieczołowicie wygładzając spódnice. Na jej twarzy nie szalała już wcześniejsza burza. Badawczo przyglądała się Elayne, nie dając jednak najmniejszej wskazówki odnośnie ewentualnych pytań lub wniosków.

– Zdaję sobie z tego równie dobrze sprawę co ty, Elayne, jednak Luan i Ellorien ostatecznie przekażą ci wpływy swych Domów, jestem pewna, że Abelle nie postąpi inaczej. – Zaczęła głosem ostrożnym, jednak w miarę mówienia przebijało w nim coraz więcej emocji. – Inne Domy też dostrzegą racjonalność takiego postępowania. Przynajmniej jeśli nie wystraszysz ich tak, że nie będą w stanie racjonalnie myśleć. Światłości, Elayne, to nie jest Sukcesja. Przecież przedstawicielka Domu Trakand przejmuje tron po kobiecie z Domu Trakand, a nie po jakimś innym Domu. Nawet Sukcesja zresztą rzadko rodziła otwarte walki! Jeśli z Gwardii zrobisz armię, ryzykujesz utratę wszystkiego.

Elayne odrzuciła głowę do tyłu, w jej śmiechu jednak nie było rozbawienia. Pasował natomiast znakomicie do łoskotu grzmotów.

– Zaryzykowałam wszystko w dniu, w którym wróciłam do domu, Dyelin. Powiadasz, że Norwelyn i Traemane opowiedzą się po mojej stronie, i Pendar także? Świetnie, wobec tego będę miała pięć za sobą, a przeciw sobie sześć. Nie wydaje mi się, aby inne domy „dostrzegły racjonalność takiego postępowania”, jak to zechciałaś ująć. Jeśli któryś z nich ruszy się, zanim będzie jasne jak południowe słońce, że Różana Korona jest moja, to po to, by wystąpić przeciwko mnie, nie zaś opowiedzieć za mną. – Przy odrobinie szczęścia wszyscy ci lordowie i lady powstrzymają się od sprzymierzenia z poplecznikami Gaebriła, ale w tej sprawie wołała nie ufać samemu szczęściu. Nie była przecież Matem Cauthonem. Światłości, większość ludzi była przekonana, że Rand zabił jej matkę, a nieliczni tylko wierzyli, że „lord Gaebrił” był jednym z Przeklętych. Naprawa wszystkiego, co Rahvin zniszczył w Andorze, może zabrać całe życie, nawet jeśli żyłoby się tak długo, jak Kobiety Rodziny! Niektóre Domy powstrzymają się z udzieleniem jej



poparcia ze względu na gwałty, jakich Gaebriel dopuszczał się w imieniu Morgase, a inne dlatego, że Rand oznajmił, iż ma zamiar „ofiarować” jej tron. Kochała tego mężczyznę w każdym calu, ale żeby szczeł, nie musiał posuwać się do tego! Nawet jeśli był to jedyny sposób na powstrzymanie Dyelin. Najnędniejszy dzierzawca Andory postawi kosę na sztorc, żeby usunąć marionetkę z Tronu Lwa! – Na ile się da, przede wszystkim nie chcę dopuścić, by Andoranin zabijał Andoranina, Dyelin, ale Sukcesja czy nie Sukcesja, Jarid jest gotowy do wojny, Elenia przebywa w zamknięciu. Naean też jest gotowa walczyć. – Najlepiej sprowadzić te kobiety do Caemlyn najszybciej jak to tylko możliwe, w Aringill mają zbyt wiele sposobności przemycenia tajnych wieści i rozkazów. – Arymilla jest jednak już gotowa, mając za sobą ludzi Nasina. Dla nich to jest Sukcesja a jedyny sposób, w jaki można ich powstrzymać przed otwartą wojną, to zgromadzić tyle sił, żeby nie ośmielili się zaatakować. Jeżeli do wiosny Birgitte uda się zbudować Gwardię w sile armii, to bardzo dobrze, ponieważ jeżeli w tym czasie nie będziemy miały armii, ta właśnie okaże się potrzebna. A jeśli tego ci za mało, pomyśl o Seanchanach. Oni nie zadowolą się Tanchico i Ebou Dar, chcą wziąć wszystko. Ale nie oddam im Andoru, Dyelin, tak jak nie oddam go Arymilli. – Nad ich głowami zaryczał grzmot.

Odwracając się lekko, by widzieć Birgitte, Dyelin oblizwała wargi. Jej palce mimo woli szczypały fałdy spódnicy. Choć niewiele mogło ją nastraszyć, to opowieści o Seanchanach miały tę moc. Jednak dalej wymamrotała po nosem, jakby tylko do siebie:

– Miałam nadzieję uniknąć wojny domowej. – A to mogło nie znaczyć nic albo bardzo wiele! Być może należy trochę ją wy badać.

– Gawyn – oznajmiła zniecka Birgitte. Jej twarz pojaśniała, podobnie emocje płynące przez więź. Wśród nich najwyraźniejsza była ulga. – Kiedy się pojawi, obejmie dowództwo. Będzie twoim Pierwszym Księciem Miecza.

– Mleko matki w kubku! – warknęła Elayne, a jej słowa podkreślił upiorny blask błyskawicy za oknem. Dlaczego ta kobieta musiała teraz właśnie zmienić temat? Dyelin wzdrygnęła się, a Elayne poczuła, jak znowu płoną jej policzki. Starczyło jednego spojrzenia na rozdziawione usta tamtej, żeby zrozumieć, jak wulgarnym posłużyła się przekleństwem. Dziwnie to też okazało się dla mej zawstydzające, przecież fakt, iż Dyelin była przyjaciółką jej matki, nie powinien odgrywać żadnej roli. Nie myśląc, przełknęła potężny haust wina – i omalże nie zadławiła się jego goryczą. Szybko odegnała obrazy Lini grożącej wymyciem ust, powtarzając sobie, że jest przecież dorosłą kobietą, która musi utrzymać tron. Nie sądziła jednak, by jej matka równie często robiła z siebie idiotkę we własnych oczach.

– Tak też się stanie, Birgitte – ciągnęła dalej, nieco uspokojona. – Kiedy przybędzie. – Do Tar Valon podążała trójka kurierów. Nawet jeśli żadnemu nie uda się umknąć uwagi Elaidy, Gawyn w końcu się dowie o jej roszczeniu do tronu i przybędzie. Rozpaczliwie go potrzebowała. Nie żywiła żadnych złudzeń względem swoich militarnych kompetencji, a Birgitte do tego stopnia obawiała się, że nie sprost legendom, jakie o niej opowiadano, iż czasami wyglądało to tak, jakby po prostu nawet lękała się spróbować. Stawić czoło armii? Proszę bardzo! Dowodzić armią? Nigdy w życiu!

Birgitte zresztą doskonale zdawała sobie sprawę z krętych szlaków własnych myśli. W chwili obecnej jej oblicze pozostawało skrzeple w kamień, natomiast w uczuciach szalała burza gniewu i zawstydzienia, ten pierwszy chwilowo zdawał się brać górę. Tknięta nagłym ukłuciem irytacji Elayne otworzyła już usta, żeby podjąć podniesioną przez Dyelin kwestię wojny domowej – wszystko po to, by dłużej nie myśleć o gniewie Birgitte.

Zanim jednak zdążyła wypowiedzieć słowo, otworzyły się wysokie czerwone drzwi. Jednak przelotna nadzieja, że oto wracają Nynaeve czy Vandene, pierzchła na widok dwóch kobiet Ludu

Morza, bosych mimo panującej pogody.

Poprzedzała je chmura ciężkich perfum, one same zaś stanowiły istną paradę jaskrawych brokatowych jedwabnych spodni i bluzek, lśniących klejnotami sztyletów i naszyjników ze złota oraz kości słoniowej. Nie wspominając już innych ozdób. Proste czarne włosy, lekko naznaczone siwizną na skroniach, skrywały nieomal całkowicie grube złote kółka w uszach Renaile din Galon, jednak arogancja lśniąca w jej ciemnych oczach miała w sobie siłę wyrazu równą gęstym od nawleczonych medalionów łańcuszkowi, który spinał jeden z kolczyków z kółkiem w nosie. Wyraz twarzy miała skrajnie zdeterminowany, a mimo wdzięcznie posuwistych kroków, wydawała się gotowa przejść nawet przez ścianę. O długość dłoni niższa od swej towarzyszki, o skórze barwy ciemniejszej niż węgiel, Zarina din Parede nosiła półtora raza tyle złotych medalionów, objających się o lewy policzek, otaczała zaś ją aura znamionująca nie tyleż arogancję, co przyzwyczajenie do okazywanego jej posłuszeństwa, milczącą pewność, że wszystko co powie, zostanie wysłuchane. Siwizna pstrzyła czepek czarnych loków przylegających ściśle do czaszki, jednak widok jej twarzy sprawiał doprawdy piorunujące wrażenie, jak to zawsze ma miejsce w przypadku kobiet, którym wiek tylko dodaje urody.

Na ich widok Dyelin lekko drgnęła, jej dłoń powędrowała do twarzy, nim zdołała ją opanować. Zwykła reakcja dla ludzi nieprzyzwyczajonych do przebywania w towarzystwie Atha'an Miere. Elayne zaś skrzywiła się, i nie chodziło tylko o widok przekłutych nosów. Przez chwilę cisnęło jej się na usta kolejne przekleństwo, coś bardziej jeszcze... pikantnego. Wyjawszy Przekłętych, nie bardzo przychodzili jej na myśl ludzie, których pragnęłaby w tej chwili mniej oglądać niż te dwie. Reene miała zatroszczyć się, by taka rzecz nie nastąpiła!

– Wybaczcie mi – powiedziała, unosząc się wdzięcznie – ale jestem w tej chwili bardzo zajęta. Sprawy wagi państwowej, same rozumiecie, w przeciwnym razie powitałabym was w sposób, na jaki zasługujecie. – Lud Morza przykładął nadzwyczajną wagę do odpowiedniego ceremoniału i właściwych form grzecznościowych, przynajmniej w takim sensie, jak to definiowała ich kultura. Najprawdopodobniej udało im się ominąć Pierwszą Pokojówkę, nie wspominając jej w ogóle o zamiarze widzenia się z Elayne, jednak mogłyby się łatwo obrazić, gdyby powitała je na siedząco, nim ceremonia koronacji da jej do tego prawo. A, niech szczeną obie w Światłości, nie mogła sobie pozwolić, by je obrazić. Obok niej stanęła Birgitte, skłoniła się ceremonialnie i odebrała z jej ręki puchar, w więzi Strażnika znać było czujność. W obecności Ludu Morza zazwyczaj zachowywała się dość swobodnie, przejęzyczenia zatem również zdarzały jej się częściej. – Zobaczą się z wami jeszcze dziś, o późniejszej porze – skończyła Elayne, dodając: – Jeśli taka będzie wola Światłości. – Równie wielką wagę przykładają tamte do oficjalnego doboru słów, a sformułowanie, którego użyła równocześnie, okazywało szacunek, jak otwierało drogę wyjścia z sytuacji.

Renaile nie zatrzymała się, póki nie dotarła tuż przed oblicze Elayne, stanęła zresztą zdecydowanie zbyt blisko. Wytatuowana dłoń grzecznie udzieliła jej pozwolenia na zajęcie miejsca. Pozwolenia!

– Unikasz mnie. – Głos jak na kobietę miała niski, równie zimny co padający właśnie na dachy śnieg. – Pamiętaj, że jestem Poszukiwaczką Wiatrów Nesty din Reas Dwa Księżycy, Pani Okrętów Atha'an Miere. Dalej pozostaje ci do wypełnienia część umowy, jaką zawarłyście w imieniu waszej Białej Wieży. – Lud Morza wiedział o rozłamie w Wieży, w chwili obecnej wiedział już chyba każdy oraz jego najdalsi krewni, jednak Elayne nie bardzo było w smak dodatkowe komplikowanie swego położenia przez informowanie wszystkich, po której stanęła stronie. Jeszcze nie. Renaile zaś dokończyła swoją wypowiedź, uderzając we władcze, rozkazujące tony. – Poświęcisz mi swój czas i to zaraz! – Tyle jeżeli chodzi o ceremoniał i właściwe formy.

– Jak podejrzewam, to mnie ona unika, nie zaś ciebie, Poszukiwaczko Wiatrów. – W przeciwieństwie do Renaile, głos Zaidy brzmiał stosownie do zwykłej towarzyskiej pogawędki. Zamiast podejść prosto do niej skroś dywanów, wędrowała po komnacie z pozoru bez celu, zatrzymując się, by musnąć dłonią wysoki wazon z cieniutkiej zielonej porcelany, wspinając na palce, by zajrzeć do wnętrza kalejdoskopu o czterech okularach, umieszczonego na wysokim piedestale. Kiedy wreszcie spojrzała na Elayne i Renaile, w jej oczach zaślnęły iskierki rozbawienia. – Mimo wszystko targu dobiła Nesta din Reas, która przemawiała w imieniu statków. – Oprócz tytułu Mistrzynie Fal klanu Catelar, Zaida piastowała jeszcze funkcję ambasadora Pani Okrętów. Przy Randzie wprawdzie, nie przy Tronie Andoru, jednak listy uwierzytelniające dawały jej prawo przemawiania i negocjowania w imieniu samej Nesty. Zmieniła jedną wysadzaną złotem tubę na inną, a potem podeszła na palcach, by znowu zajrzeć przez okular. – Obiecałaś Atha'an Miere dwadzieścia nauczycielek, Elayne. Jak dotąd pojawiła się jedna.

Ich wejście było tak gwałtowne i dramatyczne, że Elayne dopiero teraz zobaczyła Merilille, która właśnie domykała drzwi. Jeszcze niższa od Zaidy, Szara siostra wyglądała nadzwyczaj elegancko w ciemnoniebieskich wełnach obrzeżonych srebrnym futrem naszytymi na staniku drobnymi kamieniami księżycowymi, jednak ledwie dwa tygodnie nauczania Poszukiwaczek Wiatru już zdążyły wywołać zmiany w jej wyglądzie. Większość tamtych stanowiły kobiety obdarzone silnym talentem, żadne wiedzy, zdecydowane wycisnąć Merilille jak owoc winorośli po prasą, dobyć z niej ostatnią kroplę soku. Elayne niegdyś uważała tamtą za kobietę tak opanowaną, że właściwie niezdolną do okazania zaskoczenia, teraz jednak oczy Merilille pozostawały na trwałe lekko rozszerzone, wargi uchylone, jakby znajdowała się w stanie nieustającego zdumienia i spodziewała w każdej chwili kolejnych niespodzianek. Splotła dłonie w małą rękawiczkę i stanęła przy drzwiach, najwyraźniej zadowolona, że nie znajduje się w centrum uwagi.

Odchrząknąwszy głośno, Dyelin powstała i groźnie zapatrzyła się na Zaidę i Renaile.

– Baczcie na swoje słowa – warknęła. – Znajdujecie się obecnie w Andorze, nie zaś na jednym z waszych statków, a Elayne Trakand jest przyszłą Andoru królową! Postanowienia waszej umowy zostaną zrealizowane w swoim czasie. Teraz mamy ważniejsze sprawy do omówienia.

– Na Światłość, nie istnieją ważniejsze sprawy – zagrzmiała w odpowiedzi Renaile, zwracając się ku tamtej. – Powiadasz, że umowa zostanie wypełniona? A więc tym samym udzielasz gwarancji. Wiedz zatem, że znajdzie się i dla ciebie miejsce na rei, gdzie zostaniesz powieszona za kostki, jeżeli...

Zaida pstryknęła palcami. Tylko tyle, ale Renaile wyraźnie się zatrzęsała. Schwyciła złote puzderko z pachnidłami, wiszące na jednym z naszyjników, przycisnęła do nosa i wetchnęła głęboko. Mogła być sobie Poszukiwaczką Wiatrów Pani Okrętów, kobietą o wielkim autorytecie i władzy wśród Atha'an Miere, jednak przy Zaidzie była tylko... Poszukiwaczką Wiatrów. Co stanowiło bolesną zdrę dla jej dumy. Elayne zdawała sobie sprawę, że z pewnością istnieje jakiś sposób wykorzystania tej sytuacji, dzięki któremu będzie mogła przynajmniej ten kłopot zdjąć sobie z głowy, jeszcze jednak nie odkryła, jak tego dokonać. O, tak, niezależnie czyjej się to podobało czy nie, Daes Dae'mar miała już we krwi.

Wdzięcznym krokiem przeszła obok zdjętej milczącą furią Renaile, jakby omijała stojącą na jej drodze kolumnę, część wystroju pomieszczenia, i ruszyła przed siebie, aczkolwiek nie kierując się w stronę Zaidy. Jeśli którakolwiek z obecnych w pomieszczeniu kobiet miała powody do ostrożności, jej to dotyczyło szczególnie. Nie mogła sobie pozwolić, by choć na włos ustąpić Zaidzie, albo Mistrzynie Fal zedrze jej cały skalp i odda perukarzom. Podeszła do kominka i wyciągnęła dłonie do ognia.

– Nesta din Reas ufała, że wywiążemy się z umowy, w przeciwnym razie nigdy by jej nie zawarła – oznajmiła spokojnie. – Odzyskałyście Czarę Wiatrów, jednak zapewnienie pomocy dziewiętnastu sióstr wymaga czasu. Wiem, że martwią was losy okrętów, które znajdowały się w Ebou Dar, gdy przybyli Seanchanie. Niech Renaile otworzy bramę do Łzy. Tam znajdują się setki łodzi Atha’an Miere. – Tyle przynajmniej wynikało z raportów. – Możecie dowiedzieć się wszystkiego od waszych ludzi, a potem połączyć siły przeciwko Seanchanom. – I w ten sposób się ich pozbędzie. – Pozostałe siostry zostaną do was wysłane, gdy tylko rzecz zostanie zorganizowana. – Merilille nie ruszyła się od drzwi, jej oblicze jednak przybrało zielonkawy odcień znamionujący panikę na myśl, że zostanie sama wśród Ludu Morza.

Zaidę zdziwił już kalejdoskop i mierzyła teraz Elayne spojrzeniem z ukosa. Nieznaczny uśmiech igrał na pełnych wargach.

– Muszę zostać na miejscu przynajmniej do czasu, aż spotkam się z Randem al’Thorem. Jeśli kiedykolwiek pojawi się tutaj. – Uśmiechnięte wargi zacisnęły się, ale po chwili rozkwitły znowu, Randa czekała z nią ciężka przeprawa. – I na czas jakiś zatrzymam jeszcze przy sobie Renaile oraz jej towarzyszkę. Garstka Poszukiwaczek Wiatru nie uczyni różnicy wobec tych Seanchan, a tutaj, jeśli Światłość okaże się łaskawa, mogą się sporo pożytecznych rzeczy nauczyć. – Renaile parsknęła, jednak ledwie na tyle głośno, by ją usłyszano. Zaida przelotnie zmarszczyła brwi, a potem zaczęła majstrować przy okularze znajdującym się na wysokości czubka jej głowy. – Licząc ciebie, w Pałacu przebywa obecnie pięć Aes Sedai – mruknęła po namyśle. – Być może niektóre mogłyby również uczyć. – Jakby ten pomysł właśnie w tej chwili przyszedł jej do głowy. A gdyby nawet, to i tak Elayne jedną ręką mogła unieść obie kobiety Ludu Morza!

– O, tak, to byłoby cudownie – wybuchła Merilille, dając krok naprzód. Potem zerknęła na Renaile i zatrzymała się, a rumieniec pokrył jej blade cairhieniańskie policzki. Znowu splotła dłonie w małdrzyk, roztaczając wokół siebie aurę pokory, jakby przywdziała drugą skórę. Birgitte aż pokręciła głową w zdziwieniu. Dyelin patrzyła, jakby nigdy dotąd nie widziała na oczy Aes Sedai.

– Można by w tej sprawie wypracować jakieś porozumienie, jeśli taka będzie wola Światłości – ostrożnie oznajmiła Elayne. Powstrzymanie się od rozmasowania skroni wymagało wysiłku. Żałowała, że nie może winić za ból pod czaszką nieustających grzmotów. Nynaeve z pewnością wybuchłaby na taką sugestię, Vandene zaś najpewniej zlekceważyłaby tego rodzaju rozkaz, jednak Careane i Sareitha mogą się zgodzić. – Ale same rozumiecie, nie więcej niż po kilka godzin dziennie. Kiedy znajdą wolną chwilę. – Unikała oczu Merilille. Nawet Careane i Sareitha mogą się zbuntować przeciwko próbie ciśnięcia ich w winną tłocznię.

Zaida przytknęła palce prawej dłoni do ust.

– A więc zgoda, w imię Światłości.

Elayne zamrugnęła. Złowieszcza oznaka – w oczach Mistrzynie Fal najwyraźniej zawarły kolejną umowę. Jej ograniczone doświadczenia związane z prowadzeniem negocjacji z Atha’an Miere sprowadzały się do tego, że należy mówić o szczęściu, jeśli się uda z nich uratować ostatnią koszulę. Cóż, tym razem wszystko będzie wyglądać inaczej. Na przykład, należy się zastanowić, co siostry mogłyby na tym zyskać? Każda umowa potrzebuje przecież dwóch stron. Zaida uśmiechnęła się, jakby doskonale wiedziała, co Elayne chodzi po głowie i napawało ją to rozbawieniem. Odetchnęła, kiedy po raz kolejny otworzyły się drzwi, dając jej pretekst, by odwrócić się od kobiet Ludu Morza.

Reene Harfor wślizgnęła się do komnaty, okazując wszystkie oznaki należnego szacunku, wyzbyte jednak śladu służalczości, a jej ukłon był dość powściągliwy, jakby co najmniej Głowa potężnego Domu stawała przed obliczem swej królowej. Niemniej, każda warta złamanego grosza Głowa Domu wiedziała dość, by ze stosownym respektem odnosić się do Pierwszej Pokojówki. Jej

siwiejące włosy związane były w kok, niczym niewielka korona wieńczący głowę, na czerwono-białą suknię narzuciła szkarłatny kaftan, łeb Białego Lwa Andoru spoczywał na jej okazałym łonie. Reese nie miała nic do powiedzenia w kwestii tego, kto zasiądzie na tronie, jednak w dzień przybycia Elayne założyła pełny ceremonialny strój, jakby witała prawowitą królową. Na widok kobiet Atha'an Miere, które podstępem uniknęły jej kurateli, rysy jej twarzy przelotnie stwardniały, ale tylko po tym można było stwierdzić, że w ogóle je zauważyła. Na razie. Dowiedzą się w odpowiednio bolesny sposób, jakie są konsekwencje wzbudzenia animozji Pierwszej Pokojówki.

– Mazrim Taim w końcu przybył, moja pani. – Reese jakimś sposobem udało się sprawić, by ostatnie słowa zabrzmiały niczym „wasza wysokość”. – Czy mam mu kazać poczekać?

„Rychło w czas!” – powiedziała do siebie Elayne. Wezwała człowieka ponad dwa dni temu!

– Tak, pani Harfor. Proszę dać mu wina. Dobrego, ale nie najlepszego. Proszę też mu powiedzieć, że przyjmę go, kiedy tylko...

Taim wkroczył do komnaty takim krokiem, jakby cały Pałac należał do niego. Nikt nie musiał jej go anonsować. Błękitno-złote Smoki wiły się na rękawach kaftana, wyhaftowane na podobieństwo bestii naczynych przedramiona Randa. Podejrzewała jednak, że nie spodobałoby mu się, gdyby o tym wspomniała. Był wysoki, wzrostem prawie równy Randowi, z zakrzywionym nosem i płonącymi oczyma nawiedzonego proroka, roztaczał wokół siebie wrażenie siły, potęgowane dodatkowo przez śmiertelną grację jego ruchów podobną do tej, z jaką poruszali się Strażnicy – a jednak cień zdawał się za nim kroczyć, jakby wraz z jego wejściem połowa lamp w komnacie przygasła, oczywiście nie był to prawdziwy cień, lecz tylko aura przyczajonej gwałtowności, na tyle narzucająca się widzom, że zdająca wsysać światło.

Tuż za nim szli dwaj jeszcze mężczyźni w niebiesko-czarnych kaftanach, jeden zupełnie łysy, z długą posiwiałą brodą i rozbieganymi błękitnymi oczyma, drugi młodszy, smukły niczym wąż, z aroganckim grymasem, który często gości na twarzach młodych mężczyzn, nim życie nie nauczy ich rozumu. Na wysokich kołnierzach obu można było dostrzec srebrny Miecz i Smoka z czerwonej emalii. Żaden jednak nie miał miecza przy boku, nie potrzebowali mieczy. Zmienacka komnata salonu zdała się jakby mniejsza, wręcz zatłoczona.

Elayne instynktownie objęła *saidara* i przygotowała się do połączenia. Merilille w naturalny sposób dołączyła do kręgu, zdumiewające jednak, że na chwilę przed nią uczyniła to Renaile. Starczyło jednak przelotnego spojrzenia na Poszukiwaczkę Wiatrów, by rozwiać wszelkie wątpliwości. Z poszarzałą twarzą, Renaile ścisnęła tak mocno rękę jej palców. Przebywała w Caemlyn od dość dawna, by zdawać sobie sprawę z tego, czym są Asha'mani.

Mężczyźni oczywiście wiedzieli, że któraś objęła *saidara*, ale jeśli nawet, to nie byli w stanie dostrzec poświaty otaczającej trzy kobiety. Łysy zeszywniał, szczupły młodzieniec zacisnął pięści. Ich oczy patrzyły gniewnie. Z pewnością pochwycili *saidina*. Elayne już zaczynała żałować, że uległa odruchowej reakcji, ale nie miała zamiaru wypuścić Źródła, nie ma mowy. Taim rozsiewał wokół siebie poczucie zagrożenia w taki sposób, jak ogień promieniuje ciepłem. Zacerpnęła głęboko z ogniwa więzi, do momentu, w którym ogarniające ją przemożne poczucie pełni życia zmieniło się w ostre, ostrzegawcze klucia. Ale nawet one zdawały się... radosne. Z ilością Mocy, jaka przez nią płynęła, mogłaby zrównać z ziemią cały pałac, nie miała jednak pewności, czy wystarczyłoby tego na Taima i tamtych dwóch. Bardzo żałowała, że nie ma przy sobie jednego z trzech *angreali*, jakie znalazły w Ebou Dar, i które teraz pozostawały zamknięte w skrzyni razem z resztą rzeczy ze schowka, czekając, aż znajdzie czas, by zająć się badaniami.

Taim pogardliwie pokręcił głową, lekki uśmiech wykrzywił jego usta.

– Oczu nie macie? – Mówił głosem cichym, ale twardym, szyderczym. – Są tutaj dwie Aes Sedai. Boicie się dwóch Aes Sedai? Poza tym, nie chcecie przecież nastraszyć przyszłej królowej Andoru?– Jego towarzysze rozluźnili się w widoczny sposób, następnie spróbowali naśladować spontaniczną postawę dominacji tamtego.

Reene nic nie wiedziała ani o *saidarze*, ani o *saidinie*, jednak gdy tylko mężczyźni weszli do środka, ruszyła w ich stronę, groźnie marszcząc czoło. Asha'mani, nie Asha'mani, od wszystkich żądała jednak stosownego zachowania. Mruknęła coś pod nosem. Jednak nie dość cicho. Każdy kto wyteżyłby słuch, mógł usłyszeć słowa: „Nędzne szczury”.

Pierwsza Pokojowa poczerwieniała, gdy zorientowała się, że wszyscy usłyszeli, Elayne zaś miała oto okazję obserwować skonfundowaną Reene Harfor. Co jednak sprowadzało się tylko do tego, że kobieta po prostu wyprostowała się, a potem z wdziękiem i godnością, którego mógłby pozazdrości każdy władca, rzekła:

– Wybacz mi, lady Elayne, ale niedawno poinformowano mnie o pladze szczurów w spichrzach. Rzecz zupełnie niezwykła o tej porze roku, nadto jest ich mnóstwo. Jeśli pozwolisz, oddalę się, by wydać stosowne polecenia szczurołapom i zadbać o rozsypanie trutki.

– Zostań – chłodno ucięła Elayne. Spokojnie. – Z tą zarazą poradzimy sobie w stosownym czasie. – Dwie Aes Sedai. Nie miał pojęcia, że Renaile potrafi przenosić, nadto wyraźnie podkreślił te liczby. Czy jedna kobieta więcej czyniła jakakolwiek różnicę? Czy potrzeba było znaczniejszej przewagi? Asha'mani najwyraźniej zdawali sobie sprawę, że kobiety w liczbie mniejszej nawet od trzynastki dysponują jednak określonymi przewagami. A ci tak sobie wkroczyli, nawet nie zapytawszy o pozwolenie, co? – Pokażesz tym miłym panom drzwi, kiedy już z nimi skończę. – Towarzysze Taima nachmurzyli się, słysząc lekceważące określenie, on sam jednak zareagował po raz kolejny tym swoim półuśmiechem. Był dostatecznie bystry, by domyślić się, że to o nich mówiła, wspominając „zarazę”. Światłości! Może Rand i potrzebował kiedyś tego człowieka, ale dlaczego dalej trzymał go przy sobie, nadając na dodatek tak znaczną pozycję? Cóż, tutaj jego pozycja nie miała najmniejszego znaczenia.

Niespiesznie wróciła na swój fotel, przez chwilę poprawiała spódnice. Mężczyźni będą musieli podejść i stanąć przed nią jak suplikanci, w przeciwnym razie będą tylko widzieli jej profil. Na moment zastanawiała się, czy nie oddać kontroli nad swoim niewielkim kręgiem. Asha'mani z pewnością całą uwagę skupią na niej. Jednak twarz Renaile wciąż nie straciła szarej barwy, a strach i gniew walczyły w niej o lepsze – gdyby przejęła połączenie, mogłaby uderzyć bez namysłu. W Merilille zaś wyczuwało się strach, ale pod kontrolą, zmieszany ze sporą porcją jakiegoś uczucia... niepewności chyba... które również znać było w szeroko otwartych oczach i rozchylonych wargach. Światłość jedna wie, co ona mogła zrobić.

Dyelin dała kilka wdzięcznych kroków i zajęła miejsce obok fotela Elayne, jakby chciała osłonić ją przed Asha'manami. Jakiekolwiek uczucia targaly Głową Taravin, jej twarz pozostawała zdecydowana, bez śladu niepokoju. Pozostałe kobiety również nie marnowały czasu, każda najlepiej jak potrafiła, przygotowywała się do nadchodzącej konfrontacji. Zaida stała całkowicie bez ruchu przy kalejdoskopie, ze wszystkich sił starając się sprawiać wrażenie nieznaczącej i nieszkodliwej, dłonie jednak skryła za plecami, a nad przepasującą ją szarfą nie było widać rękoności sztyletu. Birgitte oparła się o jedną ręką o framugę kominka, z pozoru całkowicie rozluźniona, pochwa noża jednak była pusta, a ze sposobu w jaki druga ręką swobodnie zwisała, można było łatwo wnosić, że gotowa jest do rzutu spod ręki. W więzi odczuwało się... koncentrację. Jakby strzała była już nasadzona, cięciwa naciągnięta i gotowa do zwolnienia.

Elayne opanowała ochotę sprawdzenia, co robi Dyelin oraz trzech mężczyzn.

– Najpierw zwlekasz z posłuchaniem mego wezwania, panie Taim, a teraz to niespodziane wtargnięcie. – Światłości, czy naprawdę dzierżył *saidina*? Istniały metody pozwalające przeszkadzać przenoszącemu mężczyźnie, a niekoniecznie zaraz równoznaczne z odcięciem go tarczą od źródła, były jednak to techniki trudne, ryzykowne, a ona znała je tylko w teoretycznym zarysie.

Rzeczywiście stanął przed nią, w odległości kilku kroków, ale w niczym nie przypominał petenta. Mazrim Taim doskonale zdawał sobie sprawę z tego, kim jest i ile jest wart, ale najwyraźniej co do tej drugiej kwestii miał zdanie dramatycznie wygórowane. Migocząca w oknie błyskawica naznaczyła jego twarz przedziwnym rysunkiem splątanych cieni. Wielu mogłoby zdrześć w jego obecności, nawet gdyby nie miał na sobie tego niesamowitego kaftana, a jego imienia nie otaczała tak powszechna niesława. Ale nie ona. Nic jej to nie obchodzi!

Taim w namyśle poskrobał się po brodzie.

– Jak mi doniesiono, kazałaś w całym Caemlyn opuścić sztandary Smoka, pani Elayne. – W jego niskim głosie naprawdę znacząco było rozbawienie, nawet jeśli oczy nic zeń nie zdradzały! Wobec takiego lekceważenia okazanego Elayne, Dyelin aż syknęła ze złością, nie zwrócił jednak na nią najmniejszej uwagi. – Poza tym, słyszałem, że Saldaeanie wycofali się do obozu Legionu Smoka, a wkrótce także wszyscy Aielowie mają się znaleźć w obozach poza miastem. Ciekawe, jak on zareaguje, kiedy się o tym dowie? – Nie było żadnej wątpliwości, kogo ma na myśli. – I to zaraz po tym, jak przysłał ci dar. Z południa. Który każe ci dostarczyć w późniejszym czasie.

– W swoim czasie mam zamiar ogłosić sojusz Andoru ze Smokiem Odrodzonym – poinformowała go chłodno – jednak pamiętać należy, że Andor nie jest podbitą prowincją i ani on, ani nikt inny nie ma w nim praw okupanta. – Cały wysiłek woli wkładała w to, aby jej ręce spoczywały spokojnie na poręczach fotela. Światłości, przekonanie Aielów i Saldaean do wycofania się z miasta stanowiło jak dotąd jej największe osiągnięcie, a mimo iż zaowocowało natychmiastowym wzrostem przestępczości, było przecież konieczne! – W każdym razie, panie Taim, to nie twoje prawo ingerować w me poczynania. Jeśli Randowi się to nie spodoba, sama z nim wszystko załatwię! – Taim uniósł brew, a ten osobliwy uśmiech na jego ustach stał się szerszy.

„Żebyś szczęła” – pomyślała zła na siebie. – „Nie powinnam mówić o Randzie z imienia!”. Tamten najwyraźniej uznał, że dokładnie wie, w jaki sposób ona poradzi sobie z gniewem Smoka Odrodzonego! Najgorszy z tego wszystkiego był fakt, że gdyby potrafiła zwabić Randa do łóżka, zrobiłaby to. Nie dla tej sprawy, nie dla załatwiania niczego, ale dlatego, że po prostu chciała. Cóż też mógł jej przysłać z południa?

Kiedy zdecydowała się kontynuować, w jej głos wkradły się tymczasem gniewne tony. Gniew wywołany sposobem, w jaki Taim do niej przemawiał, faktem, że Rand od tak dawna się nie pokazywał. Gniew na siebie samą, że czerwieniła się i roiła o podarunkach. Podarunki!

– Obwarowaliście sobie czteromilowy fragment Andoru. – Światłości, to przecież ponad połowa rozmiarów Wewnętrznego Miasta! Jak wielu tych ludzi może tam przebywać? Na samą myśl poczuła dreszcze. – Za czym pozwoleniem, panie Taim? I proszę mi nie mówić, że Smoka Odrodzonego. On nie ma prawa udzielać zezwoleń na żadną działalność w obrębie Andoru. – Obok niej Dyelin poruszyła się niespokojnie. Nie miał wprawdzie prawa, niemniej, jeśli dysponuje się dostateczną siłą, można sobie dowolnie poczynać. Elayne nie spuszczała wzroku z Taima. – Odmówiłeś Gwardii Królowej dostępu na teren swojej... posiadłości. – Przed jej powrotem rzecz jasna ani razu nie próbowali. – Prawo Andoru obowiązuje na terenie całego królestwa, panie Taim. Sprawiedliwość jest taka sama dla lorda, wieśniaka... czy Asha'mana. Równocześnie nie twierdzę wcale, że jestem w stanie siłą wedrzeć się do środka. – Znowu się uśmiechnął, przynajmniej prawie. – Prawdopodobnie skończyłoby się to tylko moim upokorzeniem. Póki jednak Gwardia Królowej nie

uzyska pozwolenia wstępu, ze swej strony obiecuję ci, że nawet jeden ziemniak nie przekroczy bram. Wiem, że potraficie Podróżować. A więc niech twój Asha'mani spędzają całe dni na Podróżowaniu, próbując gdzie indziej kupić żywność. – Ten ledwie widoczny uśmiech przeszedł w grymas, Taim przestąpił z nogi na nogę.

Jednak irytacja trwała nie dłużej niż moment.

– Żywność to problem właściwie nieistotny – oznajmił ze swobodą, rozkładając ręce. – Jak sama zauważyłaś, moi ludzie potrafią Podróżować. Dokądkolwiek im rozkażę. Wątpię poza tym, byś potrafiła mnie powstrzymać przed nabyciem, czego zechcę nawet w odległości dziesięciu mil od Caemlyn, jednak gdyby nawet tak było, żaden dla mnie kłopot. Mimo to jednak gotów jestem zgodzić się na każdą wizytę, gdy tylko tego zażadasz. Oczywiście, nie mogą to być odwiedziny niekontrolowane, za każdym razem odbywać się będą pod pieczęą eskorty. W Czarnej Wieży szkolenie jest niełatwe. Każdego dnia ludzie umierają. Nie chcę żadnych dalszych wypadków.

W irytująco precyzyjny sposób zdawał sobie sprawę, jak daleko od Caemlyn sięga jej władza. Ale to było jedynie irytujące. Natomiast słowa o Podróżowaniu dokądkolwiek rozkaże tudzież uwaga o „wypadkach” mogły stanowić zawołane groźby. Niemożliwe. Jednak natychmiast poczuła wzbierającą w niej furję, gdy uświadomiła sobie, że pewność, iż nie może jej grozić, wynika z protekcji Randa. Nie będzie się chowała za plecami żadnego Randa al'Thora. Kontrolowane odwiedziny? Najpierw musi poprosić? Miała ochotę na miejscu spalić tego człowieka na popiół!

Nagle uświadomiła sobie, że przez więź płynie do niej gniew Birgitte, gniew stanowiący odbicie jej furii, która następnie łączyła się z wściekłością Birgitte, płynęła z powrotem, by wzmocniona odbić się od niej, trafić znowu do Birgitte, i tak karmiła się sobą, stając coraz bardziej rozdrażniona. Dłoń Birgitte drżała, jakby w każdej chwili mógł wyprysnąć z niej nóż. A ona sama? Przepelniała ją furia! Jeszcze jedna kropla, a straci kontrolę nad *saidarem*. Albo smagnie Mocą.

Z wysiłkiem zdławiła gniew w swej duszy, póki jej powierzchnia przynajmniej nie dawała złudzenia spokoju. Kiepskiego, niepewnego złudzenia. Przełknęła ślinę i cedziła słowa:

– Gwardziści będą wizytować cię każdego dnia, panie Taim. – W jaki sposób miałyby to być możliwe przy tej pogodzie, nie miała pojęcia. – Być może pojawię się i ja, w towarzystwie paru siostr. – Jeśli wizja obecności Aes Sedai w Czarnej Wieży nawet zaniepokoiła Taima, nie dał nic po sobie poznać. Na Światłość, próbowała tylko egzekwować prawowitą władzę Andoru, a nie drażnić tego człowieka. Pośpiesznie odprawiła ćwiczenia, których nauczono ją jako nowicjuszki... rzeka ujęta w brzegi... droga wewnętrznego spokoju. Trochę pomogło. Teraz jej gniew ograniczał się co najwyżej do pragnienia ciśnięcia w tamtego wszystkimi pucharkami z winem. – Zgadzam się na twój wymóg eskorty, z drugiej strony jednak nie masz prawa przede mną niczego ukrywać. Nie pozwolę, by za zasłoną twoich sekretów ukrywali się zbrodniarze. Rozumiemy się?

Ukłon Taima okazał się zdecydowanie szyderczy – szyderczy! – jednak jego głos znamionował napięcie.

– Ja rozumiem cię doskonale. Ty jednak też powinnaś zrozumieć mnie. Moi ludzie to nie są wieśniacy, kłaniający się na twój widok. Jeśli zanadto dasz się Asha'manowi we znaki, możesz przekonać się na własnej skórze, jak silne jest twoje prawo.

Elayne już otworzyła usta, by jednoznacznie poinformować tamtego, jak silne jest prawo w Andorze, gdy kobiecy głos dobiegł do niej spod drzwi:

– Już czas, Elayne Trakand.

– Krew i popioły! – mruknęła Dyelin. – Czy cały świat wybrał się dziś do nas w odwiedziny?

Elayne rozpoznała głos. Oczekiwała tego wezwania, nie wiedząc, kiedy nadejdzie. Równocześnie zdawała sobie jednak sprawę, że będzie musiała go posłuchać, i to bezwzględnie.



Wstała, żałując, że nie dano jej choć odrobiny czasu więcej, by mogła Taimowi wszystko wyjaśnić. Ten spod zmarszczonych brwi popatrzył na wchodzącą, potem na Elayne, najwyraźniej niepewny, jak rzecz całą rozumieć. Dobrze. Niech się zastanawia do czasu, aż będzie miał okazję zrozumieć jasno, jakie też specjalne prawa przysługują Asha'manom w Andorze.

Nadere była równie wysoka jak każdy z obu mężczyzn pod drzwiami, silnie zbudowana, właściwie można by ją nazwać najbardziej korpulentną kobietą Aielów, jaką Elayne w życiu widziała. Zielone oczy przez chwilę wpatrywały się w tamtych, po czym ich właścicielka najwyraźniej uznała ich za osoby pozbawione znaczenia. Asha'mani nie wywoływali żadnego wrażenia na Mądrych. Podobnie jak większość pozostałych rzeczy. Ze szczękiem bransoletek Nadere poprawiła szal na ramionach, a potem podeszła i zatrzymała się przed Elayne, stając plecami do Taima. Mimo chłodu na okrytych cienką bluzką ramionach miała tylko ten szal, choć przez ramię przerzuciła gruby wełniany płaszcz.

– Musisz pójść ze mną – poinformowała Elayne – bezzwłocznie. – Brwi Taima uniosły się wysoko, najwyraźniej nie przywykł, by go bez reszty ignorowano.

– Światłości niebios! – westchnęła Dyelin, pocierając dłonią czoło. – Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, Nadere, ale przecież z pewnością cała sprawa może poczekać, póki...

Elayne położyła dłoń na ramieniu tamtej.

– Nie masz pojęcia, Dyelin, i to nie może czekać. Odeślę wszystkich i udam się z tobą, Nadere.

Mądra z dezaprobatą pokręciła głową.

– Mające się zaraz urodzić dziecko nie może czekać, póki wszyscy nie zostaną odesłani. – Rozpostarła gruby płaszcz. – Przyniosłam go, aby ochronić twą skórę przed chłodem. Być może niepotrzebnie, a powinnam zamiast tego powiedzieć Aviendzie, że wymogi twojej wstydlivosti większe są niż pragnienie posiadania siostry. – Dyelin westchnęła, nagle pojmując wszystko. Więz zobowiązań Strażnika aż drżała od gniewu Birgitte.

Pozostała tylko jedna droga wyjścia. W istocie więc nie było żadnego wyboru. Elayne pozwoliła, by połączenie z dwoma kobietami rozluźniło się, a potem sama wypuściła *saidara*. Jednak Renaile i Merilille dalej otaczała poświata.

– Pomożesz mi rozpiąć guziki, Dyelin? – Elayne dumna była z tego, jak niewzruszenie brzmi jej głos. Niczego innego się nie spodziewała. „Tylko dlaczego musi się to stać w obecności tyłuświadków!” – pomyślała słabo.

Odwróciła się plecami do Taima – przynajmniej jego spojrzeń może sobie zaoszczędzić – i zaczęła od maleńkich guzików przy rękawach.

– Dyelin, mogę cię prosić? Dyelin? – Po chwili Dyelin drgnęła i poruszając się jakby we śnie, zaczęła manipulować przy guzikach na plecach sukni Elayne, mruczając coś pod nosem i najwyraźniej nie potrafiąc otrząsnąć się z wrażenia. Jeden z Asha'manów pod drzwiami parsknął.

– W tył zwrot! – warknął Taim i pod drzwiami zastukały buty. Elayne nie wiedziała, czy on sam również się odwrócił – pewna była, że czuje na sobie jego oczy – nagle jednak już była przy niej Birgitte, potem Merilille i Reese, Zaida, a nawet Renaile, stanęły ramię w ramię, tworząc mur odgradzający ją od mężczyzn. Nie całkiem zwarty mur. Żadna nie była tak wysoka jak ona, a Zaida i Merilille sięgały jej ledwie do ramienia.

„Skup się” – nakazała sobie w myślach. „Jestem opanowana. Jestem spokojna. Jestem... prawie naga w komnacie pełnej ludzi, to jaka jestem!”. – Rozbierała się tak szybko, jak tylko mogła, pozwalając, by suknia i halka zsunęły się na posadzkę, ich śladem poleciały pantofle i pończochy. Chłód natychmiast przyprawił ją o gęsią skórę, zdolność nie odczuwania zimna sprowadzała się tylko do tego, że nie drżała widocznie. Zdawało jej się również, że miały z tym coś wspólnego

palące na policzkach rumieńce.

– To szaleństwo! – wymamrotała pod nosem Dyelin, zbierając porzucone rzeczy. – Kompletne szaleństwo!

– O co tu chodzi? – zapytała szeptem Birgitte. – Mam iść z tobą?

– Muszę pójść sama – odpowiedziała równie cicho Elayne. – Tylko, proszę, ani słowa! – Nie chodziło wcale o to, że Birgitte okazywała, iż ma zamiar się kłócić, niemniej z treści emocji przenoszonych przez więź można by ułożyć tomy. Wyjęła z uszu złote kółka kolczyków i podała je tamtej, na chwilę zawahała się, nim postąpiła podobnie z Wielkim Wężem. Mądre powiedziały, że musi pojawić się u nich jak dziecko przychodzące na świat. Pozostałe instrukcje były równie liczne, wśród nich przede wszystkim to, aby nikomu nie mówiła, co nastąpi. Jeśli o to chodzi, to żałowała, że sama nie wie. Dziecko przychodzące na świat nie ma pojęcia, co się wydarzy. Pomruki Birgitte miały ten sam ton co sarkania Dyelin.

Nadere podeszła do niej z płaszczem, ale tylko go jej podała; Elayne musiała sama wziąć go do ręki. Szybko się nim owinęła. Wciąż była przekonana, że czuje na sobie spojrzenie Taima. Kiedy już przywdziała grubą wełnę, instynkt nakazywał jej jak najszybciej opuścić komnatę, jednak opanowała go i powoli się odwróciła. Przecież nie umknie, otulona wstydem.

Mężczyźni, których Taim przyprowadził ze sobą, stali sztywno wyprostowani ze wzrokiem wbitym w drzwi, sam Taim zaś patrzył nieruchomo w palenisko kominka, z rękoma zaplecionymi na piersiach. Jego wzrok, który rzekomo na sobie czuła, stanowił więc tylko igraszkę wyobraźni. Wyjąwszy Nadere, wszystkie kobiety patrzyły na nią z mieszaniną ciekawości, konsternacji i ostatecznego zdumienia. Sama Nadere wydawała się tylko zniecierpliwiona.

Na jej użytek Elayne spróbowała swego najbardziej królewskiego tonu.

– Pani Harfor, czy zanim odejdą, mogłaby pani poczęstować pana Taima i jego ludzi winem? – Cóż, przynajmniej głos jej nie drżał. – Dyelin, proszę, dotrzyмай towarzystwa Mistrzynie Fal i Poszukiwacze Wiatrów, być może uda ci się jakoś uspokoić ich obawy. Birgitte, spodziewam się jeszcze dziś wieczorem poznać twoje plany zaciągu. – Kobiety, usłyszawszy swe imiona, zamrugały zaskoczone, a potem bez słowa pokiwały głowami.

Później wyszła z komnaty, żałując, że nie było jej stać na nic więcej, Nadere powędrowała w ślad za nią. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, zanim drzwi się za nią zamknęły, były słowa Zaidy:

– Dziwne obyczaje macie wy, przykuci do brzegu.

Na korytarzu spróbowała narzucić nieco szybsze tempo, chociaż nie było to łatwe, jeśli równocześnie należało uważać, by płaszcz się nie rozchyłał. Biało-czerwone płytki posadzki były znacznie chłodniejsze niżli dywany w salonie. Nieliczni służący, wygodnie odziani w ciepłą wełnianą liberię, wytrzeszczali oczy na jej widok, po czym demonstracyjnie wracali do swych obowiązków. Płomienie wysokich stojących lamp migotały, w korytarzach jak zawsze hulały przeciągi. Od czasu do czasu ciągnęło tak mocno, że arras na ścianach marszczyły się leniwie.

– Wszystko było zamierzone, nieprawdaż? – zwróciła się do Nadere, ale tak naprawdę nie było to pytanie. – Kiedykolwiek bym nie otrzymała wezwania, już ty byś zadbała, abym znajdowała się w miejscu, gdzie patrzeć będą na mnie ludzie. Miałam zrozumieć wagę adopcji Aviendhy. – Zgodnie z tym, co im powiedziano, była to rzecz ważniejsza od wszystkiego innego. – Ciekawe, co jej zrobiłyście? – Aviendha bywała czasami zaskakująco bezwstydna, potrafiła paradować po swoich pokojach całkowicie nago i nic sobie nie robiła z tego, gdy wchodzili służący. Gdyby zmuszono ją do rozebrania się w tłumie ludzi, zapewne zrobiłaby to bez wahania.

– To już ona sama ci powie, jeśli zechce – oznajmiła Nadere, najwyraźniej całkowicie z siebie zadowolona. – Stanowisz miły widok, w odróżnieniu od wielu innych. – Jej obfity biust zafalował z

gardła dobyło się parsknięcie, które mogło być śmiechem. – Ci mężczyźni, odwracający się plecami i te kobiety, które próbowały cię zasłonić. Położyłabym temu kres, gdyby tamten w haftowanym kaftanie cały czas nie zerkał przez ramię na twoje biodra I gdyby twoje rumieńce nie dowodziły jednoznacznie, że zdajesz sobie z tego sprawę.

Elayne zgubiła krok, potknęła się. Płaszcz zafalował, oddając tę odrobinę ciepła ciała, jaka się pod nim zgromadziła, nerwowym ruchem natychmiast znów się nim otuliła.

– Ten obrzydliwy świński kochaś! – warknęła. – Ja mu...! Ja mu...! – Ażeby szczała, co niby mogła zrobić? Powiedzieć Randowi? Żeby on się zajął Taimem? Nigdy w życiu!

Nadere zmierzyła ją pytającym spojrzeniem.

– Większości mężczyzn podobają się kobiecie pośladki. Przestań jednak myśleć o mężczyznach, a pomyśl o kobiecie, w której chcesz mieć siostrę.

Elayne zarumieniła się znowu i szybko pomyślała o Aviendzie. W najmniejszym stopniu nie uspokoiło to jej nerwów. Były jeszcze inne rzeczy, o których nakazano jej myśleć przed ceremonią i niektóre z nich napawały ją niepokojem.

Nadere już jej nie popędzała, Elayne zaś ze swej strony bardzo się starała, by nie świecić nagimi nogami w rozcięciu płaszcza – wszędzie wokół pełno było służby – toteż jakiś czas zabrało im dotarcie do pomieszczenia, gdzie zgromadziły się Mądre; było ich kilkanaście, w workowatych spódnicach, białych bluzkach, z ciemnymi szalami, za ozdoby mając naszyjniki i bransolety – srebrne, złote – klejnoty, kość słoniową, długie włosy związały pozwijanymi szarfami. Z pomieszczenia usunięto wszystkie meble i dywany, zostawiając nagą posadzkę, na palenisku nie płonął ogień. Tutaj, głęboko we wnętrzach Pałacu, gdzie nie było żadnych okien, łoskot grzmotów był ledwie słyszalny.

Spojrzenie Elayne pomknęło prosto do Aviendhy, która stała w przeciwległym końcu pomieszczenia. Naga. Nerwowo uśmiechnęła się do Elayne. Nerwowo! Aviendha! Elayne pośpiesznie zrzuciła z siebie płaszcz i odpowiedziała uśmiechem. Naprawdę nerwowo – pomyślała. Aviendha zaśmiała się cicho, Elayne po krótkiej chwili zareagowała podobnie. Światłości, ależ tu zimno! A podłoga była jeszcze zimniejsza niż powietrze.

Większości obecnych w pomieszczeniu Mądrych nie znała, choć jedna twarz rzuciła się jej w oczy. Przedwcześnie posiwiałe włosy Amys w połączeniu z rysami twarzy, sugerującymi, jakby właśnie weszła w wiek średni, jakimś cudem nadawały jej wygląd Aes Sedai. Na pewno Podróżowała z Cairhien. Egwene uczyła wędrujące po snach, w zamian za ich wiedzę dotyczącą *Tel'aran'rhiod*. Oraz, jak twierdziła, żeby spłacić dług, choć nigdy nie wyjaśniła, o jaki dług chodzi.

– Miałam nadzieję, że Melaine też tu będzie – powiedziała Elayne. Lubiała żonę Baela, ciepłą i szczodłą. Zupełnie inną niż zgromadzone w tym pokoju, znajome jej kobiety: koścista Tamela z kwadratową twarzą i Viendre, piękna jak niebieskooki orzeł. Obie były od niej silniejsze, jeśli chodzi o władanie Mocą, silniejsze od wszystkich kobiet, jakie w życiu spotkała, wyjąwszy tylko Nynaeve. Wśród Aielów rzekomo nie miało to znaczenia, jednak kiedy widziała, jak na jej widok prychają i spoglądają z góry, żadne inne wytłumaczenie nie przychodziło na myśl.

Oczekiwała, że to Amys pokieruje ceremonią – wyglądało na to, że zawsze obejmowała przywództwo – jednak tym razem padło na Monaelle, niską kobietę ze słomianymi włosami o rudawym poblasku, która też zaraz wysunęła się przed pozostałe. Tak naprawdę wcale nie była niska, po prostu była jedyną kobietą w pomieszczeniu niższą od Elayne. Była również najslabsza, gdyby zdecydowała się na studia w Tar Valon, ledwie starczyłoby jej Mocy na zdobycie szala. Niewykluczone, że naprawdę wśród Aielów nie miało to znaczenia.

– Gdyby Melaine tu była – powiedziała Monaelle, tonem dość ostrym, niemniej wcale nie wrogim – wówczas wystarczyłoby, żeby splot bodaj musnął dzieci, które nosi w swym łonie, a

stałyby się one wówczas częścią więzi, jaka połączy cię z Aviendhą. To znaczy, gdyby przeżyły: nienarodzone nie mają dość siły. Pytanie brzmi jednak, czy wam ich starczy? – Wykonała gest obiema dłońmi wskazując bliskie miejsca na posadzce. – Stańcie sobie pośrodku komnaty, obie.

Po raz pierwszy Elayne zdała sobie sprawę, że wszystko miało się odbyć z udziałem *saidara*. Wcześniej zdawało jej się, że będzie to po prostu czysto formalna ceremonia, połączona z wymianą zobowiązań, może przysięg. Co właściwie miało nastąpić? Nie miało to znaczenia, chyba że... Idąc w stronę Monaelle, poczuła, jak zniecka zaciążyły jej nogi.

– Mój Strażnik... Nasza więź... Czy na nią to... też... wpłynie? – Na widok wahania Elayne zmierzająca ku niej Aviendha zmarszczyła brwi, jednak słysząc pytanie, spojrzała na Monaelle. Najwyraźniej było to coś, o czym wcześniej nie pomyślała.

Niska Mądra pokręciła głową.

– Sploty nie obejmą nikogo, kto nie znajduje się w tej komnacie. Być może ona poczuje przez łączącą was więź coś z tego, co zazwyczaj odczuwacie wspólnie, ale tylko odrobinę. – Aviendha wydała z siebie głębokie westchnienie ulgi, któremu Elayne zawtórowała.

– Dobrze – ciągnęła dalej Monaelle. – Trzeba przestrzegać określonych reguł. Chodźcie tu. Nie jesteśmy przecież wodzami klanów, którzy nad *oosquai* dyskutują przysięgi wody. – Śmiejąc się i opowiadając sobie rzeczy, które z pewnością miały być żartami na temat wodzów klanów i mocnego trunku Aielów, pozostałe kobiety skupiły się w krąg wokół Elayne i Aviendhy. Monaelle wdzięcznie umościła się na posadzce, usiadłszy ze skrzyżowanymi nogami obok nagich kobiet. Kiedy przemówiła ceremonialnym głosem, ostatnie śmiechy umilkły. – Zebrałyśmy się tutaj dla tych dwu kobiet, które chcą zostać pierwszymi siostrami. Przekonamy się, czy są dość silne, a jeśli tak, pomożemy im. Czy ich matki są obecne?

Elayne wzdrygnęła się, ale w jednej chwili Viendre już stała obok niej.

– Zastępuję Elayne matkę, która nie mogła się pojawić. – Położyła dłonie na ramionach Elayne i naciskała, póki tamta nie „klękła na zimnej posadzce przed Aviendhą, potem sama uklękła obok niej. – Ofiaruję moją córkę wszystkim próbom, jakie ją czekają.

Za Aviendhą stanęła Tamela i podobnie zmusiła ją do uklęknięcia, aż jej kolanaomalże nie stykały się z kolanami Elayne, a potem też uklękła za jej plecami.

– Zastępuję matkę Aviendhy, która nie mogła się pojawić. Ofiaruję moją córkę próbom, jakie ją czekają.

Innym razem Elayne może by zachichotała. Żadna z kobiet nie wyglądała nawet na pięć lat starszą od niej czy Aviendhy. Innym razem. Nie teraz. Na twarzach tych Mądrych, które jeszcze stały, zastygł wyraz uroczystej powagi. Przypatrywały się jej i Aviendzie, jakby je oceniały, ważyły, niepewne jednak stosowanej miary.

– Która dla nich zniesie ból narodzin? – zapytała Monaelle, a Amys wystąpiła naprzód.

Dwie jeszcze wystąpiły wraz z nią, Shyanda o ognisto rudych włosach, którą Elayne wcześniej widziała w towarzystwie Melaine i siwiejąca kobieta, której w ogóle nie znała. Pomogły Amys rozebrać się do naga. Dumna w swej nagości Amys stanęła przed Monaelle i uderzyła w swój twardy brzuch.

– Rodziłam dzieci. Karmiłam je mlekiem – powiedziała, ujmując swe piersi, których wygląd przeczył jej słowom. – Ofiarowuję samą siebie.

Kiedy Monaelle godnym skinieniem przyjęła jej słowa, Amys opadła na kolano po przeciwnej stronie klęczących Elayne i Aviendhy, a potem przysiadła na stopach. Shyanda i siwa Mądra uklękły obok niej i nagle wszystkie znajdujące się w pomieszczeniu kobiety, oprócz Elayne, Aviendhy i Amys, otoczyła poświata Mocy.

Elayne wciągnęła głęboki oddech, zobaczyła, że Aviendha robi to samo. Od czasu do czasu poszczekiwała bransoleta którejś Mądrej, stanowiąc jedyny dźwięk w komnacie, prócz oddechów i dalekiego pomruku grzmotów. Dlatego też, gdy Monaelle przemówiła, był to nieomal wstrząs.

– Obie będziecie się zachowywać tak, jak was poinstruowano. Jeśli zawahacie się lub zwątpicie, znaczy to, że wasze oddanie nie jest dosyć mocne. Odeślę was wtedy i to będzie koniec, raz na zawsze. Będę wam zadawać pytania, a wy będziecie na nie zgodnie prawdą odpowiadać. Jeśli nie zgodzicie się udzielić odpowiedzi, ostaniecie odesłane. Jeśli któraś z tu obecnych osądzi, że powiedziałyście kłamstwo, zostaniecie odesłane. Rzecz jasna, w każdej chwili obie możecie zrezygnować. Co będzie też równoznaczne z końcem wszystkiego. Tutaj nie ma drugiego razu. Dobrze. Co uważacie za najlepszą cechę, jaką każda z was widzi w tej, którą chce mieć za pierwszą siostrę?

Elayne na poły oczekiwała tego pytania. Była to jedna z rzeczy, nad którą kazano jej się zastanowić. Wybór jednej z cnót spośród wielu nie był łatwy, miała już jednak odpowiedź na podorzędziu. Kiedy zaczęła mówić, strumienie *saidara* znienacka splotły się między nią a Aviendhą, z jej ust zaś nie wydobył się żaden dźwięk, słów Aviendhy również nie dosłyszała. Jakaś część jej umysłu bez zastanowienia łąpczywie przyswoiła sobie kształt splotów – nawet w tej chwili żądza wiedzy cechowała ją w tym samym stopniu, co kolor oczu. Sploty rozwiały się, gdy tylko zamknęła usta.

– Aviendha jest taka pewna siebie, taka dumna. Nie dba o to, co według innych powinna robić albo kim powinna być; jest tą, którą chce być – usłyszała Elayne słowa wypowiedziane własnym głosem, podczas gdy równocześnie nakładały się na nie słowa wypowiedziane wcześniej przez Aviendhę. – Nawet kiedy Elayne boi się tak, że zasycha jej w ustach, jej duch się nie ugina. Jest najodważniejsza ze wszystkich ludzi, jakich spotkałam w życiu.

Elayne zapatrzyła się na przyjaciółkę. Aviendha uważała ją za odważną? Światłości, nie była przecież tchórzem, ale takie bohaterstwo? Co dziwne jednak, Aviendha również patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Odwaga jest niczym studnia – szepnęła Viendre do ucha Elayne – głęboka w jednych, płytka u drugich. Czy głębokie, czy płytke, studnie w końcu zawsze wysychają, nawet jeśli później mają napełnić się znowu. Staniesz w obliczu czegoś, czemu nie sposób stawić czoła. Twój kręgosłup zmieni się w galaretę, a twoja chełpliwa odwaga sprawi, że łkając, będziesz pełzać w pyle. – Mówiła w taki sposób, jakby nade wszystko marzyła o rym, żeby być przy tym, jakby pragnęła, aby jej słowa się spełniły. Elayne skłoniła się grzecznie. Wiedziała już wszystko o kręgosłupie zmieniającym się w galaretę, w swoim mniemaniu każdego dnia musiała się z tym zmagać.

Tamela szeptała zaś do Aviendhy głosem ociekającymomalże równą satysfakcją, jaką wcześniej można było usłyszeć od Viendre.

– *Ji'e'toh* wiąże cię niczym stalowe powrozy. Dla *ji* zrobiłabyś z siebie wszystko to, czego się od ciebie oczekuje, do ostatniej kropli. Jeśli byłoby to konieczne, dla *toh* poniżałabyś się i pełzała na brzuchu. Ponieważ do samej głębi przejmujesz się tym, co inni o tobie myślą.

Elayne omal nie jęknęła. To było okrutne i niesprawiedliwe. Wiedziała trochę o *ji'e'toh* i Aviendha wcale nie była taka. Jednak Aviendha tylko kiwała głową, zupełnie jak ona przed momentem. W pośpiesznej akceptacji tego, co sama już wcześniej wiedziała.

– Piękne cechy charakteru, zaiste godne podziwu u pierwszej siostry – powiedziała Monaelle, zsuwając szal z ramion – ale co każda z was widzi w drugiej najgorszego?

Elayne nieznacznie zmieniła ułożenie cierpących z zimna kolan, oblizła wargi i zaczęła mówić. Tego się najbardziej obawiała. Nie chodziło też tylko o ostrzeżenie Monaelle. Aviendha

wcześniej powiedziała, że muszą mówić prawdę. Muszą, bowiem w przeciwnym razie cóż warte byłoby siostrzane uczucie? I jak poprzednio, sploty przechowały jej słowa na czas, gdy mówiła.

– Aviendha... – Powiedział nieoczekiwanie, z wahaniem głos Elayne. – Aviendha sądzi, że przemoc zawsze jest rozwiązaniem. Czasami nie potrafi widzieć dalej, niż koniec swego noża. Czasami zachowuje się jak chłopiec, który nie chce dorosnąć!

– Elayne wie, że... – Zaczął głos Aviendhy, potem zająknął się i kontynuował pośpiesznie. – Elayne wie, że jest piękna i zdaje sobie sprawę z władzy, jaką jej to daje nad mężczyznami. Od czasu do czasu wystawia na widok swoje łono albo uśmiecha się do mężczyzn, żeby robili to, czego ona chce.

Elayne zamarła z rozdziawionymi ustami. Aviendha tak o niej myśli? Wedle tego co powiedziała, uważa ją za jakąś latawicę! Aviendha odpowiedziała podobnym zmarszczeniem brwi, jej usta również na poły się otwały, jednak zanim zdążyła wypowiedzieć słowo, Tamela znowu przycisnęła jej ramiona.

– Sądzisz, że mężczyźni nie patrzą z podziwem na twoją twarz? – w głosie Mądrej pobrzmiwały złowieszcze tony; jej oblicze najskromniejszym razie można by określić epitetem: „silna”. – Czy nie przyglądają się twoim piersiom w parowym namiocie? Nie podziwiają linii twoich bioder? Jesteś piękna i doskonale o tym wiesz. Zaprzecz, a sama sobie zadasz kłam! Przyjemność sprawiały ci spojrzenia, jakimi obrzucali cię mężczyźni i uśmiechałaś się do nich. Czy nigdy nie uśmiechniesz się do mężczyzny, by tym sposobem nadać większą siłę swym argumentom albo odwrócić jego uwagę od słabych stron swoich racji? Zrobisz tak, ale przez to nie będziesz niczym mniej, niż jesteś.

Policzki Aviendhy nabiegły krwią, jednak Elayne słuchała Viendre. I daremnie próbowała opanować własne rumieńce.

– Jest w tobie skłonność do przemocy. Zaprzecz temu, a zadasz kłam samej sobie. Czy nigdy nie wpadałaś w złość i nie zadawałaś ciosów w gniewie? Czy nigdy nie utoczyłaś krwi? Czy nigdy tego nie zapragnęłaś? Nie dopuszczając nawet innego sposobu rozwiązania sprawy? Nie poświęcając tej kwestii nawet jednej myśli? Póki będziesz oddychać, stanowić to będzie część ciebie samej. – Elayne myślała o Taimie i o innych razach, a jej twarz paliła jak ogień.

Tym razem jednak było coś więcej jeszcze niż tylko pojedyncza odpowiedź.

– Twoje ramiona osłabną – mówiła Tamela do Aviendhy. – Twoje nogi stracą swą lekkość. Dziecko będzie w stanie wyjąć nóż z twojej dłoni. Na co wówczas przyda ci się umiejętność walki lub zapalczywość? Prawdziwą bronią pozostają rozum i serce. Czyż nauczyłaś się posługiwać włócznią tego dnia, gdy zostałaś Panną? Jeśli teraz nie będziesz ćwiczyć rozumu i serca, zestarzejesz się, a dzieci zdolne będą cię oszukać. Wodzowie klanu zasiadać będą w kącie, by grać w kocią kołyskę, a kiedy przemówisz, wszyscy słyszeć będą jedynie wiatr. Bacz na me słowa, póki jeszcze możesz.

– Piękno przemija – ciągnęła dalej Viendre, zwracając się do Elayne. – Z upływem lat obwisną ci piersi, ciało zwiotczeje, pomarszczy się skóra. Mężczyźni, którzy uśmiechali się na widok twojej twarzy, będą cię traktować, jakbyś była drugim mężczyzną. Może twój mąż będzie na ciebie patrzył tak, jak za pierwszym razem, gdy cię zobaczył, jednak żaden inny mężczyzna już nie będzie o tobie śnił. Czy wówczas nie będziesz już sobą? Twoje ciało to jedynie przebranie. Twoja skóra zniszczeje, ale przecież jesteś swym sercem i rozumem, a te nie zmieniają się, jak tylko stając większe.

Elayne pokręciła głową. Nie, żeby zaprzeczyć. Wcale. Nigdy dotąd jednak nie myślała o starzeniu się. Zwłaszcza od czasu, jak udała się do Wieży. Lata niewielkie zostawiały piętno nawet na najbardziej wiekowych Aes Sedai. A co, gdy uda jej się żyć równie długo jak kobiety Rodziny? Oczywiście byłoby to równoznaczne z odrzuceniem szala Aes Sedai, ale nawet jeśli, co z tego? U

kobiet Rodziny zmarszczki pojawiały się bardzo późno, w końcu jednak nie można było tego uniknąć. O czym mogła myśleć Aviendha? Klęczała przed nią i wyglądała naprawdę... ponuro.

– Jaka jest najbardziej dziecinna rzecz, którą każda z was widzi w tej, którą chce za swą pierwszą siostrę? – zapytała Monaelle.

To było łatwiejsze, znacznie mniej niebezpieczne. Elayne nawet uśmiechnęła się, wypowiadając swe słowa. Aviendha zrewanżowała jej się uśmiechem, ponury wyraz twarzy gdzieś zniknął. I znowu ich słowa trafiały w sploty, a te oddawały je równocześnie, mówiąc ich głosami, w których brzmiał śmiech.

– Aviendha nigdy nie zgodziła się, abym ją nauczyła pływać. Próbowałam. Nie boi się niczego, prócz wejścia do każdej wody większej niż wanna.

– Elayne napycha się słodyczami, oboma rękoma pakuje sobie do ust słodycze, jak dziecko, które wie, że matka akurat nie patrzy. Jeżeli dalej tak pójdzie, nim się zestarzeje, utyje jak świnia.

Elayne szarpnęła się. Napycha się? Napycha? Wszystko na co sobie pozwalała, to odrobina słodkości od czasu do czasu. Rzadko. Gruba? Dlaczego Aviendha tak na nią patrzy? Upieranie się w strachu przed wodą głęboką po kolana było przecież dziecinne.

Monaelle zakaszła, przykładając dłoń do ust, jednak Elayne zdało się, że tamta skrywa uśmiech. Niektóre ze stojących Mądrych śmiały się całkiem otwarcie. Z głupoty Aviendhy? Czyjej... napychania się?

Monaelle z powrotem przyjęła pełną godności postawę, poprawiła rozpostarte na posadzce spódnice, jednak gdy się odezwała, jej głosie znać było jeszcze lekki ślad wesołości.

– Czego każda z was najbardziej zazdrości kobiecie, w której chce mieć swą pierwszą siostrę?

Niewykluczone, że nie bacząc na wymogi prawdy, Elayne wybrałaby jakąś w miarę zrównoważoną i dość letnią cechę. Choć prawda przysła jej do głowy w tym samym momencie, gdy tylko kazano jej się nad tą kwestią zastanowić, znalazłaby przecież coś mniejszego, nie tak bardzo zawstydzającego dla nich obu, co mogłoby zostać zaakceptowane. Może. Ale skoro teraz usłyszała te wszystkie rzeczy o uśmiechaniu się do mężczyzn i odsłanianiu łona... Niewykluczone, że rzeczywiście się uśmiechała, ale przecież to Aviendha spacerowała na oczach zaczerwienionych niczym buraki służących, nie mając na sobie nawet jednej nitki, co więcej, zdawała się nawet ich nie zauważać! A więc zdaniem tamtej, napychała się słodyczami, tak? I utyje? Mówiła więc gorzką prawdę, a sploty chwytaly słowa jej i Aviendhy, która tymczasem poruszała ustami w ponurej ciszy, póki w końcu wszystko, co miały do powiedzenia, nie zostało ujawnione.

– Aviendha spoczywała w ramionach mężczyzny, którego kocham. Mnie to nigdy nie było dane i być może nie będzie, a wtedy pozostanie mi tylko płacz!

– Elayne cieszy się miłością Randa al'Th... Randa. Tak bardzo pragnę, by mnie kochał, że moje serce wciąż płacze, ale nie wiem, czy kiedykolwiek mnie pokocha.

Elayne uważnie spoglądała w pozbawiona wyrazu twarz Aviendhy. Była zazdrosna o nią przez Randa? Kiedy ten mężczyzna unikał Elayne Trakand, jakby miała świerzb? Jednak na dalsze rozmyślenia nie dano jej czasu.

– Uderz ją z całej siły otwartą dłonią – Tamela nakazała Aviendzie, cofając równocześnie jedną rękę.

Viendre delikatnie ścisnęła Elayne.

– Nie broń się. – O niczym takim ich nie uprzedzano! Z pewnością Aviendha nie...

Mrużąc oczy, Elayne podniosła się z lodowatych płytek posadzki. Jeszcze ogłuszona roztarła policzek i zamrugała. Na resztę dnia zostanie jej odcisk dłoni tamtej. Przecież naprawdę nie musiała bić aż tak mocno.

Wszystkie czekały, póki nie uklęka ponownie, a wtedy Viendre przysunęła się bliżej.

– Uderz jaz całej siły otwarta dłonią.

No cóż, nie miała zamiaru bić Aviendhy w ucho. Przecież nie będzie... Cios zadany z pełnego zamachu sprawił, że Aviendha rozciągnęła się jak długa, ślizgając ciałem po posadzce, nieomal do miejsca, gdzie klęczała Monaelle. Dłoń bolała Elayne prawie równie mocno jak policzek.

Aviendha tymczasem zdołała się na poły unieść, potem potrząsnęła głową i pogramoliła się na miejsce. A Tamela rzekła:

– Uderz ją drugą dłonią.

Tym razem Elayne potoczyła się po przemarzniętej posadzce całą drogę aż do kolan Amys, w uszach jej dzwoniło, paliły oba policzki. A kiedy zajęła poprzednią postawę na klęczkach naprzeciw Aviendhy, kiedy Viendre jej z kolei kazała uderzyć tamtą, włożyła w cios całą siłę swego ciała, tak że omal nie przewróciła się na Aviendhę, gdy tamta upadła.

– Możecie teraz odejść – oznajmiła Monaelle.

Spojrzenie Elayne pobiegło ku Mądrej. Aviendha, która podnosiła się właśnie, zamarła jak głaz.

– Jeżeli oczywiście chcecie – kontynuowała Monaelle. – Mężczyźni zazwyczaj w tym momencie rezygnują, o ile nie wcześniej. Do wielu kobiet się to również odnosi. Gdy uznacie jednak, że dalej wciąż się kochacie, obejmijcie się.

Elayne rzuciła się w objęcia Aviendhy i omal nie upadła na wznak od impetu, z jakim tamta na nią wpadła. Przytuliły się do siebie. Elayne czuła łzy spływające po jej policzkach, słyszała, że Aviendha też płacze.

– Przepraszam – wymamrotała pośpiesznie. – Przepraszam cię, Aviendha.

– Wybacz mi – odszepnęła Aviendha. – Wybacz mi.

Monaelle tymczasem stanęła nad nimi.

– Jeszcze nie raz zobaczycie, jak to jest gniewać się na siebie, jeszcze nie raz usłyszycie od siebie ostre słowa, ale każda będzie zawsze pamiętać o tym, że uderzyła drugą. I to tylko dlatego, że jej kazano. Niech te ciosy zastąpią wszystkie pozostałe, jakie chciałybyście sobie kiedykolwiek wymierzyć. Teraz macie *toh* wobec siebie, *toh*, którego nie będziecie w stanie spłacić i nawet nie będzie wam wolno próbować, ponieważ każda kobieta jest dłużniczką swojej pierwszej siostry. Narodzicie się na nowo.

Wrażenie wywierane przez wijące się w pomieszczeniu sploty *saidara* nabrało innego charakteru, Elayne jednak nie miała najmniejszych szans zobaczyć, co się zmieniło, nawet gdyby przyszło jej to do głowy. Światła zbladły, jakby lampy zostały przygaszone. Ucichły wszelkie odgłosy. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, był głos Monaelle.

– Narodzicie się na nowo. – Świat zniknął. Ona zniknęła. Przestała istnieć.

Została świadomość, choć szczególnego rodzaju. Nie zdawała sobie sprawy, że jest sobą, w ogóle nie myślała, jednak pozostawała świadoma. Dźwięku. Płynnego poświstywania otaczającego ją zewsząd. Przytłumionego bulgotania i dudnienia. A przede wszystkim głuchego tętnienia. Zwłaszcza tego ostatniego.

*Du-dum Du-dum*. Nie wiedziała, co to zadowolenie, ale czuła się zadowolona. *Du-dum*.

Czas. Nie rozumiała czasu, jednak Wieki minęły. Czuła w sobie tylko obecność dźwięku, dźwięku, który był nią. *Du-dum*. Ten sam odgłos, ten sam rytm, jak ten drugi. *Du-dum*. I dobiegający z niedaleka, coraz bliżej. *Du-dum*. Kolejny. *Du-dum*. Ten sam dźwięk, ten sam rytm, co jej własny. Wcale nie inny. Były tym samym, były jednością. *Du-dum*.

Wieczność przeminęła do rytmu tego tętna, cały czas, jaki kiedykolwiek istniał. Dotknęła tego



innego, które było nią samą. Mogła je poczuć. *Du-dum*. Poruszyła się, tak ona jak to drugie, które było nią, ocierały się o siebie, splatając członki, odsuwając się, ale zawsze powracając do siebie. *Du-dum*. Od czasu do czasu w ciemnościach pojawiała się światło, tak mętne, że prawie niewidoczne. Jednak jaskrawe dla niej, która nie знаła nic prócz ciemności. *Du-dum*. Otworzyła oczy, wejrzała w oczy tego drugiego, które było nią, i zamknęła je na powrót, zadowolona. *Du-dum*.

Nagle zmiana, wstrząsającą dla kogoś, kto nie znał nigdy żadnej zmiany. *Du-dum-du-dum*. Uspokajający rytm stał się szybszy Konwulsyjne skurcze. Znowu. I znowu. Coraz silniejsze. *Du-dum-du-dum! Du-dum-du-dum!*

Nagle tamto drugie, które było nią – znikło. Była sama. Nie wiedziała, co to strach, ale bała się i była sama. *Du-dum-du-dum* Parcie! Silniejsze niż kiedykolwiek dotąd! Ściskają, miażdży ją. Gdyby wiedziała, jak krzyczeć, gdyby tylko wiedziała, czym jest krzyk, wrzasnęłaby z całej siły.

A potem światło, oślepiające, pełne wirujących wzorów. Nagle stała się ciężka, nigdy przedtem nie czuła swego ciężaru. Przeszywający ból gdzieś w środku. Coś połaskotało jej stopę. Coś połaskotało ją po plecach. Z początku nie wiedziała, że ten zawodzący głos wydobywa się z niej. Wierzyła słabo, wymachując rękoma, które nie wiedziały, jak się poruszać. Uniesiono ją, położono na czymś miękkim, ale równocześnie twardszym niżli wszystko, co wcześniej знаła, wyjąwszy wspomnienia o tym drugim, które nie było nią, tym, które znikło. *Du-dum. Du-dum*. Dźwięk. Ten sam dźwięk, ten sam rytm. Dominacja samotności, nierozpoznanej, ale było w niej również zadowolenie.

Pamięć powoli zaczynała wracać. Uniosła głowę z piersi, na której spoczywała i spojrzała w twarz Amys. Tak, Amys. Twarz spływającą potem, o umęczonych oczach, jednak uśmiechniętą. Ona była Elayne, tak; Elayne Trakand. Jednak teraz była również kimś więcej. W niczym nie przypominało to więzi zobowiązań ze Strażnikiem, jednak poniekąd było podobne. Słabsze, ale równocześnie bardziej wspaniałe. Powoli odwróciła głowę na chwiejnym karku, by spojrzeć na tamto drugie, które nie było nią, skłaniające swą głowę na drugą pierś Amys. By spojrzeć na Aviendhę, ze zlepionymi potem włosami, z twarzą i ciałem lśniącym od wilgoci. Uśmiechającą się z radości. Śmiejąc się, płacząc, przylgnęły do siebie, jakby już nigdy nie miały zamiaru się opuścić.

– Oto moja córka, Aviendha – oznajmiła Amys – a to jest moja córka, Elayne, zrodzone w tym samym dniu, o tej samej godzinie. Niech zawsze strzegą się wzajem, niech zawsze wspierają się wzajem, niech zawsze się kochają. – Zaśmiała się cicho, w śmiechu brzmiało zmęczenie i czułość. – A teraz może któraś przyniesie nam jakieś okrycie, zanim ja i moje córki zamarzniemy na śmierć.

Elayne w tej chwili nie dbała o to, czy zamarzne na śmierć. Wśród łez i śmiechu przytuliła się do Aviendhy. Odnalazła swą siostrę. Światłości, odnalazła swą siostrę!

Toveine Gazal obudziły stłumione odgłosy krzątania, jakieś kobiety przechodziły obok, rozmawiając cicho. Uniosła głowę i twardej wąskiej pryczy, westchnęła z żalem. Jej dłonie zaciśnięte na gardle Elaidy okazały się tylko miłym snem. Rzeczywistością było maleńkie pomieszczenie o ścianach z płótna. Spała źle i czuła się teraz osłabiona, wyczerpana. I spała za długo, nie wystarczy czasu na zjedzenie śniadania. Niechętnie odrzuciła koce. Budynek był jakimś rodzajem małego magazynu, z grubymi ścianami i grubymi, nisko zwieszonymi krokwiemi, ale bez ogrzewania. Para jej oddechu zmieniała się w mgłę, a zimne powietrze poranka uszczypnęło ją przez bieliznę, zanim jeszcze stopy dotknęły szorstkich desek podłogi. Nawet gdyby przyszło jej do głowy zostać dziś w łóżku, miała wyraźne rozkazy. Wstrętne więzy Logaina czyniły nieposłuszeństwo niemożliwym, niezależnie do tego, czego sama chciała.

W myślach próbowała nazywać go zwyczajnie: Ablar, w najgorszym razie: pan Ablar, jednak imię Logain zawsze natrętnie wciskało się do głowy. Imię będące znamię jego niesławy. Logain,

falszowy Smok, który rozbił armie swego ojczystego Ghealdan. Logain, który jak burza przeszedł przez symboliczne wojska Altaran i Murandian, zachowując dość zimnej krwi, aby zatrzymać się, nim zagrozi samemu Lugardowi. Logain, który został poskromiony, a jednak jakimś sposobem znów mógł przenosić, i który ośmielił się nałożyć swój przeklęty splot *saidina* na Toveine Gazal. Szkoda tylko, że nie rozkazał jej, by nie myślała. Gdzieś w głębi czaszki wciąż mogła czuć jego obecność. Zawsze tam był.

Na moment z całej siły zacisnęła powieki. Światłości! Farma Pani Doweel wydawała jej się kiedyś Szczeliną Zagłady – lata wygnania i pokuty. Bez żadnej drogi wyjścia, wyjąwszy niewyobrażalne, czyli zostanie ściganą renegatką. Nie minął nawet tydzień od jej schwytania, a już wiedziała lepiej. Tutaj była Szczelina Zagłady. I nie było stąd żadnego wyjścia. Ze złością potrząsnęła głową i palcami otarła z policzków lśniąca wilgoć. Nie! Jakoś zdoła uciec choćby po to, by naprawdę zacisnąć palce na gardle Elaidy. Jakoś.

Poza pryczą w pomieszczeniu znajdowały się trzy elementy umeblowania, jednak wolnego miejsca zostawało ledwie dość, by się poruszyć. Nożem rozbiła skorupę lodu, która zdążyła się zgromadzić wżółto paskowanym dzbanie na umywalni, napełniła wyszczerbioną białą miednicę i przeniosła, podgrzewając wodę, póki nie pokazały się nad nią smużki pary. Pozwolono jej przenosić przy załatwianiu codziennych spraw. Ale nic więcej. Machinalnie umyła się, wyszorowała zęby solą i sodą, potem założyła świeżą bieliznę oraz pończochy wyciągnięte z maleńkiej drewnianej skrzyni stojącej w nogach łóżka. Pierścień został w skrzyni, schowany w małej aksamitnej sakiewce, wepchnięty na samo dno. Kolejny rozkaz. Skrzynia mieściła cały jej dobytek, wyjąwszy tylko przybornik do pisania. Na szczęście, kiedy ją pojmano, gdzieś się zagubił. Suknie wisiały na stojącym wieszaku, który dopełniał umeblowania pokoju. Nie patrząc, wybrała jedną z nich, nałożyła mechanicznie, a potem spięła włosy grzebieniem i spinką.

W pewnym momencie uchwyciła swoje odbicie w tanim, pełnym skaz lustrze nad umywalnią, a wtedy oprawiony w kość słoniową grzebień zamarł jej w dłoni. Wciągnęła urywany oddech i odłożyła grzebień obok dopasowanej spinki. Suknię, którą wybrała, uszyto z grubej, choć cienko tkanej wełny, ufarbowanej na kolor czerwieni tak głębokiej, że wpadała w czerń. Czerń, niczym kaftany Asha'manów. Jej zniekształcony obraz patrzył z lustra, krzywiąc wargi. Jednak przebranie się oznaczałoby rodzaj przyznania do porażki. Zdecydowanym ruchem porwała z wieszaka obrzeżony futrem kuny szary płaszcz.

Kiedy odsunęła na bok płócienną zasłonę, zobaczyła jakieś dwadzieścia siostr już zebranych w głównym przejściu, skąd wchodziło się do oddzielonych płóciennymi parawanami pokoi. Tu i tam niektóre rozmawiały przyciszonymi głosami, jednak pozostałe unikały swego wzroku, nawet jeśli należały do tych samych Ajah. Z pewnością dawało się wśród nich wyczuć strach, niemniej to wstyd powlekał większość twarzy. Akoure, korpulentna Szara, wbijała spojrzenie w dłoń, na której powinien znajdować się pierścień. Desandre, smukła Żółta, chowała rękę pod pachą.

Kiedy pojawiła się Toveine, szmery rozmów umilkły. Kilka kobiet całkiem otwarcie wyraziło jej spojrzeniami swój gniew. W tym Tenare i Lemai, z jej własnych Ajah! Desandre na tyle już doszła do siebie, że odważyła się odwrócić plecami. Na przestrzeni dwóch dni pięćdziesiąt jeden Aes Sedai dostało się w niewolę u odzianych w czerń potworów, a pięćdziesiąt spośród nich winiło za to Toveine Gazal, jakby Elaida a'Roihan w ogóle nie przyłożyła ręki do tej katastrofy. Gdyby nie interwencja Logaina, już pierwszej nocy zemściłyby się na niej. Wcale nie była mu za to wdzięczna, jak również za to, że zmusił Carniele do Uzdrowienia pręg pozostawionych przez pasy i sińców od ciosów pięści oraz butów. Wolałaby raczej dać się pobić na śmierć, niż cokolwiek mu zawdzięczać.

Narzuciła płaszcz na ramiona i dumnie przeszła przez korytarz, na blade światło poranka, które

idealnie pasowało do jej zmarnowanego nastroju. Za nią któraś wykrzyknęła przykre słowa, jednak zamknięte drzwi przerwały jej, w pół zdania. Dłonie jej drżały, gdy naciągała na głowę kaptur, kryjąc pod ciemnym futrem twarz. Żadnej jeszcze nie usłyszy na sucho drwiny z Toveine Gazal. Nawet pani Doweel, która przez lata zdołała wymusić na niej przynajmniej pozory uległości, nauczyła się tego, gdy jej wygnanie dobiegło końca. Jeszcze im pokaże. Wszystkim pokaże!

Sypialnia, którą dzieliła z pozostałymi siostrami, leżała na samym skraju dużej wioski, samej w sobie dość dziwnej. Wioski zamieszkaney przez Asha'manów. Tereny znajdujące się gdzie indziej, jak jej powiedziano, przeznaczono pod budowle mające rzekomo przyćmić wysokością Białą Wieżę, jednak tymczasowo wszyscy żyli tutaj. Pięć wielkich, przysadzistych kamiennych baraków, rozmieszczonych wzdłuż ulic równie szerokich jak dowolna aleja Tar Valon, a każdy mógł pomieścić po stu Asha'mańskich Żołnierzy. Światłości dzięki, żaden z nich dotąd nie był wypełniony, jednak pokryte śniegiem rusztowania wokół kolejnych dwu baraków, właściwie gotowych do pokrycia strzechą, oczekiwały na powrót robotników. Z jedenastu mniejszych kamiennych budowli każda dawała schronienie dziesięciu Oddanym, kolejną właśnie wznoszono. Wokół nich rozrzucono przypadkowo prawie dwie setki domów, z rodzaju tych, jakich można się spodziewać w każdej wiosce, w nich mieszkali niektórzy żonaci mężczyźni oraz rodziny niezbyt jeszcze zaawansowanych w szkoleniu.

Potrafiący przenosić mężczyźni nie przerażali jej. Cóż, początkowo dała się ponieść panice, prawda, ale to nie miało teraz najmniejszego znaczenia. Jednak pięciuset mężczyzn, którzy władali Jediną Mocą, uwierało ją niczym odłamek kości, który utkwił między zębami w miejscu, gdzie nie potrafiła go usunąć. Pięć setek! I opanowali Podróżowanie, przynajmniej niektórzy. Bardzo ostry odłamek kości. Co gorsza, udało jej się dotrzeć do wznoszonego w lesie muru obronnego, znajdującego się w odległości ponad mili, Widok napełnił ją trwogą znacznie głębszą, niżby można z pozoru wnosić.

Mur w żadnym miejscu nie został jeszcze ukończony, sięgał najwyżej na dwanaście czy piętnaście stóp, budowli żadnej z wież czy bastionów jeszcze nawet nie rozpoczęto. W niektórych miejscach mogłaby swobodnie wspiąć się na stosy czarnego kamienia, oczywiście, gdyby nie polecenia zabraniające prób ucieczki. Konstrukcja jednak ciągnęła się na przestrzeni ośmiu mil, a ona uwierzyła Logainowi, gdy ten powiedział, że jej wzniesienie zabrało im niecałe trzy miesiące. Smycz, na której ją trzymał, była dostatecznie krótka, żeby nie musiał kłopotać się łgarstwem. Nazwał mur marnowaniem czasu i sił ludzkich, być może rzeczywiście tak było, ona jednak nie potrafiła opanować szczykania zębami. Tylko trzy miesiące. Wykonane przy użyciu Mocy. Męskiej części Mocy. Kiedy myślała o tym czarnym murze, do głowy przychodził jej obraz nieubłaganej siły, której nic nie powstrzyma, lawiny czarnego kamienia idącej w dół, by pogrzebać Białą Wieżę. Rzecz jasna, niemożliwe. Niemożliwe, kiedy jednak nie śniła o uduszeniu Elaidy, śniła właśnie o tym.

W nocy spadł śnieg, jego gruba powłoka kryła wszystkie dachy jednak nie musiała przedzierać się przez zasy na szerokich ulicach. Udeptaną ziemię oczyszczono już, należało to do obowiązków mężczyzn przechodzących szkolenie. Wykorzystywali Moc do każdej czynności, począwszy od rąbania drzewa, a skończywszy na czyszczeniu odzieży! Po ulicach tu i tam spieszyli mężczyźni w czarnych kaftanach, inni licznie już zbierali się przed frontem baraków, do wtóru donośnych głosów wzywających na apel. Opalone kobiety szły obok, z całkowitym spokojem ducha niosąc kosze do magazynu kwatermistrza albo kubły na wodę do najbliższego zbiornika, chociaż jakim sposobem każdą z nich było stać na spokój w obliczu wiedzy, kim jest jej mąż, tego Toveine nie potrafiła sobie wyobrazić. Co jeszcze dziwniejsze, po ulicach swobodnie biegały dzieci, przemykając między formacjami potrafiących przenosić mężczyzn, krzycząc, śmiejąc się, tocząc kółka, rzucając barwne

piłki, bawiąc się z lalkami i z psami. Szczypta normalności, która jeszcze bardziej podkreślała zły odór całej reszty.

Przed nią oddział konny stępa wjeżdżał na ulicę. Przez krótki czas, jaki spędziła w wiosce – a wydawał się nieskończonością – nie widziała, by ktokolwiek wjeżdżał do wioski, prócz robotników dowożonych wozami. Żadnych gości, choć przecież musieli się tacy zdarzać. A teraz pięciu mężczyzn w czerni eskortowało dwunastu ludzi w czerwonych kaftanach i płaszczach Gwardii Królowej, na ich czele jechały dwie złotowłose kobiety, jedna w czerwono-białym płaszczu obrzeżonym czarnym futrem, druga zaś... Brwi Toveine podeszły do góry. Druga miała na sobie zielone spodnie w stylu kandoriańskim i kaftan, z którego oznaczeń wynikało, że należy do Kapitana-Generała Gwardii. Na jej czerwonym płaszczu znajdowały się nawet stosowne złote węzły epoletów! Być może pomyliła się w identyfikacji formacji, do jakiej należeli mężczyźni. Gdy ta kobieta jednak spotka prawdziwych Gwardzistów, będzie miała się z pyszna. W każdym razie pora i tak była osobliwie wczesna na gości.

Za każdym razem, gdy przejeżdżający oddział docierał do frontu formacji, stojący tam mężczyzna krzyczał:

– Asha'mani, bacność, na wprost patrz! – a obcasy butów ubijały twardą ziemię, sylwetki ich właścicieli zaś prężyły się niczym kamienne kolumny.

Toveine nasunęła głębiej kaptur, aby skryć twarz i mimowolnie usunęła się na skraj szerokiej ulicy, stając za rogiem jednego z mniejszych kamiennych baraków. Wychodził z niego właśnie starszy mężczyzna o poszarpanej brodzie – na wysokim kołnierzu mogła, dostrzec srebrny miecz – tamten spojrzał na nią ciekawie, nie zwalniając jednak kroku.

Świadomość tego, co zrobiła, runęła na nią niczym kubek zimnej wody, łzy nieomal trysnęły z oczu. Nawet gdyby potrafiła rozpoznać twarz Aes Sedai, żadna z nadjeżdżających teraz jej nie zobaczy. Jeśli któraś z tych kobiet potrafi przenosić, jakkolwiek nie zdawałoby się to nieprawdopodobne, nie znajdzie się dostatecznie blisko, by móc stwierdzić, że Toveine też potrafi. Zamartwiała się i denerwowała, jak przechytrzyć Logaina, a potem zrobiła wszystko, co konieczne, żeby do joty wypełnić jego rozkazy i to bez jednej myśli!

W akcie sprzeciwu zatrzymała się w miejscu, do którego dotarła i odwróciła, by obejrzeć gości. Jej dłonie automatycznie chciały poprawić kaptur, jednak z całej siły nakazała im spoczywać swobodnie. To było żalosalne i bezsensowne. Znała Asha'mana jadące go na czele oddziału, przynajmniej z widzenia: krępy mężczyzna w średnim wieku, z połyskliwymi czarnymi włosami, lepkiem uśmiechem i nawiedzonymi oczyma proroka. Twarze pozostałych nic jej nie mówiły. Cóż mogła osiągnąć w ten sposób? Jak mogła przekazać wiadomość przez któregoś z nich? Nawet gdyby eskorta rozprószyła się, jak ma się dostać na tyle blisko tamtych, by dostarczyć wiadomość, skoro nakazano jej surowo unikanie sytuacji w których ktoś obcy mógłby odkryć zamieszkujące w obozie Aes Sedai.

Mężczyzna o nawiedzonych oczach wyglądał na znużonego obowiązkami, jakie przypadły mu tego poranka, ledwie dbał o to, by skrywać ziewnięcia urękawiczoną dłonią.

– ...kiedy już skończymy – mówił w momencie, gdy przejeżdżał obok Toveine – pokażę ci Gród Rzemieślników. Zdecydowanie większy od tego, co tu mamy. Zamieszkują go przedstawiciele wszystkich zawodów, od mularzy i cieśli po kowala i krawców. Sami wytwarzamy wszystko, czego nam trzeba, lady Elayne.

– Oprócz rzepy – wysokim głosem powiedziała jedna z kobiet, a pozostałe roześmiały się.

Toveine aż zadarła głowę. Obserwowała pochód kawalkady. Jeźdźców po ulicy, towarzyszył mu nieustanny okrzyk kolejnych rozkazów i tupot butów. Lady Elayne? Elayne Trakand? Młodsza

dwu kobiet nawet pasowała do opisu, jaki jej podano. Elaida nie wyjaśniła, dlaczego tak desperacko chce dostać w swe ręce tę akurat zbiegłą Przyjętą, nawet jeśli była nią przyszła królowa, jednak żadna siostra nie opuszczała Wieży bez ścisłych rozkazów względem tego, co ma zrobić, kiedy ją spotka.

„Uważaj na siebie, Elayne Trakand” – pomyślała Toveine. – „Wcale mi nie zależy, by Elaida dostała cię w swe ręce”.

Należało się nad tym poważnie zastanowić, może istniał jakiś sposób wykorzystania obecności dziewczyny w obozie, kiedy jednak o tym pomyślała, nagle zdała sobie sprawę z tej nigdy nie milknącej obecności w głębi jej umysłu – umiarkowana pogarda i coraz bardziej świadome siebie poczucie celu. Logain skończył śniadanie. Niedługo wyjdzie na zewnątrz. Wcześniej kazał jej, by na niego czekała.

Biegła już, nim na dobre zdała sobie sprawę z tego, co robi. Skończyło się na tym, że nogi zaplątały jej się w fałdy spódnicy i upadła ciężko, tracąc dech w piersiach. Wezbrał w niej gniew, jednak tylko wstała niezgrabnie i nie zatrzymując się nawet, by otrzepać pył, zebrała spódnice nad kolanami i pobiegła znowu, a poły płaszcza powiewały za jej plecami. Ścigały ją ostre docinki mężczyzn i śmiechy dzieci.

Nagle otoczyła ją sfora psów, warczały, gryzły łydki. Podskakiwała, odwracała się, kopała, jednak nie chciały dać jej spokoju. Chciały jej się wyć z upokorzenia i złości. Dotąd psy zawsze były braćmi, ona zaś nie miała prawa przenieść nawet iskierki Mocy, żeby je odpędzić. Jeden szary pies schwycił fałdę spódnicy, ciągnąc w bok. Teraz zdjęła ją prawdziwa panika. Jeśli się przewróci, rozszarpia ją na strzępy.

Jakaś kobieta w brązowych wełnach krzyknęła ostro i cisnęła ciężkim wiadrem w psa szarpiącego spódnice Toveine. Wiadro trafiło nakrapianego szaro zwierza w żebra, umknął ze skowytami. Toveine zagapiła się zdumiona, ale już po chwili musiała uwalniać lewą nogę z pyska kolejnego psa, co kosztowało ją fragment pończochy i skóry. Tymczasem otoczyły ją kobiety, odpędzając sforę czymkolwiek, co miały pod ręką.

– Możesz już spokojnie iść, Aes Sedai – powiedziała koścista siwiejąca kobieta, równocześnie chłostając nakrapianego psa różgą – Nie będą ci się już więcej naprzykrzać. Osobiście wolałabym miłego kotka, jednak w obecnej sytuacji kot nie zniesie męża. Idź.

Toveine nie zatrzymała się, by podziękować za ratunek. Pobiegła, a wściekłe myśli krążyły po jej głowie. Kobiety wiedziały. Jeśli wiedziała jedna, wiedziały wszystkie. Jednak nie przekazał żadnej wiadomości, nie pomogą w ucieczce, skoro najwyraźniej przebywały tu z własnej woli. Skoro rozumiały, w czym uczestniczą. O to chodziło.

Tuż przed domem Logaina, jednym z kilku położonych przy wąskiej bocznej uliczce, zwolniła i pośpiesznie opuściła spódnice. Na zewnątrz czekało już ośmiu czy dziewięciu mężczyzn w czarnych kaftanach – młodzi chłopcy, starsi panowie oraz reszta mniej więcej w pośrednim wieku, jednak po samym Logainie nie było jeszcze śladu. Niemniej znakomicie potrafiła go wyczuć, zdecydowanego już, choć wciąż namyślającego się. Może czytał. Resztę drogi pokonała krokiem pełnym godności. Opanowana i w każdym calu Aes Sedai, nie bacząc na okoliczności. Nieomal udało jej się już zapomnieć o szaleńczej ucieczce przed psami.

Jak za każdym razem, dom zaskoczył ją swoim wyglądem. Pozostałe stojące przy ulicy były równie wielkie, dwa nawet większe. Zwykły jednopiętrowy drewniany dom, aczkolwiek czerwone drzwi, także okiennice i ramy okienne mogły sprawiać dziwne wrażenie. Proste zasłony skrywały wnętrza przed wzrokiem, jednak szyby w oknach były tak kiepskiej jakości, że wątpiła, by można cokolwiek wyraźnie dojrzeć, nawet gdyby je odsłonić. Dom jak najbardziej stosowny dla nie

cieszącego się szczególnym powodzeniem sklepikarza, w żadnym razie siedziba jednego z najbardziej niesławnych ludzi tego świata.

Przelotnie zastanowiła się, co też mogło zatrzymać Gabrelle. Tamta, również związana z Logainem, miała identyczne polecenia jak ona i wcześniej zawsze szybciej docierała na miejsce. Gabrelle nie miała kłopotów ze stosowaniem się do rozkazów, studiowała Asha'manów z takim zapałem, jakby chciała napisać o nich książkę. Być może rzeczywiście pisała, Brązowe najwyraźniej gotowe były o wszystkim pisać. Nie było sensu o niej myśleć. Chociaż, jeśli Gabrelle się spóźni, będzie można popatrzeć, jak przyjmuje wymierzaną karę. Na razie jednak czekały na nią własne badania.

Zgromadzeni przed drzwiami mężczyźni obrzucili ją spojrzeniami ale nic nie powiedzieli, nawet do siebie. Nie czuła jednak u nich wrogości. Po prostu czekali. Żaden nie miał płaszcza, choć para oddechów formowała białe obłoczki przed ich obliczami. Wszyscy w randze Oddanych, ze srebrnymi mieczami wpiętymi w kołnierze.

Każdego ranka było tak samo, zawsze tak samo zgłaszała się do raportu, tylko osoby mężczyzn się zmieniały. Niektórych znała, przynajmniej z imienia, od innych niekiedy udało jej się posłyszeć drobne plotki. Evin Vinchowa, śliczny chłopiec, którego zobaczyła po raz pierwszy, kiedy Logain ją pojmał, stał oparty o ścianę na rogu i bawił się kawałkiem sznurka. Donalo Sandomere, jeśli tak się naprawdę nazywał, ze swoją pomarszczoną wieśniaczą twarzą i wystrzyżoną w szpic napomadowaną brodą, próbował przyjmować leniwe pozy, jakie jego zdaniem określały szlachcica. Tarabonianin Androl Genhald – mężczyzna przysadzisty, z grubymi brwiami ściągniętymi w namyśle i dłońmi zaplecionymi na plecach; na palcu nosił ciężki złoty pierścień, jednak jej zdaniem był zwykłym czeladnikiem, który zgolił wąsy i odrzucił welon. Natomiast Mezar Kurin, Domani o siwiejących skroniach, trącający palcem granat w lewym uchu, swobodnie mógł wywodzić się z pomniejszej szlachty. Gromadziła w głowie uporządkowane akta imion i twarzy. Wcześniej czy później ludzie ci zmienią się w ściganych, a wtedy przydatna okaże się każda informacja, pozwalająca ich zidentyfikować.

Czerwone drzwi otworzyły się, mężczyźni wyprężyli sztywno, jednak to nie Logain wyszedł z chaty.

Toveine mrugnęła zaskoczona, ale już po chwili spokojnie spojrzała w ciemnozielone oczy Gabrelle, nie czyniąc równocześnie najmniejszych wysiłków, by skryć swój niesmak. Ta przekłeta więź z Logainem niedwuznacznie dawała do zrozumienia, co sobie zamierzył poprzedniego wieczoru – sama obawiała się, że przez całą noc nie zmruży oka! – ale w najczarniejszych przeczuciach nie podejrzewała Gabrelle! Niektórzy z mężczyzn wydawali się równie zaskoczeni jak ona. Inni starali się skryć uśmiechy. Kurin śmiał się całkiem otwarcie, podkreślając kciukiem cienkiego wąsa.

Smagła kobieta nie miała nawet tyle wstydu, żeby się zaczerwienić. Tylko jeszcze odrobinę wyżej uniosła zadarty nosek, a potem śmiało wygładziła na biodrach fałdki ciemnoniebieskiej sukni jakby podkreślając fakt, że właśnie ją wdziała. Otuliła się płaszczem i zawiązała ściśle jego wstążki, a potem ruszyła w stronę Toveine równie niewzruszona i pogodna, jak niegdyś w Wieży.

Toveine schwyciła ją za ramię, odciągając nieco na bok od grupy mężczyzn.

– Prawda, że jesteśmy więźniami, Gabrelle – wyszeptała ostro – ale to nie powód, żeby ulegać. Zwłaszcza obrzydliwym żądzom Ablara! – Tamta spojrzała na nią z góry, ale w jej wzroku nie było nawet zakłopotania! Pewna myśl przyszła jej do głowy. Oczywiście. – Czy on...? Czy on ci kazał?

Gabrelle wyrwała rękę, wykrzywiając usta w grymasie.

– Toveine, dwa dni mi zabrało podjęcie decyzji, czy powinnam „ulec” jego żądzom, jak to ujmiesz. Zapewne mogę mówić o szczęściu, że tylko cztery dni zabrało, nim mi na to pozwolił. Wy,

Czerwone, może nie macie o tym pojęcia, ale mężczyźni uwielbiają rozmawiać i plotkować. Wszystko czego trzeba, to słuchać lub bodaj udawać, że się słucha, a mężczyzna sam opowie ci całe swoje życie. – Pełen namysłu mars przeciął jej czoło, grymas wykrzywający usta zniknął. – Zastanawiam się, czy zwykle kobiety przeżywają to tak samo.

– Co przeżywają tak samo? – zapytała Toveine. Gabrelle szpiegowała go? Czy po prostu próbowała zdobyć kolejne materiały do swojej książki? Ale to było już całkowicie nieprawdopodobne, nawet jak na Brązową! – O czym ty mówisz?

Zamyślenie nie opuszczało oblicza tamtej.

– Czulałam się... bezbronna. Och, był delikatny, nigdy przedtem jednak tak naprawdę nie zastanawiałam się, jak silne mogą wydawać się męskie ramiona, zwłaszcza kiedy nie można przenieść nawet włoska Mocy. On... dominował, tak to chyba można określić, aczkolwiek nie całkiem o to chodzi. Po prostu był... silniejszy i zdawałam sobie z tego sprawę. Ja z kolei czulałam... dziwne uniesienie.

Toveine zadrzała. Gabrelle z pewnością musiała oszaleć! Właśnie miała jej to zamiar powiedzieć, gdy w pojawił się Logain, zaraz zamknąwszy za sobą drzwi. Był wysoki, wyższy od wszystkich zebranych tu mężczyzn, z ciemnymi włosami okalającymi arogancką twarz i spływającymi na potężne ramiona. W wysoki kołnierz miał wpięty i srebrny miecz, i tego cudaczego węża z nogami. Kiedy pozostali skupili się wokół niego, obrzucił Gabrelle uśmiechem. Ta dziewczka odpowiedziała mu tym samym. Toveine znowu zadrzała. Uniesienie. Ta kobieta naprawdę oszalała.

Podobnie jak każdego z wcześniejszych poranków, mężczyźni przystąpili do składania raportów. Toveine prawie nigdy nie miała pojęcia, o czym właściwie tamci mówią, jednak zawsze słuchała z uwagą.

– Znalazłem jeszcze dwóch, których zainteresował ten nowy rodzaj Uzdrawiania, jaki Nynaeve zastosowała wobec ciebie, Logain – powiedział Genhald, marszcząc brwi – jeden jednak ledwie sobie radzi z Uzdrawianiem, jakie sami stosujemy, drugi zaś chciał wiedzieć więcej, niż potrafiłem mu powiedzieć.

– Nie wiem nic więcej nad to, co mu powiedziałaś – odparł Logain. – Pani al'Meara nie informowała mnie ze szczegółami o tym, co robi, a te strzępy zrekonstruowałem sobie z podsłuchanych fragmentów rozmów innych sióstr. Po prostu spróbuj dalej rzucać ziarno w glebę, a może coś wzejdzie. Na nic więcej nas nie stać. – Kilku pozostałych mężczyzn kiwnęło głowami w ślad za Genhaldem.

Toveine zmagazynowała w pamięci informacje. Nynaeve al'Meara. Po powrocie do Wieży dostatecznie często słyszała to imię. Kolejna zbiegła Przyjęta, kolejna, którą Elaida chciała dostać w swe ręce znacznie bardziej zdecydowanie, niżby to tłumaczył zwyczajowy sposób postępowania w takich sprawach. Prawda, z tej samej wioski co al'Thor. I na dodatek jakoś powiązana z Logainem. Ten ślad mógł ostatecznie dokądś zaprowadzić. Ale nowy rodzaj Uzdrawiania? Zastosowany przez Przyjętą? To było zupełnie niesłychane, graniczące z niemożliwością, z drugiej jednak strony, przecież widziała już na własne oczy, że niemożliwe jednak się zdarza, a więc odepchnęła na bok swe wątpliwości. Zauważyła, że Gabrelle również przysłuchuje się z uwagą. A równocześnie kątem oka przygląda się jej.

– Są kłopoty z tymi mężczyznami z Dwu Rzek, Logain – powiedział Vinchova. Na jego gładkich policzkach wykwitł rumieniec gniewu. – Mężczyznami, powiedziałem, ale przecież ci dwaj to są tylko chłopcy, w najlepszym razie mają po czternaście lat! Nie chcą powiedzieć. – Wnioskując z pozbawionych zarostu policzków, sam nie mógł być więcej niż dwa, trzy lata starszy. – Sprowadzenie ich tutaj było zbrodnią.

Logain pokręcił głową, trudno było jednak stwierdzić, czy wyraża w ten sposób gniew, czy żal.

– Słyszałem, że do Białej Wieży trafiają dziewczęta nawet dwunastoletnie. Gdzie tylko można, dbajcie o ludzi z Dwu Rzek. Żadnego faworyzowania, wtedy bowiem inni zwrócą się przeciwko nim, ale zatroszczcie się, żeby nie robili żadnych głupot. Lordowi Smokowi może się to nie spodobać, jeśli zabijemy zbyt wielu jego krajan.

– Na ile się zorientowałem, specjalnie go to nie martwi – wymamrotał smukły mężczyzna. W jego głosie pobrzmiwał silny akcent z Murandy, jednak mocno podkreślone wąsiska dostatecznie jasno zdradzały, skąd się wywodzi. Obracał monetę między palcami, poświęcając tej czynności tyle samo uwagi, co postaci Logaina.

– Słyszałem, że to sam Lord Smok kazał M’Haelowi znaleźć wszystkich z Dwu Rzek, którzy potrafią czerpać z męskiej strony Mocy, aż po ostatniego koguta. Biorąc pod uwagę, ilu przyprowadził, dziwię się, że zapomniał o kurczakach i barankach. – W odpowiedzi na ten żart rozległy się chichoty, jednak ton Logaina uciął je jak nożem.

– Cokolwiek rozkazał Lord Smok, spodziewam się, że moje rozkazy również zostały jasno zrozumiane. – Tym razem wszystkie głowy skłoniły się jak na komendę, niektórzy nawet mruknęli: – Tak, Logain – oraz: – Jako rzeczesz, Logain.

Toveine pośpiesznie pozbyła się grymasu wykrzywającego jej usta. Zgraja ignorantów. Wieża przyjmowała dziewczęta poniżej trzynastego roku życia tylko w wypadkach, gdy już zaczęły przynosić. Jednak pozostałe rzeczy, jakie usłyszała, były interesujące.

Znowu Dwie Rzeki. Powszechnie mówiło się, że al’Thor odwrócił się plecami do swych ojczystych stron, ona jednak nie była tego taka pewna. Dlaczego Gabrelle tak się jej przygląda?

– Ostatniej nocy – powiedział po krótkiej chwili milczenia Sandomere – dowiedziałem się, że Mishraile pobiera prywatne lekcje u M’Haela. – Z satysfakcją pogładził swą spiczastą brodę, jakby właśnie pokazał klejnot najwyższej ceny.

Być może rzeczywiście tak było, Toveine jednak nie potrafiła sama ocenić jakości informacji. Logain powoli pokiwał głową. Pozostali bez jednego słowa wymienili spojrzenia, a ich twarze równie dobrze mogłyby być wyrzeźbione w kamieniu. Zdławiła w sobie irytację, obserwując dalej. Zbyt często tak to bywało – sprawy, których najwyraźniej nie widzieli potrzeby komentować (a może bali się?) – których ona jednak w ani żąb nie rozumiała. Zawsze jednak czuła, że faktycznie gdzieś tu kryją się szlachetne kamienie, tuż poza jej zasięgiem.

Barczysty Cairhienianin, ledwie sięgający Logainowi do piersi, otworzył już usta, ale czy chciał coś powiedzieć o Mishraile, kimkolwiek ten nie był, nigdy się nie dowiedziała.

– Logain! – Z towarzyszeniem tupotu buciorów biegł po ulicy Welyn Kajima, a zawieszane na końcach jego warkoczyków dzwoneczki delikatnie dźwięczały. Następny Oddany, mężczyzna w średnim wieku, który trochę zbyt często się uśmiechał; jego również po raz pierwszy zobaczyła tego dnia, gdy Logain ją schwytał. Kajima narzucił więź Jenare. Kiedy przepchnął się przez tłum mężczyzn, dalej nie mógł złapać tchu, tym razem się nie uśmiechał.

– Logain – wydyszał – M’Hael wrócił z Cairhien i wywiesił przed pałacem nową listę z nazwiskami dezertków. Nie uwierzysz, kto się na niej znalazł! – Następnie jednym tchem wyrzucił z siebie długi szereg nazwisk, z których Toveine usłyszała jedynie kilka, ponieważ przeszkadzały jej głośne wyrazy podniecenia ze strony pozostałych.

– Już wcześniej dezertkowali – mruknął Cairhienianin, kiedy Kajima skończył – nigdy jednak pełni Asha’mani. A teraz siedmiu naraz?

– Jeżeli mi nie wierzysz... – zaczął Kajima, obruszając się. W poprzednim życiu był arafeliańskim urzędnikiem.



– Wierzymy ci – powiedział uspokajająco Genhald. – Ale Gedwyn i Torval byli ludźmi M’Haela. Rochaid i Kisman również. Dlaczego mieliby zdezerterować? Gdyby tylko poprosili, żyliby jak królowie.

Kajima z irytacją pokręcił głową, a jego dzwoneczki znowu się odezwały.

– Wiecie, że na liście nigdy nie zamieszcza się powodów tylko imiona.

– Baba z wozu, koniom lżej – warknął Kurin. – Przynajmniej, gdyby nie fakt, że teraz musimy ich ścigać.

– Mnie natomiast martwią pozostałe nazwiska – wtrącił Sandomere. – Byłem pod Studniami Dumai. Widziałem, jak po wszystkim Lord Smok dokonywał wyboru. Dashiva jak zawsze miał głowę w chmurach. Ale Flinn, Hopwil, Narishma? Trudno sobie wyobrazić ludzi bardziej uszczęśliwionych. Byli niczym jagniątka dopuszczone do koryta pełnego jęczmienia.

Mocno zbudowany mężczyzna o włosach przetykanych siwizną wybuchnął.

– Cóż, mnie nie było pod Studniami Dumai, ale polowałem na południu na Seanchan. – Akcent kazał widzieć w nim Andoranina. – Może jagnięta bardziej nienawidzą rzeźnicki nóż, niż kochają pełen jęczmienia żłób.

Logain dotąd tylko słuchał, nie biorąc udziału w rozmowie, ramiona zaplótł na piersiach. Wyraz jego twarzy był niemożliwy do odczytania, niczym maska. Dopiero teraz powiedział:

– Boisz się rzeźnickiego noża, Canler?

Andoranin skrzywił się, wzruszył ramionami.

– Zdaję sobie sprawę, że wszystkich nas to czeka, wcześniej lub później, Logain. Wiem, że nie mamy wielkiego wyboru, ale nie musi mnie to cieszyć.

– Póki wszyscy dożyjemy chwili, gdy nadejdzie dzień – cicho oznajmił Logain. Z pozoru zwracał się tylko do mężczyzny o imieniu Catler, jednak pozostali też pokiwali głowami.

Logain popatrzył ponad ich głowami, przyjrzał się Toveine i Gabrelle. Toveine próbowała wyglądać tak, jakby wcale nie podsłuchiwała, równocześnie w myślach gorączkowo powtarzała imiona.

– Wejdźcie do środka, tam jest ciepło – zaproponował. – Naparzacie sobie gorącej herbaty. Dołączę do was, gdy tylko będę mógł. Tylko nie grzebcie mi w papierach. – Gestem nakazał pozostałym dać się za nim i poprowadził ich w stronę, z której przybiegł Kajima.

Toveine zazgrzytała zębami z zawodu. I choć tym razem nie będzie musiała towarzyszyć im na tereny, gdzie odbywało się szkolenie i przechodzić obok tak zwanego Drzewa Zdrajców, z którego nagich gałęzi zwisały niczym zgniłe owoce głowy ludzkie, a potem patrzeć, jak mężczyźni uczą się niszczyć, używając Mocy, to z drugiej jednak strony miała nadzieję na dzień wolny, który pozwoli jej swobodnie spacerować wszędzie i dowiadywać się nowych rzeczy. Już wcześniej słyszała, jak mężczyźni wspominali o „pałacu” Taima, dziś miała nadzieję, że może uda jej się go zobaczyć, a niewykluczone, iż nawet przyjrzeć człowiekowi, którego imię było równie czarne jak imię Logaina. Zamiast tego jednak pokornie weszła w ślad za drugą kobietą przez czerwone drzwi. Nie było żadnego sensu się kłócić.

Znalazłszy się wewnątrz, Gabrelle powiesiła płaszcz na kołku, ona natomiast rozejrzała się po frontowym pokoju. Mimo iż wiedziała przecież, jak dom wygląda z zewnątrz, oczekiwała po Logainie czegoś wspanialszego. Płomienie leniwie pełgały po palenisku najwyraźniej pośpiesznie stawianego kominka. Na nagich deskach podłogi stał wąski stół i krzesła o drabinkowatych oparciach. Jej spojrzenie przykuło biurko, odrobinę tylko bardziej zdobne niż reszta umeblowania. Jego blat zaścielały stosy nie otwartych listów i skórzane pokrowce z długimi zwojami papieru. Aż ją swędziały palce, wiedziała jednak, że nawet gdyby zasiadła przy biurku, nie będzie w stanie

dotknąć niczego, prócz pióra i szklanego kałamarza.

Z westchnieniem podążyła za Gabrelle do kuchni, przegrzanej od ognia buzującego na żelaznym palenisku. Brudne naczynia po śniadaniu piętrzyły się na szafce pod oknem. Gabrelle napełniła czajnik i postawiła na ogniu, potem z innej szafki wyjęła zielono emaliowany czajniczek i drewnianą puszkę. Toveine przerzuciła płaszcz przez oparcie stojącego przy stole krzesła, następnie zasiadła na nim. Nie miała ochoty na herbatę, chyba że razem ze śniadaniem, którego nie zdążyła zjeść, wiedziała jednak, że i tak ją wypije.

Ta głupia Brązowa trajkotała podczas kuchennych obowiązków niczym jakaś zadowolona z siebie chłopka.

– Już zdążyłam się dużo dowiedzieć. Logain jest jedynym pełnym Asha’manem, jaki mieszka w tej wiosce. Pozostali mieszkają w „pałacu” Taima. Tamci mają własną służbę, jednak Logainowi wystarcza żona jednego z przechodzących szkolenie mężczyzn, która mu gotuje i sprząta. Wkrótce powinna się pojawić, a ponieważ widzi w nim człowieka, który sprawia, że słońce krąży po niebie, lepiej wcześniej omówmy wszystkie ważne rzeczy. Znalazł twoje przybory do pisania.

Toveine poczuła się, jakby za gardło chwyciła ją lodowato zimna dłoń. Próbowwała skryć wrażenie, jakie wywarła na niej wiadomość, jednak Gabrelle patrzyła wprost na nią.

– Spalił go, Toveine. Po przeczytaniu. Zachowywał się tak, jakby uważał, że czyni nam przysługę.

Dłoń zwolniła nieco swój uścisk, a Toveine znowu mogła oddychać.

– W moich papierach był między innymi rozkaz Elaidy. – Odkaslnęła, nie chcąc, by jej głos brzmiał tak ochryple. Rozkaz Elaidy przewidywał, by wszystkich pojmanych tu mężczyzn natychmiast poskromić, a następnie z miejsca powiesić, bez przewidywanego prawem procesu w Tar Valon. – Postanowienia rozkazu były raczej zdecydowane i nieprzyjemne, gdyby ci ludzie się dowiedzieli, mogliby dość gwałtownie zareagować. – Mimo żaru buchającego z paleniska, drżała. Przez ten jeden dokument wszystkie mogły zostać ujarzmione i powieszzone. – Dlaczego miałyby oddawać nam przysługę?

– Nie mam pojęcia, Toveine. Nie jest łotrem, przynajmniej w nie większym stopniu niż wszyscy mężczyźni. Być może tylko o to chodzi. – Gabrelle postawiła na stole talerz z pokruszonymi ciasteczkami, obok drugi z serem. – Niewykluczone też, że nasza więź w znacznie większym stopniu przypomina więź zobowiązań Strażnika, niżli nam się to wydaje. Może po prostu nie chciał przechodzić przez wszystko, co przeżyłby, gdyby nas dwie powieszono. – Toveine zaburczało w brzuchu, wzięła jednak ciasteczko do ręki takim gestem, jakby ledwie potrafiła wzbudzić w sobie na nie ochotę.

– Podejrzewam, że „nieprzyjemne” jest w tym wypadku bardzo delikatnie dobranym słowem – ciągnęła dalej Gabrelle, sypiąc łyżeczką herbatę do czajniczka. – Widziałam, jak się skrzywiłaś. Rzecz jasna, sprowadzenie nas tutaj musiało ich kosztować mnóstwo zachodu. Pięćdziesiąt jeden siostr w samym środku ich obozu. Niezależnie od więzi muszą się obawiać, że znajdziemy jakiś sposób na ominięcie ich rozkazów, jakąś dziurę, którą przeoczyli. Oczywiście odpowiedzią jest, że w wypadku naszej śmierci Wieża wpadłaby we wściekłość. A skoro żyjemy i przebywamy w niewoli, nawet Elaida będzie postępować znacznie ostrożniej. – Roześmiała się z wewnętrznym zadowoleniem. – Twoja twarz, Toveine. Czy sądzisz, że cały czas siedziałam tu zajęta wczepianiem palców we włosy Logaina?

Toveine zacisnęła usta i odłożyła nietknięte ciasteczko. Tak czy siak, było już zimne i wydawało się twarde. Padła ofiarą powszechnej omyłki, każącej zakładać, że Brązowe są całkowicie nie z tego świata, że zajęte swoimi księgami i badaniami, lekceważą wszystko pozostałe.

– Co jeszcze widziałaś?

Nie wypuszczając łyżeczki z ręki, Gabrelle usiadła po drugiej stronie stołu i z napięciem pochyliła się ku niej.

– Być może ten ich mur okaże się mocny, kiedy już go skończą, tymczasem jednak miejsce to pełne jest pęknięć. Jest tu frakcja Mazrima Taima i frakcja Logaina, chociaż nie do końca jestem pewna, czy oni też widzą to w taki sposób. Być może istnieją też jakieś inne odłamy, bo z pewnością sami nie do końca rozumieją dzielące ich różnice. Pięćdziesiąt jeden sióstr powinno być w stanie jakoś wykorzystać tę sytuację, nawet pomijając więź. Następne pytanie brzmi jednak, co z tym zrobimy?

– Następne pytanie? – zapytała Toveine, tamta jednak przez jakiś czas milczała. – Gdyby udało nam się poszerzyć te szczeliny – powiedziała na koniec – doprowadzimy do tego, że poświecie będzie krążyć dziesięć czy pięćdziesiąt band, każda bardziej niebezpieczna od dowolnej armii, jaką kiedykolwiek widziano. Wyłapanie ich wszystkich może zabrać życie pokolenia, a światu przynieść zniszczenia porównywalne z Pęknięciem, poza tym pamiętać należy, że przecież zbliża się Tarmon Gai'don. To znaczy, jeśli ten Rand al'Thor rzeczywiście jest Smokiem Odrodzonym. – Gabrelle otworzyła usta, jednak Toveine gestem zbyła, cokolwiek tamta chciała powiedzieć. Najprawdopodobniej nim właśnie był. Ale jakie to miało znaczenie teraz, w tych okolicznościach. – Jeżeli jednak powstrzymamy się... Nawet gdybyśmy zdławiły bunt i sprowadziły te wszystkie siostry z powrotem do Wieży, gdybyśmy wezwały te, które już się wycofały, nie mam pojęcia, czy wszystkie razem potrafiłybyśmy zniszczyć to miejsce. Podejrzewam, że gdyby nawet, straciłybyśmy połowę sióstr Wieży. Jakie było pierwsze pytanie?

Gabrelle odchyliła się w krześle, jej twarz nabrała nagle zmęczonego wyrazu.

– Tak, to nie jest prosta decyzja. A z każdym dniem przybywają im kolejni mężczyźni. Sądzę, że od naszego przybycia stan powiększył się o jakichś piętnastu czy dwudziestu.

– Nie zwiedzisz mnie w ten sposób, Gabrelle! Jakie było pierwsze pytanie? – Spojrzenie Brązowej stało się ostrzejsze, patrzyła na nią przez dłuższą chwilę.

– Wkrótce zaczniemy zapominać o przeżytych wstrząsach – powiedziała na koniec. – Co wtedy? Z władzą, jaką ci dała Elaida, koniec; ekspedycja dobiegła końca. Pierwsze pytanie brzmi, czy jest nas pięćdziesiąt jeden zjednoczonych sióstr, czy też powrócimy do bycia Brązowymi, Czerwonymi, Żółtymi, Zielonymi i Szarymi? Nie zapominajmy też o biednej Ayako, która z pewnością żałuje, że Białe uparły się mieć swoją przedstawicielkę. Lemai i Desandre cieszą się wśród nas największym autorytetem. – Gabrelle podkreślała swoje słowa, groźnie wymachując łyżeczką. – Jedyną szansą na zachowanie jedności jest to, abyśmy razem, ty i ja publicznie poddały się autorytetowi Desandre. Musimy! To i tak będzie tylko początek. Mam nadzieję. Jeśli tylko uda nam się nakłonić w ten sposób inne, by postąpiły podobnie, będzie to już jakiś początek.

Toveine wciągnęła głęboki oddech i udawała, że zapatrzyła się przed siebie, jakby namyślając. Podporządkowanie się autorytetowi sióstr mających wyższą pozycję samo w sobie nie powinno sprawić... większych trudności. Ajah zawsze miały swoje sekrety, czasami spiskowały trochę przeciwko sobie, jednak istniejący aktualnie otwarty rozłam w Wieży napawał ją odrazą. Poza tym, wcześniej już nauczyła się pokory u pani Doweel. Zastanawiała się czasami, jak tamta kobieta potrafi teraz żyć w ubóstwie i pracować na farmie pod rozkazami przełożonej jeszcze bardziej paskudnej od niej samej.

– Potrafię się na to zdobyć – powiedziała na koniec. – Jeśli chcemy przekonać Desandre i Lemai, powinniśmy przedstawić im plan działania. – Już wcześniej w jej głowie uformowały się zarysy takiego planu, nawet jeśli nie chciała go nikomu przedstawiać. – Och, woda się zagotowała,

Gabrelle.

Całkiem nieoczekiwanie ta głupia kobieta uśmiechnęła się, wstała i pośpieszyła do paleniska. Jeśli już o tym mowa, Brązowe zawsze lepiej sobie radziły z odczytywaniem znaczeń w księgach niż w ludzkich duszach. Zanim Logain, Taim i cała reszta zostaną unicestwieni, pomogą Toveine Gazal obalić Elaide.

Wtłoczony między grube mury obronne masyw wielkiego miasta Cairhien wbijał się w rzekę Alguenya. Niebo było czyste, bez śladu chmur, dał jednak zimny wiatr, a promienie słońca odbijały się bielą w warstwie śniegu pokrywającej dachy i iskrzyły w soplach, które najwyraźniej nie chciały topnieć. Alguenya nie zamarzła, niesione jednak z jej nurtem małe poszczerbione kry wirowały na falach, uderzając o kadłuby okrętów, czekających na swoją kolej w dokach. Na handel niekorzystny wpływ wywierała zima, wojna i oczywiście obecność w mieście Smoka Odrodzonego, jednak ostatecznie zamierał dopiero wraz ze śmiercią narodu. Mimo zimna na przecinających tarasy wzgórz miasta – Miasta, jak na nie tu mówiono – ulicach tłoczyły się wozy, wózki i ludzie.

Przed frontem zwieńczonego kwadratową wieżą Pałacu Słońca tłum skupił się przy długiej wejściowej rampie, kupcy opatuleni w doskonałe wełny, zabijający ręce szlachetnie urodzeni w swych aksamitach, ponurzy robotnicy i złachmanieni uchodźcy – Wszyscy patrzyli w górę. Nikomu nie przeszkadzało bezpośrednio sąsiedztwo zbitej tłuszczy, nawet kieszonkowcy jakby zapomnieli o pchającej się w ręce okazji. Ci, którzy się już napatrzyli, odwracali się i odchodzi, inni jednak natychmiast zajmowali ich miejsce niektórzy podnosili w górę dzieci, żeby też mogły zobaczyć zrujnowane skrzydło Pałacu, gdzie robotnicy usuwali właśnie gruzy drugiego piętra. W całym Cairhien trwała zwykła wrzawa, stukot rzemieślniczych młotków, skrzypienie osi, krzyki sklepikarzy, skargi kupujących, pomruki kupców. Tłum przed Pałacem Słońca trwał w całkowitym milczeniu.

Jakaś milę od Pałacu Rand stał w oknie budowli dumnie nazywanej Akademią Cairhieniańską, wyglądając przez pokryte lodem szyby na wybrukowany dziedziniec stajni poniżej. Za czasów Artura Jastrzębie Skrzydło, a i wcześniej, istniały szkoły zwane Akademiemi, stanowiące ośrodki nauczania, przyciągające uczonych ze wszystkich zakątków świata. Szumna nazwa nie miała znaczenia, równie dobrze mogliby określać ją mianem Stodoły, jeśli tylko dadzą mu, czego chciał. Tymczasem jednak poważniejsze troski wypełniały jego myśli. Czy nie popełnił błędu, tak szybko wracając do Cairhien? Ale zmuszono go do ucieczki zbyt raptownej, żeby ci, co mieli wiedzieć, nie wiedzieli, iż była to właśnie ucieczka. Zbyt szybko wszystko się odbyło, żeby cokolwiek z góry przygotować. Były pytania, które musiał zadać i nie cierpiące zwłoki sprawy. A Min żądała kolejnych książek pana Fela. Cały czas słyszał, jak mamrocze coś do siebie, przetrząsając półki, na które trafiły pośmierci tamtego. Karmiona szerokim strumieniem ksiąg i rękopisów, których wcześniej nie posiadała, biblioteka Akademii powoli przestawała się mieścić w pomieszczeniach, jakie na nią przeznaczono w pałacu niegdyś należącym do lorda Barthanesa. W głębi umysłu czuł nieustanną obecność Alanny, najwyraźniej nadaśanej; z pewnością musiała wiedzieć, że wrócił do miasta. Z tak bliska mogła trafić do niego jak po sznurku, wiedziałaby jednak z góry, gdyby spróbowała. Na całe szczęście Lews Therin milczał. Ostatnimi czasy wydawał się jeszcze bardziej szalony niż zwykle.

Rękawem kaftana oczyścił fragment szyby. Miał na sobie mocne ciemne wełny, stosowne dla człowieka posiadającego niewiele pieniędzy i jeszcze mniejsze pretensje, żadną miarą strój, w którym ktokolwiek spodziewałby się zobaczyć Smoka Odrodzonego. Na wierzchu jego dłoni połyskiwała metalicznie otaczająca łeb Smoka złota grzywa, jednak w aktualnym otoczeniu nie groziło to ujawnieniem. Kiedy nachylił się, by popatrzeć, czubkiem buta trącił skórzany worek stojący pod oknem.

Na dziedzińcu stajni, który wcześniej starannie odśnieżono, stał wielki wóz, otoczony licznymi rozstawionymi wokół wiadrami, przypominającymi z góry grzyby rosnące na polanie. Sześciu mężczyzn w grubych kaftanach, szalikach i czapkach wyraźnie krzątało się wokół dziwnego ładunku – rozmaitych mechanicznych urządzeń i grubego metalowego cylindra, które zajmowały ponad połowę skrzyni wozu. Co jeszcze dziwniejsze, wóz pozbawiony był dyszla. Jeden z mężczyzn kładł z wielkiej taczki porąbane drewno do metalowej skrzynki przymocowanej pod jednym z końców cylindra. Otwarte drzwiczki skrzynki jarzyły się czerwonym blaskiem płonącego wewnątrz ognia, z wysokiego wąskiego komina unosił się dym. Kolejny mężczyzna biegał wokół wozu – brodaty, łysy i bez czapki – wymachując rękami i najwyraźniej wykrzykując rozkazy, które jednak nie potrafiły sprawić, by inni poruszali się szybciej. Para oddechów tworzyła wielkie chmury nad ich głowami. W pomieszczeniu, skąd patrzył Rand, było natomiast prawie ciepło – Akademia dysponowała wielkimi paleniskami w podziemiach i rozległym systemem wentylacji. Rwały na poły zaleczone, nigdy jednak nie wracające do całkowitego zdrowia, rany w boku.

Nie potrafił dokładnie usłyszeć przekleństw Min – pewien był tylko, że są to przekleństwa – jednak z tonu głosu można było bez trudu wywnioskować, że aby ją stąd ruszyć, musiałby użyć siły. Pozostawała wszakże jeszcze jedna czy dwie kwestie, o które mógł zapytać.

– Co ludzie mówią? O Pałacu?

– To, czego można się spodziewać – odpowiedział z za jego pleców lord Dobraine ze znużoną cierpliwością, z jaką odpowiadał na wszystkie poprzednie pytania. Nawet kiedy musiał przyznać się do niewiedzy, ton jego głosu nie ulegał zmianie. – Jedni mówią że zaatakowali cię Przekłęci, inni, że Aes Sedai. Ci, którzy sądzą że ukląkłeś przed Tronem Amyrlin, sugerują Przeklętych. Tak czy siak, wszędzie głównie dyskutuje się, czy zostałeś zabity, porwany, czy uciekłeś. Większość wierzy, że żyjesz, gdziekolwiek żeś się skrył, a przynajmniej tak mówią. Ale niektórzy, i to dość wielu, jak się obawiam, sądzą, że... – Zawiesił głos.

– Że oszalałem – dokończył za niego Rand tym samym znużonym tonem. Nie była to rzecz, którą należałoby się przejmować, ani która oznaczałaby niebezpieczeństwo. – Że sam zniszczyłem część Pałacu? – Nie chciał wspominać umarłych. Ostatnimi czasy nawiedzali go jakby mniej niż kiedyś, ale i dość, by tylko przymknął powieki i już niektóre imiona pojawiły się same z siebie. Jeden z mężczyzn na dziedzińcu wygramolił się spod wozu, ale tamten łysy schwycił go za ramię i znów pociągnął na dół, kładąc sobie pokazać, co zostało zrobione. Po drugiej stronie następny beztrząsco zeskoczył na bruk, poślizgnął się, a tamten łysy człowiek porzucił pierwszego i pobiegł ku niemu, kładąc znowu wspinać się na wóz. Cóż, na Światłość, tamci robią? Rand zerknął przez ramię. – Wiele się nie mylą.

Dobraine Taborwin, mocno już siwiejący, niski mężczyzna z wygolonym wysoko czołem ceremonialnie przypudrowanym, odpowiedział spojrzeniem ciemnych niecierpliwych oczu. Nie był przystojny, lecz jego twarz miała regularne rysy. Ubrany był w sięgający do kolan kaftan, na całej długości przodu ozdobiony niebiesko-białymi pasami. W pierścień sygnetu miał wprawiony oszlifowany rubin, drugi wpięty w kołnierz, niewiele większy, lecz jak na Cairhienianina była to już swego rodzaju ekstrawagancja. Był Głową swojego Domu, widział więcej bitew niżli pozostali ludzie, niewiele było go w stanie przerazić. Dowiódł tego pod Studniami Dumai.

Jeśli już jednak o tym mowa, krępa, siwiejąca kobieta czekająca obok niego na swoją kolej, zdawała się równie nieustraszona. Pozostające w ostrym kontraście ze szlachetną elegancją Dobraine'a praktyczne brązowe wełny Idrien Tarsin mogłyby stanowić ubiór jakiejś sklepikarki, czuło się jednak nieomal namacalnie tryskająca, z niej godność i autorytet. Idrien była Przełożoną Akademii, tytuł ten nadała sobie sama, ponieważ większość uczonych i mechaników sama tytułowała

się mistrzami bądź mistrzyniami tego czy tamtego. Szkołę prowadziła twardą ręką, wierząc przede wszystkim w zastosowania praktyczne: nowe metody kładzenia dróg albo farbowania tkanin, usprawnienia dla odlewni i młynów. Wierzyła również w Smoka Odrodzonego. Czy był on w jej oczach czymś praktycznym czy nie, z pewnością wiara ta miała pragmatyczne uzasadnienie, jemu zaś to zupełnie wystarczało.

Odwrócił się z powrotem do okna i znowu musiał przetrzeć kawałek szyby. Może miało to jakiś związek z podgrzewaniem wody – w niektórych spośród tych wiader najwyraźniej wciąż była woda, ponadto wiedział, że w Shienarze używano wielkich bojlerów do podgrzewania wody na kąpiel – ale po co wóz?

– Czy pod moją nieobecność ktoś zniknął stąd niespodzianie? Albo się pojawił?

Nie spodziewał się twierdzącej odpowiedzi, a przynajmniej nie wierzył, by mogła mieć istotne znaczenie. Pod obecność gołębi, kupców i siatek szpiegowskich Białej Wieży – nie wspominając już o Mazrimie Taimie; nigdy nie powinien zapominać o Taimie, Lews Therin bezgłośnie warczał, gdy w jego myślach pojawiało się to imię – pod obecność wszystkich tych gołębi, szpiegów i rozpuszczonych języków za kilka dni cały świat się dowie, że zniknął z Cairhien. Przynajmniej cały świat, którego zdanie tu i teraz miało jakieś znaczenie. Cairhien przestanie być już dłużej polem bitwy. Jednak odpowiedź Dobraine'a zaskoczyła go.

– Nikt, prócz... okazało się, że w następstwie... ataku... zniknęła Ailil Riatin i jeszcze jacyś wysocy rangą dygnitarze Ludu Morza. – Ledwie zająknął się na kluczowym słowie, była to jednak znacząca pauza. Być może on sam również nie do końca wiedział, co się stało. Jednak dotrzyma słowa. Tego także dowiódł pod Studniami Dumai. – Nie znaleziono żadnych ciał, choć mogły zginąć. Jednak Mistrzynie Fal Ludu Morza nie dopuszcza takiej możliwości. Robi mnóstwo szumu, żądając, by zwrócono jej kobiety. Po prawdzie, to Ailil mogła wyjechać z miasta. Albo przyłączyć się do swego brata, mimo przysięgi, jaką ci złożyła. Twoi trzej Asha'mani wciąż przebywają w Pałacu Słońca. Flinn, Narishma i Hopwil. Ludzie na ich widok robią się nerwowi. Bardziej jeszcze niż dotąd. – Przełożona wydała z gardła jakiś stłumiony odgłos, a potem dość głośno przestąpiła z nogi na nogę. Ona z pewnością robiła się nerwowa.

Rand nie przejmował się Asha'manami. Jeżeli nie znajdowali się bliżej, niż było stąd do Pałacu, to żaden z nich nie mógł wykryć otwarcia bramy, żaden bowiem nie był dosyć silny. Ci trzej najwyraźniej nie wchodzili w skład oddziału, który miał go zaatakować, jednak mądry strateg mógł przewidzieć okoliczność, że plan zawiedzie. Z góry więc zadbał o to, by mieć kogoś w otoczeniu Randa, gdyby temu udało się przeżyć.

– Nie przeżyjesz – wyszeptał Lews Therin. – Żaden z nas nie ujdzie z życiem.

„Idź spać” – pomyślał z irytacją Rand. Wiedział, że nie przeżyje. Ale bardzo chciał. W głowie odpowiedział mu szydery śmiech, po chwili jednak zaczął cichnąć, by na koniec zamilknąć zupełnie. Łysy człowiek pozwolił już wszystkim zejść na dół i teraz z zadowoleniem zacierał ręce. Co najdziwniejsze, najwyraźniej wygłaszał przemowę!

– Ailil i Shalon żyją i bynajmniej nie uciekły – oznajmił głośno Rand. Zostawił je skrupowane i zakneblowane pod łóżkiem, gdzie służba z pewnością znajdzie je za parę godzin, chociaż tarcza, jaką splótł wokół Poszukiwaczki Wiatrów Ludu Morza, powinna zniknąć znacznie wcześniej. W takiej sytuacji obie kobiety powinny być zdolne do uwolnienia się o własnych siłach. – Poszukajcieu Cadsuane. Z pewnością umieściła je w pałacu lady Arilyn.

– Wprawdzie Cadsuane Sedai wchodzi i wychodzi z Pałacu Słońca, jakby należał do niej – dyplomatycznie powiedział Dobraine – ale w jaki sposób mogłaby wyprowadzić je z niego niezauważona? I dlaczego? Ailil jest siostrą Torama, jego roszczenia jednak do Tronu Słońca to

obecnie zeszłoroczne śniegi, jeśli kiedykolwiek były coś więcej warte. Ona sama straciła już znacznieszą „pozycję. Jeśli zaś chodzi o przetrzymywanie wysokiej rangi Atha'an Miere... Po co?

Rand zadbał, by jego głos nabrał lekkich, beztróskich tonów.

– A dlaczego lady Caraline i Wysoki Lord Darlin przebywają u niej w charakterze rzekomych „gości”, Dobraine? Dlaczego Aes Sedai robią to, co robią? Znajdziesz je tam, gdzie mówię. Jeśli wpuszczą cię do środka. – „Dlaczego”, to było niegłupie pytanie. Po prostu nie dysponował odpowiedziami. Rzecz jasna, Caraline Damodred i Ailil Riatin były z kolejnych dwu Domów, których przedstawiciele zasiadali ostatnio na Tronie Słońca. A Darlin Sisnera przewodziła frakcji szlacheckiej, która chciała pozbyć się go ze swego drogocennego Kamienia, w ogóle z Łzy.

Rand zmarszczył brwi. Pewien był, że Cadsuane interesowała się nim, choć udawała, że jest inaczej, cóż jednak, jeśli nie udawała? Ulga, jeśli bodaj tyle. Oczywiście, że się interesowała. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, to Aes Sedai, której się wydawało, że może się wtrącać w jego sprawy. Naprawdę, ostatnią. Być może jednak przedmiotem zainteresowania Cadsuane było coś zupełnie innego. Min w wizji ujrzała Sisnerę w dziwnej koronie na głowie, Rand długo się nad tym zastanawiał. Może dlatego, że nie chciał myśleć o innych rzeczach, jakie jej się ukazywały, a dotyczących jego i Zielonej siostry. Czy wyjaśnienie może być naprawdę aż tak proste, sprowadzając się do dążenia Cadsuane do ustanowienia przez siebie kontrolowanego władcy zarówno Łzy jak Cairhien?

Proste? Prawie wybuchnął śmiechem. Ale tak właśnie zachowywały się Aes Sedai. A Shalon, Poszukiwaczka Wiatrów? Podporządkowanie jej sobie mogłoby dać Cadsuane wpływ na Harine, Mistrzynie Fal, podejrzewał jednak, że po prostu razem z Ailil próbowały zataić, kto porwał szlachciankę. Czyli Cadsuane należałoby uwolnić od podejrzeń. Natomiast to, kto będzie rządził Łzą i Cairhien, zostało już postanowione. Trzeba będzie jej to wyraźnie uświadomić. Później. Kwestia ta znajdowała się daleko na liście jego priorytetów.

– Zanim odejdę, Dobraine, muszę ci zostawić... – Słowa zamarły mu na ustach.

Na podwórzu stajni człowiek z gołą głową przesunął przy wozie jakąś dźwignię i jeden koniec długiego poziomego balansjera nagle uniósł się, potem opuścił, ciągnąc za sobą krótszy balansjer przechodzący przez otwór w skrzyni wozu. Potem, trzęsąc się tak, jakby zaraz miał się rozpaść i plując dymem z komina, wóz ruszył naprzód, a jego balansjer podnosił się i opadał, najpierw wolno, wkrótce jednak coraz szybciej. Ruszał się, nie ciągnięty przez konie!

Nie zdawał sobie sprawy, że mówi na głos, póki Przełożona mu nie odpowiedziała:

– Ach, to! To jest wóz parowy Mendna Poela, tak przynajmniej sam go nazywa, mój Lordzie Smoku. – W jej wysokim, zaskakująco młodzieńczym głosie brzmiała dezaprobata. – Twierdzi, że dzięki tej zabawce może uciągnąć setkę wozów. Z pewnością jednak nie stanie się to, póki nie zmusi jej do przejechania więcej niż pięćdziesięciu kroków, zanim nie zacznie się rozsypywać lub zamarzać. Z tego co wiem, udało mu się to dotychczas tylko raz.

I faktycznie ten... wóz parowy?... zatrząsł się i zatrzymał, nie dalej jak dwadzieścia kroków od miejsca, z którego wyruszył. Zatrząsł się, to mało powiedziane, z każdym momentem wstrząsały nim coraz bardziej rozpaczliwe targnięcia. Większość mężczyzn już zdążyła go dogonić, wspięli się na skrzynie, jeden rozpaczliwie odkręcał coś dłonią owiniętą w szmatę. Znienacka z jakiejś rury trysnął w powietrze strumień pary i wstrząsy osłabły, wreszcie zamarły.

Rand pokręcił głową. Pamiętał teraz, że spotkał się już z tym Mervinem, ale wówczas dysponował on tylko urządzeniem szarpiącym się na stole, które na dodatek nic nie potrafiło robić. I ten cud zrodził się z tamtego? Wówczas podejrzewał, że ma ono tworzyć muzykę. Ten, który skacze dookoła i wygraża pozostałym pięściami, to musi być Mervin. Jakie inne dziwne rzeczy, jakie jeszcze

cuda budują ludzie z Akademii?

Kiedy zadał to pytanie, wciąż nie odrywając oczu od pracujących przy wozie na dole, Idrien prychnęła głośno. Gdy zaczęła mówić, w jej głosie rozbrzmiewały już tylko skromne pozostałości szacunku dla Smoka Odrodzonego, a i one wkrótce ustąpiły miejsca obrzydzeniu.

– Jest już dostatecznie przykrą rzeczą, że muszę udostępniać miejsce filozofom, historykom i arytmetykom oraz im podobnym, kazałeś mi jednak przyjmować każdego, kto wymyślił coś nowego i pozwalać zostać, jeśli będzie okazywał dowody postępów. Przypuszczam, że chodziło ci o nową broń, teraz jednak mam na głowie dziesiątki marzycieli i darmozjadów, a każdy dysponuje jedną starą księgą, rękopisem czy plikiem rękopisów, z których literalnie wszystkie mają pochodzić z epoki Zgody Dziesięciu Narodów, jeśli już nie z samego Wieku Legend, jak powiadają, i wszyscy próbują wyłowić choć odrobinę sensu z rysunków, szkiców i opisów przedmiotów, których nigdy nie widzieli, i których pewnie nikt na oczy nie zobaczy. Sama widziałam rękopisy, które mówiły o ludziach z oczyma w brzuchach, o zwierzętach wysokich na dziesięć stóp z kłami dłuższymi niż wzrost mężczyzny i miastach, gdzie...

– Ale co oni robią, Przełożona Tarsin? – dopytywał się Rand. Mężczyźni pracujący na dziedzińcu poruszali się, doskonale wiedząc, co robią, bynajmniej nie przypominało to sceny porażki. No, i ta rzecz się poruszyła.

Tym razem wręcz parsknęła.

– Głupoty, mój Lordzie Smoku, oto co robią. Kin Tovere skonstruował swoje wielkie szkło powiększające. Możesz przez nie zobaczyć księżyc równie wyraźnie jak własną rękę, a także, jak on twierdzi, inne światy, wszelako cóż z tego za pożytek? Teraz chce zbudować jeszcze większe. Maryl Harke buduje wielkie latawce, które nazywa szybowcami, a kiedy nadejdzie wiosna, znowu będzie skakać ze wzgórz. Serce podchodzi do gardła, kiedy się patrzy, jak frunie ze wzgórza, ale gwarantuję, że następnym razem, jak któryś zwinie się w powietrzu, złamie nie tylko rękę. Jander Parentakis wierzy, że może napędzać statki rzeczne przy użyciu młyńskiego koła albo czegoś podobnego, kiedy jednak umieścił w łodzi dość ludzi, aby napędzali mimośrodą, nie było już miejsca na ładunek i każdy statek żaglowy mógł go wyprzedzić. Ryn Anhara chwytą pioruny do wielkich słojuw... wątpię, by nawet on wiedział po co... a Niko Tokama po prostu wygłupia się ze swoją...

Rand odwrócił się tak gwałtownie, że zaskoczona aż dała krok w tył, a nawet Dobraine przestąpił z nogi na nogę, na klasyczną modłę szermierza. Nie, zdecydowanie mu nie ufali.

– Chwytą pioruny? – zapytał cicho.

Jej lekko skonfundowane rysy twarzy rozjaśniło zrozumienie, zaczęła gwałtownie gestykulować.

– Nie, nie! Nie takie, jak... jak te! – Nie takie jak twoje,omalże nie powiedziała. – Jego rzecz składa się z drutów, kół i wielkich glinianych dzbanów oraz Światłość jedna wie czego jeszcze. Nazywa je piorunami, sama zaś widziałam kiedyś szczura, który skoczył na jeden z tych dzbanów i trafił na metalowe pręty, wystające z niego. Z pewnością wyglądał jak trafiony piorunem. – W jej głosie pojawiły się pełne nadziei tony. – Mogę kazać mu przestać, jeśli sobie życzysz.

Próbował wyobrazić sobie kogoś lecącego na latawcu, ale wizerunek był całkowicie absurdalny. Chwywanie piorunów w dzbany całkowicie przekraczało jego wyobrażenia. A jednak...

– Niech pracują dalej, Przełożona. Kto wie? Może jeden z tych wynalazków okaże się istotny. Gdyby któryś działał, jak zapowiedziano, daj wynalazcy premię.

Na pomarszczonej, ogorzałej od słońca twarzy Dobraine'a zastygło zwątpienie, choć nadzwyczaj dobrze skrywane. Idrien ponuro skłoniła głowę, dając znak, że rozumiała, a nawet dygnęła, choć wyraźnie widać było, iż sądzi, że pierwiej świnie będąc latać, niż któremuś się uda.

Rand nie do końca miał pewność, czy nie podziela jej zdania. Ale przecież, być może jakaś



świnia mogłaby sobie wyhodować skrzydła. Wóz przecież jechał. A on z kolei naprawdę rozpaczliwie chciał światu coś zostawić po sobie, coś, co pomoże mu przetrwać nowe Pęknięcie, którego sprowadzenie przypisywały Randowi Proroctwa. Kłopot polegał na tym, że nie miał pojęcia, co to może być, wyjąwszy same szkoły. Kto wiedział, cóż w końcu zrodzi taki cud? Światłości, chciał zbudować cokolwiek, co przetrwa.

„Też myślałem, że potrafię budować” – wymamrotał Lews Therin w jego głowie. „Myliłem się. Nie jesteśmy budowniczymi, ani ty, ani ja, ani tamten. Jesteśmy niszczycielami. Niszczycielami”.

Rand zadrżał i przeczesał palcami włosy. Tamten? Czasami głos brzmiał najbardziej zdrowo, gdy Lews Therin właśnie pograżał się w największej otchłani szaleństwa. Obserwowali go, Dobraine prawie perfekcyjnie skrywając niepewność, Idrien nawet się nie starając. Wyprostował się, jakby nic się nie stało, z kaftana wyciągnął dwa cienkie pakiety. W wielkiej plamie czerwonego wosku na każdym odcisnięty był Smok. Sprzączka pasa, którego aktualnie nie nosił, służyła mu za osobliwy sygnet.

– Ten z wierzchu mianuje cię moim zarządcą w Cairhien – powiedział, podając Dobraine oba pakiety. Trzeci wciąż trzymał za pazuchą, przeznaczony był dla Gregorina den Lushenos, czyniący zeń zarządcę Illian. – Tym sposobem pod moją nieobecność nikt nie będzie kwestionował twojej władzy. – Dobraine przy pomocy swych zbrojnych jest w stanie poradzić sobie z wszelkimi kłopotami, lepiej jednak z góry zadbać, by nikt nie mógł potem wykręcać się niewiedzą lub wątpliwościami. Być może nie będzie żadnych kłopotów, kiedy wszyscy z góry uwierzą, że Lord Smok nie odpuści żadnego wykroczenia. – A to są rozkazy odnośnie rzeczy, które chcę, aby wykonano, poza tym jednak kieruj się własnym uznaniem. Kiedy lady Elayne ogłosi swe roszczenia do Tronu Słońca, poprzyj je swymi wpływami. – Elayne. Och, Światłości, Elayne i Aviendha. Przynajmniej one były bezpieczne. W głosie Min brzmiało teraz znacznie większe zadowolenie, pewnie znalazła księgi pana Fela. Wyobraził sobie, jak ona idzie za nim na śmierć, ponieważ nie miał dość siły, żeby ją powstrzymać.

„Ilyeno” – zajęczał Lews Therin. „Wybacz mi, Ilyeno!”.

Głos Randa był teraz lodowaty jak dech zimy.

– Będiesz wiedział, dokąd dostarczyć drugi. Albo czy w ogóle to czynić. Wypytaj go, jeśli zajdzie potrzeba, a potem zdecyduj podle tego, czego się dowiesz. Jeśli zdecydujesz negatywnie albo on odmówi, wezmę kogoś innego. Nie ciebie.

Być może było to dość niegrzeczne, ale wyraz twarzy Dobranie’a nie zmienił się prawie wcale. Kiedy spojrział na imię adresata, jego brwi uniosły się nieco... i to wszystko. Ukłonił się zgrabnie. Cairhienianom zazwyczaj nie brakowało gracji.

– Stanie się, jak powiadasz. Wybacz mi, ale z tego co mówisz, wnioskuję, że długo cię nie będzie.

Rand wzruszył ramionami. Ufał Wysokiemu Lordowi tylko w takim stopniu, jak wszystkim pozostałym. Może odrobinę bardziej.

– Któż może wiedzieć? Czasy są niepewne. Dopilnuj, żeby Przełożona Tarsin otrzymywała wszelkie potrzebne fundusze, jak również ci ludzie, którzy zakładają szkołę w Caemlyn. Podobnie ze szkołą w Łzie, póki nic się tam nie zmieni.

– Jak powiadasz – powtórzył Dobraine, wsadzając pakiety za pazuchę kaftana. Teraz jego oblicze nie zdradzało bodaj śladu emocji. Był w końcu weteranem Gry Domów.

Ze swojej strony Przełożona w jakiś sposób dokazała trudnej sztuki przybrania wyglądu równocześnie zadowolonej i ponuro rozczarowanej, poza tym gorączkowo próbowała wygładzić suknię, która żadnego wygładzania nie potrzebowała, co u kobiet zawsze stanowiło oznakę desperackiej próby ukrycia myśli. Niezależnie jak bardzo uskarżała się na marzycieli i filozofów,

straszliwie zależało jej na losie Akademii. Nie uroniłaby nawet łzy, gdyby wszystkie szkoły w pozostałych miastach zostały rozwiązane, a ich uczeni zmuszeni do wstąpienia do Akademii. Niech to nawet będą filozofowie. Ciekawe, co by pomyślała o regulującym akurat te sprawy rozkazie Dobraine'a?

– Znalazłam już wszystko, czego mi było trzeba – oznajmiła Min, wyłaniając się zza regałów i chwiejąc lekko pod ciężarem trzech wypchanych płóciennych toreb. Jej prosty brązowy kaftan i także spodnie do złudzenia przypominały strój, jaki miała na sobie, gdy ją po raz pierwszy zobaczył w Baerlon. Z jakiegoś powodu długo kręciła nad nimi nosem, tak że każdy, kto ją znał, mógł pomyśleć, że miała włożyć sukienkę. Teraz jednak uśmiechała się z zadowoleniem i odrobiną psoty. – Mam nadzieję, że te konie juczne są tam, gdzie je zostawiliśmy, w przeciwnym razie trzeba będzie obładować mojego Lorda Smoka.

Idrien aż zaparło dech na taką bezczelność, Dobraine jednak tylko uśmiechnął się lekko. Wcześniej już miał okazję być świadkiem tego, jak Min zachowuje się w obecności Randa.

Najszybciej, jak to było możliwe bez uchybiania wymogom grzeczności, Rand pozbył się ich, w końcu usłyszeli już wszystko, o miał im do przekazania – na koniec poinformował ich jeszcze, że wcale go tu nie było. Dobraine pokiwał głową, jakby niczego innego nie oczekiwał. Idrien wychodząc, namyślała się nad czymś. Jeśli coś jej się wymysknie w miejscu, gdzie będzie mógł to usłyszeć jakiś uczonec czy służący, w ciągu dwóch dni będzie wiedziało całe Miasto. Tak czy siak, czasu nie zostało wiele. Nawet jeśli nikogo z tych, co mogliby się zorientować, nie było w pobliżu, gdy otwierał bramę, to każdy, kto potrafił czytać znaki, miałby w chwili obecnej pewność, że do miasta zawitał *ta'veren*. Dać się znaleźć nie leżało jeszcze w jego planach.

Kiedy drzwi zamknęły się za tamtymi, przez chwilę uważnie przyglądał się Min, a potem wziął od niej torbę i przewiesił przez ramię.

– Tylko jedną? – zapytała. Zsunęła pozostały ciężar na posadzkę, podparła się pod boki i spojrzała nań ponuro. – Czasami naprawdę wychodzi z ciebie pasterz. Każda z tych toreb musi ważyć po sto funtów. – Niemniej wydawała się bardziej rozbawiona niż zła.

– Trzeba było wybrać mniejsze książki – poinformował ją, naciągając rękawice do jazdy konnej, by ukryć Smoki. – Albo lżejsze. – Odwrócił się w stronę okna, by podnieść skórzaną torbę i wtedy ogarnęła go fala zawrotów głowy. Zrobiło mu się miękko w kolanach, zatoczył się. Przed jego oczami przemknęło połyskujące oblicze, którego rysów jednak nie rozpoznał. Z wysiłkiem udało mu się dojsć do siebie, wyprostował się. Mdłości zniknęły. Lews Therin dyszał ciężko pośród cieni jego umysłu. Czy to oblicze mogło należeć do niego?

– Jeżeli wydaje ci się, że będę niosła je przez całą drogę, to radzę, zastanów się po raz drugi – narzekała Min. – Stajenni potrafili mnie lepiej potraktować. Mógłbyś spróbować się położyć.

– Nie tym razem. – Był przygotowany na to, co się może zdarzyć, kiedy przeniesie Moc, do pewnego stopnia zachowywał nawet nad tym kontrolę. Zazwyczaj. Przez większość czasu. Te mdłości bez *saidina* były czymś nowym. Może po prostu zbyt gwałtownie się nachylił. A może świnię naprawdę latają. Założył skórzaną torbę na wolne ramię. Mężczyźni na dziedzińcu stajni wciąż uwijali się jak mrówki. Konstruowali.

– Min...

Natychmiast spochmurniała. Dłonie wdziwające czerwone rękawiczki zamarły na moment, stopa zaczęła wybijać rytm. Groźny znak w przypadku każdej kobiety, co dopiero takiej, która swobodnie posługuje się nożem.

– Już tę sprawę omawialiśmy, Randzie al'Thor, któryś jest przeklętym Smokiem Odrodzonym! Nie opuścisz mnie!

– Nawet mi to do głowy nie przyszło – skłamał. Był zbyt słaby, nie potrafił się zmusić do wypowiedzenia słów, które sprawią, że zostanie.

„Zbyt słaby” – pomyślał z goryczą – a ona tymczasem może przez to zginąć, żebym na zawsze wszedł w Światłości!”

„Tak się też stanie” – obiecał cicho Lews Therin.

– Po prostu pomyślałem sobie, że powinnaś wiedzieć, co właściwie robiliśmy i co zrobimy – ciągnął dalej Rand. – Jak sądzę, ostatnimi czasy niewiele ci tłumaczyłem. – Zapanował nad sobą, pochwycił *saidina*. Pokój zawirował, on zaś pomknął na fali lawiny ognia, lodu i brudu, który mdłościami wykręcał mu żołądek. Jednak teraz był już w stanie zachować równowagę. Ledwie. Ledwie mu się również udało spleść strumienie bramy, która otworzyła się na zaśnieżoną polanę, gdzie dwa osiodłane konie skubały nisko zwieszony gałązki dębu.

Ucieszył się, że zwierzęta wciąż były na miejscu. Polana znajdowała się z dala od traktu, świat jednak pełen był włóczęgów, którzy porzucili rodziny i farmy, handel i rzemiosło, ponieważ Smok Odrodzony zniósł wszelkie ograniczenia. Tak powiadały Proroctwa. Z drugiej strony, spora część tych mężczyzn i kobiet, z obolałymi od wędrówki nogami, na dodatek teraz również prawie zamrożona, zmęczona była już daremnymi poszukiwaniami, którym nie przyświecał bodaj najlżejszy promyk idei, czego się właściwie szuka. Tak więc nawet te zupełnie pospolite zwierzęta, pozbawione opieki, z pewnością wyparowałyby bez śladu, gdyby tylko spoczęło na nich spojrzenie jakiegoś człowieka. Miał dosyć złota, żeby kupić następne, jednak nie sądził, aby Min ucieszył godzinny spacer do wioski, w której zostawili juczne konie.

Ruszył szybko przez polanę, starając się sprawiać wrażenie, że powodem potknięcia było tylko raptowne przejście z posadzki pałacu na głęboki po kolana śnieg, z wypuszczeniem Mocy zaczął tylko do momentu, aż schwyciła swoją torbę z książkami i ruszyła za nim. Polana znajdowała się pięćset mil od Cairhien, ze wszystkich miejsc godnych wzmianki najbliższej stąd było chyba do Tar Valon. Kiedy brama zamknęła się, równocześnie w umyśle osłabło wrażenie obecności Alanny.

– Tłumaczyłeś? – zapytała Min podejrzliwie. Miał nadzieję, że podejrzliwość ta odnosi się do jego motywacji czy czegokolwiek innego, byle tylko nie podejrzewała prawdy. Oszołomienie i mdłości powoli ustępowały. – Jesteś w równym stopniu otwarty, co skorupa małża, Rand, ale ja mam oczy. Najpierw Podróżowaliśmy do Rhuidean, gdzie zadawałeś tyle pytań o to miejsce zwane Sharą, że każdy mógł sobie pomyśleć, iż tam właśnie się wybierasz. – Lekko zmarszczyła czoło, równocześnie mocując jedną z toreb do siodła kasztanowego wałacha. Stęknęła z wysiłku, najwyraźniej jednak nie miała zamiaru bodaj na moment położyć drugiego ciężaru w śniegu. – Nigdy nie sądziłam, że Pustkowie Aiel mogło tak wyglądać. Miasto jest większe od Tar Valon, mimo iż w połowie obrócone w gruzy. Wszystkie te fontanny, jezioro. Nie byłam w stanie nawet dostrzec drugiego brzegu. Sądziłam, że na Pustkowie w ogóle nie ma wody. I było tam równie zimno jak tutaj, a przecież mówiono mi, że na Pustkowie panują upały!

– Latem za dnia możesz się usmażyć, nocą jednak dalej marzniesz. – Doszedł już na tyle do siebie, żeby spróbować przerzucić własny ciężar na siodło siwka. Prawie. W każdym razie udało mu się. – Skoro już wszystko wiesz, powiedz mi, proszę, czym jeszcze się tam zajmowałem prócz zadawania pytań?

– Chodziło o to samo, o co chodziło w Łzie zeszłej nocy. Żeby wszystkie koty i kosy wiedziały, że tam byłeś. W Łzie pytałeś o Chachin. To oczywiste. Próbowaleś wprowadzić w błąd każdego, kto będzie chciał odkryć, gdzie się znajdujesz i dokąd się wybierasz.

Przytroczywszy drugą torbę książek, odwiązała wodze i wskoczyła na siodło. – A więc co, nie mam oczu?

– Twoich oczu i orzeł by się nie powstydział. – Miał nadzieję, że ci, którzy go ścigali, zobaczą rzecz równie jasno. Albo przynajmniej ten, który ich posłał. Na nic by się zdało, gdyby uganiał się za nim, Światłość tylko jedna wie gdzie. – Przypuszczam, że powinienem zostawić więcej fałszywych śladów.

– Po co tracić czas? Wiem, że masz jakiś plan, wiem, że jest to jakoś związane z tym skórzanym tobołkiem... chodzi o *sa'angreal*?... i wiem jeszcze, że to ważne. Skąd to zdziwienie? Nawet na moment nie spuszczasz tego worka z oka. Dlaczego jednak nie postępować zgodnie z planem, cokolwiek by przewidywał, a fałszywe ślady zostawić później? Podobnie, rzecz jasna, jak prawdziwe. Sam powiedziałeś, że stawisz im czoło, kiedy najmniej się będą spodziewać. Jak masz zamiar tego dokonać, jeśli zmusisz ich, by poszli za tobą, do miejsca, które sam wybierzesz?

– Żałuję, że w ogóle wzięłaś do ręki którąkolwiek z książek Herida Fela – mruknął ponuro, wdrapując się na siodło siwka. Tylko odrobinę zakreśliło się mu w głowie. – Zbyt wielu rzeczy potrafisz się domyślić. Czy w ogóle będę w stanie zachować przed tobą jakąś tajemnicę?

– Przecież to nigdy nie było możliwe, ośle – zaśmiała się, a potem przecząc własnym słowom, zapytała: – Co właściwie zamierzasz? To znaczy, oprócz zabicia Dashivy i spiskowców. Mam prawo wiedzieć, skoro będę ci towarzyszyć. – Jakby to nie ona się upierała, by jechać razem z nim.

– Mam zamiar oczyścić męską połowę Źródła – powiedział głosem pozbawionym wyrazu. Brzemienne oświadczenie. Wielki plan, majestatyczny wręcz. Można by rzec, pyszny w swym majestacie. Jeśli jednak sądzić z reakcji Min, to równie dobrze mógłby oznajmić, że wybiera się na popołudniowy spacer. Zwyczajnie spojrzała tylko na niego i trwała tak przez moment z dłońmi splecionymi na łęku siodła, czekając, co powie dalej.

– Nie mam pojęcia, ile mi to zajmie czasu, ale kiedy już zacznę, w promieniu tysiąca mil każdy, kto jest w stanie przenosić, będzie wiedział, że coś się dzieje. Wątpię jednak, bym był w stanie po prostu przestać, jeśli zniemacka pojawi się Dashiva z kolegami lub któryś z Przeklętych, żeby sprawdzić, co się dzieje. Jeśli chodzi o Przeklętych, to nic w tej sprawie nie będę mógł zrobić, natomiast przy odrobinie szczęścia raz na zawsze załatwię sprawę pozostałymi – Może fakt, że był *ta'veren*, da mu tę odrobinę przewagi, której tak desperacko potrzebował.

– Jeśli będziesz polegał na szczęściu, to Corlan Dashiva albo któryś z Przeklętych zjedzą cię na śniadanie – powiedziała, kierując wierzchowca ku linii drzew. – Być może będę w stanie wymyślić coś lepszego. Jedźmy. W tamtej gospodzie czekają na nas przytulne wnętrza. Mam nadzieję, że przed odjazdem dadzą nam coś ciepłego do zjedzenia.

Rand z niedowierzaniem popatrzył w ślad za nią. Można by pomyśleć, że pięciu zdradzieckich Asha'manów, nie wspominając już o Przeklętych, nie znaczy nic więcej od bolącego zęba. Wbił obcasy w boki siwka, który poderwał się ze śniegiem tryskającym spod kopyt, dogonił ją i odtąd przez czas jakiś jechali w całkowitym milczeniu. Wciąż skrywał przed nią kilka rzeczy, jak choćby te mdłości, które trapiły go, gdy próbował przenosić. Taki był prawdziwy powód, żeby najpierw zająć się Dashivą i tamtymi. Będzie miał czas, żeby jakoś dojść do siebie. Jeśli w ogóle mu się uda. Jeżeli nie, to należało podejrzewać, że dwa *ter'angreale*, które wiozł przytroczone do siodła, zapewne nie zdadzą się na nic.

# POŻEGNANIE Z PROROKIEM

Koło Czasu obraca się, a Wieki nadchodzą i mijają, pozostawiając wspomnienia, które stają się legendą. Legenda staje się mitem, a potem nawet mit jest już dawno zapomniany, kiedy nadchodzi Wiek, który go zrodził. W jednym z Wieków, zwanym przez niektórych Trzecim Wiekem, Wiekem, który dopiero nadejdzie, Wiekem dawno już minionym, nad Oceanem Aryth zerwał się wiatr. Wiatr ten nie był prawdziwym początkiem. Nie istnieją początki ani zakończenia w obrotach Koła Czasu. Był to jednak jakiś początek.

Na wschód wiał wiatr, ponad chłodnymi szarzielonymi falami oceanu, ku Tarabon, gdzie statki czy to już rozładowane, czy oczekujące na wejście do zatoki Tanchico, kołysały się na kotwicach wzdłuż całych mil niskiego wybrzeża. Kolejne okręty, duże i małe, tłoczyły się w szerokiej zatoce; ludzi i ładunek dowożono na brzeg barkami, ponieważ przy nabrzeżach miasta nie było bodaj jednego wolnego miejsca do zacumowania. Mieszkańców Tanchico zdjął lęk, kiedy miasto poddało się swoim nowym panom z ich osobliwymi obyczajami, dziwnymi stworami i potrafiącymi przenosić kobietami trzymanymi na smyczy, strach pogłębił się jeszcze, kiedy przybyła ta flota, liczebnością przekraczająca wszelkie wyobrażenia, wioząc na pokładach nie tylko żołnierzy, lecz również bystrookich kupców, rzemieślników ze wszystkimi narzędziami swej sztuki, wreszcie rodziny farmerów i całe wozy narzędzi rolniczych oraz nieznanych roślin. Jednak przestrzegania praw w mieście strzegli nowy Król i nowa Panarch, a nawet jeśli i Król, i Panarch złożyli hołd jakiejś odległej Cesarzowej, jeśli szlachta Seanchan zajęła wiele pałaców, wymagając większej czołobitności niżli jakikolwiek taraboński lord lub dama, w życiu większości ludzi niewiele się zmieniło, a jeśli już, to na lepsze. Zwyczajny mieszkaniec niewielkie miał szansę na bezpośredni kontakt z seanchańską Krwią, osobliwe obyczaje zaś stanowiły coś, z czym da się jakoś żyć. Anarchia która rozdarła kraj na strzępy, była dziś już tylko wspomnieniem, wraz z nią zacierała się pamięć o głodzie. Buntownicy, bandyci i Zaprzysiężeni Smokowi, którzy ongiś pustoszyli te ziemie, zostali pozabijani, schwytani, a ci, którzy nie ulegli jeszcze, zepchnięci na pomoc, na Równinę Almoth, a handel ruszył znowu. Hordy głodujących uchodźców, mrowiące się na niegdyś ulicach, wróciły do swych wiosek, z powrotem na rolę. Z nowo przybyłych zaś w Tanchico pozostało tylko tyle, ile miasto bez trudu mogło wyżywić. Mimo zalegających śniegów tysiące, dziesiątki tysięcy wojska, kupców, rzemieślników i farmerów ruszyło w głąb lądu, tak więc lodowaty wiatr smagał swymi podmuchami miasto ogarnięte pokojem i nadto, po wszystkich przejściach, jakich mu było dane doświadczyć, zasadniczo zeń zadowolone.

Na wschód wiał wiatr, dmąc przez całe ligi przestrzeni, zrywając się i na powrót przycichając, skręcając, ale nigdy nie zamierając ze szczerem, na wschód, a czasami trochę na południe, ponad lasami i stepami otulonymi zimą, szarpiąc gołe gałęzie i źdźbła zbrązowiełej trawy, docierając na koniec do miejsca, które kiedyś wyznaczało granicę między Tarabonem i Amadicią. Jeżeli wciąż była to granica, to już tylko nominalnie, strefy cła zlikwidowano, strażnicy zniknęli. Wiatr dał na wschód i na południe, omiatając południowe pasma Gór Mgły, krążąc ponad wysokimi murami Amadoru. Podbitego Amadoru. Na sztandarze łopoczącym ponad masywną Fortecą Światłości złoty jastrząb poruszał się jak żywy, ściskając w szponach groty błyskawic. Bez wyraźniej potrzeby rodowici mieszkańcy rzadko opuszczali swe domy, a ci nieliczni, którzy musieli, ze spuszczonego wzrokiem przemykali pod ścianami zamrzniętych ulic, otuleni ciasno płaszczami. Ze spuszczonego wzrokiem – nie tylko po to, aby uniknąć poślizgnięcia się na lodowatym bruku, ale również, by nie

widzieć przypadkowego Seanchanina dosiadającego bestii podobnej do pokrytego brązową łuską kota, z tym że wielkiego niczym koń, albo oddziału gwardzistów tarabońskich w kolczych welonach, strzegących grup niegdysiejszych Synów Światłości, skutych obecnie i zaprzęgniętych niczym zwierzęta do wozów z nieczystościami, odprowadzanych poza miasto. Ledwie minął miesiąc i pół pod seanchańską władzą, a już mieszkańcy stolicy Amadicii gięli się w podmuchach kąśliwego wiatru niczym pod ciosami bicia, a ci, którzy nie przeklinali otwarcie swego losu, dumali, jakie też grzechy ściągnęły na nich obecną sytuację.

Ku wschodowi zawodził wiatr, ponad spustoszoną ziemią, gdzie w tyłuż wioskach i farmach żyli ludzie, ile ich leżało w gruzach wypalonych pogorzeliisk. Śnieg pokrywał obojętną warstwą szerniałe belki i opustoszałe stodoły, czyniąc ich widok jakoś łatwiejszym do zniesienia, mimo iż przecież oznaczał dla kolejnych mas ludzkich śmierć nie tylko z głodu, lecz także z zimna. Wszędzie widać było ślady przemarszu miecza, topora i włóczni, wiadomo było też, że nie odeszły, że zostały, gotowe znów zabijać. Ku wschodowi zawodził wiatr swą pieśń żałobną ponad niestrzeżoną murami Abilą. Żadne sztandary nie powiewały z wieży strażniczych miasteczka, przebywał w nim bowiem Prorok Lorda Smoka, a Prorok nie potrzebował żadnego sztandaru prócz własnego imienia. W Abili ludzie znacznie bardziej drżeli na dźwięk imienia Proroka, niżli pod podmuchami wiatru. Wszędzie indziej zresztą imię to wzbudzało podobne reakcje.

Perrin wyszedł rażnym krokiem z wysokiego domu kupca goszczącego Masemę i naciągając rękawice, pozwolił, by wiatr rozchylił poły jego obrzeżonego futrem płaszcza. Południowe słońce nie dawało ciepła, mroźne powietrze kąsało dotkliwie. Z jego twarzy trudno byłoby coś wyczytać, w istocie jednak był zbyt rozeźlony, aby odczuwać chłód. Wysiłku wymagało panowanie nad dłońmi, rwącymi się do topora. Masema – nie będzie przecież tytułował tamtego Prorokiem, przynajmniej nie we własnych myślach!... – Masema najprawdopodobniej był głupcem, natomiast bez żadnych wątpliwości był wariatem. Potężny głupiec, potężniejszy od wielu królów, a na dodatek szalony.

Ulica pełna była strażników Masemy, którzy stali od ściany do ściany, tłumem sięgającym na przyległe uliczki – wychudzeni ludzie w ukradzionych jedwabiach, pozbawieni zarostu czeladnicy w podartych kaftanach, wyraźnie niegdyś pulchni kupcy w resztkach świetnych wełen. Oddechy unosiły się nad głowami chmurą zamarznętej pary, kilku dygotało bez płaszczy, każdy jednak dzierzył broń, włócznię lub kuszę z nałożonym bełtem. Żaden jednak nie zdradzał oznak jawnej wrogości. Wiedzieli, że Perrin ma prawo rościć sobie pretensje do znajomości z ich Prorokiem, gapili się więc, jakby oczekiwali, że za chwilę podskoczy do góry i pofrunie. Albo przynajmniej wytnie hołubca. W tle woni tłumy wyłowił zapach dymu, bijącego z kominów miasteczka. Sam tłum rozsiewał odór zastarzałego potu i niemytych ciał, skwapliwości i strachu. Oraz dziwną gorączkę, której wcześniej nie był w stanie rozpoznać, a która stanowiła odbicie szaleństwa gorejącego w Masemie. Niezależnie jednak od stanu uczuć, na jedno słowo Masemy motłoch zabije jego albo kogokolwiek tamten wskaże. Na rozkaz Masemy całe narody pójdą pod nóż. Wczuwając się w ich zapach, znajdował w nim chłód zimniejszy niżli każdy zimowy wiatr. Na myśl, że nie pozwolił Faile jechać ze sobą, wezbrało w nim większe jeszcze niż dotąd zadowolenie.

Strzegący koni mężczyźni na fragmencie bruku z grubsza oczyszczonym z mieszaniny błota i śniegu wypełniali czas grą w kości, schowani za ciałami zwierząt, przynajmniej wykonywali ruchy, które można było tak zinterpretować. Nie ufał Masemie na tyle, by postawić na to zaufanie swego gniadosza, oni myśleli podobnie. Więcej uwagi zwracali na dom i wartowników niżli na grę. Gdy tylko go zobaczyli, trzech Strażnicy poderwali się na równe nogi, oczyma łowiąc idące z nim towarzyszeki. Doskonale wiedzieli, co czuły ich Aes Sedai we wnętrzu domu. Neald zachował się spokojniej, po drodze zbierając kości i monety. Asha'man – zawsze próżny niczym paw,

podkręcający węża, przęcający się i uśmiechający do kobiet – teraz stał czujny, kołyszając się na ugiętych nogach, niczym przyczajony kot.

– Przez chwilę myślałem, że orężem będziemy musieli wycinać sobie drogę do wyjścia – mruknął Elyas idący obok Perrina. Jednak w złotych oczach można było dostrzec jedynie spokój. Tworzył osobliwy widok: chudy starszy mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem, siwiejącymi włosami opadającymi aż do pasa i długą brodą, spływającą na piersi. Przy pasie miał nóż zamiast miecza. Ale kiedyś był Strażnikiem. Do pewnego stopnia wciąż nim pozostał.

– To jedyna rzecz, która poszła po naszej myśli – zwrócił się do niego Perrin, biorąc wodze Stayera z rąk Nealda. Asha’man pytająco uniósł brew, Perrin jednak pokręcił głową, nie dbając szczególnie o treść milczącego pytania, Neald zaś skrzywił się tylko nieznacznie i podał Elyasowi wodze mysiego wałacha, a następnie wspiał się na siodło swego deresza.

Perrin naprawdę nie miał czasu na humory Murandianina. Rand posłał go, żeby sprowadził mu Masemę i Masema wybierał się w drogę. Jak zawsze ostatnimi czasy, gdy pomyślał o Randzie, w jego głowie roztańczyły się smugi barw, i jak zawsze zignorował je. Masema stanowił problem zbyt poważny, żeby jeszcze marnować czas na zastanawianie się nad jakimiś kolorowymi smugami. Tamten przeklęty głupiec uważał za świętokradztwo, jeżeli ktokolwiek prócz Randa dotknął Jedynej Mocy. Rand, na to wychodziło, nie był zwyczajnym śmiertelnikiem – był Światłością ucieleśnioną! W ten sposób nie będzie żadnego Podróżowania, żadnego szybkiego skoku do Cairhien bramą wykonaną przez któregoś z Asha’manów, niezależnie jakby nie przekonywać Masemy. Będą musieli przemierzyć konno całe czterysta lig, a może nawet więcej, przez tereny znajdujące się, Światłość jedna wie, w jakim stanie. I cały czas ukrywać, kim są, nie zdradzić, kim jest Masema. Tak brzmiały rozkazy Randa.

– Moim zdaniem, jest tylko jeden sposób, żeby nam się udało, chłopcze – powiedział Elyas takim tonem, jakby się zastanawiał na głos. – Choć dalej szansę są niewielkie. Być może powinniśmy jednak dać temu facetowi po łbie i wywalczyć sobie drogę ucieczki.

– Wiem – warknął Perrin. Podczas godzin spędzonych na przekonywaniu Masemy nieraz przychodziło mu to do głowy. Biorąc pod uwagę, że Asha’mani, Aes Sedai i Mądre potrafili przenosić, rzecz nawet mogłaby się udać. Ale widział już bitwę toczoną przy użyciu Jedynej Mocy, ludzi rozrywanych w mgnieniu oka na ociekające krwią strzępy, ziemię zakwitającą ogniem. Zanim by skończyli, Abila zmieniałaby się w dziedziniec rzeźni. Gdyby cokolwiek odeń zależało, wolałby już nigdy więcej nie oglądać takich widoków.

– Jak myślisz, co ten twój Prorok zrobi? – zapytał Elyas.

Perrin najpierw musiał przegnać sprzed oczu obrazy spod Studni Dumai oraz Abili wyglądającej jak Studnie Dumai po bitwie, zanim dotarł do niego sens słów Elyasa. Aha. W jaki sposób miał zamiar dokonać niemożliwego.

– Nie dbam o to, co robi. – Jednego można było być pewnym, że z pewnością narobi kłopotów.

Zdenerwowany szarpnął swoją brodę. Powinien ją przystrzyc. Lub raczej pozwolić sobie przystrzyc. Gdyby wziął do ręki nożyczki, Faile z pewnością odebrałaby mu je i zapędziła do roboty Lamgwina. W jego oczach wciąż absurdalnym było, że ten potężny osiłek ze swoją poblížnioną twarzą i poobijanymi kłykciami wyznaje się na obowiązkach osobistego służącego Światłości! Osobisty służący. Powoli jakoś dochodził do ładu z Faile i jej dziwnymi saldaeńskimi obyczajami, ale im bardziej dochodził do ładu, tym bardziej ona potrafiła postawić na swoim. Oczywiście, kobiety zawsze stawiały na swoim, niekiedy jednak wydawało mu się, że trafił z deszczu pod rynnę. Może powinien częściej odwoływać się do tego krzyku, który tak znakomicie opanował, a który najwyraźniej jej tak odpowiadał. Mężczyzna powinien mieć prawo popracować nożyczkami nad

własną brodą, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Jednak wątpił, by mu się udało. Z krzykiem na nią było już dość kłopotów, nawet jeśli to ona zaczęła pierwsza krzyżeć. Tak czy siak, nie pora teraz na takie głupstwa.

Przyjrzał się pozostałym, jak zmierzali do swych wierzchowców, jakby oglądał narzędzia potrzebne do wykonania ciężkiej pracy. Obawiał się, że Masema zmieni tę podróż w zadanie najbardziej paskudne ze wszystkich, jakie zdarzyło mu się w życiu podjąć, a jego narzędzia były raczej w nie najlepszym stanie.

Seonid i Masuri przystanąły obok niego, kaptury płaszczy miały naciągnięte głęboko, ich twarze skrywał cień. Słaby zapach perfum nakładał się na ostre niczym brzytwa dreszcze – strach pod kontrolą. Masema zabiłby je na miejscu, gdyby tylko mu pozwolić. Wartownicy dalej mogli się zachować w nieprzewidywalny sposób, jeśli rozpoznają twarze Aes Sedai. A wśród takiej ciżby mogli się znajdować ludzie, którzy wiedzieli, jak wyglądają. Masuri była wyższa od swej towarzyszki nieomal o dłoń, jednak Perrin dalej mógł na nią spoglądać z góry. Nie zwracając uwagi na Elyasa, siostry wymieniły spojrzenia spod cieni kapturów, potem Masuri przemówiła cicho:

– Rozumiesz teraz, dlaczego należy go zabić? Ten człowiek jest jak... wściekły pies. – No cóż, Brązowa siostra rzadko kiedy łagodziła wymowę swych słów. Na szczęście żaden z uzbrojonych mężczyzn nie stał na tyle blisko, żeby usłyszeć, o kim mowa.

– Nie musimy przecież tu i teraz o tym mówić – odparł. Zresztą wcale nie chciał od nowa wysłuchiwać argumentów tamtej ani teraz, ani później, jednak zwłaszcza nie teraz i nie tutaj. Okazało się jednak, że na szczęście chyba nie będzie musiał.

Za Aes Sedai pojawiły się Edarra i Carelle, ciemne szale już udrapowały na głowach. Ich fragmenty, które spływały na piersi i plecy, nie bardzo dawały jakąkolwiek ochronę przed zimnem, jednak chłód Mądre najwyraźniej lekcewały, znacznie bardziej niepokoił je śnieg i to samym faktem swego istnienia. Pociemniałe od słońca twarze, jeśli oceniać je po wyrażanych emocjach, równie dobrze mogły być wykute z kamienia, niemniej otaczała je woń ostra jak stal. Błękitne oczy Edarry, zazwyczaj tak pełne opanowania, że sprawiały dziwne wrażenie w zestawieniu z młodzieńczymi rysami twarzy, teraz były ostre niczym stalowy kolec. Oczywiście, jej spokój maskował stal. Ostrą stal.

– To nie jest miejsce na takie rozmowy. – Carelle łagodnie upomniała Aes Sedai, chowając wymykające się spod kaptura pasmo ogniste rudy włosy. Wzrostem dorównująca większości mężczyzn, zachowywała się zawsze nadzwyczaj łagodnie. Jak na Mądrą. Co oznaczało jedynie, że nie odgryzie ci nosa, wpięrow nie uprzedziwszy. – Do koni.

A tamte kobiety ukłoniły się jej lekko i pośpieszyły ku swym wierzchowcom, jakby w ogóle nie były Aes Sedai. I zaiste nie były, przynajmniej w oczach Mądrych. Perrin znowu pomyślał, że chyba nigdy się do tego nie przyzwyczai. Nawet jeśli Masuri i Seonid najwyraźniej się z faktem pogodziły.

Z westchnieniem wskoczył na siodło Stayera, podczas gdy Mądre szły w ślad za swoimi uczennicami Aes Sedai. Po dłuższym odpoczynku ogier tańczył nerwowo, Perrin szybko opanował go uściskiem kolan i mocny chwytem wodzy. Nawet po kilku tygodniach praktyki kobiety Aielów trzymały się w siodłach niezgrabnie, grube spódnice zadarte były wysoko ponad kolana nóg w wełnianych pończochach. Całkowicie zgadzały się ze zdaniem obu siostr na temat tego, co należy zrobić z Masemą, podobnie zresztą jak pozostałe Mądre w jego obozie. Duży kociołek gorącego gulaszu dla każdego, kto potrafi dowieźć go do Cairhien i nie poparzyć się po drodze.

Grady i Aram już siedzieli w siodłach, nie potrafił wyłowić ich zapachów wśród woni pozostałych. Zresztą nie było potrzeby. Mimo czarnego kaftana i srebrnego miecza przy kołnierzu, w jego oczach Grady zawsze wyglądał na farmera – teraz było inaczej. Nieruchomy jak posąg w swym



siodle, krepy Asha'man przyglądał się wartownikom Masemy ponurym wzrokiem człowieka, który zastanawia się, gdzie najpierw przyłożyć ostrze. I gdzie przyłożyć je potem, i znowu, tyle razy, ile będzie trzeba. Aram natomiast ze swoim wydętym zielonym płaszczem Druciarza powiewającym na wietrze i rękojeścią miecza sterczącego znad ramienia, miał na twarzy wyraz takiego podniecenia, że Perrin poczuł, jak pęka mu serce. Aram widział w Masemie człowieka, który oddał swe życie, serce i duszę Smokowi Odrodzoneму. W sercu Arama zaś Smok Odrodzony zajmował miejsce tuż po Faile i Perrinie.

„Nie robisz chłopakowi dobrej przysługi” – usłyszał Perrin od Elyasa. „Pomogłeś mu odrzucić to, w co wierzył, a teraz pozostała mu już tylko wiara w ciebie i swój miecz. A tego jest za mało, żadnemu mężczyźnie to nie wystarczy”. Elyas poznał Arama, kiedy ten był jeszcze Druciarzem, zanim wziął broń do ręki.

Gulasz może okazać się trujący, przynajmniej dla niektórych.

Zbrojni Masemy mogli się przyglądać Perrinowi ze zdziwieniem, żaden jednak nie drgnął, by zrobić przejście, póki nie okrzyknięto ich z okna. Dopiero tłum rozsunał się na tyle, że jeźdźcy mogli ruszyć pojedynczą kolumną. Bez jego zgody dotarcie do Proroka nie było łatwe. Opuszczenie go stanowiłoby niemożliwość.

Gdy tylko oddalili się stosownie od Masemy i jego ludzi, Perrin narzucił tempo tak szybkie, na jakie pozwalały zatłoczone ulice. Jeszcze nie tak dawno temu Abila była sporym, dobrze prosperującym miasteczkiem, z wybrukowanymi kamieniem rynkami i wysokimi na cztery piętra budynkami krytymi dachówką. Dalej była dość spora, jednak miejsca, w których niegdyś znajdowały się domy i gospody, teraz znaczyły kupy gruzów. W Abili nie została żadna gospoda ani dom, w którym nie dość szybko zdecydowano się uznać chwałę Lorda Smoka Odrodzonego. Dezaprobata Masemy rzadko kiedy znajdowała subtelny wyraz.

W ciżbie nieczęsto przewijali się ludzie wyglądający na rodowitych mieszkańców – obszarpańcy w nędznych łachach, przemykający lękliwie pod ścianami domów. Żadnych dzieci. Ani psów – najwyraźniej głód musiał wszystkim bardzo doskwierać. Jak okiem sięgnąć, grupki uzbrojonych mężczyzn brodziły po kostki w błocie, które jeszcze zeszłej nocy było śniegiem, dwudziestu tutaj, pięćdziesięciu tam, kopniakami odganiając przechodniów zbyt wolno schodzących im z drogi, zmuszając nawet woźniców zaprzęzonych w woły wozów do skręcania. Zawsze jacyś pozostawali w zasięgu wzroku, rzesze. W mieście musiały ich być tysiące. Armia Masemy składała się z motłochu, liczebnością jednak nadrabiała pozostałe niedostatki. Dzięki Światłości, że tamten zgodził się zabrać ze sobą jedynie setkę. Wynegocjowanie tego zabrało godzinę, w końcu jednak zdobyli jego zgodę. Ostatecznie zwyciężyło pragnienie Masemy, by jak najszybciej dotrzeć do Randa, choć Podróżować nie chciał za nic w świecie. Niewielu z jego zwolenników dysponowało końmi, a im więcej ich będzie maszerować, tym wolniej będą się poruszać. W takiej sytuacji przynajmniej dotrą przed nocą do obozu Perrina.

Jak dotąd Perrin nie dostrzegł żadnych konnych, z wyjątkiem należących do jego oddziału, toteż nic dziwnego, że przyciągali spojrzenia zbrojnych, spojrzenia ciężkie jak kamień, spojrzenia płonące gorączką. Dobrze odziani ludzie byli stosunkowo częstymi gośćmi Proroka, szlachta i kupcy przybywający w nadziei, że osobiste stawiennictwo zapewni im więcej przychylności i mniejsze kary, zazwyczaj jednak i tak musieli wracać pieszo. Oddział Perrina miał jednak przed sobą wolną drogę, pominawszy konieczność omijania zgromadzeń wyznawców Masemy. Jeśli odjeżdżali konno, musiało być to zgodne z wolą Proroka. Mimo to Perrin nie musiał przypominać, aby trzymać się razem. W Abili panowała atmosfera oczekiwania, nikt z odrobiną bodaj oleju w głowie nie miał ochoty być w pobliżu, kiedy oczekiwanie dobiegnie końca.

Z prawdziwą ulgą powitał widok Balwera, wbijającego kolana w boki swego wałacha o szerokim nosie – tamten wyjechał z bocznej uliczki tuż obok niskiego drewnianego mostu, którym droga wiodła za miasto. Na kolejną falę ulgi, prawie równie mocnej, musiał czekać do chwili, aż pokonali most i minęli ostatnich wartowników. Balwer, drobny mężczyzna o ostrej twarzy, składający się chyba wyłącznie ze ścięgien, na którym prosty brązowy kaftan wisiał niczym na wieszaku, wbrew pozorom znakomicie potrafił o siebie zadbać, jednak Faile zdecydowana prowadzi stosowny dla szlachcianki dom byłaby co najmniej niezadowolona, gdyby Perrin pozwolił, by choć włos z głowy spadł jej sekretarzowi. Sekretarzowi jej i Perrina. Perrin jeszcze nie zdecydował, co właściwie powinien myśleć o posiadaniu sekretarza, niemniej tamten dysponował umiejętnościami dalece wykraczającym poza kaligrafię. Których zresztą dowiódł już w momencie, gdy opuścili miasto i znaleźli się wśród niskich, zalesionych wzgórz. Większość gałęzi drzew była całkowicie naga, a te, na których trzymała się jeszcze pojedyncza igła lub liść, stanowiły plamy żywej zieleni na tle bieli. Całą drogę mieli dla siebie, jednak koleiny w zamrzniętym śniegu utrudniały jazdę.

– Wybacz mi, lordzie Perrinie – mruknął Balwer, pochylając się w siodle ku niemu poza plecami Elyasa – ale przypadkiem udało mi się usłyszeć coś, co może cię zainteresować. – Dyskretnie kaszlnął, przykrywając usta rękawicą, a potem pośpiesznie naciągnął kaptur i ściślej otulił się płaszczem.

Elyas i Aram nie potrzebowali właściwie nawet gestu Perrina, żeby dołączyć do jadących z tyłu. Wszyscy już przyzwyczaili się do wymogów prywatności, z jakimi wiązał się, tryb życia małego człowieka. Dlaczego konsekwentnie upierał się by udawać, że wcale nie zbiera informacji w każdym miasteczku czy wiosce, przez które przejeżdżali, tego Perrin nie potrafił odgadnąć. Przecież musiał wiedzieć, że Perrin o wszystkim rozmawia z Faile i Elyasem. W każdym razie zbieranie informacji wychodziło mu aż nazbyt zrecznie.

Balwer przekrzywił głowę, by móc obserwować jadącego obok Perrina.

– Mam dwie wieści, mój panie, jedna w mojej opinii jest istotna, druga zaś pilna. – I choć wieści może rzeczywiście były pilne, nawet głos tamtego był wciąż całkowicie pozbawiony wyrazu, suchy niczym szelest opadłych liści.

– Jak pilna? – Perrin sam ze sobą założył się w myślach, czego będzie dotyczyła pierwsza wiadomość.

– Przypuszczalnie bardzo pilna, mój panie. Król Ailron wydał Seanchanom bitwę pod Jeramel, mniej więcej sto mil na zachód stąd. Stało się to jakieś dziesięć dni temu. – Usta Balwera zacisnęły się przelotnie w irytacji. Nienawidził braku precyzji, nienawidził niewiedzy. – Godne zaufania informacje stanowią rzadkość, jednak bez najmniejszej wątpliwości można stwierdzić, że amadiciańcy żołnierze zostali pozabijani, wzięci do niewoli lub rozproszeni. Byłbym naprawdę zaskoczony, gdyby się okazało, że zostało ich więcej niż pojedyncze liczące setkę ludzi oddziały, a i te wkrótce z pewnością zajmą się rozbojem. Sam Ailron trafił do niewoli, wraz z całym dworem. Amadicia nie ma już żadnej szlachty, przynajmniej liczącej się.

Perrin w myślach odnotował przegrany zakład. Balwer zazwyczaj rozpoczynał od wieści o Białych Płaszczach.

– Szkoda Amadicii, jak mniemam. W każdym razie ludzi wziętych do niewoli. – Wedle Balwera Seanchanie w okrutny sposób obchodzili się z jeńcami, którzy odważyli się wystąpić zbrojnie przeciwko nim. A więc Amadicii nie została już żadna armia ani żadna szlachta, która mogłaby wystawić i poprowadzić następną. Nic więc nie powstrzymywało teraz Seanchan przed szybkim marszem naprzód, chociaż w istocie i tak ich ofensywa przebiegała nadzwyczaj szybko, nawet

wówczas, gdy napotykali na jakiś opór. Najlepiej ruszać na wschód, gdy tylko Masema dotrze do obozu i narzucić tempo tak szybkie, jakie tylko wytrzymają ludzie i zwierzęta.

Tyle też powiedział. A Balwer przytaknął, uśmiechając się nieznacznie, z aprobatą. Zazwyczaj był zadowolony, gdy Perrin doceniał wagę przekazywanych mu informacji.

– Jeszcze jedna kwestia, mój panie – ciągnął dalej. – Białe Płaszcze wzięły udział w bitwie, najwyraźniej jednak Valda zdołał pod jeniec walk wyprowadzić z pola większość żołnierzy. Musiało mu dopisywać szczęście Czarne. Nikt jednak chyba nie ma pojęcia, dokąd się udali. Albo raczej, każdy podaje inny kierunek. Gdyby mnie pytać, stawiałbym na wschód. Jak najdalej od Seanchan. – I oczywiście ku Abili.

Więc jednak nie przegrał zakładu. Chociaż tamten rozpoczął od innej informacji. Założmy remis. Daleko przed nimi jastrząb wbił się w bezchmurne niebo i pomknął na północ. Dotrze do obozu na długo przed nimi. Perrin pamiętał jeszcze czasy, gdy miał nie więcej trosk niż ten jastrząb. Przynajmniej w porównaniu z chwilą obecną. Było to bardzo dawno temu.

– Podejrzewam, że Białe Płaszcze znacznie bardziej będą się interesować unikaniem Seanchan niż sprawianiem nam kłopotów, Balwer. W każdym razie i tak nie sprawią, że będziemy szybciej podróżować. Czy to była ta druga wiadomość?

– Nie, mój panie. To tylko uwaga na marginesie. – Balwer zdawał się szczerze nienawidzić Synów Światłości w ogóle, a Valdy w szczególności. Perrin podejrzewał, że musiała być to kwestia doznanych w przeszłości krzywd, podobnie jednak jak wszystkie pozostałe rzeczy w tym człowieku, i jego nienawiść była sucha, chłodna. Pozbawiona emocji. – Wedle drugiej wiadomości, Seanchanie stoczyli kolejną bitwę, tym razem w południowej Altarze. Prawdopodobnie przeciwko Aes Sedai, chociaż ktoś wspominał o przenoszących mężczyznach. – Obróciwszy się w siodle, Balwer objął wzrokiem Grady'ego i Nealda w ich czarnych kaftanach. Grady rozmawiał z Elyasem, Neald zaś w Aramem, obaj jednak Asha'mani równocześnie tak samo uważnie przepatrywali las, co zamykający kolumnę Strażnicy. Aes Sedai i Mądre też o czymś dyskutowały przyciszonymi głosami. – Ktokolwiek był ich przeciwnikiem, mój panie, wychodzi na to, że Seanchanie przegrali i wycofali się do Ebou Dar.

– Dobre wieści – bez przekonania skomentował Perrin. Przed jego oczyma znowu roztoczyły się obrazy starcia pod Studniami Dumai, jeszcze bardziej wyraziste niż przedtem. Na chwilę znowu stał wsparty plecami o plecy Loiala, rozpaczliwie walcząc, pewny, że każdy jego kolejny oddech jest już tym ostatnim. Zadrżał po raz pierwszy dzisiaj. Przynajmniej Rand wiedział o Seanchanach. I chociaż o to nie trzeba się było martwić.

Zorientował się, że Balwer go obserwuje. Przygląda mu się z uwagą, jaką mógłby okazywać ptak na widok dziwnego owada. Widział, jak zadrżał. Ten mały człowieczek lubił wszystko wiedzieć, istniały jednak tajemnice, których nikt nigdy nie pozna.

Spojrzenie Perrina objęło z powrotem jastrzębia, który obecnie był już tylko plamką na horyzoncie, nawet dla oczu tak bystrych jak jego. Ptak sprawił, że pomyślał o Faile, tym ognistym sokole, którego wziął za żonę. Jego pięknym sokole. Przegnał ze swej głowy wszelkie myśli o Seanchanach, Białych Płaszczach i Masemie. Przynajmniej na moment.

– Przyśpieszmy nieco – zawołał do pozostałych. Jastrząb z pewnością zobaczy Faile wcześniej niż on, jednak w przeciwieństwie do ptaka, on będzie patrzył na miłość swego serca. I dzisiaj na pewno nie będzie na nią krzyczał, nieważne, co by zrobiła.

# PORWANA

Jastrząb szybko zniknął mu z oczu, a droga wciąż pozostawała zupełnie pusta i choć Perrin ponaglał wszystkich, jak mógł, zamarznęte koleiny, grożące koniom połamaniem nóg, zaś jeźdźcom skręceniem karku, nie pozwalały jechać naprawdę szybko. Wiatr niósł lód i obietnicę opadów śniegu. Kiedy wyjechali spomiędzy drzew na odkrytą przestrzeń pełną zasp, miejscami głębokich po końskie pęciny, a następnie pokonali ostatnie mile do leśnego obozu, gdzie zostawił ludzi z Dwu Rzek, Aielów, Mayenian i Ghealdan, zrobiło się już dobre popołudnie. Faile miała nań czekać. Jednak okazało się, że nic w obozie nie wygląda tak, jak oczekiwał.

Jak zawsze, tak naprawdę to wśród drzew znajdowały się cztery oddzielne obozy, jednak przy dymiących ogniskach Skrzydlatej Gwardii rozsianych wśród pasiastych namiotów Berelain nie było nikogo; na ziemi poniewierały się poprzewracane kociołki i części wyposażenia, podobne oznaki pośpiechu można było dostrzec na stratowanym gruncie, gdzie tego ranka zostawił obóz altarańskich żołnierzy. Jedyнным świadectwem życia w każdym z obu miejsc byli stajenni, kowale i woźnice, zakutani w wełny i skupieni gromadnie wokół palików dla koni i wozów z zaopatrzeniem na wysokich kołach. Wszyscy patrzyli na coś, co wkrótce przykuło również jego wzrok.

W odległości pięciuset kroków od kamienistego wzgórza o spłaszczonym wierzchołku, na którym Mądre rozbiły swoje niskie namioty, stali szeregami Mayenianie w szarych kaftanach – całe dziewięć setek, konie niecierpliwie przebierały nogami, czerwone płaszcze i długie czerwone proporce ich lanc powiewały na chłodnym wietrze. Bliżej wzgórza, nieco na uboczu, tuż nad brzegiem zamarznętego strumienia, stał las ghealdańskich lanc, ozdobionych dla odmiany zielonymi proporcami. Zielone kaftany konnych i ich zbroje w zestawieniu z czerwonymi hełmami i napierśnikami Mayenian wydawały się pozbawione blasku, zbroje oficerów jednak rozsiewały srebrne iskry, a ich szkarłatne kaftany i płaszcze oraz karmazynowe zdobienia wodzy i czapraków też sprawiały odpowiednie wrażenie. Niezły pokaz żołnierskiej dzielności, zupełnie jak na paradzie, tamci jednak nie szykowali się na paradę. Skrzydlata Gwardia stała czołem ku Ghealdanom, Ghealdanie czołem ku wzgórzu. A szczyt wzgórza otaczali ludzie z Dwu Rzek z długimi łukami w dłoniach. Żaden jeszcze nie naciągnął cięciwy, każdy jednak nasadził już strzałę, trwali w gotowości. To było jakieś następne szaleństwo.

Perrin wbił obcasy w boki Stayera i puścił go galopem tak szybkim, na jaki było stać gniadosza. Tak brnęli przez śnieg, a inni podążali ich śladem, póki nie osiągnęli czoła ghealdańskiego szyku. Berelain była na miejscu w obrzeżonym futrem czerwonym płaszczu, obok niej Gallenne, jednooki kapitan jej Skrzydlatej Gwardii, jeszcze Annoura, jej doradczynie Aes Sedai, cała trójka najwyraźniej kłóciła się z Pierwszym Kapitanem Alliandre, niskim, zahartowanym w bojach mężczyzną, o imieniu Gerard Arganda, który cały czas kręcił głową tak zapalczywie, aż kołysały się białe pióra na jego lśniącym hełmie. Pierwsza z Mayene wyglądała na gotową gryźć kamienie, przez spokój Aes Sedai, jaki widniał na obliczu Annoury, przebijał jednak niepokój, natomiast Gallenne muskał dłonią przytroczony do siodła hełm z czerwonym grzebieniem, jakby się zastanawiał, czy jednak go nie wdziać. Na widok Perrina przerwali sprzeczkę i skierowali swe konie ku niemu. Berelain siedziała w siodle spokojna i wyprostowana, jej czarne włosy jednak potargał wiatr, a świetna siwa klacz o smukłych pęcinach drżała, na jej bokach zaś zamarała piana, jakby właśnie skończyła wytężony bieg.

Ponieważ wokół było tak wielu ludzi, niemożliwość stanowiło wyłapanie poszczególnych woni,

Perrin jednak nie potrzebował wrażliwego nosa, żeby wyczuć kłopoty wiszące w powietrzu. Zanim zdążył zapytać, co właściwie, na Światłość, tamci sobie wyobrażają, Berelain przemówiła pierwsza, z ceremonialnością tak gładką, przywodzącą na myśl porcelanę. Początkowo tylko zamrugał, nic nie pojmując.

– Lordzie Perrinie, twoja szlachetna małżonka i ja polowałyby w towarzystwie królowej Alliandre, kiedy zostałyśmy zaatakowane przez Aielów. Mnie udało się uciec. Jak dotąd jednak nie powrócił nikt z naszego oddziału, chociaż niewykluczone, że Aielowie wzięli jeńców. Wysłałam szwadron lanc na zwiady. Kiedy nastąpił atak znajdowałyśmy się dziesięć mil na południowy wschód, tak więc przed nocą z pewnością można oczekiwać jakichś wieści.

– Faile została schwytana? – zapytał ochryłym głosem Perrin. Zanim jeszcze przekroczyli granicę między Amadicią i Ghealdan, już słyszeli o Aielach, którzy palili i grabili, zawsze jednak działo się to gdzieś indziej, w następnej wiosce albo tej położonej jeszcze za nią, jeśli nie dalej. Nigdy dostatecznie blisko, by się tym przejmować albo mieć pewność, że w sprawę wchodzi coś więcej niż tylko plotki. Nie mógł się tym przejmować, przynajmniej nie w sytuacji, kiedy wypełniał rozkazy przekłętęgo Randa al'Thora! I oto skutki.

– Co wy tu jeszcze robicie? – zapytał ostro. – Dlaczego jej nie szukacie? – Zdał sobie sprawę, że krzyczy. Miał ochotę wyć, aby tym bardziej ich przerazić. – Żebyście wszyscy szeptali, na co czekacie? – Jej rzeczowa odpowiedź, udzielona takim tonem, jakby składała sprawozdanie, ile jeszcze paszy zostało dla koni, sprawiła, że gniew eksplodował mu w głowie tysiącem ukłuc. Zwłaszcza że miała rację.

– Napadły na nas dwie lub trzy setki, lordzie Perrinie, ale z tego, co słyszeliśmy, równie dobrze jak ja musisz zdawać sobie sprawę, że w okolicy może krążyć ponad dziesięć takich band. Jeżeli zaczniemy ich ścigać całą siłą, zapewne czeka nas bitwa z Aielami, która może nas drogo kosztować, a na dodatek nie będzie żadnej pewności, że są to właśnie ci, co porwali twą szlachetną małżonkę. Nawet nie dowiemy się, czy wciąż żyje. A w tej kwestii najpierw musimy zdobyć pewność, lordzie Perrinie, w przeciwnym razie cała wyprawa będzie bezużyteczna.

Czy żyje. Zadrzał, nagle poczuł, jak ziąb sięga mu do wnętrza. Przenika do kości. Mrozi serce. Musi żyć. Przecież musi. Och, Światłości, powinien jej pozwolić pojechać z nim do Abili. W obrzeżonej taraboniańskimi warkoczykami szerokoustnej twarzy, oczy Annoury wyrażały tylko współczucie. Nagle zdał sobie sprawę z bólu dłoni, kurczowo ściskających wodze. Zmusił się, by zwolnić uchwyt i rozprostować palce.

– Ma rację – cicho powiedział Elyas, który tymczasem podprowadził bliżej swego wałacha. – Ruszać całą siłą, wdawać się w walkę z Aielami, to dopraszać się o śmierć. Być może nawet udałoby ci się wielu ludzi zabrać ze sobą do grobu. Ale śmierć na nic się nie zda, jeśli twoja żona pozostanie w niewoli. – Starał się, by jego słowa brzmiały lekko, Perrin jednak potrafił wyczuć napięcie. – Przecież ją odnajdziemy, chłopcze. Taka kobieta mogła przecież równie dobrze im uciec. A teraz próbuje pieszo wrócić do obozu. Mając odpowiednio dużo czasu, wróci, choćby w samej sukni. Zwiadowcy Pierwszej znajdą ślady. – Elyas przeczesał palcami długą brodę i zachichotał z udawaną skromnością. – A jeśli ja nie potrafię znaleźć więcej śladów niż Mayenianie, to niech zują korę. Sprowadzimy ją dla ciebie.

Perrina nie dało się oszukać.

– Tak – odparł ostro. Nikt pieszo nie ucieknie Aielom. – Ruszajcie. Szybko. – Nie oszukają go. Tamten spodziewał się znaleźć ciało Faile. Przecież musiała żyć, a to oznaczało, że została schwytana, lepiej jednak w niewoli, niż...

Nie rozmawiali ze sobą w taki sposób, jak porozumiewali się z wilkami; Elyasa zawahał się na

moment, można by sądzić, że usłyszał myśli Perrina; nie próbował wszakże jego obaw. Jego wałach ruszył natychmiast na południe, krokiem tak szybkim, na jaki pozwalał śnieg. Zerknąwszy tylko raz na Perrina, Aram podążył za nim, jego twarz powlekł cień. Niedysiejszy Druciarz nie przepadał za Elyasem, ale z taką samą mniej więcej siłą uwielbiał Faile, choćby dlatego, że była żoną Perrina.

Gdyby zajeździli zwierzęta na śmierć, nic by z tego nie wyszło, napomniał się Perrin, spod zmarszczonych brwi obserwując ich plecy. A równocześnie chciał, by gnali na złamanie karku. Chciał gnać z nimi. Znienacka zdało mu się, jakby pokryła go siatka pęknięć. Gdy wrócą ze złymi wieściami, rozsypie się. Ku jego zaskoczeniu konie trzech Strażników pognały w ślad za Elyasem i Aramem, śnieg trykał spod ich kopyt, poły prostych wełnianych płaszczy powiewały za plecami, zwolnili dopiero, kiedy dogonili tamtych.

Zmusił się jakoś, by z wdzięcznością skinąć głową Masuri i Seonid, gest ten objął również Edarrę i Carelle. Niezależnie od kogo pochodziła propozycja, wiadomo, komu należało zawdzięczać zgodę. Tu mniej więcej przebiegała granica kontroli, jaką ustanowiły Mądre, i której żadna Aes Sedai dotąd nie przekroczyła. Z pewnością chciały, jednak urękawicznione dłonie wciąż spoczywały spokojnie na łękach siodła, żadna też nie zdradziła zniecierpliwienia nawet mrugnięciem oka.

Nie wszyscy patrzyli w ślad za odjeżdżającymi mężczyznami. Annoura na przemian to uśmiechała się do niego ze współczuciem, to kątem oka mierzyła Mądre. W przeciwieństwie do dwu wcześniej wspomnianych sióstr, nie składała żadnych obietnic, ale wobec kobiet Aielów zachowywała taką samą ostrożność, jak one. Gallenne wciąż popatrywał jedynym okiem na Berelain, czekając na znak, by dobyć miecz, którego rękojeść ścisnął wciąż w dłoni, sama zaś Berelain całą uwagę skupiła na Perrinie, jej oblicze jednak pozostawało całkowicie gładkie i nieodgadnione. Grady i Neald szeptali, nachyliwszy ku sobie głowy, od czasu do czasu posyłając ponure spojrzenia w jego stronę. Balwer trwał zupełnie nieruchomy, niczym wróbel, co przysiadł na siodle, i próbując stać się jak najmniej widoczny, słuchał z najwyższą uwagą.

Arganda przejechał swym dereszowatym wałachem tuż przed szeroką pierśią karego ogiera Gallenne, ignorując całkowicie gniew płonący w jedynym oku Mayenianina. Usta Pierwszego Kapitana poruszały się ze złością za lśniącymi prętami przyłbicy hełmu, Perrin jednak nie słyszał ani słowa. W głowie miał tylko Faile. Och, Światłości, Faile! Piersi ścisnęły mu żelazne sztaby. Znajdował się na skraju paniki, tylko koniuszkami palców trzymając się resztek zdrowego rozsądku.

Rozpaczliwie sięgnął poza siebie myślami, nerwowo poszukując wilków. Elyas z pewnością już tego próbował – Elyas przecież nie miał powodów, by poddawać się panice – ale on sam też musiał coś zrobić.

Szukał, póki ich nie znalazł. Stado Trzypalcego, stada Chłodnej Wody, Zmierzchu i Rogatej Wiosny, i inne. Wraz z prośbami o pomoc wylewał się z niego ból, ale bynajmniej nie ubywało go, wręcz przeciwnie w środku wciąż narastał. Wilki słyszały o Młodym Byku i współczuły utraty jego samicy, same jednak trzymały się z dala od dwunogich, którzy płoszyli całą zwierzynę, i z którymi spotkanie dla samotnego wilka mogło się skończyć śmiercią. W okolicy było tak wiele stad dwunogich, zarówno pieszych, jak dosiadających czworonogów o twardych kopytach, że nie potrafiły powiedzieć, czy wśród nich jest właśnie to, którego on szuka. Dwunogi dla nich były nieodróżnialne od innych dwunogich, wyjąwszy może tych, którzy potrafili przenosić, oraz tych nielicznych, którzy umieli się z nimi porozumieć. Wyj z żalu, powiedziały mu, a potem żyj dalej, póki nie spotkasz jej znowu w Wilczym Śnie.

Obrazy, które jego umysł zamieniał na słowa, znikaly jeden po drugim, aż został tylko jeden. Wyj z żalu, póki nie spotkasz jej znowu w Wilczym Śnie. Potem i on rozplynał się w ciszy.

– Słuchasz mnie? – obcesowo dopytywał się Arganda. W niczym nie przypominał szlachcica o

gładkim obliczu, mimo bowiem jedwabnego odzienia i złoceń na srebrze napierśnika, wyglądał w każdym calu na tego, kim był, czyli posiwiąłego weterana, który po raz pierwszy wziął do ręki lancę jako chłopiec i najpewniej mógł się poszczycić dwoma tuzinami blizn. W jego ciemnych oczach płonęła gorączka nieomal tak intensywna, jak w oczach ludzi Masemy. Pachniał gniewem i strachem. – Te dzikusy porwały również królową Alliandre!

– Znajdziemy twoją królową, kiedy znajdziemy moją żonę – odparł Perrin głosem zimnym i twardym jak ostrze topora. Na pewno też żyła. – Może lepiej mi wytłumacz, o co w tym wszystkim chodzi. Oto twoi ludzie gotują się do szarży na moich. – Miał przecież również inne zobowiązania. Konieczność przyznania się do tego paliła niczym żółć. Przecież przy Faile nic innego nie miało znaczenia. Nic! Ale mimo to ludzie z Dwu Rzek byli jego ludźmi.

Arganda ostro osadził konia i złapał Perrina za rękaw.

– Posłuchaj, co powiem! Pierwsza lady Berelain twierdzi, że to Aielowie porwali królową Alliandre, a nie kto inny, jak właśnie Aielowie chowają się za twoimi łucznikami. Wśród moich ludzi są tacy którzy z radością zadaliby im kilka pytań. – Jego rozgorączkowane spojrzenie na moment objęło Edarrę i Carelle. Być może zdało mu się, że oto ma przed sobą Aielów i żadnych łuczników między nimi a sobą.

– Pierwszy Kapitan jest trochę nadto... pobudzony – mruknęła Berelain, kładąc dłoń na drugim ramieniu Perrina. – Wyjaśniłam mu już, że żaden z obecnych tu Aielów nie miał nic wspólnego z całą sprawą. Pewna jestem, że nie będę miała większych trudności z przekonaniem go...

Strząsnął jej dłoń, wyrwał rękaw z uścisku Ghealdanina.

– Alliandre złożyła mi hołd lenny, Arganda. Ty jesteś jej poddanym, a więc tym samym jestem twoim panem. Powiedziałem, że Alliandre odnajdziemy, kiedy odnajdziemy Faile. – Krawędź ostrza topora. Przecież żyła. – Nie będziesz nikomu zadawał żadnych pytań, na nikogo nie podniesiesz ręki, dopóki ja tak nie powiem. Natomiast zaraz odprowadzisz swoich ludzi do obozu, gdzie będziecie oczekiwać w gotowości na mój rozkaz. Jeżeli nie będziecie gotowi do wymarszu na mój znak, zostawię was.

Arganda patrzył na niego, ciężko oddychając. Znowu uciekł spojrzeniem, tym razem ku Grady'emu i Nealdowi, ale potem znów popatrzył Perrinowi w oczy.

– Jak rozkażesz, mój panie – oznajmił sztywno. Zawrócił swego deresza, wykrzyczał rozkazy swym oficerom i nie czekając nawet, aż przekażą je swym ludziom, puścił konia galopem. Kolejne kolumny Ghealdan ruszyły za swoim Pierwszym Kapitanem. W kierunku obozu, jednak kwestia tego, czy tam zostaną, pozostawała otwarta. I czy przypadkiem nawet to nie obróci się na złe.

– Bardzo dobrze sobie poradziłeś, Perrin – powiedziała Berelain. – Trudna sytuacja i chwile osobiście dla ciebie też niełatwe – Teraz zrezygnowała z wszelkiej ceremonialności. Była po prostu współczującą kobietą, jej uśmiech wyłącznie próbą dodania otuchy. Berelain, kobieta o tysiącu twarzy.

Wyciągnęła dłoń w czerwonej rękawiczce, ale on wycofał Stayera, zanim zdążyła go znowu dotknąć.

– Daj spokój, żebyś szczęła! – warknął. – Moją żonę porwano! Nie mam cierpliwości na twoje dziecinne gierki!

Szarpnęła się, jakby ją uderzył. Rumieniec pokrył jej policzki i znowu się zmieniła, stając teraz pokorna i równocześnie pełna powabu.

– To nie są dziecinne zabawy, Perrin – mruknęła głosem bogatym w podteksty i równocześnie rozbawionym. – Dwie kobiety walczą o ciebie, a ty jesteś nagrodą w tej walce, to ma być dziecinne? Sądziłabym raczej, że będzie ci to schlebiać. Lordzie Kapitanie Gallenne, proszę dotrzymaj mi

towarzystwa. Przypuszczam, że my również winniśmy być gotowi do wymarszu na rozkaz.

Jednooki mężczyzna pojechał za nią do miejsca, gdzie stacjonowała Skrzydlata Gwardia, gnając konia krokiem tak bardzo zbliżonym do kłusa, na ile śnieg pozwalał. Przez cały czas pochylał się ku niej, jakby wysłuchiwał rozkazów. Annoura została obok niego, ściskając tylko wodze swej kasztanowatej klaczy. Pod ptasim nosem jej usta stanowiły linię cienką niczym ostrze brzytwy.

– Zachowujesz się niekiedy jak straszny głupiec, Perrin. W rzeczy samej, dość często.

Nie miał pojęcia, o czym ona mówi i wcale go to nie obchodziło. Fakt, że Berelain uganiała się za żonatym mężczyzną, czasami przyjmowała z rezygnacją, czasami jednak z rozbawieniem, zdarzało jej się nawet pomagać w tych praktykach, aranżując tamtej spotkania z nim sam na sam. W chwili obecnej, zarówno osoba Pierwszej, jak jej Aes Sedai, napełniały go niesmakiem. Wbił obcas w boki Stayera i bez słowa opuścił jej towarzystwo.

Szyk mężczyzn na wzgórzu rozstąpił się na tyle, by go przepuścić, potem znowu zwarł – tamci mruczełi coś do siebie, obserwując jeźdźców wracających do swych obozowisk, by ponownie dać miejsce Mądrym, Aes Sedai i Asha'manom. Formacja jednak nie pękła, nikt nie podbiegł do niego, czego na poły oczekiwał. Był im za to wdzięczny. Całe wzgórze pachniało czujnością. A przynajmniej większa jego część.

Śnieg na szczycie miejscami stratowany był do gołej ziemi, usianej jedynie bryłami zmarzniętego błota, miejscami zmienił się w nagą lodową taflę. Cztery Mądre, które nie towarzyszyły mu wyprawie do Abili, stały przed jednym z niskich namiotów Aielów – cztery pełne opanowania sylwetki, z ramionami otulonymi ciemnymi wełnianymi szalami – obserwując dwie siostry zsiadające z koni w towarzystwie Carelle i Edarry, najwyraźniej całkowicie obojętne na to, co się działo wokół nich. *Gai'shain*, którzy zastępowali im służbę, spokojnie i pokornie zajmowali się swoimi zadaniami, oblicza ich ukryte były pod głębokimi kapturami białych szat. Któryś nawet trzepał dywan, przewieszony przez linę biegnącą między dwoma drzewami! Jedyny znak, że Aielowie znaleźli się na krawędzi zbrojnego konfliktu, można było wyczytać z postawy Gaula i Panien. Przykucnięci, z *shoufami* udrapowanymi wokół głów, z czarnymi zasłonami, znad których widać było jedynie oczy, trzymali w dłoniach krótkie włócznie i tarcze powlekane byczą skórą. Kiedy Perrin zeskoczył z siodła, powstali.

Natychmiast też nadbiegł Dannil Lewin – strapiony żuł koniec wąsa, który sprawiał, że jego nos zdawał się jeszcze większy, niż był w rzeczywistości. W jednej dłoni trzymał łuk, drugą chował strzałę do kołczana.

– Nie miałem pojęcia, co jeszcze mogę zrobić, Perrin – powiedział, jękając się. Dannil był pod Studniami Dumai, wcześniej w ojczystych stronach stawiał czoła trollokom, to jednak, co się tu stało, przechodziło jego wyobrażenia. – Ledwie poznaliśmy prawdę o tym, co się stało, a już ci Ghealdanie jechali w naszą stronę, tak więc od razu wysłałem Jondyna Barrana i paru innych, wśród nich Hu Marwina i Geta Ayliaha, powiedziałem Cairhienianom i twojej służbie, żeby ustawili wozy w krąg i zostali w środku... tych ludzi, którzy wszędzie włóczyli się za lady Faile, musiałem prawie związać, od razu chcieli za nią pędzić, a przecież żaden nie odróżnia w lesie tropu od dębu... potem wszystkich tu przyprowadziłem. Myślałem już, że Ghealdanie nas zaatakują, kiedy przybyła Pierwsza ze swoimi ludźmi. Musieli chyba oszaleć, jeżeli myśleli, że któryś z naszych Aielów skrzywdziłby lady Faile. – Mimo iż do niego zwracali się przez „Perrin”, ludzie z Dwu Rzek prawie nigdy nie pomijali szlacheckiego tytułu Faile.

– Postąpiłeś słusznie, Dannil – powiedział Perrin, rzucając mu wodze Stayera. Hu i Get potrafili sobie świetnie radzić w lesie, a Jondyn Barran był w stanie iść po tropach wczorajszego wiatru. W tej chwili zobaczył, że Gaul i Panny najwyraźniej również zmierzali poza teren obozu, idąc jedno za



drugim w ślad. Zasłon nie opuścili. – Z każdej trójki jeden zostaje w obozie– szybko rozkazał Perrin; tylko stąd, że zwyciężył w pojedynku słownym z Argandą, nie można było wnioskować, iż tamten nie zmieni zdania. – Reszta niech się pakuje. Chcę ruszać w drogę, gdy tylko nadejdą pierwsze wieści.

Nie czekając na odpowiedź, pomknął za Gaulem, dogonił go i stanął przed nim, wyciągając dłoń. Z jakiegoś powodu zielone oczy tamtego zwężyły się ponad zasłoną. Sulin i pozostałe Panny, które szły w ślad za nim, przystanąły, kołysząc się lekko.

– Znajdź ją dla mnie, Gaul – powiedział Perrin. – Wszystkich was proszę, znajdźcie tych, którzy ją porwali. Jeżeli ktokolwiek jest w stanie wytropić tych Aielów, to tylko wy.

Oczy Gaula powróciły do swych normalnych rozmiarów równie raptownie, jak przedtem się zwężyły, Panny również wyraźnie wyzbyły się swej czujności. O ile oczywiście można coś takiego powiedzieć o dowolnym Aielu. To było bardzo dziwne. Przecież nie mogli sobie wyobrazić, że będzie ich w jakikolwiek sposób obwiniał.

– Pewnego dnia wszyscy przebudzimy się ze snu – powiedział łagodnie Gaul – ale jeśli ona jeszcze śni, znajdziemy ją. Skoro jednak porwali ją Aielowie, musimy ruszać. Będą wędrować szybko. Nawet po... tym. – W ostatnie słowo włożył skrajną odrazę, a równocześnie kopnął kopiec śniegu.

Perrin skinął głową i szybko odstąpił na bok, pozwalając Aielom przebiec obok niego. Wątpił, by długo udało im się zachować takie tempo, pewien jednak był, że nawet jeśli będą musieli w końcu zwolnić, nastąpi to znacznie później, niż by miało miejsce w przypadku innych ludzi. Kiedy Panny go mijały, każda szybko przyciskała palce do zasłony ponad ustami, a potem dotykała nimi jego ramienia. Sulin, biegnąca tuż za Gaulem, skinęła mu głową, poza tym jednak żadna nie powiedziała ani słowa. Faile z pewnością wiedziałyby, co znaczą te pocałunki, przekazywane za pomocą palców.

Kiedy ostatnia Panna przebiegła obok niego, zdał sobie sprawę że w ich wymarszu było coś dziwnego. Pozwoliły Gaulowi prowadzić oddział. W normalnych okolicznościach każda prędzej ugodziłaby go włócznią, zanim by na coś takiego przystała. Dlaczego? Może... Chiad i Bain powinny być z Faile. Gaulowi w żaden sposób nie zależało na Bain, Chiad jednak to była inna sprawa. Panny z pewnością nie podsycaly nadziei Gaula, że Chiad zechce dla niego porzucić włócznię... jeszcze czego!... niemniej, może właśnie o to chodziło.

Perrin aż jęknął, zdjęty niesmakiem wobec samego siebie. Chiad i Bain, i kto jeszcze? Nawet oślepiiony strachem o Faile, powinien przynajmniej zapytać. Jeżeli chce ją odzyskać, musi zdławić w sobie strach i zacząć myśleć. Było to jednak niczym próba zdławienia wzbierającej powodzi.

Na płaskim szczycie wzgórza zaczynało wrzeć. Ktoś zdążył już odprowadzić Stayera, ludzie z Dwu Rzek powoli opuszczali krąg szyku, spiesząc nieporządnym strumieniem w kierunku swego obozu, pokrzykując do siebie, co by zrobili, gdyby lansjerzy jednak zaatakowali. Od czasu do czasu czyjś podniesiony głos pytał o Faile, czy lady jest bezpieczna, czy będą jej szukać, pozostali jednak szybko go uciszali, nerwowo popatrując na Perrina. Wśród całego tego zamieszania *gai'shain* niewzruszenie zajmowali się swoimi zadaniami. Bez wyraźnego rozkazu – tak samo by postępowali, gdyby nawet wokół wrzała bitwa, żaden nawet palcem by nie kiwnął, żeby komukolwiek pomóc lub przeszkodzić. Mądre zamknęły się wszystkie w jednym namiocie z Seonid i Masuri, kłapy wejścia nie tylko zostały opuszczone, lecz nawet zawiązane. Nie chciały, aby im przeszkadzano. Bez wątplenia będą rozmawiać o Masemie. Prawdopodobnie planując, jak go zabić, tak żeby ani on, ani Rand się nie dowiedzieli.

Z irytacją uderzył pięścią o wnętrze drugiej dłoni. Naprawdę na chwilę zupełnie zapomniał o Masemie. Tamten przecież spodziewał się dotrzeć przed nocą, z towarzyszeniem straży honorowej w liczbie stu ludzi. Przy odrobieniu szczęścia mayeniańscy zwiadowcy wrócą już do tego czasu, a Elyas

i pozostali wkrótce po nich.

– Mój lordzie Peronie? – usłyszał za sobą głos Grady’ego, odwrócił się. Dwaj Asha’mani stali, trzymając konie przy pyskach i niepewnie wymachując swobodnym fragmentem wodzy. Grady wciągnął oddech i widząc, że Neald skinął głową, ciągnął dalej: – Dzięki Podróżowaniu we dwójkę jesteśmy w stanie sprawdzić znacznie większy teren. A jeśli uda nam się znaleźć tych, którzy ją porwali, cóż, wątpię, by nawet kilkuset Aielów potrafiło przeszkodzić dwu Asha’manom w jej uwolnieniu.

Perrin już otwierał usta, by kazać im natychmiast ruszać, ale po ułamku sekundy zamknął je na powrót. Grady był farmerem, prawda, ale przecież żadną miarą myśliwym czy innym człowiekiem lasu. W oczach Nealda każda miejscina pozbawiona kamiennego muru była wsią. Być może byli w stanie odróżnić trop od dębu, ale nawet jeśli go znajdą, zapewne nie będą w stanie stwierdzić, dokąd prowadzi. Oczywiście, mógł udać się z nimi. Choć nie był tak dobry jak Jondyn, mimo to... Mógł pójść i zostawić Dannilowi użeranie się z Argandą. I z Masemą. Nie wspominając już o knowaniach Mądrych.

– Idźcie się spakować, razem ze wszystkimi – powiedział cicho. Gdzie też posiało Balwera? Nigdzie go nie było widać. Mało prawdopodobne, żeby i on zdecydował się ścigać porywaczy Faile.– Możecie być tu potrzebni.

Grady aż zamrugnął z zaskoczenia, Neald rozdziawił usta.

Perrin jednak nie dał im nawet szansy, by zaprotestować. Ruszył szybko w kierunku niskiego namiotu o zawiązanych klapach. Nie sposób było ich otworzyć od zewnątrz. Kiedy Mądre nie chciały aby im przeszkadzano, wówczas nikt nie miał prawa naruszać ich spokoju, niezależnie czy był wodzem klanu, czy kimkolwiek innym. Dotyczyło to również mieszkańca mokradeł noszącego śmieszny tytuł lorda Dwu Rzek. Wyciągnął więc zza pasa nóż i pochylił się, by przeciąć sznury, zanim jednak zdążył przesunąć ostrze przez wąską szczelinę rozdzielającą klapy namiotu, te zadrżały, jakby ktoś już rozwiązywał je od środka. Wyprostował się i cierpliwie czekał.

Klapy namiotu odskoczyły, na zewnątrz wyslizgnęła się Nevarin. Szal miała obwiązany wokół talii, poza mgłą oddechu nic nie wskazywało jednak na to, że spaceruje po lodowatym zimnie. Spojrzenie zielonych oczu przelotnie spoczęło na nożu, który trzymał dłoni, natychmiast wsparła dłonie na biodrach, bransolety zagrzechotały. Była tak chuda, że aż prawie koścista, z długimi słomianymi włosami, upiętymi ciemną zwiniętą chusteczką, co najmniej o dłoń wyższa od Nynaeve, którą jednak nieodmiennie przywodziła mu na myśl. Stała nieruchomo, blokując wejście do namiotu.

– Jesteś nadzwyczaj porywczy, Perrinie Aybara. – Przemówiła głosem swobodnym, choć zasadniczym, on zaś natychmiast nabrał przekonania, że zaraz zostanie wytargany za uszy. Dokładnie tak samo czuł się w obecności Nynaeve. – Chociaż poniekąd pewnie tłumaczą cię okoliczności. Czego chcesz?

– Jak...? – Musiał przerwać, by przełknąć ślinę. – Jak oni ją potraktują?

– Nie potrafię powiedzieć, Perrinie Aybara. – Na jej twarzy nie było śladu współczucia, pozostawała całkowicie pozbawiona wyrazu. W tych sprawach Aielowie mogliby Aes Sedai udzielać lekcji.– Wyjąwszy zabójców drzew, branie w niewolę mieszkańców mokradeł jest wbrew obyczajom, chociaż ostatnimi czasy to również uległo zmianie. Podobnie rzecz ma się z zabijaniem bez koniecznej potrzeby. Wielu jednak nie chciało nadstawić ucha prawdom, które objawił *Car’a’carn*. Jednych ogarnęła Apatia i porzucili włócznie, ale mogli je na powrót ująć. Pozostali najzwyczajniej odeszli, żebyżyć w zgodzie z tradycją, jak ją pojmują. Nie potrafię powiedzieć, jakich zwyczajów czy norm przestrzegają ci, którzy porzucili swój klan i szcep. – Dopiero gdy wypowiadała ostatnie słowa, jej głos nabrał emocjonalnego zabarwienia i rozbrzmiał pogardą.

– Światłości, kobieto, musisz coś wiedzieć! Z pewnością coś podejrzewasz...

– Nie zachowuj się irracjonalnie – ostro weszła mu w słowo. – Mężczyźni często tak reagują na podobne sytuacje, pamiętaj jednak, że wszyscy cię potrzebujemy. Podejrzewam, że nic dobrego nie wyniknie dla twojej pozycji wśród mieszkańców mokradeł, jeżeli będziemy cię musieli związać, póki się nie uspokoisz. Idź do swego namiotu. Jeżeli nie potrafisz opanować swych myśli, upij się tak, żeby nie móc myśleć. I nie przeszkadzaj nam podczas narady. – Z tymi słowami wycofała się do namiotu, zamknęła klapy, po których znowu przebiegły drżenia, jakby je na powrót zasznurowywano.

Perrin przez chwilę patrzył jeszcze na zamknięte wejście, przesuwał kciukiem po ostrzu noża, potem schował broń do pochwy. Gdyby wtargnął do środka, swobodnie mógł oczekiwać traktowania zapowiedzianego przez Nevarin. Zapewne na dodatek nie dowiedziałby się niczego. Nie sądził, by w takiej chwili tamta rzeczywiście próbowała coś przed nim zataić. Przynajmniej nie odnośnie do Faile.

Po odejściu większości ludzi z Dwu Rzek na wzgórzu zapanował spokój. Ci, którzy zostali, by obserwować obóz Ghealdan poniżej, przestępowali z nogi na nogę, żaden jednak nie odzywał się słowem. Spieszący obok *gai'shain* nie wydawali prawie żadnych odgłosów. Widok na obozy Ghealdan i Mayenian po części przesłaniały drzewa, Perrin jednak widział, że w obydwu miejscach ładuje się wozy. Mimo to postanowił, że nie odwoła swoich ludzi. Arganda mógł próbować uspić jego czujność. Człowiek, który tak pachniał, mógł się zachować...

„Irracjonalnie” – dokończył z goryczą w myślach.

Na wzgórzu nie miał już nic do roboty, zdecydował się więc na półmilowy spacer do własnego namiotu. Namiotu, który dzielił z Faile. Szedł, potykając się dosłownie co kilka kroków, zmuszony wręcz brnąć tam, gdzie śnieg sięgał po uda. Otulony płaszczem, tyleż dla ochrony przed zimnem, ile żeby powstrzymać jego poły przed rozpaczliwym łopotaniem. Ale nie sposób było się ogrzać.

Kiedy przybył na miejsce, zastał obóz swoich ludzi tętniący aktywnością. Wozy wciąż stały szerokim kręgiem, ale już kręcili się wokół nich mężczyźni i kobiety z posiadłości Dobraine'a w Cairhien, inni szykowali konie pod siodło. Przez tak grubą pokrywę śniegu wozy brnęłyby niczym przez błoto, dlatego też odczepiono ich koła, zastępując je szerokimi płozami. Opatuleni przed mrozem, tak że wydawali się dwa razy grubszy niż w rzeczywistości, Cairhienianie poświęcali mu przelotne spojrzenia, ludzie z Dwu Rzek jednak na jego widok przystawali i patrzyli, póki ktoś znowu nie zapędził ich do wyznaczonych zajęć. Perrin cieszył się, że spójniom tym nie towarzyszą słowa współczucia. Podejrzewał, że ich obliczu mógłby się załamać i rozplakać.

Tutaj jednak najwyraźniej też nic nie było dlań do roboty. Jego wielki namiot – jego i Faile – został już złożony i zapakowany a wóz, razem z wyposażeniem. Wzdłuż kręgu wozów przechadzał się Basel Gill z długą listą w dłoni. Krępy mężczyzna zabrał się do wypełniania obowiązków związanych ze stanowiskiem *shambayana* zarządcy domu Faile i Perrina, niczym wiewiórka do kaczana kukurydzy. Życie spędzone po większej części za murami miasta sprawiło jednak, że nie nawykł do chłodu, toteż miał na sobie teraz nie tylko płaszcz, lecz również gruby szal okutany wokół szyi, filcowy kapelusz o opadającym rondzie oraz grube wełniane rękawice. Z jakiegoś powodu Gill na jego widok zadrżał i wymamrotał coś pod nosem na temat sprawdzenia wozów, nim zaczął gnać na złamanie karku. Dziwne.

Wtedy Perrinowi przyszła do głowy pewna myśl, znalazł więc Dannila, któremu nakazał, aby czuwający na wzgórzu mężczyźni zmieniani byli co godzinę i żeby każdemu wydano gorący posiłek.

– Najpierw zadbaj o ludzi i konie – oznajmił wysoki, lecz silny głos. – Ale potem musisz zająć się sobą. W kociołku jest gorąca zupa, jest też chleb, udało mi się nawet zdobyć nieco wędzonej szynki. Z pełnym żołądkiem nie będziesz tak bardzo przypominał wędrownej śmierci.

– Dziękuję, Lini – odparł. Wędrowną śmierć? Światłości, czuł się nie jak śmierć, ale jak trup. – Zaraz coś spróbuję zjeść.

Główna pokojowa Faile była kobietą kruchą z pozoru, ze skórą niczym pergamin i siwymi włosami spiętymi w kok na czubku głowy, ale trzymała się zawsze prosto, a spojrzenie ciemnych oczu pozostawało czyste i ostre. Teraz jednak czoło znaczyły zmarszczki zmartwienia, a jej dłonie zbyt mocno ścisnęły fałdę płaszcza. Z pewnością martwiła się o Faile, choć...

– Maighdin była razem z nią – powiedział i nie musiał czekać na potwierdzające skinienie głowy. Najwyraźniej Maighdin nie odstępowała Faile na krok. Mój skarb, Faile o niej mówiła. A Lini chyba widziała w tej kobiecie córkę, chociaż niekiedy Maighdin nie wydawała się z tego powodu równie zadowolona co tamta. – Uratuję je – obiecał. – Wszystkie. – Jego głosomalże się nie załamał. – Wracaj do swojej pracy – ciągnął dalej, pośpiesznie, niegrzecznie. – Później coś zjem. Muszę najpierw zająć się... zająć się... – Odszedł, nie kończąc zdania.

Nie było nic, czym miałby się zająć. Nic, o czym mógłby myśleć, wyjąwszy Faile. Nie bardzo zdawał sobie sprawę, dokąd idzie póki wreszcie nie znalazł się poza kręgiem wozów.

Sto kroków za rzędem koni z niskiego, kamienistego grzbietu strzelał spod śniegu czarny szczyt. Stamtąd na pewno zobaczy ślady pozostawione przez Elyasa i innych. Stamtąd będzie mógł obserwować ich powrót.

Na długo przedtem, zanim dotarł na wąski grzbiet wzgórza, nos powiedział mu, że nie będzie tam sam i powiedział mu nadto, kogo tam zastanie. Tamten nie zwracał uwagi na otoczenie – gdy wreszcie Perrin dotarł na górę z towarzyszeniem głośniego chrzęstu lodu, Tallanvor skoczył na równe nogi. Chronione rękawicami dłonie chwyciły za rękojeść długiego miecza, on sam zaś niepewnie popatrzył na Perrina. Był wysokim mężczyzną, który w życiu zebrał już surowe ciągi, zazwyczaj jednak pewnie nad sobą panował. Być może oczekiwał wyrzutów, że nie było go na miejscu, kiedy Faile została porwana, chociaż to przecież ona sama konsekwentnie przeciwstawiała się próbom przydzielenia jej zbrojnych mężczyzn w charakterze osobistej ochrony, a słyszeć w ogóle nie chciała o żadnej straży przybocznej. Wyjątek stanowiły tylko Bain i Chiad, one jednak najwyraźniej się nie liczyły. A może tamten obawiał się, że zostanie odesłany z powrotem do wozów, ponieważ Perrin będzie chciał być sam. Perrin spróbował przybrać inny wyraz twarzy, żeby nie wyglądać – jak to Lini określiła? – jak wędrowną śmierć? Jeżeli podejrzenia Faile były słuszne, Tallanvor kochał się w Maighdin i miał ją wkrótce poślubić. Miał więc pełne prawo warować tu na straży.

Stali na grzbiecie wzgórza, póki nie nadszedł zmierzch, ale wśród przysypanych śniegiem drzew lasu, który obserwowali przez cały czas, nie zobaczyli nic. Najmniejszego poruszenia do chwili gdy zmrok okrył ziemię. Masema zresztą również nie przybył, ale nie Masema był teraz Perrinowi w głowie. Tarcza, księżyc rozlewała światło na śniegu, blaskiem prawie dorównując pełni. Po pewnym czasie jednak zaczęły przesłaniać ją chyże chmury, a rzucone przez nie cienie – coraz większe i większe – pomknęły po ziemi. Z cichym szelestem zaczęły się z nieba sypać płatki śniegu. Śniegu który ukryje wszelkie ślady i tropy. Dwaj mężczyźni stali w całkowitym milczeniu pośród zimnej nocy, patrząc, jak pada i czekając pełni wiary.

# OBYCZAJE

Od pierwszej chwili po tym, jak została schwytana, przez całą trudną drogę po lesie, Faile przede wszystkim bała się zamarznąć. Wiatr to cichł, to zrywał się na powrót, cichł i zrywał się. Na nielicznych tylko gałęziach rozproszonych drzew wisiały jeszcze liście, wszystkie zresztą zbrązowiałe już i uschłe. Podmuchy wiatru swobodnie hulały po lesie i, chociaż stosunkowo słabe, tchnęły lodem. O Perrinie rzadko myślała, jeśli już, to tylko z nadzieją, że jakoś się dowie o sekretnych układach Masemy. Oraz, że dowie się też o Shaido. Nawet jeśli teraz mogła go o tym poinformować tylko ta dziwka, Berelain. Miała nadzieję, że Berelain udało się umknąć z zasadzki, i że powiedziała Perrinowi o wszystkim. A potem wpadła w jakąś dziurę i skręciła kark. Ostatecznie miała przecież zbyt wiele zmartwień, żeby sobie jeszcze zaprzętać głowę myślami o mężu.

Wcześniej określiła tę pogodę jako jesienną, pamiętać jednak należało, że saldaeańską jesienią ludzie zamarzali na śmierć, a z rzeczy zostawiono jej tylko ciemne wełniane pończochy. Jedną mocno skrepowano jej łokcie za plecami, drugą miała zawiązaną wokół szyi w charakterze smyczy. Dzielne słowa nie mogły posłużyć za ochronę nagiej skóry. Było jej zbyt zimno, żeby mogła się spocić, jednak nogi wkrótce zaczęły ją boleć od wysiłku nadążania za tymi, którzy ją schwytali. Biegący w szyku kolumny Shaido, skryci za zasłonami, mężczyźni i Panny, zwolnili, dostawszy się w śnieg sięgający ponad kolana, kiedy jednak pokrywa znów stała się płytsza, podjęli stałe tempo, jakby nic nie potrafiło ich zmęczyć. Na takim dystansie nawet konie nie dotrzymałyby im kroku. Drżąc, wysilała się na końcu swej smyczy, rozpaczliwie próbując zaczerpnąć powietrza przez zęby zaciśnięte, aby nie szczękały.

Shaido byli mniej liczni, niż jej się to wydawało podczas ataku, osądziła, że nie więcej jak stu pięćdziesięciu, wszyscy niemalże trzymali w pogotowiu włócznie i łuki. Niewielkie szansę, że ktoś ich zaskoczy. Na moment nie osłabiając czujności, jak duchy przemykali w ciszy, wypełnionej jedynie cichym skrzypieniem śniegu od miękkimi, wysokimi do kolan butami. Jednak zielenie, szarości i brązy ich odzienia odznaczały się ostrym kontrastem na tle krajobrazu. *Cadin'sor* uzupełniono zielenią po pokonaniu Muru Smoka, wyjaśniły jej Bain i Chiad, aby łatwiej było się ukryć wśród bujnej roślinności. Dlaczego więc ci ludzie nie zastąpili tych barw bielą, stosowną na zimę? W obecnej sytuacji łatwo można było ich zobaczyć nawet z oddali. Próbowwała na wszystko zwracać uwagę, zapamiętywać, ile się da, nie wiadomo co może się przydać później, podczas ucieczki. Miała nadzieję, że jej współwięźniarki postępują podobnie. Perrin z pewnością będzie ją ścigał, jednak w swoich kalkulacjach nie uwzględniała pomocy z zewnątrz. Jeśli zacznie czekać na pomoc, równie dobrze może czekać wiecznie. Poza tym należało uciec najszybciej, jak to tylko możliwe, zanim tamci połączą się z resztą Shaido. Na razie nie miała jeszcze zielonego pojęcia, jak uciec, musi jednak przecież istnieć sposób. Już mogła mówić o szczęściu – główne siły Shaido znajdowały się z pewnością w odległości kilku co najmniej dni drogi. Ta część Amadicii mogła być pogrążona w całkowitym chaosie, usłyszałyby jednak przecież o tysiącach Shaido przebywających w pobliżu.

Na samym początku spróbowała raz obejrzeć się na kobiety, dzielące z nią niewolę, skończyło się jednak na tym, że zgubiła krok i wylądowała w zaspie. Na poły zagrzebanej w białym puchu, zaparło dech od lodowatego wstrząsu, a po chwili znowu, kiedy trzymający jej smycz potężny krepy Shaido szarpnięciem postawił ją na nogi. Równie barczysty jak Perrin i o głowę wyższy, Rolan popędził ją potem kląpssem w nagie pośladki i nie czekając, pognął długimi susami, które zmusiły

Faile do jeszcze szybszego przebierania nogami. Klaps równie dobrze mógłby być wymierzony opornemu kucykowi. Mimo jej nagości, w oczach Rona nie sposób było dostrzec śladu świadomości, że oto mężczyzna spogląda na kobietę. Po części czuła tylko wdzięczność. Po części była w jakiś niejasny i niemiły sposób... zaskoczona Oczywiście, nie miała najmniejszej ochoty, żeby patrzył na nią z pożądaniem lub bodaj z zainteresowaniem, te pozbawione wyrazu spojrzenia były jednak prawie obraźliwe! Po tej przygodzie bardzo uważała, żeby się nie przewrócić, chociaż w miarę jak mijały godziny bezustannego marszobiegu, zwykle utrzymanie się na nogach wymagało coraz więcej wysiłku.

Początkowo zastanawiała się jeszcze, które z jej członków zaczną pierwsze zamarzać, kiedy jednak poranek bez jednej przerwy przeszedł w popołudnie, zaczęła się martwić o stopy. Rolan i ci którzy biegli przed nim, udeptywali rodzaj ścieżki w śniegu, ale ostrych fragmentów zlodowaciałej skorupy było dość, aby powoli zaczęły za plecami zostawać smużki marznącej krwi. Najgorsze było samo zimno. Widziała już odmrożenia. Ile jeszcze minie czasu, nim szernieją jej palce? Dlatego chwając się, wraz z każdym krokiem podkurczała palce stóp, równocześnie podobnie postępując z rękoma. Palce były w największym niebezpieczeństwie, każdemu jednak odsłoniętemu fragmentowi skóry mogło się przydarzyć najgorsze. Niemniej dla twarzy i reszty ciała nie mogła nic zrobić, pozostawała tylko nadzieja. Podkurczanie palców bolało, ponieważ przy takich ruchach piekły strasznie okaleczenia na stopach, lepiej jednak czuć cokolwiek niż nic. Po tym, jak straci czucie w stopach, nie zostanie już wiele czasu. Podkurczenia palców i krok, podkurczenia palców i krok. Ten rytm wypełnił jej myśli. Starła się już tylko poruszać, równocześnie chroniąc dłonie i stopy przed zamarznięciem. Poruszać się.

Nagle zadyszana wpadła na Rolana, odbijając się od jego szerokiej piersi. Oszołomiona, nie zdała sobie sprawy, że tamten przystanął. Podobnie zresztą jak pozostali przed nim, kilku spoglądało za siebie, większość jednak patrzyła w przód, czujnie, z bronią w gotowości, jakby oczekując ataku. Tyle tylko miała czas dostrzec, zanim Rolan znowu schwycił w garść jej włosy, a potem pochylił się, by podnieść jedną stopę. Światłości, naprawdę traktował ją jak kucyka!

Wtedy on przestał zajmować się jej stopami, puścił włosy, otoczył ramieniem nogi i wtedy świat zawirował, ona zaś wylądowała przewieszona przez jego ramię, z głową obok futerału rogowegołuku, przytroczonego na plecach. Wezbrała w niej obraza, kiedy bezceremonialnie podrzucił ją, aby znaleźć najwygodniejszą pozycję stłumiła ją jednak natychmiast. Nie było to właściwe miejsce ani czas. Nie musiała już biec po śniegu, tylko to się liczyło. I mogła wreszcie złapać oddech. Jednak powinien ją ostrzec.

Z wysiłkiem wygięła szyję, aby zobaczyć swoje towarzyszy, z ulgą przekonując się, że wszystkie są na miejscu. Były nagimi więźniarkami, prawda, z drugiej jednak strony miała pewność, że Aielowie zostawiliby w śniegu tylko trupa. Wszystkie te, które zmuszono do marszu, miały na szyjach smycze z pończoch albo odciętych pasów garderoby, większości również związane ręce na plecach. Alliandre nie próbowała już kulić się i bezskutecznie osłaniać swą nagość. W myślach królowej Ghealdan skromność przesłoniły inne problemy. Ciężko dysząc, i drżąc pewnie by upadła, gdyby niski Shaido, który oglądał jej stopy, nie przytrzymał związanych ramion. Niski w przypadku Aiela oznaczało, że w pozostałych częściach świata nie wyróżniałby się niczym, prócz może tylko barków, równie szerokich jak u Rolana. Wiatr rozwiewał czarne włosy, które normalnie spływały Alliandre na plecy, twarz wykrzywił wyraz ostatecznego wycieńczenia. Idąca za nią Maighdin wydawała się nieomal w równie kiepskim stanie – rozpaczliwe oddechy, rudozłote włosy w nieładzie, wytrzeszczone oczy – jakoś jednak potrafiła stać o własnych siłach, podczas gdy koścista Panna oglądała jej stopy. Jakimś sposobem pokojówka Faile bardziej wyglądała na królową niż

Alliandre, nawet jeśli na królową w ostatecznej prostracji.

W porównaniu z nimi Bain i Chiad wyglądały nie gorzej niż Shaido, chociaż policzek Chiad zżółkł i napuchł od ciosu, otrzymanego gdy zostały schwytane, a skrzep czarnej krwi, zlepiający krótkie rude włosy Bain i zachodzący częściowo na twarz, najwyraźniej zamarzał. Niedobrze. Może od tego zostać blizna. Jednak piersi obu Panien nie podnosił przyspieszony oddech i same spokojnie uniosły stopy do oględzin. Jako jedyne spośród wziętych do niewoli nie zostały skępowane – chyba że skuwający je obyczaj można uznać za więzy. Spokojnie zaakceptowały swój los, który sprowadzał się do roku i dnia odsłużonych w charakterze *gai'shain*. Bain i Chiad mogły ewentualnie jakoś tam okazać się pomocą w ucieczce – Faile nie była pewna, jakie w tej kwestii również pętają je obyczaje – ale z pewnością same nawet nie spróbują.

Ostatnie schwytane, Lacile i Arrela, próbowały zachować się tak samo jak Panny, oczywiście z miernym powodzeniem. Wysoki Aiel zwyczajnie schwycił drobną Lacile pod pachę, aby obejrzeć stopy, jej policzki powlekł szkarłat upokorzenia. Arrela była wysoka, każda jednak z dwu Panien, które jej strzegły, była wyższa od samej Faile, toteż nic im nie przeszkadzało w traktowaniu tairienianki z bezosobową sprawnością. Jej smagłą twarz wykrzywił ponury grymas, wywołany takim szarpaniem, a może treścią szybkich komunikatów języka gestów, jakie między sobą wymieniały. Faile miała nadzieje, że Arrela nie sprawi jakichś kłopotów, przynajmniej jeszcze nie teraz. Wszyscy w *Cha Faile* próbowali zachowywać się jak Aielowie, żyć, jak im się wydawało, że Aielowie żyją, jednak Arrela w zupełnie dosłownym sensie chciała być Panną i miała pretensje do Sulin i pozostałych, że nie chcą nauczyć jej mowy dłoni. Z pewnością obraziłaby się strasznie, gdyby się dowiedziała, że Bain i Chiad trochę Faile nauczyły. Trochę, nie tyle nawet, by zdołała wylapać więcej niż co drugie słowo z rozmowy prowadzonej przez tamte. Bardzo dobrze, że Arrela niczego nie pojmowała. Dzielily się bowiem spostrzeżeniami, jakie to mieszkanka mokradeł ma strasznie delikatne stopy, jak cała jest zbyt pulchna i delikatna – z pewnością by ją to skrajnie rozdrażniło.

Jak się okazało, Faile niepotrzebnie przejmowała się Arrelą. Tairienianka zeszytniała, kiedy jedna z Panien przerzuciła ją przez ramię – udając, że się zachwiała, obciążona brzemieniem kobieta za pomocą wolnej ręki przesłała drugiej Pannie wiadomość, na którą tamta roześmiała się w głos pod zasłoną – jednak zobaczywszy, że Bain i Chiad już pokornie spoczęły na ramionach Aielów, Arrela również z ponurą rezygnacją pozwoliła się nieść. Lacile zaczęła piszczeć, kiedy trzymający ją potężny mężczyzna nagle przerzucił ją w powietrzu, póki nie wylądowała w tej samej pozycji co pozostałe, jednak po chwili się uspokoiła, chociaż jej twarz pozostawała szkarłatna. Z pewnością te znakomite lekcje przydadzą im się w naśladowaniu Aielów.

Z Alliandre i Maighdin, ostatnimi kobietami, które Faile podejrzewałaby o robienie trudności, sprawa miała się jednak całkowicie inaczej. Kiedy zdały sobie sprawę, co je czeka, obie zaczęły walczyć jak dzikie kotki. Nie do końca była to walka – dwie nagie i wyczerpane kobiety ze skępowanymi za plecami rękoma – wiły się jednak, krzyczały i kopały każdego, kto się nawinął, a Maighdin zatopiła nawet zęby w dłoni nieuważnego Aiela, do której przywarła niczym piesek atakujący dzika.

– Przestańcie, głupie! – zawołała do nich Faile. – Alliandre! Maighdin! Pozwólcie się ponieść! Macie mnie słuchać! – Obie jednak nie zwróciły najmniejszej uwagi na wykrzykiwane słowa. Maighdin warczała niczym lew, wciąż ściskając w zębach dłoń Aiela. Alliandre została obalona na ziemię, ale nie przestała wrzeszczeć i wierzgać. Faile otworzyła usta, żeby wydać następny rozkaz.

– *Gai'shain* ma być cicho – warknął Rolan i poparł swe słowa mocnym klapssem.

Zazgrzytała zębami i mruknęła pod nosem. Za co zarobiła następnego klapsa! Ale tamten przecież zatknął sobie jej noże za pasem. Gdyby tylko udało się sięgnąć choć jeden...! Nie. Co trzeba

wytrwać, da się wytrwać. Zamierzała uciec, a nie silić się na próżne gesty.

Walka Maighdin trwała nieco dłużej niż Alliandre, do czasu aż dwu potężnym mężczyznom nie udało się rozewrzeć jej szczęk. Trzeba było aż dwóch. Ku zaskoczeniu Faile, zamiast związać Maighdin, ugryziony mężczyzna tylko strząsnął krew ze swej dłoni i zaśmiał się! Oczywiście tamta nic nie zyskała na próbie oporu. W mgnieniu oka pokojówka Faile leżała twarzą w śniegu obok królowej. Zarobiły tylko parę chwil próżnej szarpaniny oraz kąśliwe uszczyplenia lodu. Spośród otaczających ich drzew wyszła dwójka Aielów, po drodze wygładzając ciężkimi nożami dwie wycięte wcześniej długie witki. Stopa na plecach każdej z kobiet, dłoń trzymająca związane ręce, aby nimi nie wymachiwały – i na białych Pośladkach zaczęły wykwiitać czerwone pręgi.

Z początku obie kobiety próbowały wciąż walczyć, skręcając się i próbując wyrwać z uchwytu. Cały wysiłek był jeszcze bar dziej próżny niż wówczas, gdy stały. Mogły właściwie tylko szarpać głowami i dziko wymachiwać samymi dłońmi. Alliandre przeraźliwie krzyczała, że nie mogą tego robić, co było zrozumiałe zważywszy jej tytuł, ale całkowicie głupie w danych okolicznościach. Najwyraźniej mogli i właśnie robili. Zaskakujące, że Maighdin reagowała identycznymi wrzaskami i identycznymi słowy. Można by sobie pomyśleć, że pochodzi z królewskiej krwi, a nie jest prostą pokojówką damy. Faile doskonale wiedziała, że Lini potrafiła użyć różgi wobec Maighdin, nie wywołując nawet śladu podobnej hysterii. W każdym razie protesty nie na wiele się obu kobietom przydały. Metodyczne lanie trwało do chwili, póki obie już tylko wierzgały i wyły bez słowa, i jeszcze przez krótką chwilę, żeby popamiętały. Zarzucone w końcu na ramiona Aielów jak pozostałe więźniarki, zwisały bezwładnie, płacząc, wszelka wola walki najwyraźniej je opuściła.

Faile nie czuła nawet odrobiny współczucia. W jej oczach głupie zasłużyły na każdą otrzymaną różgę. Pomijając już odmrożenia i poharatane stopy, im dłużej pozostawały bez ubrań, tym większe szansę, że któraś z nich nie dożyje chwili ucieczki. Shaido najwyraźniej zmierzali ku jakiemuś schronieniu, a Alliandre i Maighdin opóźniły tylko dotarcie do niego. Może chodziło o nie więcej jak kwadrans opóźnienia, minuty jednak mogły tu decydować o różnicy między życiem a śmiercią. Na dodatek wszystkiego, Aielowie z pewnością zrezygnują nieco ze swej czujności, kiedy już dotrą do schronienia i rozpalą ogniska. One zaś, niesione, mogły nieco odpocząć. Będą gotowe skorzystać z okazji, gdy takowa się nasunie.

Nawet niosąc na plecach schwymane kobiety, Shaido dalej narzucali swe mordercze tempo. Wydawało się nawet, że biegną przez las jeszcze szybciej niż wcześniej. Twardy skórzany futerał na łuk obijał się o bok Faile, kiedy jej ciało kołysało się, powoli zaczynało jej się kręcić w głowie. Każdy krok Rolana ukłuciem odzywał się w boku. Ukradkiem próbowała odnaleźć taką pozycję ciała, która nie narażałaby jej na ciągłe szturchnięcia i uderzenia.

– Leż spokojnie, bo inaczej spadniesz – mruknął Rolan, poklepując ją po biodrze w taki sposób, w jaki mógłby uspokajać konia.

Faile zadarła głowę i ze złością spojrzała na Alliandre. Z królowej Ghealdan niewiele było widać, a to co było widoczne, sprowadzało się do czerwonych pręg, pokrywających ją od bioder po kolana. Jeśli już się nad tym zastanowić, krótka zwłoka i kilka różg mogłoby stanowić niewielką cenę za przyjemność pozbawienia kawałka ciała tego durnia, który traktował ją niczym worek z ziarnem. Jednak z pewnością nie ręką. Prędeziej gardło.

Śmiałe myśli, ale gorzej niż bezużyteczne. Głupie. Nawet niesiona, wiedziała, że musi walczyć z zimnem. W pewien sposób, jak zaczynała sobie zdawać sprawę, ten sposób poruszania się był znacznie gorszy. Kiedy biegła, przynajmniej musiała walczyć, żeby się nie przewrócić i oczywiście nie było mowy o zasypianiu, teraz jednak, gdy zapadł już wieczór i mrok się pogłębił, kołysanie ramion Kolana zdawało się wywierać efekt usypiający. Nie. To zimno otępiało jej umysł. Sprawiało,



że krew wolniej krążyła w żyłach. Musi z tym walczyć, bo w przeciwnym razie umrze.

Znowu zaczęła rytmicznie poruszać dłońmi, związanymi rękoma, napinać i rozluźniać nogi, napinać i rozluźniać, zmuszając krew do krążenia w mięśniach. Pomyślała o Perrinie, zaczęła poważnie planować, co powinien zrobić z Masemą i jak miałyby go przekonać, gdyby się opierał. Odtworzyła w pamięci kłótnię, jaka wyniknęła, gdy się dowiedział, że używa *Cha Faile* jako szpiegów, zastanawiała się, jak sprostać jego gniewowi, jak poradzić sobie z nim. Kierowanie gniewu męża w tę stronę, na której kobiecie zależało, stanowiło całą sztukę, ona zaś uczyła się jej od prawdziwej mistrzyni – swojej matki. To będzie świetna kłótnia. I świetne nastąpi po niej pogodzenie.

Myśl o tym, jak się będą godzić, sprawiła, że zapomniała o pracy z mięśniami, zamiast tego więc spróbowała skoncentrować się na kłótni, na planowaniu. Jednak zimno przytępiło jej myśli. Zaczęła gubić wątek, aż musiała potrząsać głową i zaczynać od początku. Warknięcia Rolana, którymi kazał jej „się zachowywać”, Pomagały, pozwalały się skoncentrować, nie zasnąć. Nawet towarzyszące im klapsy na jej wypięte ku górze pośladki pomagały, nie zależnie jak bardzo nie chciałyby się do tego przyznać, ponieważ każdy oznaczał wstrząs przywracający ją świadomości. Po chwili zaczęła się specjalnie wiercić, potem szarpać tak, że omal nie spadała, wszystko po to, by kusić kolejne uderzenia. Cokolwiek, byle tylko nie zasnąć. Nie potrafiła już powiedzieć, ile czasu minęło zdawała sobie jednak sprawę, że jej szarpnięcia powoli słabną, ponieważ Rolan nie warczał na nią już tak często, co dopiero mówić o klapsach. Światłości, pragnęła, aby ten człowiek bił w nią jak w bęben!

„Dlaczego, na Światłość, mogłabym pragnąć czegoś takiego?” – pomyślała tępo i w jakimś ciemnym zakamarku umysłu coś zrozumiało, że bitwa została przegrana. Noc wydawała się znacznie ciemniejsza niżli być powinno. Nie potrafiła już nawet dostrzec odbicia księżycowej poświaty na śniegu. Czowała tylko, że się obsuwa, coraz szybciej i szybciej w kierunku głębszej jeszcze ciemności. Załkała cicho i zapadła w otępienie.

Przyszły sny. Siedziała na kolanach Perrina w uścisku jego ramion, tak mocnym, że ledwie mogła się ruszyć, przed ogniem buzującym na wielkim kamiennym kominku. Kosmyki jego brody drapały jej policzki, kiedy poszcypywał zębami uszy tak mocno, że prawie bolało. Nagle przez pokój przemknął potężny podmuch wiatru, gasząc płomienie niczym świecę. A sylwetka Perrina zmieniła się w dym, który podmuch rozwiał. Samotna w kąsającej ciemności, walczyła z wiatrem, on jednak toczył ją niepowstrzymanie, póki w oszołomieniu nie potrafiła już stwierdzić, gdzie góra, gdzie dół. Samotna, bez końca tocząc się w lodowatych ciemnościach, wiedząc, że nigdy już go nie odnajdzie.

Biegła po zamarznętej ziemi, zapadając się w kolejne zaspasy, upadając, gramoląc z nich, by w panice gnać dalej, łapczywie chwytając powietrze tak zimne, że kaleczyło jej gardło niczym okruchy szkła. Wokół niej na zeszywniałych gałęziach lśniły lodowe sopte, a przerażająco zimny wiatr był pośród bezlistnego lasu. Perrin był bardzo wściekły, musiała od niego uciekać. Z jakiegoś powodu, nie potrafiła sobie przypomnieć treści kłótni, wiedziała tylko, że wprawiała swego pięknego wilka w prawdziwy gniew, aż zaczął ciskać przedmiotami. Tylko że Perrin nigdy nie ciskał przedmiotami. Zapewne przełożyłby ją przez kolano, jak to raz zrobił, tak już dawno temu. Dlaczego jednak przed tym uciekała? Przecież w końcu znowu się pogodzą. I wtedy oczywiście każe mu zapłacić za doznane upokorzenia. W każdym razie udało jej się raz czy dwa upuścić mu trochę krwi dobrze wycelowaną misą albo dzbanem, wcale nie mając takiego zamiaru, wiedziała też, że on nigdy jej nie skrzywdzi. Wiedziała też równocześnie jednak, że musi uciekać, musi się ruszać, bo w przeciwnym razie umrze.

Jeżeli on mnie złapie – pomyślała bez emocji – przynajmniej jedna część mego ciała będzie

gorąca”. – I zaczęła się śmiać na te myśli, póki całkowicie martwa biała kraina nie zaczęła wokół niej wirować i wtedy zrozumiała, że sama wkrótce będzie również martwa.

Majaczyło ponad nią gigantyczne ognisko, prawdziwa góra grubych bali, wśród których wyły płomienie. Była naga. Było jej zimno, tak zimno. Nieważne jak bardzo garnęła się do ognia, wciąż czuła mróz w kościach, czuła, jakby jej skóra gotowa była pod dotknięciem rozsypać się setką lodowych odłamków. Przysunęła się jeszcze bliżej, jeszcze bliżej. Żar bijący od ognia stawał się coraz mocniejszy, póki nie zaczął jej parzyć, kłuszące zimno jednak jakby uwięzło w jej ciele. Jeszcze bliżej. Och Światłości, ależ było gorąco, za gorąco! I wciąż wewnątrz zimno. Jeszcze bliżej. Zaczęła krzyczeć, ponieważ gorąco parzyło ją, paliło żywym ogniem; w środku wciąż lód. Bliżej. Bliżej. Zaraz nadejdzie śmierć. Krzyknęła, ale wokół była tylko cisza i lodowaty spokój.

Był dzień, jednak niebo zasnuwały ołowiane chmury. Śnieg padał równomiernie, puszyste płatki wirowały wśród drzew. Unoszący je wiatr nie był szczególnie mocny, lizał jednak ciało językami lodu. Na gałęziach gromadziły się białe czapy do chwili, aż me zsunęły się pod własnym ciężarem i siłą wiatru, uderzając z głuchym tąpnięciem w ziemię. Głód szarpał jej żołądek tępymi zębami – Bardzo wysoki, kościsty mężczyzna w białym wełnianym hafcie, którego kaptur zasłaniał twarz, przemocą wetknął jej coś do ust... krawędź wielkiego glinianego kubka. Jego oczy były zdumiewająco zielone, niczym szmaragdy, otaczała je siatka blizn. Klęczał wraz z nią na sporym brązowym wełnianym kocu, drugi koc w szare paski, skrywał jej nagość. Smak gorącej herbaty z miodem wybuchnął w jej ustach, obiema dłońmi słabo schwyciła zylaste nadgarstki tamtego, na wypadek gdyby chciał odjąć kubek. Jej zęby szczękały na krawędzi, chciwie jednak połykała parujący ulepek.

– Nie tak szybko, nie powinnaś nic uronić – powiedział pokornie zielonooki mężczyzna. Pokora jego tonu tworzyła dziwne zestawienie z tą zapalczywą twarzą i ogólnie zgrzytliwym brzmieniem głosu. – Przynieśli ci ujmę na honorze. Ale jesteś mieszkanką mokradeł, więc może w twoim przypadku to się nie liczy.

Powoli docierało do niej, że to już nie jest sen. Myśli powracały strumyczkiem płochliwych cieni, które umykały, gdy chciała zbyt gwałtownie je złapać. Okrutnik w białej szacie był *gai'shain*. Smycz i więzy zniknęły. Tamten wyrwał swe nadgarstki ze słabego uchwytu jej dłoni, ale tylko po to, by napełnić znowu kubek strumieniem ciemnej cieczy z zawieszzonego na ramieniu worka na wodę. Znad kubka uniosła się para i aromat herbaty.

Drżąc tak mocno, żeomalże się nie przewróciła, otuliła się ciasno pasiastym kocem. Jej stopy zakwitwały ogniem bólu. Nawet gdyby się podniosła, nie potrafiłaby ustać na nogach. Ale przecież nie chciała się podnieść. Póki kuciała, koc ukrywał wszystko prócz jej stóp, gdyby powstała, ukazałaby całe nogi, a może i więcej. Jednak głównie zależało jej na cieple, nie na przyzwoitości, chociaż jednego i drugiego nie należało oczekiwać wiele. Zęby głodu rwały coraz silniej, nie mogła powstrzymać drżenia. Wewnątrz wciąż była przemarznięta,. Gorąca herbata stanowiła już tylko wspomnienie. Mięśnie zmieniły się w tygodniową galaretę. Na chwilę nie potrafiła nawet oderwać oczu od napełnianego kubka, od jakże pożądanej zawartości, zmusiła się jednak, by rozejrzeć za towarzyszami.

Wszystkie znajdowały się obok, Maighdin, Alliandre i cała reszta, klęczały na kocach, drżały okryte kocami, na które padał śnieg. Przed każdą *gai'shain* klęczał z pękającym workiem na wodę i kubkiem lub filiżanką, a nawet Bain oraz Chiad piły jak kobiety na poły umierające z pragnienia. Ktoś usunął krew z twarzy Bain, ale inaczej niż ostatnim razem, gdy Faile na nie patrzyła, obie Panny wydawały się równie spięte i niespokojne jak reszta. Poczawszy od Alliandre, a skończywszy na Lacile, jej towarzyszki wyglądały – jak to Perrin ujmował? – jakby przeciągnięte przez dziurę po

sęku. Jednak wszystkie żyły i tylko to było istotne. Jedynie żywi mogą próbować ucieczki.

Rolan oraz pozostali *algai'd'siswai*, którzy sprawowali nad nimi pieczę, stali w jednej grupie u końca szeregu klęczących. Pięciu mężczyzn i trzy kobiety, Pannom śnieg sięgał niemalże do kolan. Czarne zasłony opuścili na piersi i obojętnie obserwowali swoich jeńców oraz *gai'shain*. Przez chwilę spoglądała na nich spod zmarszczonych brwi próbując złowić umykającą myśl. Tak, oczywiście. Gdzie byli pozostali? Ucieczka okaże się łatwiejsza, jeżeli reszta udała się dokądś indziej. Chodziło jednak o coś jeszcze, kolejna mglista kwestia, której nie potrafiła żadną miarą jasno sformułować.

Nagle widok rozpościerający się za ósemką Aielów z całą wyrazistością stanął jej przed oczyma, a wraz z nim odpowiedzi na wszystkie pytania. Skąd wzięli się *gai'shain*! W odległości mniej więcej stu kroków, przesłonięty rzadko rosnącymi drzewami i kurtyną padającego śniegu, przepływał obok stały strumień ludzi, zwierząt jucznych i wozów. Nie strumień. Prawdziwa wezbrana rzeka wędrujących Aielów. A więc zamiast półtorej setki Shaido, miała do czynienia z całym klanem. Wydawało się niemożliwe, aby tak wielu ludzi mogło mijać Abilę w odległości dnia lub dwóch drogi, nie wzniecając przy okazji jakiegoś alarmu – nawet w kraju ogarniętym anarchią – jednak dowód miała tuż przed oczyma. Ciężko jej się zrobiło na sercu. Może nie będzie to miało wpływu na ewentualne losy ucieczki, ale sama nie bardzo potrafiła w to uwierzyć.

– Czym mnie obrazili? – zapytała, jękając się i natychmiast zacisnęła zęby, chcąc pohamować ich szczekanie. I zaraz znowu je rozwarła, ponieważ *gai'shain* już podawał jej kubek. Pochłonęła bezcenne ciepło, zakrztusiła się i zmusiła do wolniejszego przelęgania. Miód, którego domieszano do herbaty tak szczerze, że innym razem uznałaby napój za niezdolnie lepki, teraz odrobinę łagodził ssący głód.

– Wy, mieszkańcy mokradeł, nic nie wiecie – wymijająco odparł pokryty bliznami mężczyzna. – *Gai'shain* nie wolno w nic przyodziewać, póki nie można im nałożyć właściwych szat. Obawiali się jednak, że wszystkie zamrzniecie na śmierć, a mogli was ubrać tylko we własne kaftany. Tym sposobem zhańbiono was uznano za słabe, jeśli oczywiście mieszkańcy mokradeł wiedzą co to hańba. Rolan i wielu pozostałych są zwykłymi *Mera'din*, Efałin i inni powinni jednak wiedzieć lepiej. Efałin nie powinien na to pozwolić.

Zhańbiono? Rozwścieczono, byłoby lepszym słowem. Nie chcąc odwracać głowy od błogosławionego kubka, oczyma wskazała barczystego giganta, który niósł ją niczym worek i tłukł niemiłosiernie. Niejasno przypominała sobie, że pragnęła przecież tych klapsów, ale odrzuciła z gruntu tę myśl jako niepodobieństwo. Jasna sprawa, czyste niepodobieństwo! Rolan wcale nie wyglądał na człowieka, który biegł truchtem przez większość dnia i całą noc, na dodatek jeszcze kogoś niosąc. Biała chmura zamrznętego oddechu wykwiłała przed nim z miarową regularnością. *Mera'din*? Uznała, że w Dawnej Mowie oznacza to „Pozbawionych Braci”, skąd jednak dalej nic nie wynikało, a przecież w głosie *gai'shain* usłyszała wcześniej wyraźną nutę przygany. Będzie musiała zapytać Bain lub Chiad, mając nadzieję, że nie jest to jedna z tych rzeczy, o których Aielowie za nic nie będą rozmawiać z mieszkańcami mokradeł, nawet z tymi, których liczyli w poczet swych przyjaciół. Każda drobina wiedzy może pomóc w ucieczce.

A więc odziali swoich jeńców, by uchronić ich przed zamrznieniem, tak? Cóż, najwyraźniej żadnej nic nie groziło, dzięki Rolanowi i tym, którzy postąpili jak on. A więc być może coś mu jednak zawdzięczała. Bardzo niewiele, biorąc pod uwagę inne sprawy. Być może jednak nie powinna się posuwać dalej, jak tylko obciąć mu uszy. Rzecz jasna, jeśli tylko będzie miała szansę, otoczona tysiącami Shaido. Tysiącami? Liczba Shaido szła w setki tysięcy, a spośród nich dziesiątki tysięcy stanowili *algai'd'siswai* – Wściekła na siebie, jakoś jednak zdławiła rozpacz. Przecież uda się

uciec, wszystkie uciekną, ona zaś zabierze ze sobą uszy tamtego!

– Już ja dopilnuję, aby Rolan dostał, na co zasłużył – wymamrotała, gdy *gai'shain* zabrał kubek do kolejnego napełnienia. Słyszając to, tamten obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem zmrużonych oczu, a wtedy pospiesznie dodała: – Jak sam powiedziałaś, jestem mieszkanką mokradeł. Jak większość z nas. Nie stosujemy się do nakazów *ji'e'toh*. Wedle waszych obyczajów w ogóle nie powinniśmy zostać obrócone w *gai'shain*, nieprawdaż? – Poblížnione oblicze tamtego nie zmieniło wyrazu, nawet powieka mu nie drgnęła. Coś w jej wnętrzu niejasno ostrzegało, że jeszcze za wcześnie, że jeszcze nie rozpoznała dobrze terenu, ale leniwe od zimna myśli były wolniejsze niż język. – A co będzie, jeśli Shaido zdecydują się zniszczyć też inne obyczaje? Mogą na przykład nie uwolnić ciebie, kiedy przyjdzie na to czas.

– Shaido niszczą wiele obyczajów – poinformował ją spokojnie – ale ja nie. Pozostało mi jeszcze ponad pół roku noszenia bieli. Do tego czasu będę służył, jak nakazuje obyczaj. Skoro tak ci się chce gadać, może masz już dość herbaty?

Faile niezgrabnie wyrwała kubek z jego dłoni. Widząc, jak brwi tamtego uniosły się, jedną ręką spróbowała jak najszybciej doprowadzić do porządku swoje tymczasowe okrycie, na policzki wypełził rumieniec. Ten mężczyzna z pewnością zdawał sobie sprawę, że patrzy na kobietę. Światłości, reagowała niezgrabnie niczym ślepa krowa! Należało się zastanowić, skoncentrować. Mózg był jej jedyną bronią. Jednak w tym momencie równie dobrze mogłaby mieć w głowie zamrożony ser. Upiła głęboki łyk herbaty i zaczęła się zastanawiać nad sposobem, by obrócić na swoją korzyść sytuację, w której otaczały ją tysiące Shaido. Nic jednak nie przyszło jej do głowy. Nic, a nic.

# PROPOZYCJE

– Co my tu mamy? – zapytał twardy kobiecy głos. Faile uniosła wzrok, zagapiła się i przynajmniej na moment zapomniała o herbacie.

Z wirującej zamieci, zapadając się do połowy łydek w pokrywającym ziemię białym dywanie, który jednak nie przeszkadzał im zbytnio w energicznym marszu, wyszły dwie kobiety Aielów w towarzystwie idącej między nimi, znacznie niższej *gai'shain*. Ta ostatnia jednak najwyraźniej nie radziła sobie w śniegu równie dobrze, potykała się i brnęła z trudem przez zaspę, dlatego też któraś z tamtych musiała wciąż trzymać pomocną rękę na jej ramieniu. Każda z nich stanowiła zaiste widok jedyny w swoim rodzaju. Kobieta w bieli, choć starała się trzymać głowę skromnie spuszczoną, dłonie zaś ukryte w szerokich rękawach – stosownie do zachowania oczekiwanego po *gai'shain* – zdumiewała patrzącego głębokim połyskiem szat, z którego można się było domyślać jedwabiu. *Gai'shain* nie wolno było nosić biżuterii, ta jednak spięta była w talii szerokim, doskonale wykonanym paskiem ze złota i ognistych łez, dopasowana do niego pyszna kolia pobłyskiwała w rozcięciu głębokiego kaptura. Mało kogo poza członkami królewskich rodów byłoby stać na coś takiego. Jakkolwiek dziwny widok stanowiła ta osobliwa *gai'shain*, to jednak spojrzenie Faile znacznie dłużej spoczywało na dwu pozostałych kobietach. Skądś wiedziała, że są to Mądre. Prawdopodobnie chodziło o autorytatywną atmosferę, którą wokół siebie roztaczały – oto były kobiety przywykłe do wydawania rozkazów i do tego, by je wypełniano. Poza tym jednak widok jaki stanowiły, sam przez się przykuwał oko. Prowadząca *gai'shain* kobieta o orlim spojrzeniu błękitnych oczu, z głową owiniętą ciemnoszarym szalem, była wysoka. Przynajmniej tak wysoka jak większość mężczyzn Aielów, druga natomiast wzrostem swobodnie górowałaby nad Perrinem! Ale poza tym była zadziwiająco smukła... wyjąwszy jeden tylko szczegół anatomii. Słomiane włosy spływały jej aż po talię, przed opadaniem na twarz chroniła je szeroka ciemna chusteczka, którą zostały związane, brązowym szalem otuliła ramiona, ale na tyle swobodnie, iż ukazywał niewiarygodnie pokaźny fragment odsłoniętych piersi, niemalże wylewających się z dekoltu jasnej bluzki. Takim sposobem udawało jej się unikać odmrożeń przy tej temperaturze? Przecież te wszystkie grube naszyjniki z kości słoniowej i złota w zetknięciu z gołą skórą muszą zachowywać się niczym żelazne okowy!

Wszystkie zatrzymały się przed klęczącymi więźniarkami, a potem kobieta o orlej twarzy z dezaprobatą zmarszczyła brwi, powiodła wzrokiem po Shaido, którzy je schwytali i wreszcie obcesowym gestem wolnej ręki odprawiła ich. Z jakiegoś powodu wciąż mocno ścisnęła ramię *gai'shain*. Trzy Panny odeszły szybko, zmierzając w stronę przemieszczającej się ciżby Shaido. Podobnie zachował się jeden z mężczyzn, Rolan natomiast najpierw wymienił z pozostałymi całkowicie wyzute z wyrazu spojrzenia i dopiero wtedy postąpili jak tamci. Może to coś znaczyło, może wcale nie. Faile nagle zrozumiała, jak czuje się ktoś wciągany pod wodę przez wir, tonący, co chwyta się słomki.

– Mamy kolejnych *gai'shain* dla Sevanny – odrzekła z rozbawieniem niewiarygodnie wysoka kobieta. Miała twarz o zdecydowanych rysach, którą nawet można by określić mianem przystojnej, w zestawieniu jednak z obliczem drugiej Mądrej wydawała się miękka. – Sevanna nie zazna spokoju, póki cały świat nie zostanie obrócony w jej *gai'shain*, Therava. Nie chcę przez to powiedzieć, że mam coś przeciwko temu – dokończyła ze śmiechem.

Mądra o orlim spojrzeniu nie zawtórowała. Jej twarz równie dobrze mogła być wykuta z kamienia. Jej głosem mógłby przemawiać kamień.

– Sevanna już ma zbyt wielu *gai'shain*, Someryn. W ogóle mamy zbyt wielu *gai'shain*. Przez nich pełzamy w sytuacji, gdy powinniśmy gnać na złamanie karku. – Stalowym spojrzeniem powiodła po szeregu klęczących.

Faile skrzywiła się, kiedy to spojrzenie na niej spoczęło, pospiesznie ukryła twarz w kubku z herbatą. Nigdy dotąd nie spotkała Theravy, widok jej oczu od razu jednak wystarczył, żeby wiedziała, z kim ma do czynienia – z kobietą gotową bezwzględnie stłumić wszelkie próby oporu i chętną dojrzeć próbę oporu nawet w przypadkowym gościu. Wystarczająco już źle było spotkać kogoś takiego w pierwszym lepszym szlachcicu na dworze albo w przypadkowym podróżnym na drodze, jeśli jednak ta orlooka kobieta postanowi zająć się nimi osobiście, ucieczka stanie się przedsięwzięciem co najmniej bardzo trudnym. Mimo to obserwowała ją kątem oka. Było to niczym przyglądanie się pasiastej żmii z połyskującymi w słońcu łuskami, która zwinęła się w kłębek o stopę od twarzy.

„Pokora” – pomyślała. „Oto sobie tu klęczę pokornie, nie myśląc o niczym innym, jak tylko o herbacie. Nie musisz nawet na mnie po raz drugi spoglądać, ty zimno-oka wiedźmo”. – Miała nadzieję, że pozostałe dostrzegły to samo, co ona.

Alliandre najwyraźniej się nie zorientowała. Próbowwała stanąć na opuchniętych nogach, zatoczyła się, skrzywiła, znów opadła na kolana. Mimo to klęczała wyprostowana pod padającym śniegiem, z głową uniesioną, otulona kocem w czerwone paski, jakby to był znakomity jedwabny szal, narzucony na świetną suknię. Obnażone nogi i potargane przez wiatr włosy do pewnego stopnia psuły efekt, wciąż jednak mogła służyć za wzorzec arogancji i poczucia wyższości.

– Jestem Alliandre Maritha Kigarin, królowa Ghealdan – oznajmiła na głos, bezbłędnie odgrywając rolę władczyni, zwracającej się do wyjętych spod prawa włóczęgów. – Postąpilibyście mądrze, traktując dobrze mnie i moje towarzyszki, oraz wymierzając karę tym, którzy zachowali się wobec nas brutalnie. Możecie za nas otrzymać znaczny okup, większy niżli wam się kiedykolwiek śniło, oraz odpuszczenie waszych przewinień. Lady, która jest moim suwerenem i ja domagamy się stosownego zakwaterowania, póki nie zostanie osiągnięte porozumienie, to samo odnosi się do jej pokojówki. Warunki, w jakich będą przebywali pozostali, nie mają aż tak decydującego znaczenia, póki nie stanie im się żadna krzywda. Nie zapłacę żadnego okupu, jeżeli nawet najmniej znaczącej służce mego suwerena spadnie włos z głowy.

Faile omal nie jęknęła w głos – czy ta idiotka uważała ich za zwykłych bandytów? – ale nawet na to nie starczyło już czasu.

– Czy to prawda, Galina? Czy to jest rzeczywiście królowa mieszkańców mokradel? – W polu widzenia klęczących pojawiła się kolejna kobieta, wysoki czarny wałach, którego dosiadała, lekko stąpał w śniegu. Faile policzyła ją między Aielów, ale skąd niby miała mieć pewność? Ponieważ tamta siedziała w siodle, nie sposób było dokładnie ocenić jej sylwetki, niemniej wydawała się równie wysoka jak sama Faile, a wyjąwszy Aielów, rzadko gdzie spotykało się takowe, na dodatek jeszcze z zielonymi oczyma i ogorzałą od słońca twarzą. A jednak... Choć szeroka, ciemna spódnica na pierwszy rzut oka przypominała typowy ubiór kobiet Aielów, po bliższym przyjrzeniu się zdradzała, że rozcięto ją do konnej jazdy oraz materiał, z którego ją uszyto: jedwab; jedwabną też miała kremową bluzkę, natomiast spod rąbka spódnicy wyglądały czerwone buty, wetknięte w strzemiona. Szeroka zwinięta chusta, którą związała długie złote włosy, była haftowana czerwoną jedwabną nicią, na niej gruby jak kciuk pierścień z oprawionych w złoto ognistych łez. W przeciwieństwie do Mądrych, które zazwyczaj preferowały kute złoto i rzeźbioną kość słoniową, u niej sznury wielkich pereł i liczne naszyjniki ze szmaragdami, szafirami i rubinami kryły tyleż łona, co Someryn odślaniała. Bransolety, zdobiące przedramiona niemalże po łokcie, tą samą różnicą

stylistyczną odbiegały od noszonych przez obie Mądre, poza tym Aielowie nie nosili pierścieni, u niej natomiast każdym palcu migotał klejnot. Zamiast ciemnego szala miała jaskrawoczerwony płaszcz, obrzeżony złotym haftem i obsyty białym futrem, który wydymały nieustanne podmuchy zimnego wiatru. Z drugiej strony, w siodle trzymała się z tą charakterystyczną dla Aielów niezgrabnością. – Oraz dama będąca – zająknęła się na obcym słowie – suwerenem królowej? Z tego wynika, że królowa złożyła jej przysięgę lenną? Wobec tego musi być to zaiste można kobieta. Odpowiedz, Galina!

Odziana w jedwab *gai'shain* przygarbiła ramiona, a potem obdarzyła kobietę na koniu pełnym uniżoności uśmiechem.

– Zaiste musi być to można dama, skoro królowa złożyła jej przysięgę lenną, Sevanna – potwierdziła skwapliwie. – Nigdy dotąd o czymś takim nie słyszałam. Sądzę jednak, że ona jest tą którą się mieni. Raz w życiu spotkałam Alliandre, całe lata temu ale dziewczyna, którą pamiętam, swobodnie mogła wyrosnąć na te kobietę. Została koronowana na władczynię Ghealdan. Nie mam pojęcia, co też robi w Amadicii. Białe Płaszcz albo Roedran natychmiast by ją porwali, gdyby tylko się dowiedzieli, że...

– Dość, Lina – ostro weszła jej w słowo Therava. Dłoń na ramieniu Galiny zacisnęła się wyraźnie. – Wiesz, że nie znoszę kiedy zaczynasz mleć ozorem.

*Gai'shain* zadrżała, jakby uderzona, zacisnęła szczęki. Praktycznie rzecz biorąc, zgięta w pół, uśmiechnęła się do Theravy, płaszcząc jeszcze bardziej żałośnie niżli przed chwilą wobec Sevanny. Kiedy złożyła prosząco dłonie, na jednym z jej palców błysnęło złoto. W oczach zamigotał strach. W ciemnych oczach. Zdecydowanie nie mogących należeć do Aiela. Therava jakby sobie nie zdawała sprawy z demonstrowanej uległości tamtej – pies został przywołany do nogi i pies posłuchał. Nie spuszczała oczu z Sevanny. Tylko Someryn raz z ukosa spojrzęła na *gai'shain*, a jej usta wykrzywiła pogarda, za moment jednak ona również spojrzęła na Sevannę, wcześniej otuliwszy się szalem. Z twarzy Aielów niewiele zazwyczaj można było wyczytać, w jej przypadku jednak jasne było, że nie lubi Sevanny, a równocześnie boi się jej.

Znad krawędzi kubka Faile również przyjrzała się kobiecie na koniu. W jakimś sensie było to jak obserwowanie Logaina lub Mazrima Taima. Jak i oni, imię swe Sevanna wypisała na horyzoncie krwią i ogniem. Cairhien potrzebne będą całe lata, nim dojdzie do siebie po krwawej łaźni, jaką mu sprawiła, a której echa dotarły również do Andoru, Łzy i jeszcze dalej. Perrin całą winą obciążał mężczyznę imieniem Couladin, Faile jednak dość się nasłuchiwała o tej kobiecie, żeby wyrobić sobie jakie takie pojęcie, czyja ręka pociągała za sznurki. Nikt też nie podawał w wątpliwość faktu, że to ona ponosi pełną odpowiedzialność za masakrę pod Studniami Dumai. Perrinomalże tam nie zginął. Już przez to choćby sprawa między nią a Sevanną nabierała charakteru osobistego. Gotowa nawet była pozwolić, żeby Rolan zachował swoje uszy, gdyby tylko mogła odpłacić tamtej kobiecie.

Wystrojona kobieta prowadziła swego wierzchowca wzdłuż szeregu klęczących, twarde spojrzenie jej zielonych oczu było prawie równie chłodne jak wzrok Theravy. Chrząst śniegu pod kopytami czarnego wierzchowca nagle zdał się zdumiewająco głośny.

– Która z was to pokojówka? – Dziwne pytanie. Maighdin zawahała się, przelotnie zacisnęła szczęki, po chwili dopiero wysunęła spod koca dłoń i podniosła do góry. Sevanna z namysłem pokiwała głową. – A która z was jest... suwerenem?

Faile przez moment miała ochotę nie przyznawać się, wiedziała jednak, że Sevanna w taki czy inny sposób pozna prawdę. Z wahaniem uniosła dłoń. I zadrżała, jak jeszcze nie zdarzyło jej się zadrzeć od chłodu. Therava uważnie przyglądała jej się swoimi okrutnymi oczyma. Przyglądała się zarówno Sevannie, jak tym, które wyłoniły się z dotąd bezimiennego tłumu.

Faile nie potrafiła pojąć, w jaki sposób można nie zdawać sobie sprawy z tak świadującego spojrzenia, Sevanna jednak wydawała się wobec niego zupełnie obojętna; spokojnie zawróciła konia i po raz drugi przejechała przed szeregiem klęczących.

– Daleko nie zajdą na tych stopach – powiedziała po chwili. – A nie widzę powodu, dla którego miałyby jechać z dziećmi. Uzdrów je, Galina.

Faile wzdrygnęła się iomalże nie upuściła glinianego kubka. Pośpiesznie podsunęła go *gai'shain*, udając, że to właśnie zamierzała uczynić. Tak czy siak, był już pusty. Mężczyzna o pobliznionej twarzy spokojnie zaczął nalewać herbatę z worka na wodę. Uzdrawianie? Z pewnością nie miała na myśli...

– Dobrze – oznajmiła Therava, popychając *gai'shain* tak mocno, że tamta aż się zachwiała. – I uwiń się szybko, Lina. Wiem, że nie chcesz mnie rozczarować.

Galinie jakoś udało się nie upaść, ale tylko chyba po to, żeby zatoczyć się rozpaczliwie w stronę jeńców. Miejscami zapadała się po kolana, jej szaty zamiatały śnieg, zdecydowanie jednak miała zamiar wywiązać się przydzielonego zadania. Na jej okrągłej twarzy nieskrywany strach i obrzydzenie walczyły o lepsze z... czy mógł to być zapal? Niezależnie, co to było, połączenie przyprawiało o mdłości.

Sevanna dokończyła parady, ściągając wodze wierzchowca w miejscu, gdzie Faile mogła ją wyraźnie widzieć i popatrzyła na Mądre. Jej pełne usta były ściągnięte. Lodowaty wiatr marszczył płaszcz, ale zdawała się tego zupełnie nieświadoma, podobnie jak płatków śniegu obsypujących włosy.

– Właśnie otrzymałam wiadomość, Therava. – Jej głos był spokojny, chociaż oczy zdawały się miotać pioruny. – Dzisiejszej nocy będziemy obozować razem z Jonine.

– Piąty szczepek – bezbarwnym głosem odrzekła Therava. Dla niej także i wiatr, i śnieg równie dobrze mogłyby nie istnieć. – Pięć, podczas gdy siedemdziesiąt osiem wiatr gna na swych skrzydłach. Dobrze, że nie zapomniałaś o swej przysiędze zjednoczenia Shaido, Sevanna. Nie będziemy czekać wiecznie.

Teraz w jej oczach trudno było już dojrzeć miotane pioruny, Zmieniły się w dwa zielone, eksplodujące wulkany.

– Zawsze wywiązuję się z tego, co powiedziałam, Therava. Dobrze, że ty o tym pamiętasz. Pamiętaj też, że wyłącznie mi doradzasz. Ja zaś mówię w imieniu wodza klanu.

Zawróciła swego wałacha, wbiła obcasy w boki zwierzęcia, próbując puścić je galopem w kierunku rzeki ludzi i wozów, chociaż po tak głębokim śniegu żaden koń nie mógłby biec szybko. Karosz ostatecznie zdobył się na rodzaj szybkiego klusa, ale na nic więcej nie było go stać. Z twarzami pozbawionymi wyrazu niczym maski, Therava i Someryn obserwowały, jak jeździec i koń znikają za zasłoną spadającej z nieba bieli.

To była bardzo istotna wymiana zdań, przynajmniej dla Faile. Nie potrafiłaby przecież przegapić napięcia tak rzucającego się w oczy, czułego niczym struna harfy, jak również wzajemnej nienawiści. Wszystko to były słabości, które mogła wykorzystać, jeśli tylko wyrozumuje jak. Poza tym wychodziło na to, że bynajmniej nie zgromadzili się tutaj wszyscy Shaido. Chociaż było ich aż nadto, sądząc po mijającej ją, niekończącej się ludzkiej rzece. A wtedy dotknęła jej dłoń Galiny i wszystkie myśli pierzchły z jej głowy.

Nie wypowiedziawszy nawet słowa, Galina przybrała na twarz kiepską maskę spokoju i opanowania, a potem uchwyciła głowę Faile w obie dłonie. Faile pewnie westchnęła, nie była tego do końca pewna. Świat zawirował, gdy próbowała się poderwać na nogi. Godziny mknęły jak szalone, ale może to mgnienia oka się wlokły. Białą odziana kobieta dała krok do tyłu, a Faile



upadła, wtulając twarz w brązowy koc i przez czas jakiś leżała bez ruchu, dysząc ciężko w gruba wełnę. Stopy już jej nie bolały, jednak Uzdrawianie zawsze przynosiło ze sobą własny głód, ona zaś nic nie miała w ustach od wczorajszego śniadania. Pochłonęłaby bez zmrżenia oka całe półmiski czegokolwiek, co byłoby bodaj z daleka podobne do jedzenia. Nie czuła się już zmęczona, wydawało jej się jednak, że ma w mięśniach już nie wcześniejszą galaretę lecz wodę. Podniosła się, opierając na rękach, które najwyraźniej miały zamiar załamać się pod ciężarem ciała, niepewnie osłoniła się znowu kocem w szare paski. Była zupełnie ogłuszona, w takim samym stopniu Uzdrawianiem Galiny, jak tym, co dostrzegła na jej dłoni na moment przed tym, nim tamta ujęła jej głowę. Z wdzięcznością pozwoliła poblížnionemu mężczyźnie przytrzymać parujący kubek przy swoich ustach. Nie była pewna, czy zdołałaby go sama utrzymać w palcach.

Galina nie marnowała czasu. Obok Faile oszołomiona Alliandre właśnie próbowała się podnieść z koca, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że jej pasiaste przykrycie zsunęło się na ziemię. Rzecz jasna, wszelkie ślady po różgach również zniknęły. Maighdin wciąż spoczywała między dwoma kocami, bezwładne członki wystawały na wszystkie strony, ona zaś bezradnie próbowała wziąć się w garść. Chiad, którą Galina zajmowała się aktualnie, pochyliła się głęboko, aż dotknęła głową kolan, rozrzuciła ramiona, a powietrze uszło z jej płuc w pojedynczym głębokim westchnieniu. Żółty siniak na twarzy zniknął na oczach Faile. Kiedy Galina wreszcie przeszła ku Bain, Panna padła niczym ścięta, choć trzeba jej oddać, że nieomal natychmiast spróbowała się wziąć w garść.

Faile zajęła się swoją herbatą, równocześnie gorączkowo myśląc. Złoto na palcu Galiny to był pierścień z Wielkim Wężem. Uznałaby go pewnie za osobliwy prezent, pochodzący z pewnością od tego samego ofiarodawcy, któremu musiała zawdzięczać pozostałe ozdoby, gdyby nie umiejętność Uzdrawiania. Galina była Aes Sedai. Nie było innego wytłumaczenia. Ale co Aes Sedai robiła tutaj, nadto odziana w szaty *gai'shain*? Nie wspominając już, że najwyraźniej lizała ręce Sevanny i całowała stopy Theravy! Aes Sedai!

Zatrzymawszy się nad kulejącą Arrelą, ostatnią w rzędzie, Galina była już zdyszana od wysiłku Uzdrawiania tak wielu i w tak krótkim czasie, przystanęła więc i spojrzała na Theravę, jakby oczekując pochwały. Nie spojrzawszy na nią nawet, dwie Mądre ruszyły w kierunku kolumny Shaido i nachyliwszy ku sobie głowy, rozmawiały. Po chwili Aes Sedai skrzywiła się, uniosła szaty i pośpieszyła za nimi tak szybko, jak tylko potrafiła. Jednak obejrzała się za siebie, choć tylko raz. Faile wyczuła to jakoś mimo kurtyny śniegu, jaka je wówczas już przegradzała.

Pojawili się kolejni *gai'shain*, ponad dziesiątka mężczyzn i kobiet, wśród nich tylko jeden Aiel: szczupły rudzielec z cienką białą szramą, przecinającą twarz od linii włosów po krawędź szczęki. Prócz niego Faile rozpoznała niskiego, bladego Cairhienianina, w pozostałych domyślała się tylko Amadician lub Altaran, wyższych i bardziej smagłych, a nawet miedzianoskórej Domani. Domani i jeszcze jedna z kobiet nosiły szerokie paski ze lśniącego złotego łańcucha wokół talii i naszyjniki z płaskich ogniw wokół karków. Podobnie jak jeden z mężczyzn! W każdym razie na chwilę myśl o biżuterii *gai'shain*, niezależnie od tego, czyjego osobliwego kaprysu stanowiła efekt, zdała jej się całkowicie nieistotna, gdy zrozumiała, że tamci przynieśli żywność i odzież.

Niektórzy z nowo przybyłych dźwigali kosze pełne bochenków chleba, żółtego sera i suszonej wołowiny, a znajdujący się już na miejscu *gai'shain* ze swoimi workami na wodę pełnymi herbaty, dbali o to, by nikt nie udławił się pokarmem. Faile wkrótce przekonała się, że nie jest jedyną, która napycha sobie usta z niesłychanym pośpiechem, równocześnie próbując przywdziać szatę, niezgrabnie i bardziej dbając o pośpiech niżli poczucie przyzwoitości. Biała szata z kapturem i wdziewane pod nią dwie grube spodnie szaty wydawały się razem cudownie ciepłe, już choćby przez to, że izolowały od ukąszeń mrozu, podobnie spisywały się bawełniane pończochy i miękkie buty

Aielów, zawiązywane aż pod kolana – nawet buty zostały wybielone! – jednak nie mogło to zapełnić jej dziury w brzuchu. Mięso było twarde jak podeszwa, ser prawie nie do ugryzienia, niczym kamień, chleb resztą niewiele bardziej miękki, wszystko razem jednak składało się w oczach Faile na prawdziwą ucztę! Wraz z każdym kęsem do ust napływała jej ślina.

Przeżuła kęs sera, nawlokła ostatni fragment sznurowadła, potem wstała, wygładzając szaty. Kiedy sięgnęła po kolejny kawałek chleba, jedna z przyozdobionych złotem kobiet, pulchna, całkiem pospolita z wyglądu, o zmęczonych oczach, wyjęła z płóciennego worka zawieszzonego na ramieniu kolejny łańcuch złotych ogni. Faile przełknęła pośpiesznie i cofnęła się.

– Raczej nie mam na to ochoty, bardzo dziękuję, ale nie. – Nabrała mdlącego przekonania, że wcześniej zupełnie pomyliła się, traktując te ozdoby jako całkowicie nieistotne.

– To na co masz ochotę, nikogo nie obchodzi – zmęczonym głosem odparła pulchna kobieta. Mówiła z akcentem amadiciańskim, wskazującym na osobę wykształconą. – Od teraz będziesz służyć lady Sevannie. Będziesz nosić to, co ci dano do noszenia, robić to, co ci się każe, w przeciwnym razie zostaniesz ukarana, a kara będzie trwała do momentu, gdy nie pojmiesz błędów trwania w uporze.

Kilka kroków od niej Maighdin oganiała się przed kobietą Domani, za nic nie chcąc dać sobie nałożyć naszyjnika. Alliandre z uniesionymi dłońmi i przerażonym wyrazem twarzy cofała się przed jedynym mężczyzną, który miał na sobie złote łańcuchy. Tamten wyciągał w jej stronę jeden z pasków. Na szczęście, obie teraz spoglądały w kierunku Faile. Być może te różgi w lesie na coś się jednak przydały.

Faile wciągnęła więc głęboki oddech i skinęła w ich stronę głową, a chwilę później pulchna *gai'shain* zapinała już jej szeroki pasek wokół talii. Mając przed sobą taki przykład, obie kobiety opuściły ręce. Dla Alliandre okazało się to jednak chyba kroplą przepelniającą czarę, ponieważ – gdy nakładano jej naszyjnik i pasek – zastygła zupełnie nieruchomo, z oczyma wbitymi w przestrzeń. Maighdin zaś z taką intensywnością wpatrywała się w szczupłą Domani, jakby chciała przebić ją wzrokiem. Faile próbowała uśmiechem dodać im odwagi, uśmiech jednak jej samej przychodził z najwyższym trudem. Także w uszach odgłos zatraskujące, go się na szyi naszyjnika brzmiał niczym szcęk zamka w drzwiach celi. Wprawdzie pasek i naszyjnik można było usunąć równie łatwo jak zostały nałożone, z pewnością jednak *gai'shain* służący „lady Sevannie” będą bacznie obserwowani. Jak dotąd katastrofa goniła katastrofę. Z pewnością gorzej już być nie może. Odtąd wszystko musi iść ku lepszemu.

Wkrótce już Faile wędrowała po śniegu na trzęsących się nogach, w towarzystwie otepiałej Alliandre i skrajnie wścieklej Maighdin, otoczona przez *gai'shain* prowadzących juczne zwierzęta, niosących na plecach wielkie kosze z pokrywami, ciągnących wyładowane taczki, w których koła zastąpiono płozami. Podobnie przerobione zostały rozmaite wozy i wózki, niepotrzebne obecnie koła przymocowano na górze przysypanego śniegiem ładunku. Śnieg mógł być dla Shaido czymś zupełnie niezwykłym, szybko jednak nauczyli się jak sobie z nim radzić. Ani Faile, ani żadna z tamtych dwóch nic nie niosły, chociaż pulchna Amadicianka wyraźnie stwierdziła, że od jutra już będą musiały. Jakkolwiek wielu Shaido uczestniczyło w tej migracji, sprawiało to wrażenie przeprowadzki wielkiego miasta, czy nie przymierzając wędrowni ludu. Dzieci, które nie skończyły dwunastu, trzynastu lat, siedziały na wozach, wszyscy pozostali jednak poruszali się pieszo. Wszyscy mężczyźni ubrani byli w *cadin'sor*, większość kobiet jednak miała na sobie spódnice, bluzki i szale, jak Mądre, a większość mężczyzn uzbrojona była tylko w pojedynczą włócznię albo w ogóle nie mieli przy sobie broni, przez co wyglądali osobliwie miękko przy pozostałych. Miękko należy tu rozumieć w takim sensie, w jakim istnieją kamienie bardziej miękkie od granitu.

Kiedy Amadicianka już sobie poszła, nie zdradzając wcześniej nawet swojego imienia oraz nie wychodząc poza prostą formułę: „Bądź posłuszna albo czeka cię kara”, Faile zdała sobie sprawę, że wśród śnieżnej zadymki straciła z oczu Bain i pozostałe. Nikt nie próbował zatrzymać jej na miejscu, tak więc brnąc przez śnieg, zaczęła przemierzać drogę wzdłuż kolumny, a Alliandre i Maighdin szły za nią. Dłonie schowane w rękawach z pewnością nie ułatwiały marszu, zwłaszcza przez kopny śnieg, dzięki temu jednak nie marzły paluszki. Przynajmniej nie marzły tak bardzo, jak miałyby to miejsce w przeciwnym razie. Ponieważ wiatr nie ustawał moment, wszyscy mieli kaptury głęboko nasunięte na czoła. Mimo złotych pasków, jasno stwierdzających tożsamość, żadne z *gai'shain* i żaden z Shaido nie obdarzali ich powtórnym spojrzeniem. Jednak mimo przejścia wzdłuż kolumny co najmniej kilkanaście razy, ich poszukiwania okazały się bezowocne. Wszędzie pełno było ludzi w białych szatach – stanowili grupę znacznie liczniejszą od pozostałych – a w każdym z głębokich wycięć kaptura mogło skrywać się oblicze jednej z jej towarzyszek.

– Poszukamy ich wieczorem – oznajmiła na koniec Maighdin. Naprawdę zupełnie nieźle radziła sobie z przedzieraniem się przez śnieg, nawet jeśli jej ruchom zdecydowanie brakowało wdzięku. Błękitne oczy wзираły lodowatym ogniem ze szczeliny kaptura, jedną ręką wciąż ścisnęła otaczający jej szyję złoty łańcuch, jakby w każdej chwili gotowa go zerwać. – W obecnej sytuacji przemierzamy dziesięciokrotnie dłuższą drogę niż wszyscy pozostali. Dwudziestokrotnie. Nic z tego nie będziemy miały, jeśli na miejsce wieczornego spoczynku dotrzemy zbyt wyczerpane, by ruszyć choć ręką czy nogą.

Alliandre idąca przy drugim boku Faile ocknęła się z otępienia na tyle, by uniesieniem brwi zareagować na autorytatywność pobrzmiewającą w głosie Maighdin. Faile natomiast zwyczajnie zmierzyła tamtą spojrzeniem, czego wystarczyło, żeby zaczerwieniła się i zaczęła jąkać. Co też wstąpiło w tę kobietę? Z drugiej jednak strony, mimo iż pewnie nie były to słowa, jakich należało oczekiwać od pokojówki, to nie mogła zrażać pokrewnego, przynajmniej w kwestii ucieczki, ducha. Szkoda, że tamta potrafiła przenosić tylko odrobinę. Faile, kiedy dowiedziała się jej o talencie, wiązała z nim początkowo duże nadzieje, póki nie dowiedziała się, że wiele z niego nie przyjdzie.

– Znajdziemy je wieczorem, Maighdin – zgodziła się. Albo którejś z kolejnych nocy, niezależnie ile miałyby to zabrać czasu. Ukradkiem przyjrzała się otaczającym je ludziom, upewniając się, że żaden nie znajduje się dość blisko, by podsłuchiwać. Shaido, i ci odziani w *cadin'sor*, i ci w innych ubiorach, zdecydowanie maszerowali pod padającym śniegiem, zmierzając wytrwale ku niewidzialnemu celowi. *Gai'shain*... wszystkim pozostałym *gai'shain*... przyświecał zupełnie inny cel. Posłuszeństwo albo kara. – Ponieważ prawie zupełnie nie zwracają na nas uwagi – ciągnęła dalej – niewykluczone, że mogłybyśmy po prostu położyć się z boku drogi, przynajmniej póki żadna z nas nie uczyni tego pod samym nosem jakiegoś Shaido. Jeżeli trafi się wam taka szansa, skorzystajcie z niej. Dzięki tym szatom uda wam się ukryć w śniegu, a kiedy już dotrzecie do jakiejś wioski, złoto, którym nas tak wspomniałyście obdarzyli, pozwoli dotrzeć do mego męża. On będzie szedł za nami. – Miała nadzieję, że niezbyt szybko. A przynajmniej niezbyt blisko. Shaido dysponowali tu całą armią. I choć porównaniu z niektórymi z pewnością można było ją określić jedynie mianem małej armii, wszelako stanowiła siłę znacznie większą od tej, którą dysponował Perrin.

Oblicze Alliandre skrzepło w zdecydowaniu.

– Nie uciekam bez ciebie – oznajmiła cicho. Cicho, ale tonem absolutnego zdecydowania. – Przysięgi lennej nie traktuję lekko, moja pani. Ucieknę z tobą albo wcale!

– Jej usta wymawiają również moje słowa – powiedziała Maighdin. – Mogę być sobie tylko zwykłą pokojówką – ostatnie słowo podkreśliła pogardliwym grymasem – jednak nie zostawię nikogo na łasce tych... tych bandytów! – Tonu jej głosu nie sposób było już nazwać nawet

zdecydowanym, po prostu nie dopuszczał sprzeciwu. Po tej przygodzie Lini będzie musiała naprawdę długo z nią rozmawiać, zanim będzie w stanie na nowo podjąć swe obowiązki!

Faile otworzyła już usta, żeby zaprotestować – nie, żeby wydać im rozkaz; Alliandre była przecież jej wasalem, Maighdin zaś pokojówką, niezależnie jak bardzo niewola wpłynęła na niestabilność jej umysłu! Będą słuchać jej rozkazów! – ale nieomal natychmiast słowa zamarły jej na ustach.

Ciemne majaczące sylwetki zmierzające ku nim przez ludzkie morze Shaido i sypiący śnieg zmieniły się w grupkę kobiet Aielów z narzuconymi na głowy szalami. Prowadziła Therava. Wymruczała tylko jedno słowo, a pozostałe zwolniły, zostając z tyłu, podczas gdy ona podeszła do Faile i jej towarzyszek. To znaczy, podjęła razem z nimi marsz wzdłuż kolumny. Przenikliwe spojrzenie jej oczu najwyraźniej potrafiło zdusić nawet entuzjazm Maighdin, tamta nie spojrzała nawet na nią dwa razy. Dla niej żadna z nich nie była warta drugiego spojrzenia.

– Zastanawiacie się nad ucieczką – zaczęła. Żadna jeszcze nawet nie otworzyła ust, kiedy Mądra dodała tonem zabarwionym pogardą: – Nie próbujcie się wypierać!

– Będziemy się starały służyć na tyle, na ile pozostaje to w zgodzie z naszymi powinnościami – ostrożnie odparła Faile. Głowę trzymała spuszczoną, schowaną pod kapturem, uważając, by nie spojrzeć tamtej w oczy.

– Wyznajesz się nieco na naszych zwyczajach. – W głosie Theravy na moment zabrzmiało zaskoczenie, ale szybko znikło. – To dobrze. Ale musisz mnie chyba uważać za głupią, jeśli sądzisz, iż uwierzę, że pokornie odśłużycie swoje. Widzę w was wszystkich niepokornego ducha, przynajmniej jak na mieszkanki mokradeł. Niektórzy z was nigdy nie próbują uciekać, ale tylko martwym się to naprawdę udaje. Żywi zawsze trafiają z powrotem. Zawsze.

– Zapamiętam twe słowa, Mądra – oznajmiła pokornie Faile. Zawsze? Cóż, kiedyś musi być pierwszy raz. – Wszystkie zapamiętamy.

– Och, naprawdę świetnie – mruknęła Therava. – Mogłybyście nawet pewnie przekonać kogoś równie ślepego jak Sevanna. Wiedźcie wszelako jedno, *gai'shain*. Mieszkańców mokradeł nie traktuje się na równi z innymi, którzy noszą białe szaty. Tak więc zamiast zostać uwolnione po upływie roku i dnia, będziecie służyć do czasu, aż karki wam się przygarbią, a ciało osłabnie do tego stopnia, że już nie będziecie mogły pracować. Ja jestem waszą jedyną nadzieją na uniknięcie takiego losu.

Faile potknęła się, a gdyby Alliandre i Maighdin nie schwyły jej za rozpaczliwie wymachujące ramiona, z pewnością by upadła. Therava niecierpliwym gestem kazała im iść dalej, jakby nigdy nic. Faile poczuła mdłości. Therava pomoże im w ucieczce? Chiad i Bain twierdziły, że Aielowie nie mają pojęcia o Grze Domów, i że gardzą mieszkańcami mokradeł za jej uprawianie, Faile jednak doskonale zdawała sobie sprawę z przecinających się wokół niej strumieni sił, które pociągną ją w dół, jeśli choć raz zmyli krok.

– Nie całkiem chyba pojmuję, Mądra. – Szkoda tylko, że jej głos znienacka zabrzmiał tak ochryple.

Właśnie to jego brzmienie chyba przekonało Theravę. Ludzie tacy jak ona chętnie dopatrywali się strachu w motywach działania innych. W każdym razie uśmiechnęła się. Nie był to ciepły uśmiech, ot, tylko skrzywienie cienkich warg, a wyczytać dało się z niego wyłącznie satysfakcję.

– Służąc u Sevanny, będziecie równocześnie patrzeć i słuchać. Każdego dnia któraś z Mądrych przyjdzie was przepytac, a wy powtórzycie jej dokładnie każde słowo wypowiedziane przez Sevannę i powiecie, z kim rozmawiała. Jeżeli będzie mówić przez sen, powtórzycie dokładnie wszystkie jej mamrotania. Gdy uda wam się mnie zadowolić, zadbam, żeby was w pewnej chwili pozostawiono z

tyłu.

Faile nie miała najmniejszej ochoty brać w tym udziału, jednak odmowa nie wchodziła w grę. Gdyby się nie zgodziła, żadna z nich nie dożyłaby rana. Tego mogła być pewna. Therava nie pójdzie na najmniejsze nawet ryzyko. Niewykluczone, że w ogóle nie dożyłyby nocy – śnieg szybko przykryłby odziane w biel ciała, a mocno wątpiła, by ktokolwiek w zasięgu wzroku zaprotestował, gdyby Therava zdecydowała się poderżnąć parę gardeł. Nikogo z pozoru nie obchodziło nic więcej, niż własna wędrówka przez śnieg. Pewnie nikt by nawet nie zauważył.

– Jeśli ona się o tym dowie... – Faile przełknęła ślinę. Ta kobieta proponowała im wędrówkę po kruszącej się grani. Nie, nie proponowała. Rozkazywała. Czy Aielowie zabijali szpiegów? Nigdy nie przyszło jej do głowy, by zapytać o to Chiad lub Bain. – Ochronisz nas wówczas, Mądra?

Tamta chwyciła brodę Faile stalowymi palcami, zmusiła ją do zatrzymania się, a potem wspięcia na palce. Spojrzenie Theravy pochwyciło ją równie nieubłaganie. Na widok ostrych rysów twarzy kobiety Faile zaschło w ustach. Obraz, który miała przed oczyma, obiecywał ból.

– Jeżeli ona się zorientuje, *gai'shain*, sama przytroczę cię do rożna. A więc postaraj się, żeby było inaczej. Dzisiejszej nocy będziecie miały służbę w jej namiocie. Razem z setką pozostałych, więc nie powinniście oczekiwać wielu obowiązków, które was oderwą od tego, co naprawdę ważne.

Therava przez chwile uważnie przyglądała się ich trójce, potem zadowoleniem skinęła głową. Zobaczyła trzy miękkie mieszkanie mokradeł, zbyt słabe, by mogły zrobić coś innego, jak tylko posłuchać. Bez jednego słowa więcej puściła Faile i odwróciła się od niej; nie minęło dużo czasu, nim ją i pozostałe Mądre zakryła przed jej wzrokiem kurtyna śniegu.

Przez czas jakiś trzy kobiety w milczeniu zmagaly się ze śniegiem. Faile porzuciła kwestię ucieczki w pojedynkę, nie wspominając już o wydawaniu jednoznacznych rozkazów. Pewna była, że gdyby wróciła do tej kwestii, tamte znowu by się zbuntowały. Pomijając już wszystko inne, gdyby teraz się zgodziły, wyglądałoby to tak, jakby przez Theravę, ze strachu przed nią, zmieniły zdanie. Faile na tyle dobrze poznała już tamte kobiety, żeby mieć pewność, iż prędzej umrą, niż przyznają się do takiego uczucia. A ją Therava z pewnością przestraszyła.

„Ale prędzej połknę język, niż przyznam się do tego na głos” – pomyślała ze złością.

– Zastanawiam się, co ona naprawdę myślała, mówiąc o przytroczeniu do rożna – powiedziała na koniec Alliandre. – Jak słyszałam, Śledczy Białych Płaszczy czasami przypiekają więźniów nad ogniem. – Maighdin otoczyła ciało rękoma, zadrżała, Alliandre po chwili na krótko uwolniła dłoń z szerokiego rękawa szaty i poklepała tamtą uspakajająco po ramieniu. – Nie przejmuj się. Jeżeli Sevanna ma stu służących, być może nigdy nie dostaniemy się dość blisko niej, żeby cokolwiek usłyszeć. Możemy też same decydować, o czym doniesiemy, takżeby nikt nie mógł wysledzić, z jakiego źródła pochodzi ta informacja.

Maighdin zaśmiała się gorzko spod białego kaptura.

– Wydaje ci się, że wciąż jeszcze cokolwiek zależy od twojej woli. Nie mamy żadnego wyboru. Musisz się dopiero nauczyć, jak to jest, kiedy nie ma się wyjścia. Ta kobieta nie wybrała nas dlatego, że dostrzegła w nas siłę ducha. – Ostatnie słowo prawie wypluła. – Założę się, że wszyscy pozostali służący Sevanny również wysłuchali tego kazania z ust Theravy. Jeżeli opuścimy choć jedno słowo, które powinniśmy usłyszeć, możemy być pewne, że ona o tym się dowie.

– Niewykluczone, że masz rację – zgodziła się po chwili Alliandre. – Jednak nie pozwalam ci więcej odzywać się do mnie w ten sposób, Maighdin. Okoliczności, w jakich się znalazłyśmy, są niełatwe, przyznaję, wszelako nie zapominaj, kim jestem.

– Dopóki nie uda nam się uciec – odparła Maighdin – jesteś służącą Sevanny. Jeżeli choć na

moment zapomnisz, że jesteś służącą, równie dobrze sama możesz od razu nabić się na ten rożen. I nie zapomnij o zostawieniu miejsca dla nas, ponieważ przez ciebie również na niego trafimy.

Kaptur Alliandre całkowicie ukrywał twarz, widać jednak było wyraźnie, jak z każdym słowem jej ciało sztywnieje. Była inteligentna i wiedziała, jak zrobić to, co zrobić musi, prócz tego miała też królewski temperament, który niekiedy wyrывał jej się spod kontroli.

Faile przemówiła, zanim tamta zdążyła wybuchnąć.

– Póki nie uda nam się wydostać, wszystkie jesteśmy służącymi – oznajmiła zdecydowanie. Światłości, ostatnia rzeczą jakiej potrzebowała, to ciągle sprzeczki między tamtymi dwoma. – Ale ty przeprosisz, Maighdin. Zaraz! – Z odwróconą głową jej służąca wymamrotała słowa, które przy odrobinie dobrej woli można było wziąć za przeprosiny. W każdym razie Faile zdecydowała, że to wystarczy. – Jeśli zaś o ciebie chodzi, Alliandre, oczekuję, że będziesz naprawdę dobrą służącą. – Z gardła Alliandre wydobył się odgłos, który miał chyba oznaczać niezbyt zdecydowany, ale Faile go zignorowała. – Jeżeli mamy zachować choćby minimalną szansę ucieczki, musimy robić, co nam każą, pracować ciężko i ściągać na siebie tak mało uwagi, jak to tylko możliwe. – Jakby już nie ściągnęły na siebie uwagi połowy, przynajmniej tak to wyglądało, świata. – I będziemy donosić Theravie o każdym kicnięciu Sevanny. Nie mam pojęcia, co Sevanna robi, jeśli sprawa się wyda, ale jak przypuszczam, wszystkie bez większego trudu potrafimy sobie wyobrazić, co robi Therava, gdy ją rozczarujemy.

Tego było dość, aby zamilkły. Bardzo dobrze sobie wyobrażały co Therava może zrobić, a śmierć z pewnością nie była najgorszą spośród tych rzeczy.

Do południa zadymka ustąpiła, a z nieba prószyły już tylko pojedyncze płatki śniegu. Mimo iż słońce wciąż skrywały ciemne, skłębione chmury, Faile doszła do wniosku, że musi być koło południa, ponieważ zostały nakarmione. Nikt nie zaprzestał marszu, a setki *gai'shain* wędrowały wzdłuż kolumny z koszami i torbami pełnymi chleba oraz suszonej wołowiny, z workami, które tym razem zawierały wodę, tak zimną, że podczas picia aż bolały zęby. Co dziwne, nie czuła się żadną miarą bardziej głodna, niżli tego można było oczekiwać po wielu godzinach brnięcia przez śnieg. Była świadkiem dwukrotnego Uzdrawiania Perrina i widziała, jak potem przez dwa kolejne dni dosłownie rzucał się na jedzenie. Być może to dlatego, że jego obrażenia były znacznie poważniejsze niż jej. Zorientowała się również, że Alliandre i Maighdin nie jedzą więcej od niej.

Ten tok rozumowania doprowadził ją do myśli o Galinie, do tych wszystkich pytań, które ostatecznie podsumowywały niedowierzanie streszczające się w pojedynczym: „dlaczego?”. Dlaczego Aes Sedai – a tamta musiała być Aes Sedai – zachowywała się w tak unижony sposób wobec Sevanny i Theravy? Wobec wszystkich? Aes Sedai mogłaby pomóc im w ucieczce. Albo przeszkodzić. Mogłaby je zdradzić, gdyby to posłużyło jej celom. Aes Sedai robiły to, co robiły, z siebie tylko wiadomych względów i nic na to nie można było poradzić, jeśli się nie było Randem al'Thorem. On jednak był *ta'veren*, nie wspominając już o tym, że był Smokiem Odrodzonym – ona zaś zwykłą kobietą, nie dysponującą w danej chwili żadnymi szczególnymi przewagami, na dodatek postawioną w sytuacji w każdej chwili grożącej śmiercią. Nie tylko jej, również tym, za które była odpowiedzialna. Każdą pomoc powitałaby z radością, z każdej ręki. Gdy tak zastanawiała się nad kwestią Galiny, rozważając ją pod każdym możliwym kątem, słaby wiatr ucichł i znowu zaczął padać śnieg, z każdą chwilą coraz gęstszy, aż nie widziała dalej niż na dziesięć kroków. Nie potrafiła jednak zdecydować, czy może zaufać tamtej kobiecie.

Nagle zorientowała się, że stanowi przedmiot obserwacji odzianej w biel kobiety, którą nieomal przesłaniała kurtyna śniegu. Ale nie na tyle szczelna, by zamaskować gruby, wysadzany klejnotami pasek. Faile dotknęła ramion swych towarzyszek i ruchem głowy wskazała Galinę.

Kiedy Galina zorientowała się, że ją dostrzeżono, podeszła bliżej i zajęła miejsce między Faile a Alliandre. Sposób, w jaki brnęła przez śnieg, wciąż trudno było określić jako pełen gracji, najwyraźniej jednak była bardziej przyzwyczajona do panujących warunków niż one. W obecnej chwili jej zachowanie całkowicie było wyzbyte służalczości. Spod kaptura wyzierały twarde rysy okrągłej twarzy, oczy patrzyły bystro. Wciąż jednak obracała głowę, rzucając czujne spojrzenia na wszystkich, którzy znajdowali się w pobliżu. Przypominała kota domowego, który udaje panterę.

– Wiecie, kim jestem? – zapytała głosem, którego nie sposób byłoby usłyszeć z odległości dziesięciu stóp. – Czym jestem?

– Najwyraźniej musisz być Aes Sedai – ostrożnie odpowiedziała Faile. – Z drugiej jednak strony, jest to nadzwyczaj osobliwe miejsce dla Aes Sedai. – Ani Alliandre, ani Maighdin w najmniejszej mierze słowa te nie zaskoczyły. Było rzeczą oczywistą, że musiały już wcześniej dojrzeć pierścień z Wielkim Wężem, który Galina teraz nerwowo pocierała kciukiem.

Policzki tamtej pokrył rumieniec, próbowała udawać, że to z gniewu.

– To, czym się tutaj zajmuję, jest nadzwyczaj istotne dla Wieży, dziecko – odparła zimno. Z wyrazu jej twarzy można by wnosić, że miała swoje powody, których nawet nie potrafiłyby sobie wyobrazić, a co dopiero zrozumieć. Jednak jej oczy biegały na wszystkie strony, próbując przebić kurtynę śniegu. – Musi mi się udać. Tyle tylko powinniście wiedzieć.

– Musimy wiedzieć, czy możemy ci zaufać – spokojnie oznajmiła Alliandre. – Z pewnością przesłaś szkolenie w Wieży, w przeciwnym razie nie potrafiłabyś Uzdrawiać, kobiety jednak otrzymują pierścień, zanim otrzymają szal, ja zaś nie potrafię po prostu uwierzyć, że jesteś Aes Sedai. – Wyglądało na to, że nie tylko Faile poświęciła tej kobiecie sporo namysłu.

Wydatne usta Galiny stwardniały, spojrzała na Alliandre i zacisnęła pięści, nie wiadomo, czy chcąc jej pogrozić, czy pokazać pierścień, czy jedno i drugie.

– Sądzisz, że będę cię inaczej traktować, ponieważ nosisz koronę? Ponieważ nosiłaś koronę? – Teraz już nie można było mieć wątpliwości co do jej uczuć. Zupełnie zapomniała o ewentualnych podsłuchujących, jej głos palił niczym kwas. Kiedy tak perorowała, kropelki śliny tryskały z ust: – Będziecie przynosić Sevannie wino i masować plecy jak cała reszta. Jej służba w całości wywodzi się spośród szlachty, bogatych kupców albo mężczyzn i kobiet, którzy wiedzą, jak usługiwać szlachcie. Każdego dnia pięcioro z nich otrzymuje różgi, żeby zachęcić pozostałych do donoszenia w nadziei na dodatkowe łaski. Za pierwszym razem, gdy spróbujecie uciec, każe was chłostać po podeszwach stóp, póki nie będziecie w stanie chodzić, a potem związać ściśle niczym kowalską zagadkę i wieźć na wozie, póki stan wasz się nie poprawi. Za drugim razem będzie gorzej, za trzecim jeszcze gorzej. Jest tutaj jeden człowiek, który był Białym Płaszczem. Dziewięć razy próbował uciekać. Twardy mężczyzna, kiedy jednak ostatnim razem przyprowadzili go z powrotem, błagał o litość i płakał, jeszcze zanim zaczęto wymierzać mu karę.

Alliandre najwyraźniej nie najlepiej znosiła te przemowę. Z odrazą wydeła policzki, zaś Maighdin warknęła:

– I to właśnie stało się z tobą? Niezależnie, czy jesteś Przyjętą czy Aes Sedai, stanowisz obrazę dla Wieży!

– Bądź cicho, kiedy lepsze od ciebie mówią, dzikusko! – warknęła Galina.

Światłości, jeśli pozwolić, by dalej tak to trwało, w następnej kolejności zaczną się na siebie wydierać.

– Jeżeli masz zamiar pomóc nam w ucieczce, to od razu powiedz – zwróciła się Faile do odzianej w jedwab Aes Sedai. Nie wątpiła, że tamta jest tą, za którą się podaje. Z pozostałymi kwestiami była zupełnie inna sprawa. – Jeżeli natomiast nie, wyjaśnij czego od nas chcesz?

Przed nimi w padającym śniegu zamajaczył wóz, przechylony na bok – odpadła płoza. Pod kierunkiem Shaido o ramionach grubych jak u kowala, *gai'shain* napierali na dźwignię, usiłując podnieść wóz na tyle, by znowu można było doń przymocować płożę. Przechodząc obok nich, Faile oraz pozostałe kobiety milczały.

– Czy to naprawdę jest twoja lenna pani, Alliandre? – chciała wiedzieć Galina, gdy tylko znalazły się dostatecznie daleko od mężczyzn naprawiających wóz. Jej twarz wciąż była czerwona ze złości, a głos kąśliwy. – Kim ona jest, że oddałaś jej hołd?

– Mnie samą możesz o to zapytać – chłodno wtrąciła Faile. Żeby szczyły wszystkie one i ich przekłeta skrytość! Czasami wydawało jej się, że Aes Sedai nie przyznają nawet, iż niebo jest niebieskie, póki nie będzie to po ich myśli. – Jestem lady Faile t' Aybara i to wszystko, co musisz na razie wiedzieć. Masz zamiar nam pomóc?

Galina potknęła się, podparła na kolanie, a potem przez czas jakiś patrzyła na Faile z takim wyrazem twarzy, że ta zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła błędu. Minęła jeszcze chwila i nie miała już co do tego najmniejszych wątpliwości.

Aes Sedai podniosła się i uśmiechnęła nieprzyjemnie. Nie wydawała się już rozzłoszczona. W rzeczy samej wyglądała na równie uradowaną co Therava, a co gorsza, jakby powód do tej radości był ten sam.

– t' Aybara – zastanawiała się na głos. – Pochodzisz z Saladei. Jest pewien młodzieniec o imieniu Perrin Aybara. Twój mąż? Tak, najwyraźniej zgadłam. To by z pewnością wyjaśniało hołd Alliandre. Sevanna snuje wielkie plany w związku z mężczyzną, którego imię często pojawia się obok imienia twojego męża. Chodzi oczywiście o Randa al'Thora. Gdyby się dowiedziała, że wpadłaś w jej ręce... Och, nie bój się, ode mnie się nie dowie. – Jej spojrzenie stwardniało i nagle już rzeczywiście wyglądała na panterę. Głodną panterę. – Przynajmniej jeśli postąpisz, jak ci każę. Wtedy może nawet ci pomogę.

– Czego od nas chcesz? – zapytała Faile, bardziej gwałtowniej niż zamierzała. Światłości, wcześniej zezłościła się na Alliandre za niepotrzebne zwracanie na siebie uwagi, a teraz sama nie zachowała się lepiej. W istocie, znacznie gorzej.

„A mi się wydawało, że ukryję tożsamość, zatajając nazwisko ojca” – pomyślała z goryczą.

– Nic wielkiego – odparła Galina. – Oczywiście wiecie, która to Therava? Jasne, że wiecie. Każdy wie, kim jest Therava. Ona przechowuje w swoim namiocie pewien przedmiot, gładki biały pręt długości mniej więcej stopy. Znajduje się w czerwonej skrzyni z mosiężnymi okuciami, której nikt nigdy nie zamyka. Przynieście mi go, a wówczas zabiorę was ze sobą, gdy odjadę.

– Faktycznie nie wydaje się to szczególnie trudne – oznajmiła z powątpiewaniem Alliandre. – Jeśli jednak tak jest, dlaczego sama go nie weźmiesz?

– Ponieważ mam was, żebyście się tym dla mnie zajęły! – Galina nagle zdała sobie sprawę, że krzyczy, skuliła się w sobie i przez chwilę tylko jej kaptur się kołysał, kiedy rozglądała się na boki, sprawdzając, czy ktoś spośród pełnącej przez padający śnieg cizby nie podsłuchuje. A choć nikt nawet nie spojrział w ich stronę, mimo to jej głos przeszedł we wściekły syk. – Jeżeli tego dla mnie nie zrobicie, zostawię was tutaj, póki nie osiwiejecie, a waszych twarzy nie pokryją zmarszczki. A Sevanna dowie się o Perrinie Aybara.

– To może zabrać trochę czasu – oznajmiła rozpaczliwie Faile. – Nie będziemy miały tyle swobody, żeby, jak nam się zechce, wchodzić i wychodzić z namiotu Theravy. – Światłości, ostatnią rzeczą jakiej pragnęła, było znalezienie się bodaj w pobliżu namiotu Theravy. Jednak Galina obiecała, że im pomoże. Mogła się wydawać niegodziwa, Aes Sedai jednak nie potrafiły kłamać.

– Otrzymacie tyle czasu, ile będzie trzeba – odparła Galina. – Nawet resztę twojego życia, Faile



t'Aybara, jeżeli nie okażesz się dość ostrożna. Nie zawieź mnie więc. – Obrzuciła Faile pożegnalnym twardym spojrzeniem, a potem odwróciła się i odeszła w zadymkę, trzymając ręce tak, jakby starała się ukryć zdobny pas za szerokimi rękawami.

Odtąd Faile wędrowała w milczeniu. Żadna z jej towarzyszy też nie miała nic do powiedzenia. Allandre schowała dłonie w rękawach i z pozoru całkowicie zatopiona w myślach, patrzyła wprost przed siebie, jakby mogła przeniknąć wzrokiem kurtynę zamieci Maighdin znowu ścisnęła złoty naszyjnik w zaciśniętej pięści. Ostatecznie okazało się, że wpadły we wnyki, nie pojedyncze, jak sądziły z początku, lecz potrójne, a każde z nich mogły okazać się zabójcze. Ratunek z zewnątrz nagle wydał się całkiem atrakcyjną perspektywą. Mimo to Faile wciąż miała zamiar sama wydostać się z pułapki. Starając się nie dotykać wciąż dłonią naszyjnika, brnęła przez podmuchy śnieżnej burzy i układała plan.

# SZTANDARY

„Biegł przez pokrytą śniegiem równinę, w nozdrza łapiąc wiatr, szukając woni, tej jedynej najdroższej woni. Padające płatki nie topniały już na jego przemarzniętym filtrze, to jednak nie mogło go powstrzymać. Poduszki łap całkowicie zdrętwiały, niemniej obolałe mięśnie wciąż pracowały wściekle, niosąc go coraz szybciej, póki otaczająca kraina nie zaczęła zlewać się mu przed oczami. Musiał ją znaleźć.

Nagle obok niego opadł z nieba wielki posiwiały szary wilk, z wystrzępionymi uszami oraz bliznami po wielu walkach i razem z nim zaczął ścigać słońce. Drugi szary wilk, ale nie tak wielki jak on sam. Jego zęby rozszarpia gardła tych, którzy ją porwali. Jego szczęki zmiażdżą ich kości!

Twojej samiczki nie ma tutaj, przesłał doń Skoczek, ty natomiast utkwiełeś zbyt mocno, zbyt długo jesteś poza ciałem. Musisz wracać, Młody Byku, inaczej umrzesz.

Muszę ją znaleźć. Nawet myśli wydawały się zadyszane. Nie był dla siebie już Perrinem Aybarą. Był Młodym Bykiem. Kiedyś już znalazł tu sokoła i znajdzie znowu. Musi ją znaleźć. Przy tak dręczącej potrzebie śmierć była niczym.

Jak szara błyskawica drugi wilk pchnął go z boku, a chociaż Młody Byk był większym zwierzem, równocześnie był przecież znacznie bardziej zmęczony, toteż padł ciężko. Przebierając łapami w śniegu, powstał chwiejnie, warknął i rzucił się do gardła Skoczka. Nic nie było ważniejsze niż sokół.

Zanim jednak dopadł tamtego, poblizniony wilk uniósł się w powietrze niczym ptak, a Młody Byk potoczył się po ziemi. Skoczek miękko opadł na śnieg za nim.

Słuchaj, szczeniaku! Gniewnie pomyślał doń Skoczek. Twoje myśli wykoślawia strach! Jej tu nie ma, a ty umrzesz, jeśli zostaniesz tu jeszcze dłużej. Znajdź ją w świecie jawy. Tylko tam możesz ją znaleźć. Wracaj i znajdź ją!”

Perrin gwałtownie otworzył oczy. Był śmiertelnie zmęczony czuł dotkliwą pustkę w żołądku, jednak była ona niczym wobec pustki trawiącej jego serce. Jakby cały był wydrążony, wyobcowany z siebie, jakby był jakimś zupełnie innym człowiekiem, jedynie obserwującym cierpienia Perrina Aybary. Nad nim paskowana na niebiesko i złoto płachta namiotu poruszała się w podmuchach wiatru. We wnętrzu było ciemno i ponuro, i tylko ta odrobina dziennego światła rozjaśniała płótno. I dzień wczorajszy nie okazał się wcale sennym koszmarem, podobnie jak spotkanie ze Skoczkiem. Światłości, próbował zabić Skoczka. W Wilczym Śnie śmierć była... ostateczna. Zadrzał, choć wewnątrz namiotu było ciepło. Spoczywał na puchowym materacu w wielkim łożu ze zdobnie rzeźbionymi i połączanymi słupkami baldachimu. Pod ciężkim zapachem płonącego na piecyku węgla wyczuł piżmową woń perfum i obecność kobiety, która się nimi skrapiała. Poza tym w środku nie było nikogo.

Nie unosząc głowy znad poduszki, zapytał:

– Znaleźli już ją, Berelain? – Głowa zdawała się zbyt ciężka, by mógł ją podnieść.

Jedno z jej polowych krzeseł zaskrzypiało lekko, gdy zmieniła pozycję. Często u niej bywał, razem z Faile omawiali strategię. Namiot był dostatecznie obszerny, by dać schronienie całej rodzinie, a bogatego umeblowania Berelain nie powstydzilyby się pałacowe wnętrza – każdy mebel był rzeźbiony i połączany, nie tylko łoże, lecz także stoły i krzesła, aczkolwiek wszystko zostało tymczasowo połączone z elementów za pomocą kołków i zatyczek. Dzięki temu łatwo było je przewozić, jednak kołki nie bardzo zapewniały meblom solidność.

Pod warstwą perfum Berelain wyczuł jej zaskoczenie faktem, iż zdawał sobie sprawę z jej obecności, w jej głosie nie jednak było po nim śladu.

– Nie. Twoi zwiadowcy jeszcze nie wrócili, a moi... Kiedy nadszedł zmierzch, a ich nie było, wysłałam cały oddział. Znaleźli ciała moich ludzi, tamci wpadli w zasadzkę, zanim zdążyli pokonać więcej niż pięć czy sześć mil. Rozkazałam lordowi Gallenne aby rozstawił podwójne warty dookoła obozu. Arganda postąpił podobnie, nadto wysłał konne patrole. Wbrew mej radzie. Człowiek jest skończonym durniem. Wydaje mu się, że nikt oprócz niego nie jest w stanie odnaleźć Alliandre. Myślę, że podejrzewa, iż żadne z nas tak naprawdę wcale nie próbuje. Z pewnością zaś nie ufa Aielom.

Dłonie Perrina zacisnęły się na materii miękkich wełnianych koców, którymi był przykryty. Gaul nie wpadłby w zasadzkę, ani Jondyn, nawet jeśli była to zasadzka zastawiona przez Aielów. Wciąż szukali, a to oznaczało, że Faile żyje. Gdyby znaleźli jej ciało, dawno by już wrócili. Musiał w to wierzyć. Uniósł odrobinę skraj niebieskiego koca. Pod przykryciem był nagi.

– Możesz mi to jakoś wyjaśnić?

Ton jej głosu nie zmienił się, jednak w zapachu wyczuł ostrożność.

– Ty i twój przyboczny strażnik zamarzlibyście na śmierć, gdybym nie poszła was szukać, po tym jak Nurrelle wróciła z wieściami od moich zwiadowców. Nikt nie miał odwagi ci przeszkodzić, warczałeś jak wilk na każdego, kto próbował się zbliżyć. Kiedy cię odnalazłam, byłeś już tak zdrętwiały i ośpiał, że nie rozumiałeś, co się do ciebie mówi, a tamtenomalże padał na twarz. Twoja Lini zajęła się nim... wszystko czego mu było trzeba, to ciepła zupa i koc... ja zaś kazałam cię tu przynieść. Gdyby nie Annoura, w najlepszym razie mógłbyś stracić kilka palców. Ona... Bała się chyba, że możesz umrzeć nawet po tym, jak cię Uzdrowiła. Potem spałeś naprawdę jak zabity. Powiedziała, że sprawiałeś wrażenie człowieka, który zagubił swą duszę, byłeś cały czas zimny, niezależnie ile na ciebie narzucił koców. Też odniosłam takie wrażenie, gdy cię dotknęłam.

Zbyt wiele wyjaśnień, a równocześnie wszystkie niedostateczne. Zapłonął w nim gniew, ale jakiś taki odległy, zdusił go więc bez trudu. Faile zawsze irytowało, gdy krzyczał na Berelain. Nigdy już nie podniesie na nią głosu.

– Grady albo Neald mogli zrobić to samo – oznajmił bezbarwnym głosem. – Nawet Seonid i Masuri były bliżej.

– W pierwszej kolejności przyszła mi do głowy moja doradczyni. O pozostałych pomyślałam, dopiero jak dotarliśmy już tutaj. Tak czy siak, jakie to ma znaczenie, kto zajął się Uzdrowianiem?

Jakże wiarygodne. A gdyby zapytał, dlaczego Pierwsza z Mayene we własnej osobie dogląda go w zacienionym namiocie, zamiast zlecić to zadanie jednej ze swych kobiet, jednemu ze swych żołnierzy lub choćby samej Annourze, wymyśliłaby równie przekonujące wyjaśnienie. Nawet nie miał ochoty go wysłuchiwać.

– Gdzie są moje rzeczy!?! – zapytał, unosząc się na łokciu. W tonie jego głosu wciąż nie było znać żadnych emocji.

Jedynym źródłem światła w namiocie była pojedyncza świeca płonąca na stoliczku obok krzesła Berelain, ale tego było dość dla jego wzroku, mimo iż ze zmęczenia czuł piach pod powiekami. Tym razem Berelain ubrana była odpowiednio skromnie, w ciemnozieloną suknię do konnej jazdy z wysokim karczkiem, zwieńczoną od przodu grubą koronkową krezą. Skromnie ubrana tym bardziej przypominała wilka w owczej skórze. Skryta w półcieniu jej twarz była piękna i całkowicie niegodna zaufania. Podobnie jak Aes Sedai, zawsze wywiązywała się ze swych obietnic, ale zawsze też kierowały nią całkowicie prywatne racje, natomiast kwestie, których jej obietnica w wyraźny sposób nie obejmowała, mogły równie dobrze okazać się śmiertelnym zagrożeniem.

– Tam, na skrzyni – powiedziała z towarzyszeniem gestu smukłej dłoni, całkowicie nieomal skrytej w białych koronkach. – Kazałam Rosene i Nanie je wyczyścić, tobie jednak bardziej potrzeba jedzenia i wypoczynku niż ubrania. A zanim przystąpimy do posiłku i omawiania spraw, powinieneś wiedzieć, że nikomu bardziej nie zależy na życiu Faile, niż mnie. – Jej twarz była tak otwarta i szczerą, że mógłby nawet uwierzyć, gdyby miał do czynienia z kim innym. Udało jej się nawet zapachnąć szczerością!

– Najpierw się ubiorę. – Odwrócił się i usiadł na brzegu łóżka, wciąż od pasa w dół przykryty kocem. Ubranie, które wcześniej miał na sobie, leżało schludnie złożone na grzbiecie podróżnego kufra, rzeźbionego i złożonego wewnątrz, co można było dostrzec pod uchylonym na cal wiekiem. Podbity futrem płaszcz Perrina wisiał przerzucony przez kraniec kufra, a topór stał oparty o ścianę namiotu obok jego butów, na dywanie w jaskrawe kwiaty, jakim wyłożono podłogę. Światłości, ależ był zmęczony. Nie miał pojęcia jak długo biegał w Wilczym Śnie, ale przebywanie w nim wyczerpywało tak samo jak jawa, przynajmniej jeśli chodzi o ciało. Głośno zaburczało mu w brzuchu. – I zjem coś.

Z ust Berelain dobył się odgłos znamionujący irytację, wstała jednak, wygładziła suknię i z dezaprobatą uniosła podbródek.

– Annoura nie będzie z ciebie zadowolona, kiedy wróci ze spotkania z Mądrymi i dowie się o wszystkim – oznajmiła zdecydowanie. – Nie możesz tak sobie zwyczajnie ignorować Aes Sedai. Nie jesteś Randem al'Thorem, czego wcześniej czy później ci dowiodą.

Wyszła jednak z namiotu, wpuszczając przy tym do wnętrza zimny podmuch. Rozdrażnienie sprawiło, że nie pomyślała nawet o wzięciu płaszcza. Za uchyloną na moment klapą namiotu dostrzegł padający znów śnieg. Nie tak gęsty jak zeszłej nocy – niemniej białe płatki sypały się nieprzerwanie. Po ostatniej nocy nawet Jondyn musiał mieć trudności z odnalezieniem tropu. Próbował nie myśleć o konsekwencjach.

Wnętrze namiotu ogrzewały cztery piecyki, ale gdy tylko jego stopy dotknęły dywanu, poczuł lodowate uszczyknięcia – jak najszybciej pobiegł po swe rzeczy. Powłókł się w istocie. Był tak zmęczony, że miał ochotę skulić się w kłębek na dywanie i zasnąć znowu. Na dodatek czuł się słaby jak nowo narodzone jagnię. Może był to również efekt przebywania w Wilczym Śnie – zanurzenia się w nim tak głęboko, porzucenia ciała – ale najprawdopodobniej również po części Uzdrawiania. Nie karmiony od wczorajszego śniadania organizm, który noc spędził, stojąc na mrozie, zużył resztki rezerw. Teraz dłonie mu drżały i nie potrafił sobie poradzić nawet z tak prostym zadaniem jak założenie bielizny. Jondyn ją znajdzie. Albo Gaul. Znajdą ją żywą. Nic innego w świecie obecnie się nie liczyło. Tylko ta myśl przebijała przez ogarniające go otępienie.

Nie spodziewał się, że Berelain zaraz wróci, ale dopiero wciągał spodnie, gdy zimny powiew przyniósł mu zapach perfum. Poczuł na plecach muśnięcie jej spojrzenia niczym pieszczotę palców, udało mu się jednak nie przerwać wykonywanej czynności, udać że wierzy, iż wciąż jest sam. Nie da jej satysfakcji płynącej ze świadomości, że w jej obecności zaczął się spieszyć. Nawet na nią nie spojrzał.

– Rosene zaraz przyniesie ciepłą strawę – powiedziała. – Obawiam się, że jest tylko barani gulasz, ale za to porcja będzie potrójna – Zawahała się, on zaś usłyszał szelest pantofli na dywanie. Westchnęła cicho. – Perrin, wiem, że cierpisz. Może jest coś, co chciałbyś powiedzieć, a czego nigdy nie powiesz drugiemu mężczyźnie. Nie widzę byś wyplakiwał się na ramieniu Lini, dlatego proponuję swoje. Możemy zawrzeć rozejm do czasu, aż Faile się nie odnajdzie.

– Rozejm? – zapytał, pochylając się, by wdziać but. Ostrożnie, żeby się nie przewrócić. W grubych wełnianych skarpetach i w butach o skórzanej podeszwie wkrótce jego nogi rozgrzeją się.–

Do czego miałyby nam być potrzebny rozejm? – Milczała, kiedy on wsuwał drugi but, a potem zawijał pod kolanami wysokie cholewy; odezwała się dopiero, gdy związał już tasiemki koszuli i wpychał ją właśnie w spodnie:

– W porządku, Perrin. Skoro tak sobie życzysz. – Cokolwiek to miało znaczyć, w jej głosie brzmiało zdecydowanie. Nagle zaczął się zastanawiać, czy nos go tym razem nie zawiódł. W jej zapachu wyczuwał urazę, jakby tego jeszcze nie dość! Kiedy jednak na nią spojrział, dostrzegł słaby uśmiech. A równocześnie w wielkich oczach lśniły iskierki złości. – Ludzie Proroka zaczęli przybywać przed świtem – powiedziała energicznie – ale z tego co mi wiadomo, on sam dotąd się nie pojawił. Nim znów się z nim spotkasz...

– Zaczęli przybywać? – wtrącił. – Masema zgodził się przyprowadzić ze sobą tylko gwardię honorową, stu ludzi.

– Nie mam pojęcia, na co się zgodził, ale ostatnim razem, kiedy się im przyglądałam, było ich trzy lub cztery tysiące... zbieranina najgorszych łotrów, najwyraźniej każdy mężczyzna w promieniu wielu mil, który potrafi unieść włócznię... a z każdej strony wciąż przybywają kolejni.

Pośpiesznie przywdział kaftan, a potem spiął go pasem i poprawił topór na biodrze. Sprawiał wrażenie cięższego, niż był w rzeczywistości.

– Zaraz się tym zajmę! Niech szczenę, jeśli pozwolę, by ta mordercza zaraza opóźniła tempo naszego marszu!

– Ta jego zaraza to tylko drobny szkopuł w porównaniu z nim samym. To Masema stanowi prawdziwe zagrożenie. – Jej głos był lodowato spokojny, w tonie jednak drgał strach, nad którym panowała. Zawsze go czuł, gdy mówiła o Masemie. – W tej sprawie siostry i Mądre mają rację. Jeśli potrzeba ci bardziej przekonującego dowodu niżli widok jego oczu, to wiedz, że spotykał się z Seanchanami.

Ta wiadomość uderzyła go z siłą młota, zwłaszcza w kontekście nowin Balwera o walkach w Altarze.

– Skąd wiesz? – zapytał. – Od swoich łowców złodziei? – Miała dwóch, jechali wraz z nią aż z Mayene, wysyłała ich do każdej wioski i miasteczka na przeszpiegi. Obu nigdy nie udało się razem odkryć nawet połowy tego, czego potrafił dowiedzieć się Balwer. W każdym razie tak to wynikało z informacji, jakimi się z nim dzieliła.

Berelain lekko pokręciła głową, z widocznym żalem.

– To od... świty Faile. Troje z nich odnalazło nas tuż przed atakiem Aielów. Rozmawiali z ludźmi, którzy widzieli wielkie latające stwory. – Zadrzała trochę nazbyt ostentacyjnie, ale z jej zapachu wynikało, że była to niekłamana reakcja. Nic dziwnego, sam raz widział te stworzenia i musiał przyznać, że nawet trolloki tak bardzo nie kojarzyły się z Pomiotem Cienia jak one. – Widzieli lądujące istoty, na których grzbietach siedzieli ludzie. Potem śledzili jedną aż do Abili, do Masemy. Nie wierzę, żeby było to pierwsze spotkanie. Sprawiało wrażenie regularnych praktyk.

Nagle jej usta wygięły się w uśmiechu, trochę ironicznym, trochę zalotnym. Tym razem zapach całkowicie odpowiadał wyrazowi twarzy.

– To nie było szczególnie miłe z twojej strony kazać mi myśleć, że ten twój zasuszony sekretarz potrafi dowiedzieć się więcej niż moi łowcy złodziei, podczas gdy w istocie czerpałeś informacje od dwudziestu paru szpiegów, ukrywających się pod barwami świty Faile. Muszę jednak przyznać, że udało ci się mnie zwieść. Nigdy chyba nie przestaniesz mnie zaskakiwać. Dlaczego tak na mnie patrzysz? Czy naprawdę sądzisz, że po wszystkim, czego się dowiedzieliśmy, możemy zaufać Masemie?

Zaskoczenie Perrina nie miało wiele wspólnego z zaufaniem do Masemy. Te wieści mogły mieć

znaczenie decydujące, ale mogły też w ogóle nie mieć znaczenia. Niewykluczone, że tamten uznał, iż uda mu się również Seanchan przywieść pod sztandar Smoka Odrodzonego. Był na to dość szalony. Jednak... Faile kazała tym głupcom szpiegować? Wysłała ich do Abili? I Światłość jedna wie, gdzie jeszcze. Oczywiście, zawsze upierała się że szpiegowanie pozostaje w gestii żony, jednak przysłuchiwanie się krążącym po pałacu plotkom było jedną rzeczą, to zaś czymś zupełnie innym. Przynajmniej mogła go uprzedzić. Niewykluczone jednak, że trzymała całą rzecz w tajemnicy, gdyż akurat ci jej służący nie byli jedynymi, którzy wtykali swój nos gdzie nie powinni. To do niej pasowało. Faile naprawdę posiadała sokolego ducha. Może nawet osobiste szpiegowanie uznała za świetną zabawę. Nie, nie będzie się na nią złościł, z pewnością nie teraz. Światłości, naprawdę mogła sobie pomyśleć, że to niezły ubaw.

– Jestem zadowolona, widząc, że potrafisz dochować tajemnicy – mruknęła Berelain. – Nie bardzo mi się wydaje, by leżało to w twojej naturze, jednak dyskrecja to ważna rzecz. Zwłaszcza w obecnej chwili. Moi ludzie nie zostali zabici przez Aielów, chyba że Aielowie użyli do tego celu kusz i toporów.

Gwałtownie zadarł głowę i mimo wszystkiego, co sobie przed chwilą obiecywał, popatrzył na nią ze złością.

– I dopiero teraz o tym wspominasz? Może o czymś jeszcze zapomniałaś mi powiedzieć, może coś jeszcze wypadło ci z głowy?

– Jak możesz? – nieomal roześmiała się. – Musiałabym chyba rozebrać się do naga, żeby ujawnić więcej, niż to uczyniłam do tej pory. – Rozłożyła ręce i zakołysała się lekko, niczym wąż, jakby zaraz miała zrealizować swą obietnicę.

Perrin warknął z obrzydzeniem. Faile porwano, Światłość jedna wiedziała, czy jeszcze żyje – Światłości, żeby tylko żyła! – a Berelain właśnie te chwile wybrała na swoje popisy, na dodatek gorsze niżli kiedykolwiek dotąd. Taka była jednak jej natura. Powinien być jej wręcz wdzięczny za skromne zachowanie, gdy się ubierał.

Przyglądając mu się z namysłem, powiodła czubkiem palca po dolnej wardze.

– Wbrew wszystkim słuchom, jakie mogły do ciebie dotrzeć, będziesz dopiero trzecim mężczyzną, który podzieli ze mną łóżko. – jej oczy... zaszyły mgłą... jednak równie dobrze mogłaby mówić, że jest dopiero trzecim mężczyzną, z którym zdarzyło jej się w życiu rozmawiać. Jej woń zaś... Jedyną rzeczą jaka przychodziła mu do głowy, był widok wilka, przyglądającego się uwięzionej w jeżynach sarencie. – Dwaj pozostali to zresztą wyłącznie kwestia polityki. Z tobą będzie to przyjemność. Nie tylko w zwykłym sensie słowa – zakończyła na zaskakująco złowieszczej nucie.

I w tej właśnie chwili, w podmuchach lodowatego powietrza do namiotu wpadła Rosene, z odrzuconymi na plecy połami niebieskiego płaszcza i z przykrytą białym lnianym płótnem owalną srebrną tacą w dłoniach. Perrin zacisnął szczęki, modląc się, by nie dosłyszała. Uśmiechniętej Berelain to najwyraźniej nic a nic nie obchodziło. Niska służąca postawiła tacę na największym stoliku, rozłożyła w ukłonie spódnice w niebiesko-złote paski, raz przed Berelain i raz przed nim – ukłon przed nim był nieco płytszy. Zanim, otuliwszy się wpierw płaszczem, na znak Berelain wybiegła szybko z namiotu, jej ciemne oczy zatrzymały się na nim przez chwilę i uśmiechnęła się, równie zadowolona jak jej pani. No tak, wszystko słyszała. Taca rozsiewała wokół aromaty duszonej baraniny i przyprawionego wina, od których Peronowi znowu zaburczało w brzuchu, nie zostałyby jednak na posiłku, nawet gdyby obie nogi miał połamane.

Zarzucił płaszcz na ramiona i naciągając po drodze rękawice, wyszedł na sypiący od niechcenia śnieg. Tarczę słońca skrywały ciężkie chmury, wnioskując jednak z ilości światła, świt nastał już

ładnych parę godzin temu. Teren obozu przecinały wydeptane w śniegu ścieżki, ale wciąż sypiąca z nieba biel gromadziła się na obnażonych gałęziach, drzewa zimozielone stroiła zaś w nowe ubranka. Burza wcale jeszcze nie minęła na dobre. Światłości, jak ta kobieta mogła mówić takie rzeczy? Jak mogła mówić takie rzeczy i to na dodatek w takiej chwili?

– Pamiętaj – zawołała za nim Berelain, nie zadając sobie nawet trudu, by ściszyć głos. – Dyskrecja. – Skrzywił się i przyspieszył kroku.

Odszedłszy kilkanaście kroków od pasiastego namiotu, zdał sobie sprawę, że zapomniał zapytać o miejsce pobytu ludzi Masemy. Wszędzie dookoła Skrzydlaci Gwardziści grzali się przy ogniskach, w pełnym uzbrojeniu, w płaszczach, niedaleko miejsc, gdzie przywiązano konie. Oparte o siebie lance stały w zasięgu ręki, wiatr rozwiewał czerwone proporce. Mimo iż obóz znajdował się w lesie, wzdłuż każdego rzędu ognisk można by pociągnąć prostą linię wszystkie były też, praktycznie rzecz biorąc, identyczne, przynajmniej na ile leży w ludzkiej mocy rozpalić identyczny ogień. Wozy taboru, które zdobyli podczas podróży na wschód, były już załadowane, konie zaprzężone, one też stały równą kolumną.

Drzewa nie zasłaniały całkiem grzbietu wzgórza. Ludzie z Dwu Rzek stali na warcie, namioty jednak już zwinięto, z miejsca gdzie się znajdował, potrafił też dostrzec juczne konie. Wydało mu się, że zobaczył mignięcie czarnego kaftana – jeden z Asha'manów – ale nie potrafił się zorientować, który. Ghealdanie stali grupkami, patrząc na wzgórze, wydawali się jednak równie gotowi do wymarszu co Mayenianie. Dwa obozy rozbito nawet na tę samą modłę. Nigdzie jednak nie potrafił dostrzec nawet śladu po zbierającej się tysięcznej cizbie, żadnych szerokich traktów wydeptanych w śniegu, za którymi mógłby podążyć. Jeśli już o to chodzi, między obozami nie dostrzegął w śniegu nawet pojedynczego śladu. Jeżeli Annoura bawiła u Mądrych, musiało to już trwać jakiś czas. O czym też mogły rozmawiać? Prawdopodobnie o zabiciu Masemy w taki sposób, żeby on się nie zorientował, czyja to sprawka. Zerknął przez ramię na namiot Berelain, a na samą myśl o powrocie do niego zjeżyły mu się włosy na głowie.

Poza tym, z którego właśnie wyszedł, w obozie stał tylko jeden namiot, znajdował się zresztą niedaleko, mniejszy ale równie pasiasty, należał do dwu służących Berelain. Mimo sypiącego śniegu Rosene i Nana siedziały przed jego wejściem na rozkładanych krzeselkach, owinięte w płaszcze, z naciągniętymi kapturami, grzejąc dłonie przy małym ogniu. Podobne i drobne niczym dwa ziarna maku – żadna nie była szczególnie piękna. Miały towarzystwo, z tego też powodu zapewne nie szukały ciepła wewnątrz przy metalowym piecyku. Bez wątplenia Berelain wymagała od swych służących znacznie bardziej przyzwoitego prowadzenia niżli od siebie. W normalnych okolicznościach łowcy złodziei Berelain rzadko kiedy mówili więcej niż trzy słowa naraz, przynajmniej w obecności Perrina, w towarzystwie Rosene i Nany stawali się jednak całkiem rozgadani i roześmiani. Ubrani z demonstracyjną prostotą, obaj do tego stopnia nie wyróżniali się z tłumu, że nie zapamiętałoby się żadnego, nawet gdyby wpadł na człowieka na ulicy.

Perrin do teraz nie bardzo potrafiłby powiedzieć, który to Santes, a który Gendar. Ze stojącego przy ogniu małego kociołka docierał zapach baraniego gulaszu i choć próbował nie zwracać nań uwagi, w żołądku i tak mu zaburczało.

Na jego widok tamci umilkli, a kiedy dotarł do ognia, Santes i Gendar tylko raz zerknęli na niego, potem na namiot Berelain i unikając patrzenia mu w oczy, owinęli się płaszczami i odeszli. Rosene i Nana popatrywały to na niego, to na siedzibę Berelain, skrywając dłońmi uśmiechy. Perrin sam nie wiedział, czy czerwienić się, czy wyć.

– Nie wiecie może przypadkiem, gdzie zebrali się ludzie Proroka? – zapytał. Niełatwą rzeczą było mówienie normalnym tonem w obecności tych wszystkich uśmiechów i błysków oczu. – Wasza

pani zapomniała podać mi dokładną lokalizację. – Obie kobiety wymieniły spojrzenia ocienionych kapturami oczu, a potem zachichotały znowu. Zaczął już się zastanawiać, czy nie ma do czynienia z pomyłkami, ale przecież Berelain nie tolerowałaby długo przy sobie dziewczyn mających kompletnie pusto w głowach.

Po kolejnym szeregu tłumionych chichotów, przerywanych ukradkowymi spojrzeniami na niego, na siebie wzajem i na namiot Berelain, Nana wyznała, że wprawdzie nie jest do końca pewna, ale sądzi, że to w tamtą stronę i wykonała dłonią gest, wskazujący mniej więcej na południowy zachód. Rosene z kolei nie miała wątpliwości, iż słyszała, jak jej pani twierdziła, że nie dalej niż dwie mile. A może trzy. Wciąż chichotały, gdy odchodził. Może naprawdę miały nie do końca poukładane w głowach.

Zmęczonym krokiem obchodził wzgórze, zastanawiając się, Co począć. Do polepszenia paskudnego nastroju w niczym nie przyczyniały się głębokie zasy śniegu, przez które musiał brnąć, od kiedy opuścił obóz Mayenian. Ani też postanowienia, jakie w końcu podjął. Czuł się już skrajnie źle, gdy dotarł wreszcie do miejsca, gdzie czekali jego ludzie.

Wszystko było dokładnie tak, jak wcześniej zarządził. Opatuleni w płaszcze Cairhienianie siedzieli na załadowanych wozach z końcami lejców w dłoniach lub wetkniętymi pod pachę, widział też niskie sylwetki innych, którzy spacerowali wzdłuż szeregów remontów, uspokajając zdenerwowane konie. Wszyscy ludzie z Dwu Rzek, którzy nie mieli żadnych zadań do wykonania na wzgórzu, skupili się wokół kilkunastu niewielkich ognisk rozproszonych wśród drzew, odziani do konnej jazdy, trzymając wodze koni. Trudno byłoby u nich szukać takiego ordynku, jaki panował w innych obozach, ale przecież byli to ludzie, którzy stawiali czoło, trollokom i Aielom. Łuki przewieszane przez plecy, u boków kołczany wypchane strzałami, u drugiego biodra często miecz, krótki lub długi. O dziwo, przy jednym z ognisk dojrzał Grady'ego. Dwaj Asha'mani zazwyczaj trzymali się na uboczu, tamci zresztą odpłacali im tym samym. Nikt nie rozmawiał wiele, wszystkim chodziło tylko o zdobycie odrobiny ciepła. Z ponurych oblicz Perrin wywnioskował, że Jondyn jeszcze nie wrócił, ani Gaul, ani nikt inny. Wciąż istniała szansa, że przyprowadzą ją ze sobą. Albo przynajmniej dowiedzą się, gdzie jest przetrzymywana. Przez jakiś czas wyglądało na to, że będą to ostatnie dobre myśli na całą resztę dnia. Sztandary Czerwonego Orła Manetheren i jego własny Wilczego Łba zwiślały smętnie w padającym śniegu z dwu masztów, opartych o wóz.

Maszerując z Masemą, planował wykorzystać te sztandary tak samo, jak to miało miejsce podczas drogi na południe – aby skryć się, równocześnie pozostając na widoku. Jeżeli człowiek był na tyle szalony, żeby rościć sobie pretensje do wskrzeszenia starożytnej chwały Manetheren, nikt głębiej nie zastanawiał się nad racjami przemarszu jego małej armii, a póki nie zostawał dłużej w jednym miejscu, wszyscy woleli przyglądać się, jak szaleniec jedzie dalej, zamiast próbować go powstrzymać. Wszędzie dookoła było dość kłopotów, żeby jeszcze ściągać je sobie na głowę własnym nieprzemyślanym działaniem. Niech ktoś inny walczy, wykrwawia się i traci ludzi, którzy przecież będą potrzebni przy wiosennych siewach. Granice Manetheren sięgały prawie do miejsca, gdzie teraz było Murandy, a przy odrobinie szczęścia, zanim będzie musiał zrezygnować z fortelu, znajdzie się już dobrze na ziemiach Andoru, gdzie Rand trzymał wszystko silną ręką. Teraz jednak cele uległy całkowitej zmianie, on zaś znał cenę tej zmiany. Wysoką cenę. Był zresztą przygotowany ją zapłacić, z tym że w istocie płacić nie będzie on sam. Jego jednak będą potem dręczyć koszmary.



# ZAPACH SZALEŃSTWA

Perrin przez cały czas rozglądał się za Dannilem, próbując go dostrzec przez kurtynę śniegu. Znalazł wreszcie mężczyznę przy jednym z ognisk, wciśniętego między konie. Siedzący obok tamtego powstali i odsunęli się, robiąc mu miejsce. Nie mając pojęcia, czy należy złożyć wyrazy współczucia, ledwie nań spoglądali, a kiedy już im się zdarzyło, natychmiast uciekali wzrokiem, kryjąc twarze pod kapturami.

– Wiecie, gdzie mogę znaleźć ludzi Masemy? – zapytał, a po chwili musiał już tłumić dłonią ziewnięcie. Ciało żądało snu, ale nie było nań czasu.

– Mniej więcej trzy mile na południowy-zachód – odparł Dannil kwaśnym tonem, równocześnie szarpiąc wąsa. A więc tamte dwie nie były tak do końca pomyłone. – Zlatują się jak kaczki jesienią do Wodnego Lasu, a większość wygląda na gotowych własne matki obedrzeć ze skóry. – Lem al’Dai, człowiek o końskiej twarzy, splunął z obrzydzeniem przez szczyrbę w zębach, która pozostała mu po walce z pewnym strażnikiem kupieckim, bardzo już dawno temu. Lem lubił walki na pięści, najwyraźniej miał wielką ochotę spróbować szczęścia z niektórymi spośród wyznawców Masemy.

– I bez wątpienia by to zrobili, gdyby im tylko Masema kazał – spokojnie powiedział Perrin. – Najlepiej zadbajcie, by nikt o tym nie zapominał. Wiecie, jak zginęli ludzie Berelain? – Dannil krótko skinął głową, kilku pozostałych przestąpiło z nogi na nogę, mruczając coś gniewnie pod nosem. – A więc wiecie, z czym możemy mieć do czynienia. Jak dotąd jednak nie ma żadnych dowodów. – Lem parsknął, a pozostali popatrzyli równie ponuro jak Dannil. Widzieli już trupy pozostałe na trasie przemarszu wyznawców Masemy.

Śnieg zaczynał padać coraz gęstszy, wielkie płatki osiadały płaszczach. Konie z zimna kulily ogony. Za kilka godzin, jeśli . prędeż, znowu należy oczekiwać zadymki. Paskudna pogoda, na to, by zrezygnować z ciepła ogniska i równie zła na wymarsz.

– Odwołajcie wszystkich ludzi ze wzgórze i ruszajcie powoli w stronę miejsca, gdzie tamci wpadli w zasadzkę – rozkazał. Rozkaz był efektem jednej z decyzji, jakie podjął, wracając do obozu. I tak zbyt długo zwlekał z jego wydaniem, powinien zrobić to znacznie wcześniej, nie bacząc, z kim będą mieli do czynienia. W obecnej sytuacji Aielowie renegaci i tak mieli już zbyt wielką przewagę, a gdyby kierowali się w inną stronę niż południe lub wschód, do tej pory ktoś już przyniósłby słowo. Tamci będą już spodziewać się pościgu. – Pojedziemy, aż będę miał lepsze pojęcie, dokąd naprawdę zmierzamy, potem Grady lub Neald zabiorą nas tam przez bramę. Pchnijcie ludzi do Berelain i Argandy. Chciałbym, żeby Mayenianie i Ghealdanie również ruszali. Wyślijcie zwiadowców w szpicy i na flankach, wyjaśnijcie im, że nie tylko Aielowie mogą się okazać naszymi wrogami. Nie chcę żadnych niespodzianek. I poproście Mądre, żeby trzymały się blisko nas. – Nie miał zamiaru dać najmniejszych szans Argandzie na postąpienie wbrew jego wyraźnym rozkazom i jakieś głupie próby poddania ich przesłuchaniu. Gdyby Mądre w samoobronie zabiły Ghealdan, tamten mógłby, nie bacząc na nic, nawet na hold lenny, zaatakować całą swoją siłą. A Perrina dręczyło nieprzyjemne przeczucie, że będzie potrzebował każdego mężczyznę zdolnego do noszenia broni. – Nalegajcie na to tak zdecydowanie, na ile wam starczy śmiałości.

Dannil spokojnie wysłuchiwał tego potoku rozkazów, przy ostatnim jednak jego usta wykrzywił niepewny grymas. Równie dobrze można by go prosić, żeby zachował się zdecydowanie w obecności Koła Kobiet rodzinnej wioski.

– Jak rozkażesz, lordzie Perrinie – odpowiedział sztywno, unosząc kciuk do czoła, a potem

wskoczył na siodło o wysokich łękach i od razu zaczął wykrzykiwać polecenia.

W jednej chwili otoczony dosiadającymi koni mężczyznami, Perrin zdążył jeszcze schwycić za rękaw Kenly'ego Maerina, który jedną nogą już siedział w siodle i poprosić go, aby zadbał o przygotowanie Steppera do drogi. Z szeroki uśmiechem Kenly kciukiem dotknął, ale jego czoła.

– Jak rozkażesz, lordzie Perrinie. Już się robi.

Perrin warknął w duchu, przyglądając się, jak Kenly pędzi ciężko ku miejscu, gdzie trzymano konie, ciągnąc swego kasztanowego wałacha. Szczeniakowi broda nigdy nie wyrośnie, jeżeli przez cały czas będzie się po niej drapał. Tak czy siak, rośla mu w nieregularnych kępach.

Czekając na swego wierzchowca, przysunął się bliżej żaru. Faile powiedziała, że będzie musiał nauczyć się żyć z tym „lordem Perrinem”, z tymi wszystkimi ukłonami i drapaniem się po czołach; przez większość czasu udawało mu się je ignorować, dzisiaj jednak przepelniła się czarna goryczy. Wręcz namacalnie czuł, jak pogłębia się przepaść między nim, a jego krajanami, nadto najwyraźniej nikt prócz niego nie miał ochoty jej pokonywać. Kiedy przyszedł Gill, zastał go mamroczącego coś do siebie pod nosem i wyciągającego dłonie ku płomieniom.

– Wybacz, że ci przeszkadzam, mój panie – powiedział Gill, kłaniając się i lekko uchylając sflaczałego kapelusza; na moment mignęły pod nim mocno przerzedzone włosy. Ułamek sekundy później kapelusz znów trafił na swoje miejsce, chroniąc głowę przed śniegiem. Wychowany w mieście, z trudem znosił chłód. Krępy mężczyzna nie miał w sobie nic ze służalczości... niewielu karczmarzom Caemlyn można to było zarzucić... jednak najwyraźniej cenił sobie pewną dozę etykiety w stosunkach międzyludzkich. Z pewnością zaś pasował na swą nową pozycję w wystarczającym stopniu, by zadowolić Faile. – Chodzi o młodego Tallanvora. Z pierwszym brzaskiem osiodłał rumaka i odjechał. Powiedział, że udzieliłeś mu pozwolenia, pod warunkiem że... że do tego czasu nie wróci żaden z oddziałów wysłanych na poszukiwania, ja jednak miałem wątpliwości, ponieważ nikomu innemu nie pozwoliłeś odjechać.

Głupiec. Ze wszystkiego, czego dowiedział się na temat Tallanvora, wynikało, iż jest on doświadczonym żołnierzem – aczkolwiek tamten nigdy nie wypowiadał się jasno na temat własnej przeszłości sam jednak przeciwko Aielom miał takie szanse, jak zając ścigający łasice.

„Światłości, jakże żałuję, że nie mogę z nim pojechać! Nie powinienem słuchać tego, co Berelain mówiła na temat zasadzek”.

Ale z pewnością czekała tam na nich kolejna zasadzka. Niewykluczone, że jeźdźcy Argandy skończyli w taki sam sposób. Jednak musiał wyruszać. Musiał.

– Tak – powiedział na głos. – Pozwoliłem mu. – Gdyby powiedział prawdę, musiałby pewnie później ukarać tamtego. Arystokratom rzekomo nie przystało inaczej. Oczywiście, o ile jeszcze zobaczy tamtego żywym. – Mówisz to w taki sposób, jakbyś sam chciał wyruszyć na poszukiwania.

– Mam dla Maighdin dużo... serca, mój panie – odparł Gill.

W jego głosie można było usłyszeć stonowaną godność, ale także pewną rezerwę, jakby w słowach Perrina usłyszał przytyk, iż jest już zbyt stary i gruby na takie przedsięwzięcie. I choć jego zaczerwieniona od mrozu twarz pozostawała spokojna, z pewnością pachniał strapieniem, a prócz tego bólem i podnieceniem. – Nie w tym sensie, co Tallanvor... to oczywiście nie wchodzi w grę... ale tak czy siak, jej los nie jest mi obojętny. Oczywiście to samo tyczy lady Faile – dodał pospiesznie. – Po prostu Maighdin znałem przez całe swoje życie. Nie zasłużyła sobie na taką dolę.

Oddech Perrina zamienił się w mgłę ponad jego głową.

– Rozumiem, panie Gill. – Naprawdę rozumiał. On sam chciał je wszystkie uratować, wiedział jednak, że gdyby musiał wybierać, wybrałby Faile, a pozostałym pozwolił przepaść. Wszystko inne mogło przepaść, byle tylko ona się uratowała. W powietrzu wisiała ciężka woń koni, on jednak

wyczuł na jej tle ton ludzkiej irytacji, odwrócił się, żeby zobaczyć, o co chodzi.

Spośród całego tego zamieszania patrzyła nań Lini, nieruchoma, poruszając się tylko na tyle, ile było konieczne, aby uniknąć przypadkowego stratowania przez ludzi spieszących, by zająć swe miejsca w tworzących się nierównych formacjach. W jednej kościstej dłoni ścisnęła połę płaszcz, w drugiej nabijaną mosiądzem maczugę, długą prawie jak jej ręka. Doprawdy dziwne, że nie pojechała z Tallanvorem.

– Gdy tylko czegoś się dowiem, zaraz o tym usłyszysz – obiecał. Burczenie w brzuchu przypomniało mu nagle i z całą siłą o wzgardzonym gulaszu. Niemalże czuł na języku smak baraniny i soczewicy. Ziewnął szeroko, aż mu zatrzeszczały szczęki. – „Wybacz mi, Lini – powiedział, gdy był już w stanie mówić. – Mało spałem ostatniej nocy. Nic też nie jadłem. Zostało coś może? Trochę chleba i coś do obłożenia?

– Wszyscy zjedli już dawno temu – warknęła. – Żadne resztki również nie zostały, kociołki umyte i spakowane. Jeśli nabierasz ze zbyt wielu talerzy, zasługujesz w pełni na ból brzucha, który złoży cię wpół. Zwłaszcza jeżeli na dodatek nie będą to twoje talerze. – Jej tyrada wkrótce zamieniła się w pełne niezadowolenia pomruki, patrzyła nań jeszcze przez chwilę ponurym wzrokiem, a potem odeszła, ciskając wokół siebie groźne spojrzenia.

– Ze zbyt wielu talerzy? – mruknął Perrin. – Mój kłopot polega na tym, że nie jadłem nawet z jednego, gdzie tu ból brzucha... – Lini szła skroś obozu, omijając konie i wozy. Trzej czy czterej mężczyźni próbowali nawiązać z nią rozmowę, ona jednak każdego ofuknęła, podkreślając wymowę swego zachowania potrząsaniem pałki, na wypadek gdyby do nich nie dotarło. Ta kobieta musiała w całkiem dosłownym sensie odchodzić od zmysłów z obawy o Maighdin. – A może było to jedno z jej przysłów? Jednak zazwyczaj są łatwiejsze do zrozumienia.

– Aha... co do tego, to... – Gill znowu zerwał kapelusz z głowy, przez chwilę wpatrywał się w jego wnętrze, potem nasadził go znowu. – Ja... no, cóż... muszę zadbać o wozy, mój panie. Upewnić się, że wszystko gotowe.

– Ślepy byłby w stanie zauważyć, że wszystko jest gotowe – zauważył Perrin. – O co chodzi?

Gill rozpaczliwie kręcił głową, próbując wymyślić kolejną wymówkę. Najwyraźniej nic nie znalazł, bowiem wyraźnie oklapł.

– Przypuszczam... przypuszczam, że wcześniej czy później i tak się dowiesz – wymamrotał. – Rozumiesz, mój panie, Lini... – Wziął głęboki oddech. – Tego ranka, jeszcze przed wschodem słońca poszła do obozu Mayenian, aby zorientować się, jak się czujesz i... ach... i dlaczego nie wróciłaś na noc. W namiocie Pierwszej było ciemno, ale jedna z jej pokojówek nie spała i powiedziała Lini. Dała do zrozumienia... Chciałem powiedzieć... Nie patrz na mnie w ten sposób, mój panie.

Perrin z wysiłkiem opanował grymas wypełzający na twarz, przynajmniej próbował. Jednak nad tonem głosu zapanować nie potrafił.

– Żebym szezł, ja tylko spałem w tym namiocie, człowieku. Nic więcej! Idź i jej to powiedz!

Gwałtowny atak kaszlu zupełnie obezwładnił przysadzystego mężczyznę.

– Ja? – wyrzęził Gill, gdy już mógł mówić. – Chcesz, żebym ja jej to powiedział? Roztrzaska mi głowę, jeśli bodaj wspomnę o czymś takim! Przypuszczam, że ta kobieta urodziła się w Far Madding i na dodatek podczas burzy. I zaraz prawdopodobnie nakazała grzmotom, by się uciszyły. A one pewnie posłuchały.

– Jesteś *shambayanem* – poinformował go Perrin. – Twoja funkcja nie może ograniczać się do ładowania wozów w śniegu. – Miał ochotę kogoś ugryźć!

Gill najwyraźniej to wyczuł. Wymamrotał zwyczajowe grzeczności, wykonał drżący ukłon i oddalił się, otulony ściśle płaszczem. Perrin gotów byłby się założyć, że tamten nie poszedł szukać

Lini. Gill zarządzał ich domem i wszystkim, co wchodziło w jego skład, wyjąwszy właśnie Lini. Nikt nie rozkazywał Lini, prócz Faile.

Perrin ponuro obserwował, jak zwiadowcy opuszczają obóz, wnikając w zasłonę śniegu, dziesięciu mężczyzn, którzy już nie mogli oderwać wzroku od otaczających ich drzew, mimo że jeszcze nie zniknęły im z oczu własne wozy. Światłości, kobiety są w stanie uwierzyć we wszystko, co im się powie o mężczyznach, pod warunkiem, że będą to złe rzeczy. A im to będzie gorsze, tym bardziej się będą czuły zobowiązane je powtarzać dalej. Wydawało mu się, że Rosene i Nana będą jedynymi, na widok których będzie musiał świecić oczyma. Lini jednak najprawdopodobniej zaraz po powrocie do obozu powiedziała o wszystkim Breane, drugiej pokojówce Faile, a do chwili obecnej Breane z pewnością rozgadała już każdej kobiecie w obozie. Kobiet było sporo przy koniuszych i woźnicach, a Cairhienianki, jak to one, z pewnością natychmiast o wszystkim opowiedzą mężczyznom. Na takie rzeczy w Dwu Rzekach nie spoglądano łaskawym okiem. Kiedy już raz zdobyło się kiepską reputację, pozbycie się jej było niełatwą sprawą. Nagle w całkiem innym świetle zobaczył fakt, że mężczyźni; rozstępowali się, aby dać mu miejsce, niepewny sposób, w jaki na niego spoglądali, a nawet splunięcie Lema. W dręczonej wstydem pamięci uśmiech Kenly'ego zmienił się w pogardliwy uśmieszek. Jedyną jasną stroną całej sprawy był fakt, iż Faile z pewnością w nic nie uwierzy. Oczywiście, że nie uwierzy. Jasna sprawa.

Kenly wrócił, niezgrabnie truchając po śniegu, za sobą ciągnął Steppera i własnego smukłego wałacha. Oba konie najwyraźniej źle znosiły chłód, uszy położyły po sobie, podkuliły ogony, dereszowaty ogier zaś ani razu nie spróbował ugryźć wierzchowca Kenly'ego, bez czego w normalnych okolicznościach pewnie by się nie obeszło.

– Przestań wciąż szczerzyć zęby – warknął Perrin, wrywając tamtemu z rąk wodze Steppera. Chłopak zmierzył go niepewnym spojrzeniem, a potem oddalił się, cały czas zerkając przez ramię.

Mrucząc gniewnie pod nosem, Perrin sprawdził popręg ogiera. Był już najwyższy czas poszukać Masemy, on jednak jeszcze nawet nie dosiadł konia. Próbował sobie wmówić, że to ze zmęczenia i głodu, że potrzeba mu tylko odrobiny odpoczynku i czegoś do napełnienia brzucha. Tak do siebie mówił, przed oczyma jednak widział spalone farmy i ciała wiszące przy drodze – mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci. I choćby Rand wciąż jeszcze był w Altarze, daleka droga. A on nie miał wyboru. Przynajmniej żadnego, którego konsekwencje gotów byłby na siebie wziąć.

Wciąż stał z czołem opartym o siodło Steppera, kiedy znalazła go delegacja głupców, którzy prowadzali się z Faile, tych było ponad dziesięcioro. Wyprostował się powoli, zmęczony, pragnąc tylko, by śnieg pogrzebał ich wszystkich.

Selande stanęła przy zadzie Steppera, niska, szczupła kobieta, wsparła się o biodra pięściami w zielonych rękawiczkach, czoło przeciął gniewny mars. Stała zupełnie nieruchomo, w skrajnie aroganckiej postawie. Mimo coraz mocniej padającego śniegu połę płaszcza odrzuciła na plecy, aby mieć łatwy dostęp do miecza; przód ciemnoniebieskiego kaftana przecinało sześć jaskrawych rozcięć, wszystkie te kobiety ubierały się jak mężczyźni i przypasywały miecze zazwyczaj rwąc się do nich dwakroć chętniej niż kompani przeciwnej płci, co już coś znaczyło. Zarówno mężczyźni, jak kobiety zachowywali się nadzwyczaj drażliwe i gdyby Faile nie położyła temu kresu, codziennie pewnie walczyliby w pojedynkach. W tej chwili jedni i drudzy, cała zgraja, pachnieli identycznie jak Selande – gniewem, złością, rozdrażnieniem, nadąsaniem – i od tej skoncentrowanej woni aż mu się zakręciło w nosie.

– Widzę cię, lordzie Perrinie – oznajmiła oficjalnie Selande z ostrym cairhieniańskim akcentem. – Trwają już ostatnie przygotowania do wymarszu, a nam wciąż odmawia się dostępu do naszych koni. Mogę chyba oczekiwać, że załatwisz to niedopatrzenie? – Brzmiało to niczym żądanie.

Widziała go, czy tak? Żałował, że on ją też widzi.

– Aielowie wędrują pieszo – warknął i stłumił ziewnięcie, nie dbając ani na jotę o wściekle spojrzenia, które na siebie ściągnął. Próbował jakoś otrząsnąć umysł z otępienia spowodowanego brakiem snu. – Jeżeli nie macie ochoty iść pieszo, wsiądźcie na jakieś wozy.

– Nie możesz nam tego zrobić! – wyniośle oznajmiła jedna z taireniańskich kobiet, jedną dłoń zaciskając na pole płaszcza, drugą na rękojeści miecza. Medore była wysoka, z błyszczącymi niebieskimi oczyma w smagłej twarzy, a jeśli trochę brakowało jej do prawdziwej piękności, to doprawdy niewiele. Bufiaste, paskowane na czerwono rękawy kaftana sprawiały zdecydowanie dziwne wrażenie w zestawieniu z obfitym łonem. – Sikorka to moja ulubiona klacz! Nie wolno mi jej odbierać!

– To już trzeci raz – skomentowała tajemniczo Selande. – Kiedy dziś wieczorem zatrzymamy się na postój, porozmawiamy o twoim *toh*, Medore Damara.

Ojciec Medore miał być posuniętym już w latach męczyzną, który całe lata temu wycofał się do swych wiejskich posiadłości, mimo to jednak nie należało chyba zapominać, że Astoril wciąż był wysokim Lordem. Tym samym pozycja społeczna jego córki plasowała ją zdecydowanie powyżej Selande, wywodzącej się tyłu z pomniejszej szlachty Cairhien. Jednak Medore z wysiłkiem przełknęła ślinę, a jej oczy rozszerzyły się, jakby w oczekiwaniu co najmniej na obdarcie żywcem ze skóry.

Znienacka Perrin poczuł, że ma już dosyć tych kretynów oraz ich iście psiego warowania pod stołem na resztki i kąski życia Aielów, jak też czysto snobistycznych arystokratycznych głupot.

– Od kiedy szpiegujecie dla mojej żony? – zapytał ostro. Natychmiast wszyscy zamarli.

– Od czasu do czasu realizujemy skromne zadania i polecenia jakie zleca nam lady Faile – powiedziała po dłuższej chwili Selande, jak najstaranniej dobierając słowa. W jej woni dominowała ostrożność. Cała grupka nagle zaczęła pachnieć niczym lisy, zastanawiające się, czy borsuk nie zajął ich nory.

– Czy moja żona naprawdę wyruszyła na polowanie, Selande? – warknął ostro. – Wcześniej jakoś nigdy nie zdradzała ochoty. – Gniew wzbierał w nim, płomieniem rozdmuchiwanym dodatkowo przez wydarzenia minionego dnia. Jedną ręką klepnął Steppera, potem podszedł bliżej do tej kobiety i spojrzał na nią z góry. Ogier zarzucił łbem, wyczuwając nastrój swego pana. Kłykcie zaciśniętej w rękawicy pięści bolały od ściskania wodzy. – Czy może po prostu wybrała się na spotkanie kilkorga z was, co właśnie świeżo wracali z Abili? Może wręcz porwanie było skutkiem waszego przekłętego szpiegowania?

To nie miało najmniejszego sensu, o czym wiedział już w chwili, gdy słowa opuszczały jego usta. Faile mogła z tamtymi porozmawiać w każdym dowolnym miejscu. I nigdy nie zaaranżowałyby spotkania ze swoimi agentami– Światłości, jej szpiegami! – w taki sposób, by Berelain musiała być przy tym obecna. Nie powinno się mówić bez zastanowienia. O kontaktach Masemy z Seanchanami dowiedział się właśnie dzięki jej szpiegom. Ale teraz pragnął tylko bić na odlew, potrzebował tego jak niczego innego, a ludzie, których tak naprawdę chciał zmiażdżyć, znajdowali się całe mile stąd. I mieli Faile.

Selande nie ugięła się przed jego gniewem. Oczy jej zwężyły się w szparki. Palce kurczowo to ścisnęły, to puszczały rękojeść miecza i nie była przecież sama.

– Oddalibyśmy życie dla lady Faile! – to było niczym splunięcie – Nie zrobiliśmy nic, by narazić ją na niebezpieczeństwo! Jesteśmy jej zaprzysiężeni przysięgą wody! – Zaprzysiężeni Faile, nie jemu, obwieszczał ton głosu.

Powinien przeprosić. Wiedział, że powinien. Zamiast tego jednak powiedział:

– Możecie dostać swoje konie, jeżeli dacie mi słowo, że będzie mnie słuchać i nie zrobicie nic pochopnie. – „Pochopnie” z pewnością nie było właściwym słowem na opisanie sposobu postępowania tej zgrai. Byli zdolni do tego, by popędzić na złamanie karku, nawet zupełnie sami, gdy tylko dowiedzą się, gdzie przebywa Faile. Byli zdolni doprowadzić do tego, by ją zabito. – Kiedy ją odnajdziemy, ja zdecyduję, jak ją uratować. Jeżeli wasza przysięga wody stanowi coś innego, złamiecie ją, albo ja wam ręce połamię.

Jej szczęki zacisnęły się jeszcze bardziej, mars na czole pogłębił, jednak na koniec powiedziała:

– Zgoda! – jakby to słowo wrywano z niej obcęgami. Jeden z Tairenian, długonosy Carlon, zaprotestował mruknięciem, ale Selande tylko poniosła do góry palec i tamten natychmiast umilkł. Z takim cofniętym podbródkiem pewnie żałował, że zgolił brodę. Mała kobietka trzymała w żelaznej garści całą resztę tych głupców, co bynajmniej jej samej nie czyniło mniej głupią. Przysięga wody, paradne! Jednak nie odrywała wzroku od twarzy Perrina. – Póki nie wróci lady Faile, będziemy wypełniać twoje rozkazy. Potem znowu należymy do niej. A ona już zdecyduje o naszym *toh*. – Ostatnie zdanie najwyraźniej w większym stopniu przeznaczone było dla tamtych niż dla niego.

– Może być – odparł. Spróbował złagodzić ton swego głosu, nie bardzo jednak mu się udało. – Wiem, że wszyscy jesteście wobec niej lojalni. Szanuję to. – I na tym chyba koniec rzeczy, które w nich szanował. Nie bardzo to zabrzmiało jak przeprosiny i bynajmniej jako takie nie zostało przyjęte. Od Selande doczekał się tylko niewyraźnego mruknięcia, pozostali obrzucili go płonącymi spojrzeniami, a potem bez słowa odeszli. Niech i tak będzie. Póki dotrzymają słowa. Cała ta zgraja na spółkę nie przepracowała porządnie nawet jednego dnia.

Obóz powoli pustoszał. Wozy odjeżdżały na południe, ślizgając się na płozach w ślad za ciągnącymi je zwierzętami. Te drugie głęboko zapadały się w śnieg, płozy jednak zostawiały tylko płytkie koleiny natychmiast zamazywane przez prószącą biel. Ostatni odwołani ze wzgórze mężczyźni wspinali się na siodła i dołączali do kolumny wozów. Nieco z boku mijał ich właśnie oddział Mądrych, nawet prowadzący juczne zwierzęta *gai'shain* siedzieli na końskich grzbietach. Jakkolwiek zdecydowanie – tudzież niezdecydowanie, co było znacznie bardziej prawdopodobne – ośmielił się zachować Dannil, najwyraźniej odniosło to zamierzony skutek. Siedzące w siodłach Mądre wyglądały niezgrabnie, przynajmniej w porównaniu z Seonid lub Masuri, ich *gai'shain* stanowili bowiem widok jeszcze bardziej godny pożalowania. Odziani na biało mężczyźni i kobiety po raz pierwszy wsiedli na konie trzeciego dnia podróży przez śniegi, wciąż jednak trwali skuleni nad wysokimi łękami swych siodel, rozpaczliwie czepiając się końskich grzyw, jakby już przy następnym kroku mieli spaść na ziemię. Zmuszenie ich, by w ogóle dosiedli koni, wymagało bezpośredniego rozkazu z ust samych Mądrych, niektórzy wciąż najchętniej w każdej chwili by zeszli, i czynili tak, gdy nikt na nich nie patrzył.

Perrin wgramolił się w końcu ciężko na siodło Steppera. Nie był wcale pewien, czy pójdzie mu lepiej niż tamtym. Nadszedł jednak czas na przejażdżkę, na którą wcale nie miał ochoty. Był tak głodny, że gotów byłby zabić za kromkę chleba. Albo kawałek sera. Czy smacznego królika.

– Aielowie nadchodzą! – krzyknął ktoś od czoła kolumny i wszystkie wozy stanęły. Rozległy się kolejne krzyki, przekazywane wzdłuż trasy pochodu; mężczyźni zaczęli ściągać z pleców łuki. Woźnice stawali na kozłach swych wozów, patrząc przed siebie, albo zeskakiwali na ziemię, by ukryć się za pojazdami. Perrin tylko jęknął cicho i wbił obcasy w boki Steppera.

U czoła kolumny zobaczył Dannila oraz dwu mężczyzn dzierżących te dwa przeklęte sztandary, wszyscy wciąż siedzieli w siodłach, jednak co najmniej trzydziestu innych już tworzyło pieszą formację, z napiętymi łukami w dłoniach. Ludzie strzegący wierzchowców łuczników tłoczyli się z tyłu, wskazując dłońmi i próbując uzyskać lepszy widok. Grady i Neald również byli na miejscu i

choć wpatrywali się przed siebie z napięciem, to poza tym spokojnie siedzieli na koniach. Wszyscy pozostali roztaczali wokół woń podniecenia. Asha'mani pachnieli tylko... gotowością.

Perrin znacznie wyraźniej niż oni był w stanie dostrzec między drzewami to, w co tamci się wpatrywali. Zamaskowani Aielowie biegli ku nim w tumanach śniegu, jeden prowadził wysokiego siwego konia. Nieco z tyłu jechali trzej mężczyźni w płaszczach z naciągniętymi kapturami. W sposobie poruszania się Aielów było coś dziwnego. A do siodła siwka przymocowany był jakiś tobołek. Perrin poczuł, jakby jakaś potężna pięść ścisnęła jego serce, po chwili jednak pojął, że tobołek jest zbyt mały, aby pomieścić ciało.

– Opuścić łuki – powiedział. – To jest wałach Alliandre. To muszą być nasi ludzie. Nie widzicie, że ci Aielowie to są tylko Panny? – Żadna nie była na tyle wysoka, żeby ujść za mężczyznę Aiela.

– Ledwie jestem w stanie zobaczyć, że to Aielowie – mruknął Dannil, obrzucając go spojrzeniem z ukosa. Wszyscy już przyzwyczaili się do jego znakomitego wzroku, traktując go jak coś samo przez się zrozumiałego, a nawet powód do dumy... przynajmniej dotąd tak było... jednak on ze swej strony zawsze starał się skrywać to, jak naprawdę świetnie widzi. Teraz jednak już mu nie zależało.

– To nasi – poinformował Dannila. – Wszyscy zostają na miejscach.

Powoli wyjechał na spotkanie powracającego oddziału. Panny na jego widok zaczęły zdejmować zasłony. Pod jednym z głęboko naciągniętych kapturów konnych zobaczył czarne oblicze Furena Alharry. A więc byli to trzej Strażnicy, zgodnie z oczekiwaniem wrócili razem. W oczach Perrina ich konie wyglądały na równie zmęczone, jak on sam się czuł, w rzeczy samej, na wyczerpane nieomal ze szczętem. Miał ochotę z całych sił popędzać Steppera, żeby jak najszybciej usłyszeć, co tamci mają do powiedzenia. A równocześnie bał się tych wieści. Ciała z pewnością musiały odkryć kruki, lisy, może borsuki i Światłość jedna wie, co jeszcze. Może uznali, że oszczędzą mu okropnych przeżyć jeżeli nie przywiozą z powrotem tego, co znaleźli. Nie! Faile na pewno żyje. Cały czas sobie to powtarzał, próbował desperacko uchwycić się tej myśli, ale było to niczym ściskanie gołymi dłońmi ostrej klingi.

Gdy dotarł do nich, natychmiast zeskoczył z konia, zachwiał się i musiał wesprzeć na łęku siodła. Czuł tylko ból tej pojedynczej myśli, poza nim zupełne odrętwienie. Ona musi żyć. Z jakiegoś powodu drobne szczegóły zdały mu się nagle wyolbrzymione. Zobaczył przed oczyma nie pojedynczy tobołek przytroczony do zdobnego siodła, lecz cały szereg drobnych tobołków, które wyglądały niczym kupa łachmanów. Panny miały na nogach rakiety śnieżne, naprędce wykonane z jakichś pnączy i giętkich gałęzi sosny, z których jeszcze nie odpadły wszystkie igły. Przez nie właśnie wydawało mu się wcześniej, że dziwnie się poruszają. Jondyn musiał im pokazać, jak się je robi. Próbował skupić wzrok. Wydawało mu się, że jego serce zaraz rozsadzi klatkę żeber.

Sulin wzięła jeden z tych małych tobołków i podeszła do niego, w lewej dłoni trzymała włócznię i tarczę. Kiedy się uśmiechnęła, zadrgała różowa blizna przecinająca pomarszczony policzek.

– Dobre wieści, Perrinie Aybara – powiedziała cicho, podając mu ciasno zwiniętą ciemnoniebieską materię. – Twoja żona żyje. – Alharra wymienił spojrzenia z drugim Strażnikiem Seonid, Terylem Wynterem, który zmarszczył brwi. Strażnik Masuri, Rovair Kirklin, z kamiennym spokojem patrzył przed siebie. Widoczne było, jak podkrecone wąsy Wyntera, że bynajmniej nie mają pewności, czy wieści istotnie są dobre. – Reszta poszła dalej w nadziei, że coś jeszcze da się znaleźć – ciągnęła dalej Panna. – Chociaż już odkryłyśmy dosyć dziwnych rzeczy.

Perrin pozwolił, by tobołek osunął się w jego wyciągnięte dłonie. To była suknia Faile, rozcięta

na przedzie i wzdłuż rękawów. Wziął głęboki oddech, wciągając w nozdrza zapach Faile, delikatny ślad jej kwiatowego mydła, muśnięcie słodkich perfum, przede wszystkim jednak tę woń, która była nią. I całkowity brak odoru krwi. Pozostałe Panny zebrały się wokół niego, głównie były to starsze już kobiety o twardych twarzach, choć nie tak twardych jak oblicze Sulin. Strażnicy zsiadli z koni, w ogóle nie było po nich znać, że całą noc spędzili w siodłach, trzymali się z boku.

– Wszyscy mężczyźni zginęli – powiedziała zylasta kobieta – wnioskuje jednak z odzieży, którą odnalazłyśmy, Alliandre Kigarin Maighdin Dorlain, Lacile Aldorwin, Arrela Shiego oraz jeszcze dwie kobiety zostały obrócone w *gai'shain*. – Te pozostałe dwie kobiety to musiały być Bain i Chiad, jednak wspomnienie ich imienia po tym, jak zostały schwytane, oznaczałoby dla nich hańbę. Trochę już się wiedziało na temat obyczajów Aielów. – Jest to wbrew zwyczajom, jednak śmierć im nie grozi. – Wynter z powątpiewaniem zmarszczył czoło, co spróbował natychmiast ukryć, naciągając głębiej kaptur.

Zgrabne rozcięcia sprawiały, że suknia przypominała skórę ściągniętą ze zwierzęcia. I w tej chwili uderzyła Perrina świadomość tego, co się tam stało. Ktoś zdarł z Faile ubranie! Jego głos drżał.

– Zabrali tylko kobiety?

Młoda Panna o okrągłej twarzy, znana jako Briain, pokręciła głową.

– Trzej mężczyźni też staliby się *gai'shain*, przypuszczam, gdyby nie walczyli tak zawzięcie, że trzeba było ich pozabijać włócznią bądź nożem. Wszyscy pozostali padli od strzał.

– To nie jest tak, jak myślisz, Perrinie Aybara – pośpiesznie zaczęła tłumaczyć Elienda, w jej głosie znać było skrajne niedowierzenie. Wysoka kobieta i szerokich barkach, jakimś sposobem potrafiła wyglądać nieomal macierzyńsko, chociaż widział na własne oczy, jak uderzeniem pięści powaliła mężczyznę. – Wyrządzenie krzywdy *gai'shain* jest jak skrzywdzenie dziecka albo kowala. Rzeczą samą w sobie złą było uczynienie *gai'shain* z mieszkańców mokradeł, nie przypuszczam jednak, by aż do tego stopnia mogli naruszyć obyczaje. Pewna jestem, że nie czeka ich nawet żadna kara, jeśli zachowają pokorę do czasu, aż zostaną uwolnione. Będą w towarzystwie kobiet, które im pokażą, jak się należy zachowywać. – Znowu chodziło o Bain i Chiad.

– W którą stronę je zabrali? – zapytał. Czy Faile potrafi okazać pokorę? Nie potrafił sobie tego wyobrazić. Przynajmniej niech spróbuje, do czasu aż on jej nie znajdzie.

– Prawie dokładnie na południe – odpowiedziała Sulin – W każdym razie znacznie bardziej na południe niż na wschód. Po tym jak śnieg skrył ich ślady, Jondyn Barran odkrył inny trop, którym teraz podążają tamci. Wierzę mu. Jest w tym prawie tak sam dobry jak Elyas Machera. A poza tym śladów znaleźliśmy naprawdę sporo. – Wsadziła włócznię pod futerał z łukiem na plecach tarczę zaś zawiesiła na rękojeści noża przy pasie. Jej palce zamigotały mową dłoni i natychmiast Elienda odczepiła od siodła kolejny, większy tym razem tobołek i podała go jej. – Wielu ludzi tam wędruje, Perrinie Aybara, wałęsają się dziwne istoty. Sądzę, że najpierw powinienes to zobaczyć. – Sulin rozwinęła kolejną pociętą suknię, tym razem zieloną. Perrinowi wydawało się, że widział ja na Alliandre. – Oto co odzyskałyśmy na miejscu porwania twojej żony. – Wewnątrz było czterdzieści czy pięćdziesiąt strzał Aielów, związanych w pęk. Drzewca znaczyły ciemne plamy, w nozdrza Perrina uderzył zapach zaschłej krwi.

– Taardad – powiedziała Sulin, wybierając jedną ze strzał i natychmiast odrzucając ją na ziemię. – Miagoma. – Odrzuciła dwie kolejne. – Goshien. – Przy tym słowie jej twarz wykrzywił grymas, sama była Goshien. I tak wymieniała klan po klanie, wszystkie, wyjąwszy Shaido, aż do chwili gdy połowa co najmniej pęku leżała wokół niej na ziemi. Potem przez chwilę trzymała suknię z resztą strzał obiema dłońmi, by wreszcie je również rozsypać. – Shaido – powiedziała znacząco.



Przyciskając wciąż suknię Faile do piersi – jej zapach kołł ból w sercu, a równocześnie czynił go bardziej dotkliwym – Perrin spod zmarszczonych brwi spoglądał na rozsypane na śniegu strzały. Niektóre już zdążyły na poły zasypać padające płatki.

– Zbyt wiele należy do Shaido – powiedział w końcu. A przecież tamci mieli rzekomo zostać zablokowani na Sztylencie Zabójcy Rodu, pięćset lig stąd. Ale jeśli niektóre z ich Mądrych nauczyły się Podróżować... Może nawet w grę wchodził jeden z Przeklętych... Światłości, miota się jak ostatni głupiec... cóż mógłby Przeklęty mieć wspólnego z tym... miota się, a tu trzeba myśleć. – Pozostałe należą do ludzi, którzy nie potrafili zobaczyć w Randzie *car'a'carna*. – Przekłete kolory znowu zatańczyły w jego głowie. Nie miał jednak już czasu na nic, prócz Faile. – Przyłączyli się do Shaido. – Niektóre z Panien odwróciły wzrok. Elienda spojrzała na niego ze złością. Doskonale wiedziały, że niektórzy Aielowie postąpili dokładnie tak, jak powiedział, niemniej stanowiło to jedną z tych rzeczy, o których nie należało otwarcie wspominać. – Jak wielu ich mogło być, co sądzicie? Z pewnością nie cały klan?– Jeżeli Shaido znaleźliby się tutaj tak znaczną siłą, nie skończyłoby się na plotkach o dalekich napaściach. Nawet stojąc w obliczu wszystkich aktualnych kłopotów, cała Amadicia by wiedziała.

– Dostatecznie wielu, żeby nie czyniło to różnicy, jak przypuszczam – mruknął pod nosem Wynter. Perrin nie miał tego słyszeć.

Sulin znowu sięgnęła między tobołki przytroczone do bogato zdobionego siodła i wyciągnęła szmacianą lalkę odzianą w *cadin'sor*.

– Elyas Machera znalazł ją tuż przedtem, nim zdecydowaliśmy się zawrócić, jakieś czterdzieści mil stąd. – Pokręciła głową, na chwilę i w jej głosie, i woni znać było... zaskoczenie. – Powiedział, że wywęszył ją pod śniegiem. On i Jondyn Barran znaleźli na drzewach zadrapania, które, jak twierdzili, spowodowały wozy. Bardzo liczne wozy. Jeśli mieli ze sobą dzieci... Wówczas najprawdopodobniej mamy do czynienia z całym szczepem, Perrinie Aybara. Niewykluczone, że nie tylko z jednym. Nawet pojedynczy szczep liczy co najmniej tysiąc włóczni, a jest ich więcej, gdy pojawia się potrzeba. W potrzebie każdy mężczyzna, może oprócz kowala, weźmie włócznię do ręki. Tamci znajdują się o całe dni na południe od nas. Być może z powodu śniegu znacznie dalej niż początkowo sądziłam. Przyjmuję jednak, że ci, którzy porwali twoją żonę idą na spotkanie tamtym.

– Jeden kowal wziął do ręki włócznię – mruknął Perrin. Tysiąc, może więcej. On sam miał ponad dwa tysiące ludzi, licząc Skrzydlatą Gwardię i ludzi Argandy. W walce przeciwko Aielom tamci jednak będą mieli przewagę. Przesunął palcem po kukielce wciąż spoczywającej w żyłastej dłoni Sulin. Czy jakieś dziecko Shaido płakało teraz po stracie zabawki?– Ruszamy na południe.

Odwracał się już, żeby dosiąść Steppera, kiedy Sulin schwyciła go za rękaw.

– Powiedziałam ci przecież, że widzieliśmy jeszcze inne rzeczy. Dwa razy Elyas Machera znalazł pod śniegiem końskie odchody i ślady po ognisku. Mnóstwo koni i mnóstwo ognisk.

– Tysiące – wtrącił Alharra. Perrin popatrzył na niego, napotkał pozbawione wyrazu spojrzenie ciemnych oczu; głos tamtego był równie rzeczowy. Po prostu zdawał sprawę z faktów. – pięć tysięcy, może dziesięć albo i więcej, trudno powiedzieć. Jednak bez wątplenia były to obozy żołnierskie. Sądzę ponadto, że to ci sami ludzie, którzy obozowali w obu miejscach. Machera i Barran zgadzają się ze mną. Kimkolwiek nie byli, zmierzają również, praktycznie rzecz biorąc, na południe. Może nic ich nie łączy z tymi Aielami, ale równie dobrze mogą iść za nimi.

Sulin obrzuciła Strażnika zniecierpliwionym spojrzeniem, a potem ciągnęła dalej, jakby tamten w ogóle jej nie przerwał.

– Trzy razy widzieliśmy latające istoty, takie jak te, które wykorzystują Seanchanie, potężne stwory z żebrowanymi skrzydłami i ludzi dosiadających ich grzbietów. I dwakroć widzieliśmy taki

trop.– Pochyliła się, podniosła strzałę z ziemi i narysowała zaokrąglony kształt, cokolwiek podobny do odcisku w śniegu wielkiej niedźwiedziej łapy, jednak z sześcioma poduszczkami, większymi od ludzkiego palca.– Czasami widać było jeszcze pazur – powiedziała, dorysowując je, dłuższe nawet niż te, jakimi mogą się poszczycić ogromne niedźwiedzie z Gór Mgły. – Miał naprawdę długi krok. Prawdopodobnie potrafi biegać bardzo szybko. Wiesz, co to jest?

Nie wiedział – nigdy nie słyszał o stworzeniu z sześcioma poduszczkami u stóp, wyjąwszy może tylko koty z Dwu Rzek; był naprawdę zaskoczony, gdy okazało się, że wszystkie pozostałe koty na świecie mają tylko po pięć – ale swobodnie mógł zgadywać.

– Kolejne zwierzę Seanchan. – A więc na południu byli nie tylko Shaido, lecz również Seanchanie oraz... kto jeszcze?... albo Białe Płaszcz, albo znowu seanchańska armia. Nikt inny nie mógł wchodzić w grę. Ufał informacjom Balwera. – Rozkazy pozostają te same. Na południe. – Panny popatrzyły na niego w taki sposób, jakby właśnie im powiedział, że śnieg pada.

Wlaził jakoś na siodło i zawrócił w kierunku kolumny. Strażnicy poszli za nim pieszo, prowadząc za uzdę zmęczone wierzchowce. Panny wzięły ze sobą wałacha Alliandre i potruchtały do miejsca, gdzie zatrzymały się Mądre. Masuri i Seonid ruszyły swym Strażnikom na spotkanie. Zastanawiał się, dlaczego od razu nie zdecydowały się pojechać za nim, wszak wściubiane nosa we wszystko należało do ich zwyczajów. Może chciały, by został ze swym bólem, gdyby wieści okazały się niepomyślne. Może. Próbował wszystko razem ułożyć w głowie. Shaido, ilu ich tam sobie jest. Seanchanie. Armia konna, Białe Płaszcz albo Seanchanie. Było to niczym układanki, które uczył go wykuwać pan Lunhan – skomplikowane, poskręcane kształtki z metalu, które rozsuwały się i zsuwały z powrotem niczym we śnie, jeśli tylko się wiedziało, na czym polega sztuczka. Tyle że teraz czuł w głowie kompletny zamęt, obracając myślach fragmenty, które nigdzie nie pasowały.

Kiedy do nich dotarł, ludzie z Dwu Rzek siedzieli już z powrotem na koniach. Ci, którzy wcześniej dobywali łuki i gotowali się do walki, teraz wyglądali na nieco zbitych z tropu. Popatrywali na niego niespokojnie, z wahaniem.

– Ona żyje – oznajmił i było to tak, jakby w tej samej chwili wszyscy wokół zaczęli znowu oddychać. Pozostałe wieści przyjęli z osobliwym spokojem, niektórzy nawet kiwali głowami, jakby niczego innego się nie spodziewali.

– Nie byłby to pierwszy raz, kiedy szansę są przeciwko nam – powiedział Dannil. – Co zrobimy, mój panie?

Perrin skrzywił się. Tamten wciąż zachowywał się sztywno niczym pień.

– Na początek Podróżujemy czterdzieści mil na południe. Potem zobaczymy. Neald, pojedziesz naprzód znaleźć Elyasa i pozostałych. Powiedz im, co zamierzam. W tej chwili pewnie znajdują się już znacznie dalej. I uważaj na siebie. Nie dasz rady stawić czoła kilkunastu Mądrym. – Cały szczerp z pewnością dysponuje przynajmniej tyloma kobietami potrafiącymi przenosić. A jeśli jest więcej niż jeden? Cóż, wtedy wylądaje w bagnie, które trzeba będzie jakoś pokonać.

Neald skinął głową i zawrócił swego wałacha z powrotem na teren obozu, gdzie wcześniej zdążył wbić sobie w pamięć skrawek terenu. Nie zostało już wiele rozkazów do wydania. Trzeba było wysłać konnych, aby znaleźli Mayenian i Ghealdan, którzy, skoro obozowali oddzielnie, z pewnością oddzielnie też będą jechać. Grady sądził, że zanim tamci dołączą, może zapamiętać teren znajdujący się dokładnie tutaj, a więc nie będzie potrzeby zawracać całej kolumny i podążać śladem Nealda. Została więc już tylko jedna rzecz do zrobienia.

– Muszę znaleźć Masemę, Dannil – powiedział Perrin. – W każdym razie ktoś musi mu przekazać wiadomość. Przy odrobinie szczęścia nie zajmie to dużo czasu.

– Jeśli sam jeden znajdziesz się wśród tego paskudztwa, moi panie, zaiste będzie ci potrzebne

szczęście – odparł Dannil. – Słyszałem, jak niektórzy z nich o tobie mówią. Nazywają cię Pomiotem Cienia, to przez twoje oczy. – Spojrzał raz w złote oczy Perrina, ale zaraz uciekł wzrokiem. – Powiadają, że zostałeś wprawdzie oswojony przez Smoka Odrodzonego, ale dalej jesteś Pomiotem Cienia. Powinieneś wziąć kilka dziesiątek ludzi i cały czas uważać na plecy.

Perrin zawahał się, poklepał Steppera po karku. Kilka dziesiątek ludzi nie wystarczy, jeżeli szaleńcy Masemy rzeczywiście dojdą do wniosku, że mają przed sobą Pomiot Cienia i postanowią wziąć sprawę we własne ręce. Wszystkich ludzi z Dwu Rzek mogłoby nie starczyć. Może faktycznie nie powinien informować Masemy, niech tamten sam się zorientuje.

Jego czuły słuch pochwycił tryl sikorki modrej, dobiegający spośród drzew rosnących na zachodzie, chwilę później odezwał się następny – tym razem wszyscy mogli go usłyszeć. Zwolniono go od konieczności podejmowania decyzji. Nie miał w tej sprawie żadnych wątpliwości, zastanawiał się tylko, czy w ten sposób daje znać o sobie jego natura *ta'veren*. Ściągnął wodze Steppera i czekał.

Ludzie z Dwu Rzek również doskonale wiedzieli, co znaczy głos tego szczególnego ptaka, zamieszkującego ich rodzinne okolice. Zbliżali się ludzie, więcej niż garstka i niekoniecznie wcale w pokojowych zamiarach. Gdyby był to tryl szydłodziobka, oznaczałby przyjaciół, a alarmowy wrzask przedrzeźniacza znamionowałby zdecydowanych wrogów. Tym razem jego ludzie zachowywali się lepiej. Wzdłuż całego zachodniego rzędu kolumny, jak daleko Perrin sięgał wzrokiem w padającym śniegu, co drugi człowiek zsiadł z konia, oddał wodze następnemu i dopiero wtedy wyciągnął łuk.

Obcy wyłonili się spoza rzadko rosnących drzew, a potem rozpostarli w tyralierę, jakby chcąc optycznie zwiększyć swą liczebność. Była ich może setka, dwóch jechało w szpicy, jednak powolny pochód naprawdę sprawiał złowieszcze wrażenie. Połowa uzbrojona w lance, ale nie zakotwiczone końcem w stosownym miejscu, lecz trzymane w dłoniach, w każdej chwili gotowe do wsadzenia pod pachę. I zbliżali się takim miarowym tempem. Niektórzy mieli fragmenty uzbrojenia, napierśnik bądź hełm, ale rzadko kiedy jedno i drugie. Dalej jednak wyglądali na znacznie lepiej uzbrojonych niż przeciętna wyznawców Masemy. Jednym z jadących w szpicy był Prorok we własnej osobie, jego nawiedzona twarz patrzyła spod kaptura płaszcza niczym pysk wściekłego górskiego kota, wyglądający z jaskini. Jak wiele tych lanc jeszcze wczoraj rano zdobiły czerwone proporce?

Gestem uniesionej dłoni Masema zatrzymał swych ludzi, ale dopiero gdy sam znalazł się kilka kroków od Perrina. Odrzucił z głowy kaptur, przebiegł wzrokiem po szeregu spieszonych łuczników. Wydawał się zupełnie nie dbać o śnieg sypiący na jego łysy czerep. Towarzyszący mu mężczyzna znacznie pokaźniejszej postury z mieczem przytroczonym do pleców i drugim, przy łęku siodła, nie odsłonił oblicza, ale Perrin z niewiadomego powodu był przekonany, że on również jest łysy. Jakimś sposobem udawało mu się z równą intensywnością obserwować kolumnę i nie spuszczać oka z Masemy. Ciemne oczy płonęły podobnym ogniem, jaki palił się w spojrzeniu jego Proroka. Perrin przez krótką chwilę rozważał, czy ich nie poinformować, że na ten dystans długi łuk z Dwu Rzek potrafi przebić napierśnik, jak zapewne i jego właściciela. Rozważał też wzmiankę o Seanchanach. Berelain jednak doradzała dyskrecję. Być może w tych okolicznościach był to najmądrzejszy sposób postępowania.

– Wyjechaliście mi na spotkanie? – znenacka zapytał Masema. Nawet jego głos aż wrzał pasją. Na wargach nie gościły żadne niezobowiązujące słowa. Wszystko co miał do powiedzenia, było równie doniosłe. Błada trójkątna blizna na policzku nieprzyjemnie, deformowała uśmiech, w którym zresztą próżno byłoby szukać bod drobinę ciepła. – Mniejsza o to. A więc przybyłem. Jak bez wątpienia musisz już wiedzieć, ci, którzy podążają za Lordem Smokiem Odrodzonym... niech Światłość opromienia jego imię!.. zaprotestowali, gdy chciałem ich zostawić. Nie mogę tego od nich wymagać. Są jego sługami w takim samym stopniu jak ja.

Przed oczyma Perrina roztoczył się widok fali pożaru przetaczającego się przez Amadicię, sięgającego na tereny Altary, a może jeszcze dalej, po którym zostają tylko śmierć i zniszczenie. Wciągnął głęboki oddech, poczuł w płucach palące zimno. Faile była ważniejsza niż wszystko inne. Wszystko inne! Jeżeli miał dla niej palić, będzie palić.

– Poprowadź swoich ludzi na wschód. – Sam był zdziwiony, jak pewnie brzmi jego głos. – Dogonię was, kiedy będę mógł. Moją żonę porwali Aielowie, dlatego ruszam na południe, żeby ją uwolnić. – Choć raz zobaczył na twarzy Masemy wyraz zdziwienia.

– Aielowie? A więc to nie są tylko plotki? – Zmarszczył brwi na widok jadących z boku kolumny Mądrych. – Południe, powiadasz? – Splótł urękawiczone dłonie na łęku siodła, odwrócił głowę i dla odmiany zaczął badawczo przyglądać się Perrinowi. Szaleństwo dominowało w jego woni, Perrin nie potrafił znaleźć w niej nic innego. – Pojadę z tobą – oznajmił w końcu Masema, jakby tyle czasu zabrał mu podjęcie decyzji. Dziwne, skoro wcześniej chciał bez najmniejszej zwłoki dotrzeć do Randa. Przynajmniej pod warunkiem, że nie będzie na nim nikt używał Mocy. – Wszyscy ci, którzy wierzą w Lorda Smoka Odrodzonego... niech Światłość opromienia jego imię!... pojedą z tobą. Zabijanie aielskich dzikusów to prawdziwe dzieło Światłości. – Jego spojrzenie umknęło na moment w stronę Mądrych, a uśmiech stał się zimniejszy niż kiedykolwiek dotąd.

– Z wdzięcznością przyjmuję twoją pomoc – skłamał Perrin. Ta zbieranina w walce z Aielami będzie całkowicie bezużyteczna to nie należało zapominać, że ich liczba szła w tysiące. I stawiali już czoło armiom, nawet jeśli nie były to armie Aielów. Fragment układanki w jego głowie wskoczył na swoje miejsce. Ponieważ nieomal padał ze zmęczenia, nie bardzo potrafił pojąć, jak to się stało wiedział tylko, że właśnie nastąpiło. A w każdym razie miało nastąpić. – Pamiętać jednak należy, że znacznie nas wyprzedzają. Mam zamiar Podróżować, wykorzystując Jedyną Moc, aby ich dogonić. Wiem, jakie jest twoje zdanie na ten temat.

Wśród mężczyzn w szeregu za Masemą podniosły się niepewne szmery, popatrywali po sobie, chwytając za broń. Perrinowi dało się usłyszeć stłumione przekleństwa, jak też słowa: „złotooki” i „Pomiot Cienia”. Osobisty strażnik Masemy spojrzał na Perrina niczym na bluźniercę, ale Masemą tylko patrzył, jakby chciał wywiercić dziurę w jego głowie i zobaczyć, co ma w środku.

– On bolałby nad tym, gdyby coś się stało twojej żonie – oznajmił w końcu szaleniec. Nacisk z jakim wypowiedział ten zaimiek, wskazywał na Randa równie jasno, jak uczyniłoby to imię, którego jednak Masemą zakazał wypowiadać. – W tym jednym wypadku, moglibyśmy z pewnością liczyć na... dyspensę. Ale tylko dlatego, żeby uwolnić twoją żonę, i ponieważ jesteś jego przyjacielem. Tylko dlatego. – Przemawiał spokojnie jak na niego, głęboko osadzone oczy płonęły jednak mrocznym ogniem, a twarz wykrzywił nie uświadomiany gniew.

Perrin otworzył już usta, ale zamknął je, nie wypowiedziawszy słowa. Mówiąc to, co właśnie powiedział, Masema równie dobrze mógłby zadeklarować, iż oto słońce wstało na zachodzie. Perrin nagle zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem Faile nie jest bezpieczniejsza u Shaido niż on tu i teraz.

# ULICE CAEMLYN

Przemierzający Caemlyn orszak Elayne wywoływał niejake poruszenie na ulicach, wznoszących się i opadających zgodnie z rzeźbą terenu wzgórz, na których pobudowano miasto. Już Złotej Lilii na piersi jej obszytego futrem purpurowego płaszcza z pewnością byłoby dość, by wzbudzić zainteresowanie mieszkańców stolicy, ona jednak odrzuciła kaptur, aby wyraźnie widać było pojedynczą złotą różę zdobiącą diadem Dziedziczki Tronu. A więc nie tylko Elayne Głowa Domu Trakand, ale Elayne Dziedziczka Tronu Andora. Niech wszyscy widzą, niech wiedzą.

Kopuły Nowego Miasta lśniły bielą i złotem w bladym świetle poranka, lodowe sople iskrzyły się wśród ogołoconych gałęzi drzew w perspektywie ulic krzyżujących się w centrum. Niebo było szczęśliwie bezchmurne, ale mimo iż słońce stało prawie w zenicie, jego promieniom brakowało ciepła. Choć dobrze, że nie wiało. Powietrze było tak zimne, że oddech prawie zamarzał, z brukowanych kamieniem ulic uprzągnięto jednak śnieg – nawet z najbardziej krętych, najwęższych zaułków – i miasto przebudziło się już, pełne ulice tętniły życiem. Furmani i woźnice pracowali równie ciężko jak ich zwierzęta w jarzmie, z rezygnacją otulając się płaszczami i cierpliwie prowadząc swe pojazdy przez ludzką ciżbę. Niedaleko przemknął beczkowóz, pusty, jeśli wnosić z turkotu, z pewnością gnał do miejsca, gdzie go napełnią, by po chwili wrócić na front walki z plagą podpaleń. Nieliczni domokrażcy i uliczni handlarze dzielnie stawiali czoło chładowi, zachwalając swe towary, większość przechodniów jednak spieszyła mimo, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w ciepłych domach. Oczywiście w tych warunkach spieszyć się, wcale nie znaczyło poruszać się szybko. Miasto było przepelnione, gęstość jego populacji przekroczyła już wskaźniki Tar Valon. W takim tłoku nawet ci nieliczni, którym dane było dosiadać koni nie potrafili zmusić ich do szybszego kroku niż tempo pieszego. Przez cały ranek zobaczyła tylko dwa czy trzy powozy pełnące po ulicach. Jeżeli ich pasażerowie nie byli inwalidami albo nie mieli przed sobą naprawdę drugiej drogi, należało określić ich mianem głupców.

Na widok jej i orszaku każdy przystawał przynajmniej na moment niektórzy pokazywali ją palcami albo podnosili dzieci, żeby mogły lepiej się przyjrzeć – kiedyś opowiedzą własnym dzieciom, iż ją widziały. Trudno jednak było stwierdzić, czy widziały właśnie przyszłą królową, czy tylko kobietę, która tylko na jakiś czas przejęła władzę nad miastem. Większość po prostu patrzyła, niemniej d czasu do czasu pojedyncze głosy wznosiły zawołanie: „Trakand! Trakand!”, a nawet: „Elayne i Andor!”, a wtórowały im rozproszone echa innych, właśnie mijanych. Oczywiście przyjemniej byłoby usłyszeć więcej wiwatów, z drugiej jednak strony cisza była lepsza od gwizdów. Andoranie byli bardzo elokwentnym ludem, Caemlynianie wiedli wśród nich prym. Od głośno wyrażanych na ulicach Caemlyn wyrazów niezadowolenia rozpoczął się już niejeden bunt, owocujący detronizacją.

Ta myśl dodatkowo przejęła Elayne chłodem. Zadrzała. Stare powiedzenie mówiło, że kto ma w rękę Caemlyn, panuje również nad Andorem; przykład Randa dowodził, że z pewnością nie było ono literalnie prawdziwe, niemniej Caemlyn było przecież sercem królestwa. Ogłosiła już powszechnie swe roszczenia wobec miasta – Sztandar Lwa i Srebrny Kamień Węgielny Domu Trakand powiewały z szczytowego miejsca ponad wieżami zewnętrznych murów – ale jak dotąd nie panowała jeszcze nad sercami ludu Caemlyn, a to było znacznie ważniejsze niż władza, jaką miała nad kamieniem i zaprawą.

„Pewnego dnia wszyscy będą wznosić wiwaty na moją cześć” – obiecała sobie w duchu.

„Zasłużę sobie na miłość poddanych”. Dziś jednak zatłoczone ulice wydawały się ziać samotnością tych nielicznych okrzyków. Żałowała, że nie ma przy sobie Aviendhy, choćby bodaj dla dotrzymania towarzystwa, ale w oczach tamtej zwykła przejażdżka po mieście nie stanowiła dostatecznego usprawiedliwienia dla konieczności wdrapania się na koński grzbiet. Tak czy siak, Elayne wciąż czuła jej obecność. Odczucie to różniło znacznie od więzi z Birgitte, zdawała sobie jednak sprawę z obecności siostry w mieście, poniekąd tak, jak można sobie zdawać sprawę z obecności w pomieszczeniu osoby, której się nie widzi, i wrażenie to dodawało jej ducha.

Jej towarzyszki zresztą też ściągały na siebie sporą część uwagi. Sareitha, która ledwie od trzech lat nosiła szal Aes Sedai, i której śniada, kwadratowa twarz nie nabrała charakterystycznego braku śladów wieku, wyglądająca w znakomitych brązowych wełnach oraz płaszczu spiętym oprawionym w srebro wielkim szafirem niczym dobrze prosperujący kupiec. Obok niej jechał jej Strażnik Ned Yarman, i on już z pewnością przyciągał niejedno spojrzenie. Wysoki młodzieniec o szerokich ramionach z błyszczącymi niebieskimi oczami i blond lokami spływającymi na ramiona, odziany był w połyskliwy płaszcz Strażnika, przez co niekiedy wyglądał jakby sama pozbawiona ciała głowa płynęła w powietrzu nad siwym wałachem, który również chwilami zniknął częściowo z pola widzenia przechodniów, gdy płaszcz skrywał jego zad. Nie można było mieć żadnych wątpliwości względem tego, kim on jest oraz że jego obecność zwiastowała obecność Aes Sedai. Pozostali członkowie jej świty, ścieśniający wokół niej krąg podczas przepychania się przez tłum, stanowili jednak z pewnością w takim samym stopniu osobliwy widok. Nie na co dzień miasto przemierzało osiem kobiet w czerwonych kaftanach i błyszczących hełmach oraz napierśnikach Królewskiej Gwardii. W rzeczy samej, czysto kobiecy oddział można było dziś widzieć po raz pierwszy. Sformowała go ze świeżego rekruta, wyłącznie dla tego celu.

Dowodząca nim podporucznik, Caseille Raskovni, szczupła i zahartowana, w czym przywodziła na myśl Panny Aielów, była cudem nad cudami, kobietą parającą się, wedle własnych słów, od prawie dwudziestu lat ochroną karawan. Srebrne dzwoneczki wplecione w grzywę jej przysadzistego deresza pozwalały upatrywać w niej Arafelliankę, chociaż sama nadzwyczaj mgliście wypowiadała się o swojej przeszłości. Jediną Andoranką wśród tych ośmiu była siwiejąca kobieta o otwartym obliczu i szerokich ramionach, Deni Colford, która zajmowała się utrzymywaniem porządku w tawernie woźniców Dolnego Caemlyn, części miasta położonej już poza osadniczymi murami – dość wymagające i co najmniej dziwne zajęcie, jak na kobietę. Deni nie miała jeszcze zielonego pojęcia jak posługiwać się mieczem, który nosiła przy boku, Birgitte mówiła jednak, że dysponuje szybką ręką i bystrym okiem oraz że znakomicie radzi sobie z długą na krok pałką, którą teraz przytroczyła przy drugim boku. Pozostałe wywodziły się spośród Myśliwych Polujących na Róg, stanowiąc nadzwyczaj zróżnicowaną gromadkę, wysokie i niskie, szczupłe i przysadziste, romantycznie naiwne i posiwiaste, wywodziły się ze środowisk najbardziej jak tylko możliwe odmiennych, chociaż jedne wypowiadały się na temat swej przeszłości równie zdawkowo co Caseille, inne zaś z pewnością mocno wyolbrzymiały swą uprzednią pozycję społeczną. Typowe dla Myśliwych. Wszystkie jednak skwapliwie skorzystały z okazji zaciągnięcia się do Gwardii. A co ważniejsze, przeszły przez sito surowej inspekcji Birgitte.

– Ulica nie jest dla ciebie miejscem bezpiecznym – zniecka oznajmiła Sareitha, prowadząc swą kasztankę obok karego wałacha Elayne. Płomienne Serce prawie zdołał uszczypnąć smukłą klacz, Elayne w ostatniej chwili zdążyła jednak ściągnąć wodze. Ulica w tym miejscu była wąska, tłum jeszcze gęstszy, Gwardzistki musiały więc dodatkowo zacieśnić krąg wokół niej. Na twarzy Brązowej siostry widać było typowe dla Aes Sedai opanowanie, ale w głosie pobrzmiwał wyraźny niepokój. – W takim tłoku wszystko może się wydarzyć. Nie zapominaj o tym, że Srebrny Łabędź

znajduje się w odległości dwu mil od tego miejsca, i nie zapominaj, kto w nim przebywa. Dziesięć siostr nie zbiera się w gospodzie tylko dlatego, że pragną cieszyć się własnym towarzystwem. Równie dobrze mogą być wysłanniczkami Elaidy.

– A równie dobrze mogą nie być – spokojnie odparła Elayne. Znacznie bardziej spokojnie, niżli rzeczywiście się czuła. Wiele siostr najwyraźniej wyczekiwało, aż spór Elaidy i Egwene dobiegnie końca. Od czasu jej powrotu do Caemlyn dwie opuściły Srebrnego Łabędzia, a trzy przybyły na miejsce. Nie zachowywały się jak oddział wysłany ze ściśle określoną misją. I żadna nie była z Czerwonych Ajah, a Elaida z pewnością nie pominęłaby Czerwonych. I nadto znajdowały się pod obserwacją tak ścisłą, jak to tylko było możliwe, chociaż o tym już nie informowała Sareithy. Elaida dokładała wielu starań, żeby dostać ją w swoje ręce, znacznie więcej, niżli dawałoby się wytłumaczyć poszukiwaniami zwykłej Przyjętej albo kobiety związanej z Egwene, która w oczach Elaidy była buntowniczką. Cóż, nie bardzo potrafiła to pojąć. Królowa będąca równocześnie Aes Sedai stanowić musiała w oczach Wieży łakomy kąsek, nie zostanie przecież królową, jeśli ją porwą do Tar Valon. Gdy zaś o tym mowa, Elaida wydała przecież rozkaz sprowadzenia jej za wszelką cenę z powrotem na długo przed tym, nim pojawiła się choćby najbardziej odległa możliwość, że na trwałe zasiądzie na tronie. Wszystko to składało się na zagadkę, z którą biedziła się już nieraz od chwili, gdy Ronde Macura napoiła ją tym paskudnym wywarem tłumiącym zdolność przenoszenia. Była to doprawdy nadzwyczaj męcząca zagadka, zwłaszcza w chwili, kiedy całemu światu oznajmiła dokładne miejsce swego pobytu.

Jej spojrzenie spoczęło przelotnie na czarnowłosej kobiecie w błękitnym płaszczu z odrzuconym kapturem. Tamta ledwie na nią zerknęła, nim weszła do wnętrza sklepu ze świecami. Z ramienia zwisał jej ciężki płócienny worek. Elayne po krótkiej chwili doszła do wniosku, że nie była to Aes Sedai. Po prostu kobieta, która ładnie się zestarzała, jak Zaida.

– W każdym razie – ciągnęła dalej zdecydowanie – nie pozwolę, by strach przed Elaidą mnie obezwładnił. – O co chodziło tym siostronom pod Srebrnym Łabędziem?

Sareitha parsknęła i to dosyć głośno, najwyraźniej zamierzała też przewrócić oczyma, ale po zastanowieniu powstrzymała się. Od czasu do czasu czuła na sobie dziwne spojrzenie tej czy tamtej siostry w pałacu, bez wątpienia zastanawiały się, jakim też sposobem została wyniesiona do szala, z pozoru przynajmniej akceptowały w niej Aes Sedai, uznając na dodatek, że żadna prócz Nynaeve nie dorównuje jej pozycją. Oczywiście wszystko to nie mogło ich powstrzymać przed wypowiedaniem na osobności swych myśli, czysto w sposób znacznie bardziej otwarty, niżby dopuszczała godność siostry, która jednak zdobyła szal w sposób bardziej konwencjonalny.

– Zapomnij o Elaidzie – powiedziała Sareitha – pamiętaj jednak o wszystkich pozostałych, chcących cię dopaść. Jeden celnie wymierzony kamień i zmieniasz się w bezwładne ciało, które łatwo porwać w powstałym zamieszaniu.

Czy Sareitha naprawdę zamierzała robić jej wykład na temat tego, że woda jest mokra? Mimo wszystko porwania tych, które zgłaszały roszczenia do tronu, stanowiły rzeczomalże zwyczajową. Jeżeli każdy z występujących przeciwko niej Domów nie miał swoich zwolenników w Caemlyn, tylko czekających na okazję, to ona zje swoje pantofle na obiad. Zresztą nie mieli większych szans, przynajmniej póki nie pozbawią jej zdolności przenoszenia, jednak z pewnością nie należy zbytnio kusić losu. Nigdy nie sądziła, że dotarcie do Caemlyn samo w sobie zapewni jej bezpieczeństwo.

– Jeżeli strach będzie mnie powstrzymywał przed opuszczeniem pałacu, Sareitha, nigdy nie zdołam zdobyć poparcia ludu – oznajmiła cicho. – Muszą zobaczyć na własne oczy, jak bez śladu lęku swobodnie przemierzam miasto. – Dlatego właśnie zdecydowała się na osiem Gwardzistek, zamiast pięćdziesięciu, przy których upierała się Birgitte. Tamta za żadną cenę nie chciała brać pod

uwagę względów politycznych. – Poza tym, skoro mam ciebie, potrzebne byłyby dwa celne kamienie.

Sareitha parsknęła znowu, Elayne z całej siły nakazała sobie zignorować upór tamtej. Żałowała, że w podobny sposób nie umie przejść do porządku nad jej obecnością, ale to było najwyraźniej niemożliwe. Cele tej przejażdżki sprowadzały się nie tylko do ukazania oczom ludu. Halwin Norry, Pierwszy Urzędnik, dostarczał jej całe stronice faktów i cyfr, przy okazji usypiając prawie swym monotonnym głosem, ona jednak chciała zobaczyć wszystko na własne oczy. W ustach Norry’ego zamieszki mogły się wydawać równie pozbawione życia, co raport o stanie miejskich zbiorników na wodę albo o wydatkach ponoszonych na czyszczenie ścieków.

Wśród tłumów znajdowało się wielu przyjezdnych: Kandori z rozczesanymi widlaście brodami, Illianie golący tylko górne wargi, Arafellianie ze srebrnymi dzwoneczkami w warkoczykach, miedzianoskórzy Domani, Altaranie o oliwkowej cerze, smagli Tairnianie, Cairhienianie wyróżniający się niskim wzrostem i bladymi obliczami. W niektórych łatwo można było domniemywać kupców przyłapanych w mieście nagłym nadejściem zimy albo pragnących zdobyć przewagę nad konkurencją – mieli gładkie pызate twarz ludzi, którzy wiedzieli, że handel jest krwiobiegiem narodów, a siebie uważali za główne jego arterie, mimo iż prawdziwy stan zdradzał kiepsko ufarbowany kaftan albo brosza z brązu i szkła. Wielu pieszych miało na sobie znoszone i obdarte kaftany, wypchane na kolanach spodnie, suknie z poszarpaną lamówką, wreszcie wyświechtane płaszcze, o ile w ogóle. To byli uchodźcy wygnani z domów przez wojnę albo popchnięci do wędrowki wiarą, że Smok Odrodzony zniszczył wszelkie krępujące ich więzi. Trwali teraz skuleni na mrozie, z twarzami wymizerowanymi i pokonanymi, nie reagując, gdy potrącali ich przechodzący mimo.

Na widok kobiety o martwym spojrzeniu, która chwiejnie szła przez cizbę z małym dzieckiem na rękę, Elayne wysuwała monetę z sakiewki i podała Gwardzistce o rumianych policzkach i zimnych oczach. Tizgan twierdziła, że pochodzi z Ghealdan i jest córką pomniejszego szlachcica; no cóż, z Ghealdan rzeczywiście mogła pochodzić. Kiedy Gwardzistka pochyliła się, aby wręczyć jałmużnę, kobieta nie zwróciła na nią uwagi, szła dalej, kołysząc się, na nic niepomna. W mieście zbyt wielu było ludzi w takim stanie. Pałac karmił tysiące każdego dnia w kuchniach rozstawionych na różnych ulicach, nazbyt licznym brakowało jednak energii choćby na to, by pójść i odebrać chleb oraz zupę. Wsuwając z powrotem monetę do sakiewki, Elayne pomodliła się tylko za matkę i dziecko.

– Nie nakarmisz wszystkich – cicho zauważyła Sareitha.

– W Andorze dzieciom nie pozwala się głodować – odpowiedziała Elayne, jakby słowami dekretu. Jednak nie miała pojęcia, co zrobić z problemem. Choć żywności było w mieście dość, żaden rozkaz nie zmusi ludzi do jedzenia.

Niektórzy z pozostałych przyjezdnych też tacy byli po przybyciu do miasta, ale teraz nie zdradzały ich już ani łachmany, ani umęczone oblicza. Cokolwiek zmusiło ich do porzucenia domów, w końcu jednak dochodzili do wniosku, że wędrowali już dość długo, zaczęli zastanawiać się nad zajęciami, z których zrezygnowali często wraz z całym posiadanym wcześniej dobytkiem. W Caemlyn każdy dysponujący jakimiś zdolnościami czy opanowaniem rzemiosła oraz odrobiną ochoty zawsze mógł znaleźć chętnego bankiera z pieniędzmi. Ostatnimi czasy w mieście zaczynały rozkwitać nowe kunszty. Tylko tego ranka widziała trzy warsztaty zegarmistrzowskie! Gdyby się rozejrzała, zobaczyłaby dwa sklepy sprzedające dmuchane szkło, a wiedziała skądinąd, że na północ od miasta powstało ponad dziesięć manufaktur. Od tej pory więc Caemlyn miało być eksporterem nie zaś, jak dotąd, importerem szkła, podobnie rzecz miała się z kryształem. Miasto miało obecnie koronkarki, tworzące produkty równie znakomite jak przedtem Lugard i nic dziwnego, skoro większość przybyła właśnie stamtąd.



Te myśli wpłynęły nieco na poprawę jej nastroju – podatki płacone przez tych nowych rzemieślników również się przydadzą, choć minie trochę czasu, nim przyniosą poważniejszy dochód – wśród tłumu jednak wciąż kłuli jej oczy inni jeszcze przybysze. Niezależnie czy byli obcy, czy z Andoru, najemników bez trudu można było odróżnić od pozostałych – twarde oblicza, miecze przy pasach, aroganckie zachowanie, nawet w sytuacji, gdy tłum zmuszał ich do równie powolnego marszu co wszystkich. Członkowie kupieckiej ochrony również nosili broń i zdradzali się bezceremonialnym zachowaniem, odpychając na bok wszystkich, którzy weszli im w drogę, wydawali się jednak opanowani i dziwnie trzeźwi w porównaniu z tymi, co żyli ze sprzedawania usług swego miecza. I ogólnie rzecz biorąc, ich twarze były mniej pobliźnione. Najemnicy wyróżniali się w tłumie niczym rodziny w cieście. Mając ich tak wielu pod ręką, nadto pamiętając, że zima zawsze oznacza dla nich trudne czasy, nie sądziła, by musiała drogo zapłacić. Chyba że, jak obawiała się Dyelin, ceną będzie Andor. W jakiś sposób należało umieścić dość własnych ludzi w Gwardii, by obcy nie mieli w niej liczebnej przewagi. Oraz znaleźć pieniądze.

Nagle uświadomiła sobie obecność Birgitte. Była zła – ostatnimi czasy często się to zdarzało – i szukała jej. Była wręcz wściekła, więc popędzała konia. Złowieszcze połączenie, od którego w głowie Elayne rozdzwoniły się gongi alarmowe.

Natychmiast zarządziła jak najszybszy powrót do pałacu – ta samą drogą, którą wybrała Birgitte; więź zobowiązań Strażnika wiodła ją prosto ku niej – cały orszak skręcił w najbliższą wiodącą na południe ulicę: Zaułek Iglarzy. Ulica była w istocie nawet dość szeroka, wiła się niczym strumień w górę i w dół wzgórz, iglarze mieli tu swoją siedzibę całe pokolenia temu. Teraz kilka niewielkich gospod i tawern znalazło miejsce wśród wytwórców noży krawców i wszelkiego rodzaju innych rzemieślników, prócz właśnie iglarzy.

Birgitte znalazła ich, nim zdążyli wrócić do Wewnętrznego Miasta, na Alei Ogrodników, gdzie garstka sprzedawców owoców wciąż próbowała prowadzić handel w sklepach założonych jeszcze w czasach Ishary, choć o tej porze roku doprawdy niewiele można było dostrzec na wystawach, a to co było, było przeraźliwie drogie. Mimo wszechobecnej ciżby ludzkiej Birgitte poruszała się kłusem, czerwony płaszcz powiewał za jej plecami, ludzie umykali przed nią na lewo i prawo; długonogi siwek zwolnił tempa dopiero na ich widok.

Jakby chcąc zatrzeć wrażenie pośpiechu, Birgitte najpierw wpatrywała się przez moment w Gwardzistki, potem spokojnie oddała honory Caseille, i dopiero wtedy zajęła miejsce przy boku Elayne. W przeciwieństwie do pozostałych kobiet nie nosiła ani miecza, ani zbroi. Wspomnienia z jej poprzednich żywotów powoli się zacierały – twierdziła, że z pełną jasnością nie potrafi sobie już nic przypomnieć sprzed ufundowania Tar Valon, aczkolwiek pojedyncze obrazy niekiedy stawały jej przed oczyma – jednej rzeczy wszelako pewna była całkowicie. Za każdym razem, gdy brała do ręki miecz, kończyło się na tym, żeomalże nie traciła życia. Zabrała oczywiście łuk, przytroczony teraz w skórzanym futerale przy siodle, po przeciwnej stronie niż najeżony strzałami kołczan. Dusiła się wręcz od gniewu, w miarę zaś jak mówiła, mars na jej czole pogłębiał się.

– Niedawno na poły żywy od mrozu ptak dotarł do gołębnika pałacu, przynosząc słowo od Aringill. Żołnierze eskortujący Naeana i Elenię wpadli w zasadzkę i zostali zabici nawet nie pięć mil od miasta. Na szczęście jeden z koni powrócił z krwią na siodle, w przeciwnym razie przez całe tygodnie mogłybyśmy nie wiedzieć, co się stało. Wątpię jednak, byśmy miały dość szczęścia i żeby się okazało, iż tamte dwie zostały pojmane dla okupu.

Płomienne Serce zatańczył pod nią nerwowo, Elayne natychmiast przywołała go do porządku ostrym ściągnięciem wodzy. Ktoś w tłumie wznosił okrzyk, który mógł być wiwatem na cześć Domu Trakand. Albo wręcz przeciwnie. Sklepikarze próbujący przyciągnąć klientów robili tyle wrzawy, że

niewiele dawało się usłyszeć.

– A więc mamy szpiega w pałacu – powiedziała bez namysłu i dopiero po chwili zacisnęła usta, żałując, że odezwała się przy Aes Sedai.

Birgitte jednak najwyraźniej nic to nie obchodziło.

– Chyba że gdzieś tu biega *ta'veren*, o którym nie mamy zielonego pojęcia – odparła sucho. – Może teraz pozwolisz sobie przydzielić ochronę. Tylko kilku Gwardzistów, starannie dobranych i...

– Nie! – Pałac był jej domem. Przecież nie mogła dopuścić, by w domu potrzebowała osobistej ochrony. Zerknęła na Brązową siostrę i westchnęła. Sareitha słuchała nadzwyczaj uważnie. Teraz nie było już sensu ukrywać przed nią stanu spraw. Przynajmniej w tym względzie. – Powiedziałaś Pierwszej Pokojówce?

Birgitte obrzuciła ją spojrzeniem z ukosa, które w zestawieniu ze średnio intensywnym wybuchem wściekłości, jaki przeniosła więź, sprowadzało się do stwierdzenia: „Ucz swą babcie robić na drutach”.

– Zamierza poddać przesłuchaniu wszystkich służących, którzy krócej niż pięć lat przebywają w pałacu. Nie jestem pewna, czy nie zamierza urządzić prawdziwego śledztwa. Po tym, jak jej powiedziałam, popatrzyła na mnie tak strasznie, że cieszyłam się, iż uszłam cało z jej gabinetu. Sama również się trochę porozglądam. – Chodziło jej o Gwardię, nie miała jednak zamiaru mówić tego głośno w obecności Caseille i pozostałych. Elayne wszakże wydawało się to raczej nieprawdopodobne. Proces rekrutacji dawał każdemu mnóstwo sposobności przemycenia rozmaitych agentów, niemniej trudno było mieć choćby cień pewności, iż trafią oni w miejsca, gdzie będą mogli dowiedzieć się czegokolwiek użytecznego.

– Jeżeli w pałacu są szpiegowie – cicho powiedziała Sareith – mogą być i zamachowcy. Być może powinnaś jednak skorzy stać z rady lady Birgitte. Oto masz precedens. – Birgitte wyszczerzyła się do Brązowej siostry, jeśli miał to być uśmiech, to okazał się żalostną próbą. Jednak niezależnie jak bardzo nie lubiła, gdy zwracano się do niej szlacheckim tytułem, teraz zwróciła na Elayne pełne nadziei oczy.

– Powiedziałaś „nie” i znaczy to „nie”! – warknęła Elayne. Żebrak, który właśnie z szerokim uśmiechem szczerbatych zębów i czapką w dłoni zmierzał w kierunku powoli jadącego oddziału, skulił się i zniknął w tłumie, zanim nawet zdążyła sięgnąć po sakiewkę. Nie potrafiła oddzielić swojego gniewu od złości Birgitte, zachowanie tamtego jednak było pewnie jak najbardziej stosowne.

– Powinnam sama po nie pojechać – warknęła gorzko. Zamiast tego jednak splotła bramę dla posłańca, a resztę dnia spędziła na spotkaniach z kupcami i bankierami. – A przynajmniej powinnam jako eskortę dać im całą załogę garnizonu w Aringill. Dziesięciu ludzi zginęło, ponieważ poczułam się zbyt pewnie! Gorzej... niech mi Światłość wybaczy, ale to naprawdę jest gorzej!... straciłam przez to Elenię i Naeana!

Wystający spod płaszcza gruby i złoty warkocz Birgitte zakołysał się, gdy ta żywo pokręciła głową.

– Po pierwsze, królowe nie muszą się wszystkim osobiście zajmować. Są przecież przeklętymi królowymi! – Jej gniew słabi wprawdzie, ale powoli, dodatkowo zaś barwiła go irytacja, głos odbijał mieszaninę tych dwu uczuć. Naprawdę chciała nasadzić na Elayne straż przyboczną, która pewnie towarzyszyłaby jej nawet w łazience. – Dni twoich przygód dobiegły końca. Nie sądzisz chyba, że dalej będziesz wymykać się z pałacu w przebraniu i włóczyć się po zmierzchu, skoro dowolny łotr może ci rozbić głowę zanim pojdziesz, co się stało.

Elayne aż się wyprostowała. Birgitte oczywiście wiedziała – ona sama nie знаła żadnego

sposobu uniknięcia wiedzy płynącej więzią, choć była przekonana, że jakiś musi istnieć – ale naprawdę nie miała prawa podnosić teraz tej kwestii. Jeżeli zdradzi dość dużo, siostry domyślą się reszty i będą chciały śledzić ją w towarzystwie swoich Strażników, a i z pewnością również oddziałów Gwardii. Wszyscy mieli chyba bzika na tle jej bezpieczeństwa. Można by pomyśleć, że nigdy nie była w Ebou Dar ani w Tanchico czy Falme. Poza tym zrobiła tak tylko raz. I Aviendha była z nią.

– Zimne mroczne ulice nie wytrzymują porównania z ciepłym kominkiem i interesującą lekturą – głupawo skomentowała rzecz Sareitha, jakby mówiąc do siebie. Z pozorów całą uwagę poświęcała wystawom mijanych sklepów. – Osobiście nienawidzę wręcz wędrowek po zlodowaciałym bruku, zwłaszcza w ciemnościach i nie mając przy sobie nic prócz świeczki. Młodym, ślicznym dziewczynom często się wydaje, że proste odzienie i usmarowana twarz zapewniają niewidzialność. – Przejście było tak nagłe, a na dodatek nie towarzyszyła mu żadna zmiana tonu głosu, że z początku Elayne nie pojęła, do czego tamta zmierza. – Oberwać po głowie i dać się zawlec do zaułka przez bandę pijanych drabów nie jest najlepszym sposobem na odbieranie lekcji życia. Oczywiście, jeśli ma się tyle szczęścia, że obok jest przyjaciółka, która potrafi przetranszować, jeśli ma się tyle szczęścia, że łotr nie uderzył tak mocno, jak zamierzał... Cóż, nie zawsze można liczyć na szczęście. Nieprawdaż, lady Birgitte?

Elayne na moment przymknęła oczy. Aviendha mówiła, że ktoś za nimi podążał, była jednak pewna, że to był tylko zwykły rabuś. W każdym razie wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Do pewnego stopnia inaczej. Spojrzenie Birgitte zapowiadało poważną rozmowę. Później. Tamta najwyraźniej nie chciała przyjąć do wiadomości, że Strażnik nie ma prawa sztorcować swojej Aes Sedai.

– Po drugie zaś – ponuro kontynuowała Birgitte – dziesięciu ludzi czy trzy setki, przeklęty efekt byłby taki sam. Niech szeszę, plan był dobry. Pod eskortą tylko paru żołnierzy, Naeana i Elenia powinny bez problemu dotrzeć do Caemlyn. Opróżnienie garnizonu ściągnęłoby na nie oko każdego cholernego szpiega we wschodnim Andorze, a ten, co je pojmał, przyprowadziłby z pewnością dość zbrojnych, żeby zapewnić powodzenie swej operacji. Najprawdopodobniej obecnie mają w rękę również Aringill. Mimo iż to mały garnizon, Aringill musi sprawiać kłopoty każdemu u chciałby wystąpić przeciwko tobie na wschodzie, a im więcej Gwardzistów zostanie wycofanych z Cairhien, tym mniejsze szansę, ponieważ prawie oni wszyscy są wobec ciebie lojalni. – Na kogoś, kto mienił się zwykłą łuczniczką, miała naprawdę dobry przegląd ogólnej sytuacji. Jedyna rzecz, o której zapomniała, to były straty z ceł na rzeczonym handlu.

– Kto więc je porwał, lady Birgitte? – zapytała Sareitha, pochylając się, by spojrzeć na tamtą mimo Elayne. – Z pewnością jest to istotna kwestia. – Birgitte westchnęła cicho, brzmiało to prawie jak jęk.

– Obawiam się, że już wkrótce poznamy odpowiedź na to pytanie – powiedziała Elayne. Brązowa siostra spojrzała na nią z powątpiewaniem, ona zaś ledwie powstrzymała się, by nie zgrzytać zębami. Od powrotu do domu tym chyba głównie się zajmowała.

Kobieta z Tarabon w jedwabnym zielonym płaszczu ustąpiła drogi konnemu orszakowi, a potem ukloniła się głęboko – cienkie warkoczyki z wplecionymi w nie paciorkami wysunęły się spod kaptura. Jej pokojówka, mała kobieta z naręczem pakunków, niezgrabnie poszła w ślady swej pani. Stojący jednak tuż za nimi dwaj potężnie zbudowani mężczyźni – najwyraźniej ochrona, bowiem uzbrojeni byli w pałki okute mosiężnymi pierścieniami – pozostali wyprostowani i czujni. Ich długie i mocne skórzane kaftany wyglądały na takie, które potrafią ochronić nawet przed sztychem noża.

Przejeżdżając obok Tarabonianski, Elayne odpowiedziała uprzejmym skinieniem głowy. Jak dotąd nie doczekała się takiej grzeczności od żadnego z Andoran na ulicach. Na przystojnej twarzy skrytej za cienką woalką za bardzo było widać przeżyte lata, by mogła należeć do Aes Sedai. Światłości, zbyt wiele miała teraz kłopotów, by martwić się jeszcze Elaidą!

– To bardzo proste, Sareitha – powiedziała doskonale opanowanym głosem. – Jeżeli pojmał je Jarid Sarand, Elenia postawi Naeana przed koniecznością wyboru. Albo tamta ogłosi poparcie Arawn dla Elenii, w zamian za co dostanie na osłodę kilka miłych posiadłości albo poderżną jej gardło w jakiejś cichej celi, a ciało pogrzebią pod stodołą. Naean z pewnością nie ulegnie łatwo, w jej Domu jednak cały czas trwają niesnaski względem tego, kto jest najważniejszy, a więc ostatecznie wszystkich pewnie ogarnie szal. Elenia zagrozi jej torturami, być może nawet ucieknie się do nich, w końcu jednak Arawn opowie się za Sarand i Elenią. Wkrótce dołączą do nich Anshar i Baryn. Pójdą tam, gdzie zobaczą siłę. Jeżeli natomiast wpadły w ręce ludzi Naeana, ta złoży Elenii identyczną propozycję nie do odrzucenia, w tym jednak wypadku Jarid nie da spokoju Arawn, dopóki nie otrzyma od niego wyraźnego polecenia, ona zaś będzie trwała przy swoim, póki istnieje nadzieja, iż zostanie przezeń uwolniona. A więc musimy mieć nadzieję, że w ciągu najbliższych kilku tygodni dowiemy się o płonących majątkach Domu Arawn.

„Jeżeli to nie nastąpi – pomyślała – będę miała przeciwko sobie cztery zjednoczone Domy, a wciąż nie mam pojęcia, czy bodaj dwa z pozostałych opowiedzą się za mną!”

– Bardzo... bardzo to zgrabnie wydedukowałaś – powiedziała Sareitha, a w jej głosie brzmiało niejake zaskoczenie.

– Pewna jestem, że w swoim czasie również byś do tego doszła – zrewanżowała się Elayne, nieco nazbyt słodkim głosem, czując drobne ukłucie przyjemności, gdy zobaczyła, jak tamta zamrugła. Światłości, matka oczekiwałaby tego od niej od dziesiątych urodzin!

Pozostała część podróży do pałacu przebiegła w milczeniu, ona sama zaś ledwie zwróciła uwagę na lśniące mozaiką wieże i szerokie prospekty Wewnętrznego Miasta. Zamiast tego myślała wciąż o Aes Sedai w Caemlyn i szpiegach w Królewskim Pałacu, o tym, kto dostał w swe ręce Elenię i Naeana i jak Birgitte może przyspieszyć pobór rekruta, wreszcie, czy nadszedł już czas, by sprzedać zastawę pałacową i resztę prywatnych klejnotów. Wszystko to składało się na szereg naprawdę ponurych rozmyślań, twarz jej jednak pozostawała pogodna i spokojnie przyjmowała sporadyczne wiwaty. Królowa nie powinna okazywać na zewnątrz swych obaw, zwłaszcza kiedy są najbardziej dręczące.

Pałac Królewski stanowił prawdziwy śnieżnobiały klejnot detale zdobionych balkonów i krużganków, przycupnięty na najwyższym wzgórzu Wewnętrznego Miasta, najwyższym zresztą w całym Caemlyn. Jego smukłe iglice i pozłacane kopuły odcinały się na tle południowego nieba, widoczne z odległości wielu mil, głoszące, chwałę Andoru. Fronton otwierał się wielkimi bramami i podjazdami na Plac Królowej, gdzie w przeszłości gromadziły się nieprzeliczalne tłumy, by słuchać proklamacji królowych i głosić glorię władczyń Andoru. Elayne jednak wjechała do pałacu tylnym wejściem, kopyta Płomiennego Serca zadzwoniły na kamieniach bruku po drodze na główny podwórzec stajenny – szeroką pustą przestrzeń okoloną z obu stron rzędami wysokich, łukami sklepionych wrót, nad którą górował pojedynczy długi balkon z białego kamienia, prosty i solidny. Wprawdzie z kilku wysokich krużganków można było cieszyć oko fragmentarycznym widokiem z wysoka, zasadniczo jednak było to miejsce do pracy. Przed frontem prostej kolumnady, którą można się było dostać do samego pałacu trwały właśnie przygotowania do zmiany warty – oddział Gwardzistów stał wyprężony obok swych koni, poddawany inspekcji przez ich podporucznika, kulejącego, posiwiąłego mężczyznę, który był chorązym u Garetha Bryne. Wzdłuż zewnętrznych

murów, kolejnych trzydziestu Gwardzistów dosiadało koni, aby parami udać się na patrol Wewnętrznego Miasta. W normalnych okolicznościach bezpieczeństwem w mieście zajmowali się specjalnie do tego celu wyznaczeni żołnierze Gwardii, teraz jednak, gdy ich liczba uległa tak znaczącej redukcji, ci sami pełnili służbę w pałacu i na ulicach. Careane Fransi również była na miejscu, przysadzista kobieta w eleganckiej sukni do konnej jazdy w zielone paski i niebiesko-zielonym płaszczu, siedziała bez ruchu na swym siwym wałachu, podczas gdy jej Strażnik, Venr Kosaan, właśnie wspinał się na grzbiet swego wierzchowca. Ciemnowłosa, smukła niczym klinga miecza mężczyzna ze śladami siwizny w gęstych lokach czupryny i brody, miał na sobie prosty brązowy płaszcz. Najwyraźniej żadne z nich nie miało zamiaru oznajmiać wszem wobec, kim są.

Przyjazd Elayne wywołał pewne zaskoczenie na podwórzu stajni. Oczywiście reakcja ta nie objęła ani Careane, ani Kosaana. Zielona siostra tylko popatrzyła na nią z namysłem spod głęboko nasuniętego kaptura, a Kosaan nie zdobył się nawet na tyle. Po prostu skinął głową Birgitte i Yarmanowi, jak to Strażnik ze Strażnikiem. I bez jednego spojrzenia tamci wyruszyli, kiedy tylko ostatni członek eskorty Elayne pokonał przestrzeń wzmocnionej żelazem bramy. Ale kilku spośród Gwardzistów, co właśnie dosiadali koni, zamarło z jedną nogą w strzemieniu, w oddziale zaś, którego przegląd właśnie się odbywał, paru odwróciło głowy ku nowo przybyłym. Nie oczekiwano jej z powrotem wcześniej niż za godzinę, a wyjąwszy tych nielicznych, którzy nigdy nie wybiegali myślą w przód poza bieżące zajęcia, wszyscy pozostali w pałacu wiedzieli, że sytuacja jest napięta. Wśród żołnierzy plotki rozchodziły się jeszcze szybciej niż zwykle u mężczyzn, a Światłość jedna wiedziała, że to już naprawdę coś, mając na względzie to, jak mężczyźni plotkowali. Ci tutaj musieli przecież zdawać sobie sprawę, że Birgitte odjechała w pośpiechu, a teraz wróciła razem z Elayne i to na dodatek dużo przed czasem. Czy jeden z wrogich Domów maszerował na Caemlyn? Zdolny zdobyć miasto? Czy otrzymają rozkaz obrony murów, których nie byli w stanie w pełni obsadzić, nawet z pomocą oddziałów, którymi Dyelin dysponowała w mieście? Parę chwil zaskoczenia i niepokoju, a potem pomarszczony podporucznik wyszczeakał komendę i oczy popatrzyły prosto przed siebie, dłonie zaś przyłgnęły do piersi w oddawanych honorach. Oprócz dawnego chorążego nieliczni tylko dalej niż parę dni temu pobierali żołd, tu już nie było jednak surowego rekruta.

Stajenni w czerwonych kaftanach z Białym Lwem wyhaftowanym na ramieniu wybiegli pędem z budynków, chociaż po prawdzie to niewiele czekało ich roboty. Na rozkaz Birgitte Gwardzistki w milczeniu zsiadły z wierzchowców, a potem poprowadziły je przez wysokie drzwi do stajni. Sama Birgitte zeskoczyła z konia i rzuciła wodze jednemu ze stajennych, nie udało jej się jednak wyprzedzić Yarmana, który już spieszył, by przytrzymać strzemień Sareithy. Yarman był czymś, co siostry określały mianem „świeżego połowu”, więc zobowiązań przyjął na siebie niecały rok temu – sam termin wywodził się z czasów, gdy nie zawsze pytano Strażników o zgodę – i bardzo przykładał się do swych obowiązków. Birgitte natomiast zamarła z nachmurzoną twarzą, pięściami na biodrach, najwyraźniej obserwując, jak żołnierze, którzy będą przez kilka następnych godzin patrolować Wewnętrzne Miasto, opuszczają dziedziniec dwójkową kolumną. Elayne jednak byłaby naprawdę zaskoczona, gdyby ci ludzie dłużej niż na mgnienie zagościli w umyśle Birgitte.

W każdym razie ona sama miała własne zmartwienia. Starając się nie czynić tego nazbyt otwarcie, obserwowała żylastą kobietę która trzymała Płomienne Serce za ude, oraz krępego mężczyznę który równocześnie przystawił kryty skórą podnózek i przytrzymał jej strzemień. Mężczyzna nie uśmiechał się, flegmatycznie i niespiesznie wypełniał swe obowiązki, kobietę z pozoru całkowicie pochłaniało gładzenie wałacha po nosie i szeptanie mu do ucha. Po obowiązkowym i pełnym szacunku ukłonie żadne z nich ani razu nie spojrzęło na Elayne; wszelakie wyrazy oddania z pewnością nie miały pierwszeństwa przed dbałością o to, by nie została zrzuciona z

siodła przez rozdrażnionego bliską obecnością innych ludzi konia. Nie miało znaczenia, że ich pomoc wcale nie jest jej potrzebna. Życie na swobodzie dobiegło końca, a to, które obecnie wiodła, zamykało się w formach, których należało przestrzegać. Mimo to musiała dokładać wiele wysiłku, by się nie skrzywić. Zostawiła w ich rękach odprowadzenie Płomiennego Serca do stajni i odchodząc, ani razu nie obejrzała się za siebie. Chociaż miała ochotę.

Skryty za kolumnadą pozbawiony okien wejściowy holl sprawiał mroczne wrażenie, mimo iż zapalono już w nim kilka stojących lamp, a zwierciadlane pół klosze ciskały wokół refleksy światła. LAMPY zresztą były nadzwyczaj proste – ot, zwykłe żelazo, wykute tylko w obłe kształty. Wszystko sprawiało wrażenie utylitarne, tynkowane gzymsy pozbawione ozdób, ściany z białego kamienia nagie i gładkie. Wieść o jej powrocie zdążyła się rozejść – zanim na dobre znalazła się w środku, już pojawiła się grupka mężczyzn i kobiet, aby odebrać od przyjezdnych płaszcze i rękawiczki. Ich liberia różniła się nieco od noszonej przez stajennych – uzupełniały ją białe kołnierze i mankiety oraz Lew Andoru wyhaftowany na lewej piersi, nie zaś na ramieniu. Elayne nie rozpoznała nikogo ze służby. Większość służących w pałacu była nowa, z pozostałych część musiała wrócić z emerytury, żeby zająć miejsce tych, którzy przerażeni uciekli, gdy Rand zdobył miasto. Łysy mężczyzna o pogodnym obliczu nie potrafił spojrzeć jej w oczy, ale być może obawiał się, że byłoby to zbytnią bezczelnością. Szczupła młoda kobieta z zezem, jakby zbyt dużo entuzjazmu wkładała w swój ukłon oraz uśmiech, być może jednak chciała tylko podkreślić swoje przywiązanie. Poprzedzając Birgitte, Elayne przeszła obok nich, dopiero po chwili oglądając się, by zmierzyć tamtych spojrzeniem. Podejrzliwość miała gorzki smak.

Sareitha i jej Strażnik rozstali się z nimi po przejściu kilkunastu kroków, Brązowa siostra wymamrotała jakąś wymówkę na temat książek, którym chciała się przyjrzeć w bibliotece. Ta dysponowała zbiorem wcale nie małym, błędnym jednak w porównaniu prawdziwymi wielkimi bibliotekami – niemniej Aes Sedai spędzała każdego dnia całe godziny na wertowaniu zniszczonych tomów, jej zdaniem nieznanego świata. Skreśliła w boczny korytarz, a Yarman poszedł za nią – wyglądali niczym ciemny przysadzisty łabędź, za którym podąża osobliwie wdzięczny bocian. Wciąż miał ten swój niepokojący płaszcz, teraz jednak przerzucony przez ramię. Strażnicy rzadko się z nimi rozstawali na dłużej. Kosaan z pewnością schował swój w jukach.

– Chciałabyś mieć płaszcz Strażnika, Birgitte? – zapytała Elayne, nie ustając w marszu. Nie po raz pierwszy pozazdrościła tamtej obszernych spodni. Suknie, które miała na sobie, choć rozcięte, zmieniały w spory wysiłek każdy sposób poruszania, prócz tylko dostojnego kroku. Dobrze chociaż, że zamiast pantofli miała buty do konnej jazdy. W pantoflach zimno ciągnące od nagich, czerwono-białych płyt posadzki byłoby nie do zniesienia. Dywanów starczało tylko, by wyłożyć nimi podłogi w komnatach; zresztą na korytarzach zdarłyby się w mgnieniu oka, choćby tylko pod stopami służby nieustannie dbającej o porządek w pałacu. – Gdy tylko Egwene zdobędzie Wieżę, każe wykonać jeden dla ciebie. Zasłużyłaś sobie.

– Nie obchodzi mnie żadne przeklęte płaszcze – ponuro odrzekła Birgitte. Pełen najgorszych podejrzeń grymas zaciął jej usta w wąską linię – Wszystko stało się tak szybko, że pomyślałam, zwyczajnie się potknęłaś i uderzyłaś, cholera, w głowę. Krew i popioły! Napadnięta przez ulicznych bandziorów! Światłość jedna wie, co mogło się zdarzyć!

– Nie musisz mnie przeproszać, Birgitte. – Wściekłość i uraza tętniły w więzi, ale ona była zdecydowana wyzyskać przewagę. Utyskiwania Birgitte były już dostatecznie nieprzyjemne, gdy znajdowały się sam na sam, przecież nie musi się z tym godzić na korytarzach, w obecności służących, spieszących z jakimiś poleceniami, czyszczących rzeźbioną boazerię, polerujących wysokie złoczone lampy. Tamci ledwie na moment odrywali się od swoich zajęć by w milczeniu

ukłonić się jej i Birgitte, pewna była wszakże, iż niejeden zastanawiał się, dlaczego na czole Kapitan Generala zastygł mars znamionujący burzę, i natężył słuch, chcąc pochwycić bodaj pojedyncze słowo. – Nie wzięłam cię ze sobą, ponieważ nie chciałam. Założę się, że w takiej samej sytuacji Sareitha również nie wzięłaby Neda. – Wydawało się nieprawdopodobne, by twarz Birgitte mogła wyglądać jeszcze bardziej ponuro. Być może wzmianka na temat Sareithy była pomyłką. Elayne zmieniła temat. – Na prawdę musisz uważać na swój język. Wypowiadasz się jak najgorszy rodzaj wałkonia.

– Mój... język, tak? – mruknęła groźnie Birgitte. Nawet jej krok się zmienił, szła teraz niczym gotowa do skoku pantera. – wypominasz mi mój język? Ja przynajmniej wiem, co znaczy każde słowo, jakiego używam. Ja przynajmniej wiem, co jest stosowne w jakiej sytuacji, a co nie jest. – Elayne poczerwieniała, poczuła jak sztywnieje jej kark. Tamta miała rację! Zazwyczaj. A przynajmniej dostatecznie często. – Jeśli zaś chodzi o Yarmana – ciągnęła dalej Birgitte, głosem już spokojniejszym, choć wciąż nie wyzbytym do końca niebezpiecznych tonów – to dobry człowiek choć jeszcze nie w pełni otrząsnął się z zadziwienia, że już został Strażnikiem. Prawdopodobnie skacze, kiedy tylko Sareitha pstryknie palcami. Ja nigdy nie byłam zadziwiona i nie skaczę. Dlatego właśnie zmusiłaś mnie do przyjęcia tego tytułu? Czy sądziłaś, że mnie w ten sposób okiełznasz? Nie byłaby to pierwsza głupia myśl, jaka zaległa ci się w tej główce. Jak na kogoś, kto przez większość czasu myśli dostatecznie trzeźwo... Cóż. Moje biurko ze szczeniem chyba już pogrzebały przekłete raporty, które muszę przerzucić, jeśli mam ci dostarczyć bodaj połowę wymaganego stanu Gwardii, wieczorem jednak porozmawiamy sobie dłużej. Moja pani – dodała, nazbyt hardym tonem. Jej ukłon byłomalże szyderczo ceremonialny. Odeszła i brakowało tylko, żeby jej długi złoty warkocz zjeżył się niczym ogon rozżłoszczonego kota.

Elayne zirytowana aż tupnęła. Tytuł Birgitte był rekompensatą, zaszczytem, na który tamta po dziesięciokroć sobie zasłużyła od czasu, gdy została związana więzią. A wcześniej po tysiakkroć. Cóż, wzięła pod uwagę tę możliwość, ale dopiero potem. Tak czy siak, wiele stąd dobrego nie wyniknęło. Niezależnie czy chodziło suwerena czy Aes Sedai, Birgitte sama decydowała o tym, czyje rozkazy wypełnia. Oczywiście nie w sytuacji, gdy chodziło o coś ważnego – a przynajmniej ważnego jej zdaniem – jednak w każdej innej, zwłaszcza zaś w tych, które w jej oczach stanowiły niepotrzebne ryzyko lub niestosowność. Jakby Birgitte Srebrny Łuk mogła kogokolwiek pouczać na temat ryzyka! Jeśli zaś chodzi o stosowne zachowanie, to przecież sama Birgitte potrafiła biesiadować w tawernach! Piła, grała i bezczelnie przyglądała się przystojnym mężczyznom! Lubiła się przyglądać tym przystojnym, chociaż tak naprawdę wołała mężczyzn, którzy wyglądali, jakby ich zbyt często bito po głowie. Elayne nie chciała jej zmieniać – tak naprawdę lubiła tę kobietę, podziwiała ją, widziała w niej przyjaciółkę – ale wołałaby, aby w ich związku było więcej z relacji łączącej Strażnika z Aes Sedai. A znacznie mniej z typowego obrazu starszej, mądrzejszej siostry i rozwydrzonej młodszej.

Znienacka zdała sobie sprawę, że stoi bez ruchu i wściekła wpatruje się w przestrzeń. Służba z wahaniem przechodziła obok, chyląc głowy, jakby w obawie, żeby jej bardziej nie rozgniewać. Przybrała spokojny wyraz twarzy i skinieniem przywołała niezgrabnego pryszczatego chłopaka, właśnie idącego w jej stronę. Ukłonił się z taką nieporadnością i tak głęboko, że zachwiał się iomal nie upadł.

– Znajdź panią Harfor i proś natychmiast do moich apartamentów – poleciała, a potem łagodnie napomniała: – I pamiętaj, że twoi przełożeni mogą być niezadowoleni, kiedy dowiedzą się, iż zamiast pracować, chodzisz, podziwiając pałac. – Rozdziawił szeroko usta, jakby podejrzewał, że czyta w jego myślach. Być może nawet do takich doszedł wniosków. A kiedy jego spojrzenie spoczęło na pierścieniu z Wielkim Wężem, jęknął, ukłonił się jesz głębiej niż poprzednio i umknął, jakby go kto gonił.

Mimowolnie uśmiechnęła się. Strzelała w ciemno, ale przecież był zbyt młody, żeby być czyimś szpiegiem i zachowywał się zbyt nerwowo, żeby nie podejrzewać go, iż robi coś innego, niż powinien. Z drugiej jednak strony... Jej uśmiech zamarł. Z drugiej strony wcale nie był znacznie młodszy od niej.



# ŁUD MORZA I RODZINA

Elayne bynajmniej nie zaskoczył fakt, że pod drodze do swoich apartamentów spotkała Pierwszą Pokojówkę. Mimo wszystko zmierzały w tę samą stronę. Pani Harfor ukloniła się i dołączyła do niej, pod pachą ścisłała zdobioną skórzaną teczkę. Z pewnością wstała o tej samej porze co Elayne, o ile nie wcześniej, jednak jej szkarłatny kaftan wydawał się świeżo uprasowany, Biały Lew zaś na jego przedzie idealnie czysty i nieskalany niczym świeżo spadły śnieg. Na jej widok służący zaczęli biegać jeszcze szybciej i jeszcze energiczniej zabrali się do polerowania. Reese Harfor nie była przesadnie surowa, ale utrzymywała w pałacu dyscyplinę równie ścisłą jak ta, którą Gareth Bryne narzucił ongiś Gwardii.

– Obawiam się, że jeszcze nie przyłapałam żadnego szpiega, moja pani – odpowiedziała na pytanie zadane przez Elayne, głosem na tyle ściszym, żeby słowa trafiły tylko do jej uszu – ale podejrzewam, że udało mi się wykryć parę. Kobieta i mężczyzna, oboje przyjęci na służbę podczas ostatnich miesięcy panowania królowej, twej nieboszczki matki. Uciekli z pałacu, gdy tylko się rozeszło, że wszystkich przepytuję. Nie próbując nawet zabrać nic ze swoich rzeczy, czy bodaj płaszcz. Moim zdaniem, to jest prawie jak przyznanie się do winy. Chyba że bali się, iż przy okazji wyjdzie na jaw jakaś psota – dodała z wahaniem. – Ostatnio odnotowaliśmy kilka przypadków kradzieży.

Elayne z namysłem pokiwała głową. Naean i Elenia często przebywały w pałacu podczas ostatnich miesięcy rządów jej matki. Miały dość okazji, by umieścić w nim swoich szpiegów. Obie nie należały do jedynych, którzy z początku sprzeciwiali się roszczeniom Morgase Trakand do tronu, potem skorzystali z jej amnestii, by na koniec ją zdradzić. Elayne nie popełni pomyłki matki. Tak, amnestia musi nastąpić w najbliższym możliwym terminie – każde inne postępowanie byłoby równoznaczne z sianiem zarzewia wojny domowej – będzie jednak bacznie obserwować tych, którzy skorzystają z jej łaski. Jak kot obserwujący szczura, zarzekającego się, że już go nie interesuje ziarno w spichrzu.

– To byli szpiedzy – powiedziała. – I mogą być jeszcze inni. Nie tylko szpiedzy Domów. Siostry przebywające pod Srebrnym Łabędziem również mogły umieścić swych agentów w pałacu.

– Nie ustane w poszukiwaniach, moja pani – odparła Reese lekko nachylając się ku niej. W tonie jej głosu nie sposób było odnaleźć nic prócz całkowitego szacunku, nawet nie uniosła brwi. Elayne jednak poczuła się, jakby próbowała uczyć swoją babcię szydełkowania. Gdyby tylko Birgitte tak potrafiła załatwiać sprawy jak pani Harfor.

– Dobrze się stało, że wróciłaś wcześniej – kontynuowała pulchna kobieta. – Niestety, chyba czeka cię pracowite popołudnie. Na początek chce z tobą mówić pan Norry. Twierdzi, że to pilna sprawa. – Na moment jej usta zacisnęły się. Zawsze chciała z góry wiedzieć, w jakiej sprawie ludzie zwracają się do Elayne, aby tym sposobem móc odsiać plewy, które inaczej mogłyby ją pogrzebać, ale Pierwszy Urzędnik nigdy nawet nie uchylił przed nią rąbka swoich interesów. Czym odpłacał się jej pięknym za nadobne. Oboje zazdrośni byli o jej łaski. Teraz jednak nie miała czasu myśleć o tej sprawie. – Po nim pojawiła się delegacja kupców tytoniowych, również prosząc o audiencję, a następnie tkacze, jedni i drudzy proszą o obniżenie podatków, ponieważ czasy są ciężkie. Moja pani nie potrzebuje porady swojej sługi, żeby im powiedzieć, iż czasy są równo ciężkie dla wszystkich. Czekają na ciebie również grupa zagranicznych kupców, raczej spora grupa. Rzecz jasna, chodzi im tylko o to, żeby wyrazić swoje poparcie w sposób, który nie będzie ich nic kosztował... chcą

sprawiać wrażenie, że są po twojej stronie, równocześnie nie narażając się nikomu... jednak proponuję, by się z nimi na krótko spotkać. – Zaciśnęła pulchne palce na ściskanej pod pachą teczkę. – Ponadto rachunki pałacu wymagają twojego podpisu, zanim trafią do pana Norry. Obawiam się że ciężko westchnie na ich widok. Choć zimą żadną miarą nie należało tego oczekiwać, to jednak większość mąki jest zepsuta przez wołki i ćmy, a połowa wędzonej szynki spleśniała, podobnie zresztą jak część zapasów wędzonej ryby. – Z pełnym szacunkiem. I całkowicie zdecydowanie.

„Rządę Andorem – usłyszała kiedyś Elayne od matki w zaufaniu – ale czasami wydaje mi się, że to Reene Harfor rządzi mną”. Matka się śmiała, ale brzmiało to tak, jakby mówiła zupełnie poważnie. Jeśli już się nad tym zastanowić, to pani Harfor w roli Strażnika byłaby dziesięć razy gorsza niż Birgitte.

Elayne nie miała najmniejszej ochoty spotykać się z Halwinem Norry ani z kupcami. Wolałaby posiedzieć w samotności i zastanowić się na kwestią szpiegów, nad tym, kto ma Naeana i Elenię i jak należałoby zareagować. Tyle że... Pan Norry od śmierci matki utrzymywał Caemlyn przy życiu. Po prawdzie, jeśli spojrzano się w stare rachunki, wynikało z nich, że działo się tak niemalże od dnia, gdy wpadła w szpony Rahwina, chociaż sam Norry nie mógł mieć o fakcie pojęcia. Wydarzenia tamtych dni wywołały w nim swego rodzaju urazę, choć i ona miała osobliwie zakurzony posmak. Nie mogła go więc zwyczajnie odprawić. Poza tym, nigdy przecież żadna ze spraw nie zasłużyła w jego mniemaniu na miano pilnej. A i również na wyraz dobrej woli kupców nie należało się boczyć, choćby byli to zagraniczni kupcy. I rachunki koniecznie trzeba podpisać. Wołki i ćmy? Pleśniejąca szynka? Zimą? To było zdecydowanie dziwne.

Dotarły do wysokich, zdobionych rzeźbionymi lwami drzwi wiodących do jej pokoi. I lwy były mniejsze od tych, które strzegły niegdysiejszych apartamentów jej matki, i same apartamenty również – nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, aby zamieszkać w komnatach królowej. Byłoby to arogancją równą zajęciu miejsca na Tronie Lwa, nim jej prawa do Różanej Korony zostaną Potwierdzone.

Z westchnieniem sięgnęła po teczkę.

Wgłębi korytarza mignęły jej sylwetki Solain Morgeillin i Keraille Surtovni – szły tak szybko, jak tylko można, nie sprawiając równocześnie wrażenia, że się biegnie. Na szyi wciśniętej między nie kobiety widać było błyski srebra, choć obie Kuzynki okryły ją wcześniej długim zielonym szalem, żeby skryć obrożę *a'dam*. To z pewnością wywoła plotki, wcześniej czy później nie da się tego uniknąć. Znacznie lepiej byłoby przetrzymać i tę kobietę, i pozostałe w jednym miejscu, ale niestety okazało się to niemożliwe. Pomieszczenia, które Poszukiwaczki Ludu Morza dzieliły z kuzynkami w kwaterach służby, były już i tak przepelnione – (dwie, trzy kobiety zajmowały jedno łóżko – natomiast piwnice pałacu przeznaczono pod magazyny, nie lochy. Jak to jest, że Randowi zawsze uda się postąpić w najzupełniej niewłaściwy sposób? Fakt, iż był mężczyzną, nie stanowił dostatecznej wymówki. Solain i Keraille zniknęły za rogiem wraz ze swoją więźniarką.

– Dziś rankiem Pani Corly chciała z tobą rozmawiać, moja pani. – Głos Reene był rozmyślnie wyzbyty wszelkich akcentów. Ona również przyjrzała się Kuzynkom, lekki grymas pojawił się na jej szerokiej twarzy. Kobiety Ludu Morza były co najmniej dziwne, jakoś jednak potrafiła zmieścić w swoim obrazie świata Mistrzynię Fal i jej świtę, nawet jeśli nie miała precyzyjnego pojęcia, z jakiego klanu Mistrzyni Fal się wywodziła. Była cudzoziemką wysokiej rangi, a po cudzoziemcach należało oczekiwać pewnej ekscentryczności. Ale za nic nie potrafiła pojąć, dlaczego Elayne przyjęła pod swój dach prawie sto pięćdziesiąt kobiet parających się kupiectwem i rzemiosłem. Słowa takie, jak: „Rodzina” albo „Kółko Dziewiarskie” nic by dla niej nie znaczyły, nawet gdyby zdarzyło jej się gdzieś je usłyszeć, nie potrafiła też znaleźć przyczyn osobliwego napięcia, które

panowało w stosunkach tych kobiet i Aes Sedai. Z pewnością na próżno dociekała, kim są kobiety sprowadzone tu przez Asha'manów, kobiety traktowane w istocie niczym więźniarki, trzymane w odosobnieniu ze ścisłym zakazem odzywania się do kogokolwiek prócz eskortujących je przez korytarze. I choć Pierwsza Pokojówka dobrze rozumiała, kiedy nie należy zadawać pytań, z drugiej jednak strony nie lubiła nie wiedzieć, co się dzieje w pałacu. Ton jej głosu nie zmienił się jednak na jotę. – Powiedziała, że ma dla ciebie dobre wieści. Poniekąd dobre, jak twierdziła. Ale nie wystąpiła o oficjalną audiencję.

Dobre wieści, a nawet poniekąd dobre, były znacznie lepsze niż konieczność przegładania rachunków, ona zaś do pewnego stopnia podejrzewała, co się na te wieści składa. Z powrotem wcisnęła teczkę w ręce pierwszej Pokojówki i powiedziała:

– Proszę, zostaw to na moim biurku. I poinformuj pana Norry, że wkrótce się z nim spotkam.

Ruszyła w stronę, z której nadeszły Kuzynki z ich więźniarką, mimo przeszkadzających sukien szła zwawo. Dobre wieści czy niedobre z Norrym i kupcami trzeba się będzie zobaczyć, i z tamtymi drugimi kupcami również, nie wspominając już o rachunkach przejrzenia i podpisania. Władza oznaczała niekończące się tygodnie mozołu i rzadkie godziny robienia tego, na co się miało ochotę. Bardzo rzadkie godziny. W głębi pod czaszką wciąż czuła obecność Birgitte – ciasny kłębek nieklamanej irytacji i frustracji. Bez wątpienia tamta właśnie zmagala się ze zwałami papierów na własnym biurku. Cóż, ona sama zazna dzisiaj tyle wypoczynku, ile trzeba czasu, aby zmienić suknie do konnej jazdy i pośpiesznie przełknąć posiłek. Dlatego też maszerowała bardzo szybko, zagubiona w myślach, właściwie nie widząc nic przed sobą. Co też mogło się Norry'emu wydawać tak pilne? Z pewnością nie mogło chodzić o roboty uliczne. Jak wielu szpiegów? Małe szansę, że pani Harfor wszystkich wyłapie.

Kiedy skręciła za róg, tylko wewnętrzna intuicja obecności potrafiących przenosić kobiet powstrzymała ją przed zderzeniem z idącą naprzeciw Vandene. Obie, zaskoczone, szarpnęły się w tył. Najwyraźniej Zieloną siostrę również bez reszty pochłonęły własne myśli. Na widok dwu towarzyszek tamtej Elayne ze zdumienia aż uniosła brwi.

Kirstian i Zarya odziane w prostą biel, z rękoma skromnie złożonymi szły pokornie o krok za Vandene. Ich włosy splecione były w najbardziej niewyszukany sposób, nie miały na sobie żadnej biżuterii. Nowicjuszkom zdecydowanie odradzano jakąkolwiek biżuterię. Obie ongiś były Kuzynkami – Kirstian w rzeczy samej należała bezpośrednio do Kółka Dziewiarskiego – wcześniej jednak zbiegły z Wieży, a istniały ścisłe zasady rządzące postępowaniem z takimi kobietami, zasady ujęte wyraźnie w prawie Wieży, nie dopuszczające żadnych okresów przedawnienia. Dziewczyny, które najpierw uciekły, a potem zostały odstawione do Wieży, nie miały innego wyjścia, jak zachowywać się w sposób absolutnie doskonały, zmienić się w prawdziwy wzorzec inicjowanej starającej się o szal; najdrobniejsze przewinienia, które innym puszczono by płazem, w ich przypadku karane były natychmiast i z całą surowością. Oczywiście wcześniej, kiedy dotarły do Wieży, pierwotna kara była znacznie surowsza – publiczna chłosta, a potem wzmiankowany okres szczególnej i bolesnej surowości, trwający przynajmniej rok. Zbiegła kobieta musiała pojąć aż do głębi, że nigdy, przenigdy nie wolno jej uciekać znowu. Za żadne skarby świata! Na poły wyszkolone kobiety były po prostu zbyt niebezpieczne, by im pozwolić swobodnie wałęsać się po świecie.

W tych nielicznych chwilach, które Elayne spędzała z nimi, próbowała traktować je ze szczególnymi względami – przecież Kuzynki trudno było określić mianem na poły wyszkolonych, nawet jeśli nie dysponowały umiejętnościami dorównującymi Aes Sedai miały co najmniej tyle samo doświadczenia we władaniu Jedyną Mocą – tylko po, by przekonać się, że inne Kuzynki z dezaprobatą oceniają jej usiłowania. Kiedy stanęły przed drugą szansą zostania Aes Sedai –

przynajmniej te, które miały po temu potencjał – ze zdumiewającą gorliwością uznały za własne wszystkie prawa i zwyczaje Wieży. Dlatego też zaskoczyła ją nie pokorna sumienność w oczach obu kobiet, ani zapewnienie dobrego zachowania, którym zdawały się promieniować – zależało im na tej szansie tak samo jak wszystkim pozostałym – zaskoczył ją fakt, że w ogóle zobaczyła je w towarzystwie Vandene. Jak dotąd, obie w ogóle mogłyby dla tamtej nie istnieć.

– Szukałam cię, Elayne – powiedziała Vandene bez żadnych wstępów. Białe włosy zawsze zebrane na karku ciemnozieloną wstążką sprawiały, że mimo gładkich policzków otaczała ją aura sugerująca wiek raczej podeszły. Śmierć siostry nadała jej obliczu szczególną zawziętość, która nigdy zeń nie zniknęła i przez którą wyglądała jak nieubłagany sędzia. Kiedyś była szczupła, teraz należało ją nazwać kościstą, policzki miała zapadnięte. – Te dzieci... – Urwała, a lekki grymas skrzywił jej usta.

W taki właśnie sposób należało się wyrażać o nowicjuszkiach – najgorsza chwila, jaka czekała przybywające do Wieży kobiety, następowała nie wówczas, gdy okazywało się, że będą traktowane jako dorosłe dopiero wraz ze zdobyciem szala, ale wtedy, kiedy pojmowały, że póki noszą biel nowicjuszek, naprawdę są tylko dziećmi które przez własną ignorancję lub gafę mogą wyrządzić krzywdę sobie lub innym – był to sposób tradycyjnie właściwy, w danych okolicznościach w ustach Vandene musiał jednak brzmieć dziwnie. Większość nowicjuszek przybywała do Wieży, mając po piętnaście, szesnaście lat, a żadna – przynajmniej aż do niedawna – nie mogła mieć więcej niż osiemnaście, wyjątek stanowiła garstka tych, którym udało się skutecznie okłamać siostry. W przeciwieństwie jednak, Aes Sedai, w Rodzinie pozycję w hierarchii zapewniał wiek, a Zarya – zresztą od urodzenia Garenia Rosoinde, ponieważ jednak do księgi nowicjuszek wpisana została jako Zarya Alkaese, to drugie nazwisko musiała teraz nosić – Zarya ze swoim wydatnym nosem i szerokimi ustami miała dobrze ponad dziewięćdziesiąt lat, mimo iż sprawiała wrażenie, jakby dopiero weszła w wiek średni. Żadna z kobiet, mimo lat pracy z Mocą, nie dorobiła się tego charakterystycznego oblicza, z którego niemożliwością było odczytanie prawdziwego wieku, więc śliczna, ciemnooka Kirstian wyglądała na niewiele tylko starszą, można było jej dać trzydzieści lat. Miała ponad trzysta, Elayne była więc pewna, że musiała być starsza od samej Vandene. Kirstian tak dawno temu uciekła z Wieży, że we własnej opinii bezpiecznie mogła używać własnego imienia i nazwiska albo przynajmniej jednego z dwojga. W niczym nie pasowały więc do typowego wizerunku zbiegłych nowicjuszek.

– Te dzieci – powtórzyła bardziej zdecydowanym tonem Vandene, a głęboki mars przeciął jej czoło – zastanawiały się nad wydarzeniami przy moście Harlon. – Tam właśnie zginęła jej siostra. Ale też Ispan Shefar, w opinii Vandene z pewnością śmierć Czarnej siostry znaczyła nie więcej niż zabicie wściekłego psa. – Niestety, zamiast zatrzymać swe wnioski dla siebie, przyszły z tym do mnie. Przynajmniej nie rozpaplały ich wszem wobec.

Elayne poczuła, jak lekki grymas krzywi jej usta. O morderstwach od dawna już wiedzieli wszyscy w pałacu.

– Nie rozumiem – powiedziała powoli. I z całą ostrożnością. Jeśli tamtym nie udało się odkryć jakichś naprawdę głębokich sekretów, nie chciała im podsuwać wskazówek. – Czy doszły wniosku, że jest to dzieło Sprzymierzeńców Ciemności, nie zaś zwykły napad rabunkowy? – Taka była legenda, którą oficjalnie rozpowszechniano: dwie kobiety w odosobnionej chacie, zabite dla ich biżuterii. Tylko ona, Vandene, Nynaeve i Lan znali prawdę. Przynajmniej do teraz, jak się wydawało. Musiały odkryć przynajmniej tyle, w przeciwnym razie Vandene pokazałaby im, gdzie przysłowiowe raki zimują.

– Gorzej – Vandene rozejrzała się dookoła, a potem przemierzyła parę kroków do miejsca

znajdującego się dokładnie w centrum skrzyżowania korytarzy, ciągnąc Elayne za sobą. Z tego punktu mogły bez trudu widzieć, gdyby ktoś nadchodził. Nowicjuszki posłusznie poszły za Zieloną siostrą, zajmując u jej boków takie same pozycje co przedtem. Może mimo ich skwapliwości naprawdę pokazano im, gdzie te raki zimują. W zasięgu wzroku było oczywiście sporo służących, żaden jednak nie zmierzał w ich stronę żaden nie znajdował się na tyle blisko, by móc cokolwiek usłyszeć Vandene mimo to zniżyła głos. W niczym to się nie przyczyniło do osłabienia niezadowolenia, jakie w nim pobrzmiwało. – Wywnioskowały, że zabójczynią musiała być jedna z trzech: Merilille, Sareitha albo Careane. Niczego ich rozumowaniu nie można zarzucić, jak sądzę, oprócz tego, że w ogóle nie powinny się nad tymi rzeczami zastanawiać. Gdyby przykładały się jak należy do swoich ćwiczeń, nie miałyby czasu na zastanawianie się nad niczym więcej. – Mimo groźnych spojrzeń, jakie rzuciła w ich kierunku obie leciwe nowicjuszki aż jaśniały z zadowolenia. W tym besztaniu kryły się przecież wyrazy uznania, a Vandene znana była z tego, że skąpi wszelkich pochwał.

Elayne nie wytknęła tamtej, że faktycznie obie mogłyby być bardziej zajęte, gdyby tylko Vandene zechciała się przyłożyć poważniej do ich lekcji. Elayne i Nynaeve miały zbyt dużo innych obowiązków, a ponieważ doszły do nich jeszcze lekcje udzielane Poszukiwaczkom Wiatrów – dotyczyło to w każdym razie wszystkich prócz Nynaeve – żadnej nie starczało energii ani czasu na zajmowanie się nowicjuszkami. Uczenie kobiet Atha'an Miere przypominało przepuszczanie przez wyżymaczkę! Miały tak niewiele szacunku dla Aes Sedai. A jeszcze mniej dla hierarchii obowiązujących wśród „przykutych do brzegu”.

– Przynajmniej nie rozmawiały o tym z nikim innym – mruknęła. Jedyna jasna strona całej sprawy.

Już w momencie, gdy znalazły Adeleas i Ispan, było oczywiste, że morderczynią musiała być Aes Sedai. Tamte, zanim je zabito, zostały sparaliżowane za pomocą szkarłatnego ciernia, a przypisywanie poszukiwaczkom Wiatru wiedzy o właściwościach rośliny spotykanej tylko w głębi łądu było czystym absurdem. Dalej, nawet Vandene była całkowicie przekonana o nieobecności Sprzymierzeńców Ciemności wśród Rodziny. Ispan uciekła z Wieży jako nowicjuszka, dotarła aż do Ebou Dar, jednak schwytano ją, zanim Rodzina zdążyła jej zdradzić, że jest czymś więcej niż tylko garstką wygnanych z Wieży kobiet, które ni z tego, ni z owego postanowiły jej pomóc. Podczas śledztwa, jakiemu ją poddały Vandene i Adeleas wyjawiała naprawdę sporo. Jakimś sposobem udało jej się nie zdradzić nic na temat samych Czarnych Ajah, wyjąwszy knowania od dawna już sfinalizowane, kiedy jednak siostry już z nią skończyły, chętnie rozmawiała o wszystkich pozostałych rzeczach. Z pewnością nie były wobec niej delikatne i wydierały głęboko skrywane sekrety, a jednak nie potrafiła im o Rodzinie powiedzieć wiele więcej niż każda Aes Sedai. Gdyby wśród Kuzynek zalęgli się Sprzymierzeńcy Ciemności, Czarne Ajah wiedziałyby o nich wszystko. Tak więc niezależnie od tego, czego by sobie można było życzyć, zabójczynią była jedna z trzech kobiet, które już zdążyły polubić. Czarna siostra pośród nich. Albo więcej niż jedna. Dokładały wszelkich starań, żeby tę wiedzę utrzymać w tajemnicy, przynajmniej dopóki morderczyni nie zostanie ujawniona. Przedwczesne wieści mogłyby wywołać panikę w całym pałacu, może nawet w całym mieście. Światłości, któż jeszcze mógł się zastanawiać nad wydarzenia spod mostu Harlon? Czy będzie miał na tyle rozumu, by zachować milczenie?

– Któraś musi wziąć je w garść – oznajmiła zdecydowanie Vandene – aby powstrzymać przed dalszymi psotami. Czego im trzeba to regularnych lekcji i ciężkiej pracy. – Na dwu jaśniejących twarzach pojawiły się nieznaczne grymasy zadowolenia z siebie, które jednak zniknęły przy ostatnich słowach Vandene. Lekcje jakie otrzymywały, może były nieliczne, jednak wymagania pozostawały bardzo surowe, a dyscyplina ścisła. – To oznacza, Elayne, że będziesz musiała się tym zająć sama lub

złocić to Nynaeve.

Elayne z rozdrażnieniem mlasnęła językiem.

– Vandene, ledwie mam tyle czasu dla siebie, żeby zebrać myśli. Znalezienie dla nich godzinki od czasu do czasu już jest nie łatwym zadaniem. To będzie musiała być Nynaeve.

– Co będzie musiała być Nynaeve? – zapytała też we własne osobie, podchodząc bliżej. Gdzieś udało jej się zdobyć długi, obrzeżony żółtymi frędzlami szal, haftowany w liście i jaskrawe kwiaty teraz jednak opuszczony na łokcie. Mimo panującego zimna miała na sobie błękitną suknię z dekoltem – jak na Andor – zdecydowanie głębokim i tylko gruby czarny warkocz, przerzucony przez ramię tak, że zasłaniał piersi, sprawiał, iż dekoltu tego nie można było nazwać zbyt śmiałym. Mała czerwona kropka na środku jej czoła, *ki'sain*, sprawiała dość dziwne wrażenie. Wedle obyczajów Malkieru czerwona *ki'sain* znamionowała kobietę zamężną, ona zaś domagała się prawa do jej noszenia, gdy tylko się o tym dowiedziała. Kiedy tak stała, zabawiając się leniwie końcem warkocza, wyglądała na... zadowoloną... co było epitetem, który zazwyczaj skrajnie rzadko miał zastosowanie wobec Nynaeve al'Meara.

Elayne wzdrygnęła się, gdy zobaczyła Lana, który w odległości kilku kroków od nich wędrował wokół, strzegąc obu korytarzy. Wysoki jak Aiel, w ciemnozielonym kaftanie, z twardym obliczeni i ramionami tak grubymi, że mogłyby należeć do kowala, jakimś sposobem jednak poruszał się bezszelestnie niczym duch. Nawet w pałacu nie odpiął miecza. Na jego widok Elayne zawsze przeszywał dreszcz. Śmierć wyzierała z tych zimnych niebieskich oczu. W każdym razie kiedy nie patrzył na Nynaeve.

Uczucie zadowolenia spęzło z twarzy Nynaeve, gdy tylko dowiedziała się, na czym ma polegać jej następne zadanie. Przestała igrać z koniuszką warkocza, zacisnęła na nim pięść.

– Teraz posłuchajcie. Elayne może sobie mieć dość czasu, żeby zabawiać się w politykę, ale ja mam pełne ręce roboty. Co najmniej połowa Kuzynek już by uciekła, gdyby Alise nie trzymała ich mocno za karki, a ponieważ ona sama nie ma nadziei na zdobycie szala, nie jestem pewna, jak długo cała sytuacja potrwa bez zmian. Pozostałym wydaje się, że mogą się ze mną kłócić! Wczoraj Sumeko nazwała mnie... dziewczynką!

Wyszczерzyła zęby, ale to z pewnością musiała być jej wina, a w taki czy inny sposób sama sobie zasłużyła. To ona przecież dręczyła przez cały czas Kuzynki, każąc im pokazać odrobinę charakteru, miast bez przerwy płaszczyć się przed Aes Sedai. Cóż, z pewnością przestały się płaszczyć. Zamiast tego jednak z przedziwną skwapliwością chciały zmusić siostry, żeby to one dostosowały się do ich Reguły. I wedle niej oceniać braki sióstr! Być może tak do końca nie była to wina wyłącznie Nynaeve, że wyglądała, jakby nie miała więcej niż dwadzieścia lat – wcześniej przestała się starzeć – jednak wiek istotny był dla Rodziny, a ona sama zdecydowała się większość czasu z nimi spędzać. Już nie szarpała warkocza ciągnęła go jednak z taką siłą, że z pewnością gotów był wyleźć wraz z częścią skalpu.

– I ten przeklęty Lud Morza! Wredne kobiety! Wredne, wredne, wredne! Gdyby nie chodziło o tę cholerną umowę...! Ostatnia rzecz jakiej mi potrzeba, to para jęczących, głupich nowicjuszek! – Usta Kirstian zacisnęły się na moment, a w ciemnych oczach Zaryi mignęła uraza, po chwili jednak obie przybrały stosownie pokorną pozę. A przynajmniej jej pozory. Miały dość rozumu, żeby wiedzieć, iż nowicjuszki nie otwierają ust w obecności Aes Sedai.

Elayne zdławiła w sobie pragnienie, aby jakoś wszystko załagodzić. Przede wszystkim miała ochotę wymierzyć klapsa Kirstian i Zaryi. Wszystko skomplikowały, ponieważ nie umiały trzymać ust zamkniętych na kłódkę. Miała ochotę przyłożyć Nynaeve. A więc w końcu Poszukiwaczki Wiatru dały jej się we znaki, tak? Jednak nie czuła wobec niej nawet śladu współczucia.

– W nic się nie zabawiam, Nynaeve, i doskonale zdajesz sobie z tego sprawę! Wystarczająco często zwracałam się do ciebie z prośbą o radę! – Próbując się uspokoić, wciągnęła głęboki oddech. Służący, których widziała za plecami Vandene i dwóch nowicjuszek, przerwali pracę, wytrzeszczając oczy na zgromadzenie kobiet. Wątpiła, by bodaj zauważyli Lana, mimo wrażenia jakie musiał na każdym wywierać. Klótnia wśród Aes Sedai nie mogła kogo zostawić obojętnym, każdy wiedział, że w takiej sytuacji najlepiej trzymać się z daleka. – Któraś musi się nimi zająć – dodała spokojniejszym tonem. – Czy może sądzisz, że wystarczy jak im powiesz, żeby o wszystkim zapomniały? Spójrz na nie, Nynaeve. Zostawione same sobie, pierwsze co zrobią, to zabiorą się za poszukiwanie tej, która to zrobiła. W ogóle nie zwróciłyby się do Vandene, gdyby nie sądziły, że im pomoże. – Dwie, o których był mowa, zmieniły się tymczasem w idealne obrazki rozwartookiej niewinności nowicjuszek, które odrobinę psuła tylko szczypta urazy w obliczu niesprawiedliwości oskarżenia. Elayne nie wierzyła im na jotę. Miały całe życie, żeby się nauczyć maskować.

– A niby dlaczego nie? – powiedziała po chwili Nynaeve, poprawiając szal. – Światłości, Elayne, musisz pamiętać, że to nie są zwyczajne nowicjuszki. – Elayne już otworzyła usta, żeby zaprotestować... normalne nowicjuszki, paradne!... Nynaeve mogła sobie nigdy nie być nowicjuską, przecież jednak nie tak dawno temu była Przyjętą, jeśli już o tym mowa, to nadzwyczaj często jęczącą, głupią Przyjętą... Otworzyła już usta, ale Nynaeve jeszcze nie skończyła. – Jestem pewna, że Vandene będzie wiedziała, co z nimi zrobić – kontynuowała. – A kiedy nie będzie wiedziała, może im udzielać zwyczajnych lekcji. Pamiętam, jak mi kiedyś mówiono, że już wcześniej zajmowałaś się nowicjuskami, Vandene. Tak będzie najlepiej. Sprawa załatwiona.

Obie nowicjuszki uśmiechnęły się szeroko, były to uśmiechy radosnego wyczekiwania – omalże nie zaczęły zacierać rąk – ale Vandene grymasiła.

– Nie potrzebuję, żeby mi się pod nogami plątały jakieś nowicjuszki, kiedy...

– Jesteś równie ślepa jak Elayne – weszła jej w słowo Nynaeve. – Mają już przecież doświadczenie z udawaniem przed Aes Sedai, że są kimś innym, niż naprawdę są. Mogą pracować pod twoim kierunkiem, a dzięki temu będziesz miała dość czasu na sen i jedzenie. Nie wydaje mi się, żebyś jednego lub drugiego kosztowała pod dostatkiem. – Wyprostowała się, otulając dokładnie ramiona szalem. To był naprawdę widok jedyny w swoim rodzaju. Mimo iż taka niska, na pewno nie wyższa od Zaryi i zdecydowanie niższa od Vandene, jakimś sposobem sprawiała wrażenie, że jest najwyższa ze wszystkich zgromadzonych. Była to umiejętność, którą Elayne bardzo by chciała opanować. Choć z pewnością nie miała zamiaru jej ćwiczyć w tak wyciętej sukience. Nynaeve groziło, że w każdej chwili może z niej się wysunąć. Choć w niczym to nie umniejszało wrażenia, jakie wywierała. Była teraz samą istotą władczości. – Ty się tym zajmiesz, Vandene – oznajmiła zdecydowanie.

Pochmurny grymas na twarzy Vandene rozwiewał się powoli, końcu jednak zniknął. Nynaeve potrafiła zaczerpnąć więcej Mocy od niej i nawet jeśli świadomie nie brała tego pod uwagę, głęboko zakorzeniony obyczaj zmusił ją do ustąpienia, choć uczyniła to niechętnie. Kiedy wreszcie odwróciła się do dwu kobiet odzianych w biel, na jej twarzy był już tylko pogodny spokój, a przynajmniej wyraz, który pośmierci Adeleas można było tym mianem określić. Co pewnie sprowadzało się do konstatacji, iż sędzia nie od razu zarządzi egzekucję. Może później. Jej wychudzona twarz była spokojna i pełna ponurego zdecydowania.

– Ongiś rzeczywiście uczyłam nowicjuszki – powiedziała. – Przez krótki czas. Mistrzynie Nowicjuszek uznała ostatecznie, że jestem zbyt wymagająca wobec swoich uczennic. – Radosne wyczekiwanie tamtych dwóch nieco przybladło. – Nazywała się Sereille Bagand. – Twarz Zaryi stała się równie blada jak cera Kirstian, tamta zaś zachwiała się, jakby zniecka schwyił ją za wrót

głowy. Jako Mistrzynie Nowicjuszek, a później Zasiadająca na Tronie Amyrlin, Sereille przetrwała w legendzie. W legendzie tego rodzaju, że na jej wspomnienie można się obudzić z krzykiem w środku nocy.– Jadam – ciągnęła dalej Vandene, zwracając się do Nynaeve. – Ale wszystko smakuje jak popiół. – Grzecznym gestem zaprosiła nowicjuszki i powiodła je obok miejsca, gdzie przystanął Lan. Szły, chwiejąc się lekko.

– Uparta kobieta – warknęła Nynaeve, wpatrując się w plecy tamtych, ale w tonie jej głosu pobrzmiewała wyraźna nuta współczucia. – Znam tuzin ziół, dzięki którym mogłaby zasnąć, ale ona ich nie przyjmie. Już myślałam nawet, żeby jej coś ukradkiem wrzucić do wieczornego wina.

„Mądry władca – pomyślała Elayne – wie, kiedy przemówić i kiedy zamilczeć”. – Cóż, była to wiedza potrzebna każdemu. Nie powiedziała więc, że epitet „uparta” w ustach Nynaeve zabrzmiał jakby kogut zarzucał bażantowi hardość.

– Wiesz może, co chce mi powiedzieć Reanne? – zapytała zamiast tego. – Wieści są „poniekąd” dobre, jak zrozumiałam.

– Nie widziałam jej dziś rano – odmruknęła tamta, wciąż patrząc w ślad za Vandene. – W ogóle nie wychodziłam z pokoju – Gwałtownie otrząsnęła się z nastroju, jaki ją ogarnął i dla jakiegoś powodu zmierzyła Elayne podejrzliwym wzrokiem. A potem jakby tego było mało, spojrzała na Lana. Niewzruszony dalej stał na straży.

Nynaeve twierdziła, że jej małżeństwo jest wspaniałe – w towarzystwie innych kobiet potrafiła o tych sprawach wyrażać się z szokującą otwartością – Elayne jednak podejrzewała, że kłamie, aby skryć rozczarowanie. Najprawdopodobniej Lan nawet przez sen był cały czas gotów do walki, gotów odeprzeć niespodziana napaść. Spanie z nim musiało przypominać spoczynek obok głodnego lwa. Poza tym mężczyzna o tak kamiennym, niewzruszonym obliczu z pewnością zdolny był przemienić każde łóżko małżeńskie w lodownię. Na szczęście Nynaeve nie miała pojęcia, jakie myśli bląkają jej się po głowie. Uśmiechnęła się. Uśmiechem, co najdziwniejsze, pełnym rozbawienia. Rozbawienia i... wyższości...naprawdę? Oczywiście, że nie. Igraszki wyobraźni.

– Wiem, gdzie w tej chwili przebywa Reanne – powiedziała Nynaeve, zsuwając znowu szal z ramion. – Chodźmy. Zaprowadzę cię do niej.

Elayne również doskonale zdawała sobie sprawę, gdzie też może przebywać Reanne, skoro nie była zamknięta razem z Nynaeve, ale po raz drugi pohamowała swój język i pozwoliła tamtej się prowadzić. Był to rodzaj kary, jaką sobie wymierzyła za to, że wcześniej wzięła udział w sprzeczce, miast wszystko załagodzić. Lan poszedł za nimi, jego chłodne oczy wciąż śledziły otoczenie. Służący, których mijali, lekko drżeli, czując na sobie jego wzrok. Pewna młodziutka kobieta o jasnych włosach naprawdę podkasła spódnicę i uciekła, wpadając na stojącą lampę, która potem jeszcze czas jakiś się chwiała.

To przypomniało Elayne, aby wspomnieć Nynaeve o Elenii i Naeen, oraz o szpiegach. Nynaeve przyjęła rzecz całkiem spokojnie. Zgodziła się z Elayne, że wkrótce się dowiedzą, kto pojmał obie kobiety, zaś wątpliwości Sareithy skwitowała pogardliwym parsknięciem. Jeśli już o tym mowa, to wyraziła zdziwienie, że dotąd nikt jeszcze nie pomyślał o uprowadzeniu ich wprost z Aringill.

– Nie potrafię wprost uwierzyć, że cały czas tam siedziały, wiedząc iż my dotarliśmy do Caemlyn. Każdy głupi by się domyślił, wcześniej czy później zostaną wezwane. Łatwiej było je porwać z małego miasteczka. – Małe miasteczko. Ongiś z pewnością Aringill musiało jej się wydawać metropolią. – Jeśli zaś chodzi o szpiegów – Spojrzawszy na szczupłego, siwego mężczyznę, który dolewał oliwy do złoconej lampy, zmarszczyła brwi i pokręciła głową – Oczywiście że mamy szpiegów. Od początku wiedziałam że tak będzie. Po prostu, Elayne, musisz uważać na to, co mówisz. Jeżeli nie chcesz, żeby wszyscy o wszystkim wiedzieli, nie mów nic



nikomu, kogo dobrze nie znasz.

„Ona oczywiście wie najlepiej, kiedy mam mówić, a kiedy nie” – pomyślała Elayne, zaciskając usta. Jeśli się przestawało z Nynaeve, czasami mogła to być prawdziwie sroga pokuta.

Nynaeve zresztą miała własne wieści, którymi chciała się podzielić. Zniknęło osiemnaście Kuzynek spośród tych, co przybyły z nimi do Caemlyn. Jednak nie uciekły. Tylko nie było ich w pałacu. Ponieważ żadna nie miała dość siły we władaniu Mocą, żeby Podróżować, Nynaeve sama dla nich splotła strumienie, wysyłając je w głąb Altary, Amadicii i Tarabon, daleko na ziemie opanowane przez Seanchan, gdzie miały znaleźć wszystkie te Kuzynki, które jeszcze nie uciekły i sprowadzić z powrotem do stolicy.

Miło byłoby, gdyby Nynaeve przyszło do głowy poinformować ją o tym wczoraj, kiedy je wysyłała, a jeszcze lepiej, kiedy ona i Reanne wpadły na ten pomysł, jednak Elayne nie zaprotestowała. Zamiast tego rzekła:

– To bardzo dzielnie z ich strony. Uniknięcie schwymania nie będzie łatwe.

– Dzielne, prawda – powiedziała Nynaeve, a w jej głosie brzmiała irytacja. Dłoń znowu popęzła do warkocza. – Ale nie dlatego je wybrałyśmy. Razem z Alise wysłałyśmy te, które jej zdaniem zapewne uciekłyby, gdybyśmy nie znalazły im nic do roboty. – Zerknęła przez ramię na Lana i opanowała mimowolny ruch dłoni. – Nie mam pojęcia, jak Egwene chce sobie z tym poradzić – westchnęła. – Można sobie mówić, że wszystkie z Rodziny zostaną pewnego dnia „przysposobione” Wieży, ale jak tego dokonać? Większość nie jest dość silna, żeby zdobyć szal. Wiele nie ma nawet szans na zostanie Przyjętą. A z pewnością nie chciałyby przez resztę życia być tylko Przyjętymi albo nowicjuszkami.

Tym razem Elayne nie powiedziała nic tylko z tego względu, że nie wiedziała, co powiedzieć. Obietnicy należało dotrzymać, sama ją złożyła. W imieniu Egwene, prawda, i z rozkazu Egwene, to jej usta jednak wypowiedziały słowa, a ona danego słowa nie złamie. Tylko że naprawdę nie miała pojęcia, jak go dotrzymać, o ile Egwene nie wyskoczy z jakimś naprawdę cudownym pomysłem.

Reanne Corly była dokładnie tam, gdzie Elayne spodziewała się ją zastać: w małym pokoiku z dwoma wąskimi oknami, wyglądającymi na niewielki dziedziniec w głębi pałacu z nie czynną o tej porze roku fontanną – nie uchylane lufty sprawiały, że w pomieszczeniu było cokolwiek duszno. Posadzka wykonano z prostych ciemnych płytek, nie przykrytych dywanem, zaś za umeblowanie musiał wystarczyć wąski stoliczek z dwoma krzesłami. Gdy Elayne weszła do środka, zastała Reanne w towarzystwie dwu kobiet. Jedną była Alise Tenjile – stała po przeciwnej stronie stołu od wejścia – w prostej szarej sukni z wysokim karczkiem. Z pozoru już dobrze w latach średnich była kobietą o miłym, ale nieszczerze uderzającym wyglądzie, sugerującym takiż charakter... póki nie poznało się jej bliżej i nie doświadczyło na sobie siły jej woli. Obrzuciła wchodzące pojedynczym spojrzeniem i z powrotem skupiła wzrok na tym, co leżało przed nią na stole, cokolwiek to było. Aes Sedai, Strażnicy i Dziedziczki Tronu nie wywierali już żadnego wrażenia na Alise. Sama Reanne siedziała po przeciwnej stronie stołu – kobieta o twarzy pomarszczonej i włosach całkiem już prawie siwych, w zielonej sukni, znacznie bardziej zdobnej niż ubiór Alise – wydalono ją z Wieży po tym, jak nie przeszła inicjacji Przyjętej, teraz, gdy dano jej drugą szansę, zdążyła już wybrać sobie barwy wymarzonych Ajah. Obok niej zajmowała miejsce pulchna kobieta w prostych brązowych wełnach, o twarzy skrzepłej w grymas zaciętego uporu i oczach skupionych na Reanne, oczach, które najwyraźniej za wszelką cenę unikały srebrnych detali *a'dam* spoczywającego niczym srebrny wąż między nimi na stole. Jej dłonie jednak nerwowo tańczyły na skraju blatu, a na obliczu Reanne gościł pewny siebie uśmiech, który pogłębiał zmarszczki w kącikach oczu.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że namówiłaś którąś z nich do posłuchania głosu rozumu –

zaczęła Nynaeve, nim jeszcze Lan zdążył zamknąć za nimi drzwi. Popatrzyła groźnie na kobietę w brązach jakby chciała ją wytargać za uszy albo zrobić coś jeszcze gorszego, a potem spojrzała na Alise. Elayne podejrzewała, że Nynaeve trochę się Alise boi. Tamta kobieta bynajmniej nie dysponowała wielką siłą, jeśli chodzi o Moc... nie miała szans na szal... ale kiedy chciała, potrafiła zapewnić sobie posłuch i zdławić wszelkie protesty. Odnosiło się to również do Aes Sedai. Po namyśle Elayne doszła do wniosku, że sama również trochę się boi Alise.

– Cały czas przeczą, jakby były w stanie przenosić – mruknęła Alise, splatając dłonie na piersiach i spod zmarszczonych brwi zerknęła na kobietę siedzącą naprzeciw Reanne. – I naprawdę chyba nie potrafią, tak sędzę, choć wyczuwam w nich... coś. Nie całkiem przyrodzoną kobiecie iskrę talentu, ale prawie. To sprawia takie wrażenie, jakby ona już-już prawie mogła przenosić i potrzebny był tylko mały krok. Nigdy z czymś takim się nie spotkałam. No, cóż. Przynajmniej nie rzucają się już na nas z pięściami. Wydaje mi się, że choć te szaleństwa wybiłam im z głowy! – Kobieta w brązach obrzuciła Alise ukradkowym, ponurym i wściekłym spojrzeniem, ale skarcona zdecydowanym wyrazem oczu tamtej natychmiast uciekła wzrokiem, a jej usta wygiął słaby grymas. Kiedy Alise wybijała coś komuś z głowy, najwyraźniej robiła to definitywnie. Palce tamtej wznowiły taniec po blacie, Elayne nie sądziła, by zdawała sobie sprawę z tego tik.

– Wciąż przeczą także, jakoby były w stanie widzieć sploty, ale chyba same siebie tylko próbują przekonać – powiedziała Reanne swoim wysokim melodyjnym głosem. Na pełen uporczywy wzrok tamtej odpowiadała uśmiechem. Każda siostra mogłaby pozazdrościć Reanne spokoju i godności. Była Starszą Kółka Dziewiarskiego, co zaliczało ją do najwyższych autorytetów Rodziny. Wedle ich Reguły, Kółko Dziewiarskie istniało tylko w Ebou Dar, ale wciąż była najstarsza wśród tych, które przebywały w Caemlyn setki lat starsza od jakiegokolwiek Aes Sedai, jak sięgano pamięcią nic dziwnego więc, że mało która siostra potrafił dorównać otaczającej jej aurze spokojnej władczości. – Upierają się, że zwozimy je Mocą, zmuszając do uwierzenia, iż *a'dam* jest w stanie je sobie podporządkować. Jednak wcześniej czy później kłamstwa im się wyczerpią. – Przyciągnęła do siebie *a'dam* i wprawnym ruchem otworzyła zamek przy obroży. – Mamy spróbować ponownie Marli? – Kobieta w brązach, Marli, wciąż unikała patrzenia na pręgę srebrnego metalu w dłoniach Reanne, ale jej ciało zeszywniało, a palce jeszcze szybciej zabębniły po stole.

Elayne westchnęła. Cóż za podarunek Rand jej przysłał. Podarunek! Dwadzieścia dziewięć *sul'dam* Seanchan, zgrabnie skutych przez *a'dam* i pięć *damane* – nienawidziła tego słowa, tłumaczyło się ono przez „Wzięta na Smycz” albo po prostu jako „Okiełznana”, ale tym właśnie one były – pięć *damane*, którym nie można było zdjąć smyczy z prostego powodu, że natychmiast spróbowałyby uwolnić seanchańskie kobiety, które je wcześniej niewoliły. Pantery na sznurku byłyby lepszym prezentem. Przynajmniej pantery nie potrafią przenosić. Te kobiety zaś zostały powierzone w opiekę Rodzinie, ponieważ żadna inna kobieta nie miała czasu się nim zajmować.

A jednak od razu zorientowała się, co należy zrobić z *sul'dam*. Przekonać je, że są w stanie nauczyć się przenosić, a potem odesłać je do Seanchan. Wyjąwszy Nynaeve, jedynie Egwene, Aviendha oraz kilka Kuzynek znało jej plan. Nynaeve i Egwene z powątpiewaniem wyrażały się o szansach jego powodzenia, jakkolwiek wytrwale wszakże *sul'dam* próbowałyby skrywać swe umiejętności po powrocie, wcześniej czy później musiało się wszystko wydać. Oczywiście, jeśli natychmiast o wszystkim same nie doniosą. Seanchanie byli dziwaczni, nawet wywodzące się spośród nich *damane* szczerze wierzyły, że zdolna do przenoszenia kobieta musi być wzięta na smycz, gdyż tylko tym sposobem można zapewnić bezpieczeństwo otoczeniu. Dzięki swej umiejętności powodowania kobietami noszącymi *a'dam*, *sul'dam* cieszyły się sporym szacunkiem wśród Seanchan. Świadomość tego, że same *sul'dam* potrafią przenosić, mogła do głębi wstrząsnąć

systemem, być może nawet spowodować jego upadek. Wszystko wydawało się takie proste, przynajmniej z początku.

– Reanne, jak zrozumiłam, masz dla mnie dobre wieści – powiedziała. – Jeżeli nie chodzi o to, że *sul'dam* zaczęły się załamywać, to w czym rzecz?

Alise spod zmarszczonych brwi spojrzała na Lana, którzy trzymał wartę pod drzwiami – nie aprobowała wtajemniczenia go w ich plan – ale nic nie powiedziała.

– Chwileczkę, jeśli można – mruknęła Reanne. To mruknięcie nie było rozkazem. Nynaeve naprawdę dobrze wywiązała się ze swego zadania. – Ona nie musi o tym wiedzieć. – Nagle rozbłysła wokół niej poświata *saidara*. Przenosząc, poruszała palcami, jakby nimi właśnie prowadziła sploty Powietrza przykuwające Marli do jej krzesła, potem niby to oderwała je, a wreszcie złożyła dłonie, cały czas się przyglądając rzekomo powstającej przed jej oczyma dźwiękochłonnej barierze. Wszystkie te gesty, rzecz jasna, nie miały nic wspólnego z prawdziwym przenoszeniem, jednak dla niej najwyraźniej były konieczne, ponieważ w ten sposób nauczyła się tkać sploty. Usta *sul'dam* wygiął lekki grymas pogardy. Jedyna Moc w ogóle jej nie przerażała.

– Ależ proszę bardzo – kwaśno odparła Nynaeve, wspierając wonie na biodrach. – Nie ma pośpiechu. – Reanne nie onieśmiela jej w takim stopniu jak Alise.

Ale z drugiej strony Nynaeve również nie onieśmielała już Reanne, która nie spiesząc się, spokojnie przyjrzała się swemu dziełu, kiwnęła głową z zadowoleniem i dopiero potem powstała. Kuzynki zawsze starały się ograniczyć przenoszenie do załatwiania rzeczy naprawdę niezbędnych, a teraz otworzyła się przed nią możliwość swobodnego rozkoszowania się używaniem *saidara*, jak również czerpania dumy z dobrze wykonanej pracy.

– Dobre wieści – oznajmiła, wyglądając spódnice – są takie że trzem *damane* chyba już można zdjąć obroże. Chyba.

Elayne poczuła, jak jej brwi unoszą się do góry, zaskoczonym wzrokiem spojrzała na Nynaeve. Z pięciu *damane*, które przekazał im Taim, jedna została przez Seanchan pojmana na Głowie Tomana, druga w Tanchico. Pozostałe pochodziły z Seanchan.

– Dwie z seanchańskich kobiet, Marille i Jillari wciąż twierdzą, że całkowicie zasługują na smycz, że muszą być na niej trzymane. – Usta Reanne zacisnęły się z obrzydzeniem, ale ta przerwa w wypowiedzi trwała jedynie chwilę. – Szczerze przeraża je perspektywa wolności. Alivia jednak jakoś się z tym pogodziła. Teraz twierdzi, że wszystko brało się jedynie ze strachu przed ponownym schwytaniem. Mówi, że nienawidzi każdej *sul'dam* i z pewnością zachowuje się stosownie: warczy na nie, przeklina, jednak... – Powoli, z powątpiewaniem pokręciła głową. – Nałożono jej obroże, kiedy miała nie więcej jak trzynaście, czternaście lat, Elayne, nie jest do końca pewna, i była *damane* przez czterysta lat! A pomijając to, ona jest... jest... Alivia jest w znaczący sposób silniejsza niż Nynaeve – dokończyła pośpiesznie. O wieku przenoszącej kobiety Kuzynki mogły rozmawiać otwarcie, gdy jednak w grę wchodziła zdolność do czerpania Mocy, zachowywały podobną powściągliwość, co Aes Sedai. – Czy odważymy się ją uwolnić? Seanchańską dzikuskę, która może obrócić w gruzy cały pałac? – Kuzynki dzieliły również rezerwę, jaką Aes Sedai żywiły wobec dzikusiek. Przynajmniej większość.

Siostry znające Nynaeve zdążyły się już nauczyć, że w jej obecności trzeba uważać z tym słowem. Potrafiła naprawdę zachowywać się niemiło, kiedy wyczuła pogardę w wypowiadającym je głosie. Teraz jednak tylko popatrzyła na Reanne. Być może próbowała znaleźć odpowiedź. Elayne jednak wiedziała, jak wyglądałaby jej własna odpowiedź, ale to nie miało nic wspólnego z roszczeniami do tronu i Andoru. Ta decyzja mogła należeć wyłącznie do Aes Sedai, oznaczało to więc, iż spoczywa ona w rękach Nynaeve.

– Jeżeli nie macie pojęcia, co z nią zrobić – cicho odezwał się Lan ze swego miejsca pod drzwiami – równie dobrze możecie ją z powrotem oddać Seanchanom. – W ogóle nie zakłopotają go natychmiastowe spojrzenia czterech kobiet, w których uszach jego niski głos wypowiadający te słowa brzmieć musiał niczym pogrzebowy dzwon. – W przeciwnym razie, chcąc ją obserwować, będziecie wciąż musiały trzymać ją na smyczy, a przez to nie będziecie w niczym lepsze.

– Nie tobie o tym wyrokować, Strażniku – zdecydowanie ucięła Alise. Kiedy jednak z całkowitym opanowaniem wytrzymał jej spojrzenie, wydała z siebie ciche, pełne niesmaku parsknięcie i wyrzuciła dłonie do góry. – Powinnaś sobie z nim porządnie porozmawiać, Nynaeve, kiedy znajdziecie się na osobności.

Nynaeve szczególnie mocno musiał dawać się we znaki strach przed tą kobietą, ponieważ jej policzki pokraśniały.

– Nie sądzę, że tego nie uczynię – oznajmiła lekko. W ogóle nie patrzyła na Lana. Na koniec, jakby wreszcie panujące zimno do niej dotarło, otuliła ramiona szalem i odkaszlnęła. – Jednak on ma rację. Przynajmniej nie musimy się przejmować pozostałymi dwoma. Po prostu zaskoczyło mnie, że tyle czasu im zabrało odrzucenie tego, czego nauczyli je ci głupi Seanchanie.

– Nie jestem taka pewna – westchnęła Reanne. – Rozumiesz, Kara była czymś w rodzaju mądrej kobiety na Głowie Tomana. W jej wiosce wszyscy ją bardzo szanowali. Rzecz jasna, była dzikuską. Można by sądzić, że znienawidziła Seanchan, ale to nie jest prawda, do żadnej z nich się to nie odnosi. Bardzo się przejmuję *sul'dam*, którą schwytano razem z nią i niepokoi, żeby żadnej z pozostałych *sul'dam* nie stała się żadna krzywda. Lemore natomiast ma dopiero dziewiętnaście lat, jest rozpieszczoną szlachcianką, która miała pecha, że iskrę odkryto u niej tego samego dnia, gdy padło Tanchico. Mówi, że z całego serca nienawidzi Seanchan i pragnie, żeby odpłacili za to, co zrobili Tanchico, jednak z drugiej strony reaguje na imię Larie, to jest jej imię jako *damane*, równie chętnie gdy zwracać się do niej przez „Lemore”, poza tym uśmiecha się do *sul'dam* i pozwala głaskać po głowie. Nie chodzi o to, że im nie ufam, przynajmniej nie w taki sposób jak Alise, ale wątpię równocześnie, by sprzeciwiły się swojej *sul'dam*. Podejrzewam, że gdyby któraś z tamtych kazała pomóc sobie w ucieczce wszystkie by posłuchały, obawiam się też, że gdyby spróbowano nałożyć im obrozę, żadna nie protestowałaby szczególnie.

Zamilkła, a cisza jaka nastąpiła po jej słowach, trwała jakiś czas.

Nynaeve zdawała się nad czymś głęboko zastanawiać, jakby się wewnętrznie zmagając z sobą. Schwyciła warkocz, potem go puściła i zaplotła ramiona na piersiach, frędzle jej szala wciąż drżały. Popatrzyła z wściekłością na wszystkie kobiety po kolei. Na Lana prawie nie spojrzała.

Na koniec wciągnęła głęboki oddech i stawiała czoło Reanne oraz Alise.

– Musimy im zdjąć *a'dam*. Będziemy na nie uważać, póki się nie upewnimy, że wszystko jest w porządku... Lemore też się trzeba zająć, musi zostać obleczona w biel!... na razie nawet na chwilę nie wolno ich zostawiać samych, zwłaszcza w obecności *sul'dam*, jednak *a'dam* znika! – Mówiła zapalczywie, jakby oczekując sprzeciwu, Elayne jednak poczuła, jak na jej twarzy rozlewa się szeroki uśmiech. Dodatkowe trzy kobiety, których żadną miarą nie można było być pewnym, z trudem dawały się określić mianem dobrych wieści, jednak nie było przecież innego wyboru.

Reanne tylko pokiwała głową na zgodę – po dobrej chwili – ale uśmiechnięta Alise okrążyła stół, podeszła do Nynaeve i poklepała ją po ramieniu, tamta zaś już porządnie się zarumieniła. Próbowwała ukryć zmieszanie, kaszląc raptownie i krzywiąc się na widok seanchańskiej kobiety w klatce z *saidara*, jednak jej wysiłki najwyraźniej szły na marne, Lan zaś ostatecznie i tak wszystko zepsuł.

– *Tai'sharManetheren* – powiedział cicho.

Usta Nynaeve otworzyły się, a zaraz potem zamknęły, krzywiąc we wstydlwym uśmiechu. Kiedy odwróciła się doń z rozpromienioną twarzą, w jej oczach zalśniły łzy. Odpowiedział uśmiechem i choć na chwilę w jego spojrzeniu nie było nawet śladu chłodu.

Elayne z wysiłkiem starała się nie gapić na tę scenę. Światłości! Niewykluczone, że łożo małżeńskie z nim dzielone wcale nie musi być żadną lodownią. Ta myśl sprawiła, że poczuła gorąco na policzkach. Unikając spojrzeniem tamtych dwojga, skupiła wzrok na Marli, wciąż przykutej do krzesła. Seanchanka patrzyła prosto przed siebie, a po jej pulchnych policzkach spływały łzy. Prosto przed siebie. Na sploty, które nie pozwalały jej nic usłyszeć. Teraz już nie mogła zaprzeczać, że widzi strumienie Mocy. Kiedy jednak powiedziała to na głos, Reanne pokręciła głową.

– One wszystkie płaczą, jeśli zbyt długo każe im się patrzeć na sploty, Elayne – oznajmiła zmęczonym głosem. I trochę smutnym – Kiedy jednaki sploty znikają, potrafią znów przekonać same siebie, że je oszukujemy. Musisz zrozumieć, że nie mogą inaczej. W przeciwnym razie byłyby *damane*, nie zaś *sul'dam*. Nie, trzeba naprawdę dużo czasu, żeby przekonać Mistrzynie Psów, iż sama jest psem. Obawiam się, że tak naprawdę wcale nie usłyszałaś ode mnie dobrych wieści, nieprawdaż?

– Niewiele – potwierdziła Elayne. W istocie żadnych. Tylko kolejny problem na dokładkę do wszystkich pozostałych. Jak wiele złych wieści musi się spiętrzyć, żeby człowieka pogrzebały? Tak bardzo potrzebowała choć odrobiny dobrych, i to szybko.

# FILIŻANKA HERBATY

Elayne wreszcie dotarła do swojej garderoby, a tam z pomocą Essande – siwowłosej emerytki, którą wybrała na swoją pokojówkę – pośpiesznie zmieniała przydzwiek do konnej jazdy. Szczupła i pełna godności kobieta poruszała się nieco opieszale, z drugiej jednak strony znała się na swojej pracy i nie marnowała czasu na puste pogaduszki. W rzeczy samej, rzadko można było usłyszeć od niej bodaj słowo, wyjąwszy komentarze odnośnie odzienia i rytualną uwagę wypowiedaną każdego poranka, że Elayne do złudzenia przypomina matkę. Płomienie tańczyły na grubych kłocach drewna w szerokim marmurowym kominku, ale ogień w niewielkim stopniu potrafił przegnać zimno panujące w komnacie. Szybko wsunęła delikatne niebieskie wełny, naszywane perłami na wysokim karczku i rękawach, spięła się swoim paskiem z kutego srebra i przypasała krótki sztylet w srebrnej pochwie, na koniec wdziała haftowane srebrem niebieskie aksamitne pantofle. Niewykluczone, że przed spotkaniem z kupcami nie starczy już czasu na przebranie się, a przecież dobrze by było wyrzucić na nich stosowne wrażenie. Trzeba zadbać, aby Birgitte również uczestniczyła w audiencji – Birgitte w swoim mundurze dopiero potrafiła zaimponować widzom. Dla tamtej nawet tego rodzaju spotkanie może stanowić miłą odmianę po niekończącej się pracy. Wnioskując z ciasnego węzła irytacji, który czuła w głębin czaszki, Kapitan Generał Gwardii Królowej miała naprawdę ciężką przeprawę z tymi raportami.

Zawiesiła kiście pereł na uszach i odesłała Essande do jej ognia w kwaterach emerytów. Kobieta żywiołowo zaprotestowała, kiedy Elayne zaproponowała, że ją Uzdrowi, stawy jednak z pewnością musiały jej dokuczać. W każdym razie była już gotowa. Nie miała zamiaru wkładać diademu Dziedziczki Tronu, niech sobie spokojnie spoczywa na wierzchu małej szkatułki z kości słoniowej, zdobiącej toaletkę. Niewiele dałoby się jeszcze w niej znaleźć klejnotów – większość poszła w depozyt, jako gwarancja pożyczki, resztę pewnie czeka ten sam los, gdy już trzeba będzie zastawić serwis. W obecnej chwili i tak nie należało się tym przejmować. Minęło tych kilka chwil, które sobie przyznała – czas wracać do obowiązków.

Wykładany ciemną boazerią salon z szerokimi gzymsami rzeźbionymi w ptasie motywy dysponował dwoma wysokimi ozdobnymi kominkami, po jednym w każdym krańcu – znacznie lepiej wywiązywały się ze swego zadania niż pojedynczy piec w garderobie, choć i tutaj konieczne były dywany na białych płytkach posadzki. Ku swemu zaskoczeniu przekonała się, że w pomieszczeniu znajduje się już Halwin Norry. Wychodziło na to, że obowiązek sam ją doścignął.

Kiedy weszła, Pierwszy Urzędnik skoczył jak oparzony z krzesła o niskim oparciu, przyciskając równocześnie skórzaną teczkę do chudej piersi, a potem kołyszącym się krokiem, który zawdzięczał chromej nodze, przeszedł na drugą stronę zasłanego zwojami stołu pośrodku komnaty. Norry był wysoki i chudy, z długim nosem, wianuszek rzadkich siwych włosów okalał mu czaszkę nad uszami niczym biały puszek. Jego widok często przywodził jej na myśl czapkę. Mimo iż mógł mieć do dyspozycji tylu pisarzy, ilu tylko chciał, jego szkarłatny kaftan znaczyła drobna plamka atramentu. Plamka wyglądała jednak na dość zastarzałą, Elayne więc nie mogła się nie zastanawiać, czy przypadkiem na dokumentach w teczce nie będzie dalszych. Zwyczaj przyciskania teczki do piersi pojawił się u Norry'ego dopiero po tym, jak przywdział oficjalny strój, dwa dni po pani Harfor. Trudno było jednak powiedzieć, czy stanowiło to symbol lojalności, czy też czynił tak dlatego, by naśladować Pierwszą Pokojówkę.

– Wybacz mi natarczywość, moja pani – powiedział – ale naprawdę sędzę, że muszę cię

wprowadzić w sprawę ważne, a w istocie może nawet nagłące. – Wbrew deklaracji wagi spraw, mówił głosem równie monotonnym co zwykle.

– Oczywiście, panie Norry. Nie chciałabym cię popędzać. – Spojrzał na nią, zamrugał, ona zaś zdławiła westchnienie. Wnioskując ze sposobu, w jaki przechylał głowę, być może rzeczywiście był więcej niż odrobinę przygłuchy. Może dlatego właśnie jego głos nigdy nie zmieniał barwy. Zdecydowała się nieco unieść swój. Z drugiej strony, mógł być po prostu nudziarzem i pedantem. – Usiądź i opowiedz mi o tych ważnych sprawach.

Zajęła jedno z rzeźbionych krzeseł i popchnęła go w kierunku drugiego, on jednak wolał stać. Zawsze tak było. Założyła nogę na nogę, poprawiła suknię i przygotowała się na słuchanie.

Ani razu nie otworzył swojej teczki. Całą zawartość pomieszczonych w niej dokumentów miał w głowie, je same przyniósł tylko na wypadek, gdyby chciała coś zobaczyć na własne oczy.

– Rzecz najpilniejsza i zapewne najważniejsza, moja pani, to fakt, że na terenie twoich posiadłości w Danabar odkryto wielkie złoża ałunu. Ałunu najwyższej jakości. Ufam, że w tym kontekście bankierzy okażą się... hm... mniej niezdecydowani wobec starań, jakie podejmuję w twym imieniu. – Uśmiechnął się lekko, przelotnym grymasem wyginającym cienkie wargi. Jak na niego był to prawdziwy wybuch radości.

Na samą wzmiankę o ałunie Elayne wyprostowała się, jej uśmiech zaś był z pewnością znacznie bardziej godny swego miana. W istocie była bliska niekontrolowanego wybuchu radości. Gdyby znajdowała się w czymś innym towarzystwie, niewykluczone, że pofolgowałaby sobie. Jej uniesienie było tak wielkie, że na moment przyćmiło ciągłą irytację Birgitte. Tkacze i farbiarze pochłaniali ałun w ogromnych ilościach, podobnie zresztą jak wytwórcy szkła i papiernicy, żeby o innych nie wspominać. Jedynym źródłem ałunu najwyższej jakości było Ghealdan – przynajmniej do teraz – a same podatki nakładane na obrót nim wystarczały od wielu pokoleń dla podtrzymania tronu Ghealdan. Towar dostarczany z Łzy i Arafel nie dorównywał tamtemu, a mimo to napychał szkatułę tych krajów co najmniej równą ilością monet, jak oliwa i kamienie szlachetne.

– To są naprawdę ważne wieści, panie Norry. Najlepsze jakie dzisiaj słyszałam. – Niekoniecznie najlepsze od czasu powrotu do Caemlyn, ale bez wątpienia najlepsze dziś. – Jak szybko może ci się udać przewyciężyć „niezdecydowanie” bankierów? – Tamci zachowali się w sposób, który odczuła niczym zatrzaśnięcie drzwi przed nosem, no może nie aż do tego stopnia niegrzeczny. Bankierzy potrafili do ostatniego człowieka wyliczyć, ile ona ma za sobą mieczy, a ile jej przeciwnicy. Jednak nawet w takiej sytuacji nie miała większych wątpliwości, że zasoby ałunu wpłyną na zmianę ich postawy. Oczywiście Norry też o tym wiedział.

– Nie przypuszczam, by teraz potrwało to długo, moja pani. Ufam także, że uda nam się wynegocjować dobre warunki. Poinformuję ich, że w przypadku, gdy ich najlepsza oferta okaże się dla nas nie do przyjęcia, nawiążę kontakt z Łzą lub Cairhien. Oni z pewnością nie zaryzykują utraty dochodów z ceł, moja pani. – Wszystko to zostało powiedziane suchym, bezbarwnym głosem, bez śladu nawet satysfakcji, którą na jego miejscu odczuwałby każdy inny człowiek. – Rzecz jasna, zaciągniemy u nich pożyczki na poczet przyszłych dochodów, no i czekają nas pewne wydatki. Mam na myśli nakłady na wydobywanie. Transport. Danabar jest krajem górzystym, położonym w pewnej odległości od Drogi Lugardzkiej. A jednak pieniędzy z pewnością będzie dość, byś mogła zrealizować swe zamierzenia odnośnie rozbudowy Gwardii, moja pani. Jak też względem Akademii.

– Dość, to z pewnością nie jest właściwe słowo, skoro wysokość spodziewanych dochodów skłoniła cię do rezygnacji z wyperswadowania mi pomysłu założenia Akademii, panie Norry – powiedziała, tłumiąc śmiech. O stan skarbcza zamartwiał się niczym kwoka, którą natura obdarzyła pojedynczym pisklęciem, nic więc dziwnego, że niewzruszenie protestował przeciwko idei przejścia

przez nią szkoły, jaką Rand rozkazał założyć w Caemlyn. Wciąż na nowo podnosił argumenty, póki w jej uszach nie brzmiały już niczym wiertło świdrujące czaszkę. Jak dotąd szkoła składała się tylko z kilkunastu uczonych oraz ich studentów, zajęcia zaś odbywały w rozmaitych gospodach Nowego Miasta. Niemniej, mimo coraz ostrzejszej zimy tamci głośno domagali się więcej miejsca. Z pewnością nie miała zamiaru udostępnić pałacu, wszelako coś należało im zapewnić. Norry próbował chronić złoto Andoru, jej zadaniem jednak była dbałość o jego przyszłość. I choć rzekomo *Tarmon Gaidon* nadchodził wielkimi krokami, musiała wierzyć, iż jakaś przyszłość będzie i po nim, niezależnie czy Rand rozszarpie świat, czy nie. Gdyby zakładać inaczej, nie byłoby sensu nic robić, jej zaś nie bardzo w smak było usiąść po prostu i czekać. Gdyby nawet wiedziała z całkowitą pewnością, że Ostatnia Bitwa stanowić będzie kres wszystkiego, nie wydawało jej się prawdopodobne, by spoczęła wygodnie, zakładając nogę na nogę. Rand fundował szkoły właśnie na wypadek rzeczywistego Pęknięcia, w nadziei uratowania części dawnego świata, jej szkoła jednak należeć będzie do Andoru, nie zaś do Randa al'Thora. Akademia Róż imienia Morgase Trakand. Przyszłość będzie i przyszłość ta nie zapomni jej matki. – Czy też może doszedłeś do wniosku, że pochodzenie cairhieniańskiego złota mimo wszystko da się wysledzić do Smoka Odrodzonego?

– Wciąż wierzę, że ryzyko jest niewielkie, moja pani, ale dalej uważam, iż nie warto go podejmować, zwłaszcza w kontekście wieści, jakie właśnie nadeszły z Tar Valon. – Ton jego głosu nie zmienił się nawet odrobinę, wyraźnie jednak coś go zdenerwowało. Palce bębniły o przyciskaną do piersi skórzaną teczkę, na przemian gwałtowny taniec pajęczych nówek i spokój. – Biała... hm... Wieża wydała proklamację uznającą w... lordzie Randzie Smoka Odrodzonego i oferującą mu... hm... ochronę oraz przewodnictwo. Proklamacja zawiera również anatemę na każdego, kto zechce nawiązywać z nim układy inaczej, jak tylko za pośrednictwem Wieży. Z pewnością mądrą jest rzeczą wystrzegać się gniewu Tar Valon, z czego zapewne zdajesz sobie sprawę, moja pani, lepiej niż ja. – Znaczącym spojrzeniem obrzucił pierścień z Wielkim Wężem zdobiący dłoń spoczywającą na rzeźbionym oparciu fotela. Wiedział, rzecz jasna, o rozłamie w Wieży, chyba tylko jakiś dzierżawca w Seleisin mógł o nim nie wiedzieć, obecnie była to tajemnica poliszynela, był jednak zbyt dyskretny, aby na głos mówić o jej politycznych zobowiązaniach. Choć z początku wyraźnie miał zamiar użyć słów „Zasiadająca na Tronie Amyrlin” zamiast „Biała Wieża”. A Światłość jedna tylko wie, co chciał powiedzieć zamiast „lord Rand”. Nie miała mu oczywiście tego za złe. Ostrożność stanowiła cechę pożądaną na jego stanowisku.

Treść proklamacji Elaidy wprawiła ją jednak w osłupienie. Marszcząc brwi, przesunęła palcami po pierścieniu. Taki sam pierścień Elaida nosiła znacznie dłużej, niż ona chodziła po tym świecie. Tamta kobieta była arogancka, uparta, głucha na wszelkie zdanie prócz własnego, nie była jednak przecież głupia. Bynajmniej.

– Czy jej się wydaje, że on zaakceptuje taką ofertę? – zamyśliła się na głos. – Ochrona i przewodnictwo? Nie potrafię sobie wyobrazić pewniejszego sposobu na jego zniechęcenie! – Przewodnictwo? Randem nie sposób było kierować nawet za pomocą pałki!

– Wedle mej korespondentki z Cairhien, niewykluczone, że już uznał treść tej proklamacji, moja pani. – Norry z pewnością ostro by zaprotestował na najłżejszą sugestie, iż ma cokolwiek do czynienia ze szpiegostwem. Cóż, przynajmniej skrzywiłby się z niesmakiem. Pierwszy Urzędnik zarządzał skarbcem, odpowiadał za biurokratów zajmujących się sprawami miasta i doradzał tronowi w sprawach stanu. Z pewnością nie miał własnej agentury na podobieństwo siatek szpiegowskich, jakimi dysponowały Ajah oraz niektóre siostry indywidualnie. Regularnie wymieniał listy z dobrze poinformowanymi i ustosunkowanymi ludźmi w innych stolicach, aby jego rady pozostawały w zgodzie z aktualnymi wydarzeniami. – Otrzymuję od niej gołębia tylko raz w tygodniu,



wydaje się, że zaraz po ostatniej informacji ktoś Jedyną Mocą zaatakował Pałac Słońca.

– Mocą? – wykrzyknęła, czując, jak ją coś wgniata w fotel.

Norry zareagował pojedynczym skinieniem głowy. Równie dobrze mogliby rozmawiać o aktualnym stanie prac naprawczych na ulicach miasta.

– Tak twierdzi moja korespondentka, moja pani. Podejrzewa, że było to dzieło Aes Sedai, Asha’manów lub nawet Przeklętych. Obawiam się jednak, że powtarza tylko plotki. Skrzydło pałacu, w którym mieściły się apartamenty Smoka Odrodzonego, zostało po większej części zniszczone, on sam zaś zniknął. Powszechnie uważa się, że udał się do Tar Valon, by tam klęknąć przed Tronem Amyrlin. Niektórzy sądzą, że zginął podczas ataku, ale nie jest to zdanie szczególnie rozpowszechnione. Doradzam, wstrzymać się z jakimkolwiek działaniem, póki nie uzyskamy szerszego obrazu. – Przerwał na moment i zamyślił się, przechylając głowę. – Na tyle, na ile go poznałem, moja pani – ciągnął dalej powoli – nie uwierzyłbym w jego śmierć, chyba że przyszłoby mi spędzić trzy dni obok ciała.

Omalże nie zagapiła się na niego z rozdziawionymi ustami. To był prawie żart. A przynajmniej z lekka makabryczny żart. Z ust Halwina Norry! Ona jednak sama nie wierzyła, że Rand mógł zginąć. Jeśli zaś chodzi o ukłęknięcie przez Elaidę, był zbyt uparty żeby podporządkować się komukolwiek. Wielu zaiste trudności można by uniknąć, gdyby tylko potrafił się zmusić, aby ukłęknąć przed Egwene, ale wiadomo było, że tego nie robi, a miał w niej przecież do czynienia z przyjaciółką z dzieciństwa. Elaida miała tyleż szans co koza na dworskim balu, zwłaszcza, kiedy on zapozna się z treścią proklamacji. Ale kto go zaatakował? Z pewnością Cairhien pozostawało poza zasięgiem Seanchan. Jeżeli zaś Przekłęci zdecydowali się na otwarte posunięcie, to mogło oznaczać jeszcze gorszy chaos i zniszczenie niż te, które już rządziły światem, gdyby jednak sprawcami ataku okazali się Asha’mani, to już byłby szczyt wszystkiego. Jego własne narzędzie, które zwróciło się przeciwko niemu... Nie! Nie była w stanie go chronić, jakkolwiek bardzo by tego potrzebował. Będzie musiał sam o siebie zadbać.

„Głupiec!” – pomyślała z przekąsem. „Z pewnością obnosi się dookoła pod rozwiniętymi sztandarami, jakby w ogóle nikt nie dybał na jego życie! Lepiej żebyś był jednak w stanie o siebie zadbać, Randzie al’Thor, bo w przeciwnym razie dostaniesz klapsa, gdy tylko wpadniesz w moje ręce!”

– Co jeszcze miała do powiedzenia twoja respondentka, panie Norry? – zapytała, odkładając na bok myśli o Randzie. Jeszcze nie wpadł w jej ręce, należało się więc skoncentrować na kłopotach bieżących.

Jego respondentka miała bardzo dużo do powiedzenia, choć niektóre rzeczy były już raczej starej daty. Nie wszyscy w korespondencji posługiwali się gołębiami, a listy powierzane najbardziej godnym zaufania kupcom potrafiły w najlepszych czasach wędrować całymi miesiącami. Natomiast nieuczciwi kupcy przyjmowali opłatę pocztową i nigdy nie troszczyli się, by dostarczyć list. Nieliczni mogli pozwolić sobie, żeby skorzystać z kurierów. Elayne miała pomysł na Królewską Poczta, gdy tylko sytuacja na to pozwoli. Norry skarżył się, że jego ostatnie wieści z Ebou Dar i Amadoru dotyczyły wydarzeń, o których ulica mówiła już od tygodni.

Poza tym nie wszystkie wiadomości były istotne. Jego korespondenci tak naprawdę nie dysponowali kompetencjami wyszkolonych szpiegów, po prostu zdawali sprawę z miejskich nowości, dworskich plotek. W Łzie dużo się mówiło o coraz liczniejszych statkach Ludu Morza, które przepłynęły przez Palce Smoka, nie wzięwszy pilota i teraz tłoczyły się w ujściu rzeki pod miastem, o tym, że okręty Atha’an Miere walczyły na morzu z Seanchanami chociaż to ostatnie musiało być wyssane z palca. W Illian panował spokój, miasto było pełne żołnierzy Randa,

dochodzących do siebie po bojach z Seanchanami, nic więcej nie było wiadome – nawet kwestia, czy Rand przebywał w mieście, pozostawała problematyczna. Królowa Saldaei wciąż wycofywała się w głąb kraju, ale o tym Elayne wiedziała z innego źródła. Wyglądało na to, że królowej Kandoru od miesięcy już nie widziano w Chachin, król Shienaru zaś rzekomo dalej nie powrócił z poważnej inspekcji Granicy Ugoru, choć przecież Ugór był spokojniejszy, niżli kiedykolwiek zanotowano za ludzkiej pamięci. W Lugardzie król Roedran wzywał pod broń całą szlachtę, zdolną wystawić własnych zbrojnych, a miasto, które wcześniej drżało przed dwoma wielkimi armiami, stacjonującymi w pobliżu granicy z Andorem – jedną złożoną z Aes Sedai i drugą złożoną z andorańskich żołnierzy – obecnie drżało również na myśl, co też tak paskudny nicpoń jak Roedran zamierzał.

– Jaka jest twoja rada? – zapytała, kiedy już skończył, chociaż wcale nie było to konieczne. Po prawdzie, to nie bardzo jej potrzebowała w diskutowanych wypadkach. Zdarzenia albo miały miejsce zbyt daleko, by wywrzeć bezpośredni wpływ na Andor, albo były nieistotne, ot, po prostu przegląd sytuacji w innych krajach. Mimo to pytania tego od niej oczekiwano, nawet jeśli oboje z góry znali odpowiedź – „nic nie robić” – którą on skwapliwie i regularnie podsuwał. Murandy nie było ani za daleko, ani nie było nieważne, dlatego też w tym wypadku się zawahał, zaciskając usta. Norry był powolny i metodyczny, rzadko jednak się wahał.

– W tym względzie nie mam żadnej rady, moja pani – oznajmił na koniec. – W normalnych okolicznościach zalecałbym wysłanie emisariusza do Roedrana, aby wysondował jego cele i racje. Niewykluczone, że obawia się wydarzeń na północy kraju albo napaści Aielów, o których tyle słyszeliśmy. Z drugiej jednak strony choć nigdy nie zdradzał szczególnych ambicji, może zamierzył sobie jakąś operację w północnej Altharze. Albo nawet w Andorze mając na względzie okoliczności. Nieszczęśliwie się składa... – Wciąż przyciskając teczkę do piersi, rozłożył, na ile mógł, dłonie, może chcąc przeprosić, może wyrazić swą konfuzję.

Nieszczęśliwie się składało, że jeszcze nie była królową i żaden emisariusz przez nią wysłany nawet nie dotrze w pobliże Roedrana. Jeśli jej roszczenia do tronu spełzną na niczym, on zaś wcześniej przyjmie jej wysłannika, zwycięski konkurent może w trybie nauczki zechcieć zaanektować część terytorium Murandy, tak jak to już miało miejsce w przypadku lorda Luana i pozostałych. Jednak w tym przypadku dzięki Egwene dysponowała lepszymi informacjami niż Pierwszy Urzędnik. Nie miała wprawdzie najmniejszego zamiaru zdradzać ich źródła, postanowiła jednak nieco go uspokoić. Pewnie dlatego właśnie tak wykrzywił usta – wiedział, co trzeba zrobić i nie potrafił wymyślić, jak to należy zrobić.

– Znam cele Roedrana, panie Norry, i wiem, że ograniczają się one do samego Murandy. Andoranie w Murandy przyjęli hołdy lenne od północnej murandiańskiej szlachty, co wprawilo resztę w stan pewnego niepokoju. Poza tym jest jeszcze wielki oddział najemników... tak naprawdę to są to Zaprzysiężeni Smokowi, jednak Roedran uważa, że to najemnicy... których w tajemnicy wynajął, aby po wymarszu tamtych armii zostali na miejscu i siali zamieszanie. Powstałe w ten sposób poczucie zagrożenia chce wykorzystać do związania ze sobą szlachty tak mocnymi więzami, żeby nikt nie ważył się wystąpić przeciwko niemu, gdy wszelka groźba zniknie. Jeśli jego plan się powiedzie, może w przyszłości sprawiać problemy... już choćby przez to, że będzie chciał odzyskać te północne regiony... w chwili obecnej jednak nie przedstawia sobą żadnego zagrożenia dla Andoru.

Oczy Norry'ego rozszerzyły się, przekrzywił głowę to w jedną stronę, to w drugą, przyglądając się jej badawczo. Zanim się odezwał, oblizał wargi.

– To by wiele wyjaśniało, moja pani. Tak. Zaiste. – Jego język znowu mignął w szczelinie ust. –

Jest jeszcze jedna kwestia, wspomniana przez moją korespondentkę z Cairhien, kwestia, o której... zapomniałem nadmienić. Jak może zdajesz sobie sprawę, twój zamiar zgłoszenia roszczeń do Tronu Słońca znany jest tam i cieszy się znacznym poparciem. Najwyraźniej jednak wielu Cairhienian posuwa się dalej, otwarcie mówiąc o wyprawie do Andoru, udzieleniu ci wsparcia w zdobyciu Tronu Lwa, uzasadniając to tym że wówczas i Tron Słońca szybciej będzie mógł stać się twoją własnością. Przypuszczam, że nie potrzebujesz mojej rady w kwestii dotyczącej tego rodzaju propozycji?

Skinęła głową, okazując wdzięczność, wedle swego zdania, jak najbardziej stosowną w danych okolicznościach. Pomoc z Cairhien mogłaby się okazać gorsza niż najemnicy, ponieważ między oboma krajami zbyt wiele zaległo zastarzałej nienawiści. Nie zapomniał o tym. Halwin Norry nigdy o niczym nie zapominał. Dlaczego więc zdecydował się jej o tym powiedzieć, miał próbować wziąć ją z zaskoczenia, być może nawet poczekać, aż jej pierwsi cairhieniańscy poplecznicy pojawią się w mieście? Czy głębia jej wiedzy wywarła na nim takie wrażenie? Czy może bał się, że cała rzecz się wyda? Cierpliwie czekał na to, co ona ma zamiar powiedzieć, niczym wyschnięta czapla czatująca... na rybę?

– Proszę mi przygotować list do podpisania i opieczutowania, panie Norry, zaadresowany do wszystkich większych Domów w Cairhien. Na początku niech będzie uzasadnienie moich praw do Tronu Słońca jako córki Taringaila Damodreda oraz deklaracja ogłoszenia ich, gdy tylko wydarzenia w Andorze na to pozwolą. Napisz, że nie przywiodę ze sobą żadnych wojsk, ponieważ wiem, że wprowadzenie andorańskich żołnierzy na cairhieniańską ziemię nastawiłoby wszystkich mieszkańców wrogo wobec mnie, i słusznie. Na koniec powinny być moje wyrazy uznania dla wielu Cairhienian za wsparcie mej sprawy i wyrazy nadziei, że jakiegokolwiek podziały zaistnieją w Cairhien, zostaną one pokojowo zażegnane. – Obdarzeni inteligencją zrozumieją ukrytą między wierszami aluzję i przy odrobinie szczęścia wytłumaczą ją wszystkim tym, którzy nie okazali się dość bystrzy.

– Zgrabna replika, moja pani – powiedział Norry, lekko garbiąc ramiona na podobieństwo ukłonu. – Wszystko zostanie przy gotowane. Jeśli mogę spytać, moja pani, czy znajdziesz czas na podpisanie rachunków? Aha. Nieważne. Podeślę je przez kogoś w późniejszym czasie. – Tym razem ukłonił się właściwie, jeśli nie mniej niezgrabnie niż przed chwilą i zebrał już do wyjścia, by znowu się zatrzymać. – Wybacz mi śmiałość, moja pani, ale do złudzenia przypominasz naszą drogą nieboszczkę królową, twoją matkę.

Przyglądając się, jak zamyka za sobą drzwi, myślała równocześnie, czy może w nim widzieć sprzymierzeńca. Bez urzędników zarządzanie Caemlyn, a cóż dopiero Andorem, stanowiło czystą niemożliwość, natomiast pozbawiony nadzoru Pierwszy Urzędnik mógł rzucić każdą królową na kolana. Komplement nie był tym samym co deklaracja bezwarunkowej lojalności.

Czasu na przetrwanie tej kwestii nie dano jej wiele, ponieważ dosłownie kilka chwil po wyjściu Norry'ego do komnaty weszły trzy odziane w liberię pokojówki, wnosząc przykryte srebrnymi kloszami tace, które następnie ustawiły rzędem na długim stole pod ścianą.

– Pierwsza Pokojówka powiedziała, że moja pani zapomniała posłać po swój południowy posiłek – oznajmiła okrągłutka, siwowłosa kobieta, kłaniając się dwornie i równocześnie gestem nakazując swym młodszym towarzyszkom podnieść wysokie klosze – a więc przysyła waszej wysokości te oto dania do wyboru.

Do wyboru. Kręcąc głową nad zgromadzonym jadłem, Elayne odczuła nagle boleśnie, ile to już czasu minęło od zjedzonego o brzasku śniadania. Przed sobą miała pokrojony udziec jagnięcy z musztardowym sosem, kapłona zapiekanego z suszonymi figami, słodki chleb z orzeszkami

pinowymi, krem z porów i zupeł ziemniaczaną, gołąbki z liści kapusty nadziewane rodzynkami i pieprzami, ciasto z dyni, nie wspominając już o talerzu z tartą jabłkową i budyniu udekorowanym bitą śmietaną. Znad dwu brzuchatych srebrnych dzbanów wina unosiła się para – dwu, na wypadek gdyby wolała ten, a nie innym sposób przyprawienia trunku. W trzecim dzbanie była gorąca herbata. A wstydliwie wciśnięty w róg jednej z tac znajdował się posiłek, jaki zwyczajowo zamawiała o tej porze – klarowny rosół i chleb. Reanne Harfor bardzo się to nie podobało, zawsze powtarzała, że Elayne jest „chuda jak patyk”.

Pierwsza Pokojówka najwyraźniej nie kryła się ze swoimi opiniami. Siwowłosa kobieta obrzuciła ją pełnym nagany spojrzeniem, widząc, jak bierze chleb, rosół oraz herbatę i niesie na środek pomieszczenia, gdzie na białej serwetce stoi porcelanowa filiżanka, talerzyk i srebrna miseczka miodu. Jak też tacka z kilkoma suszonymi figami. Pełny żołądek w południe, tępa głowa po południu, jak to mawiała Lini. Jej opinii jednak jakoś nikt nie podzielał. Wszystkie pokojówki były raczej kobietami mile pulchnymi, a nawet dwie młodsze z niesmakiem pozierały, gdy kazano im odmaszerować z nietkniętymi tacami.

Rosół był wszakże bardzo dobry, gorący, lekko przyprawiony, herbata zaś przyjemnie miętowa, niedługo jednak dane jej było cieszyć się posiłkiem i lekko trapić myślą, że właściwie należało spróbować przynajmniej odrobinę tego pysznie wyglądającego budyniu. Nim przełknęła dwa kęsy, do komnaty jak trąba powietrzna wtargnęła Dyelin w zielonej sukni do konnej jazdy, ciężko dysząc. Elayne odłożyła łyżeczkę na podstawek i zaproponowała tamtej herbatę, zbyt późno się orientując, że jest tylko jedna filiżanka, na szczęście Dyelin gestem zbyła propozycję, a jej twarz wykrzywił złowróżbny grymas.

– W lesie Braem stacjonuje armia – oznajmiła – wielka jak żadna siła, jaką znał świat od Wojen z Aielami. Wieści przywiózł rankiem kupiec przybywający z Nowego Braem. Solidny, godny zaufania człowiek, znany jako Tormon, Illanin, nie ulegający podszeptom wyobraźni i nieskłony dostrzegać licha za każdym krzakiem. Powiada, że widział w jej szeregach Arafellian, Kandoran, Shienaran. Wszystkiego razem tysiące. Dziesiątki tysięcy. – Osunęła się w fotel i zaczęła wachlować dłonią. Jej twarz pokraśniała, jakby biegła, chcąc najszybciej dostarczyć wieści. – Cóż, na Światłość, żołnierze z Ziem Granicznych robią na granicy Andoru?

– Założę się, że to sprawka Randa – odrzekła Elayne. Tłumiąc ziewnięcie, wypła resztkę herbaty i ponownie napełniła filiżankę. Ranek był wprawdzie męczący, lecz odpowiednia ilość herbaty postawi ją na nogi.

Dyelin przestała się wachlować i usiadła prosto.

– Nie sądzisz chyba, że to on ich wysłał, nieprawdaż? Żeby ci pomóc?

Ta możliwość nie przyszła Elayne do głowy. Chwilami żałowała, że wtajemniczyła tę kobietę w swoje uczucia wobec Randa.

– Nie wydaje mi się, by się okazał... by mógł się okazać takim głupcem.

Światłości, ależ była zmęczona! Czasami Rand zachowywał się jakby był królem świata, z pewnością jednak nie mógłby... Nie mógłby... Myśl o tym, czego nie mógłby zrobić, osobliwie wyslizgiwała się z jej głowy.

Słumiła kolejne ziewnięcie, spojrzała na trzymaną w dłoni filiżankę i poczuła, że oczy otwierają jej się jak szeroko. Chłodny, miętowy smak. Uważnie odstawiła naczynie, a przynajmniej próbowała. W każdym razie ledwie trafiła w spodek, filiżanka przewróciła się, rozlewając herbatę na stolik. Herbata była zaprawiona widłokorzeniem. Zdając sobie sprawę, że nic z tego nie będzie, sięgnęła do Źródła, próbowała zaczerpnąć życia i radości *saidara*, równie dobrze jednak mogłaby chwytać wiatr w sieci. Irytacja Birgitte, znacznie mniej dokuczliwa niż jeszcze przed momentem,

wciąż tkwiła w głębi jej umysłu. Szaleńczo próbowała wzbudzić w sobie strach, trwogę. Zdawało jej się, że głowę ma wypchaną wełną, wszystko zdawało się przytłumione, odległe.

„Pomóż mi, Birgitte!” – pomyślała. „Pomocy!”.

– Co się dzieje? – dopytywała się Dyelin, pochylając gwałtownie. – Pomyślałaś sobie o czymś strasznym?

Elayne zamrugła, patrząc na nią. Zapomniała w ogóle o istnieniu tej kobiety.

– Biegnij! – powiedziała ochryłym głosem, potem przełknęła z wysiłkiem ślinę, próbując mówić wyraźniej. Jednak język wydawał się spuchnięty niczym kołek. – Sprowadź pomoc! Otruto..mnie! – Wyjaśnianie zabrałoby zbyt dużo czasu. – Biegnij!

Dyelin gapiała się na nią, najwyraźniej niezdolna wykonać ruchu, po chwili jednak chwiejnie powstała, chwytając rękojeść noża.

Drzwi otworzyły się i któryś ze służących niepewnie wsunął głowę do środka. Elayne poczuła napływ ulgi. Dyelin nie pchnie jej nożem w obecności świadka. Tamten jednak oblizywał wargi, jego spojrzenie przeskakiwało od jednej kobiety do drugiej. Potem wszedł do wnętrza. Wyciągnął zza pasa nóż o długim ostrzu. W ślad za nim pojawili się kolejni dwaj mężczyźni w czerwono-białej liberii, każdy trzymał w ręku ostrze.

„Przecież nie umrę tutaj bezradna jak kociak w worku” – pomyślała z rozpaczą Elayne. Z wysiłkiem jakoś się podniosła. Kolana pod nią drżały, musiała jedną dłonią oprzeć się o stół, drugą zdołała jednak wyciągnąć swój sztylet. Zdobione ostrze było ledwie tak długie jak jej dłoń, ale to zawsze będzie coś. Przynajmniej byłoby, gdyby ściskające rękojeść palce nie były całkiem zdrętwiałe. Dziecko mogłoby ją rozbroić. „Ale nie bez walki” – pomyślała. Umysł grzązł jej w lepkiem syropie, jednak jakoś starała się zebrać resztki determinacji. „Nie bez walki!”.

Dziwne, jak wolno płynął czas. Dyelin zdążyła się ledwie odwrócić do swych pacholek, ostatni właśnie zamykał drzwi.

– Mordercy! – zawyła Dyelin. Porwała z posadzki swoje krzesło i cisnęła nim w kierunku napastników. – Straż! Mordercy! Straż!

Tamci trzej próbowali się usunąć z drogi nadlatującemu meblowi, ale jeden był zbyt wolny i krzesło podcięło mu nogi. Z okrzykiem zatoczył się na stojącego obok, obaj przewrócili się. Trzeci, szczupły, białowłosy młodzik o jasnoniebieskich oczach skradał się ku kobietom z wystawionym ostrzem.

Dyelin stawiała mu czoło, cięła, kłuła nożem, tamten jednak był zwinny jak łasica i z łatwością unikał jej ataków. Błysnęło jego długie ostrze i Dyelin z okrzykiem zatoczyła się do tyłu, trzymając za brzuch. Tamten błyskawicznie postąpił naprzód, pchnął, Dyelin zaś krzyknęła raz jeszcze i osunęła się na posadzkę bezwładna niczym szmaciana lalka. Zabójca przeszedł nad nią i ruszył ku Elayne.

Cały świat zniknął, był tylko on i nóż w jego dłoni. Nie spieszył się. Szedł ku niej odmierzoną krokiem, cały czas czujny. Oczywiście. Wiedział, że ma do czynienia z Aes Sedai. Musiał się zastanawiać, czy mikstura zadziałała. Próbowała stanąć prosto spojrzeć nań groźnie, blefem zyskać bodaj kilka chwil, on jednak skinął z zadowoleniem głową, zważył w dłoni nóż. Gdyby była w stanie cokolwiek zdziałać, już by to zrobiła. Na jego twarzy nie było jednak bodaj śladu zadowolenia. Po prostu mężczyzna mający pracę do wykonania.

Nagle przystanął, zdumiony opuścił wzrok. Elayne też się zagapiła. Z jego piersi sterczał długi na stopę fragment stali. W kącikach ust wystąpiła krwawa piana, on zaś runął na stół, roztrzaskując go z łomotem.

Elayne chwiejnie osunęła na kolana, ledwie zdoławszy znów przytrzymać się stołu, co powstrzymało ją przed dalszym upadkiem. Z niebotycznym zdumieniem przyglądała się ciału

mężczyzny, którego krew wsiąkała w dywan. Z jego pleców sterczała rękojeść miecza. Ciężkie jak ołów myśli za nic nie chciały płynąć szybciej. Dywanów nigdy już się nie oczyści z tej całej krwi. Powoli uniosła wzrok i spojrzała ponad nieruchomym ciałem Dyelin. Tamta chyba nie oddychała. Jej wzrok objął drzwi. Otwarte drzwi. Jeden z pozostałych skrytobójców spoczywał w wejściu, jego szyja wygięta była pod dziwnym kątem, jakby głowa nie należała już do ciała. Drugi walczył z kolejnym mężczyzną w czerwono-białym kaftanie – stękali i kotłowali się na podłodze, próbując dosięgnąć tego samego sztyletu. Zabójca próbował wolną dłonią oderwać rękę tamtego, zaciskając się na jego gardle. No właśnie. Ten drugi. Mężczyzna z twarzą, której istnienie uderza jak topór. Nad białym kołnierzem kaftana Gwardzisty.

„Pośpiesz się, Birgitte” – pomyślała mętnie. „Błagam, pośpiesz się”.

Ogarnęła ją ciemność.

# PLAN UWIEŃCZONY SUKCESEM

Mrok. Elayne otworzyła oczy, wpatrując się w mętne cienie tańczące na tle mglistej bieli. Na twarzy czuła chłód, reszta ciała była spocona i rozpalona, coś krępowało jej ręce i nogi. Na mgnienie targnęła nią panika. Potem wyczuła w pomieszczeniu obecność Aviendhy, codzienną, przynoszącą ukojenie świadomość bliskości Birgitte odczuwaną w głębi czaszki jak pięść zimnego, opanowanego gniewu. Zrozumiał, że tamte są przy niej, uspokoiła się. Znajdowała się we własnej sypialni, leżała pod prześcieradłem własnego łóżka i patrzyła na napięty płócienny baldachim, obłożona butelkami z gorącą wodą. Ciężkie zimowe zasłony łoża były odsunięte i przywiązane do słupków baldachimu, jedyne oświetlenie dostarczały pomieszczeniu płomienie pełgające po palenisku kominka, ale starczało ich tylko, by wzbudzić taniec cieni, zamiast je przegonić.

Nie zastanawiając się, sięgnęła do Źródła i znalazła je. Dotknęła *saidara*, rozkoszując się cudownym uczuciem, ale nie zaczerpnęła Mocy. Natychmiast wezbrało w niej pragnienie całkowitego otwarcia się, z niechęcią sprzeciwiła się mu. Och, jakże niechętnie i to nie tylko dlatego, że pragnienie wypełnienia strumieniem głębszego życia *saidara* często stanowiło nienasyconą potrzebę, nad którą należało panować. Podczas tych niekończących się chwil bezradnej trwogi, największym przerażeniem nie napawała jej wcale śmierć, lecz myśl, że już nigdy więcej nie dotknie Źródła. Kiedyś pewnie zdziwiłaby ją taka myśl.

Nagle powróciły wspomnienia, aż usiadła chwiejnie, a koce zsunęły się z niej. Natychmiast przykryła się znowu. Muśnięcie lodowatego powietrza na mokrej od potu skórze przeszyło ją dreszczem. Poza tym rozebrały ją na wet z bielizny, a choćby się nawet najbardziej starała, nie była w stanie naśladować swobody, z jaką Aviendha paradowała nago na oczach innych ludzi.

– Dyelin? – zapytała niespokojnie, wiercąc się, by szczelnie okryć kocem. Szło jej z trudem, czuła skrajne wyczerpanie i zawroty głowy. – I ten Gwardzista. Czy...?

– Tamten wyszedł bez jednego draśnięcia – odpowiedziała Nynaeve, wyłaniając się spośród roztańczonych cieni, sama cieniowi podobna. Położyła dłoń na czole Elayne i mruknęła, najwyraźniej zadowolona, że nie znalazła gorączki. – Uzdrowiłam Dyelin. Jednak trochę czasu upłynie, zanim odzyska pełnię sił. Straciła dużo krwi. Z tobą również nie jest najgorzej. Przez jakiś czas myślałam, że może się przyplątać gorączka. Tak to czasami bywa w przypadkach wielkiego osłabienia.

– Nie Uzdrowiła cię, tylko leczyła ziołami – kwaśno skomentowała Birgitte ze swego miejsca w nogach łóżka. W całkowitych niemal ciemnościach widać było tylko zarys jej skulonej, złowieszczej sylwetki.

– Nynaeve al'Meara jest dostatecznie mądra, żeby wiedzieć, co należy zrobić – bezbarwnym głosem dodała Aviendha. Jak zwykle wolała posadzkę od krzesła. Przykucnęła więc podścianą, ale tak naprawdę widać było tylko biel jej bluzki i błyski polerowanego srebra. – Rozpoznała smak widłokorzenia w herbacie, a ponieważ nie wiedziała, jakimi splotami zneutralizować jego działanie, wolała bez potrzeby nie ryzykować.

Nynaeve parsknęła ostro. Bez wątplenia było to spowodowane tyleż wystąpieniem Aviendhy w jej obronie, co kąśliwością Birgitte. Nynaeve, jak to ona, prawdopodobnie wolałaby pominąć całkowitym milczeniem i to, czego nie wiedziała i to, czego nie potrafiła zrobić. Zwłaszcza ostatnimi czasy łatwo denerwowała ją choćby najlżejsza wzmianka na temat Uzdrowiania. Od kiedy stało się jasne, że kilka Kuzynek prześcignęło ją na tym polu.

– Sama powinnaś go rozpoznać, Elayne – powiedziała szorstko. – W każdym razie zielinek i

kozi języczek mogą sprowadzić na ciebie sen, ale są niedoścignione na skurcze żołądka. Uznałam, że z dwojga złego wolałabyś się dobrze wyspać.

Nie chcąc dalej się przypiekać, Elayne wyłowiła spod przykrycia skórzane butelki z gorącą wodą, a potem zrzuciła je na dywan Zadrzała jednak, kiedy przed oczyma stanęło jej wspomnienie dawnych czasów. Żalodne, przepełnione bezradnością dni po tym, jak Ronde Macura zadała jej i Nynaeve widłokorzenia, nie były czymś, czego chętnie wracała. Niezależnie, jakie było działanie ziół, którymi napoiła ją teraz Nynaeve, nie czuła się po nich gorzej, niż czułaby się po widłokorzeniu. Uznała nawet, że pewnie mogłaby wstać łóżka, pod warunkiem, że nie musiałyby chodzić za daleko lub zbyt długo. I potrafiła w miarę jasno myśleć. Za oknami lśniła tylko blada księżycowa poświata. Ciekawe, ile nocy już minęło?

Znowu objęła Źródło i przeniosła cztery niteczki Ognia, żeby zapalić najpierw jedną, a potem następną lampę. Płomyki migoczące w zwierciadlanych półkloszach, choć maleńkie, raziły oczy przyzwyczajone do mroku, Birgitte zrazu osłoniła swoje dłońią. Kaftan Kapitana Generała naprawdę jej pasował – nie ma mowy, żeby nie wywarła wrażenia na kupcach.

– Nie powinnaś jeszcze przenosić – utyskiwała Nynaeve, mrużąc oczy porażone nagłym rozbłyskiem jaskrawości. Wciąż miała na sobie tę samą nisko wyciętą niebieską suknię, w której Elayne widziała ją wcześniej oraz obrzeżony żółtymi frędzlami szal, jak poprzednio odsłaniający ramiona. – Najlepiej, gdybyś kilka dni poświęciła na odzyskanie sił i dużo przy tym spała. – Zmarszczyła brwi na widok butelek z gorącą wodą poniewierających się na dywanie. – Musisz leżeć w ciepłe. Łatwiej zapobiegać gorączce, niż ją potem Uzdrawiać.

– Nie ulega chyba wątpliwości, że Dyelin dziś dowiodła swej lojalności – powiedziała Elayne, uklepując poduszki tak, żeby mogła wesprzeć się na oparciu łóżka; na ten widok Nynaeve aż ręce zadarła z odrazy. Na małej srebrnej tacy obok łóżka stał pojedynczy srebrny puchar z ciemnym winem, który Elayne tylko obrzuciła krótkim, podejrzliwym spojrzeniem. – Dowiodła swej lojalności w niełatwy zaiste sposób. Przypuszczam, że mam wobec niej *toh*, Aviendha.

Aviendha wzruszyła ramionami. Po powrocie do Caemlyn z nieomal śmiesznym pośpiechem, jakby zniecka zdjął ją lęk wobec luksusu mieszkańców mokradeł, powróciła do stylu ubierania się charakterystycznego dla Aielów, rezygnując z jedwabi na rzecz bluzki i workowatych spódnic stroju zwanego *algode*. Przepasana ciemnym szalem, z włosami przewiązanymi zwiniętą ciemną chustą, stanowiła istny model uczennicy Mądrych, jedyną różnicę stanowił fakt, że jej biżuteria ograniczała się do pojedynczego naszyjnika z delikatnie wykutych srebrnych kręgów, daru od Egwene. Elayne wciąż nie potrafiła zrozumieć jej postępowania. Kiedy nosiła rzeczy mieszkańców mokradeł, tak Melaine, jak pozostałe najwyraźniej dawały jej spokój, natomiast teraz znowu wzięty ją w garść, zaciśniętą równie mocno, co w przypadku nowicjuszek Aes Sedai. Jedyne powodu, dla którego pozwalały jej w ogóle mieszkać w pałacu – w mieście, jeśli już o tym mowa – należało upatrywać w fakcie, że ona i Elayne były pierwszymi siostrami.

– Jeżeli sądzisz, że tak jest, wobec tego tak właśnie jest. – Ton którym stwierdziła rzecz samo przez się oczywistą, niósł w sobie lekkie nutki kpiny. – Ale jest to małe *toh*, Elayne. Miałaś podstawy, by w nią zwątpić. Nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za każdą myśl, siostro. – Zaśmiała się, jakby nagle dostrzegła w tym znakomity żart. – Wtedy groziłaby ci nadmierna duma, a ja musiałabym dzielić ją z tobą, tylko że ciebie Mądre by za to nie pociągnęły do odpowiedzialności.

Nynaeve ostentacyjnie przewróciła oczyma, ale Aviendha zareagowała na to, tylko nieznacznie kręcąc głową, jakby jedyną właściwą reakcją wobec ignorancji tamtej była właśnie cierpliwa rezygnacja. Najwidoczniej od Mądrych uczyła się nie tylko opanowania Mocy.

– Cóż, naprawdę byłoby strasznie, gdybyście padły ofiarą nadmiernej dumy – powiedziała



Birgitte tonem, w których pobrzmiwały nuty podejrzenie przypominające rozbawienie. Twarz jej była jakby nazbyt opanowana, a rysy prawie stężały od powstrzymanego śmiechu.

Aviendha zmierzyła tamtą czujnym spojrzeniem oczu wyzierających z nieruchomej twarzy. Od czasu gdy ona i Elayne niejako adoptowały się wzajem, Birgitte również w pewien sposób stała się częścią ich związku. Oczywiście niejako Strażnik, lecz w roli poniekąd starszej siostry, w który to sposób niekiedy traktowała Elayne. Aviendha nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć, nie bardzo umiała odpowiednio reagować. Dopuszczenie do wąskiego grona osób znających tajemnicę tego, kim Birgitte naprawdę była, dodatkowo chyba komplikowało sprawę. Wahała się między postawą jednoznacznie mającą okazać, że Birgitte Srebrny Łuk bynajmniej jej i nie przeraża, a zaskakującą u niej pokorą, często nie bardzo wiedząc, na co się zdecydować.

Birgitte uśmiechnęła się do niej uśmiechem pełnym szczerego rozbawienia, który jednak gasł w miarę, jak z wielką ostrożnością zaczęła odwijać materiał z niewielkiego pakunku, trzymanego na kolanach. Gdy jej oczom ukazał się wreszcie sztylet z rękojeścią wykładaną skórą i długim ostrzem, wyraz jej twarzy był już całkowicie poważny, a w więzi Elayne poczuła zawzięty gniew. Natychmiast rozpoznała broń – identyczną miała okazję widzieć w dłoni białowłosego zabójcy.

– Nie chodziło im o porwanie cię, siostrze – cicho powiedziała Aviendha.

Głos Birgitte był ponury.

– Po tym jak Mellar zabił pierwszych dwóch... a drugiego rzutem miecza przez całą długość komnaty, niczym w jakiejś przekłętej opowieści barda – trzymała sztylet za koniec rękojeści, ostrzem do góry – odebrał go trzeciemu, a potem nim go zabił. Mieli cztery takie sztylety. Jeden jest zatruty.

– Te brązowe plamy na ostrzu to szary koper zmieszany ze sproszkowaną pestką brzoskwini – powiedziała Nynaeve, moszcząc się na skraju łóżka i krzywiąc z odrazą. – Rzut oka na jego oczy i język, i już wiedziałam, że nie zginął od ciosu.

– Cóż – po dłuższej chwili odezwała się Elayne. Zaiste, cóż? – Widłokorzeń, żebym nie była zdolna przenosić ani nawet drgnąć, jeśli już o tym mowa, a potem dwu ludzi, którzy podtrzymywaliby mnie, podczas gdy trzeci zadałby śmiertelne pchnięcie. Skomplikowany plan.

– Mieszkańcy mokradeł przepadają za skomplikowanymi planami – zauważyła Aviendha. Niespokojnie zerknęła na Birgitte, drgnęła i dodała: – Przynajmniej niektórzy.

– Z drugiej jednak strony, całkiem prosty – powiedziała Birgitte, zawijając z powrotem nóż równie uważnie, co przedtem go odwijała. – Wyszło na jaw, jak łatwo można do ciebie dotrzeć. Wszyscy wiedzieli, że samotnie jadasz. – Długi warkocz zakolysał się, gdy żywo pokręciła głową. – Prawdziwe szczęście, że pierwszy, który cię dopadł, nie miał go w ręku; jeden cios i już byś nie żyła. Prawdziwe szczęście, że Mellar akurat przechodził tamtędy i usłyszał, jak ktoś klnie męskim głosem. Szczęście, którego nie powstydziliby się *ta'veren*.

Nynaeve parsknęła.

– Wystarczyłoby niezbyt głębokie cięcie w rękę. Pestka jest najbardziej trującą częścią brzoskwini. Gdyby pozostałe ostrza były także zatrute, Dyelin nie miałaby najmniejszych szans.

Elayne popatrzyła na przyjaciółki, napotkała ich pozbawione wyrazu, nieruchome spojrzenia i westchnęła. Nadzwyczaj skomplikowany plan. Jakby szpiegów w pałacu nie było dość.

– Ale naprawdę nieliczna straż, Birgitte – oznajmiła na koniec. – Ktoś... dyskretny. – Powinna od razu zdać sobie sprawę, że tamta jest już z góry przygotowana. Wyraz twarzy Birgitte nie zmienił się nawet na jotę, jednak po łączącej je więzi zobowiązań przemknął drobny cień satysfakcji.

– Na początek kobieta, która strzegła cię dzisiaj – powiedziała, nawet nie udając, że się musi zastanowić – oraz jeszcze parę, przeze mnie wybranych. Wszystkiego razem nie więcej niż dwadzieścia. Musi być tyle, żeby strzegły cię dniem i nocą, a jak się okazało, nie może być inaczej –

dokończyła zdecydowanie, choć Elayne najwyraźniej nie miała zamiaru protestować. – Kobiety mogą cię strzec w miejscach niedostępnych dla mężczyzn, a ponieważ są kobietami, z pewnością zachowają dyskrecję. W oczach większości ludzi będą wyglądać na wartę honorową... coś jakby twoje prywatne Panny Włóczni... żeby spotęgować to wrażenie, możemy też ubrać je w odpowiedni sposób, damy im jakieś szarfy, czy co. – Wzmianka o Pannach Włóczni ściągnęła na nią groźne spojrzenie Aviendhy, na które jednak demonstracyjnie nie zwróciła uwagi. – Główny problem, to komu powierzyć dowództwo – ciągnęła dalej, marszcząc czoło w namyśle. – Dwie czy trzy szlachcianki, wszystkie Myśliwe, już domagają się głośno „rangi odpowiedniej dla ich pozycji społecznej”. Te przekłete kobiety z pewnością umieją wydawać rozkazy, nie ma jednak gwarancji, że wiedzą, jakie rozkazy wydawać. Mogę awansować Caseille na porucznika, choć sędzę, iż w głębi serca jest raczej chorążym. – Birgitte wzruszyła ramionami. – Może któraś z pozostałych zacznie zdradzać obiecujące oznaki, wydaje mi się jednak, że jak na razie dają się bardziej na podkomendne niż dowódców.

O tak. Wszystko z góry przemyślane. Nie więcej niż dwadzieścia? Będzie musiała uważnie patrzeć Birgitte na ręce, żeby liczba ta nie wzrosła do pięćdziesięciu. Czy nawet więcej. Będą mogły pilnować jej w miejscach, gdzie mężczyźni nie mają wstępu. Elayne aż zamrugła, uświadamiając sobie, co to znaczy. Prawdopodobnie odtąd nie będzie już mogła nawet wykąpać się w samotności. – Caseille z pewnością się nada. Chorąży potrafi poradzić sobie z dwudziestką. – Ze swej strony pewna była, że jest w stanie przekonać Caseille, aby zachowała umiar w wypełnianiu swych obowiązków. I trzymała swoje strażniczki z daleka od łazienki.

– Ten mężczyzna, który zdążył akurat na czas. Mellar, tak? Co o nim wiesz, Birgitte?

– Doilin Mellar – powoli zaczęła Birgitte, jej brwi ściągnęły się nad oczyma. – Zimny drań, chociaż z pozoru dużo się uśmiecha. Szczególnie do kobiet. Podszczypuje służące i uwiódł chyba ze trzy w ciągu czterech dni... lubi się przechwalać swoimi „podbojami”... ale nie narzucił się żadnej, która mu odmówiła. Twierdzi, że pracował w ochronie karawan, potem był najemnikiem, a teraz stał się Myśliwym Polującym na Róg, z pewnością jego umiejętności potwierdzają tę wersję. Wystarczy tego, żeby zrobić zeń porucznika. Jest Andoraninem, gdzieś z zachodu, z okolic Baerlon, powiada, że walczył po stronie twojej matki podczas Sukcesji, chociaż w tamtych czasach z pewnością był dopiero chłopcem. Niemniej zna właściwie hasła... sprawdzałam... tak więc może rzeczywiście było, jak mówi. Najemnicy kłamią na temat swej przeszłości, nie zastanowiwszy się nawet dwa razy.

Elayne splótła dłonie na podołku i zaczęła się zastanawiać nad osobą Doilina Mellara. Pamiętała tylko mgliście sylwetkę żyłastego mężczyzny o ostrych rysach twarzy, duszącego ostatniego zabójcę podczas walki o zatruty nóż. Człowiek na tyle zaprawiony w Wojskowym rzemiośle, że Birgitte od razu chciała robić zeń oficera. Należało dbać, by maksymalnie dużo oficerskich szarzy obsadzać rodowitymi Andoranami. Ratunek akurat na czas, pojedynczy mężczyzna przeciw trzem i miecz ciśnięty skroś komnaty niczym włócznia; naprawdę, sytuacja żywcem wyjęta z opowieści barda. – Powinien zostać odpowiednio nagrodzony. Awans na kapitana i stanowisko dowódcy mojej straży przybocznej, Birgitte. Caseille może być jego zastępcą.

– Oszalałaś? – Wybuchła Nynaeve, ale Elayne uciszyła ją.

– Wiedząc, że on jest przy mnie, będę się czuła znacznie bezpieczniej, Nynaeve. Z pewnością mnie nie będzie próbował podszczypuwać, zwłaszcza w obecności Caseille i dwudziestu innych kobiet. Pamiętając o jego reputacji, będą przyglądać mu się sokolim wzrokiem. Birgitte, jak powiedziałaś, dwudziestka? Zapamiętam.

– Dwudziestka – nieobecny tonem potwierdziła Birgitte – Co najmniej. – W skupionym na Elayne wzroku nie było śladu roztargnienia. Pochyliła się z napięciem, dłonie wsparła na kolanach. –

Zakładam, że wiesz, co robisz. – Świetnie, choć raz zachowywała się, jak Strażnikowi przystało, a nie tylko te ciągłe kłótnie. – Za uratowanie życia Dziedziczki Tronu, Porucznik Gwardii Mellar jest odtąd Kapitanem Gwardii Mellarem. Dopiero będzie się przechwalał. Chyba że uznasz, iż rzecz lepiej zatrzymać w tajemnicy.

Elayne pokręciła głową.

– Ależ nie, bynajmniej. Niech całe miasto się dowie. Ktoś próbował mnie zamordować, a Porucznik... Kapitan... Mellar uratował mi życie. Jednak wieść o truciźnie zatrzymamy dla siebie. Na wypadek, gdyby coś się komuś wymknęło.

Nynaeve odkaszlnęła głośno i spojrzała na nią z ukosa.

– Pewne dnia przechytrzysz, Elayne. I się natniesz.

– Ona jest naprawdę bystra, Nynaeve al'Meara. – Aviendha zgrabnie powstała, wygładziła spódnice, a potem poklepała róg rękojeści wetkniętego za pas noża. Nie dorównywał rozmiarem broni, którą posługiwała się jako Panna, niemniej wciąż wywierał stosowne wrażenie. – Poza tym ma mnie, żebym strzegła jej pleców. Udzielono mi pozwolenia na zostanie przy niej.

Nynaeve ze złością już otworzyła usta... i ku zdziwieniu wszystkich natychmiast je zamknęła. Z namacalnym wręcz wysiłkiem odzyskała panowanie nad sobą, wygładziła spódnice.

– Na co się gapicie? – mruknęła. – Jeżeli Elayne chce mieć tego człowieka przy sobie, żeby ją podszczypywał, kiedy tylko mu przyjdzie ochota, to jakie mam prawo protestować? – Birgitte rozdziawiła usta, Elayne zaś nie potrafiła się nie zastanawiać, czy Aviendzie nie grozi uduszenie. Oczy wyszły jej z orbit.

Drgnęła, słysząc odległy dźwięk dzwonu wybijającego godzinę na najwyższej z pałacowych wież. Było znacznie później, niż sądziła.

– Nynaeve, Egwene pewnie już czeka na nas. – Nigdzie wokół nie widziała nic, w co mogłaby się ubrać. – Gdzie jest moja sakiewka? Mam w niej pierścień. – Pierścień z Wielkim Wężem wciąż miała na palcu, ale nie o nim myślała.

– Sama udam się na spotkanie z Egwene – zdecydowanie oznajmiła Nynaeve. – Ty nie jesteś w odpowiednim stanie na wejście do *Tel'aran'rhiod*. Tak czy siak, udało ci się przespać całe popołudnie. Założę się, że szybko znów nie uśniesz. A skoro sama wiesz, że masz kłopoty z wejściem w trans na jawie, rzecz jest przesądzona. – Uśmiechnęła się chytrze, pewna zwycięstwa. A przecież to ona, nie kto inny, nabawiła się zeza i zawrotów głowy, próbując wejść w trans jawy, jakiego uczyła ich Egwene.

– Chcesz się założyć, tak? – mruknęła Elayne. – A co postawisz? Ponieważ ja mam zamiar po prostu wypić to – zerknęła na srebrną filiżankę przy łóżku – i gotowa jestem się założyć, że w dziwny sposób zaraz zasnę. Zakład będzie uczciwy, ponieważ oczywiście nic tam nie dodałaś i nie próbujesz podstępem nakłonić mnie do wypicia... Żadną miarą byś tego nie zrobiła, prawda? Tak więc, o co się zakładamy?

Nieznośny uśmieszek zniknął z twarzy Nynaeve jak niepyszny, jej policzki mocno poczerwieniały.

– Naprawdę świetnie – powiedziała Birgitte, wstając. Wsparła się pod boki, stanęła zdecydowanie w nogach łóżka, zarówno wyraz jej twarzy, jak głos były równie pełne potępienia. – Kobieta leczy twoje mdłości, a ty traktujesz ją, jakbyś była Panną Niedotykalską. Może jeśli wypijesz zawartość tej filiżanki, pójdzie spać i na jedną noc zapomnisz o poszukiwaniu przygód w Świecie Snów, ja uznam, że jesteś dostatecznie dorosła, abym mogła uwierzyć, iż wystarczy mniej niż niecała setka gwardzistów, by utrzymać cię przy życiu. Czy też mam przemocą wlać ci do gardła – Cóż, Elayne i tak nie oczekiwała, że tamta wytrzyma długo. Niecała setka?

Jeszcze zanim tamta skończyła, Aviendha gwałtownie odwróciła się w stronę Birgitte, prawie wchodząc jej w słowo.

– Nie powinnaś odzywać się do niej w ten sposób, Birgitte Trahelion – powiedziała, prostując się, aby w pełni dawała się odczuć przewaga wzrostu. Mając na względzie wysokie obcasy butów Birgitte, nie było tego wiele, jednak z szalem ściśle opiętym na piersiach naprawdę w znacznie większym stopniu przypominała jedną z Mądrych niż zwykłą uczennicę. – Jesteś jej Strażnikiem. Jeśli nie wiesz, zapytaj Aan’alleina, jak przystoi się zachowywać Strażnikowi. Jest wielkim człowiekiem, a jednak słucha rozkazów Nynaeve. – Aan’allein to był Lan, Samotny Człowiek, którego dzieje znane były Aielom i znalazły drogę do ich opowieści.

Birgitte od stóp do głów zmierzyła ją spojrzeniem i stanęła lekko pochylona, tracąc tym samym tych kilka dodatkowych cali, jakie dawały jej buty. Z szyderczym uśmiechem otworzyła już usta, żeby skarcić Aviendhę uszczypliwym słowem, jak to zazwyczaj miało miejsce. Jak to zazwyczaj jej się udawało. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, przemówiła Nynaeve, cicho i zdecydowanie:

– Och, na miłość Światłości, Birgitte, przestań. Jeżeli Elayne mówi, że chce tam się udać, wobec tego widocznie tak ma być. Teraz ani słowa więcej. – Wycelowwała w stronę tamtej wyprostowany palec. – Albo ty i ja porozmawiamy sobie później.

Birgitte patrzyła na Nynaeve, jej usta poruszały się, nie wydając dźwięku, w więzi Strażnika pulsowała osobliwa mieszanina irytacji i zawodu. Na koniec opadła w fotel, rozłożyła nogi, buty wspierając tylko na ostrogach w kształcie lwich łbów i coś cicho mruczała pod nosem. Gdyby Elayne jej nie znała, gotowa byłaby uznać, że tamta się dąsa. Żałowała tylko, że nie ma pojęcia, jak Nynaeve się to udało. Przecież nie tak dawno Nynaeve traktowała Birgitte pełnym lęklivosti szacunkiem, jak obecnie Aviendha, jednak najwyraźniej coś się zmieniło. Teraz potrafiła ją zastraszyć z równą bezczelnością, co wszystkich pozostałych. I ze znacznie lepszym skutkiem.

„Kobieta jak wszystkie inne – powiedziała pewnego razu Nynaeve – „Sama mi o tym powiedziała i po zastanowieniu doszłam do wniosku, że ma rację”. Jakby to cokolwiek wyjaśniało. Birgitte to była Birgitte.

– Moja sakiewka – poprosiła Elayne i ku jej zdumieniu, nie kto inny, jak Birgitte właśnie poszła przynieść haftowany złotem mieszek z garderoby. Cóż, Strażnicy zazwyczaj zajmowali się takimi właśnie drobiazgami, Birgitte jednak nigdy nie szczędziła zjadliwego komentarza. Choć niewykluczone, że należało go domniemywać w sposobie, w jaki zaaranżowała swój powrót. Podała Elayne sakiewkę z towarzyszeniem ceremonialnego ukłonu. Aviendhę i Nynaeve zaś skwitowała skrzywieniem ust. Elayne westchnęła. Nie chodziło przecież o to, że wszystkie trzy kobiety nie lubiły się nawzajem, naprawdę zupełnie nieźle się między nimi układało, jeśli tylko nie zwracać uwagi na drobne idiosynkrazje. Czasami po prostu musiały sobie następować na palce.

Dziwacznie skręcony kamienny pierścień, zawieszony na prostym skórzanym rzemyku, spoczywał w sakiewce pod garścią najrozmaitszych monet, obok pieczołowicie zwiniętej jedwabnej chusteczki, w której upatrywała swój największy skarb. *Ter’angreal* z pozoru sprawiał wrażenie wykonanego z kamienia – te wszystkie cętki i pasemka błękitu, czerwieni i brązów – niemniej w dotyku był twardy i gładki niczym stal, ale gdy go zważyć w dłoni, ciężar rozwiewał nawet to złudzenie. Założyła rzemyk na szyję, pierścień spoczął między piersiami, potem zaciągnęła sznurki sakiewki i odłożyła ją na stoliczek, biorąc do ręki srebrną filiżankę. Płyn rozsiewał tylko woń dobrego wina, mimo to jednak uniosła brwi i uśmiechnęła się do Nynaeve.

– Udam się do mojego pokoju – sztywno rzekła tamta. Wstała z łóżka, obrzuciła hardym spojrzeniem i Birgitte, i Aviendhę, w jakiś sposób *ki’sain* na czole nadawał jej jeszcze bardziej bezkompromisowy wygląd. – Obie macie czuwać i trzymać oczy szeroko otwarte! Póki nie ma przy

niej tych kobiet, wciąż jest w nie bezpieczeństwie. Nie muszą też wam chyba przypominać, że odtąd tak już będzie zawsze.

– Sądzisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? – zaprotestowała Aviendha, a równocześnie Birgitte jęknęła:

– Nie jestem idiotką, Nynaeve!

– Skoro tak twierdzicie – odpowiedziała Nynaeve obu naraz – to nie mam innego wyjścia, jak uwierzyć, przynajmniej przez wzgląd na Elayne. I na was obie. – Otuliła się szalem i wyszła z pokoju w sposób tak dostojny, że nie powstydziliby się żadna Aes Sedai. Naprawdę coraz lepiej jej to wychodziło.

– Można by pomyśleć, że to ona jest tu przeklętą królową – skomentowała Birgitte.

– Wiedz o tym, że trawi ją nadmierna duma, Birgitte Trahelion – mruknęła Aviendha. – Zachowuje się jak Shaido, obdarowany przez los jedną kozą. – Pokiwały głowami, na chwilę zjednoczone w doskonałym porozumieniu.

Jednak uwagi Elayne nie umknęło, że czekały ze swymi komentarzami, póki za Nynaeve nie zamknęły się drzwi. Kobieta, która ze wszystkich sił wypierała się pragnienia zostania Aes Sedai, teraz stawiała się nią bardziej niż dowolna spośród nich. Być może Lan miał z tym coś wspólnego. Czasami musiała dokładać widocznych starań, żeby zachować spokój i opanowanie, jednak od czasu dziwnego ślubu przychodziło jej to z coraz większą łatwością.

Pierwszy łyk trunku smakował tylko winem, i to bardzo dobrym, Elayne jednak zmarszczyła brwi i zawahała się przed drugim. Póki nie rozumiała, co robi i dlaczego. Nawiedzało ją wciąż wspomnienie widłokorzenia w herbacie. Co też Nynaeve mogła wrzucić do środka? Jasne, że nie widłokorzeń, ale co? Mocniejsze przechylenie filiżanki nagle zdało się czynnością ponad siły. Zmusiła się jednak, by pociągnąć głęboki łyk.

„Byłam po prostu spragniona” – pomyślała, przechylając się, aby odstawić filiżankę na miejsce. „Wcale nie chciałam niczego dowiedzieć”.

Obie kobiety obserwowały ją przez chwilę, kiedy jednak umościła się wygodnie do snu, odwróciły się ku sobie.

– Będę czuwać w salonie – powiedziała Birgitte. – Tam zostawiłam łuk i strzały. Ty tutaj, na wypadek gdyby czegoś potrzebowała.

Aviendha nie zaprotestowała, wyciągnęła zza pasa nóż i kucnęła nieco z boku, gdzie mogła wcześniej zobaczyć każdego, kto wejdzie do komnaty.

– Zanim wejdiesz z powrotem, zapukaj, najpierw dwa razy, potem raz i przedstaw się – powiedziała. – Inaczej przyjmę, że mam do czynienia z wrogiem. – A Birgitte tylko skinęła głową, jakby właśnie usłyszała słowa płynące z krynicy mądrości.

– To są zupełne głu... – Elayne stłumiła dłonią ziewnięcie. – Głupoty – dokończyła, gdy była już w stanie mówić. – Nikt nie spróbuje już... – Kolejne ziewnięcie, tak szerokie, że chyba mogłaby całą dłoń zmieścić w ustach. Światłości, co Nynaeve dodała do tego wina? – Zabić mnie... dzisiejszej nocy – dokończyła sennie – obie... dobrze... wiecie... – Poczowała, jak jej powieki stają się coraz cięższe, jak zamykają się wbrew największym wysiłkom. Nieświadomie wtuliła twarz w poduszkę, próbując jeszcze dokończyć zdanie, jednak...

Już znajdowała się w Wielkiej Sali, komnacie tronowej pałacu. W Wielkiej Sali, takiej jaką odbijał *Tel'aran'rhiod*. Tutaj skręcony kamienny pierścień, który w świetle jawy zdawał się zbyt ciężki na swoje rozmiary, był prawie nieważki i lekko jak piórko spoczywał na piersiach. Oczywiście otoczenie było jasne, światło docierało jakby zewsząd i znikąd naraz. W niczym nie przypominało światła słonecznego czy światła lamp, ale nawet podczas tutejszej nocy było go dość,

aby wszystko wyraźnie widzieć. Jak to we śnie. Nieustające wrażenie, że się jest obserwowanym przez niewidzialne oczy, kojarzyło się może nie tyle ze snem, co z koszmarem, ale zdążyła do niego przywyknąć.

Wielka Sala była świadkiem doniosłych wydarzeń: słynnych audiencji, formalnych akredytacji ambasadorów obcych państw, Publicznego anonsowania ważnych traktatów i postanowień o wypowiedzeniu wojny, których świadkami byli zgromadzeni dygnitarze – długa komnata znakomicie się do tych celów nadawała, całkowicie teraz wyludniona, sprawiała wrażenie cokolwiek ponurej groty. Otaczały ją z dwu stron rzędy grubych, lśniących białą kolumn, wysokich na dziesięć piędzi, a w jednym krańcu posadzki wysadzanej czerwonymi i białymi płytami, na marmurowym podwyższeniu stał Tron Lwa, do którego wiodły ułożone na stopniach czerwone dywany. Tron zaprojektowano dla kobiety, mimo to sprawiał wrażenie masywnego, które dodatkowo potęgowały, nogi w kształcie grubych lwich łap, rzeźbione i połączane oraz pyszniący się na szczycie oparcia Biały Lew z kamieni księżycowych na polu rubinów, oznajmiający wszem wobec, kto rządzi tutejszym wielkim narodem. Z wielkich witraży osadzonych w wysokim sklepieniu patrzyły na dół królowe, twórczynie potęgi Andoru, między nimi przedstawiono kolejne Białe Lwy i sceny bitewne z czasów, gdy wciąż zmieniały Andor z samotnego miasta rozpadającego się imperium Artura Jastrzębie Skrzydło w ogromne królestwo. Wielu krajów, które powstały w wyniku Wojny Stulecia nie sposób było już znaleźć na żadnej mapie, a jednak Andor przetrwał tysiąc lat i wciąż kwitł. Czasami Elayne wydawało się, że spojrzenia tych witraży osądzają ją, szacując jej przydatność w dziele kontynuowania tradycji.

Chwilę po tym, jak ona sama pojawiła się w Wielkiej Sali, zagościła w niej druga kobieta – ciemnowłosa, młoda, w powłóczystych czerwonych jedwabiach haftowanych w srebrne lwy na lamówce i rękawach, z naszyjnikiem ognistych łez wielkich jak gołębie jaja; zasiadała na Tronie Lwa, Różana Korona wieńczyła jej głowę. Z dłonią wspartą swobodnie na rzeźbionym w lwi łeb oparciu, obejmowała władczy wzrokiem całą Salę. Wtedy jednak jej wzrok spoczął na Elayne i w oczach zamigotało rozpoznanie i... natychmiastowa konfuzja. Zniknęła korona, ogniste łzy i jedwabie, zastąpiły je proste wełny i fartuch. Moment później zniknęła i sama kobieta.

Elayne uśmiechnęła się, szczerze rozbawiona. Nawet podkuchenne śniły o miejscu na Tronie Lwa. Miała nadzieję, że kobieta nie przebudziła się w trwodze, przerażona przywitaniem, jakie ją spotkało, albo przynajmniej, że przeniosła się w innym, miłszy sen. Sen bezpieczniejszy niż śnione w *Tel'aran'rhiod*.

Potem stała się świadkiem zmian zachodzących w komnacie tronowej. Zdobne lampy, stojące pod ścianami w szeregach jakby wibrowały pod wysokimi kolumnami. Wielkie, łukiem zwieńczone drzwi stały raz otworem, raz zamknięte, zmieniając się w mgnieniu oka. Tylko rzeczy, które na jawie przez dłuższy czas zajmowały to samo miejsce, miały szansę na w miarę stabilne odbicie w Świecie Snów.

Elayne wyobraziła sobie stojące lustro... i już miała je przed sobą, a w nim siebie samą: suknią z zielonego jedwabiu z wysokim karczkiem, stanik haftowany srebrem, większe szmaragdy w uszach, a drobnuteńkie wplecione w rudozłote loki. Sprawiała, że szmaragdy we włosach zniknęły, zadowolona skinęła głową. Odpowiednie dla Dziedziczki Tronu, ale nie nazbyt ostentacyjne. Trzeba było naprawdę uważać na to, z jakim wizerunkiem siebie wchodziło się do *Tel'aran'rhiod*, bowiem w przeciwnym razie... Jej skromna zielona suknia zmieniła się w wygodne, miękkie fałdy ubioru z Tarabon, te prawie natychmiast przeszły w szerokie, ciemne spodnie Ludu Morza i bosa stopy, w komplecie razem ze złotymi kółkami w uszach, kółkiem w nosie i łańcuszkiem medalionów, a nawet tatużami na rękach. Jednak bez żadnej bluzki, dokładnie w taki sposób, jak Atha'an Miere nosili się

na pełnym morzu. Z płonącymi policzkami natychmiast powróciła do początkowego stroju, a potem dodatkowo zmieniła szmaragdy w proste srebrne kółka. Im prostszy ubiór się wyobrażało, tym łatwiej było nad nim panować.

Stojące lustro znikło – wystarczyło, że po prostu przestała na nim skupiać uwagę – ona zaś uniosła spojrzenie ku tym srogim obliczom ponad głową.

– Na tronie zasiadały kobiety równie młode jak ja – powiedziała na głos. Nie tak znowu wiele, prawda, i tylko siedmiu udało się zachować przez dłuższy czas Różaną Koronę. – Młodsze jeszcze. – Trzy. I żadna nie wytrzymała dłużej niż rok. – Nie twierdzę, że czeka mnie wielkość równa waszej, ale nie przyniosę wam Wstydu. Będę dobrą królową.

– Mówisz do okien? – na głos Nynaeve Elayne aż się wzdrygnęła. Ponieważ tamta posługiwała się tylko kopią pierścienia wiszącego na szyi Elayne, jej wizerunek był niewyraźny, prawie przezroczysty. Zmarszczyła brwi, dała krok w stronę Elayne i omal się nie przewróciła w obcisłej ciemnoniebieskiej sukni na tarabońską modłę, znacznie bardziej przylegającej do ciała niż ubiór, jaki Elayne wymyśliła dla siebie. Nynaeve zapatrzyła się na swoje odzienie i nagle była już w sukni andorańskiej, aczkolwiek z jedwabiu tej samej barwy, haftowanej złotem na rękawach i staniku. Wciąż od czasu do czasu zdarzało jej się mówić coś o „dobrych, mocnych wełnach z Dwu Rzek”, które miały rzekomo całkowicie jej wystarczać, jednak nawet tutaj, gdzie mogła wyglądać, jak chciała, jakoś nigdy nie wdziewała ich.

– Coś ty dodała do tego wina, Nynaeve? – zapytała Elayne – Zgasłam jak zdmuchnięta świeca.

– Nie próbuj zmieniać tematu. Jeżeli rozmawiasz z oknami, to naprawdę powinnaś spać, zamiast tu się wałęsać. Właściwie to już prawie chciałam ci zaserwować...

– Proszę, nie mów. Nie jestem Vandene, Nynaeve. Światłości, nawet nie znam ze słyszenia połowy zwyczajów, które Vandene i pozostałe traktują jako rzecz samo przez się zrozumiałą. Ale raczej nie okazałabym ci w tej sprawie posłuszeństwa, więc proszę, nie mów nic.

Nynaeve spojrzała na nią wściekle, ostro szarpnęła warkocz. Niektóre części jej sukni zmieniły się: spódnice stały się odrobinę pełniejsze, haft przybrał inny wzór, wysoki karczek obniżył się, a potem podniósł znowu, zakwitł koronką. Miała pewne trudności z zebraniem koniecznej porcji koncentracji. Czerwona kropka na czole nawet jednak nie zadrżała.

– No i świetnie – powiedziała spokojnie, mars zniknął z jej czoła. Obszuty żółtymi frędzlami szal pojawił się na ramionach, oblicze przybrało cień charakterystycznego dla Aes Sedai brakuśladów upływu lat. Jednak ton słów pozostawał w ostrej sprzeczności z wyglądem i bijącym od niej opanowaniem.

– Pozwól, że to ja będę rozmawiała, kiedy Egwene i tamte tu dotrą. Że ja im wyjaśnię, co się dziś wydarzyło. Wy zawsze kończycie na pogaduszkach, stosownych raczej na czas, gdy rozczesywałyście swe włosy przed snem. Światłości! Nie chcę, żeby wobec mnie musiała uciekać się do autorytetu Amyrlin, a sama wiesz, że gdy się o wszystkim dowie, da nam popalić.

– O czym niby? – zapytała Egwene. Nynaeve poderwała głowę, rozejrzała się dookoła z paniką w oczach i na krótki moment jej szal z frędzlami i jedwabną suknię zastąpiła biel Nowicjuszki. Nawet *ki'sain* zniknął. Trwało jednak to tylko przelotną chwilę i zaraz z potem była już taka jak na początku, wyjąwszy tylko biel we włosach, ale tego wystarczyło, żeby na obliczu Egwene zagościł dość ponury grymas. Znała Nynaeve bardzo dobrze. – Jeśli o czym się dowiem, Nynaeve? – powtórzyła bardziej zdecydowanie.

Elayne wzięła głęboki oddech. Prawdę mówiąc nie miała zamiaru niczego ukrywać. Przynajmniej nic, co Egwene mogłaby uznać za ważne. Jednak w obliczu takiego nastroju tamtej, Nynaeve z pewnością wszystko wygada, albo przeciwnie, uprze się i będzie twierdziła, że zupełnie

nic się nie stało. Co tylko sprawi, że Egwene zacznie głębiej dążyć.

– Ktoś zadał mi widłokorzenia w południowej herbacie – powiedziała i ciągnęła dalej, zwięźle opowiadając o mężczyznach ze sztyletami i szczęśliwej odsieczy Doilina Mellara, o tym, jak Dyelin dowiodła swej wierności. Na dokładkę dorzuciła jeszcze wieści o Elenii i Naean, jak też o poszukiwaniach szpiegów, które Pierwsza Pokojówka urządziła w pałacu, a nawet wspomniała o Zaryi i Kirstian oddanych pod opiekę Vandene oraz o ataku na Randa i jego późniejszym zniknięciu. Egwene przyjęła wieści z niewzruszonym spokojem, ucięła nawet słowa Elayne o Randzie, twierdząc, że już wie, ale niespokojnie pokręciła głową, gdy dowiedziała się, że Vandene nie dokonała żadnych postępów w ustaleniu tożsamości Czarnej siostry, to bowiem stanowiło przedmiot jej jak najżywszej troski. – Och, i jeszcze będę miała straż przyboczną – skończyła Elayne. – Dwadzieścia kobiet pod dowództwem Kapitana Mellara. Nie sądzę, by Birgitte była w stanie znaleźć mi drugie Panny, ale z pewnością zrobi wszystko co w jej mocy.

Za plecami Egwene pojawił się stołek z poręczami, nie patrząc nawet, usiadła na nim. Dysponowała znacznie większym opanowaniem reguł świata Snu niż Elayne czy Nynaeve. Miała na sobie ciemnozieloną suknię do konnej jazdy, z dobrego materiału i zręcznie skrojoną, ale całkowicie pozbawioną ozdób, najprawdopodobniej ją właśnie nosiła przez cały dzień.

– Kazałabym wam spotkać się ze mną w Murandy, jutro... dziś w nocy – powiedziała – gdyby tylko przybycie Kuzynek nie spowodowało takiego zamieszania wśród Zasiadających.

Nynaeve doszła już do siebie, chociaż wciąż nerwowo i całkiem niepotrzebnie wyglądała suknię. Haft był teraz srebrny.

– Sądziłam, że Komnata Wieży je ci już z ręki.

– To jest trochę tak, jakbyś karmiła z ręki panterę – odrzekł sucho Egwene. – Poziera na ciebie tymi oczami, łapczywie pochłania i w każdej chwili może ci odgryźć dłoń. No, robią, co powiem, póki to dotyczy wojny z Elaidą... tych prerogatyw nie są w stanie zakwestionować, niezależnie ile muszę wysłuchiwać narzekania na dodatkowy żołądek!... jednak ugoda z Rodziną nie jest częścią wysiłku wojennego, jak również poinformowanie Kuzynek, że Wieża od początku wiedziała o ich poczynaniach. Albo przynajmniej tak się wydawało. Cała Komnata padłaby chyba rażona apopleksją, gdyby wyszło na jaw, czego nie wiedziano. Teraz ze wszystkich sił starają się wymyślić jakiś sposób na ograniczenie naboru nowicjuszek.

– Nie mogą przecież? – chciała wiedzieć Nynaeve. Ona również sporządziła dla siebie siedzisko, ale kiedy oglądała się za siebie, upewniając, że wciąż tam jest, wyglądało jak kopia stołka Egwene, kiedy siadała, zmieniło się w taboret na trzech nogach, a na dobre umościła się w chłopskim krześle z drabinkowatym oparciem. W chwili obecnej miała natomiast na sobie rozciętą suknię do konnej jazdy. – Wydałaś proklamację. Każda kobieta, w dowolnym wieku, byle przeszła próby. Musisz tylko ogłosić podobny dekret, wyraźnie określający Rodzinę. – Elayne własny fotel skopiowała ze stojących w jej salonie. Tak było znacznie łatwiej.

– Och, proklamacja Amyrlin ma moc równą prawu – powiedziała Egwene. – Póki Komnata nie wymyśli sposobu na jej obejście. Najnowsze skargi dotyczą faktu, że mamy tylko szesnaście Przyjętych. Chociaż większość sióstr traktuje Faolain i Theodorin, jakby wciąż były Przyjętymi. Jednak nawet osiemnaście to nie dość, by wystarczyło nauczycielek dla nowicjuszek, co rzekomo stanowi powinność Przyjętych. Tak więc siostry same muszą się tym zajmować. Przypuszczam, że niektóre wierzyły, że wraz z pogodą napływ ustanie; jednak srodze się zawiodły. – Uśmiechnęła się przelotnie, w oczach zamigotały jej psotne iskierki. – Jest jednak nowicjuszka, którą powinnaś chyba poznać, Nynaeve. Nazywa się Sharina Melloy. Babcia wnukom. Przypuszczam, że uznałabyś ją za niesamowitą kobietę.



Krzesło pod Nynaeeve nagle znikło, ona zaś z donośnym łoskotem wylądowała na posadzce. Prawie jednak nie zwróciła na to uwagi, siedziała tylko i patrzyła na Egwene z ostatecznym zdumieniem.

– Sharina Melloy? – zapytała drżącym głosem. – Jest nowicjuszka? – Jej suknia miała teraz krój, jakiego Elayne nigdy w życiu nie widziała, szerokie rękawy, wycięty z przodu i z tyłu dekolt, haftowany w kwiatowy wzór i naszywany małutkimi perłami. Włosy spływały jej do pasa, podtrzymywane czepkiem z księżycowych kamieni i szafirów, umocowanych na złotym druciku nie grubszym niż włos. Na lewym palcu wskazującym lśniła prosta złota obrączka. Tylko *ki'sam* i pierścień z Wielkim Wężem pozostały bez zmian. Egwene zamrugła.

– Znasz ją?

Nynaeeve powstała jakoś i zagapiła się na suknię. Palcami lewej dłoni jakby z wahaniem dotknęła złotego pierścienia. Co dziwne jednak, zostawiła wszystko w tym stanie.

– To wcale nie musi być ta sama kobieta – mruknęła. – Wręcz nie może być! – Zrobiła sobie drugie krzesło identyczne jak u Egwene, popatrzyła na nie groźnie, jakby w ten sposób próbowała zmusić do zachowania formy, w momencie jednak, gdy siadała, ono już miało rzeźbienia i oparcie. – Spotkałam Sharinę Melloy... To się zdarzyło podczas mojej inicjacji na Przyjętą – szybko dodała. – Jednak nie mogę o tym mówić, takie są zasady!

– Oczywiście, że nie możesz – zapewniła ją Egwene, chociaż spojrzenie, jakim obrzuciła Nynaeeve, z pewnością musiało być w równym stopniu pełne zdumienia, co we własnym mniemaniu spojrzenie Elayne. Ale nic nie mogły zrobić, kiedy Nynaeeve postanowiła się uprzeć przy czymś, nawet przysłowiowy muł nie wytrzymał porównania.

– Ponieważ to ty sprowadziłaś Kuzynki, Egwene – zmieniła temat Elayne – może powinnaś wziąć po uwagę kwestię dalszego pożytku z Różdżki Przysięg?

Egwene uniosła dłoń, jakby chciała powstrzymać ją przed dalszym rozwijaniem tego tematu, jej jednak odpowiedź była spokojna i zrównoważona.

– Nie ma potrzeby się nad tym zastanawiać, Elayne. Trzy Przysięgi złożone na Różdżkę Przysięg są tym, co czyni z nas Aes Sedai. Z początku nie do końca to pojmowałam, teraz jednak zdobyłam pewność. Pierwszego dnia po dotarciu do Wieży złożę Trzy Przysięgi na Różdżkę Przysięg.

– To jakieś szaleństwo! – wybuchła Nynaeeve, pochylając się naprzód. Co zaskakujące, krzesło pozostało wciąż to samo. I wciąż ta sama suknia. Nadzwyczaj dziwne. Zaciśnięte pięści wbiła w podolek. – Wiesz, jakie są konsekwencje; Rodzina stanowi dowód! Jak wiele Aes Sedai przeżyło trzysta lat? Albo chociaż dożyło do tego wieku? I nie mów mi, że nie powinnam wspominać wieku. Sama wiesz, że jest to zupełnie bezsensowny zwyczaj. Egwene, Reanne nazywano Najstarszą, ponieważ była najstarszą Kuzynką w Ebou Dar. A tak naprawdę, najstarszą ze wszystkich jest kobieta znana jako Aloisia Nemosini, kupiec oliwny z Łzy. Egwene, ona ma prawie sześć... set... lat! Kiedy Komnata się o tym dowie, założę się, że wszystkie z westchnieniem ulgi odłożą Różdżkę Przysięg na półkę.

– Światłość jedna wie, że trzysta lat to szmat czasu – wtrąciła Elayne – ale nie mogę powiedzieć, bym czuła się szczęśliwa na myśl, iż pozbawiono mnie połowy życia, Egwene. A co się stanie z Różdżką Przysięg w kontekście twojej obietnicy złożonej Kuzynkom? Reanne chce być Aes Sedai, jakie jednak będą konsekwencje, gdy złożą Trzy Przysięgi? Co z Aloisia? Czy padną trupem, jak stoją? Nie możesz prosić ich o złożenie przysięgi, nie wiedząc tego z góry.

– Nikogo nie będę prosić – Egwene wciąż mówiła spokojnie, widać jednak było, jak jej kark sztywnieje, a w głos wkradają się chłodniejsze tony. I twardsze. Spojrzenie świdrowało Elayne głęboko. – Każda kobieta, która zechce zostać siostrą, złożą przysięgę. A każda, która odmówi i

wciąż mienić się będzie Aes Sedai, pozna pełen ciężar sprawiedliwości Wieży.

Pod spojrzeniem tych nieugiętych oczu Elayne z trudem przełknęła ślinę. Twarz Nynaeve pobladła. Nie mogło być żadnych wątpliwości, co Egwene miała na myśli. Nie rozmawiały już z przyjaciółką lecz z Zasiadającą na Tronie Amyrlin, a Amyrlin nie miała żadnych przyjaciółek, gdy przychodziło do ferowania wyroków.

Najwyraźniej zadowolona z ich reakcji Egwene nieco się uspokoiła.

– Rozumiem, na czym polega problem – powiedziała bardziej zwyczajnym tonem, wciąż jednak nie dopuszczającym sprzeciwu. – po każdej kobiecie, której imię zapisane zostało w księdze nowicjuszek, spodziewam się, że zajdzie tak daleko, jak potrafi, że jeśli da radę, to zdobędzie szal i służyć będzie jako Aes Sedai, ale nie chcę oczywiście, aby przez to umarła kobieta, która mogła jeszcze żyć. Gdy tylko Komnata dowie się o Rodzinie... kiedy już skończą się ich spazmy... myślę, że uda mi się namówić Zasiadającą na klauzulę, pozwalającą na wycofanie się tym siostrom, które to zechcą uczynić. Wszystkie zostaną zwolnione z Trzech Przysięg. – Dawno temu już wydedukowały, że Różdżki można używać zarówno w celu wiązania przysięgą, jak uwolnienia od niej, w przeciwnym razie, jak Czarne siostry mogłyby kłamać?

– Przypuszczam, że jest to zadowalające rozwiązanie – przyznała rozsądnie Nynaeve. Elayne tylko skinęła głową, pewna była, że kryje się w tym coś jeszcze.

– Będą się mogły wycofać na łono Rodziny, Nynaeve – delikatnie dodała Egwene. – W ten sposób Rodzina pozostanie na zawsze związana z Wieżą. Kuzynki będą oczywiście mogły pielęgnować własne zwyczaje, przestrzegać swojej Reguły, Kółko Dziewiarskie będzie musiało jednak uznać zwierzchność Amyrlin, jeśli już nie Komnaty, a pozycja Kuzynek będzie niższa niż pozycja sióstr. Chcę, żeby stały się częścią Wieży, a nie żeby poszły własną drogą. Sądzę jednak, że zdobędę ich zgodę.

Nynaeve znów skinęła głową z zadowoleniem, jednak mina jej zrzędła, gdy dotarła do niej w pełni wymowa decyzji. Z obrazy aż zaczęła kipieć.

– Ale...! Pozycja wśród Kuzynek odpowiada przeżyтым latom. Zmusisz siostry do słuchania rozkazów kobiet, które nie były nawet w stanie zostać Przyjętymi!

– Byłe siostry, Nynaeve. – Egwene musnęła palcami pierścień z Wielkim Wężem na prawej dłoni i westchnęła lekko. – Nawet Kuzynki, które zdobyły pierścień, nie noszą go. Siostra również będzie musiała z niego zrezygnować. Nie będziemy już Aes Sedai, Nynaeve, tylko Kuzynkami. – Mówiła takim głosem, jakby ten odległy dzień już stanął jej przed oczyma w pełni towarzyszącej mu straty, po chwili opanowała się i wzięła głębszy oddech. – Dobrze. Coś jeszcze? To była długa noc i chciałabym się trochę wyspać, zanim ponownie stanę przed Zasiadającymi.

Nynaeve marszczyła czoło i zaciskała dłoń w pięść, drugą ręką próbując ukryć pierścienie, najwyraźniej jednak miała już dosyć dyskusji na temat Rodziny. Przynajmniej na jakiś czas.

– Wciąż męczą cię bóle głowy? Myślę, że gdyby masaże tej kobiety na coś się przydawały, przestałabyś je miewać.

– Masaże Halimy czynią cuda, Nynaeve. Bez niej w ogóle nie mogłabym zasnąć. Dobrze, jeszcze coś...? – Urwała, patrząc w kierunku drzwi wiodących do sali tronowej, Elayne również się odwróciła.

Stał tam mężczyzna i obserwował je; wysoki niczym Aiel, o ciemnorudych włosach przetykanych siwizną, jednak takiego niebieskiego kaftana z wysokim kołnierzem żaden Aiel nigdy by nie włożył. Jego sylwetka była muskularna, twarz zaś odległe znajoma. Kiedy zobaczył, że mu się przyglądają, odwrócił się i uciekł w głąb korytarza.

Przez moment Elayne gapiała się bez ruchu. Nie mógł po prostu przypadkiem wśnić się do

*Tel'aran'rhiod*, w przeciwnym razie już by zniknął, tymczasem wciąż słyszała głośny tupot jego butów po płytkach posadzki. Albo był wędrującym po snach – co wedle słów Mądrych stanowiło wśród mężczyzn prawdziwą rzadkość – albo dysponował własnym *ter'angrealem*.

Skoczyła na równe nogi, rzuciła się w pościg, a choć zareagowała szybko, Egwene była jeszcze szybsza. W jednej chwili stała obok, w następnej już była przy drzwiach, patrząc w ślad za uciekającym. Elayne spróbowała wyobrazić sobie, że znowu stoi obok niej i faktycznie, natychmiast już stała. Korytarz jednak był już zupełnie cichy i pusty, jeśli nie liczyć lamp, skrzyń i draperii, których kształty migotały i przekształcały się.

– Jak to zrobiłaś? – chciała wiedzieć Nynaeve, która biegła za nimi podkasawszy suknię. Miała jedwabne pończochy, na dodatek czerwone! Kiedy zdała sobie sprawę, że Elayne na nie patrzy, pośpiesznie ją opuściła i zerknęła w głąb korytarza. – Gdzie on się podział? Z pewnością nie mógł wszystkiego słyszeć! Poznałyście go? Przypominał mi kogoś, nie pamiętam kogo.

– Randa – powiedziała Egwene. – Mógłby być wujkiem Randa.

„Jasne” – pomyślała Elayne. „Gdyby Rand miał jakiegoś niedobrego wujka”.

Z drugiego krańca komnaty tronowej dobiegło je echo metalicznego szczęku. Znajdujące się za podium drzwi wiodące do garderoby właśnie się zamknęły. W *Tel'aran'rhiod* drzwi bywały zamknięte, otwarte lub w stanie pomiędzy jednym a drugim, nigdy jednak nie zamykały się z trzaskiem.

– Światłości! – mruknęła Nynaeve. – Kto jeszcze podsłuchiwał naszą rozmowę? Nie wspominając już o tym, po co?

– Ktokolwiek to był – spokojnie odpowiedziała Egwene – najwyraźniej nie zna tak dobrze *Tel'aran'rhiod*, jak my. Spokojnie można również przyjąć, że nie byli to przyjaciele, oni bowiem by nie podsłuchiwali. Podejrzewam też, że wcale nie musieli być przyjaźnie nastawieni wobec siebie, ponieważ podsłuchiwali w przeciwległych końcach komnaty? Ten mężczyzna miał na sobie shienarański kaftan. W mojej armii są wprawdzie Shienaranie, ale obie znacie wszystkich. Żaden nie jest podobny do Randa.

Nynaeve parsknęła.

– Cóż, ktokolwiek to był, wniosek jest jeden: zbyt wielu ludzi kryje się tu po kątach. Takie jest moje zdanie. Chcę z powrotem znaleźć się we własnym ciele, gdzie jedynymi niebezpieczeństwami są szpiedzy i zatrute sztylety.

„Shienaranie” – pomyślała Elayne. Mieszkańcy Ziem Granicznych. Jakim sposobem to mogło jej umknąć? Cóż, pewnie ten drobny kłopot z widłokorzeniem.

– Jest jeszcze jedna rzecz – powiedziała na głos, chociaż przyciszając go nieco w nadziei, że się nie poniesie i przekazała im wieści Dyelin o obecności mieszkańców Ziem Granicznych w lesie Braem. Wspomniała też o korespondencji pana Norry'ego przez cały czas próbując równocześnie obserwować zarówno korytarz jak komnatę tronową. Nie miała zamiaru dać się podejść kolejnemu szpiegowi. – Przypuszczam, że tamtejsi władcy są w lesie Braem – skończyła. – Cała czwórka.

– Rand – szepnęła Egwene z irytacją. – Nawet kiedy go nie ma, wciąż komplikuje wszystko. Macie jakieś pojęcie, czy przybyli, aby się z nim sprzymierzyć, czy spróbują wydać go w ręce Elaidy? Nie potrafię sobie wyobrazić innych powodów, dla których można przemaszerować tysiąc lig. Przecież ich żołnierze pewnie jedzą już zupę z własnych butów! Wiecie, jak trudno jest zapewnić aprowizację maszerującej armii?

– Myślę, że mogę się dowiedzieć – powiedziała Elayne. – To znaczy, wyjaśnić te powody. A równocześnie... Podsunęłaś mi ciekawy pomysł, Egwene. – Nie potrafiła ukryć uśmiechu. Jednak coś wyniknęło ze spraw minionego dnia. – Sądzę, że posłużą mi do zabezpieczenia Tronu Lwa.

Asne przyjrzała się uważnie wysokiej ramie do haftów i westchnęła, a westchnienie natychmiast przeszło w ziewnięcie. Migoczące światło lamp nie bardzo nadawało się do tego zajęcia, ale to nie z tego powodu jej ptaki sprawiały wrażenie cokolwiek niesymetrycznych. Bardzo chciałaby już znaleźć się w swoim łóżku, a poza tym nienawidziła haftowania. Jednak nie mogła się jeszcze położyć, a zajęcie stanowiło jedyną wymówkę dla uniknięcia rozmowy z Chesmal. Przynajmniej tego, co Chesmal nazywała rozmową. Arogancka i zadowolona z siebie Żółta siostra siedziała po drugiej stronie pomieszczenia, bez reszty skoncentrowana, najwyraźniej zakładając, że kto wziął do ręki igłę, podzielał jej własne zainteresowanie robótką. Z drugiej jednak strony Asne doskonale wiedziała, że gdy tylko wstanie z krzesła, Chesmal wkrótce zacznie ją zasypywać opowieściami dowodzącymi jej nadzwyczajnego znaczenia. Podczas miesięcy, jakie upłynęły od zniknięcia Moghedien, ze dwadzieścia razy musiała wysłuchać opowieści o udziale Chesmal w obaleniu Tamry Oспенyi, a przynajmniej pięćdziesiąt o tym, jak Chesmal nakłoniła Czerwone do zamordowania Sierin Vayu, zanim Sierin zdążyła zarządzić jej aresztowanie! Z historii opowiadanych przez nią wynikało, że osobiście uratowała Czarne Ajah, a opowiadała te historie za każdym razem, gdy tylko jej na to pozwolono. Co gorsza, tego rodzaju przechwałki nie tylko były nudne, były również niebezpieczne. Śmiertelnie niebezpieczne, gdyby tylko dotarły do uszu Najwyższej Rady. Dlatego też Asne stłumiła kolejne ziewnięcie, pochyliła nad swoją robótką i wbiła igłę w naciągnięte płótno. Może gdy czerwonego ptaka zrobi większego, wyrówna brak symetrii skrzydeł.

Na szcęk zamka w drzwiach głowy obu kobiet uniosły się. Dwoje służących miało przykazane, aby w żadnym wypadku im nie przeszkadzać, dlatego też z pewnością zarówno kobieta, jak jej mąż dawno już spali. Asne objęła *saidara*, przystępując do tkania splotu, który porazi intruza Ogniem, a równocześnie zobaczyła, że poświata otacza Chesmal. Niewłaściwa osoba przechodząca przez drzwi będzie żałować swego postępu... póki nie umrze.

Okazało się jednak, że to tylko Eldrith, ze ściągniętymi rękawiczkami w dłoni i wciąż w płaszczu. Suknia pulchnej Brązowej siostry była również w ciemnych barwach, pozbawiona jakichkolwiek ozdób. Asne nienawidziła prostych wełen, ale nie wolno im było ściągać na siebie uwagi. Wszelako Eldrith w monotonnym ubiorze było całkiem do twarzy.

Na ich widok przystanąła, zamrugła, przez chwilę na jej obliczu gościł wyraz zmieszania.

– A niech to – powiedziała. – Myślałyście, że kto przyszedł? – Rzuciła rękawiczki na mały stolik przy drzwiach i zdając sobie sprawę, że ciągle jest w płaszczu, zmarszczyła brwi, jakby zastanawiając się, dlaczego też nosi go po domu. Uważnie odpięła srebrną broszę i cisnęła płaszcz nieporządnie na krzesło.

Otoczające Chesmal światło *saidara* zamrugowało i zgasło zaś odsunęła ramę do haftu, wstała. Ostre rysy twarzy jakimś sposobem dodawały jej wzrostu, mimo iż była i tak wysoką kobiet. Wyhaftowane przez nią jaskrawe kwiaty mogły jeszcze przed momentem rosnąć w ogrodzie.

– Gdzie się podziewałaś? – zapytała. Eldrith stała wśród nich najwyżej, poza tym Moghedien osobiście przekazała jej odpowiedzialność za wszystko, jednak do Chesmal chyba nie za bardzo to dotarło. – Miałaś wrócić po południu, a już jest środek nocy!

– Straciłam rachubę godzin, Chesmal – nieobecny tonem odrzekła Eldrith, najwyraźniej zagubiona w myślach. – Minęło tyle czasu, odkąd ostatni raz widziałam Caemlyn. Wewnętrzne Miasto jest zaiste fascynujące, w gospodzie, którą zapamiętałam od ostatniego pobytu, dalej karmią wyśmienicie. Chociaż trzeba przyznać, że nigdy nie było tu tylu sióstr. Nie rozpoznano mnie wszakże. – Przyglądała się swojej zapince, jakby zastanawiając, skąd ją wzięła, potem wrzuciła ją do sakiewki przy pasie.

– Straciłaś rachubę – bezbarwnym tonem powtórzyła Chesmal, splatając palce. Być może po to, by same nie rwały się do gardła Eldrith. Jej oczy lśniły gniewem. – Straciłaś rachubę.

Eldrith znowu zamrugła, jakby zaskoczona, iż tamta w ogóle ma czelność się do niej zwracać.

– Och. Obawiałyście, że może Kennit znowu mnie znalazł? Zapewniam was, że od Samary z wielką uwagą maskuję więź.

Czasami Asne zastanawiała się, ile z pozornego roztargnienia Eldrith było prawdziwe. Nikt do tego stopnia nieświadom otaczającego świata nie mógłby w nim przetrwać ani dnia. Z drugiej jednak strony, w drodze do Samary faktycznie pozwoliła sobie na utratę koncentracji, w której efekcie jej Strażnik ją odnalazł. Posłuszne rozkazom Moghedien, nakazującym im czekać jej powrotu, w ukryciu przetrwały czas zamieszek, jakie nastąpiły po jej wyjeździe, okres, w których tłuszcza tak zwanego Proroka przewalila się, zmierzając ku Amadicii – i dalej ani na krok nie ruszały się z tego paskudnego, zrujnowanego miasteczka, mimo iż Asne od dawna przekonana była, że Moghedien nie wróci. Poczula, jak na wspomnienie tamtej jej usta krzywią się mimowolnie. Do wyjazdu zmusiło je pojawienie się w Samarze Strażnika Eldrith, Kennita, przekonanego, że jest ona morderczynią, na poły pewnego już jej przynależności do Czarnych Ajah i zdecydowanego ją zabić, niezależnie od konsekwencji, jakie sam będzie musiał ponieść. Nic dziwnego, że sama Eldrith konsekwencji tych ponieść nie chciała, dlatego też zabroniła podnosić na niego rękę. Jedyne wyjście pozostawała ucieczka. I znowu Eldrith wskazała Caemlyn, jako ich jedyną ostoję.

– Dowiedziałaś się czegoś, Eldrith? – zapytała grzecznie Asne. Chesmal była idiotką. Jakkolwiek pomieszane zdawały się obecnie sprawy świata, wszystko w końcu wróci do normy. W taki czy inny sposób.

– Co? Aha. Tylko tyle, że jakoś sosu pieprzowego pogorszyła się od czasu mojego ostatniego pobytu w mieście. Oczywiście, było to pięćdziesiąt lat temu.

Asne stłumiła cisnące się na usta westchnienie. Być może mimo wszystko nastał czas, by Eldrith przydarzył się wypadek.

Drzwi otworzyły się i do środka wślizgnęła się Temaile, tak cicho, że zaskoczyła wszystkie. Drobnutka Szara siostra o lisiej twarzy narzuciła na siebie haftowaną w lwy szatę, jednak spod rozcięcia na przedzie wystawał fragment kremowej koszuli nocnej, nieprzyzwoicie przylegającej do ciała. Na nadgarstku dłoni miała bransoletę z poskręcanych szklanych pierścieni. Przynajmniej z wyglądu i dotyku przypominały szkło, ponieważ nawet młotem nie sposób byłoby ich skruszyć.

– Odwiedziłaś *Tel'aran'rhiod* – skwitowała Eldrith, mierząc wzrokiem *ter'angreal*. W jej słowach jednak nie było napastliwości. Wszystkie trochę się obawiały Temaile, przynajmniej od czasu, jak Moghedien kazała im się przyglądać karze ostatniej z sióstr Liandrin. Asne straciła już rachubę ludzkich istot, które sama zabiła lub torturowała w ciągu tych mniej więcej trzydziestu lat, jakie minęły od czasu przywdziania szala, niewielu jednak widziała takich, którzy podchodzili do tego zajęcia równie... entuzjastycznie... co Temaile. Obserwując tamtą i równocześnie udając, że tego nie robi, Asne pośpiesznie pohamowała cisnące się na usta słowa, mając nadzieję, że żadna nie zauważyła. Z pewnością Eldrith nie zauważyła. – Przecież ustaliliśmy, że nie będziemy ich używać – kontynuowała tonem niedalekim proszalnego. – Nie mam wątpliwości, że to Nynaeve zraniła Moghedien, a jeśli ona potrafi pokonać w *Tel'aran'rhiod* jedną z wybranych, to jakie niby my mamy szansę? – Odwróciła się ku pozostałym, próbując przybrać ton nagany. – Wiedzieliście o tym? – Wyszła jej co najwyżej irytacja.

Chesmal spojrzała w oczy Eldrith z urazą, Asne natomiast z udawaną niewinnością. Oczywiście, że wiedziały, która jednak odważy się wystąpić przeciwko Temaile? Zdecydowanie wątpiła, by sama Eldrith zdobyła się na coś więcej niż formalny protest, gdyby nawet była na miejscu w

odpowiedniej chwili.

Temaile doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak ją widzą. Powinna przecież skłonić głowę przed naganą Eldrith, niezależnie jak nieprzekonującą, i przeprosić za postępowanie niezgodne z przykazaniem tamtej. Zamiast tego uśmiechnęła się. Uśmiechem, który nie objął oczu – wielkich, ciemnych i nazbyt błyszczących.

– Miałaś rację, Eldrith. Rację w tym, że Elayne tam się pojawi, że Nynaeve będzie z nią. Przybyły razem i stąd należy wnosić, że razem przebywają w pałacu.

– Tak – powiedziała Eldrith, nieznacznie garbiąc się pod spojrzeniem tamtej. – No, cóż. – A potem oblizwała wargi i nawet przestąpiła z nogi na nogę. – Jednak w takich okolicznościach, póki nie wymyślimy sposobu zmylenia uwagi tych wszystkich dzikusek, które je otaczają...

– Ależ to są tylko dzikuski, Eldrith. – Temaile osunęła się w fotel, moszcząc w nim beztrudnie i w tym momencie ton jej głosu stwardniał. – Mamy przeciwko sobie tylko trzy siostry, a z nimi jesteśmy w stanie sobie poradzić. Dzięki temu, oprócz wyeliminowania tamtych, na dodatek wpadnie nam w ręce Nynaeve i może nawet Elayne. – Znienacka pochyliła się naprzód, jej dłonie zacisnęły się na oparciach fotela. Pominąwszy nieład w ubiorze, nie sposób było się w niej dopatrzeć bodaj śladu indolencji. Eldrith cofnęła się przez jej wzrokiem, niby uderzona. – W przeciwnym razie, jaki jest cel naszego pobytu tutaj, Eldrith? Po co niby tu przybyłyśmy?

Żadna nie potrafiła nic powiedzieć. Ich śladem szły same klęski – w Łzie, w Tanchico – za które pewnie przyjdzie zapłacić życiem, gdy tylko wpadną w ręce Najwyższej Rady. Ostatecznych konsekwencji da się uniknąć, jeżeli będą miały za sobą wstawiennictwo jednego z Wybranych, a skoro Moghedien tak bardzo chciała pojmać Nynaeve, innym również może na niej zależeć. Prawdziwe trudności zaczną się dopiero w momencie, gdy przyjdzie znaleźć jednego z Wybranych, aby ofiarować mu ten dar. Żadnej prócz Asne jakoś jednak nie przyszło to do głowy.

– Byli tam również inni – kontynuowała Temaile, znowu siadając wygodniej. Mówiła teraz głosem prawie znudzonym. – Szpiegowali nasze dwie Przyjęte. Mężczyzna, który dał im się zobaczyć i jeszcze ktoś, kogo jednak nie widziałam. – Wydeła z irytacją usta. Mogłoby to ujść za oznakę nadąsania, gdyby nie jej oczy. – Musiałam kryć się za kolumną, żeby dziewczęta mnie nie zobaczyły. Powinnas być zadowolona, Eldrith, że mnie nie widziały. Jesteś zadowolona?

Eldrith omal się nie zająknęła, potwierdzając, iż jak najbardziej.

Asne czuła przez więź zobowiązań, że jej czterej Strażnicy są coraz bliżej. Po opuszczeniu Samary przestała maskować przed nimi miejsce swego pobytu. Rzecz jasna jedynie Powl był Sprzymierzeńcem Ciemności, pozostali wszelako i tak zrobią, co im każe, uwierzą we wszystko, co powie. Z pewnością trzeba będzie ukrywać ich obecność przed pozostałymi, póki nie zajdzie konieczność ich wykorzystania, wolała jednak mieć pod ręką uzbrojonych mężczyzn. Mięśnie i stal bywały niekiedy nadzwyczaj przydatne. Jeżeli przyjdzie co do czego i spełnią się jej najgorsze obawy, zawsze mogła skorzystać z długiej, cienkiej różdżki, której Moghedien wcale nie ukryła tak dobrze, jak jej się zdawało.

Światło wczesnego poranka barwiło szarością okna salonu, pora była znacznie wcześniejsza od tej, o której zazwyczaj lady Shiaine wstawiała, tym razem jednak była już całkowicie ubrana, nim jeszcze pierwsze promienie słońca rozproszyły mrok. „Lady Shiaine”, tak właśnie obecnie o sobie myślała. W niepamięć poszła Mili Skane, córka rymarza. Pod każdym liczącym się względem naprawdę była tylko lady Shiaine Avarhin, i to już od lat. Lord Willim Avarhin zmienił się w zubożalego szlachetkę, który musiał mieszkać w zrujnowanej chłopskiej chacie, nie mając środków nawet na konieczne naprawy. On i jego jedyna córka, ostatni z wymierającej linii rodu dawna już nie

opuszczali prowincji, trzymając się z dala od ludzki oczu, które mogłaby kłuć ich niedola, teraz wreszcie ich kości spoczęły pogrzebane w lesie niedaleko tej chaty, ona zaś stała się jedyną lady Shaiine – natomiast jej duży, zadbanej dom z kamieni nawet jeśli nie zasługiwał na miano szlacheckiego dworu, z pewnością byłby jak najbardziej stosowny dla dobrze prosperującego kupca. I do takiego też ongiś należał, do kobiety, która również opuściła świat żywych, wcześniej jednak zapisując całe złoto swej „diedzicze”. Meble były ładne, dywany drogie, draperie i nawet poduszki haftowane złotą nicią, na wielkim kominku zżyłkowanego na niebiesko marmuru płonął ogień. Jego prosty niegdyś gzyms kazała wyrzeźbić w przepłatające się godła Avarhin – Serca i Dłonie.

– Więcej wina, dziewczyno – grzecznie rozkazała, a Falion pośpieszyła ze srebrnym dzbanem o długiej szyjce, by napełnić puchar parującym korzennym winem. Falion ślicznie prezentowała się w liberii pokojówki z Czerwonym Sercem i Złotą Dłonią wyhaftowanymi na piersi. Jednak jej pociągła twarz nie zmieniła na moment wyrazu skrępej maski, gdy odniosła dzban na malowaną skrzynię i stanęła z powrotem przy drzwiach.

– Bawisz się w niebezpieczną grę – powiedziała Marillin Gemalphin, obracając własny puchar w placach. Choć z pozoru nie wyglądała na Aes Sedai, koścista kobieta o matowych, bladobrązowych włosach była Brązową siostrą. Jej wąska twarz i wydatny nos bardziej by pasowały do liberii Falion niż do znakomitych błękitnych wełen, stosownych raczej dla kupca o średniej pozycji. – Wiem, że w jakiś sposób została odgradzona tarczą, ale kiedy na powrót będzie w stanie przenosić, będziesz wyć pod jej ręką. – Wąskie usta wygiął pozbawiony wesołości uśmiech. – Niewykluczone, że pożałujesz, iż nie możesz wyć.

– Tak Moridin zdecydował – odparła Shaiine. – Zawiodła w Ebou Dar, dlatego rozkazał, by ją ukarać. Nie znam szczegółów i nie chcę znać, jeśli jednak Moridin zażyczy sobie, żeby wetknąć jej nos w błoto, wsadzę go tak głęboko, iż jeszcze przez rok od chwili obecnej będzie pluć gliną. A może sugerujesz, bym sprzeciwiła się poleceniu Wybranego? – Na samą myśl wstrząsnął ją ledwie krywany dreszcz. Marillin próbowała schować twarz w pucharze jednak ona również wyraźnie zeszywniała. – A co ty sądzisz Falion? – Zapytała Shaiine. – Czy chciałabyś, abym poprosiła Moridina, żeby cię stąd zabrał? Może znajdzie ci jakąś łagodniejszą karę? – A muły zaśpiewają niby skowronki.

Falion nawet się nie zastanawiała. Ukłoniła się w idealnej kopii ukłonu pokojówki, a jej twarz pobladła jeszcze bardziej.

– Nie pani – zaprzeczyła żywo. – Jestem zadowolona z tego, jak mnie się traktuje, pani.

– Widzisz? – powiedziała Shaiine do Aes Sedai. Nie wierzyła oczywiście, by odczucia Falion choćby w najbardziej odległy sposób przypominały zadowolenie, tamta jednak najwyraźniej wołała zaakceptować wszystko, co ją tu czeka, miast stawić czoło niezadowoleniu Moridina. Z tych samych też powodów Shaiine rządziła nią twardą ręką. Nigdy nie wiadomo, co może dotrzeć do uszu jednego z Wybranych i wzbudzić jego irytację. Wierzyła, że jej własny błąd nigdy nie wyjdzie na jaw, ale nie miała zamiaru ryzykować. – Kiedy znowu będzie w stanie przenosić, nie będzie musiała przez cały czas służyć jako pokojówka, Marillin. – Tak czy siak, Moridin pozwolił Shaiine zabić tamtą, kiedy tylko przyjdzie jej ochota. Ta możliwość zawsze stała otworem, na wypadek gdyby coś się zmieniło w ich wzajemnym układzie sił. Zresztą dał jej prawo zabić obie siostry.

– Może i tak – ponuro skomentowała Marillin. Spojrzała ukradkiem na Falion i skrzywiła się. – Przejdźmy do rzeczy. Moghedien kazała mi udzielić ci wszelkiej możliwej pomocy, od razu ci jednak powiem, że nie przeniknę do Królewskiego Pałacu. Według mnie po całym mieście wałęsa się zbyt wiele siostr, ale pałac pełen jest dzikusek. Nie przejdę nawet dziesięciu kroków, a już zorientują się,

kim jestem.

Shiaine westchnęła, usiadła wygodniej, założyła nogę na nogę i machinalnie zaczęła kołysać obutą w pantofel stopą. Dlaczego ludziom zawsze się wydawało, że każdy inny jest gorzej poinformowany od nich? Świat pełen był głupców!

– Moghedien kazała ci być mi posłuszną w każdej sprawie Marillin. Wiem to od Moridina. Nie powiedział tego wprost, ale sądzę Moghedien skacze, kiedy on tylko pstryknie palcami. – Prowadzona w tym tonie rozmowa na temat Wybranych sama w sobie była już niebezpieczna, pewne sprawy jednak należało od razu wyjaśnić. – Masz zamiar dalej twierdzić, że czegoś nie potrafisz wykonać?

Aes Sedai oblizwała usta w wąskiej twarzy i zaryzykowała kolejne spojrzenie na Falion. Bała się, że sama skończy w taki sposób. Prawdę mówiąc, Shiaine nie zastanawiała się ani chwili mogąc zamienić Falion na właściwie wyszkolona pokojówkę damy. Cóż, przynajmniej póki miałyby dalej dostęp do innych usług, do jakich zdolna była tamta. Najprawdopodobniej jednak, gdy cała sprawa dobiegnie końca, obie będą musiały umrzeć. Shiaine nie lubiła zostawiać śladów.

– Nie kłamie – powoli oznajmiła Marillin. – Naprawdę nie ujdę dziesięciu kroków. Ale przecież mamy swoją kobietę w pałacu. Ona może zdobyć dla ciebie to, co potrzebujesz. Jednak nawiązanie kontaktu potrwa jakiś czas.

– Zadbaj o to, żeby ten czas niepotrzebnie się nie dłużył, Marillin. – A więc tak. Jedna z sióstr przebywających w pałacu była Czarną Ajah, no, no. Żeby sprostać potrzebie Shiaine, musiała być Aes Sedai, nie tylko zwykłym Sprzymierzeńcem Ciemności.

Drzwi otworzyły się i do środka zajrzał z pytającym wyrazem twarzy Murellin, jego potężne ciało niemal w całości wypełniło przestrzeń między framugą. Za jego plecami zdołała jednak jakoś dojrzeć drugiego mężczyznę. Kiedy skinęła głową, Murellin odsunął się na bok, przepuszczając Davea Hanlona i zaraz drzwi za tamtym zamknęły się. Hanlon odziany był w czarny płaszcz, jednak przez jego materię zdołał klepnąć Falion w pośladek. Spojrzała na niego ze zgrozą, ale nawet się nie odsunęła. Hanlon stanowił część jej kary. Jednak Shiaine nie miała szczególnej ochoty przyglądać się, jak na jej oczach się zabawiają.

– Później przyjdzie na to czas – powiedziała. – Dobrze poszło?

Szeroki uśmiech przeciął twarz.

– Oczywiście wszystko poszło tak, jak to zaplanowałem. – Odrzucił połę czarnego płaszcza, ukazując znamionujące szarzę złote węzły na ramieniu czerwonego kaftana. – Masz przed sobą Kapitana Straży Przybocznej Królowej.



# PRIORYTETY

Nie zastanawiając się ani chwili, Rand przeszedł przez bramę i znalazł się w mrocznym wnętrzu sporego pomieszczenia. Napięcie towarzyszące utrzymywaniu splotu oraz zmaganiom z *saidinem* sprawiło, że się zachwiał; szarpnęły nim skurcze wymiotne, miał ochotę zgiąć się wpół i zwrócić wewnątrzności. Wysiłku wymagało bodaj zachowanie wyprostowanej postawy. Przez szczeliny okiennic zamykających maleńkie okna, osadzone wysoko na jednej ze ścian, sączyły się do środka smugi światła – akurat dość, żeby mając w sobie Moc, widzieć wszystko. Pomieszczenie pełne było umeblowania, rozmaitych, owiniętych w płótno kształtów, wielkich beczek z rodzaju tych, jakich używano do przechowywania ceramiki, kufrów wszelkich rozmiarów i kształtów, pudeł, skrzyń i czego tam jeszcze. Przejścia między nimi miały ledwie dwa kroki szerokości. Pewien jednak był, że nie zostanie tu myszkującej lub sprzątającej służby. Na najwyższym piętrze Królewskiego Pałacu znajdowało się kilka takich magazynów, sprawiających wrażenie gigantycznych strychów wiejskich chat, dopiero co porzuconych. Poza tym, przecież był *ta'veren*. Niemniej dobrze się stało, że nikogo nie było w pobliżu, gdy otwierał bramę. Jeden z jej krańców równo odciął róg pustej, zawiniętej w popękaną, zgniłą skórę skrzyni, drugi zaś zostawił gładką jak szkło ryse, biegnącą przez całą długość wielkiego stołu z inkrustowanym blatem, zastawionego jakimiś misami i drewnianymi pudłami. Niewykluczone, że któraś z królowych Andoru zasiadała za tym stołem wiek czy dwa temu.

„Wiek czy dwa” – we wnętrzu jego głowy zaśmiał się ochryple Lews Therin. „Naprawdę długi czas. Na miłość Światłości, chodźmy stąd! To Prawdziwa Szczelina Zagłady!”. – Głos cichł, w miarę jak tamten wycofywał się coraz głębiej.

Raz chociaż miał własne powody, by nadstawić ucha na skargi Therina. Odwrócił się w stronę widoku leśnej polany rozpościerającego się po drugiej stronie bramy i gestem kazał Min wejść do środka. Gdy tylko to uczyniła, wypuścił *saidina*, za nią zaś rozbłysła pionowa pręga światła zamykającej się bramy. Na szczęście mdłości odeszły razem z nią. W głowie wciąż mu się trochę kręciło, ale przynajmniej nie miał już ochoty wymiotować i nie zgiąło go wpół. Zostało tylko paskudne wrażenie brudu, biorące się skazy Czarnej, która przeciekała doń przez strumienie, jakie oplótł wokół siebie. Przeniósł ciężar skórzanego worka z jednego ramienia na drugie, spróbował równocześnie rękawem kaftana zetrzeć pot z twarzy. Przynajmniej nie musiał się przejmować tym, że Min coś zauważy.

Wysokie obcasy jej niebieskich butów wzniecały tumany kurzu pokrywającego podłogę, po kilku krokach wszędzie było go już pełno. Akurat na czas zdążyła wydobyć z rękawa koronkową chusteczkę, żeby stłumić gwałtowne kichnięcie, po którym jednak nastąpiło drugie i trzecie, każde bardziej donośne od poprzedniego. Trochę żałował, że nie chciała założyć sukienki. Rękawy i klapy jej niebieskiego kaftana ozdobił haft w kształcie białych kwiatów, również niebieskie zaś, lecz bledsze w odcieniu spodnie ciasno opinały nogi. Wprawdzie z haftowanymi żółtą nitką jasnoniebieskimi rękawiczkami do konnej jazdy wetkniętymi za pasek i w płaszczu obrzeżonym żółtym skomplikowanym haftem, spiętym złotą spinką w kształcie róży, mogła sprawiać wrażenie, jakby trafiła tu w całkiem normalny sposób, z pewnością jednak przyciągałaby wszystkie spojrzenia. On sam włożył szorstkie brązowe wełny, jakie mógłby nosić pierwszy lepszy robotnik. We wszystkich miejscach, jakie odwiedził w ciągu ostatnich kilku dni, ostentacyjnie zaznaczał swą obecność, tym razem nie tylko chciał po prostu zniknąć, zanim rozniesie się wieść o jego obecności, ale nie chciał, by ktokolwiek prócz paru osób zorientował się, że w ogóle tu gościł.

– Dlaczego szczerzysz się do mnie i miętosisz ucho jak jakiś tępak? – zapytała, wsuwając chusteczkę z powrotem do rękawa. W jej wielkich, ciemnych oczach rozbłysła podejrzliwość.

– Właśnie sobie pomyślałem o tym, jaka jesteś piękna – powiedział cicho. Faktycznie, była. Nie potrafił na nią bodaj przelotnie spojrzeć, żeby zaraz nie nawiedzały go takie myśli. Albo żeby nie pożałować, iż okazał się zbyt miękki na oddalenie jej.

Wciągnęła głęboki oddech... i kichnęła, zanim zdążyła osłonić dłonią usta, a potem spojrzała nań w taki sposób, jakby była to jego wina.

– Zrezygnowałam dla ciebie z mojego konia, Randzie al'Thor. Dla ciebie utrefiłam włosy. Tobie oddałam całe moje życie! Ale nie zrezygnuję z kaftana i spodni! Poza tym, nikt tutaj nie widział mnie w sukni dłużej, niż zabrało mi zdjęcie jej. Wiesz dobrze, że to się nie uda, jeśli nikt mnie nie rozpozna. Ty zaś z pewnością z takim obliczem nie możesz udawać, że trafiłeś tu prosto z ulicy.

Machinalnie przesunął dłonią po szczęce, chcąc poczuć swoją prawdziwą twarz, Min widziała przecież kogoś innego. Każdy kto by na niego popatrzył, zobaczyłby mężczyznę – z prostymi ciemnymi włosami, ciemnobrązowymi oczami i kartoflanym nosem – wiele cali niższego i lata starszego niż Rand al'Thor. Tylko ten, który by go dotknął, mógłby zerknąć poza Maskę Zwierciadeł. Nawet Asha'man nie potrafiłby przeniknąć odwróconych splotów. Choć gdyby w pałacu natknął się na Asha'manów, oznaczałoby, że jego plan nie powiódł się w sposób znacznie poważniejszy, niż dopuszczał. Wynikiem tej wizyty nie powinno, nie może być, zabijanie. Niemniej miała rację, nie była to twarz człowieka, któremu pozwolono by swobodnie poruszać się po Królewskim Pałacu.

– Wszystko będzie dobrze, jeśli szybko uwiniemy się z tym, po co przyszliśmy i równie szybko znikniemy – odpowiedział. – Zanim komukolwiek przyjdzie do głowy, że skoro ty tu jesteś, to może ja również będę w pobliżu.

– Rand – zaczęła dziwnie miękkiem głosem, tak że od razu spojrzał na nią podejrzliwie. Wsparła dłoń na jego piersi i zajrzała mu z powagą w oczy. – Rand, naprawdę musisz zobaczyć się z Elayne. Z Aviendhą pewnie również, sam wiesz, że chyba gdzieś tu jest. Jeżeli...

Pokręcił głową i zaraz tego pożałował. Zawroty nie minęły jeszcze na dobre.

– Nie – powiedział grzecznie, lecz zdecydowanie. Światłości! Nieważne, co twierdziła Min, nie potrafił uwierzyć, że Elayne i Aviendha kochały go obie. Nawet może nie tyle w sam fakt, jeśli rzeczywiście jako fakt należało go traktować, ale w to, że przyjmowała go z całym spokojem. Kobiety nie mogły być do tego stopnia dziwaczne! I Elayne, i Aviendha miały powody, żeby go nienawidzić, nie zaś kochać, i w tej sprawie jedna z nich, Elayne, wypowiedziała się całkiem jasno. Najgorszą rzeczą w tym wszystkim było, że on kochał je obie, podobnie jak kochał Min! Przecież musi być twardy jak stal, a tymczasem podejrzewał, że jeśli przyjdzie mu wszystkie trzy spotkać twarzą w twarz, rozsypie się niczym kruche szkło. – Znajdziemy Nynaeve oraz Mata i zaraz stąd znikamy – Otworzyła usta, ale nie pozwolił jej dojść do słowa. – Nie kłóć się ze mną. Min. Teraz nie pora na to!

Min przekrzywiła nieco głowę i uśmiechnęła się lekko, z rozbawieniem.

– Czyja się kiedykolwiek z tobą kłóczę? Czy nie robię zawsze tego, co mi każesz? – Jakby tych absurdów nie było dość, dodała; – Chciałam tylko zauważyć, że skoro tak się spieszysz, to dlaczego przez cały dzień sterczymy w tym zakurzonym magazynie? – Dla podkreślenia swych słów kichnęła znowu.

Z nich dwojga mimo wszystko ona wyglądała bardziej na miejscu w pałacu – nawet tak ubrana – dlatego pierwsza wyszła z pomieszczenia. Okazało się, że magazyn nie mógł być ze szczętem zapomniany, ponieważ zawiasy ciężkich drzwi ledwie skrzypnęły. Rozejrzała się szybko w obie strony, wyszła na korytarz, nakazując gestem, by ruszał za nią. Niezależnie od zaufania, jakie

pokładał w swych mocach *ta'veren*, poczuł ulgę, gdy przekonał się, że w zasięgu wzroku nie ma nikogo. Najbardziej nieśmiały nawet sługa mógłby zacząć dociekać, co też ktoś taki jak on robi na najwyższych piętrach pałacu. Jednak wkrótce i tak przyjdzie spotkać ludzi. Królewski Pałac nie zatrudniał tylu służących co Pałac Słońca albo Kamień Łzy, jednak w miejscu o tych rozmiarach z pewnością musiały być ich setki. Idąc obok Min, próbował powłóczyć nogami i udawać, że gapi się na jaskrawe draperie, rzeźbione boazerie i wypolerowane skrzynie. Wysokich pięter właściwie nie dekorowano szczególnie świetnie, ale człowiek z pospólstwa gapiłby się i tak.

– Powinniśmy najszybciej jak się da zejść na niższe piętro – mruknął. Wciąż nie spotkali nikogo, za następnym rogiem mogli jednak wpaść na dziesięć osób. – Pamiętaj, pierwsze napotkanego służącego zapytasz, gdzie znaleźć Nynaeve albo Mata. I nie wdawaj się w żadne wyjaśnienia, chyba że będzie musiała.

– Cóż, dziękuję, że mi o tym przypominasz, Rand. Wiedziałałam, że o czymś zapomniałam i nie potrafiłam sobie za nic uświadomić, co to było. – Przelotny uśmiech, jakim go obdarzyła, był trochę kwaśny, towarzyszyło mu zirytowane mruknięcie.

Rand westchnął. To była zbyt poważna sprawa, żeby sobie z niej żartować, gdyby jednak jej pozwolił, z pewnością tak by do niej podeszła. Chodziło o to, że ona inaczej na wszystko spoglądała. Czasami różnili się w kwestii tego, co ważne. Zasadniczo się różnili. Będzie musiał zwracać na nią baczną uwagę.

– No proszę, panna Farshaw – powiedział za nimi kobiecy głos. – Mam przyjemność z panną Farshaw, nieprawdaż?

Kiedy Rand odwrócił się gwałtownie, ciężki worek zakołysał się i mocno uderzył go w plecy. Przysadzista kobieta, która teraz ze zdumieniem patrzyła na Min, była prawdopodobnie ostatnią osobą, jaką chciałby spotkać, wyjąwszy chyba tylko Elayne i Aviendhę. Mgliście zastanawiając się, dlaczego też przywdziała czerwony kaftan z wielkim Białym Lwem na piersiach, zgarbił się i unikał spojrzenia w jej oczy. Zwykły robotnik, wykonujący swoją pracę. Nie ma powodu przyglądać mu się dokładniej.

– Pani Harfor? – wykrzyknęła Min, aż promieniejąc z zachwytu. – Tak, to ja. A pani jest właśnie tym, kogo mi trzeba. Obawiam się, że się zgubiłam. Czy może mi pani powiedzieć, gdzie znaleźć Nynaeve al'Meara? I Mata Cauthona? Ten człowiek ma coś dostarczyć Nynaeve.

Pierwsza Pokojówka spod lekko zmarszczonego czoła spjrzała na Randa, potem jednak skupiła całą uwagę na Min. Uniesieniem brwi skwitowała jej strój, a może osiadły na nim kurz, jednak nawet nie zająknęła się na temat jednego czy drugiego.

– Mat Cauthon? Nie wydaje mi się, abym go poznała. Chyba że jest jednym z nowo przyjętych służących lub Gwardzistów – dodała z powątpiewaniem. – Jeśli zaś chodzi o Nynaeve Sedai, jest zajęta. Przypuszczam, że nie będzie miała nic przeciwko, jeśli odbiorę przesyłkę i zaniosę do jej pokoi.

Rand poczuł się, jakby go coś szarpnęło. Nynaeve Sedai? Dlaczego tamte – to znaczy prawdziwe Aes Sedai – dalej pozwalają bawić się w te gierki? I Mata nie ma? Najwyraźniej nigdy tu nie dotarł. Barwy zawirowały mu przed oczyma, prawie układając się w obraz, którego jednak nie potrafił dostrzec. Zniknęły w mgnieniu oka, tymczasem on zdążył się zachwiać. Pani Harfor znowu spjrzała na niego groźnie i parsknęła. Najprawdopodobniej uznała, że jest pijany.

Min również zmarszczyła czoło, ale dlatego, że się namyślała się przez chwilę nawet dotykała palcem brody, ale trwało to tylko moment.

– Sądzę jednak, że Nynaeve... Sedai chciałyby się z nim osobiście spotkać. – Zająknięcie było ledwie zauważalne. – Czy może mu pani wskazać drogę do jej pokoi, pani Harfor? Przed wyjazdem

mam do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Staraj się przyzwoicie zachowywać, Nuli, i rób, co ci każą. To poczciwy człowiek.

Rand otworzył już usta, zanim jednak zdołało wydobyć się z nich choć słowo, ona odwróciła się i poszła w głąb korytarza, prawie biegnąc. Poruszała się w każdym razie tak szybko, że płaszcz powiewał jej za plecami. Żeby sczeźła, zamierzała spotkać się z Elayne! Mogła zniszczyć wszystko!

„Twoje plany rozsypują się w proch, ponieważ tak bardzo chcesz żyć, szaleńcze”. – Lews Therin przemawiał ochrypłym, lepkiem szeptem. „Zrozum wreszcie, że jesteś martwy. Zrozum to i przestań mnie dręczyć, szaleńcze!”. Rand zdusił w sobie ten głos, aż nie przeszedł w stłumiony pomruk, niczym odgłos bitema bzycającego w ciemnościach jego umysłu. Nuli? Co to za imię?

Pani Harfor patrzyła w ślad, póki Min nie zniknęła za rogiem, potem obciągnęła swój kaftan – choć ten wcale tego rodzaju zabiegów nie potrzebował. Przeniosła swe niezadowolenie na Randa. Mimo iż skryty za Maską Zwierciadeł, wciąż był od niej znacznie wyższy, ale Reese Harfor nie należała do kobiet, które tego drobiazgi zbijają z pantaląku.

– Nie podoba mi się twój wygląd, Nuli – powiedziała o ściągając brwi – a więc bacz na każdy swój krok. Jeśli masz odrobinę oleju w głowie, z pewnością rozumiesz, o co mi chodzi.

Jedną dłonią trzymając ramię worka, drugą podrapał się czole.

– Tak, pani – mruknął stłumionym głosem. Pierwsza Pokojówka mogła skojarzyć jego prawdziwe brzmienie. To Min miała przecież mówić, póki nie odnajdą Mata lub Nynaeve. Cóż, na Światłość, pocznie, gdy sprowadzi mu na kark Elayne? I jeszcze Aviendhę? Prawdopodobnie ona również przebywa w pałacu. Światłości! – Zechciej mi wybaczyć, pani, ale powinniśmy się chyba nieco pośpieszyć. Naprawdę mam pilną sprawę. – Poklepał lekko worek. – Nynaeve mówiła, że to ważne. – Jeśli uda mu się przed powrotem Min załatwić sprawę z Nynaeve, być może zdąży ją zabrać zanim będzie musiał stawić czoło tamtym dwóm.

– Jeśli Nynaeve Sedai uznała sprawę za ważną – ucięła pulchna kobieta, ze szczególnym naciskiem wymawiając tytuł, który on pominął – to powinna kogoś poinformować, że się ciebie spodziewa. Dobrze, idź za mną i zatrzymaj dla siebie swoje komentarze oraz opinie.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła przed siebie, również w dalszej drodze ani razu nie obejrzała się, sunąc z majestatyczną gracją. Mimo wszystko co miał zrobić, jak tylko zastosować się do jej rozkazów? Z tego co pamiętał, Pierwsza Pokojówka traktowała jako rzecz samo przez się zrozumiałą, że wszyscy robią, co ona powie. Nieświadomie przyspieszył, żeby ją dogonić, ale dał tylko jeden krok przy jej boku, nim pełne zdumienia spojrzenie sprawiło, że natychmiast się cofnął, drapiąc się po czole i mamrocząc przeprosiny. Ostatnimi czasy nie bardzo zdarzało mu się chodzić za kimś. Z pewnością zaś nie wpłynęło to na poprawę jego nastroju. Ciężko mu wspomnienie mdłości i brud skazy. Ostatnimi czasy zresztą paskudne nastroje nawiedzały go właściwie nieustannie – chyba że Min była obok.

Nim uszli daleko, w korytarzu zaczęli się pojawiać odziani w liberie służący – polerowali, odkurzali, krzątali się, każdy spieszył się tu i tam. Najwyraźniej brak ludzkiej obecności w chwili, gdy wraz z Min opuszczał magazyn, stanowił wyjątek raczej niż regułę. Znowu oddziaływanie *ta'veren*. Zeszli po wąskich schodach dla służby wbudowanych w ścianę – niżej aktywność wrzała ze zdwojoną siłą. Ale w oczy rzucała się też różnica – widział wiele kobiet nie noszących liberii. Miedzianokóre Domani, niskie, blade Cairhienianki, a także kobiety o oliwkowej skórze i ciemnych oczach, które z pewnością nie były Andorankami. Na ich widok uśmiechnął się, cokolwiek zawziętym, pełnym satysfakcji uśmiechem. Na żadnej z twarzy nie dostrzegł nic, w czym mógłby rozpoznać charakterystyczny brak śladów upływu czasu, wielu zaś zmarszczki, których nie sposób byłoby się doszukać obliczu jakiegokolwiek Aes Sedai, jednak wielokrotnie, gdy znalazł się obok, czuł

dreszcz przebiegający po skórze. Przenosiły, przynajmniej trzymały *saidara*. W pewnej chwili pani Harfor poprowadziła go obok jakichś drzwi, gdy znowu poczuł gęsią skórę – za drzwiami jakaś kobieta przenosiła.

– Proszę mi wybaczyć, pani – powiedział ochryplym głosem, który cechował Nuliego. – Czy wiele Aes Sedai przebywa w pałacu?

– To nie jest twoja sprawa – odwarknęła. Potem jednak zerknęła na niego przez ramię, westchnęła i spuściła nieco z tonu. – Przypuszczam, że nic się nie stanie, jak ci powiem. Pięć, licząc lady Elayne i Nynaeve Sedai. – W jej głosie pobrzmiwała lekka nuta dumy. – Minęło dużo czasu, odkąd tyle Aes Sedai gościło w nim równocześnie.

Rand gotów był wybuchnąć śmiechem, choć nie czuł śladu rozbawienia. Pięć? Nie, ta liczba obejmowała również Elayne i Nynaeve. Więc tylko trzy prawdziwe Aes Sedai. Trzy! To, kim były pozostałe, nie miało najmniejszego znaczenia. A zaczął już wierzyć, że plotki o setkach Aes Sedai maszerujących wraz z armią do Caemlyn naprawdę oznaczały, iż tyleż właśnie zechce się opowiedzieć po stronie Smoka Odrodzonego. Okazało się jednak, że nawet jego wstępne nadzieje na coś więcej niż garstkę okazały się zupełnie płonne. Plotki jak zawsze były tylko plotkami. O ile w tym wypadku nie stanowiły efektu jakichś knowań Elaidy. Światłości, co się stało z Matem? Barwy zawirowały w jego głowie – przez moment wydawało mu się, że widzi jego twarz – i potknął się znowu.

– Przyszedłeś pijany do pałacu, Nuli – oznajmiła z mocą pani Harfor – i opuścisz go, gorzko tego żałując. Sama tego dopatrzę!

– Tak, pani – mruknął Rand, drapiąc się po czole. W jego głowie Lews Therin zanosił się szaleńczym śmiechem przez łyż. Przybył tu, ponieważ było to konieczne, ale już zaczynał żałować swej decyzji.

Otoczone poświatą *saidara* Nynaeve i Talaan siedziały naprzeciw siebie w odległości czterech kroków od kominka, rozsiewającego wokół ciepło buzującego ognia, które przeganiało panujący w powietrzu chłód. „Niewykluczone jednak, że za rozgrzanie odpowiedzialny był wysiłek” – pomyślała kwaśno Nynaeve. Według bogato zdobionego zegara na rzeźbionym gzymsie kominka lekcja trwała już godzinę. Godzina przenoszenia bez chwili przerwy rozgrzałaby każdego. Na jej miejscu powinna być Sareitha, jednak Brązowa siostra wymknęła się z pałacu, zostawiając kartkę informującą o jakichś niecierpiących zwłoki sprawach na mieście. Careane stanowczo zaprotestowała przeciwko zajęciu, które zabrałoby jej drugi dzień z rzędu, Vandene zaś absolutnie nie zgadzała się, by w ogóle ją angażowano, wykręcając się absurdalnym pretekstem, że praca z Kirstian i Zaryą nie zostawia jej chwili wolnego czasu.

– W ten sposób – powiedziała, smagając strumieniem Ducha wokół dość beładnej zasłony szczupłej niczym chłopak uczennicy z Ludu Morza. Wzmocniła siłę swego splotu, odpychając strumienie dziewczyny i równocześnie przeniosła trzy oddzielne sploty powietrza. Jednym poślaskotała Talaan pod zebra, przez materię błękitnej lnianej bluzki. Trywialna sztuczka, jednak dziewczyna z zaskoczenia aż westchnęła i przez moment jej uchwyt na Źródle osłabł, a ją wypełniło drobniutkie zawirowanie Mocy. W tym ułamku sekundy Nynaeve zwolniła nacisk na strumienie tamtej i uderzyła własnym splotem w pierwotny cel. Próba oddzielenia Talaan tarczą wciąż przypominała uderzenie pięścią w ścianę – pominąwszy fakt, że ból ciosu rozkładał się równo po całym ciele, a nie tylko porażał dłoń, w czym jednak trudno było upatrywać jakiejś jaśniejszej strony całego przedsięwzięcia – jednak w obecnej sytuacji otaczająca tamta poświata *saidara* zgasła, a prawie równocześnie jeden z dodatkowych strumieni Powietrza otoczył ramiona Talaan, krępując je

przy bokach, drugi zaś związał na wysokości kolan jej odziane w szerokie ciemne spodnie.

Nadzwyczaj zgrabnie wykonane, pomyślałaby może w innych okolicznościach Nynaeve. Dziewczyna była bardzo zdolna i zręcznie wychodziło jej tkanie splotów. Poza tym, próba oddzielenia tarczą kobiety, która akurat przenosiła Moc, w najlepszym wypadku była ryzykowna, w najgorszym zaś skazana na całkowite niepowodzenie, chyba że dysponowało się znacznie większą siłą od niej – Choć nawet wówczas nie było gwarancji sukcesu – a przecież między nią i Talaan prawie nie było różnicy. Dlatego też nawet nie uśmiechnęła się z satysfakcją. Wydawało się, że nie minęło aż tak wiele czasu od dni, gdy siostry jej samej przyglądały się z zaskoczeniem, wierząc, że chyba tylko któryś z Przeklętych mógłby okazać się silniejszy. Talaan jeszcze się rozwijała, właściwie była wciąż prawie dzieckiem. Piętnaście lat? Może nawet młodsza! Światłość jedna wiedziała, jakie są granice jej możliwości. Żadna z Poszukiwaczek Wiatru o tym nie wspomniała, Nynaeve zaś nie miała zamiaru dociekać. Cóż po wiedzy, o ile silniejsza od niej okaże się ostatecznie ta dziewczyna Ludu Morza? Nic przecie.

Wierzgając bosymi stopami na wzorzystym zielonym dywanie, Talaan podjęła pojedynczą próbną próbę rozerwania tarczy, którą Nynaeve z łatwością utrzymywała, a potem westchnęła i spuściła wzrok, przyznając się do porażki. Nawet w sytuacji, gdy z powodzeniem stosowała się do zaleceń Nynaeve, zachowywała się, jakby zawiodła, nic więc dziwnego, że obecnie załamała się w sposób tak widoczny, iż z pozoru jedynie krępujące ją sploty Powietrza powstrzymywały przed beładnym osunięciem się na posadzkę.

Nynaeve rozplatała sploty, poprawiała szal na ramionach i otworzyła usta, chcąc wyjaśnić dziewczynie, w czym pobiła. Zwłaszcza zaś by wskazać – po raz kolejny – że próby uwolnienia się są całkowicie bezprzedmiotowe, jeżeli nie jest się znacznie silniejszą od tej, która trzyma tarczę. Kobiety Ludu Morza najwyraźniej miały kłopoty z daniem wiary jej słowom, póki nie powtórzyła ich po dziesięciokroć i nie przeprowadziła stosownej demonstracji przynajmniej ze dwadzieścia razy.

Zanim jednak zdążyła się odezwać, wtrąciła się Senine din Ryal:

– Wykorzystała przeciwko tobie swoją własną siłę. I znowu wytrąciła cię z równowagi. To jest jak zapasy, dziewczyno. Wiesz przecież, na czym polegają zapasy.

– Spróbujcie ponownie – rozkazała Zaida, podkreślając swoje słowa żywym gestem smagłej, wytatuowanej dłoni.

Wszystkie znajdujące się w pomieszczeniu krzesła zostały odsunięte pod ścianę, chociaż w istocie wolna przestrzeń wcale nie była potrzebna. Zaida siedziała na jednym z nich, przyglądając się lekcji w towarzystwie sześciu Poszukiwaczek Wiatru – skupione w ciasnej grupce wyglądały niczym orgia czerwieni, żółci, błękitów, brokatowych jedwabi, jaskrawo ufarbowanych lnów, a od lśnienia złotych kolczyków, kółek w nosie i łańcuszków z medalionami mogły rozboleć zęby. Zawsze przebiegało to w taki sam sposób: jedna lub dwie uczennice brały prawdziwą lekcję – a wedle pogłosek, które dotarły do uszy Nynaeve, często Merilille brała na siebie rolę uczennicy, jeśli akurat nie uczyła – podczas gdy Zaida przyglądała się w towarzystwie tych lub innych Poszukiwaczek Wiatru. Mistrzynie Fal rzecz jasna nie potrafiła przenosić, niemniej zawsze była obecna, a żadna z Poszukiwaczek Wiatru nigdy nie zniżyła się do osobistego wzięcia udziału w lekcji. Wszystko, tylko nie to.

W oczach Nynaeve dzisiejsze zgromadzenie składało się na doprawdy dziwną gromadkę, zwłaszcza pamiętając o obsesji, jaką Lud Morza żywił na punkcie hierarchii. Poszukiwaczka Wiatrów Zaidy, Shielyn, siedziała po prawej stronie obok niej, szczupła, pełna chłodnej rezerwy, prawie tak wysoka jak Aviendha, górowała nad swą przełożoną. Jak dotąd wszystko pozostawało w typowym porządku, przynajmniej na ile Nynaeve się orientowała, jednak po lewej stronie Zaidy

siedziała Senine, a ona pływała na ślizgaczu, jednym z najmniejszych statków floty Ludu Morza, a na dodatek jej okręt był pośród wszystkich najmniejszy. Oczywiście pomarszczona kobieta, której twarz żłobiły głębokie bruzdy, a włosy mocno przetykała siwizna, w przeszłości nosiła nie tylko te nędzne sześć kolczyków, jakie obecnie zdobiły jej uszy, więcej też medalionów złociło się na biegnącym skroś smagłego lewego policzka łańcuszku. Wtedy była Poszukiwaczką Wiatrów Mistrzynie Okrętów – zanim na stanowisko wybrano Nestę din Reas – a zgodnie z prawem, kiedy Mistrzynie Okrętów lub Mistrzynie Fal umierała, jej Poszukiwaczka Wiatrów musiała zaczynać karierę od najniższego szczebla drabiny społecznej. Nynaeve jednak była pewna, że w grę wchodziło tu coś więcej niż szacunek dla wcześniejszej pozycji Senine. Rainym, młoda kobieta o rumianych policzkach, która również pływała na ślizgaczu, zajmowała miejsce tuż obok Senine, a Kurin o twarzy jak wykutej z kamienia i pozbawionym wyrazu spojrzeniu zajmowała miejsce za Shielyn, gdzie przycupnęła niczym czarna statuetka. Taki porządek spychał Caire i Tebreille na ostatnie pozycje, a przecież obie były Poszukiwaczkami Wiatru Mistrzyń Fal, w uchu każdej zaś tkwiły po cztery grube kółka, a medalionów miały tyle co sama Zaida. Być może jednak chodziło tylko o to, żeby jak najdalej od siebie utrzymać te dwie siostry o nawiedzonym spojrzeniu – nienawidziły się bowiem z pasją, jaką może rodzić tylko najbliższe pokrewieństwo. Niewykluczone, że właśnie o to chodziło. Próba zrozumienia Atha'an Miere była przedsięwzięciem równie beznadziejnym, jak próba zrozumienia mężczyzn. Można było oszaleć, próbując.

Mamrocząc pod nosem do siebie, Nynaeve poprawiła szal i przygotowała do walki, szykując strumienie Mocy. Jednak tym razem czysta radość czerpania *saidara* z trudem przebijała się przez irytację. Spróbujcie jeszcze raz, Nynaeve. I może jeszcze raz, Nynaeve. Pokaż to nam, Nynaeve. Przynajmniej Renaile nie była obecna. Często wymagały od niej, by uczyła rzeczy, na których znała się gorzej od innych, do czego niechętnie, ale w końcu musiała się przyznać; naprawdę zbyt krótko przebywała w Wieży – a kiedykolwiek próbowała protestować, Renaile rozkoszowała się wyciskaniem z niej siódmych potów. Pozostałe również jej nie oszczędzały, ale przynajmniej nie sprawiało im to takiej przyjemności. W każdym razie, po upływie dobrej godziny była już porządnie zmęczona. Przeklęta Sareitha i jej sprawy na mieście!

Uderzyła znowu, ale tym razem pasmo Ducha Talaan wyciągnęło się naprzeciw jej splotów znacznie delikatniej, niż oczekiwała, a utkane przez nią strumienie odepchnęły je znacznie dalej, niżli było to zamierzone. Znienacka od strony dziewczyny poleciało ku niej sześć splotów Powietrza, które Nynaeve musiała szybko przeciąć Ogniem. Odcięte sploty uderzyły w Talaan, sprawiając, że dziewczyna aż podskoczyła, zanim jednak zniknęły na dobre, pojawiło się sześć następnych, jeszcze szybszych. Nynaeve znowu uderzyła. Ale wtedy splot Ducha Talaan zamigotał wokół niej, otaczając całą i odcinając od *saidara* – i nie pozostało jej już nic innego, jak tylko w milczeniu obserwować porażkę. Odgródzono ją od Źródła! Talaan skutecznie użyła tarczy! Jakby dla pogłębienia własnej sromoty, poczuła strumienie Powietrza delikatnie szczypiące jej ramiona i nogi, miętoszące spódnice. Gdyby się tak nie rozeźliła na Sareithę, nic takiego z pewnością by nie zaszło.

– Dziewczyna ją ma – powiedziała Caire z wyraźnym zaskoczeniem. Sądząc tylko po chłodnych spojrzeniach, jakimi ją obrzucała, nikt by nie podejrzewał, że jest matką Talaan. W rzeczy samej. Talaan, z pozoru skonfundowana własnym sukcesem, natychmiast uwolniła sploty i wbiła wzrok w posadzkę.

– Bardzo dobrze, Talaan – powiedziała Nynaeve, ponieważ najwyraźniej nie można było liczyć na słowa pochwały czy zachęty ze strony pozostałych. Lekko zirytowana zsunęła szal za ramion. Nie trzeba informować dziewczyny, że po prostu miała szczęście. Okazała się szybka, to prawda, Nynaeve jednak podejrzewała, że jej własne siły są już na wyczerpaniu. Z pewnością nie była

obecnie u szczytu możliwości. – Obawiam się, że na dziś nie mogę wam poświęcić więcej czasu, tak więc...

– Spróbujcie znowu – rozkazała Zaida, z napięciem pochylając się naprzód. – Chcę coś sprawdzić. – Nie było to wyjaśnienie ani nawet rodzaj przeprosin, po prostu zwykłe stwierdzenie faktu. Zaida nigdy nic nie wyjaśniała ani za nic nie przepraszała. Po prostu oczekiwała bezwarunkowego posłuszeństwa.

Nynaeve już chciała powiedzieć tej kobiecie, że i tak nie jest w stanie zobaczyć nic z tego, co robią, ale natychmiast odrzuciła pokusę. Przeciwno sobie miałyby sześć Poszukiwaczek Wiatrów. Dwa dni wcześniej dała swobodny wyraz swoim opiniom i z pewnością nie chciałyby powtarzać tego, co nastąpiło potem. Próbowwała zrationalizować rzecz całą, traktując ją jako rodzaj pokuty za odzywianie się bez zastanowienia, ale nie bardzo jej się udawało. Żałowała, że w ogóle nauczyła je łączyć się w krąg.

– Ostatni raz – powiedziała z przymusem, odwracając się ku Talaan – a potem naprawdę muszę iść.

Tym razem była przygotowana na sztuczkę dziewczyny. Przeniosła i znacznie zręczniejsz odbiła sploty Talaan, nie wkładając w to tyle siły. Dziewczyna uśmiechnęła się do niej niepewnie. Zrozumiała że tym razem Nynaeve nie da się zwieść dodatkowym splotom Powietrza. Sploty Talaan zaczęły się oplatać wokół jej strumieni, musiała szybko zwinąć własne, żeby je złapać. Będzie gotowa w chwili, gdy tamta kobieta stworzy sploty Powietrza. A może tym razem nie będzie to Powietrze? Z pewnością nic groźnego. W końcu były to tylko ćwiczenia. Tylko że strumień Ducha Talaan nie dokończył pozornego obejścia, Nynaeve zaś smagnęła szerokim zamachem, podczas gdy Talaan uderzyła prosto w nią i to był koniec. Po raz drugi *saidar* zamigotał i opuścił ją, a więzy Powietrza skrepiły jej ręce przy bokach i nogi w kolanach.

Ostrożnie wciągnęła oddech. Będzie musiała złożyć gratulacje tamtej. Nie ma innego wyjścia. Jednak gdyby miała wolną rękę, z pewnością wyrwałaby sobie warkocz z głowy.

– Trzymaj! – rozkazała Zaida, podniosła się z krzesła i wdzięcznym krokiem podeszła do Nynaeve; spodnie z czerwonego jedwabiu z szelestem ocierały się o bosc stopy, szarfa spleciona w skomplikowane węzły falowała wokół talii. Poszukiwaczki Wiatru również wstały i ruszyły za nią, w porządku przewidzianym przez hierarchię. Caire i Tebreille odnosiły się do siebie z lodowatą obojętnością, przepychając się, by stanąć najbliżej Mistrzynie Fal, Senine i Rainym zaś trzymały się krok z tyłu.

Talaan posłusznie utrzymywała tarczę i więzy, każąc Nynaeve stać jak posąg. I pozwalając, by wściekłość wrzała w niej niczym zbyt długo gotowana woda. Ta postanowiła, że nie będzie wierzgać nogami niczym marionetka, której przecięto sznurki, wobec czego pozostało jej tylko trwać nieruchomo. Caire i Tebreille przyglądały jej się z chłodną wyższością, Kurin z niewzruszoną pogardą, jaką żywiła dla wszystkich mieszkańców lądu. Ta kobieta o kamiennym wejrzeniu nie zdradzała tego żadnym grymasem, skrzywieniem, czy innym wyrazem twarzy, jednak wystarczyło pobyć z nią jakiś czas, żeby doskonale znać jej zdanie. Tylko u Raim, można było dostrzec lekki ślad współczucia, nieznaczny smutny uśmiech.

Zaida popatrzyła Nynaeve prosto w oczy. Były mniej więcej tego samego wzrostu.

– Trzymasz ją tak mocno, jak tylko potrafisz, uczennico?

Talaan ukloniła się nisko, niemalże zginając w pół, potem dotknęła po kolei czoła, ust i piersi.

– Zgodnie z twoim poleceniem, Mistrzynie Fal – prawie wyszeptała.

– O co tu chodzi? – dopytywała się Nynaeve. – Każ jej mnie wypuścić. Może wam uchodzić na sucho traktowanie Merilille w ten sposób, jeśli jednak ci się zdaje, że...



– Powiedziałaś, że nie można przełamać tarczy, chyba że dysponuje się znacznie większą siłą – weszła jej w słowo Zaida. Jej ton nie był szczególnie ostry, najwyraźniej jednak domagała się posłuchu. – Jeśli Światłość zechce, dowiemy się, czy powiedziałaś prawdę. Jest rzeczą dobrze znaną, że Aes Sedai potrafią prawdę tak obracać na wszystkie strony, iż kręci się niby wir. Poszukiwaczki Wiatru niech uformują krąg. Kurin, ty staniesz na czele. Jeżeli się uwolni, zadbacie, by nikomu nie wyrządziła krzywdy. Dla zachęty... Uczennico, kiedy odliczę do pięciu, przewrócisz ją do góry nogami. Raz.

Poświata *saidara* otoczyła jednocześnie wszystkie Poszukiwaczki Wiatrów. Kurin stała na rozstawionych nogach, z rękoma podpartymi o biodra, jakby dywan był pokładem statku. Całkowity brak wyrazu na jej twarzy zdawał się głosić, że jest z góry Przekonana, iż zaraz będą świadkami odkrycia kręactwa, jeśli już nie kłamstwa w żywe oczy. Talaan wciągnęła głęboki oddech i przynajmniej raz stała bez ruchu. Nawet nie mrugała, utkwivszy w Zaidzie spojrzenie niespokojnych oczu.

Nynaeve zmrużyła oczy. Nie! Nie mogą jej tego zrobić! Nigdy więcej!

– Mówię ci – powiedziała ze znacznie większym spokojem niżli czuła – nie jestem w stanie zerwać tarczy. Talaan jest zbyt silna.

– Dwa – powiedziała Zaida, splatając ramiona na piersiach i przyglądając się Nynaeve w taki sposób, jakby naprawdę potrafiła dojrzeć sploty.

Nynaeve na próbę pchnęła tarczę. Równie dobrze mogłaby pchać kamienną ścianę, taki był efekt.

– Posłuchaj mnie, Za... hm... Mistrzynie Fal. – Z pewnością nie było żadnej potrzeby jeszcze bardziej drażnić tej kobiety. Tamte były maniaczkami właściwego tytułowania. Maniaczkami zdecydowanie zbyt wielu rzeczy. – Jestem pewna, że również Merilille musiała ci wspomnieć o naturze tarczy. Ona zaś składała Trzy Przysięgi. Po prostu nie jest w stanie kłamać. – Niewykluczone, że w sprawie Różdżki Przysięg Egwene miała jednak rację.

Spojrzenie Zaidy nie zadrżało nawet na moment, wyraz twarzy nie zmienił się.

– Trzy.

– Wysłuchaj mnie – upierała się Nynaeve, nie dbając już wcale o skrywanie rozpaczliwych poniekąd tonów w głosie. Mocniej nacisnęła na tarczę, potem z całą siłą. Równie dobrze mogłaby tłuc głową o głąz. Instynktownie, całkiem na próżno zaczęła się wiercić w krępujących ją strumieniach Powietrza, zatańczyły frędzle i luźne fałdy szala. Miała tyleż samo szans na wyrwanie się z tych więzów, co na przełamanie tarczy, jednak nie potrafiła się już opanować. Nigdy więcej! Tego nie zniesie! – Musisz mnie wysłuchać.

– Cztery.

Nie! Nie! Nigdy więcej! Szaleńczo zaczęła drapać tarczę. Choć twarda niczym kamień, pod dotykiem splotów przypominała raczej szkło – gładkie i śliskie. Czuła pulsującą za nią obecność Źródła, prawie mogła je dostrzec, niczym światło i ciepło tuż za granicą pola widzenia. W desperacji, ciężko dysząc, błędziła po gładkiej powierzchni. Dawało się wyczuć jej krawędź, ale była to krawędź okręgu równocześnie tak małego, że mieścił się w dłoni i tak wielkiego, że mógłby skryć się pod nim cały świat, kiedy jednak spróbował prześlizgnąć się przez tę krawędź, natychmiast znalazła się na powrót w centrum tej gładzi. To na nic. Wiedziała o tym od dawna, dawno temu tego ją nauczono. W jej klatce piersiowej serce tłukło się ozebra. Bezskutecznie próbując się opanować, znowu wymacała splotami tę krawędź, ale tym razem zamiast prób przedostania się poprzestała na samych odczuciach. Było tam miejsce, sprawiające wrażenie... miękkiego. Nigdy wcześniej go nie zauważyła. Miękki punkt – nieznaczne zgrubienie? – pod wszelkimi innym względami był identyczny

jak reszta tarczy, zresztą wcale niebyt znowu taki miękki, mimo to jednak napała nań z całej siły. I znowu wróciła na środek kręgu. Zdjęta całkowitym szaleństwem, wszystkie swe siły rzuciła przeciwko tej podatnej osobliwości i już nie mogła przestać, próbowała, odrzucało ją na powrót, nie przerywała nawet na moment, próbowała znowu. I znowu. Och, Światłości! Proszę! Musi jej się udać, zanim...

Nagle zdała sobie sprawę, że Zaida wciąż nie powiedziała „pięć”. Rozpaczliwie łapiąc powietrze, jakby właśnie przebiegła dziesięć mil, patrzyła wytrzeszczonymi oczyma. Pot spływał po jej twarzy, po plecach. Jego kropelki łaskotały między piersiami, toczyły się dalej, na brzuch. Drżały pod nią kolana. Mistrzynie Fal zaglądała jej głęboko w oczy, w namyśle dotykając szczupłym palcem pełnych ust. Poświata wciąż otaczała krąg sześciu Poszukiwaczek Wiatrów, Kurin dalej stała niczym pogardliwy kamienny posąg, jednak Zaida nie doliczyła do pięciu.

– Naprawdę walczyła tak mocno, jak się wydawało, Kurin – zapytała na koniec Mistrzynie Fal – czy tylko ciskała się i jęczała dla pozorów? – Nynaeve spróbowała spojrzeć na nią z obrazą. Wcale nie jęczała! A może? Jednak chmurny mars na jej czole nie wywarł na Zaidzie większego wrażenia niż kropla deszczu na skale.

– Wkładając tyle wysiłku, Mistrzynie Fal – niechętnie przyznała Kurin – mogłaby raker przenieść na plecach. – Jednak w płaskich czarnych kamykach jej oczu wciąż lśniła pogarda. Tylko ci co żyli morzem, potrafili zasłużyć sobie na jej szacunek.

– Uwolnij ją, Talaan – rozkazała Zaida, a kiedy się odwróciła i, nie spojrzawszy więcej na Nynaeve, ruszyła na swoje miejsce, więzy zniknęły. – Poszukiwaczki Wiatru, chcę z wami zamienić słowo, gdy ona już sobie pójdzie. Oczekuję cię jutro o tej samej porze, Nynaeve Sedai.

Nynaeve wygładziła pomięte spódnice, ze złością odrzuciła szal i podjęła próbę odzyskania przynajmniej części godności. Niełatwe zadanie, biorąc pod uwagę, że cała była spocona i drżała. Na pewno nie jęczała! Omijała wzrokiem kobietę, która odgrodziła ją tarczą. Dwukrotnie! Stała tam sobie, pokorna jak ciele, ze spojrzeniem utkwionym w dywanie. Ha! Nynaeve zarzuciła szal na ramiona.

– Sareitha Sedai będzie jutro udzielać lekcji, Mistrzynie Fal. – Przynajmniej głos już jej nie drżał. – Ja będę zajęta aż do...

– Twoje lekcje są znacznie bardziej pouczające niż lekcje innych – powiedziała Zaida, wciąż nawet na nią nie spojrzawszy. – O tej samej godzinie, albo przyślę twoje uczennice, żeby cię sprowadziły. Teraz możesz odejść. – I brzmiało to jak: „A teraz odejdziesz”.

Nynaeve z wysiłkiem przełknęła cisnące się na usta słowa protestu. Miały gorzki smak. Bardziej pouczające? Co to miało znaczyć? Nie sądziła, by naprawdę chciała wiedzieć.

Póki nie opuściła pomieszczenia, wciąż była nauczycielką – kobiety Ludu Morza ściśle przestrzegały ustanowionych reguł; podejrzewała, że to przez fakt, iż na wodzie brak wyraźnych zasad mógł przysporzyć kłopotów, niemniej wolałaby, aby pojęły, że to nie pokład statku – wciąż była nauczycielką, a to oznaczało, że nie może po prostu się wymknąć, jak bardzo by tego nie pragnęła. Gorzej, ich reguły wyraźnie określały rolę nauczycielek branych spośród przykutych do brzegu. Podejrzewała, że może po prostu odmówić współpracy, jeśli jednak choć odrobinę naruszy postanowienia umowy, te kobiety rozniosą wieści o tym od Łzy po Światłość Jedna wie jakie miejsca! Cały świat się dowie, że Aes Sedai złamała dane słowo. Jaki to mogłoby mieć wpływ na postawę ludzi wobec Aes Sedai, nawet bała się myśleć. Krew i krwawe popioły! Egwene miała racje, żeby szczeła!

– Dziękuję ci, Mistrzynie Fal, za zaszczyt, jakim było udzielenie ci lekcji – powiedziała, kłaniając się, a potem dotykając palcami czoła, ust i piersi. Nie był to zbyt głęboki ukłon, niemniej na

nic więcej nie zasłużyły dzisiaj, jak tylko na przelotne skinienie głowy. No cóż, może dwa. Jedno należało się Poszukiwaczkom Wiatrów. – Dziękuję wam, Poszukiwaczki Wiatrów, za to, że mogłam wam dzisiaj udzielić lekcji. – Siostry, które zdecydowały się na koniec uczyć Atha'an Miere, gotowały się z wściekłości, kiedy zrozumiały, że ich uczennice będą decydować o tym, czego należy je uczyć, kiedy, a nawet o sposobie wypełniania czasu nie przeznaczonego na naukę. Na okręcie Ludu Morza zamieszkujący ład nauczyciel przewyższał rangą prostego majtka, lecz tylko odrobinę. A siostry nie miały nawet otrzymać tłustych mieszków złota jakimi zazwyczaj kuszone innych nauczycieli.

Zaida i Poszukiwaczki Wiatrów zareagowały dokładnie w taki sposób, jakby prosty majtek właśnie oznajmił im, że odchodzi. To znaczy, stały spokojnie w milczącej gromadce, najwyraźniej czekając – raczej niecierpliwie – aż sobie pójdzie. Tylko Rainyn zaszczyciła ją bodaj spojrzeniem. Też z lekka zniecierpliwionym. Mimo tego co zostało powiedziane i zrobione, przede wszystkim była Poszukiwaczką Wiatrów. Talaan wciąż stała tam gdzie przedtem, pokorna istotka wpatrzona w dywan pod bosymi stopami.

Nynaeve uniosła głowę, wyprostowała się, zebrała wszystkie strzępy godności, jakie jej jeszcze zostały i opuściła pomieszczenie. Były to spocone, pomięte strzępy. Już w korytarzu schwyła skrzydło drzwi obiema dłońmi i zatrzasnęła je z całej siły. Potężny łomot, który echem poniósł się po pałacu, był nadzwyczaj satysfakcjonujący. Gdyby ktoś się skarżył, zawsze mogła powiedzieć, że wyslizgnęły jej się z ręki. I naprawdę tak było, tyle że najpierw wprawiła je w ruch.

Odwróciła się, otrzepała z zadowoleniem dłoń. I zaraz wzdrygnęła, widząc, kto na nią czeka.

W prostej ciemnoniebieskiej sukience dostarczonej przez Kuzynki, Alivia na pierwszy rzut okaz wcale nie wyglądała nadzwyczajnie – kobieta trochę tylko wyższa niż Nynaeve, z delikatnymi zmarszczkami w kącikach błękitnych oczu i pasemkami siwizny w złocistych włosach. Jednak w spojrzeniu tych oczu gorzał intensywny płomień, przypominało wzrok jastrzębia utkwiony w zdobyczy.

– Pani Corly wysłała mnie z zaproszeniem na kolację dziś wieczorem – powiedział ten niebieskooki jastrząb rozwlekłym seanchańskim akcentem. – Obecne będą również panie Karistovan, Arroan i Juarde.

– Co ty tu robisz sama? – takie było pierwsze pytanie Nynaeve. Żałowała, że nie potrafi do tej sprawy podchodzić jak inne siostry, które zawsze świadome były siły drugiej kobiety, równocześnie nie poświęcając jej szczególnego namysłu, ale tego dopiero musiała się nauczyć. Może któryś z Przeklętych był silniejszy od Alivii, ale z pewnością nikt inny. I na dodatek była Seanchanką. Nynaeve naprawdę nieswojo czuła się sam na sam z nią w pustym poza tym korytarzu. Nie do końca wierzyła w opowieść tamtej o tym, jak poślizgnęła się na schodach. – Nie wolno ci nigdzie chodzić samej!

Alivia wzruszyła ramionami, co sprowadzało się do nieznacznego uniesienia jednego z nich. Kilka dni temu była tylko kłębkim głupawych uśmiechów, a Talaan sprawiałaby przy niej wrażenie bezczelnej. Teraz jednak nie uśmiechała się już do nikogo.

– Wszyscy byli zajęci, dlatego wyslizgnęłam się na własną odpowiedzialność. Tak czy siak, jeśli zawsze będziecie mnie pilnować, to nigdy nie zyskam waszego zaufania i nigdy nie zdobędę się na to, by zabić *sul'dam*. – Słowa te, wypowiedziane tak beztroskim tonem, przeszywały mrozem do szpiku kości. – Powinnyście się ode mnie uczyć. Ci Asha'mani mówią o sobie, że są bronią i zaiste są nieźli, co wiem z doświadczenia, jednak ja jestem lepsza.

– Niewykluczone – ostro odrzekła Nynaeve, poprawiając szal. – Niewykluczone też, że wiemy znacznie więcej, niż sobie wyobrazasz. – Nie miałyby nic przeciwko temu, – gdyby mogła

zademonstrować tej kobiecie kilka splotów podpatrzonych u Moghedien. Włączywszy w to takie, co do których uznały, że są zbyt paskudne, aby skazywać na nie najgorszego wroga. Pominąwszy tylko... Nie miała większych wątpliwości, że ta kobieta pokona z łatwością, czegokolwiek by nie zrobiła. Pod jej spojrzeniem powstrzymanie się przed chęcią przestępowania z nogi na nogę nie było rzeczą łatwą. – Póki... o ile!... nie zdecydujemy inaczej nie chcę cię po raz drugi widzieć bez towarzystwa dwu lub trzech Kuzynek. Jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

– Jak sobie chcesz – Alivia nie straciła pewności siebie. – Jaką wiadomość mam zanieść pani Corly?

– Powiedz pani Corly, że nie mogę przyjąć jej zaproszenia. I pamiętaj, co ci mówiłam!

– Powiem jej – zaciągając, odrzekła Seanchanka, kompletnie ignorując przestrożę. – Ale tak naprawdę, to chyba wcale nie jest zwykłe zaproszenie. Godzinę po zmierzchu, powiedziała. Być może te słowa sprawią, że zrozumiesz, o co mi chodzi. – Z lekkim, tajemniczym uśmiechem odeszła, bynajmniej nie spiesząc się z powrotem na przeznaczone jej miejsce.

Nynaeve patrzyła w ślad za odchodzącą kobietą i to nie ze względu na to, iż tamta zapomniała się uklonić. Cóż, nie tylko. Szkoda, że nie zarezerwowała sobie jeszcze kilku tych uśmiechów, przynajmniej dla sióstr. Obejrzała się raz na drzwi, za którymi obradowały Atha'an Miere, przez chwilę też rozważała możliwość, czy nie iść za Alivią i nie sprawdzić, czy robi, jak jej kazano. Ale w końcu ruszyła w przeciwnym kierunku. Nie spieszyła się. Sytuacja byłaby niemiła, gdyby kobiety Ludu Morza wyjrzały na zewnątrz i doszły do wniosku, że podsłuchiwała, ale mimo to nie spieszyła się. Poprzestała tylko na samym pragnieniu szybszego marszu. To wszystko.

Atha'an Miere nie byli jedynymi w pałacu, z którymi nie chciała się spotkać. Nie jest to zwykłe zaproszenie, więc co? Sumeko, Karistovan, Chilares Arman i Famelle Juarde obok Reanne Corly wchodziły w skład Kółka Dziewiarskiego. Kolacja była tylko pretekstem. Będą chciały rozmawiać z nią o Poszukiwaczkach Wiatru. A zwłaszcza pewnie o sytuacji, jaka wytworzyła się między Aes Sedai mieszkającymi w pałacu a „dzikuskami” Ludu Morza. W gruncie rzeczy nie powinna oczekiwać przygan za nieumiejętność zachowania godności Wieży. Tak daleko się nie posuwały, przynajmniej jeszcze nie choć dzień ten pewnie zbliżał się wielkimi krokami. Jednak w trakcie całej kolacji wysłucha wielu celnych pytań i ostrych komentarzy. Żadne nie skłonią jej do wydania wyraźnego rozkazu milczenia. A wszelkie inne napomnienia z pewnością okażą się niewystarczające. Z kolei jeśli się nie zjawi, najprawdopodobniej same ją znajdą. Próba wpojenia im odrobiny charakteru okazała się fatalną pomyłką. Przynajmniej nie tylko ona jedna musiała znieść jej skutki, chociaż podejrzewała, że Elayne dostaje się najmniej. Och, jakże tęskniła do momentu, gdy ujrzy je w bieli nowicjuszek czy w sukienkach Przyjętych. Jakże marzyła o znikających na horyzoncie żaglach statków Atha'an Miere!

– Nynaeve! – dobiegł jaz tyłu dziwnie stłumiony okrzyk. Z akcentem Ludu Morza. – Nynaeve!

Przemocą oderwała rękę od warkocza i odwróciła się na pięcie, gotowa zrugać bezlitośnie. Obecnie nie pełniła obowiązków nauczycielki, nie znajdowały się na pokładzie statku i niech ją wreszcie zostawią samą, przekłętę!

Talaan zatrzymała się przed nią, prawie poślizgnąwszy na ciemnoczerwonych płytkach posadzki. Dysząc ciężko, młoda kobieta potoczyła dookoła wzrokiem, jakby się bała, że ktoś ją podsłucha. Prawie podskakiwała za każdym razem, gdy w oddali ukazał się jakiś służący, a zaczynała oddychać znowu, gdy stwierdziła, że widzi tylko liberię.

– Czy ja mogę udać się do Białej Wieży? – zapytała szybko, wykręcając palce i przestępując z nogi na nogę. – Nigdy nie zostanę wybrana. Nazywają to poświęceniem, mając na myśli porzucenie na zawsze morza, ale ja marzę o zostaniu nowicjuską. Będę strasznie tęskniła za mamą, lecz...

Proszę. Musisz zabrać mnie do Wieży. Musisz!

Nynaeeve zamrugwała, zalana potokiem słów. Wiele kobiet marzyło o zostaniu Aes Sedai, nigdy jednak nie spotkała takiej, która Marzyłaby o zostaniu nowicjuszka. Poza tym... Atha'an Miere ongiś odmawiali Aes Sedai prawa wstępu na pokład każdego statku, na którym Poszukiwaczka Wiatrów potrafiła przenosić, jednak by powstrzymać siostry przed wtrącaniem się w ich sprawy, od czasu do czasu wybierano którąś z uczennic, by posłać do Białej Wieży. Egwene twierdziła, że obecnie wśród siostr przebywają tylko kobiety Ludu Morza, wszystkie bardzo słabe, jeśli chodzi o władanie Mocą. Przez trzy tysiące lat tego było dość, aby przekonać Wieżę, iż wśród kobiet Atha'an Miere talent jest słaby i pojawia się rzadko, cała sprawa zaś niewarta jest zbadania. Talaan miała rację – nikomu tak silnemu, jak ona, nie zostanie udzielone pozwól nie na udanie się do Wieży, nawet jeśli wszystko już wyszło na jaw. W istocie częścią zawartej umowy było, że siostry wywodzące się z Atha'an Miere będą mogły zrezygnować z bycia Aes Sedai i no wrócić na morze. Gdy dowie się o tym Komnata Wieży, z pewnością rozpęta się piekło, o jakim Egwene nawet się nie śniło!

– Cóż, szkolenie jest bardzo trudne, Talaan – powiedziała oględnie – i musisz mieć co najmniej piętnaście lat. Poza tym – Nagle uderzyło ją coś w słowach młodej kobiety. – Będiesz bardzo tęsknić za matką? – zapytała z niedowierzaniem, nie dbając o to, jak brzmi.

– Skończyłam dziewiętnaście lat! – z urazą zaprotestowała Talaan. Mając przed sobą jej chłopięcą sylwetkę i twarz, Nynaeeve nie bardzo potrafiła uwierzyć. – Oczywiście, że będę tęsknić. Czy to dziwne? Ach, już rozumiem. Nic nie wiesz. Prywatnie okazujemy sobie wiele uczuć, publicznie jednak musimy unikać otwartego sprzyjania komukolwiek. U nas to surowe przestępstwo. Matka może za to zapłacić swoją pozycją, a nas obie powieszają nogami do góry na rei i wychłuszczą.

Nynaeeve skrzywiła się na samą myśl o wiszeniu nogami do góry.

– Bez trudu mogę sobie wyobrazić, czemu wolałabyś tego unikać – powiedziała. – Mimo to...

– Wszyscy jak ognia unikają choćby najlżejszego podejrzenia o faworyzowanie krewnych, ale moje położenie jest jeszcze gorsze, Nynaeeve!

– Przede wszystkim, dziewczyna... młoda kobieta... która chce zostać nowicjuszka, powinna się nauczyć, że nic należy wchodzić w słowo siostr. – Oczywiście, w obecnej chwili zwracanie jej uwagi na nic by się nie zdało. Nynaeeve próbowała odzyskać inicjatywę, ale słowa wylewały się z ust Talaan niepowstrzymaną strugą. – Moja babcia to Poszukiwaczka Wiatrów Mistrzini Fal klanu Dacan, a jej siostra piastuje tę samą pozycję w klanie Takana. To zaszczyt dla mojej rodziny, że aż pięć spośród nas wyniesionych zostało tak wysoko. Ale równocześnie wszyscy czyhają na najmniejszy znak nadużyć ze strony Gelyn. I słusznie, nie wolno pozwalać na nepotyzm... ale przez to moja siostra była uczennicą pięć lat dłużej niż normalnie, a jedna z moich kuzynek sześć! Tylko dlatego, by nikt nikomu nie mógł zarzucić, że awansowały w nieuczciwy sposób. Kiedy z położenia gwiazd trafnie odczytuję pozycję, karzą mnie za to, że robię to zbyt wolno, mimo iż Poszukiwaczka Wiatrów Ehvon wcale nie potrafi tego zrobić szybciej! Kiedy po smaku morza odgaduję, do jakiego zbliżamy się brzegu, karzą mnie, ponieważ smak, o którym mówię, nie jest dokładnie tym samym, jaki ma morze w ustach Ehvon! Dwa razy odgrodziłam cię tarczą, jednak dziś wieczorem mnie powieszają do góry nogami, ponieważ nie zrobiłam tego jeszcze szybciej! Spotykają mnie kary za niedociągnięcia, które u innych są ignorowane, za błędy, których nigdy nie popełniam, tylko mogę je popełnić! Czy szkolenie, jakie przeszedłaś jako nowicjuszka, może być gorsze, Nynaeeve?

– Ja w szkole nowicjuszek... – powiedziała słabym głosem Nynaeeve. Wolałaby, żeby tamta przestała wciąż wspominać o wiszeniu do góry nogami. – No, tak. Dobrze. Naprawdę nie chciałabyś wiedzieć. – Cztery pokolenia kobiet z talentem? Światłości! Na lądzie rzadkością było dziedziczenie zdolności bodaj z matki na córkę. Wieża naprawdę chętnie przyjąłaby Talaan. To jednak nie miało

nastąpić. – Jak podejrzewam, Caire i Tebreille tak naprawdę bardzo się kochają? – zapytała, próbując zmienić temat.

Talaan skrzywiła się.

– Ciotka jest chytra i kłamliwa. Cieszy ją każde upokorzenie mojej matki. Ale matka, gdyby tylko chciała, mogłaby ją przy wołać do porządku. Pewnego dnia Tebreille trafi na ślizgacz, pod komendę Mistrzini Żagli o żelaznej ręce i bolących zębach! – Na samą myśl o tym uśmiechnęła się ponuro, z satysfakcją. A moment później podskoczyła, z oczyma rozwartymi jak u młodej sarny, ponieważ za nią przemknął jakiś służący. To przypomniało jej o pierwotnych zamiarach. Zaczęła mówić szybko, wciąż rozglądając się dokoła: – Rzecz jasna, nie możesz poruszyć tej sprawy podczas lekcji, ale kiedy indziej masz wolną rękę. Ogłoś, że mam udać się do Wieży, a nie będą się w stanie sprzeciwić. Przecież jesteś Aes Sedai!

Nynaeve wytrzeszczyła oczy na dziewczynę. I one o wszystkim zapomną podczas następnej lekcji? Czy ta idiotka nie widziała, co z nią zrobiono?

– Rozumiem, jak bardzo tego pragniesz, Talaan – powiedziała – ale...

– Dziękuję ci – wtrąciła Talaan, kłaniając się pośpiesznie – Dziękuję! – I pędząc, jakby ją gonili, uciekła w stronę, z której przyszła.

– Czeka! – krzyknęła Nynaeve, dając kilka kroków za dziewczyną. – Wracaj! Niczego nie obiecywałam!

Służący zaczęli jej się przyglądać, początkowo otwarcie, później – powróciwszy do swych zajęć – sporadycznie. Pogoniłaby za tą głupią dziewczyną, gdyby nie bała się, że wpadnie prosto na Zaidę i pozostałe. Tamta z pewnością natychmiast komuś wypapla, że udaje się do Wieży, że Nynaeve obiecała. Światłości, prawdopodobnie tak czy siak im powie!

– Wyglądasz, jakbyś połknęła zgniłą śliwkę – rozległ się obok głos Lana. Objęła wzrokiem jego sylwetkę: wysoki, silny, przystojny, w tym dobrze skrojonym zielonym kaftanie. Ciekawe, od jak dawna tu stał. Z pozoru wydawało się trudne do wyobrażenia, że mężczyzna tak potężnie zbudowany, o tak władczej postawie, nawet bez płaszcza Strażnika mógł poruszać się równie niepostrzeżenie.

– Cały koszyk – mruknęła, wtulając twarz w szeroką pierś męża. Dobrze jest móc się przytulić do kogoś tak silnego, choćby na moment, mieć kogoś, kto pogłaszcze po włosach. Nawet jeśli rękojeść jego miecza uwiera w zębra. A ci wszyscy, którzy będą się gapić na ten publiczny pokaz uczuć, mogą iść się powiesić. Poza tym jednak przed nią majaczyły tylko kolejne katastrofy, jedna gorsza od drugiej. Nawet jeśli zapewni Zaidę i tamte, że nigdzie nie zabierze Talaan, i tak ją obedną ze skóry. Tym razem niczego przed Lanem nie ukryje. O ile za pierwszym razem się udało. Reanne i tamte dowiedzą się o wszystkim. Alise też! Zaczną ją traktować tak, jak traktowały Merilille, będą ignorować jej rozkazy, a szacunku zostanie tyle, na ile mogła liczyć Talaan ze strony Poszukiwaczek Wiatrów. Jakimś sposobem wmuszą jej opiekę nad Alivią, z czego wyniknie na pewno katastrofa i dalsze upokorzenia. Ostatnimi czasy chyba tylko to potrafiła – wynajdywać coraz to nowe sposoby na bycie poniżaną. A w regularnym odstępie czterech dni dalej musiała się spotykać z Zaidą i tamtymi.

– Pamiętasz, jak wczoraj rano nie chciałeś mnie wypuścić z pokoju – wyszeptła, spoglądając w górę akurat w momencie, gdy na jego twarzy wyraz zatroskania rozplywał się w uśmiech. Oczywiście że pamiętał. Poczula, jak płoną jej policzki. Rozmowy przyjaciółkami były jedną rzeczą, a śmiałość przy mężu całkiem inną – Cóż, chcę, żebyś mnie zabrał do siebie i przez rok nie pozwolił wkładać ubrania! – Tak naprawdę, to jej pierwszą reakcją była wówczas wściekłość. Jednak on potrafił sprawić, że zapominała o gniewie.

Odrzucił do tyłu głowę i zaśmiał się donośnym basem, po chwili mu zawtórowała. Jednak w głębi ducha chciało jej się płakać. W istocie wcale nie żartowała.

Bycie zamężną oznaczało, że nie trzeba dzielić łóżka z inną kobietą czy z dwoma kobietami i dawało prawo do posiadania salonu. Nie był szczególnie wielki, niemniej sprawiał przytulne wrażenie – dobry kominek i cztery krzesła wokół niewielkiego stołu. Ona i Lan nic więcej nie potrzebowali. Jednak wszelkie nadzieje na odrobinę prywatności rozwiały się, gdy weszli do środka. Pośrodku pomieszczenia czekała na nich Pierwsza Pokojówka, władca niczym królowa, schludna, jakby właśnie skończyła się ubierać i zdecydowanie niezadowolona. W kącie saloniku stał jakiś nieporządnie odziany, niezgrabny człowiek z okropną brodawką na nosie i workiem przewieszonym przez ramię.

– Ten człowiek twierdzi, że przyniósł ci coś, czego bezzwłocznie się domagałaś – powiedziała pani Harfor, wpięrowo ukłoniwszy się lekko. Był to naprawdę bardzo lekki ukłon, choć jak najbardziej poprawny, tylko Elayne mogła od niej oczekiwać prawdziwie dworskich manier. Poza tym sprawiała takie wrażenie, jakby Nynaeve wywoływała u niej równą dezaprobatę, co ten człowiek z brodawką na nosie. – Nie muszę ci chyba mówić, że nie podoba mi się jego wygląd.

Nynaeve była tak zmęczona, że objęcie *saidara* stanowiło wyzwanie nieomal ponad siły, jednak przez tych wszystkich zabójców, szpiegów i Światłość jedna wie kogo jeszcze, uwinęła się z tym w mgnieniu oka. Lan musiał dostrzec jakąś zmianę na jej twarzy, ponieważ ruszył w stronę tamtego; wprawdzie nie wyciągnął miecza, ale widać było, że jest gotów to zrobić w każdej chwili. Nie potrafiła pojąć, jakim sposobem był w stanie czasem odczytać jej myśli, skoro do innej siostry należała więź jego zobowiązań, ale napawało ją to zadowoleniem. Udało jej się sprostać Talaan – oczywiście tylko pod względem surowej siły! – teraz jednak nie była pewna, czy potrafi przenieść bodaj tyle, aby przewrócić krzesło.

– Nigdy... – zaczęła.

– Wybacz, pani – wymamrotał pośpiesznie nieokrzesany człowiek, drapiąc się po tłustych włosach spadających na czoło. – Pani Thane powiedziała, że chcesz się ze mną natychmiast zobaczyć. Sprawy Koła Kobiet, tak powiedziała. Względem Cenna Buie.

Nynaeve zebrała się w sobie, dopiero po chwili orientując się, że powinna zamknąć usta.

– Tak – odrzekła powoli, przyglądając się tamtemu. Oderwanie wzroku od tej okropnej brodawki było trudne, jednak nie pozostawiało najmniejszej wątpliwości, że nigdy w życiu go nie widziała. Sprawy Koła Kobiet. Żaden mężczyzna nie miał prawa wtykać w nie nosa. Stanowiły tajemnicę. Wciąż nie wypuszczała *saidara*. – Tak... teraz sobie przypominam. Dziękuję pani, pani Harfor. Pewna jestem, że wzywają cię nie cierpiące zwłoki obowiązki.

Pierwsza Pokojówka najwyraźniej jednak głucha była na aluzję, niezdecydowana, mierzyła ją podejrzliwym spojrzeniem. Po chwili przeniosła wzrok na tamtego prostaka, wreszcie na Lana i dopiero wtedy jej czoło wygładziło się. Skinęła głową, jakby obecność Strażnika gwarantowała, że wszystko jest w porządku!

– Pozwolę sobie zostawić was samych. Pewna jestem, że lord Lan poradzi sobie z nim.

Nynaeve jakoś przełknęła odczuwaną urazę, a kiedy drzwi za zamknęły się, natychmiast ruszyła na tego człowieka i jego brodawkę.

– Kim jesteś? – zapytała ostro. – Skąd znasz te imiona? Nie pochodzisz z Dwu Rze...

Sylwetka tamtego... zafalowała i zmarszczyła się. Inaczej nie sposób tego określić. Falowała, rosła... i nagle stał przed nią Rand, krzywiąc się i przełykając ślinę, w pomiętych wełnach, a te paskudne łby lśniły czerwienią i złotem na grzbietach jego dłoni; z ramienia zwisał mu skórzany worek. Gdzie on się tego nauczył? Kto go nauczył? Stłumiła w sobie pragnienie przybrania innej postaci, choćby tylko na chwilę, żeby mu pokazać, iż też potrafi.

– Widzę, że nie skorzystałaś z własnej rady – Rand zwrócił się do Lana, jej jakby wcale nie

dostrzegając. – Dlaczego jednak pozwalasz jej udawać Aes Sedai? Nawet jeśli siostry nie mają nic przeciwko temu, może stać jej się jakaś krzywda.

– Ponieważ ona jest Aes Sedai, pasterzu – spokojnie odparł Lan. I również nawet na nią nie spojrział! I wciąż wydawał się w każdej chwili gotów sięgnąć miecza! – Jeśli zaś o tamto chodzi... Czasami ona bywa silniejsza od ciebie. Rozumiesz?

Dopiero wtedy Rand na nią spojrział. I z niedowierzaniem zmarszczył czoło. Żadnego wrażenia nie wywarło na nim, gdy gniewnie poprawiła szal na ramionach, a żółte frędzle zafalowały. Zamiast tego pokręcił tylko głową i powiedział:

– Nie. Masz rację. Czasami bywa się zbyt słabym, żeby zrobić, co należy.

– O czym wy mówicie? – zapytała ostro.

– Takie męskie sprawy – odparł Lan.

– Nie rozumiałabyś – dodał Rand.

Parsknęła. Plotki i gadanie o niczym, na tym w dziewięciu przypadkach na dziesięć polegały te męskie sprawy. Poczula napływ zmęczenia, wypuściła Źródło. Z wahaniem. Oczywiście nie musiała szukać w nim obrony przed Randem, chętnie jednak pokosztowałaby jeszcze przez moment tej słodczy, a zmęczenie nie miało tu nic do rzeczy.

– Wiemy o wypadkach w Cairhien, Rand – powiedziała, z uczuciem ulgi osuwając się na krzesło. Te przekłete baby Ludu Morza zupełnie ją wykończyły! – Dlatego tu przybyłeś w takim przebraniu? Jeżeli próbujesz się przed kimś ukryć... – Wyglądał na zmęczonego. Twardszy, niż go zapamiętała, ale strasznie umęczony. Jednak najwyraźniej nie miał zamiaru siadać. Dziwne i wyglądem przypominał teraz Lana, jakby za chwilę miał wyciągnąć miecz, którego przecież nie nosił. Może ten zamach na jego życie sprawi, że pójdzie po rozum do głowy. – Rand, Egwene może ci pomóc.

– Nie ukrywam się – odparł. – Po prostu jest paru ludzi których muszę zabić. – Światłości, wyrażał się o tych sprawach z równym brakiem emocji co Alivia! Dlaczego on i Lan wciąż mierzyli się wzrokiem, udając, że wcale tak się nie dzieje? – Poza tym w czym niby Egwene mogłaby pomóc? – ciągnął dalej, kładąc worek na stole. Stłumiony odgłos świadczył, że zawartość miała swoją wagę. – Przypuszczam, że ona również jest Aes Sedai? – W jego głosie naprawdę brzmiało rozbawienie. – Też ją tutaj zastanę? Wy trzy i tylko dwie prawdziwe Aes Sedai. Tylko dwie! Nie. Nie mam na to czasu. Chciałbym, żebyś coś mi przechowała, dc czasu aż...

– Egwene jest Zasiadającą na Tronie Amyrlin, ty wełnianogłowy głupcze – warknęła. Miło było dla odmiany komuś innemu wejść w słowo. – Elaida została uznana za uzurpatorkę. Mam nadzieję, że starczyło ci rozumu, żeby się do niej nie zbliżać! Ze spotkania z nią nie wyszedłbyś na własnych nogach, możesz mi wierzyć! W pałacu przebywa pięć prawdziwych Aes Sedai, włączywszy w to mnie, niedaleko zaś trzysta z Egwene na czele armii, zdecydowanych na detronizację Elaidy. Spójrz na siebie! Na co przyszło to całe śmiałe gadanie, skoro ktośomalże cię nie zabił i teraz musisz przemykać się ukradkiem, odziany jak stajenny! Gdzie będziesz bardziej bezpieczny niż przy Egwene? Nawet ci twoi Asha'mani nie odważą się wystąpić przeciwko trzystu siostrami! – O, tak, naprawdę nieźle poszło. Próbował skryć swe zaskoczenie, ale dość nieporadnie i teraz gapił się na nią.

– Zdziwiłabyś się, na co potrafią się odważyć moi Asha'mani – oznajmił sucho po dłuższej chwili. – Zakładam, że Mat jest z armią Egwene? – Uniósł dłonie do skroni, zachwiał się.

Zanim zdążył się wyprostować, ona już poderwała się z krzesła i dała pierwszy krok ku niemu. Z trudem objęła *saidara* i sięgnęła Mocą między jego dłonie, trując się nad spleceniem Sondy. Od jakiegoś czasu próbowała znaleźć lepszy sposób na odkrycie natury dolegliwości, jak dotąd bez



powodzenia. Musiało starczyć, co umiała. Jednak gdy splot dotknął jego ciała, aż zaparło jej dech. Wiedziała o ranie w boku, jaką odniósł pod Falme, wiedziała, że nie chciała się wygoić, że opierała się znanym technikom Uzdrawiania, niczym wrzód zła w ciele. Teraz dostrzegła ranę, w tym samym miejscu, również pulsującą złem. Innym rodzajem zła, z pozoru przypominającym lustrzane odbicie tamtego niemniej równie jadowitym. Poza tym Moc nie sięgała do tych ran. Nie żeby naprawdę tego chciała – na samą myśl czuła dreszcze! – ale przecież spróbowała. I coś niewidzialnego odepchnęło jej sploty. Niczym osłona, której nie była w stanie zobaczyć. *Saidin?*

Przestała przenosić, cofnęła się o krok. Pomimo zmęczenia przywarła do Źródła tak mocno, że siłą trzeba by ją od niego odrywać. Żadna siostra nie potrafiła myśleć o męskiej połowie Źródła, nie czując przynajmniej ukłucia lęku. Popatrzył na nią z takim spokojem, że zadrżała. Wydawał się zupełnie innym mężczyzną niż ten Rand al'Thor, którego znała od dziecka. Obecność Lana nagle zdała się pożądana, mimo iż niełatwo przyszło jej to przyznać. Zobaczyła, że tamten cały czas pozostaje równie spięty jak na początku. Mogli sobie z Randem gawędzić jak dwaj mężczyźni nad fajką i kuflem piwa, jednak Lan był przekonany, że tamten drugi jest skrajnie niebezpieczny. A Rand patrzył na Lana tak, jakby o tym wiedział i rozumiał.

– W chwili obecnej są to sprawy bez znaczenia – podjął na nowo Rand, podchodząc do stołu. Nie miała pojęcia, czy chodziło mu o miejsce pobytu Mata, czy własne rany. Wyjął z worka dwa posążki, każdy wysoki może na stopę. Jedna statuetka przedstawiała mądrego, brodatego mężczyznę, druga równie mądrą i pogodną kobietę, obie postaci odziane były w obszerne szaty, w dłoni każda trzymała przezroczystą kryształową kulę. Wnioskując ze sposobu, jaki ciążyły mu w dłoniach, musiały ważyć znacznie więcej, niż się wydawało. – Chcę, żebyś je dla mnie przechowała, Nynaeve do czasu aż po nie przyślę. – Z ręką wspartą na figurce kobiety zawahał się. – Aż przyślę po ciebie. Będiesz mi potrzebna żeby je użyć. Razem ich użyjemy. Kiedy już zajmę się tymi ludźmi. To trzeba załatwić najpierw.

– Użyć? – zapytała podejrzliwie. Dlaczego najpierw należało kogoś zabić? Jednak pytanie to wydawało się obecnie nieważne – Do czego? To są *ter'angreale*?

Pokiwał głową.

– Za pomocą tego możesz korzystać z największego *sa'angreala*, jaki kiedykolwiek wykonano dla kobiety. Z tego co wiem, spoczywa pogrzebany w ziemi pod Tremalking, ale to nieistotne. – położył dłoń na statuetce mężczyzny. – Dzięki niemu, ja mogę dotknąć męskiej połowy. Ktoś... powiedział mi... kiedyś, że mężczyzna i kobieta dysponujący tymi są *sa'angrealami* mogą rzucić wyzwanie Czarnemu. Niewykluczone zresztą, że po to je właśnie ongiś wykonano, tymczasem jednak mam nadzieję, że wystarczą dla oczyszczenia męskiej połowy Źródła.

– Gdyby było to możliwe, dlaczego nie zrobili tego w Wieku Legend? – powiedział cicho Lan. Jego głos przypominał syk ostrza opuszczającego pochwę. – Powiedziałeś kiedyś, że przeze mnie może stać jej się krzywda. – Wydawało się niemożliwe, by mógł mówić jeszcze twardszym głosem, jednak tak właśnie było. – Ty możesz ją zabić, pasterzu. – A z jego głosu wyraźnie wynikało, że nie pozwoli na to.

Na spojrzenie zimnych oczu Lana Rand zareagował równie chłodnym wzrokiem.

– Nie mam pojęcia, dlaczego tego nie zrobili. I nie interesuje mnie to. Spróbować trzeba.

Nynaeve przygryzła wargę. Podejrzewała, że Rand specjalnie zrobił z tego publiczne przedstawienie – przechodzenie z publicznej do prywatnej sfery życia, pociągana przez nie różnica ról powodowała, że czasami kręciło jej się w głowie – jednak nie miała Lanowi za złe, że odezwał się nie pytany. Pod tym względem często zachowywał się nieznośnie, ale lubiła szczerych mężczyzn. W każdym razie potrzebowała czasu do namysłu. Nie chodziło o kształt decyzji. Tę podjęła od razu.

Tylko o to, jak wprowadzić ją w życie. Randowi może się to nie spodobać. Lan z pewnością oszaleje. Cóż, mężczyźni zawsze chcieli, żeby wszystko układało się po ich myśli. Czasami potrzebna im była nauczka, wykazująca daremność tych dążeń.

– Uważam, że to doskonały pomysł – powiedziała na koniec. Nie do końca było to kłamstwo. W porównaniu z alternatywą, pomysł był doskonały. – Ale nie rozumiem, dlaczego miałabym tu siedzieć i czekać na wezwanie, niczym jakaś pokojówka. Zrobię to ale od razu weźmiesz mnie z sobą.

Miała rację. Żadnemu się nie spodobało.

# ZIMOWA LILIA

Kolejny służący omal się nie przewrócił w głębokim ukłonie – Elayne tylko westchnęła i poszła dalej korytarzem pałacu. Z całą gracją jaka była jej właściwa. Dziedziczka Tronu Andoru – stateczna i niewzruszona. Najchętniej by pobiegła, gdyby nie pewność, że w tej sukni po prostu się nie da. Spojrzenie tamtego odprowadzało ją i jej towarzyszkę. Czują je na plecach. Drobną powód do irytacji, niczym ziarnko piasku uwierające w pantoflu.

„Przeklęty Rand al'Thor. Wydaje mu się, że najlepiej wie, czego komu trzeba, a w istocie jest tylko jak świerzbacz na moim grzbiecie” – myślała. „Jeżeli tym razem ucieknie przed nią...!”

– Pamiętajcie – oznajmiła zdecydowanie. – Ani słowa o szpiegach, widłokorzeniu, żeby wam się coś nie wymyśliło! – Zaraz by pewnie chciał ją „ratować”. Mężczyźni tacy właśnie byli; Nynaeve mawiała, że myślą włosami na piersiach. Światłości, Rand na pewno zaraz zażąda, żeby Saldaeanie i Aielowie wrócili do miasta! Do samego pałacu! Z goryczą musiała jednak przyznać, że nie mogła mu się sprzeciwić, jeżeli nie chciała otwartej wojny. W najlepszym razie tak by się to skończyło.

– Nie mówię mu nic, o czym nie musi wiedzieć – zauważyła Min, mierząc zdziwionym wzrokiem kobietę, która, niczym tamten przed chwilą, prawie wyciągnęła się jak długa na posadzce. Z wychudzonej twarzy świeciły wielkie oczy. Zerkając na Min, Elayne myślała o czasach, gdy sama nosiła spodnie i rozważała, czy obecnie jej to przystoi. Z pewnością są znacznie wygodniejsze niż suknie. Rozsądek kazał jej od razu odrzucić buty na wysokich obcasach. Min wprawdzie dorównywała w nich wzrostem Aviendzie jednak na wysokich obcasach nawet Birgitte nie umiała pewnie stąpać. Poza tym w Połączeniu z obcisłymi spodniami i krótkim kaftanem sprawiałyby wrażenie zdecydowanie nieprzyzwoite.

– Okłamujesz go? – głos Aviendhy ociekał podejrzliwością, Spojrzała nieprzyjemnie na Min, z wyraźną dezaprobatą poprawiając ciemny szal.

– Oczywiście, że nie – odrzekła ostro Min, odpowiadając hardym spojrzeniem. – Przynajmniej, póki nie muszę.

Aviendha zachichotała, ale zaraz, najwyraźniej zdziwiona swoją reakcją, umilkła. Rysy jej twarzy zastygły.

Co ona miała z nimi zrobić? Musiały się polubić. Nie było innego wyjścia. Ale od pierwszej chwili prychały na siebie jak obce koty zamknięte w zbyt małym pomieszczeniu. Zgodziły się na jej plan prawdopodobnie dlatego, że nie miały innego wyboru, ponieważ żadna nie wiedziała, czy kiedykolwiek jeszcze nadarzy się taka okazja – spotkać się z nim we trzy. Poza tym miała nadzieję, że nie będą już więcej popisywać się przed sobą umiejętnościami władania nożem. Demonstracja ta miała całkowicie niewymuszony i pokojowy charakter, jednak trudno było nie wyciągnąć odpowiednich wniosków. Za pocieszający można by uznać tylko fakt, że Aviendha z podziwem zareagowała na ilość noży, jaką Min nosiła przy sobie.

Tyczkowaty młody służący ukłonił się na jej widok. W dłoniach trzymał tacę wyładowaną długimi koszulkami, przeznaczonymi do stojących lamp. I jakoś się nieszczęśliwie złożyło, że zagapił się, zupełnie zapominając o swoim brzemienu. Przez chwilę było słychać tylko brzęk tłukącego się szkła.

Elayne znów westchnęła. Nie należało oczekiwać, że wszyscy od razu wpasują się w nowy porządek rzeczy. Tamten miał poniekąd prawo się gapić. I wcale nie chodziło tylko o nią, Aviendhę

czy Min – w rzeczywistości to idące za nimi Caseille i Deni, ściągały na siebie większość zdumionych spojrzeń służby, one więc pośrednio odpowiadały za całe zamieszanie. Spośród ośmiu Gwardzistek, które tworzyły jej straż przyboczna, te dwie akurat miały wartę pod jej drzwiami.

Zdumienie wzbudzał zresztą prawdopodobnie nie tylko fakt, że Elayne towarzyszyła straż przyboczna Gwardii, ale zapewne to, iż składała się z samych kobiet. Ta część nowych porządków wciąż jeszcze była nieco zbyt radykalna. Na dodatek Birgitte wywiązała się z obietnicy umundurowania ich ze stosowną galą. Mając na względzie, że pomysł zyskał aprobatę Elayne dopiero wczorajszej nocy, prawdopodobnie przez cały ten czas wszystkie pałacowe szwaczki i kapeluszniczki nie miały ani chwili wolnego. W oczy rzucał się przede wszystkim jaskrawoczerwony kapelusz z długim, białym piórem zdobiącym szerokie rondo i szeroka, obrzeżona śnieżnobiałą koronką czerwona szarfa z Białymi Lwami w pozycji stojącej przewieszana ukośnie wzdłuż piersi. Mundur zaś uzupełniały: kaftany ze szkarłatnego jedwabiu z szerokimi białymi kołnierzami, których krój poddano drobnym przeróbkom tak, by dostosować je do kobiecej sylwetki, i które sięgały niemalże do kolan spływając na szkarłatne spodnie z szerokimi białymi lampasami; blade koronki przy mankietach i kołnierzach; wreszcie: czarne buty, nawoskowane, aż lśniły. Wyglądały nadzwyczaj elegancko i nawet Deni, w której oczach trudno zazwyczaj było znaleźć coś więcej niż skrajne rozmarzenie, odrobinę zgubiła krok. Pełni efektu należało oczekiwać dopiero wówczas, gdy otrzymają szykowane dla nich pasy wraz z ornamentowanymi pochwami, lakierowane hełmy i napierśniki. Birgitte kazała sporządzić napierśniki dopasowane kształtem do kobiecej sylwetki, co z pewnością musiało wzbudzić niezłe poruszenie w pałacowej zbrojowni!

A tymczasem Birgitte całkowicie zajęta była poszukiwaniem kobiet, które uzupełnią dwudziestkę jej straży przybocznej. Najprawdopodobniej nie mogło chodzić o nic innego, skoro Elayne wyczuwała jej głębokie skupienie, któremu nie towarzyszyła żadna oznaka fizycznego wysiłku – chyba, że tamta czytała lub grała w kamienie, na co jednak przy nawale obowiązków pozwalała sobie nadzwyczaj rzadko. Elayne pozwoliła sobie przez moment pieścić pragnienie, by rzeczywiście skończyło się na dwudziestu. Miała też nadzieję, że Birgitte będzie dostatecznie zajęta, by nie spostrzec się, że zamaskowała więź zobowiązań. I pomyśleć, że tyle się zamartwiała, jak tu ukryć przed Birgitte to, o czym nie powinna wiedzieć, a trzeba było tylko zapytać Vandene. Kolejne smutne przypomnienie, w jak małym stopniu rozumiała na czym polega bycie Aes Sedai, zwłaszcza w tej sferze, którą pozostałe siostry traktowały jako rzecz całkowicie naturalną. Tę sztuczkę zaś najwyraźniej znały wszystkie, które kiedykolwiek miały Strażnika, nawet jeśli przez cały ten czas zachowywały celibat. Dziwne, jak wielką niekiedy rolę odgrywał przypadek. Gdyby nie kwestia strażniczek, gdyby nie zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób wymknąć się im spod oka – a równocześnie zmylić wiecznie czujną uwagę Birgitte – nigdy nawet nie przyszłoby jej do głowy zapytać i nie dowiedziałyby się o maskowaniu na czas, by teraz właśnie wykorzystać. Oczywiście w najbliższej przyszłości wcale nie zamierzała wymykać się swoim gwardzistkom, jednak lepiej z góry być przygotowaną. Birgitte z pewnością nie pozwoli na wędrówki po mieście – ani samej, ani z Aviendhą, ani za dnia, ani nocą, ani nigdy.

Kiedy jednak znalazła się pod drzwiami Nynaeve, wszelkie myśli na temat własnego Strażnika – prócz może tylko zdecydowanego postanowienia, by więź zamaskować dopiero w ostatniej chwili – pierzchły z jej głowy. Po drugiej stronie tych drzwi znajdował się Rand! Rand, który czasami tak obsesyjnie wciskał się jej do głowy, że na poważnie zastanawiała się, czy nie jest jak te kobiety z opowieści, które dla mężczyzny w całkiem literalnym sensie traciły głowę. Zawsze sądziła, że autorami tych historii musieli być mężczyźni. Tylko, że w obecności Randa czasami naprawdę czuła się, jakby traciła zmysły i rozsądek. Dzięki Światłości, nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Zaczekajcie tutaj i nie wpuszczajcie nikogo do środka – rozkazała Gwardzistkom. W takiej sytuacji naprawdę nie mogła pozwolić, by wciąż jej przeszkadzano i domagano się jej uwagi. Przy odrobinie szczęścia, niewykluczone, że nikt nawet nie rozpozna świeżych przecieży, wprost spod igły, mundurów kobiet. – Zajmie mi to tylko kilka chwil.

Zasalutowały żwawo, przyłożywszy dłonie do piersi, a potem zajęły stanowiska po obu stronach drzwi: Caseille z niewzruszonym wyrazem twarzy i dłonią na rękojeści miecza, Deni z długą pałą w obu rękach i lekkim uśmiechem na ustach. Elayne podejrzewała, iż tamta jest przekonana, że Min sprowadziła ją tutaj na sekretną schadzke z kochankiem. Caseille pewnie myślała tak samo. Z pewnością zachowały wszelką możliwą w tej sytuacji dyskrecję i oczywiście nawet nie wspomniały imienia, nie dało się jednak uniknąć zwrotów w rodzaju: „on to” czy „on tamto”. Przynajmniej żadna nie próbowała pod pozorem jakiejś wymówki pobiec i donieść Birgitte. Najwyraźniej uznały, że skoro już stanowią jej straż przyboczną, to odpowiadają wyłącznie przed nią, nie zaś przed tamtą. Oczywiście, gdyby za wcześnie zamaskowała więź, Birgitte natychmiast sama by tu przybiegła.

Poczuła zniechęcenie, że w środku cała drży. Za tymi drzwiami znajdował się mężczyzna, o którym śniła każdej nocy, a ona tymczasem stała tu jak jakaś gęś. Czekwała zbyt długo, pragnęła zbyt bardzo, a teraz nieomal się bała. Za nic nie mogła dopuścić, by wszystko poszło źle. Z trudem wzięła się w garść.

– Gotowe? – Jej głos nie był tak niewzruszony, jakby może sobie życzyła, ale przynajmniej nie drżał. W brzuchu tańczyły motyle wielkości lisów. Od dawna już się tak nie czuła.

– Oczywiście – odparła Aviendha, ale najpierw musiała przełknąć ślinę.

– Jestem gotowa – słabo zawtórowała Min. Wkroczyły do środka bez pukania, natychmiast zamknąwszy za sobą drzwi.

Zanim na dobre weszły do salonu, Nynaeve poderwała się na równe nogi. Mimo iż pomieszczenie wypełniała woń fajkowego tytoniu Lana, Elayne ledwie zauważyła i jego, i szeroko rozwarte oczy przyjaciółki. Ponieważ – jakkolwiek trudne wydawało się to uwierzenia – Rand naprawdę tam był. Zniknęła gdzieś kryjąca go okropna charakterystyka, którą opisywała Min, zostały tylko obszarpane łachmany i grube rękawice. Poza tym... był piękny.

Na jej widok on również poderwał się z fotela, nim jednak stanął na dobre, zachwiał się i obiema dłońmi musiał się oprzeć o stół. Wyraźnie zebrało mu się na wymioty, ciałem targnęły skurcze. Elayne objęła Źródło i dała krok w jego stronę, po chwili jednak zatrzymała się, wypuszczając Moc. Jej zdolności Uzdrawiania były doprawdy skromniutkie. Poza tym zobaczyła, że Nynaeve zareagowała równie żywo, zobaczyła, jak otoczyła ją poświata saidara, a uniesione ręce wyciągnęły się w kierunku Randa. Szarpnął się, gestem kazał się odsunąć.

– Nie jest to nic, co byś potrafiła Uzdrowić, Nynaeve – rzekł szorstko. – Tak czy siak, pewnie wyszło na twoje. – Jego oblicze niczym maska ukrywało emocje, jednak Elayne zdawało się, że jego oczy chłoną jej widok. Podobnie jak widok Aviendhy. Z zaskoczeniem zrozumiała, że to jej schlebiało. Miała nadzieje, że tak się wszystko odbędzie, że choćby przez wzgląd na siostrę, poradzi sobie z całą sytuacją... a tu okazało się, że niczym nie trzeba sobie radzić, że wszystko odbywa się naturalnie. Musiał się wyraźnie zmuszać, by oderwać od nich wzrok. I choć starał się to ukryć, nietrudno było się zorientować. Podobnie zresztą, jak w tym, ile wysiłku wymagało od niego wyprostowanie się. – Już dawno nie powinno nas tu być, Min – powiedział.

Elayne ze zdumienia prawie odebrało mowę.

– Wydaje ci się, że możesz sobie tak zwyczajnie pójść, nie zamieniwszy nawet słowa ze mną. Z nami? – udało się w końcu wykrztusić.

– Mężczyźni! – westchnęły nieomal równocześnie Min i Aviendha. Zaskoczone, spojrzały po

sobie i pospiesznie opuściły zaplecione na piersiach ręce. Mimo dramatycznych różnic w wyglądzie, na moment zdawały się lustrzanymi odbiciami kobiecego niesmaku.

– Ci ludzie, którzy próbowali zabić mnie w Cairhien, zmieniliby to miejsce w kupę żużlu, gdyby tylko dotarło do nich, że tu jestem – szybko uciął Rand. – Niewykluczone, że starczyłyby same podejrzenia. Zakładam, że Min wam już powiedziała, że to byli Asha’mani. Nie ufacie żadnemu, wyjąwszy może, Damera Flinna, Jahara Narishmę i Ebena Hopwilla. Im możecie zaufać. Jeśli zaś chodzi o pozostałych... – Najwyraźniej całkiem bezwiednie dłonie zwisających swobodnie rąk zaciskały się w pięści. – Czasami miecz potrafi przekreślić się w dłoni, jednak to nie znaczy, że można sobie poradzić bez niego. Po prostu trzymajcie się jak najdalej od każdego człowieka w czarnym kaftanie. Posłuchajcie, teraz nie ma czasu na dłuższe rozmowy. Najlepiej będzie, gdy jak najszybciej stąd zniknę.

A jednak się pomyliła. Nie do końca okazał się mężczyzną z jej marzeń. Kiedyś otaczała go ulotna aura chłopięctwa. Obecnie nie zostało po niej śladu. Poczowała nagły przypływ litości dla niego. Jakoś nie wydawało jej się, by sam był zdolny do tego uczucia.

– On ma rację przynajmniej w jednej sprawie – wtrącił Lan nie wyjmując fajki z ust. Podobnym tonem, jak przed chwilą mówił Rand. Kolejny mężczyzna, który chyba nigdy nie był chłopcem. Jego oczy wзираły błękitem spod okalającej czoło rzemiennej plecionki. – Wszyscy wokół niego znajdują się w wielkim niebezpieczeństwie. Wszyscy.

Z jakiegoś powodu Nynaeve prychnęła. A zaraz potem poklepała dłonią wybrzuszoną skórę worka spoczywającego na stole i uśmiechnęła się. Choć już po chwili najwyraźniej przestało jej być wesoło.

– Czy moja pierwsza siostra i ja unikamy niebezpieczeństwa? – zaprotestowała Aviendha, wspierając się pod boki. Szal zsunął się jej z ramion na posadzkę, jednak była tak wzburzona, że chyba nawet tego nie zauważyła. – Ten człowiek ma wobec nas *toh*, Aan’alleinie, podobnie jak my wobec niego. Raz na zawsze trzeba rozstrzygnąć tę sprawę.

Min rozłożyła ręce.

– Nie mam pojęcia co tu ma do rzeczy jakiś tok, ale nigdzie się stąd nie ruszę, póki z nimi nie porozmawiasz, Rand! – Demonstracyjnie udała, że nie dostrzega wściekłego spojrzenia Aviendhy.

Rand westchnął, przysiadł na rogu stołu i przeczesał ciemnorudawe loki spływające mu na kark. Nawet nie zdjął rękawic. W oczach zebranych wyglądało, jakby kłócił się ze sobą w myślach.

– Przykro mi, że sprowadziłem wam na głowę te *sul’dam* i *damane* – oznajmił na koniec. Z tonu głosu faktycznie można było wnosić, że jest mu przykro, choć nie za bardzo; równie dobrze mógłby ubolewać nad stanem pogody. – Przypuszczałem, że siostry są z wami, to w ich ręce Taim miał je przekazać. Zakładam jednak, że taka pomyłka każdemu może się przydarzyć. Niewykluczone, że uznał za Aes Sedai wszystkie te Mądre Kobiety i Wiedzące, które Nynaeve tu zebrała. – Uśmiechnął się nieznacznie. Ale jego oczy nie zmieniły wyrazu.

– Rand – powiedziała Min cicho, ostrzegawczo. Miał tyle czelności, by spojrzeć na nią pytająco, jakby rzeczywiście nie rozumiał. I spokojnie ciągnął dalej:

– W każdym razie najwyraźniej jest ich tu dosyć, żeby mogły się zatroszczyć o garstkę kobiet, póki nie zostaną one przekazane... tamtym siostron, tym od Egwene. Nie wszystko zawsze układa się taki sposób, jakbyśmy chcieli, nieprawdaż? Kto by pomyślał na przykład, że z kilku siostr uciekających przed Elaidą zrodzi się prawdziwa rebelia przeciwko władzy Białej Wieży? Że Egwene zostanie jej Amyrlin! A Legion Czerwonej Ręki jej armią. Zakładam, że Mat zostanie z nią przez czas jakiś. – Z jakiegoś niejasnego powodu przerwał w tym miejscu, zamrugał, dotknął dłonią czoła, potem jednak ciągnął dalej, tym irytująco niezobowiązującym tonem: – No, dobrze. Wszędzie

dookoła wydarzenia toczą się zupełnie niespodziewanym torem. Jeżeli dalej to potrwa w takim tempie, nie zdziwię się, jeśli nawet moje przyjaciółki w Wieży zbiorą dość odwagi, by wystąpić całkiem otwarcie.

Elayne spod uniesionych brwi zerknęła na Nynaeve. Wiedzące i Mądre Kobiety? Legion jako armia Egwene i Mat razem z nią? Mimo wszystkich starań, by wyglądać jak wcielenie niewinności, a może właśnie przez to, Nynaeve wyglądała jak poczucie winy przybite do drzwi. Jednak w ostatecznym rozrachunku nie miało to chyba większego znaczenia. Jeżeli uda się go przekonać, aby poszukał schronienia u Egwene, wkrótce dowie się jaka jest prawda. Tak czy siak, miała do załatwienia z nim ważniejsze sprawy. Tymczasem on jednak paplał niepowstrzymanie i widać było, że choć bardzo stara się nadać swej przemowie lekki ton, to w istocie próbuje tylko odwrócić ich uwagę, podsuwając coraz to inne wabiki.

– To się nie uda, Rand. – Elayne wpiła dłonie w fałdy swych spodnie, żeby pohamować pokusę pogrozenia mu palcem. Albo pięścią, sama nie wiedziała, do jakiego stanu już ją zdążył doprowadzić. Tamte siostry? Już miał zamiar powiedzieć „prawdziwe Aes Sedai”. Jak on śmie? I jego „przyjaciółki” w Wieży! Czy wciąż jeszcze wierzył w ten dziwaczny list Alvarin? Odezwała się jednak głosem chłodnym i zdecydowanym, jednoznacznie wskazującym, że nie ma zamiaru tolerować żadnych bzdur. – Żadna z tych kwestii nie ma w obecnej chwili najmniejszego znaczenia. Aviendha, Min i ja musimy z tobą porozmawiać o nas samych. I porozmawiamy. A zanim to nie nastąpi, Randzie al’Thor, nie opuścisz pałacu!

Przez dłuższą chwilę tylko patrzył na nią w milczeniu, a wyraz jego twarzy nie uległ żadnej zmianie. Potem westchnął głośno, a jego rysy skrzeły w granit. I zza tego oblicza, niczym zza kamiennych murów, wyrwały się słowa niczym woda zrywająca tamę i później płynęły bez chwili przerwy, choćby na nabranie oddechu:

– Kocham cię, Elayne. Kocham cię, Aviendha. Kocham cię Min. I żadnej nie kocham nawet odrobiny bardziej niż pozostałych. I nie jest tak, że chcę tylko jednej z was. Chcę mieć wszystkie trzy naraz. Macie, co chciałyście usłyszeć. Jestem lubieżnym zбочeńcem. Proszę bardzo, możecie sobie już iść i nie oglądać się za siebie. W każdym razie i tak chodzi o moje szaleństwo. Nie stać mnie na to, by kogokolwiek kochać!

– Randzie al’Thor – wrzasnęła Nynaeve – są to najbardziej skandaliczne słowa, jakie kiedykolwiek słyszałam z twoich ust! Sam pomysł, żeby trzem kobietom powiedzieć w oczy, że kochasz je wszystkie naraz! Jesteś kimś znacznie gorszym niż lubieżnym zбочeńcem! Masz natychmiast je przeprosić! – Tymczasem Lan gwałtownym ruchem wyjął fajkę z ust i teraz ze zdumieniem wpatrywał się w Randa.

– Kocham cię, Rand – z prostotą odrzekła Elayne – i chociaż nigdy mnie nie prosiłeś, wiedz, że chcę wyjść za ciebie. – Zarumieniła się lekko, ale ponieważ już dawno temu obiecała sobie, że tym razem za nic nie pozwoli się onieśmielić, zignorowała rumieniec. Nynaeve poruszała ustami, z których nie wydobywał się żaden dźwięk.

– Trzymasz w dłoniach me serce, Rand – rzekła Aviendha. Wymawiając jego imię w taki sposób, jakby obracała w palcach coś nadzwyczaj cennego i rzadkiego. – Jeśli upleciesz narzeczeński wianek dla mnie i dla mojej pierwszej siostry, wiedz, że go podniosę. – I ona również zarumieniła się, co spróbowała ukryć, podnosząc szal z posadzki i okrywając nim ramiona. Wedle obyczajów Aielów, za nic nie powinna czegoś takiego mówić. Nynaeve wreszcie udało się dobyć z gardła jakiś odgłos. Pisk.

– Jeżeli jeszcze nie wiesz o tym, że ja cię również kocham – powiedziała Min – wobec tego jesteś ślepy, głuchy i nieżywy! – Jej z pewnością nie sposób było podejrzewać, że zaraz się zarumieni

przeciwnie, w ciemnych oczach igrały psotne iskierki, wyglądała jakby w każdej chwili gotowa była wybuchnąć śmiechem. – Jeżeli zaś chodzi o małżeństwo, cóż, myślę, że jakoś to załatwimy między nami trzema, jak tu stoimy! – Nynaeve zacisnęła na swoim warkoczu obie dłonie, a potem szarpnęła mocno, wciągając głośno powietrze przez nos.

Lan z najwyższą uwagą badał zawartość główki swej fajki.

Rand po kolei przyglądał się każdej takim wzrokiem, jakby po raz pierwszy widział na oczy kobietę i zastanawiał się, czym też ona może być.

– Wszystkie trzy oszalałyście – oznajmił na koniec. – Gotów byłbym ożenić się z każdą z was... ze wszystkimi trzema, Światłości, miej nade mną litość!... ale jest to niemożliwe, o czym dobrze wiecie. – Nynaeve osunęła się w fotelik, cały czas kręcąc głową. Mruczała coś pod nosem, jednak Elayne była w stanie usłyszeć tylko coś na temat członkiń Koła Kobiet, które połkną swe języki.

– Jest jeszcze coś, o czym powinniśmy porozmawiać – powiedziała Elayne. Światłości, Min i Aviendha patrzyły takim wzrokiem, jakby miały przed oczami pyszny tort! Z wysiłkiem spróbowała się opanować, nadać swemu uśmiechowi mniej... poządlivy charakter. – Najlepiej jeśli dokończymy rozmowy w moich apartamentach. Nie powinniśmy dłużej kłopotać Nynaeve i Lana. – Obawiała się jednak raczej, że gdyby Nynaeve dowiedziała się o co chodzi, spróbowałyby przeszkodzić. Gdy w grę wchodziły sprawy Aes Sedai, bez namysłu egzekwowała należne jej prerogatywy.

– Tak – z namysłem zgodził się Rand. By po chwili dorzucić jeszcze dziwne słowa: – Powiedziałem przecież, że wygrałaś, Nynaeve – Nie opuścę pałacu, zanim się z tobą nie spotkam.

– Och! – Nynaeve aż się wzdrygnęła. – Tak. Oczywiście, że nie. Dorastał na moich oczach – głupawo próbowała zagaic, uśmiechając się słabo do Elayne. – Prawie od samych narodzin, przyglądałam się, jak stawia pierwsze kroki. Nie może przecież teraz odejść, zanim z nim długo i porządnie nie porozmawiam.

Elayne zmierzyła ją podejrzliwym spojrzeniem. Światłości, brzmiało to zupełnie jak zawrozenia starej piastunki. Chociaż z drugiej strony należało przyznać, że Lini nigdy nie paplała w ten sposób. (Od czasu do czasu zdarzało jej się myśleć o Lini, w nadziei, że żyje i wie dzie jej się dobrze, obawiała się wszelako, iż żadne z dwojga nie jest, prawdą). Dlaczego więc Nynaeve zachowuje się w taki sposób? Najwyraźniej coś jej chodziło po głowie, a jeżeli nie miała zamiaru wykorzystać autorytetu swej pozycji dla przeprowadzenia swoich zamiarów, musiały one być – nawet w jej opinii – złe.

Nagle sylwetka Randa zadrżała, jakby spowił ją podmuch rozgrzanego powietrza, i wszystkie myśli pierzchły z głowy Elayne. W jednej chwili stał się... kimś zupełnie innym: niższym, grubszym, bardziej wulgarnym i brutalnym. W istocie wygląd miał tak odrażający, że instynktowna reakcja stłumiła nawet obrzydzenie na myśli że musiał przecież skorzystać z męskiej połowy Źródła. Tłuste czarne włosy okalały niezdrowo blade oblicze. Pełne włochatych brodawek, z których jedna usadowiła się na kartoflowatym nosie. Grube, miękkie wargi sprawiały takie wrażenie, jakby zaraz miały toczyć ślinę. Nic dziwnego więc, że zacisnął oczy, ciężko przełknął ślinę i ścisnął poręcz fotelika, jakby nie mógł znieść, że widzą go w takim stanie.

– Wciąż jesteś piękny, Rand – powiedziała delikatnie.

– Ha! – odezwała się Min. – Na widok tej twarzy nawet koza by zemdlą! – Cóż, prawda, jednak wcale nie musiała o tyra mówić.

Aviendha roześmiała się.

– Po co ta delikatność, panno Farshaw. Widok tego oblicza powaliłby całe stado kóz. – Światłości, zaiste! Elayne akurat w czas udało się stłumić nabrzmiewający w gardle chichot.

– Jestem, kim jestem – powiedział Rand, wstając. – Po prostu nie potraficie tego dostrzec.



Jeden rzutu oka na Randa w przebraniu wystarczył Deni, by uśmiech zniknął jej z twarzy. Usta Caseille otwarły się szeroko.

„I tyle, jeśli chodzi o mojego tajemniczego kochanka” – pomyślała Elayne, śmiejąc się w duchu. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni żeby zdać sobie sprawę, iż wlokąc się pośród nich z ponurym obliczem, będzie przyciągał równie wiele spojrzeń co Gwardzistki. Oczywiście, nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, kogo ma przed sobą. Służba na korytarzach zapewne uzna, że jest podejrzewany o jakąś zbrodnię. Z pewnością na kogoś takiego właśnie wyglądał. Caseille i Deni wciąż mierzyły go ostrzegawczymi spojrzeniami, jakby również doszły do takich wniosków.

Doszło niemalże do kłótni, gdy Gwardzistki zrozumiały, że ponowiły zamknąć się z nim w apartamentach, im zaś każe się czekać na zewnątrz. Znienacka przebranie Randa nie wydawało się już wcale zabawne. Caseille zacisnęła usta, zaś szeroką twarz Deni wykrzywił grymas pełnego dezaprobaty uporu. Elayne niemalże musiała im pomachać przed oczyma pierścieniem z Wielkim Wężem, nim wreszcie zajęły swe stanowiska pod drzwiami, ale nic nie było w stanie zmienić ich wyrazu twarzy. Choć miała prawdziwą ochotę trzasnąć drzwiami, to zamknęła je najdelikatniej, jak potrafiła, do ostatniej chwili mając przed oczami ich zmarszczone brwi. Światłości, naprawdę mógł wybrać sobie jakąś mniej odrażającą charakteryzację.

Ten, o którym myślała, ruszył prosto do stoliczka, oparł się o inkrustowany blat i trwał tak przez chwilę, podczas gdy powietrze wokół niego drżało do czasu, aż wreszcie na powrót nie stał się sobą. Smocze łby na wierzchach dłoni połyskiwały metalicznie, szkarłatem i złotem.

– Pić mi się chce – mruknął ochrypłym głosem, kątem oka najwyraźniej dostrzegając srebrny dzban o smukłej szyjce na długim kredensie pod ścianą.

Wciąż nie spojrzawszy ani raz na nią, Min bądź Aviendhę, przeszedł niepewnie tych kilka kroków i napełnił pucharek, który potem przechylił jednym długim haustem. Słodkie korzenne wino zajęło miejsce, z którego zabrano jej śniadanie. Nie spodziewano się jej rychłego powrotu do komnat, dlatego też ogień na palenisku zasypano popiołem. Wino musiało być już zimne jak lód. Nie widziała jednak, by podjął najmniejszą próbę podgrzania go Mocą. Zresztą musiałyby dostrzec parę unoszącą się z szyjki. Nie potrafiła pojąć, dlaczego poszedł po wino, zamiast sprawić, by przyleciało do miejsca, gdzie stał? Przecież to były jego ulubione sztuczki – fruwające na splotach Powietrza pucharki, lampy.

– Dobrze się czujesz, Rand? – zapytała Elayne. – To znaczy, chodzi mi o to, czy nie jesteś chory? – W żołądku ścisnęło na myśl, co to mogłaby być w jego przypadku za choroba.– Nynaeve mogłaby...

– Czuję się tak dobrze, jak tylko mogę w moim stanie – odparł pustym głosem. Wciąż stał odwrócony do nich plecami. Zaczął powtórnie napełniać opróżniony przed momentem pucharek– No dobrze, o czym nie ma się dowiedzieć Nynaeve?

Elayne poczuła, jak brwi unoszą jej się ze zdziwienia, wymieniła spojrzenia z Aviendhą, potem z Min. Jeżeli on był w stanie przejrzeć jej podstęp, Nynaeve z pewnością również potrafiła. Dlaczego więc pozwoliła im odejść? Poza tym, cóż takiego mogło wzbudzić jego podejrzliwość? Aviendha leciutko pokręciła głową zdumiona. Min zareagowała podobnie, jednak uśmiechając się w sposób, który mówił, że powinny się z czymś takim liczyć od czasu do czasu. I na widok tego uśmiechu Elayne poczuła drobniutkie ukłucie... nie, nie całkiem zazdrości, zazdrość przecież nie miała wśród nich racji bytu... lecz po prostu irytacji, że Min mogła spędzić z nim tyle czasu, a jej nie było to dane. No, dobrze, jeśli chce się bawić w niespodzianki...

– Chcemy cię związać więziami Strażnika – powiedziała, podwijając spódnice i zajmując miejsce w foteliku. Min przysiadła na krawędzi stołu, kołyszając stopami, zaś Aviendha uśmiechnęła się ze

skrzyżowanymi nogami na dywanie, pieczołowicie rozpościerając grube wełniane spódnice. – Wszystkie trzy od razu. Zgodnie z obyczajem, postanowiłyśmy najpierw zapytać.

Odwrócił się na pięcie, z pucharka i przechylonego dzbanu chlusnęło wino. Zaklął pod nosem, uniósł do góry szyjkę, cofnął się jak oparzony przed rozkwitającą na dywanie mokrą plamą i dopiero po chwili odstawił dzban na tacę. Przód jego łachmaniarskiego kaftana również znaczyła ciemna wilgoć i rozproszone krople wina, które próbował strząsnąć wolną dłonią. Nadzwyczaj satysfakcjonująca reakcja.

– Naprawdę oszalałyście – warknął. – Wiecie dobrze co mnie czeka. Wiecie co to oznacza dla każdej, z którą zostanę połączony więzią zobowiązań. Nawet jeśli nie oszaleję, będzie musiała przeżyć moją śmierć! I co to właściwie znaczy: wszystkie trzy od razu? Min nie potrafi przenosić. Zresztą mniejsza o to. Alanna Mosvani zrobiła to pierwsza i nawet nie przyszło jej do głowy zapytać. Spotkałem ją, gdy wraz z Verin prowadziły do Białej Wieży jakieś dziewczęta z Dwu Rzek. Jestem z nią związany już od całych miesięcy.

– I zataiłeś to przede mną, wełnianogłowy pasterzu? – ostro spytała Min. – Gdybym tylko wiedziała...! – Zręcznie dobyła rękawa smukły sztylet, wpatrywała się weń przez moment wściekle, a potem ponuro wsunęła na miejsce. Konsekwencje czynu Alanny mogły być niemiłe dla niej... lub dla Randa.

– To było naruszenie obyczaju – na poły pytająco oznajmiła Aviendha. Zmieniła pozycję na dywanie i muskała palcami rękojeść noża przy pasie.

– Nadzwyczaj poważne – ponuro potwierdziła Elayne. Fakt, że siostra była w stanie zrobić coś takiego dowolnemu mężczyźnie, stanowił rzecz odstręczającą. Że Alanna zrobiła to Randowi...! Pamiętała przecież smagłą, energiczną Szarą siostrę o temperamentie i poczuciu humoru żywych niczym rtęć. – Alanna ma wobec niego większy *toh* niż będzie w stanie spłacić przez całe życie! Nie wspominając już o nas. A jeżeli jej samej nie przyjdzie do głowy moralny rewanż, to pożałuje, że nie zabiłam jej od razu, gdy tylko wpadnie w me ręce!

– Gdy wpadnie w nasze ręce – powiedziała Aviendha, kiwając głową dla podkreślenia wagi swych słów.

– Cóż, więc. – Rand wpatrywał się w powierzchnię wina, kołyszącą się w pucharku. – Same rozumiecie, że nie ma to najmniejszego sensu. Myślę... myślę, że lepiej będzie, jak już wrócę do Nynaeve. Idziesz, Min? – Mimo wszystkich słów, jakie przed chwilą między nimi padły, mówił takim głosem, jakby nie potrafił naprawdę uwierzyć, że Min teraz go porzuci. Zresztą ta ewentualność najwyraźniej nie wzbudzała w nim lęku, lecz rodziła jedynie rezygnację.

– Jest sens – oznajmiła z naciskiem Elayne. Spojrzała w oczy, jakby chciała samą siłą woli zmusić go do przyjęcia argumentów, które miały za chwilę paść. – Jedna więź zobowiązań ustrzeże cię przed drugą. Siostry nie dlatego nie nakładają ich na tego samego człowieka, ponieważ tak stanowi obyczaj, Rand ani dlatego, że nie może być to wykonane, po prostu nie chcą się nim dzielić. Poza tym, nie jest to nawet sprzeczne z prawem Wieży – Rzecz jasna, pewne obyczaje równie silnie wiązały jak praw przynajmniej w oczach sióstr. Na przykład Nynaeve z każdym dniem coraz częściej rozwodziła się na temat ochrony zwyczajów i honoru Aes Sedai. Gdyby się dowiedziała, prawdopodobnie z złości wyleciałaby przez sufit. – No, cóż. Naprawdę chcemy ciebie między sobą dzielić! I tak się stanie, jeśli tylko wyrazisz zgodę.

Jak łatwo przyszły jej te słowa! Nie tak dawno jeszcze pewna była, że nigdy ich nie wypowie. Póki nie zrozumiała, że kocha Aviendhę równie mocno jak jego, tylko po prostu w inny sposób. Min też była dla niej kolejną siostrą, mimo iż nie przeszły oficjalnego procesu adopcji. Oczywiście na samą myśl o tym, co zrobiła mu Alanna, gotowa była z niej przy pierwszej lepszej okazji drzeć pasy,

jednak wobec Aviendhy i Min czuła coś innego. Były jej częścią. W pewien sposób były nią, ona zaś była nimi.

Zdecydowała się na łagodniejszy ton.

– Proszę cię, Rand. Wszystkie cię prosimy. Pozwól nam połączyć się więzią.

– Min – mruknął, nieomal oskarżycielsko. Oczy, utkwione w obliczu Min były pełne rozpacz. – Wiedziałaś, prawda? Wiedziałaś, że kiedy stanę przed nimi... – Pokręcił głową nie umiejąc lub nie chcąc dokończyć.

– Nie miałam pojęcia o więzi zobowiązań, póki nie usłyszałam od nich nie dalej jak przed godziną – odrzekła, spoglądając mu w oczy z taką czułością, jakiej Elayne nigdy jeszcze u nikogo nie widziała. – Ale wiedziałam przecież, czy może miałam nadzieję, że tak się stanie, gdy tylko znowu się z nimi spotkasz. Przed niektórymi rzeczami nie da się umknąć, Rand. To jest jedną z nich.

Przez chwile ciągnące się niczym godziny Rand stał ze spojrzeniem wbitym w zawartość pucharka, w końcu odstawił go na tacę.

– Dobrze – powiedział cicho. – Nie mogę twierdzić, że tego nie chcę, skoro byłaby to nieprawda. Żebym za to szczeł w Światłości! Zastanówcie się raz jeszcze jednak nad tym, co będziecie musiały poświęcić w zamian. Pomyślcie o cenie, jaką zapłacicie. Elayne nie musiała się zastanawiać nad ceną. Znała ją od samego początku, rozmawiała o wszystkim z Aviendhą, by zdobyć pewność, że tamta również zdaje sobie sprawę. Wyjaśniła rzecz całą Min. Bierz co chcesz, a potem za to płać, głosiło stare powiedzenie. Żadna nie musiała już zastanawiać się nad rozmiarem poświęcenia – znały cenę i gotowe były ją zapłacić. Nie było czasu do stracenia. Nawet w chwili obecnej nie mogła mieć pewności, czy on się nie wycofa w pewnym momencie, gdy dojdzie do wniosku, że cena jednak jest zbyt wysoka. Jakby to on miał o tym zdecydować!

Otworzyła się na *saidara*, połączyła się z Aviendhą, równocześnie uśmiechając do niej. Wzmoczona świadomość siebie wzajem, jeszcze bardziej intymny udział w emocjach i cielesnych odczuciach drugiej – w przypadku jej siostry zawsze stanowiło to czystą przyjemność. Wszystko z pewnością musiało bardzo przypominać to, co już wkrótce dzielić będą z Randem. Teraz uważnie tkąła splot, przyglądając mu się pod różnymi kątami. Nadzwyczajnie przydała jej się wiedza, jaką zdążyła podejrzeć w splotach adopcyjnych Aielów. To właśnie tamta ceremonia podsunęła jej zaczątek pomysłu.

Pieczołowicie splotła Ducha – strumień z ponad stu nitek przędzy, każda dokładnie w przeznaczonym dla siebie miejscu, a potem narzuciła go na siedzącą na posadzce Aviendhę, chwilę później identycznie postąpiła z Min, opartą o krawędź stołu. W jakiś sposób wcale nie otrzymała dwu oddzielnych splotów. Jarzyły się ścisłym podobieństwem, najwyraźniej patrząc na jeden widziała także drugi. Nie były to dokładnie sploty wykorzystywane podczas ceremonii adopcji, jednak skonstruowane zostały na tych samych zasadach. Ich główna funkcja polegała na tym, że „obejmowały” – cokolwiek przydarzyło się jednemu człowiekowi ogarniętemu tym splotem, dotyczyło wszystkich pozostałych. Gdy tylko sploty trafiły na swoje miejsce, przekazała Aviendzie przewodnictwo kręgiem złożonym z dwóch. Splecione już strumienie pozostały swoich miejscach, Aviendha natomiast zaraz utkała identyczną przędzę wokół Elayne i znowu wokół Min, ten ostatni splot prowadząc w taki sposób, aż był nieodróżnialny od splotu Elayne i przekazała tamtej z powrotem kontrolę. Po wielu godzinach wytrwałych ćwiczeń cała rzecz obecnie przychodziła im z łatwością. Wszystkie cztery sploty, czy może raczej już tylko trzy, wyglądały jakby stanowiły część tej samej tkaniny.

Wszystko było gotowe. Od Aviendhy czuć było pełnym wiary we własne siły zdecydowaniem, równym temu, które Elayne czuła u Birgitte. Min zacisnęła dłonie na krawędzi blatu, na którym

przysiadła, jej kostki splecione były razem – nie potrafiła dostrzec splotów, jednak wrażenie wywierane przez śmiały uśmiech popsuka nieco, gdy w zdenerwowaniu oblizwała wargi. Elayne nabrała głęboko powietrza w płuca, a potem je wypuściła. Przed jej oczyma wszystkie trzy otaczała i łączyła delikatna siateczka ornamentyki Ducha, przy której nawet najświetniejsza korona wyglądałaby na niechlujnie wykonaną. Gdyby tylko działało, jak wierzyła, że będzie.

Od otaczającego każdą splotu uprzedła cienką nić i pchnęła ku Randowi, splatając je wszystkie trzy w jedną, a potem tworząc z nich więź zobowiązań Strażnika. Tę narzuciła na Randa z równą delikatnością, jakby przykrywała dziecko kocem. Pajęczyna Ducha osiadła na nim, po chwili wniknęła weń. Nawet nie mrugnął, choć wszystko już się dokonało. Wypuściła *saidara*. Koniec.

Popatrzył na nie wzrokiem całkowicie pozbawionym wyrazu, a potem powoli unióś ręce do skroni.

– Och, Światłości. Rand. Co za ból. – jęknęła Min obolałym głosem. – Nie wiedziałam. Nawet sobie nie potrafiłam wyobrazić. Jak ty możesz to wytrzymać? Te bóle, z których istnienia nawet sobie nie zdajesz sprawy, jakbyś żył z nimi już zbyt długo, jakby stały się częścią ciebie. Te czaple na przedramionach, przecież wciąż czujesz moment piętnowania. Przecież te smoki na twoich rękach wciąż bolą! I rana w boku. Och Światłości, rana w boku! Dlaczego nie płaczesz, Rand? Dlaczego nie płaczesz wciąż?

– On bowiem jest *Car'a'carn* – powiedziała Aviendha, śmiejąc się – jest równie silny jak sama Ziemia Trzech Sfer! – Na jej obliczu gościła duma, bezbrzeżna duma, jednak nawet gdy się śmiała, łzy strumieniami spływały po jej ogorzałych policzkach. – Żyły złota. Ach żyły złota. Naprawdę mnie kochasz, Rand.

Elayne natomiast tylko patrzyła na niego, czując w głowie jego obecność. Ból ran i kontuzji, o których naprawdę zdążył już zapomnieć. Napięcie i niewiara, zdumienie w obliczu cudu. Jego uczucia były odrętwiąłe, pod dotykiem myśli przypominały bryłę żywicy, stwardniałej prawie na kamień. Jednak wśród zeschniętej materii przebijały żyły żywego złota, które pulsowały i lśniły za każdym razem, gdy patrzył na Min lub Aviendhę. Lub na nią. Naprawdę ją kochał. Kochał wszystkie trzy. Na samą myśl zachciało jej się śmiać z radości. Inne kobiety nigdy ostatecznie nie pozbędą się wątpliwości, tylko jej przypadła w udziale pewność tego, że jest kochana.

– W rękach Światłości, że wiesz, co czynisz – powiedział cicho. – Niech Światłość sprawi, abys nie... – Bryła żywicy znowu odrobinę stwardniała. Wiedział, że jego słowa będą ranić i z góry starał się znieczulić na spodziewane reakcje. – Muszę... muszę już iść. Przynajmniej teraz będę już wiedział, że z wami wszystko w porządku. Nie będę musiał się wciąż zamartwiać. – Znienacka uśmiechnął się. Uśmiech nadałby mu wygląd nieomal chłopięcy, gdy rozjaśnił również oczy. – Nynaeve oszaleje, jeśli się dowie, że uciekłem nie pożegnawszy się z nią. Choć oczywiście, od tego korona by jej z głowy nie spadła.

– Jeszcze jedno, Rand – zaczęła Elayne i urwała, żeby przełknąć ślinę. Światłości, a wcześniej myślała, że to będzie najłatwiejsza część wszystkiego.

– Aviendha i ja musimy porozmawiać, póki mamy po temu okazję – pospiesznie oznajmiła Min, zeskakując ze stołu. – Najlepiej na osobności. Pozwolisz, Aviendha?

Aviendha wdzięcznie podniosła się z dywanu, wygładzając spódnice.

– Oczywiście. Min Farshaw i ja musimy się bliżej poznać – Z powątpiewaniem spojrzała na Min i poprawiła szal. Z komnaty wyszły jednak już pod ramię.

Rand podejrzliwie się temu przyglądał, jakby wiedział, że zostało to z góry ukartowane. Wilk przyparty do muru. Takie sprawiał wrażenie. W głowie pulsowały poświata złote żyły.

– One mogły być z tobą w sposób, który mnie nie był dany – zaczęła Elayne i zakrztusiła się, a

rumieniec spłonął jej twarz. Krew i popioły! W jaki sposób robią to inne kobiety? Uważnie przyjrzała się temu węzłowi wrażeń we własnej głowie, który był nim, a potem temu, który był Birgitte. Żadnej zmiany, przynajmniej jeśli chodzi o ten drugi. Wyobraziła sobie więc, że zawija go w chusteczkę, potem zawiązuje chusteczkę na supełki – i Birgitte znikła. Został tylko Rand. I te jarzące się złote żyły. W jej żołądku wściekle łopotały skrzydłami motyle wielkości wilków. Z wielkim wysiłkiem znowu przełknęła ślinę i odetchnęła głęboko. – Będziesz musiał mi pomóc przy guzikach – powiedziała niepewnie. – Sama nie poradzę sobie ze zdjęciem sukienki.

Na widok Min i Aviendhy stojące na korytarzu Gwardzistki przestąpiły z nogi na nogę, jednak wyraźnie zeszywniały, gdy i Min zamknęła za sobą drzwi i jasne stało się, że nikt więcej nie wyjdzie.

– Niemożliwe, żeby była aż do tego stopnia pozbawiona gustu – mruknęła po nosem ta o oczach śpioszki, zaciskając dłonie na swej długiej palce. Min uznała, że komentarz nie był przeznaczony dla niczyich uszu.

– Zbyt wiele brawury i zbyt wiele naiwności – warknęła ta szczupła, bardziej męska. – Kapitan-Generał nas przed tym ostrzegala. – Dłoń w rękawicy spoczęła na klamce.

– Wejdiesz tam, a ona prawdopodobnie obedrze cię ze skóry – radośnie rzuciła Min. Widziałaś ją kiedyś, gdy była wściekła? Mogłaby płoszyć niedźwiedzie!

Aviendha puściła ramię Min i odsunęła się odrobinę. Gniewny mars jej czoła przeznaczony był jednak dla Gwardzistek.

– Wątpicie, że moja siostra jest w stanie poradzić sobie z pojedynczym mężczyzną? Jest Aes Sedai i w jej piersi bije lwie serce. A wy przysięgłyście jej posłuszeństwo! Będziecie więc robić, co każe, nie zaś wtykać nosy w jej sprawy.

Gwardzistki wymieniły przeciągłe spojrzenia. Ta bardziej krępa wzruszyła ramionami. Chuda skrzywiła się, jednak zdjęła rękę z klamki.

– Przysięgam, że dziewczynie nie spadnie włos z głowy – oznajmiła hardo – i mam zamiar przysięgi dotrzymać. Dziewczynki, idźcie pobawić się swoimi lalkami, a mi pozwólcie wykonywać moją robotę.

Min przez chwile zastanawiała się, czy nie wyciągnąć noża i nie błysnąć przekładanym między palcami ostrzem w jednej ze sztuczek, jakich nauczyła się od Thoma Merrilina. Tylko tyle, żeby im pokazać, kto tu jest dziewczynką. Żyłasta kobieta nie była już młoda, jednak w jej włosach nie sposób było doszukać się siwizny, poza tym wyglądała na całkiem silną. I szybką. Min wolałaby wierzyć, że okazałe ciało tej drugiej w dużej mierze zbudowane jest z tłuszczu, ale jakoś nie potrafiła. Wokół ich głów nie widziała najmniejszego przeblysku obrazu czy aury, lecz na pierwszy rzut oka widać było, iż nie zawahają się postąpić w całkowitej zgodzie z własnym przekonaniem. Cóż, przynajmniej postanowiły zostawić Elayne i Randa samych. Może nóż nie będzie potrzebny.

Kątem oka dostrzegła jak Aviendha niechętnie zdejmuje dłoń ze sterczącej zza pasa rękojeści noża. Jeśli tamta nie przestanie naśladować jej w ten sposób, nie pozostanie nic innego, jak podejrzewać, że mimo wszystko w tych podstępnych sztuczkach z Mocą kryło się coś więcej, niż jej powiedziano. Choć z drugiej strony zaczęło się to wcześniej niż te szachrajstwa. Niewykluczone, że po prostu były do siebie bardzo podobne. Niepokojąca myśl. Światłości, całe to gadanie o tym, że poślubi wszystkie trzy, można było znieść póki na gadaniu się kończyło, jednak z którą naprawdę miał się ożenić?

– Elayne jest dzielna – poinformowała Gwardzistki – jest najdzielniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałam. I nie jest głupia. Jeśli służbę u niej zaczniecie od odwrotnego przekonania, wkrótce

wszystko źle się skończy. – Patrzyły na nią z perspektywy bogatszej o dodatkowych piętnaście czy dwadzieścia lat, odpowiedzialne, niewzruszone, zdecydowane. Za chwilę znowu każą zmykać. – Cóż, nie możemy stać tu przez cały dzień, jeśli mamy porozmawiać, nieprawdaż?

– Oczywiście – wycedziła Aviendha, patrząc groźnie na Gwardzistki. – Nie możemy.

Kiedy odchodziły, tamte ani razu nie zerknęły za nimi. Miały pracę do wykonania i w jej zakres nie wchodziło oglądanie się za przyjaciółkami Elayne. Min pozostawało tylko żywić nadzieję, że faktycznie wywiążą się dobrze ze swych obowiązków, gdy wybije godzina. Że przez nie Elayne nie wpakuje się w zarośla jeżyn, z których potem nie będzie się potrafiła wyplątać.

„W ogóle nie jest głupia” – pomyślała. – „Po prostu czasami pozwala, by odwaga wzięła górę nad rozsądkiem”.

Podczas wędrowki korytarzami z ukosa popatrywała na kobietę Aielów. Aviendha trzymała się od niej na taką odległość, na jaką tylko mogła, chcąc wciąż pozostać na tym samym korytarzu. Nawet nie zerknęła w stronę Min, tylko prawie od razu wyciągnęła z sakwy mocno rzeźbioną bransoletę z kości słoniowej i z drobnym, acz pełnym satysfakcji uśmiechem wsunęła ją na lewy nadgarstek. Od samego początku zachowywała się, jakby miała muchy w nosie, a Min nie potrafiła pojąć, dlaczego. Przecież u Aielów kobiety dzielące między sobą mężczyznę zdarzały się dość często. Z pewnością cała sprawa nie mogła wyglądać tak w jej oczach. Ona po prostu kochała go tak bardzo, że gotowa była się nim podzielić z inną kobietą – jeśli już było to konieczne, to oczywiście najlepiej, by ze wszystkich kobiet na świecie była to Elayne. W jej przypadku z pewnością słowo „dzielić” wywoływało najmniej przykrych skojarzeń. Ta kobieta Aielów była jednak obca. Elayne powiedziała, że przede wszystkim powinny poznać się nawzajem, ale jak mają się poznać, skoro tamta nie chce z nią rozmawiać?

Nie dane jej było dłużej zamartwiać się przyszłymi komplikacjami stosunków z Elayne czy z Aviendhą. Błądzące po głowie myśli natknęły się na coś zbyt cudownego. Obecność Randa. Maleńki kłębuszek, z którego dowiedziała się wszystkiego o nim. Wcześniej była przekonana, że cała rzecz z pewnością się nie uda, przynajmniej w jej przypadku. Ale teraz potrafiła się już tylko zastanawiać nad tym, jak też będzie wyglądać uprawianie miłości, skoro wszystko wiedziała! Światłości! Oczywiście, on również wszystko o niej wiedział. Jej odczucia względem tej drugiej sprawy były jednak zdecydowanie mieszane!

Nagle zdała sobie sprawę, że ta wiązka uczuć i wrażeń stała się zdecydowanie inna niż wydawała się z początku. Szalał w niej... czerwono zabarwiony zew... niczym wycie pożaru pędzącego przez suszony jak szczapa las. Co też...? Światłości! Zachwiała się i omal nie przewróciła. Gdyby tylko wiedziała z góry, gdyby mogła zobaczyć ten szalejący w nim wściekły głód, żądny niczym otwarte drzwi paleniska, nigdy nie pozwoliłaby się dotknąć! Z drugiej strony... To miła myśl, świadomość tego, że jest się w stanie rozpalić takie piekło. Już właściwie nie potrafiła się doczekać, by sprawdzić, czyjej obecność wywoła taki sam efekt, jak... Znowu się potknęła, tym razem musiała podeprzeć się o ozdobnie rzeźbiony kufer. Och, Światłości! Elayne! Jej policzki też paliły niczym żar paleniska. To było niczym podglądanie tajemnic alkowy!

Pospiesznie spróbowała posłużyć się sztuczką, której uczyła ją Elayne – wyobrazić sobie ten kłębek emocji ściśle zawiązany w chusteczkę. Nic się nie stało. Szaleńczo spróbowała znowu, jednak ryczący żar nie chciał odejść! Dłużej już nie wytrzyma tego przyglądania się, tego co ze sobą niósł! Nie myśleć o tym, myśleć o czymkolwiek innym, tylko nie o tym! Może porozmawiać...

– Uważam, że jednak powinna napić się herbaty z sercoliscia – zatrajkotała. O swoich wizjach nie mówiła nigdy nikomu, prócz samych zainteresowanych i jedynie wówczas, gdy sami tego chcieli jednak nic innego teraz nie przyszło jej do głowy. – Aż tego urodzi się dziecko. Dwójka dzieci,

chłopiec i dziewczynka, silni i zdrowi.

– Ona chce mu urodzić dzieci – mruknęła kobieta Aielów. Spojrzenie zielonych oczu utkwione było w dali korytarza, szczęki zaciśnięte, krople potu na czole. – Sama bym też nie wypijała tego naparu, gdybym... – Otrząsnęła się jakoś z targających emocji i przez przestrzeń korytarza spojrzała spod zmarszczonych brwi na Min. – Moja siostra i Mądre mówiły mi o tobie. Naprawdę widzisz, co się komu ma przydarzyć?

– Czasami widzę rzeczy, a one zawsze się spełniają, pod warunkiem, że właściwie odczytam ich sens – odrzekła Min. Ich głosy, nieco uniesione by pokonać dzielącą odległość, echo niosło po korytarzu. Służący w biało-czerwonej liberii zaczęli się już za nimi oglądać. Min ruszyła w stronę Aviendhy, ale doszła tylko do połowy korytarza. Dalej ani kroku. Po chwili jednak Aviendha dołączyła do niej.

Min zastanawiała się, czy opowiedzieć tamtej, co widziała, kiedy wszyscy byli razem. Aviendha również urodzi Randowi dzieci Czworaczki! W jej wizji było z nimi coś dziwnego. Dzieci były zdrowe, ale w jakiś sposób inne. Wielu ludzi zresztą w ogóle nie chciało nic wiedzieć na temat własnej przyszłości, niezależnie od tego, co utrzymywali. Bardzo żałowała, że jej nikt nie zdradzi, co również będzie miała...

Aviendha szła obok niej w milczeniu, w pewnej chwili otarła pot z czoła i przełknęła z wysiłkiem ślinę. Min doskonale wiedziała co tamta czuje. Wszystkie emocje Randa były w tym kłębku. Wszystkie!

– Sztuczka z chusteczką też ci nie bardzo wychodzi? – zapytała ochrypłym głosem.

Aviendha zamrugała, szkarłat powlekł jej policzki. Chwile później rzekła:

– Tak jest lepiej. Dziękuję. Zapomniałam... mając go w głowie, zupełnie zapomniałam. – Zmarszczyła brwi. – Ach, nie umiesz?

Min żałośnie pokręciła głową. To było naprawdę nieprzyzwoite!

– Kiedy rozmawiam, trochę pomaga. – W jakiś sposób musiała się zaprzyjaźnić z tą kobietą, jeśli cała ta dziwna sprawa miała się w ogóle udać. – Przepraszam za to, co powiedziałam. O tym toku, znaczy się. Niewiele wiem o waszych obyczajach. A gdy w grę wchodzi ten mężczyzna, zawsze robię się bezczelna. Nie potrafię zapanować nad językiem. Nie myśl sobie jednak, że pozwolę ci mnie uderzyć albo strugać mi kołki na głowie. Może i mam wobec ciebie jakieś *toh*, ale będziemy musiały znaleźć inny sposób, żeby mu sprostać. W wolnej chwili zawsze mogę wycesać twojego konia.

– Jesteś równie dumna jak moja siostra – mruknęła Aviendha, marszcząc brwi. A co to miało znowu znaczyć? – Masz też poczucie humoru. – Znów, jakby mówiła do siebie samej. – Nie robiłaś sobie złudzeń odnośnie Randa i Elayne w taki sposób, jak postępowałyby większość mieszkanek mokradeł. Poza tym przypominasz mi... – Z westchnieniem poprawiła szal na ramionach. – Wiem gdzie można znaleźć trochę *oosquai*. Jeśli będziemy zbyt pijane żeby móc myśleć, to... – Uniosła nieco wzrok i stanęła jak wryta. – Nie! – jęknęła. – Nie teraz!

W ich stronę podążała postać, na widok której Min aż otworzyła usta ze zdumienia. Wrażenie przez nią wywierane było tak wielkie, że zupełnie zapomniała o obecności Randa w swej głowie. Z usłyszanych wcześniej uwag zdołała zrozumieć, że Kapitan Generał Gwardii Elayne była kobietą, a oprócz tego Strażnikiem Elayne, jednak nic ponadto. Trzeba było dopiero zobaczyć ją na własne oczy. Gruby złoty warkocz o skomplikowanym splocie, przewieszony przez ramię krótkiego czerwonego kaftana z białym kołnierzem, obszerne niebieskie spodnie, wetknięte w buty na obcasach równie wysokich jak buty Min. Wokół jej głowy tańczyły aury i migotały obrazy, liczniejsze niżli Min zdarzyło się u kogokolwiek wiedzieć w życiu – z pozoru były ich tysiące, kaskadą przelewały

się jedne przez drugie. Strażnik Elayne i Kapitan General Gwardii Królowej idąc... chwiała się... nieco, jakby już zdążyła pokosztować *oosquai*. Służący na jej widok hurmem przypomnieli sobie, że mają coś ważnego do załatwienia w zupełnie innej części pałacu i już po chwili miały korytarz dla siebie. Birgitte jednak zdała sobie sprawę z obecności Min i Aviendhy dopiero w momencie, gdy omal na nie wpadła.

– To wy okropne dziewczuchy jej w tym pomogłyście, co? – warknęła, próbując skupić spojrzenie szklistych oczu na twarzy Aviendhy – Najpierw ta przeklęta Elayne znika z mojej głowy, a teraz...! Zadrżała i z wyraźnym wysiłkiem zapanowała nad sobą, jednak dalej jej pierś poruszał ciężki oddech. Nogi wciąż jakoś chciały trzymać jej prosto. Obliznęła usta, przełknęła ślinę i ze złością ciągnęła dalej: – Żeby szeszła, nie umiem się na tyle skoncentrować, aby to z siebie wyrzucić! Powiem wam, jeśli ona robi to, co podejrzewam, że robi, kopniakami pognam tego jej kochasia dookoła przeklętego pałacu, jej zaś, cholera, tak spiorę tyłek pasem, że przez miesiąc nie będzie mogła siadać... a wy oberwiecie do kompletu!... nawet gdybym musiała najpierw zadać jej widłokorzenia!

– Moja pierwsza siostra jest dorosłą kobietą, Birgitte Trahelion – ostro zareagowała Aviendha. Mimo hardego tonu, widać było, że garbi ramiona i nie do końca potrafi tamtej spojrzeć prosto w oczy. – Musisz wreszcie przestać traktować nas jak dzieci!

– Kiedy ta przeklętnica zacznie się zachowywać jak dorosła ja ją będę, cholera, jak dorosłą traktować, ale nawet wtedy nie będzie miała prawa tego robić, przynajmniej nie w mojej przeklętej głowie! Nie w moim...! – Znienacka jej szkliste błękitne oczy wyszły z orbit. Rozdziawiła usta i upadłaby, gdyby Min i Aviendha nie pottrzymały jej z obu stron. Zaciśnęła powieki, zaszlochała raz, a potem wyjęczała: – Dwa miesiące! – Wyzwoliła się z ich uścisku, wyprostowała i skupiła na Aviendzie spojrzenie błękitnych oczu, teraz czystych niczym woda i twardych jak lód.

– Jeżeli pomożesz mi i oddzielisz ją tarczą od Źródła, to ci odpuszczę.

Ponure, pełne urazy spojrzenie Aviendhy ześlizgnęło się po niej jak po gęsi.

– Ty jesteś Birgitte Srebrny Łuk! – szepnęła Min. Wiedziała jeszcze zanim Aviendha wypowiedziała pełne imię. Nic dziwnego, że kobieta Aielów zachowywała się tak, jakby bała się natychmiastowej realizacji rzucanych gróźb. Birgitte Srebrny Łuk! Widziałam cię pod Falme!

Birgitte wzdrygnęła się jak uszczypnięta, potem szybko rozejrzała dookoła. Kiedy nabrała pewności, że są same, uspokoiła się. Odrobinę. Zmierzyła spojrzeniem Min.

– Kogokolwiek widziałas, Srebrny Łuk nie żyje – oznajmiła brutalnie. Teraz jestem Birgitte Trahelion, to wszystko. – Na moment jej usta wygiął zły grymas. – Przeklętą lady Birgitte Trahelion do twoich przeklętych usług. I niech pocałuję owcę na Dzień Matki, jeśli mam w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia. Zresztą. Kim ty możesz być u siebie w domu? Czy zawsze pokazujesz nogi jak jakaś cholerna tancerka piór?

– Jestem Min Farshaw – odparła grzecznie. To miała być Birgitte Srebrny Łuk, heroina setki legend? Ta kobieta wyrażała się jak jakiś woźnica! I co to niby miało znaczyć, że Srebrny Łuk nieżyje? Przecież stała na wprost przed nią! Poza tym ta ciżba obrazów i aur, choć migoczących zbyt prędko, by mogła cokolwiek wyraźnie zobaczyć, wskazywała na więcej przygód niżli mogło przytrafić kobiecie w ciągu jednego życia. Co dziwne, w rozlicznych pojawiał się brzydki mężczyzna, starszy od niej, w innych brzydki mężczyzna znacznie młodszy, jednak z jakiegoś powodu Min była przekonana, że chodzi o tego samego człowieka. W końcu uraza wobec protekcyjnego sposobu traktowania zwyciężyła szacunek wobec legendy. – Elayne, Aviendha i ja właśnie przed chwilą związałyśmy Strażnika więzią zobowiązań – powiedziała bez namysłu. – A jeśli nawet Elayne postanowiła świętować tę okoliczność, cóż, lepiej zastanów się dwa razy nim wtargniesz do



niej bez uprzedzenia, jeśli nie chcesz sama mieć trudności z siadaniem.

Tego jednak wystarczyło, by znowu przypomniał jej się Rand. Ryczący żar głodnego paleniska wciąż był w jej głowie, ledwie straciwszy cokolwiek na intensywności, jednak, Światłości dzięki, Rand już nie... Poczła jak krew napłynęła jej do policzków. Ile razy spoczywał w jej ramionach, ciężko łapiąc oddech pośród splątanej pościeli... Niemniej to już naprawdę było podglądanie!

– Chodzi o niego? – cicho zapytała Birgitte. – Matczyne mleko w filizance! Mogła się zakochać w kieszonkowcu lub koniokradzie, ona jednak musiała wybrać jego jak jakaś głupia. Ile zdążyłam z niego zobaczyć w tym miejscu, o którym wspomniałaś, ten mężczyzna jest zbyt śliczny, aby kobieta miała z niego jakiś pożytek. A w każdym razie i tak ma natychmiast przestać.

– Nie masz prawa! – upierała się Aviendha nadąsanym głosem, póki Birgitte wreszcie nie zaczęła odzyskiwać równowagi ducha. Chwiejna była to dość równowaga, niemniej zawsze coś.

– Nadawałaby się jak znalazł na dziewicę Talmouri, wyjąwszy tylko kwestię kładzenia głowy pod topór. Sądzę, że zbierze się jednak na odwagę i znowu pokaże mu, gdzie jego miejsce, a nawet jeśli znowu zrobi to, co zrobiła, cokolwiek to było, zapomni i z powrotem znajdzie się w mojej głowie. Drugi raz nie będę przez to przechodziła! – Znowu zebrała się w sobie, najwyraźniej gotowa iść i urządzić Elayne awanturę.

– Potraktuj to jako żart – Aviendha wciąż starała się całą rzecz załagodzić. Załagodzić! – Zrobiła ci śmieszny kawał, to wszystko. – Skrzywienie ust Birgitte jednoznacznie stwierdzało, co sady o tym pomyśle.

– Elayne pokazała mi jedną sztuczkę – pospiesznie wtrąciła Min chwytając Birgitte za rękaw. – W moim przypadku okazała się nieskuteczna, jednak może... – Niestety, gdy już rzecz całą wyjaśniła...

– Ona wciąż tu jest – po chwili oznajmiła ponuro Birgitte. – Zejdź mi z drogi, panno Farshaw – oznajmiła, wyszarpując rękaw – w przeciwnym razie...

– *Oosquai!* – głos Aviendhy załamał się, w desperacji naprawdę załamywała ręce! – Wiem, gdzie znajdziemy odrobinę *oosquai!* Jeśli się upijecie...! Proszę, Birgitte! Przysięgnę... przysięgnę, że będę ci posłuszna jak uczennica swej mistrzyni, ale błagam, daj jej spokój! Nie ściągaj na nią hańby!

– *Oosquai!* – zamyśliła się Birgitte, pocierając dłonią szczękę. – To jest może coś w rodzaju brandy? Hm. Myślę, że dziewczyna dopiero się czerwieni! Przez cały czas zawsze taka oficjalna. Żart, powiadasz? – Nagle uśmiechnęła się szeroko i rozłożyła ręce. – Prowadź mnie do tego twojego *oosquai*, Aviendha. Nie wiem, co wy na to, ale ja mam zamiar się upić do tego stopnia, abym... no, cóż... była w stanie tańczyć nago na stole. I ani odrobiny bardziej.

Min nie miała pojęcia o czym tamta mówi, ani też dlaczego Aviendha patrzyła na Birgitte z całkowitym zdumieniem, póki nie wybuchła wreszcie śmiechem przy słowach „wspaniały żart”, jednak nie miała większych wątpliwości w kwestii, czemuż to Elayne ma się rumienić, jeśli naprawdę tak było. Twardy kłębek wrażeń jej głowie znów rozgorzał pożarem.

– Możemy już poszukać tego *oosquai*? – zapytała. – Mam ochotę upić się jak prosię i to szybko!

Kiedy Elayne obudziła się następnego ranka, w sypialni panowało lodowate zimno, śnieg prószył na Caemlyn, a Rand zniknął. Choć oczywiście dalej tkwił w jej głowie. Tego będzie musiało wystarczyć uśmiechnęła się, zadowolonym, leniwym uśmiechem. Na razie z pewnością wystarczy. Z rozmarzeniem przeciągnęła się pod kocami i przypomniała sobie całkowity brak zahamowań z poprzedniej nocy – jak też sporej części dnia; prawie nie potrafiła uwierzyć że okazała się do tego zdolna – i uznała, że powinna być czerwona niczym zachodzące słońce! Przecież marzyła o tym, by w

obecności Randa wyzbyć się wszelkich skrupułów i nie sądziła, by miała jeszcze kiedykolwiek się zarumienić na myśl o tym, co z nim zrobiła lub zrobi.

Ale najpiękniejszy ze wszystkich był podarunek jaki jej zostawił. Kiedy się obudziła, na poduszce obok znalazła w pełni rozkwitłą złotą lilię – delikatne płatki zdobiły jeszcze kropelki świeżej rosy. Nawet nie próbowała sobie wyobrazić, skąd mógł w środku zimy zdobyć coś takiego. Ale splotła wokół niej strumienie Utrwalenia i umieściła na nocnym stoliczku, gdzie każdego ranka będzie się jej mogła przyglądać. Splotu wprowadzie nauczyła się od Moghendien, lecz wbrew złowieszczemu pochodzeniu można było spokojnie oczekiwać, że zachowa na zawsze świeżość kwiatu, że delikatne kropelki rosy nigdy nie wyparują z płatków i zawsze przypominać będą o mężczyźnie, który oddał Jej swe serce.

Rozkoszny poranek dobiegł końca wraz z wieścią, że Alivia zniknęła podczas nocy, co stanowiło najwyraźniej sprawę na tyle poważną, iż wśród Kuzynek zawrzało. O tym, że zniknęli również Nynaeve i Lan dowiedziała się dopiero od Zaidy, która przyszła interweniować w sprawie nie odbytej lekcji. Kiedy i jak się to stało, nikt nie wiedział. Dopiero znacznie później odkryła, że wśród kolekcji przywiezionych z Ebou Dar *angreali* i *ter'angreali* brakuje trzech spośród najpotężniejszych *angreali*, jak też kilku innych drobiazgów. W stosunku do niektórych spośród zaginionych żywiła podejrzenia graniczące z pewnością, iż przeznaczone były dla kobiety spodziewającej się ataku Jedyną Mocą. W tym kontekście treść pospiesznie skreślonej notatki, która Nynaeve zostawiła na miejscu, brzmiała szczególnie niepokojąco.

# WSPANIAŁE WIEŚCI

W solarium Pałacu Słońca było zimno i to pomimo płomieni buzujących na kominkach w przeciwległych krańcach pomieszczenia, grubych dywanów i jaskrawych promieni porannego słońca wpadających do wnętrza przez pochyłe szyby (przynajmniej przez te ich części, których nie zasłaniał gromadzący się na framugach śnieg) – jednak swobodnie można było tu przyjmować gości. Cadsuane doszła do wniosku, że nie powinna zajmować sali tronowej. Jak dotąd zresztą lord Dobraine milczał w kwestii przetrzymywania Caraline Damodred i Darlin Sisnera – nie potrafiła wymyślić lepszego sposobu na powstrzymanie ich przed dalszymi psotami, jak tylko mocno trzymać w garści – niemniej spokojnie mógłby wywlec tę sprawę, gdy tylko uzna, że Cadsuane przekroczyła granice przyzwoitości (w jego rozumieniu). A z kolei Dobraine znajdował się zbyt blisko chłopaka, żeby miała ochotę go zmuszać i zbyt poważnie podchodził do swych przysiąg. Patrząc wstecz na swe życie, mogła rozpamiętywać minione porażki, niektóre nawet po dziś dzień wzbudzające gorycz, pomyłki, za które inni płacili życiem – jednak tu i teraz nie mogła sobie pozwolić na najmniejszy błąd czy niepowodzenie. Szczególnie na niepowodzenie. Światłości, miała ochotę ugryźć kogoś!

– Domagam się wydania mi mojej Poszukiwaczki Wiatru, Aes Sedai! – Harine din Togara siedziała sztywno przed Cadsuane, odziana w brokatowe zielone jedwabie, jej pełne usta pozostawały zaciśnięte. Mimo braku zmarszczek na twarzy, proste czarne włosy przetykały siwe pasma. Od dziesięciu lat Mistrzynie Fal swego klanu, przedtem dowodziła wielkim okrętem. Na krześle obok niej, cofnięta o stopę zgodnie z nakazami szacunku dla wyższych rangą, siedziała jej Mistrzynie Żagli, Derah din Selaan, kobieta znacznie młodsza, cała odziana w błękity. Obie wyglądały niczym wykonane w ciemnym materiale posążki symbolizujące gniew, a egzotyczna biżuteria w jakiś sposób tylko przyczyniała się do spotęgowania tego wrażenia. Żadna nawet nie zerknęła na Ebena, gdy ten uklonił się i podsunął na tacy srebrne puchary z grzaniem przyprawianym korzeniami winem.

Po tym, jak zlekceważono jego starania, chłopak najwyraźniej miał pojęcie co zrobić. Zmarszczył brwi i trwał w ukłonie, póki Daigian – pucułowata, w ciemnoniebieskim kaftanie z białymi rozcięciami wyglądała niczym rozbawiony gołąb garłacz – nie schwyciła go za fałdę czerwonego kaftana i nie odciągnęła na bok. Miała słabość do tego chudego chłopaka z wielkim nosem i odstającymi uszami, którego nie można było żadną miarą określić mianem przystojnego, a co dopiero ślicznego. Zaprowadziła go pod jeden z kominków, gdzie usiedli obok siebie na wyściełanej ławie i zaczęli bawić się w kocią kołyskę.

– Współpraca twojej siostry jest nam niezbędna w próbach wyjaśnienia, co zdarzyło się tamtego nieszczęsnego dnia – gładko zareplikowała Cadsuane, głosem cokolwiek nieobecny. Przytknęła do ust puchar z przyprawionym winem i czekała, nie dbając zupełnie o skrywanie oznak niecierpliwości. Przecież Dobraine mógł by sam zajmować się tymi kobietami Ludu Morza, niezależnie już od zastrzeżeń, jakie żywił wobec warunków tej niewiarygodnej umowy, którą w imieniu al'Thora zawarły z nimi Rafela i Merana. Ona nie bardzo potrafiła skoncentrować się na tych sprawach. Prawdopodobnie byłoby dla nich lepiej. Gdyby na poważnie zajęła się tymi konszachtami z Atha'an Miere, pewnie musiałaby bardzo się kontrolować, żeby ich nie traktować na podobieństwo dokuczliwych bitemów, choć to przecież nie one stanowiły przyczynę jej irytacji.

Przy kominku w przeciwległym krańcu solarium niż ten, gdzie poszukali ciepła Daigian i Eben, zajęło miejsca pięć sióstr. Prze fotelem Nesune stał pulpit, na którym spoczywał wielki, oprawiony w drewno tom z pałacowej biblioteki. Tak ona, jak i reszta sióstr ubrane były w proste wełniane

suknie, bardziej stosowne dla kupców niż Aes Sedai. Jeśli jednak któraś żałowała braku jedwabiu lub pieniędzy na jedwabie, rzecz jasna nie okazywały tego. Sarene stała przy wielkiej ramie do haftowania, jej igła drobnym ścięciem tworzyła kolejny motyw w powodzi kwiecista, w takt ruchów kołysały się delikatnie paciorki na licznych, cieniutkich warkoczach. Erian i Beldeine grały w kamienie, Elza kibicowała im, czekając na pojedynek ze zwycięzcą. Z pozoru można by uznać, że oto wszystkie beztrudnie spędzają jeden z poranków, gdy żadne sprawy świata nie domagają się baczniejszej uwagi. Prawdopodobnie jednak wszystkie wiedziały, że znalazły się tutaj, ponieważ ona chciała im się bliżej przyjrzeć. Dlaczego złożyły przysięgę wierności temu al'Thorowi? Kiruna i tamte przynajmniej zrobiły to w jego bezpośredniej przytomności. Cadsuane gotowa była się zgodzić z mniemaniem, że nikt nie jest w stanie oprzeć się wpływowi *ta'veren*, kiedy już wpadnie w strefę jego oddziaływania. Ale ta piątka najpierw została srodze ukarana za próbę porwania go, zaś pomysł złożenia przysięgi najwyraźniej przyszedł im do głowy, zanim trafiły przed jego oblicze. Początkowo zresztą gotowa była nawet przyjąć ich rozmaite tłumaczenia, jednak ostatnich kilka dni sprawiło, że skłonność ta stawała się coraz słabsza. Słabła wręcz w oczach.

– Moja Poszukiwaczka Wiatrów żadną miarą nie podlega twojej władzy, Aes Sedai – ostro oznajmiła Harine, jakby wypierając się pokrewieństwa. – Shalon musi i zostanie mi zwrócona. Bezzwłocznie. – Derah z godnością skinęła głową na potwierdzenie tych słów. Cadsuane przyszło do głowy, że Mistrzynie Żagli zareagowałyby identycznie, gdyby Harine kazała jej skoczyć w przepaść. W hierarchii Atha'an Miere pozycja Derah sytuowała ją znacznie niżej od Harine. I mniej więcej tyle Cadsuane o nich obu wiedziała. Niewykluczone, że Lud Morza przyda się do czegoś, jednak w takim wypadku zawsze przecież będzie w stanie nagiąć go do swej woli.

– To jest śledztwo Aes Sedai – powtórzyła łagodnie. – Musimy stosować się do prawa Wieży. – Oczywiście, bardzo swobodnie interpretowanego. Zawsze uważała, że duch praw jest znacznie ważniejszy niż ich litera.

Harine syknęła niczym gotująca się do ataku żmija, a potem wyrzuciła z siebie kolejną lawinę roszczeń i uzasadnień, ale Cadsuane nie bardzo się przysłuchiwała.

Wróciła do poprzedniego wątku swych myśli. Prawie potrafi zrozumieć Erian. Błada, czarnowłosa Illianka twierdziła, że musi stać przy boku chłopaka w Ostatniej Bitwie. Prawie potrafiła zrozumieć Beldeine, tak niedawno wyniesioną do szala, że jej oblicze nie nabrało jeszcze charakterystycznego dla Aes Sedai wyglądu i tak zdecydowaną, by jak najszybciej stać się tym, kim powinna być Zielona siostra. I Elżę, Andorankę o miłej powierzchowności, której oczy prawie płonęły, gdy mówiła, że za wszelką cenę chłopak musi dożyć momentu, w którym będzie musiał stawić czoło Czarnemu. Ale to były słowa kolejnej Zielonej i to na dodatek bardziej jeszcze zapalczywej niż przeciętnej. Cadsuane spojrzała na Nesune, która zgarbiona nad książką wyglądała niczym czarnooki ptak, wpatrujący się w robaka. Brązowa, zamknęłaby się w klatce razem ze skorpionem, gdyby powzięła zamiar przeprowadzenia nad nim odpowiednich badań. Wreszcie Sarene, na tyle naiwna, by dziwić się, że ktoś uważa ją za ładną, a cóż dopiero oszołamiającą, przez Białe ceniona jednak nadzwyczaj za chłodną ścisłość swej logiki – rozumowanie brzmiało tak: al'Thor jest Smokiem Odrodzonym, zatem należy się opowiedzieć po jego stronie. Podawane przez nie wytłumaczenia składały się na idiotyczne zupełnie, bałaganiarskie powody, jednak potrafiłaby się zmusić do ich akceptacji, gdyby nie pozostałe.

Drzwi sali otworzyły się i do środka weszła Verin w towarzystwie Sorilei. Pomarszczona, siwiuteńka kobieta Aielów podała Brązowej siostrze jakiś drobiazg, który ta natychmiast schowała do sakwy przy pasie. Prostą brunatną suknię Verin zdobiła brosza z kwiatowym motywem – pierwszy detal biżuterii, jaki Cadsuane u niej widziała, prócz rzecz jasna pierścienia z Wielkim Wężem.

– To ci pomoże zasnąć – mówiła Sorilea – pamiętaj jednak, nie więcej niż trzy krople w wodzie lub jedna w winie. Przesadzisz odrobinę i możesz przespać kolejny dzień. Przesadzisz znacznie i już się nie obudzisz. Po smaku nic się nie wyczuje, więc naprawdę trzeba zachowywać nadzwyczajną ostrożność.

Verin również miała kłopoty ze spaniem. Cadsuane nie udało się przespać przyzwoicie nawet jednej nocy od czasu, jak chłopak uciekł z pałacu. Jeśli w najbliższym czasie choć raz porządnie nie wypocznie, chyba na prawdę kogoś ugryzie. Nesune i pozostałe niespokojnie popatrzyły na Sorileę. Chłopak zrobił z nich uczennice Mądrych i wkrótce okazało się, że tamte bardzo poważnie podeszły do przeznaczonej im roli. Pojedyncze pstryknięcie kościstych palców Sorilei mogło oznaczać koniec beztróskiego poranka.

Harine nagle pochyliła się naprzód i poklepała Cadsuane po policzku, wcale nie tak lekko!

– Nie słuchasz mnie – oznajmiła ostro. Jej czoło przywodziło na myśl skłębione burzowe chmury, oblicze jej Mistrzynie Żagli prawie dorównywało mu wyrazem. – Ale będziesz słuchać!

Cadsuane zbliżyła dłonie na wysokości ust i spojrzała na tamtą kobietę. Nie. Nie przewróci zaraz Mistrzynie Fal do góry nogami. Nie odeśle jej z płaczem do apartamentów. Zachowa się tak dyplomatycznie, jak Coiren mogłaby sobie życzyć. Pospiesznie przebiegła w pamięci treść dotychczasowej rozmowy.

– Przemawiasz w imieniu Mistrzynie Statków Atha’an Miere, a twoje słowa wspiera jej autorytet, który z kolei ledwie potrafię sobie wyobrazić – oznajmiła pojednawczo. – Jeżeli twoja Poszukiwaczka Wiatrów w ciągu godziny do ciebie nie wróci, zadbasz, by Coramoor surowo mnie ukarał. Domagasz się również przeprosin za uwięzienie twojej Poszukiwaczki Wiatrów. Chcesz także, abym się zobowiązała, iż nakłonię lorda Dobraine’a do natychmiastowego wywiązania się z obietnicy Coramoor, przewidującej przydzielenie wam ziemi. Jak sądzę, to są najistotniejsze kwestie.– Rzecz jasna, prócz bicia w policzek!

– No, wreszcie – powiedziała Harine, wygodnie rozpierając się w fotelu, przekonana, że wszystko znów dzieje się wedle jej myśli. Jej uśmiech był wręcz do obrzydzenia pełen samozadowolenia.– Musisz zrozumieć, że...

– Figę mnie obchodzi twój Coramoor – ciągnęła dalej Cadsuane, głosem równie spokojnym jak poprzednio. Wszystkie figi w świecie za Smoka Odrodzonego, jednak żadnej za Coramoor. – Jeżeli jeszcze raz dotkniesz mnie bez pozwolenia, każę cię rozebrać do naga, wychłostać, potem związać i odnieść w worku na pokoje. – Cóż, dyplomacja nigdy nie była jej najsilniejszą stroną – Jeżeli zaś nie przestaniesz nachodzić mnie w sprawie swojej siostry... No, cóż. Wówczas mogę naprawdę się rozłościć. – Wstała i całkowicie ignorując zaskoczone westchnienia i pełne urazy posapywania tamtej, zawołała głosem uniesionym tak, by słyhać go było w drugim krańcu pomieszczenia: – Sarene!

Szczupła Tarabonianka żwawo oderwała się od swego haftu aż zaszczekały paciorki na cienkich warkoczykach i podbiegła do Cadsuane, zajmując miejsce obok niej i ledwie przystając, by rozłożyć szare suknie w ukłonie. Mądre musiały je dopiero uczyć jak skakać na każde zawołanie, jednak w przypadku Cadsuane w grę wchodziło coś więcej jeszcze niż nawet głęboko zakorzeniony obyczaj. Takie korzyści wynikały z bycia legendą, zwłaszcza jeśli dodatkowo było się legendarnym ucieleśnieniem nieobliczalności.

– Odprowadź je do ich pokoi – nakazała Cadsuane. – Będą teraz pościć i medytować nad uprzejmością. Dopatrzysz, aby tak się stało. A jeśli potraktują cię bodaj jednym nieuprzejmym słowem, obu spuść lanie. W sposób całkowicie dyplomatyczny.

Sarene wzdygnęła się. Już otworzyła usta żeby zaprotestować wobec tak rozpaczliwego braku

logiki, jednak wystarczył rzut oka na twarz Cadsuane, by pospiesznie zajęła się kobietami Atha'an Miere, gestem nakazując im wstać.

Harine skoczyła na równe nogi, rysy jej smagłej twarzy wyciągnęły się w grymasie gniewu. Zanim jednak zdążyła wypowiedzieć pierwsze bodaj słowo z pewnością długiej tyrady, Derah dotknęła lekko jej ramienia i pochyliła się, by wyszeptać coś do bogato zdobionego ucha przez złożoną trąbkę wytatuowanej dłoni. Cokolwiek powiedziała jej Mistrzynie Żagli, Harine postanowiła zmilczeć. Wyraz jej twarzy oczywiście nie złagodniał, jednak zmierzyła wzrokiem siostry w przeciwległym krańcu pomieszczenia i po chwili grzecznie dała Sarene znak, że może je odprowadzić. I choć samą Harine stać jeszcze było na udawanie, iż wszystko dzieje się za jej zgodą, to rzut oka na Derah – która właściwie następowała jej na pięty, przez całą drogę do drzwi rzucała za siebie niespokojne spojrzenia – rozwiewał wszelkie złudzenia.

Cadsuane prawie pożałowała tak frywolnego rozkazu. Sarene niestety postąpił dokładnie tak, jak jej kazano. Te kobiety Ludu Morza jak dotąd stanowiły tylko powód do irytacji, poza tym okazując się całkowicie bezużyteczne. A jeśli miała skoncentrować się na rzeczach naprawdę ważnych, przede wszystkim nie powinna się irytować, jeśli natomiast miała znaleźć jakieś zastosowanie dla tamtych kobiet, to narzędzia przed użyciem i tak wymagały ostrzeżenia, ten sposób był równie dobry jak inny. Zbyt bardzo rozżłościły ją, by przejmowała się teraz jak to zostanie zrobione, a zacząć można było równie dobrze teraz co później. Nie, tak naprawdę to była wściekła na chłopaka, ale jemu nic nie mogła w danej chwili zrobić.

Sorilea odkaszlnęła głośno, porzuciła obserwację Sarene wyprowadzającej Atha'an Miere i z pochmurnym grymasem spojrzała ku krańcowi pomieszczenia solarium zajmowanemu przez siostry. Zaszczekały bransolety, kiedy poprawiła szal. Kolejna kobieta w nastroju pozostawiającym wiele do życzenia. Wśród Ludu Morza szerzyły się osobliwe plotki na temat „Aielskich dzikusów”, a choć w istocie ich treść niezbyt odbiegała egzotyką od rzeczy, w które Cadsuane sama wierzyła jeszcze niedługo przed spotkaniem z Sorileą, to Mądrym bynajmniej się one nie podobały.

Cadsuane z uśmiechem ruszyła na spotkanie Sorilei. Sorilea z pewnością nie zaliczała się do kobiet, którym każe się do siebie przychodzić. Powszechnie wierzone, że zostały przyjaciółkami – w momencie, gdy ta myśl zagościła w jej głowie, zrozumiała, że być może tak się i stanie – jednak nikt nie miał pojęcia o ich sojuszu. Tymczasem obok niej pojawił się Eben i z wyraźną ulgą powitał fakt, że do połowy opróżniony puchar Cadsuane wylądował na jego tacy.

– Wczoraj, późną nocą – powiedziała Sorilea, gdy chłopiec w czerwonym kaftanie spieszył już z powrotem do Daigian – Chisaine Nurbaya wyraziła prośbę o służbę *Car'a'carnowi*. – W jej głosie pobrzmiwały tony głębokiej dezaprobaty. – Przed pierwszym brzaskiem zrobiła to Janinę Pavlara, potem Innina Darenhold, wreszcie Yayelle Kamsa. Wcześniej nie pozwolono im na wzajemne kontakty. Tak, że w grę nie wchodzi żadna zmowa. Ze swej strony wyraziłam zgodę na ich prośby.

Cadsuane nieartykułowanym odgłosem dała wyraz swojej irytacji.

– Jak przypuszczam, już odbywają nakazaną przez ciebie pokutę – mruknęła, myśląc w sposób wyteżony. W obozie Aielów przetrzymywano w niewoli dziewiętnaście sióstr, dziewiętnaście sióstr wysłanych przez tę głupią Elaide, żeby porwały chłopaka a teraz wszystkie po kolei przysięgają mu wierność! Te ostatnie należały zresztą do najbardziej zawziętych. – Cóż może skłonić Czerwoną siostrę do ukłęknięcia przed mężczyzną, który potrafi przenosić?

Verin najwyraźniej chciała coś powiedzieć, jednak zamilkła ustępując kobiecie Aielów. Dziwne, ale Verin do swego wymuszonego terminu podchodziła jak czapla do perspektywy pobytu na bagnach. Spędzała więcej czasu w obozie Aielów niż poza nim.

– To nie jest pokuta, Cadsuane Melaidhrin – Sorilea machnęła lekceważąco chudą dłonią, a

złoto i kość słoniowa zaszczekały znowu. – One po prostu próbują sprostać *toh*, któremu sprostać się nie da. Są to usiłowania równie głupie, jak nasze początkowe próby obrócenia ich w *da'tsang*, ale nie można przed nimi zamykać perspektywy odkupienia, jeśli tylko będą się starać naprawdę usilnie – zakończyła niechętnie. Sorilea żywiła wobec tych dziewiętnastu siostr coś więcej niż zwykłą niechęć. Po chwili jednak uśmiechnęła się słabo. – W każdym razie, nauczymy je sporo z rzeczy, których muszą się nauczyć. – Ta kobieta chyba naprawdę wierzyła, że Aes Sedai wyszłoby tylko na dobre terminowanie przez pewien czas u Mądrych.

– Mam nadzieję, że dalej nie spuszczasz ich z oka – powiedziała Cadsuane. – Zwłaszcza ostatnich czterech. – Ze swej strony pewna była, że dotrzymają tej absurdalnej przysięgi, oczywiście nie zawsze w sposób, który chłopakowi mógłby się spodobać, niemniej nie należało wykluczać, iż jedna czy dwie są Czarnymi Ajah. Kiedyś zdołała samą siebie przekonać do planu mającego na celu wytępienie Czarnych Ajah, tylko po to, by później obserwować, jak prześlizgują się jej między palcami niczym woda. Była to najbardziej gorzka jak dotąd porażka jej życia, wyjąwszy być może fakt że nie dowiedziała się, co kuzyn Caraline Damodred robił na Turniach Granicznych, póki wiedza ta nie zestarzała się tak bardzo o całe lata... że okazała się zupełnie niepotrzebna. W obecnej chwili nawet Czarne Ajah wydawały się wymówką odwodząca od naprawdę ważnych działań.

– Uczennice zawsze znajdują się pod ścisłą kontrolą – odparła pomarszczona kobieta. – Muszę sprawdzić, czy te, co tu siedzą są tak wdzięczne, jak powinny, że pozwala im się leniuchować niczym jakimś wodzom klanu.

Wzmiankowane cztery siostry przed kominkiem, skwapliwie powstały na widok zmierzającej w ich stronę Sorilei, ukloniły się głęboko, a potem pokornie słuchały cichych słów, podkreślanych wymachiwaniem palca. Sorilea mogła sądzić, że wiele jeszcze może je nauczyć, jednak z pewnością nauczyły się już dość, by wiedzieć, że szal Aes Sedai nie oferuje żadnej ochrony uczennicom Mądrych. W oczach Cadsuane *toh* zdawał się w znacznej mierze nieodróżnialny od pokuty.

– Ona jest... doprawdy niesamowita – mruknęła Verin. – Cieszę się, że jest po naszej stronie. Jeśli jest.

Cadsuane obrzuciła ją ostrym spojrzeniem.

– Wyglądasz jak kobieta, która ma coś do powiedzenia, a równocześnie powiedzieć tego nie chce. Dotyczy to Sorilei? – Warunki ich sojuszu był bardzo mgliście zdefiniowane. Niezależnie od rodzącej się przyjaźni, zawsze mogło się okazać, że w istocie mają zupełnie różne cele.

– Nie, nie o nią chodzi – westchnęła przysadzista kobieta. Mimo dość kanciastej twarzy, kiedy przechylała głowę na bok, naprawdę wyglądała jak tłuściutki wróbel. – Wiem, że to nie moja sprawa, Cadsuane, ale ponieważ Bera i Kiruna nie mogły do niczego dość z naszymi gośćmi, ucięłam sobie krótką pogawędkę z Shalon. Wystarczyło parę chwil naprawdę delikatnego przesłuchania, aby wyśpiewała całą historię, którą Ailil potwierdziła w pełni, gdy tylko zrozumiała, że i tak wszystko wiem. Wkrótce po tym, jak po raz pierwszy przybył tu statek Ludu Morza, Ailil nawiązała kontakt z Shalon w nadziei, że dowie się, czego też chcą od młodego al'Thora. Ze swojej strony Shalon chciała się jak najwięcej dowiedzieć na jego temat i na temat panującej tu sytuacji. To doprowadziło do kolejnych spotkań, które zmieniły się w przyjaźń, od niej zaś niedaleko już było do szeptania sobie najgłębszych tajemnic do poduszki. Podejrzewam, że u podstaw wszystkiego legła przed wszystkim obustronna samotność. W każdym razie, to właśnie zasadniczo starały się ukryć, nie zaś wzajemne podchody.

– Przez całe dni opierały się przesłuchaniom tylko po to, żeby coś takiego ukryć? – z niedowierzaniem zapytała Cadsuane. W rękach Bery i Kiruny obie przecież wyły!

Tłumiona radość sprawiła, że Verin aż zmrużyła oczy.

– Cairhienianki są konwencjonalne i pruderyjne, Cadsuane przynajmniej na oczach innych ludzi. Za zaciągniętymi zasłonami mogą zachowywać się niczym króliki, jednak publicznie żadna nie przyzna się nawet do tego, że dotknęła własnego męża! A wśród Ludu Morza obowiązują równie surowe obyczaje. A przynajmniej Shalon jest poślubiona mężczyźnie, który wypełnia swe obowiązki gdzie indziej, a złamanie przysięgi małżeńskiej stanowi naprawdę poważne przestępstwo. Pogwałcenie panującej dyscypliny, jak można podejrzewać. Jeśli jej siostra się o tym dowie, Shalon może obudzić się jako... „Poszukiwaczka Wiatrów na łodzi wiosłowej”... takich chyba użyła słów.

Cadsuane żywo pokręciła głową i poczuła jak tańczą jej ozdoby we włosach. Kiedy zaraz po ataku na pałac, obie kobiety znaleziono skrupowane i zakneblowane pod łóżkiem Ailil, podejrzewała, iż być może wiedzą na jego temat więcej niż skłonne są przyznać. Kiedy żadna nie chciała wyjawic, dlaczego spotykały się potajemnie, była już prawie pewna. Być może nawet jakiegoś poważniejszego ich udziału, ze względu na to, że z pozoru atak miał być dziełem Asha'manów renegatów. Rzekomych renegatów, przynajmniej. Cały ten czas i wysiłek zupełnie zmarnowane. Chociaż może niekoniecznie, jeśli tamtym naprawdę tak bardzo zależało na dochowaniu tajemnicy.

– Każ odprowadzić lady Ailil do jej apartamentów i przeprosić za sposób, w jaki została potraktowana, Verin. Daj jej nadzwyczaj... mgliste... gwarancje, że jej wyznanie pozostanie tajemnicą. Dodatkowo upewnij się, że zrozumiała niepewność tych gwarancji. I jednoznacznie zasugeruj, że mogłaby mnie pierwszej każdorazowo dostarczać wieści dotyczących działań jej brata. – Szantażu naprawdę nie lubiła, jednak stanowił poręczne narzędzie, które resztą wykorzystywała już przeciwko trzem Asha'manom, a Toram Riatin może wciąż przysparzać kłopotów nawet po tym, jak jego rebelia rozwiła się niczym dym. W istocie nieszczęśliwie obchodziło ją, kto zasiada na Tronie Słońca, ale w knowaniach i spiskach ludzi zainteresowanych przede wszystkim władzą niejednokrotnie można było natrafić na ślady znacznie ważniejszych spraw.

Verin uśmiechnęła się i pokiwała głową aż zakołysał się maleńki koczek.

– O, tak, przypuszczam, że to zadziała znakomicie. Zwłaszcza, że ona żywi zupełnie niepohamowaną niechęć do brata. Shalon potraktować podobnie, tak? Oczywiście, ona będzie dostarczać informacji o Atha'an Miere? Nie wiem jednak do jakiego stopnia będzie zdolna zdradzić Harine, niezależnie już od osobistych konsekwencji.

– Zdradzi to, co każę jej zdradzić – ponuro oznajmiła Cadsuane. – Ją jednak przetrzymaj do jutrzejszego wieczora. – Harine nawet przez moment nie może sądzić, że to jej żądania zostały spełnione. Lud Morza był kolejnym narzędziem, które miała zamiar wykorzystać wobec chłopaka, niczym więcej. Wszystkich i wszystko należało postrzegać jedynie w takim świetle.

Wcześniej w ślad za Verin do pomieszczenia solarium wsunęła się Corele i delikatnie zamknęła za sobą drzwi tak, by nikomu nie przeszkodzić. Zupełnie do niej niepodobne. Chuda niczym chłopiec, z grubymi czarnymi brwiami i burzą lśniących czarnych włosów spływających na plecy, które nadawały jej poniekąd dziki wygląd, niezależnie jak skromnie by się ubrała. Żółta siostra w normalnych okolicznościach wpadłaby pewnie do pomieszczenia śmiejąc się do rozpuku. Teraz potarła czubek zadartego nosa, z wahaniem spojrzała na Cadsuane, a w jej oczach nie było śladu tańczących w nich zazwyczaj iskierek.

Cadsuane skinęła rozkazująco w jej stronę, Corele zaś wyraźnie westchnęła i ruszyła ku niej przez dywan, ściskając w obu dłoniach fałdy błyskających żółtymi rozcięciami niebieskich spódnic. Zanim się odezwała – mówiąc ze śpiewnym akcentem Murandy – zmierzyła jeszcze wzrokiem siostry skupione wokół Sorilei w jednym krańcu pomieszczenia oraz Daigian i Ebena, grając w kocią kołyskę, w drugim.



– Przynoszę najwspanialsze wieści, Cadsuane. – Wnioskując z tonu jej głosu, nie bardzo sama do końca potrafiła w to uwierzyć. – Wiem, że kazałaś znaleźć Damerowi zajęcie w pałacu on jednak upierał się, by dbać o siostry wciąż przebywające w obozie Aielów. Mimo iż zazwyczaj jest łagodnego usposobienia, kiedy mu na czymś zależy, potrafi być bardzo uparty, z pewnością zaś jego zdaniem jasne jest jak słońce, że nie istnieje nic czego nie można by Uzdrowić. I cóż, w każdym razie faktem jest że poszedł tam i Uzdrowił Irgain. Cadsuane, ona jest w takim stanie, jakby nigdy nie została... – Urwała. Niezdolna wypowiedzieć tego słowa. Które mimo to zawisło w powietrzu między nimi. Ujarmiona.

– Wspaniałe wieści – bezbarwnym głosem potwierdziła Cadsuane. Zaiste, były. W głębi serca każdej siostry spoczywał lęk przed odcięciem od Mocy. A teraz odkryty został sposób Uzdrawiania tego, czego wcześniej żadną miarą Uzdrowić nie było można. I to przez mężczyznę. Poleją się łzy i posypią wzajemne oskarżenia, zanim szum ucichnie. Niemniej, o ile każda siostra, która o tym usłyszy z pewnością dostrzeże w tym fakcie przełomowe odkrycie... i to nie tylko pod względem funkcjonalnym; przecież chodziło również o korzystanie z męskiej połowy Źródła!... jednak jej zdaniem w porównaniu z Randem al'Thorem była to burza w szklance wody. – Wobec tego przypuszczam, że sama zgłosiła się, by ją chłostano, jak pozostałe?

– Nie musiała – nieobecny głosem zauważyła Verin. Z pozoru przyglądała się plamie atramentu na palcu, jednak w istocie jej spojrzenie sięgało znacznie dalej. – Mądre najwyraźniej uznały, że Rand ukarał Irgain i tamte dwie w dostateczny sposób, gdy uczynił... co uczynił. Traktując wszystkie pozostałe niczym najmarniejsze zwierzęta, równocześnie starały się utrzymać te trzy przy życiu. Słyszałam plotki o poszukiwaniu męża dla Ronaille.

– Irgain wie wszystko na temat przysiąg, które inne złożyły. – W głosie Corele rozbrzmiały nutki zadziwienia. – Niemalże w tej samej chwili, gdy Damer z nią skończył, zaczęła zawodzić nad utratą swego Strażnika, ale ona również gotowa jest złożyć przysięgę. Sednem całej sprawy jest to, że Damer chce spróbować również z Sashalle i Ronaille. – Zaskakujące, ale przybrała teraz postawę omalże wyzywającą. Wcześniej wprawdzie nie sposób było jej odmówić typowej dla Żółtych arogancji, jednak dobrze wiedziała, jak należy się zachowywać w obecności Cadsuane. – Nie potrafię sobie wyobrazić, byśmy miały pozwolić siostrze na trwanie tym stanie, skoro istnieje lekarstwo. Chcę żeby Damer spróbował szczęścia również z nimi.

– Oczywiście masz rację, Corele.

Wychodziło na to, że część uporu Damera zaraziła również ją. Cadsuane miała zresztą zamiar pozwolić na dalsze eksperymenty, pod warunkiem, że nie zajdą za daleko. Powoli zaczęła wokół siebie gromadzić siostry, którym ufała (jedne przebywały tutaj z nią, drugie gdzie indziej), od czasu gdy po raz pierwszy usłyszała o wydarzeniach w Shienarze – jej agenci bezustannie obserwowali Siuan Sanche i Moiraine Damodred od wielu lat, przez które nic z pozoru się nie działo – jednak to, że im ufała, nie musiało od razu oznaczać, iż pozwoli im robić co się w duszy zamarzy. Stawka była zbyt wielka. Z drugiej strony, nie mogła przecież skazywać siostry na tak nędzną kondycję.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wbiegł Jahar, z towarzyszeniem śpiewu srebrnych dzwoneczków na końcach ciemnych warkoczy. Wszystkie głowy odwróciły się, by popatrzeć na młodzieńca w znakomicie dopasowanym niebieskim kaftanie, który wybrała dla niego Merise – nawet Sorilea i Sarene nie poskapiły spojrzenia – ale wraz z pierwszymi słowami, wylewającymi się z jego ust pierzchły wszystkie myśli o przystojnej, ogorzalej od słońca twarzy.

– Alanna straciła przytomność, Cadsuane. Po prostu przewróciła się w korytarzu. Merise zabrała ją do sypialni, a mnie posłała po ciebie.

Wśród okrzyków wyrażających wstrząs, jakim się to dla wszystkich okazało, Cadsuane wzięła

pod rękę Corele i Sorileę – której nie mogła przecież zostawić – i kazała Jaharowi prowadzić. Verin poszła również, a Cadsuane nie znalazła powodów by jej tego zabronić. Verin potrafiła dostrzec to, co innym umykało.

Służący w czarnych liberiach nie mieli najmniejszego pojęcia kim lub czym był Jahar, jednak ruszali się żwawo, schodząc z drogi Cadsuane, która szybko maszerowała tuż za nim. Pewnie kazałaby mu jeszcze się pospieszyć, niemniej wtedy już musiałaby biec jego śladem. Nie uszli jeszcze daleko, drogę zastąpił im niski mężczyzna z wygolonym wysoko czołem, w ciemnym kaftanie z przodem naznaczonym kolorowymi, pionowymi pasami. Ukłonił się Musiała przystanąć.

– Nich ci łaska sprzyja, Cadsuane Sedai – powiedział gładko. – Wybacz, że ci przeszkadzam, skoro przecież widzę jak się spieszysz, ale uznałem, że powinnaś wiedzieć o nieobecności lady Caraline i Wysokiego Lorda Darlina w pałacu lady Arilyn. W chwili obecnej oboje znajdują się na pokładzie rzeczno statku płynącego do Łzy. Tym razem już poza twoim zasięgiem, jak się obawiam.

– Byłbyś zaskoczony, wiedząc, co jeszcze znajduje się w moim zasięgu, lordzie Dobraine – odrzekła chłodnym tonem. Mogła zostawić przynajmniej jedną siostrę w pałacu Arilyn, przekonana jednak była, że tych dwoje nigdzie się nie ruszy. – Czy to naprawdę było mądre? – Nie miała żadnych wątpliwości, kto do tego przyłożył ręki, chociaż jemu z pewnością nie starczy odwagi by się przyznać. Nic dziwnego, że zaprzestał wysiłków w sprawie tamtych dwojga.

Jej ton nie wywarł na Dobraine żadnego wrażenia. Co więcej, zdołał ją powtórnie zaskoczyć.

– Wysoki Lord Darlin ma być Rządcą Łzy z ramienia Lorda Smoka, nadto wydawało się rzeczą rozsądną wyprawić z kraju lady Caraline. Ona sama zrezygnowała z roszczeń do Tronu Słońca i wyrzekła się udziału w buncie, ale inni mogliby zechcieć posłużyć się jej osobą. Niewykluczone, Cadsuane Sedai, że nie było szczególnie mądrą rzeczą pozostawienie ich wyłącznie pod opieką służby. W żadnym razie, na miłość Światłości, nie powinnaś ich winić za to, co się stało. Zdolni byli powstrzymać dwójkę... gości... przed wyjściem na zewnątrz, ale żadną miarą nie potrafili sprostać moim zbrojnym.

Jahar prawie tańczył z niecierpliwością. Merise dysponowała twardą ręką. Cadsuane najchętniej już by była przy Alarmie.

– Mam nadzieję, że za rok będziesz tego samego zdania – powiedziała. Dobraine tylko się ukłonił.

Alannę zabrano po prostu do najbliższej sypialni w okolicy – okazała się zaiste niewielkim pokoikiem, którego ciasnotę powodowało dodatkowo wrażenie wywierane przez wszechobecne w Cairhien ciemne boazerie. Kiedy wszyscy weszli do środka, w pomieszczeniu naprawdę zrobiło się pełno. Merise pstryknęła palcami i wskazała Jaharowi kąt, jednak nawet to, że się doń wycofał, niewiele to pomogło.

Alanna spoczywała na łóżku, oczy miała zamknięte, jej Strażnik, Ihvon, klęczał obok ściskając jej nadgarstek.

– Sprawia takie wrażenie, jakby bała się obudzić – oznajmił ten wysoki, szczupły mężczyzna. – Z tego co czuję, wszystko z nią w porządku, tylko nie chce się obudzić.

Corele odsunęła go na bok, aby móc ująć głowę Alanny w dłoń. Żółtą siostrę otoczyła natychmiast poświata *saidara*, a utkany przez nią splot Uzdrawiania pochwycił Alannę w swą sieć, ale efekt tych zabiegów był żaden – smukła Zielona nawet nie drgnęła. Corele wycofała się, kręcąc głową.

– Moje umiejętności Uzdrawiania z pewnością nie dorównują twoim, Corele – sucho oznajmiła Merise – ale nie zaszkodzi, jak też spróbuję. – Po tych wszystkich latach w jej głosie wciąż można

było usłyszeć silny akcent z Tarabon, jednak ciemne włosy szeszywała gładko z twardej twarzy. Cadsuane ufała jej w stopniu większym zapewne niż którejkolwiek z pozostałych. – Co teraz zrobimy, Cadsuane?

Sorilea spoglądała na leżącą przed nią kobietę z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu, tylko jej usta zacisnęły się w cienką linię. Cadsuane nie potrafiła nie zastanawiać się, czy tamta przypadkiem nie rozważa powtórnie sensu ich sojuszu. Verin również Przyglądała się Alannie, jednak spojrzeniem pełnym ostatecznej grozy, Cadsuane nie sądziła, by cokolwiek było w stanie do tego stopnia przerazić Brązową siostrę. Jednak sama czuła dreszcz trwogi. Jeśli teraz stracą ten związek z chłopakiem...

– Usiądziemy i poczekamy, aż się obudzi – zaproponowała spokojnie. Nic innego nie mogły zrobić. Absolutnie nic.

– Gdzie on jest? – warknął Demandred zaciskając pięści splecionych za plecami dłoni. Stojąc na rozstawionych szeroko nogach całą postawą zdradzał, iż doskonale zdaje sobie sprawę, że jest najważniejszy w tym pomieszczeniu. Zawsze tak było. Mimo to tęsknił za obecnością Semirhage lub Mesaany. Choć ich sojusz był wsparty na nadzwyczaj delikatnych podstawach – w istocie nawet nie tyle sojusz, co zwykłe porozumienie, iż żadne nie wystąpi przeciw drugim do czasu, aż wyeliminuje się pozostałych – przecież przetrwał cały ten czas. Dzięki współdziałaniu udało im zachwiać pozycję kolejnych przeciwników, paru spychając w śmierć lub los gorszy od śmierci. Jednak Semirhage nie bardzo mogła uczestniczyć w tych spotkaniach, zaś Mesaana ostatnimi czasy nieczęsto pokazywała się komukolwiek na oczy. Jeśli jednak knuła zerwanie sojuszu... – Od momentu, kiedy ci ślepi głupcy... ci idioci!... zawiedli w Cairhien, al'Thora widziano już w kilkunastu wsiach i w pięciu miastach, włączywszy to przekłete miejsce na Pustkowiu. A są to tylko wyniki raportów, jakie dotarły do naszych rąk! Wielki Władca jeden tylko wie, jakie jeszcze informacje zmierzają właśnie ku nam konno czy na owczym grzbiecie, czy w jaki tam jeszcze sposób, który ci barbarzyńcy wynaleźli dla przekazania wiadomości.

Ponieważ Graendal przybyła pierwsza na miejsce, ona zdecydowała o wystroju komnaty – co samo w sobie stanowiło już powód do irytacji. Ściany widokowe sprawiały wrażenie, jakby podłogę zdrewnianych desek otaczał las jaskrawo ubarwionego kwiecia, winorośli i pełen ptactwa o jeszcze bardziej szalonym upierzeniu. Powietrze pełne było słodkich woni i cichych ptasich śpiewów. Jedyne łuk bramy psuł iluzję. Po co potrzebne było jej to przypomnienie czegoś, co zostało bezpowrotnie utracone? Niewykluczone, że skoro już potrafili wytwarzać ściany widokowe, wkrótce będą w stanie produkować tu – to znaczy w pobliżu Shayol Ghul – w pełni funkcjonalne lance uderzeniowe lub megaloty. Tak czy siak pamiętał przecież, że nienawidziła wszystkiego co miało najmniejszy bodaj związek z naturą.

Słowa „idioci” i „ślepi głupcy” wywołały marsa na czole Osan'gara, czemu nie należało się zresztą dziwić, niemniej prawie natychmiast wyraz całkowitej obojętności zagościł na jego prostej, pomarszczonej twarzy. Jakże innej niż ta, z którą się urodził. Nienależnie od imienia, jakie aktualnie nosił, zawsze doskonale wiedział, komu można się sprzeciwić, a komu nie.

– To tylko kwestia przypadku – oznajmił spokojnie, choć tym samym już umywał ręce. Stare przyzwyczajenie. Odziany był w strój stosowny dla jakiegoś władcy tego Wieku, w kaftan ciężki od złotych haftów, które prawie bez reszty skrywały czerwień jego materii oraz buty obrzeżone złotymi frędzlami. Szyję i nadgarstki spowijała piana koronek tak obfita, że starczyło by ich na dziecięce ubranko. Człowiek, któremu całkowicie obce było znaczenie słowa „nieumiarkowanie”. Gdyby nie szczególne umiejętności, nigdy nie zostałby Wybranym. Przyłapawszy się na nerwowych gestach

dłoni, Osan'gar sięgnął szybko ku małemu stolickowi obok fotela, porwał wysoki puchar z *cuendillara* i głęboko wciągnął w nozdrza bukiet ciemnego wina. – Zwykłego prawdopodobieństwa – mruknął, starając się nadać głosowi beztroski ton. – Następnym razem zostanie zabity lub pojmany. Szczęście nie może mu sprzyjać wiecznie.

– Masz zamiar zdać się wyłącznie na szczęście? – Aran'gar spoczywała wygodnie rozciągnięta w głębokim, miękkim fotelu, jak na otomanie. Obrzuciła Osan'gara pojedynczym mglistym uśmiechem, a potem uniosła kolano tak, że rozcięcie jaskrawoczerwonej sukni odsłoniło nogę aż po biodro. Wydawało się, jakby każdy oddech mógł rozerwać czerwoną satynę najściślej jak to tylko możliwe opinającą pełne piersi. Od czasu, gdy zamieniono ją w kobietę zniknęły wszystkie idiosynkratyczne maniery zachowania, jednak rdzeń osobowości obleczonej wżeńskie kształty pozostał ten sam. Demandreda nie można było posądzać o stronienie od cielesnych rozkoszy, pewien był jednak, że któregoś dnia żądze tamtej sprowadzą na nią śmierć. Jak to już przecież miało raz miejsce. Rzecz jasna, jeśli ten drugi raz okaże się ostateczny, z pewnością nie uroni nawet łyż. – To ty odpowiadałeś za obserwowanie go, Osan'gar – ciągnęła dalej, a jej usta pieściły każdą kolejną sylabę. – Razem z Demandredem. – Osan'gar drgnął, oblizał warg końcem języka, a wtedy ona zaśmiała się gardłowo. – Zarzuty wobec mnie są... – Wcisnęła koniec kciuka w poręcz fotela, jakby coś rozgniatając i zaśmiała się znowu.

– Można by sądzić, że powinnaś się nieco bardziej przejmować, Aran'gar – mruknęła Graendal znad pucharu z winem. Odczuwaną pogardę skrywała równie skutecznie, jak nieomal przeźroczysta mgielka szaty ze *streith* okrywała jej bujne krągłości – Dotyczy to zresztą całej trójki: i ciebie, i Osan'gara, i Demandreda. A także Moridina, gdziekolwiek się podziewa. Prawdopodobnie powinniście obawiać się tryumfu al'Thora w równej mierze co jego porażki.

Aran'gar śmiejąc się pochwyciła w rękę dłoń stojącej. W zielonych oczach zamigotały iskierki.

– A ty może lepiej wyjaśnisz, co masz na myśli, kiedy zostaniemy same?

Ubiór Graendal stał się czarną chmurą zupełnie nieprzejrzystego dymu. Zakłęta ochryple, wyrwała dłoń i odsunęła się od fotela. Aran'gar... zachichotała.

– O co ci chodzi? – ostro zapytał Osan'gar, podrywając się z fotela. Natychmiast jednak opanował emocje, wsadził kciuki za klapy kaftana, przybrał pozę belfra i zaczął perorować pedantycznym tonem: – W pierwszym rzędzie, moja droga Graendal, wątpię abym był w stanie opracować metodę usunięcia cienia Wielkiego Władcy z powierzchni *saidina*. Al'Thor to przecież prostak. Czegokolwiek nie spróbuje, przekona się, że tego nie dość, a ze swojej strony nie potrafię uwierzyć, że wie choćby, od czego należałoby zacząć. W każdym razie i tak nie damy mu spróbować, ponieważ takie jest życzenie Wielkiego Władcy. Potrafię sobie wyobrazić, czemu mielibyśmy się obawiać niezadowolenia Wielkiego Władcy, jeśli go zawieziemy, jakkolwiek byłoby to mało prawdopodobne. Dlaczego jednak ci z nas, których przed chwilą wymieniłaś, mieliby żywić szczególne powody do obaw?

– Ślepy jak zawsze i jak zawsze nudziarz – mruknęła Graendal. Odzyskała już równowagę, jej ubiór znowu stał się niczym czysta mgła, choć z czerwonym poblaskiem. Być może jednak nie była tak spokojna, jak chciałaby udawać. A może chciała, by zdali sobie sprawę, że tłumi w sobie dozę emocji. Wyjąwszy *streith*, reszta jej ozdób pochodziła z obecnego Wieku: ogniste łyż w złotych włosach, wielki rubin kołyszący się między piersiami, ozdobne złote bransolety na obu nadgarstkach. Oraz coś dziwnego, czego, jak Demandred podejrzewał, pozostali mogli nie zauważyć. Prosta złota obrączka na małym palcu lewej dłoni. Prostota nie bardzo kojarzyła się z Graendal. – Jeżeli temu młodemu człowiekowi w jakiś sposób uda się usunąć cień, cóż... Wam, którzy przenosicie *saidina* nie będzie dłużej potrzebna specjalna ochrona Wielkiego Władcy. Czy wówczas jednak zaufa on...

waszej... lojalności? – Uśmiechnęła się i upiła łyk wina.

Osan'gar nie odpowiedział uśmiechem. Jego twarz pobladła, gwałtownie otarł usta dłonią. Aran'gar siedziała na krawędzi swej sofy, nie starając się już o poprzednią atmosferę zmysłowości. Palce spoczywających na podołku dłoni zakrzywiły się jak szpony, patrzyła na Graendal, jakby chciała rzucić się jej do gardła.

Demandred rozluźnił zaciśnięte pięści. Przynajmniej w końcu wszystko wyszło na jaw. Miał nadzieję, że al'Thor zginie – a jeśli już nie, to przynajmniej zostanie pojmany – zanim to podejrzenie uniesie swój łeb. Podczas Wojny Mocy co najmniej kilkunastu spośród Wybranych padło ofiarą podejrzeń Wielkiego Władcy.

– Wielki Władca pewny jest wierności was wszystkich – oznajmił znieczeka głos Moridina, on sam zaś wkroczył między nich niczym sam Wielki Władca Ciemności we własnej osobie. Często zresztą sprawiał wrażenie, jakby za takowego się uważał, a obecnie przybrane chłopięce oblicze bynajmniej nie wpływało na zmianę tego wrażenia. Mimo słów z pozoru dodających otuchy, oblicze miał ponure, a niezmienny czarny ubiór, jak najbardziej stosownie kojarzył się ze znaczeniem jego imienia: Śmierć. – Nie musicie się więc martwić do czasu, aż nie straci tej pewności. – Dziewczyna imieniem Cyndane, truchtem drobila w ślad za nim, przypominając drobne, srebrnowłose domowe zwierzątko o wydatnym łonie, odziane w czernie i czerwienie. Nie wiadomo dlaczego na ramieniu Moridina siedział szczur, jego blady nos węszył intensywnie, czarne ślepia czujnie wpatrywały się w obecnych. Jakiś powód pewnie być musiał. Albo nie było żadnego. Dziecięce oblicze bynajmniej nie czyniło go zdrowszym na umyśle.

– Dlaczego nas tutaj wezwałeś? – zapytał natychmiast Demandred. – Mam wiele do zrobienia i nie będę marnował czasu na gadanie po próżnicy. – Nieświadomie wyprężył się, próbując dorównać wzrostem tamtemu.

– Mesaany znowu nie ma? – zapytał Moridin, jakby nie słysząc zadanego mu pytania. – Szkoda. Ona też powinna wysłuchać co mam do powiedzenia. – Zdjął szczura z ramienia i trzymając za ogon, przyglądał się jak zwierzę bezradnie przebiera nóżkami. Jakby nic prócz gryzonia się w danej chwili nie liczyło. – Drobne, z pozoru całkowicie nieważne sprawy, w efekcie mogą się okazać decydujące – mruknął. – Jak choćby ten szczur. Albo to, czy Isamowi uda się znaleźć i zarżnąć tego robaka, Faina. Słowo wyszeptane w niewłaściwe uszko albo takie, które nie trafiło gdzie trzeba. Motyl przysiadł na źdźble trawy, a po drugiej stronie świata wali się góra. – Szczur znieczeka skrzywił się, próbując zatopić zębki w nadgarstku swego dręczyciela. Ten niedbałym ruchem odrzucił go na bok. Jeszcze w locie zmienił się w kłębek płomieni, w coś znacznie gorętszego niż płomień, i zniknął. Moridin uśmiechnął się.

Wbrew sobie Demandred skrzywił się. To było działanie Prawdziwej Mocy, on sam nic nie poczuł. Pod powierzchnią błękitnych oczu Moridina zawirowały czarne cętki, potem kolejne, wreszcie zatańczyły równym szeregiem. Tamten musiał chyba wyłącznie posługiwać się Prawdziwą Mocą od czasu ich ostatniego spotkania, skoro tak szybko nabawił się tylu *saa*. On sam nigdy nawet nie myślał o dotknięciu Prawdziwej Mocy, chyba że potrzeba była nagląca. Naprawdę nagląca. Oczywiście, od czasu jego... namaszczenia... obecnie tylko Moridin dysponował tym przywilejem. Korzystając z niego tak szczerze, musiał zaiste być szalony. Prawdziwa Moc stanowiła narkotyk bardziej uzależniający od *saidina*, bardziej śmiertelny niż trucizna.

Moridin przeszedł po pasiastej posadzce, podszedł do Osan'gara, położył dłoń na jego ramieniu. Złowieszczy charakter uśmiechu dodatkowo pogłębiały tańczące w oczach *saa*. Osan'gar przełknął ślinę i spróbował odpowiedzieć wyższemu od siebie mężczyźnie niepewnym uśmiechem.

– Naprawdę znakomicie się składa, że nigdy nawet nie brałeś pod uwagę kwestii usunięcia

cienia Wielkiego Władcy – cicho oznajmił Moridin. Od jak dawna słuchał na zewnątrz? Uśmiech Osan’gara jeszcze bardziej zaczął przypominać grymas mdłości. – Al’Thor jednak nie okazał się równie mądry jak ty. Powiedz im, Cyndane.

Drobna kobietka nabrała głęboko powietrza. Po obliczu i figurze można by w niej domniemywać smakowitego owocu, gotowego do zerwania, jednak wielkie błękitne oczy mroziły niczym lodowiec. A więc jeśli owoc, to chyba raczej brzoskwinia. Tu i teraz brzoskwinie były trujące.

– Przypuszczam, że żadne z was nie zapomniało o Choedan Kal. – Żadna doza opanowania nie potrafiłaby nadać temu niskiemu, chrapliwemu głosowi brzmienia innego niż namiętny, jej jednak jakoś udało się przesycić go sarkazmem. – Lews Therin zdobył dwa klucze zapewniające mu dostęp doń, po jednym dla każdej płci. I zna kobietę dostatecznie silną, by posłużyła się kobiecym. Chce wykorzystać Choedan Kal w swoim dziele.

Wszyscy zaczęli się wzajemnie przekrzykiwać.

– Sądziłam, że wszystkie klucze zostały zniszczone! – wykrzyknęła Aran’gar, podrywając się na nogi. Oczy jej rozszerzał strach. – On może zniszczyć świat, tylko próbując posłużyć się Choedan Kal!

– Gdybyś kiedykolwiek wzięła do ręki książkę inną niż dzieła historyczne, wiedziałabyś, że ich praktycznie rzecz biorąc nie można zniszczyć! – warknął na nią Osan’gar. Ale równocześnie wepchnął palce za kołnierz, jakby ten zniecka stał się dlań za ciasny, a oczy nieomal wychodziły mu z orbit. – Skąd ta dziewczyna wie, że on je ma? Skąd?

Gdy tylko Cyndane skończyła mówić, puchar wyslizgnął się z ręki Graendal i podskakując potoczył się po posadzce. Jej ubiór nabrał barwy krwistego szkarłatu, usta wykrzywiły się jakby w wymiotnym grymasie.

– A ty sobie przed chwilą wyobrażałeś, że los odda go w twoje ręce! – krzyknęła na Demandreda. – Miałeś nadzieję, że ktoś go dla ciebie znajdzie! Głupiec! Głupiec!

Demandred doszedł do wniosku, że Graendal nawet jak na nią posuwa się trochę za daleko. Gotów byłby się założyć, że oświadczenie, jakiego przed momentem wysłuchała, nie było dla niej żadnym zaskoczeniem. Wyglądało, jakby nudziło ją samo patrzenie. Nie powiedział jednak nic.

Przyłożywszy dłoń do serca w sposób doskonale imitujący gest kochanka, Moridin palcami drugiej ręki uniósł podbródek Cyndane. W jej oczach lśniło poczucie urazy, ale twarz równie dobrze mogłaby należeć do lalki. Z pewnością zaś do wszystkiego co z nią robił, odnosiła się z uległością lalki.

– Cyndane wie o mnóstwie rzeczy – cicho oznajmił Moridin – i mówi mi o wszystkim, co wie. O wszystkim. – Wyraz twarzy drobnej kobietki na moment nawet nie uległ zmianie, lecz ona sama wyraźnie zadrżała.

Dla Demandreda była prawdziwą zagadką. Z początku uznał ją za reinkarnację Lanfear. Ciała do których trafiały dusze po ponownej inkarnacji rzekomo dobierano z tego, co akurat było dostępne, jednak Osan’gar i Aran’gar stanowili żywy dowód okrutnego poczucia humoru Wielkiego Władcy. Właściwie był pewien swoich podejrzeń, póki Mesaana nie poinformowała go, że dziewczyna jest słabsza od Lanfear. Mesaana i pozostali widzieli w niej kogoś z aktualnego Wieku. Z drugiej wszakże strony mówiła o al’Thorze per Lews Therin, identycznie jak Lanfear, zaś miano Choedan Kal wymawiała, jak ktoś doskonale zaznajomiony z grozą, jaką wzbudzały podczas Wojny o Moc. W owych czasach tylko ognia stosu obawiano się bardziej, a i to nieznacznie. Niewykluczone wszak, że Moridin uczył ją po to, by wykorzystać, kierując się własnym interesem? Jeśli w ogóle taki posiadał. Bywały chwile, gdy jego działania przypominały wybuchy nieskrępowanego niczym szaleństwa.

– Tak więc mimo wszystko wychodzi na to, że musi zginąć – powiedział Demandred. Z trudem ukrywał satysfakcję. Rand Al'Thor czy Lews Therin Telamon, w każdym wypadku śmierć tamtego z pewnością przysporzy spokoju jego snom. – Zanim zdąży jeszcze zniszczyć świat. I nas. Co sprawę jego odnalezienia czyni jeszcze pilniejszą.

– Zginąć? – Moridin poruszał rękoma, jakby coś ważył w dłoniach. – Jeśli do tego ma dojść, to faktycznie macie rację – oznajmił na koniec. – A odnalezienie go nie będzie żadnym problemem. Kiedy dotknie bodaj Choedan Kal, od razu będziecie wiedzieli, gdzie się znajduje, i następnie udacie się tam, żeby go pojmać. Albo zabić, jeśli nie będzie innego wyjścia. Tak nakazuje wam Nae'blis.

– Nae'blis rozkazał – żywo potwierdziła Cyndane, skłaniając głowę. Pozostali w pomieszczeniu zawtórowali jej echem, choć w głosie Aran'gar brzmiała wyraźna niechęć, w głosie Osan'gara desperacja, zaś Graendal, co dziwne, najwyraźniej pogrążyła się w zadumie.

Konieczność ugięcia karku bolała Demandreda równie mocno, co wypowiedziane słowa. To oni więc będą musieli pojmać al'Thora – na dodatek akurat w chwili, gdy wraz z jakąś kobietą pic będą z Jedynego Źródła hausty Mocy zdolne strzaskać kontynenty! – jednak nie usłyszał najdrobniejszej wskazówki, że Moridin ma być tam z nimi. Lub bodaj jego oswojone suczki-bliźniaczki: Moghendien oraz Cyndane. Obecnie tamten był Nae'blis, jednak niewykluczone, że da się tak zaaranżować sprawy, by podczas następnego zgonu nie otrzymał kolejnego ciała. Jego zgon być może da się zaaranżować już niedługo.

# CO SKRYWA WOAL

„Tryumf Kidrona” tańczył majestatycznie na wzburzonym morzu aż pozłacane lampy kołysały się na specjalnie do tego celu dostosowanych przegubach, jednak Tuon siedziała absolutnie bez ruchu. Prowadzona pewną dłonią Selucii brzytwa ślizgała się po jej czaszce. Przez wysokie okna rufowej kabiny mogła dostrzec pozostałe *dreadnoughty*, których dzioby rozcinały szaro-zielone grzywacze setkami ciągnące aż spoza horyzontów. Czterokroć tyle okrętów zostało w Tanchico. Oto byli *Rhyagelle*, Ci Którzy Wrócili do Domu. *Corenne*, Powrót, właśnie się zaczął.

Śmigły albatros najwyraźniej podążał śladem „Kidrona”. Zaiste zwiastun tryumfu, ponieważ skrzydła jego były czarne, nie zaś jak zazwyczaj białe. I tutaj, na tych ziemiach musiał tyleż samo znaczyć. Przecież omen, znak, nie zmienia znaczenia zależnie od położenia geograficznego. Wołanie puchacza o świcie zwiastowało śmierć, zaś deszcz z bezchmurnego nieba nieoczekiwanego gościa. Tak było wszędzie – czy w Imfarał, czy w Noren M’Shar.

Poranny rytuał z udziałem garderobianej i brzytwy działał kojąco na zmysły, szczególnie dzisiaj efekt ten zdawał jej się pożądany. Ostatniej nocy to gniew stał za wydanymi rozkazami. A przecież nie wolno rozkazywać w gniewie. Czowała się prawie *sei’mosiev*, jakby straciła honor. Jej wewnętrznej równowadze wiele można było zarzucić, a to wróżyło źle losom Powrotu w równym stopniu co strata *sei’taera*, a zwiastun, jakim był albatros, nie bardzo potrafił rozwiać te przeczucia.

Selucia wytarła resztę piany ciepłą wilgotną szmatką, potem użyła suchej, na koniec pędzelkiem lekko przypudrowała gładką czaszkę. Kiedy wreszcie odsunęła się na bok, Tuon wstała. Fałdy bogato haftowanego w błękity, jedwabnego peniuara spłynęły na złoto-niebieski dywan. Natychmiast chłodne powietrze zaczęło szczytać smagłą skórę, a cztery z dziesięciu klęczących pod ścianą pokojówek podniosły się wdzięcznie – idealnie zbudowane i śliczne w powłóczystych szatach. Zostały zakupione w równej mierze dla swych walorów cielesnych, co dla umiejętności, a umiejętności ich były pierwszorzędne. W trakcie długiej podróży z Sechan zdażyły przywyknąć do kołysania statku, toteż teraz bez najmniejszego trudu pośpieszyły w stronę rzeźbionych kufków, po rzeczy wcześniej już na nich rozłożone. Rzeczy należało przekazać Selucii. Ta bowiem nigdy nie pozwalała *da’covale* uczestniczyć w ubieraniu ich pani, przynajmniej jeśli chodziło o sprawy poważniejsze niż pończochy lub pantofle.

Kiedy głowa Tuan znalazła się w fałdach plisowanej sukni barwy postarzałej kości słoniowej, młodsza z kobiet nie mogła powstrzymać się, by nie porównać ich odbić w wysokim zwierciadle przymocowanym dościany. Złotowłosa Selucia była przecież również imponującą pięknnością, o kremowej skórze i chłodnych błękitnych oczach. Gdyby nie fakt, że lewa połowa jej głowy pozostawała nieogolona, każdy mógłby widzieć w niej jedną z Krwi i to wysokiej rangi, nie zaś tylko *so’jhin*. Niemniej, gdyby podzieliła się z tamtą swoją myślą, z pewnością zaszokowałyby ją bez reszty. Selucię największą trwogą przejmowała sama możliwość wyniesienia się ponad stan. Tuon jednak doskonale rozumiała, że ona sama nigdy nie osiągnie tak władczej postawy. Oczy miała zbyt duże, a nadto zupełnie niestosownie wilgotne i brązowe. Kiedy bodaj na moment rozluźniała rysy surowej maski, widać było od razu, że jej oblicze w kształcie serca może należeć do psotnej dziewczynki. O dobre pół głowy była niższa od Selucii, a jej pokojowa nie należała przecież do szczególnie wysokich. Tuon mogła mierzyć się z najlepszymi – znakomita zapaśniczka, świetnie władała stosowną dla swej pozycji bronią – jednak, żeby wyrzucić na pozostałych odpowiednie wrażenie, zawsze musiała dokładać wielu starań. Umysł swój szkolila z wytrwałością, poświęcając



wszystkim pozostałym talentom razem wziętym. Dobrze chociaż, że szeroki pasek ze złotej plecionki na tyle podkreślał jej talię, iż nikt nie weźmie jej za chłopca w spódnicy. Na widok Selucii zaś mężczyźni się oglądali, Tuon podsłuchiwała kilkakrotnie ciche komentarze na temat pełnych piersi tamtej. Być może nie miało to nic wspólnego z rozkazującą postawą, jednak miło byłoby posiadać odrobinę bardziej imponujące łono.

– Niech się Światłość nade mną zmiłuje – mruknęła Selucia, kiedy *da'covale* spieszyły z powrotem na swoje miejsce pod ścianą; w jej głosie brzmiało rozbawienie. – Robisz to każdego ranka od pierwszego razu, gdy ogolono ci głowę. Naprawdę po całych tych trzech latach sądzisz, że mogłabym zostawić choć włoski?

Tuon zdała sobie sprawę, że machinalnie gładzi dłonią czaszkę. Poszukując, musiała przyznać, niedokładnie wygolonych, miejsc.

– Gdybyś zostawiła – powiedziała z ironiczną surowością – kazałabym cię wychłostać. Co zresztą stanowiłoby znakomity rewanż za wszystkie razy, kiedy to ty traktowałeś mnie różgą.

Zdobiąc szyję Tuan naszyjnikami z rubinów, Selucia roześmiała się.

– Gdybyś miała odplacić mi za wszystkie razy, nigdy już chyba nie potrafiłabym usiąść.

Tuon uśmiechnęła się. Matka Selucii ofiarowała ją Tuon jako dar z okazji jej narodzin, aby znalazła w niej piastunkę oraz, co ważniejsze, swój cień, strażniczkę, o której istnieniu nikt nie wiedział. Pierwszych dwadzieścia pięć lat życia Selucii upłynęło na szkoleniu się w tych umiejętnościach, do wymogów roli strażniczki przygotowywała się potajemnie. W szesnastą rocznicę otrzymania imienia, kiedy po raz pierwszy ogolono jej głowę, Tuon przekazała Selucii tradycyjne dary swego Domu, niewielką posiadłość w nagrodę za troskę jaką okazała, przebaczenie za razy jakich nie skąpiła, sakiewkę ze stoma złotymi tronami za każdy raz, kiedy musiała ukarać swoją podopieczną. Przedstawiciele Krwi, którzy zebrali się, aby obserwować debiut Tuon jako dorosłej, byli pod wyraźnym wrażeniem tych wszystkich worków złota, a niejeden z nich najwyraźniej chętnie sam położyłby na nich rękę. Jako dziecko była... niesforna... żeby nie powiedzieć: uparta. Wreszcie nadszedł moment zaoferowania Selucii ostatniego z tradycyjnych darów – możliwości wyboru swego następnego zadania. Tuon do dziś nie dowiedziała się, czyje zaskoczenie było wówczas większe – jej, czy zebranego tłumu – kiedy ta dumna kobieta odrzuciła wszelkie perspektywy ewentualnej władzy i pozycji, zamiast tego prosząc o uczynienie z niej pokojówki Tuon, głównej garderobianej. Oraz, rzecz jasna, jej cienia, choć tego nie podano do publicznej wiadomości. Dobrze pamiętała, jaką przyjemność sprawiło jej to oświadczenie.

– Może powinnam ci to dawkować przez szesnaście lat – powiedziała. Przelotnie zerknęła w zwierciadło, żeby upewnić się, iż wypowiedź nie została dosłownie zrozumiana, uśmiechnęła się jeszcze, a potem przywołała na twarz zwykły surowy wyraz. Na pewno znacznie większym uczuciem darzyła kobietę, która ją wychowała, niż matkę, którą w okresie dzieciństwa widywała nie więcej jak dwa razy do roku, albo braci i siostry, z którymi od pierwszych kroków nauczyła się konkurować o względy rodzicielki. Podczas tej bezwzględnej w istocie rywalizacji dwoje z jej rodzeństwa straciło życie, troje zaś chciało ją zabić. Siostrę i brata obrócono w *da'covale*, zaś ich imiona wymazano z historii rodu równie radykalnie, jak stałoby się to w sytuacji, gdyby się okazało, że potrafią przenosić. Nawet teraz jej pozycji nie sposób było uznać za całkowicie bezpieczną. Drobną pomyłką i da głowę, albo, co gorsza, pozbawioną zaszczytów i obnażoną do naga sprzedadzą na publicznym targu. Dzięki Światłości, kiedy się uśmiechała wciąż wyglądała na szesnaście lat! W najlepszym razie!

Selucia również uśmiechnęła się i odwróciła w stronę toaletki. Z czerwono lakierowanego profilu zdjęła obcisły czepek ze złotej koronki. Oczka koronki były tak przestronne, że w istocie

odślaniały większość czaszki, jednoznacznie czyniąc z niej Kruka i Róże. Może i nie była jeszcze *sei'mosiev*, jednak na rzecz *Corenne* musiała odzyskać równowagę. Mogłaby poprosić Anath, jej *Soe'feia*, aby wyznaczyła jej pokutę, niemniej od nieoczekiwanej śmierci Neferi minęły niecałe dwa lata, a z jej następczynią wciąż nie do końca potrafiła dojść do ładu. Coś jej mówiło, że tę sprawę musi załatwić sama. Być może podświadomie zarejestrowała jakiś znak. Zapewne na statku nie mogło być mrówek, jednak jakieś żuki mogły się trafiać.

– Nie, Selucia – oznajmiła cicho. – Woalka.

Usta Selucii zacisnęły się z dezaprobatą, jednak bez słowa odłożyła czepek na profil. Na osobności, jak w chwili obecnej, miała prawo do swobodnego wyrażania swoich zastrzeżeń, z drugiej, jednak strony doskonale wiedziała, o czym można, a o czym nie można, mówić. Przez te wszystkie lata Tuon musiała tylko dwukrotnie ją ukarać i, Światłość świadkiem, żałowała tego w równym stopniu, co tamta. Bez słowa więc jej garderobiana wzięła do ręki długą, zwiewną woalkę, udrapowała na głowie Tuon i spięła wąskim diademem ze złotej plecionki, zdobnej w rubiny. Woalka była jeszcze bardziej przejrzysta niż szaty *da'covale* i bynajmniej nie skrywała oblicza. Skrywała jednak to co najważniejsze.

Selucia na koniec udrapowała długą, haftowaną złotem niebieską pelerynę na ramionach Tuon, odsunęła się na bok i skłoniła głęboko. Koniec jej złotego warkocza musnął dywan. Klęczące *da'covale* przypadły twarzami do desek. Czas prywatności dobiegł końca Tuon sama opuściłaabinę.

W sąsiedniej kajucie czekały jej *sul'dam*, sześć, po trzy z każdej strony. Ich podopieczne klęczały przed nimi na szerokich, wypolerowanych deskach pokładu. Na jej widok *sul'dam* wyprostowały się, dumne niczym ich srebrne błyskawice na czerwonych wstawkach sukien. Odziane w szarości *damane* choć klęczały, również trzymały się prosto, nie pozbawione własnej dumy. Wyjątkiem była biedna Lidya, która przysiadła na piętach, wbijając zapłakaną twarz w pokład. Trzymająca smycz rudowłosej *damane* Ianelle, pochmurnie spoglądała w dół.

Tuon westchnęła. Ostatniej nocy Lidya wyprowadziła ją z równowagi. Ponoсила odpowiedzialność za wzbudzenie jej gniewu. Ale nie, napomniała się po chwili Tuon, Lidya tylko stanowiła jego przyczynę, odpowiedzialność za gniew ponosiła ona sama. Sama przecież rozkazała *damane*, by ta wyrzuciła jej przyszłe losy i nie powinna kazać jej chłostać tylko dlatego, że nie spodobało jej się to, co usłyszała.

Pochyliła się więc, ujęła w palce podbródek Lidyi – długie, pokryte czerwonym lakierem paznokcie napięły piegowatą skórę policzków tamtej – i podniosła ją do przysiadu. Co z kolei wywołało skrzywienie i nowe strumienie łez, które Tuon starła palcami, równocześnie gestem skłaniając *damane*, by uklękła jak pozostałe.

– Lidya jest dobrą *damane*, Ianelle – powiedziała. – Posmaruj jej pręgi tynkturą z sorfy i na ból dawaj lwie serce, póki pręgi nie znikną. A póki nie znikną, ma dostawać do każdego posiłku słodkie *crème*.

Lidya przekrzywiła głowę, by ucałować dłoń Tuon i wyszeptwała:

– Pani jest dobra dla Lidyi. Lidya nie przytyje.

Wędrując między krótkimi szeregami, Tuon zamieniła słowo każdą *sul'dam*, poklepała każdą *damane*. Klęcząca szóstka należała do najlepszych spośród najlepszych, jakimi dysponowała – patrzyły na nią radośnie, promieniejąc takim samym przywiązaniem, jakie ona wobec nich żywiła. Walczyły zażarcie o udział w wyprawie. Pulchne, słomianowłose Dali i Dani, siostry, którym właściwie niepotrzebne było kierownictwo *sul'dam*. Charral o włosach siwych jak oczy, jednak wciąż żywo i sprawnie splatająca strumienie. Sera z czerwonymi wstążkami w gestych lokach

czarnych włosów, najsilniejsza z nich, dumna jak *sul'dam*. Tiny Mylen, niższa nawet od samej Tuon. Mylen stanowiła wśród tej szóstki specjalny powód do dumy dla Tuon.

W oczach wielu wydawało się co najmniej dziwne, że Tuon po osiągnięciu dojrzałości zdecydowała się przejść próby przydatności na *sul'dam*, chociaż nikt oczywiście wówczas nie zaprotestował otwarcie. Reakcja matki była inna – milczeniem wyraziła zgodę. I choć oczywiście nie mogło być mowy o tym, by naprawdę została *sul'dam*, to szkolenie *damane* dostarczyło jej takich samych przyjemności jak układanie koni, w obu tych zajęciach była zresztą równie dobra. Mylen stanowiła najlepszy dowód. Kiedy Tuon kupiła ją na nabrzeżu w Shon Kifar, blada drobna *damane* była ledwie żywa ze strachu i przeżytego wstrząsu, odmawiając przyjmowania jedzenia i wody. Wszystkie *der'sul'dam* desperowały, twierdząc, że nie pożyje długo, ale oto teraz Mylen w pełni sił uśmiechała się do Tuon, pochylając by ucałować jej dłoń, zanim jeszcze została pogłaskana po ciemnych włosach. Niegdyś sama skóra i kości, dzisiaj zasługiwała na miano pulchnej. Zamiast skarcić ją za naruszenie etykiety, trzymająca jej smycz Catrona, pozwoliła, by uśmiech rozciął zmarszczki surowego oblicza i mruknęła pochwałą. Pochwałą zresztą całkowicie prawdziwą – nikomu nawet nie przysłoby do głowy, że Mylen ongiś mieniła się Aes Sedai.

Przed opuszczeniem kajuty Tuon wydała jeszcze kilka rozporządzeń w sprawie ćwiczeń i diety *damane*. *Sul'dam* oczywiście doskonale wiedziały co robić, podobnie jak pozostała dwunastka orszaku Tuon – w przeciwnym razie nie byłoby dla nich miejsca w jej służbie – ale ona sądziła, że na posiadanie *damane* nie zasługuje nikt, kto nie okazuje im aktywnego zainteresowania. Znała idiosynkrazje każdej z nich równie dobrze, co własną twarz.

Przeszła do zewnętrznej kajuty swoich apartamentów. Na jej widok wyprężyli się żołnierze Straży Skazańców, stojący pod ścianami w zbrojach lakierowanych czerwienią i zielenią tak ciemna że nieomal wpadającą w czerń. To znaczy można by powiedzieć że wyprężyli się, gdyby posągi mogły się prężyć. Mężczyźni o twardych obliczach – wraz z pięcioma setkami sobie podobnych odpowiadali osobiście za bezpieczeństwo Tuon. Każdy z nich i wszyscy naraz gotowi byli oddać życie, by ją chronić. Gdyby coś jej się stało, z pewnością nie byłoby dla mnich miejsca wśród żywych. Ochotnicy, sami zgłosili się do tej służby. Widok woalki sprawił, że posiwiały kapitan Musenge tylko dwóch wyznaczył, aby towarzyszyli jej na pokład. Przed wejściem do kajuty w dwu szeregach stali jej Ogrodnicy, Ogirowie w czerwieniach i zieleniach, ponurymi oczyma wypatrując niebezpieczeństwa i prezentując broń – wielkie topory z czarnymi pendantami. Ich nie obowiązywała reguła oddania życia za jej życie, jednak też zgłosili się na ochotnika, ona zaś bez chwili namysłu powierzyłaby swoje bezpieczeństwo w ich wielkie dłonie.

Żebrowane żagle na trzech wysokich masztach „Kidrona” wydymał chłodny wiatr, który pchał okręt ku ciemnemu brzegowi, na tyle już bliskiemu, że mogła dostrzec wzgórza i przylądki. Pokład pełen był ludzi, wszyscy mężczyźni i kobiety Krwi w swoich najlepszych jedwabiach. Nie zwracali uwagi na podmuchy wiatru szarpiącego im płaszcze oraz członków załogi, uwijających się między nimi. Niektórzy przedstawiciele szlachty nieco w zbyt demonstracyjny sposób ignorowali ludzi z załogi, jakby naprawdę sądzili, że tamci mogą obsługiwać statek, kłaniając się i klękając co parę kroków. Na widok jej woalki tylko pokłonili się nieznacznie, wszyscy identycznie, w miejsce ceremonialnych hołdów, których najwyraźniej wcześniej oczekiwali. Yuril, mężczyzna o haczykowatym nosie, powszechnie uważany za jej sekretarza, przykląkł na jedno kolano. Rzecz jasna, był jej sekretarzem, nadto jednak również jej Ręką, dowódcą jej Poszukiwaczy. Kobieta imieniem Macura jako jedyna zareagowała niewłaściwie – przypadła do pokładu i zaczęła całować pokład – póki kilka cichych słów z ust jej sekretarza nie sprawiło, że powstała szybko, rumieniąc się i wygładzając czerwone spódnice. Przyjmując ją w Tanchico na służbę, Tuon miała poważne

wątpliwości, jednak tamta błagała ją ni czym *da'covale*. Z jakiegoś powodu do szpiku kości nienawidziła Aes Sedai i nie dbając szczególnie o nagrody, jakie dotąd otrzymała za swoje bezcenne informacje, pragnęła tylko narobić im jeszcze większej szkody.

Odpowiedziawszy Krwi skinieniem głowy, Tuon wspięła się na pokład rufowy. Jej śladem poszli dwaj Strażnicy Skazańców. Wiatr rozwiewał poły jej peleryny, raz przylepiając do twarzy materię woalki, raz unosząc ją nad głową. Nie miało to znaczenia, fakt, iż ją włożyła mówił sam za siebie. Osobisty sztandar – dwa złote lwy zaprzęzone do starożytnego rydwanu – powiewał z rufy ponad głowami sześciu sterników, zmagających się z długim rumplem. Kruk i Róże znikną sponad pokładu, gdy tylko rozejdzie się słowo o jej woalce. Kapitan „Kidrona”, barczysta kobieta o wysmaganej wiatrem twarzy, siwych włosach i nieprawdopodobnie zielonych oczach, skłoniła się w momencie, gdy czubek pantofla Tuon dotknął pokładu, a potem natychmiast powróciła do swoich obowiązków.

Przy relingu stała Anath, odziana wyłącznie w czarne jedwabie, bez płaszcza czy czapki – wyraźnie niewrażliwa na zimny wicher. Szczupła, wysoka – uznawano by ją za wysoką, nawet gdyby była mężczyzną. Czarna niczym węgiel twarz zasługiwała na miano pięknej, jednak wielkie czarne oczy patrzyły przenikliwie niczym szydła. *Soe'feia* Tuon, jej Prawdomówczyni, mianowana przez Imperatorową, ożyła wiecznie, po tym jak Neferi zginęła. Było to zaskoczenie, biorąc pod uwagę, że Lewa Ręka Neferi była wyszkolona i gotowa przejąć obowiązki, jednak kiedy Imperatorowa przemawiała z Kryształowego Tronu, jej słowo było prawem. I choć z pewnością nie należało w żadnej mierze obawiać się swojej *Soe'feia*, to jednak Tuon w jej obecności czuła pewien niepokój. Odrobinę. Stała obok tamtej, chwyciła reling i szybko musiała rozluźnić palce, nie chcąc złamać lakierowanego paznokcia. To mogłoby stanowić nadzwyczaj zły omen.

– Tak więc... – powiedziała Anath, a słowa te były niczym świder wwiercający się w czaszkę Tuon. Tamta spojrzała na nią z gon, zmarszczyła brwi i dalszą jej przemowę zabarwiła nieskrywana pogarda. – Skryłaś swoją twarz... do pewnego stopnia... i teraz jesteś po prostu Szlachetną Lady Tuon. A przecież wszyscy i tak wiedzą, kim jesteś naprawdę, nawet jeśli nikt nie wspomni o tym słowem. Jak długo masz zamiar odgrywać tę farsę? – Pełne usta Anath wykrzywił grymas, szczupła dłoń poruszyła się eleganckim, lekceważącym gestem – Podejrzewam, że ten idiotyzm ma coś wspólnego z tym, że wychłostano twoją *damane*. Jednak jesteś głupia, jeśli uważasz, że nikt nie zobaczy wyrazu twoich oczu. Cóż ona takiego powiedziała, że cię zezłościła? Najwyraźniej nikt o niczym nie ma pojęcia, poza tym, że wpadłaś w taki szal, iż żałuję, że nie mogłam być tego świadkiem.

Tuon zmusiła swe dłonie, by bez ruchu spoczywały na relingu. Najwyraźniej zostawione same sobie miały ochotę niepowstrzymanie drżeć.

– Będę nosiła woalkę, póki nie doczekam się omenu, który każe mi ją zdjąć, Anath – powiedziała, panując nad głosem. Wyłącznie szczęśliwemu losowi mogła zawdzięczać, że nikt nie podsłuchał tajemniczych słów Lidy. Wszyscy wiedzieli, że ta *damane* potrafi przewidzieć przyszłość, a gdyby któreś z Krwi usłyszało, nie byłoby końca skrytym plotkom na temat jej jutra.

Anath roześmiała się ochryple i dalej karciła ją za okazywaną głupotę, tym razem wdając się w bliższe szczegóły. Znacznie bliższe. Nie zatroszczyła się o zniesienie głosu. Kapitan Tehan wbiła wzrok w przestrzeń przed sobą, na pomarszczonej twarzy oczy omal nie wychodziły jej z orbit. Tuon słuchała z uwagą, choć czuła jak coraz bardziej palą ją policzki, póki nie wydawało się, iż za chwilę woalka wybuchnie płomieniem.

Wielu spośród Krwi określało swoje Głosy mianem *Soe'feia*, jednak w istocie Głosy Krwi były tylko *so'jhin*, doskonale zdającymi sobie sprawę, że ich właścicielom nie spodobałoby się to, co

mówić winni *Soe'feia*. Mówcy Prawdy nie wolno było rozkazywać, ani przymuszać go, czy w żaden inny sposób karać. Od Prawdómowcy wymagano, żeby głosił czystą prawdę, niezależnie czy słuchający chciał tego, czy nie, oraz zadbanie wszystkimi środkami, żeby prawda ta dotarła do jego uszu. Ci spośród Krwi, którzy uważali swe Głosy za *Soe'feia* równocześnie przekonani byli, iż Algwyn – ostatni mężczyzna zasiadający na Kryształowym Tronie, prawie tysiąc lat temu – musiał oszaleć, ponieważ pozwolił swojej *Soe'feia* żyć i zachować pozycję po tym, jak w obliczu całego dworu uderzyła go w twarz. W nie większym stopniu pojmowali tradycje jej rodziny niż wytrzeszczająca oczy kapitan. Rysy na skrytych za obramowaniem hełmów twarzach Strażników Skazańców nawet nie drgnęły. Oni rozumieli.

– Dziękuję ci, ale niepotrzebna mi pokuta – oznajmiła grzecznie, kiedy Anath na moment urwała swoją tyradę.

Pewnego razu, kiedy przeklęła Neferi za jej głupią śmierć, w wyniku upadku ze schodów, poprosiła swoją nową *Soe'feia*, by sama zajęła się egzekucją pokuty. Przeklinanie umarłych stanowiło wykroczenie dostatecznie poważne, by na całe miesiące uczynić człowieka *sei'mosiev*. Tamta wywiązała się z zadania w sposób, który można było określić nieomal mianem delikatnego, jakkolwiek by to dziwnie nie brzmiało, jednak nawet wówczas Tuon płakała przez wiele dni i nie była w stanie założyć nawet bielizny. Nie dlatego wszakże odrzuciła propozycję – pokuta musiała być surowa, żeby przywrócić równowagę. Nie, nie miała po prostu zamiaru wybierać łatwiejszej drogi, skoro już podjęła decyzję. A także dlatego, że, jak musiała sama przed sobą przyznać, nie chciała skorzystać z rady swojej *Soe'feia*. W ogóle nie chciała jej słuchać. Jak wielokrotnie powtarzała Selucia, zawsze była uparta. Odmowa nadstawienia uszu swojej *Soe'feia* stanowiła czyn godny pogardy. Być może powinna mimo wszystko zgodzić się z tamtą, po to by przywrócić sobie utraconą równowagę. Trzy długie szare morświny wysunęły pyski nad powierzchnię wody i zaśpiewały. Trzy i nie pojawiły się na powrót. Trzymać się powziętej decyzji.

– Kiedy przybijemy do brzegu – powiedziała – Szlachetna Lady Suroth powierzy się twojej pieczy. – Trzymać się powziętej decyzji. – A jej ambicje domagać się będą bliższej uwagi. Udało się dokonać z Przodkami więcej niżli Imperatorowa, oby żyła wiecznie, sobie wymarzyła, jednak sukces na taką skalę często rodzi równoważne ambicje.

Zirytowana taką zmianą tematu, Anath przygarbiła się, zacisnęła usta. Jej oczy rozblęskły.

– Pewna jestem, że ambicje Suroth sprowadzają się wyłącznie do interesów Imperium – oznajmiła grzecznie.

Tuon skinęła głową. Ona sama nie była tego aż tak pewna. Ten rodzaj pewności mógł bowiem nawet ją zaprowadzić wprost do Wieży Kruków. Być może zwłaszcza ją.

– Trzeba znaleźć sposób, by najszybciej jak to tylko możliwe nawiązać kontakt ze Smokiem Odrodzonym. Musi uklęknąć przed Kryształowym Tronem zanim nadejdzie Tarmon Gai'don, w przeciwnym razie wszystko stracone. – Tak stwierdzały Proroctwa Smoka, w sposób nie dopuszczający wątpliwości.

Nastrój Anath zmienił się w jednej chwili. Uśmiechnęła się i położyła dłoń na ramieniu Tuon, gestem znamionującym nieomal dumę posiadacza. Posunęła się za daleko, jednak była przecież *Soe'feia*, a to wrażenie mogło być wyłącznie tworem umysłu Tuon.

– Musisz postępować nadzwyczaj ostrożnie – zamruczała.

– Nie może się dowiedzieć, jak bardzo jesteś dlań niebezpieczna, póki nie będzie już za późno na ucieczkę.

Miała jeszcze wiele dobrych rad, Tuon jednak puściła je wszystkie mimo uszu. Uważała tylko na tyle, by zdawać sobie sprawę o czym mowa, wszystko to już słyszała wcześniej po sto razy. W

oddali, przed dziobemłodzi widziała już wlot do wielkiej zatoki. Ebou Dar, skąd wyruszy *Coreenne*, jak wcześniej wyruszył z Tanchico. Ta myśl wywołała w niej dreszcz rozkoszy, poczucie spełnienia. Za skrywającą oblicze woalką była tylko Szlachetną Lady Tuon, rangą bynajmniej nie przewyższającą wielu spośród Krwi, jednak w swym sercu była zawsze Tuon Athaem Kore Paendrag, Córką Dziewięciu Księżyców, i oto przybywała, aby odebrać to, co skradziono jej przodkowi.

# POTRZEBNY LUDWISARZ

Pudełkowaty wóz – mały domek na kołach – przywodził Matowi na myśl wozy Druciarzy, które widywał wcześniej, jednak szafki i wbudowane w ściany warsztaty jednoznacznie dawały do zrozumienia, że jego przeznaczeniem nie było mieszkanie. W nosie zawierciło mu od dziwnych, kwaśnych zapachów wypełniających wnętrze, żałośnie zmienił pozycję na trójnożnym stołku, który był jedynym nadającym się do siedzenia meblem. Połamane żebra i kości nóg zdążyły się już zrosnąć, zagoiły się rany, jakie wyniósł spod gruzów domu, który zwałił mu się na głowę, ale odniesione kontuzje od czasu do czasu wciąż odzywały się bólem. Poza tym zależało mu na współczuciu. Kobiety uwielbiały okazywać współczucie, jeśli tylko rozegrać odpowiednio całą sprawę. Zmusił do spokoju dłoń obracającą długi sygnet na palcu. Kiedy kobieta zorientuje się, że się denerwujesz, zaraz zaczniesz sobie to tłumaczyć na swój sposób i całe współczucie można będzie wyrzucić za okno.

– Posłuchaj, Aludra – powiedział, uśmiechając się jednym ze swoich najbardziej ujmujących uśmiechów – musiałaś już zdać sobie sprawę, że Seanchanie nawet dwa razy nie spojrzą na fajerwerki. Jak słyszałem, te ich *damane* potrafią robić coś, co nazywa się Światła Niebios, a przy tym twoje najlepsze fajerwerki będą wyglądać niczym iskierki polatujące w kominie. Bez obrazy.

– Jeśli o mnie chodzi, to nie widziałam na własne oczy tych ich tak zwanych Świeateł Niebios – odparła z roztargnieniem, w jej głosie pobrzmiwał silny akcent Tarabon. Nie podniosła głowy znad drewnianego moździerza rozmiarów sporego antałka stojącego na jednym z warsztatów. Mimo iż długie do pasa włosy miała przewiązane na karku szeroką błękitną wstążką, wymykające się spod nich pasma przesłaniały jej twarz. Długi biały fartuch, pobrudzony ciemnymi smugami praktycznie rzecz biorąc wcale nie skrywał tego, jak ciasno jej ciemnozielona suknia opinała biodra, jednak, jego bardziej interesowało to, co ona robi. A przynajmniej w równym stopniu. Drewnianym tłuczkiem długim prawie jak jej ręka miażdżyła i ucierała gruby czarny proszek. Proszek nieco przypominał to, co znalazł wewnątrz fajerwerków, które niegdyś ośmielił się otworzyć, wciąż jednak nie miał pojęcia o składnikach. – Tak czy siak – ciągnęła dalej, nieświadoma jego uwagi – nie zdradzę ci sekretów Gildii. Rozumiesz, nieprawdaż?

Mat skrzywił się. Od czterech dni nad nią pracował, żeby dotrzeć do tego punktu, a zaczął od pierwszej chwili, gdy w wyniku przypadkowej wizyty w objazdowym przedstawieniu Valana Luki odkrył, że ona przebywa w Ebou Dar. Przez cały ten czas bał się bodaj wspomnienia o Gildii Iluminatorów.

– Ale ty przecież nie jesteś już Iluminatorem, pamiętasz? Wyrzucili... hm... sama powiedziałaś, że opuściłaś Gildię. – Nie po raz pierwszy w tym czasie rozważał, czy nie wspomnieć delikatnie, jak to kiedyś uratował ją przed czterema członkami Gildii, którzy chcieli jej poderznąć gardło. Zazwyczaj to starczało, żeby większość kobiet chciała się zbawcy rzucić na szyję, obsypać pocałunkami i zaproponować mu wszystko, czego tylko by chciał. Ale ponieważ, gdy ją uratował, spotkał się z całkowitym brakiem jakichkolwiek pocałunków, mało było prawdopodobne, by teraz miał się ich spodziewać. – W każdym razie – ciągnął dalej lekko – nie musisz się już przejmować Gildią. Od jak dawna tworzysz nocne kwiaty? I nie pojawił się nikt, żeby cię powstrzymać. Cóż, założę się, że nawet nie spotkałaś innego Iluminatora.

– Coś słyszałeś? – zapytała cicho, wciąż nie unosząc głowy. Tłuczek w jej dłoniach prawie zamarł. – Powiedz mi.

Poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie. Jak kobiety to robią? Mężczyzna stara się jak może, a

one od razu przechodzą do sedna spraw, które próbuje przed nimi ukryć.

– O co ci chodzi? Znasz te same plotki co ja, jak sądzę. Głównie dotyczą Seanchan.

Odwróciła się gwałtownie, aż długie włosy niczym bicze przecięły powietrze, porwała w obie dłonie ciężki tłuczek i uniosła ponad głowę. Starsza od niego może i dziesięć lat, miała wielkie czarne oczy i drobne wydatne usteczka, które zazwyczaj wyglądały na chętne pocałunków. Raz czy dwa razy chciał ją zresztą pocałować. Po czymś takim większość kobiet stawiała się bardziej uleją. W tej chwili jednak, szczerząc zęby, wyglądała na gotową w każdej chwili odgryźć mu nos.

– Powiedz mi! – rozkazała.

– Grałem w kości z kilkoma Seanchanami w pobliżu doków – powiedział niechętnie, nie spuszczając wzroku z ciężkiego tłuczka. Mężczyzna może postraszyć, pokrzyknąć, a w końcu spokojnie pójść w swoją stronę, jeśli nie uzna sprawy za dostatecznie poważną jednak kobieta pod najdrobniejszym pretekstem gotowa jest rozłupać czaszkę. Jego zaś bolało zeszywniałe od siedzenia w jednej pozycji biodro. – Wolałbym, żeby to ktoś inny ci o tym powiedział, ale... Gildia już nie istnieje, Aludra. Kapituła w Tanchico została zburzona. – A była to jedyna kapituła z prawdziwego zdarzenia na całą Gildię. Druga, w Cairhien, została już dawno temu opuszczona, zwyczajowo więc Iluminatorzy podróżowali, dając wyjazdowe wyłączenie przedstawienia przed władcami i szlachtą. – Oni tam odmówili zgody na wpuszczenie Seanchan na teren posiadłości, a potem walczyli... przynajmniej próbowali, kiedy tamci i tak weszli. Nie wiadomo co się stało... może żołnierz wszedł z zapaloną latarnią do miejsca, gdzie nie powinien... w każdym razie, z tego co mi opowiadano, połowa budynku wyleciała w powietrze. Niewykluczone, że jest w tym sporo przesady. Seanchanie uznali, jednak że któryś z Iluminatorów posłużył się Jediną Mocą i... – Westchnął, próbując nadać swemu głosowi cieplejsze brzmienie. Krew i popioły, wcale nie miał ochoty o tym opowiadać! Ale wciąż wpijała w niego płonący wzrok, a ta przeklęta pałka gotowa była opaść na jego czaszkę. – Aludra, Seanchanie zgromadzili wszystkich ocalałych w budynku kapituły, jak również Iluminatorów, którzy uciekli do Amadoru, dołączyli do nich wszystkich, którzy bodaj z wyglądu przypominali Iluminatora, a potem zrobili z nich *da'covale*. To znaczy...

– Wiem, co to znaczy! – oznajmiła gwałtownie. Odwrócił się do wielkiego mózdzierza i zaczęła tak szybko poruszać tłuczkiem, iż zaczął się obawiać, że może wybuchnąć, jeśli naprawą tą masą wypełniano fajerwerki. – Głupcy! – mruzczała wściekle bijąc głośno tłuczkiem we wnętrze mózdzierza. – Wielcy, ślepi głupcy! Kiedy ma się przeciw sobie potęgę, trzeba ugiąć nieco karku i jakoś z tym żyć, ale oni nie potrafili tego pojąć! – Pociągnęła nosem i otarła policzki wierzchem dłoni. – Mylisz się jednak mój młody przyjacielu. Póki żyje choć jeden Iluminator, Gildia również trwa, a ja wciąż żyję! – Wciąż nie spoglądając na niego ponownie otarła policzki dłonią. – Nawet gdybym ci dała fajerwerki, to co byś z nimi zrobił? Wystrzelił w Seanchan z katapulty jak mniemam? – Parsknięcie jednoznacznie mówiło, co ona sądzi o takim pomysle.

– Nie podoba ci się ten pomysł? – zapytał, udając, że nie rozumie o co chodzi. Dobra polowa katapulta, na przykład skorpion, mogła wyrzucić dziesięciofuntowy głaz na odległość pięciuset kroków, a dziesięć funtów fajerwerków wyrządzi z pewnością znacznie większe szkody niż kamień. – Tak czy siak, mam lepszy pomysł. Widziałem te tuleje, z których wystrzeliwujesz w niebo nocne kwiaty. Na trzysta kroków lub więcej, tak powiedziałaś. Jeśli trochę je pochylić, założę się, że potrafią wystrzelić nocny kwiat na odległość tysiąca kroków.

Wciąż wbijając wzrok w mózdzierz, jakby wyłącznie do siebie wymamrotała:

– Oto co mi przychodzi z mielenia ozorem – tyle udało mu się podsłuchać, jeszcze coś o ślicznych oczach, co jednak zupełnie nie miało sensu. Ponieważ nie chciał, żeby znowu rozwodziła się nad sprawą sekretów Gildii, zaczął pospiesznie mówić:



– Te tuleje są znacznie mniejsze niż katapulty, Aludra. Gdyby je dobrze zamaskować, Seanchanie nigdy by się nie zorientowali, skąd się nagle wzięły. Możesz o tym myśleć jak o rewanżu za kapitułę.

Wreszcie odwróciła głowę i spojrzała na niego z szacunkiem, zmieszanym z zaskoczeniem, ale to drugie jakoś udało mu się zignorować. Oczy miała zaczerwienione, zaś policzki znaczyły ślady łez. Może gdyby otoczył ją ramieniem... Kobiety zazwyczaj potrafiły docenić odrobinę pociechy w płaczu.

Zanim jednak choćby drgnął, ona zamachnęła się tłuczkiem, trzymając go przed sobą niczym miecz. Te szczupłe ramiona musiały być silniejsze niż na to wyglądały, ponieważ koniec pałki nawet nie drżał.

„Światłości” – pomyślał – „naprawdę nie mogła wiedzieć, co mam zamiar zrobić”.

– Nieźle, jak na kogoś, kto po raz pierwszy w życiu widział tuleje wyrzutowe ledwie parę dni temu – powiedziała – jednak sama wpadłam na ten pomysł już dawno. Miałam swoje powody.– Na chwilę w jej głosie zabrzmiały gorzkie tony, ale prawie natychmiast zniknęły, ich miejsce zaś zajęła nuta rozbawienia. – Skoro jesteś taki bystry, dam ci zagadkę, dobrze? – powiedziała unosząc brwi. Och, zdecydowanie coś ją musiało rozbawić! – Powiedz mi, jaki mogę mieć pożytek z ludwisarza, a wtedy opowiem ci wszystkie moje sekrety. Nawet te, od których będziesz się rumienił, dobrze?

No i teraz dopiero zrobiło się ciekawie. Bo fajerwerki były ważniejsze niż nawet godzina przytulank. Jakże też ona może mieć sekrety, od których mógłby się zarumienić? W tych sprawach sam mógłby ją zaskoczyć. Nie wszystkie wspomnienia tych pozostałych mężczyzn, które zostały wtłoczone do jego głowy ograniczały się do bitew.

– Wytwórca dzwonów – zadumał się, nie mając pojęcia jak ruszyć dalej. W żadnych wspomnieniach nie znajdował nawet najlżejszej wskazówki. – Cóż, jak mniemam... Wytwórca dzwonów mógłby... Może...

– Nie – powiedziała tonem zaskakująco żywym. – Teraz sobie pójdziesz i wrócisz za dwa lub trzy dni. Mam pracę do wykonania, a ty mnie tylko rozpraszasz swoimi pytaniami i czarowaniem. Nie, żadnych dyskusji! Idziesz.

Patrząc wściekle, wstał i wcisnął na głowę swój czarny kapelusz o szerokim rondzie. Czarowanie? Czarowanie! Krew i krwawe popioły! Przy wejściu leżał na podłodze jego płaszcz, wcześniej tam rzucony – jęknął, gdy pochylił się, aby go podnieść. Większość dnia spędził na tym stołku. Niewykluczone, że dokonał z nią pewnych postępów. W każdym razie dokona, jeśli uda mu się rozwiązać zagadkę. Dzwony alarmowe. Gong wybijający godziny, te miało to najmniejszego sensu.

– Może nawet przyszłoby mi do głowy, żeby pocałować takiego przystojnego młodzieńca jak ty, gdybyś nie należał do innej – mruknęła zdecydowanie cieplejszym tonem. – Masz naprawdę śliczne pośladki.

Natychmiast wyprostował się, odwrócił w jej stronę. Twarz paliła go bardziej z wściekłości niż ze wstydu, ale oczywiście nie omieszkała wypomnieć mu rumieńca. Ostatnio już powoli udawało mu się nie pamiętać o tym, w co jest odziany, o ile ktoś nie podniósł tej kwestii. Na tym tle przydarzyło mu się kilka incydentów w tawernach. Kiedy spoczywał unieruchomiony z nogą w łupkach, z obandażowanymi zębami i opatrunkami na reszcie ciała, Tylin schowała gdzieś jego wszystkie rzeczy. Nie miał pojęcia gdzie, z pewnością jednak schowała je, nie zaś spaliła. Mimo wszystko nie mogła przecież poważnie myśleć o przetrzymywaniu go w nieskończoność. Wszystko co mu zostało z własnego ubioru, to kapelusz i czarna szarfa, zawiązana wokół szyi. I oczywiście srebrny medalion z głową lisa, zazwyczaj noszony na rzemyku pod koszulą. I jeszcze noże – z ich stratą naprawdę trudno

byłoby mu się pogodzić. Kiedy ostatecznie udało mu się wydostać z tego przekłętego łóżka, ta przekłeta kobieta kazała mu uszyć nowe ubranie, a kiedy przekłete szwaczki mierzyły go i dokonywały przymiarki, cały czas siedziała sobie i patrzyła! Śnieżnobiałe koronki nieomal całkiem skrywały jego przekłete ręce, jeśli przestawał na nie uważać, dalsze spływały spod szyi prawie do samego pasa. Tylin lubiła mężczyzn w koronkach. Jego płaszcz miał barwę jaskrawego szkarłatu – podobnie jak zbyt obcisłe spodnie – a obrzeżony był lamówką w złote zawijasy i białe róże, jakby tego było jeszcze mało. Nie wspominając już o białym kręgu na lewym ramieniu z zielonym Mieczem i Kotwicą Domu Mitsobar. Błękitny kaftan mógł być zdarty wprost z Druciarza, jeśli o kolor chodzi, zdobiony na piersiach czerwono-złotą taireńską plecionką, na dodatek sięgającą mocno na rękawy. Nie lubił wspominać tego, co musiał znieść, żeby przekonać Tylin o zaniechaniu pomysłu ozdobienia perłami, szafirami i Światłości jedna wie czym jeszcze. Poza tym kaftan był krótki! Nieprzyzwoicie krótki! Tylin również lubiła jego przekłete pośladki i najwyraźniej jej nie przeszkadzało, kto jeszcze im się przygląda!

Narzucił płaszcz na ramiona – przynajmniej dawał jakieś okrycie – porwał wysoki do ramienia kostur stojący obok drzwi. Biodro i noga będą go boleć, póki nie rozrusza ich w marszu.

– Do zobaczenia za dwa, trzy dni – powiedział, wkładając w swe słowa tyle godności, na ile potrafił się zdobyć.

Aludra zaśmiała się cicho. Nie na tyle cicho jednak, żeby nie usłyszał. Światłości, kobieta potrafiła osiągnąć więcej przy pomocy śmiechu niż brutal z doków całą wiązką przekleństw! I z równym rozmysłem.

Wykuśtykał z wozu i kiedy zszedł dostatecznie nisko po drewnianych schodkach, zatrzasnął za sobą drzwi. Popołudniowe niebo niczym nie różniło się od tego, które miał nad głową rankiem: szare i skłębione, sklezione ponurymi chmurami. Wiatr szarpał ostrymi podmuchami. Altara nie znała prawdziwej zimy, ale tego, co ją tu zastępowało, było dosyć. Zamiast śniegu lodowate deszcze i burze nadciągające znad morza, w przerwach między nimi wilgoć, która czyniła chłód jeszcze bardziej dotkliwym. Ziemia pod butami sprawiała wrażenie rozmokłej, nawet gdy była sucha. Chmurząc czoło, kuśtykał – jak najdalej od wozu.

Kobiety! Aludra była jednak śliczna. I umiała robić fajerwerki. Ludwisarz? Może jakoś uda mu się zrobić z tego dwa krótkie dni. Póki Aludra nie zacznie się za nim uganiać. Ostatnimi czasy temu zajęciu oddawało się naprawdę wiele kobiet. Czy to Tylin w jakiś sposób go zmieniła, sprawiając, że teraz kobiety uganiały się za nim jak ona sama? Nie. To zupełnie bez sensu. Wiatr szarpał połami jego płaszcza, powiewając za jego plecami, lecz był zbyt zatopiony w myślach, żeby temu zaradzić. Dwie szczupłe dziewczyny – akrobatki, uznał – obrzuciły go nieśmiałymi uśmiechami, gdy je mijał. Odpowiedział uśmiechem i wyprężył się. Nie, Tylin go nie zmieniła. Był tym samym człowiekiem, którym był zawsze.

Widowisko Luki było co najmniej pięćdziesiąt razy bardziej okazałe niż to wynikało z opowieści Thoma, a może i bardziej – rozległa gmatwanina namiotów i wozów o rozmiarach dużej wioski. Mimo złej pogody liczni artyści ćwiczyli na otwartej przestrzeni. Kobieta w dopasowanej białej bluzce i spodniach równie obcisłych jak jego, kołysała się siedząc na luźnej linie rozpiętej między dwoma wysokimi słupkami. Nagle znienacka puściła chwyt, zanim jednak spadła na ziemię, zdążyła zaczepić jedną stopą o linę. Potem skrzyła się, schwyciła linę dłońmi, podciągnęła się, usiadła i zaczęła wszystko do nowa. Niedaleko pewien człowiek naprawdę biegł po jajowatym kole, które musiało mieć długość co najmniej dwudziestu stóp, umieszczonym na platformie – kiedy skoczył przez jego węższy koniec, musiał znajdował się jeszcze wyżej nad powierzchnią ziemi niż kobieta, która wkrótce miała z pewnością skrzyć kark, Mat przyjrzał się przelotnie obnażonemu do

pasa mężczyźnie, który toczył trzy lśniące kule po swoich rękach i barkach, ani razu nie dotykając ich dłońmi. To było naprawdę ciekawe. Może sam by też potrafił. Przynajmniej od tych kul nie krwawi się i nie ma złamań. Przeżył już tego dość, by starczyło na całe życie.

Jego prawdziwe zainteresowanie wzbudziły szeregi koni. Długie szeregi koni, przy których trudziły się z dwa tuziny opatulonych mężczyzn, wybierających nawóz. Setki koni. Z pewnością Luca musiał przyjąć pod swe skrzydła jakiegoś seanchańskiego tresera, nagrodą zaś był glejt od Szlachetnej Lady Suroth, pozwalający mu zatrzymać wszystkie te zwierzęta. Oczko, wierzchowiec Mata, znalazł bezpieczne schronienie przed loterią zarządzoną przez Suroth w stajniach Pałacu Tarasin, jednak wydostanie go stamtąd stanowiło zadanie ponad możliwości. Tylin praktycznie rzecz biorąc nałożyła mu obrozę i nie zamierzała uwolnić w dającym się przewidzieć czasie.

Odwrócił się od przykuwającego uwagę widoku i przez chwilę zastanawiał, czy nie kazać Vaninowi ukraść kilku z tych koni, gdyby rozmowy z Luką skończyły się niepomyślnie. Na ile Mat zdążył już się zorientować w umiejętnościach Vanina, dla tamtego zdumiewającego człowieka byłaby to tylko wieczorna przechadzka. Choć z pozoru gruby i niezdarny, Vanin potrafił ukraść i dosiąść jego konia, jakiego tylko spłodziła klacz na tej ziemi. Nieszczęśliwie się składało, że Mat nie sądził, iż on sam byłby w stanie trzymać się w siodle dłużej niż milę. A jednak pomysł godny był uwagi. Powoli sytuacja zaczynała się robić rozpaczliwa.

Szedł kulejąc i nieuważnym wzrokiem obserwował ćwiczących linoskoczków, akrobatów, zonglerów, zastanawiając się równocześnie, w jaki sposób znalazł się w tym impasie. Krew i popioły! Przecież był *ta'veren*! Miał rzekomo kształtować świat wedle swej woli! A oto proszę! Uwięziony w Ebou Dar, pieszczoszek i zabawka Tylin – ta kobieta nie pozwoliła mu nawet wyzdrowieć do końca, rzuciła się na niego jak kaczką na robaka! – podczas gdy pozostali świetnie się bawili. Mając te wszystkie Kuzynki u swych stóp, Nynaeve z pewnością rządziła każdym w zasięgu ręki. Kiedy Egwene wreszcie zrozumie, że te bredzące, bez reszty obłąkane Aes Sedai, które zrobiły z niej Amyrlin, wcale tego zrobić nie zamierzały, będzie miała pod ręką Talmanesa i Legion Czerwonej Ręki, gotowych ją wy dostać z opresji. Światłości, niewykluczone, że Elayne nosi już na głowie Różaną Koronę, w jej przypadku to zupełnie możliwe! Rand i Perrin pewnie rozpierają się przed kominkiem w jakimś pałacu, popijając wino i opowiadając sobie dowcipy.

Nagle delikatnym błyskiem w jego głowie zawirowały kolory – skrzywił się i potarł czoło. Ostatnimi czasy zdarzało się to zawsze, gdy pomyślał o którymś z nich. Nie miał pojęcia, co to oznacza i nie chciał wiedzieć. Chciał tylko, żeby to się już skończyło. Gdyby tylko potrafił się wydostać z Ebou Dar. I zabrać ze sobą tajemnicę fajerwerków, rzecz jasna. Ucieczka była dlań jednak znacznie ważniejsza niż jakiegokolwiek tajemnice.

Thom i Beslan wciąż znajdowali się tam, gdzie ich zostawił, popijający w towarzystwie Luki przed zdobionym frontem wozu tego ostatniego. Nie mógł się tak swobodnie do nich przysiąść. Z jakiegoś powodu Luca nabrał instynktownej antypatii do Mata Cauthona. Mat odpłacał mu tym samym uczuciem, ale on miał powody. Chodziło o tę pełną samozadowolenia, kołtuńsko uśmiechniętą twarz tamtego, o sposób w jaki patrzył na wszystkie kobiety. I o to, jak najwyraźniej mu się zdawało, iż wszystkie kobiety świata lubią patrzeć na niego. Światłości, ten człowiek był przecież żonaty!

Rozciągnięty w poślacanym fotelu, z pewnością wyszabrowanym z jakiegoś pałacu, Luca śmiał się, gestykulując zamasyście, po pańsku, przed oczyma Thoma i Beslana, usadowionych na ławkach po jego obu stronach. Jego jaskrawoczerwony płaszcz i kaftan zdobiły symbole gwiazd i komet. Druciarz by się zawstydział! A na widok jego wozu zapłakał! Znacznie większy od warsztatu na kołach Aludry, najwyraźniej cały był lakierowany! Wizerunki księżycy w kolejnych fazach zdobiły całą długość boków wozu, resztę zaś odmalowanej w czerwieniach i błękitach powierzchni

pokrywały gwiazdy i komety. W tym otoczeniu Beslan wywierał dość słabe wrażenie, mimo kaftana i płaszcza z motywami ptaków w locie. Thom zaś, który właśnie ocierał wino z wąsów, w prostych brązowych wełnach i ciemnym płaszczu wyglądał zdecydowanie bezbarwnie.

Jedyną osobą, którą spodziewał się tu zastać nie było na miejscu, jednak szybko rozejrzawszy się dookoła, dostrzegł przy sąsiednim wozie gromadkę kobiet. Od młodych, w jego wieku, aż po siwe, wszystkie chichotały, rozbawione przez tego, którego otaczały. Mat westchnął i udał się w tamtą stronę.

– Och, nie potrafię się zdecydować – dobiegł jego uszy wysoki głos chłopca, stojącego w kręgu kobiet. – Kiedy spoglądam na ciebie, Merici, wydaje mi się, że twoje oczy są najpiękniejsze ze wszystkich, jakie w życiu widziałem. Ale kiedy przyjrzę się tobie, Neilyn, twoje zdają mi się najpiękniejsze. Twoje usta są niczym dojrzałe wiśnie, Gillin, a twoje pragnąłbym tylko całować, Adria. Twoja szyja zaś, Jameine, wdzięczna niczym u łabędzia...

Mat zdusił przekleństwo i na ile był w stanie przyspieszył kroku, przepchnął się przez tłum kobiet, mrużąc na lewo i prawo przeprosiny. Wreszcie zobaczył Olvera, niskiego, bladego chłopca, który stał pośród zgromadzenia prężąc się i uśmiechając do kolejnych kobiet. Już na widok jego wyszczerzonych w szerokim uśmiechu zębów, każda powinna w pierwszym rzędzie myśleć o oberwaniu mu uszu.

– Proszę, wybaczyć mi – wymamrotał Mat, biorąc chłopca za rękę. – Chodź, Olver, musimy wracać do miasta. Przestań tak zamiatać tym płaszczem. On tak naprawdę nie wie, co mówi. Nie mam pojęcia skąd mu się to wszystko bierze.

Na szczęście kobiety tylko śmiały się i straszyły włosy Olvera, kiedy Mat go odprowadzał na bok. Niektóre najwyraźniej urzeczony nim, jakby tego było mało! Jedna zaś wsunęła dłoń pod płaszcz Mata i uszczypnęła go w pośladek. Kobiety!

Kiedy już wydostali się na wolną przestrzeń, Mat popatrzył ponuro na chłopca, z zadowoleniem truchtającego przy jego boku. Olver znacznie urósł od kiedy Mat po raz pierwszy go spotkał, ale wciąż był niski jak na swoje lata. A z tym szerokim uśmiechem i odstającymi uszami na dokładkę, nigdy nie będzie przystojny.

– Możesz wpakować się w poważne tarapaty, jeśli będziesz się w ten sposób zwracał do kobiet – pouczył go Mat. – Kobiety lubią, jak mężczyzna jest cichy i dobrze wychowany. I opanowany. Opanowany i może nieco nieśmiały. Pielęgnuj w sobie te cechy, a daleko zajdziesz.

Olver obrzucił go pełnym nieskrywanego niedowierzania spojrzeniem, Matowi pozostało więc jedynie westchnąć. Chłopak miał całą gromadę wujków, którzy się nim zajmowali, a każdy z nich – wyjąwszy oczywiście samego Mata – wywierał nań zły wpływ.

Widoku Thoma i Beslana starczyło, żeby szeroki uśmiech powrócił na twarz Olvera. Uwolnił dłoń i ze śmiechem pobiegł w ich stronę. Thom uczył chłopaka żonglerki oraz gry na harfie i flecie, Beslan zaś posługiwania się mieczem. Pozostali „wujkowie” dawali mu inne lekcje, wpajając zadziwiająco szeroki wachlarz umiejętności. Kiedy tylko wróci do sił, Mat zamierzał dołożyć do tego ćwiczenia w walce na pałki i strzelania z łuku, długiego na modłę Dwu Rzek. Czego natomiast chłopak uczył się od Chela Vanina albo innych żołnierzy Legionu, Mat wolał nie wiedzieć.

Na widok Mata Luca podniósł się ze swego ekstrawaganckiego siedziska, głupi uśmiech przeszedł natychmiast w kwaśny grymas. Spojrzeniem zmierzył go od stóp do głów, zamiótł wokół siebie połami tego idiotycznego płaszcza i oznajmił grzmiącym głosem:

– Jestem człowiekiem zajęтым. Mam mnóstwo pracy. Niewykluczone, że wkrótce będę gościł Szlachetną Lady Suroth na prywatnym przedstawieniu. – I nie powiedziawszy więcej słowa, odszedł trzymając poły zdobnego płaszcza tylko jedną dłonią tak, że łopotwały za jego plecami niczym

sztandar.

Mat otulił się ściślej własnym okryciem. Płaszcz był po to, by grzać. Zdarzyło mu się widzieć w pałacu Suroth, choć nigdy z bliska. Bliższych kontaktów jednak sobie nie życzył. Nie potrafił sobie wyobrazić, aby miała poświęcić bodaj chwilkę swego czasu na oglądanie Wielkiego Wędrownego Widowiska i Wspaniałej Wystawy Cudów oraz Dziwów Świata Valana Luki, jak głosił czerwonymi literami wysokimi na krok transparent rozpięty na dwu wysokich tyczkach przed wejściem. Gdyby się jednak zdecydowała, z pewnością należało się obawiać o los lwów. Mogłyby umrzeć ze strachu.

– Zgodził się, Thom? – zapytał cicho, patrząc spod zmarszczonych brwi w ślad za Luką.

– Kiedy opuści Ebou Dar, możemy się z nim zabrać – odparł pomarszczony mężczyzna. – Nie za darmo. – Parsknął, rozdmuchując siwe wąsy, a potem z irytacją przeczesał dłonią białe włosy. – Za sumę, której się domaga, powinniśmy jeść i sypiać niczym królowie, ale znając go, mocno w to wątpię. Nie uważa nas za przestępców, zapewne wnioskując z faktu, że wciąż możemy swobodnie się poruszać, zdaje sobie jednak sprawę, iż przed czymś uciekamy, w przeciwnym razie bowiem wybralibyśmy inny sposób podróżowania. Najgorsze jest, że przed nastaniem wiosny nie ma zamiaru ruszyć się z miejsca.

Mat przez chwilę szperał w zasobach stosownych przekleństw. Dopiero wiosną. Światłość jedna wiedziała, co Tylin robi z nim do tego czasu, do zrobienia czego go zmusi. Może pomysł, by Vanin ukradł konie, nie był taką złą ideą.

– Będę miał więcej czasu na grę w kości – oznajmił, jakby cała sprawa nie miała najmniejszego znaczenia. – Jeśli chce tyle, ile mówisz, trzeba napełnić sakiewkę. Jedną rzecz należy przyznać Seanchanom, potrafią przegrywać. – Od chwili, gdy był w stanie na własnych nogach opuścić Pałac, starał się kontrolować długość okresów szczęścia w grze i jakoś nie naraził się na groźby podejrzenia gardła za oszukiwanie. Początkowo sądził nawet, że to jego szczęście objęło swym zasięgiem również inne rzeczy, albo że fakt bycia *ta'veren* w końcu na coś się przydał.

Beslan spojrział na niego ponuro. Szczupły, smagły mężczyzna, nieco młodszy od Mata, podczas ich pierwszego spotkania zachowywał się radośnie zawadiacko, zawsze gotów na rundę po tawernach, zwłaszcza, jeśli miała zakończyć się walką lub w ramionach kobiety. Od przybycia Seanchan znacznie jednak spowaźniał. W jego oczach stanowili prawdziwy powód do zmartwienia.

– Matka nie będzie zadowolona, gdy się dowie, że pomagam jej ukochanemu opuścić Ebou Dar, Mat. Wyda mnie za jakąś zezowatą z wąsem niczym taraboński piechur.

Po całym tym czasie, Mat wciąż nie potrafił powstrzymać odruchowej reakcji. Nie przyzwyczał się do myśli, że w opinii syna Tylin to, co jego matka robiła z Matem, było jak najbardziej na miejscu. Cóż, Beslan zgadzał się, że matka w nieco zbyt wielkim stopniu usiłuje uczynić z Mata swoją własność – w nieco zbyt wielkim, dobre sobie! – ale był to jedyny powód jego pomocy. Beslan twierdził, że Mat może dostarczyć jego matce wytchnienia i pozwolić oderwać myśli od traktatów, do których podpisywania zmuszali ją Seanchanie. Czasami Mat żałował, że nie mieszka dalej w Dwu Rzekach, gdzie przynajmniej wiadomo było, co myślą inni ludzie. Ale tylko czasami.

– Możemy już wracać do Pałacu? – zapytał Olver, było to bardziej żądanie niż pytanie. – Mam lekcję czytania z lady Riselle. Podczas gdy czyta, pozwala mi kłaść sobie głowę nałonie.

– Godne uwagi osiągnięcie, Olver – powiedział Thom, podkreślając wąsa, by ukryć uśmiech. Pochylił się ku obu mężczyznom i ściszył głos, aby chłopak nie słyszał: – Ta kobieta każe mi przygrywać sobie na harfie, zanim pozwala mi przyłożyć głowę do tej wspaniałej poduszki.

– Riselle wszystkich zmusza do tego, by ją najpierw zabawiali – roześmiał się ze zrozumieniem Beslan, a Thom popatrzył na niego ze zdumieniem.

Mat jęknął. Tym razem nie chodziło o kontuzjowaną nogę, ani o fakt, że najwyraźniej wszyscy

mężczyźni w Ebou Dar mogli wybierać, do czyjego łona przytulą głowę, tylko nie Mat Cauthon. Te Przeklęte kości znowu zaczęły toczyć się w jego głowie. Nadciągało coś złego. Coś bardzo złego.

# NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE

Powrotny spacer do miasta stanowił ponad dwumilową przechadzkę przez niskie wzgórza, w wyniku której Mat początkowo poczuł się lepiej – kiedy rozruszał nogę – ostatecznie jednak, gdy dotarł już na wzgórze skąd widać było Ebou Dar okazała się wysiłkiem dla nogi niezbyt korzystnym. Przed jego oczami rozpostarł się widok altarańskiego portu – za przesadnie grubymi pobielonymi murami, których nie skruszył nigdy pocisk żadnej maszyny oblężniczej, rozpościerało się miasto w barwach równie nieskazitelnej bieli, miejscami tylko zakłócanej wąskimi wstęgami kolorów na smukłych kopułach. Otynkowane na biało budynki, białe iglice i wieże oraz białe pałace lśniły mimo zimowej szarówki. Tu i ówdzie wieżę wieńczył wyszczerbiony fragment muru, a w miejscu, gdzie do niedawna stał dom, ziała wyrwa w zabudowie, lecz tak naprawdę, to seanchański szturm spowodował niewiele zniszczeń. Tamci byli zbyt szybcy, zbyt silni, toteż miasto wpadło im ręce, nim zdążyło się uformować coś więcej niż tylko pojedyncze gniazda oporu.

Zaskakujące okazało się, że handel nawet tak mizerny, jak zwyczajowo o tej porze roku, właściwie prawie nie osłabł wraz z upadkiem miasta. Seanchanie zresztą oficjalnie doń zachęcali, od kupców, kapitanów i marynarzy wymagając jedynie złożenia przysięgi lojalności wobec Zwiastunów, wiernego oczekiwania na Powrót i służby Tym Którzy Wrócili Do Domu. W praktyce oznaczało to życie nie inne od tego jakie prowadzili wcześniej, tak więc nieliczni tylko protestowali. Za każdym razem, gdy Mat spoglądał na rozległą zatokę, widział w niej więcej okrętów niż wcześniej. Dzisiejsze popołudnie nastrajało nawet do spaceru z właściwego Ebou Dar aż do samego Rahel, dość podłej dzielnicy, której najchętniej już nie odwiedzałyby nigdy. Od kiedy zdołał wstać z łóżka, przez wiele dni wędrował do doków, aby tylko się przyglądać. Oczywiście nie interesowały go statki Ludu Morza o żebrowanych żaglach, na których Seanchanie zmieniali takielunek, i które obsadzali własną załogą, ale okręty pod banderą Złotych Pszczoł Illian, Miecza i Dłoni Arad Doman, wreszcie Półksiężyców Łzy. Teraz już go to nie interesowało. Dziś ledwie zerknął na zatokę. Toczące się w jego głowie kości, huczały niczym grom. Cokolwiek miało nastąpić, zapewne nie będzie mu w smak. Wydarzenia zwiastowane przez kości, rzadko kiedy wieńczyła bodaj krztyna satysfakcji.

Chociaż z tej strony muru wielka sklepiona brama pluła nieustannym, zdawałoby się, strumieniem pojazdów i ściśniętych pieszych, po drugiej stronie szeroka kolumna oczekujących wozów i wózków stała prawie w bezruchu, a jej koniec sięgał wspomnianego szczytu wzniesienia. Przyczynę stanowił konny oddział Seanchan opuszczający miasto. Seanchanie – czy to smagli jak przedstawiciele Ludu Morza, czy bladzi na podobieństwo Cairhienian – wyróżniali się z tłumu nie tylko przez to, że dosiadali wierzchowców. Niektórzy z mężczyzn odziani byli w szerokie luźne spodnie i osobliwe obcisłe kaftany o wysokich kołnierzach, które ciasno obejmowały ich szyję aż po szyję, zapinane na rzędy lśniących metalowych guzików, inni mieli na sobie kaftany o znacznie wdzięczniejszym kroju, pysznie haftowane, długie prawie jak kobiece suknie. To byli mężczyźni Krwi – kobiety Krwi miały na sobie dziwnie skrojone suknie do jazdy konnej, wyglądające, jakby w całości drobno plisowane, z rozciętymi spódnicami, odsłaniającymi kostki wychodzące z kolorowych trzewików oraz nadzwyczaj szerokimi rękawami, których mankiety spływały aż do utkwionych w strzemionach stóp. Oblicza kilku skrywały przed wzrokiem nisko urodzonych koronkowe woalki, zza których widoczne były jedynie oczy. Zasadniczy trzon oddziału stanowili jeźdźcy w jaskrawo ubarwionych zbrojach z nachodzącymi na siebie płytek. Wśród żołnierzy zdarzały się również

kobiety, chociaż nie sposób było tego na pierwszy rzut oka rozpoznać, ponieważ ich twarze skrywały hełmy wykonane na podobieństwo łbów jakichś monstrualnych owadów. Dobrze chociaż, że nigdzie nie było widać czerni i czerwieni Straży Skazańców. W ich obecności nawet rodowici Seanchanie robili się niespokojni, a tego Matowi było już dosyć żeby omijać ich szerokim łukiem.

Tak czy siak, żaden z Seanchan nawet nie zaszczycił powtórnym spojrzeniem trójki mężczyzn i chłopca powoli maszerujących ku miastu wzdłuż kolumny czekających wozów i zaprzęgów. Cóż przynajmniej o mężczyznach można było powiedzieć, że maszerują wolno. Olver brykał tam i z powrotem. Tempo marszu dostosowane było do możliwości bolącej nogi Mata, on jednak ze wszystkich sił starał się ukryć przed pozostałymi, do jakiego stopnia ufać musi swemu kosturowi. Toczące się w głowie kości zazwyczaj zapowiadały opresje, podczas których jego życie wisiało na włosku: bitwa, dom walący się na głowę. Tylin. Bał się nawet pomyśleć o tym, co nastąpi, gdy wreszcie ich ruch ustanie.

Prawie każdy z zaprzęgów i wozów opuszczających miasto należał do Seanchanina – szli obok lub powozili ubrani w znacznie mniej wyszukany sposób niż ich konni rodacy, w istocie ledwie wyróżniając się z tłumu – natomiast pojazdy oczekujące w długiej kolejce najprawdopodobniej stanowiły własność mieszkańców Ebou Dar lub okolic, o czym można było wnosić z wołów użytych w roli zwierząt pociągowych oraz charakterystycznych ubiorów ich właścicieli: długich kamizelek mężczyzn, a u kobiet podpiętych z jednej strony spódnic, które ukazywały pończochę lub kolorową halkę. Kupcy – niektórzy najwyraźniej z dalekich stron – wyróżniali się na tle kolumny niewielkimi kawalkadami ciągnionych przez konie wozów. Zimą handel chętnie migrował na południe, gdzie nie trzeba było zmagać się z pokrytymi śniegiem drogami.

Oto krępa kobieta Domani z ciemnym pieprzykiem na miedzianym policzku, stojąca na czele kolumny czterech wozów, otulona ściśle kwiecistym płaszczem, spode łba spogląda na mężczyznę stojącego pięć wozów przed nią w kolejce. Tamten, zresztą dość podejrzanie wyglądający, skrywa długie wąsy za tarabońskim woalem i kuli się na koźle obok woźnicy. Bez wątplenia konkurencja. Szczupła Kandorianka z wielką perłą w lewym uchu i srebrnym łańcuszkiem na piersiach siedzi spokojnie w siodle, osłonięta rękawiczką dłoń spoczywa na łuku. Najwyraźniej wciąż jest nieświadoma, że z chwilą, gdy znajdzie się za murami zarówno jej szary wałach, jak i zwierzęta z zaprzęgu trafią na loterię. Okolicznym mieszkańcom rekwirovano jedno zwierzę na pięć, zagranicznym kupcom jedno na dziesięć, i to tylko dlatego, by nie podcinać skrzydeł handlu. Zresztą za te remonty płacono cenę, którą w innych czasach należałoby nazwać całkiem przyzwoitą, dziś jednak niestety nie miała nic wspólnego z rynkową, mając na względzie istniejący popyt. Mat zawsze zwracał uwagę na konie, choćby tylko kątem oka, choćby prawie nie rejestrując tego, co widzi. Oto, dalej, gruby Cairhienianin w kaftanie równie wypłowiałym co odzież jego woźniców, wydziera się wściekle, klnąc opóźnienie i sprawiając, że jego znakomita gniada klacz tańczy nerwowo. Świetnie zbudowany wierzchowiec. Z pewnością trafi się jakiemuś oficerowi. Co się wydarzy, kiedy staną kości?

Szerokiej sklepionej bramy miasta strzegły oczywiście strażę, choć najprawdopodobniej zasługujące na takie miano wyłącznie w oczach Seanchan. *Sul'dam* w wyszywanych w błyskawice niebieskich sukniach przeciskały się w tę i we w tę przez ruchomą ciżbę, prowadząc na srebrnych *a'dam* szaro odziane *damane*. Wystarczyłoby tylko jednej takiej pary, aby poradzić sobie z każdym kłopotem, wyjąwszy może tylko autentyczny szturm miasta, a może nawet i on, choć tak naprawdę nie było powodów ich obecności w tym miejscu. W pierwszych dniach po upadku Ebou Dar, kiedy wciąż jeszcze pozostawał przykuty do łóżka, Seanchanie przetrząsnęli miasto w poszukiwaniu kobiet, które określali mianem *marath'damane*, teraz zaś starali się zadbać o to, by żadnej nie udało się



dostać do miasta. Każda *sul'dam* przewiesiła przez ramię dodatkową smycz, tak na wszelki wypadek. Identyczne dwójki patrolowały również doki, przeprowadzając inspekcje każdej przybijającej do brzegu łodzi i każdego statku.

Obok szerokiej sklepionej bramy do miasta, na długiej platformie wystawiono na pokaz białe na dwudziestostopowe piki poczerńiałe, ale wciąż jeszcze rozpoznawalne, głowy kilkunastu mężczyzn i dwu kobiet, którzy zadarli z seanchańskim wymiarem sprawiedliwości. Nad nimi pysznił się symbol tej sprawiedliwości: topór kata z trapezoidalnym ostrzem i trzonem owiniętym delikatną plecionką z białego sznurka. Tabliczka umieszczona pod każdą z głów, obwieszczała zbrodnię, która legła u początków jej drogi na to miejsce: morderstwo, gwałt, rabunek z użyciem przemocy, napaść na przedstawiciela Krwi. Pomniejsze przestępstwa ściągały na głowy winnych wyroki w formie kar pieniężnych lub chłosty, albo obrócenia w *da'covale*. Seanchanie byli w tych sprawach nadzwyczaj bezstronni. Żaden z przedstawicieli Krwi nigdy nie trafi na ten pokaz – gdyby udało mu się zasłużyć na egzekucję, zostałby odesłany do Seanchan albo uduszony białym sznurem – niemniej trzy z prezentowanych głów wieńczyły ongiś seanchańskie szyje, zaś ciężar karzącej dłoni sprawiedliwości spoczywał zarówno na tych co wysokiego, jak i tych niskiego stanu. Dwie tabliczki z napisem BUNT wisiały pod głowami kobiety i mężczyzny: ona była niegdyś Panią Okrętów Atha'an Miere, on jej Mistrzem Mieczy.

Mat ostatnio dostatecznie często tędy przechodził, żeby ledwie zwracać uwagę na pokaz. Olver podskakiwał obok, nucąc jakąś rymowaną. Beslan i Thom szli, pochylając ku sobie głowy, a Matowi raz wpadły w ucho słowa „ryzykowna sprawa”, jednak nie dbał, o czym tamci rozmawiają. A potem zagłębili się już w długim, mrocznym tunelu, którym droga pokonywała mury i turkot jadących obok wozów uczynił podsłuchiwanie niemożliwym, nawet gdyby nagle zmienił zdanie. Tymczasem jednak trzymał się przy ścianie, z dala od kół wozów, podczas gdy Thom i Beslan wysunęli się naprzód, wciąż naradzając się szeptem, a Olver pognął za nimi. Gdy wreszcie wydostał się na światło dnia, zanim zdał sobie sprawę, że tamci zatrzymali się tuż u wylotu tunelu, wpadł na plecy Thoma. Już chciał skwitować rzecz cierpkim komentarzem, gdy również dostrzegł to, co przyciągnęło uwagę tamtych. Wychodzący z tunelu ludzie wpadali na nich, ale nie potrafił się powstrzymać i tylko patrzył.

Ulice Ebou Dar zawsze stanowiły ludne miejsca, ale przecież nie aż do tego stopnia – jakby tama pękła i fala ludzkiej powodzi zwała się na miasto. Przed jego oczyma gęsta ciżba wypełniała ulice od skraju do skraju, zostawiając wolne miejsca jedynie stadkom zwierząt domowych z rodzaju, którego Mat w życiu jeszcze nie widział: łaciatemu bydłu z długimi rogami wygiętymi ku górze, bladobrunatnym kozom o długim delikatnym włosiu, sięgającym do ziemi, owcom z dwoma parami rogów. Wszystkie ulice w zasięgu wzroku zdawały się zupełnie zakorkowane. Wozy i zaprzęgi pełzły powoli przez ludzką masę, o ile w ogóle mogły się poruszać, krzyki i przekleństwa woźniców ginęły w paplaninie niezliczonych głosów i hałasie tworzonym przez zwierzęta. Słów wprawdzie nie sposób było wyróżnić, jednak dawała się podchwycić melodia akcentu. Rozwlekłej seanchańskiej mowy, przeciągającej samogłoski. Któryś z tamtych trącił sąsiada, pokazując mu Mata wystrojonego w jaskrawe ubranie. I choć gapili się właściwie na wszystko, jakby nigdy w życiu nie widzieli wcześniej sklepu wytwórcy noży, On jednak nie zdołał powstrzymać gniewnego parsknięcia i nasunął rondo kapelusza głębiej na oczy.

– Powrót – mruknął Thom, ale gdyby Mat nie stał tuż przy nim, nie usłyszałby. – Kiedy my gnuśnieliśmy w towarzystwie Luki, do miasta przybył *Corenne*.

Mat wcześniej wyobrażał sobie, że ten Powrót, nad którym Seanchanie nie przestawali się rozwodzić, jako coś w rodzaju inwazji, a w każdym razie przybycia armii. Powożący którymś z

wozów krzyczał i wymachiwał długim drzewcem bata na jakichś chłopców, którzy podkradli się do burty wozu, aby z bliska sprawdzić coś, co wyglądało niczym winorośle w drewnianych, wypełnionych ziemią donicach. Na innym wozie stała długa prasa drukarska, kolejny – zresztą ledwie mieszczący się w tunelu – wiózł kadzie do warzenia piwa i rozsiewał wokół siebie delikatną woń chmielu. Na wielu dostrzec można było klatki z dziwnie umaszczonymi kurami, kaczkami, gęsiami – wyraźnie nie był to drób na sprzedaż, lecz część żywego inwentarza farmera. Faktycznie była to prawdziwa armia, tyle że nie z rodzaju, jaki sobie wyobrażał. Takiej armii znacznie trudniej jednak stawiać czoła niż żołnierzom.

– Oczom własnym nie wierzę, będziemy się musieli przedzierać przez to wszystko! – z niesmakiem warknął Beslan, wspinając się na palce, żeby sięgnąć wzrokiem ponad głowami tłumu. – Kiedy i czy w ogóle wyjdziemy na wolną przestrzeń?

Do Mata dotarło wreszcie znaczenie widoku sprzed chwili, który oczy jego wprowadziły zarejestrowały, ale tylko machinalnie, nie widząc tak naprawdę. Zatoka była pełna statków. Pełna! Było ich, może i dwakroć, trzykroć więcej niż o pierwszym brzasku, gdy wyruszyli do obozu Luki, a spośród nich znaczna liczba wciąż manewrowała pod rozpiętymi żaglami. Skąd należało wnosić, że kolejne okręty czekają wciąż na wejście do przystani. Światłości! Jak wiele już od rana pozbyło się swego ładunku? Jak wiele czekało na rozładunek? Światłości, jak wielu ludzi może przewieźć taka flotylla? I dlaczego przybyli wszyscy tutaj, nie zaś do Tanchico? Poczł dreszcz przebiegający po plecach. A jeśli to nie wszyscy?

– Lepiej spróbujcie poszukać drogi przez boczne uliczki i zaułki – powiedział, unosząc głos, aby słycać go było w tej kakofonii – W przeciwnym razie nie dotrzecie do pałacu przez zmrok.

Beslan spojrzał nań spod zmarszczonych brwi.

– Nie wracasz z nami? Mat, jeśli ponownie spróbujesz dać łapówkę, żeby się dostać na pokład statku... Wiesz, że ona już ci raczej nie puści tego płazem.

Mat odpowiedział synowi królowej identycznym grymasem.

– Chciałem się tylko trochę przejść dookoła – skłamał. Gdy tylko wróci do pałacu, Tylin znowu zacznie go pieścić i przytulać. Ostatecznie nie byłoby to może takie złe, tak naprawdę – nie, wcale nie naprawdę – gdyby tylko ona bardziej przejmowała się, kto przygląda się, kiedy ona głaszcze go po policzkach i szepcze mu do ucha czułe słówka. Nie krępowała jej nawet obecność własnego syna. Poza tym, a co by się stało, gdyby kości w jego głowie stanęły akurat w chwili, gdy przed nią stanie? Dyspozycji Tylin ostatnimi czasy ledwie oddawało sprawiedliwość słowo „zaborcza”. Krew i popioły, ta kobieta mogła zdecydować, że go poślubi! A on nie chciał się żenić, przynajmniej jeszcze nie, poza tym wiedział z kim się ożeni, i na pewno wybranką nie miała być Tylin Quintara Mitsobar. Tylko co począć, jeśli ona zdecyduje inaczej?

Znienacka przypomniały mu się podsłuchane słowa Thoma o „ryzykownej sprawie”. Znał Thoma i znał Beslana. Olver tymczasem gapił się na Seanchan równie wytrzeszczonymi oczyma, jak oni chłonęli wszystkie otaczające ich widoki. Spróbował wymknąć się, aby spojrzeć z bliska, jednak Mat schwycił go za ramię i pchnął, już protestującego, w objęcia Thoma.

– Zabierz chłopaka do pałacu i zajmij go lekcjami, gdy już Riselle z nim skończy. I raz na zawsze zapomnij wszelkie szaleństwa, jakie mogłyby ci przyjść do głowy. Twoja głowa może w każdej chwili trafić na ten pokaz pod bramą, podobnie jak głowa Tylin. – I jego własna. Ani na chwilę nie należy o tym zapominać!

Tamci dwaj popatrzyli na niego spojrzeniami całkowicie wyzutymi z wyrazu, co tylko potwierdziło jego podejrzenia.

– Może powinienem się przespacerować z tobą – oznajmił w końcu Thom. – Moglibyśmy

porozmawiać. Dopisuje ci niewiarygodne szczęście, Mat, a poza tym posiadasz wrodzoną żyłkę... jakby to rzec... awanturniczą? – Beslan pokiwał głową. Olver wił się w uścisku Thoma, próbując nie tracić nawet na chwilę z oka tych wszystkich dziwnych ludzi i zupełnie nie dbając, o czym rozmawiają dorośli.

Mat jęknął z niesmakiem. Dlaczego wszyscy zawsze chcieli, by strugał bohatera? Wcześniej czy później przyjdzie mu przez to dać głowę.

– Nie mam ochoty o niczym rozmawiać. Oni już tu są, Beslan. Jeśli nie potrafiłeś ich powstrzymać przed przybyciem, a widać jak na dłoni, że nie potrafiłeś, tym bardziej nie uda ci się ich stąd wypędzić. Rand sobie z nimi poradzi, jeśli można wierzyć plotkom. – I znowu te roztańczone kolory zawirowały w jego głowie, wrażenie było tak silne, że na chwilę stłumiło turkot kości. – Złożyliście tę cholerną przysięgę wyczekiwania Powrotu, wszyscy ją złożyliśmy. – Odmowa oznaczała kajdany i przymusową pracę w dokach albo czyszczenie kanałów w Rahad. Co w jego oczach czyniło zresztą przysięgę całkowicie nieobowiązującą. – Poczekajmy na Randa. – Kolory rozbłysły raz jeszcze i zniknęły. Krew i popioły! Trzeba przestać myśleć o... O niektórych ludziach. I znowu zawirowały. – Wszystko może się jeszcze dobrze skończyć, jeśli poczekacie cierpliwie.

– Nie rozumiesz, Mat – zapalczywie zareagował Beslan. – Matka wciąż zasiada na tronie, a Suroth zapewnia ją, że będzie władać całą Altarą, a nie tylko tym jej skrawkiem, który rozciąga się wokół Ebou Dar, niewykluczone zresztą, że chodzi nawet o znacznie większe nabytki terytorialne. Wszystko co musi zrobić, to tylko zgiąć kark i złożyć hołd lenny jakiejś kobiecie na drugim brzegu Oceanu Aryth. Suroth twierdzi, że powinienem ożenić się z którąś z jej kobiet Krwi i zgolić skronie, a matka nadstawia ucha jej szeptom. Suroth może udawać, że są sobie równe, jednak kiedy ona coś powie, matka musi słuchać. Niezależnie od tego, Co Suroth oficjalnie głosi, Ebou Dar nie jest już nasze i reszta ziem również nie będzie. Być może nie uda nam się ich wypędzić siłą oręża, ale potrafimy podpalić pod ich stopami ten kraj. Białe Płaszczki już się o tym przekonały. Zapytaj ich, co znaczą słowa „Altarańskie Południe”.

Mat mógł sobie wyobrazić bez pytania. Ugryzł się w język, nie chcąc zauważyć, że w Ebou Dar było więcej seanchańskich żołnierzy niżli było wszystkich Białych Płaszczki w Altarze podczas Wojny Białego Płaszczka. Ulica pełna Seanchan nie była najlepszym miejscem na kłapanie ozorem, nawet jeśli tamci wydawali się głównie rolnikami i rzemieślnikami.

– Jak rozumiem, aż się palisz, by twa głowa trafiła na pikę – powiedział cicho. Zniżając głos tylko na tyle, by wciąż było go słychać w ludzkim gwarze, porykiwaniu bydła i gęganiu gęsi. – Wiesz o Słuchaczach. To może być tamten człowiek, który wygląda na stajennego, albo tamta chuda kobiecina z tobołkiem na grzbiecie.

Beslan popatrzył z takim ogniem na wskazaną przez Mata dwójkę, że gdyby tamci naprawdę byli Słuchaczami, z pewnością natychmiast by go zadenuncjowali.

– Może zaśpiewasz inaczej, gdy dotrą do Andoru – warknął i ruszył naprzód przez zbity tłum, odpychając wszystkich, którzy stali mu na drodze. Mat nie zdziwiłby się, gdyby zaraz miało dojść do bójki. Podejrzewał jednak, że Beslan tylko na to czekał.

Thom już chciał pójść za nim, jednak Mat schwycił go za rękaw.

– Postaraj się go trochę ostudzić, jeśli zdołasz, Thom. Do ciebie to się zresztą też odnosi. Pomyślałby kto, że w tym wieku nie masz jeszcze dość skakania na ślepo do nieznannej wody.

– Moja głowa jest chłodna i oczywiście staram się miarkować jego zapędy – sucho odparł Thom. – Po prostu nie potrafi usiedzieć beczynnym, to jest jego kraj. – Nieznacznym uśmiechem zagościł na jego pomarszczonej twarzy. – Mówisz o sobie, że nie będziesz ryzykował, ale przecież będziesz. A kiedy to nastąpi, zrobisz coś takiego, przy czym pomysły moje i Beslana wyglądać będą jak

wieczorna przechadzka po ogrodzie. Przy tobie nawet wytrawny skoczek jest ślepy. Chodźmy, chłopcze – powiedział, sadzając obie Olvera na ramieniu. – Riselle może nie zechcieć użyczyć ci swego łona, jeśli spóźnisz się na lekcję.

Mat patrzył spod zmarszczonych brwi, jak z Olverem na ramionach znacznie zręcznie przeciska się przez ciżbę niż niedawno Beslan. Co Thom chciał powiedzieć? Nigdy nie podejmował niepotrzebnego ryzyka, o ile go do tego nie zmuszono. Nigdy. Obrzucił zdawkowym spojrzeniem kościstą kobietę i mężczyznę z łajnem na butach. Światłości, to naprawdę mogli być Słuchacze. Każdy mógł być. Tej myśli wystarczyło, żeby poczuł mrowienie na plecach, jakby go obserwowano.

Krok za krokiem przebył nawet spory dystans po ulicach, bardziej jeszcze tłocznych ludźmi, wozami i zwierzętami w miarę zbliżania się do doków. Stragany na mostach ponad kanałami miały na głucho zaciągnięte żaluzje, ulicznicy handlarze zabrali swe koce, akrobaci i żonglerzy, którzy zazwyczaj zabawiali przechodniów na każdym skrzyżowaniu i tak nie mieliby miejsca dla swych popisów, choćby również nie zniknęli. Seanchan było dużo, za dużo wydawało się jak najbardziej właściwym określeniem, przynajmniej jeden na pięciu był żołnierzem – nawet jeśli nie miał na sobie zbroi, zdradzały to wyraźnie twarde spojrzenia, wyprostowane plecy, tak różne od postawy rolników czy rzemieślników. Tu i tam, w otoczce pustej przestrzeni, większej nawet niżli wymuszana przez żołnierzy, wędrowały ulicami grupki *sul'dam* i *damane*. Respektu nie dyktował strach, przynajmniej jeśli chodziło o Seanchan. Ci kłaniali się z szacunkiem kobietom z czerwonymi godłami błyskawic na niebieskich sukniach i uśmiechali się z aprobatą, gdy tamte ich mijały. Beslan najwyraźniej postradał rozum. Seanchan nie wyprze stąd nikt prócz armii z wsparciem Asha'manów, jak ta, która zgodnie z plotką walczyła z nimi tydzień temu na wschodnim wybrzeżu. Albo armii zbrojnej w sekrety Iluminatorów. Po cóż, na Światłość, Aludrze potrzebny mógł być ludwisarz?

Ze wszystkich sił starał się nie trafić w poblize doków. Przyswoił sobie nauczkę, jaką otrzymał. Tak naprawdę zależało mu tylko na i grze w kości, na grze, która przeciągnie się do późna w nocy. Najlepiej wystarczająco późno, żeby Tylin już spała, gdy wróci do pałacu. Odebrała mu jego kości, pod pozorem, że nie lubi, gdy oddaje się hazardowi, chociaż nastąpiło to dopiero po tym jak – wciąż jeszcze przykuty do łóżka – namówił ją na grę w fanty. Zresztą kości można było dostać wszędzie, a przy jego szczęściu i tak, lepiej było grać cudzymi. Z drugiej strony, w rozgrywce z Tylin popełnił jednak błąd. Kiedy zdał sobie sprawę, że ona nie ma zamiaru wykupić fantu, spełnieniem jego prośby, by pozwoliła mu odejść – udawała, że nie ma pojęcia o czym mowa! – wykorzystał wszystkie, aby uraczyć ją podobnym traktowaniem, jakie ona mu fundowała. W efekcie, kiedy fanty mu się już skończyły, była wobec niego dwakroć bardziej paskudna niż przedtem.

Tawerny i wspólne sale karczm, do których zaglądał były tak samo nabite jak ulice, ledwie starczało miejsca, by unieść kufel, a co dopiero mówić o grze w kości – Seanchanie śmiali się i śpiewali, a Eboudarianie z zaciętym wyrazem twarzy obserwowali ich w ponurym milczeniu. Mimo to wytrwale wypytywał karczmarzy i barmanów czy nie mają bodaj komórki do wynajęcia, ale wszyscy co do jednego przecząco kręcili głowami. Po prawdzie, to niczego innego nie oczekiwał. Nawet przed przybyciem ostatnich gości nie można było nic znaleźć. Niemniej czuł, jak powoli ogarnia go nastrój równie ponury, co zagranicznych kupców, wpatrujących się w swoje wino i zastanawiających się, jak bez koni wywieźć z miasta towary. Złota miał dość, by zapłacić cenę podyktowaną przez Lukę, a nawet więcej, jednak całe spoczywało w kufrze w Pałacu Tarasin, on zaś nie miał zamiaru próbować jednorazowo wynieść wystarczającej ilości – wciąż nie mógł zapomnieć przecież, jak służący pałacu nieśli go z doków przytroczonego do tyczki niczym myśliwskie trofeum. A przecież wówczas tylko rozmawiał z kapitanami, gdyby Tylin się dowiedziała, a dowiedziałyby się z pewnością, że próbował opuścić pałac z większą ilością złota niżli potrzeba na wieczorną

grę... O, nie! Musiał zdobyć pokój, choćby jakąś komórkę na strychu, bodaj rozmiarów niewielkiej garderoby, cokolwiek, gdzie mógłby przechowywać złoto przynieszone po troszeczkę, albo spróbować znaleźć grę. Innych możliwości nie było. Niezależnie od zazwyczaj dopisującego mu szczęścia, w końcu zrozumiał, że dziś może o obu zapomnieć. A te przekłete kości wciąż toczyły się, toczyły w głowie.

Nigdzie nie zagrzewał dłużej miejsca, powodem zresztą nie był tylko brak pokoju lub hazardu. Jego barwny ubiór, rzeczy, których zawstydziliby się Druciarz, nieodmiennie przyciągały spojrzenia. Seanchanie uznawali, że przyszedł tu po to, by ich zabawiać i próbowali kupić u niego piosenkę! Zresztą raz czy dwa omal nawet nie przystał na ich prośby, z pewnością jednak, gdyby go usłyszeli domagaliby się pieniędzy z powrotem. Mężczyźni z Ebou Dar natomiast, z długimi zakrzywionymi nożami zatkniętymi za pasy, kipiący gniewem, którego nie mogli wyładować na Seanchanach, najwyraźniej chcieli spróbować szczęścia z pajacem, któremu tylko wymalowanej twarzy brakowało, aby mógł uchodzić za błazna jakiegoś szlachcica. Gdy tylko tacy mierzyli go jednoznacznymi spojrzeniami, Mat natychmiast zniknął na zatłoczonej ulicy. W najbardziej bolesny sposób nauczył się, że nie jest jeszcze w zdołny do walki, a głowa jego ewentualnego zabójcy zdobiąca bramę miasta, stanowiłaby w takim wypadku doprawdy mizerną pociechę.

Odpoczywał gdzie tylko znalazł kawałek spokojnej przestrzeni: na pustej baryłce, porzuconej przy wejściu do bocznej uliczki, przy tych rzadkich okazjach, kiedy na ławce przed tawerną znalazł się skrawek miejsca dla jeszcze jednego, na kamiennym schodku, do czasu aż miotła właścicielki budynku nie strącała mu kapelusza z głowy. Czuł przeraźliwe ssanie w żołądku, powoli zaczynało mu się wydawać, że wszyscy gapią się na jego ubranie, mokry ziąb przejmował aż do kości, a jedyne kości, z jakimi miał do czynienia to te, które łomotały w jego głowie niczym końskie kopyta. Przedtem choć były głośnie, to chyba nie aż tak.

– Nie pozostaje nic innego, jak wrócić do pałacu i zamienić się w przekłętego pokojowego pieska królowej! – warknął, podpierając się pałką, by móc wstać z popękanej drewnianej skrzyni na skraju ulicy. Kilku przechodniów spojrzało nań w taki sposób, jakby naprawdę miał już wymalowaną błazeńską twarz. Zignorował ich. Nie byli godni jego uwagi. Nie będzie przecież tłukł ich, pałką po głowach, na co całkowicie zasługiwali, patrząc na człowieka w ten sposób.

Zdał sobie jednak sprawę, że tłumów na ulicach bynajmniej nie rozproszyła późna pora i jeśli będzie musiał się przepychać przez tę ciżbę do pałacu dotrze dobrze po zapadnięciu zmroku. Oczywiście, Tylin o tej porze może będzie już spała. Może. Zaburczało mu w brzuchu, prawie na tyle głośno, by zagłuszyć odgłos kości. Jeśli jednak spóźni się zbyt bardzo, niewykluczone, że kuchnia zostanie uprzedzona, aby nie wydawać mu jedzenia.

Dziesięć z trudem wywalczonych kroków przez tłuszczę i skręcił w boczną uliczkę, wąską i ciemną. Bruk się skończył. Biały gips pozbawionych okien ścian był popękany, w wielu miejscach odpadł odsłaniając cegłę. W powietrzu wisiał odrażający smród rozkładu, pozostawało tylko pocieszać się myślą, że to, co z młaśnięciami rozstępowało się pod jego stopami, to była glina, choćby nawet wstrętne cuchnąca. Żadnych ludzi. Wreszcie będzie można iść szybszym krokiem. Albo przynajmniej tempem, które w dzisiejszych warunkach za takie uchodziło. Nie mógł się już doczekać dnia, kiedy będzie w stanie przejść kilka mil bez bólu, zadyszki i konieczności wspierania się na kijach. Kręte alejki, częstokroć tak wąskie, że idąc nimi szorowało się po obu ścianach, przecinały miasto labiryntem, w którym łatwo było się zgubić, jeśli się nie znało drogi. Nigdy jednak nie skręcił w złą stronę, nawet kiedy wąskie, kręte przejście nagle rozgałęziało się na trzy, cztery drogi, wszystkie z pozoru wiodące w tym samym kierunku. Wcześniej wielokrotnie podczas pobytu w Ebou Dar znajdował się w potrzebie unikania ciekawskich oczu, znał te alejki jak własną dłoń. Co

dziwne, wciąż miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Czego jednak się spodziewać w tych przeklętych rzeczach.

Nawet gdyby musiał się przeciskać przez zbitą masę ludzi i zwierząt na ulicach dzielących od siebie kolejne alejki, a od czasu do czasu przepychać się przez któryś most, z pozoru wyglądający jak lity ludzki mur, to i tak dotrze do pałacu w czasie, w którym normalnie wędrując pokonałby najwyżej trzy kwartały. Przemknął szybko w ocienione przejście między jaskrawo oświetloną tawerną, a zamkniętym na głucho sklepem lakiernika, zastanawiając się jednocześnie, co też kucharz mógł ugotować. Alejka była bardziej przestronna od innych, spokojnie zmieściłaby obok siebie trójkę osób – pod warunkiem oczywiście, że darzyłyby się przyjaźnią – i uchodziła na Plac Mol Hara, niemalże tuż przed frontem Pałacu Tarasin. W nim znajdowała się kwatera główna Suroth, toteż i kucharze wychodzili z siebie od czasu, gdy po pierwszym posiłku wielu spotkała chłosta. Może będą ostrzygi z miodem, ryba na złoto albo kałamarnica z pieprzem. Po dziesięciu krokach w ciemności, jego noga trafiła na coś, co nie rozstało się z młasniciem pod stopą, z jękiem runął w marznące błoto, w ostatniej chwili przekręcając się, aby nie wylądować na kontuzjowanej nodze. Lodowata ciesz w jednej chwili przesiąkła przez kaftan. Pozostawało mieć nadzieję, że to tylko woda.

Jęknął znowu, poczuwszy uderzenie czyichś butów na ramionach. Tamten potknął się o niego i przeklinając, poślizgnął po glinie w głąb alejki. Jakoś jednak nie przewrócił się, jakoś złapał równowagę, podpierając się na jednym kolanie, dłonie zahaczył o ścianę tawerny. Oczy Mata były już przyzwyczajone do półmroku na tyle, by dojrzeć niewyraźną sylwetkę szczupłego mężczyzny. Człowieka z, jak się wydawało, wielką blizną na policzku. Nie człowieka. Istoty, którą wcześniej widział, jak gołą ręką rozerwała gardło jego przyjaciela, jak wyrwała ze swej piersi nóż i odrzuciła go w jego stronę. I stwór ten wylądowałby tuż przed nim, na sięgnięcie ręką, gdyby się wcześniej nie potknął. Może i tym razem na jego korzyść zadziałała zdolność *ta'veren* do odkształcania zdarzeń, jeśli tak, to dzięki Światłości! Wszystkie te myśli przeleciały mu przez głowę w czasie, jakiego *gholam* potrzebował, aby odzyskać równowagę i spojrzeć na niego pałającymi oczami.

Mat zaklął, porwał z ziemi swój kostur i niezgrabnie cisnął nim w stwora niby włócznią. Celował w nogi, chciał, żeby tamten się potknął, żeby tylko zyskać bodaj moment. Istota odsunęła się płynnie niczym woda, unikając drzewca, poślizgnęła lekko i w jednej chwili skoczyła na Mata. Ta drobna zwłoka starczyła. Gdy tylko Pałka wyleciała z jego dłoni, Mat sięgnął pod koszulę po medalion z lisim łbem, rozrywając skórzany rzemień. Kiedy *gholam* rzucił się na niego, rozpaczliwie zamachnął się srebrnym wisiosem. Metal, który wcześniej chłodnym dotykiem spoczywał na jego piersi, teraz musnął wyciągniętą dłoń, wydając odgłos przypiekanego na patelni bekonu i rozsiewając wokół woń spalonego mięsa. Giętki niczym płynna rtęć, stwór warknął, a potem spróbował uniknąć wirującego medalionu i sięgnąć Mata. Ten wiedział, że jeśli zamiar potwora się powiedzie, to równie dobrze mógłby być już martwy. Tym razem z pewnością nie będzie z nim igrał, jak ongiś w Rahad. Wciąż wymachując medalionem trafił lisim łbem najpierw w drugą dłoń, potem w twarz. Za każdym razem uderzeniu towarzyszył syk i woń spaleniźny, jakby w istocie bił rozpalonym żelazem. Wyszczerywszy zęby, *gholam* cofał się powoli, jednak wciąż pozostawał w półprzysiadzie, z wyciągniętymi pazurami, gotów zaatakować na najłżejszą oznakę słabości.

Ani na moment nie spowalniając wirującego medalionu, Mai niezgrabnie się podniósł, równocześnie obserwując stwora tak podobnego do człowieka. „On chce w równym stopniu twojej, co i jej śmierci”, powiedział mu naoczas w Rahad, uśmiechając się. Teraz milczał, nie uśmiechał się również. Mat nie miał pojęcia, kim miałyby być owa „ona”, jak i kim miałyby być „on”, jednak reszta była jasna jak słońce. Jasna była sytuacja, w której utkwiał, ledwie zresztą trzymając się na nogach. Noga, biodro i żebra rwały palącym bólem. Nie wspominając już ręki, na której wcześniej

wylądował *gholam*. Należy wycofać się na ulicę, z powrotem do ludzi. Może ich obecność zniechęci stwora. Słaba nadzieja, jednak jedyna, jaką przed sobą dostrzegał. Do ulicy nie było daleko. Słyszał paplaninę głosów, nieznacznie tylko przytłumioną przez dystans.

Dał ostrożny krok do tyłu. But poślizgnął się na czymś, co zionęło chmurą wstrętnej woni. Zmuszony był oprzeć się o ścianę. Tylko szaleńcze wymachy srebrnym łbem lisa trzymały *gholam* z daleka. Odgłosy ulicy były tak dręcząco bliskie. Ale równie dobrze ci co je wydawali mogli się znajdować w Barsine. Barsine dawno temu już znikło z powierzchni świata, a wkrótce i jego czeka ten sam los.

– Jest tam w alejce! – krzyknął męski głos. – Za mną! Szybko! Ucieknie!

Mat nie spuszczał oka z *gholam*. Wzrok stwora na moment sięgnął gdzieś za jego plecy, w stronę ulicy, tamten zawahał się.

– Rozkazano mi unikać zauważenia, wyjąwszy tylko tych, których skoszę – wysyczał, plując – a więc pożyjesz jeszcze chwilę. Krótką chwilę.

Odwrócił się i pognął w głąb alejki, ślizgając się odrobinę w błocie wciąż sprawiając wrażenie jakby raczej płynął w powietrzu. Wreszcie zniknął za rogiem tawerny.

Mat ruszył w pościg. Sam nie potrafił pojąć, dlaczego, poza tym, że tamten chciał go zabić, że spróbuje znowu, że zdjęła go wściekłość. A więc wydaje mu się, że tak od niechcenia go sobie zabije, co? Jeśli medalion potrafił okaleczyć *gholam*, może również zdoła go zabić.

Dotarł do rogu tawerny i zobaczył *gholam* w tej samej chwili, gdy tamten odwrócił się i zobaczył jego. I znowu zawahał się na moment. Tylne drzwi tawerny były na oścież otwarte, ze środka dobiegały odgłosy hucznej zabawy. Stwór wsunął dłonie w otwór po brakującej cegle na tylnej ścianie budynku naprzeciw tawerny, zaś Mat zamarł. Tamten najwyraźniej nie potrzebował żadnej broni, jeśli jednak jakąś tu ukrył... Nie sądził, by był w stanie stawić czoła tej istocie wyposażonej w dowolną broń. Za dłońmi poszły ręce, a potem i głowa *gholam* zniknęła w otworze. Mat poczuł, jak ze zdziwienia rozdziawia usta. Tymczasem piersi *gholam* prześlizgnęły się przez dziurę, nogi i już go nie było. Zniknął w szczelinie nie większej niż złożone dłonie Mata.

– Nie wydaje mi się, abym kiedykolwiek w życiu widział coś takiego – powiedział ktoś cicho za jego plecami, a Mat wzdrygnął się, zrozumiawszy, że nie jest już sam. Odwrócił się i zobaczył zgarbionego siwowłosego starca z wielkim haczykowatym nosem wystającym ze smutnego oblicza i tobołkiem przewieszonym przez plecy. Tamten chował właśnie bardzo długi sztylet do pochwy pod kaftanem.

– Ja widziałem – odparł Mat pozbawionym wyrazu głosem. – W Shadar Logoth. – Czasami fragmenty jego własnej pamięci o których sądził, że na zawsze je utracił, pojawiały się jakby znikąd. Ta scena przypominała mu się, gdy obserwował *gholam*. Ale było to akurat wspomnienie, które chętnie zostawiłby w mrokach niepamięci.

– Niewielu przeżyło wizytę w tym miejscu – skomentował starzec, przyglądając mu się. Jego pomarszczona twarz sprawiała poniekąd znajome wrażenie, Mat jednak nie potrafił jej rozpoznać. – Cóż to zawiodło cię do Shadar Logoth?

– Gdzie są twoi przyjaciele? – zapytał Mat. – Ludzie, których nawoływałeś? – W alejce byli tylko oni dwaj. Odgłosy dobiegające z ulicy nie zmieniły się, najwyraźniej do niczych uszu nie trafiły ostrzeżenia, że ktoś ucieknie, jeśli się nie pospieszą.

Stary wzruszył ramionami.

– Nie sądzę, by ktokolwiek z tamtych zrozumiał, co krzyczałem. Ich samych dostatecznie trudno jest zrozumieć. Tak czy siak pomyślałem sobie, że ten się wystraszy. Ale widząc to... – Gestem wskazał otwór w ścianie, a potem zaśmiał się niewesoło, ukazując szczyrby w uzębieniu. – Myślę

sobie, że i tobie i mnie dopisało szczęście Czarnego.

Mat skrzywił się. Zbyt często zdarzało mu się słyszeć to określenie wygłaszane pod jego adresem, a bynajmniej za nim nie przepadał. Być może dlatego, że nie był pewien, czy nie jest czasem literalnie prawdziwe.

– Może rzeczywiście – mruknął. – Wybacz proszę, powinienem się przedstawić człowiekowi, który ocalił moją skórę. Jestem Mat Cauthon. A ty od niedawna w Ebou Dar? – Tobołek na plecach nadawał tamtemu wygląd człowieka w drodze. – Niełatwo przyjdzie ci znaleźć miejsce do spania. – Ujął wyciągniętą guzowatą dłoń tamtego. Cała była powykrzywiana, jakby równocześnie połamano w niej wszystkie kości, a potem źle się zrosła. Uścisk jednak był mocny.

– Jestem Noal Charin, Macie Cauthon. Nie, przebywam tu już od pewnego czasu. Ale mój siennik na strychu „Pod Żłotymi Kaczkami” zajmuje aktualnie gruby illiański kupiec oliwny, który dzisiejszego ranka został eksmitowany ze swego pokoju, robiąc miejsce seanchańskiemu oficerowi. Przyszło mi do głowy, że dzisiejszą noc spędzę może w jakiejś bocznej uliczce. – Zakrzywionym węzlastym paluchem potarł grzbiet nosa i zachichotał, jakby noc w takim miejscu był czymś zupełnie normalnym. – Nie była to pierwsza noc spędzona w niewybrednych warunkach, nawet w mieście.

– Sądzę, że mogę ci zaproponować coś lepszego – poinformował go Mat, ale reszta zamierzonych słów zamarła mu na ustach. Zrozumiał, że kości wciąż toczą się w jego głowie. Udało mu się nich zapomnieć podczas walki z *gholam*, one jednak dalej podskakiwały, wciąż nie chciały się zatrzymać. Jeśli stanowiły ostrzeżenie przed czymś znacznie gorszym niż *gholam*, to naprawdę nie chciał wiedzieć, co to będzie. Tyle tylko, że w końcu się dowie. Co do tego nie było wątpliwości. Dowie się, kiedy będzie już za późno.



# RÓŻOWE WSTAŻKI

Kiedy Mat w towarzystwie Noala wyszedł szybkim krokiem z alejki, chłodny wiatr hulający po Mol Hara szarpnął poły jego płaszcza i zmroził błoto oblepiające rzeczy. Tarcza słońca przycupnęła na dachu domu na poły skryta za kominem, rzucając długie cienie. Ponieważ jedną rękę miał zajęętą kosturem, a w drugiej ścisnął przerwany rzemyk medalionu z lisim łbem, wetknięty w kieszeń kaftana, skąd natychmiast można go było dobyć, to nie miał jak poradzić sobie z płaszczem. Bolało go całe ciało, od czubka głowy aż do pięt, pod czaszką kości grzechotały na alarm, ale ledwie zwracał na to wszystko uwagę. Zbyt pochłonięty był rozglądaniem się na wszystkie strony i roztrząsaniem, jak też tamten stwór mógł zmieścić się w tak małej dziurze. Wreszcie przyłapał się na tym, że podejrzliwie mierzy wzrokiem szczeliny między kamieniami bruku na placu. Choć nadzwyczaj mało prawdopodobne było, że tamten zaatakuje go na otwartej przestrzeni.

Z otaczających ulic dobiegało brzęczenie ludzkiego mrowia, tutaj jednak było pusto – tylko chudy pies o sterczących żebrach przebiegł obok fontanny zwieńczonej posągami historycznej królowej Nariene. Jej uniesiona dłoń, wskazująca ocean, zdaniem jednych zapowiadała morskie bogactwa, którym Ebou Dar zawdzięczało swoją pomyślność, zdaniem innych wskazywała grożące niebezpieczeństwo. Jeszcze inni powiadali, że to następca chciał zwrócić uwagę na jej dwuznaczną raczej uczciwość, symbolicznie przedstawiając ją z jedną tylko odsłoniętą piersią.

O tej porze dnia, nawet zimą, na Mol Hara powinny licznie przebywać pary spacerujących kochanków i pełnych optymizmu żebraków, jednak Seanchanie natychmiast po przybyciu zgarnęli tych drugich z ulic i zapędzili do pracy, a kochankowie trzymali się z daleka nawet za dnia. Powodem był fakt, że wielki masyw białych kopuł, marmurowych iglic i kutych balkonów Pałacu Tarasin stanowił rezydencję Tylin Quintara Mitsobar z Łaski Światłości Królowej Altary – albo przynajmniej tej części Altary, która rozciągała się na kilka dni drogi wierzchem od Ebou Dar – Pani Czterech Wiatrów i Strażniczki Morza Sztormów. Zapewne jeszcze ważniejszy był fakt, że stanowił on rezydencję Szlachetnej Lady Suoth Sabelle Meldarath, głównodowodzącej Zwiastunami Imperatorowej Seanchan, oby żyła wiecznie. W zaistniałych okolicznościach pozycja tej drugiej w Ebou Dar zdecydowanie górowała nad pierwszą. Każdego wejścia do pałacu strzegli gwardziści Tylin w zielonych butach, workowatych białych spodniach i pozłacanych napierśnikach na zielonych kaftanach oraz mężczyźni i kobiety w owadzich hełmach, w zbrojach pokrytych pasami o barwach błękitu i żółci, zieleni i bieli czy też wszelkich innych możliwych do wyobrażenia kombinacji. Królowej Altary potrzebne było bezpieczeństwo i cisza dla zapewnienia spokoju wypoczynku. Czy też może tak właśnie zarządziła lady Suroth, a jeśli Suroth twierdziła, że Tylin czegoś chce, wkrótce ta dochodziła do wniosku, że tak, tego właśnie chce.

Po chwili zastanowienia Mat powiódł Noala do jednej z bram prowadzących na podwórze stajni. Tamtędy znacznie łatwiej było przemycić do środka obcego niżli po szerokich marmurowych schodach, wiodących na plac. Nie wspominając już, że dzięki temu będzie miał znacznie większe szanse na doprowadzenie ubrania do porządku, nim przyjdzie mu stanąć przed Tylin. Ostatnim razem, kiedy po bójce w tawernie wrócił w stanie mocno niedbałym, królowa wyraźnie dała wyraz swemu niezadowoleniu.

Garstka zbrojnych w halabardy gwardzistów z Ebou Dar stała po jednej stronie otwartych wrót, identyczni liczebnością zbrojni w ozdobione kutasami włócznie Seanchanie okupowali przestrzeń przy ich drugim skrzydle. Wszyscy trwali wyprężeni i sztywni niczym posąg Nariene.

– Łaska Światłości wszystkim tu zgromadzonym – pozdrowił grzecznie Mat eboudariańskich gwardzistów. Zawsze lepiej być przesadnie nawet grzecznym wobec mieszkańców tego miasta, przynajmniej dopóki się ich nie pozna bliżej. Zresztą nawet i potem. Mimo że ostatecznie byli znacznie bardziej... elastyczni... niż Seanchanie.

– I tobie, mój panie – odparł krępy oficer, dając kilka kroków naprzód. I wtedy Mat rozpoznał w nim Surlivana Sarata, jak na bardziej przyzwoitego człowieka, o ciętym dowcipie i znakomitym oku do koni. Kręcąc głową, Surlivan postukał w swój szpiczasty, hełm cienką, połączoną laseczką, stanowiącą symbol pełnionej funkcji. – Kolejna walka, mój panie? Na twój widok ona tryśnie przekleństwami niczym fontanna.

Mat spróbował w mniej widoczny sposób wesprzeć się na pałce i wyprostować ramiona. Równocześnie zdenerwowała go uwaga Surlivana. Cięty dowcip? Jeśli się nad tym zastanowić, tamten miał język niczym nie wyprawiona skóra. A okiem do koni również aż tak znakomitym wcale się nie mógł poszczycić.

– Komuś się nie spodoba, jeśli mój przyjaciel spędzi noc z moimi ludźmi? – zapytał szorstko Mat. – Ja nie widzę powodów, w kwaterach jest dość miejsca dla jeszcze jednego. – Po prawdzie to nie tylko dla jednego znalazłoby się miejsce. Od czasu przybycia do Ebou Dar stracił już ośmiu ludzi.

– Ja nie będę miał nic przeciwko, mój panie – odparł Surlivan, równocześnie mierząc wzrokiem wychudzonego człowieka stojącego u boku Mata i zaciskając rozważnie usta. W mętnym świetle kaftan Noala wydawał się dobrej jakości, nadto można było zauważyć zdobiące go koronki, w każdym razie i tak tamten wyglądał lepiej niż Mat. Być może to przesądziło sprawę. – A ponieważ ona nie musi o wszystkim wiedzieć, a więc również z pewnością nie zgłosi zastrzeżeń.

Mat zmarszczył czoło, nim jednak z jego ust dobyły się nierozważne słowa, przez które z pewnością ściągnąłby burzę na głowę swoją i Noala, pod bramę przygalopowali trzej Seanchanie i Surlivan odwrócił się do nich.

– Wraz z szanowną małżonką mieszkasz w Pałacu Królowej? – zapytał Noal, ruszając przez bramę.

Mat schwycił go za ramię.

– Poczekajmy, aż przejadą – powiedział, ruchem głowy wskazując jeźdźców. Jego szanowna małżonka? Przeklęte kobiety! Przeklęte kości w jego przeklętej głowie!

– pilne wieści dla Szlachetnej Lady Suroth – zaanonsował jeden z Seanchan, klepiąc równocześnie skórę kurierskiej torby, zawieszanej przez okryte zbroją ramię. Na jego hełmie widać było pojedyncze cienkie pióro, co czyniło zeń niskiego rangą oficera jednak posiadał wysokiego wałacha, który sprawiał wrażenie naprawdę szybkiego. Pozostałe dwa konie sprawiały również niezłe wrażenie, ale nie mogły się równać z tamtym.

– Wjedźcie z błogosławieństwem Światłości – powiedział Surlivan, kłaniając się nieznacznie.

Uklon jakim z siodła zrewanżowała się oficer Seanchan – ponieważ po chwili okazało się, że to kobieta – stanowił lustrzane odbicie gestu Surlivana.

– Błogosławieństwo Światłości i dla was – powiedziała z rozwlekłym akcentem i kopyta trzech koni zastukały po dziedzińcu stajni.

– Bardzo dziwne – zadumał się Surlivan, spoglądając w ślad za nimi. – Zawsze to nas proszą o pozwolenie na wjazd, nigdy nie pytają swoich. – Machnął laseczką w kierunku seanchańskich gwardzistów, stojących po drugiej stronie bramy. Mat nie zauważył, by bodaj przestąpili z nogi na nogę albo zerknęli w kierunku kurierów.

– A jakby zareagowali, gdybyś zabronił im wjazdu? – zapytał cicho Noal, poprawiając tobolek na plecach.

Surlivan odwrócił się na pięcie.

– Dość, że złożyłem przysięgę mej królowej – odparł głosem wyzutym z wyrazu – a ona złożyła przysięgę... temu, komu złożyła. Zaprowadź swego przyjaciela do miejsca, gdzie będzie mógł się przespać, mój panie. I ostrzeż go, że w Ebou Dar są rzeczy, które lepiej pozostawić niewypowiedziane i pytania, których lepiej nie zadawać.

Noal wyglądał na zmieszanego i zaczął protestować, że naprawię zwyczajnie był ciekaw, ale Mat wymienił tylko dalsze błogosławieństwa i grzeczności z altarańskim oficerem – tak pospieszne, jak pozwalało poczucie przyzwoitości – i powiódł swego nowego znajomego przez bramę, przyciszonym głosem wyjaśniając mu kwestie dotyczące Słuchaczy. To tylko, że tamten ocalił go przed *gholam*, nie stanowiło dostatecznego powodu, by pozwolić mu wydać się w ręce Seanchan. Wśród seanchańskich formacji byli ludzie zwani Poszukiwaczami, a z tych nielicznych plotek na ich temat jakie udało mu się usłyszeć – nawet ci, którzy ze swadą potrafili rozprawiać na temat Straży Skazańców, nabierali wody w usta, gdy bodaj wzmiankowano Poszukiwaczy – z tych pojedynczych wzmianek wnosił, że przy Poszukiwaczach Śledczy Białych Płaszczy byli niczym chłopcy obrywający muchom skrzydełka, co było czynnością wprawdzie dość paskudną, jednak nie spędzało snu z powiek dorosłemu mężczyźnie.

– Rozumiem – powoli przytaknął tamten. – Nie wiedziałem. – Sprawiał wrażenie, jakby ta niewiedza zdenerwowała go. – Z pewnością spędzasz sporo czasu w towarzystwie Seanchan. Znasz może więc samą Szlachetną Lady Suroth? Muszę przyznać, że nie podejrzewałem, iż posiadasz takie koneksje.

– Kiedy tylko mogę spędzam czas z żołnierzami w tawernach. – kwaśno odparł Mat. Przynajmniej gdy Tylin na to pozwalała. Światłości, równie dobrze mogłby faktycznie być żonaty! – Suroth nie ma pojęcia, że w ogóle istnieję. – I żywił gorącą nadzieję, że ten stan rzeczy nie ulegnie zmianie.

Trójki konnych Seanchan nie było już nigdzie w zasięgu wzroku, ich zwierzęta z pewnością odprowadzono do stajni, tylko dobrych kilka dziesiątek *sul'dam* odprawiało ze swoimi *damane* ich porcję wieczornych ćwiczeń, wędrując wielkim kręgiem po obwodzie brukowanego dziedzińca. Prawie połowę odzianych na szaro *damane* stanowiły kobiety o smągłej cerze, pozbawione jednak biżuterii, którą jeszcze niedawno nosiły jako Poszukiwaczki Wiatrów. Ich widok nie był niczym niezwykłym w pałacu i okolicy – Seanchanie zebrali bogate żniwa z pokładów okrętów Ludu Morza, którym nie udało się na czas opuścić portu. Na twarzach zastygła ponura rezygnacja albo grymas odrętwienia, tylko siedem czy osiem patrzyło wprost przed siebie, wzrokiem zagubionym i zmieszonym, wciąż nie wierząc. Obok każdej z nich blisko szła pochodząca z Seanchan *damane*, trzymając za rękę albo otaczając ramieniem, uśmiechając się lub coś szepcząc pod pełnymi aprobaty spojrzzeniami kobiet ze srebrnymi bransoletami przytroczonymi do srebrnych obroży, obejmujących ich szyje. Parę spośród tych oszołomionych kobiet wpijało się w idące obok *damane*, jakby ścisnęły koła ratunkowe. Nawet gdyby nie przemarznięta odzież, już samego tego widoku starczyłoby, aby Mata przeszył dreszcz.

Próbował jak najszybciej pokonać dziedziniec, ale miarowy ruch po okręgu koła sprawił, że obok niego znalazła się kobieta, która nie była ani z Seanchan, ani z Atha'an Miere, związana z pulchną siwiejącą *sul'dam* o oliwkowej skórze, swobodnie mogącą uchodzić za Altarankę, nie wspominając już o tym, że przede wszystkim roztaczała wokół siebie macierzyńską atmosferę. Jasne, że wnioskuje ze sposobu w jaki odnosiła się do swej podopiecznej, musiało chodzić o matkę surową z dzieckiem najprawdopodobniej krnąbrnym. Teslyn Baradon przytyła nieco po półtora miesiąca seanchańskiej niewoli, jednak wyraz jej pozbawionej śladów wieku twarzy wciąż nasuwał

podejrzenia, że trzy razy dziennie odżywia się kolczastymi pnączami. Z drugiej strony, spokojnie szła na smyczy i posłusznie stosowała się do półgłosem wypowiedzianych komend *sul'dam*. A przystanąła tylko na moment, by skłonić się głęboko przed nim i Noalem. Zanim jednak wraz ze swoją *sul'dam* podjęła marsz wokół podwórza stajni, na mgnienie w jej oczach rozbłysła wyraźnie adresowana do niego nienawiść. A potem już nic, tylko spokój i posłuszeństwo. Mat widział już wcześniej na tym samym dziedzińcu *damane* zgięte w pół i wyjące pod różgą za byle przewinienie. Teslyn była wśród nich. Niewiele zaznał od niej dobrego, prawdopodobnie raczej działała na jego niekorzyść, lecz nigdy nie życzyłby jej takiego losu.

– Lepsze to niż śmierć, jak sądzę – mruknął, ruszając dalej. Teslyn była twardą kobietą, bez wątpienia każdą wolną chwilę spędzała na układaniu planów ucieczki, ale być twardym to jeszcze nie wszystko. Pani Okrętów i jej Mistrz Mieczy umarli na palu bez jednego jęku, ale to ich przecież nie ocaliło.

– Naprawdę tak sądzisz? – nieobecny tonem zapytał Noal, znów niezgrabnie szamocząc się z tobołkiem. Połamane dłonie z nożem radziły sobie dostatecznie zręcznie, gdy jednak przychodziło do innych czynności, okazywały się rozpaczliwie niezgrabne.

Mat spojrział spod zmarszczonych brwi. Nie, wcale nie był pewien, czy tak sądzi. Te srebrne *a'dam* zbyt bardzo kojarzyły z niewidzialną smyczą, na której wodziła go Tylin. Ale z drugiej strony, przez resztę życia pozwoliłby Tylin drapać się pod brodą, gdyby alternatywą miał być pał. Światłości, niech te kości w jego głowie wreszcie staną i niech się to wszystko skończy! Nie, to było kłamstwo. Od kiedy wreszcie rozumiał, co symbolizują, nigdy tak naprawdę nie chciał, by stanęły.

Pomieszczenie, które Chel Vanin dzielił z resztą ocalałych Czerwonorekich znajdowało się stosunkowo niedaleko stajni; wewnątrz gipsowane na biało ściany, niski sufit i łóżka zbyt liczne dla jeszcze żywych. Na jednym z nich spoczywał bez kaftana Vanin, niczym łysiejąca góra tłuszczu, na piersiach oparł otwartą książkę. Mat poczuł zaskoczenie na samą myśl, że tamten w ogóle umie czytać. Vanin tymczasem splunął przez szczerbę w zębach i zmierzył spojrzeniem usmarowany błotem ubiór Mata.

– Znowu się biłeś? – zapytał. – Założę się, że jej się to nic spodoba. – Nie wstał. Wyjawszy nieliczne zaskakujące przypadki. Vanin uważał się za równie dobrego, co dowolny lord lub lady.

– Kłopoty, lordzie Mat? – warknął Harnan, zeskakując z łóżka. To był solidny człowiek, zarówno z budowy fizycznej jak usposobienia, teraz jednak jego mocne szczęki rytmicznie się zaciskały, wprawiając w ruch jastrzębia prymitywnie wytatuowanego na policzku. – Wybacz, ale nie jesteś w odpowiednim stanie na takie rzeczy. Powiedz nam jak on wyglądał, a sami się nim zajmiemy.

Pozostała trójka zebrała się za jego plecami, na twarzach odmalowało się nagłe ożywienie, dwóch już chwyciło kaftany, wciąż jeszcze upychając koszule w spodnie. Metwyn natomiast, Cairhienianin o chłopięcym wyglądzie, który był dziesięć lat starszy od Mata, od razu porwał miecz stojący w nogach łóżka i wysunął fragment klingi, sprawdzając ostrze. Najlepszy z nich wszystkich szermierz, był naprawdę dobry, chociaż Gorderan – mimo wyglądał na kowala – niewiele mu ustępował. Gorderan nawet w połowie nie był tak ociążały, jak zdawały się sugerować jego szerokie barki. Dwunastu Czerwonorekich udało się za Matem Cauthonem do Ebu Dar, ośmiu z nich nie żyło, a pozostali uwięzili w pałacu, gdzie nie podszczypywać pokojówek, wdawać się w bójki przy kościach i pić, póki nie padli, jakby mogli w karczmie; wiedząc, że karczmarz zadba, by trafili do łóżek, choć może z sakiewkami nieco lżejszymi niż wcześniej.

– Ten tu Noal znacznie lepiej opowie wam co się stało, niż ja bym potrafił – odparł Mat, nasuwając z powrotem kapelusz na głowę – Będzie spał tu z wami. Ocalił mi dziś życie.

Te słowa wywołały okrzyki zdumienia faktem i aprobaty dla czynu Noala, nie wspominając już o przyjacielskim poklepywaniu, od którego stary omal się nie przewrócił. Vanin posunął się nawet do tego, że założył grubym paluchem miejsce w książce i usiadł na krawędzi cienkiego materaca.

Noal położył swój tobołek na jednym z nie zajętych łóżek, a potem przedstawił całą historię, pomagając sobie wyszukaną gestykulacją, dramatycznie odgrywając swoją rolę, a nawet z siebie czyniąc rodzaj błazna, bowiem w jego opowieści to on poślizgnął się w błocie i gapił na *gholam*, podczas gdy Mat walczył jak mistrz. Noal okazał się urodzonym bajarzem, potrafił przybliżyć słuchaczom opisywane sytuacje z talentem prawdziwego barda. Harnan i pozostali Czerwonoręcy śmiali się serdecznie, wiedząc o co tamtemu chodzi, gdy wszystkie zasługi przypisywał ich dowódcy i oczywiście aprobując tę retorykę, jednak śmiech zamarł, gdy opowiadający doszedł do tego, jak napastnik wyślizgnął się przez niewielki otwór w ścianie. Tę scenę również przedstawił nadzwyczaj plastycznie. Vanin odłożył książkę i ponownie splunął przez zęby. Poprzednim razem w Rahad po ataku *gholam* Vanin i Harnan ledwie uszli z życiem. I tylko dlatego, że tamten ścigał inną ofiarę.

– Wychodzi na to, że z jakiegoś powodu ten stwór chce mnie dopaść – powiedział lekko Mat, kiedy starzec skończył i osunął się na swoje łóżko, najwyraźniej wyczerpany. – Pewnie musiałem kiedyś grać z nim w kości. Żaden z was nie musi się przejmować, póki nie nabierze ochoty stanąć między nim a mną. – Wyszczrzył zęby, chcąc wszystko obrócić wżart, ale nikt nawet się nie uśmiechnął. – W każdym razie rankiem rozdzielę między was złoto. Wynajmiecie miejsce na pierwszym statku odpływającym do Illian i weźmiecie Olvera ze sobą. Thoma i Julina również, jeżeli zechcą odpłynąć. – Niewykluczone, że łowca złodziei się zdecyduje. – Oczywiście Nerima i Lopina również. – Przywykł już do tego, że opiekuje się nim dwu służących, jednak tutaj właściwie ich nie potrzebował. – Talmanes musi być obecnie już gdzieś pod Caemlyn. Nie powinniście mieć kłopotów z jego odnalezieniem. – Kiedy odpłyną zostanie sam na sam z Tylin. Światłości, lepiej już chyba znowu stawić czoła *gholam*!

Harnan wymienił spojrzenia z pozostałymi trzema Czerwonorękami, Fergin zaś podrapał się po głowie, jakby nie potrafił do końca pojąć. I być może tak było. Kościsty mężczyzna był dobrym żołnierzem – nie znakomitym, ale całkiem niezłym – jednak gdy w grę wchodziły inne sprawy, nie popisywał się szczególną lotnością.

– To nie byłoby w porządku – rzekł na koniec Haman. – Przede wszystkim, lord Talmanes obedrze nas ze skóry, jeśli wrócimy bez ciebie. – Pozostali trzej pokiwali głowami. Najwyraźniej tyle Fergin potrafił zrozumieć.

– Co ty myślisz, Vanin? – zapytał Mat.

Grubas wzruszył ramionami.

– Odbiorę chłopaka Riselle, a kiedy zasnę, pierwsze co zrobi, to wypatroszy mnie jak pstrąga. Sam bym nie postąpił inaczej na jego miejscu. Poza tym, tutaj mam czas na czytanie. Gdy robiłem jako kowal, nie miałem szans, by wziąć książkę do ręki. – Takie było jedno z rzekomych wędrownych rzemiosł, do których uprawiania się przyznawał. Drugim był fach stajennego. Naprawdę zaś był koniokradem i kłusownikiem, najlepszym w granicach dwóch krajów, a może i poza nimi.

– Wszyscyście poszaleli – oznajmił Mat, marszcząc czoło – Tylko dlatego, że mnie ściga, nie znaczy, że was nie zabije, jeżeli staniecie mu na drodze. W każdym razie propozycja pozostaje aktualna. Każdy kto się opamięta, może odpłynąć.

– Widywałem już wcześniej takich jak ty – zniechęca odezwał się Noal. Zgarbiony starzec, jakim się zdawał, stanowił wizerunek trudów wieku i wyczerpania, jednak wpatrzone w Mata oczy były jasne i bystre. – Niektórzy ludzie roztaczają wokół siebie aurę, która każe innym iść za nimi, niezależnie od tego, co się zdarzy. Jedni wiedzą w ten sposób na zatrąbę, inni ku chwale.

Przypuszczam że imię twoje może jeszcze trafić do ksiąg historyków.

Harnan popatrzył wzrokiem równie zmieszanym co Fergin. Vanin splunął, Położył się znowu i wrócił do lektury.

– Może kiedy ze szczętem opuści mnie szczęście – mruknął Mat. Wiedział, czym płaci się za miejsce w historii. Podczas takich zabaw można stracić życie.

– Lepiej się doprowadź do porządku, zanim ona cię zobaczy – zagadnął zniecka Fergin. – Z pewnością od całej tej gliny dostanie zadr pod siodłem.

Mat gniewnym ruchem zerwał kapelusz z głowy i bez słowa wyszedł na zewnątrz. No, przynajmniej wykuśtykał najlepiej, jak potrafił, podpierając się kosturem. Zanim drzwi zamknęły się za nim, zdążył jeszcze usłyszeć, że Noal zaczyna opowieść o tym, jak to pewnego razu płynął na statku Ludu Morza i nauczył się kąpać w słonej wodzie. Przynajmniej tak się opowieść zaczynała.

Zamierzał doprowadzić się do porządku przed spotkaniem z Tylin – naprawdę tak początkowo zamierzał – jednak ostatecznie zamiar ten jakoś rozwiął się w jego głowie. Kiedy kuśtykał przez korytarze obwieszane arrasami, które Eboudarianie nazywali letnimi gobelinami – dla pory roku, którą przywoływały ich wzory – z ust czterech służących w zielono-białej liberii pałacu i co najmniej siedmiu pokojówek usłyszał pytanie, czy może nie zechciałby wykapać się i przebrać się, zanim stanie przed królową; każde z tych jedenaściorga równocześnie proponowało łaźnię i zmianę garderoby w całkowitym przed nią sekrecie. Nie wiedzieli wszystkiego o nim i Tylin, dzięki Światłości – o najgorszych rzeczach wiedziała tylko Tylin, no i on – ale wiedzieli zbyt, cholera, wiele. Co gorsze, najwyraźniej to aprobowali, całą sytuację z pozoru wszyscy w całym przeklętym Pałacu Tarasin uważali za zupełnie normalną. Po pierwsze, w ich oczach Tylin była przede wszystkim ich królową, toteż mogła postępować, jak jej się żywnie podobało. Po drugie, od podboju Seanchan jej temperament stał się co najmniej wybuchowy, skoro więc wyszorowany i wystrojony w koronki Mat Cauthon mógł przyczynić się nieco do jego złagodzenia, a tym samym sprawić, że nie będą mieli ucieranego nosa za każde głupstwo, wobec tego należało natychmiast wykrobać go za uszami i opakować w koronki niczym podarunek na Niedzielę.

– Błoto? – zdziwił się, adresując swe pytanie do uśmiechającej tej pokojówki rozpościerającej przed nim suknie w ukłonie. W jej ciemnych oczach tańczyły iskierki, a głęboko wycięty dekollet stanika odkrywał piersi w sposób jeszcze bardziej śmiały niż u Riselle. Innym razem mógłby nawet przystanąć na moment, by w pełni nacieszyć się tym widokiem. – Jakie błoto? Nie widzę nigdzie żadnego błota! – Z rozdziawionymi ustami zamarła tak, że nawet, nie podniosła się z ukłonu, kiedy pokuśtykał dalej i tylko patrzyła za nim.

Już po chwili omal nie zderzył się z Juilinem Sandarem, który szybkim krokiem wyszedł z za rogu. Taireński łowca złodziei odskoczył, z tłumionym przekleństwem, a jego smągła twarz poszarzała, nim zorientował się z kim ma do czynienia. Potem wymruczał przeprosiny i natychmiast chciał pójść dalej.

– Czy Thom może wciągnął cię w te swoje głupoty, Juilin? – zapytał Mat. Juilin dzielił z Thomem kwaterę w głębi części pałacu przeznaczonej dla służby, toteż nie miał żadnego powodu przebywać tutaj. W ciemnym taireńskim kaftanie, którego poły skrywały szczyty wysokich butów, z grona służby wyróżniałby się niczym kaczką w kurzym kojcu. A Suroth przestrzegająca tych spraw znacznie bardziej rygorystycznie niż Tylin. Tak więc Mat przyjął, że jedyną przyczyną jaka mogła zagnać go tutaj, były te knowania, w które wdali się Thom i Beslan. – Nie, nie chcę nic o tym wiedzieć. Przedstawiłem Harnanowi i pozostałym pewną propozycję, ty również możesz z niej skorzystać. Jeśli chcesz opuścić miasto, dam ci pieniądze na wyjazd.

Po prawdzie, to Juilin bynajmniej nie wyglądał jakby się szczególnie palił, by mu cokolwiek

powiedzieć. Łowca złodziei zatknął kciuki za pas i spojrział w oczy Mata całkowicie pozbawionym wyrazu wzrokiem.

– I co na to Harnan oraz pozostali? Poza tym, ciekawi mnie jaką też działalność Thoma uważasz niby za głupoty? Po tych dachach tutaj z pewnością porusza się zręczniejsz niż ty czyja.

– *Gholam* wciąż jest w Ebou Dar, Juilin. – Thom doskonale zdawał sobie sprawę, że Gra Domów jest rzeczą, na której się zna i uwielbiał wtykać nos do polityki. – Dziś wieczorem próbował mnie zabić.

Juilin jęknął, jakby właśnie otrzymał cios w splot słoneczny nerwowo przeczesał dłonią krótkie czarne włosy.

– Mam powody, by przez czas jakichś jeszcze zostać w mieście – powiedział – nawet w tych okolicznościach.

Sprawa teraz nieco inne wrażenie niż przed momentem, jakby bardziej pełne uporą, bardziej defensywne i zaprawione odrobiną poczucia winy. Jak Mat sięgał pamięcią, nigdy nie widział u niego tak rozbieganych oczu, jednak kiedy mężczyzna zachowuje się w ten sposób, powód może być tylko jeden.

– Zabierz ją ze sobą – doradził Mat. – A jeśli nie zechce pojechać, cóż, kiedy dotrzesz do Łzy nie minie godzina, a na każdym kolanie będziesz miał kobietę. Z nimi tak to jest, Juilin. Na każdą, która powie „nie”, znajdzie się taka, która powie „tak”.

Służący z naręczem ręczników, mijający ich w pośpiechu, z najwyższym zdumieniem odebrał stan odzieży Mata, jednak Juilin uznał, że tamten gapi się na niego, toteż natychmiast wyciągnął kciuki zza pasa i próbował przyjąć bardziej pokorną postawę. Bez większego powodzenia. Thom mógł spać w kwaterach służby, ale od samego początku miał w sobie coś, co sprawiało wrażenie, iż czyni tak z własnego wyboru albo może powodowany ekscentrycznym usposobieniem i nikogo bynajmniej nie dziwiłby jego widok w korytarzu, gdyby mu na przykład przyszła ochota wślizgnąć się do pokoiów Riselle, należących ongiś do Mata. Juilin natomiast tyle rozwodził się wszem i wobec na temat swego zawodu łowcy złodziei – żadną miarą nie „łapacza” złodziei – i tak wielu drażliwym lordziątkom oraz pysznym kupcom patrzył prosto w oczy, pragnąc tym sposobem wykazać, iż uważa się za im równego, że już każdy w pałacu wiedział kim i czym jest. Oraz, gdzie winien przebywać – mianowicie na dole.

– Z ust mego pana spływa najczystsza mądrość – powiedział, zdecydowanie zbyt donośnie, wykonując nadto sztywny, szyderycki ukłon. – Mój pan wszystko wie o kobietach. Jeśli więc pan mój wybaczy swemu unizonemu słudze, ten natychmiast powróci na swoje miejsce. – Odwrócił się, by odejść, ale jeszcze przez ramię, znowuż zbyt głośno, rzucił: – Słyszałem dzisiaj, że jeśli pan mój raz jeszcze pokaże się królowej w takim stanie, jakby go właśnie wleczono po ulicy, królowa nie omieszka różgą zmacać, osoby mego pana.

I to była kropla, która ostatecznie przepełniła czarę.

Mat energicznie otworzył drzwi i wkroczył do apartamentów królowej, ściągając z głowy kapelusz, by posłać go w powietrze przez szerokość komnaty... I stanął jak wryty, a słowa, które zamierzał wypowiedzieć zamarły mu na ustach. Niecelnie rzucony kapelusz potoczył się po dywanach, nawet nie dostrzegł dokąd. Podmuch wiatru zagrzechotał szybami wysokich, potrójnym łukiem sklepionych okien, wychodzących na długi osłonięty balkon ponad Mol Hara.

Tylin odwróciła się, nie wstając z krzesła rzeźbionego tak, by wyglądało jak mebel z połączanego bambusa i spojrzała na niego ponad trzymanym w dłoni złotym pucharkiem. Z rzadka przetykane na skroniach siwymi pasemkami fale lśniących czarnych włosów okalały piękną twarz, w której lśniły oczy drapieżnego ptaka, i która bynajmniej nie sprawiała wrażenia zadowolonej. Jego

spojrzenie nagle, nie wiedzieć czemu zaczęło wyłaniać z widoku jej postaci zupełnie nieistotne drobiazgi. Fakt, że leciutko poruszyła nogą założoną na nogę, delikatnie marszcząc warstwy białych i zielonych halek. Bładozieloną koronkę, okalającą owalne rozcięcie dekoltu, odsłaniające pełne piersi, między którymi wisiała wysadzana klejnotami rękojeść jej małżeńskiego noża. Nie była sama. Naprzeciw niej siedziała Suroth, spod zmarszczonych brwi wpatrując się we wnętrze swego pucharka, długie paznokcie palców drugiej dłoni wystukiwały rytm na poręczy fotela – mimo włosów wygolonych wysoko z obu stron głowy można by ją nazwać nawet przystojną, a że Tylin sprawiała przy niej wrażenie niepozornej myszki. Dwa z paznokci na każdej dłoni miała polakierowane na niebiesko. U jej boku zasiadła mała dziewczynka – jakby już innego nie mogła znaleźć towarzystwa – odziana także w szatę bogato zdobioną kwiatowymi ornamentami, narzuconą na proste białe spódnice, nosząca na sobie niewielką fortunę w rubinach. Jej głowę – z pozoru całkiem ogoloną! – skrywała przezroczysta woalka. Nawet bez reszty wstrząśnięty, nie mógł nie zwrócić uwagi na złoto i rubiny. Jakaś szczupła kobieta, o karnacji tak ciemnej jak jej prosty czarny ubiór i do tego stopnia górującej nad otoczeniem, że mogłaby za wysoką uchodzić wśród Aielów, stała za fotelem dziewczynki z rękoma zaplecionymi na piersiach i wyrazem źle skrywanej niecierpliwości na twarzy. Kręte czarne włosy przycięte były krótko, ale głowa nawet nietknięta brzytwą, z czego należało wnosić, że ani nie wywodzi się z Krwi, ani nie jest *so'jhin*. Pokrólewsku piękna, przyćmiewała swym wyglądem zarówno Tylin, jak Suroth. Wobec kobiecego piękna również nie pozostawał obojętny, nawet wówczas, gdy czuł się, jakby go zdzielono obuchem w głowę.

Albowiem to nie obecność Suroth, ani którejs z obcych sprawiły, że przed chwilą stanął jak wryty. Powodem był fakt, że w jego głowie właśnie zatrzymały się kości, z grzmiotem, od którego aż zadźwięczało mu pod czaszką. Coś takiego nie zdarzyło się jeszcze nigdy dotąd. Stał więc bez ruchu, czekając aż któryś z Przeklętych wyskoczy z wnętrza płonącego kominka albo ziemia rozstąpi mu się pod nogami, by pochłonąć pałac.

– Nie słuchałeś mnie, gołabeczku – zagruchała doń Tylin, ale w jej głosie zadźwięczały dość niebezpieczne tony. – Powiedziałam, żebyś poszedł do kuchni i kazał dać sobie ciasta, póki nie znajdę dla ciebie czasu. Zresztą, jeśli już o tym mowa, mógłbyś w tym czasie również wziąć kąpiel. – Jej ciemne oczy rozbliły się. – Później porozmawiamy o tym błocie.

Oszołomiony, próbował raz jeszcze powtórzyć sobie w głowie przebieg wydarzeń. Wszedł do komnaty, kości się zatrzymały i... Nic się nie stało. Zupełnie nic!

– Tego człowieka napadnięto – odezwała się malutka zasłonięta woalem postać, wstając. Jej głos stał się nagle równie chłodny, co wiatr za oknami. – Zapewniałaś mnie, że ulice są bezpieczne, Suroth! Jestem z ciebie niezadowolona.

Coś przecież musiało się wydarzyć! Coś z pewnością się wydarzyło! Zawsze coś się działo, kiedy kości zatrzymywały się.

– Zapewniam cię, Tuon, że ulice Ebou Dar są równie bezpieczne jak ulice samego Seandar – odpowiedziała Suroth i dopiero to wyrwało Mata ze stanu oszołomienia. W głosie Suroth brzmiała niepewność. A przecież to inni w jej obecności mieli odczuwać niepewność.

Szczupły i pełen wdzięku młodzieniec w prawie przezroczystej szacie *da'covale* pojawił się u jej boku z wysokim dzbanem z niebieskiej porcelany – skłonił głowę i w milczeniu zaproponował uzupełnienie wina w pucharku. I wtedy Mat wzdrygnął się ponownie. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, że ktoś jeszcze przebywa w pomieszczeniu. A dotyczyło to nie tylko słomianowłosego mężczyzny w nieprzyzwoitym wdzianku. Zgrabna, a równocześnie przyjemnie zaokrąglona rudowłosa kobieta, przebrana w taki sam rodzaj przezroczystej szaty klęczała przy stole, na którym stały buteleczki z przyprawami, kolejne dzbany wina, ze znakomitej porcelany Ludu Morza, oraz mały



połączany mosiężny piecyk, wraz z odpowiednimi łożogami, niezbędnymi do podgrzewania wina; po drugiej stronie stołu stała siwiejąca kobieta w biało-zielonej liberii Domu Mitsobar i rozglądała się nerwowo. I jeszcze w rogu – tak nieruchoma, że dostrzegł ją dopiero na samym końcu, a i to ledwie – kolejna Seanchanka, niska, z w połowie ogoloną głową złotych włosów, a także łonem, przy którym z pewnością zbladłyby nawet wdzięki Riselle, gdyby nie fakt, że suknia z żółtych i czerwonych zaszewek nie skrywała jej aż pod brodę. Zresztą i tak nie miał zamiaru się o tym przekonywać. Seanchanie byli bardzo drażliwi na punkcie swoich *so'jhin*. Tylin zaś była drażliwa na punkcie każdej innej kobiety. Od momentu, gdy był w stanie podnieść się z łóżka, do jego apartamentów ani razu nie przydzielono służącej młodszej niżli w wieku jego babci.

Suroth spojrzała na wdzięcznego mężczyznę, jakby zastanawiała się, z kim ma do czynienia, potem bez jednego słowa pokręciła głową i z powrotem przeniosła uwagę na dziewczynkę. Tymczasem Tuon gestem dłoni odprawiła tamtego. Służąca w liberii dała krok naprzód, żeby odebrać od niego dzban z winem, a potem najwyraźniej chciała napełnić również pucharek Tylin, ale królowa nieznacznym skinieniem odesłała ją z powrotem pod ścianę. Tylin siedziała w swoim fotelu naprawdę nadzwyczaj nieruchomo. Nic dziwnego, że chciała uniknąć ściągania na siebie uwagi, skoro ta Tuon wzbudzała lęk w Suroth, co bez trudu można było dostrzec.

– Jestem z ciebie niezadowolona, Suroth – powtórzyła dziewczynka, spoglądając spod zmarszczonego czoła na tamtą. Nawet stojąc miała pewne kłopoty, by naprawdę spojrzeć z góry na siedzącą Szlachetną Lady. Mat doszedł do wniosku, że ona musi również być Szlachetną Lady, tyle że rangą przewyższa Suroth. – Odzyskałaś wprawdzie dla nas spore terytoria, co z pewnością przypadnie do gustu Imperatorowej, oby żyła wiecznie, jednak twoje źle przygotowane natarcie na wschód okazało się katastrofą, do powtórzenia której nie wolno dopuścić. A jeżeli rzeczywiście ulice tego miasta są bezpieczne, jak zapewniasz, jakim sposobem ten człowiek mógł zostać napadnięty?

Pobielały zaciśnięte na poręczy fotela kłykcie jednej dłoni Suroth, jak też ściskające pucharek z winem palce drugiej. Spojrzała ze złością na Tylin, jakby otrzymana reprimenda była jej winą, Tylin zaś uśmiechnęła się przeprasząco i skłoniła głowę. Ach, krew i popioły, jemu przyjdzie za to zapłacić!

– Przewróciłem się i tyle. – Równie dobrze mógłby wystrzelić fajerwerki, sądząc ze sposobu, w jaki zareagowały na dźwięk jego głosu. Suroth i Tuon wydawały się wstrząśnięte tym, że się w ogóle odezwał. Tylin patrzyła jak orzeł, który wolałby swego królika upieczonego na rożnie. – Moje panie – dodał szybko, ale bynajmniej nie przyniosło to jakiegoś kojącego efektu.

Wysoka kobieta zniecka sięgnęła dłonią i wyrwała z ręki Tuon pucharek z winem, a potem cisnęła nim do wnętrza kominka. Chmara iskier pofrunęła w górę komina. Służąca drgnęła, jakby chcąc biec i ratować pucharek, zanim ulegnie dalszemu zniszczeniu, jednak pod wpływem dotyku *so'jhin* znieruchomiła.

– Zachowujesz się głupio, Tuon – powiedziała w taki sposób, przy którym nachmurzone czoło Tuon równie dobrze mogłoby być wzięte za wyraz rozbawienia. W jej słowach prawie nie było słycać miękkiego akcentu Seanchan, z którym poniekąd zdążył się już oswoić. – Suroth ma sytuację w mieście pod kontrolą. To, co zdarzyło się na wschodzie, zawsze może przytrafić się podczas wojskowej operacji. Nie wolno ci marnować czasu na głupie drobiazgi.

Przez chwilę Suroth spoglądała na tamtą z całkowitym zdumieniem, potem jej oblicze zastygło w kamienną maskę. Mat ze swe strony również nie potrafił opanować odruchu bezbrzeżnego zdziwienia. Gdyby kto inny odezwał się tym tonem do osoby wywodzącej się z Krwi, mógłby mówić o szczęściu, wykręciwszy się pojedynczym spacerem do pręgierza!

Najdziwniejsze jednak było, że Tuon tylko nieznacznie przechyliła na bok głowę.

– Chyba masz rację, Anath – powiedziała spokojnie, a nawet z odrobiną szacunku w głosie. – Czas i omeny zdecydują. Ale ten młody człowiek w oczywisty sposób kłamie. Być może obawia się gniewu Tylin. Takie obrażenia mógł odnieść tylko spadając z naprawdę stromego zbocza, a tych w mieście nigdzie nie widziałam.

Miałby się obawiać gniewu Tylin, czy tak? No dobrze, może się i obawiał, troszeczkę. Ale tylko troszeczkę. Nie lubił jednak, gdy mu o tym przypominano. Spróbował przybrać nieco wygodniejszą pozycję i wsparł się na wysokim do ramienia kosturze. Mimo wszystko mogłyby człowiekowi zaproponować miejsce siedzące.

– Odniosłem poważne obrażenia tego dnia, gdy twoi chłopcy zdobyli miasto – powiedział – rozciągając usta w najbezpieczniejszym uśmiechu, na jaki było go stać. – Ta twoja zgraja nie patyczkując się, ciskała wszędzie błyskawice i ogniste kule. Ale powoli dochodzę już do zdrowia, dziękuję za wyrazy współczucia. – Tylin schowała twarz w pucharku z winem, ale jakimś sposobem rzuciła mu jeszcze spojrzenie obiecujące późniejszą odpłatę.

Spódnice Tuon zaszeleściły, gdy podeszła ku niemu po dywanach. Smagła twarz za przezroczystą woalką mogłaby nawet być śliczna, gdyby nie gościł na niej wyraz właściwy raczej sędziemu wydającemu wyrok śmierci. A także gdyby wieńczyły ją włosy, nie zaś łyse ciemię. Jej oczy były wielkie i wilgotne, lecz nie można było się w nich doszukać nawet śladu czysto ludzkiego zainteresowania. Zauważył jeszcze, że polakierowane miała wszystkie paznokcie, jaskrawą czerwienią. Zastanawiał się, czy to też jest jakiś symbol. Światłości, za cenę tych rubinów człowiek mógłby przez lata żyć w luksusie.

Wyciągnęła rękę i ujęła go palcami pod brodę. Od razu chciał wyszarpnąć brodę, zrezygnował widząc spojrzenie Tylin, które ponad głową Tuon obiecywało mu odpłatę tu i teraz, jeśli zrobi coś w tym stylu. Popatrzył więc tylko wściekle i pozwolił dziewczynie przyglądać się do woli.

– Walczyłeś przeciwko nam? – zapytała. – Złożyłeś przysięgi?

– Przysięgałem – mruknął. – Jeśli o tamto chodzi, nie miałem wyboru.

– Ale walczyłbyś, gdyby dano ci szansę – powiedziała cicho.

Obchodziła go powoli, nie przestając uważnie oglądać; musnęła palcami koronki przy rękawie, dotknęła czarnej jedwabnej szarfy obwiązanej wokół jego szyi, uniosła połę kaftana, by obejrzeć uważniej haft. Wytrzymał to wszystko, z całej siły próbując trwać bez ruchu. Ale pałające spojrzenie jego oczu dorównywało siłą wyrazu wzrokowi Tylin. Światłości, zdarzało mu się konia kupić, nie poddając tak uważnym oględzinom! Zaraz zacznie zaglądać mu w zęby!

– Chłopak powiedział ci, w jaki sposób odniósł swoje obrażenia – odezwała się Anath, zimnym tonem komendy. – Jeżeli masz na niego ochotę, kup go i po sprawie. Dzień był długi i powinnaś już znaleźć się w łóżku.

Tuon zatrzymała się, podniosła do oczu jego dłoń z wydłużonym sygnetem. Sygnet wyraźnie został zrobiony na zamówienie, dopracowany w szczegółach z pewnością miał być pokazem jubilerskiej sztuki – biegnący lis i dwa kruki w locie, otoczone półksiężycami – choć kupił go pod wpływem kaprysu, to jednak w końcu naprawdę zaczął go lubić. Zastanawiał się, czy jej również nie wpadł w oko. Wyprostowała się i spojrzała mu w oczy.

– Znakomita rada, Anath – powiedziała. – Ile chcesz za niego, Tylin? Jeśli to twój faworyt, podaj swoją cenę, a ja ją podwoję.

Tylin zakrztusiła się winem i zaniósła kaszlem. Matomalże nie wypuścił kostura z dłoni. Dziewczyna chciała go kupić? Cóż, wnioskuje z wyrazu jej twarzy, równie dobrze mogłaby oglądać konia.

– Jest wolnym człowiekiem, Szlachetna Lady – niepewnie odezwała się Tylin, gdy wreszcie mogła mówić. – Nie... nie mogę go sprzedać.

Mat roześmiałby się, gdyby głos Tylin nie brzmiał, jakby ze wszystkich sił powstrzymywała szczerkanie zębami, gdyby Tuon właśnie nie spytała całkiem rzeczowo o jego cenę. Wolny człowiek! Ha!

Dziewczyna odwróciła się w taki sposób, jakby w tej krótkiej chwili zdążyła już o nim zapomnieć.

– Boisz się, Tylin, ale na Światłość, nie powinnaś. – Podeszła do fotela Tylin, obiema dłońmi uniosła woalkę, odsłaniając część twarzy i pochyliła się, aby leciutko pocałować tamtą. Najpierw w oczy, później w usta. Tylin wyglądała na zupełnie wytrąconą z równowagi. – Dla mnie i Suroth jesteś niczym siostra – powiedziała Tuon zaskakująco delikatnym tonem. – Sama wpisze twoje imię w rejestry Krwi. Będiesz Szlachetną Lady Tylin, jako też królową Altary i wszystkim, co ci obiecano.

Anath parsknęła w głos.

– Tak, Anath, wiem – westchnęła dziewczyna, prostując się i opuszczając woalkę. – Dzień był długi i męczący, a ja jestem zmęczona. Jednak jeszcze pokażę Tylin ziemie, jakie chcę jej ofiarować, żeby zobaczyła na własne oczy, i żeby odnalazła spokój ducha. W mojej komnacie mam mapy, Tylin. Zechcesz uczynić mi zaszczyt i towarzyszyć mi? Oczekują nas również znakomite masażystki.

– Zaproszeniem sama wyświadczasz mi zaszczyt – odparła Tylin, ale głosem niewiele pewniejszym niż przed chwilą.

Na gest *so'jhin* słomianowłosa mężczyzna podbiegł do drzwi, otworzył je i ukląkł obok, ale kobiety nim wyszły, spędziły jeszcze dłuższą chwilę na wygładzaniu sukien, jak to kobiety mają w zwyczaju, niezależnie czy pochodzą z Seanchan, z Altary, czy skądkolwiek. Tyle, że w przypadku Tuon i Suroth całą sprawą zajęła się rudowłosa *da'covale*. Mat zaś skorzystał z okazji, by odciągnąć Tylin na bok, dostatecznie, by nikt nie usłyszał tego, co miał do powiedzenia. Wprawdzie błękitne oczy *so'jhin* śledziły go nieustannie, jednak Tuon, poddając się zabiegom *da'covale*, z pozoru zupełnie zapomniała o jego istnieniu.

– Nie przewróciłem się – cicho doniósł Tylin. – Niecałą godzinę temu próbował mnie zamordować *gholam*. W takiej sytuacji, niewykluczone, że najlepiej będzie jak wyjadę. Potwór chce mnie dopaść i zabije każdego, kto będzie w pobliżu. – Kształt tej intrygi właśnie przyszedł mu do głowy, ale uznał, że ma ona szansę pogodzenia.

Tylin westchnęła.

– Ta istota... on... nie może cię dopaść, prosiaczkę. – Obrzuciła Tuon spojrzeniem, na widok którego tamta z pewnością zapomniałaby, że nazwała Tylin siostrą. – To samo się zresztą do niej odnosi. – Przynajmniej miała dość rozsądku, żeby mówić szeptem.

– Kim ona jest? – zapytał. Cóż, szansę i tak nie były zbyt wielkie.

– Szlachetna Lady Tuon, a poza tym nie wiem więcej od ciebie – odparła Tylin, równie cicho. – Suroth skacze, kiedy ona jej każe, ona zaś skacze, kiedy każe Anath, lecz przysięgłabym, że Anath jest tylko rodzajem służącej. To są bardzo dziwni ludzie, kochany. – Znienacka zeszkrobała palcem fragment zaschniętego błota z jego policzka. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że twarz ma również brudną. Ale już za moment jej oczy spojrzwały orlim wzrokiem. – Pamiętasz różowe wstążki, kochany? Kiedy wrócę zobaczymy, czy ci do twarzy w różowym.

Sunąc majestatycznie, opuściła komnatę w towarzystwie Tuon i Suroth, w ślad za nimi wyszli Anath, *so'jhin* i *da'covale*, Mat zaś został sam na sam z siwą służącą, która natychmiast zabrała się do sprzątnięcia ze stołu. Osunął się na jeden z rzeźbionych w bambusową formę foteli i skrył twarz w dłoniach.

W każdej innej sytuacji wzmianka o różowych wstążkach wyrwałaby z jego ust potok złorzeczenia. Wówczas – podczas wykupu fantów – nie trzeba było nawet marzyć o rewanżu. Także napaść *gholam* jakoś nie zajmowała jego myśli. Kości zatrzymały się i... I co? Stał twarzą w twarz z trzema kobietami, których nigdy dotąd nie spotkał, ale przecież nie mogło o to chodzić. Może miało to coś wspólnego z obietnicą nadania Tylin rangi Krwi. Wcześniej za każdym razem, gdy kości się zatrzymywały, wydarzenia dotyczyły go osobiście.

I siedział tak, zamartwiając się, podczas gdy służąca wezwała innych do pomocy w sprzątaniu. Siedział, póki Tylin nie wróciła. Nie zapomniła o różowych wstążkach, w efekcie czego on na długi, długi czas zapomniiał o wszystkim innym.

# OFERTA

Kolejne dni po tym, jak *gholam* próbował go zabić, ciągnęły się jednostajnym rytmem, który nie przestawał Mata irytować. Niebo zaciągała niezmienna szarość, czasem padało, później przestawało.

Ulica mówiła o człowieku zabitym przez wilka tuż za miastem – znaleziono go z rozszarpanym gardłem. Nikt się tym szczególnie nie przejmował, dominowała ciekawość, wilków w pobliżu Ebou Dar nie spotykano już od wielu lat. Mat nie potrafił zaznać spokoju. Mieszkańcy miasta mogli wyobrazić sobie, że wilk podszedł tak blisko do murów, jednak on wiedział lepiej. *Gholam* nie odszedł. Harnan i pozostali Czerwonoręcy uparcie nie chcieli wyjechać, twierdząc, że mogą się przydać choćby do strzeżenia jego pleców, Vanin zaś nie podawał powodów, chyba że za takowy traktować wypowiedzianą półgębkiem uwagę, iż Mat ma dobre oko do szybkich koni. Ale pamiętać należało, że po tych słowach splunął. Pojawiła się Riselle z tą swoją piękną oliwkową twarzą, na widok której każdy przełykał ślinę, Riselle o wielkich oczach, w których odbijała się wiedza, sprawiająca, że język zasychał w ustach. Riselle chciała się dowiedzieć, ile Olver właściwie ma lat, a kiedy usłyszała, że niecałe dziesięć, wyglądała na zaskoczoną i trwała chwilę z palcem przyłożonym do pełnych warg, jednak nie sposób było stwierdzić, czy informacja ta spowodowała jakiegokolwiek zmiany w programie zajęć, ponieważ Olver wciąż wracał z lekcji w równym stopniu dając upust wrażeniom wyniesionym z obserwacji jej piersi, co z lektury książek Mat podejrzewał, że to dla Riselle i jej czytania Olver prawie całkiem zrezygnował ze swych cowieczornych partii Węży i Lisów. Zresztą, gdy tylko chłopak wymykał się z komnat, które kiedyś należały do Mata, często zaraz wślizgiwał się tam Thom z harfą Od pachą. Tego już by wystarczyło, żeby Mat zgrzytał zębami, to nie była jeszcze nawet połowa.

Thom i Beslan często wychodzili razem, nie zapraszając go do kompanii, zdarzało się, że nie było ich przez pół nocy albo pół dnia. Żaden słowem nawet się nie zająknął o treści ich knowań, choć Thom miał przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby wyglądać na zmieszanego. Mat miał nadzieję, że w wyniku ich działań nie zginą niewinni ludzie, ich jednak nie obchodziło jego zdanie. Beslan na sam jego widok reagował źle. Juilin wciąż przemykał na wyższe pietra pałacu, w końcu został zauważony przez Suroth, w wyniku czego zarobił chłostę, podwieszony za ręce na belce w stajni. Mat odwiedził go, kiedy kurował się pod okiem Vanina – Vanin uważał, że leczenie ludzi niczym nie różni się od leczenia koni – i ostrzegł, że następnym razem będzie znacznie gorzej tylko po to chyba, by jeszcze tej samej nocy zobaczyć na korytarzu, skrzywionego bolesnym dotykem materii koszuli na ranach. Musiało chodzić o kobietę, choć łowca złodziei za nic się nie chciał do tego przyznać. Mat podejrzewał, że mogła być w to zaangażowana jedna z seanchańskich szlachcianek. Któraś ze służących nie miałaby trudności z odwiedzaniem go w pokoju, zwłaszcza, że Thoma i tak przez większość czasu nie było.

Oczywiście nie było mowy nawet o Tuon czy Suroth, niemniej nie do nich dwu ograniczała się obecność Szlachetnej Krwi Seanchan w pałacu. Większość seanchańskiej szlachty wynajmowała na mieście pokoje, czy też – znacznie częściej – całe domy, ale część dotrzymywała towarzystwa Suroth, podobnie jak dziewczynie. Niejedna spośród kobiet wyglądała, jakby uścisk jej ramion mógł ofiarować przyjemność mężczyźnie, mimo wygolonych częściowo głów i zadzierania nosa w obliczu wszystkich, którzy mieli włosy na skroniach. Oczywiście warunkiem wstępnym było dostrzeżenie w nim mężczyzny, nie zaś kolejnego mebla stojącego na drodze. Jeśli już, to mogłoby się wydawać wątpliwe, aby taka pyszna kobieta zechciała po raz drugi zerknąć na mężczyznę mieszkającego w

kwaterach dla służby; cóż, Światłość jedna wiedziała, że kobiety mają osobliwe gusta. Nie miał innego wyjścia, jak zostawić Juilina własnemu losowi. Kimkolwiek była ta kobieta, mogła jeszcze zaprowadzić łowcę złodziei na katowski pień, ale na miłosną gorączkę nie było lekarstwa – musiała wypalić się sama, nim mężczyzna zdolny był do jasnego myślenia. Kobiety potrafiły osobliwie zamącić mężczyznom w głowach.

Dzień za dniem przybywające okręty wypluwały w porcie ludzi zwierzęta i towary, tyle że masywne mury obronne miasta eksplodowałyby chyba, gdyby cała ta masa pozostawała w ich obrębie – na szczęścieżywa rzeka płynęła przez miasto na wieś, wraz z rodzinami, dobytkiem i żywym inwentarzem, przygotowując się, by tam zapuścić korzenie. Tysiącami przemierzali miasto żołnierze – zdyscyplinowana piechota i kawaleria złożona z wypróbowanych weteranów – ciągnąc na północ z kolorowych zbrojach i na wschód przez rzekę. Mat zaprzestał już prób zliczenia ich. Czasami widywał dziwne stwory, chociaż zazwyczaj wyprowadzano je na brzeg za miastem, żeby uniknąć ryzykownych ulic. *Torm* przypominał trójkiego pokrytego brązową łuską kota rozmiaru konia, samej jego obecności starczyło, żeby wszystkie konie w okolicy dostawały szału; *corlm* był niczym włochaty bezskrzydły ptak wzrostu człowieka, jego wyprężone uszy strzygły bezustannie, a długi dziób wyglądał, jakby tylko czekał na ciało, które można poszarpać; wreszcie *s'redit* o długim pysku i jeszcze dłuższych kłach. *Rakeny* i jeszcze od nich większe *to'rakeny* przelatywały ponad miastem z miejsca lądowania poniżej Rahad, wyglądały niczym wielkie jaszczurki z nietoperzymi skrzydłami, na grzbietach niosły ludzi. Nietrudno było podchwycić nazwy zwierząt – każdy seanchański żołnierz chętnie wdawał się w długie dyskusje na temat taktycznych korzyści, jakie dawali zwiadowcy na *rakenach* czy zdolności tropicielskich *corlm*, na temat tego, czy *s'redit* nadają się do czegoś więcej prócz transportu ciężkich ładunków, oraz czy *torm* są naprawdę zbyt inteligentne, aby im ufać. Wielu ciekawych rzeczy dowiedział się w ten sposób od żołnierzy, którzy chcieli tego, czego chcą wojskowi wszystkich armii świata: picia, kobiet, odrobiny hazardu, niekoniecznie w tym porządku. Zazwyczaj miał do czynienia z weteranami. Seanchan stanowiło imperium większe niż wszystkie kraje zamieszkiwane przez ludy żyjące między Oceanem Aryth a Grzbietem Świata, w całości, pozostające pod rządami Imperatorowej, jednak z historią nieustannych właściwie rewolucji i buntów, które utrzymywały żołnierzy w dobrej formie. Należało oczekiwać, że z tych samych względów seanchańskich osadników niełatwo będzie wyrugować z miejsca, gdzie postanowią zostać.

Oczywiście nie wszyscy żołnierze od razu opuszczali miasto, został w nim silny garnizon złożony nie tylko z Seanchan, ale również tarabońskich lansjerów w nabijanych ćwiekami kaftanach, amadicjańskich pikinierów z napierśnikami pomalowanymi na wzór seanchańskich zbroi. I oczywiście Altaran, nie licząc zbrojnych Tylin. Wedle deklaracji Seanchan, Altaranie z głębi lądu, ci, którzy mieli czerwone pasy wymalowane ukośnie na napierśnikach, w takim samym stopniu byli ludźmi Tylin jak gwardziści w Pałacu Tarasin, co jednak, o dziwo, nie bardzo ją cieszyło. Podobnie zresztą jak nie cieszyło tych żołnierzy. Oni oraz ludzie w zieleniach i bielach Domu Mitsobar mierzyli się podejrzliwymi spojrzeniami jak koty w jednej klatce. W ogóle podejrzliwości wszędzie było sporo – Tarabonian wobec Amadicjan, Amadicjan wobec Altaran i wzajemnie, na powierzchnię wpływały zadawnione, utrwalone animozje, rzadko jednak prowadząc do poważniejszych konsekwencji niż okazjonalne grożenie pięściami i przekleństwa. Nie bez powodu z pokładów okrętów zeszło i pozostało w Ebou Dar pięć setek ludzi ze Straży Skazańców. Pod rządami Seanchan zwykły odsetek przestępstw, jakiego należy oczekiwać po każdym wielkim mieście, spadł dramatycznie, ale Straż zabrała się do patrolowania miasta w taki sposób, jakby oczekiwała, że w każdej chwili spod bruku wyłonić się mogą zastępy kieszonkowców, najemnych zbirów oraz po zęby

uzbrojone zbójce oddziały. Dlatego też i Altaranie, i Amadicjanie, i Tarabonianie trzymali swe temperamenty na wodzy. Tylko głupiec chciałby zadzierać ze Strażą Skazańców, zwłaszcza po raz drugi. W mieście zresztą stacjonował inny całkiem jeszcze kontyngent Straży, w skład którego wchodziła setka Ogirów w barwach czerwieni i czerni. Czasami wchodziłi w skład ludzkich patroli, czasami też przechadzali się samotnie, z toporami o długich drzewcach na ramieniu. W niczym nie przypominali przyjaciela Mata imieniem Loial. Tak, mieli podobne szerokie nosy i zakończone pędzelkami uszy i długie brwi, które spływały im na policzki, otaczając oczy wielkości spodków, jednak Ogrodnicy patrzyli na człowieka, jakby się zastanawiali czy przypadkiem nie przydałoby mu się wypielenie paru kończyn. Nikt nie był na tyle głupi, by choć raz zdrzeć z Ogródnikami.

Seanchanie wylewali się z Ebou Dar, w zamian do wnętrza miasta napływały wieści. Nawet zmuszeni do nocowania na stryszkach kupcy rozsiadali się w wolnym czasie we wspólnych salach karczm, pykając fajki i dzieląc się informacjami, których inni nie posiadali. Przynajmniej w stopniu, w którym nie miało to wpływu na ich zyski. Strażnicy kupieckich karawan natomiast nie dbali o zyski w których nie mieli udziału i mówili wszystko, z czego część nawet nosiła pozory prawdy. Żeglarze raczyli opowieściami każdego, kto gotów był postawić im kufel, albo jeszcze lepiej korzenne wino a kiedy wypili dość dużo, mówili jeszcze więcej: o portach, które odwiedzili, o zdarzeniach, jakich byli świadkami. A wszystko to najpewniej rodziło się ze snów, jakie mieli od alkoholowych oparów w głowach. Wyłaniał się stąd dość jasny wizerunek ogólny – świat poza obrębem Ebou Dar burzył się niczym Morze Sztormów. Zewsząd docierały plotki o Aielach, łupiących i palących wszystko, o maszerujących armiach, nie tylko Seanchan, armiach w Łzie i Murandy, w Arad Doman i Andorze, w Amadicii, która opierała się jeszcze władzy Seanchan, oraz o licznych skupiskach zbrojnych, nie zasługujących na miano armii, w samym sercu Altary. Wyjąwszy oddziały w Altarze i Amadicii, nikt do końca nie znał zamiarów dowódców tych armii, a nawet w samej Altarze sytuacja też nie była do końca jasna. Altaranie mieli zwyczaj korzystać ze społecznych niepokojów, żeby odpłacić za urazy doznane i od sąsiadów.

Największe wzburzenie wywoływały w mieście wieści o Randzie. Mat dokładał wszelkich starań, żeby nie myśleć o nim, ani o Perrinie, jednak unikanie tych dziwnych wirów barw w głowie stanowiło zadanie naprawdę trudne, gdy imię Smoka Odrodzonego było na ustach wszystkich. Smok Odrodzonego nie żyje, twierdzili jedni, zamordowany został przez Aes Sedai, kiedy cała Biała Wieża runęła nań w Cairhien, albo w Illian, albo w Łzie. Nie, twierdzili inni, został przez nie porwany i uwięziony w Białej Wieży. Nie, sam udał się do Białej Wieży i ukorzył przed Tronem Amyrlin. Ostatnia plotka cieszyła się największą wiarygodnością, ponieważ wielu ludzi rzekomo widziało na własne oczy proklamację, pisaną ręką Elaidy, z której miało to wynikać. Mat żywił odnośnie tego wszystkiego spore wątpliwości, a przynajmniej nie potrafił uwierzyć, by Rand zginął lub zaprzysiągł się Elaidzie. Z niezrozumiałego dla samego siebie powodu, miał pewność, że gdyby Rand zginął, wiedziałby o tym, zaś jeśli chodzi o tę drugą kwestię, nie potrafił uwierzyć, by tamten z własnej woli zbliżył się na odległość stu mil od Białej Wieży. Smok Odrodzonego czy zwykły mężczyzna, z pewnością miał więcej oleju w głowie.

Wieści te – we wszystkich możliwych mutacjach – działały na Seanchan niczym kij wetknięty w mrowisko. O każdej porze dnia i nocy po korytarzach Pałacu Tarasin maszerowali wysocy rangą oficerowie, ze swoimi dziwnymi, zdobionymi piórami hełmami pod pachą, obcasy wybijały dźwięczny rytm po płytkach posadzki, twarze zastygały w zaciętym grymasie. Kurierzy wciąż opuszczali Ebou Dar na grzbietach koni i *to'rakenów*. *Sul'dam* i *damane* wycofano spod bram i posłano do patrolowania ulic, zdwojono wysiłki poszukiwania zdolnych do przenoszenia kobiet. Mat schodził oficerom z drogi i kłaniał się grzecznie *sul'dam*, kiedy mijał którą na ulicy. Jakkolwiek

wyglądała sytuacja Randa, w Ebou Dar nie mógł mu się na nic przydać. Najpierw trzeba było wydostać się z miasta.

Rankiem następnego dnia po tym, jak *gholam* próbował go zabić, gdy tylko Tylin opuściła apartamenty, Mat spalił w kominku wszystkie różowe wstążki, cały ich wielki kłęb. Spalił również różowy kaftan, który kazała dlań uszyć, dwie pary różowych spodni i różowy płaszcz. Odór płonącej wełny i jedwabiu wypełnił komnatę, aż musiał otworzyć kilka okien, nie dbał o ziąb. Poczul głęboką ulgę, przebierając się w jaskrawo-błękitne spodnie i haftowany zielny kaftan oraz niebieski płaszcz z boleśnie misternym wzorem. Nawet te wszystkie koronki już go nie wyprowadzały z równowagi. Przynajmniej żadne nie były różowe. W życiu nie chciał już na oczy widzieć nic w tym kolorze!

Nasadził kapelusz na głowę i wykuśtykał z Pałacu Tarasin ze świeżym postanowieniem znalezienia gdzieś bodaj najnędniejszej komórki, w której mógłby gromadzić rzeczy niezbędne do ucieczki, choćby w tym celu trzeba było po dziesięć razy odwiedzić każda tawernę, karczmę i żeglarską melinę w mieście. Tym razem nie będzie omijał nawet Rahad. Choćby miał po sto razy tam wracać! Szare mewy i czarnoskrzydłe brzytwodzioby kołowały po ołowianym niebie, które znowu zwiastowało deszcz, a lodowaty wiatr hulający po Mol Hara miał posmak soli i szarpał połami płaszcza, Mat wbijał obcasy butów w bruk, jakby chciał strzaskać kamienie. Światłości, jeśli będzie trzeba odjedzie z Luką w tym co ma na grzbiecie. Może tamten pozwoli mu zapracować na podróż w charakterze błazna! Z pewnością pomysł by mu się spodobał. Dzięki temu mógłby przynajmniej być blisko Aludry i jej sekretów.

Przeszedł przez całą szerokość placu nim zdał sobie sprawy że przez cały czas wbija wzrok we fronton szerokiego białego budynku, który przecież dobrze znał. Godło nad łukiem sklepionymi drzwiami oznajmiało „Wędrowną Kobietę”. Z gospody wychodził właśnie wysoki mężczyzna o pogodnej, okrągłej twarzy i siwych skroniach, w czerwono-czarnej zbroi – na hełmie pod pachą kołysały się trzy cienkie czarne pióra. Tamten przystanął, czekając aż mu przyprowadzą konia. Nie patrzył na Mata, a Mat unikał spoglądania na niego. Niezależnie od miłego wyglądu, mimo wszystko był ze Straży Skazańców i to na dodatek w randze generała sztandaru. Ponieważ „Wędrowną Kobieta” znajdowała się blisko pałacu, prawie wszystkie pokoje wynajmowali w niej wyżsi oficerowie Seanchan, z tego też powodu Mat nie bywał w tym miejscu od czasu, gdy wstał z łóżka. Prości seanchańscy żołnierze nie byli jeszcze tacyżli, zawsze gotowi grać w kości przez pół nocy i postawić kolejkę, jednak oficerowie wysokiej rangi równie dobrze mogliby się wywodzić ze szlachty. Niemniej, gdzieś musiał zacząć.

Wspólna sala gospody była nieomal w takim samym stanie, jak ją zapamiętał – wysoki sufit i jasne światło lamp płonących pod ścianami mimo wczesnej pory. Przed zimmem chroniły solidne okiennice na wysokich, sklepionych łukami oknach, na dwu długich kominkach buzował ogień. W powietrzu wisiała lekka mgiełka fajkowego dymu oraz zapach dobrego jedzenia, docierający z kuchni. Dwie flecistki i mężczyzna z bębenkiem między kolanami grali szybką, ostrą eboudariańską melodię, do której aż chciało się przytupywać. Jak dotąd wszystko wyglądało nie inaczej niż wówczas, gdy tu mieszkał. Na wszystkich krzesłach siedzieli jednak seanchanie, jedni w zbrojach, inni w długich haftowanych kaftanach, pili, rozmawiali, studiowali mapy rozłożone na stołach, siwiejąca kobieta z płomieniem *der'sul'dam* wyhaftowanym na ramieniu najwyraźniej składała raport przy jednym ze stołów, przy innym kościasta *sul'dam* z *damane* o okrągłej twarzy przyjmowały rozkazy. Liczni Seanchanie mieli z boku i z tyłu wygolone głowy tak, że wyglądali, jakby na karku mieli kule do gry; pozostałe włosy spływały na plecy na wzór szerokiego końskiego ogona, sięgającego u mężczyzn do ramion, a u kobiet niekiedy i do talii. W większości była to zwyczajna szlachta, nie zaś żadna arystokracja, ale nie miało to większego znaczenia. Lord pozostawał lordem,



a poza tym, ci mężczyźni i kobiety, zamawiający u służącej właśnie kolejne napitki, mieli na twarzach ten pogardliwy wyraz właściwy oficerom, co oznaczało, że ci którym się wysługiwali w ten sposób, musieli być oficerami jeszcze wyższej rangi, która mogła już człowiekowi napytać biedy. Kilku zauważyło Mata i zmarszczyło brwi, omal nie wyszedł.

Wtedy jednak zobaczył karczmarkę schodzącą po pozbawionych poręczy schodach w głębi sali, stateczną kobietę o migdałowych oczach, przetykanych siwizną włosach, z wielkimi złotymi kolczykami w uszach. Setalle Anan nie pochodziła z Ebou Dar, podejrzewał, że nawet nie urodziła się w Altarze, ale nosiła małżeński nóż, zwisający rękojeścią w dół na srebrnym łańcuszku w głębokim wąskim dekolcie oraz długi zakrzywiony nóż przy pasku. Zdawała sobie sprawę, że powinna go traktować jak lorda, nie był jednak pewien, do jakiego stopnia w to wierzy i co niby miałyby wynikać, gdyby nawet wszystkie te bzdury wzięła na poważnie. W każdym razie teraz zobaczyła go w tym samym momencie uśmiechnęła się, przyjacielskim, ciepłym uśmiechem, który sprawił, że jej twarz zaczęła wyglądać jeszcze ładniej. Nie miał innego wyjścia, jak podejść i się przywitać, zapytać grzecznie o zdrowie, oczywiście bez przesady. Jej umięśniony mąż był kapitanem rybackiego kutra, ozdobionym większą ilością blizn po pojedynkach niż Mat chciałby sobie wyobrazić. Z miejsca zaczęła wypytywać o Nynaeve i Elayne oraz, ku jego zaskoczeniu, o losy Rodziny. Nie miał pojęcia, że w ogóle zdawała sobie sprawę z ich istnienia.

– Odeszły z Nynaeve i Elayne – szepnął, rozglądając się, czy przypadkiem któreś z Seanchan nie zwraca na nich uwagi. Nie miał zamiaru mówić zbyt wiele, jednak rozmowa o Kuzynkach w miejscu, gdzie Seanchanie mogli coś usłyszeć przyprawiała go o dreszcz?

– Na ile wiem, wszystkie przebywają w bezpiecznym miejscu.

– To dobrze. Przykro by mi było, gdyby którejś, z nich nałożono obrożę. – Ta głupia kobieta nawet nie zniżyła głosu!

– Tak, zaiste dobrze – mruknął i szybko wyjaśnił powód swej wizyty, zanim tamta zacznie w głos krzyczeć, jaka to jest szczęśliwa, że potrafiące przenosić kobiety wymknęły się Seanchanom. On również był z tego powodu zadowolony, tyle że nie w stopniu dostatecznym, aby przez żywiołowy wyraz tego zadowolenia trafić w łańcuchy.

Pokręciła głową, przysiadła na stopniu schodów i otoczyła kolana ramionami. Ciemnozielone spódnice, podpięte z jednej strony, ukazywały czerwone halki pod spodem. Mieszkańcy Ebou Dar naprawdę chyba chcieli iść z Druciarzami w zawody, jeśli chodzi o dobór kolorów. Wokół nich gwar seanchańskich głosów zmagął się z wysokimi tonami muzyki, ona zaś popatrzyła na niego surowo.

– Nie znasz naszych zwyczajów, w tym cały kłopot – powiedziała. – Pięknisie stanowią w Altarze stary i ugruntowany obyczaj. Wielu młodzieńców i młodek przed ustatkowaniem się rzuciło się w wir rozpusty, żeby się wyszumieć w roli pięknisia czy piękniśi i pozwalać obsypywać prezentami. Ale zasada jest taka, że piękniś odchodzi, kiedy mu przyjdzie na to ochota. Tylin nie powinna cię traktować w taki sposób, jak słyszę, że cię traktuje. Mimo to – dodała po namyśle – muszę przyznać, że ubiera cię dobrze. – Ręką zatoczyła krąg. – Przytrzymaj płaszcz i obróć się, żebym mogła lepiej widzieć.

Mat wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić. A potem jeszcze kilka. Rumienił się wprawdzie, ale z czystej wściekłości. Nie ze wstydu. Wcale nie! Światłości, czy całe miasto wiedziało?

– Masz jakieś wolne miejsce, które mógłbym wynająć, czy nie? – zapytał zduszonym głosem.

Okazało się, że ma. Mógł skorzystać z półki w piwnicy, która przez okrągły rok była sucha, poza tym pod kamienną podłogą kuchni była niewielka skrytka, gdzie kiedyś przechowywał kuferek ze złotem. Okazało się dalej, że opłata za wynajem ograniczała się do tego, aby przytrzymał płaszcz i

obrócił się, żeby mogła lepiej widzieć. Przy tym uśmiechała się niczym kot! Jednej z Seanchanek, kobiecie o jastrzębiej twarzy w czerwono-niebieskiej zbroi pokaz spodobał się tak bardzo, że nawet rzuciła mu srebrną monetę z dziwną egzergą, ponurym obliczem kobiecej twarzy na awersie i jakimiś grubymi łańcuchami na rewersie.

Dzięki temu jednak zdobył miejsce, w którym mógł przechowywać rzeczy i pieniądze, a kiedy wrócił do pałacu, do apartamentów Tylin, przekonał się, że nawet posiada rzeczy, które mógłby przechowywać.

– Obawiam się, że garderoba mego pana znajduje się w strasznym stanie – oznajmił ponuro Nerim. Chudy, siwowłosy Cairhienianin z pewnością nawet otrzymany podarunek w postaci worka ognistych łez, obwieściłby tym samym żalobnym tonem. Jego pociągłe oblicze skrzepło w wyrazie nieustannego lamentu. Nie spuszczał jednak wzroku z drzwi, na wypadek powrotu Tylin. – Wszystko jest kompletnie brudne, obawiam się, że pleśń zrujnowała niektóre z najlepszych kaftanów mego pana.

– Wszystkie zostały schowane w kredensie razem z dziecięcymi zabawkami księcia Beslana, mój panie – zaśmiał się Lopin, szarpiąc równocześnie kłapy ciemnego kaftana jak Juilin. Łysiejący mężczyzna stanowił pod każdym względem zaprzeczenie Neritna, krępy a nie kościsty, smagły nie zaś blady, jego okrągłym brzuchem nieustannie wstrząsały wybuchy śmiechu. Przez jakiś czas pośmierci Naleseana wydawało się, że pójdzie z Nerimem w zawody w westchnieniach, jak to miało miejsce we wszystkich półstałych dziedzinach aktywności, ale w miarę upływu kolejnych tygodni doszedł do siebie. Przynajmniej dopóki nikt nie wspomina, jego poprzedniego pana. – Są tylko mocno zakurzone, mój panie. Wątpię, by ktokolwiek zaglądał do tego kredensu od czasu, jak książę wyrzucił tam swoje zabawki.

Czując, że wreszcie zaczęło mu znowu dopisywać szczęście Mat kazał im powoli przenosić ubrania pod „Wędrowną Kobietę” po kilka rzeczy naraz i kieszeń złota za każdą kolejną. Jego włócznia o czarnym drzewcu, stojąca w rogu sypialni Tylin oraz nie naciągnięty łuk z Dwu Rzek, zaczekają na ostatnią chwilę. Przemycenie ich z pałacu może się okazać równie trudne jak wydostanie się samemu. Łuk zawsze mógł sobie wyciąć nowy, ale nie miał zamiaru porzucić *ashandarei*.

„Zbyt dużą cenę zapłaciłem za tę przeklętą rzecz, żeby teraz z niej zrezygnować” – pomyślał, muskając palcami bliznę pod szarfą otaczającą szyję. Pierwsza spośród zbyt wielu. Światłości, na prawdę miło byłoby wierzyć, że może spodziewać się czegoś więcej niż tylko blizn i niechcianych bitew. Oraz żony, której nie tylko nie chciał, ale nawet nie znał. Życie musi oferować coś więcej. Najpierw jednak należało cało wynieść skórę z Ebou Dar. To było rzeczą najważniejszą, priorytetową.

Lopin i Nerim uklonili się i wyszli, zabierając ze sobą równowartość dwu tłustych sakiewek, poukrywaną w różnych miejscach ubiorów, lecz natychmiast po ich wyjściu pojawiła się Tylin i zaraz chciała wiedzieć, dlaczego jego służący biegają po korytarzach, jakby ich coś goniło. Gdyby zdjął go samobójczy nastrój, mógłby jej powiedzieć, że ścigali się kto pierwszy dotrze do gospody z jego złotem, albo może, kto pierwszy zacznie czyścić jego rzeczy. Zamiast tego dołożył pewnych starań, żeby ją zmylić, a wkrótce te starania wyгнаły z jego głowy wszystkie inne myśli, wyjąwszy tylko satysfakcję z dopisującego szczęścia, które nareszcie dało o sobie znać w czymś innym niż hazard. Wszystkim czego teraz potrzebował, by zgarnąć maksymalną stawkę to, aby Aludra zdradziła mu przed wyjazdem to, co chciał wiedzieć. Wreszcie Tylin tak przyłożyła się do tego, co właśnie robiła, że zapomniał o fajerwerkach, Aludrze i ucieczce. Na chwilę.

Po krótkich poszukiwaniach w mieście, w końcu zlokalizował, ludwisarza. W Ebou Dar było

nawet sporo wyrobników gongów, jednak tylko jeden wytwórca dzwonów, który miał swoją odlewnię zachodnimi murami miasta. Sam ludwisarz, blady, niecierpliwy jegomość, pocił się w żarze wielkiego żelaznego paleniska. Jedyne długie pomieszczenie skwarnej odlewni mogło spokojnie ująć za rodzaj komnaty tortur. Z krokwi zwisały łańcuchy wyciągów, paleniska sięgały jęzory płomieni, rzucając wokół migotliwe cienie na poły oślepiając Mata. A kiedy tylko zdołał wreszcie przepędzić mruganiem powidok ognistego rozbłysku, już następna eksplozja światła wywoływała mrużenie powiek. Ociekający potem robotnicy lali stopiony brąz z tygla paleniska w kwadratową formę, wysoką na połowę wzrostu człowieka, którą pierwszej trzeba było przysunąć na rollkach. Wokół na kamiennej podłodze stały podobne do niej formy, wśród mniejszych o rozmaitych wymiarach.

– Mój pan raczy sobie żartować. – Mistrz Sutoma zmusił się do grzecznego chichotu, choć wcale nie sprawiał wrażenia rozbawionego; mokre od potu ciemne włosy częściowo zwisały mu w strąkach, częściowo przylegały do czoła. Jego chichot zresztą sprawiał wrażenie równie wycieńczonego jak zapadnięte policzki, ani na chwilę nie przestał popatrywać na swych robotników, jakby podejrzewał, że lada chwila mogą położyć się i zasnąć, jeśli nie będzie ich pilnował. Martwy nie zasnąłby w tym gorącu. Koszula przylepiła się Matowi do grzbietu, w paru miejscach plamy potu zabarwiły kaftan. – Nic nie wiem o Iluminatorach, mój panie, i wiedzieć nie chcę. Fajerwerki to tylko próżne zbytki. Nie to, co dzwony. Mogę na chwilę przeprosić mego pana? Jestem bardzo zajęty. Szlachetna Lady Suroth zamówiła trzynaście dzwonów na święto zwycięstwa, największy zespół dzwonów kiedykolwiek wykonany. A Calwyn Sutoma je odleje!

Fakt, że chodziło o zwycięstwo nad jego rodzinnym miastem, najwyraźniej wcale mu nie przeszkadzał. Liczyło się tylko, że to on odleje dzwony i tego mu starczało, by szczerzyć się i zacierać kościste dłonie.

Następnie Mat spróbował osłabić nieco determinację Aludry, ale tamta sama mogłaby być odlana z brązu. No cóż, kiedy w końcu pozwoliła mu objąć się ramieniem i pocałować, w niczym nieprzypominała zimnego metalu, jednak nawet drżąc po pocałunku, bodaj na moment nie ugięła się w postanowieniu.

– Jeśli o mnie chodzi, nie uważam za potrzebne mówić ludziom więcej niż powinni wiedzieć – szepnęła bez tchu, siedząc obok niego na wyściełanej ławeczce swego wozu. Nie pozwalała mu na nic więcej prócz pocałunków, ale jeśli o nie chodzi, okazywała mnóstwo entuzjazmu. Te cienkie warkoczyki, w jakie ostatnio splatała włosy znowu się układały. – Mężczyźni plotkują prawda? Papłasz, papłasz, papłasz, aż w końcu sam nie wiesz co powiesz w następnej kolejności. Poza tym, może specjalnie dla ciebie ułożyłam tę zagadkę, żebyś tu do mnie wrócił? – I zabrała się za wprowadzanie dalszego nieładu w swoje włosy, jak też i w jego fryzurę.

Nie przygotowywała kolejnych nocnych kwiatów, przynajmniej od czasu, kiedy poinformował ją o wydarzeniach w kapitularni w Tanchico. Dwukrotnie jeszcze odwiedzał Mistrza Sutomę jednak podczas drugiej wizyty ludwisarz nie wpuścił go za drzwi. Odlewał właśnie największe dzwony, jakie kiedykolwiek wykonano i żaden głupi obcokrajowiec ze swoimi idiotycznymi pytaniami nie będzie mu w tym przeszkadzał.

Tylin zaczęła lakierować zielono paznokcie dwu pierwszych palców na każdej dłoni, chociaż nie ogoliła jeszcze skroni. Miała zamiar, jak go poinformowała, równocześnie przed lustrem odgarniając swe loki rękoma i przypatrując się odbiciu, ale najpierw chciała się trochę przyzwyczaić do tego pomysłu. Najwyraźniej adaptowała się do obecności Seanchan i trudno było ją za to winić, mimo iż Beslan wciąż rzucał matce ponure spojrzenia.

Nie było szans, żeby mogła coś podejrzewać względem Aludry, ale następnego dnia po tym, jak

po raz pierwszy pocałował Iluminatorkę, z jej komnat zniknęły babcine pokojówki i zastąpiły je pomarszczone kobiety o zupełnie siwych włosach. Tylin zaś nabrała zwyczaju, by w nocy wbijać swój długi zakrzywiony nóż w jeden ze słupków baldachimu, żeby był pod ręką i głośno zastanawiać się, jak też on mógłby wyglądać w przezroczystych szatach *da'covale*. W gruncie rzeczy, noc nie była jedyną porą, kiedy wbijała w nóż. Uśmiechnięte służące informowały go o tym, że jest wzywany przez Tylin, mówiąc tylko, iż właśnie wbiła nóż w drewno, on zaś zaczął unikać wszystkich kobiet w liberii o uśmiechniętych obliczach. Nie chodziło nawet o to, że nie lubił chodzić z Tylin do łóżka, pominawszy może fakt, iż była królową, równie protekcyjną jak wszystkie arystokratki. Oraz o to, że czuł się przy niej niczym mysz, z której kot zrobił sobie domowe zwierzątko. Ale dzień miał tylko skończoną ilość godzin, nawet jeśli tutaj było ich zimą więcej niż w jego rodzinnych stronach, tak więc musiał się czasami zastanawiać, czy ona chce mu zabrać je wszystkie.

Na szczęście Tylin coraz więcej czasu spędzała w towarzystwie Suroth i Tuon. Adaptacja do obecności Seanchan jak się wydaje obejmowała również przyjaźń, przynajmniej z Tuon. Nikt nie był w stanie przyjaźnić się z Suroth. Tylin niejako adoptowała dziewczynę, a to może ona adoptowała ją. Tylin nie informowała go szczególnie obszernie, o czym rozmawiały, wyjąwszy tylko ogólne uwagi, a częstokroć nawet i nie tyle. Zamykały się razem na wiele godzin, albo przechadzały po korytarzach pałacu rozmawiając przyciszonymi głosami, czasami wybuchając śmiechem. Często Anath czy Selucia, złotowłosa *so'jhin* Tuon, wędrowały za nimi, a niekiedy też ponad ich ramieniem widać było twarde spojrzenia pary ze Straży Skazańców.

Nie potrafił zrozumieć na czym polega istota związków łączących Suroth, Tuon i Anath. Z pozoru Suroth i Tuon zachowywały się niczym sobie równe, mówiły do siebie po imieniu, śmiały się ze swoich żartów. Tuon z pewnością nigdy nie wydała Suroth żadnego polecenia, a przynajmniej w jego obecności, jednak Suroth najwyraźniej zwykle sugestie traktowała niczym rozkazy. Anath, z drugiej strony, dręczyła dziewczynę niemiłosiernie ostrą niczym brzytwa krytyką, nazywając ją głupią albo i gorzej.

– To jest najgorszy rodzaj głupoty, dziewczyno – usłyszał, jak pewnego południa mówiła w korytarzu. Tylin nie przysłała nikogo ze swym szorstkim zaproszeniem... jeszcze nie... on zaś próbował się wyślizgnąć wcześniej, przemykając wzdłuż ścian i zerkając zza rogów korytarzy. Miał w planach wizytę u Sutomy, a potem u Aludry. Trzy Seanchanki, cztery, jeśli liczyć Selucię, ale nie sądził, by one widziały to w podobny sposób, stały w ciasnej grupce tuż za następnym zakrętem korytarza. Niecierpliwie czekał, aż sobie pójdą, równocześnie wypatrując służącej z uśmiechem na twarzy. O czymkolwiek rozmawiały, z pewnością nie spodoba im się, jeśli wparuje w sam środek konwersacji. – Smak różgi przywróci ci właściwą postawę i oczyści głowę z tych nonsensów – Ciągnęła wysoka kobieta, głosem niby lód. – Poproś o to i załatwmy wreszcie całą sprawę.

Mat podłubał palcem w ucho, a potem potrząsnął głową, Musiał się przestyszeć. Stojąca grzecznie obok z zaplecionymi rękoma Selucia, z pewnością nie zdradzała żadnych oznak wzburzenia.

Suroth jednak aż zaparło dech.

– Za to już chyba z pewnością ją ukarzesz! – wściekle rozciągała samogłoski, wzrokiem wierząc dziury w Anath. Albo przynajmniej próbując. Wnioskując z uwagi, jaką jej poświęcała ciemnoskóra kobieta, Suroth równie dobrze mogłaby być meblem.

– Nie rozumiesz, Suroth. – Tuon westchnęła i westchnienie poruszyło woalkę skrywającą twarz. Skrywającą, ale w istocie nie ukrywającą niczego. Wyglądała na... zrezygnowaną. Prawdziwym wstrząsem było dlań, gdy dowiedział się, że jest tylko kilka lat od niego młodsza. Powiedziała by, że musi tego być co najmniej dziesięć. No, dobrze, sześć lub siedem. – Znaki mówią coś innego Anath –

spokojnie powiedziała dziewczyna, w jej głosie nie znać było gniewu. Po prostu stwierdzała fakt. – Bądź pewna, że powiem ci, kiedy zajdzie jakaś zmiana.

Ktoś klepnął go w ramię, odwrócił się i zobaczył twarz służącej, na której gościł szeroki uśmiech. No cóż, widocznie wcale mu się aż tak bardzo nie spieszyło.

Jakoś nie potrafił zapomnieć o Tuon. Cóż, kiedy mijali siew korytarzach, zachowywał się najgrzeczniej jak potrafił, w zamian ona ignorowała go równie całkowicie co Suroth lub Anath, jednak zaczynało mu się wydawać, iż te spotkania zdarzały się trochę nazbyt często.

Pewnego popołudnia, wszedł do apartamentów Tylin, wcześniej sprawdziwszy i dowiedziawszy się, że Tylin i Suroth zamknęły się razem i omawiają jakieś sprawy. A tu tymczasem zastał Tuon w sypialni, oglądała jego *ashandarei*. Zamarł widząc, jak przesuwała palcami po słowach Dawnej Mowy wyrytych na czarnym drzewcu. Wers kończył się z obu stron symbolem kruka intarsjowanym w jeszcze ciemniejszym metalu, para tych ptaków wygrawerowana została na lekko zakrzywionym grocie. Dla Seanchan kruki były symbolem imperialnym. Wstrzymując oddech, spróbował wycofać się nie przyciągając uwagi.

Ostonięta woalką twarz zwróciła się w jego stronę. Tak naprawdę śliczna twarz, można by ją nawet nazwać piękną, gdyby jej właścicielka choć raz spojrzała wzrokiem, który by nie sprawiał wrażenia, że zaraz kogoś ugryzie. Nie wydawało mu się już, że przypomina chłopca – szerokie, obcisłe paski, które zawsze nosiła uwydatniały krągłości – niemniej prawie tak było. Rzadko kiedy zdarzało mu się patrzeć na dorosłą kobietę młodszą od jego babci i nie zastanawiać się niezobowiązująco, jak by to było zatańczyć z nią albo może ją pocałować. Odnosiło się to również do tych pysznych seanchańskich kobiet Krwi, jednak nigdy taka myśl nie przyszła mu do głowy w obecności Tuon. Kobieta przecież musi mieć coś, co można otoczyć ramieniem, w przeciwnym razie po co?

– Jakoś sobie nie wyobrażam, żeby Tylin mogła coś takiego posiadać – powiedziała chłodno z miękkim akcentem, stawiając włócznię o długim ostrzu obok łuku – a więc musi należeć do ciebie. Co to jest? Skąd to masz? – Te zimne żądania wyjaśnień sprawiły, że zacisnął szczęki. Ta przekłeta kobieta równie dobrze mogłaby rozkazywać słuzącemu. Światłości, na ile się orientowała, nie wiedziała nawet jak on ma na imię! Tylin powiedziała mu, że od oferty kupna, ani razu nie zapytała o niego ani nie wspomniała o nim.

– To się nazywa włócznia, moja pani – powiedział, dławiąc w sobie pokusę, by oprzeć się o framugę drzwi i zatknąć kciuki za pas. Mimo wszystko była z seanchańskiej Krwi. – Kupiłem ją.

– Zaoferuję ci cenę dziesięciokrotnie wyższą niż zapłaciłeś powiedziała. – Wymień ją.

Omali się nie zaśmiał. Naprawdę chciało mu się śmiać, choć z pewnością nie byłby to wesoły śmiech. Nie: „czy nie zechciałbyś sprzedać”, ale: „kupię ją i oto ile zapłacę”.

– Cena nie została zapłacona w złocie, moja pani. – Mimowolnie jego dłoń powędrowała do czarnej szarfy, upewniając się że wciąż skrywa ona poszarpaną bliznę otaczającą szyję. – Tylko głupiec skłonny byłby ją zapłacić, a cóż dopiero pomnożyć przez dziesięć.

Przez chwilę przyglądała się mu, wyraz jej twarzy pozostaw niemożliwy do odczytania, niezależnie od przezroczystości woalki. I nagle, znowu mógł już zupełnie nie istnieć. Przeszła obok niego, jakby go wcale nie było i opuściła apartamenty.

Ale nie był to jedyny raz, gdy przyszło im się spotkać sam na sam. Rzecz jasna, nie zawsze towarzyszyły jej Anath lub Selucia czy też straż przyboczna, lecz zdawało mu się, że jakoś nazbyt często, kiedy decydował się po coś wrócić, spotykał ją samą, albo kiedy raptownie wybiegał z pokoju, ona stała pod drzwiami. Więcej niż raz, opuszczając pałac, spoglądał przez ramię i widział w oknie jej zawoalowaną twarz. Prawda, nie było w tym nic z jakiegoś bezczelnego gapienia się.

Obrzucała go pojedynczym spojrzeniem i odwracała się, jakby w ogóle nie istniał, zerkała przez okno i natychmiast gdy ją zobaczył, znowu wracała do pomieszczenia. Była niczym stojąca lampa w korytarzu albo kamień bruku na Mol Hara Powoli zaczynało go to irytować. Mimo wszystko ta kobieta chciała go kupić. Coś takiego może samo przez się zdenerwować każdego człowieka.

Nawet dziwne zachowanie Tuon nie potrafiło zburzyć jednaś rosnącego w nim przekonania, że wreszcie wszystko toczy się w właściwy sposób. *Gholam* nie wrócił, on zaś zaczął żywić nadzieję, że może wybrać łatwiejsze „żniwa”. W każdym razie, trzymał się z daleka od ciemnych i pustych miejsc, gdzie najłatwiej mógł go napotkać. Medalion chronił go znakomicie, ale jeszcze lepszej ochrony dostarczał gęsty tłum. Podczas jego ostatniej wizyty Aludrze prawie się coś wymasknęło – tego był pewien – zanim się opamiętała i pospiesznie wyгнаła go ze swojego wozu. Nie było takiej rzeczy, którą kobieta potrafi przed człowiekiem zataić, jest dostatecznie często będzie ją całował. Trzymał się z dala od „Wędrowniej Kobiety”, żeby nie wzbudzać podejrzeń Tylin, ale Nerim i Lopin systematycznie i zręcznie przemycali jego rzeczy do piwnicy gospody. Moneta za monetą, już połowa zawartości okutej żelazem szkatułki przewędrowała spod łóżka Tylin do otworu pod posadzką kuchni w gospodzie.

Zresztą tamta skrytka też zaczynała go trochę niepokoić. Była jak najbardziej odpowiednia na ukrycie szkatułki, próbując ją rozbić, można by skruszyć niejedno dłuto. Poza tym wówczas on mieszkał na piętrze gospody. Teraz jednak jego złoto trafiało po prostu zwyczajnie luzem do dziury po tym jak Setalle pozamiatała kuchnię. A co, jeśli ktoś się zacznie zastanawiać, dlaczego ona wygania wszystkich po przyjsciu Lopina i Nerima? Każdy przecież mógł unieść ten kamień, gdyby wiedział, gdzie patrzeć. Musi się osobiście upewnić, czy wszystko w porządku. Dopiero potem, długo potem będzie się zastanawiać, dlaczego te przeklęte kości go nie ostrzegły.

# TRZY KOBIETY

Kiedy Mat wędrował przez Mol Hara, wiatr dął z północy a słońce jeszcze na dobre nie wzeszło, co wedle lokalnych mieszkańców miało zwiastować deszcz – i faktycznie, niebo szczelnie zaciągnięte chmurami zdawało się potwierdzać tę mądrość. Z wspólnej sali „Wędrownej Kobiety” zniknęli oczywiście ci goście, których miał tam okazję widzieć wcześniej, tym razem nie było ani jednej *sul'dam* czy *damane*, jednak wciąż pełna była Seanchan i fajkowego dymu. Muzykanci też jeszcze się nie pojawili. Większość zajęta była śniadaniem, niektórzy niepewnie wpatrywali się w swoje miski, jakby nie do końca przekonani do zaproponowanego posiłku – sam żywił podobne uczucia wobec dziwnej białej owsianki, konsumowanej na śniadanie w Ebou Dar – ale nie wszyscy jedli. Przy jednym stole trzej mężczyźni i kobieta w długich haftowanych szatach oddawali się grze w karty i paleniu, ich głowy ogolone były na modłę pomniejszej szlachty. Złoto na ich stole na moment przykuło uwagę Mata, grali o naprawdę wysokie stawki. Największy stos monet spoczywał przed drobnym ciemnowłosym mężczyzną, o skórze czarnej jak Anath, który uśmiechał się drapieźnie do swych przeciwników, zagryzając bardzo długi cybuch fajki o srebrnej główce. Mat jednak dysponował własnym złotem, a szczęście dopisujące mu w kartach nigdy nie dorównywało szczęściu w kościach.

Okazało się jednak, że pani Anan jeszcze pod osłoną ciemności poszła załatwić to czy tamto, o czym poinformowała gości córka, Marah, której powierzono pieczę nad gospodą. Marah była przyjemnie pulchna, miała te same wielkie, śliczne oczy o migdałowej barwie co matka, suknie miała po lewej stronie podszyte aż do pół uda, coś, na co pani Anan nie zgodziłaby się w czasach, gdy jeszcze Mat u niej mieszkał. Nieszczerólnie ucieszyła się na jego widok, zmarszczyła brwi, gdy tylko podszedł bliżej. W czasie, gdy tu wynajmował pokój, z jego ręki padło dwóch ludzi – byli to złodzieje, którzy nadto chcieli go zabić, ale takie rzeczy nie zdarzały się pod „Wędrowną Kobieta”. Kiedy się wówczas wyprowadzał, wyraźnie dała mu do zrozumienia, że przyjmuje ten fakt z zadowoleniem.

Marah również nieszczerólnie interesowało, czego teraz sobie życzy, on zresztą nie mógł jej wyjaśnić. Tylko pani Anan wiedziała o skrytce pod posadzką w kuchni, przynajmniej taką żywił nadzieję, z pewnością zaś nie miał zamiaru dzielić się tą informacją we wspólnej sali. A więc zmyślił na poczekaniu opowiadkę o tym, jak to zatęsknił za serwowanymi przez kucharza potrawami i zerkając na tę podpiętą spódnicę, zasugerował, że być może tęsknił za czymś jeszcze. Nie potrafił pojąć, dlaczego odślonięcie odrobiny halki miałoby uchodzić za skandaliczne, skoro wszystkie kobiety paradowały po Ebou Dar ukazując piersi do połowy, a jeśli Marah czuła się tak frywolnie, kilka komplementów specjalnie mu nie zaszkodzi. Uśmiechnął się więc najlepiej jak potrafił.

Pół ucha nastawiając jego umizgom, Marah schwyciła za ramię przechodzącą obok służącą, prawdziwą kotkę o mglistych oczach, którą swego czasu zdążył bliżej poznać.

– Kubek Kapitana Powietrza Yulana jest prawie pusty, Caira – powiedziała gniewnie. – Masz przecież zawsze dbać o to, by był pełny! Jeśli nie potrafisz wykonywać swojej pracy, dziewczyno, to zaręczam ci, że w Ebou Dar jest wiele takich, które będą potrafiły! – Caira, kilka lat starsza od Marah, ukłoniła się szyderczo. I równocześnie obrzuciła Mata złym spojrzeniem. Zanim jednak na dobre zdążyła unieść się z ukłonu, Marah schwytała chłopaka, który przechodził obok, z uwagą balansując tacą pełną brudnych naczyń. – Przestań się wałkonić, Ross! – warknęła. – Jest robota do zrobienia. Zrób ją, albo zaprowadzę cię do stajni, a to ci się na pewno nie spodoba, zaręczam ci!

Młodszy brat Marah popatrzył na nią ze złością.

– Nie mogę się już doczekać wiosny, kiedy znowu będę mógł pracować na łodzi – mruknął ponuro. – Od czasu, gdy Frielle wyszła za mąż, jakby coś w ciebie wstąpiło. Co, tylko dlatego jest młodsza, a ciebie jeszcze nikt nie poprosił o rękę... – Próbowała zdzielić go w ucho. Wprawdzie łatwo uniknął szturchańca jednak kubki i talerze na tacy zagrzechotały, omal nie spadając. – Dlaczego zwyczajnie nie pójdziesz z tą podwiniętą spódnicą do doków? – krzyknął, zmykając, zanim zdążyła zamierzyć się ponownie.

Kiedy w końcu całą uwagę zwróciła na Mata, ten westchnął. Podpinanie halek było dlań czymś nowym, jednak z wyrazu twarzy Marah mógł sobie dośpiewać resztę. Równie dobrze mogłaby puszczać parę uszami.

– Jeśli chcesz coś zjeść, musisz przyjść później. Albo jeśli bardzo ci zależy, możesz zaczekać. Nie wiem, kiedy zostaniesz obsłużony.

Uśmiechnęła się naprawdę złośliwie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zdecydowałby się na czekanie w tej sali. Każde miejsce zajęte było przez Seanchanina, kolejni Seanchanie stali tworząc wystarczający tłok, aby służące w fartuchach musiały się między nimi ostrożnie przepychać, unosząc nad głowy tace z napojami i jedzeniem. Cairra napełniała właśnie kubek niskiego czarnego męczyzny, częstując go tym rodzajem namiętych uśmiechów, jakie niegdyś na jej obliczu wywoływała obecność Mata. Nie miał pojęcia, za co ona się nań gniewa, ale obecnie kolejna kobieta w jego życiu to by było zdecydowanie za dużo. Poza tym, co to za ranga Kapitan Powietrza? Będzie musiał to sprawdzić. Później.

– Poczekam w kuchni – poinformował Marah. – Chciałbym powiedzieć Enid, jak bardzo przepadam za jej jedzeniem.

Już zaczęła protestować, lecz uciszył ją podniesiony głos jakiejś Seanchanki, domagającej się wina. W niebiesko-zielonej zbroi, z ponurym wzrokiem i hełmem z dwoma piórami pod pachą, żądała strzemiennego, zaraz. Wszystkie służące były zajęte, dlatego też Marah tylko skrzywiła się do niego i pospieszyła na wezwanie tamtej. Po drodze próbowała przywołać miły uśmiech na twarz. Nie bardzo jej się udało. Mocno dzierżąc kostur, Mat uklonił się jej plecami.

Smakowite wonie, które we wspólnej sali mieszały się z dymem fajkowym, kuchnię wypełniały bez reszty – pieczona ryba, świeży chleb, mięso skwierczące na rożnie. Od żaru pieców, piekarników i ognia płonącego na długim ceglany kominku w kuchni panował prawdziwy upał, sześć spoconych kobiet i trzech kuchcików uwijało się do wtóru poleceń szefowej. W śnieżnobiałym fartuchu, noszonym z dumą przysługującą królewskiej purpurze, z długą łyżką, która w ramach jej domeny zamieniała się w prawdziwe berło, Enid była równocześnie najgrubszą kobietą, jaką Mat w życiu widział. Nie sądził, by był w stanie otoczyć ją ramionami, nawet gdyby bardzo się starał. Poznała go od razu i złośliwy uśmiech szeroko rozciął oliwkowe oblicze.

– A więc sam się przekonałeś, że miałam rację – powiedziała celując w niego końcem łyżki. – Porwałeś niewłaściwy melon, a ten okazał się morlewiec w przebraniu, a ty dla niego tylko tłustym chrząkaczem. – Odrzuciła głowę do tyłu i zaniósła się donośnym śmiechem.

Mat wbrew sobie również spróbował wyszczerzyć zęby. Krew i krwawe popioły! Naprawdę wiedzieli wszyscy!

„Muszę się wynieść z tego przeklętego miasta” – pomyślał ponuro – „w przeciwnym razie przez resztę życia będę zmuszony wysłuchiwać, jak się ze mnie śmieją!”

Nagle jego obawy o ukryte złoto wydały mu się głupie. Szary kamień w posadzce kuchni z pozoru siedział niewzruszenie na swoim miejscu, niczym nie różniąc się od innych. Aby go podnieść trzeba było znać odpowiedni trik. Lopin i Nerim donieśliby mu, gdyby między ich wizytami zniknęła



choć jedna moneta. Pani Anan zaś z pewnością dawno już by wysłedziła i obdarła ze skóry winowajcę, gdyby ktokolwiek odważył się kraść w jej gospodzie. Równie dobrze mógł ruszać w dalszą drogę. Może o tej godzinie dnia żelazna wola Aludry nieco osłabnie. Może ona zaproponuje mu śniadanie. Wyślizgnął się z pałacu, nie biorąc nic na ząb.

Tak więc, aby nie pogłębiać ciekawości odnośnie przyczyn swej wizyty, poinformował Enid jak bardzo przepada za rybą na złoto, którą przyrządzała o ileż lepiej niżli kucharze Pałacu Tarasin, w czym zresztą wcale nie odbiegał od prawdy. Enid była niesamowita. Teraz, komplementowana, aż pojaśniała i ku jego zaskoczeniu porwała wzmiankowaną potrawę z piekarnika i położyła na talerz – specjalnie dla niego. Po prostu ktoś we wspólnej sali poczeka odrobinę dłużej, wyjaśniła mu, stawiając talerz na skraju długiego blatu. Na jeden znak długą łyżką, krępy kuchcik przyniósł zydela.

Na widok flądry w złotej skorupce, poczuł jak do ust napływa mu ślina. Aludra z pewnością nie będzie o tej porze bardziej uległa niż zwykle. A na dodatek może się zdenerwować, że nie pokoi ją tak wcześnie, może nawet w ogóle nie dać mu śniadania. Głośno zaburczało mu w brzuchu. Powiesił płaszcz na kołku przy drzwiach na podwórze stajni, oparł obok swój kostur, kapelusz wetknął pod zydela i podwinął koronki, żeby się nie ubrudził w talerzu.

Kiedy wreszcie pani Anan pojawiła się w tylnych drzwiach kuchni i zrzuciła z siebie płaszcz, strząsając na posadzkę strugi wody, z ryby nie pozostało nic prócz charakterystycznego smaku na języku i kupki białych ości na talerzu. Od czasu przybycia do Ebou Dar nauczył się znajdować przyjemność w rozmaitych dziwnych rzeczach, jednak wpatrzony weń oczy zostawił nietknięte. Znajdowały się po tej samej stronie rybiej głowy!

Gdy podniósł do ust lnianą serwetkę, do kuchni w ślad za panią Anan wślizgnęła się druga kobieta. Szybko zamknęła za sobą drzwi, ale nie zdjęła mokrego płaszcza, ani nawet nie odrzuciła głęboko nasuniętego kaptura. Podnosząc się, pochwycił mgnienie oblicza w jego wycięciu i omal nie przewrócił zydła. Udało mu się przed kobietami ukryć tak dramatyczny wyraz zaskoczenia, obarczając winą słabą nogę, lecz w głowie mu aż wirowało.

– Dobrze, że cię tu zastałam, mój panie – żywo zagaiła pani Anan, podając płaszcz któremu z kuchcików. – Bo w przeciwnym razie musiałabym po ciebie posłać. Enid, opróżnij proszę kuchnię i obserwuj drzwi. Muszę rozmówić się z młodym lordem na osobności.

Kucharka energicznie wygnała podkuchenne i kuchcików w podwórze stajni, nie zwracając uwagi na protesty, że pada i ciche skargi, że jedzenie się przypali. W głosach zresztą pobrzmiwał, swoista pełna rezygnacji rutyna, widać było, że wszyscy, łącznie z samą Enid, są do tego przyzwyczajeni. Enid zresztą nawet ni, spojrzała na panią Anan i jej towarzyszkę, tylko od razu wyszła przed drzwi wiodące do wspólnej sali, trzymając łyżkę uniesioną niczym miecz.

– Co za niespodzianka – powiedziała Joline Maza, odrzucając kaptur. Ciemna wełniana sukienka, z głębokim dekoltem na lokalną modłę wisiała na niej luźno, sprawiając wrażenie znoszonej i wystrzępionej. Beztraska postawa pozostawała jednak w całkowitej sprzeczności z wrażeniem wywieranym przez ubiór. – Kiedy ani Anan powiedziała, że zna człowieka, który może zabrać mnie z Ebou Dar, nawet mi przez myśl nie przeszło, iż chodzi o ciebie. – Śliczna, brązowooka, uśmiechała się prawie równie gorąco, co Cairra. Tyle, że uśmiech ten gościł na pozbawionejślądu upływu lat twarzy, która aż krzyczała: Aes Sedai. A od kilku dziesiątek Seanchan po drugiej stronie drzwi oddzielała ich tylko kucharka zbrojna w łyżkę.

Joline zdjęła płaszcz i odwróciła się, by powiesić go na jednym z kołków, równocześnie pani Anan zdusiła w gardle zirytowane mruknięcie.

– Tu jeszcze nie jest bezpiecznie, Joline – powiedziała takim tonem, jakim mogłaby się zwracać do własnych córek nie zaś do Aes Sedai. – Póki nie znajdziesz się w miejscu całkowicie...

Nagle pod drzwiami do wspólnej sali powstało jakieś zamieszanie, Enid krzyczała, że nikt nie może wejść do środka, a głos nieomal równie głośny, tyle że z seanchańskim akcentem, domagał się, by odstąpiła na bok.

Nie zwracając uwagi na protestującą nogę, Mat zareagował szybciej niż pewnie mu się kiedykolwiek zdarzyło – schwycił Joline w tali i opadł na ławkę w pobliżu tylnich drzwi z Aes Sedai na kolanach. Przycisnął ją mocno i udawał, że całuje. Był to nieco niemądry sposób ukrycia jej twarzy, jednak oprócz narzucenia jej płaszcza na głowę nic innego mu nie przychodziło do głowy. Urażona aż westchnęła, niemniej w końcu usłyszała też seanchański głos i strach rozszerzył jej oczy. W jednej chwili otoczyła go radonami. Modląc się do swego szczęśliwego losu, patrzył na otwierające się drzwi.

Enid nie przestając w głos protestować, tyłem wkroczyła do kuchni. Przez cały czas wygrażała łyżką *so'jhin* w mokrym płaszczu na grzbiecie, który pchał ją przed sobą. Mocno zbudowany, zachmurzony mężczyzna z krótkim warkoczem nie sięgającym nawet do ramion, wolną dłońią osłaniał się przed większością zadawanych mu ciosów, pozostałe zaś ignorował. Był pierwszym *so'jhin* z brodą, jakiego Matowi zdarzyło się widzieć, broda zresztą nadawała jego obliczu dziwnie krzywy wyraz – spływając po prawym policzku i wspinając się po lewym aż do pół ucha. W ślad za nim szła wysoka kobieta o ostrych błękitnych oczach patrzących z surowej twarzy, odrzucając do tyłu poły wyszukanie haftowanego niebieskiego płaszcza, spiętego pod szyją srebrną szpilką w kształcie miecza, spod którego wзираła sukienka w kolorze bledszego błękitu. Jej krótkie ciemne włosy wygolone były wysoko ponad uszy, zostawiając tylko odrobinę na czubku czaszki. Lepiej ona niż *sul'dam* z *damane*. Trochę lepiej. Enid zdała sobie w końcu sprawę, że bitwa już przegrana i odeszła na bok, jednak ze sposobu w jaki ścisnęła wciąż swą łyżkę i spoglądała na tamtego widać było, że tylko czeka na jedno słowo pani Anan.

– Człowiek przed frontem gospody powiedział, że karczmarka weszła od tyłu – oznajmił *so'jhin*. Patrzył na Setalle, choć kątem oka wciąż obserwował Enid. – Jeśli jesteś Setalle Anan, wiedz, iż masz przed sobą Zielonego Kapitana lady Egeanin Tamarath, ona zaś dysponuje rozkazem zakwaterowania tutaj podpisanym przez samą Szlachetną Lady Suroth Sabelle Meldarath. – Ton jego głosu zmienił się, w mniejszym stopniu przypominał teraz oficjalne obwieszczenie, bardziej zaś głos człowieka wyciągającego rękę do zgody. – Tylko muszą być to twoje najlepsze pokoje, z dobrym łóżkiem i widokiem na plac, jak też z kominkiem, który nie będzie dymił.

Kiedy tamten zaczął mówić, Mat wzdrygnął się, a Joline, być może sądząc, że ktoś po nią idzie, jęknęła ze strachu, wciąż przyciskając usta do jego ust. Jej oczy lśniły od zbierających w nich łez, sama zaś drżała niepowstrzymanie. Kiedy Joline jęknęła, lady Egeanin Tamarath zerknęła na ławkę, potem skrzywiła się z niesmakiem i odwróciła się, jakby chcąc za wszelką cenę uniknąć widoku migdalącej się pary. Mata znacznie bardziej intrygował *so'jhin*. W jaki sposób, na Światłość, mógł Illianin zostać *so'jhin*? Poza tym ten człowiek wyglądał poniekąd znajomo. Z czego jednak nie należało wyprowadzać daleko idących wniosków, mogła to być jedna z tych tysięcy dawno pogrążonych w przeszłości twarzy, których nie potrafił przegnać ze swej głowy.

– Jestem Setalle Anan, a moje najlepsze pokoje zajmuje Kapitan Powietrza lord Abaldar Yulan – spokojnie oznajmiła pani Anan, bynajmniej nie onieśmielona ani obecnością *so'jhin*, ani szlachcianki Krwi. Zaplotła ręce na piersiach. – Drugie w kolejności najlepsze moje pokoje zajmuje Generał Sztandaru Furyk Karede. Ze Straży Skazańców. Nie mam pojęcia, czy Zielony Kapitan jest wyższy rangą, tak czy siak, sami między sobą będziecie musieli rozstrzygnąć, kto zostaje, a kto musi przenieść się gdzie indziej. Osobiście zdecydowanie obstaję przy zasadzie nie wyrzucania żadnego gościa z Seanchan. Dopóki płaci.

Mat zeszczywniał, czekając na wybuch – Suroth kazałaby ją wychłostać za znacznie bardziej wstrzemięźliwe słowa! – ale Egeanin uśmiechnęła się tylko:

– To prawdziwa przyjemność mieć do czynienia z kimś, komu nie brakuje zimnej krwi – powiedziała z miękkim akcentem. – Sądzę, że dobrze się między nami ułoży, pani Anan. Oczywiście, jeśli nie okażesz przesadnie dużo zimnej krwi. Kapitan wydaje rozkazy, zaś załoga je wykonuje, jednak nigdy nie zmuszałam nikogo, by czołgał się po moim pokładzie. – Mat zmarszczył brwi. Pokład. Pokład statku. Dlaczego miał wrażenie, jakby to poruszało jakąś strunę w jego głowie? Te dawne wspomnienia czasami stanowiły prawdziwe uprzykrzenie.

Pani Anan pokiwała głową, na moment nie odrywając spojrzenia od błękitnych oczu Seanchanki.

– Ja sobie życzysz, moja pani. Mam nadzieję jednak, iż nie zapomnisz, że „Wędrowną Kobieta” jest moim okrętem. – Na szczęście dla niej Seanchanka miała poczucie humoru. Roześmiała się.

– Wobec tego bądź kapitanem swego statku – zachichotała – a ja będę Złotym Kapitanem. – Cokolwiek to miało znaczyć. Egeanin z westchnieniem pokręciła głową. – Światłości broń przed kłamstwem, z pewnością wielu tu obecnych nie przewyższam rangą, Jednak Suroth chce mnie mieć pod ręką, tak więc ktoś będzie się musiał przeprowadzić na niższe piętro, a ktoś inny się wyprowadzić, chyba że zechcą mieszkać ciasniej. – Nagle zmarszczył, brwi, wykonała ruch głową, jakby chciała spojrzeć na Mata i Joline, a jej usta znów wykrzywiły się w niesmaku:– Mam nadzieję że nie pozwalasz wszędzie na takie rzeczy, pani Anan?

– Zapewniam cię, że czegoś takiego nigdy już nie zobaczysz pod moim dachem – gładko odparła karczmarka.

*So'jhin* również wpatrywał się w Mata i kobietę siedzącą na jego kolanach z dostatecznym zainteresowaniem, by Egeanin musiała pociągnąć go za rękaw. Wzdrygnął się wtedy i wyszedł za nią do wspólnej sali. Mat odchrząknął z pogardą. Tamten mógł sobie udawać, iż wzburza go to w takim samym stopniu, co jego panią ale Mat słyszał różne rzeczy na temat świąt w Illian, które były ponoć równie rozpasane, co święta w Ebou Dar, kiedy to ludzie biegali po ulicach na poły – lub całkiem – rozebrani. Nie wspominając zresztą o *da'covale* lub tych tancerkach masłosza, o których tyle opowiadali żołnierze.

Kiedy drzwi z hukiem zatrzasnęły się za tamtą dwójką, chciał od razu zdjąć Joline z kolan, ale ona przyłgnęła doń z całej siły, wtuliła głowę w jego ramię, płacząc cicho. Enid wydała z siebie głośne westchnienie ulgi i ciężko oparła się o blat stołu, jakby nagle zmiękły jej kości. Nawet pani Anan wydawała się głęboko poruszona. Osunęła się na zydel, który Mat opuścił przed całym wydarzeniem i schowała głowę w dłoniach. Trwało to jednak tylko moment, natychmiast prawie poderwała się znowu.

– Policz do pięćdziesięciu i potem weź ich wszystkich z tego deszczu, Enid – oznajmiła żywo. Nikt nie poznałby, że jeszcze chwilę temu drżała. Schwyciła płaszcz Joline z kołka, ze szkatułki na gzymsie kominka wyjęła długą drzazgę i zapaliła ja w ogniu płonącym pod rożnem. – Jeśli mnie będziesz potrzebować, to jestem w piwnicy, jeśli jednak ktoś spyta, to nie wiesz gdzie jestem. Póki nie powiem inaczej, na dół nie ma prawa zejść nikt poza tobą i mną. – Enid skinęła głową, jakby takie polecenia były czymś jak najbardziej zwyczajnym. – Przyrowadź ja – rozkazała Matowi karczmarka – i nie ociągaj się. Jeśli musisz, ponieś ją.

Musiał ją nieść. Wciąż szlochając prawie bezgłośnie, Joline nie chciała go puścić, a nawet nieść głowy z jego ramienia. I choć, dzięki Światłości, nie była ciężka, to czuł tępy ból w nodze, gdy wędrował ze swym brzemieniem w ślad za panią Anan ku drzwiom do piwnicy. Mimo dokuczającej nogi, mógłby nawet niezłe się bawić, gdyby tylko pani Anan nie robiła wszystkiego tak

powoli.

Jakby w promieniu stu mil nie było żadnych Seanchan, najpierw zapaliła lampę na półeczce przy grubych drzwiach, potem uważnie zdmuchnęła drzazgę, następnie wsadziła na miejsce osłonę, wreszcie odłożyła dymiącą drzazgę na małą blaszaną tackę. Niespiesznie wyciągnęła z sakwy przy pasku długi klucz. Otworzyła żelazny zamek, na koniec zaś gestem dała mu znak, że ma wejść do środka. Schody za drzwiami były dość szerokie, żeby można po nich wnosić beczki, ale za to strome, wiodły prosto w ciemność. Posłuchał jej rozkazu, jednak na drugim stopniu przystanął, czekając aż zamknie drzwi na zamek i pójdzie przodem, oświetlając mu drogę lampą. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, to spaść z tych schodów.

– Często to robisz? – zapytał, poprawiając pozycję Joline. Przestała już płakać, wciąż jednak kurczowo się go trzymała, drżąc. – Mam na myśli ukrywanie Aes Sedai?

– Doszły do mnie szept, że jakaś siostra wciąż jest w mieście – odparła pani Anan i udało mi się ją znaleźć, zanim zrobili to Seanchanie. Nie mogłam przecież zostawić siostry na ich łaskę. – Zerknęła ze złością przez ramię, jakby prowokując go by zaprzeczył. Chciał, ale nie potrafił dobyć z siebie słowa. Podejrzewał, że każdemu pomógłby uciec przed Seanchanami, gdyby tylko powstała możliwość, poza tym miał dług u Joline Maza.

„Wędrowną Kobieta” była naprawdę dobrze zaopatrzoną gospodą, nic dziwnego więc, że piwnice miała sporą. Między stojącymi na kozłach baryłkami wina i wiodły wąskie przesmyki, wysokie, zbite z desek skrzynie pełne były ziemniaków i rzepy, je również ustawiono tak, by nie dotykały podłogi, na rzędach wysokich półek leżały worki suchej fasoli, grochu i pieprzu, oraz stosy drewnianych skrzyń, w których Światłość jedna wie, co się jeszcze znajdowało. Nigdzie prawie nie było kurzu, niemniej powietrze miało charakterystyczny suchy zapach, cechujący właściwie zaprojektowane magazyny.

Od razu zauważył swoje rzeczy, schludnie złożone na opróżnionej półce – chyba że to jeszcze ktoś inny tu składował swoją garderobę – ale nie miał czasu bliżej im się przyjrzeć. Pani Anan zawiodła ich na przeciwległy kraniec piwnicy, gdzie wreszcie mógł posadzić Joline na przewróconym antałku. Musiał siłą odrywać jej ręce. Pociągnęła nosem, wyjęła z rękawa chusteczkę, a potem wytarła zaczerwienione oczy. Z zaczerwienieniami na twarzy nie bardzo przypominała idealny wizerunek Aes Sedai, mniejsza już o znoszoną suknię.

– Jej nerwy są w strzępach – zauważyła pani Anan, stawiając lampę na baryłce, która również stała dnem do góry, szpuntu nie było. Na podłodze stało tu kilka innych pustych baryłek, również pozbawionych szpuntów, najwyraźniej czekając na powrót do browaru. – Ukrywała się od samego przybycia Seanchan. W ciągu ostatnich kilku dni jej Strażnik musiał ją kilka razy przeprowadzać, ponieważ Seanchanie postanowili nie poprzestawać na ulicach i zaczęli rewidować budynki. Dość tego, by każdy się załamał, jak mniemam. Wątpię jednak, żeby tutaj mieli jej szukać.

Pomyślawszy o tych wszystkich oficerach na górze, Mat doszedł do wniosku, że chyba miała rację. Wciąż był zadowolony, że to nie on bierze na siebie główne ryzyko. Przyklęknął przed Joline i jęknął, gdy znowu odezwała się noga.

– Pomogę ci, jeśli będę mógł – powiedział. Jak niby, tego sobie nie potrafił wyobrazić, ale dług to rzecz honorowa. – Na razie powinnaś się cieszyć, że dotąd udało ci się im umykać. Teslyn nie miała tyle szczęścia.

Joline oderwała chusteczkę od oczu i spojrzała na niego ze złością.

– Szczęścia? – wypluła z siebie ze złością. Gdyby miał przed sobą inną kobietę niż Aes Sedai, podejrzewałby ją, że z tą wysuniętą wargą po prostu się dąsa. – Mogłam uciec! Jak słyszałam, pierwszego dnia panowało kompletne zamieszanie. Aleja leżałam bez przytomności. Fen i Blaeric

ledwie wynieśli mnie z pałacu zanim Seanchanie obleźli go niczym robactwo, a dwóch ludzi niosących kulejącą kobietę stanowiło widok wystarczająco niezwykły, żeby się wystraszyli i nie dotarli do bram miasta, nim było za późno. Cieszę się, że Teslyn złapali! Cieszę się! Ona mi coś zadała, nie mam żadnych wątpliwości! Dlatego właśnie Fen i Blaeric nie mogli mnie dobudzić, dlatego musiałam później spać w stajniach i ukrywać się bocznych uliczkach, wciąż lękając się, że te potwory mnie znajdą. Zasłużyła sobie!

Mat aż zamrugał w obliczu tej tyrady. Wątpił, by kiedykolwiek wcześniej słyszał w czyimś głosie tyle najczystsze go jadu, nawet odwoławszy się do tych starych wspomnień. Pani Anan również obserwowała Joline spod zmarszczonych brwi, a jej dłoń drżała.

– Tak czy siak, pomogę ci na ile to tylko w mojej mocy – powiedział szybko, wstając, żeby w każdej chwili móc wkroczyć między dwie kobiety. Nie uważał wprawdzie, aby pani Anan mogła uderzyć Joline, niezależnie od tego czy ta była Aes Sedai, ale Joline chyba nie bardzo była w stanie wziąć pod uwagę możliwość, iż na górze znajduje się *damane* zdolna natychmiast wyczuć to, co ona zrobi tamtej w odwecie. Wszystko i tak sprowadzało się do jednego: Stwórca powołał na świat kobiety, aby mężczyźni nie mieli za łatwo. W jaki sposób, na Światłość, miał wy dostać Aes Sedai z Ebou Dar? – Mam wobec ciebie dług.

Delikatny mars pojawił się na czole Joline.

– Dług?

– Notatka, w której prosiłaś mnie, abym ostrzegł Nynaeve i Elayne – odpowiedział powoli. Obliznął wargi i dodał: – Ta, którą zostawiłaś na mojej poduszce.

Dłonią wykonała niedbały gest, jednak jej oczy, skupione na jego twarzy, nawet nie mrugnęły.

– Wszystkie zobowiązania jakie masz wobec mnie, możesz uznać za niebyłe w dniu, gdy znajdziemy się razem za murami miasta, Macie Cauthon – powiedziała w sposób równie królewski, w jaki mogłaby się wypowiadać władczyni ze swego tronu.

Mat z wysiłkiem przełknął ślinę. Notatka trafiła jakimś sposobem do kieszeni jego kaftana, a nie na poduszkę. A to znaczyło, że się pomylił względem tego, komu zawdzięcza tamto ostrzeżenie.

Odszedł, nie wytykając Joline kłamstwa – a było to kłamstwo nawet jeśli sprowadzało się wyłącznie do tego, że nie wyprowadziła go z błędu – pani Anan również o tym nie poinformował. Sam musiał sobie z tym poradzić. Nie czuł się z tym dobrze. Żałował że cała sprawa w ogóle wyszła na jaw.

Kiedy znalazł się z powrotem w Pałacu Tarasin, poszedł prosto do apartamentów Tylin i pierwsze, co zrobił, to rozwiesił mokry, płaszcz na fotelu. Grube krople deszczu bębniły o szyby. Połogi kapelusz na jednej z rzeźbionych i połączonych toaletek, wytarł twarz i dłonie, a potem przez chwilę rozważał zmianę kaftana. W paru miejscach wilgoć przesiąkła przez płaszcz. Tu i tam kaftan, był wyraźnie mokry. Mokry. Światłości!

Warknął z niesmakiem, zwinął w kłęb pasiasty ręcznik i rzucił go na łóżko. Zwlekał, niemalże mając nadzieję, że Tylin wejdzie do środka, wbije nóż w słupek łóżka, a wtedy będzie mógł odsunąć od siebie to, co musiał zrobić. Musiał. Joline nie zostawiła mu wyboru.

Struktura pałacu była raczej dość prosta, jeśli chciało się spojrzeć na to w ten sposób. Służba mieszkała na najniższym piętrze tam, gdzie kuchnie, a część nawet w piwnicy. Na kolejnym piętrze mieściły się komnaty, do których wstęp mieli petenci spoza pałacu i ciasne biura urzędników, na trzecim zaś pokoje dla zwykłych gości – większość zajmowała obecnie seanchańska szlachta Krwi. Na najwyższym piętrze apartamenty Tylin i komnaty dla gości honorowych, jak Suroth, Tuon i jeszcze kilkoro. Nie należało jednak zapominać, że nawet pałac miał strychy, albo przynajmniej cos w tym rodzaju.

Mat zatrzymał się u stóp klatki schodowej, skrytej za całkiem niewinnie wyglądającym rogiem korytarza – gdzie z pewnością nikogo nie kłuła w oczy – wciągnął głęboki oddech i powoli ruszył w górę. Schody zawiodły go do wielkiego pozbawionego okien pomieszczenia z niskim sufitem, wyłożonego nieheblowanymi deskami. Na przybycie Seanchan opróżniono je z uprzedniej zawartości, a uzyskaną przestrzeń wypełniono mozaiką maleńkich drewnianych pokoików, każdy z własnymi drzwiami. Proste stojące lampy z żelaza oświetlały wąskie korytarzyki. Deszcz głośno bębnił o dachówki, tuż nad głową. Na ostatnim stopniu schodów Mat przystanął ponownie i dopiero wtedy zaczął znowu normalnie oddychać, gdy upewnił się, że nie słyszy niczych kroków. Zza drzwi któregoś pokoiku dobiegał kobiecy płacz, ale najwyraźniej żadna *sul'dam* nie miała się pojawić i dopytywać, co też on tu robi. Jeśli uwinie się szybko, z pewnością w końcu dowiedzą się o jego bytności, ale najpierw zdoła znaleźć tę, dla której tu przyszedł.

Kłopot polegał na tym, że nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. Podszedł do pierwszych z brzegu drzwi i zajrzał do środka. Kobieta Atha'an Miere w szarych szatach siedziała z rękoma zaplecionymi na podołku. Umeblowanie składało się właściwie tylko z umywalni z miską i dzbanem oraz niewielkiego lusterka na ścianie. Z kilku kołków w ścianie zwisał rząd szarych sukienek. Zbudowana z segmentów srebrna smycz *a'dam* biegła lekko zwisającym łukiem od srebrnej obroży na jej szyi do srebrnej bransolety zawieszanej na haku wbitym w ścianę. Dzięki temu *damane* mogła dosięgnąć każdego miejsca w pomieszczeniu. Maleńkie otwory po kolczykach i kółku w nosie nie zdążyły jeszcze się do końca zrosnąć. Wyglądały jak rany. Na widok otwierających się drzwi zareagowała grymasem strachu, który jednak szybko przeszedł w namysł. Oraz może i nadzieję.

Bez słowa zamknął drzwi.

„Nie mogę uratować ich wszystkich” – pomyślał, tłumiąc ukłucie smutku. – „Nie mogę!” – Światłości, ależ nienawidził tej myśli.

Za kolejnym trojgiem drzwi odkrył identyczne pokoiki, w każdym zaś kobietę Ludu Morza – jedna z nich płakała głośno, leżąc na łóżku. Za kolejnymi drzwiami zobaczył śpiącą słomianowłosą kobietę – każdorazowo luźna *a'dam* wisiała na haku. Te drzwi zamknął delikatnie, jak wówczas, kiedy próbował sprzed samego nosa pani al'Vere zwędzić kawałek ciasta. Śpiąca wcale nie musiała być Seanchanką, jednak wolał nie ryzykować. Kilkanaścioro drzwi dalej mógł wreszcie głęboko westchnąć z ulgą i po raz pierwszy zamknąć drzwi za sobą.

Teslyn Baradon leżała na łóżku z głową wspartą w dłoniach. Tylko ciemne oczy poruszały się, wpatrując w niego przesywająco. Nie odezwała się słowem tylko patrzyła, jakby chcąc wywiercić mu dziury w czaszce.

– To ty wsadziłaś mi kartkę do kieszeni kaftana – powiedział cicho bez wstępów. Ściany tu były cienkie, wciąż mógł słyszeć tamten płacz. – Dlaczego?

– Elaida chce dostać te dziewczyny w swoje ręce równie mocno, jak pragnęła berła i stuły – zwyczajnie odrzekła Teslyn, nie poruszając się nawet odrobinę. Jej głos wciąż był opryskliwy, wszelako nie w takim stopniu, jak pamiętał. – Zwłaszcza Elayne. Staralam się... nie ułatwiać niczego... Elaidzie. Niech szuka wiatru w polu. – Zaśmiała się cicho, z odrobiną goryczy. – Zadałam nawet Joline widłokorzenia, żeby nie mogła nic zrobić tym dziewczynom. I zobacz na co mi przyszło. Joline uciekła, a ja... – Jej oczy znowu poruszyły się, tym razem sięgając spojrzeniem do srebrnej bransolety zawieszanej na haku.

Mat westchnął i oparł się o ścianę tuż obok sukienek wiszących na kołkach. Ona wiedziała, co było w notatce: ostrzeżenie dla Elayne i Nynaeve. Światłości, naprawdę miał nadzieję, że nie będzie wiedziała, że to inna siostra podrzuciła mu tę kartkę. Tak czy siak na niewiele się przydała. Obie wiedziały, że Elaida je ściga. Ta kartka niczego nie zmieniła! Ta kobieta wcale nie chciała im

– pomóc, zależało jej tylko, aby...nie ułatwiać niczego... Elaidzie. Mógł sobie stąd pójść, zachowując czyste sumienie. Krew i popioły! W ogóle nie powinien z nią rozmawiać. A po tym, jak już miał ją przed sobą...

– Spróbuję pomóc ci uciec, jeśli tylko zdołam – powiedział z wahaniem.

Wciąż nie ruszyła się z łóżka. Ani jej wyraz twarzy, ani ton głosu nie zmieniły się na jotę. Równie dobrze mogłaby wyjaśniać mu rzecz całkiem prostą zupełnie pozbawioną znaczenia.

– Nawet gdybyś był w stanie zdjąć mi obrożę, nie dotarłabym, daleko, prawdopodobnie nie zdołałabym nawet wydostać się z pałacu. A gdyby nawet, bram miasta nie jest w stanie przekroczyć żadna potrafiąca przenosić kobieta, chyba że w *a'dam*. Sama pełniłam tam straż, więc wiem.

– Coś wymyślę – mruknął, przeczesując palcami włosy. Coś wymyśli? Co? – Światłości, mówisz tak, jakbyś w ogóle nie chciała uciec.

– Bądź poważny – szepnęła tak cicho, że prawie niedosłyszał – Pomyślałam sobie, że po prostu przyszedłeś tu naigrawać się ze mnie. – Powoli usiadła, opuszczając stopy na podłogę. Wpiła w niego spojrzenie, w jej głosie zaś zabrzmiały ochryple tony nalegania. – Czy chcę uciec? Kiedy zrobię coś, co im się spodoba, *sul'dam* karmi mnie w nagrodę słodyczami. I co gorsza, przekonuj się, że z wytęsknieniem czekam na te nagrody. – Na moment zatkało ją z przerażenia. – Nie dlatego, że lubię słodycze, ale ponieważ moja *sul'dam* jest ze mnie zadowolona. – Pojedyncza łza spłynęła z jej oka. Wciągnęła głęboko powietrze. – Jeśli pomożesz mi uciec, zrobię wszystko, co zechcesz, wyjąwszy tylko zdradę Białych... – Zamknęła usta ze słyszalnym szczękiem zębów. Osiadła prosto, spojrzała na wskroś przez niego. Po chwili skinęła głową. – Pomóż mi uciec, a zrobię absolutnie wszystko, o co mnie poprosisz – dokończyła.

– Ze swojej strony zrobię, co będę mógł – powiedział. – Muszę tylko wymyślić jakiś sposób.

Pokiwała głową, jakby obiecał jej ucieczkę jeszcze tej nocy.

– W pałacu przetrzymują jeszcze jedną siostrę. Edesinę Azzedin. Musimy ją wziąć ze sobą.

– Jeszcze jedna? – zapytał Mat. – Licząc ciebie, myślałem, że jest ich tylko trzy lub cztery. Tak czy siak, nie jestem pewien, czy ciebie uda mi się wydostać, a co dopiero...

– Pozostałe zostały... zmienione. – Usta Teslyn zacisnęły się. – Guisin i Mylen... ja znałam ją jako Sheraine Caminelle, jednak teraz reaguje wyłącznie na imię Mylen... nas zdradzą. Edesina z pewnością pozostała sobą. Nie zostawię jej tutaj, mimo iż jest buntowniczką.

– Posłuchaj – powiedział łagodnie Mat, uśmiechając się. – Obiecałem, że spróbuję ciebie uwolnić, ale nie potrafię wyobrazić sobie, jak miałbym wydostać was obie...

– Najlepiej będzie, jak już sobie pójdziesz – znowu weszła mu w słowo. – Mężczyznom nie wolno tu przebywać, wzbudzisz podejrzenia, jeśli cię tu znajdą. – Zmarszczyła brwi i parsknęła – Poza tym, lepiej by było, gdybyś się nie ubierał tak firecykowato. Dziesięciu pijanych Druciarzy nie przyciągałoby tyle uwagi ty. Idź już. Szybko. Idź!

Poszedł, mrużąc pod nosem. Typowe dla Aes Sedai. Zaproponować takiej pomoc, a zanim człowiek się spostrzeże, już samotnie wspina się w środku nocy po zboczu, żeby wyciągnąć z lochu pięćdziesięciu ludzi. To dotyczyło zupełnie innego człowieka, dawno już nieżyjącego, ale on pamiętał i wspomnienie to znakomicie do danej sytuacji pasowało. Nie przekonał się jeszcze ostatecznie do ratowania jednej Aes Sedai, a ona już zmusiła go do próby ocalenia dwóch!

Minał ten niczym nie wyróżniający się zakręt korytarza u podnóża schodów i omal nie wpadł na Tuon.

– Mężczyznom nie wolno wchodzić do zagród *damane* – powiedziała, mierząc go zimnym wzrokiem zza woalki. – Za samą próbę możesz zostać ukarany.

– Rozglądałem się za pewną Poszukiwaczką Wiatrów, Szlachetna Lady – zmyślał pospiesznie,

kombinując tak szybko, jak jeszcze nie zdarzyło mu się w życiu. – Wyświadczyła mi raz przysługę, doszedłem więc do wniosku, że choć przyniosę jej coś z kuchni. Jakiegoś ciasta, czy czego. Ale jej nie znalazłem. Przypuszczam, że nie została schwytana, kiedy... – urwał i zagapił się na nią. Surowa osądająca maska, która dziewczynie zastępowała twarz, nagle rozplynęła się w uśmiechu. Naprawdę była piękna.

– To bardzo miło z twojej strony – powiedziała. – Dobrze wiedzieć, że chcesz być miły dla *damane*. Ale musisz uważać. Istnieją mężczyźni, którzy naprawdę biorą sobie *damane* do łóżka, – Jej pełne usta skrzywiły się z niesmakiem. – Nie chciałbyś chyba, żeby ktoś uznał cię za zboczeńca. – I znowu na jej twarz; zagościł ten surowy wyraz. Jakby z miejsca miała zarządzić egzekucję wszystkich więźniów.

– Dziękuję za ostrzeżenie, Szlachetna Lady – odparł, odrobinę niepewnie. Cóż za mężczyzna mógłby wziąć do łóżka kotkę na smyczy?

I wtedy znowu zrobiło się tak, jakby w ogóle dla niej nie istniał. Po prostu poszła w głąb korytarza, nie widząc nikogo przed sobą. Choć raz osoba Szlachetnej Lady Tuon nie potrafiła zająć jego myśli – Miał Aes Sedai, ukrywającą się w piwnicy „Wędrowniej kobiety” oraz dwie *damane* na smyczach, które oczekiwały, że przeklęty Mat Cauthon uratuje ich karki. Pewien był, że Teslyn przy pierwszej możliwej okazji poinformuje o wszystkim tę Edesinę.

Trzy kobiety, które mogły stracić cierpliwość, jeśli dostatecznie szybko nie zabierze ich w bezpieczne miejsce. Kobiety lubiły gadać, a gdy dostatecznie długo oddawały się temu zajęciu, zawsze zdradzały rzeczy, które lepiej pozostawić niewypowiedziane. A kobiety które straciły cierpliwość, gadały jeszcze więcej. Nie czuł już kości grzechoczących w głowie, jednak nieomal słyszał tykanie zegara. A godzinę mógł wybić topór kata. Planowaniem bitewnej strategii potrafiły się zajmować przez sen, lecz w obecnej sytuacji tamte dawne wspomnienia nie na wiele się przydawały. Potrzebny mu był intrygant z prawdziwego zdarzenia, ktoś nawykły do knoń i nieuczciwych trików. Nadszedł czas, by usiąść z Thomem i porozmawiać poważnie. Z Juilinem również.

Ruszając na poszukiwanie jednego lub drugiego, zaczął mimowolnie nucić *Mieszkam sobie na dnie studni*. Cóż, faktycznie tak było, a zapadała noc i deszcz naprawdę mocno zaczynał padać. Jak to się często działo, z tamtych obcych wspomnień do głowy natychmiast przyszedł mu inny tytuł pieśni z dworu Takedo w Farshelle, zniszczonego ponad tysiąc lat wcześniej przez Artura Jastrzębie Skrzydło. O dziwo jednak, te wszystkie lata w niewielkim stopniu zmieniły samą melodię. Wówczas nosiła tytuł: *Ostatnia reduta Mandenharu*. Oba tytuły nazbyt dobrze pasowały do aktualnej sytuacji.



# KWESTIA ZDRADY

W drodze do ciasnych zagród na ostatnim piętrze Pałacu Tarasin, Bethamin całą uwagę zwracała na niesioną tabliczkę z przyborami do pisania. Korek na kałamarzu potrafił się czasem obluźować, a plamy atramentu niełatwo schodziły z ubrania. A jej zależało, by przez cały czas wyglądać tak przyzwoicie, jakby miano ją w każdej chwili wezwać przed kogoś ze Szlachetnej Krwi. Dyżur pełniła dziś wraz z Renną, ale idąc po schodach nie wymieniła z nią nawet słowa. Miały wykonać przeznaczone zadania, a nie bezmyślnie plotkować. Tak jej dyktował rozum. Podczas gdy inne czynił podchody, aby zostać połączone w parę z ulubioną *damane*, wytrzeszczały oczy na dziwne widoki tej krainy, wreszcie roztrząsały perspektywy możliwych do zdobycia korzyści, ona koncentrowała się na swoich obowiązkach, szukała przydziału do najtrudniejszych *marath'damane*, które nie chciały przywyknąć do *a'dam*, pracowała po dwakroć tak ciężko i długo jak pozostałe.

Deszcz w końcu przestał padać i w zagrodach zalegała cisza. Dzięki temu przynajmniej dzisiaj *damane* zaznają nieco ćwiczeń fizycznych – większość nabierała humorów, kiedy zbyt długo po zostawały w ograniczonej przestrzeni, a te zaimprovizowane zagrody z pewnością zasługiwały na takie miano – niestety ona nie otrzymała dzisiaj przydziału na spacer. Renna zresztą nigdy nie otrzymywała takiego przydziału, choć niegdyś była najlepszą instruktorką Suroth, przez wszystkich szanowaną. Niekiedy zbyt ostrą, prawda, ale nadzwyczaj uzdolnioną. Kiedyś wszystkim wydawało się, że mimo młodego wieku czeka ją rychły awans na *der'sul'dam*. Sprawy uległy jednak zmianie. Zawsze było więcej *sul'dam* niż *damane*, ale na ile się orientowała, Renna po Falme nie otrzymała żadnej możliwości połączenia w parę, to samo odnosiło się do Sety, którą Suroth wzięła do osobistej służby. Jak wszystkie pozostałe, również Bethamin lubiła sobie nad winem poplotkować o Krwi i tych, którzy im służyli, kiedy jednak rozmowa schodziła na osoby Renny lub Sety, swoje poglądy zatrzymywała dla siebie. Wszelako myślała o nich często.

– Zacziesz od drugiej strony, Renna – zarządziła. – Tak? Czy może chcesz, żebym znowu doniosła Essonde o twojej niechęci do pracy?

Przed Falme niska kobieta rozsiewała wokół atmosferę takiej pewności siebie, że było to nieomal przytłaczające, teraz tylko pojedynczy mięsień zadrgał pod skórą jej bladego policzka, ona zaś obdarzyła Bethamin przyprawiającym o mdłości, służalczym spojrzeniem, a potem pospieszyła w labirynt wąskich korytarzy zagród, pod drodze przyklepując długie włosy, jakby się bała, że mogą być w nieładzie. Wszystkie prócz najbliższych przyjaciółek Renny znęcały się teraz trochę nad nią, odpłacając za wcześniejszą hardość. Inne zachowanie oznaczałoby wyróżnianie się z tłumu, coś czego Bethamin unikała za wszelką cenę, wyjąwszy tylko pieczołowicie zaplanowane okazje. Jej własne sekrety spoczywały głęboko pogrzebane w przeszłości, nie zdradzała też ani słowem, że świadoma jest jakichkolwiek cudzych sekretów, równocześnie próbując utrwalić w otoczeniu wrażenie, że Bethamin Zeami jest istnym wzorcem doskonałej *sul'dam*. Jej celem była absolutna perfekcja, jej samej i szkolonych przez nią *damane*.

Do obchodu wzięła się z całą energią i skutecznością, sprawdzając dokładnie, czy *damane* utrzymują w czystości siebie i swoje zagrody, a kiedy któraś się nie wywiązała z tego obowiązku, odnotowywała to precyzyjnym charakterem pisma na górnej stronie przymocowanej do tabliczki; nie traciła czasu, zatrzymując się tylko na tyle, by tym paru, które szczególnie dobrze radziły sobie podczas ćwiczeń wręczyć twarde cukierki. Większość kobiet, z którymi łączyła się kiedyś w parę klękając pozdrawiała ją uśmiechem. Niezależnie czy pochodziły z Imperium, czy też z tego brzegu

Oceanu Aryth, rozumiały, że jest surowa ale sprawiedliwa. Pozostałe jednak się nie uśmiechały. Większość *damane* Atha'an Miere witała ją kamiennym wyrazem twarzy, równie smagłych jak jej oblicze, albo ponurym gniewem, o którym sądziły, że dobrze go skrywają.

Imion tych, które tak reagowały, nie rekomendowała do ukarania, jak postąpiłyby niektóre. Wciąż jeszcze wierzyły, że się opierają, jednak niesłuchane żądania zwrócenia im ich kiczowatej biżuterii należały już do przeszłości – klęczały i odzywały się teraz we właściwy sposób. W najtrudniejszych przypadkach użytecznym narzędziem okazywała się zazwyczaj zmiana imienia, tworząca istotną cezurę wobec tego, co dawno skończone i minione one zaś reagowały na nie, aczkolwiek niechętnie. Niechęć ta w końcu zniknie, a wraz z nią nachmurzone oblicza, w końcu zaś ledwie będą pamiętały, iż kiedyś nazywały się inaczej. Była to procedura rutynowa i niezawodna, jak wschód słońca. Jedne akceptowały wszystko od razu, inne pogrążały się w szoku, zdawszy sobie sprawę, czym się stały. Zawsze też była garstka takich, które przez całe miesiące nie chciały ulec, wykorzystując coraz to nowe preteksty do oporu, podczas gdy w wypadku innych jednego dnia miało się do czynienia z wrzaskami oprotestowującymi rzekomą pomyłkę, domaganiem się rewizji wyników prób, następnego zaś przychodziła akceptacja i spokój. Po tej stronie oceanu konkretny przebieg tej procedury był inny, ale tu i w Imperium wyniki dawała identyczne.

Dwóm *damane* musiała wystawić oceny, których nawet w odległy sposób nie można było uznać za świadectwo schludności. Zushi, *damane* z Atha'an Miere, wyższą nawet od niej samej, z pewnością czekała chłosta. Jej suknia była wygnieciona, włosy nie uczesane, łóżko nie posprzątane. Twarz miała opuchniętą od płaczu, a uklękała dopiero po tym, jak przez chwilę wstrząsały nią spazmy łkania, łzy przez cały czas spływały po jej policzkach. Szara sukienka, którą tak zręcznie skrojono, teraz na niej wisiała, z pewnością też, inaczej niż na początku, nie można było jej nazwać pulchna. Bethamin sama nadała Zushi nowe imię, dlatego też szczególnie poświęcała jej uwagę. Wyciągnęła zakończone stalówką pióro, zanurzyła ją w kałamarzu i zapisała zalecenie, zgodnie z którym Zushi należało przenieść z pałacu w jakieś inne miejsce, gdzie mogłaby przebywać w dwuosobowej zagrodzie obok *damane* pochodzącej z Imperium, najlepiej doświadczonej w nawiązywaniu serdecznej przyjaźni ze świeżo wziętymi na smycz. Wcześniej czy – później zawsze oznaczało to koniec łań.

Wątpiła jednak, by Suroth wyraziła zgodę. Suroth rościła sobie prawo do tych *damane* rzecz jasna w imieniu Imperatorowej – każdy, kto osobiście posiadałby bodaj dziesiątą liczbę zgromadzonych w pałacu, z pewnością podejrzewany byłby o przygotowywania do buntu, jeśli nie od razu oskarżony – jednak zachowywała się, jakby stanowiły jej prywatną własność. Jeśli Suroth się nie zgodzi, trzeba będzie znaleźć jakiś inny sposób. Bethamin niczego tak bardzo je nienawidziła jak utraty *damane* w wyniku rozpacz. W ogóle niczego tak bardzo nie nienawidziła jak utraty *damane*! Drugą, która zasłużyła sobie na odrębną uwagę była Tessi, a w jej przypadku nie oczekiwała żadnych obiekcji.

Illiańska *damane* uklękała wdzięcznie, z rękoma zaplecionymi na podołku, gdy tylko Bethamin otworzyła drzwi. Łóżko było pościelone, dodatkowe szare sukienki wisiały schludnie na kołkach, szczoteczka do zębów i grzebień spoczywały obok siebie na umywalni, podłoga była zamieciona. Niczego innego Bethamin nie oczekiwała. Tessi od początku była nadzwyczaj porządna. Od kiedy nauczyła się, że należy wszystko zjadać z talerza, ładnie się zaokrągliła. Nie licząc smakołyków, jakimi je nagradzano, dieta *damane* podlegała ścisłym regulacjom – chora *damane* równała się zwyktemu marnotrawstwu. Tessi nigdy nie miała jednak zostać przystrojona we wstążki i wystawiona w konkursie na najpiękniejszą *damane*. Nawet we śnie jej twarz zdawała się targana ciągłym gniewem. Dzisiaj gościł na niej uśmiech, który – Bethamin nie miała wątpliwości – pojawił

się jeszcze przed jej przyjściem. A Tessi nie miała żadnych powodów, żeby się uśmiechać, przynajmniej jak dotąd.

– Jak się czuje dziś moja malutka Tessi? – zapytała.

– Tessi czuje się bardzo dobrze – gładko odrzekła *damane*. Wcześniej właściwy sposób odzywania się zawsze przychodził jej z trudem, zaledwie wczoraj otrzymała chłostę za otwartą odmowę odezwania się.

Bethamin z namysłem podrapała się palcem po brodzie i przyjdą klęczącej *damane*. Podejrzliwie odnosiła się do wszystkich, które wcześniej mieniły się Aes Sedai. Interesowała ją historia do tego stopnia, że czytywała nawet tłumaczenia z niezliczonych języków, jakimi ludzie mówili przed Konsolidacją. Starożytni władcy pławili się w opisach swoich zbrodniczych, kapryśnych rządów, z rozkoszą każąc opisywać szczegóły tego, jak doszli do władzy, i jak niszczyli sąsiednie państwa, i podporządkowywali sobie innych królów. Większość zresztą zginęła w zamachach, często z ręki własnych dziedziców lub sukcesorów. Doskonale wiedziała więc, kim są te Aes Sedai.

– Tessi jest dobrą *damane* – mruknęła ciepło, z papierka w sakwie wyjmując jeden z twardych cukierków. Kiedy Tessi pochyliła się, aby przyjąć nagrodę i ucałować rękę w podziękowaniu, jej uśmiech na moment zniknął, by powrócić dopiero, gdy wsadził cukierka do ust. Aha. A więc tak się rzeczy miały, co? Uniżoność udawana w celu uspienia podejrzliwości *sul'dam* była rzeczą spotykaną, jednak mając na względzie to, kim Tessi niegdyś była, a pewne chodziło również o planowaną ucieczkę.

Po powrocie na wąski korytarz Bethamin zapisała zdecydowanie zalecenie podwojenia intensywności szkolenia Tessi, jak również aplikowanych jej kar wraz z równoczesnym ograniczeniem gratyfikacji, aby nigdy nie miała pewności, że nawet za doskonałe wywiązywanie się z obowiązku może liczyć na coś więcej niż tylko to, że zostanie pogłaskana po głowie. Była to dość surowa metoda, której w normalnych okolicznościach unikała, ale z jakichś powodów potrafiła zmienić nawet najbardziej krnąbrne *marath'damane* w pokorne *damane* w rekordowo krótkim czasie. Tworzyła także najpokorniejsze *damane*. Bethamin nienawidziła również łamania ducha *damane*, jednak Tessi musiała zostać przykrojona do wymogów *a'dam*, aby zapomnieć o przeszłości. Ostatecznie stanie się dzięki temu tylko szczęśliwsza.

Ponieważ skończyła przed Renną, Bethamin musiała poczekać u stóp schodów, póki druga *sul'dam* nie zejdzie na dół.

– Zanieś to Essonde wraz z własnym sprawozdaniem – rozkazała, wkładając w rękę Renny tabliczkę, zanim tamta zeszła z ostatniego stopnia. Nie zaskoczyło jej, że Renna zareagowała na polecenie równie pokornie, co na wcześniejszy rozkaz i spiesznie ruszyła, po drodze zerkając na raport, jakby się bała, że zawiera jakieś uwagi na jej temat. Stała się zupełnie inną kobietą niż była przed Falme.

Bethamin wzięła swój płaszcz, opuściła pałac i początkowo zamierzała wrócić do gospody, gdzie z konieczności dzieliła łóżko Dwoma innymi *sul'dam*, ale tylko na krótką chwilę, jakiej trzeba aby wyjąć trochę pieniędzy ze szkatułki. Inspekcja zagród była jedynym obowiązkiem w dzisiejszym planie dnia, resztę czasu miała dla siebie. Dla odmiany, zamiast szukać sobie dodatkowych zajęć, spędzi go kupując pamiątki. Może taki nóż, co te lokalne kobiety nosiły na szyi, jeśli uda jej się znaleźć taki bez klejnotów na rękojeści, za którymi najwyraźniej przepadały. I na pewno emalię – była tu równie znakomita jak w Imperium, a wzory takie... obce. Zakupy ją uspokoją. A potrzebował uspokojenia.

Kamienie placu Mol Hara wciąż jeszcze lśniły wilgocią po porannym deszczu, w powietrzu

wisiała rześka woń soli, przywodząc na myśl rodzinną wioskę na brzegu Morza L'Heye, jednak mroźny chłód sprawił, że ciaśniej otuliła się płaszczem. W Abunai nigdy nie był tak zimno, a niezależnie od licznych podróży nigdy do tego nie przywykła. Myśl o domu nie przyniosła spodziewanej pociechy. Kiedy wędrowała zatłoczonymi ulicami, wciąż nie potrafiła zapomnieć o Rennie i Secie, co sprawiało, że ciągle wpadała na ludzi, a raz nawet pod kawalkadę wozów kupieckich opuszczających miasto. Dopiero krzyk woźnicy wyrwał ją z zamyślenia, odskoczyła w ostatniej chwili. Wóz przetoczył się z łoskotem przez miejsce, które przed chwilą zajmowała, a zacinająca batem kobieta nawet na nią nie spojrzała. Ci obcy nie mieli pojęcia o szacunku należnym *sul'dam*.

Renna i Seta. Wszyscy, którzy byli pod Falme musieli zmagać się ze wspomnieniami, których najchętniej by się pozbyli, wspomnieniami, o których nie rozmawiali, chyba że wypili zbyt dużo. Z nią było podobnie, pominąwszy fakt, że jej pamięci nie nawiedzały obrazy walki z na poły widzialnymi duchami z legend ani groza porażki, ani szaleńcze wizje na niebie. Ile razy żałowała, że tamtego dnia poszła na górę? Tylko dlatego, ponieważ chciała się dowiedzieć, jak się wiedzie Tuli, *damane* szczególnie uzdolnionej w obróbce metali. Ale zajrzała do zagrody Tuli. I zobaczyła Rene oraz Setę, szaleńczymi ruchami próbujące zerwać z własnych karków *a'dam*, wrzeszczące z bólu, zgięte w pół od mdłości i wciąż szarpiące za obroże. Przody sukienek miały poplamione wymiotami. W swoim szaleństwie w ogóle nie dostrzegły, kiedy przerażona zamknęła za sobą drzwi.

Przerażenie zresztą nie brało się wyłącznie stąd, że w dwóch *a'dam* objawiły się zniecka *marath'damane*, ale sięgało znacznie bardziej osobistych pokładów. Nie raz zdawało jej się, że jest w stanie prawie dojrzeć sploty *damane*, a zawsze potrafiła wyczuć obecność *damane* i jej siłę. Wiele *sul'dam* to potrafiło, powszechnie uznawano, że umiejętność ta bierze się z długiej praktyki pracy z *a'dam*. Widok szaleństwa tamtych wzbudził jednak w jej głowie niepożądane myśli, w nowym i przerażającym stawiając światło wszystko co dotąd brała na wiarę. Czy prawie widziała sploty, czy widziała je naprawdę? Czasami wydawało jej się, że samo przenoszenie, również wykrywała. Nawet *sul'dam* musiały przechodzić doroczne próby aż do dwudziestych piątych imienin, ona zaś ani razu nie miała kłopotów. Tyle, że... Jeśli prawda na temat Renny i Sety wyjdzie na jaw, zostaną zarządzane nowe próby, mające na celu odkrycie *marath'damane*, którym jakimś sposobem udało się przejść próby dotychczasowe. Pod takim ciosem mogą zatrzeć się fundamenty Imperium. A z obrazem Renny i Sety wypalonym pod czaszką, wiedziała już z całkowitą pewnością, że po tych próbach Bethamin Zeami nie będzie już dłużej szanowaną obywatelką. Jej miejsce zajmie *damane* o imieniu Bethamin, niewolnica Imperium.

Wciąż dręczyło ją poczucie winy. Osobiste obawy przedłożyła nad interesy Imperium, nad wszystko co uważała za słuszne, prawdziwe i dobre. Na Falme zstąpiła wojna i koszmar, ale ona nie pognęła, by połączyć się ze swoją *damane* i ruszyć w wir bitwy, zamiast tego skorzystała z zamieszania, ukradła konia i uciekła, tu szybko i tak daleko, jak tylko mogła.

Zrozumiała, że mimowolnie przystanęła, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w wystawę sklepu szwaczki. Zresztą znajdujące się na niej towary wcale jej nie interesowały. Niebieska suknia z czerwonymi emblematami błyskawic była jedyną, którą wkładała na siebie przez te lata i jedyną, którą wkładać chciała. Z pewnością też nie założyłaby nic, co by ją tak nieprzystojnie obnażało. Poszła dalej, a skraj spódnicy oplatał jej kostki, wciąż jednak nie potrafiła przepędzić myśli o Rennie i Secie, oraz Suroth.

Alwhin najwyraźniej musiała odkryć parę *sul'dam* w obrożach i doniosła o tym Suroth. A Suroth nie pozwoliła, by wieści te dotarły do Imperium, chroniąc Rennę i Setę, niezależnie, jak mogło to okazać niebezpieczne. A co, jeśli zniecka zaczął przenosić? Prawdopodobnie dla

Imperium lepiej byłoby, gdyby zaaranżowała ich śmierć, chociaż zabicie *sul'dam* było traktowane jako morderstwo, nawet gdy chodziło o kogoś ze Szlachetnej Krwi. Dwa podejrzane zgony wśród *sul'dam* z pewnością ściągnęłyby poszukiwaczy. Tak więc Renna i Seta były wolne, jeśli tym słowem można całą rzecz określić, pamiętać bowiem należało, że nigdy nie pozwoli im się na połączenie w parę. Alwhin wypełniła swój obowiązek i została przez Suroth uhonorowana awansem na jej Głos. Suroth również wypełniła swój obowiązek, jakkolwiek nie musiał wydawać jej się obrzydliwy. Nie było żadnych nowych prób. Jej ucieczka na nic się nie zdała. A gdyby wówczas została na miejscu, nie znalazłaby się w Tanchico, co stanowiło koszmar, o którym wolałaby zapomnieć jeszcze chętniej niż o tym, co zrobiła w Falme.

Obok przemaszerował oddział Straży Skazańców w lśniących zbrojach, a Bethamin przystanęła, by popatrzeć. Tłum rozstępował się przed nimi, jak fale morskie przed dziobem *dreadnoughta* pod pełnymi żaglami. Gdy Tuon wreszcie zdejmie woalkę, w całym mieście, w całym kraju zapanuje radość i zacznie świętowanie, jakby akurat właśnie przybyła. Myśląc w ten sposób o Córce Dziewięciu Księżyców, czuła, jak ją wypełnia przyjemność zaprawiona poczuciem winy, identyczna z uczuciem, którego doznawała, gdy w dzieciństwie jeszcze zdarzyło jej się zrobić coś zakazanego, choć oczywiście, póki Tuon nie zrzuciła woalki, była zwykłą Szlachetną Lady Tuon, a więc nikim bardziej szlachetnym od Suroth. Oddział Straży Skazańców przeszedł obok wybijając rytm buciorami – oto byli żołnierze sercem i duszą oddani Imperium i Imperatorowej – Bethamin zaś poszła w przeciwną stronę. Co stanowiło zupełnie udaną metaforę, ponieważ ona sercem i dusza dana była tylko sprawie własnej wolności.

„Złote Łabędzie Niebios” była to dość pompatyczna nazwa dla maleńkiej gospody wciśniętej między stajnie miejskie i sklep z emalią. Ten drugi pełen był oficerów armii, kupujących wszystko, co mogli tylko w nim znaleźć, te pierwsze pełne były koni pozyskanych w drodze loterii i jeszcze nie przydzielonych nikomu, natomiast „Złote Łabędzie” pełne były *sul'dam*. Po prawdzie, to słowo „nabite” byłoby znacznie trafniejsze oraz czasownik „bywały”, zwłaszcza po zmroku. Bethamin mogła mówić o szczęściu, że trafiły jej się tylko dwie towarzyszki łoża. Zgodnie z rozkazem, który nakazywał jej przyjąć pod swój dach, ile tylko będzie mogła, karczmarka upychała po cztery, pięć do jednego łóżka gdy tylko uznała, że się zmieszczą. Ale pościel była czysta, a jedzenie całkiem dobre, nawet jeśli dziwne w smaku. Biorąc zaś pod uwagę, że alternatywą był stryżek z sianem, należało się zadowolić tym, co się ma.

O tej porze wszelako okrągłe stoły we wspólnej sali były puste, Niektóre z mieszkających w gospodzie *sul'dam* z pewnością miały obowiązki do wykonania, pozostałe zaś najpewniej unikały karczmarki. Z zaplecionymi na piersiach ramionami i marsem na czole Darnella Shoran przyglądała się, jak kilka służących pracownic myje posadzkę z zielonych płytek. Była kobietą kościstą z siwymi włosami upiętymi na karku oraz końską szczęką, która nadawała jej wojowniczy wygląd – mimo tego bezsensownego noża o rękojeści wysadzanej tanimi białymi i czerwonymi klejnotami mogłaby spokojnie ująć za *der'sul'dam*. Służące kobiety rzekomo były wolne, jednak skakały niczym niewolnice na jedno słowo karczmarki.

Bethamin sama aż podskoczyła, kiedy tamta natarła na nią.

– Wiesz, jakie tu obowiązują reguły dotyczące mężczyzn, pani Zeami? – zapytała. Po całym tym czasie leniwy akcent tych ludzi wciąż brzmiał dziwnie. – Słyszałam o waszych obcych zwyczajach i jeśli faktycznie jest to prawdą, to wasza sprawa, byle nie pod moim dachem. Jeżeli chcecie się spotykać z mężczyznami, róbcie, to gdzie indziej!

– Zapewniam panią, że nie spotykam się z mężczyznami ani tutaj, ani nigdzie indziej, pani Shoran.

Karczmarka spojrziała na nią podejrzliwie.

– Cóż, przyszedł tutaj i pytał o ciebie z imienia. Przystojny blondyn. Nie chłopiec, ale również nieszczególnie stary. Z waszej zgrai, tak rozciągał słowa, że ledwie go można było zrozumieć.

Starając się mówić pojednawczym tonem, Bethamin próbowała wytłumaczyć tamtej, że nie zna nikogo, kto odpowiadałby temu opisowi że przy wszystkich jej obowiązkach naprawdę nie ma czasu na mężczyzn. I jedno, i drugie było prawdą, jednak oczywiście skłamałaby, gdyby się to okazało konieczne. „Złote Łabędzie” nie zostały jeszcze zmilitaryzowane, a trzy w jednym łóżku, to znacznie lepiej niż stryżek na siano. Próbowwała wysondować, czy tamta nie miałaby ochoty na jakiś drobny podarunek przy okazji zakupów, ale ta obraziła się, gdy zaproponowała jej nóż z większą liczbą bardziej barwnych klejnotów. Nie miała na myśli nic naprawdę kosztownego, nic co można by traktować jako łapówkę – a przynajmniej nie do końca – jednak pani Shoran tak rzecz całą zrozumiała, nadymając się i marszcząc czoło z rozdrażnieniem. Tak czy siak, nie miała pojęcia, czy bodaj w najmniejszym stopniu udało jej się wpłynąć na zmianę nastroju tamtej. Z jakiegoś powodu karczmarka uważała, że one cały wolny czas spędzają, tarzając się w rozpuście. Wciąż marszczyła czoło, gdy Bethamin szła już po pozbawionych poręczy schodach na tylnej ścianie wspólnej sali udając do ostatniej chwili, że nawet przez myśl nie przeszło jej nic innego prócz zakupów.

Tożsamość tamtego mężczyzny nie dawała jej spokoju. Z opisu żadną miarą nie potrafiła się domyślić, kto to mógł być. Najprawdopodobniej jego wizyta związana była ze śledztwem, jakie prowadziła, w takim wypadku jednak, skoro potrafił aż tu za nią dotrzeć, znaczy, że była zbyt mało dyskretna. Niewykluczone, że niebezpiecznie niedyskretna. Mimo to pragnęła, żeby jeszcze raz przyszedł. Musiała wiedzieć. Musiała!

Otworzyła drzwi do swojego pokoju i zamarła. Niemożliwe. Jej żelazna szkatułka stała na łóżku z otwartym wiekiem. Zamek był naprawdę mocny, a jedyny klucz do niego znajdował się na dnie jej sakwy. Nadto złodziej wciąż był w środku i co najdziwniejsze, kartkował jej dziennik! Jak, na Światłość, udało mu się przejść pod czujnym okiem pani Shoran?

Paraliż trwał tylko chwilę. Wyciągnęła z pochwy swój nóż i otworzyła usta, by krzyknąć o pomoc.

Wyraz twarzy tamtego nie zmienił się wcale i ani nie spróbował uciec, ani jej zaatakować. Po prostu wyjął ze swojej sakwy jakiś drobny przedmiot i uniósł do góry, żeby zobaczyła – i dopiero wtedy powietrze w jej gardle stanęło ołowiem. Odrętwiała, dłonią wsunęła sztylet z powrotem do pochwy i wyciągnęła przed siebie dłonie, aby pokazać mu, że nie jest uzbrojona i nie ma zamiaru sięgać po broń. W palcach trzymał płytkę z kości słoniowej obrzeżoną złotem, na której wygrawerowano kruka i wieżę. Znienacka zobaczyła w nim mężczyznę: blondyna w średnim wieku. Niewykluczone, że naprawdę był przystojny, jak to powiedziała pani Shoran, ale tylko szalona mogłaby myśleć o Poszukiwaczu Prawdy w ten sposób. Dzięki Światłości, w dzienniku nie zapisywała nic ryzykownego. Ale on i tak musi wiedzieć. Pytał o nią z imienia. Och, Światłości, na pewno wie!

– Zamknij drzwi – powiedział cicho, wsuwając plakietkę z powrotem do sakwy, ona zaś posłuchała. Choć nogi same rwały się do ucieczki. A równocześnie kolana uginały, by na klęczkach błagać o litość. Był Poszukiwaczem, więc stała tylko, trzęsąc się. Ku jej zaskoczeniu wrzucił dziennik do szkatułki i gestem wskazał jedyne w pokoju krzesło. – Siadaj. Po co masz się niepotrzebnie męczyć.

Powoli odwiesiła płaszcz i zajęła miejsce na krześle, choć raz wcale jej nie obchodziło, jak niewygodne i dziwne było drabinkowate oparcie. Nawet się nie starała ukrywać dreszczy. Nawet ktoś z Krwi, nawet ktoś ze Szlachetnej Krwi, mógłby trząść się podczas przesłuchania przez

Poszukiwacza. Została jej już tylko odrobina nadziei. Wciąż nie kazał jej pójść ze sobą. Może mimo wszystko nie wiedział.

– Wypytywałaś o kapitana żeglugi o imieniu Egeanin Sarna – zapytał. – Dlaczego?

Nadzieja słabła wraz z każdym ciężkim łomotem w piersiach.

– Szukałam starej przyjaciółki – odrzekła drżącym głosem. Najlepsze kłamstwa to takie, które zawierają jak najwięcej prawdy. – Byłyśmy razem pod Falme. Chciałam sprawdzić, czy przeżyła. – Okłamywanie Poszukiwacza kwalifikowane było jako zdrada, lecz ona swą pierwszą zdradę popełniła już dawno temu, kiedy uciekła spod Falme.

– Żyje – poinformował ją uprzejmie. Nie spuszczać z niej wzroku, siadł w nogach łóżka. Jego oczy były niebieskie i powodowały, że najchętniej otuliłaby się płaszczem. – Obecnie jest bohaterem, Zielonym Kapitanem i lady Egeanin Tamarath. Taką otrzymała nagrodę od Szlachetnej Lady Suroth. Również przebywa tutaj, w Ebou Dar. Odnowisz łączącą was przyjaźń. A potem będziesz mi donosić, z kim się widuje, gdzie chadza, co mówi. Wszystko.

Bethamin zacisnęła szczęki, nie chcąc się zanieść histerycznym śmiechem. Chodziło mu o Egeanin, nie o nią. Światłości chwała! Chwała Światłości i jej nieskończonemu miłosierdziu! Chciała się tylko dowiedzieć, czy ta kobieta wciąż żyje, czy trzeba powziąć środki ostrożności. Egeanin uwolniła ją raz, jednak w ciągu dziesięciu lat, od których Bethamin ją знаła, stanowiła istny wzór obowiązkowości. Zawsze istniała możliwość, że doniesie o własnym pojedynczym wykroczeniu, niezależnie ile miałoby to ją kosztować, ale dziwa nad dziwy, nie zrobiła tego. A ten Poszukiwacz miał ją na uwadze, nie zaś...! Przed jej oczyma zaczęły się malować nowe możliwości, teraz już mające rangę pewności, straciła ochotę, by się śmiać.

– Jak...? Jak miałabym odnowić naszą przyjaźń? – Tak czy siak, nigdy to nie była przyjaźń, co najwyżej znajomość, ale teraz było już za późno o tym wspominać. – Powiedziałeś, że została wyniesiona w szeregi Krwi. Inicjatywa musi wyjść od niej. – Strach dodał jej śmiałości. A równocześnie przepełnił paniką, jak wtedy w Falme. – Dlaczego chcesz ze mnie zrobić swojego Słuchacza? W każdej chwili, kiedy tylko zechcesz możesz ją wziąć na przesłuchanie. – Ugryzła się od środka w policzek, żeby pohamować język. Światłości, niczego chyba nie pragnęła mniej, niż tego co w ostatnim zdaniu zaproponowała.

Poszukiwacze byli ukrytą dłonią Imperatorowej, oby żyła wiecznie; ten tutaj w imię Imperatorowej mógłby nawet Suroth wziąć przesłuchanie, albo samą Tuon. Prawda, gdyby się okazało, że się mylił, umarłby straszliwą śmiercią, ale w przypadku Egeanin ryzyko było niewielkie. Była tylko z pomniejszej Krwi. Jeśli więc trafi na przesłuchanie...

Przeżyła prawdziwy wstrząs, kiedy okazało się, że zamiast zwyczajnie jej rozkazać, siedzi tylko i wpatruje się w nią.

– Muszę ci coś wyjaśnić – powiedział i to wywołało u nie jeszcze większy wstrząs. Poszukiwacze nigdy niczego nie wyjaśniali, tak przynajmniej słyszała. – Nie będzie z ciebie żadnego pożytku dla mnie ani dla Imperium, jeśli nie przeżyjesz, a nie przeżyjesz, jeśli nie zrozumiesz z czym masz do czynienia. Jeżeli jednak choć słowo z tego, co powiem, wyjdzie poza granice tego pokoju, będziesz śnić o Wieży Kruków jako o ostoi wytchnienia. Słuchaj i ucz się. Egeanin została wysłana do Tanchico zanim jeszcze miasto wpadło w nasze ręce, między innymi z zadaniem odszukania *sul'dam*, które zostały w Falme. Dziwne, ale nie znalazła żadnej, choć inne nie miały takich kłopotów, jak na przykład te, co tobie pomogły powrócić. Zamiast tego Egeanin zamordowała odnalezioną *sul'dam*. Sam przedstawiłem jej te zarzuty, a jej się nawet nie chciało ich odeprzeć. Nie okazała nawet gniewu ani obrazy. A co równie okropne, w tajemnicy zadawała się z Aes Sedai. – Wypowiedział tę nazwę zupełnie normalnym głosem, bez zwyczajowej odrazy, raczej z

oskarżycielską nutą. – Tanchico opuściła na pokładzie statku dowodzonego przez człowieka imieniem Bayle Domon. Narobił niejaki kłopotów podczas abordażu swego okrętu i trafił w niewolę. Ona wykupiła go i natychmiast uczyniła *so'jhin*, z czego wynika, że musi dla niej wiele znaczyć. Co ciekawe, wcześniej tego samego człowieka przyprowadziła do Szlachetnego Lorda Turaka w Falme. Domon zresztą zdobył sobie tak znaczne zaufanie Szlachetnego Lorda, że ten często zapraszał go na pogawędki – Skrzywił się. – Masz może wino? Albo brandy?

Bethamin wzdrygnęła się.

– Wydaje mi się, że Iona ma flaszkę tutejszej brandy. To dość przesytny napitek...

Nie dbając o jej słowa, kazał sobie nalać do kubka, ona posłuchała bez słowa. Chciała, żeby mówił dalej, cokolwiek, byle oddalić nieuniknione. Wiedziała bez najmniejszych wątpliwości, że Egeanin nie zabiła *sul'dam*, ale dowód jaki mogłaby przedstawić, z pewnością skazałby ją na dzielenie ponurego losu Renny i Sety. Gdyby miała szczęście. Gdyby ten Poszukiwacz pojmował swój obowiązek wobec Imperium w tych samych kategoriach co Suroth. Zerknął do wnętrza cynowego kubka, zakręcił ciemną jabłkową brandy i znowu zajął wcześniejsze miejsce.

– Szlachetny Lord Turak był wielkim człowiekiem – mruknął. – Być może jednym z największych, jakich znało Imperium. Szkoda, że jego *so'jhin* postanowił pójść za nim na śmierć. Bardzo to szlachetne z ich strony, jednak przez to nie można dowieść, że Domen był w bandzie, która zamordowała Szlachetnego Lorda. – Bethamin zamrugnęła. Niekiedy przedstawiciele Krwi zabijali się wzajem, oczywiście nigdy w takiej sytuacji nie wymieniano słowa „morderstwo”. Poszukiwacz zaś mówił dalej, wciąż zaglądając tylko do kubka i wcale nie pijąc: – Szlachetny Lord kazał obserwować Suroth. Podejrzewał, że stanowi zagrożenie dla samego Imperium. Jego własne słowa. A wraz z jego śmiercią, ona zdobyła kontrolę nad Zwiastunami. Nie mam żadnych dowodów, że rozkazała go zabić, ale istnieje wiele sugestywnych poszlak. Suroth sprowadziła *damane* do Falme, młodą kobietę, wcześniejszą Aes Sedai – znowu nazwa zabrzmiała dość bezbarwnie i twardo – która jakimś sposobem uciekła tego samego dnia, gdy zginął Turak. Suroth miała także w swoim orszaku *damane*, która wcześniej była Aes Sedai. Tej nigdy nie zdjęto obroży, jednak... – Wzruszył ramionami, jakby była to rzecz bez znaczenia. Bethamin wybałuszyła oczy. Któż mógłby zdjąć obrożę *damane*? Dobrze wyszkolona *damane* była skarbem i radością, równie dobrze można by zdjąć jarzmo pijanemu *grolmowi*! – Wydaje się nadzwyczaj prawdopodobne, że wśród swojego dobytku skrywa także *marath'damane* – ciągnął dalej, jakby nie wspomniał właśnie zbrodni niewiele tylko ustępującej zdradzie. – Zakładam, że to Suroth wydała rozkaz zabicia *sul'dam*, której udało się dotrzeć do Tanchico, przypuszczalnie po to, by ukryć swe kontakty z Aes Sedai. Wy, *sul'dam*, twierdzicie, że na pierwszy rzut oka jesteście w stanie rozpoznać *marath'damane*, racja?

Znienacka uniósł wzrok, a jej jakoś udało się z uśmiechem wytrzymać lodowate spojrzenie tych oczu. Jego twarz mogłaby należeć do dowolnego mężczyzny, ale te oczy... Była zadowolona, że siedzi. Kolana trzęsły jej się tak mocno, iż zaskoczona była, że, nie widać tego przez spódnice.

– Obawiam się, że to nie takie proste. – Nieomal nie drżał głos. – Ty... z pewnością wiesz dość, żeby oskarżyć Suroth o m... m... morderstwo Szlachetnego Lorda Turaka. – Jeśli postanowi arestować Suroth, wówczas nie będzie musiał włączać do sprawy jej czy Egeanin.

– Turak był wielkim człowiekiem, jednak moja lojalność pozostaje wyłącznie w gestii Imperatorowej, oby żyła wiecznie, a dopiero poprzez nią służę Imperium. – Wypił brandy jednym głębokim haustem, a wyraz jego twarzy stał się równie twardy co dźwięk głosu. – Śmierć Turaka jest niczym proch wobec niebezpieczeństwa zagrażającego Imperium. Żyjące na tych ziemiach Aes Sedai próbują dojść do władzy w Imperium, co oznacza powrót do dawnych rządów chaosu i zbrodni, kiedy żaden człowiek nie mógł nocą zmrużyć oka, wiedząc, że na pewno się obudzi nazajutrz, a



sprzyja im jadowity robak zdrady, drążący od wnętrza. Suroth wcale nie musi być głową tego robaka. Dla dobra Imperium, nie ośmielę się jej aresztować, póki nie będę w stanie zgnieść całego robaka. Egeanin jest nitką, po której mogę śledzić drogę robaka, a ty jesteś nitką wiodącą ku Egeanin. A więc odnowisz przyjaźń z nią, niezależnie ile miałoby cię to kosztować. Rozumiemy się?

– Rozumiem i będę posłuszna. – Głos jej drżał, co jednak miała powiedzieć? Niech ją Światłość ocali, cóż innego mogła powiedzieć?

# SPRAWY MAJĄTKOWE

Egeanin leżała na łóżku z dłońmi uniesionymi i wnętrzami sklecanymi ku sufitowi, z rozczapierzonymi palcami. Bładobłękitne spódnice rozpostarły się wokół nóg, próbowała leżeć całkowicie bez ruchu, żeby nie pomarszczyć wąskich plisowanych zakładek. Gdyby wnioskować ze sposobu, w jaki suknie ograniczały ruchy, należałoby uznać je za pomysł Mrocznego Pana. Leżąc, wpatrywała się w paznokcie zbyt długie, by mogła wziąć linę do ręki, nie łamiąc przynajmniej połowy. Oczywiście w ciągu ostatnich kilku lat nie wzięła liny do ręki, jednak była przynajmniej w stanie to zrobić.

– ...czysta głupota! – warknął Bayle, szturchając pogrzebaczem kłody drewna płonące na ceglany kominku. – Niech mnie Fortuna okaleczy, „Morski Jastrząb” mógł pożeglować bliżej wiatru i szybciej niż dowolny seanchański okręt. Przed nami były szkwały i... – Słuchała go tylko na tyle, żeby wiedzieć, iż przestał narzekać na pokój i powrócił do swego ulubionego tematu utyskiwań. Pomieszczenie wyłożone ciemną boazerią z pewnością nie było najlepszym, jakie mogła zaoferować „Wędrowną Kobieta” albo nawet drugim lub trzecim pod względem luksusu, ale ostatecznie spełniało jego wymagania, wyjąwszy widok. Oba okna wychodziły na podwórze stajni. Zielony Kapitan miał rangę generała sztandaru, jednak tutaj większość tych, których przewyższała rangą, byli to adiutanci lub pisarze wyższych oficerów Zawsze Zwycięskiej Armii. W armii, podobnie jak we flocie, przynależność do Krwi miała niewielkie znaczenie, chyba że była to Szlachetna Krew.

Zielony jak morze lakier na paznokciach małych palców skrzył się lekko. Zawsze miała nadzieję na awans, ostatecznie może nawet na Złotego Kapitana, dowodzącego flotami, jak jej matka. W dzieciństwie marzyła nawet o mianowaniu Ręką Imperatorów Morzu, jak jej matka, która mogła stać po lewej stronie Kryształowego Tronu, *so'jhin* samej Imperatorowej, oby żyła wiecznie, z prawem bezpośredniego odzywiania się do niej. Młode dziewczyny traciły czas na próżne mrzonki. Musiała też przyznać, że kiedy weszła w poczet Zwiastunów, rozważała możliwość otrzymania nowego imienia. Nie była to nawet nadzieja, nic z tych rzeczy – oznaczałoby to wynoszenie się ponad swoją pozycję – jednak wszyscy przecież wiedzieli, że odzyskanie ukradzionych ziem oznacz będzie rozszerzenie szeregów Krwi. Teraz była Zielonym Kapitanem, dziesięć lat wcześniej, niż mogła się w najśmielszych snach spodziewać i stała już na stoku tej stromej góry, wznoszącej się przez chmury do szczytu, na którym znajdowała się Imperatorowa oby żyła wiecznie.

Wątpiła niemniej, by zaraz miała otrzymać dowództwo jednego z *dreadnoughtów*, a co dopiero szwadronu. Suroth twierdziła że wierzy w jej opowieść, w takim wypadku jednak, dlaczego cały czas siedziała na miejscu w Cantorin? Dlaczego, gdy w końcu przybyły rozkazy, stwierdzały, że ma się zameldować tutaj, a nie na statku? Oczywiście, nawet dla Zielonego Kapitana dostępna była tylko skończona ilość przydziałów. Niewykluczone, że o to właśnie chodziło. Niewykluczone, że przeznaczono jej pozycję w otoczeniu Suroth, chociaż rozkazy głosiły tylko, że pierwszym środkiem transportu ma się udać do Ebou Dar i tam czekać na dalsze instrukcje. Niewykluczone. Przedstawiciele Szlachetnej Krwi mogli się zwracać do przedstawicieli niższej bez pośrednictwa Głosu, jej się wszakże wydawało, iż Suroth zapomniała o jej istnieniu zaraz po tym, jak została oddalona po odebraniu wszystkich nagród. Skąd można było wnosić, że żywiła swoje podejrzenia. Tego rodzaju rozważania zazwyczaj się zapętlały. W każdym razie, jeśli ten Poszukiwacz zrezygnuje ze swych podejrzeń, mogła żyć samą wodą morską A musiało tak być, w przeciwnym razie już by wrzeszczała w lochu, ale jeśli on również przebywa w mieście, to będzie ją obserwował, czekając

aż podwinie jej się noga. W obecnej sytuacji me był w stanie utoczyć więcej niż tylko kroplę jej krwi, ale Poszukiwacze byli doświadczeni w radzeniu sobie z drobnymi niedogodnościami. Póki jednak będzie tylko obserwował, może sobie patrzeć aż mu oczy wyjdą na wierzch. Miała pod nogami stabilny pokład i odtąd będzie nadzwyczaj uważała na każdy krok. Być może Złoty Kapitan stanowiło niespełnione marzenie, jednak odejście na emeryturę jako Zielony Kapitan wciąż było zaszczytem.

– No i? – dopytywał się Bayle. – Co o tym myślisz?

Potęźnie zbudowany, solidny, mocny – dokładnie w typie mężczyzn, których zawsze preferowała. Stał obok łóżka w koszuli bez rękawów z marszem na czole i pięściami na biodrach. Nie była to postawa, jaką *so'jhin* winien przybierać w obliczu swej pani. Z westchnieniem opuściła ręce. Bayle po prostu nigdy się nie nauczył, jak powinien zachowywać się *so'jhin*. Wszystko traktował jako żart, zabawę, jakby nic nie było rzeczywiste. Czasami mawiał nawet, że chce być jej Głosem, niezależnie jak długo mu wyjaśniała, że jest to możliwe tylko dla Szlachetnej Krwi. Raz kazała go wysmagać, a potem on nie zgadzał się na spanie w tym samym łóżku, póki go nie przeprosiła. Przeprosiny!

Pospiesznie próbowała sobie przypomnieć, co przedtem tylko na poły usłyszała z jego narzekań. Tak, po całym tym czasie wciąż ta sama dyskusja. Nic nowego. Opuściła nogi na podłogę, usiadła i zdjęła z paznokci nakładki. Robiła to już tyle razy, że cała czynność nabierała rutynowego charakteru.

– Gdybyś spróbował ucieczki, *damane* na tamtym statku połamałaby twoje maszty niczym gałązki. To nie było przypadkowe zatrzymanie, Bayle, sam doskonale o tym wiesz, obwołali cię i pierwsze co chcieli wiedzieć to, czy mają do czynienia z kapitanem „Morskiego Jastrzębia”. Każąc ci stanąć i przekonując ich, że zmierzamy do Cantorin z darem dla Imperatorowej, oby żyła wiecznie, uspiłam ich podejrzenia. Cokolwiek innego... cokolwiek!... a skończylibyśmy w łańcuchach w ładowni, a potem sprzedani na targu w Cantorin. Wątpię, byśmy mieli tyle szczęścia, żeby choć spotkać się katem. – Uniosła kciuk. – Poza tym, gdybyś zachował spokój, Jak ci mówiłam, również nie trafiłbyś na targ niewolników. Musiałam za ciebie zapłacić mnóstwo pieniędzy! – Najwyraźniej wiele kobiet w Cantorin miało podobny jak ona gust, jeśli chodzi o mężczyzn. Na licytacji podbiły cenę w sposób niebotyczny.

Zaparł się w swym uporze i tylko zmarszczył czoło oraz z irytacją podrapał się po brodzie.

– Wciąż uważam, że powinniśmy to wyrzucić za burtę – mruknął. – Poszukiwacz nie miał dowodu, że w ogóle znajdowało na pokładzie.

– Poszukiwacze nie potrzebują żadnych dowodów – powiedziała, szyderczo naśladowując jego akcent. – Poszukiwacze zawsze są w stanie znaleźć dowód, a jest to proces zazwyczaj bardzo bolesny. – Skoro został zmuszony, żeby wspomnieć o tym, co dawno temu sam uznał już za rzecz załatwioną, może tym samym niedaleki był już koniec całej sprawy. – W każdym razie, Bayle, przyznałeś, że nic się nie stanie, jeśli Suroth wejdzie w posiadanie obroży i bransolet. Nie będzie mu można ich nałożyć, jeśli ktoś nie znajdzie się w bezpośredniej bliskości, a z tego, co słyszałam, nikomu ani się to nie udało, ani nikt tego nie chciał. – Powstrzymała się od dodania, że nawet w przeciwnym razie, nie będzie to miało większego znaczenia. Bayle nie znał dobrze nawet wersji Proroctw rozpowszechnionych po tej stronie Morza Świata, ale trwał nic wzruszenie przy przekonaniu, że nigdzie nie wspomina się, aby Smok Odrodzony musiał uklęknąć przed Kryształowym Tronem. W tym celu zaś prawdopodobnie będzie konieczne nałożeniu mu męskiej odmiany *a'dam*, ale Bayle i tak nigdy by tego nie zrozumiał. – Co się stało, nie odstanie, Bayle. Jeśli Światłości się spodoba, długo pożyjemy w służbie Imperium. No dobrze, twierdziłeś, że znasz to miasto. Co tu jest ciekawego do roboty?

– Zawsze odbywały się tu obchody rozmaitych świąt – powiedział powoli, niechętnie. Nie lubił przyznawać się do porażki w kłótnie, niezależnie jak puste były jego argumenty. – Niektóre mogą ci przypaść do gustu. Ale inne nie, jak podejrzewam. Tyłki cię... rozdrażnią. – Co chciał przez to zasugerować? Zmienacka wyszczerzył zęby. – Możemy znaleźć Mądrą Kobietę. Tutaj to one zajmują się odbieraniem przysięg małżeńskich. – Poglądził palcami ogoloną część czaszki i przewrócił oczyma, jakby chciał się przyjrzeć pozbawionym włosów miejscom. – Oczywiście, jeśli dobrze pamiętam wykład, jaki mi zrobiłaś na temat „praw i obowiązków” związanych z moją pozycją, *so'jhin* może wziąć ślub tylko z innym *so'jhin* najpierw musisz zwrócić mi wolność. Niech mnie fortuna okaleczy, nie zobaczyłaś jeszcze nawet stopy kwadratowej obiecanych posiadłości. Ja ze swej strony mógłbym wrócić do dawnego zajęcia i szybko zarobić na posiadłość dla ciebie.

Ze zdumienia aż rozdziawiła usta. To już nie była żadna stara sprawa, do której wciąż nawracał. To było coś zdecydowanie nowego. Zawsze szczyciła się swoim opanowaniem. Na szczebel dowódczy awansowała dzięki zdolnościom i odwadze, dzięki temu, była weteranem morskich bitew, szturmów i katastrof. Ale w tej chwili czuła się niczym majtek podczas pierwszego rejsu, spoglądający w dół ze szczytu głównego masztu, przerażony i oszołomiony tym, jak cały świat wiruje wokół niego oraz z pozoru nieuniknionym upadkiem do morza.

– To nie jest takie proste – powiedziała, wstając gwałtownie tak, że musiał się cofnąć. Światłość jedna świadkiem, nienawidziła, kiedy jej odbierało oddech! – Uwolnienie niewolnika wymagałoby ode mnie łżenia na utrzymanie wolnego człowieka, zadbanie o to, byś mógł się sam utrzymać. – Światłości! Słowa płynące z ust niekontrolowaną strugą były jeszcze gorsze niż niezdolność wykrztuszenia choć jednego. – W twoim wypadku, przypuszczam, oznaczałoby to, że muszę kupić ci okręt – powiedziała odzyskując w końcu panowanie nad sobą – a jak sam raczyłeś mi przypomnieć, nie mam jeszcze żadnych posiadłości. Poza tym, nie mogę pozwolić na to, byś wrócił do szmuglu, doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. – To ostatnie było najprostszą sprawą, podczas gdy pozostałe rzeczy nie do końca kłamstwem. Lata spędzone na morzu zaowocowały określonymi profitami, a nawet jeśli złoto jakim dysponowała stanowiło w oczach Krwi nieistotne pokłosie, stać ją było na okręt, oczywiście póki nie był to *dreadnought*, jednak z drugiej strony, przecież nie stwierdziła wyraźnie, że jej nie stać.

Rozłożył ramiona, co zresztą stanowiło kolejną rzecz, na którą raczej nie powinien sobie pozwalać, a po chwili wahania oparła wodę na jego ramieniu i pozwoliła aby ją objął.

– Wszystko będzie dobrze, dziewczynko – mruknął czule. – Jakimś sposobem wszystko się dobrze skończy.

– Nie możesz mnie nazywać „dziewczynką”, Bayle – zbeształa go, za jego plecami wbijając wzrok w komin. Ale jakoś mogła skupić wzroku. Przed wypłynięciem z Tanchico postanowiła wziąć z nim ślub; była to jedna z tych błyskawicznych decyzji którym zawdzięczała swoją reputację. Był przemytnikiem, prawda, ale z tym można było skończyć, poza tym był przecież tak godny zaufania, silny i inteligentny, prawdziwy wilk morski. Ta ostatnia cecha zawsze wydawała jej się niezbędna u przyszłego męża. Tylko, że nie miała pojęcia o obyczajach, wśród których wyrósł. W niektórych miejscach Imperium to mężczyźni musieli się oświadczyć i naprawdę się obrażali, jeśli kobieta wyszła z tym pierwsza. Poza tym nie miała pojęcia, jak omamić mężczyznę. Tych kilku kochanków, jakich miała, byli to wszystko mężczyźni równi jej rangą, mężczyźni, którym mogła złożyć propozycję w zupełnie otwarty sposób, a potem pożegnać bez żalu, gdy jedno z nich dostało przydział na inny okręt lub awansowało. Ale teraz on był *so'jhin*. Rzecz jasna, nie było nic niewłaściwego w zabieraniu własnego *so'jhin* dołóżka, przynajmniej póki się ostentacyjnie nie obnosił z tym faktem. Zwyczaj wymagał, by zawsze rozkładał sobie siennik u stóp łóżka, nawet jeśli

na nim nie sypiał. Ale uwolnienie *so'jhin*, odcięcie go od „praw i obowiązków”, na które Bayle tak sarkał, byłoby szczytem okrucieństwa. Nie, znowu kłamała, zatajając prawdę, a co gorsza, okłamywała nawet siebie samą. Z całej go serca chciała wyjść za Bayle'a Domona, mężczyznę. Czuła jednak gorycz na myśl, że być może nie będzie w stanie poślubić wyzwolonego niewolnika.

– Jak moja pani sobie życzy – powiedział z beztróskim szyderstwem naśladowując formalny sposób zwracania się do niej.

Szturchnęła go pod żebra. Nie mocno. Tylko na tyle, by jęknął. Musiał się nauczyć! Nie miała już żadnej ochoty na podziwianie atrakcji Ebou Dar. Chciała pozostać tu, gdzie była, zatopiona w jego ramionach, nie musząc podejmować żadnych decyzji, stać tak jak stali, na zawsze.

Na ostry dźwięk pukania do drzwi, odsunęła go do siebie. Przynajmniej był już na tyle zorientowany, żeby nie protestować. Kiedy nakładał kaftan, ona strzepnęła plisy sukni, próbując wygładzając zmarszczki powstałe od leżenia na łóżku. Było ich strasznie dużo, mimo iż przecież starała się leżeć zupełnie nieruchomo. Za drzwiami mógł być posłaniec od Suroth albo pokojówka sprawdzająca, czy czegoś im nie trzeba, lecz ktokolwiek to był, nie miała zamiaru pokazywać się mu w takim stanie, jakby wcześniej tarzała się po pokładzie.

W końcu zrezygnowała z bezowocnych prób doprowadzenia się do porządku, poczekała aż Bayle się zapnie i przyjmie postawę stosowną dla *so'jhin*, jednak pojedyncze spojrzenie starczyło, by przekonała się, że chyba mogłaby czekać wiecznie.

„Jak kapitan na pokładzie rufowym, gotowy do wydawania rozkazów” – pomyślała, wzdychając.

W końcu jednak warknęła:

– Wejść! – Kobieta, którą zobaczyła za drzwiami, była ostatnią, jakiej należało się spodziewać.

Bethamin z wahaniem zmierzyła ją wzrokiem, dopiero potem weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Wciągnęła głęboki oddech, a potem uklękła ze sztywno wyprostowanymi plecami. Ciemnoniebieska suknia z czerwonymi emblematami w kształcie błyskawic wyglądała na świeżo wyczyszczoną i odprasowaną. Ten jaskrawy kontrast względem stanu własnego ubioru zirytował Egeanin.

– Moja pani – zaczęła niepewnie Bethamin i przełknęła ślinę. – Moja pani, proszę o pozwolenie na rozmowę z tobą. – Zerknęła na Bayle'a, oblizwała usta. – Na osobności, jeśli taka twoja wola, moja pani?

Po raz ostatni Egeanin widziała tę *sul'dam* w piwnicy w Tanchico, kiedy zdjęła jej z szyi obrożę *a'dam* i kazała odejść. Sam ten fakt mógłby stanowić materiał do szantażu, nawet gdyby należała teraz do Szlachetnej Krwi! Bez wątpienia waga oskarżenia byłaby identyczna jak w wypadku uwolnienia *damane*. Zdrada. Tyle że Bethamin nie mogła niczego ujawnić, nie pograżając się sama.

– On może wysłuchać wszystkiego, co masz do powiedzenia, Bethamin – powiedziała spokojnie. Oto znalazła się na pełnych mielizn wodach i nie było miejsca na nic innego prócz spokoju. – Czego chcesz?

Bethamin niespokojnie poruszyła się na kolanach, a potem przez chwilę jeszcze oblizywała wargi. Potem, zniecka, słowa potokiem spłynęły z jej ust.

– Przyszedł do mnie Poszukiwacz i rozkazał, abym na powrót nawiązała naszą... znajomość, a potem donosiła mu na ciebie. – Jakby chcąc pohamować tę paplaninę, zagryzła dolną wargę i spojrzała, na Egeanin. W ciemnych oczach była desperacja i błaganie, identyczne jak wówczas w Tanchico.

Egeanin chłodno spojrzała w jej oczy. Pełne mielizn wody i nie oczekiwany szkwał. Zniecka

wyjaśnił się powód dziwnego rozkazu przybycia do Tanchico. Niepotrzebny był jej opis, żeby wiedzieć, iż ma do czynienia z tym samym człowiekiem. Nie musiała również pytać, dlaczego Bethamin dopuszcza się zdrady państwowej, zdradzając Poszukiwacza. Gdyby postanowił, że ciężące na niej podejrzenia są dostatecznie mocno ugruntowane, żeby wziąć ją na przesłuchanie, w końcu Egeanin powiedziałyby mu wszystko, co wiedziała, włączywszy w to przygodę w pewnej piwnicy, a wtedy szyja Bethamin znów znalazłaby się uścisku *a'dam*. Jedyłą nadzieją tej kobiety, była pomoc Egeanin w uniknięciu zapędów tamtego.

– Powstań – powiedziała. – Usiądźmy. – Na szczęście w pomieszczeniu były dwa krzesła, choć żadne nie kusilo wygodą – Bayle, myślę, że w tym kufrze z szufladkami znajdzie się flaszeczka brandy.

Bethamin tak się trzęsła, że Egeanin musiała pomóc jej powstać i zaprowadzić ją do krzesła. Bayle podał im kute w srebrze kubki – na szczęście nie zapomniał, żeby się uklonić i najpierw obsłużyć Egeanin – kiedy jednak wrócił na swoje miejsce obok kufra okazało się, że sobie nalał również. Stał tam tak z kubkiem w dłoni, przyglądając się im, jakby była to najbardziej naturalna rzeczna świecie. Bethamin zagapiła się nań z wytrzeszczonymi oczami.

– Wydaje ci się, że już trafiłaś na pal – powiedziała Egeanin a *sul'dam* drgnęła, spojrzenie przerażonych oczu znowu utkwiwszy w twarzy Egeanin. – Mylisz się, Bethamin. Jedyłą prawdziwą zbrodnią, jaką popełniłam, było uwolnienie ciebie. – Znowu, nie było to do końca prawdą, w końcu przekazała męską *a'dam* bezpośrednio w ręce samej Suroth. A spotkania z Aes Sedai nie były przestępstwem. Poszukiwacz mógł coś podejrzewać... próbował podsłuchiwać pod drzwiami w Tanchico... jednak ona nie była *sul'dam*, którą by można obciążyć oskarżeniami o nie wywiązanie się z obowiązków schwytania *marath'damane*. W najgorszym razie oznaczało to naganę. – Póki się o tym nie dowie, nie będzie miał dowodów aresztowanie mnie. Jeśli chce wiedzieć, co mówię, albo cokolwiek innego na mój temat, powiedz mu. Pamiętaj tylko, że kiedy zdecyduje mnie aresztować, podam mu twoje imię. – Drobne napomnienie na wypadek, gdyby Bethamin doszła do wniosku, że zdoła się uratować, rzucając ją na pożarcie. – Nawet nie będzie mnie musiał męczyć.

Ku jej zaskoczeniu *sul'dam* wybuchła histerycznym śmiechem. I śmiała się, póki Egeanin nie pochyliła się i delikatnie jej nie spoliczkowała.

Z pochmurną miną pocierając policzek, Bethamin powiedziała:

– On wie niemal wszystko, oprócz wydarzenia w piwnicy, moja pani. – I zaczęła prezentować fantastyczną sieć zdrady, łączącą Egeanin i Bayle'a, a także Suroth oraz niewykluczone, że samą Tuon, z Aes Sedai, *marath'damane* oraz *damane*, które wcześniej były Aes Sedai.

Kiedy Bethamin przeskakiwała tak od jednego niewiarygodnego zarzutu do drugiego, a w jej głos powoli wkradały się paniczne nuty, Egeanin zareagowała na to upijając łyk brandy. Zwyczajnie. Z całkowitym spokojem. Nie denerwowała się. Bez reszty panowała... To było już coś więcej niż pełne mielizn wody. Żeglowała wzdłuż skalistego wybrzeża, a sam Duszoślep gnał na tym szkwale, chcąc ukraść jej wzrok. Bayle również słuchał, jego oczy stawały się coraz większe, póki jednym haustem nie opróżnił kubka mocnego ciemnego alkoholu. Czuła ulgę, widząc jego reakcję i równocześnie poczucie winy, że sama jest tak spokojna. Nikt by nie uwierzył, że on może być mordercą. Poza tym, choć miał nadzwyczaj zręczne dłonie, z mieczem radził sobie ledwie przyzwoicie – tak więc czy bronią, czy gołymi rękami, Szlachetny Lord Turak wypatroszyłby Bayle'a jak karpia. Zresztą jedynym powodem, dla którego w ogóle brała pod uwagę taką możliwość, był fakt, iż przebywał w Tanchicoz tymi dwiema Aes Sedai. Cała rzecz była czystym nonsensem. Nie mogło być inaczej! Te dwie Aes Sedai nie były częścią żadnej konspiracji, to było tylko przypadkowe spotkanie. Światłość jedna wiedziała, że to były zwykłe dziewczynki, zresztą zupełnie

niewinne, zbyt miękkie, aby poderżnąć temu Poszukiwaczowi gardło, gdy miały taką okazję. Czego zresztą należało żałować. Same jej wręczyły męską *a'dam*. Poczowała, jak lodowate mrówki pełzną po jej grzbiecie. Gdyby Poszukiwacz kiedykolwiek dowiedział się, że zamierzała naprawdę pozbyć się *a'dam* w taki sposób, jak sugerowały te Aes Sedai, gdyby ktokolwiek się dowiedział, byłaby w równym stopniu winna zdrady, jak gdyby na prawdę utopiła ją w odmętach morza.

„A nie jestem?” – zapytała samą siebie. Czarny przybywał, by odebrać jej wzrok.

Z twarzą zalaną łzami, Bethamin przyciskała do piersi swój kubek, jakby w ten sposób sama chciała się utulić. Jeśli w ten sposób miała zamiar powstrzymać targające nią dreszcze, to nie udało jej się. Trzęsąc się, patrzyła na Egeanin, a może tylko utkwiała spojrzenie w przestrzeni za jej plecami. Coś strasznego. Płomienie nie zdążyły jeszcze ogrzać pomieszczenia, ale na czole Bethamin lśniły krople potu.

– ...a jeśli się dowie o Rennie i Secie – paplała – wtedy będzie już wiedział na pewno! Przyjdzie po mnie i po tamte *sul'dam*! Musisz go powstrzymać! Jeśli mnie weźmie, podam mu twoje imię! Tak zrobię! – Znienacka odchyliła głowę, podniosła niepewnym ruchem do ust kubek i opróżniła zawartość. Zaraz zakrzuszyła się i rozkaszała, niemniej podsunęła Bayle'owi po jeszcze. Nawet nie drgnął. Wyglądał, jakby go zdzielono obuchem w głowę.

– Kim są Renna i Seta? – zapytała Egeanin. Była równie przerażona co *sul'dam*, jak zawsze jednak trzymała swój strach na wodzy. – Czego Poszukiwacz może się o nich dowiedzieć, – Bethamin uciekła spojrzeniem i znienacka sama się domyśliła. – To są *sul'dam*, nieprawdaż, Bethamin? I tak jak tobie nałożono im obroże.

– Należą do orszaku służby Suroth – zaszlochala tamta. – Nie pozwala im się łączyć w parę. Suroth wie.

Egeanin potarła zmęczone oczy. Być może mimo wszystko rzeczywiście istniał jakiś spisek. Albo Suroth ukrywała wiedzę o tym, co się stało, żeby chronić Imperium. Los Imperium zależał od *sul'dam*, jego siłę pobudowano na ich istnieniu. Wieści o tym, że *sul'dam* mogły się nauczyć przenosić, wstrząsnęłyby Imperium aż do głębi. Z pewnością nią wstrząsnęły. I niewykluczone, że aż do głębi. Przecież nie uwolniła wówczas Bethamin powodowana poczuciem obowiązku. Tanchico zmieniło tyle rzeczy. Już nie wierzyła, że każda kobieta, która potrafi przenosić, powinna być wzięta na smycz, zbrodniarki z pewnością, może również te, które odmówiłyby złożenia przysięgi przed Kryształowym Tronem i... Nie wiedziała. Ongiś jej życie wspierało się na prawdach trwałych niczym kamień, które były niezawodne jak gwiazdy przewodniczki. Chciała z powrotem tamtego życia. Chciała bodaj kilku trwałych prawd.

– Myślałam sobie... – zaczęła Bethamin. Jeśli tak dalej będzie oblizywać wargi, nic jej nie zostanie. – Moja pani, gdyby Poszukiwaczowi... przydarzył się wypadek... być może niebezpieczeństwo znikłoby razem z nim. – Światłości, ta kobieta naprawdę wierzyła w spisek przeciwko Kryształowemu Tronowi i była gotowa odpuścić go, byle tylko ocalić własną skórę!

Egeanin wstała, a *sul'dam* nie miała innego wyjścia, jak pójść w jej ślady.

– Pomyślę o tym, Bethamin. Będziemy się spotykać każdego dnia, gdy tylko znajdziesz wolny czas. Tego właśnie oczekuje Poszukiwacz. Póki nie zdecyduję, co robić, nie zrobisz nic. Rozumiesz? Nic prócz twoich obowiązków i tego, co ci powiem. – Bethamin rozumiała. A wiara w to, że teraz ktoś inny już zajmie się zagrożeniem, przepełniła ją takim poczuciem ulgi, iż uklękła znowu i pocałowała dłoń Egeanin.

Egeanin prawie wypchnęła ją z pokoju, zamknęła drzwi, a potem cisnęła swoim kubkiem w palenisko. Odbił się od cegieł, potoczył po małym dywaniku rozłożonym na podłodze. Wyszczerbiony. Ten zestaw kubków otrzymała w prezencie od ojca, kiedy objęła swój pierwszy

okręt. Poczula się, jakby odebrano jej wszystkie siły. Poszukiwacz splótł księżycowe promienie i zbiegi okoliczności w ciasną pętlę na jej szyję. Ale nie z tego, nie zostanie sprzedana na targu. Zadrżała na samą myśl. Cokolwiek zrobi poszukiwacz miał ją w garści.

– Mogę go zabić – Bayle zatarł dłonie, równie wielkie jak reszta jego członków. – Jak pamiętam, to chudeusz. Przyzwyczał się, że wszyscy słuchają jego rozkazów. Nie będzie się spodziewał, że ktoś mu skręci kark.

– Nigdy go nawet nie znajdziesz, Bayle. Będzie się z nią spotykał za każdym razem w innym miejscu, a nawet gdybyś ją śledził dzień i noc, on może występować w przebraniu. Nie zabijesz każdego mężczyzny, z jakim będzie rozmawiała.

Wyprostowała się i podeszła do stolika, gdzie spoczywała jej tabliczka do pisania i otworzyła wieko. Rzeźbiona w symboliczne fale z oprawionym w srebro kałamarzem i srebrnym pojemnikiem na piasek, tabliczka stanowiła prezent od matki na tę samą okazję przy której otrzymała srebrne kubki. Również ułożone kartki dobrego papieru nosiły jej niedawno przyznany herb: miecz i zwichrowaną kotwicę.

– Napiszę ci list wyzwoleńczy – powiedziała, zanurzając w atramencie srebrne pióro – i dam dość pieniędzy, żebyś opłacił przejazd. – Pióro pomknęło po papierze. Zawsze miała ładny charakter pisma. Wpisy do dziennika pokładowego musiały być czytelne. – Obawiam się, że nie będzie tego dość na zakup statku, ale musi ci wystarczyć. Odplynieś pierwszą okazją. Jeśli ogolisz resztę głowy, nie powinieneś mieć żadnych kłopotów. Wciąż dość niezwykły widok stanowią łysi mężczyźni bez peruki, jednak jak dotąd nikt nie... – Zająknęła się, gdy Bayle wyrwał jej kartę spod ręki.

– Jeśli mnie uwolnisz, nie będziesz mogła wydawać rozkazów – powiedział. – Poza tym, musisz zadbać, żebym się utrzymał jako wolny człowiek. – Wrzucił papier do ognia i przez chwilę patrzył jak czernieje i skręca się. – Powiedziałas, że będzie to okręt, trzymam cię więc za słowo.

– Posłuchaj moich słów – oznajmiła swoim najlepszym kapitańskim głosem, co nie wywarło na nim żadnego wrażenia. To musi być wina tej przeklętej sukni.

– Będziesz potrzebowała załogi – wszedł jej w słowo – a ja mogę ci ją znaleźć, nawet tutaj.

– Jaki pożytek mogę mieć z załogi? Nie mam statku. Gdybym miała gdzie mogłabym pozełgować, żeby Poszukiwacz mnie nie znalazł.

Bayle wzruszył ramionami, jakby była to nieistotna kwestia.

– Najpierw załoga. Rozpoznałem tego młodego chłopaka kuchni, tego z dziewczyną na kolanach. Przestań się krzywić. Niema niczego złego w odrobinie pocałunków.

Wyprostowała się, gotowa udzielić mu ostrej reprymendy odnośnie obowiązków. Nie krzywiła się, tylko marszczyła brwi. Tamci dobierali się do siebie w miejscu publicznym, jak zwierzęta, a on zapominał, że jest jej własnością! Nie miał prawa mówić do niej w ten sposób!

– Ma na imię Mat Cauthon – ciągnął dalej Bayle, mimo że już otworzyła usta. – Wnioskując z ubrania, osiągnął coś w świecie, nawet sporo. Kiedy go pierwszy raz spotkałem, był w kaftanie wieśniaka i uciekał przed trollokami do miejsca, gdzie nawet trolloki bały się wejść. Ostatnim razem, gdy nasze drogi się przecięły, spłonęła prawie połowa miasta Biały Most, a Myrddraal ścigał jego i jego przyjaciół. Nie widziałem wprawdzie na własne oczy jak to się skończyło, ale muszę przecież wierzyć. Każdy, kto jest w stanie uciec trollokom i Myrddraalowi może nam się przydać, jak sądzę. Zwłaszcza w obecnej sytuacji.

– Któregoś dnia – warknęła – sama na ciebie napuszczę te trolloki i Myrddraala. – Te stwory nie mogły nawet w połowie być tak straszne, jak je opisywał.

Wyszczерzył zęby i pokręcił głową. Znał jej poglądy na temat tak zwanego Pomiotu Cienia.

– A co jeszcze ważniejsze, na moim statku Mat Cauthon płynął w pewnym towarzystwie. W



towarzystwie ludzi jak najbardziej stosownych na obecną sytuację. Jednego z nich znasz. To Thom Merrilin.

Egeanin wstrzymała oddech. Merrilin był bystrym starcem. Niebezpiecznym starcem. I obracał się w towarzystwie tych dwu Aes Sedai, kiedy poznała Bayle'a.

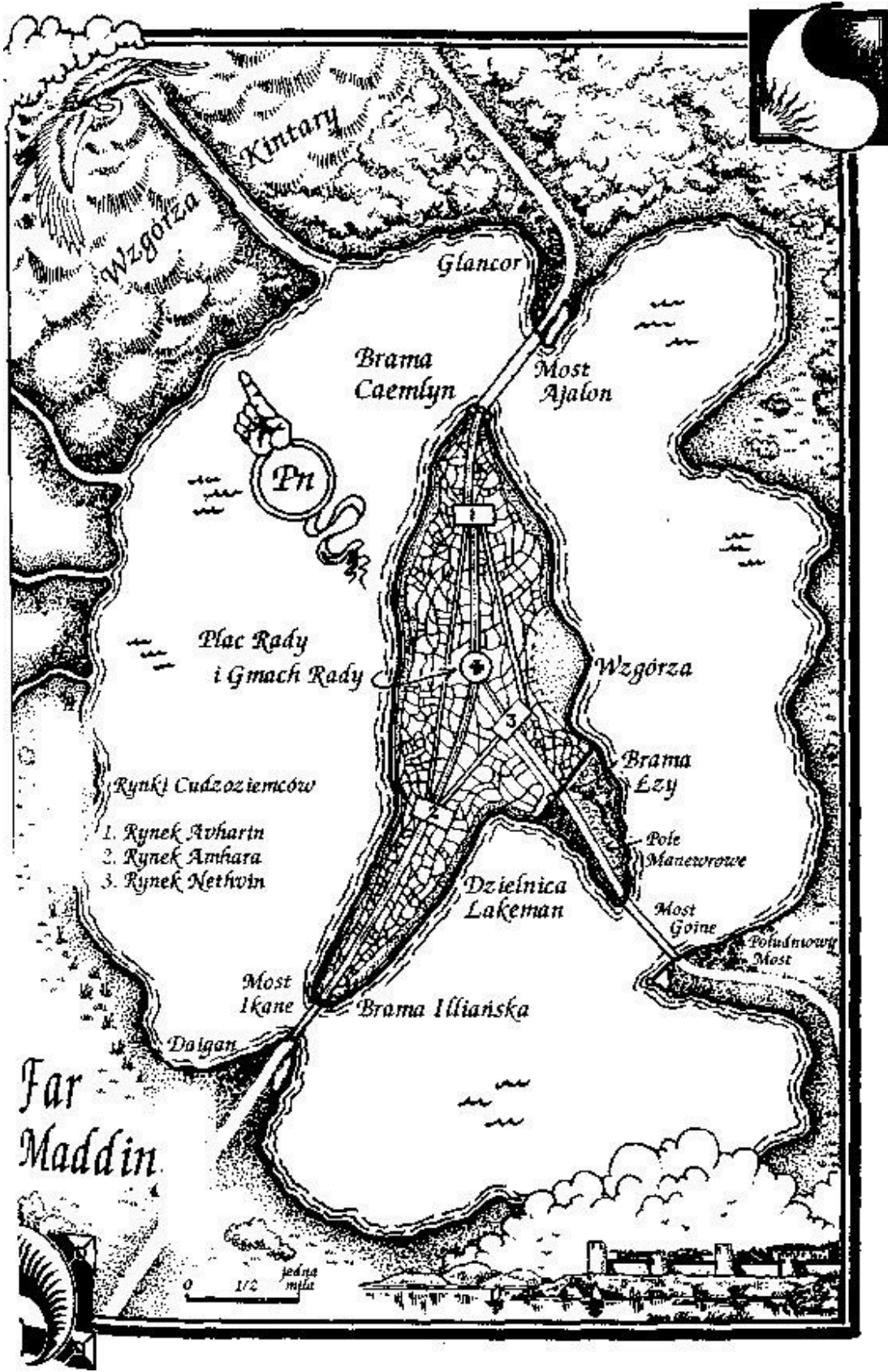
– Bayle, tu naprawdę chodzi o spisek? Powiedz mi. Proszę. – Nikt nie mówił „proszę” do niewolnika, nawet jeśli ten był *so'jhin*. Przynajmniej póki mu na czymś strasznie nie zależało.

Znowu pokręcił głową, wsparł dłoń na gzymsie kominka i spod zmarszczonych brwi zapatrzył się w ogień.

– Dla Aes Sedai intryga jest tym, czym dla ryby woda. Z pewnością mogłyby spiskować z Suroth, pytanie jednak brzmi, czy ona chciałaby spiskować z nimi? Widziałem, jak spoglądała na *damane*. Jakby to zapchłone, sparszywiałe psy, roznoszące chorobę. Czy w ogóle chciałaby rozmawiać z Aes Sedai? – Spojrzał na nią, a oczy miał jasne i czyste, nic nie skrywały. – Powiem to raz na zawsze. Gdybym miał przysięgać na grób babci, nie wiem nic o żadnej konspiracji. Gdybym jednak wiedział nawet o dziesięciu, nie pozwoliłbym ani temu Poszukiwaczowi, ani nikomu innemu wyrządzić ci krzywdy, niezależnie co musiałbym w tym celu zrobić. – Takie słowa mogłyby pojawić się na ustach każdego lojalnego *so'jhin*. Cóż, żaden *so'jhin* o jakim kiedykolwiek słyszała, nigdy nie byłyby tak bezpośredni, ale stojące za słowami uczucia byłyby te same. Tylko, że doskonale zdawała sobie sprawę, iż on nie chciał, aby tak to zabrzmiało. Nie mógł w istocie wiedzieć, że o to chodzi.

– Dziękuję ci, Bayle. – Głos, który się nie łamał był koniecznym przy wydawaniu rozkazów, ale ona wdzięczna była, że jej głos teraz właśnie się nie załamał. – Znajdź tego Mata Cauthona i Thoma Merrilina, jeśli dasz radę. Może coś da się zrobić.

Zanim opuścił jej towarzystwo, oczywiście zapomniał się uklonić, ale nie miała zamiaru mu tego wypominać. Bowiem nie miała zamiaru również pozwolić, by ten Poszukiwacz ją dopadł. Zrobi wszystko, czego trzeba, aby go powstrzymać. Do takiego wniosku doszła jeszcze zanim uwolniła Bethamin. Napelniła aż po brzegi wyszczerbiony kubek, zamierzając się upić do tego stopnia, żeby nie móc myśleć, zamiast tego jednak okazało się, że siedzi, wpatrzona w ciemny płyn, nie tknąwszy nawet kropli. Czegokolwiek byłoby trzeba. Światłości, nie była wcale lepsza od Bethamin! Ale ta wiedza nie zmieniała nic. Czegokolwiek będzie trzeba.



Rynek Cudzoziemców

- 1. Rynek Avharin
- 2. Rynek Amhara
- 3. Rynek Nethwin

Far  
Madding

0 1/2 jedna mila

# JAKBY ZNIKĄD

Rynek Amhary stanowił jedno z trzech miejsc w Far Madding, na którym pozwalano handlować cudzoziemcom, ale mimo jednoznacznie brzmiącej nazwy, nie miał z rynkiem wiele wspólnego – żadnych straganów, żadnych towarów na wystawach. Kilku konnych, garstka zabudowanych lektyk, przy których trudzili się nosiciele w jaskrawych liberiach, przypadkowa karetka z zaciągniętymi zasłonkami okien – wszystko w otoczeniu stosunkowo rzadkiego, ale dość zabieganego tłumu, jaki można zobaczyć w każdym większym mieście. Większość przechodniów ściśle otulała się płaszczami, chroniąc przed porannym wiatrem znad jeziora, ktoś otaczało miasto i to właśnie ten chłód, nie zaś pilność ewentualnych interesów, powodowała to wrażenie gorączkowej aktywności. Wokół placu, podobnie jak w okolicy dwóch pozostałych Cudzoziemskich Rynków, wysokie kamienne domy bankierów tłoczyły się bok w bok z kamiennymi karczmami o dachówce z łupki zapewniającymi schronienie zagranicznym kupcom oraz przysadzistymi pozbawionymi okien magazynami, gdzie przechowywali swe towary; zabudowę okolicy uzupełniały kamienne stajnie i otoczone kamiennymi ścianami dworce dla wozów. Far Madding było miastem kamiennych ścian i dachów z łupki. O tej porze roku gospody wypełnione były w najlepszym razie w jednej czwartej, a składy i dworce wozów nawet nie. Kiedy jednak przyjdzie wiosną i handel osiągnie swoje normalne natężenie, kupcy będą płacić trzykrotne stawki za byle miejsce, jakie uda im się znaleźć.

Na okrągłym marmurowym piedestale pośrodku placu stał posąg Savion Amhary, wysokiej na dwie piędzi i dumnej w marmurowych szatach obrzeżonych marmurowym futrem, z okalającym szyję szczegółowo oddanym marmurowym łańcuchem, symbolem jej urzędu. Na marmurowej twarzy gościł surowy wyraz, marmurowe oczy spoglądały spod marmurowego diademu Pierwszej Radczyńi; prawa dłoń zdecydowanie ścisnęła rękojeść marmurowego miecza, którego czubek spoczywał oparty o ziemię między obutymi w pantofle stopami, podczas gdy uniesiona lewa celowała ostrzegawczym gestem w stronę Bramy Łzy, znajdującej się jakieś trzy czwarte mili stąd. Far Madding istnienie swe zawdzięczało kupcom z Łzy, Illian i Caemlyn, równocześnie Wysoka Rada nieustannie strzegła miasta przed obcymi i ich zdeprawowaną cudzoziemską obyczajowością. Pod pomnikiem stał pojedynczy wartownik Straży Muncypalnej, w stalowym hełmie, skórzanym kaftanie obszytym nachodzącymi na siebie kwadratowymi metalowymi płytkami oraz godłem Złotej Ręki na lewym ramieniu i za pomocą długiej giętkiej tyczki odganiał gołębie o szarych brzuskach i czarnych skrzydłach. W dziejach Far Madding prócz Savion Amhary podobnie zasłynęły jeszcze dwie kobiety, chociaż sława żadnej z nich nie sięgała zbyt daleko poza brzegi jeziora. I choć każda historia świata wymieniała dwóch mężczyzn pochodzących z miasta, które wszelako za życia jednego z nich nazywało się Aren Mador, zaś za życia drugiego Fel Moreina – to mieszkańcy Far Madding robili wszystko co w ich mocy, żeby zupełnie zapomnieć o istnieniu Raolina Pogromcy Ciemności i Yuriana Kamienny Łuk. A w istotny sposób to właśnie postacie ściągnęły Randa do Far Madding.

Niewielu mijanych ludzi w ogóle nań spoglądało, a nikt nie obejrzał się dwa razy. Jego obcość rzucała się w oczy od razu: błękitne oczy i włosy do ramion. W mieście mężczyźni zapuszczali włosy długie do pasa i nosili je albo spływające swobodnie, albo związane na karku w koński ogon czy ujęte spinką. Proste brązowe wełny, jakie miał na sobie stanowiły ubiór zupełnie niewyróżniający go z tłumu, coś takiego mógłby wdziać średnio dobrze prosperujący kupiec, a mimo wiatru znad jeziora bynajmniej nie był jedynym pieszym bez płaszcza. Większość tych amatorów chłodu to byli Kandoranie o widlastych brodach, Arafellianie z warkoczyki zdobionymi dzwoneczkami, wreszcie

Saldaeanie o haczykowatych nosach – tak mężczyźni, jak kobiety ze wszystkich Ziemi Granicznych nawykli do znacznie bardziej surowego klimatu. Zresztą w jego wyglądzie nie było nic, co by go od nich jednoznacznie odróżniało. Po prostu nie zwracał uwagi na chłód, ignorował go, jak to czasem ma miejsce w przypadku natrętnej muchy. Płaszcz może mu być zawadą, gdy przyjdzie czas na działanie.

Jego wzrost również nie przyciągał niczyjej uwagi. W Far Madding można było znaleźć niejednego wielkoluda, w tym dobrych kilku wśród obywateli miasta. Sam Manel Rochaid był tylko o dłoń niższy od Randa, o ile w ogóle. Rand starał się trzymać w pewnej odległości od niego, pozwalał, by ludzie i lektyki przemierzali się swobodnie między nim a jego zwierzyną, czasami nawet przesłaniając mu zupełnie jej widok. Ponieważ włosy miał ufarbowane na czarno ziołami Nynaeve, wątpił, by Asha'man renegat był w stanie go rozpoznać, nawet gdyby się odwrócił. Poza tym nie bardzo się przejmował możliwością zgubienia Rochaida. Większość mężczyzn miasta nosiła ubrania w nijakich barwach, jedynie na piersiach i ramionach ozdobione nieco bardziej kolorowymi haftami, niekiedy bardziej zamożni dodawali do tego wysadzaną klejnotami spinkę do włosów, natomiast cudzoziemscy kupcy specjalnie wdziewali bezpretensjonalne rzeczy – aby wyglądać na uboższych – swoich strażników i woźniców zaś ubierali w surowe wełny. A więc jaskrawoczerwony kaftan Rochaida musiał się na tym tle wyróżniać. Kroczył przez plac niczym król, z jedną dłonią wspartą swobodnie na rękojeści miecza, a poły obrzeżonego futrem płaszcza powiewały mu za plecami. Był głupcem. Płaszcz i miecz zarówno przyciągały spojrzenia. Po nawoskowanych, podwiniętych wąsach można w nim było rozpoznać Murandianina, który przecież powinien drzeć z zimna, jak każdy normalny człowiek, zaś ten miecz... Wielki jak brzoza, a głupi jak koza.

„To ty jesteś głupcem, skoro przybyłeś do tego miejsca” – dyszał dziko w jego głowie Lews Therin. – „Szaleństwo! Szaleństwo! Musimy stąd natychmiast uciekać! Trzeba uciekać!”

Nie zwracając uwagi na głos, Rand naciągnął obcisłe rękawice i miarowym krokiem wędrował za Rochaidem. Dostrzegł, że niejedni Muncypalni uważnie przygląda się tamtemu. Obcych potocznie uważano w mieście za wicherzycieli i warcholów, a Muradianie cieszyli się wyjątkowo kiepską reputacją. Cudzoziemiec uzbrojony w miecz zawsze przyciągał uwagę Straży. Rand zadowolony był, że zdecydował zostawić własną broń pod opieką Min w gospodzie. W głębi czaszki jej obecność czuł znacznie bardziej wyraźnie niż Elayne, Aviendhy czy Alanny. Tamte stanowiły tylko dalekie echa. Min zdawała się żyć w nim.

Kiedy Rochaid opuścił Amharę, zagłębiając się w miasto, w tej samej chwili stada gołębi poderwały się z dachów, lecz zamiast bezbłędnie kołować i wznosić się w niebo, wpadały na siebie, a niektóre nawet w furkocie piór spadały na ziemię. Ludzie gapili się zdumieni, w tym również ci Muncypalni, którzy jeszcze przed momentem obserwowali Rochaida. Tamten ani razu się nie obejrzał, zresztą gdyby nawet, i tak nie miałyoby to znaczenia. Niepotrzebne mu były znaki obecności *ta'veren*, wiedział, że Rand jest w mieście, ponieważ w przeciwnym razie, jego by tu nie było.

Wędrując śladem Rochaida na Ulicę Radości – tak naprawdę dwie szerokie ulice, przedzielone równym pasem bezlistnych drzew o szarej korze – Rand uśmiechnął się. Rochaid i jego przyjaciele z pewnością uważali się za bardzo bystrych. Najprawdopodobniej znaleźli mapę północnych Równin Maredo zawieszoną do góry nogami w Kamieniu Łzy albo książkę na temat południowych miast, odłożoną w niewłaściwie miejsce na półce biblioteki Pałacu Aesdaishar w Chachin, albo któryś z innych fałszywych śladów, jakie rozmyślnie za sobą zostawił. Z pozoru były to wszystko drobne pomyłki, które może popełniać każdy, kto się spieszy, lecz zebrane razem wskazywały – niczym namalowana strzała – na Far Madding. Rochaid i tamci zorientowali się naprawdę szybko, szybciej niż pierwotnie zakładał, niewykluczone zresztą, że ktoś im pomógł. Tak czy siak, nie miało to

znaczenia.

Nie domyślał się, dlaczego Murandianin przybył przed innymi, jednak wiedział, że tamci również się pojawią – Torval i Dashiva, Gedwyn i Kisman – aby skończyć, co zaczęli w Cairhien. Szkoda, że żadne z Przeklętych z pewnością nie okaże się na tyle głupie, aby również go tutaj ścigać. Wyślą po prostu swoich ludzi. Chciał zabić Rochaida, zanim pozostali przybędą, oczywiście mogło się nie udać. Nawet tutaj, gdzie stali naprzeciw siebie na równej ziemi, lepiej było przechylić nieco szansę na swoją stronę. Rochaid przebywał już w Far Madding od dwóch dni i otwarcie wypytywał o wysokiego, rudowłosego mężczyznę, obnosząc się ze swoją arogancją, jakby naprawdę niczego na świecie nie musiał się obawiać. Spotkał się już z niezliczoną liczbą osób odpowiadających jego opisowi, a wciąż wydawało mu się, że jest myśliwym, nie zwierzyną.

„Przyprowadziłeś nas tutaj na śmierć!” – jęknął Lews Therin. – „Pobyt tutaj jest gorszy niż śmierć!”

Rand niepewnie wzruszył ramionami. Odnośnie ostatniej kwestii zgadzał się z głosem. Opuściłby miasto z równą radością Lews Therin. Ale czasami miało się wybór tylko między złym i gorszym. Rochaid szedł przed nim, nieomal w zasięgu ręki. Tylko to się teraz liczyło.

Sklepy i gospody Ulicy Radości o ścianach z szarego kamienia w miarę jak Rand oddalał się od Rynku Amhary, powoli ustępowały miejsca innym przybytkom. Najpierw miejsce warsztatów wytwórców noży zajęły sklepy jubilerskie ze srebrem, a potem te zastąpiły sklepy złotników. Zamiast wełen, na wystawach szwaczek i krawców pojawiły się haftowane jedwabie i brokaty. Karety toczące się z łoskotem po kamiennym bruku miały już lakierowane herby na drzwiczkach, a zaprzężone były w czwórki i szóstki koni odpowiednio dobranych maścią, jeźdźcy dosiadali tu zwierząt najlepszej taireńskiej krwi albo porównywalnych. Lektyki na ramionach truchtających nosicieli liczbą dorównywały pieszym, wśród pieszych zaś właściciele i właścicielki sklepów w kaftanach i sukniach bogato haftowanych na piersiach i ramionach, ustępowali liczebnie ludziom w liberiach równie jaskrawych, co właściwa nosicielom lektyk. W męskich spinkach do włosów widywało się ozdoby z kolorowych szkiełek, czasami zaś nawet perły czy szlachetniejsze kamienie, jednak spośród mężczyzn, których żony mogły sobie pozwolić na klejnoty, niewielu wędrowało piechotą. Właściwie takie same pozostały tylko chłodny wiatr i Straż Muncypalna, patrolująca trójkami ulice, czujnie wypatrując kłopotów. Nie było ich tak wielu jak na Cudzoziemskim Rynku, niemniej gdy tylko jeden patrol zniknął z pola widzenia, pojawiał się następny, a na każdym skrzyżowaniu z ulicą szerszą od zwykłej alejki stała kamienna wartownia z obserwatorem na górze i dwoma Muncypalnymi u stóp, czekającymi tylko aż tamten wypatrzy kłopoty.

Rochaid cały czas trzymał się Ulicy Radości, a Randowi powoli przestawało się to podobać. Czyżby zmierzał na Plac Rady, znajdujący się pośrodku wyspy? Tam nie było nic prócz Gmachu Rady, pomników pochodzących sprzed co najmniej pięciuset lat, kiedy Far Madding było stolicą Maredo, jak też biur najbogatszych kobiet miasta. W Far Madding bogaty mężczyzna to taki, któremu żona wypłacała szczerą pensję, albo wdowiec, którego zmarła małżonka uposażyła w testamencie. Niewykluczone, że Rochaid jął się spotkać ze Sprzymierzeńcami Ciemności. Jeżeli tak, dlaczego tyle zwlekał?

Nagle ogarnęła go fala mdłości, na moment pole widzenia przesłoniła niewyraźna twarz, zachwiał się – w końcu musiał schwycić jakiegoś przechodnia, żeby nie upaść. Wyższy nawet od Randa, w jaskrawozielonej liberii, słomianowłosa, zareagował zyczliwie – poprawił ciężki kosz, który dźwigał i delikatnie podtrzymał upadającego. Opaloną twarz przecinała po jednej stronie długa, pomarszczona blizna. Skłonił głowę, wymamrotał przeprosiny i pospieszył dalej.

Rand wyprostował się, równocześnie przeklinając pod nosem.

„Przecież już ich wszystkich zabiłeś” – wyszeptał w jego głowie Lews Therin. – „A teraz chcesz zabić kogoś innego i faktycznie, rychło w czas. Zastanawiam się, jak wielu nam trzem przyjdzie jeszcze zabić, zanim nastąpi koniec”.

„Zamknij się!” – pomyślał gwałtownie Rand, lecz odpowiedzią był tylko skrzekliwy, szyderczy śmiech. To nie spotkanie z Aielem go tak zdenerwowało. Od przybycia do Far Madding widział już wielu. Z jakiegoś powodu setki Aielów, którzy uciekli przez Prawdą o własnej historii, skończyło tutaj właśnie, gdzie niezdarnie próbowali żyć zgodnie z Drogą Liścia, wiedząc o niej tylko tyle, że ma coś wspólnego z zostaniem na resztę życia *gai'shain*. Nie denerwował go także napad mdłości ani przynależność oblicza które zobaczył, gdy raził go napad. Chodziło o widok z przodu: powóz ciągnięty przez sześć siwków, turkoczący w strumieniu lektyk i ludzi w liberiach, klienci wchodzący i wychodzący ze sklepów, ale ani śladu czerwonego kaftana. Uderzył osłoniętą rękawicą pięścią we wnętrze drugiej dłoni.

Gnane na oślep nie miało sensu. Mógłby wpaść na tamtego albo przynajmniej dać się zobaczyć. Jak dotąd Rochaid z pewnością nie wiedział, że Rand przebywa w mieście, dawało to przewagę, której nie należało marnować. Wiedział natomiast, gdzie Rochaid mieszka – w pewnej gospodzie, wynajmującej pokoje obcym. Mógłby jutro z samego rana zacząć się w pobliżu i czekać na następną szansę. W nocy też mogli przybyć pozostali. Zakładał jest w stanie zabić każdych dwu naraz, a być może i wszystkich pięciu, tylko wówczas nie uniknąłby hałasu. Któryś z pięciu z pewnością by go poranił, zaś w najlepszym razie musiałby porzucić swój miecz, czego uczynić nie chciał. Był prezentem od Aviendhy. W najgorszym zaś razie...

Kątem oka pochwycił mgnienie obszytego futrem płaszcza, który zniknął za rogiem i natychmiast pognał w tamtą stronę. Municypalni pod znajdującą się tam wartownią wyprostowali się, obserwator na górze wyciągnął już grzechotkę zza pasa. Jeden z tych którzy stali pod wartownią zważył w dłoni ciężką pałkę, drugi sięgnął po chwytak oparty o wiodące na górę schody. Rozwidlony koniec służył do unieruchamiania ręki, nogi czy karku, zaś drzewce okute było żelazem, co czyniło je odpornym na ciosy miecza czy topora. Obserwowali go uważnie, twardymi spojrzeniami.

Skinął im głową i uśmiechnął się, potem ostentacyjnie spojrzał w głąb bocznej uliczki, przepatrując zgromadzonych tam ludzi. Bynajmniej nie uciekający złodziej, po prostu człowiek pragnący w zupełnie przyjacielskich zamiarach kogoś dogonić. Pałka powędrowała z powrotem do uchwytu przy pasie, chwytak wrócił na schody. Ale po raz drugi nie spojrzał już na Municypalnych. Przed sobą dostrzegł mgnienie płaszcza, a może czerwonego kaftana, których właściciel właśnie skręcał w kolejną ulicę.

Unosząc dłoń niby w geście zwrócenia czyjejs uwagi, Rand spieszył za ściganym, po drodze omijał ludzi i tace ulicznych handlarzy. Domokrążcy okrzykami próbowali przyciągnąć jego uwagę – czyjąkolwiek uwagę. Tutaj z kolei już tylko nieliczni mogli szczyścić się haftami, prosty rzemyk wiążący włosy mężczyzny był znacznie bardziej rozpowszechniony niż nawet najprostsza spinka.

Te boczne uliczki były co najmniej ciasne, z pewnością zaś straszliwie kręte – tworzyły ryzykowny labirynt tanich karczm i kamiennych domów mieszkalnych o wąskich trzy piętrowych lub czteropiętrowych frontach, które górowały nad rzeźnikami, sklepami wytwórców świec, zakładami fryzjerskimi, warsztatami blacharskimi, garncarskimi i bednarskimi. W przestrzeni tych uliczek nie zmieściłyby się już powozy, lektyk również nigdzie nie było widać, żadnych konnych i tylko garstka służących w liberiach – nieśli rozmaite kosze wyraźnie wysłani, żeby coś załatwić, jednak spoglądali z góry na wszystkich wyjąwszy Straż Municypalną. Bowiem nawet tutaj wszędzie widać było piesze patrole i wysokie wartownie.

W końcu udało mu się wyraźnie zobaczyć człowieka, którego ścigał. Rochaid wreszcie na tyle

poszedł po rozum do głowy, żeby otulić się płaszczem, chowając przed wzrokiem gawiedzi czerwony kaftan i miecz, ale dalej nie mogło być wątpliwości względem tego, kim był. Wręcz można by powiedzieć, że teraz unikał rzucania się w oczy, wędrował bowiem tuż pod ścianami budynków, prawie ramieniem szorując po wystawach sklepów. Znienacka rozejrzył się ukradkiem, a potem dał susa w alejkę między sklepikiem wypłatacza koszów a gospodą z godłem tak brudnym, że nie dawało się odczytać nazwy. Rand omal się nie uśmiechnął i nie tracąc czasu, ruszył za nim. W bocznych zaułkach Far Madding nie było ani Straży Municypalnej, ani wartowni.

Te zaułki okazały się jeszcze bardziej kręte niż boczne uliczki, którymi Rand przed momentem jeszcze wędrował, tworzyły istne mrowisko w ramach każdego kwartału, a Rochaid tymczasem znowu zdążył gdzieś się zapodziać – Rand słyszał tylko plaskanie jego butów po mokrej kamienistej glinie. Te odgłosy odbijały się wzmacnianym pogłosem wśród pozbawionych okien kamiennych ścian, póki nie był właściwie w stanie zorientować się, gdzie leży ich źródło, lecz szedł dalej, wzdłuż przejść ledwie na tyle szerokich, by zmieścić dwu mężczyzn idących obok siebie. Pod warunkiem, że nie mieliby nic przeciwko sobie. Dlaczego Rochaid wybrał ten labirynt? Dokądkolwiek zmierzał, najwyraźniej zależało mu, by szybko dotrzeć na miejsce. Ale przecież nie mógł na tyle znać ulic by wiedzieć, dokąd wszystkie prowadzą.

Znienacka Rand zrozumiał, że jedyny odgłos kroków wydawały jego własne buty i stanął jak wryty. Cisza. Z miejsca, gdzie się znajdował, był w stanie zobaczyć kolejne trzy alejki, odchodzące w bok od tej, w której przystanął. Wstrzymując oddech, wyteżał słuch. Cisza. Już niemalże postanowił wracać. I wtedy usłyszał odległy stukot, dobiegający z wylotu najbliższej alejki, jakby ktoś przypadkowo kopnął kamień, a ten uderzył w kamienną ścianę. Najlepiej zabić go od razu i skończyć z całą sprawą.

Rand skręcił za róg, a tam już czekał na niego Rochaid.

Murandianin odrzucił płaszcz na plecy, w obie dłonie ujął rękojeść miecza. Plecionka pokoju – stosowane w Far Madding zabezpieczenie przed użyciem broni – więziła rękojeść i pochwę siecią delikatnego drutu. Na jego twarzy zastygł nieznaczny, chytry uśmiech.

– Dałeś się wziąć na przynętę równie łatwo jak gołąb na kawałek chleba – powiedział, wyciągając miecz. Okazało się, że druciki zostały wcześniej przecięte, a potem tak rozpostarte, że na pierwszy rzut oka wydawały się nienaruszone. – Jak chcesz, to uciekaj.

Rand nie uciekł. Zamiast tego dał krok naprzód, kładąc dłoń na gałce rękojeści miecza tamtego, blokując klingę na poły wysuniętą z pochwy. Oczy tamtego rozwarło zaskoczenie, chociaż wciąż nie rozumiał, że czas, jaki poświęcił na przechwałki, był wyrokiem śmierci. Cofnął się, próbując zyskać miejsce na wyciągnięcie miecza, Rand jednak miękko poszedł za nim w ślad, wciąż nie pozwalając dobyć broni, a potem z półobrotu wbił pięść w gardło Rochaida. Grdyka chrupnęła ze słyszalnym trzaskiem i Renegat zapomniał, że chciał kogokolwiek zabić. Spojrzał rozpaczliwie szeroko rozwartymi oczyma, zatoczył się do tyłu, chwytając za gardło i próbując zaczerpnąć powietrza przez niszczoną tchawicę.

Rand chciał już wyprowadzić morderczy cios – tuż pod mostek – kiedy delikatny szept za plecami nadał nowy sens szyderstwu Rochaida. Podciął tamtemu nogę i sam przewrócił się na niego. Wyprowadzony z zamachu metal zadźwięczał na kamiennej ścianie męski głos zaklął. Rand schwycił rękojeść miecza Rochaida, w ostatniej chwili zamienił pad w przetoczenie, koziołkując przez ramię oswobodził klingę z pochwy. Kiedy przykucnął z twarzą zwróconą w stronę, z której przyszedł, Rochaid wydał z siebie przenikliwy, gulgoczący krzyk.

Raefar Kisman stał patrząc w dół na tamtego, klinga, którą chciał przeszyć Randa sterczała z piersi Rochaida. Na usta Murandianina wystąpiła krwawa piana, zaczął ryc obcasami ziemię i

kaleczyć sobie dłonie, szarpiąc jeszcze bezradnie ostrą stal, jakby wierzył, że jeszcze da się ją wyciągnąć. Jak na Tairenianina Kisman był stosunkowo blady i niewysoki, rzeczy miał tak samo nijakie jak Rand, wyjątek stanowił pas do miecza. Ukrywając go skrzętnie pod płaszczem, mógł jednak swobodnie poruszać się po Far Madding nie zwracając na siebie uwagi.

Jego konsternacja trwała jedynie przez moment. Kiedy Rand powstał, obiema dłońmi ściskając miecz, Kisman uwolnił już swoją broń i nawet nie zerknął po raz drugi na swego współnika. Obserwował Randa, obracając nerwowo w dłoniach długą rękojeść miecza. Bez wątpienia należał do tych, co dumni ze zdolności władania bronią Mocy, tak naprawdę wcale nie przykładali się do nauki władania żelazem. Randa to nie dotyczyło. Rochaid zadygotał po raz ostatni i znieruchomiał, z oczyma wbitymi w niebo.

– Czas umierać – cicho oznajmił Rand, ale kiedy ruszył naprzód, usłyszał dobiegający zza pleców Tairenianina odległy zgiełk, niespokojny szmer głosów, potem znowu. Straż Muncypalna.

– Wezmą nas obu – szepnął Kisman, w nawet tak cichym głosie pobrzmiwały tony szaleństwa.  
– Jeśli nas znajdą, stojących nad trupem, powieszą nas obu! Wiesz, że tak!

Miał racje, przynajmniej częściowo. Jeśli Muncypalni ich tu znajdą, zawloką ich obu do cel pod Gmachem Rady. Znowu szmer głosów, tym razem bliżej. Muncypalni musieli widzieć, jak trzech mężczyzn skręcają w tę samą alejkę. Być może widzieli nawet Miecz Kismana. Rand niechętnie przytaknął.

Tairenianin zaczął się ostrożnie cofać, a kiedy dostrzegł, że Rand nie rusza za nim, schował miecz do pochwy i pobiegł co sił w nogach, poły ciemnego płaszcza furkotały za jego plecami.

Rand cisnął pożyczony miecz na ciało Rochaida i pobiegł w drugą stronę. Stamtąd na razie nie dobiegały żadne dźwięki. Jeśli dopisze mu szczęście, zanim zostanie dostrzeżony, znajdzie się na ulicy i rozplynie w tłumie. Pętla nie była jego głównym powód do zmartwień. Pewien był, że gdyby ściągnął rękawice i ukazał Smoki znaczące przedramiona, nikt by go wówczas nie ważył powiesić. Ale Rada specjalną proklamacją ratyfikowała ten dziwny dekret Elaidy. Gdy trafi do celi, pozostanie w niej, póki Biała Wieża po niego nie przyśle. Tak więc uciekał co sił w nogach.

Kisman wmieszał się w tłum na ulicy i westchnął z ulgą, widząc trzech ze Straży Muncypalnej, wbiegających do alejki, z której właśnie wyszedł. Owinął się szczelnie płaszczem, żeby ukryć pochwę z mieczem, a potem dał się nieść fali przechodniów, uważając, aby nie poruszać się szybciej niż wszyscy i z kolei wędrując nieco wolniej niż niektórzy. Zachowywać się tak, aby nie przyciągać uwagi Muncypalnych. Dwóch z nich właśnie przeszło obok, niosąc więźnia w wielkim worku zwisającym z długiej żerdzi, której końce opierały się na ich ramionach. Wystawała tylko głowa tamtego i jego dzikie, rozbiegane oczy. Kisman wzruszył ramionami. A żeby zgasł mu wzrok, to mógł być on! On!

W pierwszym rzędzie okazał się kompletnym głupcem, że dał się namówić Rochaidowi na udział w całej sprawie. Mieli zaczekać, póki nie przybędą pozostali, wślizgując się do miasta pojedynczo, aby uniknąć zauważenia. Rochaidowi zależało na chwale, jaką miał zyskać, zabijając własnoręcznie al'Thora; Murandianina rozpierała żądza dowiedzenia, że jest lepszy od tamtego. W wyniku tego dał głowę, a ten sam los omal nie spotkał Raefara Kismana, co przepełniało go prawdziwą furią. Bardziej zależało mu na potędze niż chwale, chętnie rządziłby Łżą z Kamienia. Może jeszcze czymś. Chciał żyć wiecznie. Te rzeczy zostały mu obiecane, należały mu się. Po części jego gniew brał się z faktu, iż nie był do końca pewny, że naprawdę mieli zabić al'Thora. Wielki Władca wiedział, że niczego bardziej nie pragnął – nie uśnie spokojnie, póki ten człowiek nie zostanie zabity i pogrzebany! – a jednak...



– Zabijcie go – rozkazał M’Hael, wysyłając ich do Cairhien, potem w równym stopniu niezadowolony był tym, że zostali odkryci, jak tym, że im się nie udało. Far Madding miało stanowić ostatnią szansę, zostało to powiedziane jasno niczym lśnienie wypolerowanego mosiądzu. Dashiva po prostu zniknęła. Kisman nie wiedział czy uciekł, czy też M’Hael go zabił, ale wcale go to nie obchodziło.

– Zabijcie go – rozkazał później Demandred, dodając jednak, wolałby, aby zginęli, niż żeby znowu dali się wykryć. Komukolwiek, nawet M’Haelowi, jakby nie znał wcześniejszych rozkazów Taima.

A jeszcze później Moridin rzekł:

– Zabijcie go, jeśli będzie trzeba, najważniejsze jednak jest, żebyście przynieśli mi wszystkie jego rzeczy. W ten sposób zmażecie swoje wcześniejsze wykroczenia. – Tamten twierdził, że jest jednym z Wybranych, a byłoby szaleństwem rościć sobie do tego prawo, o ile nie byłoby prawdziwe, choć z jakiegoś powodu dobytek al’Thora uznawał za ważniejszy niż jego los, potrzebę zabicia go traktując incydentalnie i nie widząc w niej szczególnej konieczności.

Tamci dwaj byli jedynymi Wybranymi, których Kismanowi dane było spotkać, lecz na myśl o nich bolała go głowa. Byli gorsi niż Cairhienianie. Podejrzywał, że jedno ich niewypowiedziane słowo mogło zabić z większą łatwością niż rozkaz z sygnaturą Wysokiego Lorda. Cóż, kiedy przybędą Torval i Gedwyn, razem coś wymyślą...

Znienacka poczuł ukłucie w prawe ramię, skonsternowany spojrzał na dół, na krew spływającą po płaszczu. Skaleczenie nie wydawało się głębokie, zresztą z pewnością żaden kieszonkowiec nie ciąłby go w rękę.

– On należy do mnie – szepnął ktoś za nim, ale kiedy się odwrócił, zobaczył tylko tłum spieszący po ulicy za swoimi sprawami. Nieliczni, którzy dostrzegli ciemną plamę na płaszczu, szybko odwracali wzrok. W tym mieście nikt nie chciał być powiązany nawet z najmniej dotkliwym aktem przemocy. Wszyscy tu nauczyli ignorować to, czego nie chcieli widzieć.

Skaleczenie zaczęło dokuczać, rwąc znacznie bardziej w pierwszej chwili. Kisman puścił poły płaszcza i przycisnął lewą dłoń do zakrwawionego rozcięcia materiału. Poczuł, że ramię puchnie i jest rozpalone. Nagle spojrzał z przerażeniem na prawą rękę i zobaczył, że jest szerniała, obrzękła niczym kończyna tygodniowego trupa.

Rzucił się do szaleńczego biegu, roztrącając stojących na drodze ludzi, zbijając ich z nóg. Nie miał pojęcia, co się stało, w jaki sposób do tego doszło, jednak był pewien czym to się skończy. Wydawało mu się, że jedyną szansą jest wydostanie się z miasta, dotarcie za jezioro, na wzgórze. Wtedy będzie miał szansę. Koń Potrzebował konia! Inaczej nie ma szans. Obiecano mu, że będzie żył wiecznie! Ale wokół siebie widział tylko pieszych, a oni ustępowali przed jego szarżą. Zdało mu się, że słyszy gwar głosów Muncypalnych, ale mógł to być tylko łomot krwi w uszach. Na świat powoli zstępowała ciemność. Uderzył głową w coś twardego, poczuł jak pada. Ostatnia myślą był wniosek, że to jeden z Wybranych postanowił go ukarać, ale za co, nie miał pojęcia.

Kiedy Rand wszedł do gospody „Korona Maredo”, przy okrągłych stołach wspólnej sali siedziało tylko kilku gości. Mimo szumnej nazwy, był to dość skromny przybytek, z dwoma dziesiątkami pokojów rozmieszczonych na dwu piętrach. Gipsowane ściany wspólnej sali pomalowano na żółty kolor, a obsługa nosiła żółte fartuchy. Po panującym na zewnątrz chłodzie, kominki na obu krańcach pomieszczenia czyniły je przyjemnie ciepłym. Okiennice pozostawały zatrzaśnięte, a lampy na ścianach w dostatecznym stopniu oświetlały pomieszczenie. Docierające z kuchni wonie, obiecywały na południowy posiłek smaczną rybę z jeziora. Byłoby przykro, gdyby

musiał zrezygnować zjedzenia. Kucharze „Korony Maredo” byli naprawdę wyśmienici.

Zobaczył Lana, samotnego przy stole pod ścianą. Rzemiennea plecionka, którą tamten przewiązywał włosy, przyciągała prowokacyjne spojrzenia innych mężczyzn, jednak on nigdy nie dał się przekonać, aby choć na jakiś czas zrezygnować z *hadori*. Pochwycił spojrzenie Randa, a kiedy ten gestem głowy wskazał schody z tyłu pomieszczenia, nie marnował czasu na pytające spojrzenia – po prostu odstawił pucharek z winem, wstał i ruszył ku schodom. Nawet uzbrojony wyłącznie w niewielki nóż przy pasie, sprawiał groźne wrażenie i na to również nie było rady. Kilku siedzących za stołami mężczyzn spojrzało w stronę Randa, ale z jakiegoś powodu natychmiast uciekli wzrokiem, gdy tylko zobaczyli jego oczy.

Rand zatrzymał się przy kuchni, obok drzwi wiodących do Kobięcych Pokoi. Mężczyznom nie wolno było tam wchodzić. Wyjawszy kilka kwiatów zdobiących żółte ściany, Kobięce Pokoje nie były w niczym lepsze od wspólnej sali, tyle że stojaki lamp pomalowano na żółto, podobnie jak lica kominków. Żółte fartuchy służących tu kobiet nie różniły się niczym od stroju mężczyzn we wspólnej sali. Pani Nalhera, szczupła, siwiejąca karczmarka siedziała przy stole razem z Min, Nynaeve i Alivią, śmiały się i plotkowały nad herbatą.

Rand poczuł, jak na widok byłej *damane* zaciskają mu się szczęki. Nynaeve twierdziła, że tamta upierała się przy udziale w wyprawie, lecz on nie sądził, że ktokolwiek mógłby się przy czymkolwiek „upierać” wobec Nynaeve. A więc zabrała ze sobą Alivię z jakichś własnych, tajemniczych względów. Od kiedy wrócił po nią po rozstaniu z Elayne, w ogóle zachowywała się tajemniczo, jakby dokładając wszystkich sił, by w każdym calu być Aes Sedai. Wszystkie trzy kobiety ubierały się teraz zgodnie z modą Far Madding: suknie z wysokimi karczkami, bogato haftowane w kwiaty i ptaki na stanikach i ramionach, hafty sięgały w istocie aż po brodę – choć niekiedy słyszał, jak Nynaeve narzekała na stroje. Bez wątplenia, od delikatnych materiałów, jakie miała tu do dyspozycji, wolałaby proste wełny z Dwu Rzek. Z drugiej jednak strony, jakby czerwonej kropki *ki'sain* na czole nie było dość, aby przyciągnąć wszystkie spojrzenia, obwiesiła się biżuterią, jakby wybierała się na audiencję do królewskiego pałacu – cienki złoty paseczek, drugi naszyjnik i niezliczone bransolety, wszystkie prócz jednej wysadzone jasnoniebieskimi szafirami i polerowanymi zielonymi kamieniami, których nie znał, na każdym palcu prawej ręki dopasowany do bransolet pierścień. Pierścień z Wielkim Wężem natomiast gdzieś schowała, aby nie przyciągać uwagi, ale pozostałych starczało aż nadto. Wielu ludzi mogłoby nie rozpoznać na pierwszy rzut oka pierścienia Aes Sedai, każdy jednak zorientuje się w bogactwie, jakie stanowiły te klejnoty

Rand odkasznął i uklonił się.

– Żono, muszę z tobą porozmawiać na osobności – Powiedział, w ostatniej chwili przypominając sobie, by dodać: – jeśli taka twoja wola. – Nie miał prawa odzywać się w sposób bardziej natarczywy, przynajmniej w ramach przyjętych tu form grzecznościowych, lecz miał nadzieję, że tamte nie będą zwlekać. Mogłyby, choćby po to, by zademonstrować karczmarce, że nie są na każde jego skinienie. Z jakiegoś powodu ludzie w Far Madding naprawdę wierzyli, że w całym szerokim świecie kobiety skakały kiedy tylko mężczyźni sobie tego życzyli!

Min odwróciła się w krześle i uśmiechnęła do niego w taki sposób, ja kto zawsze czyniła, gdy nazwał ją żoną. Jej obecność w jego głowie promieniowała ciepłem i radością, by zniemacka zamigotać iskierkami rozbawienia. Panująca w Far Madding sytuacja śmieszyła ją niepomernie. Nie spuszczać zeń wzroku, pochylili się ku pani Nalherze i powiedziała coś przyciszonym głosem. Starsza kobieta zaniósła się śmiechem, zaś Nynaeve zareagowała zbolalym spojrzeniem.

Alivia wstała, w niczym nie przypominała już zdominowanej bez reszty kobiety, jaką niejasno pamiętał z chwili, gdy oddawał ją w ręce Taima. Wówczas wszystkie te wzięte do niewoli *sul'dam* i

*damane* stanowiły tylko ciężar, którego chętnie się pozbywał. W jej złotych włosach prześwitywały nitki srebra, kąciki oczu znaczyły zmarszczki, ale oczy te patrzyły zapalczywie.

– Tak? – zapytała przeciągając samogłoski, po czym spojrzała na Nynaeve. Jakimś sposobem potrafiła zawrzeć w tym słowie zarówno krytykę, jak i rozkaz.

Nynaeve spojrzała na nią ze złością, a potem urządziła przedstawienie z podnoszenia się z miejsca i wygładzania spódnicy; w końcu jednak powstała.

Rand nie czekał dłużej, szybko ruszył po schodach. Lan czekał, już na ich szczycie, w miejscu, gdzie nikt ze wspólnej sali nie mógł go widzieć. Rand cichym głosem zdał mu sprawę ze szkieletu wydarzeń. Wyraz kamiennego oblicza tamtego nie zmienił się nawet na jotę.

– Przynajmniej jednego mamy z głowy – powiedział, ruszając do pokoju, który zajmował wraz z Nynaeve. – Spakuję nasze rzeczy.

Rand zdążył tymczasem dotrzeć już do pokoju, który dzielił z Min, pospiesznie wyrzucił ich ubrania z wysokiej garderoby, a potem zaczął wciskać jak popadnie do jednego z wiklinowych koszy. Wtedy Min weszła do środka, a jej śladem szły Nynaeve i Alivia.

– Światłości, zniszczysz nasze rzeczy – krzyknęła Min, odpychając go od kosza. Zaczęła wyjmować je z powrotem i składać równo na łóżku, obok jego zabezpieczonego plecionką pokoju miecza – Dlaczego się pakujemy? – zapytała, nie dając mu jednak szans na udzielenie odpowiedzi. – Pani Nalhera twierdzi, że nie byłbyś taki ponury, gdybym cię co rano ćwiczyła różgą – zaśmiała się, strzepując jeden z swoich kaftanów, których tutaj jakoś nie nosiła. Zapewniał ją, że kupi jej nowe ubranie, ale nie chciała słyszeć o pozostawieniu haftowanych kaftanów i spodni. – Odparłam na to, że się zastanowię. Natomiast za Lanem nadzwyczaj przepada. – Znienacka zaczęła mówić wysokim głosem, naśladując karczmarę. – Schludnego, dobrze wychowanego mężczyznę należy cenić znacznie wyżej niż ślicznego chłopca, ja wam to mówię.

Nynaeve parsknęła.

– Któż chciałby mężczyznę, który skakałby przez obręcze, gdy tylko jego kobiecie przyjdzie na to ochota? – Rand zagapił się na nią, a Min rozdziawiła usta. Bowiem Nynaeve tak właśnie postępowała wobec Lana, a jakim sposobem ten to znosił, Rand nie potrafił pojąć.

– Zbyt dużo myślisz o mężczyznach, Nynaeve – powiedziała Alivia z rozwlekłym akcentem. Nynaeve zmarszczyła brwi, lecz zamiast coś powiedzieć, stała tylko, muskając palcami bransoletkę, zresztą stanowiącą nadzwyczaj osobliwy detal jubilerski, bowiem połączona była z czterema pierścieniami złotymi łańcuszkami. Równocześnie pokręciła głową, jakby rozczarowana swoją biernością.

– Pakuję się, ponieważ musimy się stąd wynosić i to szybko – powiedział gwałtownie Rand. Nynaeve mogła sobie w tej chwili być zupełnie cicha, jakkolwiek by to nie było dziwne, jednak za chwilę z pewnością twarz jej pociemnieje, ona zaś zacznie szarpać warkocz i krzyżeć na wszystkich, aż nikt nie będzie w stanie przez najbliższych kilka godzin wtrącić nawet słowa.

Zanim skończył przedstawiać im tę samą, skróconą wersję wydarzeń, którą usłyszał Lan, Min skończyła układać rzeczy i zamiast tego zajęła się pakowaniem swoich książek do drugiego kosza spiesząc się na tyle, by tym razem nie przekładać ich płaszczami, jak to miała w zwyczaju. Dwie pozostałe kobiety patrzyły na niego, jakby go po raz pierwszy w życiu widziały. Na wypadek, gdyby nie schwyciły wszystkiego w lot, jak Min, dodał niecierpliwie: – Rochaid i Kisman urządzili na mnie zasadzkę. Wiedzieli, że idę za nimi. Kisman uciekł. Jeżeli wie, gdzie mieszkamy, on, Dashiva, Gedwyn i Torval mogą pojawić się tu, za dwa, trzy dni, albo za dwie, trzy godziny.

– Nie jestem głucha – powiedziała Nynaeve, wciąż mu się przypatrując. W jej głosie nie było żaru, czy protestowała tylko dla porządku? – Jeśli tak ci się spieszy, pomóż Min, zamiast stać tu

niczym wełnianogłowy idiota. – Patrzyła nań jeszcze przez chwilę, po czym pokręciła głową i wyszła z pokoju.

Alivia wyraźnie już chciała pójść za nią, ale jeszcze na chwilę; zatrzymała się i spojrzała ze złością na Randa. Nie, zdecydowanie nie było w niej już nic z tamtej uległej *damane*.

– W ten sposób możesz tylko dać się zabić – powiedziała z dezaprobatą. – A masz jeszcze zbyt wiele do zrobienia, żeby teraz zginąć. Musisz pozwolić, żebyśmy ci pomogli.

Spod zmarszczonych brwi spojrzał na zamykające się za nimi drzwi.

– Miałaś jakieś widzenia na jej temat, Min?

– Przez cały czas miewam, ale nie takie, na jakich by ci zależało, nic co potrafiłabym zrozumieć. – Spojrzała na jedną z książek, ściągnęła brwi i odłożyła ją na bok. Ale szansa na to, że pozbędzie się choćby jednego tomu z nie takiej już małej biblioteki, była doprawdy mizerna. Prawdopodobnie tę książkę chciała mieć pod ręką, żeby czytać przy najbliższej sposobności. Spędzała całe godziny z nosem utkwionym w druku. – Rand – powiedziała, cedząc słowa – zrobiłeś to wszystko, zabiłeś jednego człowieka i biłeś się z drugim, a... Rand, ja niczego nie czuję. To znaczy, w więzi zobowiązań. Żadnego strachu, żadnego gniewu. Nawet przejęcia! Nic.

– Czemu miałbym się na niego gniewać? – Kręcąc głową, znowu zaczął upychać rzeczy do kosza. – Trzeba było go zabić, to wszystko. Nie rozumiem też, dlaczego miałbym się bać?

– Och – powiedziała cicho. – Rozumiem. – Wróciła znowu do swoich książek. Pulsujące w więzi emocje uspokoiły się, jakby pogrążyła się w głębokim namyśle, jednak gdzieś w tym spokoju przebijał strumyczek niepokoju.

– Min, obiecuję ci, że nie dopuszczę, by cokolwiek złego ci się przydarzyło. – Nie miał pojęcia, czy zdoła dotrzymać tej obietnicy, ale wiedział, że będzie próbował.

Uśmiechnęła się do niego, prawie roześmiała w głos. Światłości, ale była piękna.

– Wiem, Rand. A ja nie pozwolę, by cokolwiek złego przydarzyło się tobie. – Miłość rozjaśniła więź zobowiązań niczym blask słońca w południe. – Alivia ma rację. Musisz nam pozwolić sobie jakoś pomóc. Jeśli podasz nam szczegółowy opis tych mężczyzn, mogłybyśmy popytać. Z pewnością nie dasz rady sam przeszukać miasta.

„Jesteśmy martwi” – wymamrotał Lews Therin. – „Martwi powinni spokojnie spoczywać w mogiłach, choć nigdy się tak nie dzieje”.

Rand ledwie słyszał ten głos w swej głowie. Znienacka zrozumiał, że nie będzie musiał podawać szczegółowych opisów Kisma i pozostałych. Będzie natomiast w stanie narysować ich tak wiernie, że każdy rozpozna twarze. Mimo iż w życiu nie uczył się rysunku. Natomiast Lews Therin potrafił malować. Ta myśl powinna chyba go odpowiednio przerazić. Powinna.

Isam przechadzał się po pomieszczeniu, chłonąc wszechobecną poświatę *Tel'aran'rhiod*. Między jednym spojrzeniem a drugim pognieciona pościel zmieniała się w pościelone schludnie łóżko. Poszwa z wycięciem zmieniała się z kwiatowej w prostą ciemną czerwień, ta wreszcie przeszła w pikowaną. W tym miejscu efemeryczne zmiany następowały bez przerwy, a on ledwie zwracał na to uwagę. Nie był w stanie wykorzystywać *Tel'aran'rhiod* w taki sposób, jak czynili to Wybrani, jednak z drugiej strony czuł się w nim wolny jak nigdzie. Tu mógł być tym, kim chciał być. Zachichotał na samą myśl.

Przystanął obok łóżka, ostrożnie obnażył dwa sztylety o zatrutych ostrzach i przeszedł z Niewidzialnego Świata w domenę jawy. Kiedy to zrobił, przybrał postać Luca. Wydawała się jak najbardziej właściwa.

W pomieszczeniu panował mrok, choć przez pojedyncze okno sączyło się do wnętrza dość

księżycowej poświaty, żeby Luc mógł dostrzec dwa niewyraźne wzgórki, dwóch ludzi śpiących pod kocami. Nie wahając się ani chwili, zatopił w każdym ostrze. Obudzili się ze zdławionymi krzykami, ale nie dał im czasu – uwolnił ostrza, a potem raz za razem zatapiał je w ciałach. Mając na względzie truciznę, najprawdopodobniej żadnemu nie starczył sił żeby krzyczeć dość głośno, aby słyszano ich na zewnątrz pomieszczenia. Z drugiej strony, zależało mu, aby zabójstwa te nabrały własnej realności, czego trucizna nie potrafiła zapewnić. Kiedy sięgnął klingami pod żebra, wkrótce przestali się rzucać.

Wytarł do sucha ostrza o pościel i schował w pochwach, dokładając równej ostrożności, jak wcześniej przy wyciąganiu. Przyznano mu wiele darów, jednak odporności na truciznę, czy jakkolwiek inną broń, wśród nich nie było. Potem wyjął z kieszeni ogarek świecy, i zdmuchnął z węgla na palenisku kominka dość popiołu, by odsłonić żar i od niego zapalić knot. Zawsze lubił widzieć tych, których zabijał, choćby po wszystkim, jeśli już nie w trakcie. Największą przyjemność sprawiły mu te dwie Aes Sedai w Kamieniu Łzy. Niedowierzanie na ich twarzach, kiedy pojawił się znikąd, przerażenie, gdy pojęły, że nie przybył, aby je uwolnić, wszystko to były prawdziwe skarby pamięci. Czynu dokonał Isam, a nie on sam, jednak to w niczym nie obniżało wartości wspomnień. Żaden z nich nie miał zbyt często okazji do zabijania Aes Sedai.

Przez chwilę przyglądał się twarzom mężczyzny i kobiety na łóżku, potem zdmuchnął płomień świecy, schował ogarek do kieszeni i z powrotem wstąpił w *Tel'aran'rhiod*.

Jego aktualny klient czekał już na niego. Mężczyzna, tego był pewien, choć nie dawało się go wyraźnie dostrzec. Nie chodziło nawet o to, że jak w wypadku tych przebiegłych Szarych Ludzi, po prostu umykał uwadze. Jednego z nich zdarzyło mu się zresztą raz zabić, w samej Białej Wieży. Pod dotykiem wydawali się zimni i puści. Było to niczym zabicie trupa. Nie, ten człowiek potrafił coś takiego zrobić z Mocą, że spojrzenie Luca ześlizgiwało się z niego, jak woda ześlizguje się po szkle. Nawet oglądany kątem oka, był tylko migotliwą plamą.

– Para śpiąca w tym pomieszczeniu śpi już snem wiecznym – powiedział Luc – ale mężczyzna był łyśy, kobieta zaś siwa.

– Szkoda – rzekł nieznajomy, a jego głos jakby topił się w uszach Luca. Nie byłby go w stanie rozpoznać, gdyby usłyszał prawdziwe brzmienie. Z pewnością musiał być to jeden z Wybranych. Niewielu poza Wybranymi wiedziało, jak nawiązać z nim kontakt, a żaden z nich nie umiał przenosić albo odważyłby się wydawać mu rozkazy. O jego usługi zawsze trzeba było błagać, wyjątkiem był sam Wielki Pan, a ostatnimi czasy również Wybrani, lecz żaden z Wybranych, których Luc dotąd spotkał, nie podejmował takich środków ostrożności.

– Chcesz, żebym spróbował ponownie? – zapytał Luc.

– Może. Kiedy ci powiem. Nie wcześniej. Pamiętaj, ani słowa nikomu.

– Jak rozkażesz – odparł Luc, kłaniając się, ale tamten już tworzył bramę, jej przestrzeń otwierała się na zaśnieżoną leśną polanę. Zniknął, zanim Luc wyprostował plecy.

Naprawdę szkoda. Ze szczerą niecierpliwością czekał na okazję zamordowania swojego kuzyna i dziewczyny. A jeśli miało się trochę czasu do zabicia, największą przyjemność stanowiło polowanie. Stał się Isamem. Isam lubił zabijać wilki bardziej nawet niż Luc.

# STRACIĆ SŁOŃCE

Szarpanina z wełnianym płaszczem, do którego życie nie zdążyło jej przyzwyczać, wysiłki, by nie spaść z bardziej jeszcze obcego siodła – Shalon niezgrabnie pognęła obcasami konia i ruszyła w ślad za Harine i jej Mistrzem Miecza, Moadem, przez otwór w powietrzu, wiodący z podwórza stajni Pałacu Słońca ku... Nie była pewna dokąd właściwie, wyjąwszy tyle, co widziała: wydłużającym otwartym teren – po namyśle uznała, że to polana – a więc ku polanie rozleglejszej niż pokład rakera, rozpościerającej się wśród karłowatych drzew porastających wzgórze. Sosny, jedyne wśród nich jakie potrafiła rozpoznać, były zbyt małe i pokrzywione, aby posłużyć mogły do czegokolwiek więcej niż wyrobu smoły czy terpentyny. Pozostałe drzewa straszyły gołymi szarymi gałęziami, przywodzącymi na myśl wystające kości. Tarcza południowego słońca wisiała ledwie ponad ich czubkami, a chłód dawał się jeszcze bardziej we znaki niż w mieście, które opuszczała. Pozostawało tylko ufać, że koń się nie potknie i nie strąci jej na dół między głązy, sterczące wszędzie tam, gdzie cienka powłoka śniegu nie zdołała do końca skryć warstwy zbutwiałych liści. Nie ufała koniom. W przeciwieństwie do okrętów, zwierzęta miały własny rozum. A na dodatek były zdradzieckimi istotami. Poza tym te końskie zęby. Gdy jej wierzchowiec wyszczerzał swoje, tak blisko jej nóg, za każdym razem wzdrygała się i szybko klepała go po karku, wypowiadając uspokajające słowa. Przynajmniej miała nadzieję, że tak właśnie brzmią w końskich uszach.

A Cadsuane – odziana jak zawsze w ciemne zielenie – swobodnie dosiadała wysokiego konia o czarnej grzywie i ogonie, równocześnie utrzymując sploty tworzące bramę. Koźmi się nie przejmowała. Niczym się nie przejmowała. Nagły powiew wiatru rozwiał płaszcz, którego połę spływały aż na koński zad – ona jednak w żaden sposób nie dała po sobie poznać, że w ogóle odczuwa zimno. Złote wisiorki otaczające jej stalowo siwy koczek zawirowały gdy odwróciła głowę, patrząc na Shalon i jej towarzyszy. Z pewnością można było ją wciąż określić mianem przystojnej, na ulicy jednak nikt nie obejrzałby się za nią dwa razy, chyba że zdumiony kontrastem między gładkim obliczem i barwą włosów. Kiedy natomiast zawarło się z nią bliższą znajomość, zazwyczaj było już za późno.

Shalon dużo by dała, żeby zobaczyć kształt splotów Mocy, nawet gdyby było to równoznaczne ze znalezieniem się w pobliżu Cadsuane, lecz nie wpuszczono jej na podwórze stajni, póki brama nie została ukończona – a przecież z samego widoku żagla rozpiętego na noku rei nie sposób wywnioskować, jak się go rozpina a cóż dopiero jak zrobić sam żagiel. Tak więc można by rzec, iż poznała wyłącznie samą jego nazwę. Przejeżdżając obok tamtej, unikała jej wzrokiem, ale wciąż czuła na sobie spojrzenie Aes Sedai. Wystarczyło raz zajrzeć w jej oczy, żeby palce stóp mimowolnie kurczyły się, szukając oparcia, którego strzemiona zapewnić nie mogły. Żadnej drogi ucieczki, ona jednak wciąż łudziła się, że znajdzie takową, studiując Aes Sedai. Chętnie zresztą przyznawała sama przed sobą, że niewiele o nich wiedziała – przed podróżą do Cairhien nigdy nie spotkała żadnej, a jeśli już o nich myślała, to tylko po to, by dziękować Światłości, iż ominęła ją konieczność stania się jedną z nich – niemniej wyczuwała coś u towarzyszek Cadsuane, coś, co kojarzyło jej się z głębokimi prądami po powierzchni morza. Głębokie, silne prądy mogą zdecydować o kształcie zjawisk na powierzchni.

Cztery Aes Sedai, które w ślad za Cadsuane przejechały bramę, czekały w towarzystwie trzech Strażników przy przeciwległym krańcu polany. Co do Strażników, to Shalon miała niezbitą pewność, że Ihvon był zapalczywym Strażnikiem Alanny, Tomas zaś małym, krępy Strażnikiem Verin, na

własne oczy natomiast wcześniej widziała tego samego młodego człowieka, który teraz trzymał się blisko pulchnej Daigian, ubranego w czarny kaftan Asha'manów. Żadną miarą więc nie mógł być Strażnikiem. A może jednak? Eben był w istocie tylko chłopcem. Wszelako gdy jeno spoczęło na nim kobiece spojrzenie, on – zazwyczaj już i tak rozpierany przez dumę – puchł w oczach. Nieco na uboczu siedziała w siodle Kumira, z pozoru pocziwie wyglądająca, której oczy jednak cięty niczym noże, gdy coś ją zainteresowało. Wpatrywała się w młodego Ebena tak ostro, że zdumieniem mógł napawać fakt, iż tamten wciąż żyje, chodzi nienaruszony, a nie spoczywa oskórowany na ziemi.

– Dłużej nie będę tego znosić – narzekła Harine, wbija bosa pięty w boki swej klaczy, która mimo wszystkich zabiegów poruszała się dość leniwie. Żółte jedwabne brokaty w niczym nie przyczyniały się do poprawy jej wizerunku w siodle, w którym sprawiła wrażenie równie żałosne co Shalon. Każdy ruch zwierzęcia sprawiał, że kołysała się i obsuwała, omalże raz za razem nie spadają na ziemię. Kolejny podmuch wiatru rozdał połę jej płaszcza i szarpnął końcami szarfy, ale najwyraźniej stan ubioru w ogóle jej nie obchodził. Na okrętach płaszcze nie były do niczego potrzebne, tylko przeszkadzały, grożąc spętaniem rąk i nóg, które musiały być wolne gdy walczyło się o życie. Moad zresztą nie zdecydował się go przywdziewać, ufając w ochronę pikowanego niebieskiego kaftana, który zawsze nosił na zimniejszych wodach. W dalszej kolejności przez bramę przejechały: Nesune Bihara, cała w brązach, czujnie rozglądająca się wokół, jakby chciała naraz wszystko zobaczyć, oraz Elza Penfel z nadąsanym z jakiegoś powodu wyrazem twarzy, ściśle otulona zielonym, podbitym futrem płaszczem. Oprócz niej pozostałym Aes Sedai ziaęb najwyraźniej w ogóle nie dokuczał.

– Może dane mi będzie spotkać się z Coramoorem, tak powiedziała – kontynuowała Harine, ścigając wodze, póki jej klacz wreszcie nie ruszyła w kierunku części polany, znajdującej się z dala od zajmowanej przez grupkę Aes Sedai. – Może! I tę nieokreślona szansę ona mi proponuje, jakby był to niezwykle zaszczyt. – Harine nie musiała wymieniać imienia, kiedy w ten sposób... jakby oparzyła ją meduza... wypowiadała owo „ona”, mogło chodzić tylko o jedną kobietę. – A przecież mam prawo, wytargowałam je sobie i zagwarantowałam w umowie! A ona odmawia mi umówionego orszaku! Musiałam zostawić moją Mistrzynie Żagli i moją eskortę – W prześwicie bramy pojawiła się Erian Boroleos, patrząca z takim napięciem, jakby się spodziewała trafić w wir bitwy; za nią zaraz Beldeine Nyram, która nawet nie wyglądała jak Aes Sedai. Obie nosiły zielen: Erian wyłącznie, Beldeine zaś w rozcięciach rękawów spódnic. Czy to coś oznaczało? Zapewne nie. – Mam stanąć przed Coramoorem niczym dziewczyna pokładowa, przyciskająca dłoń do serca w obliczu swej Mistrzynie Żagli? – Kiedy kilka Aes Sedai zbierało się razem, znacznie bardziej rzucały się w oczy gładkie, pozbawione śladów wieku oblicza, a mimo częstokroć siwych włosów nie sposób było stwierdzić, która ma lat dwadzieścia, a która dwakroć tyle; Beldeine zaś z pewnością na wyglądała na więcej niż dwadzieścia. – Czy będę jeszcze musiała sama słać sobie łóżko i prać własną bieliznę? Ona traktuje postanowienia protokołu, jakby byty to słowa, ot tak sobie, rzucone na wiatr! Nie pozwolę na to! Nigdy więcej! – Wszystko to były już stare narzekania, wielokrotnie powtarzane od ostatniego wieczoru, kiedy Cadsuane określiła warunki, na jakich mogą jej towarzyszyć. Warunki były surowe, jednak Harine nie miała innego wyjścia, jak przystać na nie, co zresztą tylko potęgowało jej gorycz.

Shalon tylko połowicznie się temu wszystkiemu przysłuchiwała, potakując i wtrącając w odpowiednich miejscach stosowne odpowiedzi. Oczywiście, umowa. Jej siostra oczekiwała wywiązania się z warunków umowy. A przede wszystkim przyglądała się ukradkiem Aes Sedai. Moad natomiast nawet nie udawał, że nie słucha, mógł sobie na to pozwolić jako Mistrz Miecza Harine. Jej postępowanie wszystkim mogło się kojarzyć z ciasno spletanym węzłem, lecz

równocześnie dawała Moadowi tyle swobody, iż każdy uznałby, że ten posiwiasty mężczyzna o twardym wejrzeniu jest jej kochankiem, zwłaszcza mając na względzie wdowieństwo obojga. Przynajmniej można by tak pomyśleć, gdyby się nie znało Harine. Ona bowiem nigdy nie wzięłaby sobie kochanka o niższej pozycji niż ona sama, co w obecnych warunkach oczywiście oznaczało, że nigdzie takowego nie znajdzie. Tak czy siak, kiedy już zatrzymali konie przy linii drzew, Moad wsparł się łokciem na wysokim łęku swego siodła, drugą rękę położył na długiej rzeźbionej rękojeści miecza z kości słoniowej, sterczącej zza opasującej go zielonej szarfy i otwarcie zaczął się przyglądać Aes Sedai oraz towarzyszącym im mężczyznom. Gdzie on się nauczył jeździć na koniu? Naprawdę w siodle wyglądał... swobodnie. Nawet gdyby miał przy sobie miecza i dopasowanego sztyletu, ranga i tak rzucałaby się w oczy od pierwszego wejrzenia: osiem kółek w uszach i to z tych najgrubszych oraz specyficzny sposób wiązania szarfy. Czy Aes Sedai nie dysponowały podobną hierarchią? Czy naprawdę mogły być aż tak zdeorganizowane? Biała Wieża miała funkcjonować niczym machina, co miażdży trony i przekształca świat wedle swej woli. Rzecz jasna, w chwili obecnej urządzenie najwyraźniej się zepsuło.

– Pytałam cię, Shalon, dokąd ona nas przyprowadziła?

Na głos Harine niczym na cięcie lodowatej brzytwy krew od płynęła z twarzy Shalon. Służba pod rozkazami młodszego rodzeństwa zawsze była trudna, ale Harine dokładała wszelkich starań żeby uczynić ją jeszcze trudniejszą. Na osobności zachowywała się oziębło, w miejscach publicznych zaś zdolna była do tego, by powiesić za kostki na rei własną Mistrzynie Żagli, a co dopiero Poszukiwaczkę Wiatrów. A od czasu, gdy ta młoda kobieta wywodząca się z przykutek do brzegu, Min, powiedziała jej, że któregoś dnia zostanie Mistrznią Okrętów, traktowanie stało się jeszcze gorsze. Teraz spojrzała twardo na Shalon i równocześnie uniosła do nosa złote puzderko z pachnidłem, jakby chciała przegnać nie przyjemną woń. A przecież chłód dławił skutecznie wszelki śląc oparów perfum.

Shalon szybko uniosła oczy ku niebu, próbując coś wywnioskować z położenia słońca. Żałowała, że jej sekstans został na po kładzie „Białej Bryzy” – przykuci do brzegu nie mieli prawa nawet dowiedzieć się o istnieniu sekstansu, a co dopiero zobaczyć go w użyciu – jednak z jakiegoś powodu wcale nie była taka pewna, że na cokolwiek by się przydał. Drzewa były wprawdzie niskie, ale skutecznie przesłaniały horyzont. Ku północy wzgórz; przechodziły w łańcuch górski, ciągnący się z północnego wschodu na południowy zachód. Nijak stwierdzić, na jakiej znajdowali się wysokości. Krajobraz był zdecydowanie zbyt nierówny jak na jej gust. Mimo to, jak każda Poszukiwaczka Wiatrów, powinna być w stanie określić miejsce z mniejszym lub większym przybliżeniem. A kiedy Ranne zadawała pytanie, spodziewała się uzyskać na nie odpowiedź.

– Mogę tylko zgadywać, Mistrzynie Fal – odparła. Szczęki Harine zacisnęły się, widziała jednak, że żadna Poszukiwaczka Wiatrów nie poda pozycji przybliżonej jako dokładnej. – Przypuszczam, że znajdujemy się trzysta do czterystu lig na południe od Cairhien. Więcej nie potrafię powiedzieć. – Nawet świeżo upieczony uczeń, posługujący się cyrklem sprężynowym, który określiłby pozycję z taką mizerną dokładnością, zostałby natychmiast skazany przez bosmana na chłostę, dlatego też Shalon poczuła, jak dopiero co wypowiedziane słowa zamierają jej w ustach. Sto lig to była całodzienna droga rakera przy dobrym wietrze. Moad w namyśle zacisnął usta.

Harine powoli pokiwała głową, patrząc w przestrzeń gdzieś za plecami Shalon, jakby oczyma wyobraźni widziała już rakery pod pełnymi żaglami, prześlizgujące się przez otwory w powietrzu, otwarte Mocą. Wówczas morza naprawdę należałyby do niej. Otrząsnęła się, nachyliła ku Shalon, jej spojrzenie pochwyliło ją, jakby zaopatrzone było w haczyki.

– Za wszelką cenę musisz się dowiedzieć, jak to robią. Niech się nauczy... w zamian obiecuj



jej, że będziesz na mnie donosić. Bądź przekonująca, a ci się uda, jeśli taka wola Światłości. A przynajmniej możesz spróbować się zbliżyć do którejś i podejrzeć sztuczkę.

Shalon oblizwała wargi. Miała nadzieję, że Harine nie dostrzegła jej wzdrygnięcia.

– Wcześniej już raz jej odmówiłam, Mistrzynie Fal. – Musiała wyjaśnić, dlaczego Aes Sedai przetrzymywały ją przez tydzień, a jakaś tam wersja prawdy wydawała się najlepszym wyjściem. Harine wiedziała o wszystkim. Wyjąwszy tylko sekret, który wydarła z niej Verin. Poza tym Shalon zgodziła się na żądania Cadsuane, żeby całą rzecz zachować w tajemnicy. W imię Łaski Światłości, naprawdę żałowała Ailil, wówczas jednak czuła się tak samotna, że pożegłowała zbyt daleko, nim się zorientowała, co robi. Harine nie mogła jej zapewnić długich wieczornych rozmów przy słodzionym miodem winie, które łagodziły niekończące się miesiące rozłąki z mężem, Mishaelem. W najlepszym razie wiele jeszcze miesięcy przeminie, nim znajdzie się w jego ramionach. – Z całym szacunkiem, dlaczego teraz miałyby mi uwierzyć?

– Ponieważ chcesz się uczyć. – Harine zamaszystym gest przecięła powietrze. – Przykuci do brzegu jak zawsze są chciwi. Oczywiście, będziesz musiała zdradzić parę rzeczy, aby ci uwierzono. Każdorazowo zdecyduję, co to może być. Być może w ten sposób popchnę ją w kierunku, na jakim mi zależy.

Shalon czuła się, jakby ktoś schwycił jej głowę w uścisk żelaznych palców. Zamierzała mówić Cadsuane tak mało, jak się tylko da i najrzadziej, jak to możliwe, póki nie znajdzie sposobu, aby od niej uwolnić. Gdyby musiała codziennie rozmawiać z Aes Sedai a co gorsza, okłamywać ją w żywe oczy, z pewnością tamta kobieta wydrze z niej znacznie więcej, niż Shalon zamierzała zdradzić A na pewno więcej, niż zamierzała zdradzić Harine. Było to pewne niczym wschód słońca.

– Wybacz mi, Mistrzynie Fal – powiedziała, wkładając w te słowa wszelki szacunek, na jaki potrafiła się zdobyć – ale jeśli wolno mi powiedzieć...

Urwała, widząc jak Sarene Nemdahl podjeżdża do nich i ostro osadza konia. Ostatnie Aes Sedai i ostatni Strażnicy przeszli na drugą stronę, Cadsuane zaś pozwoliła bramie zniknąć. Corele, kobieta chuda, ale mimo to śliczna, śmiała się i potrząsała grzywą czarnych włosów, rozmawiając z Kumirą. Merise, wysoka, z oczyma jeszcze bardziej niebieskimi niż Kumirą i z obliczem, które zasługiwało na miano co najmniej atrakcyjnego, mimo goszczącego na nim cienia surowości, na którego widok nawet Harine stałaby się ostrożna, ostro gestykulowała, wskazując drogę czterem ludziom prowadzącym juczne zwierzęta. Wszyscy pozostali szykowali się do drogi. Najwyraźniej zamierzali opuścić polanę.

Sarene też miała miłą powierzchowność, chociaż całkowity brak biżuterii i prosta biała sukienka osłabiały wrażenie, jakie mogłaby wyrzeć. Przykuci do brzegu nie potrafili czerpać radości z kolorów. W jej przypadku był to surowy, ciemny płaszcz, a na dodatek podbity skromnym białym futrem.

– Cadsuane prosiła mnie... kazała mi... służyć ci jako eskorta, Mistrzynie Fal – oznajmiła, skłaniając z szacunkiem głowę. – Na ile będę mogła, odpowiem na wszystkie twoje pytania i spróbuję wtajemniczyć w obce zapewne dla ciebie obyczaje. Zdaję sobie sprawę, że możesz się czuć poniekąd skrzepowana w moim towarzystwie, ale kiedy Cadsuane rozkazuje, musimy jej słuchać.

Shalon uśmiechnęła się. Wątpiła, by Aes Sedai wiedziała, że na statku znaczenie słowa „eszkorta” pokrywało się z tym, które przykuci do brzegu nadawali słowu „służący”. Harine zaraz się z pewnością roześmieje i zapyta, czy Aes Sedai potrafi porządnie uprać bieliznę. Dobrze, może dzięki temu nieco poweseleje.

Zamiast się bodaj uśmiechnąć, Harine tylko sztywno wyprostowała się w siodle, jakby jej kręgosłup zmienił się w maszt i wybałuszyła oczy.

– Dlaczego miałabym się czuć skrępowana? – warknęła – Po prostu wolałabym... aby kto inny odpowiadał na moje pytania... może Cadsuane. Tak. Cadsuane. Z pewnością zaś nie muszę słuchać ani jej, ani nikogo innego! Nikogo! Wyjąwszy Mistrzynie Okrętów! – Shalon zmarszczyła brwi, takie napady zupełnie nie pasowały do jej siostry. Harine wciągnęła głęboki oddech i kontynuowała już spokojniejszym tonem, choć same słowa były równie niespotykane co przedtem: – Przemawiam w imieniu Mistrzyni Okrętów Atha'an Miere i domagam się należnego szacunku! Domagam się, rozumiesz?

– Mogę ją poprosić, żeby wyznaczyła kogoś innego – z powątpiewaniem odparła Sarene, jakby nie oczekiwała, że jej prośba może cokolwiek zmienić. – Musisz zrozumieć, że tamtego dnia wydała mi jasne rozkazy. Nie powinnam jednak tracić panowania nad sobą. Emocje nie sprzyjają logicznemu myśleniu.

– Rozumiem, co znaczy wykonywać rozkazy – warknęła Harine, kuląc się w siodle. Wyglądała na gotową w każdej chwili skoczyć Sarene do gardła. – Całym sercem jestem za wykonywaniem rozkazów! – omalże zawyla. – A o wykonanych rozkazach należy jak najszybciej zapomnieć. Rozumiemy się? – Shalon popatrzyła na nią z ukosa. O czym też ona mówi? Jakie rozkazy wydała Sarene i dlaczego Harine chciała o nich jak najszybciej zapomnieć? Moad uniósł brwi. W końcu Harine zdała sobie sprawę z badawczych spojrzeń, a jej czoło powlekły chmury.

Sarene jakby tego nie widziała.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób można z rozmysłem o czymś zapomnieć – powiedziała powoli, a jej czoło przecięła delikatna zmarszczka – przypuszczam jednak, iż chodzi, o to, że powinniśmy udawać, iż nic się stało. Czy tak? – paciorki zdobiące wystające spod kaptura warkoczyki zaszczekały cichutko, gdy pokręciła głową, zdumiona takim absurdem. – W porządku. Odpowiem na twoje pytania, najlepiej jak potrafię. Co chcesz wiedzieć? – Harine westchnęła donośnie. Shalon mogłaby się doszukiwać w tym odgłosie irytacji, teraz jednak podejrzewała, że chodziło o ulgę. Ulgę!

Niezależnie czy była to ulga, czy nie, Harine wkrótce stała się sobą, to znaczy osobą całkowicie opanowaną i władczą, na Aes Sedai zaś spoglądała takim wzrokiem, jakby chciała ją zmusić do pojedynku na spojrzenia.

– Możesz mnie poinformować, gdzie jesteśmy i dokąd się wybieramy – zażądała.

– Znajdujemy się wśród Wzgórz Kintary – znienacka rozległ się głos Cadsuane, która pojawiła się przed nimi. Osadziła konia ostro na zadzie, spod kopyt prysnął śnieg. – A zmierzamy do Far Madding. – Nie tylko utrzymała się w siodle, ale z pozoru jakby w ogóle nie zauważyła karkołomnych akrobacji zwierzęcia!

– Czy Coramoor tam przebywa?

– Cierpliwość jest cnotą, jak powiadają, Mistrzyni Fal – Mimo iż Cadsuane posłużyła się właściwym tytułem, w jej głosie ani zachowaniu nie było śladu należnego szacunku. Wręcz przeciwnie. – Pojedziesz ze mną. Spróbuj dotrzymać nam kroku i nie spaść z konia. Jeżeli będę cię musiała wieźć niczym worek zboża, może się to okazać się nadzwyczaj niemiłym doświadczeniem. Gdy dotrzemy do miasta, nie otwieraj ust, póki ci nie powiem. Nie chcę, by twoja ignorancja przysporzyła nam dodatkowych problemów. Sarene poinstruuje cię dokładniej. Ma swoje rozkazy.

Shalon oczekiwała wybuchu gniewu, Harine jednak pohamowała język, choć z widocznym wysiłkiem. Gdy tylko Cadsuane, zawróciła, mruknęła coś wściekle pod nosem, niemniej zacisnęła zęby na widok ruszającego konia Sarene. Najwyraźniej jej słowa nie były przeznaczone dla uszu Aes Sedai.

Jazda z Cadsuane, jak się to po chwili okazało, oznaczała podążanie za nią – wśród drzew, na

południe. To Alanna i Verin zajęły miejsca u jej boków, a kiedy Harine próbowała do nich dołączyć, starczyło jednego spojrzenia tej strasznej kobiety, aby zrozumiała, iż nikt więcej nie jest do towarzystwa proszony. I znowu nie nastąpił spodziewany wybuch. Zamiast tego Harine spojrzała wrogo, ale nie wiedzieć czemu na Sarene, a potem niezgrabnie popędziła konia, żeby zająć miejsce między Shalon i Moadem. Nawet przez myśl nie przeszło, by o cokolwiek zapytać Sarene – jadąca przy drugim boku Shalon – tylko od czasu do czasu spoglądała z wściekłością na kobiety z przodu. Gdyby Shalon nie знаła jej lepiej, powiedziałaaby, że w tych spojrzeniach było więcej nadąsania niż gniewu.

Ze swej strony Shalon cieszyła ta milcząca podróż. Jazda na koniu była już dosyć trudna, po co ją jeszcze komplikować rozmową. Poza tym znieca przyszło jej do głowy wyjaśnienie osobliwego zachowania Harine. Z pewnością lała ona oliwę na wzburzone fale stosunków z Aes Sedai. Tak, bez wątpienia o to właśnie chodzi. Harine nigdy nie nakładała wodzy swoim humorom, jeśli nie było istotnej potrzeby. Od wysiłku, jakiego to wymagało, w środku pewno w niej wrzało. A jeśli okaże się, że to wszystko nie przynosi spodziewanych efektów, wściekać się będzie Shalon. Na tę myśl rozboleła ją głowa. Światłości wspomóż i prowadź, musi istnieć sposób na wykręcenie się od szpiegowania własnej siostry, a równocześnie uniknięcie odarcia policzkowego łańcuszka z wszelkich odznaczeń i w następstwie przydziału na jakąś starą krypę pod rozkazy Mistrzynie Żeglugi, która przez cały czas będzie miała pretensje o pomijanie przy kolejnych awansach i z pewnością wystarczająco jasno będzie to dawała do zrozumienia wszystkim dookoła. A Mishael może ogłosić wypowiedzenie przysięg małżeńskich. Musi istnieć inne wyjście.

Czasami odwracała się w siodle, spoglądając na jadące za nimi Aes Sedai. Z pewnością od kobiet przed sobą niczego się nie nauczy. Wprawdzie Cadsuane i Verin dość dużo rozmawiały, zawsze jednak nachylały ku sobie głowy i mówiły tak cicho, że niczego dawało się podsłuchać. Alanna zaś wydawała się całkowicie skupiona na drodze, którą przemierzali, bez przerwy patrząc na południe. Dwu- lub trzykrotnie wysuwała się kilka kroków naprzód nim Cadsuane przywoływała ją z powrotem cichym rozkazem do którego Alanna stosowała się niechętnie, patrząc rozpalonym wzrokiem i krzywiąc się ponuro. Cadsuane i Verin najwyraźniej bardzo się o nią troszczyły – Cadsuane głaskała ją po ramieniu równie o skwapliwie, jak Shalon uspokajała swego wierzchowca, Verin zaś uśmiechała się często, zupełnie jakby Alanna dochodziła do siebie po chorobie. Shalon nie potrafiła wyciągnąć z tego żadnych wniosków, dlatego też wybiegła myślą ku innym.

Na okręcie nie awansuje się wyłącznie dzięki zdolnościom Splatania Wiatru, przewidywania pogody albo ustalania pozycji. Trzeba się nauczyć odczytywać intencje ukryte między wierszami rozkazów, interpretować drobne gesty i wyrazy twarzy, trzeba orientować się, kto komu podlega, nawet w najbardziej subtelny sposób – ponieważ odwaga i zdolności same przez się nie zaprowadzą nikogo na szczyt.

Cztery z nich – Nesune, Erian, Beldeine i Elza – jechały grupką niedaleko z tyłu, chociaż tak naprawdę wcale nie podróżowały razem, zajmowały tylko to samo miejsce w przestrzeni. Nie rozmawiały wiele, nie spoglądały na siebie. Czuło się, że specjalnie za sobą nie przepadają. W myślach umieściła je na pokładzie tej samej łodzi co Sarene. Aes Sedai tylko udawały, że stanowią jedność pod rozkazami Cadsuane. Merise, Corele, Kumira i Daigian stanowiły załogę kolejnej łodzi, tym razem rzeczywiście dowodzonej przez Cadsuane. Czasami Alanna jawiła jej się na tej właśnie łodzi, czasami zaś na innej, Verin natomiast jakby do pewnego tylko stopnia należała do tejże załogi. Być może należało widzieć to w ten sposób, że po prostu płynęła obok, mniej więcej w tę samą stronę, Cadsuane zaś trzymała ją za rękę. Już to było dość skomplikowane, ale pozostawała jeszcze kwestia respektu.

Co dziwne, wydawało się, że Aes Sedai ceniły siłę czerpania z Jedynego Źródła wyżej niż doświadczenie lub umiejętność. Siła określała u nich hierarchię, jak u chłopców pokładowych podczas sprzeczki w nabrzeżnej tawernie. Oczywiście wszystkie uznawały zwierzchnictwo Cadsuane, a wśród pozostałych można było dostrzec pewne różnicowanie. Wedle ich hierarchii niektóre z pokładu Nesune cieszyły się pozycją, która kazała oczekiwać respektu od większości z łodzi Cadsuane. I choć faktycznie go okazywały, traktowały tamte niczym przełożone, które dopuściły się haniebnej zbrodni, znanej wszem wobec. W tej hierarchii Nesune stała najwyżej ze wszystkich, prócz tylko Cadsuane i Merise, jednak do Daigian, która zajmowała pozycję na samym dole, odnosiła się jakby świadomie prowokując, podobnie też i pozostałe z jej łodzi. Wszystko to odbywało się nadzwyczaj dyskretnie – lekko uniesiony podbródek, nieznaczne wygięcie brwi, skrzywienie ust – ale było oczywiste dla każdego, kto awansował we flocie. Być może żadne z tych spostrzeżeń na nic jej się nie przyda, jeśli jednak już miała rozpleść szpagat na pakuły, jedynym sposobem było znaleźć odpowiednią nitkę i pociągnąć.

Wiatr się wznagał, jego podmuchy przylepiały jej płaszcz do pleców i sprawiały, że poły łopotały z przodu. Ledwie była tego świadoma.

Strażnicy mogli stanowić kolejną nitkę. Wszyscy jechali z tyłu, ukryci za plecami Aes Sedai, które podążały w ślad za Nesune i tamtymi trzema. Po prawdzie to Shalon oczekiwała, iż na dwanaście Aes Sedai przypadać będzie więcej niż siedmiu Strażników. Każda z nich rzekomo miała mieć jednego, albo i więcej. Z irytacją pokręciła głową. Oczywiście wyjąwszy Czerwone Ajah. Wcale nie była taką ostateczną ignorantką w sprawach Aes Sedai.

W każdym razie, zasadniczym pytaniem nie było, ilu jest Strażników, ale czy wszyscy są naprawdę Strażnikami. Pewna była, że również posiwiątego starego Damera i ślicznego Jahara widziała wcześniej w czarnych kaftanach, zanim nagle objawili się u boku Aes Sedai. Wtedy nie miała najmniejszej ochoty przyglądać się bliżej czarnym kaftanom, a poza tym niewiele widziała poza śliczniutką Ailil, niemniej po namyśle uznała, że nie może się mylić. I mimo pewnych wątpliwości co do obecnego statusu Ebena, pozostali dwaj bez nieomal najmniejszych wątpliwości byli Strażnikami. Nieomal. Jahar, Nethan i Bassane byli gotowi na każde skinienie Merise, a wnioskując ze sposobu, w jaki Corele uśmiechała się do Damera, albo był jej Strażnikiem, albo dzielił z nią łóżko – z tym że Shalon tylko z najwyższym trudem potrafiła sobie wyobrazić, aby kobieta pokroju Corele zrobiła sobie kochanka z prawie łysego i na dodatek kulejącego mężczyzny. Nadto, choć niewiele wiedziała o Aes Sedai, pewna była, że nakładanie więzi zobowiązań potrafiących przenosić mężczyzn nie było praktyką rozpowszechnioną. Gdyby potrafiła dowieść, że tak jest w istocie, z pewnością otrzymałaby do ręki narzędzie dostatecznie ostre, aby odciąć się nim od Cadsuane.

– Ci mężczyźni nie potrafią już przenosić – mruknęła Sarene.

Shalon tak gwałtownie szarpnęła się w siodle, że tylko palce obu dłoni zaciśnięte kurczowo na końskiej grzywie powstrzymały ją przed upadkiem. Wiatr zarzucił jej na głowę połę płaszcza, także najpierw musiała się wyplątać z fałd odzieży, nim wreszcie usiadła prosto. Właśnie wyjechali z lasu. Pod nimi szeroka droga skręcała na południe w kierunku jeziora, znajdującego się może o milę drogi. Wzgórza skończyły się. Za jeziorem widać było płaski teren pokryty zbrązowiałą trawą. Samo jezioro zresztą, porośnięte od zachodniego brzegu wąskim pasem trzin, stanowiło doprawdy żaloszny akwen, w najlepszym razie nie dłuższy niż dziesięć mil i nawet nie na tyle szeroki. Pośrodku przycupnęła spora wyspa, na niej miasto otoczone wysokimi murami, zwieńczonymi w pewnych odstępach wieżami. Widok ten przemknął jej przed oczyma, nim spojrzała znów na Sarene. Tamta chyba potrafiła czytać w myślach.

– Dlaczego nie potrafią przenosić? – zapytała. – Czy... zostali... poskromieni? – Uznała, że tak to się właśnie nazywa, choć z drugiej strony akt ten miał rzekomo prowadzić mężczyznę do niechybnej śmierci. Zawsze przypuszczała więc, że jest to po prostu eufemizm, z niezrozumiałych powodów używany dla określenia egzekucji.

Sarene zmrużyła oczy i Shalon zrozumiała, że tamta zastanawia się nad czymś. Potem – kiedy cały oddział zjeżdżał w ślad za Cadsuane po zboczu wzgórza – przez jakiś czas przyglądała się Shalon, by w końcu utkwić spojrzenie w mieście na wyspie. – Jesteś bardzo spostrzegawcza, Shalon. Lepiej jednak by gdybyś swoje spostrzeżenia na temat tych mężczyzn zachowała dla siebie.

– Chodzi o to, że są Strażnikami? – zapytała cicho. – Czy dlatego nałożyliście na nich więź zobowiązań? Ponieważ ich poskromiliście? – Miała nadzieję, że w ten sposób zmusi tamtą do przyznania się, do zdradzenia czegoś, jednak Aes Sedai tylko spojrzała na nią bez słowa. I nie odezwała się już więcej do czasu, aż dotarły do podnóża zbocza i śladem Cadsuane wjechały na drogę. Droga była szeroka, jej powierzchnia mocno ubita, co z pewnością stanowiło dowód intensywnego ruchu, teraz jednak miały ją wyłącznie dla siebie.

– Nie jest to tajemnica w ścisłym słowa znaczeniu – powiedziała w końcu Sarene z niechęcią co najmniej dziwną dla czegoś, co nie było sekretem – ale nie jest to również sprawa powszechnie znana. Nieczęsto rozmawiamy na temat Far Madding, wyjąwszy siostry tu urodzone, a i one rzadko odwiedzają miasto. Jednak skoro masz się w nim znaleźć, powinnaś wiedzieć. Miasto jest w posiadaniu *ter'angreala*. Może zresztą chodzi o trzy *ter'angreale*. Nikt nie wie. Ich... czy jego... nie można ani zbadać, ani tym bardziej wywieźć z miasta. Musiały zostać sporządzone podczas Pęknięcia, kiedy strach przed szaleńcami władającymi Mocą był na porządku dziennym. Lecz cena, jaką przyszło zapłacić za bezpieczeństwo... – Ozdobione paciorkami warkoczyki spływające na piersi zabrzęczały, kiedy pokręciła głową ze zdumienia. – Te *ter'angreale* podwajają efekt *stедding*. Przynajmniej pod najważniejszym względem, jak się obawiam, chociaż ogirowie zapewne nie zgodziliby się ze mną. – Westchnęła ze smutkiem.

Shalon przez chwilę patrzyła na nią, a potem wymieniła zmieszane spojrzenia z Harine i Moadem. Dlaczego Aes Sedai miałyby się obawiać postaci z bajek? Harine już otworzyła usta, a potem gestem dała znać Shalon, by ta zadała oczywiste pytanie. Może z Sarene również miała się zaprzyjaźnić, żeby jakoś wpłynąć na jej zachowanie wobec Atha'an Miere? Shalon od tego wszystkiego naprawdę zaczynała boleć głowa. Ale sama również była ciekawa.

– Pod jakimi względami? – zapytała ostrożnie. Czy ta kobieta naprawdę wierzyła w ludzi wysokich na pięć piędzi, którzy drzewom śpiewali? I jeszcze było coś o toporach. Oto nadchodzą Aelfinn, by skraść twój chleb, oto nadchodzą ogirowie, by ściąć ci łeb. Światłości, nie słyszała tej przyśpiewki od czasu, jak Harine jeszcze chodziła w kojcu. Ponieważ matka robiła karierę we flocie, ona wychowywała Harine razem ze swoim pierwszym dzieckiem.

Oczy Sarene rozszerzyły się ze zdumienia.

– Naprawdę nie wiesz? – Jej spojrzenie znowu pobiegło do wyspy przed nimi. Ale z wyrazu twarzy można by wnosić, że trafiła do zęzy. – Na terenie *stедding* nie jesteś w stanie przenosić. Nie możesz nawet wyczuć Prawdziwego Źródła. Żaden splot utkany na zewnątrz nie sięgnie niczego, co jest w środku, chociaż dla nas to i tak nie ma znaczenia. Ściśle rzecz biorąc, są tu dwa, *stедding*, jedno wewnątrz drugiego. Większe oddziałuje na mężczyzn, a gdy dotrzemy do mostu, znajdziemy się również na obszarze mniejszego.

– Nie będziecie w stanie tam przenosić? – zapytała Harine. Kiedy Aes Sedai skinęła głową, nie odrywając oczu od miasta, na usta Harine wypełził zimny uśmiech. – Być może po tym, jak już znajdziemy kwatery, ty i ja porozmawiamy sobie o rozkazach.

– Interesujesz się filozofią? – zapytała z zaskoczeniem Sarene. – Teoria Rozkazów nie cieszy się dzisiaj największym wzięciem, choć ja zawsze uważałam, że wiele się można z niej nauczyć. Rozmowa na ten temat będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością, zwłaszcza że pozwoli oderwać umysł od innych spraw. Oczywiście, jeśli Cadsuane pozwoli nam znaleźć na to czas.

Harine zamarła z rozdziawionymi ustami. Zagapiwszy się na Aes Sedai, zapomniała trzymać się siodła i tylko dłoń Moady uratowała ją przed upadkiem.

Shalon nigdy nie słyszała z ust Harine słowa „filozofia”, ale wcale nie obchodziło jej, o czym siostra mówi. Popatrzyła w stronę Far Madding i z wysiłkiem przełknęła ślinę. Oczywiście nauczyła się oddzielać osłoną kobietę zdolną do przenoszenia Mocy, częścią ćwiczeń było również zapoznanie z wrazeniem oddzielenia osłoną, lecz, nawet gdy się było oddzielonym od Źródła, wciąż się je czuło. Jak to może być, kiedy zupełnie zniknie, kiedy przestanie świecić, niczym słońce – zawsze obecne, choćby postrzegane jeno kątem oka. Jak to będzie utracić słońce?

Podczas drogi w kierunku jeziora czuła obecność Źródła mocniej niż kiedykolwiek od czasu, gdy po raz pierwszy zaczerpnęła radość z jego dotknięcia. Ledwie się powstrzymała, żeby nie napić z niego, Aes Sedai przecież zobaczyłaby światło i z pewnością domyśliła się powodów. Nie mogła w ten sposób zawstydzić ani siebie, ani Harine. Na powierzchni jeziora dostrzegła małą flotyllę pękatyłodzi – na jednych wyciągano sieci, inne kręciły się wokół, pchane pociągnięciami długich wiosł. Sądząc ze szkwałów które zrywały się na wodzie, niekiedy zderzając się w fontannach piany kojarzących się z grzywaczami, żagle mogłyby tu być w tym samym stopniu zawadą co pomocą. A jednak łodzie w jej oczach stanowiły widokomalże znajomy, choć te w niczym nie przypominały smukłych szalup, których po cztery, osiem lub dwanaście zabierały na swój pokład okręty. Mała pociecha pośród całkowitej obcości.

Droga skręciła na cypel, wcinający się w jezioro na pół mili lub więcej i w tym momencie Źródło odeszło. Sarene westchnęła, ale niczym innym nie dała po sobie poznać, że to zauważyła. Shalon oblizwała wargi. Nie było tak źle, jak się obawiała. Poczuli się... pusta... ale można było to jakoś znieść. Pod warunkiem, że cała rzecz nie potrwa zbyt długo. Wiatr, który dał to z jednej, to z drugiej strony, szarpiąc płaszcze, zniemacka wydał się bardziej chłodny.

Kraniec cypla zajmowała wioska domów z szarego kamienia, o dachach z ciemniejszego łupku, wciśnięta między wodę i drogę. Wieśniaczki, które wcześniej najwyraźniej spieszyły dokądś z wielkimi koszami, przystanąły na widok konnego oddziału. Niejedna gapiąc się, przyciskała palec do nosa. Shalon prawie już zdążyła przywyknąć do tych spojrzeń w Cairhien. W każdym razie i tak miała teraz czasu się nad tym zastanawiać, ponieważ jej spojrzenie przyciągnęły widoczne w tle wioski fortyfikacje – masyw ściśle dopasowanego kamienia wysoki na pięć piędzi, z basztami w rogach, obsadzonymi żołnierzami, obserwującymi wszystko zza krat przyłbic. Niektórzy trzymali w rękach naciągnięte kusze. Zza wielkiej kutej w żelazie bramy wysypywali się na most kolejni żołnierze w hełmach i zbrojach z kwadratowej łuski, na ramionach mieli wybite godło złotego miecza. Niektórzy uzbrojeni byli w miecze, inni w długie włócznie lub kusze. Shalon zaczęła się zastanawiać, czy tamci przypadkiem nie oczekują, że Aes Sedai zechcą wyciąć sobie drogę do miasta. Oficer z złotym piórem na hełmie gestem nakazał im się zatrzymać, potem podszedł do Cadsuane i zdjął hełm; przetykane siwizną włosy spłynęły mu do pasa. Miał srogie, ponure oblicze.

Cadsuane pochyliła się w siodle i wymieniła z nim kilka cichych słów, następnie wyciągnęła z juków tłustą sakiewkę. Wziął ją i cofnął się, równocześnie nakazując jednemu z żołnierzy podejść bliżej. Wysoki, kościsty, w przeciwieństwie do pozostałych bez hełmu na głowie, trzymał w dłoni pulpit do pisania, jego włosy zaś, podobnie jak u oficera zebrane w koński ogon, równie sięgały aż do pasa. Z szacunkiem skłonił głowę, a dopiero potem, zapytał Alannę o jej imię, które uważnie

zapisał, przygryzając zębami koniuszek języka i często maczając pióro w kałamarzu. Ponury oficer stał tymczasem z boku, hełm trzymając pod pachą i przypatrując się pozostałym wzrokiem całkowicie pozbawionym wyrazu. Sakiewka zwisała z jego dłoni, na pozór całkowicie zapomniana. Nic w jego postawie ani obliczu nie wskazywało na to, że zdaje sobie sprawę, z kim rozmawia. A może po prostu go to nie obchodziło. W tym miejscu Aes Sedai nie różniła się niczym od zwykłej kobiety. Shalon zdrzała. Tutaj ona również niczym się nie różniła od zwykłej kobiety, na czas pobytu została odarta ze swych darów.

– Zapisują imiona wszystkich obcych – wyjaśniła Saren – Radczynie lubią wiedzieć, kto przebywa w mieście.

– Być może Mistrzynie Fal wpuściłyby bez łapówki – sucho wtrąciła Harine. Kościsty żołnierz odwrócił się tymczasem od Alanny i ruszył w ich stronę, wcześniej obrzuciwszy je spojrzeniem typowym dla przykutych do brzegu.

– Zechciałabyś mi wyjawić twoje imię, pani? – zwrócił się grzecznie do Sarene, wcześniej znowu ukłoniwszy. Podała je, pomijając wszakże należny Aes Sedai tytuł. Shalon przedstawiła się równie prosto, Harine jednak nie mogła się powstrzymać i wszyscy usłyszeli: „Harine din Togara Dwa Wiatry, Mistrzynie Fal klanu Shodein Nadzwyczajny Ambasador Mistrzynie Okrętów Atha’an”. Tamten zamrugał, już chciał coś powiedzieć, ale tylko znowu przygryzł język i pochylił głowę nad przenośnym pulpitem. Harine zmarszczyła czoło. Kiedy chciała wywrzeć na kims wrażenie, oczekiwała, że jej wysiłki nie pójdą na marne.

Kiedy tamten pisał, między konie Harine i Moadą wcisnął się inny żołnierz w hełmie i ze skórzanym workiem przewieszonym przez ramię. Za kratą przyłbicy widać było wydatną bliznę przecinającą twarz – nadawała jego ustom kształt wyszczerzonego na trwałe grymasu. On również z odpowiednim szacunkiem skłonił głowę przed Harine. A potem spróbował wziąć do ręki miecz Moady.

– Albo mu na to pozwolisz, albo musisz złożyć broń w depozycie na czas pobytu w mieście – szybko wyjaśniła Sarene, kiedy Mistrz Miecza wyrywał pochwę z rąk tamtego. – Mistrzynie Fal, to właśnie za ten obstalunek zapłaciła Cadsuane. W Far Madding żaden mężczyzna nie może nosić innej broni niż krótki nóż, chyba że najpierw zostanie ona otoczona plecionką pokoju, by nie dawało się jej wyciągnąć. Nawet ci żołnierze ze Straży Murów nie mają prawa wynosić mieczy poza miejsce służby. Czyż nie? – zapytała chudego żołnierza, on zaś przytaknął i dodał jeszcze, że całkowicie zgadza się z tym rozporządzeniem.

Moad wzruszył ramionami i wyciągnął miecz zza szarfę, a kiedy tamten z przyklepionym do twarzy złowieszczym grymasem poprosił następnie o jego sztylet z kościaną rękojeścią, również mu go podał. Żołnierz tymczasem wsunął sobie sztylet za pas, wyciągnął z worka szpulkę cienkiego drutu i zaczął oplatać miecz subtelną siatką. Od czasu do czasu przestawał, aby wyciągnąć stempel zza pasa i otoczyć druty małym ołowianym cieniem, niemniej w jego doświadczonych dłoniach praca postępowała szybko.

– Lista imion zostanie skopiowana i dostarczona na posterunki przy obu pozostałych mostach – ciągnęła dalej Sarene – a podczas wyjazdu mężczyźni będą musieli dowieść, że pieczęcie nie zostały zerwane, w przeciwnym razie zostaną zatrzymani do czasu, aż magistrat ustali, czy nie zostało popełnione żadne poważniejsze przestępstwo. Nawet w takim wszakże wypadku, karą będzie bardzo poważny mandat i chłosta. Większość przyjezdnych, choćby dla oszczędności decyduje się oddać broń do depozytu, w naszym przypadku oznaczałoby to konieczność opuszczenia miasta tą samą drogą. A Światłość jedna wie, dokąd udamy się potem. – Zerknęła w kierunku Cadsuane, która wyraźnie powstrzymywała Alannę przed pędem na oślep do miasta i dodała cichutko. – A

przynajmniej sędzę, że ona tak rozumuje.

Harine parsknęła:

– To zupełnie bez sensu. Jak on ma się tu bronić?

– W Far Madding żaden mężczyzna nie musi się przed niczym bronić, pani. – Głos krępego żołnierza był ochryply, nie zabrzmiała w nim jednak nawet pojedyncza nuta szyderstwa. Stwierdzał oczywistość. – Straż Muncypalna wszystkim się zajmuje. Jeśli choć jednemu mężczyźnie pozwolimy paradować z mieczem, wkrótce będzie u nas równie kiepsko jak wszędzie indziej. Słyszałem jak jest w szerokim świecie, pani, i nie chcę tego samego tutaj. – Skłoni się przed Harine, a potem ruszył dalej wzdłuż kolumny. Chudzielec z pulpitem poszedł za nim.

Moad przyjrzał się przelotnie swojej broni – i sztylet, i miecz razem z pochwami oplatała zgrabna plecionka – a potem wsunął ją na miejsce, uważając, żeby nie uszkodzić pieczęci.

– Miecze przydają się tylko wówczas, gdy zawodzi nas rozum – powiedział. Harine parsknęła znowu. Shalon zastanawiała się zaś, skąd tamten żołnierz wziął swą bliznę, skoro w Far Madding – było tak bezpiecznie.

Z tyłu kolumny, gdzie zatrzymali się pozostali mężczyźni, dobiegły protestujące głosy, ale wkrótce zostały uciszone. Shalon gotowa się była założyć, że Merise maczała w tym palce. Chwilami przy tamtej nawet Cadsuane zdawała się miękka. Strażnicy Merise, byli niczym wyszkolone psy obronne, jakimi posługiwał się Amayar – gotowi na dźwięk gwizdka skoczyć do gardła – ona sama zaś nie miała najmniejszych oporów przed identycznym traktowaniem Strażników pozostałych Aes Sedai. Wkrótce wszystkie miecze otoczyła plecionka pokoju, a juczne konie zrewidowano na okoliczność ukrytego oręża, i wreszcie wjechali na most. Kopyta końskie stukały na kamieniach. Shalon próbowała rejestrować wszystko, co widziała nie z ciekawości, ale po to by zająć umysł czymś innym niż pustką.

Most był płaski, szeroki jak wiodąca nań droga – niskie kamienne balustrady po obu stronach miały zabezpieczyć wóz przed ewentualnym zjechaniem do jeziora, ale równocześnie nie dawały atakującym miasto żadnej osłony – długi może na trzy czwarte mili i idealnie prosty. Podczas jazdy widziała przepływające pod nim łodzie. Gdyby posiadały maszty, nie byłyby w stanie tego zrobić. Wysokie wieże strzegły z obu stron okutych żelazem wierzei bramy – Bramy Caemlyn, taką nazwę podano – przy której wartownicy ze złotymi mieczami na ramionach kłaniali się kobietom i podejrzliwie spoglądali na mężczyzn. Natomiast ulica za bramą...

Próby zajęcia czymś myśli na nic się nie zdały. Ulica była szeroka i prosta, pełna ludzi i wozów, ograniczona kamiennymi budynkami wysokimi na dwa, trzy pietra – ale wszystko to zlewało się w jedną plamę. Źródło znikło! Wiedziała, że odzyska je na powrót, gdy tylko opuści to miejsce... i, Światłości, chciała je opuścić natychmiast. Jak dużo czasu minie, zanim to nastąpi? W tym mieście mógł przebywać Coramoor, Harine zaś chciała dotrzeć do niego jak najszybciej, może ze względu na to, kim był, albo też, że przysporzy jej to uznania w oczach Mistrzynie Okrętów. Do czasu aż Harine wypełni swą misję, a Cadsuane uwolni je spod warunków umowy, Shalon była tu uwięziona. Tutaj, gdzie nie było Prawdziwego Źródła.

Sarene nie przestawała mówić, lecz do Shalon ledwie docierały jej słowa. Pokonały wielki kwadratowy plac z ogromnym pomnikiem jakiejś kobiety pośrodku. Shalon usłyszała wyłącznie imię – Einion Avharin – mimo że równocześnie zdawała sobie sprawę, iż Sarenę tłumaczy, czym zasłynęła ona w Far Madding i dlaczego dłoń Posągu wskazuje Bramę Caemlyn. Za placem szereg pozbawionych liści drzew rósł między dwoma pasmami ulicy. Lektyki, powozy i mężczyźni w zbrojach o kwadratowej łusce przepychali się przez tłum, a ona patrzyła na to wszystko niewidzącym wzrokiem. Drżała i kuliła się w sobie. Miasto znikło. Czas przestał płynąć. Znikło wszystko prócz



strachu, że już nigdy nie poczuje Źródła. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, jaką pociechę czerpie z jego niewidzialnej obecności. A przecież zawsze było pod ręką, obiecując radość poza wszelkie wyobrażenia, życie tak bogate, że gdy tylko Moc opuszczała ją, kolory zdawały się blednąć. A teraz Źródło znikło. Odeszło. Tylko o tym potrafiła myśleć.

# WŚRÓD RADCZYŃ

Ktoś potrząsnął Shalon za ramię. To była Sarene.

– Znajduje się tutaj – mówiła wzięta. – W Gmachu Rady. Pod kopułą – Cofnęła dłoń, wciągnęła głęboki oddech i ujęła wodze. – Bez sensu jest przyjmować, że wywierane przezeń skutki są mocniejsze tylko dlatego, że jesteśmy blisko – mruknęła – ale takie sprawia wrażenie.

Shalon z trudem wyrwała się z otępienia. Pustka wprawdzie nie odeszła, ale jakoś udawało się nie zwracać na nią uwagi. Tak naprawdę czuła się jakby wypestkowana, niczym pocięty na kawałki owoc.

Znajdowały się na potężnym placu – rym razem okrągłym, nie zaś kwadratowym – wyłożonym białym kamieniem. W centrum stał ogromny pałac, również okrągły, cały biały, wyjąwszy tylko wieńczącą go, niby połowa piłki, wysoką kopułę. Masywne, ale równocześnie smukłe kolumny biegły kruzgankiem wokół dwu górnych pięter budowli pod samą kopułą. Równocześnie dwa ciągłe strumienie ludzi, wchodzących i wychodzących z budynku, płynęły po szerokich białych schodach na pierwsze piętro. Poza dwoma sklepionymi łukami bram z brązu naprzeciw nich, resztę parteru budowli stanowił lity biały kamień, pokryty płaskorzeźbami kobiet w diademach, o rozmiarach dwukrotnie przewyższających naturalne, pomiędzy którymi odrobiono w tymże kamieniu snopy zboża i zwoje materiału, których wolne końce marszczyły się na wietrze, sztaby złota, srebra czy żelaza, a może wszystkich tych trzech metali, wreszcie worki, z których wysypywały się bodaj monety i szlachetne kamienie. Pod stopami kobiet biegła równa wstęga znacznie mniejszych postaci – prowadziły wozy, pracowały w kuźniach i przy krosnach. Ci ludzie wzniesli pomnik, sławiący ich sukcesy handlowe. To było zupełnie głupie. Przecież kiedy do innych docierało, że ktoś znacznie lepiej handluje od nich, nie tylko robili się zazdrośni, ale na dodatek uparci i wysuwali absurdalne warunki targu. A czasami nie było innego wyjścia, niż je przyjąć.

Zorientowała się, że Harine na nią patrzy i wyprostowała w siodle.

– Wybacz mi, Mistrzynie Fal – powiedziała. Źródło znikło, ale wróci... na pewno wróci!... ona zaś miała swoje obowiązki. Zawstydziała się, że taki ogarnął ją strach, niemniej pustka przecież wciąż była. Och, Światłości, taka pustka! – Już się lepiej czuje. – Harine tylko kiwnęła głową, wciąż marszcząc brwi, a Shalon poczuła, że włosy jeżą jej się na głowie. Gdy Harine rezygnowała ze zwykłego sztorcowania, znaczyło to, że na później gotowała coś gorszego.

Cadsuane pokonała plac i przez otwarte bramy Gmachu Rady wjechała prosto do wysoko sklepionego pomieszczenia, które musiało służyć jako stajnia. Kilkunastu mężczyzn w niebieskich kaftanach, kuczających obok lektyk z wymalowanymi na drzwiach godłami złotego miecza i złotej dłoni, spojrzęło na nich z zaskoczeniem. Podobnej reakcji doczekali się od mężczyzn w niebieskich, kamizelkach, którzy właśnie wyprzęgali powóz z godłem miecza i dłoni, a nawet od tych, którzy tylko wielkimi miotłami sprząтали kamienną podłogę. Dwaj stajenni odprowadzali pierwsze konie zaprzęgu w głąb korytarza, z którego dobiegał zapach siana i nawozu.

Pulchny mężczyzna w średnim wieku, ale o gładkich policzkach, biegł w ich stronę po bruku, w biegu już kłaniał się i zacierał dłonie. Podczas gdy inni mężczyźni, jakich dotąd widziała, wiązali włosy na karku, jego spięte były małą srebrną spinką, a błękitny kaftan uszyty został z wełny przedniej jakości, Miecz i Ręka natomiast zdołały lewą pierś.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział z przymilnym uśmiechem – nie zamierzam nikogo obrazić, ale obawiam się, że musieliście zmylić drogę. To jest Gmach Rady, a...

– Zawiadam Pierwszą Radczynię Barsallę, że Cadsuane Melaidhrin przybyła, aby się z nią spotkać – weszła mu w słowo Cadsuane, zsiadając z konia.

Uśmiech tamtego przeszedł w dość krzywy grymas, a jego oczy rozszerzyły się.

– Cadsuane Melaidhrin? Myślałem, że nie... – Potraktowany nieoczekiwanie twardym spojrzeniem, ugryzł się w język, kasznięciem skrył zmieszanie, a potem uśmiechnął się znowu jak przedtem. – Wybacz mi, Cadsuane Sedai. Czy pozwolisz, abym ciebie i twoich towarzyszy zaprowadził do poczekalni, gdzie z pewnością znajdzie się dla was jakiś poczęstunek, a ja tymczasem powiadomię Pierwszą Radczynię? – Na widok „towarzyszy” jego oczy znowu się rozszerzyły. Najwyraźniej on również potrafił rozpoznać Aes Sedai, przynajmniej w większej liczbie. Widząc Shalon i Harine, zamrugał, jednak jak na przykutego do brzegu potrafił nad sobą panować. Nie gapił się.

– Pozwolę, byś natychmiast pobiegł do Aleis i to co sił w nogach, chłopcze – odparła Cadsuane, odpinając płaszcz i przerzucając go przez siodło. – Powiedz jej, że będę pod kopułą, i że nie mam całego dnia na czekanie. Dobrze? Ruszaj! – Tym razem uśmiech tamtego nie stał się krzywy, tylko od razu przeszedł w kwaśny grymas, wahał się jednak ledwie przez moment. Pobiegł najszybciej, jak potrafił, po drodze krzycząc na stajennych, by zajęli się końmi.

Cadsuane wszakże najwyraźniej zapomniała o jego istnieniu w tym samym momencie, gdy skończyła wydawać mu polecenia. – Verin, Kumira, wy dwie pójdziecie ze mną – oznajmiła żywo. – Merise, zadbaj, żeby nikt się stąd nie ruszał, i żeby wszyscy byli gotowi, póki ja... Alanna, wracaj i zsiadaj z konia. Alanna! – Alanna niechętnie zawróciła wierzchowca, już spod samej bramy i zsiadła na ziemię z ponurym grymasem. Jej szczupły Strażnik, Ihvon, obserwował ją z niepokojem. Cadsuane westchnęła, jakby jej cierpliwość była już na wyczerpaniu. – Usiądź na niej, jeśli tego będzie trzeba, by utrzymać ją na miejscu, Merise – powiedziała, równocześnie podając wodze małemu żylastemu stajennemu. – Chcę, żeby wszyscy byli gotowi do wyjazdu w chwili, gdy skończę z Aleis. – Merise skinęła głową, Cadsuane zaś zwróciła się do stajennego: – Odrobina wody nic więcej nie będzie konieczne – powiedziała, z uczuciem poklepując swego konia. – Nie zmęczył się dziś szczególnie.

Shalon była co najmniej szczęśliwa, mogąc oddać wodze go konia stajennemu bez żadnych poleceń. Nie obeszłoby jej, nawet gdyby ten zabił zwierza. Oszołomiona, nie bardzo sobie zdawała sprawę, ile dzisiaj przejechała, czuła jednak w kościach każdą milę dzielącą miasto od Cairhien. Ciało miała zmietoszone w takim samym stopniu jak ubiór. Nagle zorientowała się, że wśród mężczyzn nie widać ślicznej twarzy Jahara. Tomas, Przysadzisty Strażnik Verin, posiwiwały jak oni wszyscy, trzymał uzdę nakrapianego jucznego siwka, na którym wcześniej jechał Jahar. Gdzie ten młodzieniec zniknął. Jednak Merise z pozoru wcale się nie przejmowała jego nieobecnością.

– Ta Pierwsza Radczyni... – jęknęła Harine, pozwalając, Moadowi ściągnąć się z siodła. On sam zeskoczył lekko ze swojego. – To jakaś ważna tu kobieta, Sarene?

– Można by ją nazwać władczynią Far Madding, aczkolwiek pozostałe Radczynie widzą w niej tylko pierwszą wśród równych, cokolwiek by to miało znaczyć. – Podała wodze swego rumaka stajennemu. Wyglądała na zupełnie wypoczętą. Jeszcze chwil temu zdenerwowana nieco *ter'angrealem*, który skradł Źródło, teraz stanowiła uosobienie chłodnego opanowania, jak statuetka wyrzeźbiona w lodzie. Spojrzawszy na jej twarz, stajenny potknął się o własne nogi. – Ongiś Pierwsza Radczyni doradzili królowym Maredo, jednak od... rozbioru... większość Pierwszych Radczyń uważa się za naturalne spadkobierczynie władzy.

Shalon zdawała sobie sprawę, że jej wiedza na temat historii przykutej do brzegu jest równie niepewna jak jej znajomość naprawdę dalekich mórz, ale dotąd nie słyszała o żadnym kraju zwanym Maredo. Harine wszakże odpowiedź najwyraźniej zadowalała. Jeśli Pierwsza Radczyni rządziła w

tym miejscu, Mistrzynie Fal klanu Shodein musi się z nią spotkać. Jej godność domagała się tego. Z determinacją ruszyła przez stajnię w ślad za Cadsuane.

– Ach, tak – powiedziała ta nieznośna Aes Sedai, zanim Harine podeszła do niej i zdążyła otworzyć usta. – Ty również pójdziesz ze mną. I twoja siostra. Podejrzewam jednak, że dla twego Mistrza Miecza nie znajdzie się miejsce w naszym towarzystwie. Mężczyzna pod kopułą to już byłoby wystarczająco niedobrze, ale na widok mężczyzny z mieczem Radczyni z pewnością dostałyby ataku. Masz jakieś pytania, Mistrzynie Fal? – Harine zamknęła usta, aż jej w dosłyszalny sposób szczęknęły zęby. – Dobrze – mruknęła Cadsuane. Shalon jęknęła. To w niczym nie przyczyni się do poprawienia nastroju siostry.

Cadsuane poprowadziła je po długich, wykładanych niebieską posadzką korytarzach. Na ścianach wisiały jaskrawe gobeliny, a wnętrza oświetlały połączane stojące lampy, błyskające zwierciadlanymi półkłoszami, zaskoczeni służący najpierw wytrzeszczali oczy, potem zaś kłaniali się na modłę przykutych do brzegu. Poprowadziła je po długich, krętych klatkach schodowych – schody miały stopnie z białego kamienia – które były całkiem otwarte i jakby wisiały w powietrzu, podtrzymywane tylko w miejscach, gdzie zamocowano je w ścianach. Cadsuane sunęła przed siebie z gracją łabędzia, lecz tak szybko, że Shalon znowu rozboleły umęczone od jazdy nogi. Na twarzy Harine zastygł grymas niczym drewniana maska, skrywający wysiłek związany z pokonywaniem schodów. Nawet Kumira zdawała się odrobinę zaskoczona, chociaż dotrzymanie kroku Cadsuane z pozoru nie sprawiało jej żadnego wysiłku. Malutka okrągłutka Verin połykała przestrzeń u jej boku, od czasu do czasu rzucając przez ramię uśmiechy w stronę Harine i Shalon. Czasami Shalon czuła ukłucia nienawiści do Verin, w tych uśmiechach nie było jednak rozbawienia, wyłącznie zachęta.

Cadsuane poprowadziła je po ostatnim podejściu schodów, tym razem na szczęście całkowicie obudowanym i nagle znalazły się na balkonie z misterną, połączaną metalową balustradą, która obiegała go ze wszystkich stron. Przez moment Shalon tylko się gapiła. Ponad nią wznosiła się wszechogarniająca niebieska kopuła, w najwyższym punkcie sięgająca trzydziestu stóp ponad głowę. Niczym nie podtrzymywana. Jej ignorancja w sprawach przykutych do brzegu obejmowała nie tylko geografie i historię, ale również architekturę – oraz Aes Sedai – wyjąwszy może jaką taką znajomość miasta Cairhien. Wiedziała, jak sporządzić plany rakera, a potem nadzorować jego budowę, lecz nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, czego trzeba, aby wznieść to, co miała przed oczyma.

Z balkonu wiodło na zewnątrz czworo sklepionych łukiem przejść o framugach z białego kamienia. Poza nimi nikogo więcej tu nie było, co z jakiegoś powodu zdawało się cieszyć Cadsuane. Choć jej uczuć można się było domyślać wyłącznie z pełnego satysfakcji skinienia głową.

– Kumira, pokaż Mistrzynie Fal i jej siostrze strażników Far Madding. – Jej głos niósł się lekkim pogłosem pod przestrzenią kopuły. Odciągnęła Verin na bok i pochyliły ku sobie głowy. Ich szepty nie zrodziły żadnych ech.

– Musicie im wybaczyć – cicho zwróciła się Kumira do Harine i Shalon. Nawet ten cichy głos niósł się lekkim rezonansem, jeśli już nie można było go nazwać echem. – No tak, to musi wywierać wrażenie nawet na Cadsuane. – Przeczesała palcami krótkie ciemne włosy, a potem potrząsnęła głową, żeby ułożyły się z powrotem. – Radczyni rzadko cieszy wizyta Aes Sedai, szczególnie, jeśli chodzi o siostry urodzone w mieście. Przypuszczam, iż wolałyby udawać, że Mocy w ogóle nie ma. Cóż, jeśli się przyjrzeć ich historii, to trudno mieć pretensje, a przez ostatnie dwa tysiące lat miały środki pozwalające im konsekwentnie udawać. W każdym razie, Cadsuane to Cadsuane. Rzadko kiedy na widok nadętej osoby nie próbuje pokazać, gdzie jej miejsce, nawet gdy w grę wchodzi koronowane głowy. Albo głowy zdobne diademem Radczyni. Ostatni raz złożyła tu wizytę

dwadzieścia lat temu, podczas Wojen z Aielami, podejrzewam jednak, że te, które fakt ten pamiętają, na wieść o jej przybyciu, będą wolały schować się pod łóżkiem. – Kumira roześmiała się cicho, z rozbawieniem. Shalon jednak nie widziała tu szczególnych powodów do śmiechu. Harine zaś zacisnęła usta, co nadało jej twarzy taki wygląd, jakby bolał ją brzuch. – Chcecie zobaczyć... strażników? – ciągnęła dalej Kumira. – Przypuszczam, że to równie dobre określenie, jak każde inne. Zresztą nie ma wiele do oglądania. – Ostrożnie podeszła do pozłacanej balustrady i spojrzała ponad nią, jakby obawiając się upadku, po chwili błękitne oczy znowu patrzyły ostro. – Dałabym wszystko za możliwość zbadania go, ale oczywiście jest to niemożliwe. Któż wie, jakie jeszcze są jego możliwości poza tymi, które już znamy? – W tonie jej głosu było tyleż podziwu co żalu.

Shalon nie miała lęku przestrzeni, swobodnie więc wsparła się obok Aes Sedai o kunsztownie kutą metal, chcąc na własne oczy zobaczyć rzecz, która zabrała jej Źródło. Po chwili Harine dołączyła do nich. Ku zaskoczeniu Shalon, spadek, który zakręcił Kumirze w głowie, nie miał więcej niż dwadzieścia stóp – poniżej na gładkiej posadzce białe i niebieskie płytki tworzyły poskręcany labirynt, w środku którego znajdował się podwójnie zaznaczony czerwony owal, obrzeżony żółcią. Wokół posadzki, pod ścianami podtrzymującymi kopułę, w równych odstępach, na białych stołkach siedziały trzy kobiety. Każda zajmowała pozycję obok osadzonego w płytkach dysku – wyglądającego niczym przydymiony kryształ – szerokiego na dobrą piędź i oprawionego w smukły klin czystego kryształu, ostrzem wskazującego ku centrum komnaty. Mętne dyski dodatkowo otaczały metalowe pierścienie, z oznaczeniami przypominającymi podziałkę kompasu, tyle że między głównymi punktami znajdowały się coraz mniejsze dodatkowe znaki. Shalon zdawało jej, że na metalowym kołnierzu najbliższego dysku dostrzeżę liczby. I to było wszystko. Żadnych gigantycznych tworów. A wyobrażała sobie coś monstrualnego i czarnego, coś, co wysysało światło. Zacisnęła palce na balustradzie, aby opanować drżenie dłoni. Zastygła na zeszywniałych nogach. Jakkolwiek wyglądał ten przedmiot na dole, naprawdę skradł Światłość.

Szelest pantofli dobiegający z tego samego korytarza, którym dostały się pod kopułę, zaanonsował przybycie kilkunastu uśmiechniętych kobiet. Włosy miały zebrane na czubkach głów, na suknie – niczym kaftany bez rękawów – narzuciły togi z błękitnego jedwabiu, bogato haftowane złotem, których skraje ciągnęły się za nimi po posadzce. Te kobiety wiedziały, jak powinno się uwydatniać piastowaną rangę. Każda mogła się poszczycić wielkim wisiosem w kształcie oprawionego w złoto czerwonego owalu, zawieszzonego na szyi na łańcuchu z grubych złotych ogniów, podobnie ozdobiono front cienkiego złotego diademu. U jednej z kobiet czerwone owale wykonane był z rubinów – u pozostałych była to tylko emalia – a licznie osadzone w pierścieniu diademu szafiry i kamienie księżycowe niemalże zasłaniały brwi; na prawym palcu wskazującym, miała ciężki złoty sygnet. Była wysoka i stateczna, ciemne, przetykane licznymi pasmami siwizny włosy nosiła zaplecione w wielki kok, na jej obliczu jednak nie sposób było znaleźć choć zmarszczki. Pozostałe stanowiły istną mozaikę kobiecych postaci – wysokie, niskie, szczupłe, krępe, przystojne i całkiem pospolite – aczkolwiek żadna nie była młoda i wszystkie roztaczały wokół siebie atmosferę autorytetu. Tamtą pierwszą jednak wyróżniały nie tylko klejnoty. W wielkich ciemnych oczach lśniło współczucie i mądrość znać po niej było przyzwyczajenie do wydawania rozkazów, nie tylko moralny autorytet. Shalon nie potrzebowała dodatkowych wyjaśnień, żeby wiedzieć, iż ma przed sobą Pierwszą Radczynię, lecz tamta mimo wszystko postanowiła się przedstawić.

– Jestem Aleis Barsalla, Pierwsza Radczyni Far Madding. – Słodki głos, dość niski jak na kobietę, brzmiał tak, jakby właśnie ogłosiła nim proklamację i teraz oczekiwała wiwatów. Echa pod kopułą odpowiedziały jej z entuzjazmem. – Far Madding wita Harine din Togara Dwa Wiatry, Mistrzynie Fal klanu Shodein i Nadzwyczajnego Ambasadora Mistrzynie Statków Atha'an Miere.

Niech Światłość cię oświeca i będzie dla ciebie łaskawa. Twoje przybycie raduje wszystkie serca w Far Madding. Z najwyższą ochotą już teraz skorzystałabym z okazji dowiedzenia się czegoś więcej o Atha'an Miere, ale nie wątpię, iż musisz być zmęczona po trudach podróży. Zarządziłam, by przygotowano dla ciebie wygodne komnaty w moim pałacu. Kiedy odpoczniesz i posilisz się, będziemy mogły porozmawiać. Z obopólną korzyścią jeśli taka wola Światłości. – Członkinie jej orszaku rozpostarły suknie w płytkich ukłonach.

Harine lekko skinęła głową, w jej uśmiechu znać było nutę satysfakcji. Oto, w końcu okazano jej należny szacunek. Wreszcie potraktowano ją właściwie – żadna z kobiet nawet na chwilę nie zatrzymała spojrzenia na zdobiącej ją i Shalon biżuterii.

– Wygląda na to, że gońcy gnali od bram równie szybko jak zawsze – oznajmiła Cadsuane. – Mnie nie należy się powitanie?

Kiedy Aes Sedai podeszła, by stanąć obok Harine, uśmiech Aleis na moment zbladł, podobnie jak kilku innych kobiet z jej orszaku. Te, które wciąż się uśmiechały, czyniły to w sposób nadzwyczaj wymuszony. Jedna z nich – zresztą bardzo przystojna, mimo poważnego wyrazu twarzy – posunęła się nawet do tego, by zmarszczyć czoło.

– Wdzięczne ci jesteśmy, żeś nam przyprowadziła obecną tu Mistrzynie Fal, Cadsuane Sedai. – W głosie Pierwszej Radczyni nie znać jednak było szczególnej wdzięczności. Wyprostowała się sztywno i spojrzała w przestrzeń gdzieś nad jej głową. – Pewna jestem, że zanim opuścisz miasto, znajdziemy jakiś sposób wyrażenia ci naszej wdzięczności.

Odprawy nie mogła już wyrazić w sposób bardziej jednoznaczny, jeśli nie chciała posunąć się do wyraźnego rozkazu, jednak Aes Sedai tylko uśmiechnęła się do górującej nad nią kobiety. Nie był to może uśmiech pogardy, ale wielkiego rozbawienia też w nim trudno było się doszukać.

– Niewykluczone, iż przez jakiś czas w nim pozostanę, Aleis. Dziękuję za propozycję udzielenia mi gościny i przyjmuję ją. Zawsze lepszy pałac na Wzgórzach niż najlepsza gospoda. – Oczy Pierwszej Radczyni rozszerzyły się z zaskoczenia, potem zwęziły w determinacji.

– Cadsuane musi zostać ze mną – wtrąciła Harine, zanim Aleis zdążyła powiedzieć choć słowo. Ton jej głosu nie był nawet szczególnie stłumiony. – Gdzie ona jest niemiłe widziana, ja również nie mogę czuć się dobrze. – Było to jedno z postanowień umowy wymuszonej na niej w zamian z możliwość towarzyszenia Cadsuane. Między innymi zgodziły się, że do spotkania z Coramoorem, muszą udawać się tam, gdzie ona im każe i w przewidzianym przez nią czasie, jak również uwzględniać ją we wszystkich wizytach, jakie będą składały. Ta ostatnia kwestia w swoim czasie wydawała się drobnostką, przynajmniej w porównaniu z innymi, najwyraźniej jednak ta kobieta doskonale zdawała sobie sprawę, z przyjęcia, jakie ją tu czeka.

– Nie ma powodu do zamartwiania się, Aleis. – Cadsuane nachyliła się konfidencjonalnie do Pierwszej Radczyni, ale nawet odrobinę nie ściszyła głosu. Echo pod kopułą poniosło jej słowa. – Pewna jestem, że wyzbyłaś się już wszelkich złych nawyków, które musiałabym korygować.

Oblicze Pierwszej Radczyni powlekł szkarłat, za jej plecami, pozostałe Radczynie wymieniły pełne namysłu spojrzenia spod zmarszczonych brwi. Niektóre spojrzały na nią, jakby świeżym okiem. W jaki sposób zdobywały swą rangę i jak ją traciły? Nie licząc Aleis, było ich dwanaście, z pewnością czysty zbieg okoliczności, ale to właśnie Pierwsza Dwunastka spośród Mistrzyń Żagli klanu wybierała Mistrzynie Fal – zazwyczaj była ona jedną z nich – podobnie jak Pierwsza Dwunastka spośród Mistrzyń Fal wybierała Mistrzynie Okrętów. Fakt, że Harine należała właśnie do Pierwszej Dwunastki, był głównym powodem, dla którego dojrzała cień prawdopodobieństwa w słowach tamtej dziwnej dziewczyny. To i słowa dwóch Aes Sedai, potwierdzające autentyczność wizji. Mistrzynie Fal, a nawet Mistrzynie Okrętów mogły być usunięte, aczkolwiek tylko w ściśle określonych

wypadkach, takich jak rażąca niekompetencja lub utrata rozumu, a Pierwsza Dwunastka musiała zatwierdzić to jednogłośnie. Wśród przykutych do brzegu sprawy te załatwiano najwyraźniej inaczej, nierzadko za zasłoną sekretu. Spoczywający teraz na Cadsuane wzrok Aleis były równocześnie pełen nienawiści i zgrozy. Zapewne czuła dwanaście par oczu wwiercających się w jej plecy. Jeśli Cadsuane zechciała wmieszać się do polityki miasta, pozostawało pytanie, dlaczego to zrobiła? I dlaczego tak bezczelnie?

– Mężczyzna właśnie przeniósł Moc – oznajmiła zniecka Verin. Nie przyłączyła się do pozostałych i stojąc w pewnej odległości, spoglądała przez balustradę. Kopuła wzmocniła jej słowa. – Czy ostatnimi czasy macie tu wielu przenoszących mężczyzn, Pierwsza Radczyni?

Shalon spojrzała w dół i aż zamrugła. Czyste wcześniej kliny kryształów były teraz czarne i zamiast wskazywać w stronę serca komnaty, jakimś sposobem ułożyły się wszystkie mniej więcej w tym samym kierunku. Jedna z kobiet na posadzce dobrej komnaty wstała i pochylała się teraz, by dostrzec, które miejsce na podziałce obręczy wskazywał cienki czarny szpic; pozostałe dwie kobiety biegły już ku sklepienemu łukiem przejściu. W jednej chwili Shalon wiedziała. Dla każdej Poszukiwaczki Wiatrów triangulacja była czymś na porządku dziennym. Gdzieś za tymi drzwiami znajdowała się mapa, na którą wkrótce zostanie naniesiona pozycja przenoszącego mężczyzny.

– W przypadku kobiety nie byłyby czarne lecz czerwone – wyjaśniła Kumira, nieomal szeptem. Wciąż wzdragala się nieco przed pokonaniem tego ostatniego kroku dzielącego ją od balustrady, równocześnie jednak ścisnęła ją wyciągniętymi rękami, pochylając się niezdarnie, żeby obserwować scenę poniżej. – Ostrzega, lokalizuje i broni. I co jeszcze? Kobiety, które go stworzyły, z pewnością uposażyły go w jeszcze inne zdolności, najprawdopodobniej były im one potrzebne. Niewiedza w tej kwestii może okazać się niewiarygodnie niebezpieczna. – W jej głosie nie znać było strachu, raczej podniecenie.

– Asha'man, jak podejrzewam – spokojnie oznajmiła Aleis, odrywając wreszcie wzrok od Cadsuane. – Nie sprawiają nam kłopotów. Mają wolny wstęp do miasta, póki przestrzegają prawa. – I choć sama zachowała nadzwyczajny wręcz spokój, kilka towarzyszących jej kobiet zachichotało niczym pokładowe dziewczyny, które po raz pierwszy znalazły się wśród przykutych do brzegu. – Proszę o wybaczenie, Aes Sedai. Far Madding cię wita. Obawiam się jednak, że nie zostałyśmy sobie przedstawione.

Verin wciąż patrzyła na w dół, na posadzkę pod kopułą. Shalon też zerknęła przez balustradę i znowu zamrugła, gdy cienkie czarne kliny... zmieniły się. W jednej chwili były czarne i wskazywały północ, w następnej czyste i skierowane ku centrum komnaty. Nie widać było ruchu powrotnego. Po prostu raz było tak, a mgnienie później inaczej.

– Możecie zwracać się do mnie imieniem Eadwina – powiedziała Verin. Shalon ledwie opanowała wzdrygnięcie. Kumira nawet nie mrugnęła. – Czy interesujesz się historią, Pierwsza Radczyni? – Kontynuowała, nawet na tamtą nie spojrzawszy. – Guaire Amalasan oblegał Far Madding tylko przez trzy tygodnie. A skończyło się wszystko rzezią.

– Wątpię, by miały ochotę słuchać właśnie o nim – ostro wtrąciła Cadsuane i zaiste, z jakiegoś powodu na twarzy niejednej Radczyni zagościł wyraźny niepokój. Kim, na Światłość, był ten Guaire Amalasan? Imię w niejasny sposób brzmiało znajomo, lecz Shalon za nic nie potrafiła go zlokalizować. Najwyraźniej jakiś zdobywca spośród przykutych do brzegu.

Aleis zerknęła na Cadsuane, a jej usta zacisnęły się.

– W annałach historii imię Guaire Amalasana zapisano wśród wielkich generałów, Eadwino Sedai, niewykluczone, że ustępował talentem wyłącznie samemu Arturowi Jastrzębie Skrzydło. Czemuż to o nim wspomniałaś?

Shalon jeszcze ani razu nie widziała, by któraś z podróżujących w towarzystwie Cadsuane Aes Sedai zlekceważyła ostrzeżenie tak wyraźne – wszystkie jej polecenia wypełniały z niekłamaną skwapliwością – niemniej Verin właśnie to zrobiła. I nawet nie uniosła spojrzenia.

– Po prostu pomyślałam sobie, że choć nie dysponował Mocą, zgniółł Far Madding jak przejrzałą śliwkę. – Mała przysadzista Aes Sedai urwała, jakby w tej chwili przyszła jej do głowy inna myśl. – Zdajecie sobie sprawę, że Smok Odrodzony ma armie w Illian, w Łzie, w Andorze i w Cairhien. Nie wspominając już o dziesiątkach tysięcy Aielów. Bardzo zapalczywych Aielów. Ciekawi mnie, czy pamiętając o tym, z równym samozadowoleniem witałybyście Asha’mańskich szpiegów.

– Myślę, że udało ci się już je dostatecznie przestraszyć – zdecydowanie ucięła Cadsuane.

Verin w końcu odwróciła się od pozłacanej balustrady, jej oczy były szeroko rozwarte niczym u okrągłutkiego, przestraszonego nabrzęzłego ptaka. Nawet ruchy pulchnych dłoni kojarzyły się z trzepotaniem skrzydeł.

– Och. Nie miałam zamiaru... Uważam, że Smok Odrodzony już dawno by na was ruszył, gdyby mu o to chodziło. Nie, myślałam o Seanchanach... Słyszałyście o nich? Wieści, które docierają do nas z Altary i odległego zachodu są doprawdy przerażające. Niszczą wszystko, co im stanie na drodze. Podejrzewam, że kwestia, cóż nimi zrobić, jest ważniejszym czynnikiem jego planów niż podbicie Far Madding. Oczywiście, jeśli nie zrobicie czegoś, co go rozdrażni albo wzburzy jego popleczników. Nie mam jednak żadnych wątpliwości, że na to jesteście zbyt inteligentne. – Wyglądała niczym uosobienie niewinności. Wśród Radczyń nastąpiło poruszenie, niczym zmarszczka na powierzchni wody zostawiona przez małą rybkę świadomą obecności morlewa w głębinach.

Cadsuane westchnęła, jej cierpliwość najwyraźniej była na wyczerpaniu.

– Jeśli masz ochotę porozmawiać sobie o Smoku Odrodzonym, Eadwina, pozwolisz, że nie będę świadkiem tej rozmowy. Muszę umyć twarz i mam ochotę napić się herbaty.

Pierwsza Radczyni aż podskoczyła, jakby naprawdę zapomniała o obecności Cadsuane.

– Tak. Tak. Oczywiście. Cumere, Navais, czy nie zechciałybyście towarzyszyć Mistrzynie Fal i Cadsuane Sedai do... do mojego pałacu i tam je wygodnie urządzić? – Nieznaczne zająknięcie stanowiło jedyną oznakę niepokoju na myśl o Cadsuane w jej przybytku. – Chciałabym porozmawiać jeszcze chwilę z Eadwiną Sedai, jeśli oczywiście taka jej wola. – I opuściła balkon, a za nią poszła większość Radczyń. Jakby przestraszona tym, że tak nagle odchodzą i zabierają ją z sobą, Verin sprawiała wrażenie niepewnej i zmartwionej. Shalon nie wierzyła ani w niepewność, ani w zmartwienie, podobnie jak przed momentem nie ufała rzekomej niewinności. Doszła do wniosku, że wie, dokąd udał się Jahar. Nie znała tylko powodów.

Kobiety wymienione przez Aleis – ta szczupła, która groźnie patrzyła na Cadsuane i druga, smukła o siwych włosach – wzięły prośbę Pierwszej Radczyni za rozkaz, którym pewnie w istocie była. Rozłożyły suknie, schyliły głowy w płytkich ukłonach, pytając Harine, czy zechce im towarzyszyć, a następnie w kwiecistych słowach zapewniając ją o przyjemności, jakąż tego towarzystwa czerpią. Harine słuchała tego z kwaśną miną. Mogły sobie rzucać płatki róż pod jej stopy, ale nie zmieni to faktu, że Pierwsza Radczyni pozostawiła ją opiece sług. Shalon znowu zaczęła dumać, czy istnieje jakiś sposób zejścia siostrze z drogi, póki jej nastroje nie ochłodną.

Cadsuane nie przyglądała się otwarcie, jak Verin odchodzi z Aleis, gdy jednak, tamte zniknęły w przejściu, jej usta wykrzywił nieznaczny uśmiezek.

– Cumere i Narvais – oznajmiła nagle. – Więc pewnie jesteście: Cumere Powys i Narvais Maslin? Słyszałam o was. – Te słowa sprawiły, że na moment oderwały spojrzenia od Harine. – Istnieją wymogi, którym musi sprostać każda Radczyni – ciągnęła surowym tonem, biorąc jej pod



ręce i ruszając w stronę schodów. Wymieniły niespokojne spojrzenia, ale nie zaprotestowały. Harine została sama z pozoru zupełnie zapomniana. W przejściu Cadsuane zatrzymała się żeby spojrzeć, ale nie na nią czy Shalon. – Kumira? Kumira!

Aes Sedai wzdrygnęła się, po raz ostatni rzuciła niechętnie spojrzenie za balustradę i w końcu ruszyła za Cadsuane. Harine i Shalon nie miały innego wyjścia, jak pójść w ślady tamtych, w przeciwnym razie skazane byłyby na samotne poszukiwanie drogi. Shalon szybko pobiegła do przejścia, Harine okazała się nie mniej skwapliwa. Wciąż prowadząc Radczynię pod ręce, Cadsuane powiodła wszystkie w dół krętych schodów. Mówiła coś przyciszonym głosem. Ponieważ od tamtej trójki oddzielała ją Kumira, Shalon nic nie słyszała. Widziała jednak, jak Cumere i Navais próbują wtrącić coś od siebie, lecz Cadsuane nie pozwalała na więcej niż parę słów i znowu przejmowała ster rozmowy. Wydawała się spokojna i całkowicie rzeczowa. One natomiast najwyraźniej robiły się coraz bardziej niepewne. O cóż, na Światłość, może chodzić Cadsuane?

– Męczy cię to miejsce? – zapytała nagle Harine.

– To jest tak, jakbym straciła wzrok. – Shalon zadrżała, porażona celnością porównania. – Boję się, Mistrzynie Fal, jednak jeśli Światłość pozwoli, opanuję mój strach. – Światłości, miała nadzieję, że jej się uda. Panowania nad sobą potrzebowała wręcz rozpaczliwie.

Harine pokiwała głową, spod zmarszczonych brwi przyglądając się idącym po schodach kobietom.

– Nie mam pojęcia, czy w pałacu Aleis znajdzie się balia dostatecznie duża, byśmy się zmieściły obie, wątpię też, by znano tu wino przyprawiane miodem, ale coś na pewno znajdziemy. – Oderwała wzrok od Cadsuane i pozostałych, niezgrabnie dotknęła ręki Shalon. – Kiedy byłam dzieckiem, bałam się ciemności, a ty nigdy nie zostawiłaś mnie samej, póki lęk nie minął. Ja cię również nie zostawię samej, Shalon.

Shalon zmyliła stopień i omal nie spadła ze schodów. Odkąd została Mistrzynią Żagli, Harine ani razu w miejscu publicznym nie odezwała się do niej po imieniu. A nawet prywatnie ani razu nie była dla niej taka miła.

– Dziękuję – odrzekła i z wysiłkiem dodała: – Harine. – Jej siostra znowu poklepała ją po ramieniu i uśmiechnęła się. Nie miała wielkiej wprawy w uśmiechaniu się, jednak nawet jej dość niezgrabny wysiłek ujmował ciepłem.

W spojrzeniu jednak, jakim objęła idące przed nimi kobiety, nie było śladu ciepła.

– Niewykluczone, że naprawdę uda mi się tutaj dobić targu. Cadsuane już przesunęła im balast, tak że kołyszają się z boku na bok. Musisz spróbować odkryć, jak to zrobiła, Shalon, kiedy już się do niej zbliżysz. Najchętniej z zębów Aleis zrobiłabym sobie naszyjnik... Żeby mnie tak zostawić bez jednego słowa! Jednak nigdy kosztem tego, by Cadsuane wmieszała Coramoora w jakieś tutejsze kłopoty. Musisz to odkryć, Shalon.

– Przypuszczam, że Cadsuane potrafi snuć intrygi z taką łatwością, z jaką inni oddychają – odparła z westchnieniem Shalon – ale spróbuję, Harine. Zrobię co w mojej mocy.

– Zawsze robiłaś, siostrze. I zawsze zrobisz. Wiem o tym.

Shalon westchnęła znowu. Było zdecydowanie zbyt wcześnie, by sondować głębię niespodziewanego ciepła, jakie okazywała jej siostra. Rezultatem wyznania mogło, ale nie musiało się okazać przebaczenie, ona zaś nie przeżyłaby równoczesnej utraty pozycji i rozpadu małżeństwa. Jednak po raz pierwszy od chwili, gdy Verin otwarcie przedstawiła jej cenę Cadsuane za dochowanie milczenia, Shalon dopuściła do siebie myśl o przyznaniu się do wszystkiego.

# WIĘZI

W pokoju Pod Głową Radczyni Rand siedział z podwiniętymi nogami na łóżku, oparty o ścianę i grał na wysadzonym srebrem flecie, który już tak dawno temu otrzymał od Thoma Merrilina. Cały Wiek temu. Pokój, z rzeźbioną boazerią i oknami wychodzącymi na Rynek Nethvin był znacznie lepszy niż zajmowany wcześniej pod Koroną Maredo. Stosy leżących obok niego poduszek wypchane były gęsim puchem, łóżko miało haftowany baldachim i zasłony, w szkle lustra nad umywalnią nie znać było jednej skazy. Gzysms kamiennego kominka szczylił się nawet odrobiną prostych rzeźbień. Było to pomieszczenie dla prosperującego zagranicznego kupca. Pozostawało się cieszyć, że opuszczając Cairhien, nie zapomniał o zabraniu odpowiedniej ilości złota. Zupełnie zatracił ten nawyk. Smokowi Odrodzonemu dostarczano pod nos, czego tylko zażądał. Wciąż jednak grą na flecie mógłby zarobić na skromne posłanie. Melodia nazywała się *Lamentacja Długiej Nocy* i nigdy jej wcześniej nie słyszał. Lecz znał ją Lews Therin. Podobnie było z umiejętnością rysunku. Rand podejrzewał, że myśl o tym winna go przerazić lub rozżłościć, a jednak tylko spokojnie siedział sobie i grał, podczas gdy Lews Therin płakał.

– Światłości, Rand – mruknęła Min – masz zamiar tak tylko sobie siedzieć i dmuchać w tę rurę? – Jej spódnice oplatały się wokół kostek, gdy spacerowała tam i z powrotem po wzorzystym dywanie. Więz zobowiązań łącząca go z nią, Elayne i Aviendhą zdawała się tak naturalna, jakby w życiu nie znał ani nie pragnął innego stanu. Oddychał i był z nimi związany, jedno przychodziło równie spontanicznie jak drugie. – Jeśli ona powie choć jedno nieostrożne słowo w miejscu, gdzie ktoś ją usłyszy, jeśli już je powiedziała... Nie pozwolę, żeby zawlekli cię do celi i oddali Elaidzie! – Więz z Alanną nigdy tak nie wyglądała. Sama przez się zresztą wcale się nie zmieniła, niemniej od tego dnia w Caemlyn, więz ta w coraz większym stopniu wydawała się czymś narzuconym, jakby ktoś obcy wciąż zaglądał mu przez ramię. Ziarno piasku uwierające w bucie. – Czy musisz to właśnie grać? Chce mi się płakać, a równocześnie ciarki mi chodzą po plecach. Jeśli ona narazi cię na niebezpieczeństwo... – Wyciągnęła nóż z pochwy w szerokim rękawie i zaczęła nim wywijać.

Odjął flet od ust i w milczeniu popatrzył na nią. Zaczerwieniła się, a potem z nagłym grymasem cisnęła nożem w drzwi. Klinga wbita w drewno czas jakiś jeszcze drżała.

– Ona tu jest – powiedział, wskazując fletem. Okazało się, że zupełnie nieświadomie cały czas zmieniał miejsce, tak by koniec instrumentu wskazywał miejsce pobytu Alarmy. – Wkrótce tu dotrze. – Od wczoraj przebywała w Far Madding i nie potrafił pojąć, czemu zwlekała aż do tej chwili. Alanna była w jego głowie kłębkem emocji: nerwowa i czujna zarazem, zmartwiona i zdeterminowana, a przede wszystkim wściekła. Pełna ledwie powstrzymanej furii. – Jeżeli nie chcesz się z nią spotkać, możesz poczekać... – Min zapalczywie pokręciła głową. W jego głowie tuż obok Alanny znajdował się kłębek, który był nią. Ona również wrzała zmartwieniem i gniewem, jednak gdy tylko nań spojrzała, a często i bez tego, spod skotłowanych emocji prześwitywała miłość niczym gwiazda przewodniczka. Strach również, prawda, choć tak bardzo starała się go ukryć.

Przyłożył z powrotem flet do ust i zaczął *Pijanego handlarza*. Melodia była dość żywa, żeby rozweselić umarłego. Lews Therin tylko warknął.

Min zaś stała z rękoma zaplecionymi na piersiach, wpatrując się w niego. Potem znieczekała szarpnęła spódnice, poprawiając fałdy na biodrach. Z westchnieniem odłożył instrument i czekał na ciąg dalszy. Kiedy kobieta bez wyraźnego powodu poprawiała odzież, należało to rozumieć nie inaczej niż u mężczyzny dociąganie pasków zbroi i sprawdzanie popręgu – oto szykowała się do

szarzy, on zaś uciekając, zostanie zarżnięty jak nędzny pies. Teraz była pełna determinacji równie silnej jak u Alanny – w głębi jego głowy gorzały dwa bliźniacze słońca.

– Nie będziemy więcej rozmawiać o Alannie, póki tu nie dotrze – oznajmiła zdecydowanie, jakby on się upierał. Determinacja i strach, silniejszy niż przedtem, wciąż dławiony i wciąż od nowa podnoszący łeb.

– Cóż, oczywiście, żono, jeśli taka twoja wola – odparł, pochylając głowę na sposób przyjęty w Far Madding. Parsknęła głośno – Rand, lubię Alivię. Naprawdę, mimo iż przy niej Nynaeve może się wydawać łagodna niczym kociak. – Z dłonią wspartą na biodrze pochyliła się i palcem drugiej wygrażała mu przed nosem. – Ale ona cię zabije. – Każę słowo wypowiedziała oddzielnie.

– Powiedziałaś jakiś czas temu, że przez nią umrę – rzekł cicho. – To są twoje słowa. – Jakby to było umrzeć? Smutek, że trzeba ją zostawić, że trzeba zostawić Aviendhę i Elayne. Smutek z powodu bólu, jaki przyniesie im jego nieobecność. Zanim nastąpi koniec, chciałby jeszcze zobaczyć się z ojcem. Jeżeli tych rzeczy nie brać pod uwagę, śmierć wydawała mu się wyłącznie ukojeniem.

„Śmierć jest ukojeniem” – żywo przytaknął Lews Therin. – „Chcę umrzeć. Zasługujemy na śmierć!”

– Umrzeć przez nią to nie to samo, co zginać z jej ręki – ciągnął dalej Rand. Teraz już łatwiej mu przychodziło ignorować ten głos. – Chyba że zmieniłaś zdanie na temat tego, co zobaczyłaś w wizji.

Min z rozdrażnieniem aż podrzuciła ręce do góry.

– Widziałam, co widziałam i o wszystkim wiesz, ale niech mnie połknie Szczelina Zagłady, jeśli dostrzegam różnicę. I nie potrafię sobie wyobrazić, na czym ona twoim zdaniem polega!

– Wcześniej czy później i tak muszę umrzeć, Min – wyjaśnił cierpliwie. Powiedzieli mu to ci, którym nie mógł nie wierzyć. Aby żyć, musisz umrzeć. Wciąż nie potrafił znaleźć w tym żadnego sensu, ale treść nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Zresztą dokładnie to samo głosiły Proroctwa Smoka: musiał umrzeć. – Nie nastąpi to wkrótce, jak mam nadzieję. Przynajmniej jeśli będę miał w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia. Przykro mi, Min. Nigdy nie powinienem się zgodzić, byście mi nałożyły więź zobowiązań. – Ale nie okazał się dość silny, by odmówić, podobnie jak było odprawieniem jej. Był zbyt słaby na to zadanie. Zamiast robić co robił, zamiast tych wszystkich ludzkich spraw, powinien chłonać zimę, póki dech zimy nie stanie się przy nim ciepły jak południe Niedzieli.

– Gdybyś się nie zgodził, związałybyśmy cię sznurem i zrobiły co trzeba. – Przyszło mu do głowy, że lepiej nie pytać, czym by się to różniło od czynu Alanny. Z pewnością ona dostrzegała jakąś różnicę. Na kolanach wspięła się na łóżko i zatopiła twarz w dłoniach. – Posłuchaj mnie, Randzie al’Thor. Nie pozwolę, byś umarł. A jeżeli zrobisz to tylko po to, by mnie rozżłościć, pójde za tobą i sprowadzę z powrotem. – Nagle cieniutka żyłka rozbawienia zapulsowała w powadze, jaka była teraz w jego głowie. Jej głos, również przybrał ton szyderczo patetyczny: – A potem przyprowadzę tutaj i tutaj będziemy żyli. Każę ci zapuścić włosy do pasa i spinać je spinką z kamieniami księżycowymi.

Uśmiechnął się do niej. Wciąż potrafiła sprawić, że się uśmiechał.

– Nigdy dotąd nie słyszałem o losie gorszym niż śmierć, myślę jednak, że trafiłaś w sedno.

Rozległo się pukanie do drzwi, Min zamarła. Jej usta sformułowały bezgłośnie pytanie, a właściwie imię. Alanny. Rand skinął głową, a wtedy, ku jego bezmiernemu rozbawieniu, Min pchnęła go na poduszki i przywarła do jego piersi. Kokosiła się, a równocześnie wykręcała głowę. Zrozumiał, że próbuje się przejrzeć w lustrze nad umywalnią. Na koniec znalazła wygodną pozycję – mocno przytulona, z jedną ręką pod jego szyją i drugą obok twarzy na jego piersi.

– Wejść – zawołała.

Do izby wkroczyła Cadsuane i natychmiast zatrzymała się, marszcząc brwi na widok noża wbitego w drewno. W sukni z cienkiej ciemnozielonej wełny i podbitym futrem płaszczu, spiętym na szyi srebrną broszą, mogłaby spokojnie ująć za prosperującego kupca lub bankiera, chociaż z pewnością złote ptaki, ryby, księżycy i gwiazdy kołyszące się przy siwym koczku na szczycie głowy dla jednej i drugiej profesji byłyby nadto ostentacyjne. Na palcu nie miała pierścienia ze Złotym Wężem, wychodziło więc na to, że stara się – przynajmniej do pewnego stopnia – unikać zauważenia.

– Klóciliście się, dzieci? – zapytała uprzejmie.

Rand czuł nieomal namacalnie, jak Lews Therin nieruchomieje niczym puma przycupnięta w cieniu. Miał się na baczności przed tą kobietą w stopniu nieomal równym, co on sam.

Min z poczerwieniałą twarzą gramoliła się na nogi, wygładzając suknię.

– Powiedziałaś, że to ona! – oznajmiła oskarżycielsko w tej samej chwili, gdy do izby weszła Alanna. Cadsuane zamknęła drzwi.

Alanna raz tylko zerknęła na Min, a potem całą jej uwagę zajął Rand. Na moment nie spuszczać z niego wzroku, strząsnęła z ramion płaszcz i przerzuciła przez oparcie jednego z dwu krzeseł w pomieszczeniu. Palce dłoni wczepiły się w fałdy szarych spódnic, kłykcie pobieleły. Ona również nie miała na palcu złotego pierścienia Aes Sedai. Od chwili gdy go ujrzała, w więzi rozkwitała radość. Wszystkie pozostałe uczucia były na miejscu również – zdenerwowanie, wściekłość... – ale nie spodziewał się po niej radości!

Nie zmieniając pozycji, wziął do ręki flet i zaczął się nim bawić.

– Czy powinienem być zaskoczony twoim widokiem, Cadsuane? Jakoś zbyt często pojawiaasz się tam, gdzie cię wcale nie proszą. Kto cię nauczył Podróżować? – Nie mogło być innego wytłumaczenia. W jednej chwili Alanna była ledwie uświadamianą obecnością na skraju strumienia myśli, w następnej już sierdziła się w głowie z całą siłą. Początkowo podejrzewał, że ona sama nauczyła się Podróżować, lecz widząc Cadsuane, zrozumiał prawdę.

Usta Alanny zacisnęły się i nawet Min spojrzała z dezaprobatą. Emocje płynące przez więź od jednej z nich mieniły się i przeskakiwały; w przypadku drugiej był już tylko gniew pomieszany z zadowoleniem. Dlaczego Alanna na jego widok czuła radość?

– Maniery wciąż nie lepsze od kozła, jak widzę – sucho oznajmiła Cadsuane. – Chłopcze, nie bardzo mi się wydaje, abym potrzebowała twojego pozwolenia na odwiedziny w rodzinnych stronach. Jeśli zaś o Podróżowanie chodzi, to nie twoja sprawa, gdzie, kiedy i czego się uczyć. – Odpięła płaszcz, potem wpięła broszkę w pasek, aby była pod ręką, płaszcz zaś schludnie przewiesiła przez ramię, poświęcając tej czynności nieco zbyt wiele uwagi. W jej głosie zabrzmiały lekkie tony irytacji. – W taki czy inny sposób, to tobie zawdzięczam licznych towarzyszy podróży. Alanna tak szalała, by cię znowu zobaczyć, że tylko ktoś o kamiennym sercu mógłby sprzeciwić się jej błaganiom, Sorilea zaś poinformowała mnie, że parę tych, które przysięgły ci wierność, do niczego się nie będzie nadawać, jeśli nie pozwoli im się jechać z Alanną, a więc musiałam zabrać ze sobą również Nesune, Sarene, Erian, Beldeine i Elzę. Nie wspominając już o Harine, jej siostrze i jej Mistrzu Miecza. Wnioskując z jej zachowania, nie wiedziała, czy zemdlec, krzyknąć czy gryźć, kiedy odkryła, że Alanna jedzie cię znaleźć. I jeszcze jest ze mną twoich trzech przyjaciół w czarnych kaftanach. Nie mam pojęcia, czy bardzo chcą cię spotkać, niemniej trafili tu z nami. No cóż, skoro już cię znalazłyśmy, mogę posłać po siostry i Lud Morza, żebyś sam sobie z nimi radził.

Rand skoczył na równe nogi, mamrocząc przekleństwo.

– Nie! Trzymaj ich ode mnie z daleka!

Ciemne oczy Cadsuane zwięzły się.

– Już wcześniej ostrzegałam, byś przy mnie nie używał takiego języka, nie będę się powtarzać. – Przed dłuższą chwilę przyglądała mu się spod zmarszczonych brwi, a potem skinęła głową, widocznie uznawszy, że wziął sobie jej słowa do serca. – Dobrze, na jakiej podstawie sądzisz, że możesz mówić mi, co mam robić, chłopcze?

Rand zmagał się z sobą. Tutaj nie miał prawa wydawać żadnych rozkazów. Zresztą tak czy siak, nigdy wcześniej też nie był w stanie rozkazywać Cadsuane. Min powiedziała, że jej potrzebuje, że ona nauczy go czegoś, czego nauczyć się musiał, jednak ta pewność napełniała go jeszcze większą niepewnością w obliczu tej kobiety.

– Chciałem po cichu załatwić swoje interesy w mieście i wyjechać, nikomu nie rzucając się w oczy – powiedział na koniec. – Jeśli im powiesz, przynajmniej upewnij się, że rozumieją, iż nie mogę pozwolić, by mnie nachodzili, póki nie będę gotów do wyjazdu. – Kobieta patrzyła na niego spod uniesionych brwi, czekając. Wziął więc głęboki oddech. Dlaczego ona musiała zawsze wszystko utrudniać? – Będę nadzwyczaj wdzięczny, jeśli nie powiesz im, gdzie mnie znaleźć. – Niechętnie, nadzwyczaj niechętnie, dodał: – Jeśli można prosić. – Min westchnęła, jakby przez cały ten czas wstrzymywała oddech.

– Dobrze – odparła po chwili Cadsuane. – Potrafisz zachowywać się grzecznie, jeśli się postarasz, mimo iż wyglądasz przy tym, jakby cię bolały zęby. Myślę, że mogę dla ciebie zachować rzecz w sekrecie, przynajmniej na jakiś czas. Nie wszyscy z nich wiedzą, że w ogóle przebywasz w mieście. Ach, tak. Powinam ci to powiedzieć: Merise nałożyła więź zobowiązań Narishmie, Corele ma Damera, a młody Hopwil należy do Daigian. – Powiedziała to w taki sposób, jakby przekazywała mu zupełnie nieistotną informację i tylko dlatego, ponieważ mogła o niej w każdej chwili zapomnieć.

Tym razem nawet nie chciało mu się tłumaczyć przekleństwa, a zadany z pełnego rozmachu cios Cadsuane omal nie wywichnął mu szczęki. Czarne plamki zatańczyły mu przed oczyma. Któraś z pozostałych kobiet jęknęła.

– Ostrzegałam cię – pogodnie oznajmiła Cadsuane.

Min dała krok w jego stronę, ale pokręcił lekko głową. Dzięki temu pozbył się też części tych czarnych plamek. Chciał również rozmasować szczękę, ostatecznie jednak pozwolił rękom zwisać swobodnie wzdłuż boków. Zaciśnięte na flecie palce nie chciały rozluźnić uchwytu. Jeśli zaś chodzi o Cadsuane, cała rzecz w ogóle mogła nie mieć miejsca.

– Dlaczego Finn i tamci mieliby się zgodzić na nałożenie więzi? – zapytał.

– Sam ich zapytaj, gdy się z nimi zobaczysz – odparła. – Min, podejrzewam, że Alanna chciałaby przez chwilę być z nim sam na sam. – Odwróciła się w stronę drzwi i nie czekając na odpowiedź Min, dodała: – Alanna, będę czekać na dole w Kobiecej Sali. Niech to nie trwa zbyt długo. Chcę wracać na Wzgórza. Min?

Min z wściekłością popatrzyła na Alannę. Potem na Randa. Wreszcie załamała ręce i powędrowała za Cadsuane, mruczając coś pod nosem. Wychodząc, zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Bardziej mi się podobałeś z naturalnymi włosami – Alanna splotła ręce na piersiach i przyglądała mu się. W więzi gniew i radość walczyły o lepsze. – Miałam nadzieję, że kiedy znajdę się blisko ciebie, poczuję się lepiej, ale wciąż zalegasz w mojej głowie niczym kamień. Nawet gdy tu stoję, nie potrafię powiedzieć, czy jesteś zdenerwowany, czy nie. Mimo to tak jest lepiej. Nie lubię, gdy na dłużej muszę się rozdzielić ze Strażnikiem.

Rand zignorował jej słowa, podobnie jak radość pulsującą w więzi.

– Nie zapytała, dlaczego przybyłem do Far Madding – powiedział cicho, wbijając wzrok w podłogę, jakby przez deski mógł dojrzeć Cadsuane. Z pewnością jednak musiała się zastanawiać. –

Powiedziałaś jej, że tu jestem, Alanna. To musiałaś być ty. Co się stało z twoją przysięgą?

Alanna wciągnęła głęboki oddech i minęła dobra chwila, zanim odpowiedziała:

– Nie jestem pewna, czy Cadsuane bodaj na jotę interesują twoje sprawy – warknęła. – Dotrzymuję przysięgi, na ile zdołam, ale przez ciebie jest to trudne. – W jej głos zaczęły wkradać się twardsze tony, a w więzi falą wezbrał gniew. – Winna jestem lenną wierność człowiekowi, który odchodzi sobie i zostawia mnie samą. Jak mam ci służyć? A najważniejsze, co ty zrobiłeś? – Przeszła przez dywan, stanęła blisko i wbiła w niego wzrok. Wściekłość płonęła w jej oczach. Był wyższy od niej ponad głowę, ale zdawała się tego nie zauważać. – Zrobiłeś coś, wiem. Byłam nieprzytomna przez trzy dni! Co zrobiłeś?

– Zdecydowałem, że skoro mam mieć więź zobowiązań, równie dobrze może być to ktoś, komu na to pozwolę. – Ledwie zdążył złapać jej dłoń, nim wylądowała na jego policzku. – Dość mnie już na jeden dzień bito po twarzy.

Spojrzała nań roziskrzonym wzrokiem, wyszczerzone zęby chciały chyba przegryźć mu gardło. W więzi były teraz tylko wściekłość i wrzask, kłujące niczym sztylety. – Pozwoliłeś, by jakaś inna cię związała? – warknęła. – Jak śmiałeś! Kimkolwiek ona jest, dopilnuję, by stanęła przed trybunałem. Zadbam, by została wychłostana! Jesteś mój!

– Ponieważ mnie sobie wzięłaś, Alanna – uciał chłodno. – Gdyby więcej siostr się dowiedziało, ty zostałąbyś wychłostana. – Min powiedziała mu pewnego razu, że może ufać Alannie, że widziała, iż „ma w rękę” tę Zieloną oraz jeszcze cztery inne siostry. I oczywiście ufał jej, jakkolwiek w dość osobliwy sposób. Alanna również miała go w rękę, a tego sobie nie życzył. – Uwolnij mnie a zaprzeczę, że cokolwiek się wydarzyło. – Nie wiedział nawet, że jest to w ogóle możliwe, póki Lan nie opowiedział mu o sobie i Myrelle. – Uwolnij mnie, a ja uwolnię cię od twojej przysięgi.

Skłębiony gniew płynący doń przez więź osłabł, nie znikając jednak całkowicie. Jej oczy stały się spokojniejsze, a głos bardziej opanowany.

– Boli mnie ręka.

Wiedział, że boli. Przez więź mógł czuć ból. Puścił ją więc, ona zaś zabrała się do masowania nadgarstka w sposób znacznie bardziej ostentacyjny, niż ból sprzed chwili to usprawiedliwiał. Nie przestając, usiadła na drugim krześle i założyła nogę na nogę. Najwyraźniej się zastanawiała.

– Myślałam, jak to będzie, gdy się od ciebie uwolnię – oznajmiła na koniec. – Marzyłam o tym. – Zaśmiała się krótko, ponuro. – Prosiłam nawet Cadsuane, bym mogła jej przekazać więź. Wystarczające świadectwo, jak byłam zdesperowana, by prosić o coś takiego. Jeśli jednak ktokolwiek potrafi dać sobie z tobą radę, to tylko Cadsuane. Ale ona odmówiła. Wpadła we wściekłość, że proszę ją o coś takiego, pierwej nie spytawszy ciebie. Niemniej powiedziała, że nawet gdybyś się zgodził, to i tak nic z tego. – Rozłożyła ręce. – A więc jesteś mój. – Wyraz jej twarzy się nie zmienił, lecz gdy wypowiadała te słowa, radość znów rozbłysła. – Niezależnie od tego, jak cię zdobyłam, jesteś moim Strażnikiem i mam wobec ciebie zobowiązania. Jest to równie silne, jak przysięga, w której obiecałam, że będę ci posłuszna. W każdym calu. Tak więc nie oddam cię innej, póki nie przekonam się, że potrafi sobie z tobą właściwie radzić. Kto ci nałożył więź? Jeśli okaże się godna, pozwolę jej cię mieć.

Sama ewentualność, że Cadsuane mogłaby otrzymać jego więź sprawiała, że poczuł ciarki na plecach. Alanna nigdy nie potrafiła panować nad nim za pomocą więzi, on zresztą nie uważał, by potrafiła którakolwiek siostra, a o tej konkretnej jakoś nie pomyślał. Światłości!

– Co skłania cię do przypuszczenia, że jej wcale nie obchodzę? – zapytał, miast odpowiedzieć na pytanie Alanny. Zaufanie zaufaniem, ale nikt nie pozna odpowiedzi, jeśli to będzie od niego

zależało. To co zrobiły Elayne, Min i Aviendha, mogło być dopuszczane przez prawo Wieży, niemniej powinny się obawiać czegoś znacznie gorszego niż kara ze strony innych Aes Sedai, gdyby wyszło na jaw, że połączyły się z nim w ten sposób. Usiadł na krawędzi łóżka, obracając flet w dłoniach. – Tylko dlatego, że odmówiła przyjęcia mojej więzi? Może ona nie jest równie niefrasobliwa wobec konsekwencji jak ty? Przybyła do mnie do Cairhien i została długo po tym, jak zniknęły wszelkie inne powody, prócz samej mojej osoby. Czy naprawdę mam wierzyć, że po prostu postanowiła odwiedzić swoje przyjaciółki w czasie, gdy ja tu przebywam? Przyproceedziła cię do Far Madding, żeby móc mnie znaleźć.

– Rand, ona w każdej chwili chce wiedzieć, gdzie jesteś – odparła Alanna lekceważąco – ale wątpię, czy bodaj w Seleisin da się znaleźć jednego pastuszka, który by sobie nie zadawał tego pytania. Cały świat chce to wiedzieć. Ja zdawałam sobie sprawę, że przebywasz na dalekim południu, że od wielu dni nie zmieniłeś miejsca pobytu. Nic więcej. Kiedy dowiedziałam się, że ona i Verin wybierają się tutaj, błagałam ją... błagałam na kolanach!... zanim pozwoliła mi jechać ze sobą. Ale sama nie wiedziałam, że cię tu zastanę, póki nie wyszłam z bramy na wzgórzach ponad miastem. Przedtem sądziłam, że będę musiała Podróżować co najmniej połowę drogi do Łzy, zanim cię znajdę. Podróżowania nauczyła mnie Cadsuane, kiedy tu przybyliśmy, tak więc nie sądz, że w przyszłości znowu mi łatwo uciekniesz.

Cadsuane nauczyła Alannę Podróżować? Stąd jednak dalej nie wynikało, kto nauczył Cadsuane. Podejrzewał, że nie ma to większego znaczenia.

– A Damer i pozostali zgodzili się na nałożenie im więzi? Czy te siostry po prostu sobie ich wzięły w taki sposób, jak ty postąpiłaś ze mną?

Delikatny rumieniec zabarwił jej policzki, lecz głos brzmiał mocno.

– Słyszałam, jak Merise pytała Jahara. Wyrażenie zgody za brało mu dwa dni, ona zaś nigdy w mojej obecności nie wywierała na niego nacisków. Nie mogę nic powiedzieć o pozostałych jednak jak mówi Cadsuane, sam możesz ich zapytać. Rand, musisz zrozumieć, ci ludzie naprawdę bali się wracać do tej twojej „Czarnej Wieży”. – Jej usta skrzywiły się, wypowiadając te słowa. – Bali się, że zostaną obciążeni winą za atak na ciebie. A gdyby zwyczajnie uciekli, ścigano by ich niczym dezertków. Rozumiem, że takie są twoje stałe rozkazy? Dokąd mieli się udać, wyjąwszy Aes Sedai? A poza tym, postąpili bardzo dobrze. – Uśmiechnęła się, jakby zobaczyła właśnie coś ładnego, a w jej głosie zabrzmiało podniecenie. – Rand, Damer odkrył sposób na Uzdrawienie ujarznienia! Światłości, nie potrafię nawet wypowiedzieć tego słowa, żeby mi język nie stawał kołkiem. Uzdrawił Irgain i Ronaille, i Sashalle. One również złożyły ci przysięgi, jak wszystkie pozostałe.

– Co masz na myśli, mówiąc: wszystkie pozostałe?

– Mam na myśli wszystkie siostry, przetrzymywane przez Aielów. Nawet Czerwone. – Ostatnie słowa wypowiedziała takim tonem, jakby sama nie potrafiła w nie uwierzyć, w czym nie było nic dziwnego, niewiara w więzi przeszła jednak w swoiste napięcie, gdy zdjęła nogę założoną na nogę i pochyliła się ku niemu z błyskiem w oku. – Każda jedna przysięgła i zgodziła się odcierpieć pokutę, jaką nałożyłeś na Nesune i tamtych pierwszych pięć. Ale Cadsuane im nie ufa. Nie pozwoliła im wziąć żadnego ze Strażników. Przyznaję, że z początku sama nie miałam pewności, wierzę jednak, że ty im potrafisz zaufać. Złożyły ci przysięgę. Wiesz, co to znaczy dla siostry. Nie jesteśmy w stanie złamać przysięgi, Rand. To niemożliwe.

Nawet Czerwone. Był zaskoczony, kiedy tych pierwszych pięć wziętych do niewoli zaferowało się z przysięgą wierności, Elaida wysłała je, aby go porwały i faktycznie tak się stało. Pewien był, że ich zachowanie zawdzięcza swoim możliwościom *ta'veren*, niemniej możliwości te tylko zmieniały już istniejące szansę, jedna na milion stawała się pewnością. Trudno było wszakże uwierzyć, że

Czerwona siostra w dowolnych okolicznościach przysięgnie mężczyźnie, który potrafił Przenosić.

– Potrzebujesz nas, Rand. – Wstała, przebierając nogami, jakby chciała przejść się po dywanie, stała tylko jednak i patrzyła na niego, nawet nie mrugając. Dłońmi wygładziła spódnice, ale chyba nie zdawała sobie sprawy z mimowolnego gestu. – Potrzebujesz poparcia Aes Sedai. Bez niego będziesz musiał podbić wszystkie narody, co jak dotąd nie szło ci szczególnie świetnie. Bunt w Cairhien może ci się wydawać sprawą zakończoną, jednak nie wszystkim podoba się Dobraine w roli twojego Zarządcy. Wielu może przejść na stronę Torama Riatina, jeśli się pojawi. Jak słyszałyśmy, Wysoki Lord Darlin zamknął się w Kamieniu, skąd piastuje władzę nad Łżą jako twój Zarządca, lecz tamtejsi buntownicy jakoś nie chcą tłumnie opuszczać Bagien Haddon, by wyrazić mu swoje poparcie. Jeśli zaś chodzi o Andor, Elayne Trakand może sobie głosić, że poprze cię, gdy zasiądziesz na tronie, mimo to kazała twoim żołnierzom się wynieść z Caemlyn, a ja gotowa jestem pójść z dzwoneczkami na Ugór, jeżeli pozwoli im pozostać w Andorze po koronacji. Siostry mogą ci pomóc. Elayne nas posłucha, buntownicy w Cairhien i Łzie także. Od trzech tysięcy lat Biała Wieża kładzie kres wojnom i tłumy bunty. Może ci się nie podobać traktat, jaki Rafela i Merana wynegocjowały z Harine, zdobyły jednak wszystko, o co prosiłeś. Światłości, człowieku, pozwól sobie pomóc!

Rand powoli pokiwał głową. Początkowo kazał złożyć im te przysięgi, by wyrzucić na ludziach wrażenie swą potęgą. Oto Aes Sedai składają mu hołdy lenne. Strach, że mogą nim manipulować w sobie tylko znanych celach, oślepił go bez reszty. Nie lubił się do tego przyznawać. Okazał się głupcem.

„Mężczyzna, który wszystkim ufa, jest głupcem – powiedział Lews Therin – ale mężczyzna, który nikomu nie ufa, też jest głupcem. Wszyscy okazujemy się głupcami, kiedy pożyjemy dostatecznie długo”. – Mówił nieomal jak zdrowy na umyśle.

– Wracaj do Cairhien – powiedział. – Powiedz Rafeli i Meranie, że chcę, aby podjęły rozmowy z buntownikami na Bagnach Hadon. Każ im także wziąć Berę i Kirunę. – To były te cztery, którym, zdaniem Min, mógł oprócz Alanny ufać. Co ona powiedziała o pięciu pozostałych, które Cadsuane przyprowadziła ze sobą? Że każda będzie mu służyć na swój własny sposób. Tego jednak jeszcze było mało. – Chcę też, aby Darlin Sisnera wciąż rządził w charakterze mojego Zarządcy, i żeby nie zmieniano ustanowionych przeze mnie praw. Wszystko inne może być przedmiotem negocjacji, póki położą kres rebelii. Potem o co chodzi?

Twarz Alanny jakby posmutniała, zgarbiła się na krześle.

– Chodzi o to, że przebyłam całą tę drogę, a ty zaraz odsyłasz mnie z powrotem. Przypuszczam, że tak jest lepiej, zwłaszcza, że masz tutaj tę dziewczynę – westchnęła. – Nie masz pojęcia, przez co musiałam przejść w Cairhien, kiedy udawało mi się przesłonić więź bodaj na tyle, abym mogła spać po nocach w obliczu tego, co wyprawialiście. To jest znacznie trudniejsze niż całkowite jej przesłonięcie, ale nie lubię zupełnie tracić kontaktu z moimi Strażnikami. Tyle że powrót do Cairhien będzie niemal równie zły.

Rand odkaszlnął.

– A tego właśnie od ciebie chcę. – Kobiety, jak się zdążył przekonać, o pewnych rzeczach mówiły znacznie bardziej otwarcie niż mężczyźni, to jednak, gdy się z tym spotykał, wciąż wywoływało u niego wstrząs. Miał nadzieję, że Elayne i Aviendha maskowały więź, gdy kochał się z Min. Kiedy był z nią w łóżku, nie istniał nikt prócz niej, podobnie było z Elayne. Lecz nie chciał rozmawiać o tych sprawach z Alanną. – Niewykluczone, że uwinę się tutaj, zanim ty skończysz w Cairhien... Jeśli nie, będziesz mogła tu wrócić. Ale nie wolno ci się zbliżać do mnie, póki ci nie pozwolę. – Nawet wobec takich ograniczeń radość wybuchła w niej ze zdwojoną siłą.

– Nie masz zamiaru mi powiedzieć, kto ci nałożył więź, nieprawdaż? – Pokręcił głową, ona zaś



westchnęła. – Lepiej będzie, jak już pójdę. – Powstała, wzięła z krzesła płaszcz i narzuciła na ramiona. – Cadsuane z pewnością się niecierpliwi. Sorilea ostrzegła ją, żeby nas pilnowała niczym kura pisklaków i tak też czyni. Na swój sposób. – Przy drzwiach zatrzymała się jeszcze, żeby zadać ostatnie pytanie: – Dlaczego tu przybyłeś, Rand? Cadsuane może to nie obchodzi, ale mnie tak. Możesz mnie zobowiązać, że dotrzymam tajemnicy. Nigdy nie potrafiłam wytrzymać w *stedding* dłużej niż kilka dni. Dlaczego chcesz być tu gdzie nawet nie jesteś w stanie dotknąć Źródła?

– Być może w moim wypadku nie jest to takie złe – skłamał. Po chwili zdał sobie sprawę, że przecież mógł jej powiedzieć. Ufał, że dotrzyma tajemnicy. Był jej Strażnikiem, ona zaś Zieloną siostrą. Nic nie mogło jej powstrzymać od trwania u jego boku, a przecież w Far Madding nie broniło go lepiej niż Min, a może nawet i to nie. – Idź, Alanna. Zmarnowałem już dość czasu.

Kiedy odeszła, umościł się na powrót z plecami opartymi o ścianę i siedział tak, muskając palcami flet. Zamiast grać, myślał. Min powiedziała, że potrzebuje Cadsuane, ale Cadsuane nie interesował inaczej jak tylko w roli dziwoląga. Na dodatek źle wychowanego. W jakiś sposób musiał sprawić, by zainteresowała się bardziej. Jak, na Światłość, miał do tego doprowadzić?

Z niejakim trudem Verin wydostała się z lektyki i wysiadła na dziedziniec pałacu Aleis. Najzwyczajniej w świecie nie została stworzona do tych pudełek, niemniej stanowiły najszybszy środek lokomocji w Far Madding. Powóz wcześniej czy później zawsze grzął w tłumie, poza tym nie sposób było nim dotrzeć do wielu miejsc, na których jej zależało. Wieczór powoli się kończył, zapadał zmrok. Wilgotny wiatr znad jeziora przejmował chłodem, przez chwilę, której potrzeba było, aby dobyć dwa srebrne grosze z sakiewki i wręczyć tragarzom, pozwoliła mu szarpać połami swego płaszcza. Oczywiście wcale nie było to konieczne, skoro tragarze byli chłopcami Aleis, lecz Eadwina nie mogła o tym wiedzieć. Z drugiej strony, nie powinni przyjąć wynagrodzenia, a tymczasem srebro w mgnieniu oka znikło w kieszeniach kaftanów, wyższy z dwójki zaś, przystojny mężczyzna w średnim wieku, ukłonił się jej wytwornie, zanim porwali lektykę i potruczali w kierunku stajni – niskiej budowli, wtulonej w róg frontowego muru. Verin westchnęła. Chłopiec w średnim wieku. Niedługo trwał jej pobyt w Far Madding, a już czuła się, jakby stąd nigdy nie wyjeżdżała. Powinna zachować większą ostrożność. I nie tylko chodziło o to, że Aleis lub ktoś inny odkryje jej maskaradę. Podejrzewała, że nigdy nie uchylono nakazu wygnania Verin Mathwin. Far Madding zachowywało dalece posuniętą dyskrecję, kiedy Aes Sedai złamała prawo, lecz Radczynie nie miały żadnego powodu obawiać się Tronu Amyrlin natomiast Wieża dla swoich własnych racji milczeniem zbywała te rzadkie okazje, kiedy któraś z sióstr odebrała prawne baty. A bynajmniej nie chciała dostarczać Wieży najświeższego powodu do demonstracyjnego milczenia.

Pałac Aleis rzecz jasna żadną miarą nie mógł się równać z Pałacem Słońca, ani Królewskim Pałacem w Andorze, czy w ogóle z żadnym z pałaców, z których rządzili królowie i królowe. Stanowił jej prywatną własność, nie zaś dodatek do urzędu Pierwszej Radczynie. Położony był wśród innych tego rodzaju przybytków, większych i mniejszych, z których każdy otaczał wokół wysoki mur, wyjąwszy tylko miejsca, gdzie Wzgórza – jedyna na całej wyspie formacja terenu, mogąca się poszczycić jakim takim wyniesieniem nad skądinąd zupełnie płaski obszar – ostrym urwiskiem schodziły do wody. Z drugiej strony, trudno go było nazwać małym. Kobiety rodu Barsalla zajmowały się handlem i polityką już w czasach, gdy miasto nazywało się jeszcze Fel Moreina. Krużganki wysokich kolumn otaczały pałac Barsalla na parterze, jak i na pierwszym piętrze, a większość pałacowych gruntów wybrukowano kostką z białego marmuru.

Cadsuane odnalazła w salonie, z którego rozciągałby się piękny widok na jezioro, gdyby nie szczerlnie zaciągnięte zasłony zatrzymujące w pomieszczeniu ciepło szerokiego marmurowego

kominka. Tamta siedziała w fotelu – obok na małym inkrustowanym stolczku stał jej koszyk z przyborami do szycia – i spokojnie haftowała na trzymanym w dłoni tamborku. Nie była sama. Verin przewiesiła płaszcz przez oparcie wyściełanego krzesła i usiadła na innym, by zaczekać.

Elza ledwie na nią spojrzała. Zielona siostra o zazwyczaj pogodnym obliczu stała na dywanie przed Cadsuane, wyglądając na mocno zdenerwowaną – jej twarz była zaczerwieniona, a oczy ciskały wściekle błyski. Elza zawsze doskonale rozumiała swoją pozycję w hierarchii sióstr, być może nawet zbyt wielką wagę przykładając do tych spraw. Żeby zignorowała Verin, nie wspominając już o sprzeciwianiu się Cadsuane, musiała być w stanie najwyższego wzburzenia.

– Jak mogłaś pozwolić jej odejść? – Prawie krzyczała. – Bez niej go nie znajdziemy. – Aha, więc o to chodziło.

Cadsuane nie unosiła głowy, pochylonej nad tamborkiem, a jej dłonie bez chwili przerwy nakładały na materiał drobne hafty.

– Możesz poczekać, póki nie wróci – odpowiedziała spokojnie.

Dłonie Elzy zacisnęły się w pięści.

– Jak możesz traktować to z taką obojętnością? – pytała. – Przecież on jest Smokiem Odrodzonym! To miejsce może się okazać dla niego śmiertelną pułapką! Musisz... – Zgrzytnęła zębami, gdy Cadsuane uniosła do góry palec.

– Wystarczająco długo znosiłam twoją tyradę, Elza. Możesz odejść. Już!

Elza zawahała się, ale tak naprawdę nie miała wyboru. Z twarzą wciąż zaczerwienioną ukloniła się, jej dłonie ścisnęły kurczowo fałdy zielonych spódnic. I choć krok, jakim wyszła z pomieszczenia, trudno było określić mianem dostojnego, opuściła je bez dalszej zwłoki.

Cadsuane położyła tamborek na podolku i odchyliła się na oparcie fotela.

– Zrobisz mi herbaty, Verin?

Verin wzdrygnęła się wbrew sobie. Tamta ani razu nie spojrzała w jej stronę.

– Oczywiście, Cadsuane. – Kuty w srebrze czajniczek z herbatą stał na czteronożnym postumencie na jednym z bocznych stolików i na szczęście wciąż był ciepły. – Jesteś pewna, że mądrze postąpiłaś, pozwalając Alannie odejść?

– Nie mogłam jej zatrzymać, nie zdradzając równocześnie chłopakowi więcej, niż powinien wiedzieć, nieprawdaż? – sucho odparła Cadsuane.

Przez chwilę Verin nie odzywała się, z uwagą przechylając czajniczek, aby nalać herbaty do filiżanki z cienkiej niebieskiej porcelany. Nie była to porcelana Ludu Morza, niemniej znakomitej jakości.

– Domyślasz się może, dlaczego przybył właśnie do Far Madding? Omalże się nie udławiłam, kiedy dotarło do mnie, że powodem, dla którego przestał się raptownie przemieszczać z miejsca na miejsce jest fakt, iż zatrzymał się tutaj. Jeśli chodzi o coś niebezpiecznego może powinniśmy go powstrzymać.

– Verin, on może sobie robić wszystko, co mu w duszy zagra, póki będzie żył wystarczająco długo, by dotrzeć do Tarmon Gai'don. I póki dopuści mnie do siebie na tyle, bym nauczyła go znowu, jak się śmiać i płakać. – Przymknęła oczy, rozmasowała palcami skronie i westchnęła. – Jego serce powoli zmienia się w kamień, Verin, a jeśli nie nauczy się na powrót, co to znaczy być człowiekiem, zwycięstwo w Ostatniej Bitwie niczym nie będzie się różniło od porażki. Młoda Min powiedziała mi, że mnie potrzebuje, tyle udało mi się z niej wydobyć, nie wzbudzając podejrzeń. Ale muszę czekać, aż sam do mnie przyjdzie. Widziałaś, jak brutalnie traktuje Alannę i pozostałe. Nawet jeśli sam poprosi, dotarcie do niego będzie dostatecznie trudne. Nie zgadza się, by ktokolwiek nim pokierował, wydaje mu się, że musi wszystko zrobić sam, sam się wszystkiego nauczyć, a jeśli

go nie zmuszę do wysiłku, nie nauczy się niczego. – Jej dłonie przykryły spoczywający na podółku tamborek. – Dziś wieczorem jestem chyba w nastroju skłaniającym do wyznań. Rzecz dla mnie z pewnością niezwykła. Gdy wreszcie skończysz nalewać tę herbatę, być może powiem ci jeszcze coś.

– Ach tak, oczywiście. – Verin szybko napełniła filiżankę dla siebie, a potem wsunęła małą fiolkę z powrotem do sakwy. Dobrze było znowu odzyskać wiarę w Cadsuane. – Miodu?– zapytała swoim najbardziej unizonym tonem. – Nigdy nie potrafię zapamiętać.

# OCZEKIWANIA

Elayne szła w towarzystwie Egwene po zbrązowiałej trawie wioskowej łąki w Polu Emonda i ze smutkiem kontemplowała zaszłe w tym miejscu zmiany. Sama Egwene z kolei wydawała się całkiem osłupiała widokiem rozciągającym przed oczyma. Kiedy pojawiła się w *Tel'aran'rhiod*, długi warkocz kołysał się na plecach, ubrana zaś była w prostą wełnianą suknię, jakby już nic innego nie potrafiła wymyślić, a z każdym krokiem spod spódnic wyglądały mocne, niezgrabne buty. Elayne przypuszczała, że tak musiała się ubierać, kiedy mieszkała w Dwu Rzekach. Teraz jej ciemne włosy spływały na ramiona, ujęte małym czepkiem z delikatnej koronki, reszta ubioru zaś była równie elegancka, jak strój Elayne – suknia w bogatych odcieniach błękitu, wyszywana na staniku, lamówce, wysokim karczku i mankietach srebrną nitką. Haftowane srebrem aksamitne pantofle zastąpiły grube skórzane buty. Elayne musiała przez cały czas kontrolować własną zieloną suknię do konnej jazdy, żeby się nie zmieniła w coś innego, co prawdopodobnie mogłoby okazać się żenujące, lecz w wypadku przyjaciółki zmiany były bez żadnych wątpliwości rozsądne.

Miała nadzieję, że Rand wciąż jest w stanie kochać Pole Emonda, ono wszakże straciło już wszelką więź z wioską, w której wyrósł razem z Egwene. W Świecie Snów nie było żadnych ludzi, bez trudu jednak można było dostrzec, że Pole Emonda jest obecnie sporym, rozrastającym się miasteczkiem – prawie trzecia część domów zbudowana była z gładko ociosanego kamienia, niektóre z nich miały nawet dwa piętra, a dominujące ongiś strzechy zasadniczo zastąpiły dachówki we wszystkich kolorach tęczy. Kilka ulic wybrukowano gładką, dopasowaną kostką, nie zdradzającą jeszcze żadnych śladów zużycia, a wokół miasta wzrastał gruby mur, z wieżyczkami i żelaznymi bramami, całkiem stosowny dla jakiejś miejsciny Ziem Granicznych. Za murami miasta znajdowały się młyny, tartaki, odlewnia żelaza, wielkie warsztaty tkackie, produkujące tak wełny, jak dywany, mieszczące wewnątrz sklepy meblarskie, garncarskie, szwalnie, wytwórnie noży, zakłady pracujących w złocie i srebrze jubilerów, produkujących towary nie gorsze niż Caemlyn, jednak stylistycznie zapożyczone z Arad Doman i Tarabon.

Powietrze nie było chłodne, niemniej rześkie, na ziemi nie zalegał śnieg. Słońce stało tu wysoko ponad głową, Elayne pozostawała nadzieja, że w świecie jawy wciąż panuje noc. Potrzebowała odrobiny prawdziwego snu, zanim przyjdzie stawić czoło wyzwaniom. Przez ostatnich kilka dni czuła się bezustannie zmęczona, tyle było do zrobienia, a tak mało czasu na wszystko. Na spotkanie wybrały sobie to miejsce, ponieważ było nadzwyczaj mało prawdopodobne, aby ktokolwiek je tu wyśledził, obecnie jednak Egwene marnowała czas na obserwację zmian w rodzinnej wiosce. Elayne miała zresztą własne powody – nie licząc sentymentalnych, związanych z Randem – aby przyjrzeć się Polu Emonda. Problem wszakże, polegał na tym, że można było spędzić pięć godzin w Świecie Snów, podczas gdy na jawie mijała tylko jedna, ale równie dobrze sprawy mogły potoczyć się odwrotnie. Niewykluczone, że w Caemlyn wstawał już dzień.

Egwene zatrzymała się na skraju łąki i spojrzała wstecz na szeroki kamienny most, łączący brzegi gwałtownie rozszerzającego się strumienia, wypływającego spod skalnej odkrywki z siłą wystarczającą, aby powalić człowieka. Pośrodku łąki stał masywny marmurowy obelisk równo pokryty wykutymi nazwiskami. Obok niego dwa wysokie maszty na kamiennych podstawach.

– Pamięci poległych – mruknęła. – Któż by się spodziewał takiego pomnika w Polu Emonda? Chociaż Moiraine twierdziła, że podczas Wojen z Trollokami na tym miejscu stoczono wielką bitwę. Wtedy zginęło Manetheren.

– Uczylaam się o tym na lekcjach historii – cicho powiedziała Elayne, zerkając na nagie teraz maszty. Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić tutaj Randa. Cóż, wciąż był w jej głowie, podobnie jak Birgitte, twardej niczym skała węzeł uczuć i wrażeń, z tak daleka jeszcze trudniejszy do odczytania. Na dodatek, znajdując się w *Tel'aran'rhiod*, zupełnie nie potrafiła wyczuć strony świata, w której się znajdował. Brakowało jej tej świadomości. Tęskniła za nim.

Na szczytach masztów pojawiły się sztandary, ale tylko na przelotny moment, podczas którego raz leniwie zafalowały. Wystarczyło jednak, żeby dostrzec na jednym jakiegoś czerwonego orła w locie na niebieskim tle. A w zasadzie Czerwonego Orła. Kiedy pewnego razu była w tym miejscu *Tel'aran'rhiod* z Nynaeve, wydawało jej się, że dostrzegła jego mgnienie, ale wówczas uznała, że musi się mylić, pan Norry wyprowadził ją z błędu. I choć kochała Randa, to kiedy ktoś próbował wskrzesić Manetheren z jego starożytnej mogiły, musiała podjąć określone działania, nawet jeśli dotyczyły one miejsca, w którym wyrósł, i nawet jeśli miało go to zboleć. Ten sztandar i ta nazwa wciąż niosły w sobie dość siły, żeby zagrozić Andorowi.

– Słyszałam dużo o zmianach od Bode Cauthon i innych nowicjuszek stąd – ciągnęła dalej Egwene, spod zmarszczonych brwi oglądając domy wokół łąki – ale czegoś takiego sobie nie wyobrażałam. – Większość budynków wzniesiono z kamienia. Maleńka gospoda wciąż stała obok szerokich fundamentów jakiegoś znacznie większego gmachu, wciąż rósł na swoim miejscu wielki dąb, lecz po drugiej stronie fundamentów już prawie na ukończeniu była wielokrotnie większa karczma. Nad jej drzwiami widniał wielki szyld: ŁUCZNICY. – Zastanawiam się, czy mój ojciec wciąż jest burmistrzem. Czy matka ma się dobrze? I moje siostry?

– Wiem, że jutro dasz armii rozkaz do wymarszu – powiedziała Elayne – jednak po dotarciu pod Tar Valon z pewnością znajdziesz parę godzin, żeby odwiedzić rodzinne strony. – Dzięki Podróżowaniu tego rodzaju odwiedziny stały się prostą sprawą. Być może ona również powinna wysłać kogoś do Pola Emonda. Gdyby tylko wiedziała, komu może zaufać w takiej misji i oderwać od bardziej naglących obowiązków.

Egwene pokręciła głową.

– Elayne, musiałam zarządzić karę chłosty wobec kobiet, wśród których dorastałam, ponieważ nie wierzyły, że jestem Zasiadającą na Tronie Amyrlin i dlatego, że gdyby nawet uwierzyły, to i tak gotowe były złamać wszelkie zasady przez wzgląd na starą znajomość. – Nagle siedmiobarwna stuła znikła z jej ramion. – Nie wydaje mi się, bym mogła stanąć przed mieszkańcami Pola Emonda jako Amyrlin – dodała ze smutkiem. – Przynajmniej nie teraz. – Otrząsnęła się z nostalgicznych myśli, a jej głos stwardniał. – Koło obraca się, Elayne i wszystko się zmienia. Muszę do tego przywyknąć. – Teraz bardzo przypominała Suan Sanche z czasów, gdy tamta jeszcze rządziła Tar Valon, zanim wszystko się zmieniło. Ze stułą czy bez niej, Egwene mówiła jak Zasiadająca na Tronie Amyrlin. – Pewna jesteś, że nie przydałoby ci się trochę żołnierzy Garetha Bryne? Przynajmniej tyły żeby zaprowadzić porządek w Caemlyn?

Znienacka otoczyły je wirujące płatki śniegu, stały po kolana w zaspach. Śnieżne czapy w jednej chwili osiadły na dachach domów, niczym skutki prawdziwej zadymki. Nie pierwszy raz zdarzało się coś takiego, one zaś zwyczajnie zignorowały gwałtowny chłód, zamiast wyobrazać sobie płaszcze i cieplejszą odzież.

– Przed wiosną nikt mnie nie zaatakuje – odrzekła Elayne. Armie nie maszerowały zimą, przynajmniej te, które nie mogły skorzystać z udogodnień Podróżowania, jak wojsko Egwene. Śnieg zasypał wszystko, w miejscach gdzie topniał, odsłaniając błoto. Ci Pogranicznicy prawdopodobnie wyruszyli na południe, przekonani, że tego roku zima nie nadejdzie. – Poza tym będziesz potrzebowała każdego żołnierza pod Tar Valon.

Nie zdziwiło jej więc, gdy Egwene zwyczajnie przytaknęła i już nie ponowiła propozycji. Mimo wyętej działalności werbunkowej z ostatniego miesiąca, Gareth Bryne nie dysponował jeszcze nawet połową armii, której jego zdaniem potrzeba było do zdobycia Tar Valon. Wedle Egwene, gotów był spróbować z tym, co ma, był to jednak wyraźny powód do zmartwień.

– Muszę podjąć trudne decyzje, Elayne. Koło tka Wzór, tak jak chce, ale to ja wciąż muszę decydować.

Tknięta nagłym bodźcem Elayne przebrnęła przez śnieg i otoczyła Egwene ramionami, żeby ją uściskać. Gdy tylko przytuliła tamtą, śnieg zniknął, zostawiając tylko mokre plamy na sukienkach. Zachwiały się.

– Pewna jestem, że podejmiesz właściwe decyzje – powiedziała Elayne, śmiejąc się wbrew sobie. Egwene nie przyłączyła się do niej.

– Mam nadzieję – oznajmiła ponuro – ponieważ, cokolwiek postanowię, ludzie będą z tego powodu umierać. – Poklepała Elayne po dłoni. – Cóż, ty najlepiej rozumiesz, jakie to są decyzje, nieprawdaż? Powinniśmy już wracać do naszych łóżek. – Zawahała się przed odejściem. – Elayne, jeśli Rand znowu się u ciebie pojawi, musisz mi dokładnie opowiedzieć o wszystkim, co będzie mówił; ważna jest najmniejsza nawet wskazówka odnośnie tego, co zamierza i dokąd chce się udać.

– Powiem ci o wszystkim, o czym będę mogła powiedzieć, Egwene – Elayne poczuła ukłucie winy. Wprawdzie powiedziała Egwene prawie o wszystkim... tamta jednak nie wiedziała, że razem z Min i Aviendhą nałożyły Randowi więź zobowiązań Strażnika. Wprawdzie prawo Wieży nie zabraniało tego, o czym dowiedziała się, ostrożnie podpytując Vandene. Ale równocześnie nie było jasne, czy całkiem dozwolone, choć zgodnie ze słowami pewnego najemnika z Arafel, zwerbowanego przez Birgitte: „Co nie jest zakazane, jest dozwolone”. Brzmiało to omalże jak jedno ze starych powiedzonek Lini, chociaż wątpiła, by jej piastunka kiedykolwiek zgodziła się na coś równie permissywnego. – Martwisz się o niego, Egwene. To znaczny, bardziej niż zazwyczaj. Potrafię to dostrzec. Dlaczego?

– Mam powody, Elayne. Siatki szpiegowskie donoszą nam o bardzo niepokojących pogłoskach. Mam nadzieję, że okażą się tylko plotką, jeśli jednak nie... – Teraz była już w każdym calu Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Szczupła młoda kobieta, która wydawała się twarda niczym stal i wysoka jak góra. Ciemne oczy wypełniła determinacja, szczęki zacisnęły się. – Wiem, że go kochasz. Ja też go kocham. Ale nie dlatego próbuję Uzdrowić Białą Wieżę, żeby on mógł nałożyć Aes Sedai łańcuchy, niby jakimś *damane*. Śpij dobrze i miłych snów, Elayne. Miłe sny stanowią dar bardziej cenny, niż sobie większość ludzi zdaje sprawę. – I powiedziawszy to, zniknęła, wracając do świata jawy.

Przez chwilę Elayne trwała bez ruchu, wpatrzona w miejsce, na którym jeszcze przed chwilą była Egwene. Co ona chciała powiedzieć? Rand nigdy tego by nie zrobił! Choćby tylko przez miłość do niej, niemniej przenigdy! Dotknęła myślą tego twardego jak kamień węzła w głębi głowy. Ponieważ był tak daleko, złote żyły stanowiły jedynie wspomnienie. Z pewnością, by tego nie zrobił. Zmartwiona, wyszła ze snu z powrotem do śpiącego ciała.

Potrzebowała snu, ale zdało jej się, że gdy tylko znalazła się w swoim ciele, promienie słońca musnęły jej powieki. Która godzina? Czekwały ją audiencje, liczne obowiązki. Zdawało jej się, że mogłaby spać jeszcze miesiącami. Każdy dzień wypełniała gorączkowa aktywność. Otworzyła oczy, czując pod powiekami piach, jakby nie spała wcale. Wnosząc z kąta padania promieni słonecznych, było jutro dobrze po wschodzie. Obowiązki. Aviendha poruszyła się przez sen, a Elayne szturchnęła ją palcem pod zębra. Jeśli ona musiała wstać tamta też nie będzie się wylegiwać.

Aviendha obudziła się z drgnieniem i natychmiast sięgnęła po nóż spoczywający na blacie

małego nocnego stoliczka. Lecz zanim dłoń dotknęła rękojęści z ciemnego rogu, opadła bezwładnie.

– Coś mnie obudziło – mruknęła. – Śniło mi się, że to Shaido... Spójrz na słońce! Dlaczego pozwoliłaś mi tak długo spać? – narzekała, wyskakując z łóżka. – To, że pozwolono mi przebywać z tobą... – na moment jej słowa stłumiła materia ściąganej przez głowę, wygniecionej koszulki – nie oznacza, iż Monaelle nie każe mnie wychłostać za lenistwo. Masz zamiar cały dzień tak leżeć?

Elayne jęknęła i wygramoliła się z łóżka. Essande czekała już na nią przy drzwiach garderoby. Nigdy nie budziła Elayne, o ile ta wcześniej nie zapomniała wyraźnie jej tego zlecić. Teraz poddała się przebiegającym w nieomal całkowitej ciszy zabiegom tamtej, podczas gdy Aviendha ubierała się sama, milczenie Essande z nadmiarem kompensując serią żartobliwych docinków na temat tego, jak bycie ubieranym przez kogoś musi kojarzyć się z powrotem do dzieciństwa, i jak to w końcu Elayne zapomni umiejętności ubierania się i na resztę życia będzie potrzebowała kogoś w tym celu. Powtarzało się to każdego ranka od dnia, gdy po raz pierwszy spały w jednym łóżku. Aviendhę najwyraźniej strasznie to śmieszyło. Elayne jednak nie reagowała na żarty tamtej, ograniczając wypowiedziane słowa do odpowiedzi na propozycje garderobianej odnośnie ubioru. Wreszcie ostatni guziczek z macicy perłowej był już zapięty, ona zaś mogła przejrzeć się w wysokim stojącym tremo.

– Essande – zapytała wówczas, jak gdyby nigdy nic – czy ubrania lady Aviendhy są gotowe? – Suknia z delikatnej niebieskiej wełny z odrobiną srebrnych haftów będzie jak najbardziej stosowna na to, co je dziś czekało, Essande cała pojaśniała.

– Wszystkie śliczne jedwabie i koronki lady Aviendhy, moja pani? O, tak. Wyszczotkowane, wyczyszczone, wyprasowane i złożone. – Gestem objęła szafy otaczające ścianę.

Elayne przez ramię uśmiechnęła się do swej siostry. Aviendha natomiast wbiła wzrok w szafy, jakby gnieździły się w nich jadowite węże, potem z wysiłkiem przełknęła ślinę i dokończyła wiązania na głowie ciemnej, zwiniętej chustki. Elayne odprawiła Essande i powiedziała:

– Tylko na wypadek, gdybyś ich potrzebowała.

– Dobrze, dobrze – mruknęła Aviendha, wkładając srebrny naszyjnik. – Nie będzie więcej żartów na temat twojego ubierania.

– No. Albo każę jej ubierać ciebie. Ciekawe, czy to wydawałoby ci się równie zabawne.

Mrucząc pod nosem coś na temat ludzi nie znających się na żartach, Aviendha najwyraźniej absolutnie się z nią nie zgadzała. Elayne na poły oczekiwała, że zacznie się domagać wyrzucenia wszystkich otrzymanych ubrań. Była nawet lekko zaskoczona, że tamta jeszcze się tym nie zajęła.

Śniadanie Aviendhy, podane w salonie, składało się z wędzonej szynki z rodzynkami, jajek przyrządzanych z suszonymi śliwkami, suszonej ryby w orzeszkach piniowych, świeżego chleba grubo posmarowanego masłem i herbaty do przesady osłodzonej miodem. Elayne natomiast w ogóle nie smarowała chleba, miodu do herbaty dawała jedynie ociupinę, za resztę posiłku mając gorącą owsiankę z rozmaitych ziaren, przyprawioną ziołami – miało być to danie szczególnie zdrowe. Nie czuła jeszcze dziecka dojrzewającego w jej łonie, niezależnie od tego co Min nagadała Aviendzie, jak również Birgitte, kiedy we trzy się upiły. Ostatecznie więc jej Strażnik, Dyelin i Reene Harfor we trzy postanowiły, że musi przejść na dietę „stosowną dla kobiety w jej stanie”. Gdyby poszła do kuchni po coś słodkiego, jakimś sposobem zamówienie nigdy nie zostałoby dostarczone, a jeśli sama zeszlaby na dół, kucharki potraktowałyby ją spojrzeniami tak ponurymi i pełnymi dezaprobaty, że z pewnością umknęłaby jak niepyszna.

Tak naprawdę to wcale nie tęskniła za przyprawionym winem, słodyczami i innymi rzeczami, których nie wolno było jej jeść – chyba, że pod jej nosem Aviendha właśnie wcinała tarty i puddingi – Znaczyło jednak to, że wszyscy w pałacu wiedzieli o jej ciąży. Również o tym, jak znalazła się w tym stanie i z kim. Jeśli chodziło o mężczyznę rzecz nawet nie wyglądała tak źle, wyjąwszy, że

wiedzieli, a ona wiedziała, że wiedzą, jednak kobiety bynajmniej swej wiedzy nie skrywały. Niezależnie od tego czy akceptowały, czy kręciły nosem na całą sytuację, połowa spoglądała na nią, jakby była rozpustnicą, a druga połowa przyglądała się z namysłem. Zmusiła się do przełknięcia kilku łyżek owsianki – nie była taka zła, choć zdecydowanie wolałaby odrobinę szynki, od której Aviendha właśnie odkrajała grube plastry, albo choć jedno jajko w śliwkach – ale żując kleistą substancję, prawie tęskniła za dniem, kiedy zaczną się związane z ciążą dolegliwości, a Birgitte będzie razem z nią musiała cierpieć.

Pierwszą osobą, jaka miała pojawić się dziś w apartamentach – oczywiście nie licząc Essande – był prowadzący w rankingu pałacowych kobiet kandydat na ojca jej ledwie poczętego dziecka.

– Moja Królowo – powiedział kapitan Mellar, wymachując zwieńczonym piórami kapeluszem w skomplikowanym ukłonie. – Główny Urzędnik czeka, aż zechcesz mu poświęcić chwilę czasu. – Ciemne, nie mrugające oczy kapitana wyraźnie mówiły, że jego snów nigdy nie nawiedzają ci, których zabił, a koronkowa szarfa skroś piersi i koronki na mankietach oraz karku tylko pogłębiały groźne wrażenie. Aviendha otarła tłuszcz z policzków lnianą serwetką i obserwowała go oczyma bez wyrazu. Stojące po obu stronach drzwi Gwardzistki skrzywiły się lekko. Mellar już zdążył zapracować sobie na reputację mężczyzny nie tracącego żadnej okazji, by podszczypywać Gwardzistki, przynajmniej te ładniejsze, nie wspominając już przechwalaniu się tym w tawernach. Ta druga rzecz była w ich oczach czymś znacznie bardziej nagannym.

– Nie jestem jeszcze królową, kapitanie – żywo zaprzeczyła Elayne. W rozmowie z tym człowiekiem zawsze starała się zachowywać jak najdalej posuniętą rzeczowość. – Jak przebiega werbunek do szeregów mojej straży przybocznej?

– Jak dotąd zaciągnęły się tylko trzydzieści dwie kobiety, moja pani. – Wciąż trzymając w dłoni kapelusz, obie ręce oparł na rękojeści miecza, a jego swobodna postawa oraz uśmiech nie bardzo pasowała do mężczyzny stojącego w obliczu swej królowej. – Lady Birgitte ustanowiła normy, którym niełatwo sprostać. Przynajmniej niewielu kobietom się to udaje. Daj mi dziesięć dni, a znajdę setkę mężczyzn, którzy będą od każdej lepsi, i których sercom będziesz równie droga, co mojemu.

– Nie wydaje mi się, żeby to był najlepszy pomysł, kapitanie Mellar. – Z najwyższym wysiłkiem zdusiła lodowate tony wkradające się w głos. Musiał słyszeć plotki na temat siebie i jej. Czy wydawało mu się, że tylko dlatego, iż im nie zaprzeczył, naprawdę może wydać jej się... atrakcyjny? Odsunęła od siebie miskę ze zjedzoną do połowy owsianką i stłumiła dreszcz. Jak dotąd trzydzieści dwie? Ale ich liczba rosła szybko. Niektóre spośród Myśliwych Polujących na Róg, którym zależało na splendorze rangi, z pewnością doszły do wniosku, że służba w straży przybocznej Elayne dostarcza odpowiedniego nimbu. Rozumiała, że te kobiety nie mogą pełnić służby nieprzerwanie, dzień i noc, lecz niezależnie od uporu Birgitte, setka wydawała się nadmiernie wygórowaną liczbą. Niemniej na najlżejszą nawet wzmiankę o skromniejszej sile, tamta zapierała się rękoma i nogami. – Proszę, poinformuj Pierwszego Urzędnika, że może wejść – poleciła. Wykonał kolejny ceremonialny ukłon.

Wstała, by pójść za nim, a kiedy otwierał jedno ze skrzydeł rzeźbionych w lwy drzwi, położyła mu dłoń na ramieniu i uśmiechnęła się.

– Po raz kolejny dziękuję za uratowanie mi życia, kapitanie – powiedziała głosem tak ciepłym, że mógłby być pieszczołą.

Tamten naprawdę odpowiedział porozumiewawczym uśmiechem! Gwardzistki patrzyły wprost przed siebie, zupełnie zmartwiałe, zarówno te, które mogła dostrzec w korytarzu przez uchylone drzwi, jak i te, które znajdowały się w komnacie, a kiedy Elayne odwróciła się do wnętrza, zobaczyła na twarzy Aviendhy grymas równie prawie pozbawiony wyrazu co spojrzenie, jakim



wcześniej obrzuciła Mellara. Tym razem najwyraźniej skrywała rozbawienie. Elayne westchnęła.

Przeszła przez dywan, otoczyła siostrę ramieniem i przemówiła cicho, adresując słowa wyłącznie do jej ucha. Ufała swoim strażniczkom w sprawach, w których nie zaufałyby wielu innym, jednak były rzeczy, jakich nie odważyłyby się im powierzyć.

– Widziałam przechodzącą pokojówkę, Aviendha. Pokojówki plotkują gorzej niż mężczyźni. Im więcej osób będzie myśleć, że jest to dziecko Doilina Mellara, tym będzie ono bezpieczniejsze. Jeśli okaże się to konieczne, pozwolę mu nawet uszczypnąć się w pośladek.

– Rozumiem – powiedziała powoli Aviendha, zmarszczyła brwi i wbiła spojrzenie w talerz, jakby widziała na nim coś innego niż jajka i śliwki, które machinalnie przesuwiała sztućcami.

Pan Norry zapoznał ją ze zwykłą melanzem spraw związanych z codziennym zarządzaniem pałacem i miastem, fragmentami swojej korespondencji z zagranicznymi stolicami oraz informacjami pozyskanymi u kupców, bankierów i wszystkich tych, którzy prowadzili interesy w dalekich stronach. Jednak zdecydowanie najważniejsze, jeśli już nie najbardziej interesujące, w jej oczach były pierwsze wieści, jakimi się z nią podzielił.

– Dwaj najpoważniejsi bankierzy miasta są... gotowi wyrazić zgodę, moja pani – powiedział swoim zwykłym, suchym jak kurz głosem. Przyciskając do piersi skórzaną teczkę, spojrzał z ukosa na Aviendhę. Wciąż nie mógł przywyknąć do jej obecności podczas swych audiencji. Podobnie jak to miało miejsce w przypadku Gwardzistek. Aviendha wyszczerzyła zęby, on zaś widząc to, zamrugnął i odkaslnął w kościstą dłoń. – Pan Hoffley i pani Andscale z początku... zdradzali... niejakie wahanie, lecz równie dobrze jak ja znają rynek ałunu. Zapewne nie można rzec, że ich kufry są twoimi, moja pani, zaaranżowałem jednak transport dwudziestu tysięcy złotych koron do skarbcza pałacu, a w miarę potrzeby możesz ubiegać się o dalsze pożyczki.

– Poinformuj lady Birgitte – nakazała mu Elayne, skrywając ulgę. Birgitte nie dała jeszcze rady zwerbować nowej Gwardii w sile pozwalającej na utrzymanie miasta tak dużego jak Caemlyn, nie wspominając już o realizacji innych zadań, niemniej przed wiosną Elayne nie mogła liczyć na dochody ze swych posiadłości, a najemnicy naprawdę byli drodzy. Teraz przynajmniej nie groziło jej, że brak żołdu skłoni ich do porzucenia służby, przynajmniej do czasu aż Birgitte znajdzie zastępstwo. – Co jeszcze, panie Norry?

– Obawiam się, że najwyższy priorytet trzeba przyznać sprawie ścieków, moja pani. Szczury mnożą się w nich, jakby to była wiosna, a...

Łączył ze sobą rozmaite rzeczy wedle tego, co uznawał za najważniejsze. Jak należało sądzić, Norry za osobistą porażkę uznawał fakt, iż jeszcze nie odkrył, kto uwolnił Elenię i Naeana, chociaż już ponad tydzień minął od tamtych wydarzeń. Ceny zboża osiągały zawrotnych wysokości, podobnie jak wszelkich innych towarów spożywczych, było już jasne, że naprawy pałacowych dachów potrwać dłużej i będą kosztować więcej, niż pierwotnie szacowali mularze – w miarę upływu zimy jedzenie zawsze drożało, a mularze nieodmiennie liczyli sobie więcej, niż wynosiły ich pierwotne szacunki. Norry przyznał, że ostatni list, jaki nadszedł z Nowego Braem, pochodzi sprzed kilku dni, a armia Ziem Granicznych najprawdopodobniej od tego czasu nie przemieściła się znacznie, czego przyczyn jednak nie potrafił pojąć. Furażerowie armii, w chwili obecnej z pewnością całkowicie ogołocili okolice. Elayne również nie rozumiała powodów stacjonowania w jednym miejscu, niemniej teraz była tym faktem uradowana. Plotki z Cairhien o Aes Sedai przysięgających wierność Randowi uczyniły wreszcie zrozumiałym sens zatroskania Egwene, chociaż wciąż wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, by którakolwiek siostra mogła tak postąpić. W ocenie Norry'ego była to informacja najmniej ważna, teraz jednak nie mogła się z nim zgodzić. Rand nie pozwoliłby sobie na uczynienie wrogów z sióstr towarzyszących Egwene. Nie mógł sobie pozwolić na to wobec

żadnych siostr. Jednak najwyraźniej znalazł sposób.

Wkrótce miejsce Halwina Norry'ego zajęła Reene Harfor. W przejściu skinęła głową Gwardzistkom i otwarcie uśmiechnęła się do Aviendhy. Jeśli ta pulchna, siwiejąca kobieta kiedykolwiek przeżywała jakieś rozterki, gdy Elayne nazywała Aviendhę siostrą, nigdy tego po sobie nie okazała, a teraz wręcz z zupełną szczerością aprobowała całą sprawę. Jej raport, mimo poprzedzających go uśmiechów, okazał się znacznie bardziej ponury niż dowolna informacja przekazana przez Pierwszego Urzędnika.

– Jona Skellita opłaca Dom Arawn, moja pani – powiedziała Reene, a wyraz jej twarzy przypominał oblicze kata. – Dotąd dwukrotnie widziano, gdy odbierał sakiewkę z rąk człowieka znanego z sympatii wobec Arawn. Nie pozostawia również wątpliwości, że Ester Norham również pozwala się komuś opłacać. Nie kradnie przechowuje jednak ponad pięćdziesiąt złotych koron pod luźną deską podłogi. Ostatniej nocy dołożyła do nich jeszcze dziesięć.

– Zastosuj ten sam tryb postępowania, co wobec pozostałych. – Ze smutkiem odrzekła Elayne. Jak dotąd Pierwsza Pokojówka odkryła dziewięć niewątpliwych szpiegów, mocodawców czworga z nich nie dało się niestety ustalić. Fakt, że Reene wykryła w pałacu bodaj jednego szpiega, już wystarczał, by Elayne nie na żarty się rozgniewała, niemniej cyrulik i fryzjer to było już trochę za dużo. Szkoda, że nie uznali jej za godną tej samej lojalności, jaką obdarzali jej matkę, Morgase.

Aviendha skrzywiła się, gdy pani Harfor mruknęła, że owszem, ale naprawdę nie miało najmniejszego sensu zwalniać szpiegów ani ich zabijać, jak to proponowała Aviendha. W każdym wypadku zastąpiliby ich nowi, nieznani. „Szpieg jest narzędziem w ręku wroga, póki go nie odkryjesz,” mawiała jej matka – „a wtedy zmienia się w twoje narzędzie”. A Thom rzekł: „Kiedy odkryjesz szpiega, trzymaj go pod puchową kołderką i karm łyżeczką.” Mężczyznom i kobietom, którzy ją zdradzili, „pozwole” się wysledzić to, co Elayne chciała, by wiedzieli, niepełną prawdę, jak na przykład informacje o liczbie żołnierzy zwerbowanych przez Birgitte.

– A pozostałe sprawy, pani Harfor?

– Nic, moja pani, ale wciąż żywię nadzieję – odrzekła Reene tonem jeszcze bardziej grobowym niż przed chwilą. – Nie ustaję w nadziei.

Po odejściu Pierwszej Pokojówki przysły dwie delegacje kupców. W skład pierwszej wchodziła liczna grupa Kandorian, z kolczykami wysadzzanymi klejnotami i srebrnym łańcuchami ich gildii na piersiach. W skład drugiej kilkoro Illian, których zupełnie surowe kaftany i suknie poszczycić się mogły jedynie cieniami haftów. Przyjęła ich w jednej z mniejszych komnat audiencyjnych. Tam gdzie gobeliny zawieszane na ścianach przedstawiały sceny myśliwskie, nie zaś Białe Lwy, a polerowane panele boazerii nie nosiły śladu rzeźbień. W końcu byli to kupcy, nie dyplomaci, chociaż niektórzy mogli poczuć się nieco dotknięci, że tylko zaproponowała im wino, a nie napiła się z nimi. Zarówno Kandorianie, jak Illianie z ukosa popatrywali na dwie Gwardzistki, które w ślad za nimi weszły do komnaty i zajęły miejsca przy drzwiach, choć jeśli do tego czasu nie słyszeli jeszcze wieści o zamachu na nią, to musieli być chyba głusi. Kolejnych sześć wartowniczek czekało na zewnątrz.

Kiedy tylko na chwilę przestawali słuchać Elayne, Kandorianie ukradkiem popatrywali na Aviendhę, Illianie natomiast po pierwszym zdziwieniu nie zwracali na nią wcale uwagi. Bez wątpienia znaczącą wydawała im się obecność kobiety Aielów, nawet jeśli siedziała tylko w kącie na podłodze i nie odzywała się ani razu, obie delegacje jednak właściwie oczekiwały tego samego: zapewnienia, że Elayne nie rozgniewa Smoka Odrodzonego do tego stopnia, by przyszło mu na myśl wysłać swe armie i Aielów dla spustoszenia Andoru. Oczywiście, żadnemu nie starczyło odwagi, by rzecz nazwać po imieniu. Nie wspomnieli również o fakcie, że Aielowie i Legion Smoka obozują

znaczącymi siłami parę mil od Caemlyn. Wszystko można było wyczytać z grzecznych pytań na temat jej planów, teraz gdy zdecydowała się zdjąć z wież miasta sztandary Smoka i sztandary Światłości. Powiedziała im to, co mówiła wszystkim: że Andor sprzymierzy się ze Smokiem Odrodzonym, ale nie będzie podbitą przez niego prowincją. W zamian uzyskała mgliste życzenia dobrego samopoczucia, sugestie, że z całego serca poprą jej roszczenia do Tronu Lwa, przy czym żadna z tych rzeczy nie została stwierdzona jednoznacznie i wyraźnie. Mimo wszystko, w wypadku jej porażki chcieli być życzliwie oglądani w Andorze, niezależnie pod czyją znajdzie się władzę.

Po poprzedzonym licznymi ukłonami i grzecznościami odejściu Illian na chwilę przymknęła oczy i rozmasowała skronie. Przed południowym posiłkiem czekało ją jeszcze spotkanie z delegacją wyrobników szkła, a po nim pięć kolejnych z kupcami i rzemieślnikami. Nadzwyczaj pracowity dzień, pełen pokrętnych banałów i trywialnych dwuznaczności. A pod nieobecność Nynaeve i Merilille na nią przypadała wieczorem kolej uczenia Poszukiwaczek Wiatru, jak w najlepszym razie stanowiło przeżycie równie nieprzyjemne, co najmniej miłe ze spotkań z kupcami. Tak więc prawdopodobnie nie zostanie jej wiele czasu na badanie *ter'angreali* przywiezionych z Ebou Dar, zanim nie poczuje, że oczy same jej się zamykają. To było naprawdę krępujące, kiedy Aviendha na poły niosła ją do łóżka, nic jednak nie potrafiła na to poradzić. Zbyt wiele było do zrobienia, a dni za krótkie.

Do przybycia wytwórców szkła pozostała godzina, lecz Aviendha z całą stanowczością odrzuciła sugestię choćby zerknięcia na rzeczy z Ebou Dar.

– Birgitte rozmawiała z tobą? – zapytała Elayne, kiedy Aviendha właściwie wlokła ją po wąskiej klatce schodowej. Cztery Gwardzistki szły przodem, reszta zaś z tyłu, demonstracyjnie ignorując wszystko, co zachodziło między nimi. Chociaż wydało jej się, że Rasoria Domanche, krepa Myśliwa z błękitnymi oczami i słomianymi włosami, które od czasu do czasu zdarzały się u tairzeńskich kobiet, nieznacznie się uśmiechała.

– Czy muszę ci znowu powtarzać, że spędzasz zbyt wiele godzin w zamknięciu i zbyt mało śpisz? – pogardliwie zareagowała Aviendha. – Potrzebujesz świeżego powietrza.

Powietrze na wysokiej kolumnadzie doprawdy trudno było określić innym mianem. Poza tym cięło chłodem, choć słońce wisiało jeszcze wysoko na nieboskłonie. Lodowaty wiatr uwijał się wśród gładkich kolumn, tak że stojące obok niej – dla ochrony przed gołębiami – Gwardzistki musiały przytrzymywać kapelusze z piórami. Elayne uparła się, że nie będzie na zimno zwracać uwagi.

– Dyelin z tobą rozmawiała – narzekała, drżąc. Dyelin twierdziła, że kobieta nosząca dziecko potrzebuje codziennych, długich spacerów. Skwapliwie również przypomniała Elayne, że może sobie być Dziedziczką Tronu, ale tak naprawdę jest na razie tylko Głową Domu Trakand, a jeśli Głowa Domu Trakand chce porozmawiać z Głową Domu Taravin, to musi pofatygować się do niej korytarzami pałacu albo z rozmowy nici.

– Monaelle urodziła siedmioro dzieci – odparła Aviendha. – I mówi, że muszę ci dostarczyć świeżego powietrza. – Mimo iż jej ramiona chronił tylko szal, z pozoru w ogóle nie czuła ukąszeń wiatru. Ale Aielowie z równą niewzruszonością co siostry znosili kaprysy pogody. Elayne ciasno otoczyła się ramionami i nachmurzyła czoło.

– Przestań się dąsać, siostrze – powiedziała Aviendha. Wskazała dłonią podwórze stajni, ledwie widoczne za białą dachówką. – Spójrz, Reanne Corly już pilnuje, czy nie wraca przypadkiem Merilille Ceandevin. – Na podwórzu stajni rozbłysła pionowa pręga światła, obróciła się i otworzyła w powietrzu dziurę szeroką na dziesięć stóp i takiej też wysokości.

Elayne spojrzała ponuro na Reanne. Wcale się nie dąsała. Być może nie powinna uczyć jej

Podróżowania, skoro Kuzynki nie były jeszcze Aes Sedai, lecz żadna z pozostałych sióstr nie miała dość siły by utrzymać splot, a jeśli Poszukiwaczki Wiatru mogły się dowiedzieć, wobec tego – wedle jej najlepszego rozeznania – kobiety Rodziny również. Poza tym, nie będzie się przecież wszystkim zajmować osobiście. Światłości, czy zima naprawdę potrafiła być tak dokuczliwa, zanim nauczyła się nie dopuszczać do siebie upału i chłodu?

Ku jej zaskoczeniu Merilille faktycznie pojawiła się w przestrzeni bramy, otrzepała śnieg z ciemnego podbitego futrem płaszcza, za nią jechali Gwardziści w hełmach, przydzieleni jej kilka dni wcześniej jako eskorta. Najbardziej z nieobecności Merilille niezadowolone były Zaida i Poszukiwaczki Wiatru, przy czym „niezadowolone” było tu dość łagodnym słowem, sama zaś Szara siostra wręcz rzuciła się na okazję rozstania z nimi choćby na kilka dni. Konieczne okazało się również codzienne otwieranie bramy na tym samym miejscu, Elayne jednak nie spodziewała się jej co najmniej jeszcze przez tydzień. Kiedy ostatni z dziesięciu Gwardzistów w czerwonych kaftanach znalazł się na podwórzu stajni, szczupła Szara siostra już zeskoczyła z siodła, rzuciła wodze stajennemu i pospieszyła do pałacu, omal po drodze nie wpadając na kobietę, która wcześniej otworzyła jej bramę.

– Rozkoszuję się świeżym powietrzem – powiedziała Elayne, ledwie powstrzymując szczykanie zębów – skoro jednak Merilille wróciła, muszę do niej zejść. – Aviendha spojrzała na nią spod oka, jakby podejrzewała podstęp, ale pierwsza ruszyła ku schodom. Powrót Merilille musiał mieć za sobą ważne przyczyny, wnioskując zaś z pośpiechu, przywoziła albo dobre wieści, albo bardzo złe.

Nim Elayne wraz ze swą siostrą przekroczyły progi salonu – rzecz jasna w towarzystwie dwu Gwardzistek, które natychmiast zajęły miejsca pod drzwiami – Merilille już zdążyła się rozgościć. Ciemny miejscami od wilgoci płaszcz wisiał na oparciu jednego z fotelików, bladoszare rękawiczki do konnej jazdy wetknęła za pasek, a czarne włosy wyraźnie domagały się muśnięcia grzebienia. Z podkrążonymi ciemnymi oczyma jej twarz mówiła o zmęczeniu co najmniej dorównującym temu, jakie czuła Elayne.

Mimo iż tak szybko przybiegła ze stajni, nie była sama. Oparta jedną dłonią o gzyms kominka stała Birgitte i w zamyśleniu marszczyła czoło. Drugą ręką ścisnęła długi złoty warkocz, nieomal naśladowując Nynaeve. Dziś miała na sobie obszerne ciemnozielone spodnie i krótki czerwony kaftan – od tej kombinacji mogła rozboleć głowa. Był i kapitan Mellar. Na widok Elayne złożył wyszukany ukłon, długo wymachując białymi piórami kapelusza. I choć nic tu było po nim, pozwoliła mu zostać, a nawet obdarzyła bardzo ciepłym uśmiechem.

Pulchna młoda pokojówka, która właśnie stawiała wielką srebrną tacę na jednym z bocznych kredensów, zamrugła, spojrzała na Mellara szeroko rozwartymi oczyma i wychodząc, prawie zapomniała o ukłonie. Elayne przestała się uśmiechać w momencie, gdy drzwi za nią się zamknęły. Zrobi wszystko, byle tylko chronić dziecko. Dla gości było przyprawione grzane wino na niewyszukanej tacy z plecionki, dla niej słaba herbata. Dobrze choć, że gorąca.

– Miałam szczęście – westchnęła Merilille, gdy tylko usiadła. Znad pucharka wina obrzuciła Mellara niepewnym spojrzeniem. Znała opowieść o tym, jak uratował życie Elayne, lecz wyjechała, zanim zaczęły się plotki. – Okazało się, że Reanne otworzyła bramę niecałe pięć mil od stanowisk Pograniczników. Od przybycia nie ruszyli się nawet na milę. – Zmarszczyła nos. – Gdyby nie pogoda, smród latryn i końskiego łajna pewnie nie pozwalałby oddychać. Miałas rację, Elayne. Są tam wszyscy czterej władcy, w obozach oddalonych od siebie o kilka mil. Każdy dowodzi armią. Pierwszego dnia trafiłam na Shienaran, a potem większość czasu spędziłam na rozmowach z Easarem z Shienaru i pozostałą trójką. Każdego dnia spotykaliśmy się w innym obozie.

– Mam nadzieję, że odrobinę czasu poświęciłaś, by się rozejrzeć dookoła – z szacunkiem

odezwała się Birgitte spod kominka. Okazywała szacunek wszystkim Aes Sedai prócz tej jednej, z którą była związana. – Ilu ich jest?

– Nie wydaje mi się, abyś była w stanie podać dokładne liczby – wtrącił Mellar takim tonem, jakby oczekiwał wszystkiego, tylko nie tej informacji. Choć raz na jego wąskiej twarzy nie było uśmiechu. Zajrzał w głąb swego pucharka, wzruszył ramionami. – Niemniej, cokolwiek widziałas, może okazać się ważne. Jeśli jest ich dostatecznie wielu, zagłodzą się, zanim będą w stanie zagrozić Caemlyn. Bez pożywienia i paszy dla zwierząt, najliczniejsza armia świata składa się tylko z tyłu a tyłu trupów. – Roześmiał się. Birgitte spojrzała na niego ponuro, a Elayne wykonała nieznaczny gest, nakazując jej milczenie.

– Faktycznie z zapasami się u nich nie przelewa, kapitanie – chłodno powiedziała Merilille, prostując się w fotelu mimo wyraźnego zmęczenia – ale bynajmniej jeszcze nie głodują. Jeśli o tym mowa, nie liczyłabym, że głód ich pokona. – Po krótkim wytchnieniu od towarzystwa Ludu Morza jej wielkie oczy straciły wyraz nieustannego zaskoczenia, a mimo typowego dla Aes Sedai opanowania widać było wyraźnie, że od pierwszego widzenia nie lubi Doilina Mellara, niezależnie czyje ocalił życie. – Jeśli zaś chodzi o liczebność, powiedziałabym, że jest ich nieco ponad dwieście tysięcy i bardzo wątpię, czy ich oficerowie podaliby liczbę wiele odbiegającą od mojej oceny. Nawet głodni, stanowią wielką siłę. – Mellar znowu wzruszył ramionami, zupełnie nieporuszony spojrzeniami Aes Sedai.

Szczupła Szara siostra ani nie spojrzała nań powtórnie, ani demonstracyjnie nie unikała wzrokiem, w jej oczach stał się po prostu fragmentem umeblowania komnaty. Ciągnęła dalej:

– Jest z nimi co najmniej dziesięć sióstr, Elayne, chociaż dołożono wszelkich starań, by ukryć przede mną ten fakt. Prawdopodobnie nie ma wśród nich poplecniczki Egwene, ale wcale niekoniecznie należy stąd wnosić, że opowiadają się za Elaidą. Obawiam się, że wiele sióstr nie opowie się po żadnej stronie, póki kłopoty w Wieży nie dobiegną końca. – Westchnęła znowu, tym razem pewnie nie ze zmęczenia.

Elayne skrzywiła się i odstawiła filiżankę. Kuchnia nie dostarczyła jej ani odrobiny miodu, a nie przepadała za całkiem gorzką herbatą.

– Czego chcą, Merilille? Władcy, nie siostry. – Dziesięć sióstr czyniło armię dziesięciokrotnie groźniejszą, przynajmniej dla Randa. Nie, dla każdego. – Przecież nie siedzą pośród tych śniegów wyłącznie dla przyjemności.

Szara siostra nieznacznym gestem rozłożyła ręce.

– Jeśli chodzi o ich cele długoterminowe, to mogę jedynie spekulować. Jeśli zaś mowa o krótkoterminowych, to chcą się z tobą spotkać. Gdy tylko dotarli po Nowe Braem, wysłali do Caemlyn posłańców, o tej porze roku jednak może im i tydzień jeszcze za brać dotarcie na miejsce. Tenobia z Saldae zdradziła mi przypadkowo albo przynajmniej takie to miało sprawiać wrażenie, że wiedzą, iż masz pewne powiązania, a przynajmniej jesteś bliską znajomą pewnego człowieka, który ich również nadzwyczaj interesuje. Skądś wiedzą o twojej obecności w Falme podczas wiadomych wydarzeń. – Mellar zmarszczył czoło skonfundowany, lecz nikt go nie oświecił. – Przez wzgląd na te siostry nie zdradziłam tajemnicy Podróżowania, tylko zapowiedziałam, że wrócę niedługo.

Elayne wymieniła spojrzenia z Birgitte, która też wzruszyła ramionami, choć w jej wypadku gest ten nie oznaczał ani obojętności, ani lekceważenia. Najślabszym punktem w planach Elayne wykorzystania Pograniczników dla onieśmielenia opozycji był fakt, iż miała do czynienia z udziałem władcami, sama będąc wyłącznie Głową Domu Trakand i Dziedziczką Tronu po zmarłej królowej. Ze wzruszenia ramion Birgitte można było wyczytać wdzięczność za ten fakt, Elayne jednak nie mogła się nie zastanawiać, jak ci ludzie z Ziemi Granicznych dowiedzieli się o czymś, o

czym bardzo niewiele wiedziało. Ponadto, ilu jeszcze miało dostęp do tych informacji? Trzeba za wszelką cenę bronić nienarodzonego dziecka.

– Zechciałabyś zaraz tam wrócić, Merilille? – zapytała. Aes Sedai z radosną gotowością przystała na jej propozycję, w lekko rozszerzonych oczach widać było, że gotowa jest znosić dowolny smród, jeśli tylko oszczędzi jej to ponownych spotkań z Poszukiwaczkami Wiatrów, przynajmniej na jakiś czas. – Wobec tego pojedziemy razem. Jeżeli chcą się ze mną spotkać jak najszybciej, to zaraz się tam udamy. – Wiedzieli zbyt wiele, by można było zwlekać. Nie można przystać na nic, co zagrozi dziecku.

# ZASKOCZYĆ KRÓLOWE I KRÓLÓW

Oczywiście wyjazd żadną miarą nie okazał się tak prosty, jak powzięcie decyzji.

– Niemądrze postępujesz, siostrze – ponuro zauważyła Aviendha, gdy Merilille poszła się odświeżyć. Pobiegła w istocie, bowiem Szara siostra zdawała się wypatrywać kobiet Ludu Morza, jeszcze zanim dotarła do drzwi salonu. Kiedy siostra z pozycją Elayne mówiła: „Jedziemy”, Merilille jechała. Tymczasem Aviendha stała nad Elayne przy biurczku i z zaplecionymi na piersiach rękoma oraz szalem udrapowanym na ramionach w każdym calu wyglądała na Mądrą. – Bardzo niemądrze.

– Mądrość? – warknęła Birgitte, stojąc na rozstawionych nogach, z rękoma wspartymi o biodra. – Mądrość? Ta dziewczyna nie dostrzegłaby mądrości nawet gdyby ta ją ugryzła w nos! Po co ten pośpiech? Niech Merilille zajmie się tym, co zazwyczaj robią Szare: zaaranżuje rokowania za kilka dni lub tydzień. Uwierz mi, wiem z własnego doświadczenia. Znajdą jakiś sposób, żebyś tego pożałowała. – Więż Strażnika odbijała gniew i poczucie zawodu.

– Chcę ich wziąć z zaskoczenia, Birgitte. Jeśli się dowiem, ile o mnie wiedzą, może mi to pomóc. – Elayne skrzywiła się, odłożyła na bok poplamiony papier i wzięła nową kartę z inkrustowanej różami szkatułki. Na wieści przyniesione przez Merilille jej zmęczenie minęło jak ręką odjął, napisanie jednak pisma równą, czystą kaligrafią wciąż zdawało się trudne. Dobór słów również musiał być jak najbardziej precyzyjny. Nie miał to być bowiem list od Dziedziczki Tronu Andoru, ale od Elayne Trakand, Aes Sedai z Zielonych Ajah. Muszą w niej widzieć tę, którą ona zechce, żeby zobaczyli.

– Spróbuj jej przemówić do przekłętego rozumu, Aviendha – mruknęła Birgitte. – A na wypadek, gdyby ci się nie udało pójść sprawdzić, czy nie da się zaimprovizować jakiejś cholernej eskorty.

– Żadnej eskorty, Birgitte. Wyjąwszy ciebie. Aes Sedai i jej Strażnik. I oczywiście Aviendha. – Elayne przerwała pisanie, by uśmiechnąć się do siostry, która jednak nie odpowiedziała uśmiechem.

– Wiem, jaka jesteś odważna, Elayne – powiedziała Aviendha

– Podziwiam twoją odwagę. Ale nawet *Sha'mad Conde* wiedzą, kiedy należy zachować ostrożność! – I to ona mówiła o ostrożności? Aviendha nie dostrzegłaby ostrożności, nawet gdyby... cóż... nawet gdyby ta ją ugryzła w nos!

– Aes Sedai i jej Strażnik? – wykrzyknęła Birgitte. – Powiedziałam ci, że koniec z ucieczkami i szukaniem przygód!

– Żadnej eskorty – zdecydowanie powtórzyła Elayne, maczając pióro w kałamarzu. – To nie jest przygoda. Tego po prostu nie da się zrobić inaczej. – Birgitte wyrzuciła ręce do góry i warknęła kilka przekleństw, ale wszystko to Elayne już słyszała wcześniej.

Ku jej zaskoczeniu Mellar jakoś nie protestował, że się go zostawia. Spotkanie z czterema władcami z pewnością nie mogło być bardziej nudne od audiencji dla kupców, ale skoro go nie potrzebowała, wybłągał chwilę wolnego, podczas której będzie mógł zająć się innymi obowiązkami. Była z tego powodu zadowolona. Kapitan Gwardii Królowej kazałby Pogranicznikom widzieć w niej Dziedziczkę Tronu wcześniej, niż sobie tego życzyła. Nie wspominając już, że mógł się jej pożądliwie przyglądać.

Beztronski kapitan Mellara nie podzielały jednak pozostałe członkinie straży przybocznej. Jedna z Gwardzistek musiała pobiec po Caseille, ponieważ wysoka Arafelanka wkroczyła dziarskim

krokiem do salonu, nim Elayne skończyła pisać, domagając się – wraz z całą strażą – uczestnictwa w wyprawie. Aby ją uciszyć, Birgitte w końcu musiała uciec się do formalnego rozkazu.

Choć raz Birgitte chyba zdawała sobie sprawę, że Elayne tym razem nie ustąpi, toteż odeszła razem z Caseille, by się przebrać. I choć nie odbyło się to tak zupełnie spokojnie – mamrocząc przekleństwa, szła do drzwi na sztywnych nogach, a potem głośno zatrzasnęła je za sobą – jednak skutek był ten sam. Można by sądzić, że ucieszy się z możliwości zdjęcia kaftana Kapitana-Generała, lecz w więzi nie było nic prócz ech jej wyzwisk. Aviendha wprawdzie nie przeklinała, niemniej nie zrezygnowała z wyrazów dezaprobaty. Ponieważ czasu nie zostało wiele i wszystko musiała robić w pośpiechu, Elayne miała wymówkę dla całkowitego zignorowania ich zastrzeżeń.

Wezwano Essande, która zajęła się szykowaniem stosownych strojów, Elayne zaś pospiesznie zjadła wcześniejszy dziś, południowy posiłek. Nie ona po niego posłała, zajęła się tym Aviendha. Najwyraźniej musiała się dowiedzieć od Monaelle, że zaniedbywanie posiłków jest równie niedobre jak nadmierne objadanie się. Na wieść, że będzie się musiała zająć delegacją wyrobników szkła, jak też i wszystkimi pozostałymi, pani Harfor tylko skrzywiła się lekko i pochyliła głowę w ukłonie. Zanim odeszła, wspomniała jeszcze, że udało jej się zakupić kozy na potrzeby pałacu. Elayne nakazano pić kozie mleko i to w dużych ilościach. Careane narzekała, że tego wieczoru będzie musiała uczyć Poszukiwaczki Wiatru, ale przynajmniej nie komentowała jej diety. Po prawdzie to Elayne spodziewała się, że przed zmrokiem wróci już do pałacu, ale prawdopodobnie zmęczona bardziej, niż gdyby miała za sobą tę lekcję. Vandene też nie napraszała się z radą, przynajmniej nie tego rodzaju. W skład edukacji Elayne wchodziła wiedza na temat Granicy Ugoru, w tym zakresie przynajmniej co na temat wszystkich innych krajów i choć miała okazję rozmawiać z siwowłosą Zieloną siostrą, która dobrze znała się na sprawach Ziem Granicznych, to najchętniej zabierały ją z sobą. Ktoś, kto przez jakiś czas tam mieszkał, mógł wyłapać niuanse, które jej umkną. Teraz jednak nie odważyła się na nic więcej, jak zadanie kilku pytań, podczas gdy Essande ją ubierała, tylko po to, by upewnić się odnośnie kwestii, które Vandene już jej wyjaśniła. Tak naprawdę, to wcale nie potrzebowała żadnego upewnienia. Była równie skoncentrowana co Birgitte, gdy naciąga łuk.

Na koniec należało wezwać Reanne, odrywając ją od kolejnej próby przekonywania byłej *sul'dam*, że również potrafi przenosić. Ponieważ Reanne ten splot na podwórzu stajni wykonywała codziennie, począwszy od dnia, gdy wyprawiła Merilille, nie powinna mieć trudności z otworzeniem bramy dokładnie w tym samym miejscu Lasu Braem. W pałacu bowiem nie było map tego obszaru na tyle dokładnych, by Merilille mogła na nich precyzyjnie zaznaczyć położenie obozów, a gdyby Elayne lub Aviendha uplotły bramę, mogłyby się otworzyć i ponad dziesięć mil dalej niż mała polana, którą Reanne знаła. Wprawdzie Szara siostra powiedziała, że jeszcze przed jej powrotem śnieg w Lesie Braem przestał padać, to jednak dziesięć mil przedzierania się przez świeże zaspę mogło oznaczać w najlepszym wypadku co najmniej dwugodzinną zwłokę. A Elayne chciała uwinąć się ze wszystkim jak najszybciej.

Kobiety Ludu Morza musiały zdawać sobie sprawę z zamieszania, jakie zapanowało w pałacu. Gwardzistki biegały po korytarzach, roznosząc wiadomości i wezwania dla tego lub tamtego, ale Elayne zadbała, by nie odpowiadały na żadne pytania. Przypuśćmy bowiem, że Zaida zechce również uczestniczyć w wizycie – nawet gdyby Elayne odmówiła zabrania jej z sobą, mogła kazać którejś z Poszukiwaczek Wiatru spleść własną bramę – a przecież Mistrzynie Fal tylko skomplikowałyby i tak trudną sytuację. Już w Pałacu zachowywała się tak, jakby należał do niej w równym stopniu co do Elayne. Gdyby spróbowała zdominować przebieg wizyty, z pewnością oznaczałoby to katastrofę równie niechybną, jak sprowadzona przez ewentualne rozpustne spojrzenia Mellara.

Pośpiech najwyraźniej przekraczał możliwości Essande, niemniej wszyscy pozostali dali z



siebie, co mogli, tak więc gdy słońce zajęło najwyższy punkt na nieboskłonie, Elayne jechała już powoli na Ognistym Sercu przez śniegi Lasu Braem. Lotem dzikiej gęsi od Caemlyn dzieliło ją pięćdziesiąt lig, lecz przez bramę był to tylko pojedynczy kroczek z kamieni dziedzińca w grube poszycie lasu sosen, skórzastych liści i dębów, miejscami przetykanych drzewami o szarych gałęziach, całkowicie odartych z liści. Od czasu do czasu przed jej oczyma otwierała się szeroka polana, pokryta białym dywanem śniegu, nieskazitelnym, wyjąwszy miejsca, gdzie wcześniej odcisnęły się kopyta galopującego konia Merilille. Szara siostra pojechała naprzód z listem. Elayne, Aviendha i Birgitte godzinę później ruszyły jej śladem, żeby zapewnić czas na dostarczenie korespondencji Pogranicznikom. Drogę wiodącą z Caemlyn do Nowego Braem miały kilka mil na zachód. Okolica sprawiała wrażenie, jakby w promieniu tysiąca lig nie było żywej duszy.

Dla Elayne wybór stroju na tę okazję był równie ważny, co zbroja dla idącego w bój żołnierza. Ciepły płaszcz miał podbicie z futra kuny, uszyty zaś został z ciemnozielonej wełny, miękkiej, lecz dość grubej. Suknia była z zielonego jedwabiu, pozbawiona ozdób. Nawet obcisłe rękawiczki do konnej jazdy uszyto z prostej zielonej skórki. Póki nie szły w ruch miecze, to w takich właśnie zbrojach Aes Sedai stawały przed władcami tego świata. Jedyna biżuteria, jaką miała na sobie, ograniczała się do małej bursztynowej broszki w kształcie żółwia, a jeśli komuś mogło, się to wydać dziwne, trudno. Armia Pograniczników stanowiła siłę, której nie zmoże żadna pułapka zastawiona przez któregoś z jej konkurentów czy nawet samą Elaidę, a tych dziesięć sióstr – co najmniej dziesięć – mogło należeć do Elaidy. Nie miała jednak zamiaru pozwolić się złapać i odesłać w pętach do Białej Wieży.

– Jeszcze możemy się wycofać bez szkody dla naszego *toh*, Elayne. – Aviendha chmurzyła czoło, odziana wciąż w kostium Aielów. Z biżuterii miała na sobie tylko prosty srebrny naszyjnik i grubą bransoletę z kości słoniowej. Jej krepy gniadosz był o dłoń niższy niż Ogniste Serce czy szczupły siwek Birgitte o imieniu Strzała i miał znacznie łagodniejsze obejście, mimo że już dużo lepiej radziła sobie z końmi niż ongiś. Sprawiała wrażenie, jakby zupełnie nie było jej zimno mimo obnażonych nóg, które ciemne pończochy chroniły wyłącznie do kolan, tylko głowę owinęła szalem. W przeciwieństwie do Birgitte nie zrezygnowała z prób wyperswadowania Elayne całej sprawy. – Wzięcie ich z zaskoczenia to dobry pomysł, niemniej szanowaliby cię bardziej, gdybyś spotkała się z nimi w pół drogi.

– Nie mogę teraz zawieść Merilille – zauważyła Elayne cierpliwie, w istocie ze znacznie większą wyrozumiałością, niż naprawdę czuła. I choć nie dokuczało jej już zmęczenie, to przecież nie była szczególnie wypoczęta, a przynajmniej nie na tyle by znieść nieustanne narzekania. Nie chciała jednak niegrzecznie odzywać się do Aviendhy. – Wyszłaby na głupią, i ja także gdyby dostarczyła list obwieszczający moje przybycie, a ja bym nie przyjechała.

– Lepiej wyjść na głupca, niż nim się naprawdę okazać – mruknęła cicho Birgitte, ale tak, żeby ją słyszano. Poły ciemnego płaszcza spływały na zad jej konia, misternie spleciony warkocz sięgał niemalże do pasa. Kaptur ledwie naciągnięty na czoło stanowił jedyne ustępstwo wobec chłodu i powiewów lodowatego wiatru, który zamiatał płatkami świeżego śniegu niby ptasim puchem. Nie chciała, żeby coś przesłaniało jej pole widzenia. Materia przytroczonego do siodła futerału na łuk, dzięki czemu nie zamakał, spływała swobodnie, aby w każdej chwili mogła dobyć broni. Propozycję Elayne, żeby przypasała miecz, zbyła z równą obrazą, z jaką mogłaby na nią zareagować Aviendha. Birgitte była mistrzynią w posługiwaniu się łukiem, a równocześnie twierdziła, że najpewniej tylko by się pokaleczyła przy pierwszej próbie dobycia miecza. Krótki zielony kaftan miał barwę, jaka o każdej innej porze roku pozwoliłaby jej rozpuścić się w leśnym poszyciu i, o dziwo, spodnie o obszernych nogawkach były tego samego koloru. Była teraz Strażnikiem, a nie Kapitanem-Generałem

Gwardii Królowej, co jednak nie radowało jej w stopniu, którego należało oczekiwać. W więzi pulsowało tyleż frustracji, co czujności.

Elayne westchnęła, tchnienie oddechu zamieniło się w parę.

– Obie doskonale wiecie, co chcę tu osiągnąć od momentu, gdy powzięłam decyzję. Dlaczego więc nagle traktujecie mnie, jakbym była ze szkła?

Tamte wymieniły spojrzenia, każda najwyraźniej czekała, by druga odezwała się pierwsza, a potem zniecka wbiły spojrzenia w przestrzeń przed nimi. I wtedy zrozumiała.

– Kiedy moje dziecko się już urodzi – oznajmiła sucho – każda z was może się starać o pozycję mamki. – O ile to dziecko było całkowicie jej. Gdyby tylko Min wszystkiego nie wygadała, fakt może zgubiłby się w zasnutych alkoholem wspomnieniach Aviendhy i Birgitte z tej nocy. Lepiej, żeby syn urodził się pierwszy, mógłby już się szkolić, zanim na świecie pojawi się jego siostra. Ale z drugiej strony dziewczynka zapewniłaby sukcesję, podczas gdy samotne dziecko płci męskiej mogło zostać odsunięte na bok. Wszelako niezależnie jakby chciała, nie było gwarancji, że urodzi drugie. Światłości dzięki, jeśli urodzi więcej dzieci Randa, trzeba jednak było myśleć praktycznie. – Mnie mamki nie potrzeba.

Ogorzałe od słońca policzki Aviendhy pociemniały ze zmieszania. Wyraz twarzy Birgitte nie zmienił się, choć w więzi Strażnika wezbrało identyczne uczucie, jakie dawało się odczytać z twarzy tamtej.

Przez blisko dwie godziny jechały powoli śladami Merilille i Elayne podejrzewała, że muszą już być blisko obozu, kiedy Birgitte wskazała przed siebie i rzekła:

– Shienaranie – a potem obluzowała łuk w futerale. W więzi czujność pochłonęła frustrację i wszystkie inne uczucia. Aviendha musnęła ręką noża, jakby upewniając się, że wciąż ma go za pasem.

Czekali pod sklepieniem drzew, obok śladu konia Merilille. Żołnierze i ich konie trwali tak nieruchomo, że Elayne na pierwszy rzut oka omal nie wzięła ich za część naturalnego ukształtowania terenu, dopiero po chwili zauważywszy dziwne, opadające pióropusze na ich hełmach. Konie nie miały na sobie zbroi, jak to często bywało w przypadku rumaków bojowych Shienaran, ale żołnierzy zakuci byli w metal, zza pleców sterczały rękojeści długich mieczy, przy pasach zaś i siodłach mieli krótsze miecze oraz maczugi. Ciemne oczy nawet nie zamrugały na ich widok. W pewnej chwili jeden z koni zaciął ogonem i czar prysł.

Gdy Elayne i jej towarzyszki zatrzymały się przed nimi, chrypliwym głosem przemówił do nich mężczyzna o ostrych rysach twarzy. Pióropusz na szczycie jego hełmu wyglądał niczym wąskie skrzydła.

– Król Easar wysłał mnie, abym przekazał ci gwarancje bezpieczeństwa, Elayne Sedai, do których dołączam moje własne. Jestem Kayen Yokata, lord Fal Eisen, i niech nie zaznam Pokoju, a Ugór pożre mą duszę, jeśli jakakolwiek krzywda spotka ciebie lub kogoś z twego orszaku w naszym obozie.

Nie było to tak uspokajające, jak Elayne mogłaby sobie życzyć. Wszystkie te gwarancje bezpieczeństwa tylko uwydatniały fakt, że wcześniej musiały wystąpić w tej kwestii różnice zdań, które wcale niekoniecznie zostały przezwyciężone.

– Czy Aes Sedai potrzebne są gwarancje z ust Shienaran? – Zapytała. Aby się uspokoić, skoncentrowała się na ćwiczeniach mentalnych jeszcze z nowicjatu, po chwili stwierdziła, że wcale ich nie potrzebuje. Bardzo dziwne. – Prowadź, lordzie Kayen. – Skinął głową i zawrócił konia.

Kilku Shienaran obrzuciło Aviendhę spojrzeniami bez wyrazu ewidentnie rozpoznali w niej kobietę Aielów, lecz przez większą część drogi zachowywali całkowitą obojętność. Ciszę zakłócało

tylko skrzywienie skorupy starego śniegu pod końskimi kopytami. Miała rację. Obóz Shienaran znajdował się bardzo blisko. Jeszcze kilka chwil i zobaczyła warty, konne i piesze, a moment później wjechali do samego obozu.

Rozbity wśród drzew, sprawiał wrażenie znacznie okazalsze, niż sobie wcześniej wyobrażała. Jak okiem sięgnąć, wprost, na lewo i na prawo namioty, ogniska, rzędy spętanych koni i szeregi wozów. Kiedy wraz ze swoją eskortą ich mijiała, żołnierze zerkali ciekawie, ona ze swej strony przyglądała się im – mężczyznom o twardej twarzy z wygolonymi głowami, z których szczytu pojedynczy kosmyk spływał niekiedy aż na ramiona. Niewielu miało na sobie zbroje, jednak i broń znajdowały się w zasięgu ręki. Zapach nie był taki straszny jak go Merilille przedstawiała, choć przytłumiony wonią gotowanej strawy, wyraźnie dawał się wyczuć słaby odór latryn i końskiego łajna. Wielu było chudych, ale nie sprawiali wrażenia wygłodzonych, po prostu ci ludzie nigdy nie obrastali w tłuszcz. Zauważyła wszakże, że nad żadnym ogniskiem nie obracały się różna. Mięso było znacznie trudniej zdobyć niż ziarno, ale i jego zapasy o tej porze roku z pewnością były skąpe. Jęczmienna zupa nie wzmocni mężczyzny w taki sposób jak mięso. Długo już nie mogli zostawać na miejscu, żadna okolica nie wyżywi takiej armii na stałe. Po prostu musiała sprawić, że wyruszą we właściwą stronę.

Nie tylko żołnierze z wygolonymi głowami i, ale też towarzyszący im ludzie sprawiali równie nieustępliwe wrażenie. Jedni strugali strzały, kołodzieje zajmowali się wozami, kowale podkuwali konie, praczki mieszały w wielkich kotłach, a kobiety z igłami to mogły być szwaczki lub żony. Armii zawsze towarzyszyły ludzkie rzesze, czasami w liczbie dorównującej żołnierzom. Ale nie zobaczyła żadnej kobiety, w której mogłaby podejrzewać Aes Sedai; pod siostrach nie należało oczekiwać, że zakąszą rękawy i będą obracać drewnianymi kijankami w kadziach z praniem, albo że przywdzieją połatane wełny i pocerowane spodnie. Dlaczego się ukrywały? Oparła się pokusie objęcia Źródła i zaczerpnięcia *saidara* przez *angreal* w kształcie żółwia, przypięty szpilką na piersi. Na każdą bitwę przyjdzie czas, najpierw trzeba walczyć o Andor.

Przed namiotem z białego płótna o pojedynczym maszcie, znacznie większym niż którykolwiek w okolicy, Kayen zsiadł z konia i podał jej dłoń. Zawahał się, czy w podobny sposób potraktować Birgitte i Aviendhę, ale Birgitte rozwiała jego wątpliwości, zgrabnie zeskakując z siodła i rzucając wodze czekającemu żołnierzowi, Aviendha zaś prawie z siodła spadając. Nabrała już niejkiej wprawy w konnej jeździe, lecz dosiadanie wierzchowca i zsiadanie z niego wciąż przysparzało jej trudności. Rozejrzała się wściekle dookoła, sprawdzając, czy przypadkiem nikt się nie śmieje, a potem wygładziła workowate spodnie, odwinęła głowę z szala i udrapowała go na ramionach. Birgitte obserwowała, jak odprowadzają jej konia z wyrazem twarzy, który sugerował, że żałuje, iż nie wzięła łuku i kołczana. Kayen odsunął jedną z klap namiotu i uklonił się.

Elayne wciągnęła ostatni uspakajający oddech i pierwsza weszła do namiotu. Nie mogła pozwolić, żeby zobaczyli w niej petentkę. Nie przyjechała tu prosić, lecz bronić. „Zdarza się – powiedział jej Gareth Bryne, gdy jeszcze była dziewczynką – że masz przeciwko sobie przewagę liczebną i żadnej drogi odwrotu. A zawsze należy robić to, czego wróg najmniej się po tobie spodziewa, Elayne. W naszym wypadku: atakuj”.

Gdy tylko znalazła się w środku, Merilille natychmiast podeszła do niej po dywanach wyściełających podłogę. Uśmiech na twarzy drobnej Szarej siostry nie znamionował uczucia jakiejś dojmującej ulgi, lecz wyraźnie była zadowolona. Poza nią w namiocie znajdowało się jedynie pięć osób, dwie kobiety i trzech mężczyzn, przy czym jeden z tych ostatnich okazał się służącym – po kabłąkowatych nogach i pobliźnionej twarzy znać było emerytowanego kawalerzystę. Podeszedł do nich, by odebrać płaszcze i rękawiczki – na widok Aviendhy nie potrafił opanować skrzywienia – a

potem wycofał się na miejsce przy prostym drewnianym stole, na którym stała srebrna taca z wysokim dzbanem i bateria pucharków. Pozostała czwórka byli to władcy Ziem Granicznych. Umebłowania namiotu dopełniały obozowe krzesła bez oparc i cztery wielkie mosiężne piecyki, w których żarzyły się węgle. Nie było przyjęcia, jakiego mogła oczekiwać Dziedziczka Tronu Andoru, żadnych dworzan i służby oraz banalnych rozmów, poprzedzających poważne negocjacje, wreszcie licznych doradców sączących do uszu ciche słowa. To co zobaczyła, było dokładnie tym, na co liczyła.

Merilille jeszcze przed opuszczeniem pałacu poddała się Uzdrawianiu, co tłumaczyło brak ciemnych kręgów pod oczyma. Przedstawiła Elayne z niewymuszoną godnością:

– Oto Elayne Trakand z Zielonych Ajah, której przybycie wam zapowiadałam. – Tylko tyle, nic więcej. Elayne jednak dosyć się dowiedziała od Vandene, by rozpoznać każdego ze stojących przed nią władców.

– Witam cię, Elayne Sedai – powiedział Easar z Shienaru. – Nich ci sprzyjają Pokój i Światłość. – Był niski, jej wzrostu, szczupły w brązowym kaftanie, na twarzy nie miał zmarszczek, mimo mlecznobiałego kosmyka na głowie. Spoglądając w jego smutne oczy, musiała sobie powtórzyć, że uważano go za mądrego władcę i zręcznego dyplomate, jak też znakomitego żołnierza. Wygląd zewnętrzny nie wskazywał bowiem na żaden z tych przymiotów. – Czy pozwolisz, bym poczęstował cię winem? Przyprawy wprawdzie nie są szczególnie świeże, ale wraz z wiekiem nabrały smaku.

– Kiedy Merilille poinformowała nas, że jeszcze dziś przybędziesz z Caemlyn, przyznaję, że gotowa byłabym powątpiewać w jej słowa, gdyby nie padły z ust Aes Sedai. – Ethenielle z Kandoru, może o dłoń wyższa od Merilille, była pulchna, ciemne włosy miała przyprószone siwizną, a mimo ciepłego uśmiechu, otaczająca ją aura żadną miarą nie nasuwała macierzyńskich skojarzeń, królewska godność stroiła ją niczym płaszcz ze znakomitej niebieskiej wełny. Oczy miała również niebieskie. Czyste i chłodne.

– Ciesz nas twoja wizyta – powiedział Paitar z Arafel zaskakująco głębokim, dźwięcznym głosem, od którego Elayne z jakiegoś powodu zrobiło się ciepło w środku. – Mamy tyle rzeczy do omówienia. – Vandene mówiła jej, że uważa się go za najprzystojniejszego mężczyznę na Ziemiach Granicznych i niewykluczone, że dawno temu było to prawdą, niemniej czas wyrzeźbił głębokie zmarszczki w jego twarzy, na głowie zostawiając tylko wianuszek siwych włosów. Wciąż jednak wysoki i barczysty, co widać było wyraźnie przez materię prostego zielonego stroju, nadto sprawiał wrażenie silnego. Oraz bystrego.

O ile na temat ich trojga można było powiedzieć, że swój wiek noszą z godnością, to Tenobia z Saldaei promieniowała młodością, choć z pewnością nie pięknem. Wzrostu Elayne, miała ostry, orli nos i szerokie usta. Nakrapianie, prawie fiołkowe oczy stanowiły najładniejszy element w jej twarzy. Pozostali byli ubrani skromnie, mimo że przecież władali narodami, ona natomiast wdziała bladoniebieską suknię wyszywaną perłami i szafirami, we włosy wplotła także liczne szafiry. Ubiór z pewnością odpowiedni na dwór, nie zaś do wojskowego obozu. I podczas gdy tamci byli wyszukanie uprzejmi...

– Na miłość Światłości, Merilille Sedai – powiedziała wysokim głosem Tenobia, marszcząc brwi – wiem, że mówisz prawdę, lecz ona naprawdę wygląda na dziecko, nie na Aes Sedai. Nie wspomniałaś też, że przyprowadzi kobietę Aielów o czarnych oczach.

Wyraz twarzy Easara nie zmienił się nawet odrobinę, natomiast usta Paitara zacisnęły się, Ethenielle zaś posunęła się do tego, by rzucić Tenobii krótkie spojrzenie, jakiego tamta mogłaby oczekiwać od swej matki. W dodatku nadzwyczaj zirytowanej i niezadowolonej.

– Czarnych? – mruknęła w zmieszaniu Aviendha. – Nie mam czarnych oczu. Pierwszy raz czarne oczy widziałam u pewnego handlarza, po tej stronie Muru Smoka.

– Wiesz, Tenobio, że mogę mówić wyłącznie prawdę, zapewniam cię więc... – zaczęła Merilille.

Elayne przerwała jej, kładąc dłoń na ramieniu.

– Wystarczy, że wiesz, że jestem Aes Sedai, Tenobio. Oto moja siostra, Aviendha, ze szczepu Dziewięciu Dolin Taardad Aiel. – Aviendha uśmiechnęła się do nich, a przynajmniej obnażyła zęby. – To jest mój Strażnik, Lady Birgitte Trahelion. – Birgitte ukloniła się płytko, zatańczył złoty warkocz.

Pierwsze oświadczenie wywołało tyleż zdumienia co drugie – kobieta Aielów była jej siostrą? Jej Strażnik był kobietą? – wszyscy przecież rządili krajami położonymi na samym skraju Ugoru, które prawdziwe koszmary nawiedzały w pełnym świetle dnia, gdzie uleganie nadmiernemu zaskoczeniu stanowiło dopraszanie się o rychłą śmierć. Postanowiła nie dać im szansy na dojsście do siebie. „Atakuj, zanim się zorientują – powiedział też Gareth Bryne – i nie przestawaj, póki ich nie zmiażdżysz lub się nie przedrzesz”.

– Czy możemy uznać, że uprzejmości stało się zadość? – zapytała, biorąc z trzymanej przez starego żołnierza tacy pucharek rozsiewający wokół aromat przyprawianego wina. Ostrzegawcza iskierka przemknęła po więzi, zobaczyła, że Aviendha spod oka ogląda pucharek, ale przecież nie miała zamiaru pić. Pozostawało tylko się cieszyć, że obie zmilczały. – Tylko głupiec mógłby dojsć do wniosku, że przebyliście całą tę drogę, aby zaatakować Andor – powiedziała, zajmując jedno z krzeseł. Pozostali nie mieli innego wyjścia, jak pójść w jej ślady albo patrzeć na jej plecy lub na plecy Birgitte, ponieważ ta zaraz stanęła za nią. Aviendha jak zwykle przycupnęła na podłodze, rozpościerając wokół siebie suknie. – Sprowadził was tutaj przedmiot Smoka Odrodzonego – kontynuowała. – Domagacie się audiencji u mnie, ponieważ byłam pod Falme. Pytanie brzmi, dlaczego jest to dla was takie istotne? Czy sądzicie, że o tym, co się tam stało, mogę wam opowiedzieć więcej, niż sami wiecie? Zabrział Róg Valere, martwi bohaterowie powstali z grobu i walczyli z seanchańskim najeźdźcą, a Smok Odrodzony na oczach wszystkich potykał się z Czarnym na niebie. Jeśli to wiecie, wiecie tyle co ja.

– Audiencja? – Z niedowierzaniem zapytała Tenobia, na poły dopiero usiadłszy. Obozowe krzesło zaskrzypiało, gdy opadła w nie na dobre. – Nikt nie domagał się żadnej audiencji! Nawet gdybyś już zasiadała na tronie Andom...!

– Trzymajmy się tematu, Tenobia – wtrącił łagodnie Paitar. Nie zajął swojego stołka, stał nad nimi, od czasu do czasu pociągając łyk wina z pucharka. Elayne była zadowolona, że może widzieć zmarszczki na jego twarzy. Ten głos mógł naprawdę zawrócić kobiecie w głowie i zbić z pantafelku.

Ethenielle zajęła swoje miejsce, obrzuciła Tenobię szybkim spojrzeniem i mruknęła coś pod nosem. Elayne wydało się, że słyszy słowo „małżeństwo”, wypowiedziane dość ponurym tonem, lecz to przecież nie miało sensu. Tak czy siak, gdy już usiadła, całą uwagę przeniosła na Elayne.

– W innych okolicznościach mogłabym nawet podziwiać twoją zapalczywość, Elayne Sedai, ale nie ma nic zabawnego, gdy wpada się w pułapkę, którą zastawił jeden z twoich sojuszników. – Tenobia spojrzała ponuro, chociaż Ethenielle tym razem nawet nie zerknęła w jej kierunku. – To, co się stało pod Falme – kontynuowała królowa Kandoru, wciąż zwracając się do Elayne – nie jest nawet w połowie tak istotne, jak to, co z tego wyniknęło. Nie, Paitar, musi usłyszeć, co mamy jej do powiedzenia. Niezależnie od wszelkich innych względów i tak wie już za dużo. Wiemy, byłaś towarzyszką Smoka Odrodzonego pod Falme, Elayne. Niech będzie, przyjaciółką. Masz rację, to nie jest inwazja. Przybyliśmy, by odnaleźć Smoka Odrodzonego. I przemaszzerowaliśmy całą tę drogę

tylko po to, aby nas poinformowano, że nikt nie wie, gdzie on jest. A ty wiesz?

Elayne skryła westchnienie ulgi w obliczu tak otwartego pytania. Nigdy by nie padło, gdyby podejrzewali, iż jest dla niego kimś więcej niż tylko towarzyszką lub przyjaciółką. Mogła im się zrewanżować tym samym. Atakować i nie ustawać.

– Dlaczego chcecie go znaleźć? Emisariusze czy posłańcy mogą mu przekazać każde słowo, jakie zechcecie doń wysłać. – Było to równoznaczne pytaniu, dlaczego przyprawdzili tak wielką armię.

Easar zrezygnował z wina i teraz stał, wspierając pięści na biodrach.

– Wojnę z Cieniem toczy się na Ugorze – oznajmił ponuro. – Ostatnia Bitwa też tam będzie miała miejsce, jeżeli już nie w samym Shayol Ghul. A on ignoruje Ziemie Graniczne i zajmuje krajami, które nie widziały Myrddraala od Wojen z Trollokami.

– To *Car'a'carn* decyduje o tym, gdzie nastąpi taniec włóczni, mieszkańcu mokradeł – warknęła Aviendha. – Jeśli jesteś po jego stronie, zatańczysz tam, gdzie ci każe. – Nikt na nią nawet nie spojrział. Wszyscy patrzyli na Elayne. Uwagę Aviendhy zignorowano.

Elayne oddychała równo, bez zmrużenia oka wytrzymując ich spojrzenia. Być może armia Pograniczników w charakterze pułapki na Elayne Trakand przekraczała zdolności Elaidy, lecz gdy w grę wchodził Smok Odrodzony, rzecz mogła wyglądać zupełnie inaczej. Merilille zmieniła pozycję w swoim krześle, ale pamiętała o instrukcjach. Niezależnie od tego, ile miała na swoim koncie wynegocjowanych traktatów, kiedy odzywała się Elayne, Szara siostra miała milczeć. Przez więź z Birgitte płynęło całkowite zaufanie. Rand był w jej głowie kamyczkiem – odległym, nie do odczytania.

– Znacie treść proklamacji Białej Wieży na temat Smoka Odrodzonego? – zapytała cicho.

– Wieża obłożyła anatema każdego, kto nawiąże kontakt ze Smokiem Odrodzonym inaczej niż przez wstawiennictwo Wieży – odrzekł równie cicho Easar. Usiadł w końcu i przyglądał się jej teraz poważnym wzrokiem. – Jesteś Aes Sedai. Z pewnością twoje wstawiennictwo ma tę samą wagę.

– Wieża miesza się do wszystkiego – mruknęła Tenobia. – Nie, Ethenielle, nie będę milczała! Cały świat wie, że Wieża jest podzielona. Opowiadasz się za Elaidą, Elayne, czy za rebeliantkami?

– Świat rzadko kiedy wie tyle, ile mu się wydaje, że wie – wtrąciła Merilille głosem, od którego temperatura w namiocie spadła znacząco. Drobniutka kobieta, która biegała u Elayne na posyłki i piszczala, gdy Poszukiwaczki Wiatru spoglądały jej w oczy, teraz w pełni stała się Aes Sedai. Siedziała prosto i patrzyła na Tenobię, a wyraz jej gładkiego oblicza był równie zimny jak głos. – Spraw Wieży nie omawia się poza kręgiem inicjowanych, Tenobio. Jeżeli chcesz je poznać, poproś, by twe imię zapisano w księdze nowicjuszek, a może za dwadzieścia lat dowiesz się tego i owego.

Jej Oświecona Królewska Mość, Tenobia si Bashere Kazadi, Tarcza Północy i Miecz Granicy Ugoru, Głowa Domu Kazadi, lady Shahayni, Asnelle, Kunwar i Ganai patrzyła na Merilille spod czoła na którym gromadziły się chmury burzy. Ale nie powiedziała nic. Szacunek Elayne dla niej odrobinę wzrósł.

Nieposłuszeństwo Merilille nie rozniewało jej. Uchroniło ją przed koniecznością udzielania wymijających odpowiedzi w taki sposób, by równocześnie sprawiać wrażenie, że głosi szczerą prawdę. Egwene powiedziała, że muszą żyć tak, jakby już złożyły Trzy Przysięgi, a Elayne dopiero tu i teraz odczuła cały ciężar tego zobowiązania. Tutaj nie była bowiem Dziedziczką Tronu Andora walczącą o sukcesję po matce i nie tylko. Była Aes Sedai z Zielonych Ajah, która miała znacznie bardziej istotne powody, by uważać, co mówi, niż tylko próby ukrywania tego, czego nie chciała zdradzić.

– Nie mogę dokładnie powiedzieć wam, gdzie on jest. – Prawda, ponieważ była w stanie podać wyłącznie przybliżony kierunek, wskazujący mniej więcej okolice Łzy, nadto nie umiała określić odległości; prawda, ponieważ nie mogła, gdyż nie ufała im do tego stopnia. Po prostu musiała uważać na to, co mówi i jak. – Wiem natomiast, że prawdopodobnie przez jakiś czas zamierza pozostać w miejscu, gdzie przebywa. – Od wielu dni nie ruszał się nigdzie, po raz pierwszy od czasu jak ją opuścił, przebywał na jednym miejscu dłużej niż pół dnia. – Powiem wam, ile mogę, jednak pod warunkiem, że w przeciągu tygodnia wymaszerujecie na południe. Gdybyście chcieli tu dłużej pozostać, nie tylko mięso, ale i jęczmień wam się skończy. Ze swej strony obiecuję, że jest to kierunek wiodący do aktualnego miejsca pobytu Smoka Odrodzonego. – W każdym razie w tym momencie.

Paitar pokręcił łysą głową.

– Chcesz, żebyśmy wkroczyli na teren Andoru? Elayne Sedai... a może teraz powinienem zwracać się do ciebie lady Elayne?... życzę ci szczerego błogosławieństwa Światłości w walce o koronę Andoru, ale nie do tego stopnia, żeby moi ludzie za nią ginęli.

– Elayne Sedai i lady Elayne są jedną i tą samą osobą – oznajmiła im. – Nie proszę, byście za mnie walczyli. Po prawdzie, to z całego serca wierzę, że uda wam się wyjść z Andoru bez jednej potyczki. – Uniosła srebrny puchar z winem i umoczyła usta nie wypijając ani kropli. W więzi Strażnika zamigotała ostrzegawcza iskierka, a Elayne wbrew sobie się zaśmiała. Aviendha obserwowała ją kątem oka i marszczyła czoło. Nawet w tej sytuacji potrafiły myśleć tylko o opiece nad przyszlą matką.

– Ciesz się, że ktoś widzi w tej sytuacji weselsze strony – powiedziała kwaśno Ethenielle. – Spróbuj myśleć jak Południowiec, Paitar. Oni tutaj zabawiają się w Grę Domów, sądzę też, że ona jest w niej zupełnie niezła. Ma po temu wszelkie wskazania, jak mniemam. Zawsze mi powtarzano, że to Aes Sedai wymyśliły *Daes Dae'mar*.

– Myśl taktycznie, Paitar. – Easar przyglądał się Elayne z nieznacznym uśmiechem przyklepionym do ust. – Ruszamy w kierunku Caemlyn tak, że każdy Andoranin o tym wie. Zima tutaj jest łagodna, mimo to na przebycie drogi potrzeba będzie dni. Zanim dotrzemy na miejsce, ona poderwie przeciwko nam dostateczną liczbę andorańskich Domów, żeby zapewnić sobie poparcie mniej więcej wystarczające do utrzymania Tronu Lwa. Skończy się tym, że będzie miała pod swoimi rozkazami dostateczne siły, aby nikt już nie myślał o wystąpieniu przeciwko niej. – Tenobia zmieniła pozycję, marszcząc czoło i wygładzając spódnicę. Spojrzała na Elayne, a w jej oczach pojawił się szacunek, którego wcześniej nie było.

– A kiedy dotrzemy do Caemlyn, Elayne Sedai – powiedziała Ethenielle – ty... wynegocjujesz... z nami opuszczenie Andoru bez walki. – Nie było to pytanie, choć prawie tak brzmiało. – Zaiste, bardzo sprytnie.

– Jeśli wszystko potoczy się, jak sobie zaplanowała – powiedział Easar, już się nie uśmiechał. Nie patrząc, wyciągnął dłoń, w którą stary żołnierz włożył puchar z winem. – W bitwie rzadko kiedy tak bywa, nawet w bezkrwawej. Tak myślę.

– Naprawdę chcę, aby bitwa okazała się bezkrwawa – powiedziała Elayne. Światłości, nie może być inaczej, wtedy bowiem, próbując uratować kraj przed wojną domową, zgotuje mu coś jeszcze gorszego. – Ze wszystkich sił postaram się, aby tak było. Po was oczekuję tego samego.

– Czy może również wiesz przypadkiem, gdzie przebywa mój wujek Davram, Elayne Sedai? – zapytała zniecierpliwiona Tenobia. A Davram Bashere? Rozmówiłabym się z nim równie chętnie, co ze smokiem Odrodzonym.

– Lord Davram przebywa niedaleko Caemlyn, Tenobio. Ale nie mogę ci obiecać, że będzie na

miejscu, gdy przybędziesz. Mam rozumieć, że się zgadzacie? – Elayne wciągnęła głęboki oddech, żeby rozładować ściskając ją napięcie. Dotarła już do miejsca, skąd nie było powrotu. Nie miała wątpliwości, że wyruszą na południe, bez porozumienia jednak wszystko skończy się rozlewem krwi.

Przez dłuższą chwilę w namiocie panowała cisza, zakłócana tylko posykiwaniem węgla w jednym z piecyków. Ethenielle wymieniła spojrzenia z mężczyznami.

– Póki będę mogła zobaczyć się z wujkiem – powiedziała zapalczywie Tenobia – nie mam nic przeciwko.

– Na mój honor, ja również się zgadzam – zdecydowanie oznajmił Easar, a Paitar nieomal wszedł mu w słowo, nieco spokojniej oznajmiwszy:

– Na Światłość, zgadzam się.

– A więc zgodziliśmy się wszyscy – westchnęła Ethenielle. – Teraz twoja kolej, Elayne Sedai. Gdzie możemy znaleźć Smoka Odrodzonego?

Elayne poczuła przeszywający ją dreszcz, lecz nie była w stanie stwierdzić, czy to uniesienie, czy strach. Zdobyła to, po co tu przyszła, ryzykując sobą i Andorem, a tylko czas pokaże, czy podjęła właściwą decyzję. Odpowiedziała bez wahania:

– Jak już wam mówiłam, nie mogę powiedzieć dokładnie. Sądzę však, że poszukiwania w kierunku Murandy zakończą się sukcesem. – Prawda, choć o sukcesie to ona będzie mogła mówić, nie oni, oczywiście pod warunkiem, że wszystko nie skończy się ogólną katastrofą. Dziś Egwene opuściła Murandy, zabierając ze sobą armię, która szachowała Arathelle Renshar i pozostałą szlachtę południa. Być może ruszający na południe Pogranicznicy zmuszą Arathelle, Luana i Pelivara do opowiedzenia się po jej stronie, jak zakładała Dyelin. Światłości, spraw, by tak się stało.

Wyjawszy Tenobię, pozostali Pogranicznicy jakoś nie szaleli z radości na wieść, gdzie mogą znaleźć Randa. Ethenielle wypuściła długo wstrzymywany oddech, nieomal westchnienie, Easar natomiast po prostu skinął głową i zacisnął usta w namyśle. Paitar do połowy opróżnił pucharek, po raz pierwszy przypominając sobie o trzymanym w dłoni winie. Wyglądało na to, że niezależnie jak bardzo chcieli się dowiedzieć, gdzie przebywa Smok Odrodzony, perspektywa spotkania z nim napawała ich znacznie mniejszym entuzjazmem. Tylko Tenobia kazała sobie nalać wina i zaczęła się rozwodzić nad tym, jak czeka na spotkanie ze swoim wujkiem. Elayne nigdy by nie podejrzewała u tej kobiety tak żywych sentymentów rodzinnych.

O tej porze roku zmierzch zapadał wcześniej i zostało jeszcze tylko kilka godzin światła, na co wskazał Easar, proponując nocleg. Ethenielle upierała się, że jej namiot jest wygodniejszy, lecz nie okazała śladu rozczarowania, gdy Elayne oznajmiła, że muszą natychmiast wyruszać.

– To doprawdy niezwykle, że potrafisz tak szybko pokonać całą tę drogę – mruknęła. – Słyszałam, jak Aes Sedai wspominały o czymś, co nazywały Podróżowaniem. Utracony Talent?

– Spotkaliście wiele sióstr po drodze? – zrewanżowała się pytaniem Elayne.

– Kilka – odparła Ethenielle. – Wychodzi na to, że Aes Sedai można spotkać wszędzie. – Nawet oblicze Tebnobii w jednej chwili zmieniło się w maskę.

Elayne pozwoliła, by Birgitte podała jej podbity kunami płaszcz i skinęła głową.

– Na to wychodzi. Możemy prosić, aby przyprowadzono nasze konie?

Nie odzywały się do chwili, gdy opuściły obóz i znalazły wśród drzew. Pod nieobecność odoru koni i latryn, który wprawdzie w obozie aż tak bardzo nie dokuczał, leśne powietrze nagle zdało się bardzo świeże, a śnieg jakby bielszy.

– Nic nie mówiłaś, Birgitte Trahelion – powiedziała Aviendha, wbijając obcasy w boki swej gniadej klaczy. Zawsze jej się wydawało, że zwierzę zatrzyma się, jeśli nie będzie go stale popędzać.

– Strażnik nie przemawia w imieniu swej Aes Sedai, tylko słucha, cholera, i strzeże jej pleców



– odrzekła sucho Birgitte. Tak blisko obozu Shienaran wydawało się skrajnie nieprawdopodobne, by w lesie mogło coś im grozić, trzymała jednak łuk na podorędziu, a oczy czujnie badały każde drzewo.

– Były to z pewnością znacznie bardziej pospieszne negocjacje niż te, do jakich jestem przyzwyczajona, Elayne – powiedziała Merilille. – Normalnie takie sprawy wymagają całych dni czy tygodni, jeśli nie miesięcy, zanim osiągnie się porozumienie. Miałaś szczęście, że nie trafiłaś na Domani. Albo Cairhienian – dodała po namyśle. – Pogranicznicy są nadzwyczaj otwarci i prostolinijni. Łatwo się z nimi rozmawia.

Otwarci i prostolinijni? Elayne nieznacznie pokręciła głową. Chcieli dotrzeć do Randa, lecz ukryli przed nią, dlaczego. Do obecności sióstr również się nie przyznali. Przynajmniej kiedy skieruje ich ku Murandy, nie będą zdążać prosto w jego stronę. Jak na razie to musiało wystarczyć, powinna jednak go ostrzec, gdy tylko wymyśli, jak tego dokonać, nie narażając go na niebezpieczeństwo.

„Uważaj na niego, Min” – pomyślała. „Pilnuj go dla nas”.

Kilka mil za obozem ściągnęła wodze i obejrzała las z równą uwagą, co Birgitte. Zwłaszcza zaś za plecami. Tarcza słońca muskała wierzchołki drzew. Pojawił się biały lis, ale za moment już go nie było. Coś się trzepotało na obnażonej szarej gałęzi – ptak albo wiewiórka. Ciemny jastrząb zniecka spłynął z nieba, powietrze rozdarł cienki pisk i natychmiast ucichł. Nikt za nimi nie jechał. Zresztą nie obawiała się Shienaran, lecz tych ukrytych sióstr. Zmęczenie, które pierzchnęło pod wpływem wieści przywiezionych przez Merilille, teraz – gdy już wszystko załatwiła z Pogranicznikami – powróciło ze zdwojoną siłą. Niczego bardziej nie pragnęła, niż jak najszybciej wskoczyć do łóżka, nie za cenę jednak zdradzenia splotu Podróżowania nieznanym siostrom.

Mogła wprawdzie upleść bramę wiodącą bezpośrednio na podwórze stajni, choć wówczas ryzykowałaby zabicie tego, kto akurat mógł tamtędy przechodzić, wybrała więc inne miejsce, równie znajome. Była tak zmęczona, że utknięcie splotu zabrało jej resztki sił i zapomniała o przypiętym do sukienki *angrealu*. Wreszcie srebrna pręga zamieniła się w otwór w powietrzu, który prowadził na pokryte zbrązowiałą trawą, przyduszoną wcześniejszymi opadami, pole leżące na południe od Caemlyn, gdzie Gareth Bryne często brał ją na konne ćwiczenia Gwardii Królowej i gdzie obserwowała, jak żołnierze na jeden rozkaz zmieniają szyk kolumny na czwórkowe rzędy.

– Masz zamiar stać tu i gapić się? – zapytała Birgitte.

Elayne zamrugnęła. Aviendha i Merilille przyglądały jej się z z troskaniem. Twarz Birgitte nic nie zdradzała, ale w więzi również czuć było troskę.

– Tylko się zastanawiałam – odpowiedziała Elayne i poprowadziła Ogniste Serce przez bramę. Łóżko wabiło.

Z placu manewrowego do wysokich, sklepionych łukiem bram w jasnych pięćdziesięciostopowych murach miasta droga była niedaleka. O tej porze długie merkantylne budowle, wzdłuż których podjeżdżało się do bram, były już opustoszałe, jednak bystroocy Gwardziści wciąż stali na posterunku. Obserwowali, jak nadjeżdża, z pozoru nie rozpoznając. Najprawdopodobniej najemnicy. Nie będą jej poznawać, póki nie zasiądzie na Tronie Lwa. Dzięki Światłości i odrobinie szczęścia zobaczą ją tam wkrótce.

Zmierzch zapadał szybko, niebo nabierało barw głębokiej szarości, długie cienie kładły się na ulicach. Niewielu ludzi miało jeszcze coś do załatwienia na mieście, ci nieliczni uwijali się szybko, by skończyć pracę i znaleźć się w domu przy ogniu i ciepłej strawie. Dwóch tragarzy przetruchtowało prostopadłą ulicą z ciemno lakierowaną lektyką kupca, kilka chwil później w przeciwnym kierunku poturkotał zaprzężony w ósemkę koni jeden z beczkowsów, łoskot żelaznych obręczy kół jeszcze długo niósł się echem. Kolejny pożar. Najczęściej zdarzały się nocami. Patrol czterech Gwardzistów

ruszył w jej stronę, a potem przejechał mimo, że nawet dwukrotnie na nią nie spojrzeli. Oczywiście nie rozpoznali jej, podobnie jak tamci przy bramie.

Kołysząc się w siodle, jechała i marzyła o łóżku.

Przeżyła wstrząs, gdy zdała sobie sprawę, że ściągają ją z siodła. Otworzyła oczy, nie pamiętając, jak je zamykała i stwierdziła że do pałacu niosą ją ramiona Birgitte.

– Postaw mnie na ziemi – rzekła ze zmęczeniem. – Mogę sama iść.

– Ledwie potrafisz ustać – warknęła Birgitte. – Nie ruszaj się.

– Nie możesz z nią tak rozmawiać! – Głośno powiedziała Aviendha.

– Ona naprawdę potrzebuje snu, panie Norry – zdecydowanie oznajmiła Merilille. – Jutro też będzie dzień.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę czekać do jutra – odparł Norry, a w jego głosie, o dziwo, również pobrzmiwały zdecydowane tony. – Sprawa jest nadzwyczaj pilna i musi być załatwiona zaraz!

Elayne uniosła głowę, która zakolysała się na szyi. Halwin Norry jak zawsze przyciskał do chudej piersi swoją skórzaną teczkę, ten wysuszony człowieczek, który nawet o koronowanych głowach mówił tym samym zakurzonym tonem, jakim rozważał naprawy dachu, teraz tańczył wręcz na palcach, próbując ominąć Aviendhę i Merilille, które trzymały go za ramiona.

– Postaw mnie, Birgitte – powtórzyła, a Birgitte zdumiała ją dziś powtórnie, ponieważ posłuchała, podtrzymując ją pomocnym ramieniem, za co Elayne zresztą była jej wdzięczna. Nie miała pewności, czy zdoła ustać o własnych siłach. – Co się stało, panie Norry? Puśćcie go, Aviendha i Merilille.

Pierwszy Urzędnik przyskoczył do niej, gdy tylko uchwyt zelżał.

– Wkrótce po tym, jak wyjechałaś, moja pani, zaczęły przybywać wieści – powiedział, a jego głos brzmiał inaczej niż zwykle. Czoło przecinał mars. – Cztery armie... Małe, powinienem powiedzieć, jak na dzisiejsze czasy. Światłości, pamiętam, gdy pięć tysięcy ludzi to już była armia. – Potarł dłonią łysinę, mierzwiąc sobie resztki siwych kępek za uszami. – Od wschodu maszerują na Caemlyn cztery małe armie – ciągnął dalej, powoli wracając do zwykłego sposobu mówienia. – Obawiam się, że dotrą tu za tydzień. Dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Może trzydzieści. Nie mam pewności. – Wyciągnął w jej stronę dłonie ściskające teczkę, jakby chciał ją zapoznać z zawartością. Naprawdę był wzburzony.

– Kto? – zapytała. Elenia miała na wschodzie posiadłości i zbrojnych, Naean również. Lecz żadne z nich nie mogłoby wystawić dwudziestu tysięcy ludzi. Poza tym śnieg i błoto powinny ich zatrzymać aż do wiosny. „«Powinno» i «może» nie zbudują żadnych mostów” – wydało jej się, że słyszy głos Lini.

– Nie mam pojęcia, moja pani – odparł Norry. – Jeszcze nie.

Nie miało to znaczenia, jak podejrzewała Elayne. Ktokolwiek to był, właśnie przybywał.

– Z pierwszym brzaskiem, panie Norry, chcę, byś zaczął skupować wszelką żywność, jaką znajdziesz pod miastem, a następnie ją zmagazynował. Birgitte, niech chorąży, którzy ogłaszają grody za zaciągnięcie się, informują najemników, że mają cztery dni na zgłoszenie się do Gwardii, a potem muszą opuścić miasto. Niech ludzie też się dowiedzą, panie Norry. Ktokolwiek zechce opuścić miasto przed oblężeniem, musi wyjechać natychmiast. Chętnie ograniczę ilość gąb do wykarmienia, poza tym dzięki temu może więcej ludzi zaciągnie się do Gwardii. – Odsunęła rękę Birgitte i ruszyła korytarzem w stronę swoich apartamentów. – Merilille przekaz wiadomość Kuzynkom i Atha'an Miere. Niewykluczone że również zechcą wyjechać, zanim się zacznie. Birgitte, mapy. Niech przyniosą dobre mapy do moich apartamentów. I jeszcze jedno, panie Norry...

Nie było czasu na sen ani na poddawanie się zmęczeniu. Miała miasto, którego trzeba było bronić.

# NIESPODZIANKA W WORKU Z UBRANIAMI

Rankiem następnego dnia po tym, jak Mat obiecał pomóc Teslyn... oczywiście, jeśli zdoła... – oraz Joline i tej Edesinie, której jeszcze nie widział na oczy – Tylin ogłosiła, że opuszcza miasto.

– Suroth chce mi pokazać tę część Altary, która ma być moja, gołąbeczku – powiedziała. Jej nóż wciąż tkwił w rzeźbionym słupku baldachimu łoża, a ich ciała spoczywały na zmiętych lnianych prześcieradłach wśród skotłowanej pościeli. On miał na sobie tylko jedwabną szarfę, ukrywającą wisielczą bliznę, ona tylko swoją nagość. Miała taką delikatną skórę, najgładszą, jakiej w życiu zdarzyło mu się dotykać. Leniwie przesuwiała długim, lakierowanym zielenią paznokciem po jego pozostałych bliznach. W taki czy inny sposób udało mu się już ładnych paru dorobić, choć z drugiej strony bynajmniej nie unikał okazji. Jego skóra z pewnością nie osiągnęłaby na aukcji wysokiej ceny, niemniej blizny wyraźnie ją fascynowały. – Tak naprawdę to nie był jej pomysł. Tuon uważa, że okaże mi się to... pomocne... jeżeli zobaczę prawdziwy kraj, a nie tylko linie na mapie, a gdy Tuon coś powie, Suroth słucha. I, mówiąc szczerze, zaraz wszystko ma być zrobione na wczoraj. Dzięki temu, że polecimy *to' rakenem*, uda się rzecz załatwić szybko. Wychodzi na to, że on potrafi pokonać dwieście mil dziennie. Och, nie rób takiej miny, prosiaczk. Wcale ci nie każe włączyć na tego stwora.

Mat westchnął z ulgą. Nie przerażała go perspektywa lotu. W istocie podejrzewał, że nawet mogłoby mu się to spodobać. Gdyby jednak zniknął na dłużej z Ebou Dar, to Światłość jedna wie, czy Teslyn, Joline albo nawet ta Edesina nie straciłyby cierpliwości i nie zrobiły jakiegoś głupstwa, nie wspominając już o ewentualnych idiotyzmach, które mogły strzelić Beslanowi do głowy.

Beslanem przejmował się w takim samym stopniu, co tymi kobietami. Tylin, podniecona wizją lotu na grzbiecie seanchańskiej bestii, jeszcze bardziej kojarzyła mu się z orłem niż zazwyczaj.

– Nie będzie mnie nieco ponad tydzień, kochanie. Hm. – Zielony paznokieć powędrował po długiej na stopę bliźnie skroś żeber. – Czy mam cię przywiązać do łóżka, abym nie musiała się o ciebie martwić aż do powrotu?

Nieco wysiłku wymagało odeń, aby na jej paskudny uśmiech zrewanżować się najbardziej ujmującym, jaki miał w swym repertuarze. Był raczej pewny, że tylko żartuje. Dzisiaj ustroiła go w czerwienie tak jaskrawe, że aż kłuły oczy. Cały był czerwony, prócz tylko kwiatków wyhaftowanych na płaszczu i kaftanie, czarnego kapelusza i szarfy. Białe koronki przy szyi i mankietach sprawiały, że reszta ubrania wydawała się jeszcze bardziej czerwona. Ale bez szemrania założył te rzeczy, wdzięczny, że może już wyjść. W obecności Tylin lepiej było nie być niczego do końca pewnym. Naprawdę wcale nie musiała żartować.

Okazało się, że ani trochę nie przesadzała w ocenie niecierpliwości Suroth. Nie minęły nawet dwie godziny na okrągłym zegarze w salonie Tylin, stanowiącym zresztą dar Suroth, kiedy już towarzyszył królowej do doków. Cóż, towarzyszył to może zbyt wielkie słowo. Suroth i Tylin jechały na czele zastępu seanchańskiej Krwi, w liczbie mniej więcej dwudziestki, za nimi podążali ich *so'jhin*, którzy kłaniali swe ogolone głowy wyłącznie przed Krwią, na wszystkich innych zaś patrzyli z góry, on natomiast w siodle Oczka włókł się na szarym końcu. „Piękniś” królowej Altary rzecz jasna nie mógł jechać obok Krwi, do której oczywiście Tylin w chwili obecnej również należała. Nie mógł się także równać pozycją z dziedzicznym sługą.

Członkowie Krwi i większość *so'jhin* dosiadali naprawdę znakomitych zwierząt – szczupłych klaczy o wysoko sklepionych szyjach i roztańczonym kroku oraz szerokopierśnych wałachów z ognistymi oczyma i silnym kłębem. Ale choć jego szczęście zupełnie nie sprawdzało się w końskich

wyścigach, postawiłby na Oczko przeciwko każdemu z nich. Gniady wałach o tępych pysku na pierwszy rzut oka może nie wyglądał szczególnie okazale, lecz Mat był pewien, że na krótkim dystansie prześcignąłby większość tych ślicznych zwierząt, a na długim wszystkie. Po sporym okresie czasu spędzonym w stajni Oczko miał ochotę tańczyć, jeśli już nie pozwalano mu biec i Mat musiał uciec się do wszelkich swoich umiejętności – cóż, niekoniecznie swoich, do wszelkich umiejętności, które jakimś sposobem posiadał wraz ze wspomnieniami tamtych ludzi – aby nad nim zapanować. Zanim jednak pokonali połowę drogi do doków, nogi bolały go aż po biodra. Jeśli miał wkrótce opuścić Ebou Dar, nastąpi to morzem lub z widowiskiem Luki. Jeżeli zdecyduje się na tę ostatnią możliwość, to wymyślił nawet, jak zmusić go do wyruszenia przed wiosną. Pomysł był dość ryzykowny, większego wyboru jednak przed sobą nie widział. Alternatywa była jeszcze bardziej ryzykowna.

W ogonie kolumny nie był zupełnie sam. Ponad pięćdziesięcioro ludzi – mężczyźni, kobiety, którym litościwie pozwolono nałożyć grube białe wełny na przezroczyste szatki, w jakich zazwyczaj paradowali – wędrowało za nim w dwu rzędach, prowadząc kilkanaście koni obciążonych wielkimi wiklinowymi koszami pełnymi smakołyków. Krew nigdzie nie ruszała się bez swojej służby, w istocie słyszał nawet narzekania, jak to ciężko im będzie z taką garstką. *Da'covale* rzadko kiedy podnosili spuszczone oczy, a ich oblicza były pokorne niczym u cieląt. Widział raz *da'covale* skazanego na chłostę. Tamten był słomianowłosym mężczyzną mniej więcej w jego wieku i sam pobiegł pędem, by przynieść narzędzie kary. Nawet nie próbował odwlekać sprawy ani bodaj kryć się gdzieś, nie wspominając już o próbie uniknięcia chłosty. Mat nie potrafił pojąć tych ludzi.

Przed nim jechało jeszcze sześć *sul'dam*, spod krótkich rozciętych sukni wзираły kostki, u jednej lub drugiej zupełnie przyjemne. Wszystkie siedziały w siodłach sztywno, jakby same należały do Krwi. Na plecy odrzuciły kaptury płaszczy z godłami błyskawic, wiatr rozwiewał ich poły, jakby naprawdę zupełnie nie dbały o ziąb lub co najmniej obawiały się to po sobie okazać. Obok ich koni szły dwie *damane* na smyczach.

Mat ukradkiem im się przyglądał. Jedna z *damane*, niska, z bladobłękitnymi oczami, połączona była srebrnym *a'dam* z pulchną *sul'dam* o oliwkowej skórze, którą wcześniej widział z Teslyn. Ciemnowłosa *damane* reagowała na imię Pura. Jej gładka twarz, uderzała charakterystycznym dla Aes Sedai brakiem śladu przeżytych lat. I choć nie uwierzył do końca Teslyn, kiedy powiedziała mu, że ta kobieta stała się prawdziwą *damane*, teraz mógł na własne oczy zobaczyć, jak siwiejąca *sul'dam* pochyliła się w siodle, by powiedzieć coś do kobiety, która kiedyś nazywała się Ryma Galfrey, i cokolwiek to było, Pura zaniósła się śmiechem i z radości klasnęła w dłonie.

Mat zadrżał. Wyraźnie gotowa byłaby wołać przeklętej pomocy, gdyby tylko spróbował zdjąć jej z szyi *a'dam*. Światłości, o czym on myśli! Wystarczająco źle już się stało, że obiecał tym trzem Aes Sedai, iż zdejmie ich szynki z patelni. Ażeby szczęść, gdziekolwiek się nie obrócił, czekały na niego domagające się ratunku dziewoje! Sytuacja w każdym razie była już wystarczająco kiepska, żeby jeszcze myśleć o niesieniu pomocy kolejnej.

Ebou Dar było wielkim portem morskim, dysponującym pewnie największą zatoką znanego świata, a jego pirsy niczym długie szare palce wyciągały się od nabrzeża, wyznaczającego granicę miasta. Okręty Seanchan wszelkich możliwych wyporności zajmowały nieomal wszystkie miejsca cumownicze – na rejach zgromadziły się załogi, a kiedy Suroth przejeżdżała obok, podniosły się wiwaty i chór głosów wykrzyknął jej imię. Żeglarze na pozostałych – nie seanchańskich – okrętach również machali i krzyczeli, choć wielu wyraźnie nie miało pojęcia ani komu wiwatuja, ani dlaczego. Bez wątpienia jednak uznali, że tego się po nich oczekuje. Na masztach tych okrętów dmący nad zatoką wiatr poruszał Złotymi Pszczołami Illian, Półksiężycami Łzy i Złotymi

Jastrzębiami Mayene. Najwyraźniej Rand nie wprowadził embarga na handel z zajętymi przez Seanchan portami, lecz niewykluczone, że handlarze oddawali się swemu rzemiosłu, nie bacząc na jego zakazy. Większość z nich gotowa była robić interesy z mordercami własnych matek, jeśli tylko mogli liczyć na zysk.

Nabrzeże południowego pirsu opróżniono ze statków. Seanchańscy oficerowie z cienkimi pióropuszcami na lakierowanych hełmach czekali, by przekazać Suroth i Tylin na jedną z wielkich łodzi wiosłowych, gdzie ośmiu mężczyzn trwało w gotowości przy długich wiosłach. Tylin pocałowała Mata na pożegnanie,omalże wrywając mu włosy, gdy ściągnęła jego głowę w dół, a potem jeszcze uszczypnęła w pośladki, jakby nikt z tych przeklętych ludzi nie patrzył! Tymczasem Suroth czekała, niecierpliwie marszcząc brwi, póki Tylin nie zajęła miejsca w łodzi. Nawet wówczas jej irytacja nie minęła – pstryknięciami palców wciąż przyzywała swoją *so'jhin*, Alwhin, tak że ta kobieta o ostrych rysach nieustannie gramoliła się przez ławki, by to czy tamto załatwić.

Pozostali członkowie Krwi, choć otrzymali od oficerów głębokie ukłony, sami – z pomocą swoich *so'jhin*, oczywiście – musieli zejść na dół po drabinkach. *Sul'dam* pomogły *damane* znaleźć się w łodziach, nikt rzecz jasna nie pomagał ludziom w białych szatach w załadowaniu na nie koszy i samych siebie. Nie minęła chwila i już łodzie mknęły po wodach zatoki na południe – gdzie za Rahad trzymano *rakeny* i *to'rakeny* – przemykając między rozłożystymi kadłubami kotwiczącej floty okrętów Seanchan i zdobycznych statków Ludu Morza, od których w zatoce było aż gęsto. Jeśli chodzi o te ostatnie, większość miała już zmieniony takielunek – pojawiły się seanchańskie żebrowane żagle i obcy układ rei. Załogi również były seanchańskie. Wyjąwszy Poszukiwaczki Wiatru, o których starał się nie myśleć oraz tych nielicznych, którzy zostali sprzedani w niewolę, ocaleli Atha'an Miere przebywali wszyscy w Rahad, gdzie wraz z innymi *da'covale* zajmowali się czyszczeniem zatkanych szlamem kanałów. I nic w tej sprawie nie mógł zrobić. Nie był im nic winien, zresztą już wziął na swoje barki więcej, niż potrafił udźwignąć... i nic więcej nie mógł zrobić! Koniec na tym!

Miał ochotę jak najszybciej wydostać się z portu, żeby już nie patrzeć na okręty Ludu Morza. Na nabrzeżu nikt nie zwracał na niego uwagi. Oficerowie odeszli, gdy tylko łodzie odbiły od pirsu. Ktoś, odprowadził juczne konie. Marynarze opuścili reje i zajęli się swą pracą, a członkowie gildii dokerów wrócili do mozolnego pchania długich, ciężkich taczek, wyładowanych belami, skrzynkami i baryłkami. Gdyby zbyt szybko zdecydował się odjechać, mogło się okazać, że Tylin tylko na to czeka i że zdąży jeszcze wydać rozkaz jego zatrzymania. Tak więc siedział w siodle Oczka na końcu pirsu i machał niczym jakiś głupi gąsior skrzydłami, póki nie znalazła się dość daleko, aby nie móc go dostrzec inaczej niż za pomocą szkła powiększającego.

Mimo dokuczającej nogi przejechał powoli niemalże całą długość nabrzeża. Ani razu nie spojrzął już na zatokę. Wokół skromnie ubrani kupcy pilnowali załadunku, ewentualnie wyładunku swych towarów, od czasu do czasu wsuwali sakiewkę tragarzom w zielonych skórzanych kamizelkach, aby tym sposobem zapewnić delikatniejsze traktowanie lub szybszy transport, choć przecież wydawało się niepodobieństwem, że członkowie gildii mogą coś więcej z siebie dać. Południowcy zawsze poruszali się prawie truchtem, wyjątkiem była pora dnia, gdy słońce stało prostopadle ponad głową, a pod lejącym się z nieba żarem nieomal można było piec drób – ponieważ jednak teraz niebo zasnuwała szarość, a od morza dał przenikliwy wiatr, pozycja słońca nie miała większego znaczenia.

Po drodze na Mol Hara spotkał co najmniej dwadzieścia *sul'dam*, które wraz z *damane* patrolowały nabrzeża. Wściubiały swe nosy do każdej odbijającej od zakotwiczonego statku łodzi, która nie była łodzią seanchańską, domagały się wpuszczenia na pokład każdego okrętu, który

przybijał do nabrzeża albo, jeśli już o tym mowa, zbierał cumy. Raczej nie liczył, że sytuacja będzie wyglądać inaczej. Pozostawał jedynie Valan Luca. Alternatywa, którą sobie wymyślił, była zbyt ryzykowna, należało z niej skorzystać wyłącznie w ostateczności. Wyjazd z Luką też nastroczał określone zagrożenia, niemniej stanowił jedyne realistyczne wyjście z sytuacji.

Wreszcie dotarł do Pałacu Tarasin. Zsiadając z konia, skrzywił się, a potem sięgnął po kostur przytroczony do siodła. Kiedy stajenny odprowadzał Oczko, pokuśtykał do wnętrza budowli, ledwie zdolny obciążać lewą nogę. Może kąpiel w gorącej wodzie złagodzi nieco ból i będzie mógł myśleć jaśniej. Lukę trzeba wziąć z zaskoczenia, a przez spotkaniem z nim należało załatwić jeszcze parę mniej ważnych spraw.

– Ach, tutaj jesteś – usłyszał głos Noala, który wyrósł przed nim jak spod ziemi. Od czasu pierwszego spotkania ich Mat widywał go jedynie przelotnie. Teraz mógł stwierdzić, że tamten wygląda dobrze: wypoczęty, w świeżo wyszczotkowanym kaftanie, co mogło o tyle dziwić, że każdego dnia znikał w mieście, do pałacu wracając wyłącznie na noc. Noal strzepnął koronki przy mankietach i uśmiechnął się porozumiewawczo, ukazując szczyrby w uzębieniu. – Wyraźnie coś sobie zaplanowałaś, lordzie Mat, w takim wypadku chętnie służę pomocą.

– Zaplanowałem sobie kurację dla obolałej nogi – oznajmił Mat tonem tak niefrasobliwym, na jaki tylko potrafił się zdobyć. Noal wydawał się całkowicie nieszkodliwy. Wedle tego, co przekazywał mu Harnan, przed zaśnięciem raczył jego i pozostałych Czerwonorekich niezwykłymi opowieściami, które tamci brali z dobrodziejstwem inwentarza, mimo iż wyłaniał się z nich obraz doprawdy osobliwy – kraina zwana Shibouya, położona rzekomo po drugiej stronie Pustkowia Aiel, gdzie umiejące przenosić kobiety miały wytatuowane twarze, kara śmierci groziła za ponad trzysta rozmaitych przestępstw, a pod górami żyli olbrzymi, wyżsi od ogirów, z licami na brzuchach. Twierdził, że osobiście zwiedzał te ziemie. Kto poważnie głosił takie rzeczy, nie mógł być szkodliwy. Z drugiej jednak strony, Mat widział przecież na własne oczy zręczność, z jaką dobył swoje sztylety spod kaftana i ona bynajmniej nie sprawiała wrażenia nieszkodliwej. Ze sposobu, w jaki mężczyzna bodaj dotykał broni, można było łatwo wywnioskować, czy nawykł do czynienia z niej użytku, czy nie. – Jeśli zdecyduję się na jakiś inny plan, nie omieszka cię powiadomić.

Wciąż się uśmiechając, Noal podrapał się zakrzywionym palcem po nosie.

– Jeszcze mi nie ufasz. To zrozumiałe. A przecież gdybym źle ci życzył, wystarczyłoby tylko trzymać się z dala do tamtej alejki. Masz to w oczach. Widywałem już wielkich ludzi, gdy plany lęły się w ich głowach, zresztą to samo dotyczy również łotrów o sercach czarniejszych niż Szczelina Zagłady. Wszyscy zawsze wyglądają w ten sam szczególny sposób, kiedy układają sobie w głowie plany, których nie chcą zdradzić.

– W oczach mam tylko zmęczenie – zaśmiał się Mat, wspierając na lasce. Wielcy ludzie i ich plany? Tamten pewnie widywał ich w Shibouyi razem z olbrzymami. – Wiesz, że jestem ci wdzięczny za interwencję w tamtej alejce. Jeśli jest coś, co mogę dla ciebie zrobić, wystarczy, że poprosisz. W tej chwili jednak mam ochotę wyłącznie na gorącą kąpiel.

– Czy te *gholam* piją krew? – zapytał Noal, chwytając ramie Mata, gdy ten już zamierzał odejść.

Światłości, żałował, że wcześniej w ogóle wymienił tę nazwę. Żałował, że Birgitte w ogóle opowiedziała mu o tych stworach.

– Dlaczego pytasz? – *Gholam* żyły krwią. Nie jadły nic innego.

– Ostatniej nocy znaleziono człowieka z rozszarpanym gardłem, tyle że na jego ciele ani na pościeli nie było prawie śladów krwi. Wspominałem już o tym? Wynajmował pokój w gospodzie pod Bramą Moldine. Nawet jeśli wcześniej potwór opuścił miasto, to teraz wrócił. – Zerknął gdzieś za plecy Mata i ceremonialnie uklonił się komuś. – Jeśli zmienisz decyzję, to pamiętaj, że jestem

gotów – skończył przyciszonym głosem, prostując się.

Gdy odwrócił się i odszedł, Mat zerknął przez ramię. Obok jednej z połączonych lamp stała Tuon, obserwując go zza woalki. Może niekoniecznie obserwowała, w każdym razie przyglądała mu się. Jak zawsze wcześniej, gdy tylko zrozumiała, że zdał sobie sprawę z jej obecności, odwróciła się i odeszła. Z towarzyszeniem szelestu białych spódnic zniknęła w głębi korytarza. Dzisiaj była zupełnie sama.

Po raz drugi tego dnia Mat zadrżał. Szkoda, że dziewczyna nie odpłynęła razem z Suroth i Tylin. Człowiek, któremu ofiarowano bochenek chleba, nie powinien ronić łez nad stratą garści okruszków, jednak Aes Sedai, Seanchan, ścigającego go *gholam*, starca wtykającego nos w nie swoje sprawy oraz spojrzeń chudej dziewczyny było dość, aby zacząć podejrzliwie zerkać na świat. Może powinien jednak zapomnieć o wymoczeniu nogi w gorącej kąpieli.

Poczuł się nieco lepiej, gdy posłał Lopina po resztę swoich rzeczy do kredensu z dziecięcymi zabawkami Beslana, a Nerimowi kazał znaleźć Juilina. Noga wciąż paliła żywym ogniem, a kiedy spróbował na niej stanąć, omal się nie przewrócił. Niemniej, jeśli postanowił nie tracić czasu, równie dobrze mógł od razu wziąć się do roboty. Należało opuścić Ebou Dar przed powrotem Tylin, co dawało mu dziesięć dni na przygotowania. Mniej, jeśli chciał zachować bezpieczny margines.

Kiedy głowa łowcy złodziei ukazała się w szczelinie drzwi do sypialni, Mat właśnie przeglądał się w wysokim zwierciadle Tylin. Czerwony kostium trafił do garderoby wraz z resztą fatalaszków, jakie mu podarowała. Może jej następny piękniś zechce z nich skorzystać. Naciągnął na grzbiet najprostszy z posiadanych kaftanów; delikatnie tkane niebieskie wełny bez śladu haftu. Oto przyzwoite ubranie, które mężczyzna może z dumą nosić, nie przyciągając wszystkich spojrzeń.

– Może jednak przydałby się jakiś koronkowy kołnierz – mruknął, muskając palcami szyję. – Tylko odrobina. – Jak się nad tym zastanowić, kaftan był naprawdę prosty. Nieomal ubogi.

– Nie znam się na koronkach – powiedział Juilin. – Czy po to mnie wezwałeś?

– Nie, oczywiście, że nie. Czemu się tak szczerzysz? – Grymas tamtego trudno było nazwać zwykłym uśmiechem, wyszczerzone zęby omal się nie wysypywał z szeroko rozdziawionej paszczy.

– Bo nie ma Suroth, więc jestem szczęśliwy i tyle. Jeśli nie chodzi o poradę w sprawie koronek, to po co mnie wzywałeś?

Krew i krwawe popioły! Kobieta, wokół której tamten chodził, musiała być jedną z *da'covale* Suroth! Jedną z tych, których nie wzięła z sobą. Nie było innego wytłumaczenia dla jego zainteresowania wyjazdem Suroth, cóż dopiero dla nagłej poprawy nastroju. Ten człowiek chciał posiadać jej niewolnicę, jej własność! No cóż, może to nie było aż tak straszne w porównaniu z zamachem na parę *damane*.

Mat kuśtykając, podszedł do Juilina, otoczył go ramieniem i zaprowadził do salonu.

– Potrzebuję sukni *damane*, skrojonej na kobietę mniej więcej tego wzrostu – pokazał dłonią na wysokości swego ramienia – i szczupłą. – Obdarzył Juilina najbardziej otwartym ze swoich uśmiechów, lecz twarz tamtego natychmiast zmarkotniała.

– Potrzebuję również trzy stroje *sul'dam* oraz *a'dam*. A przyszło mi do głowy, że nikt nie może wiedzieć lepiej, jak skraść coś i nie dać się złapać, niż łowca złodziei.

– Jestem łowcą złodziei – warknął tamten, strącając ramię Mata – a nie złodziejem!

Mat przestał się uśmiechać.

– Juilin, wiesz dobrze, że jedyny sposób na wydostanie tych sióstr z miasta, to przekonanie wartowników, że są zwykłymi *damane*. Teslyn i Edesina mają odpowiednie ubiory, niemniej musimy jeszcze przebrać Joline. Juilin, za dziesięć dni Suroth jest z powrotem. Jeżeli do tego czasu wciąż tu będziemy, najprawdopodobniej twoja piękniś nadal będzie niewolnicą, gdy wreszcie nadejdzie



pora ucieczki. – Miał przeczucie, że jeśli wówczas wciąż będą na miejscu, nie uciekną nigdy. Światłości, uwięzionego w tym mieście człowieka dreszcze gotowe są zadrzeć na śmierć.

Juilin wepchnął ręce do kieszeni swego taireńskiego kaftana i patrzył na niego ze złością. W istocie to patrzył przez niego na skroś, na rysujące się perspektywy, które bynajmniej mu się nie podobały. Na koniec skrzywił się i mruknął:

– To nie będzie łatwe.

Dni, które później nastąpiły, zaiste nie można było nazwać łatwymi. Służące trajkotały i chichotały na widok jego nowego ubrania. Znaczący się, starego ubrania. Na jego oczach, śmiejąc się, robiły zakłady, jak szybko po powrocie Tylin przebierze się znowu – większość najwyraźniej sądziła, że gdy tylko Tylin postawi stopę na pałacowych schodach, on już będzie pędził po korytarzach, zdzierając z siebie wszystko – ale nie zwracał na to uwagi. Wyjąwszy słowa o jej powrocie. Gdy po raz pierwszy usłyszał: „powrót Tylin”, omal nie wyszedł z siebie, uznawszy, że z jakiegoś powodu naprawdę przerwała oblatywanie włosów.

Kilka kobiet i prawie wszyscy mężczyźni zmianę odzieży wzięli jednak za znak rychłego wyjazdu. Ucieczki, jak to z dezaprobatą określali, równocześnie korzystając z każdej okazji, by mu ją wyperswadować. W ich oczach stanowił najlepsze remedium na przysłowiowy ból zęba Tylin, bynajmniej więc sobie nie życzyli, by po powrocie strugała im kołki na głowie, ponieważ nie umieli go upilnować. Gdyby nie wyraźne polecenie, aby Lopin lub Nerim nieustannie strzegli jego dobytku, rzeczy z pewnością znikłyby znowu. Tylko czujności Vanina i Czerwonorękich zawdzięczał, iż Oczko wciąż spokojnie stał w stajni.

Ze swej strony Mat sprzyjał tym plotkom. Kiedy zniknie równocześnie z dwoma *damane*, nikt nie ośmiesza połączyć tych zdarzeń, skoro jednak jawnie obnosił się ze swymi zamiarami pod nieobecność Tylin, jej nie będą obwiniać. Każdego dnia, nawet w deszczu, brał Oczko na przejażdżki wokół podwórza stajni, stopniowo coraz dłuższe, jakby chciał, żeby wierzchowiec nabrał wigoru. O co faktycznie mu chodziło, jak sobie po pewnym czasie zdał sprawę. Noga i biodro wciąż bolały, że aż strach, lecz doszedł do wniosku, że mógłby już przejechać dziesięć mil, nie zsiadając z siodła. No, może osiem.

Gdy nie padało, podczas przejażdżek często towarzyszyły mu *sul'dam* wyprowadzające na spacer *damane*. Seanchanki wiedziały, że nie jest własnością Tylin, z drugiej strony słyszał często, jak nazywały go jej zabawką! Zabawka Tylin, mówiły o nim, jakby to było imię! W ich oczach nie był na tyle ważny, żeby dowiadywać się, jak doń mówiła matka. Uważały, że albo ktoś jest *da'covale* albo nie, a jego status, w pół drogi między jednym stanem a drugim, bawił je niepomiernie. Tak więc ujeżdżał konia do wtóru śmiechu *sul'dam*, powtarzając sobie, że tak jest lepiej. Im więcej ludzi stwierdzi, że pod nieobecność Tylin szykował się do ucieczki, tym lepiej dla niej. Tyle że dla niego nie było to szczególnie przyjemne.

Od czasu do czasu wśród wyprowadzanych na spacer *damane* widywał oblicza Aes Sedai, dokładnie trzy, nie licząc Teslyn, a nie miał pojęcia jak Edesina może wyglądać. Mogła to być ta niska kobieta o jasnej cerze, która jakoś kojarzyła mu się z Moiraine, albo ta wysoka ze srebrem we włosach, wreszcie szczupła czarnula. Kiedy tak majestatycznie sunęły obok *sul'dam*, wyglądały, jakby z własnego kaprysu wybrały się na przechadzkę, wrażenie psuła tylko błyszcząca obroża wokół szyi i smycz łącząca ją z nadgarstkiem *a'dam*. Przy każdym kolejnym spotkaniu Teslyn zdawała się coraz bardziej ponura i demonstracyjnie unikała spoglądania nań. Za każdym razem w jej obliczu było coraz więcej determinacji. A czasami pojawiała się na nim coś, co można by uznać za panikę. Zaczynał się obawiać o nią i skutki jej braku cierpliwości.

Chciał jakoś dodać jej ducha – nie potrzebował tych starych wspomnień, by wiedzieć, że

determinacja w połączeniu z paniką stanowi mieszaninę śmiertelną, co do tego wszyscy tamci mężczyźni byli jednomyślni – jednak nie odważył się ani razu nawet zbliżyć do zagród na strychu. W każdej chwili, gdy się odwracał, spodziewał się za sobą Tuon – obserwowała go, albo przyglądała mu się – w każdym razie te spotkania stały się na tyle częste, by burzyć spokój jego ducha, choć nie był całkowicie pewien, jest przez nią śledzony. Dlaczego miałyby to robić? Z drugiej strony widywał ją doprawdy nazbyt często. Czasami w towarzystwie jej *so'jhin*, Selucii, od czasu do czasu z Anath, przy czym jakiś czas temu ta dziwna wysoka kobieta chyba zniknęła z pałacu, a przynajmniej nie pokazywała się na korytarzach. Jak słyszał, pozostawała „w ustroniu” i cokolwiek to miało znaczyć, żałował tylko, że nie zabrała Tuon ze sobą. Wątpił, by dziewczyna po raz drugi uwierzyła w wymówkę słodczy dla Poszukiwaczki Wiatrów. Może wciąż chciała go kupić? Jeśli tak, to dalej nie pojmował dlaczego. Nigdy nie rozumiał, co sprawia, że mężczyzna wydaje się kobiecie atrakcyjny – kobiety potrafiły wybałuszać oczy na widok najbardziej pospolitych twarzy – wiedział jednak, że żaden z niego przystojniak, niezależnie co Tylin twierdziła. Kobiety kłamały po to, żeby zaciągnąć mężczyznę do łóżka, a kłamały po dwakroć, żeby go w nim zatrzymać.

Tak czy siak, Tuon stanowiła drobny tylko powód do irytacji. Niczym natrętna mucha. Na widok trajkoczących kobiet i przyglądających mu się dziewczyn też jakoś się nie pocił. Tylko Tylin, choć nieobecna, w ten sposób na niego działała. Jeśli wróci wcześniej i przyłapie go na przygotowaniach do ucieczki, może zmienić zdanie w kwestii sprzedania go. Mimo wszystko była przecież teraz Szlachetną Lady, bez najmniejszych wątpliwości wkrótce sama zacznie częściowo golić głowę. Wtedy stanie się w każdym calu przedstawicielką Szlachetnej Krwi Seanchan i kto wie, co wówczas zrobi? Zresztą nie tylko na myśl o Tylin się pocił, było jeszcze wiele innych rzeczy.

Od Noala wciąż słyszał o kolejnych mordach popełnianych przez *gholam*, czasami Thom również mu o nich donosił. Po każdej nocy znajdowano świeżego trupa, lecz poza nimi trzema nikt chyba niełączył tych zabójstw. Mat starał się trzymać otwartych przestrzeni, w miarę możliwości pozostawał blisko ludzi. Przestał sypiać w łóżku Tylin, zresztą w ogóle nie spędzał dwóch kolejnych nocy w tym samym miejscu. Jeśli wynikała stąd konieczność zanocowania na stryszku stajni, cóż, już wcześniej sypiał na sianie, chociaż z tamtych czasów jakoś nie zapamiętał, jak ostro kłują jego żdźbła. Lepsza jednak odrobina niewygody niż rozszarpane gardło.

Thoma odszukał zaraz po tym, jak tylko podjął decyzję o uwolnieniu Teslyn. Znalazł go wówczas w kuchni, plotkującego z kucharkami nad glazurowanym miodem kurczęciem. Thom czuł się równie swobodnie w towarzystwie kucharek, co rolników, kupców i szlachty. Potrafił porozumieć się z każdym, a z rozmów tych czerpał plotki, które potem składał razem w spójny obraz spraw. Dzięki temu mógł spojrzeć na całą rzecz pod innym kątem i dostrzec to, co pozostałym umykało. Kiedy skończył tego kurczaka, wymyślił jedyny sposób na przemycenie Aes Sedai obok wartowników przy bramach miasta. Wówczas wydawało się to wręcz łatwe. Ale nie na długo. Pojawiły się bowiem nowe przeszkody.

Juulin dysponował tym samym talentem dostrzegania ukrytych stron sytuacji, prawdopodobnie zawdzięczał go latom spędzonym w zawodzie łowcy złodziei. Nocami Mat spotykał się z nim i Thomem w maleńkim pokoiku, który dzielili w kwaterach służby, snując plany przewyciężenia tych przeszkód. I dopiero wówczas naprawdę się pocił.

Podczas pierwszego spotkania, jeszcze w dniu wyjazdu Tylin, do środka wpadł Beslan. Szukał Thoma, tak przynajmniej powiedział. Niestety, okazało się, że najpierw podsłuchiwał pod drzwiami i usłyszał dość, by nie dał się zbyć żadną bajeczką. Co gorsza, chciał we wszystkim wziąć udział. Wyjaśnił im to ze szczegółami.

– Powstanie – oznajmił, przysiadając na trójnożnym stołku między dwoma wąskimi łózkami.

Prócz tych mebli w pomieszczeniu znajdowała się tylko umywalnia z wyszczerbionym białym dzbanem i miską. Nawet lustro nie było. Juilin w koszuli bez rękawów siedział na brzegu jednego z łóżek, Thom natomiast leżał wyciągnięty na drugim. Ich reakcja na rewelacje tamtego była znacząca: twarz Juilina przybrała wyraz wystudiowanej obojętności, a Thom zmarszczył czoło i wbił wzrok w swoją rękę. Mat musiał więc oprzeć się o drzwi, na wypadek, gdyby ktoś jeszcze chciał wtargnąć do środka. Sam nie wiedział, czy śmiać się, czy, płakać. Najwyraźniej Thom wiedział o tym szaleństwie od samego początku i te sprawy właśnie usiłował załagodzić. – Ludzie poderwą się na jedno moje słowo – ciągnął dalej Beslan. – Moi przyjaciele i ja rozmawialiśmy z mieszkańcami miasta. Są gotowi do walki!

Mat westchnął i przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę. Podejrzewał, że na jedno słowo Beslana on i jego przyjaciele powstaną, ale... sami. Ludzie zazwyczaj chętnie mówili o walce, lecz znacznie rzadziej się do niej podrywali, zwłaszcza przeciwko żołnierzom.

– Beslan, tylko w bajkach bardów stajenni z widłami i piekarze z brukowcami zwyciężają armie, ponieważ chcą być wolni. – Thom parsknął tak głośno, że aż zafalowały jego długie białe wąsy. Mat zignorował go. – W prawdziwym życiu stajenni i piekarze po prostu giną. Potrafię rozpoznać dobrych żołnierzy, kiedy już mam ich przed oczyma, a Seanchanie są bardzo dobrzy.

– Jeżeli razem z Aes Sedai uwolnimy *damane*, będą walczyć u naszego boku! – upierał się Beslan.

– Na strychu musi być co najmniej dwieście *damane*, Beslan, większość z nich to Seanchanki. Uwolnij je, a pierwsze co zrobi każda z nich, to pobiegnie szukać *sul'dam*. Światłości, nie moglibyśmy zaufać nawet kobietom, które nie pochodzą z Seanchan! – Mat uniósł dłoń, żeby uprzedzić protesty Beslana. – Nie mamy jak się przekonać, którym moglibyśmy zaufać, nie mamy też na to czasu. A gdybyśmy nawet jakimś sposobem nawiązali kontakt z tymi, którym możemy ufać, pozostałe musielibyśmy zabić. Nie zabiję kobiety, której jedyną zbrodnią jest fakt, że została wzięta na smycz. A ty? – Beslan uciekł spojrzeniem, jednak jego szczęki wciąż pozostawały zaciśnięte. Nie miał zamiaru się poddać. – Niezależnie od tego, czy uwolnimy *damane*, czy nie – kontynuował Mat – jeśli lud powstanie, Seanchanie zrobią w Ebou Dar krwawą jatkę. Oni wiedzą, jak postępować z buntownikami, Beslan. Dobrze wiedzą! Możemy pozabijać wszystkie *damane* na strychu, a wtedy sprowadzą kolejne z obozów. Gdy twoja matka wróci, zamiast murów obronnych zastanie stosy gruzu z twoją głową, zatknietą na szczycie. Sama zresztą wkrótce do ciebie dołączy. Nie sądzisz chyba, że uwierzą, iż nie wiedziała, co planuje jej syn, nieprawdaż? – Światłości, a może naprawdę wiedziała? Ta kobieta była dość odważna, żeby spróbować.

– Ona mówi, że jesteśmy myszami – powiedział z goryczą Beslan. – „Gdzie przebiega wilk, myszy chowają się lub zostają zjedzone” – zacytował. – Nie podoba mi się bycie myszą, Mat.

Mat odetchnął nieco spokojniej.

– Lepiej być żywą myszą niż zjedzoną, Beslan. – Nie był to może najbardziej dyplomatyczny sposób ujęcia całej sprawy, ale taka była prawda.

Później zachęcał Beslana do brania udziału w spotkaniach, choćby tylko po to, by mieć na niego oko, jednak tamten rzadko przychodził, toteż zadanie chłodzenia jego zapałów spadło na Thoma, kiedykolwiek przyszło im się spotkać. On sam wymógł tylko na Beslanie obietnicę, że nie wezwie do powstania wcześniej, niż miesiąc po ich wyjeździe i da im czas na oderwanie się od pościgu. W ten sposób coś jednak ustalili, choć to z pewnością nie zadowalało żadnej ze stron. Cała reszta zaś przypominała kamienną ścianę, która wyrasta znienacka przed biegnącym.

Ukochana Juilina miała nad nim wielką władzę. Dla niej gotów był rzucić swój taireński kaftan i przywdziać zielono-białą liberię oraz zrezygnować ze snu, by przez dwie noce zamiatać posadzki

przy schodach wiodących do zagród. Nikt dwa razy nie przyglądał się wymachującemu miotłą służącemu, nawet reszta służby. A w Pałacu Tarasin było jej dość, by nie wszyscy znali się z widzenia – człowiek w liberii i z miotłą stanowił widok sam przez się zrozumiały. Po dwóch dniach zmiatania Juilin doniósł na koniec, że *sul'dam* dokonywały inspekcji zagród z samego rana oraz tuż po zmroku, ale także mogły niespodzianie wpadać do nich za dnia. Na noc jednak *damane* zostawiano samym sobie.

– Podśluchałem pewną *sul'dam*, która mówiła, że cieszy się, iż nie przebywa w obozach, gdzie... – Wyciągnięty na materacu Juilin przerwał, by stłumić dłonią potężne ziewnięcie. Thom siedział na krawędzi swojego łóżka, przez co dla Mata został tylko stołek. O tej godzinie normalni ludzie spali. – Gdzie musiałaby przez całą noc stać na warcie – dokończył łowca złodziei, gdy już mógł mówić. Po czym podjął znowu: – Powiedziała też, że jej zdaniem korzystniej jest, iż *damane* mają noc dla siebie, ponieważ o brzasku są znacznie bardziej wypoczęte.

– A więc musimy wyruszyć nocą – mruknął Thom, podkreślając długiego białego wąsa. Nie było potrzeby dodawać, że wtedy każde zamieszanie przyciągało spojrzenia. Po zmroku tylko Seanchanie patrolowali ulice, czego Straż Cywilna nigdy wcześniej nie robiła. Poza tym, póki Seanchanie nie rozwiązali formacji, żołnierzy Straży Cywilnej można było przekupić. Obecnie w nocy na ulicach spotykało się patrol Straży Skazańców, a ktokolwiek próbował ich przekupić, najpewniej nawet nie dożyłby procesu o łapówkarstwo.

– Zdobyłeś już *a'dam*, Juilin? – zapytał Mat. – Lub suknie? Z sukniami nie powinno być tyle kłopotów.

Juilin znowu ziewnął.

– Staram się, ale przecież ich nie urodzę. Dobrze wiesz, że nie walają się po kątach.

Thom odkrył też, że nie da się zwyczajnie wyjść z *damane* za bramy miasta. Czy raczej, co chętnie przyznawał, odkryła to Riselle. Okazało się bowiem, że jeden z wysokich rangą oficerów kwaterujących pod Wędrowną Kobieta potrafił śpiewać w sposób, który wydawał jej się nieodparty.

– Tylko ktoś z Krwi może zabrać *damane* poza mury miasta, nie narażając się na wypytywania – doniósł im przy następnym spotkaniu. Tym razem i on, i Juilin siedzieli na swoich łóżkach. A Mat zaczynał już powoli nienawidzić tego stołka. – Przynajmniej na niezbyt szczegółowe. Jednak *sul'dam* potrzebują rozkazu pieczętowanego i podpisanego przez kogoś z Krwi albo oficera w randze od kapitana w górę, wreszcie *der'sul'dam*. Wartownicy przy bramach i w porcie dysponują listami upoważnionych pieczęci, nie możemy więc po prostu zrobić sobie dowolnej pieczęci i mieć nadzieję, że zostanie uznana. Potrzebowałbym kopii właściwego typu rozkazu z właściwą pieczęcią. I wtedy zostałyby już tylko kwestia, skąd wziąć nasze trzy *sul'dam*.

– Może Riselle by się zgodziła – zaproponował Mat. Nie miała pojęcia, co knują, a wprowadzanie jej łączyło się z ryzykiem. Thom zasypał ją różnymi pytaniami, udając, że interesuje go życie pod władzą Seanchan, ona zaś z radością wyszeptwała je do uszka swego seanchańskiego przyjaciela, niewykluczone jednak, iż perspektywa głowy zatkniętej na pice już by jej nie napawała równą radością. Mogła zrobić coś znacznie gorszego, niż tylko odmówić. – A co z twoją ukochaną, Juilin? – Odnośnie trzeciej kandydatki też miał już pewien pomysł. Poprosił Juilina, by zdobył suknię *sul'dam*, która pasowałaby na Setalle Anan, chociaż jak dotąd nie miał nawet okazji zapytać samej zainteresowanej. Od czasu, gdy Joline wkroczyła do kuchni Wędrownej Kobiety, tylko raz odwiedził gospodę, żeby zapewnić ją, iż czyni wszystko, co w jego mocy. Zapewnienia jakoś jej nie przekonały, dobrze, że przynajmniej pani Anan zdołała ukoić gniew Aes Sedai, nim ta zaczęła krzyczeć. Setalle Anan byłaby idealną *sul'dam* dla Joline.

Juilin niespokojnie wzruszył ramionami.

– Miałem już wystarczająco dużo trudności z przekonaniem Thery, aby ze mną uciekła. Ona jest bardzo... nieśmiała. Z czasem na pewno zdołam pomóc jej w przezwyciężeniu tego... ale w chwili obecnej nie sądzę, by potrafiła udawać *sul'dam*.

Thom szarpnął wąsa.

– Nie ma szans, aby Riselle w dowolnych okolicznościach z nami wyjechała. Wygląda na to, że polubiła śpiew Generała Sztandaru lorda Yamady do tego stopnia, iż postanowiła wziąć z nim ślub. – Westchnął z żalem. – Obawiam się więc, że z tego źródła nie zaczerpniemy już żadnych dalszych informacji. – I skończy się przykładanie głowy do jej łona, zdawała się mówić jego mina. – No cóż, myślcie dalej, kogo jeszcze możemy poprosić. I załatwcie kopie tych rozkazów, żebym wiedział, jak wyglądają.

Thom zdołał zdobyć właściwy papier i atrament, nie miał też żadnych wątpliwości, że uda mu się podrobić dowolny charakter Pisma i dowolną pieczęć. Do podrabiania pieczęci odnosił się z pogardą, jak twierdził, mógł to zrobić każdy, kto miał pod ręką kawałek rzepy i kozik. Jednak prawdziwą sztuką było naśladowanie cudzego charakteru pisma w taki sposób, by nawet jego właściciel nie zorientował się w niczym. Jak dotąd wszakże żaden nie był w stanie zdobyć kopii rozkazów z odpowiednią pieczęcią, które posłużyłyby za wzór. Podobnie jak w przypadku *a'dam*, kopie rozkazów też nie walały się po kątach. Wyrastał przed nimi kamienny mur. I w ten sposób zeszło sześć dni. Zostały cztery. Mat odbierał to tak, jakby sześć lat minęło od wyjazdu Tylin, a do jej powrotu zostały cztery godziny.

Siódmego dnia, gdy tylko Mat wrócił z przejażdżki, w korytarzu zatrzymał go Thom. Uśmiechając się, jakby zaczynał banalną pogawędkę, niegdysiejszy bard ściszył głos. Wciąż spieszący obok służący nie mogli usłyszeć nic ponad niewyraźne mamrotania.

– Wedle Noala zeszłej nocy *gholam* zabił ponownie. Poszukiwacze otrzymali rozkazy, by znaleźć mordercę, choćby kosztem własnego snu i jedzenia, ale od kogo pochodził rozkaz, nie potrafię stwierdzić. Nawet fakt otrzymania takiego rozkazu utrzymywany jest w sekrecie. Niemniej praktycznie rzecz biorąc, szykują już łoże tortur i grzeją żelazo.

Mimo iż Thom mówił naprawdę szeptem, Mat rozejrzał się, czy nikt nie podsłuchuje. Jediną osobą w zasięgu wzroku był siwowłosy Narvin w liberii, który ani donikąd się nie spieszył, ani też nic nie niósł. Służący zajmujący taką pozycję jak Narvin mieli inne zadania. Na widok rozglądającego się we wszystkie strony Mata zamrugał, a potem zmarszczył brwi. Mat miał ochotę warknąć na niego, zamiast tego uśmiechnął się tak rozbrajająco, jak tylko potrafił, i Narvin nie miał innego wyjścia, niż nachmurzony odejść. Mat nie miał wątpliwości, że to tamten odpowiadał za pierwszą próbę uprowadzenia Oczka ze stajni.

– Noal powiedział ci o Poszukiwaczach? – wyszeptał z niedowierzaniem, gdy tylko Narvin oddalił się wystarczająco.

Thom machnął dłonią.

– Oczywiście, że nie. Tylko o morderstwie. Chociaż najwyraźniej umie nadstawiać ucha na szepty i potrafi zrozumieć co znaczą. Rzadki talent. Ciekawi mnie, czy naprawdę odwiedził Sharę – zadumał się. – Powiedział, że... – Urwał pod wściekłym spojrzeniem Mata. – Cóż, to jest sprawa na później. Mam jeszcze inne źródła niż nasza jakże nieodżałowana Riselle. Są wśród nich również Słuchacze. A oni naprawdę potrafią nadstawiać ucha.

– Rozmawiałeś ze Słuchaczami? – Głos Mata zaskrzypiał niczym zardzewiałe zawiasy. W gardle poczuł taką suchość, jakby całe obróciło się w rdzę!

– To nic wielkiego, pod warunkiem oczywiście, że oni nie wiedzą, iż ty wiesz – zachichotał Thom. – Mat, w przypadku Seanchan należy zakładać, że wszyscy są Słuchaczami. W ten sposób

możesz się dowiedzieć wszystkiego, na czym ci zależy, nie wypowiadając równocześnie niewłaściwego słowa przy niewłaściwej osobie. – Odkaslnął i podkręcił kciukiem wąsa, nie całkiem skrywając uśmiech, który, choć pełen skromności, w istocie domagał się pochwały. – Po prostu tak się zdarzyło, że znam dwóch czy trzech, którzy są nimi naprawdę. Tak czy siak, od przybytku informacji głowa nie boli. Chcesz uciec, zanim Tylin wróci, prawda? Pod jej nieobecność zdajesz się... nieco... osamotniony.

Mat mógł tylko jęknąć.

Tej nocy *gholam* uderzył znowu. Lopin i Nerim przynieśli wieści, którymi zarzucili go w trakcie spożywania śniadaniowej ryby. Twierdzili, że w całym mieście wre. Ostatnią ofiarę, kobietę, znaleziono u wylotu którejś z alejek i naraz okazało się, że ludzie jednak potrafią dodać dwa do dwóch. Zaczęli gadać. Po mieście grasował szaleniec, a lud domagał się większej liczby seanchańskich patroli na ulicach. Mat odsunął talerz, stracił apetyt. Więcej patroli. A na dodatek Suroth, gdy dowie się wszystkim, mogła wrócić wcześniej, przywożąc ze sobą Tylin. W najlepszym wypadku zostały mu tylko dwa dni. Poczul się tak, jakby miał zwrócić, co przed momentem zjadł.

Resztę poranka spędził, spacerując, a raczej kuśtykając po dywanie sypialni Tylin i ignorując ból w nodze, próbował coś wymyślić, co w ciągu dwu dni pozwoliłoby mu dokonać niemożliwego. Ból zaiste dokuczał mu już mniej. Odrzucił kostur, ćwicząc dla odzyskania sił. Podejrzewał, że mógłby już pokonać dwie lub trzy mile na piechotę, zanim noga dałaby mu się poważnie we znaki. Co, oczywiście, nie znaczyło, że byłyby to łatwe mile.

W południe Juilin przyniósł mu pierwsze naprawdę dobre wieści, jakie od wieków zdarzyło mu się słyszeć. W istocie wcale nie były to wieści. Był to worek na ubrania, zawierający srebrną smycz *a'dam* oraz dwie suknie, w które ją zawinięto.

# INNY PLAN

Sklepiona belkami piwnica pod „Wędrowną Kobieta” była wielka, jednak wydawała się równie ciasna, co pomieszczenie dzielone w pałacu przez Thoma i Julina, mimo iż przebywało w środku zaledwie pięć osób. Ustawione na odwróconych do góry dnem baryłkach oliwne lampy rzucały migoczące cienie. Resztę podziemi skrywała ciemność. Przejścia między półkami a ścianami z nieobrobionego kamienia ledwie starczało, żeby zmieściła się w nim beczka, poczucie ciasnoty wszakże nie stąd się brało.

– Prosiłam o pomoc, a nie o pętlę na szyję – zimno oznajmiła Joline. Po tygodniu pod opieką pani Anan, na garnku Enid, Aes Sedai nie wyglądała już na wycieńczoną. Zniknęła gdzieś wymięta sukienka, w której Mat ją po raz pierwszy zobaczył, a jej miejsce zajęły świetne błękitne wełny z wysokim karczkiem i odrobiną koronki wokół nadgarstków oraz pod brodą. W migoczącym świetle, z twarzą na poły ukrytą w cieniu, wyglądała niczym uosobienie wściekłości. Wbite w Mata oczy, zdawały się wiercić dziury w jego czaszce.

– Jeżeli coś pójdzie źle, cokolwiek... będę bezbronna!

Miał już tego dosyć. zaproponować pomoc z dobroci serca – cóż, przynajmniej coś w tym rodzaju – i dokąd to może zaprowadzić? Potrząsnął jej *a'dam* przed nosem. Wił się w jego dłoni niczym długi srebrny wąż, połyskiwał w przyćmionym świetle, a obroza i bransolety drapały kamienną podłogę – Joline na ten widok zebrała ciemne spódnice i odsunęła się, jakby obawiając samego dotknięcia. Sądząc po jej skrzywionych ustach, naprawdę mógł być to jadowity wąż. On zaś nie potrafił się nie zastanawiać, czy będzie na nią pasował, obroza wydawała się bowiem znacznie większa od smukłej szyi.

– Pani Anan zdejmie ci ją, gdy tylko znajdziemy się za murami miasta – warknął. – Ufasz jej, tak? Ryzykowała głową, żeby cię tu ukryć. Powtarzam ci, nie ma innego sposobu! – Joline z uporem zadarła podbródek. Pani Anan mruknęła coś gniewnie pod nosem.

– Ona nie zechce tego założyć – rozległ się za plecami Mata bezbarwny głos Fena.

– Jeżeli ona nie zechce tego założyć, to tego nie założy – powiedział jeszcze bardziej ponuro Blaeric, stojący obok.

Mimo wszystkich dzielących ich różnic, dwaj ciemnowłosi Strażnicy Joline byli podobni do siebie niczym dwa ziarnka grochu. Fen z ciemnymi nakrapianymi oczami i podbródkiem, którym mógłby dłutować kamień był nieco wyższy od Blaerica i może nieco szerszy w klatce piersiowej oraz ramionach, jednak bez większych problemów mogliby zamieniać się ubraniami. Proste ciemne włosy Fena spływały mu na ramiona, błękitnooki Blaeric strzygł się krótko, nadto jego czupryna miała jaśniejszy odcień. Blaeric był z Shienaru i wcześniej miał na głowie kosmyk, który zgolił – a teraz zapuszczał włosy, nie chcąc rzucać się w oczy. Oczywiście, nie trzeba dodawać, że nie był z tego powodu zadowolony. Fen, Saldaeanin, zachowywał się, jakby nikogo szczególnie nie lubił prócz Joline. Obaj za nią przepadali. Obaj mówili w ten sam sposób, w ten sam sposób myśleli i poruszali się. Teraz mieli na sobie spłowiałe koszule i proste wełniane robotnicze kamizelki, które sięgały poniżej bioder, jednak każdy, kto nawet w tym słabym świetle wziąłby ich za pracowników fizycznych, musiał być chyba ślepy. Natomiast za dnia, kiedy pracowali w stajniach pani Anan... Światłości! Patrzyli na Mata w taki sposób, w jaki lwy mogłyby się przyglądać kozie, która na nie warknęła. Zmienił pozycję, aby nie spoglądać na nich nawet kątem oka. Noże ukryte w rozmaitych zakamarkach ubrania niewielką dawały pociechę, kiedy tacy stali za plecami.

– Jeżeli nie chcesz jego wysłuchać, Joline Maza, to wobec tego wysłuchasz mnie. – Setalle wsparła dłonie na biodrach i natarła na szczupłutką Aes Sedai. W migdałowych oczach płonął ogień. – Postanowiłam, że dostarczę cię do Białej Wieży, choćbym miała cię tam ciągnąć przez całą drogę! Być może po drodze udowodnisz mi, że wiesz, co to znaczy być Aes Sedai. Wystarczy mi, jeśli okażesz się dorosłą kobietą. Jak dotąd widziałam tylko nowicjuszkę szlochającą w łóżku i miotaną spazmami gniewu!

Joline zagapiła się na nią i wytrzeszczyła wielkie brązowe oczy, jakby nie wierząc własnym uszom. Mat zresztą sam nie był pewien, czy dobrze słyszy. Karczmarki nie skaczą do gardeł Aes Sedai. Fen chrząknął. Blaeric zaś mruknął coś niezbyt pochlebnego.

– Nie musisz pani iść z nami ani kroku dalej, jak tylko do momentu, gdy znikniemy z oczu wartownikom przy bramie, pani Anan – szybko poinformował ją Mat, w nadziei, że uprzedzi wszelki wybuch, jaki mógł lęgnąć się w głowie Joline. – Naciągniesz głęboko kaptur płaszcza... – Światłości, trzeba będzie zdobyć jeden z tych śmiesznych płaszczy! Cóż, jeśli Juilin potrafił ukraść *a'dam*, poradzi sobie z przeklętym płaszczem. – A wartownicy zobaczą tylko kolejną *sul'dam*. Przed wschodem słońca będziesz już w domu i nikt się o niczym nie dowie. Chyba, że uprzesz się przy konieczności zabrania ze sobą małżeńskiego noża. – Zaśmiał się z własnego żartu, ale nikt mu nie zawtórował.

– Sądzisz, że zostanę w miejscu, gdzie kobiety traktuje się jak zwierzęta, tylko dlatego, iż potrafią przenosić? – zapytała, pokonując równocześnie dzielącą ich odległość, póki nie stanęła z nim twarzą w twarz. – Czy sądzisz, że pozwolę zostać mojej rodzinie? – Jeśli wcześniej w jej skierowanych na Aes Sedai oczach płonął ogień, to teraz jemu przyszło w nich zobaczyć żar kuźni. Mówiąc szczerze, wcześniej nad tym się nie zastanawiał. Jasne, wolałby widzieć wszystkie *damane* na wolności, dlaczego jednak ją to tak obeszło? A najwyraźniej obeszło: dłoń powędrowała do rękojeści długiego zakrzywionego sztyletu za paskiem, musnęła ją tkliwie. Eboudarianie nie potrafili ścierpieć zniewagi, pod tym względem była jak oni. – Dwa dni po przybyciu Seanchan, kiedy już się przekonałam, kto zacz, rozpoczęłam rokowania w sprawie sprzedaży „Wędrowniej Kobiety”. Już wiele dni temu powinnam była przekazać Lydel Elonid zarząd nad wszystkim, ale się wstrzymywałam, ponieważ z pewnością Lydel nie podejrzewa w najśmielszych snach, że oznacza to także Aes Sedai w piwnicy. Kiedy będziecie gotowi, oddam klucze i odejdę z wami. Lydel robi się już powoli niecierpliwa – rzuciła znaczącym tonem przez ramię, adresując swe słowa do Joline.

„A co z moim złotem?” – chciał zapytać, nieco urażony. Czy Lydel pozwoli mu je zabrać, czy też potraktuje jak niespodziany uśmiech losu spod kuchennej podłogi? Jednak to na myśl o czymś zupełnie innym czuł, że się dławii. Nagle wyobraził sobie bowiem podróż z całą rodziną pani Anan, włączywszy w to żonaty synów i zamężne córki wraz z ich dziećmi, a na dodatek jeszcze parę ciotek i kilku wujków, nie wspominając o dalszych krewnych. Tuziny. Kopy. Ona wprawdzie nie urodziła się w tym mieście, jednak jej mąż miał krewnych wszędzie. Blaeric klepnął go w plecy tak mocno, że aż się zachwiał.

Wyszczrzył na niego zęby, ale już mgnienie później miał nadzieję, że tamten odczyta to jako uśmiech podziękowania. Wyraz twarzy Blaerica nie zmienił się na jotę. Przekłęci Strażnicy! Przekłęte Aes Sedai! Przekłęte, przekłęte karczmarki!

– Pani Anan – powiedział, ostrożnie dobierając słowa – w planach ucieczki z Ebou Dar przewidziano miejsce tylko dla tych kilku osób. – Jeszcze nie wspomniał o widowisku Luki. Mimo wszystko, wcale nie było pewne, że zdoła tamtego przekonać. A im więcej ludzi będzie miał ze sobą, tym to będzie trudniejsze. – Proszę tu wrócić po tym, jak już opuścimy miasto. Jeżeli chce pani się stąd wynieść, dlaczego nie jedną z łodzi męża? Niemniej proponowałbym odczekać parę dni. Albo



nawet tydzień. Kiedy Seanchanie odkryją, że zniknęły dwie *damane*, będą sprawiać trudności wszystkim opuszczającym miasto.

– Dwie? – wtrąciła ostro Joline. – Teslyn i kto jeszcze?

Mat skrzywił się. Znowu za dużo powiedział. Wiedział przecież, jaka jest Joline – słowa „drażliwa”, „samowolna” i „zepsuta” nasuwały się same. Każda uwaga, która skłoni ją do uznania, że cała sprawa jest trudniejsza niż z pozoru się wydaje i zapewne skończy się porażką, może ją pchnąć ku jakiejś własnej poronionej inicjatywie. Ku działaniu, którym bez wątpienia zrujnuje jego plany. Jeżeli zdecyduje się uciekać na własną rękę, złapią ją niechybnie, a wtedy będzie walczyć. Seanchanie zaś, odkrywszy pod samym swoim nosem Aes Sedai, znowu zintensyfikują poszukiwania *marath'damane*, wzmocnią patrole na ulicach – już przecież nadzwyczaj aktywnie ścigające „szalonego mordercę” – a co ze wszystkiego najgorsze, z pewnością uszczelnią bramy.

– Edesina Azzedin – powiedział niechętnie. – Nic o niej nie wiem.

– Edesina – powoli powtórzyła Joline. Drobną zmarszczką przecięła jej gładkie czoło. – Słyszałem, że ona... – O czymkolwiek słyszała, w jednej chwili zdecydowała się nie dzielić uzyskanymi informacjami, zamknęła usta i popatrzyła nań płomiennym wzrokiem. – Przetrzymuj jeszcze inne siostry? Jeżeli Teslyn ma się wydostać, nie pozwolę, by inne jęczały w niewoli!

Sporo wysiłku kosztowało Mata, żeby nie zagapić się na nią z rozdziawionymi ustami. Drażliwa i zepsuta? Była niczym lwica, towarzysza lwów: Blaerica i Fena.

– Uwierz mi, nie zostawię w zagrodzie żadnej Aes Sedai, która nie będzie chciała zostać – powiedział głosem tak sarkastycznym, na jaki tylko potrafił się zdobyć. Ta kobieta wciąż starała się narzucić swoją wolę. Niewykluczone, że uprze się, by uratować również te dwie, co były jak Pura. Światłości, za żadną cenę nie należało zadawać się z Aes Sedai, a żeby to wiedzieć niepotrzebne były tamte wspomnienia! Wystarczyłby własny rozum, piękne dzięki.

Fen szturchnął go twardym palcem w lewe ramię.

– Nie pajacuj – powiedział Strażnik ostrzegawczym tonem.

Blaeric dźgnął go w drugie ramię.

– Pamiętaj, z kim rozmawiasz.

Joline parsknęła, ale dłużej nie drażyła tego tematu.

Mat poczuł dziwną słabość w karku, mniej więcej w miejscu, gdzie uderzy topór kata. Aes Sedai mogły sobie wyprawiać sztuczki ze słowami, nie spodziewały się jednak, że inni zwrócą to przeciwko nim.

Zwrócił się do Setalle:

– Pani Anan, przecież musi pani wiedzieć, że łodzie męża są znacznie lepszym... .

– Może i tak – weszła mu w słowo – tyle, że trzy dni temu Jasfer odплыnął, zabierając wszystkie dziesięć łodzi i krewnych na ich pokładach. Jeżeli kiedykolwiek wróci, w gildii na pewno będą mu mieli do powiedzenia parę przykrych słów. Nie wolno mu zabierać pasażerów. Płyną wzdłuż brzegu do Illian, gdzie będą na mnie czekać. Rozumiesz, wcale nie mam zamiaru udawać się aż do samego Tar Valon.

Tym razem Mat naprawdę nie mógł się nie skrzywić. W przypadku, gdyby nie udało mu się namówić Luki, miał zamiar spróbować z łodziami Jasfera Anana. Było to niebezpieczne wyjście, prawda bardziej niż niebezpieczne. *Sul'dam* w dokach z pewnością chciałyby dokładnie obejrzeć każdy rozkaz, w myśl którego *damane* odplywały dokądś na pokładach rybackich łodzi, zwłaszcza w środku nocy. Jednak te łodzie zawsze stanowiły ostatnią deskę ratunku. Cóż, w takim razie będzie musiał przemówić do rozumu Luce przemówić naprawdę porządnie.

– Pozwoliłaś swojej rodzinie popłynąć o tej porze roku? – W głosie Joline niedowierzenie

walczyło o lepsze z przyganą. – Kiedy szykują się najgorsze sztormy?

Wciąż odwrócona do Aes Sedai plecami, pani Anan uniosła dumnie głowę, ale nie była to duma z siebie samej.

– Ufałabym Jasferowi, nawet gdyby postanowił pożegłować wprost w paszczę cemaros. Ufam mu w takim samym stopniu, jak ty swoim Strażnikom, Zielona. Bardziej.

Tknięta nagłym bodźcem, Joline zmarszczyła brwi, schwyciła żelazną podstawę lampy i podeszła bliżej, oświetlając twarz karczmarki.

– Czy my się już gdzieś nie spotkałyśmy? Czasami, gdy nie widzę twojej twarzy, głos wydaje mi się znajomy.

Zamiast odpowiedzieć, Setalle wzięła od Mata *a'dam* i zaczęła przesuwając w palcach segmenty płaskiej bransolety, zamocowanej na końcu srebrnej smyczy. Cała ta rzecz składała się z segmentów, wpasowanych w siebie tak zręcznie, że nie sposób było dostrzec połączeń między nimi.

– Równie dobrze możemy teraz przeprowadzić próby.

– Próby? – zapytał i zadrżał na widok wyrazu migdałowych i oczu tamtej.

– Nie każda kobieta może zostać *sul'dam*. Tyle już powinienesz wiedzieć... Zakładam, że mi się uda, lepiej jednak sprawdźmy nim wybije godzina. – Spod zmarszczonych brwi spoglądała na bransoletę, która uparcie nie chciała się otworzyć i obracała ją niepewnie w dłoniach. – Wiesz może, jak ją się otwiera? Nie potrafię nawet znaleźć zapięcia.

– Tak – odparł cicho. W tych rzadkich momentach, gdy zdarzało mu się rozmawiać z Seanchanami o *sul'dam* i *damane*, ograniczał się do ostrożnych pytań o ich wykorzystanie w boju. Nigdy wcześniej je zastanawiał się nad drogą doboru *sul'dam*. Dopuszczał możliwość, że przyjdzie mu się z nimi zmierzyć w bitwie... te starożytne wspomnienia wciąż narzucały mu się z rozważaniami na temat strategii i taktyki... jednak z pewnością nigdy nie planował ich werbunku. – Lepiej sprawdźmy od razu. – Zamiast... Światłości!

Zapięcie obroży było dla niego prostą sprawą, bransoleta jeszcze prostszą. Wszystko sprowadzało się do nacisku we właściwych miejscach, od góry i od dołu, w kierunku nie całkiem prostym do smyczy. Można było to zrobić jedną ręką... Bransoleta otworzyła się z metalicznym szczęknięciem. Z obrożą poszło nieco trudniej i wymagało to odeń użycia obu dłoni. Przyłożył palce do właściwych punktów po obu stronach miejsca, gdzie przymocowana była smycz, nacisnął i pociągnął, równocześnie nie osłabiając nacisku. Wydawało mu się, że bez rezultatu, póki nie skręcił trzymany w dłoniach fragmentów obroży w przeciwne strony. Rozeszły się tuż obok miejsca, gdzie zamocowana była smycz, wydając szczęknięcie głośniejsze niż poprzednie. Proste. Oczywiście wyrozumowanie, jak to zrobić, zajęło mu wcześniej, jeszcze w pałacu, prawie godzinę, mimo iż wezwał na pomoc Juilina. Jeśli jednak spodziewał się pochwał, spotkał go zawód. Nikt nawet nie spojrział na niego, jakby wszyscy potrafili to samo!

Setalle zatrzasnęła bransoletę wokół nadgarstka, zwiniętą smycz przewiesiła przez przedramię, a potem wzięła w dłonie otwartą obrożę. Joline patrzyła na nią z odrazą, dłonie kurczowo zaciskały się na fałdach spódnicy.

– Chcesz stąd uciec? – zapytała cicho karczmarka.

Po chwili wahania Joline wyprostowała się i uniosła podbródek. Setalle założyła obrożę na szyję Aes Sedai, zapięcie zaskoczyło z tym samym ostrym trzaskiem, który wydało, otwierając się. Ocena rozmiaru musiała go zmylić, pasował idealnie, układając się tuż nad wysokim karczkiem sukni. Joline skrzywiła się i to było wszystko, Mat jednak nieomal namacalnie czuł, jak Blaeric i Fen sztywniej ją za jego plecami. Wstrzymał oddech.

Obie kobiety równocześnie dały mały krok, ocierając się o Mata i dopiero wtedy wypuścił

powietrze z płuc. Joline niepewnie zmarszczyła brwi. Kolejny krok.

Aes Sedai z krzykiem padła na podłogę, wijąc się w agonii. Nie potrafiła artykułować słów, z otwartych ust dobywały się coraz głośniejsze jęki. Skuliła się w sobie, ręce, nogi, a nawet palce drżały skręcając się pod nienaturalnymi kątami.

Gdy tylko Joline upadła, szarpiąc za obrozę, Setalle również osunęła się na kolana. Równocześnie poderwali się Blaeric i Fen, choć ich postępowanie w oczach Mata zdało się zupełnie niezrozumiałe. Blaeric ukląkł, uniósł zawodzącą Aes Sedai i przycisnął do piersi równocześnie masując szyję. Fen palcami uciskał jej ramiona. Obroza otworzyła się, a Setalle przysiadła na piętach. Jednak Joline nie przestawała rzucać się i jęczeć, a jej Strażnicy wciąż się nią zajmowali, masując zeszywniałe mięśnie. Mat doczekał się od nich paru chłodnych spojrzeń, jakby wszystko było jego winą.

Ledwie zwracał na nich uwagę, mając przed oczyma wyłącznie gruzy swoich subtelnych planów. Nie miał pojęcia, co teraz zrobić, od czego zacząć. Tylin wróci za dwa dni, a do tego czasu nie powinno go już być w mieście..

Przecisnął się obok Setalle i poklepał ją po ramieniu.

– Powiedz jej, że postaram się wymyślić coś innego – mruknął. Ale co? Najwyraźniej do posługiwania się *a'dam* potrzebna była kobieta ze zdolnościami kwalifikującymi ją na *sul'dam*.

Karczmarka dogoniła go w ciemnościach u podnóża schodów wiodących do kuchni, gdzie zostawił kapelusz i płaszcz. Mocny, prosty wełniany płaszcz bez śladu haftu. Mężczyznom najlepiej jest bez ozdób, Rozstał się z nimi bez żalu. I te wszystkie koronki! Śladu żalu!

– Masz przygotowany inny plan? – zapytała. W ciemnościach nie widział jej twarzy, tylko srebrnego węża *a'dam*. Majstrowała przy bransolecie na nadgarstku.

– Zawsze mam inny plan – skłamał, rozpinając jej bransoletę – Przynajmniej nie będziesz musiała nadstawiać karku. Gdy tylko zajmę się Joline, będziesz mogła dołączyć do męża.

Mruknęła coś niezrozumiale. Podejrzewał, że wiedziała, iż kłamie i nie ma żadnego planu.

Nie chciał przechodzić przez pełną Seanchan wspólną salę, toteż wyszedł z kuchni tylnymi drzwiami, wydostając się na podwórze stajni, a później przez bramę prosto na Mol Hara. Nie chodziło nawet o to, by się obawiał, iż któryś zauważy go i zacznie się zastanawiać. W tych skromnych rzeczach brali go za chłopca na posyłki karczmarki. Ale wśród Seanchan dostrzegł wcześniej trzy *sul'dam* i dwie *damane*. Powoli mu świtało, że nie da rady wydostać Teslyn i Edesiny, toteż sam widok *damane* już go przygnębiał. Krew i krwawe popioły, obiecał przecież tylko, że spróbuje!

Blade słońce wciąż stało jeszcze wysoko na niebie, jednak wzbierał już wiatr od morza, przynoszący sól i obietnicę deszczu. Wszyscy obecni na Mol Hara wyraźnie spieszyli się, by załatwić swoje sprawy, nim lunie, wyjątkiem był oddział Straży Skazańców, maszerujący przez plac. Ludzie, nie Ogirowie. Gdy dotarł do cokołu wysokiego pomnika królowej Nariene z obnażoną piersią, poczuł dotyk dłoni na ramieniu.

– Z początku cię nie rozpoznałem bez tych pstrokatych rzeczy, Macie Cauthon.

Mat odwrócił się, stając twarzą w twarz z potężnie zbudowanym *so'jhin* z Illian, którego widział w dniu, gdy Joline powtórnie pojawiła się w jego życiu. Skojarzenie tamtych dwu zdarzeń nie rokowało szczególnie miło. Mężczyzna o okrągłej twarzy wyglądał dość dziwnie z bujną brodą i częściową łysiną, na dodatek wszystkiego w koszuli bez rękawów.

– Znamy się? – zapytał ostrożnie Mat.

Tamten uśmiechnął się szeroko.

– Niech mnie Fortuna okaleczy, ja ciebie znam. Pewnego razu odbyliśmy razem pamiętną

przejażdżkę na moim statku. Na początku były trolloki i Shadar Logoth, a skończyło się wszystko Myrddraalem i pożarem Białego Mostu. Bayle Domon, panie Cauthon. Teraz mnie już pamiętasz?

– Pamiętam. – Faktycznie coś sobie przypominał. Większa część podróży jawiła mu się dość mgliście, jakby postrzępiona i w dziurach, które wypełniły później tamte inne wspomnienia. – Musimy się kiedyś spotkać nad korzennym winem i porozmawiać o starych dobrych czasach. – Co oczywiście nie nastąpi nigdy, jeśli uda mu się Domona zauważyć wcześniej. To co z całej podróży zapamiętaj jawiło mu się osobliwie niemiłe, jakby echa majaków śmiertelnej choroby. Prawda, był chory, przynajmniej w pewnym sensie. Kolejne niemiłe wspomnienie.

– Najlepiej od razu – zaśmiał się Domon, otaczając grubą ręką ramiona Mata i zwracając do „Wędrowniej Kobiety”.

Nie widząc sposobu zniechęcenia tamtego, który nie skończyłby się bójką, Mat poszedł. A bójka na pięści nie bardzo kojarzyła mu się z postanowieniem nie rzucania się w oczy. Zresztą wcale nie musiał zwyciężyć. Domon był tłusty, ale jego tłuszcz okrywał twarde mięśnie. Tak czy siak, nie miał nic przeciwko odrobinie wina. Poza tym – przypominał sobie – czy Domon aby nie był przypadkiem kimś w rodzaju szmuglera? Niewykluczone, że znał drogi wiodące do i z Ebou Dar, o których inni nie mieli pojęcia, i że zdradzi nieco swej wiedzy, poddany ostrożnej indagacji. Zwłaszcza nad pucharkiem wina. W kieszeni kaftana Mata spoczywała tłusta sakiewka ze złotem i nie miał nic przeciwko temu, by jej zawartość przeznaczyć na doprowadzenie tego mężczyzny do stanu upojenia stosownego skrzypkowi w Niedzielę. Pijani mówili.

Domon pospiesznie przeprowadził go przez wspólną salę, po drodze kłaniając się na lewo i prawo Krwi oraz oficerom, którzy ledwie zwracali na niego uwagę, o ile w ogóle. Jednak nie poszli do kuchni, gdzie Enid może odstąpiłaby im ławkę w kącie. Zamiast tego udali się na górę po pozbawionych poręczy schodach. Póki Domon nie popchnął Mata w kierunku małego pomieszczenia na tyłach gospody, ten uznał, iż chce odebrać jego płaszcz i kaftan. Pomieszczenie ogrzewał ogień buzujący na palenisku, jednak Mat nagle poczuł zimno bardziej przejmujące niż na zewnątrz.

Domon zamknął za nimi drzwi, a potem oparł się o nie i zaplótł ramiona.

– Oto stoisz w obecności Kapitana Zielonych lady Egeanin Tamarath – zaintonował, a później dodał bardziej normalnym tonem: – To jest Mat Cauthon.

Mat spoglądał to na Domona, to na wysoką kobietę siedzącą sztywno na krześle z drabinkowatym oparciem. Jej plisowana suknia była dzisiaj bladożółta, na nią narzuciła haftowaną w kwiaty tunikę, jednak nie miał kłopotów z przypomnieniem sobie. Ostre rysy twarzy i błękitne oczy, nieomal równie drapieżne, co oczy Tylin. Tylko, jak podejrzewał, Egeanin bynajmniej nie chodzi o pocałunki. Dłonie miała szczupłe, wyraźnie jednak poznaczone odciskami od miecza. Nawet nie miał szansy zapytać, o co w tym wszystkim chodzi, ale też okazało się, że wcale nie musiał.

– Mój *so'jhin* poinformował mnie, że nie jest ci obce niebezpieczeństwo, panie Cauthon – oznajmiła, gdy tylko Domon skończył. Rozwlekły seanchański akcent nadawał jej słowom ton stanowczy i rozkazujący, ale przecież była z Krwi. – Potrzebuję takich ludzi do załogi mego statku, a zapłacę dobrze, w złocie i srebrze. Jeżeli znasz sobie podobnych, ich również chętnie zatrudnię. Jednak muszą umieć trzymać język za zębami. Moje sprawy są wyłącznie moimi sprawami. Bayle wspominał jeszcze dwa imiona. Thom Merrilin i Juilin Sandar. Jeśli którykolwiek z nich przebywa w Ebou Dar, znajdzie się zajęcie dla ich zdolności. Znają mnie i wiedzą, że mogą mi powierzyć swoje życie. To ostatnie odnosi się również do ciebie, panie Cauthon.

Mat usiadł na drugim krześle i odrzucił płaszcz na oparcie. Wiedział, że nie powinien zasiadać nawet w obecności przedstawiciela pomniejszej Krwi – którą, zgodnie ze znaczeniem podgolonych włosów i lakierowanego zielono paznokcia u małego palca, musiała być – ale należało zebrać myśli.

– Masz statek? – zapytał, głównie po to, by zyskać na czasie. Gniewnie otworzyła usta. Pytania do Krwi należało zadawać bardziej subtelnie.

Domon odkaszlnął i pokręcił głową, przez moment wyglądał na jeszcze bardziej rozgniewanego, ale po chwili jego sroga twarz wypogodziła się. Z drugiej jednak strony oczy Egeanin wciąż spoczywały na Macie niczym świdry. Powstała, rozstawiła nogi i stanęła przed nim w jednoznacznie wyzywającej postawie.

– Będę miała statek, w najgorszym razie późną wiosną, zalety to od tego, jak długo moje złoto będzie tu szło z Cantorin – powiedziała lodowatym głosem.

Mat westchnął. Cóż, w istocie przecież nie było szans, aby zamustrować Aes Sedai na statek Seanchanki, żadnych szans.

– Skąd znasz Thoma i Juilina? – Bez wątpienia Domon mógł jej opowiedzieć o Thomie, ale, Światłości, skąd wiedziała o Juilinie?

– Zadajesz zbyt wiele pytań – ucięła zdecydowanie, odwracając się. – Obawiam się, że mimo wszystko nie znajdę dla ciebie zajęcia. Bayle, odprowadź go. – Ostatnie zdanie to był stanowczy rozkaz.

Domon nie ruszył się od drzwi.

– Powiedz mu – nalegał. – Wcześniej czy później musi się o wszystkim dowiedzieć, w przeciwnym razie stanie się dla ciebie większym zagrożeniem, niż to, przed którym stoisz obecnie. Powiedz mu. – Jak na *so'jhin*, wyraźnie mógł sobie na wiele pozwolić. Seanchanie ściśle pilnowali tego, aby niewolnicy znali swoje miejsce. Aby wszyscy znali swoje miejsce, jeśli już o tym mowa. Egeanin nawet w czwartej części nie mogła być tak twarda, jak wyglądała.

A w obecnej chwili wyglądała na bardzo twardą, kiedy tak spacerowała w tę i w tę, rozkopując spódnicę i spozierając wściekle na Domona oraz Mata. Na koniec zatrzymała się.

– Udzieliłam im niewielkiej pomocy w Tanchico – powiedziała. A po chwili dodała: – Oraz dwóm kobietom, które z nimi były, Elayne Trakand i Nynaeve al'Meara. – Spojrzała na niego bacznie, próbując wywnioskować z reakcji, czy zna te imiona.

Mat poczuł ucisk w piersiach. Nie taki, który boli, ale taki, jak wówczas, gdy obserwuje się obstawionego konia, gnającego do linii mety tuż przed resztą stawki, kiedy nic jeszcze się nie rozstrzygnęło. Cóż, na Światłość, Nynaeve i Elayne mogły robić w Tanchico, że potrzebna im była seanchańska pomoc? I cóż takiego zrobiły że ją otrzymały? Thom i Juilin nie wtajemniczyli go w szczegóły. W każdym razie to i tak nie miało teraz znaczenia. Egeanin potrzebowała ludzi, którzy potrafią dochować tajemnicy i nie boją się niebezpieczeństwa. Ona sama była niebezpieczeństwem. Niewiele rzeczy mogło się Krwi wydawać groźne, prócz poczynań innego z Krwi i...

– Poszukiwacze są na twoim tropie – powiedział.

Sposób, w jaki zadarła głowę, potwierdził jego podejrzenia. Poza tym jej dłoń natychmiast powędrowała do boku, szukając nieistniejącej rękojeści miecza. Domon przestąpił z nogi na nogę i rozprostował dłonie, oczu nie spuszczał z Mata. Oczu zniecka twardszych nawet niż oczy Egeanin. Mat zrozumiał w jednej chwili, że być może nie opuści żywy tego pokoju.

– Jeżeli musisz zniknąć z oczu Poszukiwaczom, mogę ci pomóc – dodał szybko. – Powinnaś się udać tam, gdzie nie sięga władza Seanchan. Wszędzie gdzie oni rządzą, Poszukiwacze mogą cię odnaleźć. I najlepiej ruszać jak najszybciej. Złoto zawsze możesz sobie sprowadzić. Jeżeli Poszukiwacze wcześniej cię nie dopadną. Thom poinformował mnie, że z jakiegoś powodu wzmoгли swoją aktywność. Że już szukają łoża tortur i grzeją żelaza.

Egeanin przez chwilę stała zupełnie bez ruchu, przyglądając mu się. Potem wymieniła z Domonem przeciągłe spojrzenie.

– Może i faktycznie najlepiej byłoby jak najszybciej wyjechać – szepnęła. Jednak już po chwili jej głos stwardniał. Jeśli na jej twarzy jeszcze przed momentem malowała się obawa, to teraz nie było po niej śladu. – Poszukiwacze nie powstrzymają mnie przed opuszczeniem miasta, jak mniemam, ponieważ sądzą, że zaprowadzę ich do czegoś, na czym zależy im bardziej niż na mnie. Będą mnie więc śledzić, póki nie opuszczę ziem zdobytych przez *Rhyagelle*, wiedząc, że w każdej chwili mogą kazać żołnierzom mnie aresztować. Co z pewnością się stanie, gdy zrozumieją, że wymykam im się z rąk. I do tego właśnie będą mi potrzebne umiejętności twojego przyjaciela Thoma Merrilina, Macie Cauthon. Między początkiem naszej podróży, który znajduje się tutaj, a kresem, który leży na ziemiach pozostających poza władzą Seanchan, muszę zniknąć z oczu Poszukiwaczy. Złoto z Cantorin z pewnością nie dotrze na czas, jednak mam go dość, by uczciwie wynagrodzić waszą pomoc. Możesz o tym powiedzieć pozostałym, panie Cauthon.

– Mów mi Mat – powiedział, obdarzając ją swoim najlepszym uśmiechem. Nawet kobiety o srogich obliczach, zazwyczaj miękły nieco na ten widok. Cóż, ona jakoś nie zmiękła... jeśli już, to nawet odrobinę zmarszczyła czoło... niemniej jedną z rzeczy jakich był pewien odnośnie kobiet, był efekt jego uśmiechów. – Wiem, jak sprawić byś od razu zniknęła. Nie ma potrzeby odkładać tego na później Poszukiwacze mogą już jutro cię aresztować. – To był celny strzał. Nawet nie mrugnęła... podejrzewał, że niewiele rzeczy potrafiłoby ją do tego zmusić... Tylko nieznacznie skinęła głową. – Jeszcze jedna rzecz, Egeanin. – Cała rzecz wciąż mogła mu eksplodować w twarz, niczym fajerwerki Aludry, niemniej nie wahał się. Czasami trzeba po prostu rzucić kości. – Nie potrzebuję złota, natomiast potrzebuję trzech *sul'dam*, które potrafią trzymać buzie zamknij na kłódkę. Sądziś, że możesz mi ich dostarczyć?

Po chwili, która wydawała się trwać całe godziny, skinęła głową, on zaś uśmiechnął się pod nosem. Jego koń przybiegł pierwszy.

– Domon – mruknął w zadumie Thom, nie wyciągając z ust cybucha fajki. Jego głowa spoczywała na cienkiej poduszce, złożonej na dwoje, on sam zaś z pozoru przyglądał się tylko delikatnej sinej mgiełce zasnuwającej pozbawiony okien pokój. Jarzyła się pojedyncza mała lampka. – I Egeanin.

– Która teraz należy do Krwi. – Juilin siedział na krawędzi swego łóżka ze spojrzeniem utkwionym w poczerńiałą główkę swojej fajki. – Nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

– Chcesz powiedzieć, że nie możemy im zaufać? – zapytał Mat, nieostroźnie próbując kciukiem ugnieść tytoń w fajce. Nagle oderwał go, stłumił przekleństwo i posaż oparzony palec. Znowu został dla niego tylko stołek albo miejsce stojące pod drzwiami, tym razem jednak nie miał nic przeciwko niewygodnemu siedzisku. Jego rozmowa z Egeanin trwała krótko, jednak Thom wrócił do pałacu dopiero po zmroku, a Juilin jeszcze później. Na wieści przyniesione przez Mata żaden nie zareagował oczekiwaną radością. Thom westchnął tylko, że w końcu udało mu się porządnie przyjrzeć jednej z ważnych pieczęci, a Juilin coraz to patrzył ze złością na ciśnięty w kąt pokoiku tobołek. Fakt, że już nie potrzebowali sukni *sul'dam*, naprawdę nie stanowił wystarczającego powodu, by się dąsać. – Mówię wam, oboje byli szarzy na twarzach ze strachu przed Poszukiwaczami – ciągnął dalej Mat, ostudziwszy nieco kciuk. Może nie dokładnie szarzy, niemniej bali się, to było jasne. – Egeanin jest teraz z Krwi, ale nawet nie mrugnęła, kiedy jej powiedziałem, po co potrzebuję dwóch *sul'dam*. Powiedziała tylko, że zna trzy takie, które zrobią, czego od nich oczekujemy, i że na jutro będą gotowe.

– Egeanin to honorowa kobieta – zadumał się Thom. Co jakiś czas wydmuchiwał kółka z dymu. – To dziwne, prawda, ale przecież jest Seanchanką. Sądzę, że Nynaeve ostatecznie ją polubiła, w

przypadku Elayne było to oczywiste. Ona zaś polubiła nasze dziewczyny. Mimo iż wiedziała, że są Aes Sedai. Bardzo nam pomogła w Tanchico. Bardzo. Okazała się nadzwyczaj kompetentna. Naprawdę chciałbym wiedzieć, za co ją wyniesiono do godności Krwi, niemniej... tak, możemy ufać Egeanin. I Domonowi. Ciekawy człowiek, ten Domon.

– Szmugler – mruknął z dezaprobatą Juilin. – A teraz należy do niej. *So'jhin* są czymś więcej niż zwykłymi niewolnikami, sam wiesz. Istnieją tacy *so'jhin*, którzy mówią Krwi, co należy robić. – Thom spojrzął na niego spod uniesionych brwi. Tylko tyle, jednak po chwili łowca złodziei wzruszył ramionami. – Przypuszczam, że Domonowi też można zaufać – oznajmił niechętnie. – Jak na szmuglera.

Mat parsknął. Może byli zazdrośni. Cóż, to on był *ta'veren*, a oni musieli jakoś z tym żyć.

– Wobec tego wyjeżdżamy jutro w nocy. Jedyne zmiany w planach polega na tym, że mamy trzy prawdziwe *sul'dam* i kobietę Krwi, która przeprowadzi nas przez bramy.

– A te *sul'dam* wyprowadzą trzy Aes Sedai za mury miasta, pozwolą im odejść i nawet do głowy im nie przyjdzie nikogo zaalarmować – mruknął Juilin. – Pewnego razu, kiedy Rand al'Thor przebywał w Łzie widziałem, jak moneta pięć razy z rzędu wylądowała na krawędzi. W końcu odeszliśmy, zostawiając ją stojącą na stole. Prawdopodobnie więc, wszystko się może zdarzyć.

– Albo im ufasz, albo nie, Juilin – warknął Mat. Łowca złodziei znowu popatrzył ponuro na zwinięte suknie w kącie. Mat polecił głową. – Jak oni wam pomogli w Tanchico, Thom? Krew i popioły, wy dwaj, nie ćwiczcie znowu na mnie tych tajemniczych spojrzeń! Wy wiecie, oni wiedzą, więc ja też mogę się dowiedzieć.

– Nynaeve nie kazała nikomu mówić – oznajmił Juilin, jakby to miało naprawdę jakiegokolwiek znaczenie. – Elayne też zabroniła. Obiecaliśmy. Można by rzec, że przysięgliśmy.

Thom pokręcił wciąż spoczywającą na poduszce głową.

– Wymowa faktów zależy od okoliczności, Juilin. A w każdym razie, nie nazwałbym tego przysięgą. – Wydmuchnął trzy ideały kółka z dymu; każde następne przeleciało przez poprzednie. – pomogli nam najpierw zdobyć, a potem pozbyć się czegoś w rodzaju męskiego *a'dam*, Mat. Czarne Ajah chciały go użyć przeciwko Randowi. Teraz rozumiesz, dlaczego Nynaeve i Elayne zabroniły o tym mówić. Gdyby rozeszła się wieść, że ta rzecz w ogóle istniała, Światłość jedna wie, jakie stąd zrodziłyby się plotki.

– Kogo obchodzą plotki? Męski *a'dam* – Światłości, gdyby Czarne Ajah nałożyły go Randowi na szyję, albo wpadł w ręce Seanchan... Te barwy znowu zawirowały mu przed oczyma, zmusił się, by nie myśleć o Randzie. – Plotki nie wyrządzą żadnej szkody... nikomu. – Tym razem żadnych roztańczonych kolorów. Nie pojawiały się, póki nie myślał o... I znowu feeria barw. Zagryzł ustnik fajki.

– Nieprawda, Mat. Opowieści mają swą moc. Historie bardów, poematy trubadurów, a także uliczne plotki. Wzbudzają namiętności i zmieniają sposób, w jaki ludzie widzą świat. Dzisiaj słyszałem, jak pewien człowiek mówił, że Rand ukorzył się przed Elaida, że przebywa w Białej Wieży. Tamten w to wierzył, Mat. Co się stanie, jeśli, powiedzmy, dostatecznie wielu Tairenian uwierzy? Tairenianie nie lubią Aes Sedai. Zgadza się, Juilin?

– Niektórzy – zgodził się Juilin, a potem dodał, jakby Thom go do tego zmusił: – Większość. Ale niewielu z nas spotkało kiedykolwiek Aes Sedai, przynajmniej wiedząc, kto zacz. Ponieważ prawo zabrania przenoszenia, niewiele Aes Sedai przybywa do Łzy, a te, którym już się to zdarza, unikają obnoszenia się z Pierścieniem.

– To jest w tej kwestii bez znaczenia, mój przepadający za Aes Sedai przyjacielu. Zresztą i tak tylko przemawia na rzecz mojej tezy. Łza sprzymierzyła się z Randem, a przynajmniej jej szlachta,

ponieważ obawiają się, że gdyby postąpili inaczej, wróciliby do nich i... Gdyby jednak uznali, że przebywa w Wieży, doszliby może do wniosku, że już nie wróci. Gdyby zobaczyli w nim narzędzie Wieży, stanowiłoby to tylko następny powód do wystąpienia przeciw niemu. A więc, gdy tylko odpowiednia liczba Tairenian uwierzy w to, o czym mówił tamten, sytuacja będzie wyglądać tak, jakby Rand opuścił Łzę zaraz po zdobyciu *Callandora*. To jest tylko pojedyncza plotka i jej ewentualne skutki dla samej Łzy, niemniej może ona wyrządzić dalsze szkody w Cairhien, albo Illian, czy gdzie tam jeszcze. Nie mam pojęcia, jakie opowieści mogą się zrodzić wokół męskiego *a'dam* w świecie, po którym krąży Smok Odrodzony i Asha'mani, ale jestem zbyt stary, żeby chcieć się przekonać.

Mat zrozumiał, przynajmniej do pewnego stopnia. Każdy dowódca starał się wprowadzić przeciwnika w błąd odnośnie swych zamiarów – na przykład wpoić mu przekonanie, że zamierza atakować pozycje, których atakować nie zamierzał – a wróg, jeśli tylko wart był swej ceny, starał się robić to samo. Czasami obie strony potrafiły się wprawić w takie pomieszanie, że działy się dziwne rzeczy. Niekiedy prawdziwe tragedie. Płonęły miasta, których nikt nie zamierzał palić, tyle tylko, że najeźdźcy po prostu uwierzyli w nieprawdę. Ginęły tysiące. Z tego samego powodu niszczone zasiewy, a następnie dziesiątki tysięcy umierały z głodu.

– Dobrze, nie będę strzepił ozora w sprawie tego *a'dam* dla mężczyzn – powiedział. – Przypuszczam jednak, że ktoś musi powiedzieć... jemu? – Kolory rozbłysły. Może uda mu się w końcu nauczyć nie zwracać na nie uwagi albo do nich przywyknąć. Zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. Ostatecznie, nie były wcale takie dokuczliwe. Po prostu nie lubił rzeczy, których nie rozumiał. Zwłaszcza, gdy mogły mieć coś wspólnego z Mocą. Srebrny łeb lisa, noszony zawsze pod koszulą na piersi, miał go chronić przed Mocą, niemniej ta ochrona była równie nieszczelna, co jego własne wspomnienia.

– Nie komunikujemy się regularnie – sucho uciął Thom. – Przypuszczam, że Elayne lub Nynaeve znalazły jakiś sposób, aby go o tym powiadomić, jeśli uznały, że to naprawdę ważne.

– Dlaczego miałyby to zrobić? – zapytał Juilin, nachylając się, aby zzuć but. – Ta rzecz spoczywa obecnie na dnie morza. – Znowu zmarszczył czoło i cisnął butem w zwinięte suknie. – Pozwolisz nam dziś się odrobinę wyspać, Mat? Nie sądzę, byśmy jutrzejszej nocy bodaj zmrużyli oko, a ja lubię to robić regularnie.

Tę noc Mat zdecydował się spędzić w łóżku Tylin. Nie chodziło nawet o wspomnienia. Zaśmiał się, gdy ta myśl przyszła mu do głowy, chociaż w śmiechu pobrzmiwało zbyt dużo płaczących tonów, żeby był przekonujący. Chodziło tylko o to, że dobry materac i poduszki z gęsiego puchu były znacznie lepsze niż siano na stryszku stajni, zwłaszcza w sytuacji, gdy człowiek nie wiedział gdzie następnym razem przyzwoicie się wyśpi.

Problem polegał na tym, że nie mógł zasnąć. Leżał w ciemnościach z ręką założoną za głowę i rzemykiem medalionu owiniętym wokół nadgarstka, przygotowany na ewentualny atak *gholam*. Ale to nie myśl o potworze nie pozwalała mu spać. Nie potrafił przestać roztrząsać w głowie szczegółów planu. Plan był dobry. I prosty. Tak prosty, jak to tylko możliwe w danych okolicznościach. Tyle tylko, że żadna bitwa nigdy nie przebiegała według planu, nawet najlepszego. Wielcy dowódcy zawdzięczali swoją sławę nie tylko błyskotliwym planom, ale temu, że zwyciężali nawet wówczas, gdy ich plany zawodziły. I oto, kiedy pierwszy brzask załśnił w oknach, on wciąż leżał, obracając medalion w palcach i próbując dociec, co pójdzie źle.



# ZIMNE, GRUBE KROPLE DESZCZU

Świt przyszedł chłodny i przyniósł szare chmury, które zasnuły niebo oraz wiatr od Morza Sztormów, grzechoczący luźnymi szybkami w oknach. Z pewnością nie był to dzień, który w opowieściach bardów staje się scenerią wielkich operacji ratunkowych i uciezek. To był dzień na morderstwo. Niezbyt przyjemna myśl, kiedy chce się dotrzeć następnego świtu. Jednak plan był prosty. Teraz, gdy miał do dyspozycji seanchańską szlachciankę Krwi, nic nie mogło pójść źle. Ze wszystkich sił starał się sobie to wmówić.

Lopin przyniósł śniadanie, szynkę, chleb i nieco twardego żółtego sera. Zjadł, ubierając się. Nerim tymczasem pakował ostatnie ubrania, które miały trafić do gospody, w tym parę koszul stanowiących upominek od Tylin. Mimo wszystko były to dobre koszule, a Nerim twierdził, że z koronkami da się coś zrobić, choć jak zwykle powiedział to tonem, którym mógłby zaoferować zaszywanie całunu. Jednak Mat wiedział, że siwowłosy mężczyzna o żalobnym usposobieniu dobrze sobie radził z igłą i nitką. Zszył mu już dosyć ran.

– Nerim i ja wyjdziemy z Olverem przez bramę śmieciarzy na tyłach pałacu – wyrecytował Lopin z przesadną cierpliwością, klepiąc się rękoma po biodrach. Służący w pałacu rzadko musieli rezygnować z posiłków, toteż jego ciemny taireński kaftan znacznie ciaśniej niż kiedykolwiek dotąd opinał okrągły brzuch. Jeśli już o tym mowa, poły kaftana nie kołysały się luźno, jak kiedyś miały w zwyczaju. – Przed porą wywózki śmieci nigdy tam nikogo nie ma, prócz wartowników, a oni są przyzwyczajeni, że nosimy rzeczy mego pana, więc nas nie zatrzymają. Pod „Wędrowną Kobieta” zajmiemy się złotem mego pana oraz resztą rzeczy, a Metwyn, Fergin, Gorderan spotkają się z nami przy koniach. Potem razem z Czerwonorękimi w południe przeprowadzimy młodego Olvera przez Bramę Dal Eira. Żetony końskiej loterii, również na zwierzęta juczne, mam w kieszeni kaftana, mój panie. Na mego pana będziemy czekać w opuszczonej stajni przy Wielkiej Drodze Północnej, około mili na północ od Niebiańskiego Okręgu. Ufam, że poprawnie zapamiętałem instrukcje, jakich mój pan raczył mi udzielić?

Mat przełknął ostatnie okruchy sera i otrzepał dłonie.

– Chcesz powiedzieć, że zbyt wiele raz kazałem ci je powtarzać? – zapytał, z pewnym trudem wkładając kaftan. Prosty, ciemnozielony kaftan. W dzień taki jak dzisiaj, człowiek preferował prosty ubiór. – Zwyczajnie chciałem się upewnić, że wszystko wbijesz sobie do głowy. Pamiętaj, jeżeli do jutrzejszego wschodu słońca nie przybędę na miejsce, pojedziecie sami szukać Talmanesa i reszty Legionu. – Wszystko się wyda podczas porannej inspekcji zagród. Jeśli do tej pory nie wydostaną się z miasta, z pewnością będzie miał okazję sprawdzić, czyjego szczęście zatrzyma opadający topór kata. Powiedziano mu, że jego losem jest umrzeć i żyć znowu... to było proroctwo, czy coś takiego... jednak, na ile się w tym wyznawał, miał wszystko już za sobą.

– Oczywiście, mój panie – z afektacją potwierdził Lopin. – Będzie, jak mój pan powiedział.

– Oczywiście, mój panie – wymamrotał Nerim, równie pogrzebowym głosem co zawsze. – Mój pan rozkazuje, słudzy słuchają.

Mat podejrzał, że go okłamują, ale dwa lub jeszcze kilka dodatkowych dni oczekiwania z pewnością im nie zaszkodzi, a po ich upływie na pewno pogodzą się z faktem, że on nie przybędzie. Metwyn i pozostali dwaj żołnierze ich przekonają, jeśli zajdzie potrzeba. Tamci trzej mogliby zresztą próbować uratować Mata Cauthona, jednak nie będą kłaść głowy na katowski pień, gdy jego głowa już zeń spadnie. Z jakiegoś powodu wobec Lopina i Nerima nie miał identycznej pewności.

Olvera jakoś nie wzburzyła zanadto konieczność rozstania się z Riselie, czego Mat się poniekąd obawiał. Podniósł tę kwestię, pomagając chłopakowi spakować rzeczy w węzełek, który miał trafić do gospody. Wszystkie rzeczy Olvera leżały schludnie ułożone na wąskim łóżku, w pomieszczeniu, które kiedyś było małym salonikiem, a równocześnie pokojem kary, gdy Mat jeszcze tu mieszkał.

– Ona wychodzi za mąż, Mat – cierpliwie powiedział Olver, jakby wyjaśniając rzecz oczywistą. Otworzył na moment wieko wąskiej rzeźbionej szkatułki, którą otrzymał od Riselle, tyle tylko, żeby się upewnić, iż jego czerwone pióro sokoła jest bezpieczne, a potem zamknął je z trzaskiem i wetknął do skórzanego tobołka, który miał ponieść na ramieniu. Pióra strzegł z równym namaszczeniem, co sakiewki zawierającej dwadzieścia złotych koron i garść srebra. – Nie myślę, aby jej mąż pozwolił, by dalej udzielała mi lekcji czytania. Ja bym na jego miejscu nie pozwolił.

– Ach, tak – powiedział Mat. Riselle naprawdę szybko się uwijała. Jej ślub z Generałem Sztandaru Yamadą został podany do publicznej wiadomości wczoraj, a ceremonia miała mieć miejsce jutro, choć obyczaj nakazywał przynajmniej miesiąc zwłoki. Yamada mógł być wielkim generałem... Mat tego nie mógł wiedzieć... ale wobec Riselle i jej wspaniałego łona nie miał żadnych szans. Dziś oglądali winnicę na Wzgórzach Rhiannon, którą pan młody wniósł w prezencie ślubnym. – Po prostu pomyślałem sobie, że mógłbyś zechcieć... nie wiem... wziąć ją ze sobą, czy co.

– Nie jestem dzieckiem, Mat – sucho oznajmił Olver. Owinął lnianą szmatką pasiastą skorupę żółwia, a potem dołączył ją do zawartości tobołka. – Zagrasz ze mną jeszcze w Węże i Lisy, prawda? Riselle lubiła grać, a ty ostatnio wcale nie miałeś czasu. – Mimo iż Mat zawinął jego rzeczy w płaszcz, który miał trafić do kosza na grzbiet jucznego konia, chłopak wsadził do tobołka zapasową parę spodni, kilka czystych koszul i skarpet. Oraz planszę do Węży i Lisów, którą zrobił dla niego nieżyjący już ojciec. Najtrudniej zgubić to, co ma się przy sobie, a Olver stracił już w ciągu swych dziesięciu lat więcej niż inni przez całe życie. Wciąż jednak wierzył, że da się wygrać w Węże i Lisy, nie łamiąc reguł.

– Zagram – obiecał Mat. I miał zamiar wywiązać się z obietnicy, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Z pewnością złamał dość reguł, żeby zasługiwać na wygraną. – Musisz tylko zadbać o Wiatr, zanim się spotkamy. – Olver uśmiechnął się szeroko, co jak na niego, stanowiło spory wyczyn. Chłopak kochał swego długonogiego siwego wałacha niemalże tak samo, jak grę w Węże i Lisy.

Niestety, okazało się, że Beslan również sądzi, iż można wygrać w Węże i Lisy.

– Dziś wieczorem – mruczał, przechadzając się w tę i z powrotem przed kominkiem sypialni Tylin. W oczach miał dość chłodu, żeby zapodziało się gdzieś ciepło paleniska, dłonie zaplótł za plecami, jakby siłą powstrzymywał je przed rwaniem się do rękojeści wąskiego miecza. Wysadzany klejnotami cylindryczny zegar na rzeźbionym w faliste ornamenty marmurowym gzymsie wybij czterokrotnie drugą godzinę poranka. – Gdybyś mnie uprzedził kilka dni wcześniej, przygotowałbym coś naprawdę niesamowitego!

– Nie chcę nic niesamowitego – poinformował go Mat. W ogóle nic nie chciał od tego człowieka, jednak Beslan nieco wcześniej przypadkowo zobaczył Thoma, gdy ten wślizgiwał się na podwórze "Wędrowniej Kobiety". Thom udał się tam, by zabawić Joline do czasu, aż wieczorem Egeanin nie przyprowadzi swojej *sul'dam*, miał ją uspakajać i podnosić na duchu dworskimi manierami, jednak w istocie mógł przecież odwiedzać gospodę z nieskończonej liczby innych powodów. Cóż, może nie było ich nieskończenie wiele, pamiętając, że pełna była Seanchan, niemniej z pewnością zebrałoby się ich kilka. Tylko że Beslan wpił się w ten jeden powód niczym kaczka w robaka i nie chciał za nic dać się odprawić.

– Wystarczyłoby, gdyby kilku twoich przyjaciół podpaliło parę magazynów przy Drodze do Zatoki, które Seanchanie wyładowali po brzegi. Zaraz po północy, pamiętaj. Niemniej, lepiej żebyś

godzinę się spóźnił, niż gdybyś miał zrobić to przed północą. – Przy odrobinie szczęścia przed północą będzie już za miastem. – Ich uwaga zwrócona będzie na południe, a poza tym, wiesz jak im zaszkodzi strata tych towarów.

– Powiedziałem, że to zrobię – kwaśno powtórzył Beslan – ale musisz przyznać, że podpalenie to nie jest szczególnie szlachetny gest oporu.

Mat rozsiadł się, wsparł dłonie na rzeźbionych w kształt bambusa poręczach fotela i zmarszczył brwi. Chciał uspokoić dłonie, jednak palce tańczyły mimowolnie, a sygnet metalicznie stukał.

– Beslan, gdy zapłoną te pożary, ty będziesz w gospodzie na oczach wszystkich, nieprawdaż? – Tamten skrzywił się. – Beslan?

Beslan wyrzucił ręce w górę.

– Wiem. Wiem. Nie wolno mi narażać matki. Dam się zobaczyć. O północy będę już tak pijany, jak jakiś mąż karczmarki! Możesz się założyć, że tam będę! To po prostu jest takie nieheroiczne, Mat. Wojuję z Seanchanami niezależnie od tego, co robi moja matka.

Mat stłumił westchnienie. Prawie mu się udało.

Rzecz jasna nie było sposobu, żeby Czerwonoręcy potajemnie wyprowadzili konie ze stajni. Mat dwukrotnie tego ranka widział, jak jedna kobieta wręcza drugiej monety i po dwakroć wręczająca patrzyła nań złym okiem. Mimo iż Vanin i Harnan z pozoru niewzruszenie tkwili w długich koszarowych pomieszczeniach obok stajni, pałac wiedział, że Mat Cauthon wkrótce się wynosi i już płacono zakłady. Trzeba było zadbać tylko o to, by nikt nie zorientował się, jak szybko to nastąpi, nim będzie za późno.

W miarę jak poranek dojrzewał, wiatr dał coraz silniejszy. On jednak osiodłał Oczko i rozpoczął swe niekończące się kółka po dziedzińcu stajni pałacu, kuląc się nieco w siodle i szczelniej otulając płaszczem. Jechał też wolniej niż zwykle, a stalowe kopyta Oczka dobywały leniwy, ciężki odgłos z kamieni bruku. Od czasu do czasu krzywił się do ciemnych chmur i kręcił głową. Nie, Mat Cauthon wcale nie lubi takiej pogody. Mat Cauthon zaraz schowa się w jakimś ciepłym i suchym miejscu, póki niebo się nie przejaśni, tak, właśnie.

*Sul'dam* prowadzące *damane* we własnym kręgu po podwórzu również wiedziały, że wkrótce go tu nie będzie. I choć służące nie rozmawiały bezpośrednio z Seanchankami, to co wiedziała jedna kobieta, wkrótce wiedziały już wszystkie w promieniu co najmniej mili. Pożar lasu nie rozprzestrzenił się tak szybko po suchej ściółce, jak kobiece plotki. Wysoka słomianowłosa *sul'dam* spojrzała w jego stronę i pokręciła głową. Niska, krępa *sul'dam* zaśmiała się w głos, a białe zęby zaśniły w twarzy smagłej jak u Ludu Morza. Był tylko Zabawką Tylin.

*Sul'dam* się nie przejmował, jednak martwił go stan psychiczny Teslyn. Przez kilka ostatnich dni aż do tego ranka nie widział jej wśród wyprowadzanych na spacer *damane*. Dzisiaj *sul'dam* pozwalały, by poły ich długich płaszczy rozwiewał wiatr, ale *damane* otulały się szczelnie swoimi okryciami – wyjątkiem była Teslyn, której szary płaszcz powiewał niczym sztandar, jakby zupełnie zapomniany, ona sama zaś potykała się na nierównym bruku. W obliczu Aes Sedai błyszcząły szeroko rozwarte, smętne oczy. Od czasu do czasu rzucała spojrzenie ciemnowłosej *sul'dam* o obfitym biuście która trzymała drugi koniec jej srebrnej smyczy i wtedy nie potrafiła się powstrzymać – nerwowo oblizywała wargi.

Mat poczuł, jak go coś ściska w żołądku. Gdzie się podziała determinacja? A jeżeli doszła do wniosku, że lepiej się poddać...

– Wszystko w porządku? – zapytał Vanin, kiedy Mat zsiadł z siodła i podał mu wodze Oczka. Rozpadało się zimnymi, grubymi kroplami, a *sul'dam* zaganiały swoje podopieczne do środka, śmiejąc się i biegiem zmykając przed ulewą. Kilka *damane* również się śmiało, Mat słysząc to, czuł

chłód przenikający do szpiku kości. Vanin nie ryzykował, nie chcąc dawać nikomu powodów do zastanawiania się, dlaczego postanowili uciąć sobie pogawędkę w deszczu. Grubas pochylił się, uniósł lewą przednią nogę Oczka i zaczął sprawdzać kopyto. – Wyglądasz na odrobinę bardziej chorego niż zazwyczaj.

– Wszystko jest w jak najlepszym porządku – odparł Mat. Ból w nodze i biodrze dokuczał niczym chory ząb, ale ledwie zdawał sobie sprawę z jego istnienia. Padało coraz mocniej. Światłości, jeśli Teslyn teraz się załamie... – Zapamiętaj. Jeżeli wieczorem usłyszysz jakieś krzyki w pałacu, albo cokolwiek, co sygnalizować będzie kłopoty, nie czekajcie z Harnanem. Zmykajcie od razu i poszukajcie Olvera. On będzie...

– Wiem, gdzie będzie nasz szczeniaczek. – Vanin puścił nogę Oczka, wyprostował się, a potem splunął przez jedną z licznych szczelin w uzębieniu. Krople deszczu spływały mu po twarzy. – Harnan nie jest na tyle głupi, żeby nie mógł sam założyć sobie butów, ja też wiem co robić. Zajmij się swoją częścią roboty i zadbaj, żeby dopisało szczęście. Chodź, chłopie – zwrócił się znacznie cieplejszym tonem do Oczka. – Mam dla ciebie trochę dobrego owsa. A dla siebie niezły gulasz z ryb.

Mat wiedział, że sam również powinien coś zjeść, jednak miał wrażenie, że wcześniej nałykał się kamieni, które nie zostawiły już miejsca na pożywienie. Pokuśtykał z powrotem do apartamentów Tylin, przerzucił mokry płaszcz przez poręcz fotela i przez czas jakiś stał bez ruchu, wpatrzony w kąt, gdzie włócznia o czarnym drzewcu trwała obok nie naciągniętego łuku. Wrócić po *ashandarei* chciał w ostatniej chwili. W tym czasie cała szlachta Krwi będzie już w łózkach, podobnie jak służba i tylko wartownicy będą czuwać – nie mógł ryzykować, że ktoś go z nią wcześniej zobaczy. Nawet Seanchanie, dla których był Zabawką, zwrócą uwagę, gdy będzie paradował nocą z bronią po korytarzach. Łuk również chciał zabrać. Dobrego czarnego cisu właściwie nie sposób było znaleźć nigdzie poza Dwoma Rzekami, poza tym tutaj wycinano zeń znacznie krótsze drzewce. Nie napięty, powinien być dwie stopy wyższy od łuczника. Może jednak mimo wszystko powinien go zostawić. Jeśli przyjdzie co do czego, będzie potrzebował obu rąk do posługiwania się *ashandarei*, a chwila potrzebna na odrzucenie łuku może decydować o życiu lub śmierci.

– Wszystko pójdzie zgodnie z planem – oznajmił w głos. Krew i popioły, gadał jak ten głupi Beslan! – Nie mam zamiaru wycinać sobie drogi z przekłętego pałacu! – Kompletnie brednie. Szczęście było bardzo przyjemnym sprzymierzeńcem podczas gry w kości. Liczyć na nie w innych sytuacjach, równało się dopraszaniu o śmierć.

Położył się na łóżku, skrzyżował stopy i leżał, wpatrzony w łuk i włócznię. Ponieważ drzwi do salonu pozostawały nieco uchylone, słyszał jak zegar wybija cicho kolejne godziny. Światłości, dziś w nocy będzie potrzebował szczęścia.

Światło za oknem gasło tak powoli, że w pewnej chwili niemalże poderwał się, by sprawdzić, czy słońce nie stanęło na niebie, w końcu jednak szarość ustąpiła miejsca fioletowemu półmrokowi, a ten ciemności. Zegar uderzył dwukrotnie, a potem jedynymi odgłosami było bębnienie deszczu i wycie wiatru. Robotnicy, którzy nie zlekli się pogody, pakują teraz narzędzia i zbierają się do domów. Nikt nie przyszedł, aby zapalić lampy i dorzucić do ognia. Nikt nie spodziewał się go tu zastać, ponieważ spędził na miejscu poprzednią noc. Płomyki na kominku w sypialni zamigotały i zgasły. Wszystko już się zaczęło. Olver siedział sobie wygodnie w starej stajni, pod ocalałym po większej części dachem. Zegar wybił pierwszą pełną godzinę nocy, a po czasie, który zdawał się tygodniem, cztery kuranty drugiej.

Mat podniósł się z łóżka, po omacku dotarł do ciemnego niczym oko wykół salonu i otworzył jak szeroki łuft jednego z wysokich okien. Silny wiatr wniósł do wnętrza krople deszczu przez

misternie kuty w żelazie biały ekran, kaftan szybko przeszedł wilgocią. Księżyc nie widać było zza grubych chmur, a miasto stanowiło lity maszyn spowity w całun deszczu i nie rozświetlany nawet przypadkową błyskawicą. Ulewa i wiatr najwyraźniej zdusiły wszystkie lampy uliczne – noc skryje ich, gdy tylko opuszczą pałac. A każdy patrol, jaki ich zobaczy w tej pogodzie, zastanowi się dwa razy. Drżąc w podmuchach zimnego wiatru przenikającego przez mokry kaftan, zamknął okno.

Usiadł na skraju fotela rzeźbionego w formę bambusa, podparł się łokciami na kolanach i obserwował zegar nad zimnym kominkiem. W ciemnościach nie potrafił go zobaczyć, jednak słyszał równe tykanie. Trwał bez ruchu, chociaż pojedynczy kurant drugiej godziny sprawił, że drgnął. Nie było nic do roboty, jak tylko czekać. Już niedługo Egeanin przedstawi Joline swojej *sul'dam*. Jeżeli naprawdę udało jej się znaleźć trzy, które zrobią, co powie. Jeżeli Joline nie wpadnie w panikę, gdy nałożą jej *a'dam*. Thom, Joline i reszta towarzystwa z gospody spotkają się z nim, zanim dotrze do Dal Eira. A jeśli do niej nie dotrze, Thom będzie musiał spróbować poradzić sobie przy pomocy rzepy. Tamten nie miał wątpliwości, iż zdoła przejść przez bramę, posługując się sfałszowanym rozkazem. Przynajmniej będą mieli jakąś szansę, gdy wszystko inne zawiedzie. Zbyt wiele tych „jeżeli”, żeby się teraz nad tym zastanawiać. Zresztą już na to za późno.

*Ding*, zaśpiewał zegar, jakby ktoś trącił łyżeczką kawałek kryształu. *Ding*. W tej chwili Juilin z pewnością zmierza do swej drogocennej Thery, a przy odrobinie szczęścia Beslan w jakiejś gospodzie zaczyna się upijać do nieprzytomności. Mat wciągnął głęboki oddech i wstał pośród ciemności. Potem zmacał na ślepo noże – w rękawach, pod kaftanem, w zawiniętych cholewach butów, jeden w klapie kołnierza. Dodawszy sobie ducha, opuścił apartamenty. Zbyt późno na cokolwiek, jak tylko przystąpić do dzieła.

Szedł po pustych, zalanych mętnym światłem korytarzach. Tylko jednej na trzy, cztery lampy migotał ognik, iskrząc w zwierciadlanym półkłoszu – drobne kałuże światła, przedzielone bladym cieniem, który jednak nigdzie nie przechodził w prawdziwy mrok. Obcasy stuknęły głośno na płytkach posadzki. Było mało prawdopodobne, by o tej godzinie ktoś jeszcze nie spał, jednak nie powinien przecież sprawiać wrażenia, jakby się skradał. Wsunął kciuki za pas, zwolnił kroku. To nic trudniejszego, niż ukraść ciastko z parapetu kuchennego okna. Chociaż, gdy się nad tym zastanowić, w dziurawej pamięci przechowało się dość wspomnień z dzieciństwa, by przed oczyma stanęło mu niejedno lanie, odebrane przy takiej okazji.

Wszedł na krużganek, biegnący wzdłuż jednego z boków podwórza stajni, postawił kołnier, gdyż wiatr siekł deszczem nawet między smukłymi białymi kolumnami. Przekłęty deszcz! Można w nim utonąć, a przecież jeszcze nawet porządnie nie wyszedł na dwór. Osadzone w ścianach lampy pogasły, wyjąwszy dwie po obu stronach otwartej bramy – jedyne dwa jasne punkty pośród strumieni ulewy. Nie widział nawet wartowników za bramą. Ale pewien był, że oddział Seanchan trwa tam nieruchomo, niby podczas miłego popołudnia. Eboudarianie z pewnością również – nie lubili w niczym być gorsi. Po chwili wrócił do drzwi westybulu, aby uniknąć całkowitego przemoczenia. Na podwórzu stajni panował kompletny bezruch. Gdzie oni są? Krew i krwawe popioły, gdzie...?

W bramie zamajaczyły sylwetki jeźdźców, poprzedzali ich dwaj ludzie z lampami na kijach. Nie potrafił policzyć w deszczu, ale zdawało mu się, że jest ich trochę zbyt wielu. Czy gońcy Seanchan mieli swoich latarników? Może, przy takiej pogodzie. Skrzywił się i cofnął o krok, do westybulu. Słabe światło pojedynczej stojącej lampy spowiło noc na zewnątrz w nieprzebytą kurtynę mroku, ale wciąż wysilał spojrzenie. Za parę chwil pojawiły się cztery okutane w płaszcze postacie, spiesząc ku drzwiom. Jeśli byli to kurierzy, miną go bez powtórnego spojrzenia.

– Twój człowiek, Vanin, jest niegrzeczny – oznajmił głos Egeanin, która odrzuciła kaptur płaszcza w momencie, gdy wkroczyła na krużganek. W ciemnościach jej twarz była tylko kolejnym

cieniem, jednak z zimnego głosu jednoznacznie wywnioskował, co by zobaczył, gdyby nie cofnął się do westybulu. Więc nie poruszył się. Wreszcie zobaczył jej oblicze: ściągnięte brwi i oczy niczym lodowe świdy z nią szedł Domon z równie ponurą miną, strzepując wodę z płaszcza potem dwie *sul'dam*: jedna blada i słomianowłosa, druga z długimi, brązowymi lokami. Więcej szczegółów nie potrafił dostrzec, ponieważ pochylały głowy, wbijając wzrok w płytki posadzki. – Nie powiedziałeś mi, że jest z nią dwóch mężczyzn – kontynuowała Egeanin, ściągając rękawiczki. Dziwne, jak przy tym akcencie jej słów mogły brzmieć jednak energicznie. Nie można było wtrącić nawet słowa. – Albo że pani Anan wybiera się z nami. Na szczęście potrafię się szybko adaptować. Gdy tylko kotwica obeschnie, wszystkie plany zawsze natychmiast trzeba adaptować. Jeśli już mowa o obsychaniu, byłeś na zewnątrz? Ufam, że nikt cię nie widział.

– O co ci chodzi z tym adaptowaniem? – zapytał Mat, przeczesując palcami włosy. Światłości, ależ były mokre! – Wszystko przewidziałem! – Dlaczego te dwie *sul'dam* stoją tak nieruchomo? Jeśli kogokolwiek można było nazwać uosobieniem niechęci, to z pewnością właśnie je. – Kim są tamci?

– Ludzie z gospody – niecierpliwie odrzekła Egeanin. – Po pierwsze, potrzebuję odpowiedniego orszaku, żeby nie wzbudzać podejrzeń ulicznych patroli. A ci dwaj silni... Strażnicy? ... Nadają się świetnie na latarników. Po drugie, nie chciałam nikogo stracić w tym oberwaniu chmury. Najlepiej, żebyśmy od początku trzymali się razem. – Odwróciła głowę, podążając za jego spojrzeniami, kierowanymi ku *sul'dam*. – To Seta Zarbey i Renna Emain. Podejrzewam, iż mają nadzieję, że jutro nie będziesz już pamiętał tych imion.

Blada kobieta drgnęła, słysząc imię Seta, z czego wynikało, że druga to Renna. Żadna nie uniosła głowy. Ciekawe, co też Egeanin mogła na nie mieć? Oczywiście, teraz było to bez znaczenia. Znaczenie miało tylko to, że byli tu wszyscy razem, gotowi do działania.

– Nie ma sensu tu sterczeć – powiedział Mat. – Bierzmy się do roboty. – Zmiany jakie wprowadziła do planu, pozostawił bez dalszych komentarzy. Mimo wszystko, gdy leżał na wznak w łożu Tylin, sam zdecydował się na jedną czy dwie.

# CO POWIEDZIELI AELFIN

Seanchańska szlachcianka okazała zaskoczenie, wręcz irytację, kiedy okazało się, że Mat będzie jej towarzyszył do zagród. Seta Renna oczywiście znały drogę, on zaś miał tylko zabrać swój płaszcz i co tam jeszcze chciał. Dwie *sul'dam* szły za nimi po słabo oświetlonych korytarzach, wciąż w płaszczach, z oczyma wciąż spuszczoneymi. Domon zamykał tyły, jakby był ich pasterzem. Zwisający mu na ramieniu warkocz kołysał się, gdy obracał głowę, zaglądając we wszystkie mijane korytarze. Czasami sięgał do pasa, jakby spodziewał się tam znaleźć miecz lub maczugę. Jednak nie licząc towarzyszy Mata, obwieszane gobelinami korytarze były puste i ciche.

– Mam tu jeszcze coś do załatwienia – powiedział Mat do Egeanin, tak beztrusko, jak tylko potrafił i uśmiechnął się. – Nie musisz się o nic martwić. Potrwa tylko chwilkę. – Jego najbardziej ujmujący z uśmiechów z pozoru nie wywierał na niej większego wrażenia niż wczoraj w pokoju gospody.

– Jeżeli teraz mnie zawiedziesz... – warknęła groźnym tonem.

– Nie zapominaj, kto wszystko zaplanował – mruknął, ona zaś tylko parsknęła. Światłości, kobietom się zawsze wydawało, że mogą w każdej chwili wkroczyć, przejąć wszystko i wykonać lepszą robotę niż mężczyzna, do którego należała!

Przynajmniej nie usłyszał żadnych dalszych skarg. Szybko wspięli się na najwyższe piętro pałacu, a potem weszli po wąskich schodach w przestrzeń strychu. Tutaj świeciły się tylko pojedyncze lampy, Bacznie mniej niż na korytarzach, a labirynt wąskich przejść między tycimi pokoikami za przepierzeniami z drewna był jedną gmatwaniną cieni. Jednak i tu panował zupełny bezruch; Mat powoli zaczynał coraz swobodniej oddychać. Byłby jeszcze spokojniejszy, gdyby Renna nie westchnęła nagle z wyraźną ulgą.

Ona i Seta dobrze wiedziały, gdzie mieszka która *damane*, jeśli nawet nie spieszyły się, też nieszczerze zwlekały przed zagłębieniem się w labirynt zagród, może dlatego, że Domon następował im na pięty. Jednak ich zachowanie nie napawało wyjątkowym optymizmem. No, cóż, gdyby życzenia były koźmi, żebracy jeździliby wierzchem. Trzeba sobie radzić z tym, co się ma. Zwłaszcza, gdy nie ma innego wyboru.

Egeanin obrzuciła go ostatnim, twardym spojrzeniem i znowu coś mruknęła, tym razem zupełnie niezrozumiale. I poszła za tam tymi, a poły jej płaszcz lekko falowały. Skrzywił się za jej plecami. Ta kobieta chodziła w taki sposób, że gdyby nie suknia, można by ją wziąć za mężczyznę.

Rzeczywiście miał coś jeszcze do załatwienia, tyle że nie był to wcale drobiazg. Zresztą, wcale nie miał ochoty się tym zajmować Światłości, próbował sobie rzecz całą wyperswadować! Jednak po prostu musiał, cholera! Gdy tylko Egeanin śladem Domona i pozostałych zniknęła za rogiem, skoczył do najbliższego pomieszczenia, w którym, jak zapamiętał, przebywała kobieta Ludu Morza.

Ostrożnie otworzył proste drewniane drzwi, starając się, by nie skrzypnęły, po czym wślizgnął się do ciemnego wnętrza. Śpiąca kobieta zniemacka zachrapała ostro. Powoli wymacywał sobie drogę, póki nie uderzył kolanem w krawędź łóżka, a potem przebiegł rękoma po kształcie pod kocami i znalazł głowę akurat w czas, by zakryć usta, gdy zbudziła się z szarpnięciem.

– Chcę, żebyś odpowiedziała mi na jedno pytanie – szepnął. Krew i popioły, a co, jeśli pomylił pokoje? Co, jeśli to w ogóle nie jest Poszukiwaczka Wiatru, tylko jedna z przeklętych Seanchanek? – Co byś zrobiła, gdybym zdjął ci z szyi obrozę? – Oderwał dłoń i wstrzymał oddech.

– Uwolniłabym moje siostry, gdyby taka była wola Światłości – Akcent Ludu Morza

rozbrzmiewający w ciemnościach sprawił, że znów zaczął oddychać. – Z łaski Światłości, pokonałybyśmy zatokę, dotarli do miejsca, gdzie przetrzymuje się naszych ludzi, i uwolniły tyłu, ilu się da. – Głos niewidocznej kobiety był wciąż cichy, jednak z każdym wypowiedzianym słowem pobrzmiwały w nim coraz bardziej zapalczywe tony. – Z łaski Światłości, odbilibyśmy nasze okręty i wywalczyli sobie drogę na morze. Zaraz! Jeśli to jakaś sztuczka, ukarż mnie i miejmy to z głowy, albo mnie zabij. Gotowa byłam już się załamać, chciałam się poddać i hańba ciążyć będzie na mnie po wieki, jednak ty przypomniałeś mi, kim jestem i odtąd nigdy nie ulegnę. Słyszysz mnie? Nigdy!

– A gdybym cię poprosił, byś zaczekała trzy godziny? – zapytał wciąż ją trzymając. – Pamiętam, że Atha'an Miere potrafią w głowie odmierzyć godzinę co do kilku minut. – Nie on pamiętał, ale wspomnienie teraz należało do niego, jak żywa stanęła mu przed oczami podróż okrętem Atha'an Miere z Allorallem do Barashty i jasnooka kobieta Ludu Morza, która płakała, nie chcąc zejść z nim na brzeg.

– Kim jesteś? – szepnęła.

– Nazywam się Mat Cauthon, jeśli to cokolwiek zmienia.

– Jestem Nestelle din Sakura Południowa Gwiazda, Macie Cauthon. – Usłyszał, jak splunęła i wiedział, co to oznacza. Splunął na własną dłoń, a potem ich ręce odnalazły się w ciemnościach. Jej były równie poznaczone odciskami co jego, zaś uścisk mocny. – Poczekam – powiedziała. – I nie zapomnę cię. Jesteś wielkim i dobrym człowiekiem.

– Jestem tylko graczem – odrzekł. Jej dłoń poprowadziła jego rękę do złożonej z segmentów obroży na szyi; kiedy ją otworzył, rozległ się ostry trzask. Westchnęła głęboko.

Raz tylko musiał ułożyć jej palce na obroży, żeby pojęła sztuczkę, jednak kazał jej jeszcze trzykrotnie próbować nim uznał, że zdobył pewność. Jeżeli już się zdecydował, lepiej zrobić wszystko dobrze.

– Trzy godziny, licząc dokładnie – przypomniał jej.

– Tak dokładnie, jak tylko potrafię – odszepnęła.

Mogła zniszczyć wszystko, jednak jeśli nie on miał zaufać szczęściu, to kto? Mimo wszystko, to on był szczęśliwym człowiekiem. Może ostatnimi czasy, jakoś nie bardzo to było widać, jednak przecież znalazł Egeanin dokładnie w momencie, gdy jej potrzebował, szczęście wciąż dopisywało Matowi Cauthonowi.

Wyślizgnął się z pokoiku tak cicho, jak przedtem doń wszedł zamknął drzwi. I niemalże się udławił. Patrzył na plecy postawnej siwowłosej kobiety w sukni z czerwonymi emblematami. Za nią stała Egeanin, wyprężona, oraz Teslyn połączona srebrną linką *a'dam* z Renną. Nigdzie nie było widać Domona ani Sety czy też tej Edesiny, której dotąd na oczy nie widział. Egeanin wyglądała niczym lwica gotowa zabijać, natomiast Teslyn z szeroko rozwartymi oczami, drżąca, sprawiała wrażenie oszalałej ze strachu, a usta Renny wykrzywiał taki grymas, jakby za chwilę miała zemdleć.

Wstrzymując oddech, dał ostrożny krok w kierunku siwowłosej, wyciągnął ręce. Jeśli zdoła ją obezwładnić, zanim tamta zdąży krzyknąć, będą mogli gdzieś ukryć nieprzytomną... Gdzie? Seta i Renna będą chciały ją zabić. Niezależnie od tego, co Egeanin na nie miała, tamta z pewnością je zna.

Surowe błękitne oczy Egeanin na moment pochwyciły jego spojrzenie ponad ramieniem siwowłosej, potem znów spoczęły na jej twarzy.

– Nie! – oznajmiła ostro. – Nie ma już czasu, by zmieniać plany w ostatniej chwili. Szlachetna Lady Suroth powiedziała, że mogę wykorzystać każdą *damane*, którą zechcę, *Der'sul'dam*.

– Oczywiście, moja pani – odparła siwowłosa, cokolwiek zmieszana. – Chciałam tylko wskazać na fakt, że Tessi nie jest jeszcze w pełni wyszkolona. W istocie, to specjalnie dla niej tu przyszedłam. Oczywiście, jej szkolenie przebiega w pełni satysfakcjonujące, moja pani, ale...



Wciąż wstrzymując oddech, Mat wycofał się na paluszkach. Zszedł po wąskich schodach, zapierając się rękoma o ściany, aby przenieść na nie maksymalny ciężar ciała. Nie pamiętał wprawdzie żadnych skrzypiących stopni, jednak nie należało kusić losu, przynajmniej kiedy nie trzeba. Człowiek powinien się kontentować tym, co mu szczęście zsyłało i nie prosić o więcej. Oto była droga do długiego życia, na którym przecież każdemu zależy.

U podnóża schodów zatrzymał się, aby zaczerpnąć oddech i uspokoić puls. Przynajmniej odrobinę. Serce pewnie będzie mu tak walić aż do jutra. Nie był pewien, czy od zobaczenia siwowłosej kobiety bodaj raz zaczerpnął powietrza. Światłości! Jeżeli Egeanin uznała, że panuje nad sytuacją, cóż, niech jej przekłetej będzie, niemniej dalej: Światłości! Naprawdę musiała mieć w garści te dwie *sul'dam*! Jej plan? Cóż, miała rację przynajmniej w tym, że nie było czasu do stracenia. Ruszył biegiem.

Biegł, póki nie zakłuło go boleśnie biodro, potknął się i zatoczył na intarsjowany turkusami stoliczek. Złapał równowagę, chwytając jeden z letnich arrasów, a fragment jedwabnej materii z kwietnymi motywami oderwał się, odsłaniając żółty marmur. Stojący na stoliczku wazon z białej porcelany przewrócił się i rozbił na czerwono-niebieskiej posadzce. Głośny grzechot echo poniosło po korytarzach. Po wszystkim mógł już tylko kuśtykać. Niemniej, kuśtykał tak szybko, jak to leży w ludzkich możliwościach. Jeżeli ktoś przyjdzie sprawdzić źródło hałasu, z pewnością nie znajdzie Mata Cauthona, stojącego nad tym pobojuwiskiem, ani nie zobaczy go w promieniu najbliższych korytarzy.

Dokuśtykał jakoś do apartamentów Tylin, przeszedł przez salon i wszedł do sypialni... i dopiero wtedy zrozumiał, że ktoś zapalił lampy. Na kominku zaś buzował młody ogień, podsycany szczapami drewna, pochodzącymi z pozłacanego kosza na opał. W sypialni, wykręcając ręce, aby sięgnęły guzików na plecach sukni, stała Tylin. Spojrzała na niego i zmarszczyła brwi. Ciemnozielona suknia do konnej jazdy była wygnieciona. Drewno w kominku zatrzęszczało, plując w komin snopem iskier.

– Nie spodziewałem się, że tak szybko wrócisz – powiedział, próbując zebrać myśli. Wśród wszystkich rzeczy, po których oczekiwał, że mogą pójść źle, powrotu Tylin nie uwzględnił. W głowie miał zupełną pustkę.

– Suroth dowiedziała się o zniknięciu armii w Murandy – powoli odrzekła Tylin, prostując się. Mówiła tonem roztargnionym, nie bardzo zastanawiając się nad słowami. Jej uwagę głównie przykuwał wygląd Mata. – Jaka armia i jak w ogóle armia może zniknąć, tego nie wiem, jednak zdecydowała, że sprawa najwyraźniej jest pilna i wymaga jej obecności na miejscu. Zostawiłyśmy wszystkich i leciałyśmy, ile sił w skrzydłach tego stwora, kiedy niesie jeno dwie osoby i powożącą. W dokach zarekwirowałyśmy konie. Ona nawet nie wróciła do pałacu, tylko poszła prosto do tej gospody, gdzie mieszkają jej oficerowie. Nie wydaje mi się, by dzisiejszej nocy jej Seanchanie zaznali spokojnego snu...

Tylin urwała, podeszła po niego i powiodła palcem po materii zielonego kaftana.

– Kłopot z oswojonym lisem – mruknęła – polega na tym, że wcześniej czy później przypomni mu się lisia natura. – Ciemne oczy przeszły go na wskroś. Znienacka wczepiła mu palce we włosy, nachyliła jego głowę i pocałowała tak, że aż mu w pięty poszło. – Po to – powiedziała bez tchu, gdy w końcu go puściła – żebyś miał za czym tęsknić. – Wciąż patrząc mu w oczy, wymierzyła taki policzek, że aż mu srebrne kropki zatańczyły przed oczyma. – A to za próbę ucieczki pod moją nieobecność. – Odwróciła się i przerzuciła fale czarnych niczym krucze skrzydło włosów przez ramię. – Rozepnij mi guziki, mój śliczny lisku. Przyjechałyśmy późno i nie chciałam budzić służby, ale przez te paznokcie nie radzę sobie z guzikami. Ostatnia noc i jutro już możesz ruszać w swoją

stronę.

Mat roztarł policzek. Ta kobieta mogła mu wybić zęb! Przynajmniej odzyskał jasność myśli. Skoro Suroth znajdowała się w „Wędrownej Kobiecie”, wobec tego nie mogła mieć pojęcia, co się dzieje w Pałacu Tarasin. Szczęście wciąż mu dopisywało. Jedynym problemem była stojąca przed nim kobieta. Jedynym rozwiązaniem – szczerłość.

– Wyjeżdżam dziś wieczorem – oznajmił, kładąc jej dłonie na ramionach. – I zabieram ze sobą kilka Aes Sedai ze strychu. Jedź ze mną. Poślę Thoma i Juilina, żeby znaleźli Beslana i...

– Mam jechać z tobą? – zapytała z niedowierzaniem, potem odstąpiła na krok i odwróciła się ku niemu. Na jej twarzy zastygł grymas pogardy. – Gołąbeczku, nie mam kaprysu zostać twoją pięknością i nie mam zamiaru zostać emigrantką. Ani zostawić Altary w dłoniach tego, kim zastąpią mnie Seanchanie. Jestem z łaski Światłości królową Altary, nie porzucę mojego kraju. Naprawdę zamierzasz uwolnić Aes Sedai? Życzę ci powodzenia, jeśli już musisz... ale wygląda to na prostą drogę do tego, by twą głowę zatknęli na pice. To zbyt śliczna główka, by miano ją odciąć i wytarzać w smole.

Znowu próbował położyć jej dłonie na ramionach, jednak tym razem cofnęła się i spojrzała w taki sposób, że ręce mu opadły. W miarę możliwości starał się mówić tonem jak najbardziej nagłym:

– Tylin, zadbałem o to, by wszyscy wiedzieli, iż wyjeżdżam i chcę opuścić pałac przed twoim powrotem. Seanchanie nie mogliby cię winić, ale w obecnej sytuacji...

– Wróciłam i przyłapałam cię na gorącym uczynku – wtrąciła żwawo – a ty mnie związałeś i zostawiłeś pod łóżkiem. Kiedy rano zostanę znaleziona, wścieknę się na ciebie. Oszaleję! – Uśmiechnęła się, ale w jej oczach migotały błyski w istocie niedalekiej prawdziwej złości, mimo wszystkich słodkich słówek na temat lisków i tak dalej. – Wyznaczę za ciebie nagrodę, obiecuję. Tuon, że będzie mogła cię kupić, kiedy zostaniesz złapany, o ile jeszcze cię będzie chciała. Uwierzą mi, kaczorku. Suroth już wie, że zamierzam ogolić głowę.

Mat uśmiechnął się słabo. Wierzył w jej słowa. Naprawdę miała zamiar go sprzedać, gdy zostanie złapany. „Kobiety są niczym labirynt kolczastych pnączy po nocy”, głosiło stare przysłowie i miało rację.

Tylin poinstruowała go, jak ma ją związać. Pęta miały pochodzić z pociętej sukni, jakby naszła go znieca i musiał użyć przemocy. Węzły zaciągnięte mocno, żeby nie wydostała się, niezależnie jak będzie próbować. A kiedy już je zaciągnął, faktycznie próbowała – szarpała się całkiem realistycznie. Może rzeczywiście starała się uwolnić, wyszczerzyła zęby w obliczu niepowodzenia. Kostki i nadgarstki związał razem na plecach, na szyję założył pętlę, przymocowaną do nogi łóżka; tym sposobem nie mogła podczołgać się do drzwi, a potem wydostać na korytarz. Ani, rzecz jasna, krzyczeć o pomoc. Kiedy wsunął jej do ust knebel z jedwabnej chusteczki i obwiązał, uśmiechnęła się, jednak w oczach gorzał ogień. Kolczasty labirynt po nocy.

– Będę za tobą tęsknił – powiedział cicho, wpychając ją pod łóżko. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że nie skłamał. Światłości! Szybko porwał płaszcz, rękawice i włócznię. Po drodze do drzwi zdmuchnął lampy. Kobiety umiały wciągnąć mężczyznę w labirynt, nim ten się bodaj zorientował.

Korytarze wciąż były puste – i ciche, wyjąwszy nierówny odgłos jego kroków – jednak poczucie ulgi rozwiało się, gdy tylko wszedł do westybulu, za którym było podwórze stajni.

Pojedyncza lampa stojąca zalewała migoczącym światłem nieodłączne kwietne gobeliny, jednak Juilina i jego kobiety nigdzie nie było. Podobnie zresztą jak Egeanin i pozostałych. Biorąc pod uwagę chwile zmitrężone z Tylin, wszyscy od dawna powinni już na niego czekać. W prześwicie krużganka

deszcz skrywał świat litą zasłoną czerni. Może poszli do stajni? Egeanin zmieniała jego plany, kiedy tylko przyszła jej na to chęć.

Narzekając pod nosem, otulił się płaszczem i już chciał ruszyć przez mokrą noc ku stajni. Na dziś miał już naprawdę dość wszystkich kobiet.

– A więc jednak uciekasz, Zabawko.

Z przekleństwem na ustach odwrócił się... i zobaczył Tuon. Jej smagłą, poważną twarz skrywała przezroczyta woalka. Podtrzymujący woalkę na nagiej czaszce diadem był jednym kręgiem ognistych łez i pereł. Prawdziwa fortuna, jeśli do tego dodać szeroki wysadzany klejnotami pasek i długi naszyjnik. Świetny moment, by myśleć o klejnotach, nie ma co... Nawet takich. Cóż ona tu, na Światłość, robi o tej porze? Krew i popioły, jeśli się wystraszy, wezwie strażę...!

Popchnięty desperacją, wyciągnął ku niej rękę, ale wywinęła się z uścisku i wytrąciła mu *ashandarei*. Cios był tak mocny, że prawie stracił czucie w dłoni. Spodziewał się, że teraz zacznie uciekać, zamiast tego zasypała go niezliczonymi ciosami dłoni zwiniętych w pięści lub złożonych razem na podobieństwo ostrza topora. Sam był szybki – Thom mawiał, że nigdy jeszcze nie spotkał kogoś o równie szybkich rękach – jednak teraz był w stanie tylko zasłaniać się przed nią, a o schwytności mógł zapomnieć. Gdyby nie to, że resztkami refleksu chronił przed złamaniem swój nos – oraz inne części ciała, biła nadzwyczaj mocno, jak na taką drobną istotkę – cała sytuacja mogłaby mu się wydać śmieszna. Był od niej znacznie wyższy i cięższy, choć w istocie jak na mężczyzną wagę miał mnie więcej w normie, jednak atakowała go nieustannie, jakby to ona była wyższa, silniejsza i spodziewała się w każdej chwili rozstrzygnąć starcie. Z jakiegoś powodu już po kilku chwilach walki jej pełne usta uśmiechały się szeroko, a gdyby nie sytuacja, przysięgłby, że w wielkich wilgotnych oczach lśni rozkosz. A żeby szczęść, podziwianie piękna kobiety w takiej chwili było czymś znacznie gorszym, niż szacowanie wartości posiadanych przez nią klejnotów!

Nagle odstąpiła i uniosła dłonie, by poprawić diadem. Na jej twarzy nie było już śladu poprzednich wzruszeń. Zastąpiła je całkowita koncentracja. Rozstawiła nogi i nie spuszczać zeń oka, powoli zaczęła podciągać białe plisowane spódnice, póki nie obnażyła kolan.

Nie potrafił pojąć, dlaczego jeszcze nie wzywa pomocy, jednak rozumiał, że przygotowuje się do kopnięcia. Cóż, nie uda jej się, póki on ma w tej sprawie coś do powiedzenia! Skoczył i wszystko wydarzyło się od razu. Szarpnięcie bólu w biodrze rzuciło go na kolana. Tuon zadarła suknię nad biodra, a jej szczupła noga w białej pończosze wymierzyła mu kopniaka, który przeszedł wysoko ponad głowę. Tymczasem ona sama znalazła się w powietrzu...

Z pewnością nie mniej niż ją zaskoczył go widok Noala, który trzymał wierzgającą dziewczynę, jednak zareagował szybciej niż ona. Gdy w końcu otworzyła usta do krzyku, Mat doskoczył do niej i wepchnął jej materię woalki między zęby. Stracony z czoła diadem potoczył się po posadzce. Oczywiście, nie było mowy o współpracy, jakiej doczekał się od Tylin. Wyłącznie mocnemu chwytowi za szczękę zawdzięczał, że mu nie odgryzła palców. Z jej gardła dobywały się gniewne odgłosy, a w oczach gorzała wściekłość, której nie było w nich podczas walki. Skręcała się w uściskach Noala, wierzgając nogami. Jednak stary tak zręcznie ją trzymał, że nie była w stanie go trafić. Zresztą, stary czy nie stary, najwyraźniej radził sobie świetnie.

– Kobiety zawsze traktują cię w ten sposób? – zapytał tamten, uśmiechając się uprzejmie. Miał na sobie płaszcz, a tobolek z dobytkiem przewiesił przez plecy.

– Zawsze – kwaśno odparł Mat i jęknął, trafiony kopniakiem w biodro. Jedną ręką odwiązał szarfę z szyi, a potem zakneblował nią Tuon kosztem przygryzionego kciuka. Światłości, co on miał z nią zrobić?

– Nie miałem pojęcia, że to właśnie sobie zaplanowałeś – powiedział Noal, którego zmagania

nie zmęczyły. Mimo szalejącej w jego ramionach furii, piersi starego nie unosił przyspieszony oddech. – Ale jak widzisz, dziś w nocy również postanowiłem wymówić gościnę. Podejrzewam, że za dzień, dwa miejsce to może stać się niezbyt przyjemne dla twego szanownego sługi.

– Mądra decyzja – mruknął Mat. Światłości, zapomniał ostrzec Noala.

Ukląkł i udało mu się na tyle uniknąć kopniaków Tuon – przynajmniej większości – żeby złapać jej nogi. Dobył z rękawa nożem naciął skraj jej sukni, a potem oderwał z niej długi pas, którym chciał związać kostki. Dobrze się stało, że przed momentem nabrał praktyki. Wiązanie kobiet nie zaliczało się do jego codziennych zajęć. Oderwał drugi pas materii od jej sukni, a potem po dwakroć jęknął: raz z wysiłku, jakiego kosztowało podniesienie jej diademu z posadzki, dwa od ostatniego kopnięcia z obu nóg, na które jego biodro zareagowało eksplozją ognia. Kiedy nasadził jej diadem na głowę, Tuon spojrzała mu głęboko w oczy. Przestała się niepotrzebnie ciskać, jednak lęku w niej również nie było. Światłości, na jej miejscu chyba by dostał skrętu kiszek.

W końcu pojawił się Juilin, w płaszczu, z pełnym wyposażeniem; przy pasie miał krótki miecz i łamacz mieczy, w ręku cienką bambusową pałkę. Do jego boku przywarła szczupła ciemnowłosa kobieta w grubych białych szatach, jakie *da'covale* nosili na dworze. Była śliczna w cokolwiek nadąsany sposób, z usteczkami niby pąk róży, jednak co najmniej pięć, sześć lat starsza niż Mat oczekiwał – wielkie ciemne oczy popatrywały nieśmiało. Na widok Tuon pisnęła i odskoczyła od Juilina, jakby ją parzył. Potem padła na kolana i przycisnęła głowę do posadzki.

– Aż do tej chwili musiałem ją przekonywać do ucieczki – westchnął łowca złodziei, obrzucając ją zaniepokojonym spojrzeniem. Tyle powiedział tytułem wyjaśnienia, a potem jego uwagę przyciągnęło brzemień Noala. Zdjął ten swój bezsensowny stożkowy kapelusz i podrapał się po głowie. – I co my z nią zrobimy? – zapytał wprost.

– Zostawimy ją w stajni – odparł Mat. Będzie to możliwe pod warunkiem, że Vanin i Harnan przekonali stajennych, by pozwolili im się zająć wierzchowcami ewentualnych kurierów. Do tej pory wydawało się to zupełnie zbędnym środkiem ostrożności, z pozoru wcale niekoniecznym. Do tej pory. – Na stryszku z sianem. Znajdą ją dopiero rano, podczas karmienia koni.

– A już myślałem, że postanowiłeś ją porwać – westchnął Noal, stawiając Tuon na posadzce i przesuwając uchwyt. Z wysoko uniesioną głową kobieta sprawiała takie wrażenie, jakby dalsza walka była poniżej jej godności. Przestała się szamotać nie dlatego, że było to beznadziejne, ale dlatego, że tak postanowiła.

W korytarzu wiodącym do westybulu rozległy się kroki. I z każdą chwilą stawały głośniejsze. To w końcu pewnie Egeanin. Albo, wnioskując ze sposobu, w jaki układały się wydarzenia tej nocy, Straż Skazańców. Ogirowie.

Mat szybkim gestem posłał ich do kątów, których nie mógł zobaczyć nikt z wchodzących, a potem pokuśtykał po swoją włócznię. Juilin podniósł Therę i pociągnął w lewo, gdzie zaraz przykucnęła. Sam zaś stanął przed nią, ściskając pałkę w obu dłoniach. Broń sprawiała dość mizerne wrażenie, jednak łowca złodziei potrafił wiele przy jej pomocy zdziałać. Noal zawlekl Tuon do przeciwnego kąta pomieszczenia, a potem uwolnił jedną rękę i sięgnął pod kaftan po długi nóż. Sam Mat stanął pośrodku, plecami do przesiąkniętej wilgocią nocy i wzniosł *ashandarei*. Nieważne kto wejdzie do pomieszczenia, do wielkich czynów i tak nie był zdolny – kopniak Tuon praktycznie rzecz biorąc sparaliżował jego biodro – jednak gdy przyjdzie co do czego, przynajmniej choć trochę poharata tamtych.

Gdy zobaczył wchodzącą przez drzwi Egeanin, z westchnieniem oparł się na drzewcu włóczni. Za nią wkroczyły dwie *sul'dam*, ich śladem zaś Domon. Mat miał po raz pierwszy okazję przyjrzeć się Edesinie i stwierdził, że pamięta ją z tamtego dnia, gdy obserwował *damane* na spacerze – była

tą szczupłą przystojną kobietą z czarnymi włosami sięgającymi talii. Mimo *a'dam*, łączącego jej kark z nadgarstkiem Sety, Edesina wyglądała na spokojną. Aes Sedai na smyczy wprowadzie, niemniej pewna, że już wkrótce jej się pozbędzie. Przeciwnie Teslyn, ta była jedną niecierpliwością, bezustannie oblizywała usta i zerknęła w kierunku drzwi wyjściowych. Renna i Seta prowadziły obie Aes Sedai, wciąż nie odrywając oczu od posadzki.

– Musiałam uspokoić *der'sul'dam* – oznajmiła Egeanin, gdy tylko weszła do pomieszczenia. – One często bywają nad opiekuńcze wobec swych podopiecznych. – Zauważywszy Juilina z Therą, zmarszczyła czoło. Wcześniej wydawało się niepotrzebne informować ją o ich udziale w ucieczce, zwłaszcza skoro zgodziła się pomóc przy *damane*. Jednak niespodzianka w białej szacie wyraźnie była jej nie w smak. – Ale skoro zobaczyła Rennę i Setę, to zmienia nieco sytuację... – ciągnęła dalej – niemniej... – Gdy spojrzeniem objęła Tuon, słowa zamarły niczym ucięte nożem. Egeanin miała bardzo jasną cerę, ale teraz pobladła wyraźnie. Tuon odpowiedziała jej spojrzeniem znad knebla, a jej srogi grymas mógłby gościć na obliczu kata. – Och, Światłości! – powiedziała Egeanin ochryple, padając na kolana. – Ty szaleńcu! Dotknięcie Córki Dziewięciu Księżyców karane jest śmiercią przez powolne tortury! – Obie *sul'dam* jęknęły i bez wahania osunęły się na kolana, nie tylko pociągając za sobą Aes Sedai, ale również ścisłym chwytem obroży wgniatając ich twarze w posadzkę.

Mat odkasznął, jakby zarobił jeszcze jeden cios w brzuch od Tuon. Tak się zresztą poczuł. Córka Dziewięciu Księżyców. Aelfin powiedzieli prawdę, niezależnie jak byłaby mu nienawistna. Umrze i znowużyć będzie – to już się chyba stało. Zatraci połowę Światłości świata, żeby uratować świat – nawet nie chciał sobie wyobrażać, co to może oznaczać. Ożeni się...

– To jest moja żona – powiedział cicho. Ktoś wydał głośny odgłos, jakby się dławził. Mat uznał, że to Domon.

– Co? – pisnęła Egeanin. Aelfin zawsze mówili prawdę. Zawsze. – To jest moja żona. Wasza przeklęta Córka Dziewięciu Księżyców jest moją żoną!

Zagapili się na niego wszyscy, wyjąwszy Juilina, który tępo oglądał trzymany w dłoniach kapelusz. Domon pokręcił głową, a Noal roześmiał się cicho. Egeanin zamarła z rozdziawionymi ustami. Obie *sul'dam* najwyraźniej uznały, że mają przed sobą szaleńca – skończonego, bredzącego szaleńca. Tuon też patrzyła, jednak wyrazu jej twarzy nie dawało się odczytać, ciemne oczy szczelnie skrywały wszelką myśl. Och, Światłości, co on miał teraz zrobić? Przede wszystkim trzeba działać, dopiero potem...

Do pomieszczenia znieacka wparowała Selucia, a Mat znowu jęknął. Czy zaraz zbiegną się tu wszyscy mieszkańcy pałacu? Domon spróbował ją złapać, ale wywinęła się. Złotowłosa *so'jhin* z obfitym biustem nie zachowywała się równie statecznie co zawsze, lecz załamywała ręce i rozglądała wokół przerażonym wzrokiem.

– Wybaczcie mi, że odzywam się bez pytania – powiedziała w ostatecznej trwodze – ale to, co robicie jest głupotą gorszą od szaleństwa. – Zawodząc, przypadła do posadzki między klęczącymi *sul'dam*, podparła się dłońmi na ich ramionach, jakby szukała pomocy. Spojrzenie błękitnych oczu biegało po pomieszczeniu.

– Niezależnie co mówiły omeny, wszystko da się jeszcze naprostować, jeśli tylko w porę zrezygnujecie.

– Spokojnie, Selucia – powiedział łagodnie Mat. Nie patrzyła na niego, mimo to wykonał ugodowy gest. W żadnym z odwiecznych wspomnień nie było sposobu na radzenie sobie z histeryzującą kobietą. Oprócz zmykania co sił w nogach. – Nikomu nie stanie się krzywda. Nikomu! Obiecuję ci. A teraz się uspokój.

Z jakiegoś powodu na jej twarzy pojawiła się konsternacja, jednak złożyła dłonie i przysiadła na piętach. W jednej chwili cały strach zniknął, ona zaś zmieniła się w zwykłe ucieleśnienie dostojności.

– Będę ci posłuszna, póki nie wyrządzisz krzywdy mojej pani. Jeżeli coś jej zrobisz, zabiję cię.

Gdyby usłyszał coś takiego od Egeanin, pewnie dwa razy by się zastanowił. W ustach tej pulchnej kobiety o śmietankowych policzkach, tak niskiej, że niewiele tylko wyższej od jej pani, groźba wydała mu się w ogóle niewarta uwagi. Światłość jedna wiedziała, że kobiety są niebezpieczne, jednak z pokojówką damy, z pewnością sobie poradzi. Przynajmniej przestała histeryzować: Dziwne, jak łatwo kobietom przychodziły takie reakcje, i jak łatwo potem przechodziły.

– Przypuszczam, że to oznacza, iż obie trafiana stryszek? – zapytał Noal.

– Nie – odparł Mat, przyglądając się Tuon. Odpowiedziała mu spojrzeniem. Wciąż całkowicie bezbarwnym. Mała kobietka, szczupła niczym chłopak, a on przecież lubił kobiety z krwi i kości. Dziedziczka seanchańskiego tronu, a on na widok szlachcianek dostawał gęsiej skórki. Kobieta, która chciała go kupić, a teraz pewnie najchętniej wsadziłaby mu nóż pod żebra. I miała zostać jego żoną. Aelfin zawsze mówili prawdę. – Bierzemy je ze sobą – dokończył.

W końcu na twarzy Tuon pojawiła się jakaś reakcja. Uśmiechnęła się, jakby nagle weszła w posiadanie niedostępnej innym tajemnicy. Uśmiechnęła się, a on zadrżał. Światłości, aż się cały zatrząsł.

# CZEŚĆ MĄDROŚCI

„Złote Koło” było gospodą okazałych rozmiarów, otwierającą swe podwoje tuż przy Rynku Avharin. Pod belowanym sklepieniem wspólnej sali tłoczyły się niewielkie kwadratowe stoliczki. Jednak mimo południowej pory najwyżej jeden na pięć był zajęty, zazwyczaj przez zagranicznego kupca, który wyznaczył sobie tu spotkanie z kobietą w skromnym odzieniu i włosach zebranych na czubku głowy lub spiętych na karku. Te kobiety również parały się handlem ewentualnie bankowością – w Far Madding mężczyźni nie mieli prawa do zajęć merkantylnych, czy bodaj w istotny sposób powiązanych z obrotem pieniężnym. Wszyscy zagraniczni kupcy byli mężczyznami, w przeciwnym razie rozmowy toczyłyby się w Kobiecej Sali. Z kuchni dobiegały wonie pieczonej ryby i duszonej baraniny, a od czasu do czasu któreś z gości wzywało głośno stojących rzędem pod ścianą służących. Poza tymi rzadkimi wypadkami kupcy i bankierzy mówili właściwie szeptem. Grzechot deszczu na zewnątrz brzmiał bardziej donośnie.

– Jesteś pewien? – zapytał Rand, odbierając pomięty rysunek od służącego o wydatnej szczęce, którego przed momentem wezwał do siebie.

– Myślę, że to on – niepewnie rzekł tamten, wycierając ręce w fartuch haftowany symbolem żółtego koła wozu. – Podobny. Wkrótce powinien wrócić. – Przeniósł spojrzenie gdzieś za plecy Randa i westchnął. – Lepiej, żebyś coś zamówił. Pani Gallger nie lubi, gdy zamiast pracować, wdajemy się w pogaduszki. A gdyby się dowiedziała, że plotkuję na temat klientów, byłoby już bardzo źle.

Rand obejrzał się przez ramię. W pomalowanym na żółto przejściu do Kobiecej Sali stała szczupła kobieta. Ciemny kok zdobił rzucający się w oczy grzebień z kości słoniowej. Ze sposobu, w jaki ogarniała wzrokiem wspólną salę – na poły niczym królowa spoglądająca na swą domenę, na poły niczym wieśniaczka przyglądająca się plonom, w każdym razie najwyraźniej niezbyt zadowolona z widoku – można było wnosić właścicielkę gospody. Kiedy jej oczy spoczęły na Randzie i służącym z wydatną szczęką, zmarszczyła brwi.

– Przyprawione wino – zamówił Rand, podając tamtemu kilka monet: miedziaki na napitek i srebrną markę za informacje, niezależnie już ile była naprawdę warta. Minał ponad tydzień, od kiedy zabił Rochaida, a Kisman uciekł i cały ten czas upłynął na jałowych właściwie poszukiwaniach. Po raz pierwszy tutaj dopiero widok rysunku spotkał się z reakcją inną niż wrzuszanie ramion czy kręcenie głowami.

Pod ręką miał kilkanaście wolnych stolików, zdecydował się jednak na miejsce w odległym kącie pod frontową ścianą gospody, skąd mógł obserwować wchodzących, sam nie będąc widziany. Kiedy przepychał się między stolikami, do uszu wpadały mu oderwane strzępy konwersacji.

Wysoka blada kobieta w ciemnozielonych jedwabiach kręciła głowę w reakcji na słowa mężczyzny, odzianego w ściśle dopasowany taireński kaftan. Stalowski koczek na głowie z profilu upodabniał ją nieco do Cadsuane. Jej towarzysz natomiast zdawał się jakby wykuty z kamienia, tylko na smagłej kwadratowej twarzy zastygł wyraz zmartwienia.

– Może się pan przestać zamartwiać Andorem, panie Admirze – mówiła uspokajającym tonem – Uwierz mi, Andoranie pokrzyczą na siebie, trochę pomachają szabelką, ale nie dojdzie do żadnej prawdziwej walki. W twoim najlepszym interesie jest trzymać się ustalonej trasy handlu. W Cairhien zapłacisz pięciokrotnie wyższe podatki niż w Far Madding. Pomyśl o dodatkowych kosztach. – Tairenianin skrzywił się, jakby właśnie o tym pomyślał. Albo jakby zniecka powziął podejrzenie,

czy jej interesy rzeczywiście zbieżne są z jego.

– Słyszałem, że ciało było całe czarne i wzdęte – powiedział przy innym stoliku szczupły Illianin z siwą brodą, odziany w niebieski kaftan. – Mówiono mi, że Radczynie kazały je spalić. – Znacząco uniósł brew i podrapał się po spiczastym nosie, który nadawał mu wygląd łasicy.

– Gdyby w mieście grasowała zaraza, panie Azereos, Radczynie z pewnością powiadomiłyby mieszkańców – spokojnie oznajmiła siedząca naprzeciw niego szczupła kobieta. W zaplecionych włosach miała dwa zdobne grzebienie z kości słoniowej i była śliczna lisią nieco urodą. Nadto chłodna i opanowana jak Aes Sedai, chociaż wyglądem od sióstr różniły ją delikatne zmarszczki w kącikach piwnych oczu. – Zdecydowanie odradzałabym wszelkie pomysły dalszych inwestycji w Lugardzie, zwłaszcza kosztem tutejszych. Sytuacja w Murandy jest nadzwyczaj niestabilna. Tamtejsza szlachta nigdy nie poprze planów mobilizacyjnych Roedrana. Poza tym pewna jestem, że doszły cię słuchy o działalności Aes Sedai. Światłość jedna wie, jakie są ich cele. – Illianin niespokojnie wzruszył ramionami. W dzisiejszych czasach nikt nie mógł być pewny zamiarów Aes Sedai, o ile kiedykolwiek były one zrozumiałe.

Przy następnym stole Kandoranin z siwymi pasmami w widlastej brodzie i wielką perłą w lewym uchu pochylał się ku przysadzistej kobiecie. Ona ubrana była w ciemnoszare jedwabie, włosy zaś zaplecione miała w ciasny grzebień na szczycie czaszki.

– Słyszałem, że Smok Odrodzony koronowany został na króla Illian, pani Shimel. – Jego czoło przecinały liczne zmarszczki. – Ze względu na tę proklamację Białej Wieży, rozważam wysłanie na wiosnę wozów do Łzy trasą wiodącą wzdłuż Erinin. Rzeczna Droga z pewnością jest trudniejsza, jednak illiański rynek futer nie przynosi zysków usprawiedliwiających ryzyko.

Przysadzista kobieta uśmiechnęła się, ustami zaskakująco cienkimi w okrągłej twarzy.

– Powiadają, że od koronacji tamtego rzadko widywano w Illian, panie Posavina. Tak czy siak, Wieża się nim zajmie, o ile już tego nie zrobiła, natomiast dziś rano otrzymałam wieści, wedle których Kamień Łzy oblegają wraz z wojskami. Trudno to nazwać sytuacją sprzyjającą handlowi futrami, nieprawdaż? Nie, Łza to nie jest bezpieczne miejsce. – Zmarszczki na czole pana Posaviny pogłębiły się.

Rand tymczasem dotarł wreszcie do upatrzonego stolika w rogu sali, przerzucił płaszcz przez poręcz jednego z krzeseł i usiadł plecami do ściany. Chwilę później postawił kołnierz kaftana. Służący o sterczącej szczęce przyniósł cynowy puchar z parującym korzennym winem, wymruczał podziękowania za otrzymane srebro, a potem odszedł, przynaglany okrzykiem z sąsiedniego stolika. Dwa wielkie kominki w przeciwnych kątach pomieszczenia wypełniały je miłym ciepłem, tak więc fakt, że Rand nie zdjął rękawic, mógłby komuś wydać się dziwny, nikt jednak nie spojrzął na niego dwa razy. Udawał, że całą jego uwagę pochłania trzymany w dłoniach puchar z winem, równocześnie jednak bacznie obserwował drzwi na ulicę.

Większość tego, co podsłuchał z cudzych rozmów, nie miała dlań większego znaczenia. Wszystko to już słyszał wcześniej, o niektórych sprawach wiedział dużo więcej niż tamci. Na przykład: Elayne w swej ocenie sytuacji zgadzała się z bladą kobietą, a z konieczności znała Andor lepiej niż jakikolwiek kupiec z Far Madding. Natomiast plotka o oblężeniu Kamienia Łzy była czymś nowym. Jednak na razie nie miał się czym martwić. Kamienia nigdy nikt nie zdobył – jego wyłączywszy – wiedział też, że Alanna jest gdzieś w Łzie. Niedługo po rozstaniu z nim przeniosła się z północnego obszaru Far Madding znacznie dalej na północ, a dzień później jeszcze dalej, tym razem na południowy wschód. Teraz dzieląca ich odległość stała się tak duża, że nie potrafił powiedzieć, czy przebywa na Bagnach Haddon, czy też w samej Łzie, niemniej pewien był, że jest to jedno z tych dwu miejsc. Trafiła tam razem z czterema pozostałymi siostrami, którym mógł ufać. Skoro



Meranie i Rafeli udało się uzyskać u Ludu Morza to, czego chciał, z Tairenianami im się również powiedzie. Rafela była Tairenianką, co powinno pomóc. Cóż, świat przez jakiś czas poradzi sobie bez niego. Musi, nie ma innego wyjścia.

Z ulicy wszedł do środka wysoki mężczyzna w długim, ociekającym kroplami wody płaszczu i skrywającym twarz kapturze – Rand odprowadził go wzrokiem aż do znajdujących się na tyłach pomieszczenia schodów. Tamten spojrzał w górę i odrzucił kaptur, spod którego wyrżał wianuszek siwych włosów i blada ściągnięta twarz. Nie mógł być tym, o którym wspominał służący. Tylko ślepy pomyliłby kogoś takiego z Peralem Toryalem.

Rand znowu wbił wzrok w puchar z winem, w jego głowie powoli zaczynały się lęgnąć niewesołe myśli. Min i Nynaeve zdecydowanie zaprotestowały przeciwko kolejnemu dniu udeptywania ulic, jak to Min ujęła, a Alivia, jak podejrzewał tylko z obowiązku, ale bez prawdziwej wiary w skutek, wędrowała z jego rysunkiem od gospody do gospody. Kiedy w ogóle się tym zajmowała. Cały dzisiejszy dzień spędziły we trzy za miastem, co wywnioskował z więzi zobowiązań Min. W ten sam sposób dowiedział się też, że była czymś podekscytowana. Wszystkie trzy uważały, że po nieudanym zamachu na Randa Kisman uciekł, zaś pozostali renegaci zniknęli razem z nim, ewentualnie w ogóle nie przybyli do miasta. Od kilku dni próbowały go namówić na wyjazd. Dobrze, że choć Lana miał po swojej stronie.

„Dlaczego kobiety miałyby się mylić?” – wyszeptał zapalczywie Lews Therin w jego głowie. – „To miasto jest gorsze niż więzienie. Tutaj nie ma Źródła! Dlaczego miałyby chcieć tu zostać? Dlaczego miałyby tu przebywać jakikolwiek zdrowy na umyśle człowiek? Przecież możemy wyjechać, byle tylko za blokadę, choćby na dzień, na kilka godzin. Światłości, bodaj parę godzin!” – Zaniósł się dzikim, niepohamowanym śmiechem. – „Och, Światłości, dlaczego muszę żyć z szaleńcem w głowie? Dlaczego? Dlaczego?”

Rand rozzłoszczony zdławił w sobie ten głos, póki nie przeszedł w stłumione brzęczenie niby bitem latający koło ucha. Zamierzał wprawdzie towarzyszyć kobietom w wycieczce, choćby po to, by znowu poczuć Źródło, ale – wyjąwszy Min – zareagowały na jego propozycję całkowitym brakiem entuzjazmu. Nynaeve i Alivia za nic nie chciały zdradzić, co je tam gna w obliczu wyraźnie zbierającego się deszczu, który właśnie teraz padał. Podejrzewał, że tęsknota za bliskością Źródła. Pragnienie spróbowania Jedynej Mocy, choćby na chwilę. Cóż, on jakoś przetrzyma abstynencję przenoszenia. Potrafi znieść nieobecność Źródła. Oczywiście, że tak! Musiał przecież, jeżeli chciał zabić tych, którzy próbowali odebrać mu życie.

„To nie jest prawdziwy powód!” – wrzasnął Lews Therin, nie dając się uciszyć. – „Boisz się! Jeżeli choroba zmoże cię, gdy będziesz próbował użyć *ter'angreala* dostępu, czeka cię śmierć albo los gorszy od śmierci! Obu nas czeka śmierć!” – załkał.

Rand poczuł wino ściekające po nadgarstku w rękaw kaftan i rozluźnił palce kurczowo zaciśnięte na pucharu. Przyjrzał się naczyniu – i tak wcześniej już nie było idealnie owalne, poza tym, chyba nie odkształcił go w widoczny sposób. Nie bał się! Nie pozwalał sobie na strach. Światłości, w końcu trzeba będzie umrzeć Już się oswoił z tą myślą.

„Próbowali mnie zabić i za to chcę mieć ich głowy” – pomyślał. – „Im dłużej to potrwa, tym większe szansę, że mdłości przestaną dokuczać. Żebyś szczeł, muszę dożyć Ostatniej Bitwy” – W jego głowie Lews Therin zaniósł się śmiechem jeszcze dzikszym niż dotąd.

W sali pojawił się kolejny człowiek, tym razem wszedł przez drzwi od podwórza, znajdujące się u stóp schodów wiodących na tyły. Otrząsnął płaszcz, odrzucił kaptur i ruszył w stronę Kobiecej Sali. Grymas ust, ostry nos i pogardliwe spojrzenie, którym omiótł ludzi przy stołach, nieco upodabniały go do Toryala – jednak na pobrużdżonej twarzy odcisnęło się co najmniej o dwadzieścia

więcej przeżytych lat, a sylwetkę zmniejszała dodatkowe trzydzieści funtów tłuszczu. Zerknął za żółty hak i zawołał wysokim, ugrzecznionym głosem, w którym wyraźnie znać było illiański akcent:

– Pani Gallger, rankiem wyjeżdżam. Wcześniej, więc bardzo proszę mnie nie obciążać rachunkiem za jutrzejszy dzień! – Torval natomiast był z Tarabon.

Rand postawił kubek na stole, wziął swój płaszcz i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Południowe niebo tchnęło szarością i chłodem, deszcz wprawdzie nieco zelżał, ale nie bardzo, jeśli już to tylko stał się bardziej dokuczliwy przez gwałtowny wiatr znad jeziora. Ludzie prawie zupełnie zniknęli z ulic. Jedną dłonią zebrał połę płaszcza, tyleż chroniąc się przed kapryśną aurą, co ratując przed zamoknięciem rysunki w kieszeni kaftana, drugą nasunął kaptur. Gnane wiatrem krople deszczu biły w twarz niczym kulki gradu. Minęła go samotna lektyka, przemoknięte włosy nosicieli spływały im na plecy, buciory rozbryzgiwały kałuże na bruku. W oddali majaczyły pozawijane w płaszcze sylwetki nielicznych przechodniów. Do zmierzchu zostało jeszcze wiele godzin, niemniej on minął drzwi gospody „Serce Równin”, nawet nie zaglądając do środka, a potem identycznie postąpił z przybytkiem noszącym nazwę: „Trzy Panie z Maredo”. Przekonywał się, że to przez ten deszcz. Że pogoda jest zupełnie nieodpowiednia na wędrówkę z karczmy do karczmy. Wiedział jednak, że kłamie.

Nagle ruszyła w jego stronę niska, przysadzista kobieta, okutana w ciemny płaszcz. Kiedy zatrzymała się przed nim i uniosła głowę, zobaczył twarz Verin.

– A więc jednak cię tu znalazłam – powiedziała. Krople deszczu spływały jej po twarzy, jednak najwyraźniej nie zwracała na to uwagi. – Twoja karczmarka sądziła, że zamierzałeś wybrać się na Avharin, jednak nie była pewna. Obawiam się, że panią Keene nieszczególnie interesują goszczący pod jej dachem mężczyźni. I tak cię szukałam, póki mi zupełnie nie przemokły trzewiki oraz pończochy. Jako dziewczynka kochałam spacerować w deszczu, wszakże lata zrobiły swoje i ich urok gdzieś zniknął.

– Cadsuane cię wysłała? – zapytał, starając się, by głos nie zdradził nadziei, jaka zmienacka obudziła się w sercu. Po wyjeździe Alanny zatrzymał pokój pod „Głową Radczyni” głównie dlatego, by Cadsuane wiedziała, gdzie go szukać. Chcąc liczyć na jej zainteresowanie, nie mógł jej przecież przeganiać od gospody do gospody. Zwłaszcza, nie mając żadnej pewności, iż będzie za nim gonić.

– Och, nie. Na to nie ma co liczyć. – Verin najwyraźniej zaskoczył sam pomysł. – Po prostu uznałam, że może powinieneś wiedzieć. Cadsuane wyjechała razem z dziewczętami. – Zmarszczyła brwi w namyśle i przekrzywiła głowę. – Chociaż przypuszczam, że o Alivii nie powinnam w ten sposób mówić. Intrygująca kobieta. Niestety zbyt stara na nowicjuszkę. Tak, bardzo szkoda. Podejrzewam, że zna wszystkie sposoby niszczyielskiego użycia Mocy, jednak poza tym nie wie prawie nic.

Odciągnął ją na skraj ulicy, pod dach, gdzie okap jednopiętrowego budynku dawał przynajmniej częściowe schronienie przed deszczem, jeśli już nie przed wiatrem. Cadsuane wybrała się z Min i tamtymi? Może wcale nie należało stąd wyciągać żadnych wniosków? Sam był świadkiem fascynacji, jaką Nynaeve wzbudzała u Aes Sedai, a wedle słów Min, Alivia była jeszcze silniejsza.

– O czym powinienem wiedzieć, Verin? – zapytał cicho.

Okrągłutka Aes Sedai zamrugała, jakby sama zapomniała, o czym mu chciała donieść, po chwili jednak uśmiechnęła się.

– Ach, tak. Seanchanie. Są w Illian. Coś tak pobladł? Nie, jeszcze nie weszli do miasta. Ale pokonali granicę. Wznoszą ufortyfikowane obozy wzdłuż wybrzeża i w głębi lądu. Nie bardzo się wyznaję w wojskowej materii. W książkach historycznych zawsze omijałam opisy bitew. Jednak przypuszczam, że niezależnie od tego co właśnie robią, miasto i tak jest ich celem ostatecznym.

Wychodzi na to, że twoja kampania nie bardzo odebrała im impet. Między innymi dlatego właśnie nie interesują mnie bitwy. Na dłuższą metę nie mają znaczenia, zmieniają tylko pozorny obraz spraw. Dobrze się czujesz?

Zmusił się do otwarcia oczu. Verin spoglądała nań niczym tłusty wróbel. Cały ten bój, wszyscy polegli, ludzie, których zabił... i wszystko na nic. Na nic!

„Ona się myli” – mruknął Lews Therin w jego głowie. – „Bitwy zmieniają tok dziejów.” – Jednak z jakiegoś względu wcale nie wydawał się zadowolony. – „Kłopot polega na tym, że czasami nie jesteś w stanie przewidzieć, że to się stanie, póki nie jest za późno.”

– Verin, jeżeli spotkam się z Cadsuane, czy będzie chciała ze mną porozmawiać? O czymś innym, niż tylko o moich manierach? Z pozoru bowiem one ją interesują najbardziej.

– Och, mój drogi... Obawiam się, że pod pewnymi względami Cadsuane jest strasznie konserwatywna. W mojej obecności nigdy nie zarzuciła nikomu w oczy arogancji, ale... – W zamyśleniu na moment przyłożyła koniuszki palców do ust, potem skinęła głową, a krople deszczu spłynęły po jej twarzy. – Zakładam, że wysłucha tego, co będziesz miał do powiedzenia, jeśli uda ci się zatrzeć kiepskie wrażenie, jakie musiałeś na niej wywrzeć. A przynajmniej, jeśli uda ci się przekonać ją, by przymknęła na nie oko. Prawie nie znam sióstr, na których wrażenie wywierałyby tytuły i majestaty, a Cadsuane jest w kwestii szczególnie nieustępliwa. Ją interesuje tylko to, czy ktoś jest głupi, czy mądry. Jeżeli udowodnisz, że nie jesteś głupcem, wysłucha cię.

– Wobec tego powiedz jej... – Wciągnął głęboki oddech. Światłości, miał ochotę gołymi rękoma zadusić Kismaną, Dashivę i wszystkich! – Powiedz jej, że jutro opuszczam Far Madding i mam nadzieję, że będzie towarzyszyć mi w charakterze doradczyni. – Lews Therin westchnął z ulgą, słysząc pierwszą część zdania. Gdyby nie fakt, iż był tylko bezcielesnym głosem w głowie, Rand przysiągłby, że zeszywniał, złowiwszy uchem resztę wypowiedzi. – Powiedz jej, że zgadzam się na jej warunki, przepraszam za moje zachowanie w Cairhien i zrobię wszystko co w mojej mocy, aby odtąd dbać o maniery. – Cóż, stosunkowo łatwo poszło. Może zabolalo odrobinę, jednak, o ile Min się nie myliła, jeśli chodzi o swe wizje, a nie myliła się nigdy, to potrzebował Cadsuane.

– A więc znalazłeś to, czegoś tu szukał? – Spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi, a wtedy uśmiechnęła się i poklepała po ramieniu. – Gdybyś przybył do Far Madding, sądząc, że podbijesz miasto potęgą swego imienia, wyjechałbyś, zdawszy sobie sprawę, że nie potrafisz tu przenosić. Pozostawał więc tylko wniosek, że czegoś lub kogoś tu szukałeś.

– Może. Może znalazłem to, czego mi było trzeba – odparł grzecznie. Ale nie to, czego chciał.

– Wobec tego, Rand, przyjdź dziś wieczorem do pałacu Barsalli, na Wzgórzach. Każdy ci wskaże drogę. Ze swej strony mam już pewność, że ona cię wysłucha. – Chciała się otulić płaszczem i jakby dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że okrycie całe ocieka wodą. – Ojej. Muszę się osuszyć. Tobie radzę to samo. – Odwróciła się, by odejść i jeszcze spojrzała nań przez ramię. Ciemne oczy nie mrugały. Zmienacka znikło gdzieś jej roztargnienie. – Mogłeś sobie znaleźć doradczynię znacznie gorszą niż Cadsuane, Rand, ale wątpię, byś gdzieś spotkał lepszą. Jeżeli się zgodzi, a ty nie okazesz się głupcem, będziesz jej słuchał. – I zniknęła w strugach deszczu, krocząc majestatycznie niczym bardzo pulchny łabędź.

„Czasami ta kobieta mnie przeraża” – mruknął Lews Therin, a Rand pokiwał głową. Cadsuane wprawdzie nie przerażała go, jednak w jej towarzystwie miał się na baczności. Podobnie zresztą jak w towarzystwie wszystkich Aes Sedai, które nie uklęknęły przed nim. Nynaeve była jedynym wyjątkiem. Zresztą i jej momentami nie był pewien.

Kiedy wędrował ku odległej o dwie mile „Głowie Radczyni”, deszcz przestał padać, zerwał się wiatr. Skrzypiało kołyszące się na zawiasach ponad drzwiami godłogospody: srogie oblicze kobiety

w wysadzonym klejnotami diademie Pierwszej Radczyni. Wspólna sala gospody była znacznie niniejsza niż pod „Złotym Kołem” ale panele boazerii były tu rzeźbione i wypolerowane, a stołów pod czerwonymi belkami sufitu nie rozstawiono tak gęsto. Czerwone było też przejście do Kobiecej Sali i ozdobione misterną koroną rzeźbień, podobnie jak gzymsy kominków z białego marmuru. Pod „Głową Radczyni” służący spinali długie włosy srebrnymi spinkami. Z całej obsługi na sali było ich tylko dwóch – stali obok drzwi do kuchni – ale też nie było co robić: każdy z trzech mężczyzn, siedzących przy oddzielnych stołach, miał przed sobą puchar z winem, w którym utkwił wzrok. Zapewne konkurencja, wnioskując z ukradkowych spojrzeń, jakimi się od czasu do czasu obrzucali. Jeden z nich – ten siwiejący i posunięty w latach – miał na sobie kaftan z szarego jedwabiu, drugi – szczupły z ostrymi rysami twarzy – w uchu klejnot wielkości gołębiego jaja. „Głowa Radczyni” obsługiwała tylko najbogatszych zagranicznych kupców, a obecnie niewielu takich przebywało w Far Madding.

Gdy tylko wszedł do sali, kuranty zegara na gzymsie kominka – w srebrnej obudowie, jeśli wierzyć Min – wyśpiewały godzinę, a zanim na dobre strząsnął z siebie wilgoć, do wnętrza wkroczył Lan. Strażnik pochwycił spojrzenie Randa i pokręcił głową. Cóż, w tej chwili Rand porzucił nadzieję na ich odnalezienie. Tak szczęśliwy zbieg okoliczności był nawet poza możliwościami *ta'veren*.

Kiedy już zasiedli na długiej czerwonej ławie przed jednym z kominków, a przed każdym wylądował puchar grzanego wina z korzeniami, powiedział Lanowi, co postanowił i wyłuszczył powody. Przynajmniej po części. W każdym razie nic istotnego nie pominął.

– Gdyby teraz wpadli mi w ręce, pozabijałbym ich, nawet ryzykując, że zostanę złapany. Jednak ich śmierć nic nie zmieni. W każdym razie, nie zmieni nic istotnego – poprawił się, spod zmarszczonych brwi spoglądając w płomienie. – Mógłbym poczekać jeszcze do jutra, wierząc, że ich znajdziemy. A potem kolejny dzień. I jeszcze jeden. Tygodnie. Miesiące. Tyle że świat nie zaczeka na mnie. Sądziłem, że do tej pory będzie po wszystkim. Ale wydarzenia dalece wyprzedzają, com sobie wyobrażał. I mówię tylko o tych wydarzeniach, o których wiem. Światłości, a co się dzieje, o czym nie mam pojęcia, ponieważ nie udało mi się podsłuchać tego z ust kupca, plotkującego nad winem?

– Nigdy nie wiesz wszystkiego – cicho powiedział Lan – a w części tego co wiesz, i tak się mylisz. Niewykluczone, że mylisz się w najważniejszych sprawach. Po części mądrość właśnie do tego się sprowadza: żeby o tym nie zapominać. A odwaga po części sprowadza się do tego, by dalej trwać przy swoim.

Rand wyciągnął obute nogi w kierunku ognia.

– Czy Nynaeve powiedziała ci, że Cadsuane będzie im towarzyszyć? Właśnie sobie urządziły przejażdżkę. – W zasadzie, to pewnie raczej wracają z przejażdżki. Czuł, że Min jest coraz bliżej. Niedługo dotrze na miejsce. Wciąż była czymś podekscytowana, uczucie to pulsowało w niej, stając się to silniejsze, to słabsze, ponieważ dokładała próżnych starań, żeby je opanować.

Lan uśmiechnął się, co pod nieobecność Nynaeve zdarzało mu się nadzwyczaj rzadko. Jednak uśmiech nie roztopił lodu w oczach.

– Zabroniła mi cię informować. Skoro jednak i tak wiesz... Ona i Min przekonały Alivię, że jeśli Cadsuane zainteresuje się ich osobami, to może i na ciebie spojrzy łaskawszym okiem. Dowiedziały się, gdzie przebywa i poprosiły, by je uczyła. – Uśmiech rozwiął się, pozostawiając twarz wyrzeźbioną w kamieniu. – Moja żona poświęciła się dla ciebie, pasterzu – dodał cicho. – Mani nadzieję, że o tym nie zapomnisz. Z pewnością o tym nie wspomni, pewien jednak jestem, że Cadsuane widzi w niej Przyjętą albo wręcz nowicjuszkę. Wiesz, ile Nynaeve musi wytrzymać, by znieść takie traktowanie.

– Cadsuane tak traktuje wszystkich – mruknął Rand. Arogancja? Światłości, jak miał sobie poczynać z tą kobietą? Niemniej, musiał znaleźć sposób.

I tak siedzieli w milczeniu, patrząc w ogień, póki znad wyciągniętych ku płomieniom butów nie zaczęła unosić się para.

Więź zobowiązań powiedziała mu wszystko, odwrócił się akurat w chwili, gdy Nynaeve wkroczyła do środka przez tylne drzwi. Za nią pojawiły się Min i Alivia. Otrzeptały wodę z płaszczy, wygładziły spódnice do konnej jazdy, jednocześnie skrzywiły się na widok mokrych plam, jakby naprawdę obie oczekiwały, iż wycieczka w deszczu skończy się inaczej. Nynaeve jak zawsze miała na sobie liczne wysadzone klejnotami *ter'angreale*: pasek i naszyjnik, swoje bransolety i pierścionie, wreszcie ten osobliwy *angreal* złożony z pierścieni połączonych z bransoletką.

Min nie skończyła się jeszcze doprowadzać do porządku, a już spojrzała na Randa i uśmiechnęła się. Oczywiście wiedziała, że go tu zastanie. Przez więź popłynęła od niej serdeczność, niczym pieszczota, choć równocześnie wciąż skrywała ekscytację. Pozostałe dwie kobiety początkowo nie zauważyły ich. Dopiero po chwili podały służącym płaszcze, które tamci zanieśli do pokoi, i dołączyły do grzejących się przy ogniu mężczyzn. Usiadły, wyciągnęły dłonie ku płomieniom.

– Udała się przejażdżka z Cadsuane? – zapytał Rand, podnosząc do ust pucharek słodkiego wina. Min spojrzała na niego, zaskoczona, a w więzi rozbłysło poczucie winy. Jednak twarz wyrażała tylko urazę. Omalże się nie zakrzusił. To potajemne spotkanie z Cadsuane też było jego winą? – Przestań tak patrzeć na Lana, Nynaeve – powiedział, gdy odzyskał oddech. – Wiem od Verin. – Nynaeve przeniosła na niego swe niezadowolenie, on zaś pokręcił głową. Słyszał, jak kobiety twierdzą, że to zawsze jest winą mężczyzny, cokolwiek „to” miało znaczyć, jednak najwyraźniej czasami same wierzyły w swoje słowa! – Z góry przepraszam, za wszystko co dla mnie musiałaś wycierpieć w jej towarzystwie, – ciągnął dalej – ale dłużej już nie będziesz musiała tego znosić. Poprosiłem ją, by została moją doradczynią. Czy też raczej, poprosiłem Verin, by ją w moim imieniu poprosiła. Sam udam się do niej dziś wieczorem. Przy odrobinie szczęścia jutro wyjedziemy razem z nią. – Spodziewał się okrzyków zaskoczenia i ulgi, ale jakoś się nie doczekał.

– Cadsuane jest zupełnie nadzwyczajna – oświadczyła Alivia, przyglądając przetykane siwizną złote włosy. Wymowę jej słów podkreślał rozwlekły akcent. – Naprawdę potrafi uczyć, choć surowa z niej belferka.

– Czasami jesteś więc w stanie zobaczyć las, głupi, kiedy cię doń za nos powloką – powiedziała Min, splatając ręce na piersiach, w więzi tliła się aprobata, jednak nie przypuszczał, że zrodziła ją decyzja zaniechania poszukiwań. – Pamiętaj, musisz ją przeprosić za Cairhien. Traktuj ją jak swoją ciotkę, taką, przy której nie bardzo możesz dokazywać, a wszystko się dobrze ułoży.

– Cadsuane nie jest taka zła, na jaką wygląda. – Nynaeve popatrzyła na tamte ponuro, a jej dłoń drgnęła, jakby sięgając do przewieszzonego przez ramię warkocza. Skończyło się jednak tylko na tym. – Cóż, nie jest! Z czasem wyjaśnimy... dzielące nas... różnice. Potrzeba tylko trochę czasu. Nic więcej.

Rand wymienił z Lanem spojrzenia – tamten nieznacznie wzruszył ramionami, upił kolejny łyk wina – i wypuścił długo wstrzymywany oddech. Nynaeve i Cadsuane dzieliły różnice, które z czasem znikną, Min kazała mu widzieć w tej kobiecie ciotkę, a Alivia surową nauczycielkę. Na ile znał Nynaeve, to będą tak sobie wyjaśniać, aż się ikry posypią. Pomysły pozostałych dwóch go nie interesowały. Jednak nie miał innego wyjścia. Sam też napił się wina.

Zajęte stoły znajdowały się dość daleko, by siedzący przy nich mężczyźni nic nie słyszeli, jednak Nynaeve ściszyła głos i nachyliła się do Randa.

– Cadsuane wyjaśniła mi, co potrafią moje *ter'angreale* – szepnęła, jej oczy błyszczały z

podniecenia. – Założę się, że te ozdoby w jej włosach, to są również *ter'angreal*. Wystarczyło, że dotknęła moich i już wiedziała. – Uśmiechnęła się i musnęła kciukiem jeden z pierścieni na prawej dłoni. A miała trzy; chodziło o ten z bładozielonym kamieniem. – Służy do tego, żeby wykrywać przenoszenie *saidara*, tylko muszę go najpierw dostroić. Ma zasięg trzech mil. Podobno ma reagować również na *saidina*. I powinien wskazywać kierunek, jednak nie umiałyśmy stwierdzić, jak go do tego zmusić.

Alivia odwróciła się od kominka i parsknęła głośno. Kiedy jednak się odezwała, również mówiła przyciszonym głosem.

– A ty miałaś na twarzy wyraz takiego zadowolenia, kiedy jej się nie udało... Widziałam. Jak możesz być zadowolona, kiedy ktoś czegoś nie wie, jak może Cię cieszyć ignorancja?

– Byłam zadowolona, że jednak nie wie wszystkiego – broniła się cicho Nynaeve, spoglądając wściekle przez ramię na, znacznie od siebie wyższą kobietę. Jednak za moment uśmiech powrócił na jej oblicze. – A najważniejsze, Rand, jest to. – Jej dłonie spoczęły na wąskim, wysadzonym klejnotami pasku, który spinał ją w talii – Ona nazwała to „Studnią”. – Drgnął, czując muśnięcie na twarzy, wtedy zachichotała. Nynaeve naprawdę zachichotała! – I to naprawdę jest studnia – śmiała się, zasłaniając dłonią usta – albo co najmniej beczka. Pełna *saidara*. Nie jest go w niej może szczególnie dużo, jednak jeśli chcę ją napęlić, wystarczy, że obejmę przez nią *saidara*, jakby to był *angreal*. Czy to nie cudowne?

– Zaiste, cudowne – powiedział bez entuzjazmu. A więc Cadsuane chodziła sobie z *ter'angrealami* we włosach i zapewne jeden z nich był właśnie taką „studnią”, w przeciwnym razie przecież nie zorientowałyby się tak szybko? Światłości, wcześniej sądził, że nikt nigdy nie znalazł bodaj dwu *ter'angreali*, które spełniałyby tę samą funkcję. Wieczorne spotkanie zapowiadało się już wystarczająco nieprzyjemnie, a do tego dochodziła jeszcze świadomość, że ona nawet tutaj może przenosić.

Miał już poprosić Min, by poszła razem z nim, gdy do pomieszczenia wpadła pani Keene. Kok siwych włosów na jej głowie zapleciony był tak ściśle, że zdawał się naciągać skórę twarzy. Obrzuciła Randa i Lana podejrzliwym, pełnym dezaprobaty spojrzeniem, a potem zacisnęła usta, jakby dumając, czym też sobie zawinili. Widział już, jak w ten sam sposób patrzyła na goszczących w jej gospodzie kupców. Mężczyzn, oczywiście. Gdyby pokoje nie były tak wygodne, a jedzenie tak smaczne, z pewnością nikt by się u niej nie zatrzymywał.

– To przyszło dziś rano dla twojego męża, pani Farshaw – powiedziała, podając Min list zapieczętowany niezgrabnym kleksem czerwonego wosku. Uniosła podbródek. – I pytała o niego jakaś kobieta.

– Verin – szybko wtrącił Rand, aby uprzedzić pytania i pozbyć się karczmarki. Kto jeszcze wiedział, dokąd posłać list? Cadsuane? Jeden z towarzyszących jej Asha'manów? Może któraś z siostr? Spod zmarszczonych brwi oglądał zwinięty papier w dłoniach Min, czekając, aż karczmarka sobie pójdzie.

Usta Min zadrgały i tak bardzo starała się unikać jego spojrzenia, że wiedział, iż tłumi uśmiech. W więzi również odbiło się rozbawienie.

– Dziękuję, pani Keene. Verin jest przyjaciółką.

Podbródek tamtej uniosł się jeszcze o cal.

– Gdyby ktoś mnie pytał, pani Farshaw, to kiedy ma się przystojnego męża, należy patrzeć na rękę również przyjaciółkom.

Spojrzenie Min odprowadzało tamtą aż do czerwonego wyjścia z pomieszczenia, a w jej oczach migotała uciecha, wypełniająca więź. Ledwie powstrzymywała głośny wybuch śmiechu. Zamiast

podać list Randowi, kciukiem zerwała pieczęć i otworzyła go. Wszystko to zrobiła z taką naturalnością, jakby była rodowitą mieszkanką tego szalonego miasta.

W miarę czytania marszczyła brwi, jednak krótki rozbłysk w więzi stanowił jedyne ostrzeżenie. Zgniotła list w dłoni i ruszyła w stronę kominka. Ledwie zdołał podskoczyć i wyrwać jej papier z ręki, nim ten trafił do ognia.

– Nie postępuj głupio – powiedziała, chwytając go za rękę. Wbiła w niego spojrzenie swych wielkich oczu, teraz nie było w nich nic prócz powagi. W więzi zaś zapanowało ponure skupienie.– Tylko nie bądź głupi.

– Obiecałem Verin, że się postaram – powiedział, ale nie zareagowała uśmiechem.

Przyłożył list do piersi i wygładził papier. Nie rozpoznał pajęczego charakteru pisma, podpisu zaś nie było.

*Wiem, kim jesteś i życzę ci dobrze, równocześnie jednak lepiej byłoby, gdybyś opuścił Far Madding. Każdy krok Smoka Odrodzonego znaczy śmierć i zniszczenie. Wreszcie udało mi się dowiedzieć, gdzie przebywasz. Zabiłeś Rochaida i Kisman także nie żyje. Torval i Gedwyn wynajęli najwyższe piętro nad warsztatem szewca o imieniu Zeram. Ulica Błękitnego Karpia, tuż za Illiańską Bramą. Zabijesz ich i kwita. W pokoju opuścisz Far Madding.*

Zegar w Kobiecej Sali wybił kolejną godzinę. Zostało ich jeszcze wiele do spotkania z Cadsuane.

# ULICA BŁĘKITNEGO KARPIA

Min siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, co w sukience z pewnością nie było równie wygodne, jak w spodniach i obracała w palcach jeden z noży. Thom mówił jej, że jest to sztuczka do niczego nieprzydatna, jednak dzięki niej można było w prosty sposób bodaj odwrócić czyjąś uwagę. Rand stał pośrodku pokoju i podnosząc pochwę miecza do oczu, badał, czy widać przeciętą plecionkę. W ogóle nie zwracał na nią uwagi. Łby Smoków na wierzchach dłoni lśniły metaliczną czerwienią i złotem.

– Zgodziłeś się, że to musi być pułapka – warknęła. – Lan też tak sądzi. Na wpół ślepy kozioł z Seleisin miałby dość rozumu, żeby się w nią nie pakować!” Tylko głupiec całuje szerszenia i gryzie ogień!” – zacytowała.

– Pułapka nie jest pułapką, jeżeli wie się o jej istnieniu – odparł nieobecny głosem, wyginając jeden koniec przeciętego drucika tak, żeby lepiej pasował do drugiego. – Jeśli o niej wiesz, będziesz sobie zdawała sprawę, kiedy w nią wpadniesz. A wtedy to już w ogóle nie jest pułapka.

Z całej siły cisnęła nożem. Przeleciał przed jego twarzą i wbił się w drzwi. Aż drgnęła, kiedy przed oczyma stanęła jej chwila, gdy ostatni raz byli w takiej samej sytuacji. Cóż, tym razem nie leżała na nim, a Cadsuane nie miała za moment wejść do środka... Niestety. A żeby szczęść, ten zamrożony kłęb emocji w jej głowie nawet nie drgnął, gdy nóż przeleciał mu przed twarzą. Bodaj śladu zaskoczenia!

– Wiesz dobrze, że nawet jeśli zobaczysz wyłącznie Gedwyna i Torvala, pozostali będą się gdzieś chować. Światłości, mogli wynająć nawet pięćdziesięciu ludzi!

– W Far Madding? – Oderwał spojrzenie od noża wciąż drżącego w drzwiach, ale tylko po to, by pokręcić głową i powrócić do oglądania plecionki pokoju. – Wątpię, by w całym mieście znalazło się choćby dwóch najemników, Min. Uwierz mi, nie mam zamiaru tutaj ginąć. Póki nie odkryję sposobu, by zatrzasnąć pułapkę, nie dając się schwytać, nawet się do niej nie zbliżę. – Strachu było w nim tyle, co w kamieniu. I tyleż samo rozumu! Nie miał zamiaru dać się zabić! Jakby ktokolwiek kiedykolwiek miał!

Wstała z łóżka, otworzyła drzwiczki nocnego stolica, akurat na tyle dużego, by pomieścić bat, o którego obecność w każdym pokoju – nawet wynajmowanym cudzoziemcom – pani Keene nadzwyczaj dbała. Narzędzie było długie jak jej ręka i szerokie na dłoń, z drewnianego trzonka wychodził potrójny bicz.

– Może jeśli tym cię potraktuje, nos ci się przeczyści i wyczujesz wreszcie, co się święci! – zawołała.

Wtedy właśnie do środka weszła Nynaeve w towarzystwie Lana i Alivii. Lan i Nynaeve w płaszczach, Lan z przytroczonym mieczem. Nynaeve pozbyła się swojej biżuterii, wyjąwszy tylko klejnoty bransolety i paska – czyli Studni. Lan cicho zamknął drzwi. Nynaeve i Alivia przyglądały się Min, gdy ta stała z wzniesionym batem.

Pośpiesznie rzuciła go na dywan w kwietne wzory, potem kopnęła pod łóżko.

– Nie rozumiem, dlaczego Lanowi na to pozwalasz, Nynaeve – powiedziała tak zdecydowanie, jak tylko potrafiła. W danej sytuacji nie bardzo jej wyszło. Dlaczego ludzie zawsze muszą wchodzić w najmniej odpowiedniej chwili?

– Siostra musi niekiedy zaufać osądowi swego Strażnika – zimno odparła Nynaeve, ściągając rękawiczki. Uczuć na jej twarzy było tyle, co na obliczu porcelanowej lalki. Och, stanowiła istne



wcielenie Aes Sedai.

„On nie jest twoim Strażnikiem, jest twoim mężem – chciała powiedzieć Min – i przynajmniej możesz iść z nim, żeby go bronić. Ja nie wiem, czy mój Strażnik kiedykolwiek wyjdzie za mnie, a jak chciałam iść z nim, zagroził, że mnie zwiąże!”. Prawda, nieszczęśliwie się o to wyklócała. Jeżeli już postanowił, że zachowa się jak głupi gąsior, były lepsze sposoby ratowania go, niż wsadzanie komuś noża pod żebra.

– Jeżeli się nie rozmyśliłeś, pasterzu – powiedział ponuro Lan – to lepiej ruszajmy, póki jeszcze jasno. – Błękitne oczy wydawały się zimniejsze niż zazwyczaj twarde, jak polerowane kamyki. Nynaeve obrzuciła go zatroskanym spojrzeniem, a Min przez chwilę prawie jej pożałowała. Prawie.

Rand dopiął kaftan, przypasał miecz, okrył się płaszczem. Kaptura nie naciągnął, tylko odwrócił się ku niej. Wyraz jego twarzy był równie twardy jak oblicze Lana, błękitnoszare oczy ziały podobnym chłodem, jednak w jej głowie ten zamrożony kamień połyskiwał żyłkami ognistego złota. Miała ochotę potargać dłońmi jego spływające prawie do ramion, ufarbowane na czarno włosy i pocałować, nie bacząc, kto patrzy. Zamiast tego zaplotła ramiona na piersiach i zadarła podbródek, żeby dezaprobata nie budziła najmniejszych wątpliwości. Nie miała zamiaru pozwolić mu tu zginąć i nie miała zamiaru pozwolić mu sądzić, że jego upór ją przekonał.

On również nie wziął jej w ramiona. Pokiwał głową, jakby zrozumiał i wziął rękawice ze stolika przy drzwiach.

– Wróć tak szybko, jak będę mógł, Min. Potem spotkamy się z Cadsuane. – Złote żyłki świeciły nawet wówczas, gdy minął Lana i wyszedł z pokoju.

Nynaeve jeszcze zatrzymała się w drzwiach.

– Będę ich obu pilnować, Min. Alivia, proszę zostań z nią i zadbaj, by nie zrobiła jakiegoś głupstwa. – W każdym calu chłodna, opanowana Aes Sedai. Póki nie spojrziała na korytarz. – Ażeby szczeźli! – krzyknęła. – Idą sobie! – I pobiegła w ślad, nie domykając drzwi.

Alivia zrobiła to za nią.

– Pogramy w coś, żeby zabić czas, Min? – Przeszła przez pokój i usiadła na stołku przed kominkiem, z sakwy przy pasie wyjęła kawałek sznurka. – Kocia kołyska?

– Nie, dziękuję, Alivia – powiedziała Min i pokręciła głową, zdumiona skwapliwością tamtej. Randa mogła nie obchodzić rola Alivii w jego życiu, ale Min postanowiła poznać ją bliżej, a to, co odkryła, zdumiało ją. Z pozoru niegdysiejsza *damane* była dojrzałą kobietą, która wkroczyła już dobrze w wiek średni, twardą, zapalczywą, wręcz onieśmielającą. Nynaeve wyraźnie czuła wobec niej respekt. Nynaeve właściwie tylko Alivii okazywała konsekwentną uprzejmość. Ale *damane* została w wieku lat czternastu i zostało jej upodobanie do dziecinnych zabaw, które zresztą nie było jedynym dziwactwem.

Min żałowała, że w pokoju nie ma zegara, chociaż równocześnie zdawała sobie sprawę, że gospoda z zegarem w każdym pomieszczeniu, musiałyby być zajazdem dla królów i królowych. Pod czujnym okiem Alivii przechadzała się w tę i w tę, licząc w głowie mijające sekundy i próbując sobie wyobrazić, ile czasu potrzebują tamci, żeby gospoda zniknęła im z zasięgu wzroku. Kiedy uznała, że minęło dość czasu, porwała płaszcz z komody.

Alivia skoczyła, by zagrozić jej drogę do drzwi. Stała z dłońmi na biodrach i już wcale nie wydawała się dziecinna.

– Nie pójdziesz za nimi – powiedziała twardym głosem. – Narobisz im tylko kłopotów, a na to nie mogę pozwolić. – Ze złotymi włosami i błękitnymi oczyma w ogóle nie powinna się kojarzyć z ciotką Min, Raną, niemniej nieodparcie ją przypominała. Ciotkę Rana zawsze widział każdy, kto zrobił coś złego i zawsze umiała sprawić, aby nie miał nigdy ochoty tego powtórzyć.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o mężczyznach, Alivia? – Alivia splonęła rumieńcem, Min zaś pospiesznie dodała: – Chodzi mi o to, że nie zawsze myślą głową. – Często była świadkiem, jak jedna kobieta wyrzekała na drugą, że tamta nic nie wie o mężczyznach, jednak dopiero w osobie Alivii spotkała taką, która rzeczywiście nic nie wiedziała. Literalnie nic! – Beze mnie Rand dopiero wpakuje się w kłopoty. Zamierzam pójść po Cadsuane, a jeśli mi przeszkodzisz... – Wzniosła zaciśniętą dłoń.

Przez dłuższą chwilę Alivia patrzyła na nią spod zmarszczonych brwi. Na koniec rzekła:

– Pozwól mi tylko wziąć płaszcz. Idę z tobą.

Na Ulicę Błękitnego Karpia nie zaglądali ani nosiciele lektyk, ani służący w liberiach. A powóz w ogóle nie zmieściłby się w krętej, wąskiej alejce. Wzdłuż stały domy o pochyłych dachach i sklepiki, wciśnięte w siebie lub rozdzielone wąziutkim przejściem. Po deszczu bruk był śliski, chłodny wiatr szarpał połami płaszcza Randa.

Ludzie już znowu wylegli na zewnątrz. Trójkowy patrol Straży municypalnej przeszedł obok. Zwłaszcza ten z chwytkiem na ramieniu przyjrzał się bacznie mieczowi Randa. Jednak spokojnie poszli w swoją stronę. Po drugiej strone ulicy, niedaleko, na całe dwa piętra wznosił się warsztat szewca Zerama. Dwa piętra, nie licząc oczywiście stryszku pod stromym dachem.

Chudzielec z cofniętą brodą wsunął monetę Randa do swojej sakiewki, a potem cienką drewnianą szczapą podał mu z węglowego rusztu spieczony na brąz pierożek z mięsem. Twarz znaczyły mu głębokie zmarszczki, ciemny płaszcz był obszarpany, długie siwe włosy wiązał skórzany rzemykiem. Spojrzenie na moment objęło miecz Randa, potem uciekło w bok.

– Po co tak wypytujesz o szewca? Ja mam tu najlepszą baraninę. – Szeroki uśmiech sprawił, że jego podbródek cofnął się jeszcze bardziej, oczy znieacka zdały się coś zanadto rozbiegane. – Pierwsza Radczyni nie jada smaczniej.

„W czasach, kiedy byłem chłopcem wypiekano pierożki z mięsem, które nazywano pielmieniami” – mruknął Lews Therin. – „Kupowaliśmy je na wsi i...”

Rand przerzucał gorący pierożek z ręki do ręki, ponieważ parzył nawet przez grube rękawice. Wreszcie powiedział, ścisząc głos:

– Lubię wiedzieć, kto zajmuje się moimi butami. Na przykład, jaki jest jego stosunek do cudzoziemców? Nie można oczekiwać, że ktoś, kto będzie się do ciebie odnosił podejrzliwie, dołoży wszelkich starań, żeby odpowiednio naprawić ci buty.

– Tak, pani – powiedział nagle tamten, kłaniając się przed krępą siwowłosą kobietą i zezując. Zwinął cztery pierożki w dość podejrzanie wyglądający papier i podał jej, a dopiero później odebrał zapłatę. – Cała przyjemność po mojej stronie, pani. Niech cię Światłość prowadzi. – Odeszła bez słowa, chowając zawiniątko pod płaszcz, on zaś skrzywił się kwaśno i dopiero po chwili znów spojrzał na Randa.

– Zeram nigdy nie był podejrzliwy, a nawet gdyby, to Milsa wybiłaby mu to z głowy. To jego żona. Odkąd dzieci się pożeniły, Milsa wynajmuje przyjezdnym ostatnie piętro domu. Oczywiście pod warunkiem, że uda jej się znaleźć kogoś, komu nie przeszkadza fakt, iż na noc zamyka się drzwi – zaśmiał się. – Milsa zbudowała schody wiodące prosto na trzecie piętro, a więc pomieszczenie ma własne wejście, jednak za nowe drzwi już nie chciało jej się płacić, więc ze schodów schodzi się do sklepu, a drzwi sklepu zamykane są na noc. Masz zamiar zjeść ten pierożek, czy tylko mu się przyglądać?

Rand szybko ugryzł kawałek, otarł tłuszcz z brody i przeszedł pod okap nad warsztatem wytwórcy noży. Najwyraźniej nastał czas posiłku – na ulicy ludzie przystawali przy przenośnych

rusztach, kupując pierożki z mięsem, pieczoną rybę albo takiż groch w papierowych rożkach. W tłumie wyróżniali się wzrostem trzej czy czterej mężczyźni, nie niżsi od niego i dwie lub trzy kobiety, mogące z góry spoglądać na większość mężczyzn – Aielowie? Być może tamten wcale nie przesadzał z zachwalaniem swego towaru, a może to dlatego, że Rand od śniadania nic nie miał w ustach, w każdym razie miał ochotę pochłonąć faszerowaną kluskę i zaraz kupić następną. Opanował się jednak i jadł powoli, kęs za kęsem. Najwyraźniej interes Zerama prosperował. Przez drzwi warsztatu wciąż ktoś wchodził i wychodził, zazwyczaj z butami pod pachą. Nawet jeśli goście mogli wchodzić na górę niezapowiedziani, szewc później będzie mógł ich rozpoznać, a może też i inni.

Renegatom – jeśli to właśnie oni wynajmowali strych od żony szewca – zamykanie warsztatu na noc wcale nie musiało szczególnie przeszkadzać. Od południowej ściany budynek miał wąską alejkę, za nią był parterowy domek. Skok na jego dach wiązał się z pewnym ryzykiem, jednak od drugiej strony wtulał się weń piętrowy dom, ze szwalnią na parterze. Rezydencja Zerama miała okna tylko od frontu – wąskiego przesmyku na tyłach używali wyłącznie śmieciarze; Rand sprawdził wcześniej – ale na dach z pewnością można było wychodzić, choćby po to, by reperować dachówki. Z dachu już łatwo przeskoczyć na dach szwalni, a stamtąd tylko trzy kolejne dachy dzieliły od niskiego budynku – sklepu wyrobnika świec – z którego bez problemów można się dostać na ulicę lub na tyły szeregu domów. W nocy, a nawet za dnia, droga ta nie była specjalnie narażona na ludzkie spojrzenia – wystarczyło trzymać się z dala od ulicy i uważać na patrole Muncypalnych. A ponieważ Ulica Błękitnego Karpia wiała się niczym wąż, najbliższa wartownia znajdowała się dopiero za kolejnym zakrętem.

Na widok dwu mężczyzn, którzy właśnie wchodzili do warsztatu szewca odwrócił się, udając nagle zainteresowanie towarami za mętną szybą wystawy, pod którą stał – pojedyncza deska eksponowała nożyczki, noże i temu podobne. Jeden z mężczyzn był wysoki, choć nie dorównywał wzrostem ewentualnym Aielom. Twarze obu skrywały głęboko naciągnięte kaptury, żaden nie miał pod pachą butów – choć oboma rękoma przytrzymywali poły płaszczy, spod rozwiewanych wiatrem skrajów wyglądały końcówki pochew. Nagły podmuch zerwał kaptur z głowy niższego, tamten naciągnął go szybko, ale było już za późno. Charl Gedwyn, jak się okazało, na tutejszą modłę zaczął spinać włosy na karku srebrną spinką ozdobioną wielkim czerwonym klejnotem, jednak ostrych rysów twarzy i wyzywającego spojrzenia tak łatwo nie mógł się pozbyć. A skoro to był Gedwyn, jego towarzyszem musiał być Torval. Całkiem sensowne założenie. Żaden z pozostałych renegatów nie dorównywał mu wzrostem.

Rand zaczekał, aż obaj wejdą do środka, otrzepał rękawice z tłustych okruszków i udał się na poszukiwanie Nynaeve oraz Lana. Znalazł ich, zanim oddalił się na tyle, by stracić z oczu warsztat Zerama. Sklep ze świecami, przez którego dach wiodła imaginacyjna droga ze stryszku, miał tuż za sobą, obok otwierało się wejście w boczną uliczkę. Przed nim Ulica Błękitnego Karpia skręcała w przeciwną stronę. W odległości nie większej niż pięćdziesiąt kroków znajdowała się wartownia Straży Miejskiej, niemniej stojący na niej obserwator nie mógł widzieć dachów, ponieważ zasłaniał je kolejny dwupiętrowy budynek, w którym mieścił się warsztat stolarki artystycznej, sąsiadujący z wytwórcą świec przez te właśnie boczne uliczki.

– Pół tuzina ludzi widziało Torvala i Gedwyna – powiedział Lan. – Ale żadnego z pozostałych. – Mówił głosem przyciszonym, choć nikt z przechodniów i tak nie zwracał na nich uwagi. Rzut oka na dwu mężczyzn z mieczami przy bokach starczał, aby każdy nieco przyspieszał kroku.

– Rzeźnik w głębi ulicy twierdzi, że się u niego zaopatrują – dodała Nynaeve. – Ale tylko w ilościach stosownych dla dwóch mężczyzn. – Spojrzała z ukosa na Lana, jakby chcąc podkreślić, że jej informacje mają wagę decydującą.

– Widziałem ich – oznajmił Rand. – Są w środku. Nynaeve, możesz podnieść mnie i Lana na ten dach?

Nynaeve oszacowała wzrokiem dom Zerama, musnęła dłonią otaczający talię pasek.

– Pojedynczo, tak – rzekła wreszcie. – Ale w ten sposób zużyję co najmniej połowę zawartości Studni. I nie będę w stanie was stamtąd ściągnąć.

– Wystarczy na górę – poinformował ją Rand. – Zejdziemy po dachach, aż do tego od świec i potem łatwo na ziemię.

Oczywiście, zaczęła protestować i nie ustawała przez całą drogę do warsztatu szewca. Nynaeve zawsze sprzeciwiała się temu, czego sama nie wymyśliła.

– Mam po prostu podnieść was na dach i czekać? – mruzczała, popatrując groźnie na lewo i prawo, aż nie było wiadomo na czyj widok bardziej się płoszą przechodnie: jej czy mężczyzn z mieczami. W końcu dla dodania wagi swym argumentom, wyciągnęła dłoń spod płaszcza, ukazując bransoletę z bladoczerwonymi klejnotami. – To chroni mnie lepiej niż zbroja z najprzedniejszej stali. Nawet nie poczuję ciosu miecza. Tak sobie myślę, że jednak pójdę z wami.

– Po co? – cicho zapytał Rand. – Żeby ich obezwładnić Mocą kiedy będziemy ich rzezać? Żeby własnoręcznie ich zabić? – Zmarszczyła brwi i wbiła spojrzenie w bruk pod stopami.

Kiedy przechodzili obok warsztatu Zerama, Rand przystanął na moment i ostrożnie rozejrzał się dookoła. W zasięgu wzroku nie było nikogo ze Straży Muncypalnej, jednak należało działać szybko. Wcześniej, podczas rozprawy z Rochaidem, też nikogo nie widział. Pchnął więc energicznie Nynaeve w boczną uliczkę.

– Coś ci odebrało mowę – powiedział Lan, idąc w ślad za nimi.

Zrobiła jeszcze kilka kroków i dopiero potem odpowiedziała, we zatrzymując się, ani nie oglądając za siebie.

– Do tej pory jakoś to do mnie nie docierało – oznajmiła cicho. – Wyobrażałam sobie kolejną przygodę: potyczka ze Sprzymierzeńcami Ciemności, Asha'mani renegaci... A wy tam idziecie, by wykonać na nich wyrok. Jeżeli to będzie możliwe, nie dacie im żadnych szans, nieprawdaż?

Rand zerknął przez ramię na Lana, jednak tamten tylko pokręcił głową, wyraźnie równie skonfundowany. Oczywiście, że pozabijają ich bez żadnego pardonu. To nie był pojedynek, jak sama zauważyła, to była egzekucja. Przynajmniej, miał nadzieję, że tak wszystko się ułoży.

Alejka na tyłach budynków była nieco szersza niż wiodąca na nią boczna uliczka – w kamienistej ziemi wyraźnie odciskały się ślady po beczkach z nieczystościami, wywożonymi każdego ranka. Wzdłuż niej wznosiły się ślepe ściany. Nikomu nie zależało na widoku poczynań śmieciarzy.

Nynaeve zatrzymała się za budynkiem szewca, spojrzała w górę i nieoczekiwanie westchnęła.

– Pozabijajcie ich we śnie, jak wam się uda – powiedziała nadzwyczaj cicho jak na swój zapalczywy charakter.

Rand poczuł, jak pod ręce bierze go niewidzialne jarzmo i powoli unosi do góry. Frunął w powietrzu, póki nie dotarł na skraj okapu. Niewidoczne więzy puściły, opadł na pochyły dach i poślizgnął się na mokrych szarych dachówkach. Osunął się na czworaki. Chwilę później na dachu wylądował Lan. Strażnik przykucnął i spojrzał w dół.

– Poszła sobie – oznajmił na koniec. Odwrócił się do Randa i wskazał dłonią. – Tędy dostaniemy się do środka.

Wyżej w dachu osadzona była kłapa, otoczona metalową listwą, zabezpieczającą przed przeciekaniem. Kiedy ją unieśli, otworzył się przed nimi widok na strych. Rand zsunął się w ciemną przestrzeń, rozjaśnioną wyłącznie światłem wpadającym przez otwór. Chwilę wisiał na rękach, potem zeskoczył na dół. Nie licząc krzesła bez jednej nogi i otwartego kufra, długie pomieszczenie

było równie puste, co wnętrze tego kufra. Najwyraźniej Zoram przestał wykorzystywać strych w charakterze magazynu, od kiedy żona zaczęła go wynajmować przyjezdnym.

Starając się stąpać jak najciszej, obaj mężczyźni obeszlili strych, póki nie znaleźli w podłodze następnej kłapy, większej od tamtej. Lan powiódł dłonią po mosiężnych zawiasach i poinformował Randa o wyniku oględzin. Zawiasy były suche, nie zardzewiałe. Rand dobył miecz i kiwnął głową. Lan szarpnął klapę.

Skoczył na dół, spowalniając częściowo lot dłonią wczepioną w krawędź otworu. Nie miał pojęcia, co go tam czeka. Wylądował w półprzysiadzie. Pomieszczenie najwyraźniej przejęło funkcje strychu, jeśli wnioskować z licznych szaf i komód, stojących pod ścianami, drewnianych kufrów, spiętrzonych jedne na drugich i odwróconych krzesel na stołach. Jednak ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał, był widok dwu ciał leżących tak, jakby ktoś po prostu porzucił je na strychu wraz z innymi niepotrzebnymi meblami. Rysów czarnych opuchniętych twarzy nie dawało się rozpoznać, jednak włosy niższego wciąż spinał wielki czerwony klejnot, osadzony w srebrze.

Land zeskoczył bezgłośnie na dół, potem zobaczył trupy i uniósł brew. To wszystko. Nic nigdy nie było go w stanie zaskoczyć.

– Fain tu był – szepnął Rand. Jakby obudzone dźwiękiem imienia, zakłuły bliźniacze rany w boku, ta starsza, która kształtem przypominała krąg lodu, ta nowsza, niczym pieczętująca ją pręga ognia. – To on wysłał list.

Lan mieczem wskazał wiodący na górę otwór, ale Rand pokręcił głową. Własnoręcznie chciał pozabijać renegatów, jednak teraz, gdy Torval i Gedwyn już nie żyli – bez większych wątpliwości to samo odnosiło się do Kismany, nagle zrozumiał podsłuchaną w tamtej gospodzie uwagę kupca – pojął, że nie dba, kto ich zabił, ważne, iż byli martwi. Wszelako, gdyby to jakiś obcy człowiek wykończył Dashivę, na tym byłby koniec. Skoro jednak w grę wchodził Fain, rzecz miała się inaczej. Fain sprowadził trolloki do Dwu Rzek i zadał mu drugą, nie gojącą się ranę. Jeżeli Fain gdzieś tu był, Rand nie miał zamiaru pozwolić mu uciec. Już wcześniej skinął na Lana i stanął przed drzwiami, trzymając w obu dłoniach miecz. Kiedy tamten gwałtownie otworzył drzwi, runął w głąb pomieszczenia. Nie zdążył się nawet dokładnie przyjrzeć ustawionemu pod ścianą łożu z baldachimem, ledwie zarejestrował płomień posyкуjące w małym kominku.

Uratowała go tylko szybkość, z jaką się poruszał. Kątem oka złowił poruszenie, coś zahaczyło połę rozwianego płaszcza. Odwrócił się niezgrabnie, akurat w czas, by odbić cios zakrzywionego sztyletu. Każdy ruch zdawał się ponad siły. Rany w boku nie kłuły już, lecz szarpały niczym szpony – płynne żelazo i duch lodu walczyły o lepsze, by dobrać się do ciała. Lews Therin zawył. Ból zaćmiewał wzrok, Rand nie potrafił już o niczym innym myśleć.

– Mówiłem ci, że on jest mój! – wrzasnął kościsty mężczyzna, uskakując przed ciosem miecza. Twarz wykrzywiała mu furia wystający nos i sterczące uszy nadawały wygląd pokrzywdzonego dziecka, jednak w oczach płonął mord. Wyszczерzone zęby przywodziły na myśl poniekąd również łasicę, zdjętą szalem zabijania. Wściekłą łasicę, gotową zaatakować panterę. Zresztą ten sztylet mógł sprowadzić śmierć na każdego. – Mój! – Wrzasnął znowu Padan Fain, kiedy Lan wpadł do pomieszczenia. – Zabić paskudę!

Dopiero gdy wejście Lana pozwoliło mu odwrócić uwagę od Faina, Rand zorientował się, że w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze. Wysoki bladokóry mężczyzna z wyraźną rozkoszą ruszył skrzyżować klingi ze Strażnikiem. Oblicze Torama Riatina było wynędzniałe, jednak w tańcu żelaza poruszał się z gracją mistrza miecza, którym był. Lan tylko na to czekał, rozpoczęła się śmiertelna choreografia stali i śmierci.

Rand odepchnął od siebie zdumienie wywołane spotkaniem w Far Madding obszarpańca, który

wcześniej rościł sobie prawo do tronu Cairhien. Nie było na to czasu. Z powrotem popatrzył na niegdysiejszego handlarza, a czubek miecza powędrował za spojrzeniem. Ktoś gorszy od Sprzymierzeńca Ciemności, powiedziała o nim Moiraine. Rand – ignorując szcęk stali za plecami i jęki Lewsa Therina w głowie – dał krok w kierunku tamtego, ale potknął się, porażony niespodzianym szarpnięciem bólu w boku. Fain drobił i przyskakiwał, próbując zmniejszyć dystans i ciąć sztyletem, którego pocałunek pamiętała wciąż nie zagojona rana. Warczał i przeklinał, gdy Rand zmusił go do wycofania. Znienacka odwrócił się i pobiegł na tyły domu.

Katusze w boku osłabły i przeszły w pulsujący ból, gdy Fain opuścił pomieszczenie. Mimo to Rand z najwyższą ostrożnością podążył za nim. Minał drzwi i okazało się, że Fain jednak nie zastawił zasadzki. Czekał na niego u szczytu schodów, w dłoni ścisnął zakrzywiony sztylet. Wielki rubin w głównej lśnił, chwytając promienie światła lamp na stołach. Pomieszczenie pozbawione było okien. Gdy tylko Rand przekroczył próg, ogień i lód szarpnęły ciałem, a serce zaczęło łomotać. Zdołał ustać tylko dzięki skrajnemu wysiłkowi żelaznej woli. Krok naprzód wydawał się czynem nadludzkim, jednak dał go... a potem następny.

– Chcę, żeby wiedział, kto go zabił – powiedział z rozdrażnieniem Fain. Patrzył na Randa, ale zdawał się mówić do siebie. – Chcę, żeby wiedział! Kiedy umrze, przestanie nawiedzać moje sny. Tak wtedy wszystko się skończy. – Z uśmiechem uniósł wolną rękę.

Po schodach wchodzili Torval i Gedwyn z płaszczami przerzuconymi przez ramię.

– Powiadam, że nie wolno nam się do niego zbliżać, póki nie znajdziemy pozostałych – sarknął Gedwyn. – M’Hael nas zabije, jeśli...

Nie zastanawiając się, Rand ułożył dłonie w Cięcie Wiatru, które natychmiast przeszło w Rozkładanie Wachlarza.

Iluzja powstałych z grobu mężczyzn rozwiała się, a Fain odskoczył z wrzaskiem. Krew zalała mu twarz. Przechylił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał, a po chwili wrzasnął raz jeszcze – krzykiem nieartykułowanej furii – i zbiegł po schodach.

Rand ruszył w ślad za oddalającym się tupotem butów, jednak Lan schwycił go za ramię.

– Na ulicy od frontu jest pełno Muncypalnych, pasterzu. – Plama ciemnej wilgoci rozlewała się na lewym boku kaftana, jednak miecz już tkwił w pochwie. Namacalny dowód, kto okazał się lepszym tancerzem stali. – Czas wracać na dach.

– W tym mieście człowiek nie może się nawet pokazać na ulicy z dobytym mieczem – mruknął Rand, chowając własne ostrze. Lan nie roześmiał się, ale przecież prócz Nynaeve mało kto potrafił go do tego skłonić. Od stóp schodów dobiegały okrzyki. Może Fain wpadł w ręce Gwardii Muncypalnej. Może zawiśnie, oskarżony o zamordowanie wszystkich trzech. Jakoś nie bardzo mu to pasowało, ale musi wystarczyć. Rand powoli miał już dość poprzestawania na tym, co musi wystarczyć.

Kiedy znaleźli się na strychu, Lan podskoczył, złapał krawędź otworu i wyciągnął się na dach. Rand nie był pewien, czy zdoła powtórzyć wyczyn tamtego. Wraz z Fainem zniknął także ból, niemniej bok odczuwał tak, jakby go stłuczono trzonkiem topora. Kiedy się zbierał w sobie, Lan wytknął głowę przez otwór i wyciągnął rękę.

– Prawdopodobnie nie pobiegną od razu na górę, pasterzu, ale czy jest sens, by sprawdzać na własne oczy?

Rand chwycił wyciągniętą dłoń i pozwolił się podciągnąć do miejsca, skąd już mógł złapać się dachu. O własnych siłach wypełził nań. Pochyleni, przeszli po mokrych dachówkach na tyły budynku, a potem wspięli na szczyt dachu. Mimo Muncypalnych na frontowej ulicy, wciąż istniała szansa, że uciekną niezauważeni. Gdyby jeszcze udało się dać znak Nynaeve, która mogłaby odciągnąć uwagę

tamtych.

Rand dotarł do najwyższego punktu dachu i usłyszał zgrzyt obsuwającej się stopy Lana. W samą porę schwycił go za rękę, jednak pod ciężarem ciała obaj zaczęli się zsuwać. Na próżno zakrzywione palce drapały powierzchnię dachu, szukając najdrobniejszego punktu zaczepienia. Żaden nie wydał najcichszego odgłosu. Ani słowa. Wreszcie czubki rękawic Randa zahaczyły o coś, nie miał pojęcia o co i nie obchodziło go. Lan wisiał w powietrzu, ponad okap wystawała tylko jego głowa i jedno ramię. Do ziemi było co najmniej dziesięć kroków.

– Puść – powiedział cicho. Spojrzał na Randa zimnymi i nieustępliwymi oczyma. Na jego twarzy nie odbijały się żadne uczucia. – Puść.

– Kiedy słońce wzejdzie na zielono – odparł Rand. Gdyby tylko był w stanie podciągnąć tamtego troszkę, żeby schwycił się okapu...

Uchwyt pod palcami pękł z donośnym trzaskiem, a na ich spotkanie pomknęła rozmokła powierzchnia alejki.

# TAJEMNICA KOLIBRA

Nynaeve odłożyła cienką zieloną wstążkę na tacę handlarki i wsunęła zziębniętą dłoń pod płaszcz. Starła się równocześnie obserwować alejkę za sklepem ze świecami i nie rzucać się w oczy. Płaszcz był wprawdzie zdecydowanie zbyt dobry na tę ulicę, jednak z drugiej strony dostatecznie skromny, aby nikt nie spojrział na nią dwa razy. Jednak pasek z pewnością przyciągnąłby spojrzenia. Kobiety w klejnotach rzadko zaglądały na Ulicę Błękitnego Karpia, albo robiły zakupy u ulicznych handlarzy. Zdążyła już wziąć do ręki każdy towar na tacy, a handlarka zaczynała powoli stroić miny, jednak przecież kupiła od rozmaitych sprzedawców trzy wstążki, dwa kawałki tasiemki i paczkę szpilek, wszystko po to, by uzasadnić swą obecność w tym miejscu. Szpilki zawsze się przydadzą, jednak trudno jej było sobie wyobrazić, co zrobi z resztą.

Nagle od strony wartowni dobiegły ją odgłosy jakiegoś zamieszania, donośne okrzyki Muncypalnych, które z każdą chwilą stawały się głośniejsze. Wartownik zląził ze swego stanowiska. Przechodnie przystanęli i rozglądali się po skrzyżowaniu, spoglądali też w głąb Ulicy Błękitnego Karpia, póki nie roztrącił ich na boki biegnący patrol Straży Muncypalnej. Tamci wymachiwali trzymanymi w górze grzechotkami. Za moment nie był to już pojedynczy patrol, ale cały strumień zbrojnych, który płynął Ulicą Błękitnego Karpia i do którego dołączały mniejsze strumyczki z ulic sąsiednich. Ludzi, którzy nie mieli dość przytomności, aby się odsunąć, odpychano bezceremonialnie, jeden trafił nawet pod buty biegnących. Żaden z tamtych nie zwolnił.

Sprzedawczyni wstążekomal nie pogubiła połowy swego towaru, tak jej było spieszo na bok. Nynaeve równie skwapliwie przycisnęła się do kamiennej ściany i obie patrzyły. Ciżba Straży Muncypalnej wypełniła całą szerokość ulicy, objęli się o siebie, niemalże wciskając je w kamień. Nad głowami falował las chwytaków i pątek. Taca wytrącona z rąk sprzedawczyni wstążek gdzieś zniknęła, oni zaś nie bacząc na nic, parli przed siebie.

Kiedy ostatni ją minął, Nynaeve znajdowała się dobre dziesięć kroków dalej niż przed całym zamieszaniem. Sprzedawczyni wstążek krzyczała coś gniewnie i wymachiwała pięścią. Poprawiając płaszcz, Nynaeve rozważała możliwość jakiegoś poważniejszego przedsięwzięcia, niż tylko krzyki. Już chciała...

Nagle poczuła, jak oddech więźnie jej w gardle. Straż Muncypalna zatrzymała się zbitą ciżbą – była ich pewnie z setka mężczyzn, pokrzykujących do siebie, nie wiedzących co dalej robić. A stali przed frontem warsztatu szewca. Och, Światłości, Lan. I Rand też, oczywiście, jak zawsze, niemniej przede wszystkim miłość jej życia, Lan.

Zmusiła się, by zaczerpnąć powietrza. Stu ludzi. Dotknęła Studni, paska z klejnotami otaczającego talię. Została mniej niż połowa zgromadzonego wcześniej *saidara*, ale może wystarczy. Musi wystarczyć, choć nie wiedziała jeszcze właściwie na co. Nasunęła kaptur płaszcza i ruszyła w stronę mężczyzn przed domem szewca. Żaden się nawet nie obejrzał. Może..

Poczuła na sobie uścisk czyichś dłoni. Szarpnięcie odwróciło ją w przeciwną stronę.

Zobaczyła Cadsuane i Alivię, tamte uparcie ciągnęły ją jak najdalej od warsztatu szewca. Obok szła Min, zdenerwowana, oglądając się przez ramię. Nagle drgnęła, jakby się obudziła.

– On... On chyba spadł – szepnęła. – Wydaje mi się, że stracił przytomność, jest ranny. Nie wiem, jak ciężko.

– Nic nie da, jeżeli będziemy tu tak sterczeć – spokojnie oznajmiła Cadsuane. Pokręciła głową, a złote ozdoby koczka zatańczyły w rozcięciu kaptura. Uważnie przyglądała się ludziom przed sobą.



Dłonią przytrzymała kaptur, przez co wiatr rozwiewał połę jej płaszcza. – Lepiej być jak najdalej stąd, zanim któremuś z tych chłopców przyjdzie na myśl przyjrzeć się kobiecym twarzom. Przez to dziecko każda Aes Sedai przyłapana na Ulicy Błękitnego Karpia będzie się musiała gęsto tłumaczyć.

– Puśćcie mnie! – warknęła Nynaeve, wrywając się. Lan. Rand stracił przytomność, ale co z Lanem? – Muszę im pomóc! – Tamte ścisnęły ją w żelaznym uchwycie i ciągnęły za sobą. Mijani ludzie zastygli ze spojrzeniami wbitymi we fronton domu szewca.

– Wystarczająco już się im przysłużyłaś, głupia dziewczyno.

– Głos Cadsuane ciął niczym stal. – Mówiłam ci o strażnikach Far Madding. Ba! A ty, przenosząc w miejscu, gdzie to jest niemożliwe, wywołałaś panikę wśród Radczyń. Jeżeli wpadną w ręce Muncypalnych, to głównie przez ciebie.

– Uznałam, że to nie chodzi o *saidara* – słabo broniła się Nynaeve. – To była tylko odrobina i tylko przez chwilę. Ja... Ja... sądziłam, że może nikt nie zauważy.

Cadsuane obrzuciła ją pełnym niesmaku spojrzeniem.

– Tędy, Alivia – powiedziała, ciągnąc Nynaeve za róg ulicy, tuż pod opuszczoną wartownię. Podnieceni ludzie grupkami stali na ulicy, mieląc ozorami. Ktoś symulował operowanie chwytkiem. Jakaś kobieta wskazywała na pustą wartownię, kręcąc w zdumieniu głową.

– Powiedz coś, Min – błagała Nynaeve. – Nie możemy tak po prostu ich zostawić. – Nawet przez myśl jej nie przeszło, by odwołać się do Alivii. Wystarczyło, że spojrzała na jej twarz.

– Nie oczekuj ode mnie współczucia. – W cichym głosie Min pobrzmiwały tony jeszcze zimniejsze niż wcześniej w słowach Cadsuane. Spojrzała na Nynaeve z ukosa, a potem zaraz odwróciła wzrok. – Błagałam cię, żebyś mi pomogła ich powstrzymać, ale ty musiałaś okazać się równie głupia, jak oni. Teraz wszystko zależy od Cadsuane.

Nynaeve parsknęła.

– A co ona może zrobić? Czy muszę ci mówić, że idziemy w przeciwną stronę i z każdą chwilą jesteśmy coraz dalej od Lana i Randa?

– Chłopak nie jest jedynym, któremu przyda się lekcja dobrych manier – mruknęła Cadsuane. – Jak dotąd jeszcze mnie nie przeprosił, choć obiecał Verin, że to zrobi. Przyjmijmy więc tymczasowo, że wierzę w jego dobre intencje. Ba! Ten chłopak przysparza mi więcej kłopotów niż dowolnych dziesięciu, jakich w życiu spotkałam. Zrobię co w mojej mocy, dziewczyno. Na pewno więcej, niż byś ty zdołała, próbując wystąpić przeciw Straży Muncypalnej. Odtąd będziesz robić dokładnie to, co każe, albo Alivia się tobą zajmie! – Alivia groźnie pokiwała głową. Min jej zawtórowała!

Nynaeve skrzywiła się. Ta Aes Sedai miała przecież okazywać jej respekt! Niemniej, jako gość Pierwszej Radczyni, była w stanie osiągnąć znacznie więcej niż prosta kobieta, Nynaeve al'Meara nawet jeśli nosiła pierścień z Wielkim Wężem. Dla Lana zgodzi się Na wszystko, co każe Cadsuane.

Kiedy jednak zapytała, co tamta zamierza zrobić, by uwolnić mężczyzn, w odpowiedzi usłyszała tylko:

– Znacznie więcej niżbym miała ochotę, dziewczyno. O ile w ogóle coś da się zrobić. Jednak obiecałam chłopakowi, a ja dotrzymuję obietnic. Spodziewam się, że będziesz o tym pamiętać. – Słowa te, wypowiedziane lodowatym tonem, nie bardzo dodawały otuchy.

Rand ocknął się w ciemnościach. Leżał na wznak, bolało go całe ciało. Rękawice gdzieś się zapodziały, pod palcami czuł szorstki siennik. Buty również mu zdjęto. Zdjęto rękawice! Dowiedzieli się, kim jest. Ostrożnie usiadł. Twarz też była obolała, czuł się, jakby otrzymał surowe lanie, jednak wszystkie kości chyba były całe.

Podniósł się powoli, pomacał ścianę obok siennika. Poruszając się wzdłuż niej, dotarł do kąta,

a po chwili poczuł pod palcami okute żelazem drzwi. W ciemnościach wyłowił kształt małego okienka, jednak nie potrafił go otworzyć. Nawet odrobina światła nie sączyła się przez szpary. W jego głowie Lews Therin zaczął ciężko dyszeć. Rand ruszył po omacku dalej, pod stopami miał zimny kamień. Nieomal natychmiast dotarł do następnego rogu pomieszczenia, w trzecim uderzył palcami coś, co potoczyło się z grzechotem. Nie odrywając ręki od ściany, pochylił się i znalazł drewniany kubeł. Wstał, dokończył okrażenia i wrócił pod żelazne drzwi. Koniec. Znajdował się wewnątrz czarnej skrzyni o długości trzech kroków, szerokości dwóch. Kiedy uniósł rękę, okazało się, że sufit ma stopę ponad głową.

„Zamknięty” – ochryple dyszał Lews Therin. – „Znowu w skrzyni. Jak wtedy, gdy zamknęły nas te kobiety. Musimy się wydostać!” – wył. – „Musimy się wydostać!”

Rand ignorował jego wrzaski. Cofnął się od drzwi, usiadł ze skrzyżowanymi nogami w miejscu, które uznał za środek celi. Jak najdalej od ścian – w ciemnościach próbował imaginacją odsunąć je od siebie, jednak wciąż miał wrażenie, że gdy tylko wyciągnie ręce, trafią na zimny kamień. Cały drżał, czując się, jakby to targane dreszczami ciało należało do kogoś innego. Ściany były tuż obok, sufit dusił głowę. Musi się opanować, inaczej zanim przyjdą go uwolnić, oszaleje jak Lews Therin. W końcu muszą go wypuścić, choćby po to, żeby przekazać wysłanniczkom Elaidy. Ile miesięcy zajmie kurierowi podróż do Tar Valon, a potem powrót z emisariuszkami Elaidy? Jeżeli wcześniej natknie się na zwolenniczki Białej Wieży, może zajmie to mniej czasu. Przeraził się, gdy pojął, że przed momentem zapragnął, by siostry przebywały w mieście, bowiem tym sposobem skróciłyby tylko jego udękę.

– Nie poddam się! – krzyknął. – Będę twardy, nie złamiecie mnie! – W ciasnocie pomieszczenia jego głos zabrzmiał niczym grzmot.

Moiraine zginęła, ponieważ nie był dość twardy, by zrobić to, co konieczne. Jej imię na zawsze już wypisane zostało na czele listy kobiet, które przez niego zginęły. Moiraine Damodred. Wymieniając kolejne, zapominał o obolałym ciele i naciskających ścianach celi. Colayaere Saighan, która umarła, ponieważ pozbawił ją wszystkiego, co miało dla niej wartość. Liah, Panna Włóczni z Cosaida Chareen, która zmarła na jego rękach, ponieważ poszła za nim do Shadar Logoth. Jendhilin, Panna Włóczni z Zimnego Szczytu Miagoma, która oddała życie za honor strzeżenia jego drzwi. Musiał być twardy! Wzywał jedno po drugim imiona z listy, cierpliwie wykuwając duszę na kowadle bólu.

Przygotowania trwały dłużej niż Cadsuane się spodziewała. Zasadniczym powodem zwłoki był fakt, że musiała najpierw wszystkich przekonać, iż nie ma mowy o romantycznej operacji uwolnienia więźnia, rodem z opowieści bardów. Dlatego też zrobiła się już noc, kiedy szła po oświetlonych korytarzach Gmachu Rady. Szła statecznie, bez pośpiechu. Pośpiech ludzie odczytują zazwyczaj jako oznakę niepokoju, mogą wtedy dojść do wniosku, że mają przewagę. A jeżeli kiedykolwiek w życiu potrzebne jej było wrażenie posiadania przewagi, to właśnie dzisiaj.

Korytarze powinny o tej porze być puste, jednak wydarzenia ubiegłego dnia nawet tu odcisnęły swe piętno. Wszędzie pełno było urzędników w niebieskich kaftanach, zatrzymywali się niekiedy, by popatrzeć na nią i jej towarzyszy. Bardzo prawdopodobne, że nigdy nie widzieli naraz czterech Aes Sedai – Nynaeve jej zdaniem mogła zasłużyć sobie na ten tytuł, dopiero gdy złoży Trzy Przysięgi – a wcześniejsze zamieszanie tylko podsycalo ich ciekawość. Trzej mężczyźni zamykający pochod ścigali na siebie tyleż samo spojrzeń. Urzędnicy mogli nie wiedzieć, co znaczą czarne kaftany i symbole przy wysokich kołnierzach, jednak z pewnością żaden nigdy nie widział w tym gmachu trzech uzbrojonych mężczyzn. Może przy odrobinie szczęścia nikt nie pobiegnie donieść Aleis o

szykującej się niespodzianie podczas zamkniętego posiedzenia Rady. Szkoda, że mężczyźni nie chcieli przyjść sami, ale nawet Daigian żywo zaprotestował, gdy to zasugerowała. Wielka szkoda, że reszta jej towarzyszek nie potrafiła zachować równie zimnej krwi, co Merise i pozostałe dwie siostry.

– To się nigdy nie uda – narzekała Nynaeve, po raz chyba dziesiąty od opuszczenia Wzgórz powracając do tej samej kwestii.

– Od razu powinniśmy uderzyć z całej siły!

– Wszystko dzieje się zbyt powoli – mruzczała ponuro Min. – Czuję, jak on się zmienia. Jeżeli wcześniej był niczym kamień, to teraz jest jak żelazo! Światłości, dlaczego oni mu to robią? – Pozwolono jej pójść tylko dlatego, że stanowiła ogniwo łączące z chłopakiem. Teraz nieustannie zdręczała je doniesieniami o jego stanie, a każde następne było gorsze od poprzedniego. Cadsuane nie powiedziała, jak wyglądają tutejsze cele, powstrzymała ją scena hysterii, w którą wpadła Min, opowiadając, co zrobiły mu siostry, kiedy go porwały.

Cadsuane westchnęła. Prawdziwą sobie zafundowała armię łachmaniarzy, niemniej, jak w każdej armii i tu konieczna była dyscyplina. Zwłaszcza, że szykowałą się bitwa. Byłoby jeszcze gorzej, gdyby te kobiety Ludu Morza poszły z nimi, jak się uparły.

– Żadna z was nie jest mi do szczęścia potrzebna – oznajmiła zdecydowanie. – Nie, nic nie mów, Nynaeve. Merise albo Corele mogłyby zamiast ciebie założyć ten pasek. A więc jeżeli wy, dzieci, nie przestaniecie mi tu spazmować, każę Alivii odprowadzić was na Wzgórze i postarać się o prawdziwy powód do płaczu. – Tylko dlatego wzięła ze sobą tę dziwną dzikuskę. Alivia zachowywała się nadzwyczaj grzecznie wobec wszystkich, na których nie mogła patrzeć z góry, co jednak nie odnosiło się do tych dwu sroczek.

Spojrzały równocześnie na złotowłosą i umilkły jak niepyszne. Najwyraźniej wszakże nie do końca przekonane. Min mogła się dąsać do woli, Nynaeve jednak nie miała prawa do tych ponurych spojrzeń. Dziewczyna stanowiła świetny materiał, tyle że zbyt szybko przerwała szkolenie. Jej umiejętności Uzdrawiania graniczyły z cudem, pozostałe zdolności były praktycznie zerowe. Nie przyswoiła sobie jeszcze lekcji na temat tego, ile jest się w stanie znieść. W głębi ducha Cadsuane potrafiła ją zrozumieć. Do pewnego stopnia. Tę lekcję nie każda kobieta wynosiła z Wieży. Ona sama, wówczas jeszcze pełna dumy ze świeżo zdobytego szala i własnej siły, odebrała ją od bezzębnej dzikuski na farmie w sercu Czarnych Wzgórz. Och, naprawdę łachmaniarską sobie zebrała armię, by przewrócić do góry nogami Far Madding.

Urzednicy i gońcy do połowy wypełniali kolumnadę westybulu Komnaty Rady, jednak mimo wszystko byli tylko tym, kim byli. Urzednicy wahali się w służalczej kontuzji, każdy czekał, by drugi pierwiej się odezwał, natomiast gońcy w czerwonych kaftanach – dobrze wiedząc, że nie mają tu nic do powiedzenia – usunęli się z drogi. Po chwili urzednicy zareagowali podobnie, nikt nie odważył się otworzyć ust. Została sama ze swymi towarzyszami pośrodku niebieskiej posadzki. Dopiero gdy otworzyła skrzydło wielkich drzwi z godłem Ręki i Miecza, po komnacie poniosło się ciche westchnienie.

Komnata Rady nie była szczególnie wielka. Za całe oświetlenie starczyły cztery stojące lampy z lustrzanymi półkłoszami. Wielki tairzeński dywan w barwach czerwieni, błękitu i złota pokrywał nieomal całą posadzkę. Pojedynczy marmurowy kominiek dawał dość ciepła, mimo iż oszklone drzwi wiodące na zewnętrzną kolumnadę, grzechotały w podmuchach nocnego wiatru na tyle głośno, by stłumić tykanie wysokiego, połączanego illiańskiego zegara na gzymsie. Na trzynastu rzeźbionych i połączanych fotelach, łukiem ustawionych ku drzwiom – w istocie, wyglądały niczym królewskie trony – siedziało trzynaście zaniepokojonych kobiet.

Aleis zajmowała miejsce pośrodku. Zmarszczyła brwi, gdy Cadsuane na czele swej procesji wkroczyła do wnętrza.

– To jest zamknięte posiedzenie, Aes Sedai – oznajmiła oficjalnie i zimno. – Może później zostaniesz poproszona, ale teraz...

– Dobrze wiesz, kogo przetrzymujesz w lochach – wtrąciła Cadsuane.

Nie było to pytanie, jednak Aleis najwyraźniej postanowiła udawać, że nie wie, o co chodzi.

– Przypuszczam, że wielu w nich siedzi. Pijący alkohol w miejscach publicznych, cudzoziemcy aresztowani za bójki i kradzieże, człowiek z Ziem Granicznych, dziś doprowadzony, podejrzany o zabójstwo trzech osób. Nie prowadzę osobistego rejestru zatrzymań, Cadsuane Sedai. – Słyszac o potrójnym morderstwie, Nynaeve głośno westchnęła, a w jej oczach zamigotały niebezpieczne iskierki, jednak najwyraźniej miała dość rozumu, by zmilczeć.

– A więc zdecydowałaś się zataić fakt przetrzymywania w lochu Smoka Odrodzonego – cicho powiedziała Cadsuane. Żywiła nadzieję, ogromną nadzieję, że Verin zdoła przygotować grunt i przekona je, by obrały inny tok postępowania. W tej sytuacji należało zrobić wszystko prościej. – Mogę zdjąć wam kłopot z głowy. W moim życiu ponad dwudziestokrotnie miałam do czynienia z przenoszącymi mężczyznami. Nie boję się go.

– Dziękujemy ci za łaskawą propozycję – odparła gładko Aleis – ale najpierw wolałybyśmy porozumieć się z Tar Valon. – Między wierszami należało czytać: aby ustalić cenę. Cóż, będzie co ma być. – Czy możesz nam jeszcze powiedzieć, jaką drogą dotarło do ciebie...

Cadsuane znów jej przerwała:

– Może powinnam o tym wcześniej wspomnieć, ale ci panowie za mną, to Asha'mani.

W tym momencie tamci wystąpili naprzód, jak to zostało wcześniej uzgodnione. Nawet w jej oczach wyglądali groźnie. Damer posiwiały niczym stary niedźwiedź, którego boli ząb; śliczny Jahar jak smukła, czarna pantera. Skupione spojrzenie Ebena szczególnie złowieszczo wyzierało z tak młodziutkiej twarzy. Z pewnością zaś wywarli spodziewane wrażenie na Radzie. Kilka Radczyń tylko drgnęło w fotelach, jakby się chciały odsunąć, jednak Cyprien zamarła z rozdziawionymi ustami, co stanowiło niezbyt miły widok przez wzgląd na krzywe zęby. Sybaine, o włosach siwych jak Cadsuane, osunęła się na oparcie i zaczęła wachlować dłonią. Usta Curnere wykrzywiły się, jakby ją znienacka zemdliło.

Aleis wszakże ulepiona była z twardszej gliny, tylko dłonie zacisnęła mocniej na podołku.

– Już ci mówiłam, że Asha'mani mają wolny wstęp do miasta, pod warunkiem przestrzegania prawa. Nie boimy się Asha'manów, Cadsuane, choć muszę przyznać, że zaskakuje mnie towarzystwo, w jakim się obracasz. Zwłaszcza w kontekście propozycji, którą nam właśnie złożyłaś.

A więc teraz znowu była zwykłą Cadsuane, czy tak? Niemniej przykro jej było, że musi złamać Aleis. Dobrze rządziła Far Madding, po dzisiejszej nocy może już nie odzyskać pozycji.

– Zapominasz, co jeszcze się dzisiaj stało, Aleis? W mieście ktoś przynosił Moc. – Znowu Radczyńnie poruszyły się nerwowo, a na niejednym czole wykwitł pełen niepokoju mars.

– Anomalia. – Głos Aleis nie był już chłodny, pobrzmiwały w nim gniewne tony oraz, niewykluczone, nutka strachu. Ciemne oczy lśniły. – Błąd strażników. Nikt z przesłuchiwanym nie powiedział nic, co by świadczyło, że...

– Nawet skończona, zdawałoby się, doskonałość ma swoje wady, Aleis. – Cadsuane sięgnęła do jednej z własnych Studni i zaczerpnęła porcję *saidara*. Miała w tym sporą praktykę, choć maleńki złoty koliber nie potrafił pomieścić nawet w przybliżeniu tyle, co pasek Nynaeve. – A wady te mogą umykać naszej uwadze przez wieki, nim ktoś je obnaży. – Splotła strumień Powietrza wystarczająco silny, by zdjąć z głowy Aleis wysadzany klejnotami diadem i położyć go na dywanie u jej stóp. –

Obnażone wszelako, każdemu rzucają się w oczy.

Trzyście wstrząśniętych spojrzeń utkwiło w diademie. Wszystkie Radczynie, jak tu siedziały, zamarły bez tchu.

– W moich oczach nie tyle wygląda to na ukrytą wadę, co na otwarte wrota stodoły – oznajmił Damer. – Myślę jednak, że na głowie prezentuje się ładniej.

Poświata *saidara* otoczyła zniecka Nynaeve, a diadem pofrunął ku twarzy Aleis, w ostatniej chwili zwalniając lot tak, że osiadł delikatnie ponad pobladłym obliczem, miast uderzyć w nie rozpędzony. Jednak aura Mocy wciąż otaczała dziewczynę. Cóż, jak chce niech opróżnia swą Studnię.

– Czy...? – Aleis przełknęła ślinę, kiedy jednak podjęła na nowo, głos wciąż nie był czysty. – Czy wystarczy, jeśli wydamy go w wasze ręce? – Być może sama nie miała pojęcia, czy mówi do Cadsuane czy do Asha'manów.

– Sądzę, że tak – spokojnie odrzekła Cadsuane, a Aleis osunęła się w fotel niczym marionetka, której podcięto sznurki. Pozostałe Radczynie, choć wciąż wstrząśnięte pokazem Mocy, już wymieniały znaczące spojrzenia. Popatrywały na Aleis, zacinały usta, kiwały głowami. Cadsuane wciągnęła głęboki oddech. Obiecała chłopakowi, że cokolwiek zrobi, zrobi dla jego dobra, nie zaś dla dobra Wieży czy kogo tam, a teraz złamała przyzwoitą kobietę. Dla jego dobra. – Przepraszam, Aleis – dodała.

„Twój dług u mnie, chłopcze, wciąż rośnie” – pomyślała.

# CHOEDAN KAL

Rand jechał po szerokim kamiennym moście, ani razu nie oglądając się na majaczącą za plecami Bramę Caemlyn. Bładozłota kula słońca wisiała nad bezchmurnym horyzontem, jednak w powietrzu było dość chłodu, aby oddech zamieniał się w parę. Wiatr znad jeziora rozwiewał poły płaszcza. Mimo to nie czuł zimna. Docierało doń w postaci odległego wrażenia, jakby tycząc kogo innego. W jego sercu panował lód, jakiego nie powstydziałaby się żadna zima. Strażników, którzy poprzedniej nocy przyszedli po niego do celi, zaskoczył nieznaczny uśmiech, jakim ich powitał. Wciąż trwał przylepiony do twarzy – zastygły w leciutkim skrzywieniu ust. Resztkami *saidara* ze swego paska Nynaeve Uzdrowiła jego obrażenia, niemniej oficer w hełmie, który wyszedł im naprzeciw – krępy, o pospolitym obliczu – wzdrygnął się, widząc go. A przecież po siniakach i opuchliznie nie zostało śladu.

Cadsuane nachyliła się w siodle, powiedziała cicho parę słów i podała tamtemu złożony papier. Zmarszczył brwi, zaczął czytać, po chwili jednak oderwał oczy od dokumentu, by zdumionym spojrzeniem ogarnąć towarzyszących jej ludzi. Znowu zaczął od początku, poruszał ustami, jakby chciał mieć pewność, że zrozumie każde słowo. I nic dziwnego. Podpisany i pieczętowany przez wszystkie trzynaście Radczyń rozkaz wykluczał sprawdzanie plecionki pokoju i rewizję juków. Imiona wyjeżdżających miały zostać na trwałe wymazane z rejestrów, a sam rozkaz, po przeczytaniu, spalony. Nigdy nie było ich w Far Madding. Żadnych Aes Sedai, żadnych Asha'manów, nikogo.

– Skończyło się, Rand – powiedziała łagodnie Min, podprowadzając krępą brązową klacz do boku siwego wałacha. A przecież nawet bez tego była z nim równie blisko, co Lan z Nynaeve. Nynaeve najpierw Uzdrowiła siniaki i złamane ramię Lana, a dopiero potem zajęła się Randem. Na twarzy Min odbijał się niepokój, pulsujący w więzi. Pozwoliła, by wiatr rozwiał poły płaszcza, poklepała jego ramię. – Nie musisz więcej o tym myśleć.

– W sercu chowam wdzięczność dla Far Madding, Min. – Jego głos był wyprany z emocji, nieobecny, jak za tamtych dawnych dni, kiedy po raz pierwszy chwycił *saidina*. Chciał nadać mu czulsze brzmienie, dla niej, ale okazało się to ponad siły. – Naprawdę znalazłem tu coś, czego mi było trzeba. – Gdyby miecz pamiętał, mógłby żywić wdzięczność wobec ognia kuźni, aleprzecież nigdy nie okaże czułości.

Kazano im jechać. Puścił siwka cwałem po ubitej drodze, na wzgórze. W końcu, gdy drzewa miały już skryć widok miasta, poświęcił mu jedno, krótkie spojrzenie. Nic więcej.

Droga pięła się, wijąc wśród zalesionych, zimowych wzgórz. Resztki zieleni zachowały się tylko na sosnach i skórzanych liściach, pozostałe drzewa straszły powykręcanyimi, szarymi gałęziami. Ale wrażenie wywierane przez ponury widok pierzchło w obliczu raptownej obecności Źródła, które znowu zajęło swe miejsce jakby tuż za granicą pola widzenia. Tętniło, mrugało doń i wabiło obietnicą głodu graniczącego z niekończącym się postem. Nie zastanawiając się, sięgnął i *saidinem* wypełnił tę pustkę w sobie – lawiną ognia, burzą lodu, brudem tłustej skazy, od której zakłuła rana w boku. Zakręciło mu się w głowie, siodło zakołysało, w gardle wezbrały mdłości. A równocześnie przecież musiał panować nad tą lawiną, która próbowała wypalić mu mózg, musiał dosiadać burzy, co chciała porwać duszę. W męskiej połowie Źródła nie było przebaczenia ni litości. Mężczyzna walczył lub ginął. Czuł, jak trzej Asha'mani za jego plecami również sięgają po *saidina*, jak ludzie powracający z Pustkowiec sięgają po wodę. W jego głowie Lews Therin westchnął z ulgą.

Min ściągnęła wodze klaczy tak blisko niego, że ich kolana zetknęły się.

– Wszystko w porządku? – zapytała zaniepokojona. – Wyglądasz na chorego.

– Jestem równie rzeński co wiosenny deszczyk – odparł, a kłamstwo nie odnosiło się wyłącznie do fizycznego samopoczucia. W istocie cały był niczym stal, jednak we własnym mniemaniu jeszcze nie dość twardy. Rozważał nawet możliwość odesłania jej pod opieką Alivii do Caemlyn. Jeżeli złotowłosa miała mu pomóc umrzeć, powinien być w stanie jej zaufać. Ułożył już sobie słowa w głowie, jednak pojedynczego spojrzenia w ciemne oczy Min starczyło, by zabrakło mu języka w gębie. Zawrócił siwka wśród nagich drzew i odezwał się do Cadsuane: – To tutaj.

Oczywiście, Cadsuane pojechała z nim. Jak wszyscy pozostali. Harine tak go pilnowała, że zeszłej nocy prawie nie zmrużyła oka. Pozbyłby się jej, ale w tej kwestii Cadsuane udzieliła mu pierwszej rady.” Dobiłeś z nimi targu, chłopcze, to tak samo, jakbyś podpisał traktat. Lub dał słowo. Dotrzymaj go, albo powiedz im, że chcesz je złamać. W przeciwnym razie okażesz się nie lepszy od pierwszego z brzegu złodzieja”. Szczere do bólu i wypowiedziane tonem, który nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości, co sądzi na temat złodziei. Wprawdzie nie obiecał, że będzie się stosował do jej rad, niemniej tyle go kosztowało jej pozyskanie, że teraz nie chciał ryzykować. Takim sposobem, Mistrzynie Fal oraz pozostała dwójka Ludu Morza podróżowała pod opieką Alivii, zajmując w kolumnie miejsce przed Verin i pozostałymi pięcioma Aes Sedai, które przysięgły mu wierność oraz czterema, dotrzymującymi towarzystwa Cadsuane. Pewien był, że opuści go równie szybko, co tamte, może szybciej.

Tylko w jego oczach miejsce, gdzie przed udaniem się do Far Madding zakopał swoje rzeczy, różniło się od otaczającego terenu. Ku niebu sterczała tu błyszcząca niczym latarnia pręga światła, dobywającego się spośród wilgotnej leśnej mierzwy. Nawet dowolny inny mężczyzna, który potrafił przenosić, minąłby to miejsce, nic nie widząc. Nie chciało mu się nawet zsiadać z konia. Strumieniem Powietrza zdarł warstwę zbutwiałych liści i gałązek, a potem rył w mokrej glebie, póki nie odsłonił cienkiego tobołka owiniętego rzemieniami. *Callandor* pofrunął na spotkanie jego dłoni, bryłki ziemi wciąż przywierały do materii zawiniątka. Nie ośmielił się zabrać go do Far Madding. Ponieważ nie miał pochwy, trafiłby do depozytu w warowni przy moście, co było równoznaczne ze wzniesieniem własnego sztandaru. Niepodobieństwem było sądzić, że jest na świecie drugi kryształowy miecz, a zbyt wielu wiedziało, że Smok Odrodzony takowy posiada. A mimo że zakopał go tutaj i tak skończył w ciasnej czarnej skrzyni pod... Nie. Było, minęło. Minęło. Lews Therin dyszał pośród cieni jego umysłu.

Wsunął *Callandora* w juki siodła, ściągnął wodze siwka, kazał mu stanąć przodem do nich wszystkich. W podmuchach zimnego wiatru konie kuliły ogony, od czasu do czasu jednak któryś grzebał kopytem w ziemi lub zarzucał łbem, rwąc się do drogi. Nic dziwnego, po tak długim pobycie w stajni. Skórzany worek na ramieniu Nynaeve nie mógł już bardziej nie pasować do wysadzanych klejnotami *ter'angreali*, w które się przystroiła. Czując, że czas się zbliża, najwyraźniej nieświadomie muskała dłonią wybrzuszenia skóry. Próbowwała ukryć swój strach, jednak podbródek drżał jej wyraźnie. Cadsuane przyglądała mu się z całkowitą obojętnością. Kaptur płaszcz odrzuciła na plecy, od czasu do czasu silniejszy podmuch wiatru poruszał złote rybki, ptaszki, gwiazdy i księżycy, zdobiące koczek.

– Mam zamiar usunąć skazę z męskiej połowy Źródła – oznajmił.

Trzej Asha'mani – ubrani teraz w proste ciemne kaftany i płaszcze identyczne co pozostałych Strażników – wymienili podniecone spojrzenia, ale to Aes Sedai zareagowały prawdziwym wzburzeniem. Nesune jęknęła zadziwiająco głośno, jak na szczupłą, ptasią postać.

Wyraz twarzy Cadsuane nie zmienił się na jotę.

– Tym? – zapytała, mierząc sceptycznym wzrokiem tobolek przy siodle.

– Przy pomocy Choedan Kal – odparł. Znajomość nazwy zawdzięczał Lewsowi Therinowi, który teraz spokojnie tkwił w jego głowie, jakby nigdy nie było inaczej. – Musicie wiedzieć o ogromnych posągach, *sa'angrealach*. Jeden jest pogrzebany w Cairhien, drugi w Tremalking. – Na wzmiankę o wyspie Ludu Morza, Harine pokręciła głową, aż zaszczekały cichutko złote medaliony na łańcuszku przy nosie. – Są zbyt wielkie, żeby nie nastęrczały trudności w czasie transportu, posiadam jednak dwa *ter'angreale*, które nazywane są kluczami dostępu. Przy ich pomocy można z dowolnego miejsca na świecie zaczerpnąć Mocy przez Choedan Kal.

„Niebezpieczne” – jęknął Lews Therin. – „Szaleństwo.” – Rand nie zwrócił uwagi. Teraz liczyła się wyłącznie opinia Cadsuane.

Jej gnadosz zastrzygł czarnym uchem – ten nieznaczny wyraz podniecenia to było i tak więcej, niż można było oczekiwać po jego pani.

– Jeden z tych *ter'angreali* zrobiono dla kobiety – oznajmiła chłodno. – Kogo widzisz na jej miejscu? A może te klucze pozwolą ci zaczerpnąć równocześnie z obu połówek Mocy?

– Chcę się połączyć z Nynaeve. – Pod tym względem ufał Nynaeve, jak żadnej innej. Była wprawdzie Aes Sedai, ale wcześniej była Wiedzącą z Pola Emonda, musiał jej ufać. Teraz uśmiechnęła się do niego, kiwnęła głową, już opanowana. – Nie próbuj mnie powstrzymać, Cadsuane. – Nic nie odrzekła, wpatrywała się w niego. Mierząc i ważąc spojrzeniem ciemnych oczu.

– Przepraszam, że się wtrącam, Cadsuane – w przeciągającej się ciszy rozbrzmiał głos Kumiry. Jej koń dał kilka kroków naprzód. – Młody człowieku, czy wzięłeś pod uwagę możliwość niepowodzenia? Czy zdajesz sobie sprawę z konsekwencji niepowodzenia?

– Muszę zadać to samo pytanie – zdecydowanie oznajmiła Nesune. Siedziała wyprostowana w siodle, patrząc na Randa niewzruszonym spojrzeniem ciemnych oczu. – Wedle tego, co czytałam, każda próba użycia tych *sa'angreali* może skończyć się katastrofą. Razem zdolne są do tego, by skruszyć świat niczym skorupkę jajka.

„Jak skorupkę jajka” – zgodził się Lews Therin. – „Nigdy ich nie wypróbowano, nigdy nie użyto. To jest czyste wariactwo!” – wrzasnął. – „Jesteś szalony! Szalony!”

– Wedle ostatnich wieści, jakie do mnie dotarły – poinformował siostry Rand – jeden Asha'man na pięćdziesięciu tracił zmysły i trzeba było go uspić niczym wściekłego psa. W chwili obecnej z pewnością wygląda to jeszcze gorzej. Oczywiście, wiąże się z tym pewne ryzyko, nikt jednak nie wie, jak wielkie i czy w ogóle. Natomiast jeśli nie spróbuję, bez najmniejszych wątpliwości kolejni mężczyźni będą pogrążyć się w szaleństwie, wielu, może wszyscy, aż wcześniej czy później nie będzie sobie można z nimi poradzić. Jak wam się podoba, oczekiwanie na Ostatnią Bitwę, podczas gdy po świecie grasuje stu pomyślonych Asha'manów? Dwustu? Pięciu set? I ja wśród nich? Jak długo wówczas przetrwa świat? – Kierował swe słowa do obu Brązowych sióstr, jednak przyglądał się twarzy Cadsuane. Nie spuszczała zeń spojrzenia ciemnych oczu. Potrzebował jej, ale jeżeli spróbuje mu wszystko wyperswadować, odrzuci jej radę, nie dbając o konsekwencje. Jeśli zaś spróbuje go powstrzymać... *Saidin* szalał w jego wnętrzu.

– Tutaj chcesz to zrobić? – zapytała w końcu.

– W Shadar Logoth – odparł, ona zaś skinęła głową.

– Całkiem stosowne miejsce na to, by ryzykować zniszczenie świata.

Lews Therin wrzasnął, echa jego wycia niosły się po mrocznych korytarzach umysłu Randa w miarę, jak wycofywał się coraz głębiej. Ale nie było gdzie się schować. Nie było bezpiecznych miejsc.

Przestrzeń bramy, którą splótł nie otworzyła się bezpośrednio na ruiny miasta, ale na nierówny



szczyt słabo zalesionego wzgórza, jakieś trzy mile od północnych murów. Kopyta końskie stuknęły na kamienistej, z rzadka pokrytej łatami śniegu ziemi. Rand zeskoczył z siodła. Przed jego oczyma rozpostarła się odległa panorama miasta, które kiedyś zwano Aridhol – poszarpane kamienne wieże, białe kopuły, pod którymi można by schować całą wioskę, gdyby jeszcze jakaś zachowała się w całości. Jednak nie przyglądał się długo. Nawet w jasnym słońcu poranka, blade kopuły nie lśniły, jak zdawałoby się, że powinny – wszystko skrywał płózający się w ruinach cień. Już tak daleko od miasta jedna z nie zagojonych ran w boku zaczęła lekko kłuć. Cięcie zadane sztyletem Padana Faina, sztyletem pochodzącym właśnie z Shadar Logoth, pulsowało rytmem innym niż większa rana, którą przy kryło, ale rytmy te jakoś współbrzmiały ze sobą.

Jak się można było spodziewać, Cadsuane zaraz objęła nad wszystkim komendę, zaczęła, wydawać energiczne rozkazy. Z Aes Sedai zawsze tak było – gdy tylko im pozwolili, wysuwały się na czoło, a Rand nie miał teraz ochoty protestować. Lan, Nethan i Bassane pojechali na zwiady, pozostali Strażnicy odprowadzili konie na bok. Min stanęła w strzemionach, ujęła w dłonie głowę Randa, a potem pocałowała jego powieki. Bez słowa odszedł w kierunku mężczyzn zajmujących się zwierzętami. W więzi pulsowała jej miłość, wiara i zaufanie tak jednoznaczne, że aż obejrzał się na nią ze zdumieniem.

Pojawił się Eben, wyszczerzony od ucha do ucha, by odebrać od Randa wodze. Wciąż jeszcze w jego twarzy głównie te uszy rzucały się w oczy oraz pokaźny nos, niemniej on sam tracił powoli dziecięcą niezgrabność i zmieniał się w szczupłego młodzieńca.

– Bez skazy przenoszenie będzie czymś wspaniałym, mój Lordzie Smoku – oznajmił z podnieceniem. Rand podejrzewał, że Eben musi mieć jakieś siedemnaście lat, głos jednak wskazywał na kogoś znacznie młodszego. – Przez nią zawsze skręca mnie w żołądku. – Odszedł na bok, ściskając wodze siwka i nie przestając się uśmiechać.

Moc zawyła we wnętrzu Randa, równocześnie pojawiła się skaza, plamiąca czyste życie *saidina* – wsiąkła weń pożądliwymi ciemnymi strumyczkami, które niosły szaleństwo i śmierć.

Aes Sedai zgromadziły się wokół Cadsuane, Alivia i Poszukiwaczka Wiatrów Ludu Morza po chwili dołączyły do nich. Harine narzekła w głos, że się ją wyklucza ze zgromadzenia, póki jeden gest wyciągniętego palca Cadsuane nie odesłał jej na wzgórze. Moad w swym dziwnym, pikowanym niebieskim kaftanie poszedł za nią. Usadził na kamieniu, mówił coś uspokajająco, jednak coraz to wybiegał spojrzeniem ku otaczającym drzewom, zaś ręka sięgała ku kości słoniowej długiej rękojeści miecza. Od miejsca, gdzie stały konie, szedł Jahar, w marszu odwijając materię, w którą zawinięty był *Callandor*. Kryształowy miecz o długiej rękojeści i lekko zakrzywionym ostrzu lśnił w promieniach bladego słońca. Merise przywołała Jahara władcym gestem; przyspieszył kroku. Damer i Eben już tam na niego czekali. Cadsuane nie zapytała o pozwolenie wykorzystania *Callandora*. Niech jej będzie. Później się zobaczy.

– Ta kobieta nawet kamień potrafiłaby wyprowadzić z równowagi! – mruknęła Nynaeve, podchodząc do miejsca, gdzie stał Rand. Jedną ręką przytrzymywała skórzany worek, drugą ściskała wystający spod kaptura warkocz. – A żeby ją pochłonęła Szczelina Zagłady, jeśli nie mam racji! Pewien jesteś, czy Min w tym wypadku się nie myli? Cóż, przypuszczam, że nie. Mimo to...! Przystaniesz się tak uśmiechać? Nawet kot by się zdenerwował!

– Równie dobrze możemy już zacząć – powiedział, ona zaś mrugnęła.

– Czy nie powinniśmy zaczekać na Cadsuane? – Nikomu by nie przyszło do głowy, że jeszcze przed momentem wyrzekała na tamtą Aes Sedai. Teraz sprawiała wrażenie, jakby przede wszystkim nie chciała jej zdenerwować.

– Niech sobie robi co chce, Nynaeve. Ja z twoją pomocą doprowadzę rzecz do końca.

Wciąż się wahała, przyciskając skórzany worek do piersi i rzucając niespokojne spojrzenia w stronę grupki kobiet wokół Cadsuane. Nagle Alivia oderwała się od tamtych i pospieszyła ku nim, ściskając obiema rękoma poły płaszcz.

– Cadsuane mówi, że powinnaś mi oddać *ter'angreale*, Nynaeve – powiedziała z miękkim seanchańskim akcentem. – Nie kłóćmy się, nie czas na to. Poza tym, naprawdę na nic ci się nie przydadzą, gdy będziesz z nim połączona.

Tym razem spojrzenie jakim Nynaeve obrzuciła Cadsuane było prawdziwie mordercze, niemniej bez słowa zdjęła pierścienie i bransolety. Mruknęła coś pod nosem, podając Alivii wysadzany klejnotami pasek i naszyjnik. Jeszcze tylko ostatni raz westchnęła i ta wyjątkowa bransoletka, połączona łańcuszkami z pierścionkami, wylądowała również w dłoniach Seanchanki.

– Możesz sobie wszystko zabrać. Zapewne nie będę potrzebowała zwykłego *angreala*, mając dostęp do najpotężniejszego *sa'angreala* wykonanego ludzką ręką. Pamiętaj jednak, że mają do mnie wrócić – zakończyła zapalczywie.

– Nie jestem złodziejką – obruszyła się tamta i spojrzała jastrzębim wzrokiem, równocześnie nasuwając cztery pierścienie na palce lewej dłoni. Dziwne, ale *angreal*, który tak dobrze pasował Nynaeve, równie zgrabnie ułożył się na jej szczupłej dłoni. Dwie kobiety zagapiły się na cacko.

Pojął, że żadna z nich nie dopuszcza możliwości, iż mu się nie powiedzie. Żałował, że sam nie jest tego taki pewny. Jednak trzeba zrobić, co konieczne.

– Masz zamiar cały dzień tak czekać, Rand? – zapytała Nynaeve, gdy Alivia ruszyła z powrotem, z pozoru jeszcze szybciej niż wędrowała w tę stronę. Rozpostarła płaszcz na skalnej odkrywce o rozmiarach niewielkiej ławeczki, usiadła, zabrała się do rozwiązywania rzemieni skózanego worka.

Rand usiadł ze skrzyżowanymi nogami naprzeciw niej. Jego oczom ukazały się klucze dostępu – dwie statuetki o gładkiej powierzchni, wysokie na stopę. Każda z postaci trzymała w uniesionej dłoni przezroczystą sferę. Nynaeve podała mu figurkę brodatego mężczyzny w powłóczystych szatach. Identycznie odzianą kobietę postawiła u swych stóp. Oblicza obu posążków byty pogodne, mówiły o sile i mądrości nabywanej z wiekiem.

– Musisz zatrzymać się tuż przed objęciem Źródła – poinstruowała go, wygładzając spódnice, które wcale tego nie potrzebowały. – Wtedy się z tobą połączę.

Rand westchnął, postawił posążek na ziemi i wypuścił *saidina*. Wściekłe płomienie i jęzory lodu zniknęły, zrazem z nimi tłusta, mdląca skaza, równocześnie jednak życie też odeszło, świat zdał się szary i spłowiaty. Podparł się rękoma, z góry przygotowując na mdłości, które wywoła ponowne uchwycenie Źródła, jednak nieoczekiwanie od razu zakręciło mu się w głowie. Na mgnienie przed oczyma zamajaczyła niewyraźna twarz, przesłaniając widok Nynaeve. Twarz mężczyzny,omalże rozpoznawalna. Światłości, jeżeli to się stanie w momencie, gdy będzie chwycił *saidina*... Nynaeve nachyliła się ku niemu, zatroskana.

– Już – powiedział i sięgnął ku Źródłu, przez statuetkę brodacza. Sięgnął, ale go nie pochwycił. Trwał tak w chwiejnej równowadze, czekając na agonię, którą przyniosą migocące płomienie, którą ześle mu wicher okruchów lodu, bijących z wyciem w twarz. Zobaczył, jak Nynaeve wstrzymuje oddech, wiedział, że zajęło to tylko mgnienie, ale wydawało mu się, że całe godziny minęły, nim...

*Saidin* przepłynął przez niego – furia roztopionego metalu i lodowej kry, paskudztwo skazy – ale nie panował nad jego najdrobniejszym strumyczkiem. Cały potok gnał ku Nynaeve. Czuć tę powódź przepływającą na skroś, czuć te zdradzieckie prądy i niepewne podwaliny, które pochłonęłyby go w jednej chwili i nie mieć nad tym żadnej kontroli – już samo w sobie stanowiło to udrękę nie do zniesienia. Doświadczał obecności Nynaeve w podobny sposób, jak zdawał sobie sprawę z obecności Min, jednak potrafił myśleć tylko o *saidinie*, który gnał przezeń niepokohamowany.

Nynaeve wypuściła długo wstrzymywany oddech.

– Jak ty możesz to... wytrzymać? – zapytała ochryplym głosem. – Chaos, wściekłość, śmierć. Światłości! Teraz postaraj się ze wszystkich sił opanować strumienie, a ja tymczasem... – Rozpaczliwie pragnąc odzyskać równowagę w tej niekończącej się nigdy wojnie z *saidinem*, zrobił jak kazała. Ona zaś szarpnęła się i jęknęła – Miałeś czekać, aż... – zaczęła gniewnym głosem, potem szybko się opanowała, niemniej w jej słowach wciąż przebijała irytacja – Dobrze, przynajmniej już nie muszę dłużej tego znosić. Co tak patrzysz? To ty mnie wytrąciłeś z równowagi.

– *Saidar* – mruknął zadziwiony. Był taki... inny.

Przy zamęcie *saidina*, *saidar* był niczym spokojna rzeka, leniwie tocząca swe wody. Zanurkował w nią i zniemacka znowu musiał walczyć z prądami, które wciągały na głębiny, wirami chwytając za nogi. Im bardziej się szarpał, tym bardziej go unosiły. Minał moment od chwili, gdy podjął próbę opanowania *saidara*, a już czuł, że w nim tonie, że wsysa go wieczność. Nynaeve powiedziała mu, co ma robić, jednak nie potrafił podłożyć sensu pod jej słowa, aż do teraz. Z wysiłkiem opanował się, przestał walczyć z prądem i już po chwili rzeka była spokojna jak zawsze.

Na tym polegała pierwsza trudność: walczyć z *saidinem*, równocześnie poddając się *saidarowi*. Pierwsza trudność i pierwszy krok ku realizacji tego, co sobie zamierzył. Męska połowa Źródła i żeńska połowa Źródła były równocześnie podobne i niepodobne do siebie, wabiły i odpychały – walcząc ze sobą, napędzały Koło Czasu. Okazało się, że skaza na męskiej części miała swą bliźniaczkę na żeńskiej. Rana zadana mu przez Ishamaela pulsowała w rytm skazy, druga, od sztyletu Faina, odzywała się kontrapunktem, w tempie nadawanym przez zło, co zabiło Aridhol.

Delikatność przychodziła mu z wielkim trudem, ale jakoś szło. Wprzągnął niezmierną potęgę obcego sobie *saidara* w obwód, który jednym krańcem dotykał męskiej połowy Prawdziwego Źródła, drugim zaś sięgał ku widocznemu w oddali miastu. Obwód musiał być wykonany z nieskalanego *saidara*. Jeżeli wszystko pójdzie po jego myśli, przewód *saidina* pewnie pęknie, gdy zacznie wyciekać zeń skaza. Wyobrażał sobie go jako przewód, choć w niczym go nie przypominał. Splot układał się w sposób, którego wcześniej wcale nie oczekiwał. Jakby *saidar* miał własny rozum i tkał splot po swojemu – w skręty i serpentyny, formujące coś na kształt kwiatu. Oczywiście oczy nie widziały – w powietrzu nie wykwiwały żadne majestatyczne sploty. Źródło znajdowało się w centrum bytu. Tym samym było wszędzie, nawet w Shadar Logoth. Upleciony obwód pokrywał obszar, którego nie można ogarnąć wyobraźnią, równocześnie nie mając żadnych wymiarów. Niemniej był to obwód, jakkolwiek sobie go wyobrażać. Natomiast...

Zaczerpnął *saidina*, podporządkował sobie jego śmiertcionośny taniec, który znał tak dobrze, pchnął go kwietny splot *saidara*. I obserwował, jak przezeń płynie. *Saidin* i *saidar* przy całym swym podobieństwie i różnicach, nie mieszały się ze sobą. Strumień *saidina* nabrał kształtu, cofając się przed dotykiem otaczającego *saidara*, tamten zaś napierał nań wciąż, budując ciśnienie, sprawiając, że płynął prędzej. Rozpędzony, czysty *saidin* – czysty, jeśli nie brać pod uwagę skazy – wlał się do Shadar Logoth.

Rand zmarszczył brwi. Czyżby się mylił? Nic się nie stało. Nic, prócz... Puls obolałych ran w boku przyspieszył. Paskudztwo skazy, rozlewającej się pośród ognistej burzy i lodowej furii *saidina*, zawirowało, zafalowało. Drobne poruszenie, które umknęłoby jego uwadze, gdyby tak nie wyteżał duchowego spojrzenia. Nieznaczne drgnienie wśród chaosu, jednak ruch był ukierunkowany.

– Dalej – ponaglała Nynaeve. Czy jej lśniły, jakby radości płynącego przez nią *saidara* było dość.

Zaczerpnął głębiej z obu połówek Źródła, wzmacniając obwód, w który równocześnie pompował więcej *saidina*. Łykał moc, póki nie był już w stanie więcej wessać. Było jej tyle, że w

gardle zbierał krzyk, tyle że gdzieś zagubił świadomość własnego istnienia – została wyłącznie Jedyna Moc. Słyszał, jak Nynaeve jęczy, jednak bez reszty pochłaniał go morderczy bój z *saidinem*.

Elza muskała palcami pierścien z Wielkim Wężem i obserwowała człowieka, któremu przysięgła wierność. Z ponurym obliczem siedział na ziemi, wbijając spojrzenie w przestrzeń, jakby nie potrafił zobaczyć dzikuski Nynaeve, którą miał tuż przed nosem, jaśniejącą niby tarcza słońca. Może i nie potrafił. Ona jednak czuła strumienie *saidara*, płynące przez Nynaeve niewyobrażalną rzeką. Wszystkie siostry Wieży, zebrane razem, nie potrafiłyby zaczerpnąć więcej, jak tylko ułamek tego oceanu. Zazdrościła więc dzikusce, równocześnie podejrzewając, że na jej miejscu oszalałaby z samej radości. Mimo zimna po czole Nynaeve spływały krople potu. Zastygła z wpół otwartymi ustami i spojrzeniem utkwionym w jakiś punkt za plecami Smoka Odrodzonego.

– Obawiam się, że wkrótce się zaczniesz – oznajmiła Cadsuane. Oderwała spojrzenie od pary siedzących, wsparła dłonie na biodrach i potoczyła przeszywającym wzrokiem po wzgórze. – Poczują to i w Tar Valon, i na drugim krańcu świata. Wszyscy na miejsca.

– Chodź, Elza – powiedziała Merise, zniecka otoczona poświatą *saidara*.

Elza pozwoliła się zaciągnąć do kręgu sióstr i drgnęła, kiedy sroga Aes Sedai nakazała swojemu Strażnikowi – Asha’manowi dołączyć do nich. Mignęła jej przed oczyma posepnie przystojna twarz, jednak już po chwili wzrok przyciągnął błysk w kryształach miecza i coś niewidzialnego naparło na nią – *saidin*. Mimo iż to Merise kontrolowała strumienie, skaza *saidina* ścisnęła ją w żołądku. Jak kupa gnoju gnijąca w słonecznym upale. Merise pod zewnętrznymi pozorami surowości w istocie skrywała miłsze cechy charakteru. Teraz krzywiła się, jakby również miała ochotę zwymiotować.

Na całej powierzchni wzgórze formowały się kręgi. Sarene i Corele połączyły się ze starym Flinnem, a Nesune, Beldeine i Daigian z młodym Hopwilem. Verin i Kumira zdecydowały się nawet dołączyć dzikuskę Ludu Morza – była całkiem silna, a nikt nie miał prawa próżnować. Gdy tylko powstały, kręgi rozproszyły się po wzgórze, znikając wśród drzew. Alivia, bardzo osobliwa dzikuska, najwyraźniej bez nazwiska, ruszyła na pomoc, a wiatr rozwiewał za jej plecami poły płaszcz. Otaczała ją aura Mocy. Nadzwyczaj niepokojąca kobieta – te zmarszczki wokół oczu, nieprawdopodobna siła. Elza dużo by dała, żeby choć na moment dostać w swe ręce *ter’angreal* tamtej.

Alivia oraz te trzy kręgi stanowiły pierwszą linię obrony, jednak wszystko miało się rozstrzygnąć na szczycie wzgórze. Priorytetem było bezpieczeństwo Smoka Odrodzonego. To zadanie Cadsuane oczywiście wzięła na siebie, jednak krąg Merise również miał pozostać w miejscu. Wnioskując z ilości zaczerpniętej Mocy, Cadsuane najwyraźniej miała własny *ter’angreal* – było tego więcej niż u Elzy i Merise razem wziętych, wszakże nie dorównywało strumieniom płynącym przez *Callandora*.

Elza zerknęła znowu na Smoka Odrodzonego i wzięła głęboki oddech.

– Merise, wiem, że nie powinnam o to prosić, ale czy nie mogłabym splatać strumieni?

Oczekiwała, że będzie musiała dłużej prosić, jednak wysoka kobieta wahała się jedynie przez moment. Skinęła głową i przekazała kontrolę. Nieomal natychmiast jej usta złagodniały, choć wciąż nie można było ich określić mianem ujmujących. We wnętrzu Elzy wezbrał ogień, lód i brud; zadrżała. Niezależnie od kosztów Smok Odrodzony musi żyć do Ostatniej Bitwy. Niezależnie od kosztów.

Barmellin jechał na swym wozie po zasypanej śniegiem drodze ku Tremonsien i zastanawiał się, czy stara Maglin pod „Dziewięcioma Pierścieniami” zapłaci mu tyle, ile chciał za dostarczoną

śliwowicę. Perspektywy nie rysowały się szczególnie optymistycznie. Skąpa była ta Maglin, śliwowica ze swej strony też nie najlepsza, a o tej porze roku można już sobie było pozwolić, by zaczekać do wiosny na atrakcyjniejszy towar. Znienacka wydało mu się, że niebo pojaśniało. Jakby było południe lata, a nie zimowy poranek. Najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że jasność wydobywała się z wielkiej szczeliny przy drodze, gdzie ubiegłego roku kopali jacyś ludzie z Miasta. Rzekomo znaleźli tam gigantyczny posąg, jednak jego nigdy to na tyle nie zainteresowało, żeby na własne oczy sprawdzić.

Teraz jednak, nieco wbrew sobie, ściągnął lejce krępej klaczy i zlął na śnieg. Podszedł do krawędzi wykopalisk. Dziura w ziemi szeroka była na tysiąc kroków i głęboka na sto, z dna dobywał się blask, który natychmiast go oślepił. Mrużąc oczy i spoglądając przez palce, widział tylko płonąca kulę – drugie słońce. Nagle przyszło mu do głowy, że to musi być Jedyna Moc.

Z gardła wydarł mu się zduszony krzyk. Brodząc w śniegu, dopadł wozu i wspiał się na kozioł. Klacz, Nisa, szarpała łbem i za wszelką cenę chciała zawrócić do domu – jeszcze ją pognął batem. Zaszycie się w domu i sam wypije śliwowicę. Całą.

Zatopiona w myślach, Timna ledwie dostrzegала otaczające ją zaorane pola. Rozpościerały się jak okiem sięgnąć po wzgórzach, wyjąwszy tylko jedno, pozostawione nieużytkom. Tremalking było wielką wyspą, a tak daleko od morza wiatr już nie pachniał solą. Powodem jej zamyślenia były kłopoty z ludem. Atha'an Miere zobowiązani byli żyć w zgodzie z nakazami Drogi Wody, a wszelkie odstęstwa korygowali Opiekunowie, tacy jak ona. Teraz jednak, wraz z pogłoskami o tym Coramoorze, szerzyło się zamieszanie. Prawie wszyscy opuścili wyspę. Nawet Zarządcy, zawsze narzekający, że nie wolno im pływać, postawili żagle swych łodzi i udali się na poszukiwanie Coramoor.

Nagle coś na tym nie zaoranym polu przykuło jej wzrok. Z ziemi sterczała tam wielka kamienna dłoń, trzymająca kryształową sferę wielkości domu. Sfera rozbłysła niczym cudowne słońce lata.

Wszystkie zmartwienia pierzchły, a Timna zebrała poły płaszcz i uśmiechnięta usiadła na ziemi, pewna, że oto będzie świadkiem spełnienia proroctw i końca Złudzenia.

– Jeśli naprawdę jesteś jedną z Wybranych, będę ci służyć – powiedział z powątpiewaniem brodaty mężczyzna, stojący przed Cyndane. Nie słuchała go, jej uwagę przykuło coś innego.

Poczuła. Taka ilość *saidara* płynąca na jedno miejsce dla każdej potrafiącej przynieść kobiety na świecie była niczym latarnia morska. A więc jednak znalazł kobietę, która posłużyła się drugim kluczem dostępu. Razem mogli rzucić wyzwanie Wielkiemu Władcy – ba, samemu Stwórcy. Tamta będzie dzielić z nim blask potęgi, rządzić światem u jego boku. A on odrzucił swą miłość, odrzucił ją!

Bełkoczący do niej głupiec był jakimś ważnym człowieczkiem, przynajmniej wedle miary stosowanej tu i teraz, jednak nie miała czasu, żeby bodaj słuchać jego zapewnień. Z drugiej strony nie mogła go tak zostawić, pamiętała przecież, że dłoń Moridina pieści *cour'souvra*, skrywającą jej duszę. Cienki jak brzytwa strumień powietrza odciął głowę, w dół spłynął koniec brody. Drugim strumieniem odepchnęła ciało, żeby fontanna tryskającej z szyi krwi nie splamiła sukienki. Nim ciało czy głowa bodaj osunęły się na ziemię, już zaczęła tkać bramę. Ku jasności stojącej przed oczyma, wabiącej.

Wyszła na zalesione wzgórze. Łaty śniegu pokrywały ziemię pod obnażonymi gałęziami drzew, z których tylko gdzieniegdzie spływały wąsy brązowych pnączy. Przez moment zastanawiała się, dokąd została zwabiona. Ale nie miało to większego znaczenia. *Saidar* gorzał – było go dość, by

jednym ciosem zrównać z ziemią cały kontynent. On tu będzie, a razem z nim kobieta, z którą ją zdradził. Uważnie zaczerpnęła Mocy, tkając śmiertelny całun.

Błyskawice jakich Cadsuane nigdy w życiu jeszcze nie widziała uderzyły z bezchmurnego nieba, nie poszarpanym zygzakiem, lecz prostymi włócznieami srebrzysto-błękitnego światła. Nie dosięgły jej jednak. Odbiły się od splecionej tarczy, z ogłuszającym wyciem eksplodując ponad głową. Nawet za tarczą jednak powietrze trzeszczało od wyładowań, włosy zjeżyły jej się na głowie. Bez pomocy *angreal*, nieco kojarzącego się z dzierzbą, nie byłaby w stanie upleść tarczy.

Drugi złoty ptaszek, tym razem jaskółka, kołysał się na cieniutkim łańcuszku trzymanym w dłoni.

– Tam – powiedziała, wskazując kierunek, z którego zdawały się nadlatywać groty. Szkoda, że nie potrafiła ocenić dystansu, ani nawet stwierdzić, czy Moc przenosiła kobieta, czy mężczyzna, niemniej coś przecież trzeba było zrobić. Przynajmniej kierunek ataku był właściwy. Miała nadzieję, że nie pomyli się zbyt bardzo... Tam byli również jej ludzie. Wszakże cel ataku nie pozostawiał wątpliwości.

Zaraz po tym, jak wypowiedziała pojedyncze słowo, las na północy eksplodował fontanną płomieni, a potem kolejną i następną – nierówną linią znaczyły szlak ku północy. *Callandor* świecił niby jezor ognia w dłoniach młodego Jahara. Wnioskując z napiętej twarzy Elzy i dłoni wczepionych w materię sukni, to ona kierowała tymi strumieniami. Dziwne.

Merise schwyciła garść ciemnych kudłów chłopaka i potrząsnęła lekko jego głową.

– Równo, mój śliczny – mruknęła. – O, tak, tak równo, mój kochany silny chłopcze. – Uśmiechnął się do niej, uśmiechem nieco wymuszonym.

Cadsuane lekko pokręciła głową. Zrozumienie związków łączących siostry z ich Strażnikami nie było łatwe, zwłaszcza w przypadku Zielonych, jednak przypuszczała, że nawet nie potrafi sobie wyobrazić, co działo się między Merise a jej chłopcami.

Jednak całą uwagę należało skupić na innym chłopcu. Nynaeve kołysała się na boki, jęcząc w ekstazie płynącej przez nią rzeki *saidara*, Rand jednak siedział nieruchomy niczym kamień, pot spływał mu kroplami po twarzy. Oczy miał zupełnie puste, jak dwa polerowane szafiry. Czy w ogóle zdawał sobie sprawę, co się wokół dzieje?

Jaskółka obróciła się na łańcuszku.

– Tam – powiedziała Cadsuane, wskazując Shadar Logoth.

Rand nie widział siedzącej przed nim Nynaeve. Nie widział już nic, nic też nie czuł. Pływał po wzburzonym morzu ognia, gramolił się na zderzające się góry lodu. Skaza wzbierała niczym przypyływ oceanu, grożąc zatopieniem. Gdyby choć na moment utracił kontrolę, porwałoby go, cisnęło w obwód. Mimo iż oleistą plamę skazy nieustannie ssało w formę uplecionego z Mocy kwiatu, paskudne wrażenie jakie sprawiała zatruta powierzchnia męskiej połowy Źródła nie słabło; chyba wręcz stawało się coraz bardziej przemożne. Niczym olej rozpostarty na wodzie warstewką na tyle cienką, by z jej istnienia zdać sobie sprawę dopiero, gdy się w nią wskoczy. Ponieważ jednak pokrywała całość Źródła, rozpościerała się własnym oceanem. Trzeba robić swoje. Nic innego nie zostało. Ale jak długo jeszcze? Jak długo jeszcze da się wytrzymać?

„Gdyby tylko rozpruć ten splot al’Thora nad samym Źródłem. – myślał Demandred, wychodząc przez własną bramę na teren Shadar Logoth – „wówczas zginąłby, albo przynajmniej zapłacił zdolnością przenoszenia. Wypaliłby się.” – Zrozumiał, na czym polega plan al’Thora, gdy tylko tamten wszedł w posiadanie kluczy dostępu. Plan był błyskotliwy, należało przyznać, niemniej

potwornie ryzykowany. Lews Therin również słyszał z błyskotliwych planów, co ostatecznie wcale mu na dobre nie wyszło. Nie był bowiem nawet w połowie tak błyskotliwy, jak Demandred.

Jednak rzut oka na zasłaną gruzem ulicę sprawił, że natychmiast porzucił wszelki zamiar ingerencji. Obok niego wznosiła się ku górze strzaskana kopuła, szczerząc kły ruin co najmniej dwieście stóp nad powierzchnią ulicy – zaglądało pod nią jasne słońce późnego ranka. Wszakże całą przestrzeń pod nią wypełniał cień, jakby właśnie zapadała noc. Miasto... trzęsło się w posadach. Przez podeszwy butów czuł drgania.

W lesie za miastem eksplodował ogień – utkane z *saidina* ciosy wrywały drzewa z korzeniami i ciskały w powietrze kłębami płomieni. Zmierzały w jego stronę, ale utkaną bramę miał na podorędziu. Wskoczył w nią, puścił splot i co sił w nogach pobiegł przez zwisające z gałęzi pnącza. Potknął się na ukrytym w ściółce kamieniu, nawet wtedy jednak nie zwolnił. Dla ostrożności podwiązał przecież sploty, zarówno w pierwszym, jak w drugim wypadku. Poza tym był przecież żołnierzem. Odgłosy kolejnych eksplozji docierały doń ze spodziewanego kierunku – znaczyły drogę do miejsca, gdzie znajdowała się jego pierwsza brama. Teraz od zaporowego ognia dzieliła go bezpieczna odległość. Nie zwalniając skręcił w stronę, gdzie al'Thor używał klucza dostępu. Taka ilość *saidina* wskazywała drogę niczym gorejący grot strzały.

Więc to tak. O ile w tym przeklętym Wieku nie odkryto jakiejś nieznannej wcześniej umiejętności, al'Thor musiał wejść w posiadanie instrumentu, *ter'angreala*, który pozwalał wykryć zaczerpnięcie z męskiej połowy Mocy. Na ile się orientował w sprawach świata epoki, którą współcześni liczyli od wydarzenia zwanego przez nich Pęknięciem – a nieszczególnie się orientował, skoro czas ten spędził uwięziony w Shayol Ghul – każda kobieta, umiejąca tworzyć *ter'angreala*, z pewnością dokładała wszelkich starań, by coś takiego wymyślić. Tak to na wojnie bywało – przeciwnik zawsze wyskakiwał z czymś niespodzianym, na co należało później wymyślać własne środki przeciwdziałania. Ale on zawsze lubił wojnę. Najpierw jednak trzeba podkraść się bliżej.

Nagle między drzewami po prawej stronie zobaczył jakichś ludzi przykucnął za szorstkim szarym pnem. Łysy mężczyzna z wianuszkami białych włosów kuśtykał w towarzystwie dwóch kobiet – jedna z nich była piękna w cokolwiek dziki sposób, druga oszałamiająco. Co oni robią w tym lesie? Kim są? Przyjaciele al'Thora czy po prostu niewłaściwi ludzie zabłąkani w niewłaściwym miejscu? Zawahał się jednak przed natychmiastowym zabiciem ich. Każde użycie Mocy zaalarmuje al'Thora. Trzeba poczekać, aż sobie pójdą. Stary rozglądał się, jakby czegoś wypatrywał między drzewami, ale Demandred wątpił, by słabe oczy mogły go zobaczyć.

Nagle tamten stanął jak wryty i wyciągnął w jego stronę wyprostowaną dłoń... i w jednej chwili Demandred musiał szaleńczo bronić się przed splotem *saidina*, który uderzył w jego tarczę z siłą zupełnie nieprawdopodobną. Sam nie zdobyłby się na wiele więcej. Dopiero po chwili przyszło olśnienie – tamten chromy starzec był Asha'manem! A przynajmniej jedna z kobiet musiała należeć do tych, które w tej epoce mieniły się Aes Sedai. Połączeni, tworzyli pierścień Mocy.

Zamierzał zgnieść ich w kontrataku, jednak tamten ciskał ku niemu splot za splotem, bez przerwy, tak, że mógł tylko się bronić. Pnie drzew wybuchały płomieniami i eksplodowały obłokami drzazg. Był generałem, wielkim generałem, ale przecież generałowie rzadko walczą u boku podkomendnych! Wyszczrzył zęby i zaczął się cofać. Jego śladem szły ognie i podmuchy eksplozji. Droga odwrotu oddalała go od miejsca, gdzie al'Thor używał klucza dostępu. Wcześniej czy później stary musi się jednak zmęczyć, a wtedy przyjdzie czas chłopaka. Jeśli któreś z pozostałych nie dopadnie go wcześniej. Miał nadzieję, że tak się nie stanie.

Cyndane podkasała spódnicę i, przeklinając, pobiegła ku następnej bramie. To już była trzecia z

naprędcie utkanych. W jej stronę maszerowały równo odgłosy wybuchów, wreszcie zrozumiała, czym tamci się kierują. Ślizgając się na ukrytych pod śniegiem pnączach, objając o drzewa, biegła dalej. Nienawidziła lasu! Na szczęście inni Wybrani też zdążyli tu dotrzeć – wywnioskowała to z różnaitości kierunków, w jakich podążały eksplozje, nadto czuła, jak niedaleko ktoś z furją tka *saidara* – niemniej modliła się do Wielkiego władcy, by to ona pierwsza dotarła do Lewsa Therina. Chciała widzieć, jak umiera, ale po to musiała się doń zbliżyć.

Osan'gar przykucnął za powalonym pniem drzewa, ciężko dysząc. Za dużo biegania. Miesiące spędzone na udawaniu Corlana Dashivy w niczym się nie przyczyniły do poprawy kondycji fizycznej. Szereg eksplozji, w którychomalże nie zginął, skończył się... a potem ruszył znów, daleko. Odważył się wyrzeć zza pnia. Rzecz jasna, nie zakładał, że kawałek drewna go przed czymkolwiek ochroni. Zresztą, nigdy nie był żołnierzem, chyba, że z musu. Jego talenty, jego geniusz rozkwitały na innych polach. Był twórcą trolloków, co pośrednio czyniło go też architektem Myrddraali, jako że tamte z nich się zrodziły, nie wspominając już o wielu innych stworzeniach, które grasowały po świecie, unieśmiertelniając jego imię. Klucz dostępu siał wokół blask *saidina*, ale czuł jak wszędzie wokół czerpane są skromniejsze ilości Mocy.

Oczekiwał, że pozostali Wybrani dotrą na miejsce znacznie wcześniej, miał nadzieję, że uwiną się ze wszystkim, nim on się pojawi. Najwyraźniej jednak się mylił. Najwyraźniej al'Thor przyprowadził ze sobą paru tych Asha'manów, a wnioskując z siły uderzeń *saidina* przeciwko niemu skierowanych, wziął też *Callandora*. Niewykluczone także, iż w bitwie brały udział te jego oswojone rzekome Aes Sedai.

Znowu pochylił głowę, zagryzł wargę. Las robił się niebezpieczny – nie trzeba było geniusza, żeby zrozumieć, iż z każdą chwilą coraz bardziej. Z drugiej jednak strony, do szaleństwa nieomal bał się Moridina. Bał się od samego początku. Moc doprowadziła go do szaleństwa, zanim jeszcze tamci opieczętowali Szyb, a od uwolnienia zaczął sobie chyba roić, że sam jest Wielkim Władcą. Moridin jakoś odkryje, jeżeli on teraz ucieknie, i zabije go. Co gorsza, jeśli al'Thorowi się uda, Wielki Władca może zechcieć obu ich zabić: i Moridina, i al'Thora, a na dodatek jeszcze Osan'gara. Osan'gar nie dbał, czy tamci przeżyją, nadzwyczaj wszakże interesował go własny los.

Nigdy nie był dobry w odczytywaniu godziny z położenia słońca, wyraźnie jednak południe niedawno minęło. Podniósł się z ziemi, spróbował otrzepać brud z kaftana, ale poddał się z niesmakiem. Potem zaczął przekradać od drzewa do drzewa w nadzwyczaj jak mu się zdawało, zwinny sposób. Któryś z pozostałych pewnie wykończy al'Thora, zanim on dotrze na miejsce, jeśli jednak nie cóż, może nadarzy się okazja zostania bohaterem. Przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności, rzecz jasna.

Verin spod zmarszczonych brwi obserwowała personę przekradającą się wśród drzew. Innym słowem nie można było określić kobiety, która wybrała się do lasu obwieszona klejnotami i ubrana w suknię, która przy każdym poruszeniu zmieniała barwy – swobodnie przechodząc wszystkie kolory od bieli do czerni – niekiedy nawet stając się zupełnie przezroczysta! Niespiesznie szła w stronę, gdzie znajdował się Rand. Verin nie miała większych wątpliwości, że oto widzi przed sobą jedną z Przeklętych.

– Będziemy tak stać i patrzeć? – zapytała Shalon wściekłym szeptem. Jej rozdrażnienie po części brało się z faktu, iż nie pozwolono jej kontrolować strumieni (jakby jakaś dzikuska mogła mierzyć się z Aes Sedai) po części zaś wywołane było długimi godzinami błądzenia po lesie.

– Musimy coś zrobić – cicho dodała Kumira, a Verin przytaknęła.



– Dobrze, już wiem. – Zdecydowała się na tarczę. Wzięta do niewoli Przeklęta może się okazać bezcennym źródłem informacji.

Wykorzystując całą siłę swego kręgu, splotła tarczę... i w zdumieniu przyglądała się, jak odskakuje. Tamta przez cały czas obejmowała *saidara*, choć nie otaczała jej poświata! Poza tym była nieprawdopodobnie silna!

Wszelkie myśli pierzchły z jej głowy w momencie, gdy złotowłosa odwróciła się i zaczęła przenosić. Verin nie widziała splotów, rozumiała jednak, że zaraz przyjdzie walczyć o życie. A przeżyła już był wiele lat, by skończyć marnie w jakimś lasku!

Eben otulił się płaszczem i pożałował, że nie potrafi lepiej bronić się przed chłodem. Zwykły ziąb umiał już ignorować, nie radził sobie tylko z tym wiatrem, co zerwał się po południu. Połączonym z nim trzem siostrami zimno najwyraźniej nie dokuczało. Poły płaszczy swobodnie powiewały za ich plecami, one zaś całą uwagę skupiały na obserwacji terenu. Krąg kontrolowała Daigian – uznał, że to z jego powodu – jednak Mocy czerpała tak niewiele, że czuł wyłącznie delikatny szum *saidina* w swoim wnętrzu. Najwyraźniej cały czas czekała na prawdziwe wyzwanie. Eben nasunął z powrotem kaptur jej płaszcza, ona zaś podziękowała uśmiechem. W więzi znać było jej uczucie do niego, splecione, jak podejrzewał, z jego emocjami. Przyszło mu na myśl, że z czasem może pokocha drobniutką Aes Sedai.

Rwący potok *saidina* daleko za plecami tłumiał wszystkie inne rozbłyski Mocy, niemniej zdawał sobie przecież sprawę, że w okolicy co najmniej kilku mężczyzn przenosi. Bitwa toczyła się, ale gdzie indziej, ich czworo jak dotąd tylko spacerowało po lesie. Tak naprawdę, wcale mu to nie przeszkadzało. Był pod Studniami Dumai, potem walczył z Seanchanami, poznał prostą prawdę: bitwy znacznie ciekawiej wyglądają w książkach niż w rzeczywistości. Drażnił go tylko fakt, że nie powierzono mu kontroli kręgu. Oczywiście, Jahar też sobie na to nie zasłużył, jednak w jego opinii, Jahar był wyłącznie zabawką w rękach Merise. Co innego Damer. On kierował swoim kręgiem. Tylko dlatego, że miał tych parę lat więcej – cóż, więcej niż parę, w istocie był starszy niż ojciec Ebena – to chyba niedostateczny powód, by Cadsuane patrzyła weń jak...

– Możecie mi pomóc? Chyba zgubiłam drogę i konia. – Kobieta, która wyszła zza pnia pobliskiego drzewa nie miała na sobie nawet płaszcza. Tylko suknię z zielonego jedwabiu, wyciętą tak głęboko, iż odsłaniała połowę biustu. Fale czarnych loków okalały piękną twarz, w zielonych, roześmianych oczach migotały iskierki.

– Dziwne miejsce na przejażdżkę – podejrzliwie odrzekła Beldeine. Zielona siostra również nie była szczególnie uszczęśliwiona, gdy Cadsuane kontrolę nad kręgiem powierzyła Daigian; wcześniej korzystała z każdej okazji, by stawiać pod znakiem zapytania jej decyzje.

– Nie sądziłam, że zapuszczę się tak daleko – powiedziała tamta, podchodząc bliżej. – Jak widzę, wszystkie jesteście Aes Sedai. A to wasz... koniuszy? Wiecie może, o co chodzi w tym całym zamieszaniu?

Nagle Eben poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. To, co poczuł było czystą niemożliwością! Zielonooka skrzywiła się, zaskoczona, on zaś zrobił jedyną rzecz, jaka mu przyszła do głowy. Krzyknął:

– Ona przenosi *saidina*! – I rzucił się na nią, czując równocześnie, jak Daigian sięga po Źródło.

Na widok kobiety stojącej wśród drzew, jakieś sto kroków z przodu, Cyndane zwolniła. Tamta, słomianowłosa, przyglądała jej się ze spokojem. Wszędzie wokół wrzała walka na Moc – co równocześnie kazało zachować czujność, jak i dawało nadzieję. Kobieta ubrana była w proste wełny

i kompletnie do nich nie pasującą biżuterię, stosowną raczej dla wielkiej damy. Wypełniona *saidarem*, Cyndane widziała nawet zmarszczki w kącikach jej oczu. A więc nie była to żadna z tych tak zwanych Aes Sedai. No to kto? I dlaczego stoi w taki sposób, jakby zagradzała drogę? Nieważne. Gdyby teraz przeniosła, zdradziłaby się. Ale mogła poczekać. Klucz wciąż jarzył się Mocą niby latarnia morska. Lews Therin wciąż żył. Jeżeli tamta chce się z nią zmierzyć, proszę bardzo. Mimo groźnego spojrzenia, nóż z pewnością wystarczy. A na wszelki wypadek – gdyby okazała się „dzikuską”, jak to teraz nazywali – odwrócony splot, którego nawet nie zobaczy, póki nie będzie za późno.

Nagle kobietę otoczyła poświata *saidara*, a w tym samym momencie z ręki Cyndane wyskoczyła ognista kula, którą wcześniej miała na podorędziu. Kula była zbyt mała, jak sądziła, na to, żeby ją wykryć, wystarczająco jednak silna, by przeszyć tamtą na wylot...

Gdy jednak prawie już doleciała do tamtej – nieomal paląc jej ubranie – tworzący ją splot Ognia rozsypał się. Kobieta nic nie zrobiła, ognista kula rozpadła się z pozoru całkiem sama! Cyndane nigdy nie słyszała o *ter'angrealu*, który by rozplątywał strumienie, ale nic innego nie mogło wchodzić w grę.

I wtedy kobieta przeszła do ataku i... następne zaskoczenie! Była silniejsza niż Cyndane, jeszcze zanim wpadła w ręce Aelfin i Eelfin! Niemożliwe, żadna kobieta nie mogła być taka silna! Musiała dysponować *angrealem*. Otrząsnęła się z osłupienia, przecięła strumienie tamtej. Dobrze, że nie wiedziała, jak odwracać sploty. Może przewagi, jaką zapewniała ta umiejętność, będzie dość. Musiała zobaczyć na własne oczy śmierć Lewsa Therina! Jej przeciwniczka drgnęła, gdy uderzyły w nią odcięte sploty, ale tylko przestąpiła z nogi na nogę i przeniosła znowu. Cyndane wyszczerzyła zęby, kiedy ziemia zakolysała się pod jej stopami. Na własne oczy zobaczy jego śmierć! Tak będzie!

Moghedien znajdowała się na szczycie wysokiego wzgórza, stosunkowo oddalonego od miejsca, gdzie operował klucz dostępu, niemniej nie potrafiła się powstrzymać przed pożądanym zerknięciem na niezmierną rzekę *saidara*. Przenieść tyle, choćby tylko tysięczną część, cóż to musi być za rozkosz... Ciągnęło ją tam przemożnie, ale nie zamierzała opuszczać zajętej pozycji. Jedyne widok dłoni Moridina pieszczących jej *cour'souvra* zmusił ją do Podróży na te wzgórza. Przez cały czas zresztą modliła się, aby, gdy przybędzie na miejsce, było już po wszystkim. Nawykła do potajemnych knowań – tu miała zaatakować otwarcie. Wśród rzadkiego lasu, pod popołudniowym słońcem śmigwały błyskawice, płonęły ognie *saidara*, ziemia eksplodowała z pozoru sama – pewnie *saidin*. Znad kęp drzew unosiły się kłęby dymu, grzmoty budziły tysiące ech.

Kto walczył, kto zwyciężał, kto ginął – to było dla niej bez znaczenia. Oczywiście, miło byłoby się dowiedzieć, że zginęła Cyndane albo Graendal. Najlepiej obie naraz. A Moghedien przeżyła, ponieważ nie rwała się w ogień bitwy.

Dopiero teraz spostrzegła, że obok lśniącego klucza rosła ku niebu ogromna spłaszczona kopuła czerni, niczym fragment skamieniałej nocy. Zamrugła i w tej samej chwili po kopule przemknęła zmarszczka. Wyraźnie znów urosła. Szaleństwem było zbliżać się do niej, bez względu na rozkazy Moridina. Zresztą Moridin nie musi się o niczym dowiedzieć.

Wycofała się na zbocze wzgórza, jak najdalej od lśniącego klucza i rosnącej czerni. Usiadła, przyjmując taktykę, która tak dobrze posłużyła jej w przeszłości. Przyczaić się wśród cieni i przeżyć.

Randowi zdawało się, że krzyczy. Pewien był, że krzyczy, że krzyczy też Lews Therin, jednak w tym wyciu nie słyszał ani swego głosu, ani głosu tamtego. Wstrętny ocean skazy przepływał przezeń na wskroś, rycząc w pędzie. Biły weń fale ohydy. Szarpały grzywacze brudu. Tylko obecność skazy

gwarantowała, iż wciąż dzierży Moc. Nie bardzo zdawał sobie sprawę z falowania i rozbłysków śmiertelnie groźnego *saidina*. Powódź zgnilizny załała wszystko resztkami sił walczył, by nie dać się ponieść. Jednak skaza pierzchała. Tylko to się teraz liczyło. Trzeba wytrwać!

– Co czujesz, Min? – zapytała Cadsuane, zmęczona, lecz wciąż nieugięta. Przez prawie cały dzień utrzymywała tę tarczę, co potrafiłoby zmordować każdego.

Od jakiegoś czasu nikt już nie atakował wzgórze. Wyczuwała obecność Mocy jedynie w poczynaniach chłopaka i dziewczyny. Elza bez końca obchodziła szczyt wzgórze, wciąż połączona z Merise i Jaharem. Również nie miała nic do roboty, jak tylko obserwować teren. Jahar siedział na głazie, oparłszy *Callandor* w zgięciu łokcia. Merise uklękła obok, kładąc mu głowę na kolanach. On głaskał ją po włosach.

– Min? – powtórzyła Cadsuane.

Dziewczyna wraz z Harine znajdowała się w skalnym wgłębieniu, gdzie kazali im się schować Tomas i Moad. Mężczyźni przynajmniej mieli dość rozumu, by pojąć, że na nic nie przydadzą się w tej walce. Na twarzy Harine zastygł ponury grymas. Niejeden raz Strażnicy musieli przemocą powstrzymać Min, żeby nie pobiegła do młodego al'Thora. W końcu nawet odebrali jej noże.

– Wiem tyle, że żyje – mruknęła. – I wiem, że cierpi. Kiedy spoglądam w głąb siebie, czuję jego agonię. Pozwól mi pójść do niego.

– Będziesz tylko przeszkadzać.

Ignorując jęk dziewczyny, Cadsuane ruszyła do miejsca, gdzie siedzieli Rand i Nynaeve, jednak nie patrzyła na nich. Jej wzrok przyciągała kopuła czerni – nawet z odległości kilku mil wyglądała przerażająco. Musiała mieć już z tysiąc stóp wysokości. I wciąż rosła. Jej powierzchnia lśniła niczym ciemna stal, ale nie odbijała słońca. Zdawała się pochłaniać światło.

Rand od początku siedział w tej samej pozycji – nieruchomy, ślepy posąg. Po twarzy wciąż spływały mu grube krople potu. Jeśli faktycznie to była agonja, jak twierdziła Min, na zewnątrz nic nie było widać. Poza tym, w takim wypadku i tak nie wiedziałyby, co zrobić. Każda ingerencja mogła pociągnąć za sobą makabryczne konsekwencje. Cadsuane spojrzała znów na czarną niczym śmierć kopułę i odkaszlnęła. Trzeba było od początku zabronić.

Nynaeve jęknęła i ześlizgnęła się z kamienia na ziemię. Suknię miała mokrą od potu, pasemka włosów przylepiały się do czoła. Trzepotała powiekami, piersi unosił nierówny, ciężki oddech.

– Już nie mogę – załkała. – Dłużej już nie wytrzymam.

Cadsuane zawahała się i aż samą siebie zadziwiła niezwykła u niej reakcja. Dziewczyna nie opuści kręgu, póki młody al'Thor jej nie pozwoli, jednak o ile Choedan Kal nie miały podobnego defektu co *Callandor*, nie będzie w stanie zaczerpnąć dość Mocy, by ją to zabiło. Z drugiej strony, płynął przez nią strumień *saidara* szerszy niż wszystko, na co byłoby stać zgromadzone razem siostry Białej Wieży, korzystające ze wszelkich posiadanych *angreali* i *sa'angreali*. Po wielogodzinnym przenoszeniu zabić ją może fizyczne wyczerpanie.

Cadsuane uklękła obok dziewczyny, położyła na ziemi obok niej złotą jaskółkę, a potem ujęła jej twarz w dłonie. Jej zdolności Uzdrawiania było raczej dość przeciętne, niemniej z pewnością będzie w stanie ulżyć jej nieco. Bała się trochę o osłabioną tarczę, dlatego postępowwała szybko i zdecydowanie. Splotła strumienie.

Osan'gar dotarł na szczyt wzgórze, położył się na brzuchu za powalonym pniem drzewa i uśmiechnął. Wypełniony *saidinem*, mógł stąd widzieć kolejne wzgórza i ludzi na jego szczycie. Spodziewał się, że będzie ich więcej. Jedna z kobiet najwyraźniej obserwowała okolice, poza nią

nikt się nie ruszał. Narishma siedział z lśniącem *Callandorem* w dłoniach. Inna kobieta klęczała obok, trzymając głowę na jego kolanach. Za plecami dwóch mężczyzn Osan'gar dostrzegał jeszcze dwie kobiety – jedna chyba obezwładniała drugą. Niepotrzebny mu był widok oblicza, żeby poznać al'Thora. Nikt inny nie mógł używać klucza. Nikt nie mógł rozjarzyć go takim blaskiem. W oczach Osan'gara świecił jaśniej niż słońce, niż tysiąc słońc! Cóż on mógłby przy jego pomocy osiągnąć! Szkoda, że ulegnie zniszczeniu wraz ze śmiercią al'Thora. Niemniej zostanie jeszcze *Callandor*. Żaden z Wybranych nie miał takiego *angreala*. Nawet Moridin ugnie karku przed kryształowym mieczem. Nae'blis? To Osan'gar zostanie Nae'blis po tym, jak zabije al'Thora i odwróci szkody przez niego poczynione. Śmiejąc się cicho, splótł płomień stosu. Któż by przypuszczał, że to on zostanie bohaterem dnia?

Elza szła powoli, bacznie obserwując teren wokół siebie. Nagle kątem oka pochwyciła jakiś ruch, zatrzymała się. Powoli odwróciła głowę, spojrzała na miejsce, gdzie przed momentem coś się poruszyło. To był niełatwy dzień. Kiedy przebywała w niewoli u Aielów w Cairhien, dotarło do niej, że najważniejsze jest, by Smok Odrodzony dożył Ostatniej Bitwy. Dotarło do niej z całą jasnością, aż sam się dziwiła, że wcześniej nie dostrzegła oczywistości. Teraz z identyczną jasnością – wspomaganą *saidarem* – zobaczyła mężczyznę wyglądającego zza pnia drzewa. Dziś została zmuszona do walki z Wybranymi. Z pewnością Wielki Władca wybaczy, jeśli przypadkiem udało jej się któreś zabić. Ale Corlan Dashiva był przecież tylko zwykłym Asha'manem. Teraz powstał, uniósł dłoń w jej kierunku... Zacerpnęła, ile tylko mogła z *Callandora* w dłoniach Jahara. Podobało jej się, jak świetnie *saidin* służył dziełu zniszczenia. Po wzgórzu rozlała się kałuża ognia roziskrzonego czerwienią, złotem i błękitem. Kiedy wszystko się skończyło, zeszlony szczyt wzgórza znajdował się dobre pięćdziesiąt stóp niżej niż przedtem.

Moghedien nie miała pojęcia, po co tu jeszcze tkwi. Do zmierzchu zostało nie więcej jak dwie godziny, w lesie panował spokój. Wyjawszy strumień wciąż płynący przez klucz, nigdzie nikt już nie przynosił *saidara*. Nie chodziło rzecz jasna o jakąś odrobinę tu czy tam – w porównaniu z poprzednim szalem, wydawały się zupełnie bez znaczenia. Bitwa dobiegła końca, a ci spośród Wybranych, którzy nie zginęli, uciekli. A więc porażka – ponieważ blask klucza wciąż gorzał przed jej oczyma. Zdumiewające, że Choedan Kal tak długo wytrzymały.

Leżała na brzuchu tam gdzie wcześniej i opierając brodę na dłoniach, obserwowała czarną kopułę. Słowo „czarna” już właściwie się do niej nie odnosiło. Nie było słów, aby ją opisać, czarny wydawał się przy niej kolorem bladym. Była monstrualna – półkula czerni wznosząca się na dwie mile w niebo. Otaczały ją gęste cienie, jakby piła światło z powietrza. Moghedien sama nie rozumiała, czemu się nie boi. Ten potwór będzie rósł, póki nie obejmie całego świata albo nie zniszczy świata – zdaniem Aran'gar, było to nieuchronne. Jeżeli jednak miało to nastąpić i tak już żaden cień nie przygarnie Pajęczycy. Nagle na czarnej gładkiej powierzchni coś zadrgało – jakby płomień, gdyby płomienie mogły być czarniejsze od czerni. Potem kolejny i jeszcze jeden, aż cała kopuła zawrzała piekielnym ogniem. Rozległ się ryk dziesięciu tysięcy grzmotów – Moghedien zupełnie ogluszona, zakryła dłońmi uszy i wrzasnęła z bólu – i w jednej chwili czarna kopuła zapadła się w sobie, skurczyła, zniknęła. Powietrze z wyciem rzuciło się w powstałą próżnię, wicher cisnął Moghedien na ziemię, między drzewa. Rozpaczliwie starała się czegoś uchwycić, nie zdołała. Jednak wciąż nie czuła strachu. Pomyślała sobie, że jeśli ujdzie stąd cało, nigdy już niczego nie będzie się bała.

Cadsuane upuściła zniszczony *ter'angreal* na ziemię. Twórca posążku kobiety na jego widok pewnie by zapłakał – twarz ocalała, spokojna jak zawsze, reszta jednak pękła na dwoje, bok stopił się, a kryształowa sfera walała się w kawałkach na ziemi. Statuetka mężczyzny ocalała, spoczywała teraz spokojnie w jukach. *Callandor* również był bezpieczny. Lepiej nie kusić losu. Na miejscu, gdzie przedtem było Shadar Logoth, znajdowała się ogromna polana wśród lasów – doskonale kolista dziura w ziemi, oświetlana promieniami zachodzącego słońca.

Lan prowadził kulejącego rumaka bojowego po zboczu. Na widok leżącej, przykrytej aż po brodę płaszczem Nynaeve, upuścił lejce karosza i podbiegł do niej. Młody al'Thor spoczywał obok pod kocem swego płaszcza, Min przytulała się do niego. Oczy miała zamknięte, jednak nieznanym uśmiechem mówił, że nie śpi. Lan ledwie na nich spojrzął, przebiegł resztę drogi, opadł na kolana i ujął w dłonie głowę Nynaeve.

– Oboje stracili przytomność – poinformowała go Cadsuane. – Corele twierdzi, że lepiej jeśli dojdą do siebie o własnych siłach. – A jak to długo potrwa, Corele nie potrafiła powiedzieć. Damer też nie. Stan ran w boku chłopaka nie uległ zmianie, mimo iż Damer oczekiwał, że się poprawi. Wszystko było bardzo niepokojące.

Nieco wyżej na zboczu wzgórza łysy Asha'man pochylał się nad jęczącą Beldeine, wykrzywiając palce w tym ich dziwnym Uzdrawianiu. W ciągu ostatniej godziny dużo się napracował. Alivia nie mogła się napatrzeć na swoją rękę, wcześniej spaloną aż do kości. Wciąż nią wymachiwała. Sarene słała się na nogach, ale to było tylko zmęczenie. Omalże nie zginęła w lesie i w oczach wciąż miała tamten strach. Białe nie miały wprawy w tego rodzaju sprawach.

Nie każdemu dopisało szczęście. Verin i kobieta Ludu Morza klęczały obok przykrytej płaszczem postaci, modląc się w milczeniu za duszę Kumiry. Nesune nieporadnie pocieszała płaczącą Daigian, która niczym dziecko tuliła w ramionach ciało Ebena. Zielone nawykły wprowadzić do krajobrazu po bitwie, niemniej Cadsuane nie była szczególnie uradowana utratą dwojga ludzi w zamian za jednego renegata i kilku przypieczonych Przeklętych.

– Jest czysty – powtórzył po raz kolejny Jahar. Tym razem to Merise siedziała, a jego głowa spoczywała na jej kolanach. Niebieskie oczy patrzyły srogo jak zawsze, ale ruchy dłoni gładzącej włosy były pełne czułości. – Jest czysty.

Cadsuane wymieniła z Merise spojrzenia. Damer i Jahar zgodnie twierdzili, że skaza zniknęła, skąd jednak mogli mieć pewność, że nie została bodaj drobniutka plamka? Merise pozwoliła Cadsuane połączyć się z chłopakiem, aby sama mogła się przekonać, jednak, skąd mogły mieć absolutną pewność? *Saidin* był obcy, w jego rozszalałym chaosie niejedno mogło się skrywać.

– Wyruszamy, gdy tylko wrócą pozostali Strażnicy – oznajmiła. Coś zbyt wiele pozostało pytań bez odpowiedzi, teraz wszakże młody al'Thor był już jej i nie miała zamiaru wypuszczać go z ręki.

Zapadła noc. Na szczycie wzgórza wiatr rozrzucał szczątki zniszczonego *ter'angreal*a. Poniżej rozciągał się otwarty grobowiec Shadar Logom, zwiastując nadzieję światu. W odległym Tremalking rozeszły się wieści, że Czas Złudzenia dobiegł końca.

# GLOSARIUSZ

## **Nota o datach w poniższym glosariuszu.**

Kalendarz Tomański (opracowany przez Tomędur Ahmida) został przyjęty około dwu wieków po śmierci ostatniego mężczyzny Aes Sedai i rejestrował lata, które upłynęły Od Pęknięcia Świata (OP). Wiele zapisów uległo zniszczeniu podczas Wojen z Trollokami i pod ich koniec wybuchł spór o poszczególne daty liczone według starego systemu. Opracowany zatem został nowy kalendarz, autorstwa Tiama z Gazar, którego początkiem był koniec Wojen, i który uświetniał wyzwolenie spod zagrożenia ze strony trolloków. Każdy odnotowany w nim rok określano jako Wolny Rok (WR). Kalendarz Gazarański wszedł do powszechnego użytku w ciągu dwudziestu lat od zakończenia Wojen. Artur Hawkwing starał się wprowadzić nowy kalendarz datujący swój początek od ufundowania jego imperium (OU), ale dzisiaj znany jest on jedynie historykom. Po tym jak Wojna Stulecia przyniosła z sobą ogólną destrukcję, śmierć i zniszczenia, pojawił się trzeci kalendarz, opracowany przez Uren din Jubai Szybującą Mewę, uczoną Ludu Morza, i upowszechniony przez Faredę, Panarch Tarabon. Kalendarz Faredański, zapisujący lata Nowej Ery (NE), liczone od arbitralnie przyjętego końca Wojny Stulecia, jest obecnie w powszechnym użytku.

**Asha'man:** 1) W Dawnej Mowie „opiekun” albo „obrońca”, z dodatkowym znaczeniem, iż jest to obrońca prawdy i sprawiedliwości. 2) Miano oznaczające zarówno zbiorowość jak i rangę, nadawane mężczyznom, którzy przybyli do Czarnej Wieży, koło Caemlyn w Andorze, aby tam uczyć się przenoszenia. Ich szkolenie skupia się na metodach wykorzystania Jedynej Mocy w charakterze broni, a kiedy już nauczą się obejmować *saidina*, czyli męską połowę Prawdziwego Źródła, to wówczas wymaga się od nich, by wykonywali wszystkie swe obowiązki z użyciem Mocy, co stanowi kolejne odejście od zasad przestrzeganych w Białej Wieży. Nowo przyjęty mężczyzna otrzymuje tytuł Żołnierza; nosi prosty, czarny kaftan z wysokim kołnierzem skrojony na andorańską modłę. Po wyniesieniu do rangi Oddanego uzyskuje prawo do wpinania w kołnierz kaftana srebrnej szpili zwanej Mieczem. Awans do rangi Asha'mana równa się prawu do wpinania Smoka wykonanego ze złota i czerwonej emalii. Mimo iż wiele kobiet, w tym również żony, ucieka, gdy się dowiadują, że ich mężczyźni potrafią przenosić, to jednak całkiem sporo mieszkańców Czarnej Wieży jest żonatych i tacy stosują własną odmianę więzi Strażnika, by za jej pomocą łączyć się z żonami. Ta sama więź, przekształcona tak, by narzucać posłuszeństwo, jest ostatnimi czasy wykorzystywana do wiązania pojmanych do niewoli Aes Sedai.

**Balwer, Sebban:** Oficjalnie były sekretarz Pedrona Nialla, potajemnie jego mistrz szpiegów. Z siebie tylko wiadomych powodów pomógł Morgase w jej ucieczce przed Seanchanami z Amadoru; obecnie zatrudniony na posadzie sekretarza Perrina t' Bashere Aybara i Faile ni Bashere t' Aybara.

**Cha Faile:** (1) W Dawnej Mowie „Szpon Sokoła”. (2) Nazwa przyjęta przez młodych Cairhienian i Tairenian, rzekomych wyznawców *ji'e'toh*, którzy przysięgli lojalność Faile ni Bashere t' Aybara. Działają potajemnie jako jej osobista służba zwiadowczo-szpiegowska.

**Corenne:** W Dawnej Mowie „Powrót”. Termin, jakim Seanchanie określają zarówno flotę złożoną z tysięcy statków jak i setki tysięcy żołnierzy, rzemieślników i innych osób przewożonych przez te statki, którzy przybędą śladem Zwiastunów, by na powrót przejąć ziemie ukradzione potomkom Artura Hawkwinga. Patrz również: Zwiastuni.

**Córy Milczenia:** W trwającej trzy tysiące lat historii Białej Wieży zdarzało się, że usunięte z niej kobiety nie chciały pogodzić się ze swym losem i próbowały się zrzesać. Ugrupowania takie – a

w każdym razie ich większość – Wieża rozpedzała natychmiast po tym, jak się o nich dowiedziała, a ich członkinie były surowo karane i to publicznie, by posłużyły za przykład. Ostatnia z takich rozwiązanych grup przyjęła nazwę Cór Milczenia (794-798 NE). W jej skład wchodziły dwie Przyjęte, które usunięto z Wieży oraz dwadzieścia trzy kobiety, które przy sobie zebrały i wyszkoliły. Wszystkie zostały zabrane do Tar Valon, gdzie je ukarano, z tym że owe dwadzieścia trzy wpisano do księgi nowicjuszek. Jedynie jednej z nich udało się dojść do szala. Patrz również: Rodzina.

**da'covale:** (1) W Dawnej Mowie oznacza „tego kogo się posiada” względnie „osobę która stanowi własność”. (2) U Seanchan jest to termin, jakim często określa się niewolników. Niewolnictwo ma w przypadku tego narodu długą i niezwykłą historię, tym bardziej, że niewolnicy mieli w Seanchan prawo do zajmowania wysokich stanowisk i sprawowania władzy również nad ludźmi wolnymi. Patrz również: *so'jhin*.

**der'morat-:** (1) w Dawnej Mowie „mistrz tresury” (2) U Seanchan, przyrostek dodawany w celu wyróżnienia doświadczonego, obdarzonego wysokimi umiejętnościami tresera egzotycznych istot, osobę, która szkoli innych treserów, np. *der'morat'raken*. *Der'morat* mogą się cieszyć stosunkowo wysoką pozycją społeczną, przy czym najwyższą zajmują *der'suldam*, które szkoła *sul'dam* zaliczające się do relatywnie wysokich rangą oficerów militarnych. Patrz również: *morat*.

**Fain, Padan:** Były Sprzymierzeniec Ciemności, obecnie ktoś jeszcze gorszy niż Sprzymierzeniec i w takim samym stopniu wróg Przeklętych jak i Randa al'Thora, którego nienawidzi całą duszą. Kiedy go ostatnio spotykano, przedstawiał się jako Jeraal Mordeth; udzielał rad lordowi Toramowi Riatinowi podczas rebelii, którą ten wszczął w Cairhien przeciwko Smokowi Odrodzonemu.

**Hailene:** W Dawnej Mowie „Zwiastuni” albo „Ci Którzy Przybyli Wcześniej”. Miano, jakie Seanchanie nadali wielkiemu korpusowi ekspedycyjnemu wysłanemu na drugi brzeg Oceanu Aryth w celu przeprowadzenia zwiadów na ziemiach, którymi niegdyś władał Artur Hawkwing. Obecnie Hailene, którymi dowodzi Wysoka Lady Suroth i których szeregi uległy znacznemu zwielokrotnieniu dzięki wcieleniu rekrutów z podbitych ziem, dalece powiększyły zakres swych zadań, wykraczając poza swe pierwotne cele.

**Hanlon, Daved:** Sprzymierzeniec Ciemności, były dowódca Białych Lwów na służbie u Przeklętego Kalwina, gdy ten, jako lord Gaebriel, władał Caemlyn. Stąd Hanlon zabrał Białe Lwy do Cairhien, powodowany rozkazami, by spotęgować rebelię przeciwko Smokowi Odrodzonemu. Białe Lwy zostały zniszczone przez „bańkę zła”, a Hanlonowi kazano wrócić do Caemlyn, z powodów, które jeszcze nie zostały ujawnione.

**Hierarchia Ludu Morza:** Atha'an Miere, czyli Lud Morza podlegają władzy Mistrzynie Statków Atha'an Miere, której asystują Poszukiwaczka Wiatru Mistrzynie Statków oraz Mistrz Ostrzy. Niżej od nich stoją klanowe Mistrzynie Fal, którym również asystują Poszukiwaczki Wiatru oraz Mistrzowie Miecza. Podlegają im Mistrzynie Żagli (które są kapitanami statków) ich klanów, z których każda ma pod sobą swoją Poszukiwaczkę Wiatru i Mistrza Cargo. Poszukiwaczka Wiatrów Mistrzynie Statków stoi ponad Poszukiwaczkami Wiatrów Mistrzynie Fal, które z kolei mają władzę nad Poszukiwaczkami Wiatru Mistrzynie Żagli swoich klanów. Podobnie Mistrz Ostrzy pełni władzę nad wszystkimi Mistrzami Mieczy, a ci z kolei nad Mistrzami Cargo swoich klanów. Rangi wśród Ludu Morza nie są dziedziczne. Mistrzynie Statków jest wybierana dożywotnio przez Dwanaście Pierwszych Atha'an Miere, czyli dwanaście najstarszych klanowych Mistrzynie Fal. Z kolei klanowa Mistrzynie Fal jest wybierana przez dwanaście najstarszych Mistrzynie Żagli swego klanu, zwanych po prostu Dwunastoma Pierwszymi, którym to terminem wyróżnia się również najstarsze Mistrzynie Żagli. Taka przywódczyni może być usunięta ze stanowiska drogą głosowania podjętego przez te same Dwanaście Pierwszych. W rzeczy samej każdy oprócz Mistrzynie Statków może być zdegradowany,

nawet do stanowiska majtka pokładowego, za nadużycie władzy, tchórzostwo albo inne przewinienia. Ponadto Poszukiwaczka Wiatru pod Mistrznią Fal względnie Mistrznią Statków, która umrze, musi przejść na służbę u kobiety niższej rangą i tym samym sama przechodzi na niższe stanowisko. Poszukiwaczka Wiatru Mistrzni Statków sprawuje władzę nad wszystkimi Poszukiwaczkami Wiatru, a Poszukiwaczka Wiatru klanowej Mistrzni Fal sprawuje władzę nad wszystkimi Poszukiwaczkami Wiatru swojego klanu. Podobnie Mistrz Ostrzy ma władzę nad wszystkimi Mistrzami Mieczy i Mistrzami Cargo, a Mistrz Mieczy nad Mistrzem Cargo swego klanu.

**Ishara:** Pierwsza Królowa Andoru (ok. 994-1020 WR). Tuż po śmierci Artura Hawkwinga Ishara przekonała swego męża, jednego z najwybitniejszych generałów Hawkwinga, by przerwał oblężenie Tar Valon i towarzyszył jej do Caemlyn z tyłoma żołnierzami, ilu zdoła oderwać od armii. I tak więc w czasach, gdy inni usiłowali przejąć całe imperium Hawkwinga i przegrywali, Ishara ujęła żelazną garścią niewielką część i odniosła zwycięstwo. Obecnie niemal wszystkie arystokratyczne Domy Andoru mają w sobie jakąś domieszkę krwi Ishary i prawo do zasiadania na Tronie Lwa zależy zarówno od tego, czy w danym Domu jest jej bezpośredni potomek jak i od liczby łączących z nią więzi, jakie da się ustalić.

**Kapitan Lansjerów:** W większości krajów, w normalnych okolicznościach szlachcianki nie prowadzą osobiście swych zbrojnych do bitwy. Zamiast tego najmują zawodowego żołnierza, niemal zawsze wywodzącego się z gminu, który jest odpowiedzialny za szkolenie zbrojnych i jednocześnie nimi dowodzi. W zależności od danego kraju, człowiek taki nosi tytuł Kapitana Lansjerów, Kapitana Miecza, Mistrza Koni względnie Mistrza Lanc. Niejednokrotnie, być może nieuchronnie, rodzą się w związku z tym pogłoski o związkach bliższych niż między lady a sługą. Niekiedy te pogłoski są prawdziwe.

**Kapitan Miecza:** Patrz: Kapitan Lansjerów.

**Konsolidacja:** Kiedy armie wysłane przez Artura Hawkwinga pod dowództwem jego syna Luthaira wylądowały w Seanchan, odkryły tam jeden tygiel narodów, często pozostających w stanie wojny ze sobą i gdzie często stery rządów przejmowały Aes Sedai. Aes Sedai, którym brakowało odpowiednika Białej Wieży, dążyły do przejęcia indywidualnej władzy, posługując się w tym Mocą. Takie tworzyły niewielkie ugrupowania, bezustannie knując przeciwko sobie. W większej części to właśnie te nieustające spiski mające na celu osiągnięcie osobistych korzyści i wynikłe z nich wojny angażujące niezliczoną liczbę państw pozwoliły armiom ze wschodniego wybrzeża Oceanu Aryth rozpocząć podbój całego kontynentu, dokończony przez ich potomków. Ów podbój, podczas którego potomkowie pierwotnych armii stawali się Seanchanami w miarę, jak podbijali Seanchan, trwał ponad dziewięćset lat i ostatecznie nazwano go Konsolidacją.

**Kółko Dziewiarskie:** Zrzesza przywódczyni Rodziny. Żadna z członkiń Rodziny nigdy nie poznała zasady, w oparciu o którą Aes Sedai tworzą swoją hierarchię – ta wiedza jest przekazywana dalej dopiero wtedy, gdy dana Przyjęta zda swoje sprawdziany do szala – dlatego więc zupełnie nie interesuje ich siła w posługiwaniu się Mocą, przykładają za to wielką wagę do wieku, przy czym starsze kobiety zawsze stoją ponad młodszymi. Kółko Dziewiarskie (wybrano taką nazwę, bo podobnie jak Rodzina brzmi niewinnie) składa się z trzynastu najstarszych Kuzynek mieszkających w Ebou Dar, przy czym na ich czele stoi Najstarsza. Zgodnie z przyjętymi zasadami, wszystkie będą musiały ustąpić ze stanowiska, gdy nadejdzie czas, by zmienić miejsce pobytu, dopóki jednak są mieszkankami Ebou Dar, dopóty sprawują nadrzędną władzę nad Rodziną, w stopniu, którego mogłaby im pozazdrościć dowolna Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Patrz również: Rodzina.

**Krew:** Termin, którym Seanchanie określają swoją arystokrację. Można należeć do Krwi z urodzenia, ale także zostać do niej wyniesionym.



**Legion Smoka:** Duża formacja militarna złożona z samej piechoty, która poprzysięgła lojalność Smokowi Odrodzonemu i jest szkolona przez Davrama Bashere zgodnie z założeniami opracowanymi przez niego i Mata Cauthona, założeniami, które mocno odbiegają od roli, jaką zazwyczaj przypisuje się piechocie. Choć sporo mężczyzn zwyczajnie zgłasza się na ochotnika, wielkie rzesze Legionu są zgarniane przez grupy werbunkowe z Czarnej Wieży, które najpierw gromadzą wszystkich mężczyzn z danego obszaru, którzy chcą się przyłączyć do Smoka Odrodzonego, a potem przenoszą ich przez bramy w okolice Cairhien, gdzie z kolei wylawiają tych, których można uczyć przenoszenia. Pozostałych, których jest znacznie zresztą więcej, odsyła się do obozów szkoleniowych Bashere.

*marath'darninie.* W Dawnej Mowie „te które trzeba wziąć na smycz”. Termin stosowany przez Seanchan w odniesieniu do wszystkich kobiet zdolnych do przenoszenia, którym jeszcze nie założono obroży *damane*.

**Mądra Kobieta:** Tytuł nadawany w Ebou Dar kobietom słynącym z ich niezwykłych umiejętności uzdrawiania niemal każdej dolegliwości. Zgodnie z tradycją Mądre Kobiety wyróżniają się czerwonymi pasami. Mimo iż zauważono już, że wiele, czy wręcz większość Mądrych Kobiet z Ebou Dar nawet nie pochodzi z Altary, a tym bardziej Ebou Dar, który to fakt jeszcze do niedawna pozostawał nieznanym, to jednak zaledwie nieliczni wiedzą, że wszystkie Mądre Kobiety to w rzeczywistości członkinie Rodziny, które praktykują rozmaite odmiany Uzdrawiania, a swe zioła i maści rozdają jedynie jako przykrywkę. Od czasu ucieczki Rodziny z Ebou Dar, gdy Seanchanie zajęli miasto, nie ma tam już żadnej Mądrej Kobiety. Patrz również: Rodzina.

O ich umiejętnościach w zakresie stosowania ziół i wiedzy medycznej mówi się nawet w Ziemiach Granicznych, uważa się, że ich pomoc jest najlepsza zaraz po Uzdrawianiu Aes Sedai. Mimo iż Ebou Dar to miasto kosmopolityczne, gdzie do miejskich gildii wstępuje wielu cudzoziemców, zauważono dziwne zjawisko, że mianowicie wśród Mądrych Kobiet rzadko kiedy spotyka się kobiety rodem z Ebou Dar.

*Mera'din:* W Dawnej Mowie „Pozbawieni Braci”. Nazwa przyjęta przez tych Aielów, którzy porzucili swój klan i szczep, po czym przyłączyli się do Shaido, ponieważ albo nie potrafili zaakceptować Randa al'Thora, mieszkańca mokradeł, jako *Car'a'carna*, albo dlatego, że nie chcieli uznać rewelacji dotyczących historii i pochodzenia Aielów. Opuszczenie klanu i szczepu z dowolnego powodu u Aielów jest występkiem zasługującym na anatemę, dlatego też, odrzuceni przez społeczności wojowników Shaido, zorganizowali się w społeczność „Pozbawionych Braci”.

**Mistrz Lanc:** Patrz: Kapitan Lansjerów. **Mistrz Koni:** Patrz: Kapitan Lansjerów.

*morat-:* W Dawnej Mowie „treser”. Wśród Seanchan używa się tego terminu na określenie osób ujeżdżających egzotyczne stworzenia, na przykład *morat'raken* dosiadających *rakenów*, zwanych również awiatorami. Patrz również: *der'morat-*.

**Niebiańskie Pięści:** Lekko uzbrojona i odziana w lekkie zbroje piechota seanchańska, którą do bitwy dowożą na swych grzbietach latające stwory zwane *to'raken*. Są to mężczyźni lub kobiety niskiego wzrostu, głównie ze względu na ograniczenie ciężaru, jaki *to'raken* może przenieść na jakąś odległość. Uważani za najtwardszych żołnierzy, są wykorzystywani głównie do rajdów, ataków zaskoczenia na tyły wroga, a także w tych miejscach, gdzie trzeba jak najprędzej dostarczyć żołnierzy.

**Obrońcy Kamienia:** Elitarna formacja wojskowa z Łzy. Obecnym Kapitanem Kamienia (dowódcą Obrońców) jest Rodrivar Tihera. W szeregi Obrońców przyjmowani są jedynie Tairenianie, przy czym ich kadra oficerska wywodzi się zazwyczaj ze szlachty, aczkolwiek często są to przedstawiciele pośledniejszych Domów względnie bocznych gałęzi najznamienitszych Domów. Do zadań Obrońców należy utrzymywanie Kamienia Łzy, ogromnej fortecy usytuowanej w samym

sercu miasta Łza, ochrona miasta oraz pełnienie obowiązków właściwych policji w zastępstwie Straży Miejskiej i innych tego typu formacji. Obowiązki rzadko kiedy odciągają ich daleko od miasta, z wyjątkiem okresu wojny. Wówczas to razem z innymi elitarnymi jednostkami stanowią swoisty rdzeń, wokół którego tworzy się armię. Uniform Obrońców składa się z czarnego kaftana z watowanymi rękawami w czarno-złote paski zakończonymi czarnymi mankietami, polerowanego napierśnika oraz hełmu z wygiętym brzeżkiem i stalową kratownicą. Kapitan Kamienia nosi trzy krótkie białe pióra przy hełmie, a przy mankietach trzy splecione złote warkoczki na białym pasku. Kapitanowie wyróżniają się dwoma białymi piórami i pojedynczym złotym warkoczkiem na białych mankietach, porucznicy jednym białym piórem i pojedynczym czarnym warkoczkiem na białych mankietach, a podporucznicy jednym krótkim piórem czarnej barwy i zwykłymi białymi mankietami. Chorążowie mają złote mankiety, a dowódcy oddziałów mankiety w czarno-złote paski.

**Powrót:** Patrz: *Corenne*.

**Prorok:** Bardziej rozbudowana forma tego miana to Prorok Lorda Smoka. Tytuł, jaki przypisał sobie Masema Dagar, były shienarański żołnierz, który doznał objawienia i stwierdził, że został powołany do szerzenia nauk o Smoku Odrodzonym i jego Powtórnym Narodzinach. Wierzy, że nic – nic! – nie jest ważniejsze od uznania, że Smok Odrodzony to ucieleśnienie Światłości i bycia gotowym na wezwanie Smoka Odrodzonego. Głosi ponadto, że on i jego wyznawcy użyją każdej siły, byle tylko zmusić innych, aby opiewali chwałę Smoka Odrodzonego. Wyrzekłszy się wszelkich innych imion oprócz "Proroka", sprowadził chaos na Ghealdan i Amadicię, których spore obszary znalazły się pod jego kontrolą.

**Przekłęci:** Przydomek nadany trzynastu najpotężniejszym Aes Sedai, którzy przeszli na stronę Cienia podczas Wieku Legend i dali się schwytać w pułapkę, kiedy na mury więzienia Czarnego zostały nałożone pieczęcie. Mimo iż od dawna uważa się, że tylko oni wyparli się Światłości podczas Wojny z Cieniem, w rzeczywistości byli też inni; tych trzynastu to jedynie najwyżsi rangą wśród takich. Przekłęci (którzy sami siebie nazywają Wybranymi) zostali od czasu ich przebudzenia zredukowani liczebnie. Wiadomo, że przy życiu zostali się Demandred, Semirhage, Graendal, Mesaana, Moghedien oraz dwoje takich, którzy otrzymali nowe ciała i nowe imiona, Osan'gar i Aran'gar. Ostatnimi czasy ujawnił się również mężczyzna zwący się Moridin i niewykluczone, że jest to jeszcze jeden Przekłęty przywołany z grobu przez Czarnego. To samo być może dotyczy kobiety, która przedstawia się jako Cyndane, ale w związku z tym, że Aran'gar to dawniej mężczyzna obecnie wskrzeszony jako kobieta, wszelkie spekulacje odnośnie tożsamości Moridina i Cyndane mogą się okazać jałowe, dopóki nie wyjdą na jaw jakieś bliższe szczegóły.

**Rodzina:** Nawet podczas Wojen z Trollokami, przed ponad dwoma tysiącami lat (ok. 1000-1350 OP), Biała Wieża w dalszym ciągu przestrzegała swoich standardów, usuwając kobiety, którym nie udało się ich wypełnić. Grupa takich właśnie kobiet, które bały się wrócić do domu w samym środku wojen, uciekła do Barashty (w pobliżu obecnego Ebou Dar), miejsca w owych czasach oddalonego najbardziej od walk. Nazwały swe ugrupowanie Rodziną, a siebie same Kuzynkami i pozostały w ukryciu, oferując bezpieczną przystań tym, które usunięto z Wieży. Z czasem za sprawą związków z kobietami, którym nakazano opuszczenie Wieży, Rodzina zaczęła nawiązywać kontakty z uciekinierkami i przyjmować je do swych szeregów, z siebie tylko znajomych powodów. Dokładały przy tym wielkich starań, by te dziewczęta nie dowiadywały się niczego na temat Rodziny, dopóki się nie upewniły, że Aes Sedai nie zechcą ich odebrać. Jakby nie było, powszechnie wiadano, że uciekinierki są prędzej czy później łapane, a Rodzina zdawała sobie sprawę, że musi utrzymywać fakt swego istnienia w sekrecie, bo inaczej spotkają sroga kara.

Aes Sedai z Wieży, nieznane Rodzinie, wiedziały o jej istnieniu niemal od samego początku,

niemniej ciąg wojen nie pozwalał na zajęcie się nimi. Pod koniec wojen Wieża zrozumiała, że niszczenie Rodziny nie leży w jej interesie. Tuż przed tym większości uciekinierek rzeczywiście udało się uciec, niezależnie od tego, co utrzymywała propaganda Wieży, ale odkąd Rodzina zaczęła im pomagać, Wieża wiedziała dokładnie, dokąd kieruje się uciekinierka i zaczęła przechwytywać dziewięć na każde dziesięć. Jako że Kuzynki wyprowadzały się i wprowadzały do Barashty (a później Ebou Dar), starając się ukryć swoje istnienie i ile ich dokładnie jest, nigdy nie pozostając w jednym miejscu dłużej jak dziesięć lat, o ile ktoś wcześniej nie zauważył, że nie starzeją się w normalnym tempie, Wieża wierzyła, że jest ich niewiele, a one z pewnością się nie wychylały. Pragnąc wykorzystywać Rodzinę do chwytania uciekinierek w swoistą pułapkę, Wieża postanowiła zostawić je w spokoju, w odróżnieniu od innych tego typu ugrupowań w historii, oraz utrzymywać fakt istnienia Rodziny w sekrecie, znanym jedynie pełnym Aes Sedai.

Rodzina nie rządzi się ustalonymi prawami, lecz raczej zasadami po części opartymi na zasadach obowiązujących dla nowicjuszek i Przyjętych w Białej Wieży, a po części na konieczności zachowania tajemnicy. Biorąc pod uwagę pochodzenie Rodziny, nie dziwi, że bardzo surowo wymagają ich przestrzegania od wszystkich swoich członków.

Ostatnie otwarte kontakty między Aes Sedai i Kuzynkami, mimo iż ograniczone do garstki sióstr, przyniosły rozmaite szokujące rewelacje, między innymi takie fakty, że kobiet z Rodziny jest dwa razy więcej niż Aes Sedai i że niektóre z nich są więcej niż sto lat starsze od nawet tych Aes Sedai, które urodziły się jeszcze przed wybuchem Wojen z Trollokami. Efekty, jakie owe rewelacje wywarły zarówno na Aes Sedai jak i na Kuzynki, stanowią na razie przedmiot spekulacji. Patrz również: Córy Milczenia; Kółko Dziewiarskie.

*sei'mosiev*: W Dawnej Mowie „spuszczony wzrok”. Wśród Seanchan powiedzenie o kimś, że „stał się *sei'mosiev*” oznacza, że „stracił twarz”. Patrz również: *sei'taer*.

*sei'taer*: W Dawnej Mowie „szczerzy wzrok” albo „równy wzrok”. U Seanchan odnosi się to do honoru albo twarzy, do zdolności spojrzenia komuś w oczy. Można „być” albo „mieć” *sei'taer*, co oznacza, że ktoś ma honor i twarz, można też „zyskać” albo „stracić” *sei'taer*. Patrz również: *sei'mosiev*.

*Shenan Calhar*: W Dawnej Mowie Legion Czerwonej Ręki. (1) Legendarna grupa bohaterów, którzy po dokonaniu wielu bohaterskich wyczynów polegli w obronie Manetheren, kiedy owa kraina została zniszczona podczas Wojen z Trollokami. (2) Formacja militarna założona niemal przypadkiem przez Mata Cauthona i zorganizowana zgodnie z założeniami dla formacji wojskowych przyjętymi w okresie uznanym za szczyt rozkwitu sztuki militarnej, to znaczy w czasach panowania Artura Hawkwinga i poprzedzających je wiekach.

*so'jhin*: Najbliższym tłumaczeniem tego terminu z Dawnej Mowy będzie „szczyt pośród nizin”, aczkolwiek niektórzy tłumaczą ów termin jako „zarówno niebo, jak i dolina”. *So'jhin* to w Seanchan określenie nadawane dziedzicznym sługom dysponującym wysokimi rangami. Są to *da'covale*, czyli niewolnicy, aczkolwiek zajmują wysokie stanowiska, które pozwalają im sprawować władzę nad innymi. Nawet Krew stąpa ostrożnie przy *so'jhin* rodziny cesarskiej i przemawiają do *so'jhin* Cesarzowej jak do sobie równych. Patrz również: Krew; *da'covale*.

**Sondowanie**: (1) Umiejętność wykorzystywania Jedynej Mocy w diagnozowaniu stanu fizycznego oraz choroby. (2) Umiejętność korzystania z Jedynej Mocy do wyszukiwania rud metali. Umiejętność ta została dawno temu utracona przez Aes Sedai i być może tym należy tłumaczyć fakt, iż jej nazwę przeniesiono na inną umiejętność.

**Straż Skazańców**: Elitarna formacja militarna Imperium Seanchańskiego, w której służą zarówno ludzie, jak i Ogirowie. Wszyscy ludzie służący w Straży są *da'covale*, urodzeni jako czyjaś

własność i za młodu wybrani do służby na rzecz Cesarzowej, w której posiadanie od tego momentu przechodzą. Fanatycznie lojalni i bezprzykładnie dumni, często chełpią się krukami wytatuowanymi na ramionach, czyli znakiem *da'covale* Cesarzowej. Ich hełmy i zbroje są lakierowane ciemną zielenią i krwistą czerwienią, a tarcze czernią; włócznie i miecze zdobione są czarnymi chwostami. Patrz również: *da'covale*.

**Towarzysze:** Elitarna formacja wojskowa z Illian, obecnie dowodzi nią Pierwszy Kapitan Demetre Marcelin. Towarzysze pełnią straż przyboczną przy Królu Illian oraz strzegą strategicznych punktów na terenie całego kraju. Ponadto zgodnie z tradycją wykorzystuje się ich podczas bitwy do atakowania najsilniejszych pozycji wroga, szukania jego słabych stron a także, w razie konieczności, do osłaniania ewentualnego odwrotu Króla. W odróżnieniu od innych tego typu elitarnych formacji, cudzoziemcy są w niej nie tylko mile widziani (tzn. z wyjątkiem Tairenian, Altaran i Murandian), ale mogą nawet być awansowani do wysokich rang, podobnie zresztą jak ludzie z gminu, co również jest niezwykle. Uniform noszony przez Towarzyszy składa się z zielonego kaftana, napierśnika ozdobionego Dziewięcioma Pszczołami Illian oraz stożkowatego hełmu. Pierwszy Kapitan nosi na mankietach kaftana po cztery pierścienie ze złotej plecionki i trzy cienkie złote pióra przy hełmie. Drugi Kapitan wyróżnia się trzema pierścieniami ze złotej plecionki oraz trzema złotymi piórami o zielonych czubkach. Mankiety poruczników zdobią dwa złote pierścieni, ich hełmy dwa cienkie zielone pióra, podporucznicy dostają jeden złoty pierścień i jedno zielone pióro. Chorążowie noszą dwa przerwane żółte pierścienie i jedno żółte pióro, dowódcy oddziałów jeden przerwany żółty pierścień.

**zbrojni:** żołnierze, którzy poprzysięgli wierność albo złożyli hołd lenny jakiemuś lordowi albo lady.

**Zwiastuni:** Patrz: Hailene

# Spis treści

<a href="#">STRONA TYTUŁOWA..</a>	1
<a href="#">PROLOG ŚNIEG..</a>	4
<a href="#">POŻEGNANIE Z PROROKIEM...</a>	66
<a href="#">PORWANA..</a>	75
<a href="#">OBYCZAJE..</a>	87
<a href="#">PROPOZYCJE..</a>	97
<a href="#">SZTANDARY..</a>	113
<a href="#">ZAPACH SZALEŃSTWA..</a>	122
<a href="#">ULICE CAEMLYN..</a>	138
<a href="#">LUD MORZA I RODZINA..</a>	153
<a href="#">FILIŻANKA HERBATY..</a>	169
<a href="#">PLAN UWIEŃCZONY SUKCESEM...</a>	180
<a href="#">PRIORYTETY..</a>	204
<a href="#">ZIMOWA LILIA..</a>	226
<a href="#">WSPANIAŁE WIEŚCI.</a>	246
<a href="#">CO SKRYWA WOAL..</a>	261
<a href="#">POTRZEBNY LUDWISARZ..</a>	269
<a href="#">NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE..</a>	279
<a href="#">RÓŻOWE WSTAŻKI.</a>	292
<a href="#">OFERTA..</a>	307
<a href="#">TRZY KOBIETY..</a>	320
<a href="#">KWESTIA ZDRADY..</a>	333
<a href="#">SPRAWY MAJĄTKOWE..</a>	344
<a href="#">JAKBY ZNIKĄD..</a>	355
<a href="#">STRACIĆ SŁOŃCE..</a>	370
<a href="#">WŚRÓD RADCZYŃ..</a>	385
<a href="#">WIĘZI.</a>	396
<a href="#">OCZEKIWANIA..</a>	408
<a href="#">ZASKOCZYĆ KRÓLOWE I KRÓLÓW...</a>	422
<a href="#">NIESPODZIANKA W WORKU Z UBRANIAMI.</a>	438
<a href="#">INNY PLAN..</a>	452
<a href="#">ZIMNE, GRUBE KROPLE DESZCZU..</a>	465
<a href="#">CO POWIEDZIELI AELFIN..</a>	473
<a href="#">CZEŚĆ MĄDROŚCI.</a>	483
<a href="#">ULICA BŁĘKITNEGO KARPIA..</a>	494
<a href="#">TAJEMNICA KOLIBRA..</a>	504
<a href="#">CHOEDAN KAL..</a>	512
<a href="#">GLOSARIUSZ..</a>	533